

Aleksander Dumas (Ojciec)

HRABIA MONTE CHRISTO

TOM I.....	3
1. POWRÓT DO MARSYLII	3
2. OJCIEC I SYN	8
3. KATALOŃCZYCY.....	12
4. SPISEK.....	17
5. PRZYJĘCIE ZARĘCZYNOWE.....	21
6. ZASTĘPCA PROKURATORA KRÓLEWSKIEGO	28
7. PRZESŁUCHANIE	33
8. ZAMEK IF	39
9. WIECZÓR ZARĘCZYNOWY	44
10. GABINECIK W TUILERIACH	48
11. POTWÓR KORSYKAŃSKI.....	52
12. OJCIEC I SYN	56
13. STO DNI	60
14. WIĘZIEN OSZALAŁY I WIĘZIEN OBLĄKANY	64
15. NUMER 34 I NUMER 27	70
16. UCZONY WŁOSKI	79
17. W CELI KSIĘDZA	84
18. SKARB	94
19. TRZECI ATAK	101
20. CMENTARZ TWIERDZY IF.....	106
21. WYSPA TIBOULEN.....	108
22. PRZEMYTNICY.....	114
23. WYSPA MONTE CHRISTO	118
25. NIEZNAJOMY	127
26. OBERŻA W PONT-DU-GARD	130
27. RELACJA	136
28. REJESTRA WIĘZIENNE.....	143
29. FIRMA MORREI I SYN.....	146
30. PIĄTY WRZEŚNIA	153
31. WŁOCHY. SINDBAD ŻEGLARZ	161
32. PRZEBUDZENIE.....	173
33. BANDYCI RZYMSCY	176
34. TAJEMNICZY NIEZNAJOMY	192
36. KARNAWAŁ RZYMSKI	211
37. KATAKUMBY ŚWIĘTEGO SEBASTIANA	222
38. SPOTKANIE	232
TOM II.....	235
1. BIESIADNICY.....	235
2. ŚNIADANIE	246
3. PREZENTACJA	252
4. IMĆ BERTUCCIO	258
5. DOM W AUTEUIL.....	260
6. VENDETTA	264
7. KRWAWE DESZCZ.....	276
8. KREDYT NIEOGRANICZONY	282
9. ZAPRZĄG SIWOJABŁKOWITY	288
10. IDEOLOGIA.....	294
11. HAYDE	299
12. RODZINA MORRELÓW	301
13. PYRAMOS I TYZBE	306

14. TOKSYKOLOGIA	311
15. ROBERT DIABEŁ	318
16. HOSSA I BESSA	326
17. MAJOR CAVALCANTI	332
18. ANDREA CAVALCANTI	338
19. ZAGON LUCERNY	345
20. PAN NOIRTIER DE VILLEFORT	350
21. TESTAMENT	354
22. TELEGRAF	359
23. W JAKI SPOSÓB UWOLNIĆ OGRODNIKA OD KOSZATEK WYJADAJĄCYCH MU BRZOSKWINIE	364
24. WIDMA	369
25. OBIAD	374
26. ŻEBRAK	379
27. SCENA MAŁŻEŃSKA	384
28. PROJEKTY MATRYMONIALNE	389
29. GABINET PROKURATORA KRÓLEWSKIEGO	394
30. BAL LETNI	400
31. INFORMACJE	404
32. BAL	410
33. CHLEB I SÓL	415
34. PANI DE SAINT-MÉРАН	417
35. OBIETNICA	424
36. GRÓB RODZINY DE VILLEFORT	439
37. PROTOKÓŁ	443
TOM III	451
1. POSTĘPY MŁODSZEGO PANA CAVALCANTIEGO	451
2. HAYDE	456
3. DONOSZĄ Z JANINY	467
4. LEMONIADA	478
5. OSKARŻENIE	484
6. POKÓJ BYŁEGO PIEKARZA	487
7. WŁAMANIE	497
8. PALEC BOŻY	505
9. BEAUCHAMP	509
10. PODRÓŻ	512
11. SĄD	518
12. WYZWANIE	526
13. ZNIEWAGA	529
14. MOC	534
15. POJEDYNEK	538
16. MATKA I SYN	545
17. SAMOBÓJSTWO	548
18. WALENTYNA	553
19. WYZNANIE	557
20. OJCIEC I CÓRKA	563
21. INTERCYZA	567
22. UCIECZKA DO BELGII	573
23. OBERŻA POD FLASZĄ I DZWONEM	576
24. PRAWO	582
25. ZJAWA	587
26. LOKUSTA	591
27. WALENTYNA	594
28. MAKSYMILIAN	597
29. PODPIS PANA DANGLARSA	602
30. CMENTARZ PERE-LACHAISE	607
31. PODZIAŁ	614
32. JASKINIA LWÓW	622

33. SĘDZIA.....	626
34. SESJA SĄDOWA.....	631
35. AKT OSKARŻENIA.....	634
36. POKUTA.....	638
37. ODJAZD.....	642
38. PRZESZŁOŚĆ.....	649
39. PEPPINO.....	655
40. JADŁOSPIS LUIGIEGO VAMPY.....	661
41. PRZEBACZENIE.....	664
42. PIĄTY PAŹDZIERNIKA.....	667

TOM I

1. POWRÓT DO MARSYLII

24 lutego roku 1815 strażnik morski z Notre Dame de la Garde zasygnalizował przybycie trójmasztowca „Faraon”, powracającego ze Smyrny przez Triest i Neapol.

Jak to zwykle w takich razach bywa, pilot portowy wyruszył niezwłocznie, opłynął zamek If i, znalazłszy się między przylądkiem Morgion a wyspą Rion, przybił do burty statku. Wkrótce, zwykłym znowu biegiem rzeczy, wały fortu Świętego Jana zaroily się od ciekawych, albowiem przybycie statku jest zawsze wielkim ewenementem dla marsylczyków — a zwłaszcza takiego jak „Faraon”, będący własnością jednego z miejscowych armatorów, zbudowany, otaklowany i załadowany w stoczniach dawnej Focci.

A tymczasem statek się zbliżał; przepłynął szczęśliwie cieśninę pochodzenia wulkanicznego dzielącą wyspy Calasareigne i Jaros, minął Pomegue — a choć szedł pod rozpiętymi marslami, kliwrem i bezanem, posuwał się tak wolno i zdawał się go spowijać smutek tak osobliwy, że niejeden spośród widzów, przeczuwając nieszczęście, zastanawiał się, jaki to wypadek mógł zdarzyć się na pokładzie. Mimo to widzowie obeznani z nawigacją skonstatowali, że jeśli jakiś wypadek istotnie się zdarzył, to owa katastrofa nie dotknęła bezpośrednio „Faraona” — wchodził on bowiem do portu jak statek, którym kierowano wybornie; kotwica była przygotowana, wanty bukszprytu zluzowane, a obok pilota, który sposobił się, by wprowadzić trójmasztowiec w wąską gardziel portu marsylskiego, stał młodzieniec o gestach energicznych i żywym spojrzeniu; baczył pilnie na każdy ruch statku

i powtarzał każdy rozkaz pilota.

Nieokreślony niepokój, który nurtował ciżbę zalegającą wały Świętego Jana, tak jął doskwierać jednemu z widzów, że człek ów nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie statek zawinie do portu: wskoczywszy w łódkę, rozkazał wypłynąć naprzeciw „Faraona” i przybił doń nie opodal zatoczki Reserve.

Na widok owego mężczyzny młody żeglarz opuścił stanowisko obok pilota i zdejmując kapelusz wsparł się o burtę statku.

Był to młodzieniec osiemnasto- albo dwudziestoletni, wysoki, szczupły, o pięknych czarnych oczach i włosach jak heban; cała jego postać tchnęła spokojem i energią właściwą ludziom, którzy od dzieciństwa przywykli walczyć z niebezpieczeństwem.

— Ach! to ty, panie Edmundzie! — zawołał mężczyzna z łódki — cóż to się wydarzyło i jakąż jest przyczyna smutku, który panuje na pokładzie?

— Wielkie nieszczęście spadło na nas, panie Morrel! — odpowiedział młodzieniec — cios, który ugodził mnie srogo: tuż pod Civitavecchia straciliśmy dzielnego kapitana Leclère.

— A ładunek? — spytał żywo armator.

— Przywieźliśmy go szczęśliwie, panie Morrel, i sądzą, że pod tym względem będziesz pan kontent; ale nasz biedak, kapitan Leclère...

— Cóż mu się stało? — spytał armator z widoczną ulgą. — Cóż się przydarzyło dzielnemu kapitanowi?

— Nie żyje.

— Czyżby wpadł do morza, utonął?

— Nie, panie Morrel; zmarł wśród okropnych cierpień na zapalenie mózgu. — Po czym, zwracając się do swoich ludzi:

— Hej! Hola — zawołał — wszyscy na stanowiska! Rzucamy kotwicę! Załoga, spełniła rozkaz. W mgnieniu oka z dziesięciu ludzi, którzy się na nią

składali, rzuciło się do szotów, brasów, fałów, want i sztagów.

Młody żeglarz objął przelotnym spojrzeniem ludzi sposobiących się do wykonania manewru, a upewniwszy się, że rozkazy będą wzorowo spełnione, wrócił do swojego rozmówcy.

— Jakież miał przebieg ów nieszczęśliwy wypadek? — spytał armator, nawiązując do przerwanej przed chwilą rozmowy.

— Mój Boże! zupełnie nieoczekiwany, proszę pana: kapitan Leclère wdał się w długą rozmowę z komendantem portu w Neapolu, po czym opuścił miasto niezwykle podniecony; gorączka chwyciła go następnego dnia, a w trzy dni później już nie żył...

Pochowaliśmy go naszym obyczajem i spoczywa teraz nie opodal wyspy del Giglio, spowity w hamak, a u stóp i w głowach uwiązaliśmy mu dwudziestoseśćfuntowe pociski. Wdowa po kapitanie otrzyma jego Krzyż Legii Honorowej i szpadę. Wartoż było — tu młodzieniec uśmiechnął się melancholijnie — wojować przez dziesięć lat z Anglikami, żeby wreszcie umrzeć ot tak, zwyczajnie, we własnym łóżku!

— Do diabła! Cóż chcesz, drogi panie Edmundzie — odparł armator, pocieszony, zda się, zupełnie po tej stracie — wszyscy jesteśmy zwykłymi śmiertelnikami i trzeba, by starzy ustępowali miejsca młodym; w przeciwnym bowiem razie o postępie nie byłoby mowy, a skoro zapewniasz mnie, że ładunek...

— Nie poniósł żadnego szwanku, ręczę za to, panie Morrel. Możesz pan oszacować tę podróż więcej niż na 25000 franków zysku..

„Faraon” minął właśnie Basztę Okrągłą:

— Gotuj się do zwijania marsli, kliwra i bezanżagla! — zawołał młody marynarz — żywo!

Rozkaz wykonano niemal tak szybko jak na okręcie wojennym.

— Luzuj! Zwijaj!

Zaledwie przebrzmiał ostatni rozkaz, a już opadły wszystkie żagle i statek jął się posuwać prawie niedostrzegalnie, popychany tylko siłą rozpędu.

— Racze pan wejść na pokład — rzekł Dantès widząc, jak armator się niecierpliwi — pański buchalter, pan Danglars, wyszedł właśnie ze swej kajuty i udzieli wszelkich wyjaśnień, jakich pan zapagniesz. Co do mnie, muszę czuwać nad zakotwiczeniem statku i żeby nie zapomniano o oznakach żałoby.

Armator nie marudził ani chwili. Chwycił linę, którą rzucił mu Dantès, i ze zręcznością, mogącą, przynieść zaszczyt wytrawnemu majtkowi, wspiął się po szczeblach przymocowanych do zewnętrznej ściany pękatego kadłuba statku, podczas gdy Edmund, wracając do swych obowiązków zastępcy kapitana, zrezygnował z dalszej rozmowy na korzyść pana Danglarsa, owego mężczyzny, co wyszedłszy z kajuty, spieszył na spotkanie armatora.

Nowo przybyły miał mniej więcej dwadzieścia pięć lat. Obłeśna jego fizjonomia zdradzała, że płaszczył się przed zwierzchnikami, a podwładnych traktował z góry; był agentem kasowym, a że stanowisko to samo przez się budzi odrazę wśród marynarzy, nie cieszył się sympatią załogi, która okazywała mu tyleż niechęci, co życzliwości wobec Edmunda Dantèsa.

— No i cóż, panie Morrel — spytał Danglars — dowiedziałeś się już o nieszczęściu, prawda?

— Tak, tak. Biedny kapitan Leclère! Był dzielny i uczciwym człowiekiem!

— A przede wszystkim znakomitym żeglarzem; zestarzał się żyjąc między wodą a niebem, jak przystało człowiekowi, którego opiece poruczono interesy tak znakomitej firmy jak Dom Handlowy Morrel i Syn — rzekł Danglars.

— A jednak — odparł armator, śledząc wzrokiem Dantèsa, który wyczekiwał na stosowny moment, żeby rzucić kotwicę — a jednak wydaje mi się, iż niekoniecznie trzeba być starym marynarzem, aby, jak pan utrzymujesz, znać dobrze swoje rzemiosło; spójrz pan, nasz przyjaciel Edmund komenderuje, jakby nie potrzebował niczyich rad. Tak mi się przynajmniej wydaje.

— Owszem — rzekł Danglars, a w jego oczach, gdy spojrzął z ukosa na Edmunda, błysnął płomień nienawiści — tak, młode to i zarozumiałe. Tuż po śmierci kapitana objął dowództwo, nie radząc się nikogo, i zamiast wracać do Marsylii, tkwił półtora dnia u brzegów Elby.

— Obejmując dowództwo — odpowiedział armator — spełnił tylko swój obowiązek jako zastępca; źle natomiast postąpił tracąc półtora dnia u wybrzeży Elby, jeśli statek nie wymagał naprawy.

— „Faraon” miał się nie gorzej ode mnie, a takiego zdrowia jak moje życzę i panu, panie Morrel; ta półtoradniowa zwłoka to czysty kaprys, chęć przespacerowania się na ląd i basta.

— Dantès — zawołał armator, zwracając się do młodzieńca — pozwólże pan do nas na chwilę!

— Proszę mi darować — odpowiedział Dantès — za chwilę będę mógł panu służyć.

Po czym, zwracając się do załogi:

— Rzucaj!

Kotwica upadła, łańcuch osunął się ze zgrzytem. Dantès nie zszedł ze stanowiska, mimo obecności pilota, póki nie ukończono manewru, po czym dodał:

— Spuścić proporczyk do połowy masztu! Flaga do połowy masztu! Skrzyżować reje!

— Widzisz pan — odezwał się Danglars. — Dalibóg wydaje mi się, że jest kapitanem!

— Bo i jest nim — odpowiedział armator.

— Tak, brak mu tylko podpisu pana i pańskiego współnika, panie Morrel.

— Mój Boże, czemuż nie mielibyśmy powierzyć mu tego stanowiska? — rzekł armator. — Uważam, że to chłopak na miejscu, a choć młody, wytrawny z niego marynarz.

Danglars zasępił się na moment.

— Wybaczysz mi pan, panie Morrel — powiedział Dantès podchodząc bliżej — teraz, gdy statek stoi na kotwicy, jestem na pańskie rozkazy; zdawało mi się, żeś pan mnie wołał.

Danglars cofnął się o krok.

— Chciałem zapytać, co was właściwie zatrzymało u wybrzeży Elby? — zapytał Morrel.

— Nie mam pojęcia. Bo ja wykonałem tylko ostatnią wolę kapitana Leclère, który przed śmiercią wręczył mi pakiet przeznaczony dla pana Bertranda, wielkiego marszałka dworu.

— No i co? Widziałeś go, panie Edmundzie?

— Kogo?

— Wielkiego marszałka.

— Tak.

Morrel rozejrzał się niespokojnie i odciągnął Dantèsa na stronę.

— Jakże się miewa cesarz? — zapytał z ożywieniem.

— Dobrze, o ile sam mogłem zauważyć.

— Widziałeś więc i cesarza?

— Wszedł do marszałka w mojej obecności.

— Rozmawiałeś pan z nim?

— Raczej on ze mną rozmawiał — uśmiechnął się Dantès.

— I cóż ci mówił?

— Rozpytywał mnie o statek: kiedy wyrusza do Marsylii, skąd wraca i jaki wiezie ładunek. Wniosłem z tego, że gdyby statek był próżny, a ja jego właścicielem, cesarz kupiłby go chętnie; skoro jednak powiedziałem, że jestem zastępcą kapitana, a statek jest własnością Domu Handlowego Morrel i Syn... „Aaa! — zawołał — znam tę firmę. Morrelowie to armatorzy z dziada pradziada, jeden Morrel służył w tym pułku co i ja, w walenckim garnizonie”.

— Dalibóg, to prawda — zakrzyknął armator ogromnie uradowany — to nikt inny, tylko Polikarp Morrel, mój wuj, który dochrapał się rangi kapitana. Jeśli powiesz pan mojemu wujowi, że cesarz o nim wspomniał, zobaczysz, jak się ten stary zrzęda rozbeczy. Tak, tak — mówił dalej, klepiąc młodzieńca przyjacielsko po ramieniu — słusznie postąpiłeś wypełniając instrukcje kapitana Leclère i zatrzymując się u brzegów Elby; chociaż gdyby się dowiedziano, że wręczyłeś marszałkowi jakiś pakiet i że rozmawiałeś z cesarzem, mogłoby cię to skompromitować.

— Jakim cudem, panie Morrel? — spytał Dantès — toć nie mam nawet pojęcia, co było w tym pakiecie, a cesarz mógłby zadać te same pytania pierwszemu lepszemu marynarzowi. Ale przepraszam pana — odezwał się po chwili Dantès — służba sanitarna i celnicy zbliżają się do nas; pozwoli pan?...

— Czyń, co należy, mój drogi Edmundzie. Młodzieniec odszedł, a tymczasem przybliżył się Danglars.

— No i jak tam? — zagadnął. — Przedstawił panu, jak się zdaje, doskonałe powody, które zatrzymały go w Portoferraio.

— Istotnie. Powody wielkiej wagi, kochany panie.

— Hm. Tym lepiej — odpowiedział Danglars. — Bo to zawsze przykro pomyśleć, że kolega nie spełnia swoich obowiązków.

— Dantès zrobił to, co do niego należało, i nic mu zarzucić nie można. Kapitan Leclère nakazał mu ten postój.

— Skoro mówimy o kapitanie, chciałem zapytać, czy nie oddał panu listu od niego?

— Kto?

— Dantès.

— Mnie? Ach nie! Miał więc jakiś list?

— Wydawało mi się, że oprócz pakietu kapitan powierzył mu list.

— O jakim pakiecie pan mówisz?

— Ależ o tym, który Dantès zostawił w Portoferraio, będąc tam przejazdem.

— Skąd pan wiesz, że miał oddać w Portoferraio jakiś pakunek? Danglars poczerwieniał.

— Przechodząc obok kajuty kapitana, widziałem przez uchylone drzwi, jak Leclère dał Edmundowi tę paczkę i list.

— Nic mi o tym nie wspomniał — odpowiedział armator — ale jeśli ma dla mnie jakiś list, odda mi go z pewnością.

Po chwili zastanowienia, Danglars rzekł:

— A zatem, panie Morrel, bardzo pana proszę, byś nie napomykał o tym Edmundowi, mogłem się przecież omylić.

W tym momencie nadszedł Dantès i Danglars znowu się oddalił.

— No i cóż, młodzieńcze, jesteś pan wolny? — spytał armator.

— Tak, panie Morrel.

— Formalności nie zabrały ci wiele czasu.

— A nie; przedstawiłem celnikom listę naszych towarów, a z komory celnej przysłali do nas człowieka; przyjechał razem z pilotem portowym, któremu oddałem nasze dokumenty.

— Nie masz więc pan tutaj nic już do zrobienia? Dantès rozejrzał się dookoła.

— Nie, wszystko jest w porządku — odparł.

— Możesz pan zatem przyjść do nas na obiad?

— Proszę mi wybaczyć, panie Morrel, ale choć oceniam w pełni ten zaszczyt — muszę najpierw odwiedzić mojego ojca.

— Słusznie, słusznie, panie Edmundzie. Wiem, że jesteś czułym synem.

— A mój ojciec — spytał z niejakim wahaniem Dantès — mój ojciec dobrze się miewa?

— Spodziewam się, że tak, choć dawno go nie widziałem.

— O tak, przesiaduje najczęściej w swoim pokoju.

— To dowodzi, że podczas twojej nieobecności nic mu nie brakło. Dantès uśmiechnął się.

— Mój ojciec jest hardy, proszę pana, nawet gdyby i bieda zajrzała mu w oczy, wątpię, czy zwróciłby się do kogokolwiek na świecie, z wyjątkiem Boga, o pomoc.

— A więc dobrze, możemy zatem liczyć, że odwiedzisz ojca przyjdiesz pan do nas?

— I tym razem proszę o wybaczenie; po tamtej wizycie muszę jeszcze kogoś odwiedzić i to również bardzo mi leży na sercu.

— Ach! Prawda! Prawda! Zapomniałem, że w katalońskiej wiosce pewna osoba wyczekuje na pana z taką samą niecierpliwością jak pański ojciec; piękna Mercedes...

Dantès uśmiechnął się.

— Tak, tak! Ach, pojmuję teraz, dlaczego trzykrotnie dopytywała się o „Faraona”. Psiakość! nie możesz się pan uskarżać: piękną masz kochankę!

— Mercedes nie jest moją kochanką — odpowiedział z powagą młody człowiek — ale narzeczoną.

— Czasem to na jedno wychodzi — roześmiał się armator.

— Dla nas nie, panie Morrel.

— Zgoda! Zgoda, mój drogi Edmundzie — rzekł armator — nie będę pana dłużej zatrzymywał; dopilnowałeś moich spraw, załatwiajże więc i swoje. Potrzebujesz pieniędzy?

— Nie, panie Morrel; mam całą swoją gażę, to znaczy prawie trzymiesięczną pensję.

— Jesteś statecznym młodzieńcem, Edmundzie.

— Racz pan zauważyć, że mój ojciec jest ubogi.

— Tak, wiem, wiem, że jesteś dobrym synem. Spieszże więc do ojca: ja też mam syna i nie w smak by mi poszło, gdyby po trzymiesięcznej podróży starano się go zatrzymać z dala ode mnie.

— Pozwoli pan więc?... — rzekł młody człowiek kłaniając się.

— Oczywiście, jeśli nie masz mi nic więcej do powiedzenia.

— Nie.

— Kapitan Leclère nie dał ci przed śmiercią, panie Edmundzie, listu do mnie?

— Nie stało mu już sił, aby napisać list, ale, ale... prawda... chciałbym pana prosić o jakieś dwa tygodnie urlopu.

— Zamierzasz się ożenić?

— Tak, a potem wyjechać do Paryża.

— Dobrze, dobrze! Jedź pan i wracaj, kiedy ci się spodoba; wyładowanie towarów ze statku zabierze nam przynajmniej sześć tygodni i nie wyruszymy na morze wcześniej niż za kwartał... Ale przed upływem tego terminu musisz pan być z powrotem. „Faraon” nie może — mówił dalej armator, kładąc dłoń na ramieniu młodzieńca — wyruszyć w podróż bez kapitana.

— Bez kapitana! — zakrzyknął Dantès, a w oczach jego zabłysła radość. — Zważaj pan, na Boga, co mówisz, bo zdajesz się odgadywać moje najskrytsze marzenia. Czyżbyś, panie Morrel, miał zamiar wyznaczyć mnie kapitanem „Faraona”?

— Gdyby to ode mnie tylko zależało, uściskałbym ci rękę, kochany Edmundzie, mówiąc: „Zrobione”. Cóż, mam jednak współnika; znasz włoskie przysłowie: Che a compagno a padrone. Ale połowa drogi za nami, gdyż na dwa potrzebne ci głosy jeden już masz. Spuść się na mnie, jeśli idzie o drugi: dołożę wszelkich starań, byś go uzyskał.

— Och! Panie Morrel! — zawołał młody marynarz, ze łzami w oczach ściskając dłonie armatora — panie Morrel, dzięki ci w imieniu mojego ojca i Mercedes.

— Dobrze, dobrze, Edmundzie. Czyż dobry Bóg nie po to jest, do diabła! w niebie, by się opiekować zacnymi ludźmi? Biegnijże więc do ojca, biegnij do Mercedes, a potem odwiedź i mnie.

— Czyż nie chcesz pan, bym cię odwiózł na ląd?

— Nie, dziękuję, zostaję tutaj, żeby rozliczyć się z Danglarsem. Czy byłeś pan zadowolony z niego podczas podróży?

— Zależy, co pan przez to rozumie. Jako towarzysz... hm... zdaje się, że Danglars nie lubi mnie zbytnio od chwili, kiedy po jakiejś naszej sprzeczce miałem nieostrożność zaproponować mu krótki postój u brzegów Monte Christo, by tam, a przyznaję, iż popełniłem błąd, sprawę rozstrzygnąć ostatecznie w ciągu dziesięciu minut, on tymczasem, i tu przyznaję mu słusność, oparł się temu. Jeśli natomiast ciekawi pana, co myślę o nim jako o buchalterze, sądzę, że nie można mu nic zarzucić i że będziesz pan kontent z jego pracy.

— No tak — indagował dalej armator — zastanów się, Edmundzie: czy będąc kapitanem „Faraona” zatrzymałbyś chętnie Danglarsa?

— Jakiegokolwiek zajmowałbym stanowisko — odpowiedział Dantès — otaczałbym względami tych, którzy posiadli zaufanie moich armatorów.

— Pięknie, pięknie, Edmundzie, widzę, że twoja prawość nigdy nie zawodzi.

No, nie zatrzymuję cię dłużej, mój panie, bo widzę, że stoisz jak na rozżarzonych węglach.

— Jakże więc z moim urlopem?

— Idź pan, powtarzam.

— Czy mogę wziąć pańską łódkę?

— Bierz.

— Do widzenia, panie Morrel, i tysiącne dzięki.

— Do widzenia, kochany Edmundzie, życzę szczęścia!

Młody żeglarz wskoczył do łódki, siadł na rufie i kazał wiosłować w stronę Cannebière. Dwaj majtkowie chwycili natychmiast wiosła i łódź pomknęła tak szybko, jak na to pozwalała wąska przestrzeń zapchana barkami — rodzaj uliczki, którą tworzyły dwa szeregi statków stojących na kotwicy: począwszy od wejścia do portu aż do molo orleańskiego.

Armator, uśmiechając się przyjaźnie, śledził wzrokiem Dantèsa: widział go, jak przybił do molo, wyskoczył na kamienny bulwar i zniknął w barwnym tłumie, który od piątej rano do dziewiątej wieczór roi się w tej słynnej ulicy de la Cannebière, ulicy, co taką dumą napawa dzisiejszych Focejczyków, iż mawiają o niej z niezachwianą powagą i owym niezrównanym akcentem, który nadaje tak specyficzny charakter ich słowom: „Gdyby Paryż miał swoją Cannebière, byłby małą Marsylią”.

Odwracając się armator, dostrzegł Danglarsa, który stojąc obok, zdawał się czekać na rozkazy, a w istocie również śledził wzrokiem Dantèsa.

Jakże odmienny był wyraz oczu tych dwóch mężczyzn, którzy odprowadzali wzrokiem tego samego człowieka.

2. OJCIEC I SYN

Zostawmy Danglarsa, gdy ulegając demonowi nienawiści usiłuje niecnymi aluzjami szeptanymi na ucho oczernić towarzysza przed armatorem, i zobaczymy, co robi Dantès. Nasz młodzieniec pobiegł ulicą Cannebière aż do jej końca, po czym skręciwszy na ulicę Noailles wszedł do skromnego domku po prawej stronie Alei Meilhańskich, wspiał się szparko po ciemnych schodach na czwarte piętro i przytrzymując się jedną ręką balustrady, a drugą przyciskając do nazbyt gwałtownie bijącego serca, zatrzymał się przed uchylonymi drzwiami, które pozwalały zajrzeć w głąb izdebki.

W tym pokoju mieszkał ojciec Dantèsa.

Nikt jeszcze nie doniósł o przybyciu „Faraona” temu starcowi, który stojąc na krześle, drżącą rękę podpierał patyczkami nasturcję i powój, oplatające kraty w oknie.

Nagle uczył, że ktoś obejmuje go w pól, i znajomy głos ozwał się tuż za nim:

— Ojcze! Kochany ojcze!

Starzec krzyknął i odwrócił się; spostrzegłszy syna, drżący i wybladły osunął się w jego objęcia.

— Co ci się stało, ojcze? — spytał zaniepokojony młodzieniec. — Możeś chory?

— Nie, nie, mój kochany Edmundzie, mój synu, moje dziecię, o nie, ale nie spodziewałem się ciebie i radość... wzruszenie twoim nieoczekiwanym przybyciem... Ach! mój Boże! zdaje mi się, że umieram.

— A więc uspokój się, ojcze! to ja, naprawdę ja! Powiadają, że radość nikomu jeszcze nie zaszkodziła, i dlatego wszedłem tutaj bez uprzedzenia. No, uśmiechnij się do mnie, zamiast patrzeć takim błędnym wzrokiem. Wróciłem... będziemy szczęśliwi.

— Ach! Tym lepiej, chłopcze — odpowiedział starzec. — Jakież będzie to szczęście! Nie rozstaniemyż się więcej? No, opowiedz mi o tym twoim szczęściu!

— Niech Bóg Wszechmogący mi przebaczy — odpowiedział młody człowiek — radość, którą odczuwam na myśl o szczęściu zbudowanym na zgrzocie rodziny okrytej żałobą: ale Bóg mi świadkiem, że nie pożądałbym takiego szczęścia. Przyszło do mnie, ot, i nie potrafię się nim smucić: dzielny kapitan Leclère nie żyje, mój ojcze, a ja wedle wszelkiego prawdopodobieństwa obejmę, dzięki życzliwości pana Morrela, jego stanowisko. Pojmujesz, mój ojcze? W dwudziestym roku życia zostać kapitanem, mieć sto ludwików pensji i udział w zyskach! Czyż to nie więcej, niż mógłby się spodziewać taki biedny marynarz jak ja?

— Tak, mój synu, tak, w istocie — odparł starzec — to naprawdę bardzo pomyślne.

— Toteż chciałbym za pierwszą pensję, którą otrzymam, kupić ci domek z ogródkiem, gdzie będziesz sadił powoje, nasturcje i kapryfolium... Ale co ci jest, ojcze? Wyglądasz, jakbyś miał zemdleć!

— Cierpliwości, cierpliwości! to minie. Starcowi nie stało sił, zachwiał się.

— No, dajże pokój — zawołał młodzieniec — szklanka wina postawi cię na nogi; gdzie masz wino?

— Nie, dziękuję, nie szukaj; to zbyt ciężkie — rzekł starzec, usiłując powstrzymać syna.

— Ależ tak, ależ tak, ojcze, wskaż miejsce! I otworzył ze trzy szafki.

— Nie warto... — szepnął starzec — wina już nie ma.

— Jak to nie ma wina! — zawołał Edmund, blednąc z kolei i spoglądając to na zapadnięte i woskowej barwy policzki ojca, to na puste szafy. — Jak to nie ma już wina? Czyżby zabrakło ci pieniędzy?

— Nic mi już nie brak, bom odzyskał ciebie — odpowiedział stary.

— A przecież — wykrztusił Dantès, ocierając pot z czoła — a przecież przed wyjazdem, trzy miesiące temu, zostawiłem ci dwieście franków.

— Tak, tak, Edmundzie, to prawda, ale zapomniałeś wyjeżdżając o małym długu u naszego sąsiada, Caderousse'a; przypomniał mi o nim, dodając, że jeśli nie zapłacę, pójdzie do pana Morrela. A więc sam rozumiesz, bojąc się, bojąc się, żeby ci to nie zaszkodziło...

— No i co dalej?

— No cóż, uregulowałem za ciebie.

— Ależ — wykrzyknął Dantès — byłem Caderousse'owi dłużny sto czterdzieści franków!

— Tak — wyjąkał starzec.

— I zwróciłeś mu te pieniądze z dwustu franków, które ci zostawiłem? Starzec skinął głową.

— Tym sposobem przeżyłeś trzy miesiące mając tylko sześćdziesiąt franków — szepnął młodzieniec.

— Ty wiesz, jak niewiele potrzebuję — odpowiedział stary.

— Boże, Boże! Przebacz mi, ojczule! — wykrzyknął młody człowiek, padając przed starcem na kolana.

— Cóż ty wyprawiasz?

— Ach! Serce mi pęka!

— Bagatela. Jesteś przecie, wróciłeś — odpowiedział starzec, uśmiechając się łagodnie. — Wszystko, co było, poszło w niepamięć, boć wszystko skończyło się dobrze.

— Tak, jestem — odpowiedział Edmund — wróciłem, mając przed sobą piękną przyszłość i... trochę pieniędzy. Patrz, ojczule — rzekł — bierz, bierz i pošlij co prędzej kogoś po wszystko, co ci trzeba.

I wytrząsnął z kieszeni na stół około tuzina luidorów, sześć złotych pięciofrankówek i trochę miedzaków. Starzec rozpromienił się.

— Czyjeż to? — spytał.

— Ależ moje!... twoje... nasze!... Bierz, kupuj wiktuały, bądź kontent, a jutro znajdą się nowe.

— Na cóż taki pośpiech — odpowiedział z uśmiechem stary. — Jeśli pozwolisz, ostrożnie będę sięgał do twojej sakiewki: gdyby zauważono, iż kupuję tak wiele rzeczy naraz, domyślono by się, że musiałem czekać na twój powrót, by je nabyć.

— Rób, jak uważasz, ale przede wszystkim najmij służącą, nie chcę cię więcej zostawiać samego. Mam w kuferku schowanym na dnie statku trochę przemyconej kawy i doskonałego tytoniu — jutro to dostaniesz. Ale psst! ktoś idzie!

— To Caderousse. Dowiedział się o twoim przyjeździe i chce zapewne powinszować ci z racji szczęśliwego powrotu.

— Wybornie! Oto człowiek, który ma co innego na ustach niż w sercu — szepnął Edmund — ale to fraszka: jest naszym sąsiadem i oddał nam kiedyś przysługę, powitajmyż go serdecznie.

Rzeczywiście, kiedy Edmund domawiał z cicha tych słów, ukazała się w drzwiach wiodących na schody czarniawa i brodata twarz Caderousse'a. Mógł on mieć około dwudziestu lat i był krawcem; trzymał właśnie kawałek sukna, które zamierzał przekształcić w klapę surduta.

— Ech! wróciłeś więc, Edmundzie! — zawołał z akcentem typowo marsylskim, ukazując w szerokim uśmiechu zęby białe niczym kość słoniowa.

— Jak pan widzisz, sąsiedzie, i skory spełnić wszystko, co mogłoby panu zrobić przyjemność — odpowiedział Dantès, maskując niezręcznie pod tą gotowością do usług wyraźną niechęć.

— Dzięki, dzięki! Szczęściem nic mi nie potrzeba, natomiast zdarza się niekiedy, że inni potrzebują czegoś ode mnie. — Dantès drgnął. — Nie mam na myśli ciebie, chłopcze; pożyczyłem ci pieniądze, tyś mi je zwrócił; takie rzeczy trafiają się między dobrymi sąsiadami, a zatem jesteśmy skwitowani.

— Niełatwo się skwitować- z tymi, którzy nas czymś zobligowali — odpowiedział Dantès — bo jeśli nawet odda się im pieniądze, pozostanie jeszcze dług wdzięczności.

— Po cóż o tym wspominać! To, co się stało, już się nie odstanie. Mówmy raczej o twoim pomyslnym powrocie. Szedłem sobie właśnie do portu, aby zaopatrzyć się w brązowe sukno, i oto spotykam kochanego Danglarsa.

— Ty, w Marsylii?

— Ech, a jednak tak — odpowiedział mi.

— Sądziłem, żeś w Smyrnie.

— Było i tak, bo stamtąd wracam.

— A Edmund? Gdzież się podziewa ten chłopak?

— Z pewnością jest u ojca — rzekł mi Danglars.

I oto przyszedłem — ciągnął Caderousse — miło mi bowiem uścisnąć dłoń przyjacielowi.

— Ten poczciwy Caderousse — odezwał się starzec — bardzo jest do nas przywiązany.

— To pewne, że jestem do was przywiązany, a ponadto bardzo was poważam, boć ludzie uczciwi nieczęsto się trafiają! Ale widzi mi się, żeś wrócił bogaty, mój chłopcze! — trajkotał Caderousse, typiąc z ukosa na garść złotych i srebrnych monet, które Dantès rzucił na stół.

Młodzieniec dostrzegł, jak w czarnych oczach sąsiada błysnęła chciwość.

— Ach! Mój Boże! — odparł lekceważąco — to nie moje pieniądze; kiedy wypytywałem ojca, czy mu czegoś nie brakło podczas mojej nieobecności, staruszek, aby mnie uspokoić, wysypał na stół zawartość swojej sakiewki. Wsuńże, ojcze z powrotem te pieniądze do swojego mieszka; chyba że nasz sąsiad ich potrzebuje... w takim wypadku chętnie służymy.

— Nie, chłopcze — odpowiedział Caderousse — nic mi nie potrzeba; Bogu dzięki rzemieślnik może jakoś wyżyć ze swojej profesji. Schowaj te pieniądze, schowaj, nigdy nie mamy ich za wiele. Nie przeszkadza to, że jestem ci równie zobowiązany, jakbym skorzystał z twojej propozycji.

— Rad byłbym z całego serca... — rzekł Dantès.

— Nie wątpię o tym. No i cóż, jesteś więc na najlepszej stopie z panem Morrelem, francie?

— Pan Morrel był mi zawsze nadzwyczaj życzliwy — odpowiedział Edmund.

— W takim razie popełniłeś nieroztropność, nie przyjmując jego zaproszenia na obiad.

— Jak to, nie przyjmując jego zaproszenia na obiad? — spytał stary Dantès. — Zaprosił cię więc na obiad?

— Tak, ojcze — odparł Edmund uśmiechając się, gdyż ubawiło go zdumienie, w jakie wprawił starego ów nadzwyczajny splendor.

— Ach! czemużeś odmówił, mój synu? — zapytał starzec.

— Żeby prędeż być z tobą, ojcze — odparł młodzieniec — spieszyłem do ciebie.

— Sprawileś przykrość temu zacnemu panu Morrelowi — wtrącił Caderousse — a ten, kto zamierza zostać kapitanem, źle czyni urażając armatora.

— Wytłumaczyłem mu przyczynę odmowy — odparł Dantès — spodziewam się, że zrozumiał.

— O tak, trzeba jednak, chcąc zostać kapitanem, schlebiać trochę swoim pryncypałom.

— Spodziewam się nim zostać i bez tego — odpowiedział Dantès.

— Tym lepiej, tym lepiej! Sprawi to rzetelną przyjemność starym przyjaciołom, a znam kogoś, mieszkającego nie opodal cytadeli Świętego Mikołaja, kto się tą wiadomością bynajmniej nie zmartwi.

— Mercedes — podszeptał starzec.

— Tak, ojcze — odpowiedział Dantès — a teraz, kiedy cię już zobaczyłem, kiedy dowiedziałem się, żeś zdrow i że nic ci nie brak, to jeśli pozwolisz, pójde odwiedzić Katalończyków.

— Idź, moje dziecko, idź — rzekł stary Dantès — i oby twoja żona była dla ciebie takim błogosławieństwem bożym, jakim ty jesteś dla mnie, mój synu!

— Jego żona! — wykrzyknął Caderousse. — Ależ panu pilno, ojczulku! Mercedes nie jest jeszcze jego żoną, o ile mi wiadomo!

— Nie! ale według wszelkiego prawdopodobieństwa — odpowiedział Dantès — niezadługo nią zostanie.

— Mniejsza z tym — rzekł pojednawczo Caderousse — dobrze, chłopcze, robisz, że tak się spieszysz.

— A to dlaczego?

— Bo Mercedes jest piękną dziewczyną; pięknym dziewczętom zalotników nie brak, a o tę zwłaszcza ubiegają się tuzinami.

— Doprawdy? — zdziwił się Edmund, a jego uśmiech zdradzał lekkie zaniepokojenie.

— O, tak — mówił dalej Caderousse — trafiają się nawet i niezgorsze partie, ale rozumiesz przecie... będziesz kapitanem, to i żadnej nie strzeli do głowy, żeby ci dać kosza.

— A zatem — odpowiedział Dantès, usiłując zataić niepokój — gdybym nie był kapitanem...

— Ech! Ech! — skrzywił się powątpiewająco Caderousse.

— Dajże pokój, dajże pokój! — powiedział młodzieniec — mam lepsze mniemanie o kobietach w ogóle, a o Mercedes w szczególności. Jestem przekonany, że dochowałaby mi wiary nie bacząc na to, czy jestem kapitanem, czy nie.

— Tym lepiej — przystał Caderousse. — Zaufanie to dobra rzecz, zwłaszcza gdy człowiek zamierza się żenić; ale mniejsza z tym; nie traćże czasu, chłopcze, i biegnij, wierz mi, że tak będzie dobrze, zawiadomić o swoim powrocie i projektach.

— Już idę — odpowiedział Edmund.

Uściskał ojca, kiwnął głową Caderousse'owi i wybiegł.

Caderousse zabawił jeszcze chwilę i pożegnawszy się ze starym, wyszedł na spotkanie z Danglarsem, który oczekiwał go na rogu ulicy Senac.

— No i co? — spytał Danglars. — Widziałeś się z nim?

— Przed chwilą — odparł Caderousse.

— Czy wspominał ci coś, że zamyśla zostać kapitanem?

— Jest tego prawie pewny.

— Cierpliwości, młodzieńcze! Zbyt się spieszysz, jeśli wolno mi sądzić! — odpowiedział Danglars.

— Do licha! Zdaje się, że pan Morrel już mu to przyobiecał.

— Jest zatem bardzo uradowany?

— Raczej bezczelny: zaofiarował mi swoje usługi, niby jakiś dygnitarz, a i pieniędzy chciał mi pożyczyć, niczym bogaty bankier.

— Odmówiłeś mu?

— Oczywiście, choć mogłem je przyjąć, boć to ja wetknąłem mu w rękę kilka sztuk srebra, którymi obracał. Ale teraz imć pan Dantès nie potrzebuje już nikogo, zostanie kapitanem.

— Ba! Jeszcze nim nie jest — odparł Danglars.

— Daję słowo, nie obraziłbym się, gdyby nim nie został — rzekł Caderousse — gdyż w tym wypadku nie sposób byłoby się z nim dogadać.

— Jeśli nam się spodoba, nie pójdzie wyżej, a może nawet spadnie z pieca na łeb.

— Co powiadasz?

— Nic, ot, tak gadałem coś do siebie. I kocha się nadal w pięknej Katalonce?

— Do szaleństwa! Właśnie do niej poszedł; ale myliłbym się grubo, gdyby nie napytał sobie z tej racji jakiegoś kłopotu.

— Mówże jaśniej.

— Niby po co?

— To ważniejsze, niż przypuszczasz. Nie lubisz Dantèsa, prawda?

— Nie lubię furfantów!

— Otóż to! Powiedzże mi wreszcie, co wiesz o Katalonce.

— Nie mam żadnych dokładnych wiadomości, widziałem natomiast takie rzeczy, które, jak ci powiedziałem, skłaniają mnie do pewnych podejrzeń: kto wie, czy przyszłego kapitana nie spotka jakaś przykrość tuż obok drogi wiodącej do Vieilles-Infirmeries.

— Cóż tam widział? Gadaj zaraz.

— No to posłuchaj, co widziałem: ilekroć Mercedes udaje się do miasta, towarzyszy jej zawsze pewien Katalończyk, chłop jak byk, ciemnooki, ogorzały, kruczowłosy i srodze w niej zakochany, a ona nazywa go kuzynem.

— Ach! Doprawdy! I przypuszczasz, że ten kuzyn smali do niej cholewki?

— Spodziewam się: cóż innego, u diabła, mogłoby robić dwudziestojednoletnie chłopaczysko, włóczęg się za piękną siedemnastoletnią dziewczyną!

— Powiadasz, że Dantès poszedł do Katalończyków?

— Wyszedł z domu przede mną.

— Moglibyśmy pójść w tamtą stronę, wstąpilibyśmy do „Ustronia” i przy kieliszku malagi czekalibyśmy na nowiny.

— A któż by nam je przyniósł?

— Dantès będzie tamtędy przechodził i poznamy po jego minie, co mu się przydarzyło.

— Chodźmy — odpowiedział Caderousse — ale to ty fundujesz?

— Oczywiście — rzekł Danglars.

Ruszyli obaj szybkim krokiem w obranym kierunku. Przybywszy na miejsce, kazali sobie podać butelkę wina i dwie szklanki.

Stary Pamfil widział niespełna dziesięć minut temu, przechodzącego tędy Dantèsa.

Upewniwszy się, że Dantès jest we wsi katalońskiej, zasiedli w altanie pośród platanów i sykomorów okrytych rozwijającymi się pączkami; gromada ptaków ukrytych w gałęziach drzew śpiewała na chwałę tego pięknego dnia, zwiastuna budzącej się wiosny.

3. KATALOŃCZYCY

Nie dalej niż sto kroków od miejsca, gdzie dwaj przyjaciele, wpatrzeni w horyzont, nasłuchiwali tak pilnie, spijając chciwie musujące wino, rozpościerała się wioska katalońska, ukryta za nagim wzgórzem, które smagał mistral, a słońce spalało.

Pewnego dnia jakaś tajemnicza kompania wyruszyła z Hiszpanii, przybiła do tego wąskiego skrawka brzegu i pozostała tu po dziś dzień. Ludzie ci, nie wiadomo skąd przybyli, mówili nieznanym językiem. Byli to Katalończycy. Najznacniejszy spośród nich, który umiał po prowansalsku, zwrócił się do gminy marsylskiej, aby oddano im ten nagi i jałowy przylądek, na jego bowiem brzeg, niby starożytni żeglarze, wciągnęli swoje łodzie. Uzyskał to, o co prosił, i w trzy miesiące później wokół dwunastu, a może piętnastu łodzi, które przywiozły tutaj tych morskich włóczęgów, wyrosła niewielka osada.

Ową wioskę zbudowaną dziwacznie, a zarazem malowniczo, na poły mauretańską, na poły hiszpańską, zamieszkują do dziś potomkowie tych emigrantów i mówią ich językiem. Od trzech z górą stuleci wierni są temu przylądkowi, gdzie podobni stadu ptaków morskich uwili gniazda — nie mieszając się w sprawy marsylskiej ludności, żeniąc się między sobą, zachowując obyczaj i strój narodowy, tak jak zachowali ojczyzny język.

Pójdźmy, czytelniku, jedyną ulicą tej wioski i wstąpmy do któregoś z domów, malowanych od zewnątrz promieniami słońca na piękny kolor zeschniętych liści — właściwy budynkom tych okolic — a od wewnątrz bielonych wapnem; nie spotkasz w hiszpańskich dworach innej ozdoby prócz tej bieli.

Kruczowłosa piękna dziewczyna o aksamitnym oku gazeli stała oparta o przepierzenie i mięła w palcach, smukłych jak u antycznej rzeźby, skromniutką gałązkę wrzosu, odzierając ją z kwiatuszków, które sypały się na ziemię; ręce jej, obnażone po łokcie, ogorzałe i kształtne jak u Wenus z Arles, drżały niecierpliwie i nerwowo; tupała stopą wąską i wysoką w podbiciu, dzięki zaś owemu ruchowi ukazywała się noga o liniach strzelistych, konturze wspaniałym, obciągnięta czerwoną bawełnianą pończochą z szaroniebieskimi klinami.

Wysoki młodzieniec, lat około dwudziestu dwóch, siedział o trzy kroki od niej, kołysząc się miarowo na krześle i oparłszy łokieć o staroświecką spróchniałą komódkę, spoglądał na dziewczynę niespokojnie i żałośnie; chciał przeniknąć ją wzrokiem, lecz ona panowała niezachwianie nad towarzyszem, rzucając mu spojrzenia bystre a stanowcze.

— Pomyśl, Mercedes — mówił młody człowiek — oto nadchodzi Wielkanoc. Pora wyprawić wesele, odpowiedz mi wreszcie, proszę.

— Mówiłam ci już sto razy, Fernandzie, i doprawdy źle sobie samemu widać życzysz, skoro mnie znów nagabujesz!

— To i cóż! Powtórz raz jeszcze, zaklinam, powtórz, abym wreszcie uwierzył. Powiedz po raz setny, że odrzucasz moją miłość, na którą twoja matka spoglądała okiem łaskawym; spraw, żebym pojął, że moje szczęście jest dla ciebie igraszką i że wcale ci nie zależy na moim życiu. Ach, mój Boże! Mój

Boże! Śnić dziesięć lat, że twoim mężem zostanę, i stracić tę jedyną nadzieję, która opromieniła mi życie!

— Nie usłyszałeś ode mnie, Fernandzie, ani jednego słowa otuchy, czemużeś więc żywił nadzieję? — odparła Mercedes. — Nie możesz mi zarzucić, abym cię kiedykolwiek kokietowała. Powtarzałam ci niezmiennie: kocham cię jak brata, ale nie żądam ode mnie nic prócz tej miłości siostrzanej, albowiem serce moje oddałam innemu. Czyż nie mówiłam ci tego, Fernandzie?

— Tak, pamiętam, Mercedes — rzekł młody człowiek — tak, ustroiłaś się wobec mnie w okrutną cnotę szczerości; czyżbyś jednak nie pamiętała, że małżeństwo z Katalończykiem jest świętym prawem dla Katalonki?

— Mylisz się, Fernandzie: to nie prawo nakazuje nam żenić się między sobą, ale obyczaj, ot i tyle. Usłuchaj mojej rady: nie powołuj się na to, aby przechylić szalę na swoją korzyść. Wyrok zapadł na ciebie w komisji poborowej i swoboda, którą ci pozostawiono, jest podyktowana zwykłą pobłażliwością; nie dziś, to jutro wezwą cię do wojska. Cóż wtedy, jako żołnierz, poczniesz z biedną, zrozpaczoną sierotą, której jedyną majątkością jest zrujnowana chałupa i trochę porwanych sieci — liche dziedzictwo mojego ojca, przekazane mojej matce, a po jej śmierci moje. Od roku zaledwie matka moja nie żyje, a ja, pomyśl o tym, Fernandzie, utrzymuję się prawie z żebraniń! Niekiedy starasz się we mnie wmówić, że jestem ci pomocna, po to zresztą, aby podzielić się ze mną połowem; godzę się na to, Fernandzie, dlatego że jesteś moim krewnym, dlatego że wychowaliśmy się razem, a przede wszystkim dlatego, że odmawiając sprawiłabym ci zbyt wielką przykrość. Ale pojmuje doskonale, że ryby, które sprzedaję, konopie, które kupuję za uzyskane tym sposobem pieniądze, te konopie, co je przędę, wiem o tym dobrze, Fernandzie, są jałmużną.

— Ach, jakież to może mieć znaczenie, Mercedes? Choć jesteś biedna i osamotniona, wolę ciebie od córki najznaczniejszego armatora czy najbogatszego bankiera w Marsylii! Bo i czegoż nam, Katalończykom, trzeba? Wiernej żony i dobrej gospodyni. Gdzie znalazłbym dziewczynę, która lepiej od ciebie spełniałaby te warunki?

— Fernandzie — odparła Mercedes kręcąc głową — gdy kobieta nie kocha męża, kochając innego mężczyznę, łatwo się staje kiepską gospodynią, a za wierność też jej trudno ręczyć. Zadowolże się moją przyjaźnią, gdyż, jeszcze raz powtarzam, tylko ją mogę ci przyobiecać, obiecuję zaś jedynie to, czego jestem pewna dotrzymać.

— Ach, tak! Pojmuje wybornie — powiedział Fernand — cierpliwie znosisz własną nędzę, ale boisz się biedy, która ci u mojego boku zagraża. No więc!... Gdybyś mnie kochała, Mercedes, pokusiłbym się zdobyć fortunę; przyniosłabyś mi szczęście: pracowałbym jako komisant w której bądź firmie, mógłbym nawet zostać kupcem!

— Nie wolno ci próbować żadnej z tych profesji, Fernandzie; jesteś żołnierzem i tylko dlatego pozostajesz w naszej wiosce, że nie ma wojny. Bądźże więc rybakiem, porzuć mrzonki, które uczynią rzeczywistość jeszcze bardziej okrutną, i poprzestań na mojej przyjaźni, boć i nic innego ofiarować ci nie mogę.

— O, tak, masz słuszość, Mercedes, zostanę marynarzem; zamiast stroju naszych praocjów, którym pogardzasz, wdzieję ceratową czapkę, pasiastą koszulę i granatową bluzę zapinaną na guziki z kotwicą. Czyż nie tak trzeba się ubierać, żeby ci się spodobać?

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytała Mercedes, rzucając mu władcze spojrzenie. — O co ci idzie? Nie rozumiem cię wcale.

— Chętnie ci to wyłożę, Mercedes; nie byłabyś wobec mnie tak nieustępliwa i okrutna, gdybyś nie oczekiwała kogoś, kto tak się nosi. Ale ten, na kogo czekasz, mógłby okazać się niestałym; gdyby nawet było inaczej, czyż mam ci przypominać o zmienności losów żeglarza?

— Fernandzie! — wykrzyknęła Mercedes — sądziłam, że jesteś zacnym człowiekiem! Jakże się myliłam! Jesteś człowiekiem bez serca, skoro przez zawiść rzucasz wyzwanie giewowi bożemu! A więc dobrze! Niech i tak będzie! Nie ukrywam, że czekam na tego, o którym mówisz, i że go kocham. Jeśli nie wróci, wiedz, że zamiast przeklinać tę zmienność losu, którą przyzywasz, powiem, że zginął kochając mnie.

Młody Katalończyk zachnął się z wściekłością.

— Rozumiem cię, Fernandzie: napastujesz go, ponieważ cię nie kocham; skrzyżujesz swój sztylet kataloński z jego puginałem! Na cóż ci się to zda? Pokonany stracisz moją przyjaźń, jako zwycięzca ujrzyś, jak moja przyjaźń odmieni się w nienawiść. Jeśli ktoś, chcąc przypodobać się kobiecie, szuka zwady z mężczyzną, którego ona kocha, wierz mi, złą obiera drogę. Nie, Fernandzie, nie poddasz się tym niegodziwym zamysłom. Nie mogąc mnie poślubić, musisz kontentować się moją siostrzaną przyjaźnią. Zresztą — dorzuciła, a w oczach jej odmalowało się przerażenie i zapłakała — zresztą

poczekaj, poczekaj, Fernandzie, sam powiedziałeś przed chwilą, że morze jest zdradliwe, a on wyjechał cztery miesiące temu; podczas tych czterech miesięcy naliczyłam tak wiele burz!

Fernand, nadal niewzruszony, nie próbował nawet otrzeć tych łez płynących po twarzy Mercedes, choć za każdą dałby sobie utoczyć szklanekę krwi — gdyby on, a nie kto inny był ich przyczyną.

Wstał, okrążył izbę, podszedł do Mercedes zasępio, zaciskając dłonie.

— Posłuchaj, Mercedes — rzekł — powiedz mi ostatni raz, czy nie zmienisz postanowienia?

— Kocham Edmunda Dantèsa — odparła chłodno dziewczyna — i nikt inny nie będzie moim mężem.

— I zawsze będziesz go kochać?

— Póki życia.

Fernand zrezygnowany spuścił głowę i westchnienie podobne do jęku wydarło mu się z piersi; lecz nagle, podnosząc czoło, zacisnąwszy zęby i rozdymając nozdrza, zapytał:

— A jeśli nie żyje?

— Jeśli nie żyje, ja też umrę.

— A jeśli zapomniał o tobie?

— Mercedes! — rozległo się przed chatą radosne wołanie — Mercedes!

— Ach! — zakrzyknęła dziewczyna, czerwieniąc się i promieniejąc miłością — widzisz, że nie zapomniał o mnie, skoro wrócił.

Rzuciła się do drzwi i otworzyła je wołając:

— Chodź, Edmundzie! Jestem tutaj!

Fernand, pobladły i drżący cofnął się niczym wędrowiec na widok żmii; trafiwszy na krzesło, opadł na nie bez sił. Edmund i Mercedes tonęli w uścisku. Gorące słońce marsylskie, którego promienie buchnęły przez otwarte drzwi, obejmowało ich falą światła. Z początku nie dostrzegali nic, co się wokół nich działo. Ogromne szczęście oddzieliło ich od świata i rzucali tylko urywane słowa, które można by wziąć za wyraz cierpienia, lubo świadczyły o najwyższej radości.

Nagle Edmund dostrzegł zasępio, twarz Fernanda, która rysowała się w mroku błada i budząca niepokój. Młody Katalończyk sięgnął — a był to ruch, z którego sam sobie nie zdawał sprawy — do pugiłata zatkniętego za pasem. —

— Ach, proszę darować — odezwał się Dantès marszcząc brew — nie zauważyłem, że jest nas tutaj troje.

Po czym zwracając się do Mercedes:

— Kim jest ten pan?

— Ten pan będzie twoim najlepszym przyjacielem, Edmundzie, bo jest moim przyjacielem; to mój kuzyn, mój brat, Fernand, człowiek, którego prócz ciebie kocham najbardziej na świecie; czyż go nie poznajesz?

— A, rzeczywiście — odpowiedział Edmund. I tuląc do siebie Mercedes, wyciągnął serdecznie dłoń do Katalończyka.

Ale Fernand, nie kwapiąc się odpowiedzieć na ów gest przyjacielski, stał milczący i nieruchomy niby posąg. Wówczas Edmund ogarnął spojrzeniem badawczym Mercedes wzruszoną i drżącą, po czym zasępio, jakże groźnego Fernanda.

Pojął wszystko w mgnieniu oka.

Gniew zasępił mu czoło.

— Nie spodziewałem się, Mercedes, biegnąc do ciebie z takim pośpiechem, że zastanę tu wroga.

— Wroga! — zakrzyknęła Mercedes, rzucając na kuzyna spojrzenie kipiące gniewem. — Wróg w moim domu, powiadasz, Edmundzie! Ach! Gdybym tak sądziła, wzięłabym cię za rękę i powędrowałabym do Marsylii, opuszczając ten dom na zawsze.

W oczach Fernanda zamigotała błyskawica.

— A gdyby przytrafiło ci się nieszczęście, Edmundzie — mówiła dalej z tym samym niewzruszonym spokojem, po którym Fernand łatwo mógł poznać, że zgłębiła jego złowrogie zamysły — gdyby przydarzyło ci się nieszczęście, poszłabym na cypel Morgion i rzuciłabym się stamtąd między skały, głową w dół. Fernand pobladł straszliwie.

— Ale pomyliłeś się, Edmundzie — ciągnęła dalej — nie spotkałeś tutaj wroga. Oto mój brat, Fernand, który uściśnie ci dłoń z przyjacielskim oddaniem.

Domawiając tych słów, dziewczyna objęła nakazującym spojrzeniem Katalończyka, który jakby pod działaniem uroku zbliżył się wolno do Edmunda i wyciągnął do niego rękę.

Jego nienawiść, podobna bezsilnej, choć wścieklej fali, rozbiła się o przewagę moralną tej kobiety.

Lecz dotknąwszy zaledwie ręki Edmunda, uczuł, że na nic więcej nie mógłby się zdobyć; skoczył więc ku drzwiom.

— Ach! — wołał biegnąc, jakby postradał zmysły, i rwąc włosy. — Och! Któż uwolni mnie od tego człowieka? Biada mi! Biada!...

— Ej, Katalończyku! Hej, Fernandzie! gdzie tak pędzisz? — ozwał się jakiś głos.

Młody człowiek stanął jak wryty, a rozejrzawszy się wkoło, dostrzegł Caderousse'a i Danglarsa siedzących przy stole, w altanie oplecionej liśćmi.

— No, chodźże do nas — ozwał się Caderousse. — Tak ci pilno, że nie masz czasu przywitać się z przyjaciółmi?

— Zwłaszcza jeśli mają przed sobą prawie nie napoczętą butelkę — dorzucił Danglars.

Fernand spoglądał na nich oszołomiony i nie odpowiadał.

— Wydaje mi się, jakby w piętękę gonił — rzekł Danglars trącając Caderousse'a kolanem. — Czyżbyśmy się pomylili, a może wbrew naszym przewidywaniom Dantès odniósł zwycięstwo?

— Do czorta! trzeba się przekonać — odpowiedział Caderousse i zwracając się do młodzieńca: — No co, Katalończyku, namyśliłeś się już czy nie? — zawołał.

Fernand otarł pot z czoła i powoli wszedł do altany, której cień zdawał się działać nań kojąco, a chłód przywracał siły jego wyczerpanemu ciału.

— Dzień dobry — rzekł — wołaliście mnie, prawda? I zamiast usiąść, padł bezwładnie na krzesło.

— Wołałem cię, boś leciał jak wariat; bałem się, żebyś nie skoczył w morze — odpowiedział śmiejąc się Caderousse. — Do licha! Nie po to tylko ma się przyjaciół, żeby fundować im lampkę wina, lecz również po to, by przeszkodzić, kiedy któryś ma zamiar wychłęptać ze cztery kwarty wody!

Fernand krzyknął rozdzierająco, a raczej zaszlochał, i głowa opadła mu na dłonie skrzyżowane na stole.

— No i cóż, Fernandzie, chcesz, żebym powiedział ci prawdę? — ciągnął Caderousse, wszczynając rozmowę z grubiaństwem ludzi nieokrzesanych, których ciekawość nakazuje poniechać wszelkich wybiegów. — Wyglądasz jak odpalony konkurent!

Rzuciwszy ten żart, wybuchnął głośnym śmiechem.

— Ho, ho! — wtrącił Danglars — taki szykowny chłopak musi mieć szczęście w miłości; żartujesz chyba, Caderousku.

— Wcale nie — odparł tamten — posłuchaj lepiej, jak on wzdycha. No, no, Fernandzie, uszy do góry; powiedz nam, czy to przystoi nie odpowiadać przyjaciołom, którzy pytają grzecznie, jak się miewasz?

— Jestem zdrów — odpowiedział Fernand, zaciskając pięści i nie podnosząc głowy.

— Ach, widzisz — powiedział Caderousse, mrugając porozumiewawczo na przyjaciela — widzisz, jak rzeczy stoją: Fernand, którego masz przed sobą, poczciwy i dzielny Katalończyk, jeden z najlepszych rybaków w Marsylii, durzy się w pięknej dziewczynie imieniem Mercedes, ale nieszczęściem ta dziewczyna romansuje podobno z jednym znacznym marynarzem. A ponieważ „Faraon” przybił dziś właśnie do portu, pojmujesz więc...

— Nie, nic nie pojmuję — odparł Danglars.

— Biedny Fernand poszedł na grzybki — dokończył Caderousse.

— I cóż z tego? — odezwał się Fernand, podnosząc głowę i popatrując na Caderousse'a takim okiem, jakby szukał kogoś, na kim mógłby wyrzucić swój gniew. — Mercedes nie potrzebuje się przed nikim tłumaczyć, jest wolna, prawda? Może kochać każdego, kogo sobie upodoba.

— A, skoro tak uważasz — rzekł Caderousse — to zmienia postać rzeczy! Miałem cię za Katalończyka, a słyszałem, że Katalończycy nie tak łatwo dają się zapędzić rywalowi w kozi róg. Co więcej, mówiono o tym, że Fernand, kiedy się mści, mści się okrutnie.

Fernand uśmiechnął się z politowaniem.

— Zakochani nigdy nie bywają okrutni — odparł.

— Biedaczysko! — wtrącił Danglars udając, że współczuje młodzieńcowi całym sercem. — Cóż chcesz, nie spodziewał się widać, że Dantès wrócił tak nagle. Kto wie, czy nie miał go za zmarłego, a

może liczył na jego niewierność... Odczuwamy takie ciosy tym mocniej, jeśli uderzają w nas całkiem nieoczekiwanie.

— Ach, do diabła! — plótł dalej Caderousse, gęsto zaglądając do kieliszka, napełnionego bijącą do głowy malagą, która coraz wyraźniej dawała znać o sobie — tak czy inaczej, Fernand nie jest jedynym człowiekiem, któremu ten pomyślny powrót Dantèsa popsuł szyki, nieprawdaż, bratku?

— O nie! Masz słuszość; ośmielę się nawet rzec, iż może mu to przynieść nieszczęście.

— Ale to fraszka — plótł bez tchu Caderousse, nalewając Fernandowi wina; napełnił również i swoją lampkę, przynajmniej ósmy raz, nie troszcząc się zresztą zupełnie o ledwie napoczętą szklankę Danglarsa — to fraszka — powtórzył. — Poślubi tymczasem Mercedes, piękną Mercedes; po to przecież wrócił.

Danglars tymczasem wpatrywał się przenikliwie w młodzieńca, którego słowa Caderousse'a paliły jak roztopiony ołów.

— Kiedy wesele? — spytał.

— Jeszcze się nie odbyło — mruknął Fernand.

— Nie, ale się odbędzie — odpowiedział Caderousse — tak samo, jak Dantès zostanie kapitanem, prawda, Danglars?

Danglars zadrżał na tę niespodzianą zaczepkę i odwróciwszy się w stronę Caderousse'a, zaczął mu się przyglądać, chcąc wy badać, czy cios był wymierzony rozmyślnie; lecz nic prócz zawiści nie mógł wyczytać z tej twarzy, zapijaczonej już i otępiełej.

— A więc — rzekł napełniając szklanki — wypijmy za pomyślność kapitana Edmunda Dantèsa, męża pięknej Mercedes!

Caderousse podniósł ociężałą ręką kieliszek i wypił jednym haustem. Fernand chwycił swój i cisnął go o ziemię.

— Ho! ho! — zawołał Caderousse — kogóż to ja widzę na wzgórzu, tam, tam gdzie wieś katalońska! Spójrz, Fernandzie, masz lepszy wzrok niż ja; zdaje mi się, że coś niedowidzę; wino to zdrajca, lubi płatać figle. Ale to chyba para kochanków; idą obok siebie, trzymając się za ręce. Dalibóg! Nie spodziewają się, że ich widzimy, i całują się!

Danglars dostrzegł rozpacz malującą się na twarzy Fernanda.

— To znasz ich, panie Fernandzie? — spytał.

— Tak — odpowiedział przytłumionym głosem — to pan Edmund i panna Mercedes.

— Patrzcie państwo! — odezwał się Caderousse — a ja ich nie poznałem! — Hej, Edmundzie! Hej, piękna dziewczyno! Chodźcie tutaj i powiedzcie nam, kiedy wesele, bo ten milczek, pan Fernand, nie chce nic gadać!

— A będziesz ty cicho! — zawołał Danglars, udając, że zatrzymuje Caderousse'a, który z pijackim uporem wychylał się z altany. — Staraj się ustać na nogach i daj spokój zakochanym. Spójrz na pana Fernanda i bierz z niego przykład: popatrz, jak rozsądnie się zachowuje.

Kto wie, czy Fernand, doprowadzony do ostateczności — gdyż Danglars drażnił go niczym banderillo kłujący byka — nie byłby się w końcu rzucił na rywala, wstał już bowiem i jakby gotował się do skoku; ale Mercedes, roześmiana, smukła jak trzcina, uniosła głowę, a oko jej objęło ich jasnym spojrzeniem. Wtedy Fernand przypomniał sobie jej groźbę: umarłaby, gdyby zginął Dantès — i opadł zniechęcony na zydel.

Danglars ogarnął wzrokiem tych dwóch ludzi: jednego oszołomił trunek, a drugiego zaślepił afekt.

— Nie będę miał żadnej pociechy z tych błaznów — szepnął. — Tęgi strach mnie oblatuje na myśl, że siedzę tutaj z pijakiem i z nedorajdą: zazdrośnik upija się winem, choć powinien się upić własną żółcią; a ten głupiec, któremu sprzątnięto sprzed nosa kochankę, maże się tylko i skarży jak dzieciuch. A przecież ma oczy płomienne jak Hiszpanie, Sycylijczycy, Kalabryjczycy, którzy umieją mścić się jak nikt; ma pięści, którymi mógłby zatłuc byka jak rzeźnik pałką. Stanowczo, Edmund bierze górę! Edmund poślubi śliczną dziewczynę, zostanie kapitanem i będzie każdego z nas miał za hetkę-pętelkę, chyba że — tu błąd uśmiech zaigrał na ustach Danglarsa — chyba że ja się w to wieszam.

— Hej! Edmundzie! — krzyczał Caderousse, podniósłszy się z krzesła i wsparłszy dłońmi o stół. — Hej, Edmundzie! Cóż to, nie poznajesz przyjaciół? A możeś już tak zhardział, że nie chcesz gadać z nimi?

— Nie, mój drogi — odpowiedział Dantès — nie zhardziałem, tylko jestem szczęśliwy, a szczęście bardziej chyba zaślepia niż duma.

— Niech ci będzie, toś się wykręcił — powiedział Caderousse. — Dzień dobry, pani Dantèsowa.

Mercedes skłoniła się poważnie.

— Jeszcze się tak nie nazywam — odparła. — A rodacy moi twierdzą, że ten, kto obdarzy pannę nazwiskiem narzeczonego, sprowadzi na nią nieszczęście. Mówcież więc do mnie jak dawniej, jeśli łaska.

— Przebaczymy temu Caderousse'owi, bo to sąsiad poczciwy — rzekł Dantès — a i nie bardzo się pomylił.

— A zatem tylko patrzeć twojego ślubu, panie Edmundzie? — powiedział Danglars skłoniwszy się młodej parze.

— I to jak najrychlej; dzisiaj zrękowiny u mojego ojca, a jutro, najdalej pojutrze wydajemy obiad zaręczynowy, tutaj w „Ustroniu”. Spodziewam się, że przyjaciele nie zawiodą; tyczy się to oczywiście pana i ciebie, Caderousse.

— A Fernand? — spytał Caderousse, zanosząc się chrypliwym śmiechem — a Fernanda też to się tyczy?

— Brat mojej żony jest moim bratem — odpowiedział Dantès — i gdyby w takiej właśnie chwili zabrakło naszego kuzyna w gronie przyjaciół, zasmucilibyśmy się oboje.

Fernand otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale głos mu uwiązał w gardle i nieborak nie mógł wyjąkać ani słowa.

— Dzisiaj zrękowiny, jutro albo pojutrze obiad zaręczynowy... do diabła! prędko pan jesteś, panie kapitanie.

— Mój panie — odparł z uśmiechem Dantès — powtórzę mniej więcej to, co Mercedes powiedziała Caderousse'owi: nie obdarzaj mnie tytułem, który mi się jeszcze nie należy, bo sprowadzisz nieszczęście.

— Wybacz pan — rzekł Danglars. — Myślałem jedynie, że bardzo ci pilno; a, u diabła! mamy przecież czas: „Faraon” wyruszy w podróż najwcześniej za kwartał.

— Każdemu spieszy się do szczęścia, choć tym trudniej uwierzyć w pomyślność, im więcej mamy za sobą cierpień. Ale powoduje mną nie tylko egoizm: muszę jechać do Paryża.

— Ach, czyżby! Aż do Paryża! Wybierasz się pan tam pierwszy raz?

— Tak.

— Jakieś pilne sprawy?

— Nie moje własne; muszę spełnić ostatnią wolę naszego biednego kapitana Leclère; pojmujesz pan, że to dla mnie święty obowiązek. A zresztą, bądź pan spokojny, nie zabierze mi to dużo czasu; tyle, ile będzie wymagać podróż tam i z powrotem.

— Tak, tak, rozumiem — odparł głośno Danglars. Po czym do siebie:

— Jedzie do Paryża! Z pewnością po to, aby doręczyć pod wskazany adres ów list, który otrzymał od wielkiego marszałka dworu. Dalibóg! ten list nasuwa mi pewien pomysł, znakomity pomysł! Ach, Edmundzie! drogi przyjacielu, nie zarejestrowano cię jeszcze na liście „Faraona” pod numerem pierwszym. A zwracając się do Edmunda, który już się oddalił:

— Szczęśliwej podróży — zawołał.

— Dzięki—odpowiedział Edmund, odwracając głowę i skinąwszy przyjacielsko ręką. Po czym tych dwoje kochanków, spokojnych i radosnych niby wybrańcy wstępujący do nieba, ruszyło w dalszą drogę.

4. SPISEK

Danglars śledził wzrokiem Edmunda i Mercedes, póki kochankowie nie zniknęli za węglem fortu Świętego Mikołaja; odwróciwszy się dostrzegł Fernanda, który błądy i roztrzęsiony opadł na krzesło, a tymczasem Caderousse bełkotał słowa pijackiej piosenki.

— No tak, kochany panie Fernandezie — rzekł Danglars — oto małżeństwo, które jak mi się zdaje, nie wszystkim dogadza.

— Mnie przyprawia o rozpacz — rzekł Fernand.

— Kochałeś pan Mercedes?

— Uwielbiałem.

— Od dawna?

— Kochałem ją zawsze, odkąd się znamy.

— I tkwisz pan tutaj bezczynnie, wrywając sobie włosy, zamiast szukać jakiej rady! Do diabła! Byłem pewien, że pańscy rodacy inaczej postępują.

— A cóż mam robić? Jakaż na to rada? — spytał Fernand.

— Ach! Czy ja wiem? Co mnie to wreszcie obchodzi? To nie ja chyba kocham się w pannie Mercedes, ale pan. „Szukajcie, a znajdziecie” — głosi Ewangelia.

— Myślałem, że już znalazł radę.

— Jaką?

— Chciałem zasztyletować mężczyznę, ale kobieta powiedziała mi, że się zabije, jeśli jej narzeczonemu przytrafi się nieszczęście.

— Głupstwa! To tylko takie gadanie.

— Nie znasz pan Mercedes: nigdy nie grozi na darmo.

— Dureń! — szepnął Danglars. — A niechże się zabije, jeśli taka jej wola, co mi do tego! Byleby Dantès nie został kapitanem.

— A zanim Mercedes umrze — mówił dalej Fernand, a w głosie jego brzmiała niewzruszona decyzja — pierwaj ja się zabiję.

— Oto miłość, co się zowie! — wtrącił Caderousse, a język plątał mu się coraz bardziej — ale tyle ja się znam na tym, co pies na gwiazdach!

— Wydajesz mi się pan miłym chłopakiem — powiedział Danglars — i chciałbym, niech mnie diabli porwą, wyciągnąć cię z tej biedy, ale...

— Tak — wtrącił Caderousse — zastanówmy się.

— Mój drogi — rzekł Danglars — jesteś tak pijany, że niewiele ci się już należy; wysącz tę resztę z butelki, to już ostatecznie sobie dogodzisz. Pij i nie przeszkadzaj nam; niełatwe dzieło przed nami, musimy dobrze wyteńczyć mózgowicę.

— Ja pijany? — zdziwił się Caderousse — nie żartuj! Mógłbym wysączyć jeszcze ze cztery takie buteleczki, nie większe one przecież niż flakony wody kolońskiej! Ojczy Pamfilu, wina!

I aby dać dowód prawdzie tych słów, Caderousse stuknął energicznie szklanką.

— Mówiłeś pan, panie Danglars?... — rzekł Fernand, chciwie wyczekując reszty urwanego zdania.

— Co to ja powiedziałem? E, nie pamiętam. Ten opój Caderousse przerwał mi tok myśli.

— Pijak, niech ci tak będzie; tym gorzej dla tych, co boją się wina: ukrywają, widać, w zanadrzu jakieś niegodziwe zamysły i boją się, żeby im wino nie wydarło ich z serca.

Tu Caderousse jął sobie podśpiewywać piosenkę, naówczas bardzo modną:

Nasz praszczur Noe mądry był i wina nie żałował.

— Powiedziałeś pan, że chciałbyś wyciągnąć mnie z tej biedy — odezwał się znowu Fernand — ale, dodałeś?...

— Tak, ale... rzekłem... aby wydobyć pana z kłopotu, wystarczy, żeby Dantès nie poślubił tej, którą kochasz, i jak mi się zdaje, niekoniecznie Dantès musi umrzeć, aby małżeństwo nie doszło do skutku...

— Tylko śmierć może ich rozdzielić — odpowiedział Fernand.

— Rozumujesz pan, mój przyjacielu, jak dureń — wtrącił Caderousse — a Danglars, ten spryciarz, ten wyga, ten frant, przekona cię z łatwością, że się mylisz. Wytłumacz mu to, Danglars. Nie rób mi zawodu. Przekonaj go, że nie trzeba, by Dantès zginął; a zresztą przykro by nam było, gdyby umarł. To dobry chłopak, bardzo go lubię. Twoje zdrowie, Dantès!

Fernand podniósł się zniecierpliwiony.

— Pozwólże mu pan paplać, ile chce — rzekł Danglars zatrzymując młodzieńca — a zresztą, choć upił się w sztok, nie myli się tak bardzo. Rozłąka dzieli tak samo jak śmierć: przypuśćmy, że mury więzienia odgradzą Edmunda od Mercedes — czyż grób rozdzieliłby ich inaczej?

— Tak, ale z więzienia kiedyś się wychodzi — odezwał się Caderousse, który zachowawszy resztę przytomności, za wszelką cenę próbował mieszać się do rozmowy — a skoro ktoś wyjdzie z więzienia, a nazywa się Edmund Dantès, umie się i zemścić.

— I cóż mnie to obchodzi — mruknął Fernand.

— A zresztą, czemuż by miano zamknąć Edmunda w więzieniu? Ani nie ukradł, ani nie zabił, ani nie zamordował.

— Milczcie wreszcie — uciął Danglars.

— Nie będę milczał — odpowiedział Caderousse. — Chcę, żeby mi powiedziano, dlaczego Dantès ma powędrować do więzienia. Ja lubię Dantèsa. Twoje zdrowie, Dantès!

I wytrąbił jeszcze jedną szklanekę wina.

Spojrząwszy w zmętniałe oczy krawca, Danglars dostrzegł oznaki wznastającego zamroczenia i uspokojony zwrócił się do Fernanda:

— A więc pojmujesz pan — rzekł — iż nie ma potrzeby go zabijać?

— O, tak! o ile, jak pan powiedziałeś przed chwilą, udałoby się wpakować Dantèsa do więzienia. Ale jakimż sposobem? Masz pan jaki pomysł?

— Gdyby dobrze poszukać, coś by się pewnie znalazło. Ale — ciągnął dalej — po cóż, u diabła, miałbym się w to mieszać? Co mnie to obchodzi?

— Nie wiem, czy pana to obchodzi — tu Fernand chwycił Danglarsa za rękę — ale wiem, że masz pan jakieś powody, dla których szczerze go nienawidzisz. Ten, kto sam nienawidzi, łatwo się rozeźnia w czyichś uczuciach.

— Ja miałbym jakieś powody do nienawiści? I to w stosunku do Dantèsa? Nie mam żadnych, przysięgam! Spostrzegłem, że jesteś pan nieszczęśliwy, i rozpacz twoja obudziła we mnie współczucie, ot i wszystko. Ale skoro sądzisz pan, że działam na własną korzyść, to żegnaj, miły przyjacielu, i wyłabudaj się sam, jeśli zdołasz.

Tym razem Danglars udał, że wstaje, by odejść.

— Ach, nie — odezwał się Fernand, zatrzymując Danglarsa — pozostań pan! Mało mnie w końcu obchodzi, czy masz pan do niego pretensje, czy nie. Ja mam, wyznaję to otwarcie. Znajdź pan sposób, a ja wszystko wykonam, byle tylko nie uśmiercić tego człowieka, bo Mercedes powiedziała, że się zabije, gdyby Dantès padł ofiarą mordercy.

Caderousse, któremu głowa opadła na stół, podniósł czoło i spoglądając ciężkim, ogłupiałym wzrokiem na Fernanda i Danglarsa, zawołał:

— Zabić Dantèsa! Kto mówi, żeby zabić Dantèsa? Nie chcę, żeby go zamordowano; to mój przyjaciel, chciał się dzisiaj rano podzielić ze mną pieniędzmi, tak jak ja podzieliłem się z nim moimi; nie chcę, by zabito Dantèsa!

— A któż mówi o zamordowaniu Dantèsa, głupcze? — odparł Danglars. — To był po prostu żart. Wypij za zdrowie Edmunda — dorzucił, napełniając szklanekę Caderousse'a — i daj nam święty spokój.

— Tak, tak! za pomyślność Dantèsa — wybełkotał Caderousse, opróżniając szklanekę — za jego zdrowie!... za jego zdrowie!... ha!...

— Ale w jaki sposób?... w jaki sposób?... — dopytywał się Fernand.

— Nie domyślasz się pan jeszcze?

— Nie, to pan miałeś coś wykoncypować.

— To prawda — odparł Danglars — co mówią o wyższości Francuzów nad Hiszpanami: Hiszpan traci czas na dumania, a Francuz wynajduje sposoby.

— Więc wynajdź pan jakiś fortel — odpowiedział niecierpliwie Fernand.

— Garson — rzekł głośno Danglars — proszę o pióro, atrament i papier!

— Pióro, atrament i papier! — powtórzył szeptem Fernand. .

— Tak; jestem agentem handlowym: pióro, atrament i papier są moimi instrumentami i bez nich nie potrafię niczego dokazać.

— Pióro, atrament i papier! — zakrzyknął z kolei Fernand.

— Wszystko to, czego panowie potrzebujecie, jest na tamtym stole — odpowiedział garson, wskazując żądane przedmioty.

— Więc nam je podaj.

Garson, wzięwszy przybory do pisania, poukładał je na stoliku, przy którym pili.

— Pomyśleć — odezwał się Caderousse, kładąc rękę na papierze — że w ten sposób można zabić człowieka snadniej, niż zaczaiwszy się na niego pod lasem! Pióro, kałamarz i świstek papieru wzbudzały zawsze we mnie większy strach niżli szpada albo pistolet.

— Ten obwieś nie jest taki pijany, jak na to wygląda — powiedział Danglars — należy mu wina, panie Fernandezie.

Fernand napełnił szklanekę Caderousse'a, a nasz krawiec, jak prawdziwy pijanica (był nim w istocie), oderwał rękę od kartki i sięgnął po szklanekę.

Katalończyk śledził każdy ruch Caderousse'a, aż krawiec, uległszy niemal całkowicie temu nowemu szturmowi, postawił, a raczej upuścił szklanekę.

— Jakże więc? — odezwał się spostrzegłszy, że Caderousse po tej ostatniej szklance wina zaczyna tracić rozsądek do reszty.

— Powiadam — rzekł Danglars — iż gdyby na przykład oskarżono Dantèsa, który podczas ostatniej podróży zawadził o Neapol i o Elbę, gdyby go ktoś oskarżył przed prokuratorem królewskim, że jest agentem bonapartystów...

— Ja go zadenuncjuję! — zawołał żywo młodzieniec.

— Tak, ale wtedy każą podpisać zeznania i skonfrontować cię z osobnikiem, którego zadenuncjowałeś; owszem, dostarczę panu dowodów na poparcie oskarżenia. Lecz Dantès nie zostanie na wieki w więzieniu i pewnego dnia wyjdzie stamtąd, a wtedy biada temu, kto go tam wyekspediuje!

— Och, tylko tego pragnę, żeby poszukał ze mną zwady!

— Zgoda, ale Mercedes? Spróbuj tylko zadrasnąć jej ukochanego Edmunda, a Mercedes zapala do ciebie nienawiścią.

— Tak, to prawda — odpowiedział Fernand.

— Nie, nie — rzekł szybko Danglars — gdyby ktoś ważył się na podobny czyn, lepiej by zrobił biorąc po prostu, oł, widzisz pan, tak jak ja to pióro, umoczył je w atramencie i posługując się lewą ręką, żeby pismo nie zostało rozpoznane... skreślił krótką denuncjację następującej treści...

I Danglars poparł przykładem swoje zalecenie: wziął pióro do lewej ręki, napisał kilka linijek pochylonymi literami, które nie przypominały niczym zwykłego charakteru jego pisma, i podał kartkę Fernandowi, ten zaś odczytał ją półgłosem.

Oddany sługa tronu i ołtarza donosi panu prokuratorowi królewskiemu, że oficer ze statku „Faraon”, niejaki Edmund Dantès, który przybył dziś rano ze Smyrny, zatrzymawszy się po drodze w Neapolu i Portoferraio, przewiózł był list od Murata do uzurpatora, w następstwie czego uzurpator wręczył Dantèsowi list do komitetu stronnictwa bonapartystów w Paryżu.

Dowód winy wyjdzie na jaw po aresztowaniu Dantèsa, gdyż list ów znajduje się albo w jego kieszeni, albo w mieszkaniu jego ojca, albo też w kajucie Dantèsa na statku „Faraon”.

— Chwalić Boga — odezwał się znowu Danglars — tym sposobem twoja zemsta, mój panie, będzie miała sens, bo żadną miarą nie zwróci się przeciw tobie, a sprawa sama się potoczy; trzeba by tylko złożyć tę kartkę, tak jak ja to robię, i napisać na niej: „Do pana prokuratora królewskiego”, a rzecz byłaby całkowicie załatwiona.

I niby dla zabawy Danglars napisał adres na złożonej ćwiartce papieru.

— Tak, rzecz byłaby załatwiona — zawołał Caderousse, który wzywając na pomoc ostatek przytomności przysłuchiwał się lekturze; pojął też instynktownie, jakie nieszczęścia mogłaby sprowadzić taka denuncjacja — tak, rzecz byłaby załatwiona; tylko że to podłość!...

I sięgnął po list.

— Toteż — odpowiedział Danglars, odsuwając od niego kartkę — toteż wszystko, co mówię i co czynię, jest żartem; sam byłbym szczerze zmartwiony, gdyby Dantèsowi, naszemu zacnemu Dantèsowi, coś się przydarzyło! Toteż popatrz!...

Wziął list, zmiął go i rzucił w kąt altany.

— Dzięki Bogu — odetchnął z ulgą Caderousse. — Dantès jest moim przyjacielem i nie życzę sobie, aby go skrzywdzono.

— A któż, u diabła, zamierza go skrzywdzić? Ani Fernandowi, ani mnie nie powstałaby taka myśl w głowie — rzekł Danglars.

Podniósł się i spojrzał na Fernanda, który typał z ukosa na zwitek papieru rzucony w kąt.

— W takim razie niech nam dadzą wina — powiedział Caderousse. — Chcę wypić za zdrowie Edmunda i pięknej Mercedes.

— I tak za wiele już wypiteś, opoju i jeśli nie przestaniesz, będziesz musiał nocować tutaj, bo nie utrzymasz się na nogach.

— Ja — zachnął się Caderousse, zrywając się od stołu z chętnością człowieka pijanego — ja nie mogę ustać na nogach! Założę się, że przeszedłbym równo po desce.

— Dobrze, niech ci będzie — odpowiedział Danglars — przystaję na zakład, ale odłóżmy go do jutra; dziś pora wracać do domu. Weźmnie pod rękę i chodźmy.

— Chodźmy — zgodził się Caderousse — ale nie potrzebuję twojego ramienia. Idziesz, Fernandzie? Wracasz z nami do Marsylii?

— Nie — odparł Fernand — wracam do swoich.

— Nie warto! Chodź lepiej z nami do Marsylii, no chodźże.

— Nie mam po co, a zresztą wcale się tam nie wybierałem.

— Cóżes to powiedział? Nie wybierasz się, mój pocziwczu! Skoro tak, to zgoda! Rób, co ci się podoba, nikogo nie krępujemy! Chodź, Danglars, pozwólmy panu Fernandowi wrócić do domu, skoro sobie tak życzy.

Danglars wykorzystał to zgodne chwilowo usposobienie Caderousse'a i pociągnął go w stronę Marsylii; tylko, aby zostawić Fernandowi drogę krótszą i łatwiejszą, skierował się ku bramie Świętego Wiktora, zamiast iść bulwarem Rive-Neuve.

Caderousse uczepony jego ramienia szedł zataczając się.

Oddaliwszy się o jakie dwadzieścia kroków, Danglars obejrzał się i zobaczył, jak Fernand schylił się szybko po zmiętą kartkę i schował ją do kieszeni, po czym wybiegł z altany. Młodzieniec ruszył w stronę Pillon.

— No i cóż on wyprawia? — zdziwił się Caderousse. — Okłamał nas; powiedział nam, że wraca do Katalończyków, a tymczasem idzie do miasta! Hej, Fernandzie, pomyliłeś się, mój chłopczu!

— To ciebie wzrok myli — odrzekł Danglars; — idzie prościutko drogą Vieilles-Infirmieries.

— Rzeczywiście — przystał Caderousse — a byłbym przysiągł, że skręcił w prawo. Doprawdy, wino to wielki zdrajca.

— Ho, ho — szepnął Danglars — zdaje mi się, że sprawa jest na najlepszej drodze; teraz już wystarczy zostawić ją własnym losom.

5. PRZYJĘCIE ZARĘCZYNOWE

Nazajutrz dzień był piękny. Słońce wstało czyste i wspaniałe, a jego pierwsze purpurowe promienie zapaliły tysiące rubinów na spienionych grzywach fal.

Przyjęcie miało się odbyć na pierwszym piętrze tegoż „Ustronia”, którego altanę już znamy. Obszerną salę oświetlało ze sześć okien, ponad którymi (kto zechce, niech wytłumaczy tę osobliwość) wypisano nazwy kilku wielkich miast francuskich.

Drewniana galeryjka opasywała ten dom drewniany, biegnąc wzdłuż okien.

Śniadanie miało się rozpocząć w południe, ale już po jedenastej galeryjka zapełniła się gośćmi, drepczącymi niecierpliwie tam i z powrotem. Byli to co znaczniejsi marynarze z „Faraona”, a prócz nich trafiło się kilku żołnierzy, przyjaciół Dantèsa. Wszyscy wystroili się najpiękniej, jak mogli, aby uczcić tym oblubieńców.

Zjawiał się ktoś z wieścią, że sami armatorowie „Faraona” uświetnią zaręczynową biesiadę; nie lada zaszczyt spotkałby Dantèsa — jakoż pogłoski tej nikt nie traktował poważnie.

Tymczasem Danglars, przybyły w towarzystwie Caderousse'a, potwierdził nowinę. Tego ranka widział się z panem Morrelem, który oświadczył, że przyjdzie na śniadanie do „Ustronia”.

I rzeczywiście pan Morrel wszedł niebawem do sali, a marynarze „Faraona” powitali go gromkimi oklaskami. Obecność armatora potwierdziła głośną już nowinę, że Dantès zostanie kapitanem statku, a ponieważ załoga wielce Dantèsa szanowała, pocziwi ci ludzie podziękowali tym sposobem armatorowi za trafny wybór, który tym razem przypadkowo był zgodny z ich pragnieniami. Ledwie pokazał się pan Morrel, zebrani dali znać Danglarsowi i Caderousse'owi, ci zaś pobiegli po narzeczonego, mieli bowiem donieść o przybyciu tego personata, którego sam widok wzbudził żywą sensację, i przynaglić Edmunda do pośpiechu.

Danglars i Caderousse popędzili co tchu, lecz już o sto kroków za oberżą, nie opodal prochni, ujrzeli nadchodzącą gromadkę.

Składała się ona z czterech dziewcząt, Katalonek, co towarzyszyły Mercedes jako jej przyjaciółki. Edmund prowadził narzeczoną pod rękę, obok niej dreptał stary Dantès, a na końcu kroczył Fernand, uśmiechając się złowroźnie.

Mercedes i Edmund nie dostrzegli tego złego uśmiechu. Nieboracy tak byli kontenci, że widzieli tylko siebie i błogosławiące ich, pogodne, bezchmurne niebo.

Danglars i Caderousse spełnili obowiązek wysłanników; po czym, przyjacielsko i mocno uściskawszy dłoń Edmunda, zawrócili: Danglars kroczył obok Fernanda, a Caderousse obok starego Dantèsa, który zwracał ogólną uwagę.

Starzec miał na sobie piękny frak z prążkowanej kitajki, ozdobiony wielkimi stalowymi guzami, wypukłymi i drobno rżniętymi. Łydki chude, ale muskularne obciągnął w bawełniane, wspaniałe, nakrapiane pończochy, które o milę trąciły angielskim przemytem. Z trójgraniastego kapelusza zwiślał pęk białych i błękitnych wstążek. Wspierał się na lasce pokrętnej i grubej, o rączce, która przypominała kształtem antyczne pedum. Powiedziałabyś, że to jeden z owych fircyków, którzy w roku 1796 paradowali po Ogrodzie Tuileryjskim czy Luksemburskim, podówczas otwartym na nowo.

Obok niego, jak powiedzieliśmy, sunął Caderousse, który licząc na dobry poczęstunek pogodził się ostatecznie z Dantèsem. Krawiec nasz w pamięci swojej zachował tylko mętne wspomnienie wczorajszych wydarzeń — niby ktoś, kto budząc się rankiem dostrzega jeszcze dalekie senne majaki. Podchodząc do Fernanda, Danglars spojrzał bystro na odpalonego konkurenta. Fernand, o którego Mercedes, urocza w swoim egoizmie zakochanej dziewczyny i zapatrzona w Edmunda, dbać przestała, szedł za parą oblubieńców błędąc lub czerwieniejąc, lecz owe nagle rumieńce ustępowały wzrastającej wciąż bladeści. Co i raz spoglądał w stronę Marsylii, a wtedy wstrząsał nim całym mimowolnie dreszcz. Fernand, zda się, oczekiwał albo przynajmniej spodziewał się jakichś doniosłych wydarzeń.

Dantès ubrany był skromnie. Służąc w marynarce handlowej miał na sobie strój, który przypominał i mundur, i cywilne ubranie; doskonale wyglądał w tym stroju, gdyż postać miał zgrabną; promieniał tym większym wdziękiem, że uroda i radość narzeczonej przydawały jakby naszemu młodzieńcowi blasku.

Mercedes pięknnością swoją przypominała cypryjskie lub ceoskie Greczynki, słynące z czarnych oczu i ust koralowych. Stąpała lekko i swobodnie, jak Arlezjanki czy Andaluzyjki. Dziewczyna wychowana w mieście starałaby się zapewne osłonić radość swoją welonem albo przynajmniej zakryć blask oczu aksamitną powieką; lecz Mercedes uśmiechała się do całej kompanii, wyrażając otwarcie uśmiechem i spojrzeniem to, co rzec by mogły jej usta: „Jesteście moimi przyjaciółmi, podzielciez moją radość, bo naprawdę jestem bardzo szczęśliwa”.

Kiedy goście zgromadzeni w oberży dostrzegli narzeczonych, pan Morrel wybiegł naprzeciw młodej parze, a za nim podążyli marynarze i żołnierze, którym przyobiecał był, jak i Dantèsowi, iż ten ostatni obejmie dowództwo na „Faraonie” po zmarłym kapitanie Leclère. Na widok nadchodzących Edmund puścił ramię narzeczonej i wsunął jej dłoń pod rękę panu Morrelowi. Armator i młodzianka dziewczyna weszli pierwsi na schody wiodące do sali, gdzie miało się odbyć śniadanie — i jeszcze przez pięć minut schody skrzypiały pod ciężkimi krokami biesiadników.

— Ojcie — rzekła Mercedes, zatrzymując się u środka stołu — siądź, jeśli łaska, na prawo ode mnie; pragnęłabym, aby z lewej usiadł mój brat — dorzuciła serdecznym tonem, który niby ostrze sztyletu wdarł się Fernandowi w głąb serca. Wargi mu zbieleły, a śniadą płec krew ubarwiła na chwilę łuną i odpłynęła z wolna do serca.

Tymczasem Dantès robił honory domu: po prawicy swojej posadził pana Morrela, a po lewicy — Danglarsa; po czym zachęcił gestem wszystkich biesiadników, aby zajęli miejsca wedle własnego upodobania.

Poczęły krążyć wokół stołu kielbasy arlezjańskie, brunatne i aromatyczne, langusty o Iśniących skorupach, ślimaki w różowych muszlach, jeże morskie o smaku pikantnym, kolczaste niby kasztany w łupinie, "clovis", na południu wyżej szacowane od ostryg z mórz północnych, wreszcie wszelkie delikatne przysmaki, które fala zostawia na piaszczystym brzegu, zwane przez wdzięcznych jej za to rybaków „owocami morza”.

— Jakaż tu przedziwna cisza — ozwał się starzec, kosztując wina żółtego jak topaz, wina, które stary Pamfil postawił sam przed Mercedes. — Któż by przypuszczał, że zebrało się tutaj trzydzieści osób, które czekają tylko na okazję do żartów.

— Ach! Kto się żeni, ten nie zawsze wesół — rzekł Caderousse.

— To prawda — odparł Dantès — że jestem w tej chwili nazbyt uszczęśliwiony, aby dać upust wesołości. Jeśli to miałeś na myśli, sąsiedzie, przyznaję ci rację; radości naszej towarzyszy niekiedy dziwne uczucie: przygniata nas ona niby nieszczęście.

Danglars spojrział uważnie na Dantèsa: Edmund, wrażliwy z natury, wchłaniał w siebie i zdradzał wszelkie doznawane wzruszenia.

— Co znowu! — rzekł — czyżbyś pan miał jakieś złe przeczucia? Zdaje mi się, że wszystko układa się raczej po twojej myśli.

— To mnie właśnie trapi — odpowiedział Dantès — nie sędzę bowiem, aby człowiek mógł łatwo osiągnąć szczęście! Szczęście można porównać do pałaców na zaczarowanych wyspach, gdzie smoki strzegą furty zamku: kto chce go zdobyć, musi stoczyć z nimi walkę, a ja nie wiem doprawdy, czym zasłużyłem na szczęście, jakim darzy mnie Mercedes, biorąc na męża.

— Męża! Męża! — wtrącił śmiejąc się Caderousse — jeszcze nim nie jesteś, drogi kapitanie: spróbuj tak trochę już teraz skorzystać z uprawnień małżonka, a zobaczysz, jaki cię spotka traktament!

Mercedes oblała się rumieńcem.

Fernand wił się na krześle, dygotał posłyszawszy najłżejszy szmer i od czasu do czasu ocierał strugi potu, co spływał mu z czoła, niby pierwsze krople ulewy zwiastujące burzę.

— Zlitujże się, sąsiedzie — odezwał się Dantès — wartoż zarzucać mi nieścistość w tak błahej sprawie? Mercedes nie jest jeszcze moją żoną, to prawda, ale... — tu spojrzął na zegarek — ale będzie nią za półtorej godziny.

Wszyscy, wyjąwszy starego Dantèsa, który uśmiechnął się szeroko, ukazując zęby jeszcze piękne, przyjęli tę wiadomość okrzykiem zdziwienia. Mercedes uśmiechnęła się również, ale tym razem nie pokraśniała. Fernand chwycił kurczowo sztylet.

— Za godzinę! — odezwał się Danglars, przybladłszy mocno. — A jakim to sposobem?

— Tak, drodzy przyjaciele — odpowiedział Dantès — dzięki wpływom pana Morrela, człowieka, któremu, wyłączając mojego ojca, zawdzięczam najwięcej na świecie, wszelkie trudności zostały usunięte. Przyspieszono zapowiedzi, jakoż o wpół do trzeciej pan mer Marsylii przyjmie nas w ratuszu. Jest właśnie kwadrans po pierwszej, nie sędzę więc, abym się bardzo mylił utrzymując, że za półtorej godziny Mercedes będzie się nazywać panią Dantèsową.

Fernand przymknął oczy: ogień palił mu powieki: oparł się o stół, żeby nie runąć na ziemię, ale mimo wszelkich wysiłków nie zdołał powstrzymać głuchego jęku, który stłumiły głośne powinszowania i radosny śmiech zebranych.

— Ot, co znaczy gracko się uwinąć, he! — zawołał stary Dantès. — A może traciliśmy czas waszym zdaniem? Wrócił wczoraj rano, a dziś o trzeciej się żeni! Tylko marynarze umieją brać się tak ostro do rzeczy!

— A inne formalności — zagadnął nieśmiało Danglars — intercyza, akt rejentalny?

— Intercyza — odparł śmiejąc się Dantès — intercyza była gotowa: Mercedes nic nie posiada i ja też. Złączyliśmy prawie nasze majątki, ot i basta! Spisywanie trwało chwilkę i nie będzie dużo kosztować.

Ów żart wywołał nową burzę oklasków i śmiechu.

— A więc jesteśmy po prostu na uczcie weselnej, a nie, jak myśleliśmy, na przyjęciu zaręczynowym — odezwał się znowu Danglars.

— O nie, nie martwcie się, drodzy goście, nic na tym nie stracie — odrzekł Dantès. — Jutro rano wyjeżdżam do Paryża: podróż w obie strony potrwa tydzień, w jeden dzień załatwię powierzoną mi sprawę. Jakoż wrócę tu pierwszego marca, a drugiego wyprawię właściwą ucztę weselną.

Obietnica nowej biesiady tak wzmogła wesołość panującą wśród zebranych, że stary Dantès, co z początku uskarżał się na ciszę, daremnie teraz usiłował wznieść toast za pomyślność przyszłych małżonków.

Odgadłszy myśl ojca, Dantès podziękował mu serdecznym uśmiechem. Mercedes spojrzała na zegar z kukułką i skinęła na Edmunda.

Pod koniec uczyty gmin folguje zazwyczaj radości i językowi, więc i nasi biesiadnicy zachowywali się teraz hałaśliwie i swobodnie. Ci, którzy byli nieradzi ze swoich miejsc wstali od stołu, aby poszukać innego sąsiedztwa. Wszyscy gadali na wypródkę, nikt nie starał się nadażyć za myślą rozmówcy, albowiem każdego pochłaniały wyłącznie myśli własne.

Danglars pobladał był prawie tak samo jak Fernand, ten zaś, półżywy, przypominał potępieńca trawionego ogniem piekielnym. Wstał jeden z pierwszych i przechadzał się po sali, usiłując nie słyszeć piosenek i brzęku kieliszków, którymi co i raz trącali się goście.

Caderousse podszedł doń, kiedy Danglars, którego zdawał się unikać, dopadł Fernanda w kącie sali.

— Prawdę mówiąc — rzekł Caderousse, wyzbywszy się resztek nienawiści, jaką żywił w sercu do Dantèsa skutkiem jego nieoczekiwanego powodzenia, do takiej zaś odmiany uczuć przyczyniła się zarówno uprzejmość Edmunda, jak i dobre wino starego Pamfila — prawdę mówiąc, Dantès jest poczciwym chłopakiem i widząc go teraz u boku narzeczonej, pomyślałem sobie, że szkoda byłoby spłatać mu tego kiepskiego figla, któregoście wczoraj uknuli.

— Toteż — odpowiedział Danglars — jak widzisz, ten żart nie ma żadnych następstw. Biedny Fernand był taki wstrząśnięty, że najsampierw wzbudził we mnie współczucie: ale skoro tak dalece pogodził się z losem, że został pierwszym družbą na weselu swojego rywala, nie ma już o czym mówić. Cadrouse spojrzał na Fernanda: był trupio błydy.

— Tym większe poświęcenie — ciągnął Danglars — że dziewczyna jest naprawdę śliczna. Do licha, ma łobuz szczęście, ten mój przyszły kapitan! Chętnie bym się z nim zamienił, choćby tylko na dwanaście godzin.

— Idziemy? — spytała cicho Mercedes. — Wybiła już druga, a piętnaście po drugiej mamy tam być.

— Tak, tak, chodźmy — odrzekł Dantès, zrywając się żwawo.

W tejsze chwili Danglars, który nie spuszczał oka z Fernanda siedzącego we framudze okna, dostrzegł, jak Katalończyk potoczył wzrokiem szaleńca, poderwał się konwulsyjnie i znów opadł na parapet. Jednocześnie przytłumiony hałas dobiegł ze schodów: odgłos ciężkich kroków, bezładne słowa pomieszane ze szczękiem broni zagłuszyły gwar, choć był on niemały, ściągając powszechną uwagę: złowróźbna cisza zaległa salę.

Tymczasem hałas się przybliżył: zastukano trzykrotnie do drzwi; wszyscy spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

— W imieniu prawa! — ozwał się donośny głos, któremu odpowiedziało milczenie.

Drzwi otworzyły się natychmiast; wszedł komisarz przepasany wstęgą, a za nim ukazało się czterech uzbrojonych żołnierzy z kapralem na czele.

Niepokój zamienił się w przerażenie.

--- Cóż to się stało? — spytał armator, podchodząc do komisarza, którego znał osobiście. — To na pewno jakaś pomyłka, panie komisarzu.

— Jeśli to pomyłka, bądź pan pewien, że szybko ją wyjaśnimy; tymczasem przyniosłem nakaz aresztowania i choć nie w smak mi ta misja, muszę ją jednak spełnić. Który z was, panowie, nazywa się Edmund Dantès?

Wszystkie spojrzenia spoczęły na młodzieńcu, który, choć wyraźnie poruszony, zachował godność i postąpiwszy krok naprzód, powiedział:

— To ja, panie komisarzu. Czego pan sobie życzy?

— Edmundzie Dantès — odrzekł komisarz — w imieniu prawa aresztuję pana!

— Pan mnie aresztuje! — zdumiał się Dantès, lekko przybladłszy — dlaczego?

— Tego nie wiem, ale dowiesz się pan na pierwszym przesłuchaniu.

Pan Morrel pojął, że nie da się tu niczemu zapobiec — komisarz przepasany szarfą przestaje być człowiekiem: jest uosobieniem prawa, obojętnym, głuchym i niemym.

Starzec natomiast rzucił się na komisarza, prosząc i błagając: istnieją rzeczy, których ojciec i matka nigdy nie pojmą, łzy i prośby starca na nic się nie zdały; a jednak rozpacz jego była tak wielka, że wzruszyła komisarza.

— Uspokój się pan — rzekł — może pański syn pominął jakie formalności celne albo sanitarne; według wszelkiego prawdopodobieństwa, udzieliwszy żądanych wyjaśnień, odzyska wolność.

— A cóż to wszystko znaczy? — zwrócił się, marszcząc brwi, Caderousse do zdumionego na pozór Danglarsa.

— Skąd ja mogę wiedzieć? — wzruszył ramionami Danglars. — Tyle wiem co i ty: widzę, co się dzieje ale nic nie rozumiem i nie wiem doprawdy, co myśleć.

Caderousse poszukał wzrokiem Fernanda, ale młodzieniec zniknął bez śladu.

Wtedy cała wczorajsza scena pojawiła mu się przed oczami z przerażającą wyrazistością: powiedziałbyś, że nieszczęście to uchyliło zasłonę, którą wczoraj w jego umyśle zaciągnęło pijaństwo.

— O — wrzasnął chrypliwie — czyżby to były następstwa żartu, o którym wczoraj mówiłeś? Jeśli tak, niech piorun trzaśnie tego, kto się go dopuścił, bo to psota szkaradna.

— Skądże znowu! — zakrzyknął Danglars. — Toć sam widziałeś, jak podarłem ten list.

— Wcale go nie podarłem — odpowiedział Caderousse — ale rzuciłem w kąt i tyle.

— Cicho siedź; nic nie widziałeś, bo byłeś pijany.

— Gdzie jest Fernand? — zapytał Caderousse.

— Czy ja wiem? — odpowiedział Danglars. — Załatwia pewnie swoje sprawy. Ale zamiast się tym zaprzętać, pomóżmy raczej naszym stroskanym biedakom.

Rzeczywiście podczas tej rozmowy Dantès, uśmiechając się, uściskał dłonie przyjaciół i oddał się w ręce władzy, rzuciwszy:

— Nie martwcie się, wszystko się wyjaśni i może nie będę musiał wiec się aż do więzienia.

— Ależ naturalnie! dałbym za to głowę! — oświadczył Danglars, który w tej właśnie chwili zbliżył się, jak już powiedzieliśmy, do Edmunda.

Komisarz policji zszedł ze schodów, wyprzedzając Dantèsa otoczonego żandarmami; karetka, której drzwiczki były otwarte, czekała u wejścia. Dantès wsiadł do niej, a za nim komisarz i dwaj żandarmi; trzasnęły drzwiczki i pojazd ruszył do Marsylii.

— Żegnaj, Edmundzie! Żegnaj! — zawołała Mercedes, przechylając się nad poręczą galeryjki.

Więzień posłyszał ten okrzyk, co niby łkanie rozdarł pierś jego narzeczonej; wysunął głowę przez uchylone drzwiczki i zawołał:

— Do widzenia, Mercedes! — po czym zniknął za węglem fortu Świętego Mikołaja.

— Zaczekajcie tu na mnie — rzekł armator — wezmę pierwszą napotkaną dorożkę, pojedę do Marsylii i wrócę z wiadomościami.

— Jedź pan! — wołali zgodnie zebrani. — Jedź i rychło wracaj.

Gdy aresztowano Edmunda, a pan Morrel odjechał, biesiadnicy zamarli na moment w osłupieniu.

Z początku starzec i Mercedes trwali samotnie w rozpacz, po chwili jednak oczy ich się spotkały i padli sobie w objęcia, zespoleni cierpieniem, jak to zwykle czynią ludzie, których jeden i ten sam cios dotknął najboleśniej.

Tymczasem Fernand wrócił, nalał sobie szklankę wody, wypił i siadł na krześle.

Przypadek zrządził, że obok usadowiła się Mercedes, wysunawszy się z objęć starca.

Fernand odepchnął machinalnie swoje krzesło.

— To on — powiedział do Danglarsa Caderousse, który nie spuszczał z oczu Katalończyka.

— Nie zdaje mi się — odrzekł Danglars — był nazbyt oszołomiony; tak czy inaczej, niech grom uderzy w tego, co go ściągnął.

— Zapominasz o doradcy — rzekł Caderousse.

— Ach! Do licha! Czyż człowiek jest odpowiedzialny za każde słowo, które rzuci na wiatr?

— Tak, zwłaszcza gdy słówko wróblem wyleci, a powróci wołem. Tymczasem goście deliberowali nad aresztowaniem, snując przeróżne domysły.

— A pan, panie Danglars — ozwał się ktoś — co pan sądzisz o tym wydarzeniu?

— Ja? — odparł Danglars. — Pewnie przywiózł jakąś kontrabandę.

— Ale gdyby to był towar przemycany, pan, jako agent kasowy, musiałbyś o nim wiedzieć.

— Tak, to prawda; ale agent handlowy wie, co zawierają tylko te paczki, które mu się pokazuje: wiem, że przywieźliśmy tylko bawełnę i że pan Pastret dokonał załadunku w Aleksandrii, a w Smyrnie pan Pascal; nie pytajcie o nic więcej.

— Ach, przypomniałem sobie teraz — szepnął nieszczęśliwy ojciec, czepiając się tej deski ratunku — Edmund napomknął mi wczoraj, że ma dla mnie skrzynkę kawy i paczkę tytoniu.

— Ano właśnie — powiedział Danglars — otóż to; podczas naszej nieobecności celnicy splądrowali statek i wykryli, w czym sęk.

Mercedes nie uwierzyła w te pocieszające argumenty, gdyż dotychczas powściągliwa w swej rozpacz, wybuchnęła nagle łkaniem.

— No, no, nie traćmy nadziei — ozwał się niezbyt przytomnie stary Dantès.

— Nie traćmy nadziei — powtórzył Danglars.

— Nie traćmy nadziei — usiłował mruknąć Fernand, ale że słowa uwięzły mu w gardle, poruszył tylko wargami, nie dobywszy z siebie żadnego dźwięku.

— Panowie! — zawołał któryś z biesiadników, obserwujący drogę z galeryjki panowie, widać jakiś pojazd! Ach! to pan Morrel! Odwagi! odwagi! Na pewno spieszy z dobrymi nowinami.

Mercedes i starzec, wybiegłszy naprzeciw armatora, spotkali go w drzwiach. Pan Morrel był bardzo blady.

— No i co? — zawołali jednocześnie.

— Ach! drodzy przyjaciele — odpowiedział armator potrząsając głową — sprawa wygląda o wiele poważniej, niżbyśmy przypuszczali.

— O, proszę pana — zakrzyknęła Mercedes — on jest niewinny!

— I ja tak sądzę — odparł pan Morrel — ale został oskarżony.

— O co? — spytał stary Dantès.

— Jest jakoby agentem stronnictwa bonapartystów.

Ci z moich czytelników, co przeżyli ten okres dziejów, w którym rozgrywają się opisywane wydarzenia, pamiętają na pewno, jakim strasliwym oskarżeniem były w tym czasie słowa pana Morrela.

Mercedes krzyknęła, a starzec osunął się na krzesło.

— Ach — mruknął Caderousse — oszukałeś mnie pan, panie Danglars; twój żart pociągnął jednak skutki, ale ja nie dopuszczę, by ten starzec i ta dziewczyna umarli ze zgrzyoty, i wypalę im całą prawdę.

— Milczże, nieszczęsny! — zawołał Danglars ściskając za rękę Caderousse'a — albo za nic nie ręcę! Któż ci powiedział, że Dantès nie jest istotnie winowajcą? Statek zatrzymał się u brzegów Elby, Edmund wysiadł na ląd i cały dzień zabawił w Portoferraio; gdyby znaleziono przy nim jakieś kompromitujące pismo, ci, którzy by bronili Dantèsa, będą uchodzić za jego wspólników.

Egoiści mają zmysł szybkiej orientacji, więc i Caderousse pojął w lot, jak uzasadnione było to rozumowanie; spojrzawszy półprzymrużeniem oka na Danglarsa, a w oczach jego malowały się lęk i rozpacz; zrobiwszy najpierw krok naprzód, cofnął się teraz o dwa.

— Zaczekajmy więc — szepnął.

— Tak, zaczekajmy — powtórzył Danglars — jeśli Dantès jest niewinny, odzyska wolność; jeżeli jest winowajcą, to nie warto kompromitować się dla spiskowca.

— No to chodźmy, nie mogę tutaj dłużej zostać.

— Tak, chodźmy — odparł Danglars, uszczęśliwiony, że znalazł towarzysza — chodźmy, a oni niechaj się sami wywiną z tej matni, jeśli potrafią.

Inni także ruszyli ku wyjściu; Fernand, który znów stał się opiekunem Mercedes, wziął ją za rękę i odprowadził do wsi katalońskiej. Przyjaciele Dantèsa, zająwszy się starcem, który odchodził niemal od zmysłów, zawiedli go na Meilhańskie Aleje.

Niebawem w całym mieście gruchnęła wieść, że Dantès został zaaresztowany jako agent stronnictwa bonapartystów.

— Czybyś pan przypuszczał, kochany panie Danglars... — zagadnął pan Moreli ajenta kasowego, dogoniwszy obu przyjaciół, a spieszył również do miasta, aby wywiedzieć się o los Edmunda, znał bowiem po trosze pana de Villefort, zastępcę prokuratora królewskiego — czybyś pan przypuszczał?...

— Dalibóg, mówiłem panu — odparł Danglars — że Dantès zatrzymał się bez żadnych przyczyn u wybrzeży Elby i ten postój, jak pan już wiesz, wydał mi się podejrzany.

— Ale czy napomknąłeś pan komukolwiek, prócz mnie, o swoich podejrzeniach?

— Uchowaj Boże — odpowiedział po cichu Danglars — orientujesz się pan dobrze, że przez pańskiego wuja, pana Polikarpa Morrela, który służył pod rozkazami tamtego, a i teraz nie ukrywa swoich poglądów, posądzają pana o napoleońskie sympatie; obawiałem się wyrządzić krzywdę Dantèsowi, a następnie panu; istnieją takie sprawy, o których podwładny obowiązany jest zawiadomić zwierzchnika, ukrywając je jak najstaranniej przed innymi.

— Dobrze, doskonale — rzekł armator — widzę, że jesteś zacnym chłopcem, toteż przewidując, że biedny Dantès zostanie kapitanem „Faraona”, pomyślałem i o tobie.

— Jakże to, proszę pana?

— Wypytałem Dantèsa, co o panu sądzi i czy chętnie zatrzymałby pana na stanowisku, któreś dotąd zajmował, bo, sam nie wiem dlaczego, wydało mi się, że coś boczycie się na siebie.

— I cóż on panu odpowiedział?

— Że istotnie zawinił wobec pana w jakichś okolicznościach, które zresztą przemilczał; dodał jednak, że ten, kto cieszy się zaufaniem armatora, ma też i jego zaufanie.

— Obludnik — mruknął Danglars.

— Biedny Dantès -- westchnął Caderousse — rzeczywiście, to nadzwyczaj zacny chłopak.

— To prawda; ale tymczasem „Faraon” został bez kapitana.

— Och! Miejmy nadzieję, że najdalej za trzy miesiące, a więc zanim „Faraon” wyruszy w podróż, Dantès odzyska wolność — powiedział Danglars.

— Oczywiście, ale cóż teraz począć?

— No cóż — rzekł Danglars — tymczasem ja go zastąpię. Wiesz pan, że na dowodzeniu okrętem znam się nie gorzej od pierwszego lepszego kapitana, wyszkolonego na długich rejsach. Posługując się mną, odniesiesz pan tę korzyść, że kiedy Dantès wyjdzie z więzienia, nie będziesz pan potrzebował nikogo odprawiać, gdyż Edmund obejmie swoje stanowisko, a ja wrócę do dawnej roboty.

— Dziękuję! To istotnie najlepsze rozwiązanie. Obejmuj pan dowództwo, upoważniam cię, i czuwaj nad wyładunkiem; bo choćby na kogoś z nas spadło i największe nieszczęście, nie wolno nam z tej racji zaniedbywać interesów.

— Bądź pan spokojny. Ale czy można by się przynajmniej zobaczyć z tym biedakiem, kochanym Edmundem?

— Wkrótce pana o tym powiadomię. Postaram się dotrzeć do pana de Villefort i przemówić za Dantèsem. Wiem doskonale, że to zajadły rojalista, ale, do diabła, każdy rojalista, choćby nawet był prokuratorem królewskim, jest i człowiekiem; pan de Villefort nie wydaje mi się najgorszy.

— Może i nie — odparł Danglars — ale słyszałem, że to człek nadmiernie ambitny, co prawie na jedno wychodzi.

— Zobaczymy — rzekł wzdychając Morrel. — Wracaj pan na pokład, a ja tam niedługo się zjawię.

Pożegnał dwóch przyjaciół i skierował się w stronę Pałacu Sprawiedliwości.

— Widzisz, jaki obrót bierze ta sprawa? — zwrócił się Danglars do Caderousse'a. — Masz jeszcze ochotę wstawiać się za Dantèsem?

— Oczywiście że nie, a jednak okrutny to figiel, co ma takie następstwa.

— A któż go spletał, do czorta! ani ty, ani ja, prawda, lecz Fernand. Wiesz dobrze, że cisnąłem ten list w ką. Chyba go nawet podarłem.

— Nie, nie — odpowiedział Caderousse. — O! tutaj nie mam wątpliwości. Jeszcze teraz widzę ten świstek, jak zmięty, pognieciony leży w kącie altany; chciałbym nawet, żeby naprawdę leżał tam, gdzie go widzę.

— Cóż robić! Fernand go podniósł, przepisał albo kazał przepisać, a może nawet nie zadał sobie i tego trudu: myślę sobie... mój Boże! a jeśli wysłał po prostu tę kartkę przeze mnie napisaną! Szczęściem nikt nie rozpozna charakteru pisma.

— Wiedziałeś więc, że Dantès jest spiskowcem?

— Ja?! Nie wiedziałem o niczym. Mówiłem Fernandowi, że to żart i tyle. A zdaje się, że jak arlekin powiedziałem w żartach prawdę.

— Mniejsza z tym — rzekł Caderousse — wiele bym dał za to, żeby to wszystko było tylko snem, a przynajmniej, żebym nie był w tę sprawę wmieszany. Zobaczysz, że odpokutujemy za to.

— Odpokutować może tylko ten, kto zawinił, prawdziwym zaś winowajcą jest Fernand, a nie my. A zresztą jakież nieszczęście mogłoby nas spotkać? Musimy tylko siedzieć cicho, nie puszczając pary z ust, a burza przeminie i grom nie uderzy.

— Amen — powiedział Caderousse i skinąwszy mu na pożegnanie ruszył w stronę Meilhańskich Alei, potrząsając głową i mrużąc coś do siebie, jak zwykli czynić ludzie mocno czymś przejęci.

— Wybornie — rzekł do siebie Danglars — sprawy przybierają taki obrót, jaki przewidziałem: jestem tymczasowo kapitanem, a jeśli ten dureń Caderousse potrafi milczeć, kapitanem na dobre. Chodzi tylko o to, żeby Prześwietna Sprawiedliwość nie zwolniła Dantès'a. Ale — dodał z uśmiechem — sprawiedliwość jest sprawiedliwością i mogę na niej polegać.

To pomyślawszy, wskoczył do czółna i rozkazał przewoźnikowi przybić do burty „Faraona”, gdzie jak pamiętamy, pan Morrel wyznaczył Danglarsowi spotkanie.

6. ZASTĘPCA PROKURATORA KRÓLEWSKIEGO

Tegoż dnia, o tej samej porze, na ulicy Grand-Cours, naprzeciw fontanny Meduz, w jednym z owych starych domów o architekturze, jaką upodobała sobie arystokracja francuska, zbudowanych przez Pugeta, odbywało się również przyjęcie zaręczynowe.

Ale w przeciwieństwie do opisanej poprzednio sceny, gdzie uczestniczył gmin, marynarze i żołnierze, zebrała się tutaj śmietanka towarzyska Marsylii: dawni sadownicy, co za czasów uzurpatora złożyli urząd; sędziwi oficerowie, którzy zdezerterowali z naszych szeregów, by przejść do armii Kondeusza; młodzieńcy, którzy wymigali się od służby wojskowej dzięki pieniądзом swoich rodzin, co wśród uboższego chłopstwa kupowały im zastępców, wychowanych w nienawiści do tego człowieka poczytywanego na ogół po pięciu latach wygnania za męczennika, a po piętnastu latach Restauracji — za boga.

Wszyscy siedzieli przy stole; toczyła się rozmowa kipiąca od wszelkich namiętności, jakie podówczas nurtowały epokę, i okrutnych pasji, które w południowej Francji — gdzie od pięciuset lat wojny religijne podsycają waśń polityczną — były tym żywsze i tym zacieklejsze.

Bonaparte — król wyspy Elby, ongi suweren jednej części świata, panował teraz miłościwie kilku tysiącom dusz, choć słyszał niedawno, jak sto dwadzieścia milionów poddanych wołało w rozmaitych językach: „Niech żyje cesarz!” — uchodził wśród tych osób za straconego na zawsze dla Francji i dla tronu. Juryści podkreślali jego błędy polityczne, wojskowi rozprawiali o Moskwie i o Lipsku, kobiety — o rozwodzie z Józefiną. Wydawało się tej kompanii złożonej z rojalistów, radujących się i triumfujących nie tyle z powodu klęski człowieka, ile z unicestwienia idei, że rozpoczyna nowe życie i że zbudziła się z przykrego snu.

Starzec — był to margrabia de Saint-Mèran, kawaler Orderu Świętego Ludwika — podniósł się i zaproponował współbiesiadnikom, by wypili zdrowie Ludwika XVIII.

Ów toast, który przypominał zebrany, że dawny wygnaniec z Hartwell jest obecnie królem, co przyniósł Francji pokój, wychylono z wielką paradą: angielskim zwyczajem kielichy poszły w górę, panie odpięły bukietki od gorsu i zasały obrus kwiatami. Poetyczny był ten entuzjazm.

— Gdyby tu byli, musieliby przyznać — odezwała się margrabina de Saint-Mèran, kobieta o surowym spojrzeniu i wąskich wargach, która mimo podeszłego wieku zachowała arystokratyczną i elegancką postawę — musieliby przyznać nam ci panowie rewolucjoniści, co nas wygnali, a którym my z kolei pozwalamy konspirować spokojnie w naszych starych pałacach nabytych w czasach terroru za kromkę chleba, że prawdziwe poświęcenie myśmy okazali, zwiąawszy nasze losy z monarchią chylącą się ku ruinie, podczas gdy oni, przeciwnie, witali wschodzące słońce i bogacili się, kiedy my traciliśmy nasze fortuny. Przyznaliby, że naszym prawdziwym, własnym monarchą był nasz ukochany Ludwik XVIII, a ich władca, Napoleon Przekłęty, był zawsze li tylko uzurpatorem! Prawda, Villefort?

— Przepraszam najmocniej, pani margrabino. Wybacz mi łaskawa pani, ale nie śledziłem toku rozmowy.

— Ach! daj pokój tym dzieciom, pani margrabino — rzekł ów starzec, który zaproponował był toast. — Mają się wkrótce pobrać, zrozumiały, że nie w głowie im teraz polityka.

— Przepraszam, mam — wtrąciła młoda, jasnowłosa osoba o aksamitnym, lśniącem i wilgotnym oku — oddaję ci pana de Villefort, którego na chwilę zagarnęła dla siebie. Panie prokuratorze, moja matka powiedziała coś do pana.

— Chętnie odpowiem pani margrabinie, jeśli raczy zapytać po raz wtóry, bom nie dosłyszał — rzekł pan Villefort.

— Przebaczam ci, Renato — ozwała się margrabina i czuły uśmiech, który zadziwiał na tym oschłym licu, rozświetlił jej twarz: bo serce kobiece, w którym przesady i konwenanse tak wielkie sięją spustoszenia, ma jeden kątek wesoły i ciepły, przeznaczony od Boga dla macierzyńskich uczuć. — Nie biorę ci tego za złe, Reniu... Aha... mówiłam, panie prokuratorze, że bonapartystom brakło tych zalet, które myśmy mieli: wiary w słuszność sprawy, entuzjazmu i poświęcenia.

— Ach, pani margrabino, mają oni jednak pewną cechę, która wszystko zastąpi: fanatyzm. Napoleon jest Mahometem Zachodu; dla tych pospolitych, ale nadzwyczaj ambitnych ludzi jest nie tylko prawodawcą i władcą, lecz i uosobieniem równości.

— Równości! — zdumiała się margrabina. — Napoleon wcieleniem równości! A w takim razie cóż pan powiesz o panu de Robespierre? Zdaje się, że niesłusznie pozbawiasz go pierwszeństwa, aby obdarzyć nim Korsykanina, który, jak się zdaje, i bez tego przywłaszczył sobie sporo.

— Nie, łaskawa pani — odpowiedział de Villefort — zostawiam każdego z nich na właściwym piedestale; Robespierre'a na szafocie wzniesionym na placu Ludwika XV; Napoleona na kolumnie, na

placu Vendôme. Pierwszy stworzył równość, która pomniejsza, drugi równość, która wywyższa; jeden ściągnął królów do stóp gilotyny, drugi wyniósł lud aż na tron. Nie znaczy to bynajmniej — dorzucił Villefort śmiejąc się — iżby obaj nie byli bezpiecznymi rewolucjonistami i żeby 9 termidora oraz 4 kwietnia 1814 roku nie były dniami pomyślnymi dla Francji, godnymi, by wierni zwolennicy porządku i monarchii obchodzili rocznice owych dni jednakowo uroczystie; ale znajdziemy też tutaj wyjaśnienie, dlaczego Napoleon, który upadł, aby, jak miemam, więcej się nie podnieść, ma jednak swoich fanatycznych zwolenników. Cóż robić, pani margrabino! Cromwell, choć nic dorósł Napoleonowi do pasa, miał także swoich stronników!

— Czy wiesz, mój panie, że twoje słowa trąca o miłą rewolucją? Wybaczam to jednak panu; syn żyrodysty nie może całkiem wyzbyć się familijnych przywar. Silny rumieniec przemknął po twarzy Villeforta.

— - To prawda, łaskawa pani, że mój ojciec był żyrodystą; ale mój ojciec nie głosował za śmiercią króla; mój ojciec był skazany na wygnanie za tego samego terroru, kiedy proskrybowano i panią, i o mało nie złożył głowy na tym samym szafocie, gdzie pani ojciec swoją postradał.

— Tak — odparła margrabina, a to tragiczne wspomnienie nie naruszyło kamiennego spokoju jej lica — tylko że odmienne zgoła poglądy polityczne zawiodłyby ich obu na szafot, czego najlepszym dowodem jest fakt, że cała moja rodzina dochowała wierności wygnanym książętom, podczas gdy pański ojciec sprzymierzył się z nowym rządem; obywatel Noirtier był żyrodystą, a hrabia Noirtier został senatorem.

— Mamo, mam — wtrąciła Renata — toż postanowiliśmy nie wracać więcej do tych okropnych wspomnień.

— Łaskawa pani — rzekł Villefort — za przykładem panny Renaty pokornie proszę, aby przeszłość moją puszczono w niepamięć. Po cóż obwiniać się o to, wobec czego i wszechmogący Bóg jest bezsilny? Bóg może odmienić przyszłość, ale przeszłości nie zdoła zmienić. Cóż więc nam, zwykłym śmiertelnikom, pozostaje? Możemy się wyprzeć przeszłości albo przynajmniej rzucić na nią zasłonę. A co do mnie, tom nie tylko wyrzekł się poglądów ojca, lecz i jego nazwiska. Mój ojciec był, może jest i nadal bonapartystą i nazywa się Noirtier; ja zaś jestem rojalistą i nazywam się Villefort. Pozwólże, pani, zamrzeć resztkę soków rewolucyjnych w tym starym pniu i racz obrócić spojrzenie tylko na odrośl, która odchyła się od pnia, nie mogąc, powiem nawet: nie chcąc się odeń całkowicie oderwać.

— Brawo, Villefort — rzekł margrabia — brawo, doskonała odpowiedź. Ja także prosiłem zawsze moją żonę, by zapomniała o przeszłości, czego zresztą nigdy nie udało mi się od niej uzyskać; panu, mam nadzieję, lepiej się powiedzie.

— Doskonale — odparła margrabina — zapomnijmy o przeszłości, niczego więcej nie pragnę. To już postanowione. Lecz niechże na przyszłość pan de Villefort okaże się człowiekiem nieugiętym. Nie zapomnij pan, żeśmy za ciebie ręczyli wobec Jego Królewskiej Mości, a Miłościwy Pan, raczył, za naszą instancją, zapomnieć (tu wyciągnęła rękę do Villeforta), tak jak ja zapomnę wysłuchawszy twojej prośby. Tylko jeśliby wpadł ci w ręce jaki konspirator, pamiętaj, że niejedno baczne spojrzenie cię śledzi, pochodzisz bowiem z rodziny, która być może utrzymuje jakieś relacje ze spiskowcami.

— Niestety, czcigodna pani — rzekł Villefort — mój urząd, a zwłaszcza czasy, w których żyjemy, nakazują mi surowość. Będę surowy. Nieraz już oskarżałem w procesach politycznych, a to chyba wystarczający dowód mojej lojalności. Niestety, nie wszystko się jeszcze skończyło.

— Sądzisz pan? — zdziwiła się margrabina.

— Obawiam się. Napoleon ma z Elby jeden krok do Francji; jego obecność, niemal dostrzegalna z naszych wybrzeży, podtrzymuje ducha bonapartystów.

Kręci się po Marsylii wielu emerytowanych oficerów, którzy za lada pretekstem co dnia szukają zwady z rojalistami; w tym tkwi przyczyna pojedynków między ludźmi wyższych sfer, tu mają źródło morderstwa popełniane przez gmin.

— Słusznie — powiedział hrabia de Salvieux, stary przyjaciel pana de Saint-Méran, szambelan hrabiego d'Artois — słyszałeś pan chyba, że Święte Przymierze ma go przetransportować?

— Tak, mówiono o tym w Paryżu, tuż przed naszym wyjazdem — rzekł pan de Saint-Méran. — A gdzież go wyprawiają?

— Na Świętą Helenę.

— Na Świętą Helenę? A cóż to takiego? — spytała margrabina.

— Wyspa oddalona od nas o dwa tysiące mil, a leżąca na półkuli południowej — objaśnił hrabia.

— Chwała Bogu! To wielkie szaleństwo, jak słusznie utrzymuje Villefort, osadzić człowieka tej miary między Korsyką, gdzie się urodził, i Neapolem, gdzie do dzisiaj panuje jego szwagier, wreszcie w bliskości Włoch, co miały się stać królestwem jego syna.

— Nieszczęściem istnieje traktat z 1814 roku i niepodobna tknąć Napoleona, nie uchylając owemu traktatowi.

— No to mu się uchybi — rzekł pan Salvieux. — Czy Napoleon miał jakieś skrupuły, kiedy kazał rozstrzelać nieszczęsnego księcia d'Enghien?

— O tak — wtrąciła pani margrabina — to już postanowione, że Święte Przymierze uwolni Europę od Napoleona, a Villefort Marsylię od jego zwolenników. Król panuje albo nie: jeśli panuje, jego rządy muszą być mocne, a urzędnicy nieugięci, to jedyny sposób przeciwstawienia się złu.

— Niestety, pani margrabino — odparł uśmiechając się de Villefort — zastępca prokuratora królewskiego przybywa zawsze, gdy zło już się stało.

— Musi je więc naprawić.

— Mógłbym odpowiedzieć pani margrabinie, że zła najczęściej nie da się naprawić; możemy je tylko pomścić.

— Ach, panie prokuratorze — odezwała się młoda i ładna panna, córka hrabiego de Salvieux, przyjaciółka panny de Saint-Méran — zrób nam pan przyjemność i zaproś nas koniecznie, póki jesteśmy w Marsylii, na jakiś piękny proces. Nie byłam jeszcze nigdy w trybunale, a to podobno bardzo ciekawe.

— Istotnie bardzo ciekawe — zgodził się substytut — bowiem zamiast tragedii zmyślonych rozgrywają się tam dramaty prawdziwe; zamiast boleści odegranej znajdziesz tam pani rozpacz rzeczywistą. Gdy kurtyna zapadnie, człowiek, którego widzieliśmy na tej scenie, zamiast wrócić do siebie i zjadłszy kolację w gronie rodzinnym położyć się spokojnie spać, aby od jutra zacząć grę od nowa, człowiek ów idzie do więzienia, gdzie kat czeka na niego. Widzisz pani, że dla osób nerwowych lub osób które szukają mocnych wrażeń, żaden spektakl nie może temu dorównać. Zapewniam panią, że jeśli okazja się nadarzy, weźmiesz w nim udział.

— Pan prokurator przyprawia nas o drżenie... a sam się zaśmiewa — powiedziała Renata, nagle poblądłszy.

— Cóż robić!... To pojedynek. Kilka razy domagałem się już kary śmierci dla przestępców politycznych albo innych zbrodniarzy... Ha! Cóż! Kto wie, ile sztyletów ostrzą o tej porze w ciemnościach, a ile z nich wymierzono już we mnie?

— Ach, mój Boże! — westchnęła Renata, zasępiając się coraz bardziej. — Mówisz pan poważnie?

— Najpoważniej w świecie — ciągnął z uśmiechem młody sadownik. — A ów piękny proces, którego pożąda panna de Salvieux, by zadowolić swoją ciekawość, ja zaś, by zadowolić moją ambicję, zaogni tylko sytuację. Czy wszyscy ci żołnierze napoleońscy, co przywykli rzucać się na oślep w bój, zastanawiają się, pani zdaniem, strzelając kartaczami albo idąc na bagnety? Czyż zawahają się tedy więcej, gdy przyjdzie im zamordować człowieka, którego poczytują za osobistego wroga, niżby się zawahali uśmiercając Bóg wie kogo: Rosjanina, Austriaka, albo Węgra, którego nigdy przedtem nie widzieli... Zresztą, widzi pani, to jest potrzebne, w przeciwnym bowiem razie nasz zawód nie miałby wytłumaczenia. Ja sam, kiedy widzę w oku oskarżonego iskrzącą się wściekłość, nabieram otuchy, zapału mi przybywa: to już nie proces — to walka; nacieram na niego, on odparowuje, ja wzmagam atak i bój kończy się jak zwykle: zwycięstwem albo porażką. Oto czym jest oskarżenie! Świadomość niebezpieczeństwa czyni nas wymownymi. Oskarżony, który uśmiechnąłby się po mojej replice, przekonałby mnie o tym, że mówiłem źle; że wszystko, com powiedział, było blade, słabe i niewystarczające. Pomyśl pani, jaka duma ogarnia prokuratora królewskiego, kiedy, będąc przekonany o winie oskarżonego, widzi, jak ów winowajca błędnie, ugina się pod ciężarem dowodów i ciosami elokwencji. Głowa, co się teraz pochyła, niebawem spadnie...

Renata krzyknęła.

— Oto mówca — odezwał się jeden z biesiadników.

— Takich ludzi nam teraz trzeba — rzekł inny.

— Toteż — powiedział trzeci — na ostatniej rozprawie zaimponowałeś nam, drogi prokuratorze. Pamiętasz pan... ten ojacobójca... zabiłeś go, nim dostał się w ręce kata.

— Ach! Mordercy niewiele mnie obchodzą, nie ma dla nich zbyt surowej kary — powiedziała Renata — ale nieszczęśliwi więźniowie polityczni...

— Ależ to jeszcze gorsi przestępcy, Renato, gdyż król jest ojcem całego narodu, a obalić albo zamordować króla znaczy zabić ojca trzydziestu dwóch milionów ludzi.

— Mniejsza z tym, panie prokuratorze — odparła Renata. — Czy mógłbyś mi obiecać pobłażliwość dla tych, za którymi przemówię?

— Nie obawiaj się, pani — odrzekł Villefort z czarującym uśmiechem — będziemy wspólnie opracowywać wnioski.

— Moja droga — odezwała się margrabina — zajmij się raczej kolibrami, pieskami i szmatkami, a sprawy urzędowe zostaw swojemu przyszłemu małżonkowi. Dziś decyduje nie oręż, ale toga; pewne przysłowie łacińskie, które o tym wspomina, zawiera głęboki sens.

— Cedant arma togae — rzekł skłoniwszy się Villefort.

— Nie śmiem mówić po łacinie — powiedziała margrabina.

— Wolałabym, żebyś pan był lekarzem — ozwała się Renata. — Anioł śmierci, choć jest aniołem, zawsze mnie przerażał.

— Zaczna Renato — szepnął Villefort, ogarniając dziewczynę rozkochanym spojrzeniem.

— Moja córko — odezwał się margrabia — pan de Villefort będzie uzdrawiał zarówno pod względem moralnym, jak i politycznym tę prowincję. Wierz mi, że to piękna rola.

— I tym sposobem wymaże z ludzkiej pamięci rolę, jaką odegrał jego ojciec — wtrąciła niepoprawna margrabina.

- Łaskawa pani — odparł Villefort ze smutnym uśmiechem — miałem zaszczyt już pani oświadczyć, że mój ojciec wyrzekł się, jak mniemam, błędów przeszłości i że stał się sługą religii i porządku, bardziej pewnie oddanym rojalistą niż ja, gdyż ojcem moim powoduje skrucha, a mną tylko miłość.

Wypowiedziawszy okrągły frazes, Villefort spojrział dookoła, aby przekonać się, jakie wrażenie wywarła na obecnych jego swada; w ten sam sposób rozejrzałby się po audytorium, wypowiedziawszy zza stołu sędziowskiego myśl równie głęboką.

Otóż to! mój kochany prokuratorze — wtrącił hrabia de Salvieux.

Taką właśnie odpowiedź dałem przedwczoraj w Tuilerych marszałkowi dworu, który zagadnął mnie o szczegóły tego osobliwego aliansu między synem żyrondyisty a córką emigracyjnego oficera z armii Kondeusza; a minister pojął to wybornie. Tego rodzaju mariaże zgadzają się wyśmienicie z zasadą głoszoną przez Ludwika XVIII. Toteż król przerwał nam (choć nie przypuszczaliśmy, że przysłuchuje się rozmowie), rzekłszy: „Villefort — zwróć pan uwagę, że monarcha nie wymienił nazwiska Noirtier, a przeciwnie, zdawał się kłaść nacisk na nazwisko Villefort — zajdzie wysoko. To człowiek dojrzały, choć młody, i zalicza się do moich ludzi. Miło mi dowiedzieć się, że margrabiostwo de Saint-Méran przyjmują go za zięcia, i byłbym sam doradził im ten alians, gdyby nie zwrócili się do mnie pierwszy, prosząc o pozwolenie .

— Król tak powiedział, panie hrabio? — zakrzyknął uradowany Villefort.

— Powtórzyłem słowo w słowo to, co mi powiedział, a margrabia, jeśli zechce być szczery, przyzna, że to, o czym panu doniosłem, zgadza się najściślej z tym, co sam był usłyszał pół roku temu, wspominając królowi o projektowanym małżeństwie córki z panem, panie prokuratorze.

— Istotnie — potwierdził margrabia.

— Och! Zatem wszystko będę zawdzięczał temu szlachetnemu monarsze! Jakiejż usługi nie byłbym gotów mu oddać!

— Chwała Bogu! — odezwała się margrabina. — Kocham cię czule, mój panie, gdy tak mówisz. Przybywaj, konspiratorze, a będziesz mile powitany!

— A ja, droga mamó — wtrąciła Renata — błagam Boga, by cię nie wysłuchał i aby zsyłał panu de Villefort tylko złodziejasków, mizernych bankrutów i bojaźliwych oszustów; pod tym tylko warunkiem będę spać spokojnie.

— To tak, jakbyś pani życzyła lekarzowi — roześmiał się Villefort — aby jego pacjenci zapadali tylko na migrenę, odrę albo cierpieli pokąsani przez osy. Słowem, żeby kurował tylko choroby lekkie. Jeżeli zaś pragniesz pani, bym został prokuratorem królewskim, powinnaś mi życzyć chorób straszliwych, tych chorób, których leczenie przynosi lekarzowi sławę.

W tej właśnie chwili — jakby los wyczekiwał tylko momentu, kiedy Villefort wypowie owo życzenie, aby życzeniu temu stało się zadość — wszedł kamerdyner i szepnął substytutowi na ucho kilka słów. Villefort wstał i przeprosiwszy zebranych wyszedł, aby powrócić zaraz uśmiechnięty i z rozjaśnionym obliczem.

Renata spojrzała nań z miłością, gdyż istotnie był to piękny i wykwintny młodzieniec: oko miał niebieskie, cerę matową, a twarz okalały mu ciemne faworyty.

Toteż dziewczyna przywarła rozpromienionym spojrzeniem do warg narzeczonego, starając się odgadnąć przyczynę tej krótkiej nieobecności.

— No, proszę! — ozwał się Villefort. — Wyraziłaś pani przed chwilą życzenie, że pragniesz mieć męża lekarza. Otóż między elewami Eskulapa (tak się jeszcze mawiało w 1815 roku) a mną istnieje takie podobieństwo, że jak i oni, nie rozporządzam swoim czasem. Nie dają mi spokoju, nawet kiedy jestem przy pani, i to w dzień naszych zaręczyn.

— I cóż od pana chcą, panie prokuratorze? — spytała piękna dziewczyna, nieco zaniepokojona.

— Niestety, pani, wzywają mnie do chorego; a ów pacjent, jeśli wolno wierzyć temu, co mi powiedziano, jest o krok od śmierci. Tym razem to ciężki przypadek: choremu zagraża szafot.

— Ach, mój Boże! — zawołała Renata blednąc.

— Niemożliwe! — wykrzyknęli zebrani.

— Zdaje się, że po prostu wykryto spisek bonapartystów.

— Doprawdy? — zdumiała się margrabina.

— Oto ów list denuncjatora. I Villefort odczytał:

Oddany sługa tronu i ołtarza donosi panu prokuratorowi królewskiemu, że oficer ze statku „Faraon”, niejaki Edmund Dantès, który przybył dziś rano ze Smyrny, zatrzymawszy się po drodze w Neapolu i Portoferraio, przewiózł był list od Murata do uzurpatora, w następstwie czego uzurpator wręczył Dantèsowi list do komitetu stronnictwa bonapartystów w Paryżu.

Dowód winy wyjdzie na jaw po aresztowaniu Dantèsa, gdyż list ów znajduje się albo w jego kieszeni, albo w mieszkaniu jego ojca, albo też w kajucie Dantèsa na statku „Faraon”.

— Ależ — zaproponowała Renata — ten list, będący zresztą tylko anonimem, zaadresowano do prokuratora królewskiego, a nie do pana.

— Tak, ale prokurator królewski wyjechał. Wobec tego ta epistoła trafiła do sekretarza, któremu polecono otwierać listy. Otworzywszy więc i ten, posłał po mnie, a że nie było mnie w domu, wydał nakaz aresztowania.

— A zatem winowajca siedzi już w areszcie? — spytała margrabina.

— Raczej oskarżony — sprostowała Renata.

— Tak, łaskawa pani — odpowiedział Villefort — i jak miałem zaszczyt oznajmić już pannie Renacie, jeśli znajdzie się list, o którym mowa, pacjent jest ciężko chory.

— A gdzież jest ten nieborak? — spytała Renata.

— Jest u mnie.

— Idź, drogi przyjacielu — odezwał się margrabia — nie zaniedbuj swoich obowiązków pozostając z nami, gdy wzywają cię one gdzie indziej, jako wiernego sługę tronu; spiesz dokąd wzywa cię powinność.

— Ach! Panie prokuratorze, bądź pan pobłażliwy! — zawołała Renata składając ręce — dziś nasze zaręczyny.

Villefort obszedł stół dookoła, a zbliżywszy się do krzesła dziewczyny, oparł się o poręcz i rzekł:

— Zrobię wszystko, co tylko w mojej mocy, droga Renato, byle oszczędzić ci trosk; ale jeśli poszlaki okażą się prawdziwe, a oskarżenie słuszne, trzeba będzie ściąć to napoleońskie ziółko!

Renata zdrząła, posłyszawszy słowo „ściąć”, gdyż aby wypełnić ten chwast, należało ściąć ludzką głowę.

— E, tam, e, tam! nie słuchaj pan tej smarkuli! — wtrąciła margrabina. — Przywyknij do tego.

I margrabina podała Villefortowi szczupłą dłoń, którą ucałował, spoglądając jednocześnie na Renatę w taki sposób, jakby chciał jej rzec:

— To twoje ręce teraz całuję, a przynajmniej chciałbym ucałować.

— Smutny prognostyk — szepnęła Renata.

— Doprawdy, moja duszko — odezwała się margrabina — jesteś rozpaczliwie dziecinna. Powiedz mi, proszę, jakież to związki mogą mieć losy państwa z twoimi sentymentalnymi kapryсами i czułościowością?

— O, mamó — szepnęła Renata.

— Raczej, pani margrabino, wybaczyć niewdzięcznej rojalistce — powiedział Villefort. — Przyrzekam, że spełnię sumiennie obowiązki podprokuratora królewskiego: będę okrutnie surowy.

Lecz kiedy sadownik zwracał się do margrabiny, narzeczony spoglądał ukradkiem na ukochaną, a w spojrzeniu jego tała się myśl:

„Uspokój się, Renato. Ze względu na twoją miłość będę pobłażliwy”. Renata odpowiedziała na to spojrzenie najśłodszym uśmiechem i Villefort wyszedł tak uszczęśliwiony, jakby bramy rajy otworzyły się przed nim.

7. PRZESŁUCHANIE

Przestąpiwszy próg jadalni, de Villefort, zrzucił maskę wesołości i przybrał wyraz uroczystej powagi, właściwy ludziom powołanym do funkcji najwyższych — ferowania wyroku na bliźniego.

Choć fizjonomię Villeforta cechowała rzadka ruchliwość i choć niby zdolny aktor opanował ją, wysiadując godzinami przed lustrem, musiał teraz zadać sobie trud niemały, by zmarszczyć brew, a rysy przepoić chmurną zadumą. Rzeczywiście, samo wspomnienie zasad politycznych, które obrał jego ojciec — a zwichnęłyby one karierę synowi, gdyby młodzieniec nie odzegnał się od nich całkiem — mąciło harmonię uczuć pana podprokuratora, albowiem Gerard de Villefort stanął właśnie u szczytu szczęścia dostępnego śmiertelnikowi: miał dwadzieścia siedem lat i majątek, piastował wysoki urząd w sądownictwie, a teraz żenił się z młodą i piękną dziewczyną, którą kochał — choć miłość jego nie była wielką namiętnością, lecz uczuciem wyrozumowanym, akurat takim, jakim podprokurator królewski winien darzyć przyszłą małżonkę; jego zaś narzeczona, margrabianka de Saint-Méran, osoba niepospolitej urody, wywodziła się z rodziny jak najlepiej w owym czasie widzianej u dworu. Panna Renata, jedyne dziecko wielce ustosunkowanych rodziców, którzy rozległe swoje wpływy zechcą, rzecz pewna, wykorzystać dla zięcia, wносиła posąg wyrażający się liczbą pięćdziesięciu tysięcy dukatów, a posąg ten, dzięki „dobrym nadziejom na spadek” — szkaradne wyrażenie autorstwa swatów zawodowych — mógł być powiększony się pewnego dnia o pół miliona. Tak więc wszystko to kojarzyło się w oczach Villeforta w tak świetną całość, że zapatrzony we własne, osobiste życie, co oślepiło go swoim blaskiem, doszukiwałby się raczej plam na słońcu.

U drzwi czekał nań komisarz policji. Ujrawszy tego czarno odzianego człowieka, Villefort spadł od razu z siódmego nieba na ziemię, po której chodzimy; przybrał zatem stosowny wyraz twarzy i zbliżywszy się do przedstawiciela sprawiedliwości, rzekł:

— Przeczytałem ten list. Słusznie pan postąpił, aresztując tego człowieka. A teraz poinformuj mnie pan o wszelkich szczegółach dotyczących obwinionego i spisku. No, cóż pan tam zebrałeś?

— O spisku nic jeszcze nie wiemy, panie prokuratorze. Wszystkie papiery, które oskarżony miał przy sobie, zebrałiśmy w jedną paczkę, opieczętowaliśmy i złożyliśmy na pańskim biurku. Oskarżony, niejaki Edmund Dantès, jest, jak się pan już dowiedziałeś z samej denuncjacji, zastępcą kapitana na trójmasztowcu „Faraon”; statek ten należy do firmy Morrel i Syn, a przywozi najczęściej bawełnę z Aleksandrii i ze Smyrny.

— Czy osobnik ten służył w marynarce wojennej, zanim wstąpił do marynarki handlowej?

— O nie, panie prokuratorze, to jeszcze młokos.

— Ile ma lat?

— Dziewiętnaście, najwyżej dwadzieścia.

Villefort dotarł do skrzyżowania ulicy Głównej i Trybunałskiej; w tej właśnie chwili jakiś mężczyzna, który zdawał się tutaj kogoś wyczekiwać, podszedł do niego — był to pan Morrel.

— Ach, panie prokuratorze — zawołał ten zacny człowiek dostrzegłszy substytutę — cieszę się ogromnie, że pana spotykam. Niech pan sobie wyobrazi, popełniono niesłychaną, najdziwniejszą pod słońcem omyłkę: pojmano zastępcę kapitana mojego statku, niejakiego Edmunda Dantèsa.

— Wiem o tym, proszę pana, i spieszę go właśnie przesłuchać.

— Ależ, panie prokuratorze — ciągnął pan Morrel, a sympatia dla Edmunda dyktowała mu słowa — pan nie zna tego chłopaka, ja zaś znam go doskonale. Wystaw pan sobie, to człowiek

najspokojniejszy, najuczciwszy i, śmiem twierdzić, najlepszy żeglarz w całej naszej marynarce handlowej. Szczerze i z całego serca polecam go panu...

Villefort należał do miejscowej szlachty, co czytelnik mógł być już zauważyć, a Morrel do plebsu; pierwszy był ultraroyalistą, drugiego zaś pomawiano, że w skrytości sprzyja Bonapartemu. Villefort spojrział pogardliwie na Morrela i rzekł chłodno:

— Wiesz pan zapewne, że ludzie spokojni i cisi w życiu prywatnym, uczciwi w handlu i obeznani ze swoim rzemiosłem, mogą być jednocześnie groźnymi przestępcami politycznymi. Zdajesz pan sobie z tego sprawę, panie armatorze, nieprawdaż?

Sadownik położył szczególny nacisk na ostatnich słowach, którym towarzyszyło badawcze spojrzenie — jakby dotyczyły one bezpośrednio armatora. Villefort pragnął, zda się, przeniknąć do głębi tego zuchwalca, który niepomny, iż jemu samemu mogłoby zależeć na pobłażliwości władz, ośmielił się wystąpić w czyjejs obronie.

Morrel zaczerwienił się, albowiem sumienie wyrzucało mu pewne grzechy natury politycznej, a zresztą zwierzenia Dantèsa o wizycie u marszałka dworu i o krótkiej rozmowie z cesarzem wprawiły go teraz w niemałe zakłopotanie. Mimo to dorzucił z wielkim przejęciem:

— Błagam, panie prokuratorze, bądź pan sprawiedliwy, jakim być powinienes, dobrym, jakim jesteś zawsze i zwróćcie nam, panowie, jak najrychlej naszego biednego Dantèsa!

Zwróćcie nam zadzwęczało w uchu zastępcy prokuratora królewskiego echem rewolucji.

— Aa-a — szepnął do siebie — zwróćcie nam... Czyżby ów Dantès należał do jakiejś karbonaryjskiej wenty, skoro jego protektor, ot tak, bez zastanowienia używa liczby mnogiej? I o ile sobie dobrze przypominam, komisarz powiedział mi, że pojmano go w jakiejś karczmie, gdzie przebywał w licznej kompanii; to musiała być jakaś wenta — dorzucił.

Po czym rzekł głośno:

— Nic lękaj się pan. Nie na darmo odwołujesz się do mojej sprawiedliwości: jeśli jest niewinny, puścimy go, jeżeli natomiast zawinił, pobłażliwość byłaby w obecnych trudnych warunkach fatalnym przykładem; w tym ostatnim wypadku będę musiał spełnić obowiązek.

Domawiając tych słów, Villefort zatrzymał się przed drzwiami swojego mieszkania, które przylegało do Pałacu Sprawiedliwości, i skłoniwszy się armatorowi z lodowatą grzecznością, wszedł majestatycznym krokiem do domu, zostawiając nieszczęśliwca, skamieniałego niemal z rozpacz.

Żandarmi i policjanci wypełniali przedsionek; więzień był pośród nich. Nie bacząc na iskrzące się nienawiścią spojrzenia żandarmów, którzy nie spuszczała go z oka, stał spokojnie i nieruchomo.

Mijając przedsionek Villefort zerknął na Edmunda. Odebrawszy plik akt od policjanta, zniknął za drzwiami, mówiąc:

— Wprowadzić aresztowanego!

To błyskawiczne, jedyne spojrzenie pozwoliło Villefortowi odgadnąć, jakim był człowiekiem ów więzień, którego miał za chwilę przesłuchać: szerokie, otwarte czoło przejawiało inteligencję, zmarszczona brew i stanowczy wyraz oczu — odwagę, a wyraz lekko rozchylonych warg, spoza których lśniły zęby białe jak kość słoniowa, mówił o szczerości.

Pierwsze wrażenie, jakie odniósł Villefort, było więc korzystne dla Dantèsa, ale nasz podprokurator tylekroć słyszał zasadę mądrej polityki, że nigdy pierwszemu odruchowi ufać nie trzeba, oczywiście jeśli mamy do czynienia z odruchem sympatii, iż zastosował tę maksymę do odniesionego wrażenia, niepomny różnicy zachodzącej między niniejszymi terminami.

Dławiąc tedy ów pierwszy odruch, nakazał rozumowi wziąć górę nad uczuciem. Spojrzawszy w lustro, przybrał uroczystą minę, po czym zasępiiony i złowrogi siadł przy biurku.

Po chwili wszedł Dantès.

Był blady, ale spokojny i uśmiechnięty. Swobodnie, uprzejmie skłonił się sadownikowi i rozejrzał się po gabinecie, szukając krzesła, jakby to uczynił w salonie państwa Morrelów.

Wówczas napotkał spojrzenie Villeforta, owo spojrzenie bez wyrazu, właściwe sędziom, którzy, nie życząc sobie, aby czytano w ich myśli, umieją nadać oku szklaną matowość. Uświadomił sobie wtedy, że stoi przed obliczem sprawiedliwości, a sprawiedliwość — to pani z natury posępna.

— Nazwisko pańskie i zawód? — rzucił Villefort, przeglądając papiery odebrane u drzwi z rąk policjanta. Akta te przez godzinę zamieniły się w gruby plik, albowiem wszelacy donosiciele skwapliwie czepiają się ciała nieszczęsnej ofiary, zwanej oskarżonym.

— Edmund Dantès — odpowiedział młodzieniec głosem spokojnym i dźwięcznym. — Jestem zastępcą kapitana na statku „Faraon”, który należy do firmy Morrel i Syn.

— Pański wiek?

— Dziewiętnaście lat.

— Co pan robił w chwili aresztowania?

— Byłem na swoich własnych zaręczynach — odpowiedział Dantès głosem zdradzającym wzruszenie, tak bowiem bolesny był kontrast, gdy porównywał owe radosne chwile z ponurą ceremonią, która się teraz odbywała, a promienne lica Mercedes tym jaśniejszym były blaskiem, im posępniejsze wydawało mu się oblicze Villeforta.

— Byłeś pan na własnych zaręczynach? — zagadnął substytut, drgnąwszy mimo woli.

— Tak, proszę pana. Żenię się z panną, którą kocham od trzech lat.

Ów zbieg okoliczności zaskoczył Villeforta, któremu obce były zazwyczaj wszelkie cieplejsze uczucia, a głos Edmunda pojmanego w tak radosnej chwili, brzmiący wzruszeniem, potrafił w głębi tego urzędniczego serca przyjazną strunę: i on się żenił, i on był szczęśliwy, i jemu także zakłócono szczęście; wezwano go, aby zniweczył radość tego człowieka, który sięgał już po szczęście.

„Fakty te zestawione razem — a mogłyby one zwrócić uwagę filozofów — zrobią wielkie wrażenie, kiedy o nich opowiem wróciwszy do salonu państwa de Saint-Méran”.

I kiedy Dantès oczekiwał dalszych pytań, Villefort układał w myśli, niby mówca posługujący się efektownymi kontrastami, zdania, co zawsze zyskują aplauz, a i czasem każą nam wierzyć w talenta krasomówcze tego, kto je wygłasza.

Gdy ów krótki speech był gotów, Villefort uśmiechnął się, rad z wrażenia, jakie wywoła wśród słuchaczy, po czym rzekł do Dantèsa:

— Mów pan dalej.

— A cóż mam mówić?

— Zeznawać.

— Jakich zeznań żąda pan ode mnie? Chętnie, W miarę możliwości, odpowiem na każde pytanie; uprzedzam jednak — dorzucił z uśmiechem — że wiem bardzo mało.

— Czy służyłeś pan w armii uzurpatora?

— Miałem właśnie rozpocząć służbę w marynarce wojennej, kiedy cesarz upadł.

— A nie wyznajesz pan aby skrajnych przekonań politycznych? Bo coś o tym słyszałem — rzekł Villefort, który, choć nikt nie napomknął mu na ten temat ani słowa, chętnie zadawał pytania tonem oskarżycielskim.

— Moje przekonania polityczne?... Hm... Niestety! Wstyd się przyznać, ale nigdy nie miałem żadnych przekonań: mam dopiero dziewiętnaście lat, jak już panu wiadomo. Umiem bardzo mało i los na pewno nie wyznaczył mi żadnej ważniejszej roli. Niewiele znaczę i niewiele znaczyć będę, a jeśli uzyskam stanowisko, na którym mi zależy, to tylko za instancją pana Morrela. Toteż moje poglądy, nie powiem polityczne, ale osobiste, ograniczają się tylko do trzech spraw: kocham mojego ojca, szanuję pana Morrela i uwielbiam Mercedes. To wszystko, proszę pana, co mogę Wysokiemu Sądowi powiedzieć: jak pan widzi, nic to zajmującego dla sprawiedliwości.

Przysłuchując się słowom Dantèsa, spoglądając w jego łagodną, otwartą twarz, Villefort przypomniał sobie prośby Renaty, która choć nie знаła oskarżonego, domagała się dlań pobłażliwości. Villefort, który stykając się ustawicznie ze zbrodnią nawykł już do obcowania z przestępcami, znajdował w każdym słowie Dantèsa potwierdzenie jego niewinności. Istotnie ten młodzieniec, dziecko niemal jeszcze, prosty i naturalny, mówiący słowami, co rodziły mu się w duszy — a takiej szczeroci nie znajdziesz łatwo, choćbyś jej szukał — serdeczny dla wszystkich, bo szczęśliwy, szczęście zaś czyni zacnymi nawet złych, użyłczał sędziemu owej łagodności, której tyle miał w sobie. Choć Villefort był dla niego szorstki i surowy, Edmund tonem głosu, każdym spojrzeniem, każdym gestem okazywał mu sympatię.

Na Boga, pomyślał Villefort, to przemiły chłopak. Spodziewam się, że niewielu dołożę starań, aby wykonując pierwsze polecenie, jakie dała mi Renata, zasłużyć sobie na wdzięczne od niej przyjęcie. Nie ominie mnie nagroda: serdeczny uścisk dłoni przy wszystkich, a słodki całus — w kąciku.

Powziąwszy tę błogą nadzieję, Villefort tak poweselał, że kiedy oderwał się od swoich myśli i spojrzął na Dantèsa, oskarżony, co pilnie się weń wpatrywał, uśmiechnął się do niego z taką serdecznością, z jaką pan Gerard uśmiechnął się do swoich myśli.

— A nie masz pan aby jakich wrogów? — spytał.

— Wrogów? — zdziwił się Dantès. — Na szczęście za mało znaczę, aby moje stanowisko mogło mi ich przysporzyć. Podwładnych starałem się zawsze traktować łagodnie, choć jestem nazbyt porywczy.

Dziesięciu, a może dwunastu marynarzy, co służą pod moimi rozkazami, powie, jeśli ich pan zapyta, że kochają mnie i poważają nie tyle jak ojca, bom jeszcze za młody, ale jak starszego brata.

— Jeśli nie masz pan wrogów, może znajdują się zazdrośnicy? Zostaniesz pan, mając dziewiętnaście lat, kapitanem statku, a to ranga wysoka, biorąc pod uwagę niskość pańskiego urodzenia. Żenisz się z piękną dziewczyną, która cię kocha, a szczęście to rzadko w społeczności ludzkiej spotykane. Hojność losu mogła ściągnąć na ciebie ludzką nienawiść.

— Tak, to prawda. Znasz pan ludzi lepiej niż ja, a zatem pewnie się pan nie mylisz. Ale jeśli owi zazdrośnicy trafiliby się przypadkiem wśród moich przyjaciół, wyznaję, że wolałbym nic znać ich imienia, by nienawiść nie zyskała do mnie przystępu.

— A, w tym nie masz pan racji. Każdy powinien zdawać sobie jasno sprawę z tego, co się wokół niego dzieje. Prawdę powiedziawszy, wydajesz mi się tak pocziwym młodzieńcem, że odstąpię dla ciebie od zasad, którym my, sędziowie, hołdować zwykliśmy, i pragnąc, aby zasłona spadła ci z oczu, zapoznam cię z denuncjacją, na skutek której rozmawiamy. Oto ów list; czy znasz pan to pismo?

Villefort wyjął z kieszeni list i pokazał Dantèsowi. Przeczytawszy go uważnie, Dantès zaszepił się i powiedział:

— Nie, panie prokuratorze, nie znam tego pisma, a zresztą widać, że ręka wprawna, kreśląc te litery, umyślnie zmieniła jego charakter. Nie ma tu żadnych wątpliwości. To wielkie dla mnie szczęście — dorzucił spoglądając z wdzięcznością na Villeforta — że mam do czynienia z takim jak pan człowiekiem, gdyż ów zazdrośnik to naprawdę mój zaciekły wróg.

Z błysku, który przemknął w oczach Edmunda, kiedy domawiał tych słów, Villefort mógł wnieść, ile gwałtownej energii drzemało pod tą pozorną łagodnością.

— A teraz odpowiedz mi pan szczerze — rzekł substytut — jakbyś rozmawiał z kimś, kogo pański los obchodzi serdecznie, a nie z sędzią badającym oskarżonego." ile prawdy mieści się w tym anonimie?

I odebrawszy kartkę z rąk Dantèsa, rzucił ją z niesmakiem na biurko.

— Wszystko tu prawdziwe... i nic. Klnę się honorem marynarza, miłością dla Mercedes i życiem ojca, że powiem szczerze, jak się rzecz miała.

— Mów pan — rzekł z naciskiem de Villefort. I pomyślał sobie:

Gdyby Renata widziała mnie teraz, spodziewam się, że byłaby kontenta i nie nazwałaby mnie więcej katem..

— Otóż kiedy wyruszaliśmy z Neapolu, kapitan Leclère zachorował nagle na zapalenie mózgu. Nie mieliśmy na pokładzie lekarza, a kapitan, śpiesząc na Elbę, nie chciał się zatrzymać w żadnym porcie; toteż stan jego zdrowia pogorszył się tak bardzo, że pod koniec trzeciego dnia wezwał mnie, spodziewając się widać śmierci.

— Kochany Edmundzie — rzekł — przysięgnij mi na honor, że spełnisz wszystko, czego żądam. Chodzi o rzecz wielkiej wagi.

— Przysięgam, że spełnię każdy pański rozkaz — odpowiedziałem.

— A więc, skoro jako zastępca obejmiesz po mojej śmierci dowództwo statku, każ wziąć kurs na Elbę, wyląduj w Portoferraio, pójdz do marszałka dworu i oddaj mu ten list. Może otrzymasz tam inny list albo jakieś polecenie, które ja miałbym wykonać. Edmundzie, w moim imieniu wypełnisz ściśle ów rozkaz, a cały splendor spadnie na ciebie.

— Spełnię co do joty, panie kapitanie. Ale nie wydaje mi się, abym tak łatwo mógł dotrzeć do marszałka dworu, jak pan to sobie wyobraża.

— Oddasz marszałkowi ten pierścień — odpowiedział kapitan — i tym sposobem unikniesz wszelkich trudności.

Mówiąc to wręczył mi pierścionek.

Czas był już po temu: w dwie godziny później stracił przytomność i nazajutrz zmarł.

— I cóżeś pan wtedy zrobił?

— To, com powinien był zrobić i co każdy uczyniłby na moim miejscu: spełnienie woli zmarłego poczytujemy sobie zawsze za najświętszy obowiązek, a prośba dowódcy jest dla marynarza rozkazem, który trzeba wykonać. Wziąłem więc kurs na Elbę i następnego dnia przybiłem do jej brzegów. Kazałem wszystkim pozostać na pokładzie, a sam wyruszyłem na ląd. Moje przewidywania okazały się słuszne, albowiem chcąc uzyskać audiencję u marszałka dworu natknąłem się na duże trudności. Dopiero kiedy przesłałem mu ten pierścień, co miał mi służyć za znak rozpoznawczy, wszystkie drzwi otwały się przede mną. Marszałek przyjął mnie zatem, a wypytawszy o okoliczności

towarzyszące śmierci biednego Leclère'a, wręczył mi list — domysły kapitana okazały się więc prawdziwe — który polecił mi zawieźć osobiście do Paryża. Przyobiecałem mu to, gdyż tym sposobem spełniłem ostatnią wolę kapitana Leclère. Stanąwszy w Marsylii, załatwiłem w największym pośpiechu formalności portowe i pobiegłem do narzeczonej, która wydała mi się jeszcze piękniejszą i bardziej niż kiedykolwiek zakochaną. Dzięki panu Morrelowi ominęliśmy trudności, jakie stawia administracja kościelna; wreszcie, jak panu mówiłem, byłem na swoich zaręczynach, a za godzinę miał się odbyć mój ślub, podróż odłożyłem do jutra. Cóż, kiedy wskutek tej denuncjacji, którą zdajesz się pan gardzić nie mniej niż ja, zostałem pojmany.

— Tak, tak — rzekł cicho Villefort — wszystko to wydaje mi się prawdziwe i jeżeliś pan w ogóle zawinił, twoja nieostrożność jest jedynym wykroczeniem, a prócz tego rozkaz dowódcy zwalnia cię od odpowiedzialności. Oddaj nam pan ten list, który otrzymałeś na Elbie, i zaręczywszy słowem, że stawisz się na każde wezwanie, wracaj do swoich przyjaciół.

— Jestem więc wolny, panie prokuratorze?! — zakrzyknął Dantès, nie posiadając się z radości.

— Tak, tylko oddaj pan ten list.

— Leży on pewnie przed panem, gdyż zabrano mi go razem z innymi dokumentami, a w tym pliku poznaję niektóre moje papiery.

— Zaczekaj pan — rzekł Villefort do Dantèsa, który sięgnął już po rękawiczki i kapelusz — zaczekaj pan chwilę. Do kogo list był adresowany?

— Do pana Noirtier, zamieszkałego w Paryżu przy ulicy Coq-Heron.

I grom z jasnego nieba nie przeraziłby lak Villeforta jak ten cios niespodziewany. Opadł znów na fotel, skąd się był podniósł, aby sięgnąć po akta, a przerzuciwszy je szybko, wyjął fatalny list i począł mu się przyglądać z nieopisaną grozą.

— Wielmożny pan Noirtier, ulica Coq-Heron, nr 13 — szepnął blednąc coraz bardziej.

— Tak, panie prokuratorze — rzekł Dantès ze zdziwieniem — czy pan go zna?

— Nie — odparł żywo Villefort — wierny sługa króla nie ma znajomych między spiskowcami.

— Chodzi więc o jakiś spisek! — wykrzyknął Dantès, który odzyskawszy, jak sądził, wolność, zatrwożył się teraz jeszcze bardziej. — Tak czy inaczej, mówiłem panu, że nie mam pojęcia, co zawiera pismo, które przywiozłem z Elby.

— Owszem — odparł Villefort stłumionym głosem — ale wiesz pan, do kogo było skierowane.

— Musiałem znać nazwisko adresata, skoro miałem mu list doręczyć.

— Nie pokazywałeś pan nikomu tego pisma? — indagował Villefort, blednąc w miarę czytania.

— Na honor, nikomu.

— Nikt zatem nie wie, że przywiozłeś pan z Elby list do pana Noirtier?

— Nikt, z wyjątkiem osoby, która mi go wręczyła.

— I to za wiele, stanowczo za wiele! — szepnął Villefort.

Czytając zasępnął się coraz bardziej, jego zbiegłe wargi, drżące dłonie i pałające oko budziły w sercu Dantèsa najokrutniejsze obawy.

Przeczytawszy pismo Villefort ukrył twarz w dłoniach i trwał bez ruchu, zdradzając tym wielkie przygnębienie.

— O mój Boże! Co panu jest? — spytał nieśmiało Dantès.

Villefort nie odpowiedział, ale po krótkiej chwili podniósł głowę, ukazując twarz bladą i zmienioną... i jeszcze raz przeczytał list.

— Powiadasz pan, że nie znasz treści listu? — ozwał się.

— Na honor, powtarzam panu, że nie — odpowiedział Dantès. — Ale, mój Boże, co się panu stało? Jeszcze pan zemdleje! Czy chce pan, żebym zadzwonił, zawołał kogoś?

— Nie, proszę pana — rzekł Villefort zrywając się. — Nie ruszaj się pan i nie mów ani słowa! Ja tu rozkazuję, a nie pan.

— Ależ proszę pana — obruszył się Dantès dotknięty do żywego. — Chciałem panu pomóc, ot i wszystko.

— Nic mi nie potrzeba. To nagły zawrót głowy, i basta. A zresztą nie troszcz się pan o mnie, zajmij się lepiej sobą. Mów pan!

Na próżno Dantès oczekiwał dalszych pytań, których się spodziewał, posłyszawszy owo kategoryczne żądanie: Villefort padł znowu na fotel, otarł zroszone czoło lodowatą dłonią i po raz trzeci ją czytać list.

— Och! a jeśli on zna treść listu — szepnął do siebie — jeżeli dowie się kiedykolwiek, że Noirtier jest ojcem Villeforta! Ach! jestem zgubiony, zgubiony na zawsze!

I od czasu do czasu spoglądał na Dantèsa, jakby pragnął przeniknąć ową niewidzialną zasłonę, otulającą zapadłe w głąb serca sekrety, których usta zdradzić nie chcą.

— Och! nie sposób temu zawierzyć! — wykrzyknął nagle.

— Ależ na Boga! Panie prokuratorze! — zawołał nieszczęśliwy młodzieniec. — Jeśli pan mi nie dowierza, jeśli podejrzewa mnie pan, pytaj, proszę! Jestem gotów odpowiedzieć na każde pytanie!

Villefort opanował się przemocą i rzekł, usiłując przywrócić głosowi pewność".

— Najbardziej pana obciążające poszlaki wynikły z tego przesłuchania. Co za tym idzie, wbrew powziętym uprzednio nadziejom, nie w mojej jest mocy zwrócić panu zaraz wolność. Nim wydam tę decyzję, muszę porozumieć się z sędzią śledczym; a tymczasem widziałeś pan, jak wobec ciebie postępuję, nieprawdaż?

— O tak, dziękuję panu — wykrzyknął Dantès — jesteś mi raczej przyjacielem, a nie sędzią.

— Muszę więc pana uwięzić na pewien czas, możliwie najkrótszy, ten zaś list, dowód najbardziej cię obciążający... spójrz...

Villefort podszedł do kominka, rzucił list w ogień i czekał, aż ćwiartka papieru spłonie do szczętu.

— Spójrz pan — dokończył — zniszczyłem go.

— Ach! Jesteś pan nie tylko uosobieniem sprawiedliwości, ale i dobroci!

— Ale posłuchaj mnie — ciągnął Villefort — możesz mi pan chyba zaufać, będąc świadkiem mojego uczynku, prawda?

— Ach! rozkazuj pan, a wykonam każde twoje polecenie.

— O, nie — zaoponował Villefort podchodząc do młodzieńca — nie zamierzam panu rozkazywać, rozumiesz to, ale radzić.

— Mów pan, uznam twoje słowa za rozkaz.

— Zatrzymam pana w Pałacu Sprawiedliwości aż do wieczora. Możliwe, że ktoś inny będzie cię jeszcze przesłuchiwał: powtórz więc pan wszystko, co mi powiedziałeś, ale nie wspominaj ani słowem o liście.

— Przrzekam to panu.

Villefort jakby błagał, oskarżony zaś uspokajał sędziego.

— Pojmujesz pan — rzekł spojrzawszy na zwęglone resztki owego pisma, które zachowały jeszcze formę strzępków papieru i ulatywały ponad płomienie — że teraz, kiedy zniszczyłem list, tylko pan i ja wiemy, że on istniał, tego zaś nikt nie zdoła ci udowodnić. Gdyby więc ktoś napomknął o nim — zaprzeczaj śmiało, a będziesz ocalony.

— Zaprzeczę, bądź pan spokojny — powiedział Dantès.

— To i dobrze — odezwał się Villefort, ujmując sznur dzwonka; ale nie zadzwonił.

— I ten tylko list pan miałeś? — zagadnął. Tak.

— Przysięgnij. Dantès wznosił rękę.

— Przysięgam — powiedział. Villefort zadzwonił. Wszedł komisarz policji.

Villefort podszedł do policjanta i szepnął mu kilka słów na ucho. W odpowiedzi komisarz skinął po prostu głową.

— Pójdiesz pan z panem komisarzem — rzekł Villefort do Dantèsa. Skłoniwszy się, Dantès spojrzął po raz ostatni z wdzięcznością na Villeforta

i wyszedł.

Ledwie drzwi się zamknęły, podprokurator zasnął jakby i padł prawie zemdlony na fotel.

Po chwili wyszeptał:

— O, Boże! Jakże chwiejnymi są życie i kariera!... Gdyby prokurator królewski był Marsylii, gdyby zamiast mnie wezwano sędziego śledczego, byłbym zgubiony! Ten świstek, ten przeklęty świstek mało nie strącił mnie w przepaść! O, mój ojciec! Czy zawsze będziesz mi zawadą na drodze do szczęścia? Czy wiecznie będę musiał walczyć z twoją przeszłością?

A potem nagle błysk niespodziany przemknął w jego umyśle i rozjaśnił mu twarz. Uśmiech zarysował się na ustach jeszcze zaciśniętych, nieprzytomne oko nabrało bystrości i jakby ogarnęło jakąś myśl.

— Hm... Tak, ten list zamiast mnie zgubić, kto wie, czy nie przyczyni się do mojej kariery. A zatem, mój panie do dzieła.

I upewniwszy się, czy oskarżonego nie ma w przedpokoju, pan substytut wyszedł i szybko podążył do narzeczonej.

8. ZAMEK IF

Mijając obszerną sień, komisarz policji skinął na dwóch żandarmów, aby wzięli Dantèsa między siebie. Otwarto drzwi łączące apartament Villeforta z Pałacem Sprawiedliwości i nieliczna grupa zniknęła po chwili w jednym z tych mrocznych korytarzy, gdzie każdy, nawet ten, co nie ma po temu powodów, zdrzeć musi.

Podobnie jak mieszkanie Villeforta łączyło się z Pałacem Sprawiedliwości, tak też i gmach sądu przylegał do więzienia, ponurej budowli, na którą spogląda ciekawie swoimi oknami bez szyb dzwonnica Accoules, wznosząca się naprzeciw.

Długo szli krętym korytarzem, aż dotarli do drzwi opatrzonych okienkiem z żelazną zasuwą. Komisarz policji zastukał po trzykroć żelazną kołatką, a Dantèsowi wydało się, iż głos ten zabrzmiał w jego sercu; drzwi otworzyły się i żandarmi popchnęli lekko więźnia, gdyż wahał się jeszcze. Młodzieniec przekroczył straszliwy próg, drzwi trzasnęły za nim; nieborak oddychał już innym powietrzem, smrodliwym i ciężkim: znalazł się w więzieniu.

Wprowadzono go do wcale czystej izby, z oknem zakratowanym i drzwiami opatrzonymi mocnym zamkiem; pomieszczenie to nie nasunęło Dantèsowi poważniejszych obaw, tym bardziej że słowa, które podprokurator wyrzekł, jak mu się wydało, z takim przejęciem, dźwięczały jeszcze w uchu więźnia nutą słodkiej nadziei.

Dochodziła czwarta po południu, kiedy zaprowadzono Dantèsa do przeznaczonej mu celi. Działo się to, jak mówiliśmy już, pierwszego marca, toteż ciemności zapadły niebawem.

Dantès nic w gęstych mrokach nie widział, za to słuch wyostrzył mu się jakby: za najłżejszym szmerem zrywał się na równe nogi i biegł ku drzwiom w mniemaniu, że wysłannicy wolności spieszą do niego; lecz hałas oddalał się i zamierał w innej części więzienia, a Dantès padał znów na zydel.

Wreszcie, około dziesiątej wieczór, kiedy więzień jął już tracić nadzieję, posłyszał z dala jakiś hałas, który, jak mu się wydało, zbliżał się tym razem do jego celi. Istotnie czyjeś kroki zadudniły na korytarzu, ktoś zatrzymał się pod drzwiami i przekręcił klucz; zasuwę zgrzytnęły i otworzyły się masywne, dębowe drzwi: pogrążoną w ciemnościach celę rozjaśnił nagle oślepiający blask dwóch pochodni.

W ich świetle błysnęły szable i karabiny — Dantès ujrzał czterech żandarmów.

Postąpiwszy dwa kroki naprzód, wrósł jakby w ziemię, zaskoczony widokiem eskorty, liczniejszej tym razem.

— Przyszliście po mnie? — spytał.

— Tak — odpowiedział żandarm.

— Na polecenie podprokuratora?

— No pewno.

— To dobrze — rzekł Dantès. — Jestem gotów iść z wami.

Biedak nie lękał się wcale, sądząc, że to Villefort przysłał po niego, uspokojony więc na duchu, beztroski, dobrowolnie zajął miejsce pośród eskorty.

Karetka czekała u bramy, oficer policji siedział na koźle obok woźnicy.

— Czy to przyjechaliście po mnie? — zapytał Dantès.

— Tak — odpowiedział jeden z żandarmów. — Wsiadaj pan.

Dantès chciał zaprotestować, ale drzwiczki pojazdu otworzyły się i więzień uczył, że go popchnięto. Nie mógł więc, a i nie chciał stawiać oporu. W mgnieniu oka znalazł się w karetce na tylnym siedzeniu, między dwoma żandarmami. Pozostali zajęli miejsca naprzeciw i pojazd ruszył turkocząc złowieszczo.

Spojrząwszy w okratowane okienka Dantès pojał, że i karetka była dla niego więzieniem, z tą tylko różnicą, iż ta cela toczyła się naprzód, unosząc go w niewiadomym kierunku. Patrząc poprzez kraty tak gęste, że zaledwie dłoń można by przez nie przesunąć, Dantès zorientował się, że karetka

wjechała w ulicę Caisserie, minąwszy zaś Saint-Laurent i Taramis zadudniła po nadbrzeżnym bulwarze.

Po chwili zobaczył przez okienko pojazdu kratę, co otaczała gmach, przed który ekwipaż zajechał, i światła jarzące się w biurach straży celnej.

Karetka zatrzymała się, oficer wysiadł i poszedł na odwach. Zaraz też wysypało się stamtąd ze dwunastu żołnierzy i utworzyło szpaler. Dantès widział, jak w świetle latarni połyskiwały ich karabiny.

Czy to na moją cześć, pomyślał, urządza się taką paradę?

Odpowiedź dał mu — nie odezawszy się zresztą ani słowem — oficer policji, otwierając drzwiczki karetki, zamknięte na klucz; oczom Dantèsa ukazała się wolna przestrzeń między szpalerem żołnierzy, która wiodła od stopni karetki aż do portu.

Dwaj żandarmi, co zajmowali miejsca na przedzie, wysiedli pierwsi, za nimi Dantès, a w końcu ci, których miał w karetkce obok siebie. Skierowali się do czółna, które marynarz ze straży celnej uwiązał był łańcuchem u molo. Żołnierze spoglądali ciekawie, a zarazem głupkowato na przechodzącego Dantèsa. W jednej chwili Dantès otoczony żandarmami znalazł się na rufie łodzi, a oficer policji siadł na dziobie. Zachybotawszy gwałtownie, łódź odbiła od brzegu i czterej wiosłarze popchnęli ją energicznie w kierunku Pilon. Ktoś z łodzi zawołał; na to hasło opuścił się łańcuch zamykający basen portowy, Dantès znalazł się za redą.

Więzień uradował się zrazu wolną przestrzenią. Pod otwartym niebem człowiek uważa się za prawie wolnego. Wciągnął pełną piersią ożywczą bryzę, która przynosi na swoich skrzydłach tajemnicze zapachy nocy i morza. Po chwili jednak westchnął: przepływali obok „Ustronia”, gdzie jeszcze przed południem był tak szczęśliwy. Otwartymi oknami restauracji buchało światło, a wesola wrzawa tańczących dobiegała aż do uszu Dantèsa.

Edmund złożył ręce, wznosił wzrok ku niebu i począł się modlić.

Łódź mknęła chyżo; minęła Tête de Mort i znalazła się wkrótce naprzeciw zatoczki Pharo, po czym skierowano się ku stanowiskom artylerii portowej — i tego manewru Dantès nie rozumiał.

— Dokądże mnie wieziecie? — spytał jednego z żandarmów.

— Dowiesz się pan za chwilę.

— Ależ...

— Zakazano nam udzielać jakichkolwiek wyjaśnień.

Dantès był po trosze żołnierzem, toteż wypytywanie podwładnych, którym zwierzchnicy nakazali milczenie, wydało mu się czymś bezsensownym, i nie odezwał się więcej.

A wtedy opadły go najdziwaczniejsze myśli: toż długa podróż tą łupiną byłaby niepodobieństwem, a i żaden okręt nie stał nigdzie w pobliżu na kotwicy: tedy Dantès powziął przekonanie, że łódź zdąży do jakiegoś oddalonego punktu wybrzeża, gdzie żandarmi wysadzą go na ląd i zwrócą mu wolność. Nie skrępowano go przecież ani nie próbowano nawet nałożyć mu kajdan — uznał to za pomyślny znak. I wreszcie, czyż substytut, taki dla niego życzliwy, nie powiedział mu, że nie powinien się o nic lękać, jeśli fatalne słowo — nazwisko Noirtiera — nie padnie więcej z jego ust? I czyż Villefort nie zniszczył w jego obecności tego niebezpiecznego listu, jedynego dowodu winy?

Czekał więc milczący i zamyślony, usiłując przebić mrok nocny wzrokiem marynarza nawykłym do ciemności i do szerokich przestrzeni.

Niebawem zostawili za sobą na prawo wysepkę Ratonneau i płynąc niemał równolegle do wybrzeży, znaleźli się w Zatoce Katalońskiej. Tutaj więzień jeszcze mocniej natężył wzrok: tam jest Mercedes. Zdawało się biedakowi, że dostrzega na ciemnym tle wybrzeża sylwetkę kobiety niewyraźną i zwiewną.

Jak to, czyżby przecucie nie podszeptało Mercedes, że jej ukochany jest tak blisko, o trzysta zaledwie kroków?

Tylko jedno światło jarzyło się w wiosce katalońskiej. Zorientowawszy się w położeniu tego światła, Dantès uznał, że płonęło ono w izdebce narzeczonej. Tej nocy tylko Mercedes czuwała w małej osadzie. Gdyby młodzieniec krzyknął głośno, dziewczyna posłyszałaby na pewno.

Powstrzymał go tylko fałszywy wstyd. Cóż o nim pomyślał ci stróżę słysząc, że krzyczy jak opętaniec?

Milczał więc, wlepiwszy wzrok w nikłe światelko. Tymczasem łódź mknęła dalej, ale więzień zapomniał o tym rozmyślając o Mercedes.

Światło zniknęło z oczu więźnia, zasłonięte jakimś wzgórzem. Obejrzał się więc i spostrzegł, że wyływają na pełne morze.

Wiatr gnał teraz łódź, albowiem kiedy Dantès, zatopiony w rozmyślaniach, wpatrywał się w jeden punkt, rozwinięto żagle.

Choć nasz bohater wzdragał się na myśl, że będzie musiał zagadnąć ponownie żandarma, zbliżył się doń i rzekł chwytając go za rękę:

— Kolego! Odwołuję się do twego sumienia i żołnierskiego honoru! Na miłość boską, odpowiedz. Nazywam się Dantès, jestem kapitanem; choć oskarżają mnie Bóg wie o jaką zdradę, jestem dobrym Francuzem. Dokąd mnie wieziecie? Powiedz, proszę, a klnę się słowem marynarza, że spełnię swój obowiązek i poddam się losowi.

Żandarm podrapał się za uchem, spojrzął na towarzysza. Ten zaś odpowiedział gestem, który mógł oznaczać: wydaje mi się, że skoro już tutaj jesteśmy, nie ma się co upierać. I żandarm zwrócił się do Dantèsa:

— Pochodzisz pan z Marsylii i podobno jesteś marynarzem...— zagadnął. — Czemuż więc mnie pytasz, dokąd jedziemy?

— Pytam, bo nie wiem, jak mi Bóg miły.

— I nie domyślasz się pan? --- Nie.

— To niemożliwe.

— Przysięgam na wszystko, co mam najdroższego na świecie. Powiedz mi pan, przez litość!

— A zakaz?

— Przecież nie zakazano wam powiedzieć mi tego, o czym sam dowiem się za dziesięć minut, za pół godziny, niech będzie za godzinę. Oszczędzisz mi pan tylko ciężkich chwil niepewności, które wydają mi się wiekiem. Proszę pana o to, jakbyś mi był przyjacielem. Spójrz, nie zamierzam się buntować ani uciekać. Zresztą to niemożliwe. Dokąd jedziemy?

— Musiałbyś pan mieć opaskę na oczach albo nigdy nie wyjeżdżać z portu marsyjskiego, żeby nie domyślać się, dokąd jedziesz.

— A jednak nie wiem.

— No to rozejrzyj się pan dobrze.

Dantès wstał i odruchowo skierował wzrok ku punktowi, dokąd łódź zdawała się zmierzać: zobaczył wznoszącą się w odległości stu sążni czarną, krzemioną, stromą skałę, a na niej, niby narośl, posępny zamek If.

Dziwaczny ów kształt — to więzienie spowite grozą, ten fort, który od trzech wieków syci Marsylię swoją ponurą legendą — ukazujący się oczom Dantèsa, kiedy wcale o nim nie myślał, sprawił na nim takie wrażenie, jakie wywiera szafot na skazańcu.

— Ach, mój Boże! — zawołał. — Zamek If! A cóż my tam będziemy robić? Żandarm uśmiechnął się.

— Chyba nie wieziecie mnie tam jako więźnia — wypytywał Dantès. — Zamek If jest więzieniem stanu, przeznaczonym dla wielkich przestępców politycznych. A ja nic popełniłem żadnej zbrodni. Czy w zamku If urzęduje sędzia śledczy albo inny sadownik?

— Przypuszczam — odpowiedział żandarm — że zastaniesz pan tam naczelnika, dozorców, załogę i grube mury. No, no, bratku, że też cię to tak mocno dziwi; e, gotów jestem pomyśleć, że za uprzejmość odpłacasz mi drwiną.

Dantès omal nie zgniółł żandarmowi ręki.

— Uważasz pan, że odsyłają mnie do zamku If, aby mnie tam uwięzić?

— To możliwe — odpowiedział żandarm — ale w każdym razie nie powinienes, kolego, tak mocno ścisnąć mi ręki.

— Tak bez śledztwa, bez innych formalności?

— Śledztwo jest przeprowadzone, a formalności dokonane.

— A zatem mimo obietnicy pana de Villefort?...

— Skąd ja mogę wiedzieć, czy pan de Villefort poczynił ci jakieś obietnice — odpowiedział żandarm. — Wiem tylko, że jedziemy do zamku If. A to co? Cóż pan robisz? Hola, towarzysze, do mnie!

Ruchem szybkim jak błyskawica Dantès zerwał się, chcąc skoczyć w morze, lecz doświadczony oko żandarma w porę ów ruch dostrzegło; cztery silne dłonie przytrzymały Edmunda w chwili, kiedy już odbił się stopami od burty.

Rycząc z wściekłości, runął na dno łodzi.

— A to pięknie! — zawołał żandarm, klękając mu na piersi. — Dotrzymujesz pan słowa, nie ma co! I ufaj tu oszustom! A teraz, kochany przyjacielu, jeśli uczynisz choć jeden ruch — kula w łeb! Zlekceważyłem pierwszy rozkaz, ale zapewniam cię, że drugiego nie poniecham.

Zniżył karabin i Dantès uczył lufę na skroni.

Przemknęło mu przez głowę, żeby wykonać wzbroniony gest i tym desperackim sposobem położyć kres nieszczęściu, które spadło na niego niespodzianie niby sęp i chwyciło go w szpony. Ale właśnie dlatego, że to nieszczęście dosięgło go tak nagle, Dantès przypuszczał, iż nie potrwa ono długo. Ponadto wspominał obietnicę pana de Villefort; wreszcie, jeśli w ogóle trzeba to powiedzieć, śmierć na dnie łodzi, z ręki żandarma, wydała mu się czymś ohydny.

Opadł więc na deski, a owładnięty bezsilną pasją gryzł ręce i jęczał głucho.

Niemal w tej chwili gwałtowny wstrząs zakotłosał czółnem. Jeden z przewoźników wyskoczył na skalisty brzeg, o który łódź uderzyła, zgrzytnęła lina, a Dantès pojął, że są na miejscu i że przycumowywano.

Rzeczywiście, jego stróż, trzymając go za ręce i za kołnierz, podnieśli go, zmusili do zejścia na ląd i powlekli w kierunku stopni wiodących do bramy cytadeli, a oficer policji, uzbrojony w karabinek z bagnetem, zamykał pochód.

Edmund nie opierał się, gdyż i tak byłoby to bezcelowe. Jego opieszałość wynikała raczej z inercji niżli ze sprzeciwu. Był oszołomiony i zataczał się jak pijak; znów dojrzał żołnierzy rozstawionych na stromym stoku; uczył pod stopami schody, które zmusiły go do zginania nóg; zauważył, że minął jakieś wrota i że te wrota zamknęły się za nim; ale to wszystko widział jakby przez mgłę, nie dostrzegając nic określonego. Nie widział już nawet morza: ogarnęła go niewysłowiona boleść, jaka dręczy więźnia, który spoglądając w bezmiar wodnej przestrzeni wie, że nie zdoła jej przebyć.

Zatrzymano się na chwilę i wtedy Dantès usiłował zebrać myśli. Rozejrzał się wkoło: znajdował się na czworokątnym podwórzu opasanym wysokimi murami; słyszał z dala kroki strażników miarowe i powolne, a kiedy podczas tej wędrówki docierali oni do kilku miejsc objętych smugami światła padającego z okien zamku, lufy ich karabinów lśniły ostro.

Czekano tu z dziesięć minut. Żandarmi puścili więźnia, pewni, że teraz już im nie umknie. Zdali się oczekiwać rozkazów — i rozkazy nadeszły.

— Gdzie więzień? — zabrzmiał czyjś głos.

— Tutaj — odpowiedzieli żandarmi.

— Niech idzie za mną; zaprowadzę go do celi.

— Idź pan — powiedzieli żandarmi, popychając Dantèsa.

Edmund ruszył za przewodnikiem; dotarli do izby przypominającej loch: jej nagie i wilgotne ściany były jakby przesiąknięte oparem ludzkich łez. Ustawiony na zydlu kaganek, którego knot pływał w cuchnącym tłuszczu, oświetlał lśniące mury wstrętnego przybytku i ukazywał oczom Dantèsa, kim był ów przewodnik: dozorca niskiej rangi, obdarty i o wyglądzie nikczemnym.

— Dziś będziesz pan spał w tej celi — powiedział. — Jest już późno i pan naczelnik śpi. Jutro rano przejrzy pańskie papiery i może wyznaczy panu inne pomieszczenie. A tymczasem masz pan tu chleb, woda jest w dzbanku, a w tamtym kącie leży wiązka słomy. To wszystko, czego potrzeba więźniowi. Dobranoc.

I zanim Dantès, aby odpowiedzieć, zdążył otworzyć usta, nim zauważył, gdzie dozorca położył chleb, zanim zdał sobie sprawę, gdzie stoi dzban, nim obrócił wzrok w kierunku kąta, gdzie leżała garść słomy mająca służyć mu za posłanie, stróż zabrał kaganek i zamykając za sobą drzwi pozbawił Edmunda i tej odrobiny bladego światła, co na moment ogarnęło blaskiem ociekające wilgocią mury.

Tak został sam w ciemnościach i ciszy, milczący, posępny jak owo sklepienie, od którego wiało lodowatym chłodem, co kładł się na rozpalone czoło więźnia.

Kiedy pierwsze promienie brzasku rozjaśniły nieco norę, dozorca powrócił, przynosząc Dantèsowi wiadomość, że zostanie w tej samej celi. Więzień ani drgnął. Żelazna dłoń przygwoździła go jakby tam, gdzie stanął wczorajszego wieczoru; tylko jego przenikliwe źrenice skryły się za powieką opuchniętą od łez. Tkwił nieruchomo i patrzył w ziemię.

Stał tak przez całą noc i ani na chwilę nie zmrużył oka.

Dozorca zbliżył się, obszedł więźnia wkoło, ale Dantès zdawał się go nie dostrzegać.

Poklepał więc Edmunda po ramieniu, a nasz nieborak ocknął się i potrzęsnał głową.

— Wcaleś pan nie spał? — zagadnął dozorca.

— Nie wiem — odpowiedział Dantès. Dozorca spojrział zdziwiony.

— A nie jesteś pan głodny? — indagował dalej.

— Nie wiem — powtórzył Dantès.

— Potrzebujesz pan czegoś?

— Chcę porozmawiać z naczelnikiem. Dozorca wzruszył ramionami i wyszedł.

Dantès śledził go wzrokiem, wyciągnął ręce w kierunku uchylonych drzwi, ale drzwi się zamknęły.

Wtenczas z piersi więźnia wydobyło się łkanie, które, rzekłbyś, rozerwać je mogło. Łzy nagromadzone pod powieką trysnęły strumieniem. Padł na kolana, uderzając czołem o ziemię i modlił się długo, sięgając pamięcią najmłodszych lat, zapytując samego siebie, jaką zbrodnię popełnił w tym tak krótkim życiu; czym zasłużył na tak srogą karę?

Tak minął dzień. Nieborak zjadł tylko parę kęsów chleba, popijając wodą. Już to zatopiony w myślach przysiadł na zydlu, już to niby dzikie zwierzę zamknięte w żelaznej klatce, miotał się po celi.

Pewna myśl doprowadzała go do szczególnej pasji: otóż podczas tej podróży, kiedy nieświadomy jej celu zachowywał się cicho i spokojnie, miał z dziesięć razy okazję skoczyć w morze i jako wytrwały pływak — jeden z najrzeczniejszych w Marsylii — mógł być dać nura, ująć strażom, dopłynąć do brzegu, uciec, zaszyć się nad jakąś opustoszałą zatoczką, poczekać na genueński albo kataloński statek, dostać się do Włoch czy do Hiszpanii i stamtąd napisać do Mercedes, żeby do niego przyjechała. Gdziekolwiek los by rzucił, potrafiłby zarobić na życie — o to był spokojny; doświadczeni marynarze wszędzie są poszukiwani; mówił po włosku jak Toskańczyk, a po hiszpańsku — niczym rodowity Kastylczyk. Żyłby wolny i szczęśliwy, razem z Mercedes i ojcem, który przyjechałby także. Tymczasem jest więźniem, zamkniętym w nieprzebytych murach zamku If i nie wie, co się dzieje z ojcem i narzeczoną, a wszystko dlatego, że poszedł na lep słów Villeforta. Stanowczo, można było oszaleć: toteż wił się z wściekłości na świeżej słomie, którą przyniósł mu dozorca.

Nazajutrz, o tej samej porze, dozorca zjawił się w celi.

— No i jak tam — zagadnął — nie zmądrzałeś pan aby? Dantès nie odpowiedział.

— No, no — mówił dalej — nabierz pan trochę odwagi. A może potrzebujesz pan czegoś, co mógłbym ci dostarczyć? Odezwiże się wreszcie.

— Chcę się zobaczyć z naczelnikiem.

— Eee — zachnął się dozorca — mówiłem już panu, że to niemożliwe.

— Dlaczego?

— Bo regulamin zabrania więźniom o to prosić.

— A na co pozwala?

— Można mieć, za opłatą, lepszy wikt; więzień może chodzić na spacer, a niekiedy dostaje książki.

— Nie potrzebuję książek, spacerować też nie mam ochoty, a jedzenie, moim zdaniem, jest dobre; toteż pragnę tylko jednego: zobaczyć się z naczelnikiem więzienia.

— Jeżeli będziesz mnie pan zanudzał, powtarzając w kółko to samo, przestanę przynosić jedzenie.

— To i co? — odparł Dantès — jeśli nie będę miał co jeść, umrę z głodu i basta.

Sposób, w jaki Dantès wymówił te słowa, przekonał dozorcę, że ten nieborak rad byłby umrzeć, a ponieważ każdy więzień — obliczywszy rzecz dokładnie — daje swojemu dozorczy około dziesięciu sous dziennego profitu, opiekun Dantèsa obrachował szybko, jaką poniósłby stratę, zagłodziwszy na śmierć naszego bohatera, toteż ozwał się nieco łagodniej:

— Posłuchaj pan: to, czego żądasz, jest niemożliwe; przestań nalegać, bo nie zdarzyło się jeszcze, żeby naczelnik przychylił się do prośby więźnia i przyszedł do jego celi. Radziłbym natomiast zachowywać się spokojnie, a wtedy będziesz pan chodził na spacer i pewnego dnia spotkasz może naczelnika. Wtedy go zapytasz, a czy zechce ci odpowiedzieć — to tylko jego sprawa.

— No, a ileż czasu musiałbym czekać na ten szczęśliwy traf? — spytał Dantès.

— O, do czorta! Miesiąc, trzy miesiące, pół roku, a może i rok.

— To za długo — odparł Edmund. — Chcę się z nim zaraz zobaczyć.

— Nie zaprzątaj pan sobie głowy tym jedynym, niemożliwym do spełnienia życzeniem, bo nie miną dwa tygodnie, a zwariujesz.

— Tak sądzisz!

— Aha, oszalejesz pan. To się zawsze w ten sposób zaczyna. Mamy już tutaj takiego jegomościa: ksiądz, który przed panem mieszkał w tej celi, ofiarowywał ustawicznie okrągły milion naczelnikowi w zamian za wolność — i właśnie dlatego teraz goni w piętkę.

— A kiedy opuścił tę celę?

— Dwa lata temu.

— Wypuszczono go z więzienia?

— Gdzie tam! Zamknięto w lochu.

— Słuchaj! — rzekł Dantès. — Nie jestem księdzem; nie jestem też wariatem, choć może wkrótce zwariuję; na nieszczęście jestem jednak przy zdrowych zmysłach. Chcę ci coś zaproponować.

— Co?

— Nie myślę ofiarowywać ci miliona, bobym ci go nie mógł dać, ale dostaniesz ode mnie sto dukatów, jeżeli będąc w Marsylii, pójdziesz do wsi katalońskiej, i oddasz list pewnej damie imieniem Mercedes... ba, nawet nie list... ot, kilka słów.

— Gdyby mnie przychwycono z tym listem, choćby zawierał tylko dwa wiersze — straciłbym miejsce, które daje mi tysiąc liwrow rocznie, nie licząc obrywków i wikt. Widzisz więc pan, że byłbym ostatnim durniem, gdybym puścił się na takie ryzyko, chcąc zarobić trzysta liwrow.

— Kiedy tak, to posłuchaj i zapamiętaj sobie dobrze — odpowiedział Edmund. — Jeśli nie zgodzisz się zawiadomić naczelnika, że chcę z nim porozmawiać, jeżeli nie zaniesiesz listu Mercedes albo nie zawiadomisz jej, że jestem tutaj, zaczaję się kiedyś na ciebie za drzwiami i rozwalę ci łeb tym stołkiem, kiedy przestąpisz próg mojej celi.

— Grozisz mi pan! — wrzasnął dozorca, cofając się o krok i gotując się do obrony. — Stanowczo, dostałeś kręcka! Ksiądz też tak zaczął, to i pan za trzy dni zbzikujesz do reszty i trzeba ci będzie nałożyć kaftan. Całe szczęście, że mamy w tym zameczku niezłe lochy!

Dantès chwycił zydel i jął nim wywijać nad głową.

— Doskonale, doskonale! — rzekł dozorca. — Kiedy się pan tak upierasz, zawiadomię naczelnika.

— Chwała Bogu! — odparł Dantès stawiając zydel, po czym siadł i spuścił głowę. Rzekłbyś, zwariował nieborak naprawdę, tak nieprzytomne miał teraz oczy.

Dozorca wyszedł i wrócił za chwilę, prowadząc czterech żołnierzy i kaprala.

— Na rozkaz naczelnika — rzekł — sprowadźcie więźnia o piętro niżej.

— Do lochu? — upewnił się kapral.

— Tak. Niech wariaci siedzą z wariatami.

Żołnierze chwycili Dantèsa, lecz on, jakby ogarnięty duchowym bezwładem, poszedł za nimi, nie stawiając oporu.

Zeszli po stopniach — było ich może piętnaście — i otwały się drzwi lochu; Dantès wszedł szepcząc:

— On ma rację: wariaci muszą być z wariatami.

Drzwi trzasnęły, a Edmund, wyciągnąwszy ręce, ruszył przed siebie, spotkał mur, usiadł w kącie i pozostał tam jak martwy. Jego wzrok przyzwyczaił się po trochu do ciemności i Dantès jął rozróżniać otaczające go przedmioty.

Dozorca nie mylił się: jeszcze moment, a Dantès naprawdę by oszalał.

9. WIECZÓR ZARĘCZYNOWY

Jak się rzekło, Villefort wrócił na plac Grand-Cours, a u państwa de Saint--Méran zastał wszystkich biesiadników, tylko nie w jadalni, ale w salonie, pijących kawę.

Renata oczekiwała go z niecierpliwością, którą podzielało całe towarzystwo. Toteż powitały go zmieszane okrzyki:

— No cóż tam, panie egzekutorze, podpora państwa, Brutusie monarchii? Cóż się stało? Powiedz pan! — dopytywał się ktoś.

— Znowu terror nam zagraża? — pytał inny.

— Czy korsykański potwór wytknął łeb z jaskini? — padło trzecie pytanie.

— Pani margrabino — odezwał się Villefort, podchodząc do przyszłej teściowej — proszę pokornie, byś raczyła pani darować, że tak nagle muszę ją opuścić... Panie margrabio, czy mógłbym zamienić z panem kilka słów na osobności?

— Ach, więc to naprawdę jakaś poważna sprawa — zatroskała się margrabina, widząc zaszępienie oblicze Villeforta.

— Tak poważna, że jestem zmuszony pożegnać państwa na kilka dni. Pojmujesz więc pani — dorzucił zwracając się do Renaty — że chodzi o rzecz wielkiej wagi.

— Wyjeżdżasz więc pan? — zawołała Renata, niezdolna ukryć alteracji, o jaką przyprawiła ją ta nieoczekiwana wiadomość.

— Niestety tak, panno Renato. To konieczne.

— A dokąd pan jedziesz? — spytała margrabina.

— To tajemnica urzędowa, łaskawa pani. Jeśli jednak ktoś z państwa ma jakieś naglące sprawy w Paryżu, jeden z moich przyjaciół wybiera się tam dziś wieczór i chętnie je załatwi.

Wszyscy spojrzeli po sobie.

— Chciałeś pan ze mną porozmawiać — przypomniał mu margrabia.

— Tak. Jeśli pan pozwoli, przejdziemy do gabinetu. Margrabia wyszedł wsparty na ramieniu Villeforta.

— No i co? — spytał w gabinecie. — Cóż się stało? Mów pan.

— Zaszły wypadki największej, jak mi się zdaje, wagi i dlatego muszę natychmiast jechać do Paryża. A teraz, panie margrabio, racz pan darować to nazbyt obcesowe pytanie — czy masz pan rentę w papierach państwowych?

— Ulokowałem wszystkie fundusze, a będzie tego sześćset, może siedemset tysięcy franków, w obligacjach.

— Niech pan sprzeda obligacje, i to natychmiast, inaczej będziesz zrujnowany.

— Jakże je mogę tutaj sprzedać?

— Masz pan swojego agenta giełdowego, nieprawdaż?

— Tak.

— Daj mi pan do niego list, w którym zlecisz, aby je sprzedał nie tracąc ani chwili, ani sekundy. Kto wie, czy i tak nie przybędę za późno.

— Do diabła! — zafrasował się margrabia. — Nie traćmy więc czasu. Siadł przy stole i napisał kilka słów do agenta giełdowego, polecając mu sprzedać obligacje za każdą cenę.

— Mam już jeden list — powiedział Villefort, wsuwając troskliwie pismo do pugilaresu — trzeba mi jeszcze drugiego.

— Do kogo?

— Do króla.

— Do króla?

— Tak.

— Ależ ja nie ośmielę się napisać do naszego monarchy.

— Toteż właściwie nie do pana zwracam się z tą prośbą. Czy mógłbyś pan uprosić o to pana de Salvieux?... Trzeba, żeby mi dał pismo, dzięki któremu zdołałbym, ominąwszy wszelkie formalności towarzyszące zazwyczaj prośbie o audiencję, stanąć jak najprędzej przed obliczem Najjaśniejszego Pana, albowiem czas nagli.

— A czy nie możesz pan pogadać z ministrem sprawiedliwości, który wciąż bywa w Tuileryach, i za jego instancją łatwo dotrzeć do króla, czy to w dzień, czy nocą?

— Oczywiście, ale nie widzę potrzeby, żeby ktokolwiek podzielił ze mną profit, bo mam nie lada nowinę. Rozumiesz pan? Minister zepchnąłby mnie naturalnie do drugiego rzędu, zdmuchnąłby mi sprzed nosa to, co najlepsze. Powiem panu, panie margrabio, tylko jedno: kariera pójdzie mi jak z płatka, jeśli zdążę pierwszy do Tuileryów, bo wtedy wyświadczę królowi taką przysługę, o jakiej zapomnieć nie wolno.

— W takim razie, kochasiu, pakuj manatki, a ja zawołam starego Salvieux i podyktuję mu list, który posłuży ci za przepustkę.

— Dobrze, ale niech pan margrabia nie zwleka, bo za kwadrans muszę być w karetce pocztowej.

— Każ pan zajechać po siebie.

— Zechciej mnie pan usprawiedliwić przed panią margrabiną i panną Renatą, którą z prawdziwym żalem muszę w takim dniu opuścić.

— Zastaniesz obie panie w moim gabinecie, to je pożegnasz osobiście.

— Stokrotne dzięki. Zajmij się pan moim listem. Margrabia zadzwonił; wszedł lokaj.

— Powiedz panu hrabiemu de Salvieux, że proszę go do siebie. A teraz idź pan już — rzekł do Villeforta.

— Dobrze, idę i zaraz wracam.

Villefort wypadł z pokoju. Ale w drzwiach przemknęło mu przez myśl, że zastępca prokuratora królewskiego, który biegłby ulicami, gotów byłby poruszyć całe miasto. Zwolnił więc kroku i poszedł dalej uroczyście, urzędowo — jak zwykle.

Przed domem dojrzał jakąś postać, która niby białe, nieruchome widmo czekała na niego.

Była to piękna Katalonka, która nie wiedząc, co się dzieje z Edmundem, wymknęła się o zmierzchu z Pharo, aby wywieźć się, dlaczego pojmano jej ukochanego.

Na widok Villeforta odsunęła się od ściany, o którą się oparła, i zastąpiła podprokuratorowi drogę. Dantès napomknął substytutowi o swojej narzeczonej i Villefort poznał dziewczynę, zanim powiedziała, kim jest. Uroda i wrodzona dystynkcja tej panny sprawiły w zdumienie pana podprokuratora, a kiedy Mercedes spytała o los narzeczonego, Villefort odniósł wrażenie, że to ona jest sędzią, on sam zaś — oskarżonym.

— Człowiek, o którym pani mówi, jest wielkim przestępcą — odburknął — i nic nie mogę dla niego uczynić.

Mercedes zaszlochała, ale kiedy Villefort chciał ją wyminąć, zatrzymała go po raz wtóry.

— A gdzie on jest? — spytała. — Niechże się dowiem przynajmniej, czy żyje?

— Nie wiem. Już się nim nie zajmuję — uciał Villefort.

Zakłopotany bystrym spojrzeniem i błagalnym gestem, odepchnął Mercedes, wszedł do domu i zamknął szybko drzwi, jak gdyby nie chciał wpuścić tego bólu, którym tchnęła. Ale niełatwo odegnąć od siebie czyjąś boleść. Ten, którego ona dosięgnie, unosi ją ze sobą niby ową śmiertelną strzałę, o której powiada Wergiliusz. Jakoż i Villefort, wróciwszy, zamknął za sobą drzwi, ale zachwiał się — on teraz — kiedy wszedł do salonu. Westchnął, a raczej zaszlochał i padł bezwładnie na fotel.

Wtedy na dnie chorego serca powstała zaródź śmiertelnego wrzodu. Ów człowiek, ofiara jego ambicji, ów niewinny, który płacił za błędy starego pana Noirtier, zjawił się Villefortowi przed oczyma: błąd i groźny prowadził za rękę narzeczoną, jak i on błądą, niosąc ze sobą wyrzuty, ale nie te gwałtowne, od których konający zrywa się z łóżka, jak gdyby nękany przez furie antycznej fatalności, ale wyrzuty, co brzmią w uszach boleśnie i monotonicznie, godzą w serce, zadając ból okrutny i szarpający, co pogłębia się i zamienia w śmiertelną chorobę.

Wtedy Villefort zawahał się na chwilę. Już kilka razy wołał o karę śmierci dla przestępcy, ale doznawał zawsze tylko tych wzruszeń, które towarzyszą walce między sędzią a oskarżonym. Egzekucja tych oskarżonych, skazanych na skutek miażdżących argumentów podprokuratora, które zdołały przekonać sędziów albo przysięgłych, nie zachmurzyła mu nigdy czoła, ci oskarżeni bowiem byli winowajcami albo przynajmniej uchodzili za takich w oczach Villeforta. Ale tym razem rzecz przedstawiała się inaczej: skazał na dożywotnie więzienie człowieka niewinnego — człowieka, który niebawem miał być szczęśliwy, odebrał mu więc nie tylko wolność, ale i szczęście. Tym razem nie był sędzią, lecz katem.

Rozmyślając o tym, uczył to głuche kołatanie serca, obce mu dotąd, a które opisaliśmy wyżej. Ozwąło się gdzieś na samym dnie i przejęło go nieokreślonym lękiem. W podobny sposób dojmujący ból ostrzega zranionego, który bez drżenia nie tknie otwartej, krwawiącej rany, zanim się ona nie zasklepi.

Ale rana Villeforta należała do tych, co się nie goją, a zasklepiwszy się na moment, otwierają się znów, jątrzą, krwawią i dopiekają bardziej niż wprzód.

Gdyby w tej chwili w uszach Villeforta rozbrzmiał słodki głos Renaty proszącej o łaskę, gdyby wtargnęła piękna Mercedes i rzekła: „W imię Boga, który nas widzi i sądzi, oddaj mi narzeczonego”... tak, ta głowa do połowy zgięta pod ciężarem konieczności pochylałaby się całkiem i nie bacząc na wszelkie konsekwencje, Villefort na pewno podpisałby złodowaciałą ręką rozkaz, aby Dantèsa

uwolniono. Ale żaden głos nie ozwał się w tej ciszy, a w drzwiach, które się otwały, stanął tylko lokaj, by zameldować, że konie pocztowe zaprzężone do karety podróźnej już czekają.

Villefort wstał — a raczej zerwał się jak ktoś, kto odniósł zwycięstwo w walce wewnętrznej — podbiegł do kantorka, napełnił kieszenie złotem, które wyjął z szufladki, przez chwilę dreptał spłoszony po pokoju, wodząc ręką po czole i mamrocząc bez związku; wreszcie, kiedy lokaj narzucił mu płaszcz na ramiona, wybiegł z domu, wskoczył do karety i rozkazał krótko jechać na plac du Grand-Cours, do państwa de Saint-Méran.

Na nieszczęsnego Edmunda wyrok już zapadł.

Pan de Saint-Méran dotrzymał słowa: Villefort zastał w gabinecie margrabinę i Renatę. Na widok Renaty młodzieniec zadrzał, lękając się nowych próśb o uwolnienie Dantèsa. Ale niestety! Trzeba to powiedzieć — wstyďte się, egoiści! — że myśl tej pięknej panny zaprzętała teraz tylko jedna sprawa: wyjazd narzeczonego.

Panna de Saint-Méran kochała narzeczonego, ten zaś wyjeżdżał niemal w przeddzień ślubu i nie potrafił powiedzieć, kiedy wróci; toteż Renata zamiast współczuć Dantèsowi, przeklinała tego człowieka, który swoim zbrodniczym postępkim przyczynił się do jej chwilowego rozstania z ukochanym.

A cóż powinna by rzec Mercedes?

Na rogu ulicy de la Loge biedna Mercedes natknęła się na Fernanda, który szedł za nią krok w krok. Wróciła do wioski katalońskiej i na pół żywa z rozpaczyc rzuciła się na łóżko. Fernand ukląkł obok, a Mercedes była tak zboląła, że mógł tulić i całować gorąco jej lodowate ręce, gdyż ani pieśzcoty, ani tych pocałunków nie czuła.

Tak minęła noc. Lampa zgasła, gdyż knot wypił wszystką oliwę; Mercedes nie dostrzegąła ciemności, tak samo jak nie widziała światła, a gdy słońce weszło, nie zobaczyła i słońca.

Zgryzota jakby zawiązała jej oczy opaską, poprzez którą widziała tylko Edmunda.

— Ach, jesteś tutaj — rzekła zwracając się ku Fernandowi.

— Od wczoraj nie opuściłem cię ani na chwilę — odpowiedział Fernand westchnąwszy boleśnie.

Pan Morrel nie dał za wygraną: dowiedziawszy się, że Dantès został po przesłuchaniu uwięziony, pobiegł do przyjaciół, odwiedził wszystkie ustosunkowane osobistości marsylskie, spodziewając się, iż użyją w tej sprawie swoich wpływów. Jakoż rozeszła się już pogłoska o pojmaniu Edmunda za czynny bonapartyzm, każdy więc przyjmował pana Morrela nader chłodno, odprawiając go po prostu z kwitkiem lub też dając wykrętne, dyktowane strachem odpowiedzi, podówczas bowiem najwięksi śmiałkowie poczytywali wysiłki Napoleona, zmierzające do powrotu na tron .Francji, za szaleńcze rojenia; i pan Morrel wrócił do domu zdesperowany, ale przyznać musiał, że sprawa jest bardzo poważna i że nikt nie zdoła tu pomóc.

Caderousse też bardzo niepokoił się i martwił. Zamiast wyjść, jak to był uczynił pan Morrel, i przedsięwziąć jakieś kroki w obronie Dantèsa, któremu zresztą niewiele mógł dopomóc, zamknął się na cztery spusty i usiłował zatopić smutek w dwóch butelkach nalewki z czarnych porzeczek.

Ale w tym stanie uczuć, w jakim się znajdował, dwie butelczyny nalewki nie mogły mu zamącić jasności sądu; nazbyt pijany, aby iść do sklepu po trunek, ale zbyt przytomny, żeby zapomnieć o ostatnich wydarzeniach, siedział podpartszy się łokciami przy koślawym stole, naprzeciw dwóch pustych flaszek; zdawało mu się, że w chybotliwym blasku kopczącej łojówki dostrzega te wszystkie widziadła, którymi Hoffmann zasnuł niby dymem czarnym i fantastycznym swoje manuskrypty wilgotne od ponczu.

Tylko Danglars o nic się nie troszczył i nie martwił. Danglars cieszył się nawet, bo wywarł zemstę na wrogu, a i zapewnił sobie stanowisko na pokładzie „Faraona”, które obawiał się być utracić. Danglars zaliczał się do ludzi wyrachowanych, którzy rodzą się po to, by nosić pióro za uchem, a kałamarz zastępuje im serce: wszystko na świecie sprowadza się dla nich do odejmowania albo mnożenia i cyfra wydaje im się szacowniejsza od człowieka, jeśli cyfra zdoła powiększyć zyski, które człowiek mógłby zmniejszyć.

Danglars położył się więc o zwykłej porze i spał spokojnie.

Otrzymałszy list od pana de Salvieux, Villefort ucałował dłoń margrabinę, a także oba policzki Renaty, i uściśnął rękę pana de Saint-Méran; teraz zaś cwałował rozstawnymi końmi po drodze wiodącej do Aix.

Stary Dantès przymierał z niepokojem i frasunku.

Jeśli zaś idzie o Edmunda — wiemy, co się z nim stało.

10. GABINECIK W TUILERIACH

Pozostawmy Villeforta na paryskim trakcie, po którym pan Gerard pędzi na leb, na szyję kolaską zaprzężoną w trójkę najętych koni, i zajrzyjmy, minawszy kilka tuilerskich salonów, do małego gabineciku o łukowatym oknie — gabineciku dobrze znanego: upodobał go sobie Napoleon, później Ludwik XVIII, a dziś Ludwik Filip przebywać tam lubi.

Tutaj Ludwik XVIII siedząc przy orzechowym stole przywiezionym z Hartwell, który szczególnie sobie cenił — bo wielcy tego świata mają swoje dziwactwa — słuchał raczej lekceważąco, a zarazem coś notując na marginesie tomu Horacego, w niechlujnej, aczkolwiek cenionej edycji Gryphiusa, słów siwowłosego mężczyzny lat około pięćdziesięciu; dostojnik ten o rysach arystokratycznych i nienagannie ubrany darzył wielką atencją wnikliwe uwagi filozoficzne Jego Królewskiej Mości.

— Powiedziałeś pan?... — spytał król.

— Że jestem w najwyższym stopniu niespokojny, sire.

— Doprawdy! Czyżbyś pan śnił dzisiejszej nocy o siedmiu krowach tłustych i siedmiu chudych?

— O, nie, Wasza Królewska Mość; taki sen wróżyłby nam tylko siedem lat urodzaju i siedem lat głodu, a niedostatek nam nie zagraża pod rządami Miłościwego Pana, monarchy wielce przewidującego.

— Jakież więc innej plagi mamy się spodziewać, mój kochany Blacas?

— Najjaśniejszy Panie, wszystko, jak sądzę, przemawia za tym, że z Południa nadciąga burza.

— Ach tak, drogi hrabio? — zdziwił się Ludwik XVIII. — Wydaje mi się, że źle pana poinformowano; przeciwnie, wiem z całą pewnością, że pogoda tam teraz jak rzadko.

Chociaż Ludwik XVIII był człowiekiem dowcipnym, lubił niewybredny żart.

— Czy Najjaśniejszy Pan nie raczyłby, ot tak, dla zapewnienia spokoju wiernemu słudze, rozesłać ludzi zaufanych, którzy by zbadali nastroje wśród mieszkańców Langwedocji, Prowansji i Deliinatu?

— Canimus surdis — odparł król, notując dalej swoje uwagi na marginesie Horacego.

Dworak roześmiał się udając, że zrozumiał hemistych poety z Wenuzji, po czym ozwał się:

— Najjaśniejszy Pan nie myli się zapewne, polegając na wierności poddanych; obawiam się jednak, że i moje przewidywania nie są mylne: doszły mnie słuchy o rozpaczliwych próbach...

— Czyich?

— Bonapartego. Albo przynajmniej jego zwolenników.

— E, kochasiu, nie dajesz mi pracować, strasząc tylko i strasząc.

— Wasza Królewska Mość czuje się wciąż nazbyt bezpieczny i to właśnie spędza mi sen z powiek.

— Cierpliwości, serdeńko, cierpliwości: zaświtała mi śliczna myśl na temat Pastor cum traheret; poczekaj no chwileczkę, potem opowiesz mi resztę.

Zapadło krótkie milczenie, podczas którego Ludwik XVIII zanotował maczkiem nową uwagę na marginesie Horacego. Wpisawszy ową glose:

— Mów dalej, kochany hrabio — powiedział, wstając z miną człowieka święcie przekonanego, że udał mu się oryginalny i świetny koncept, a nie komentarz do cudzych myśli — mów pan dalej, słucham, słucham.

— Sire — odezwał się Blacas, który przez moment łudził się nadzieją wykorzystania wieści, zasłyszanych od Villeforta — jestem zmuszony powiedzieć Miłościwemu Panu, że to nie bezpodstawne pogłoski, ot, takie sobie gadanie na wiatr, zaniepokoiły mnie tak mocno. Człowiek, którego mam na myśli, jest rozsądny, zasługuje całkowicie na moje zaufanie i to ja powierzyłem mu pieczę nad południem Francji (tu księżę zawahał się nieznacznie); on to przyjechał rozstawnymi końmi, by mi rzec: „Wielkie niebezpieczeństwo zagraża królowi”. Przybiegłem więc co tchu, sire.

— Mała ducis avi domum — rzekł Ludwik XVIII notując dalej.

— Czy Miłościwy Pan zakazuje mi nastawać dłużej?

— Nie, kochany hrabio; ale wyciągnij pan rękę.

— Którą?

— Którą ci się podoba, tu, na lewo.

— Tutaj, sire?

— Mówię panu: na lewo, a sięgasz ręką w prawo; rozumiałem — na lewo ode mnie. O, właśnie, trafiłeś pan, tutaj musi być wczorajszy raport ministra policji. Ale kochasiu, otóż i pan Dandré we własnej osobie... Powiedzieliś, prawda, pan Dandré? — spytał zwracając się do kamerdynera, który istotnie oznajmił przybycie

ministra policji.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, pan baron Dandré — powtórzył kamerdyner.

— Słusznie, pan baron — poprawił Ludwik XVIII, uśmiechnąwszy się nieznacznie...— Prosimy, baronie, chodź i opowiedz księciu, co tam porabia obecnie pan de Bonaparte. Nie skrywaj nic, choćby sytuacja była nader poważna. Proszę, proszę, a może wyspa Elba jest wulkanem, w którego czeluściach narodzi się gorąca i sroga wojna: bella, horrida bella?

Pan Dandré zahaustał się z gracją na poręczu fotela, o którą wsparł dłoń.

— Czy Miłościwy Pan raczył spojrzeć na wczorajszy raport?

— Tak, tak, ale powtórz księciu, który nie może go znaleźć, co tam było. Opowiedz mu szczegółowo, czym się trudni uzurpator na swojej wyspie.

— Panie hrabio — rzekł baron — wszyscy słudzy Jego Królewskiej Mości winni radować się najświeższymi nowinami z Elby. Bonaparte...

Tu pan Dandré spojrział na Ludwika XVIII, który notując pilnie, nie podniósł nawet głowy.

— Bonaparte — prawił dalej baron — nudzi się śmiertelnie; całymi dniami przygląda się pracy górników w Longone.

— I aby się nieco rozerwać, co i raz się podrapie — wtrącił król.

— Drapie się? — zdumiał się hrabia. — Co Miłościwy Pan przez to rozumie?

— Ależ tak, kochany hrabio; czyżbyś zapomniał, że ta znakomitość, ten bohater, ten półbóg, jest dotknięty chorobą, która go wyniszcza, zwaną prurigo?

— Nie tylko to, panie hrabio — ciągnął minister policji — jesteśmy niemal pewni, że uzurpator niebawem zwariuje.

— Zwariuje?

— Zwariuje na dobre; już teraz pomieszało mu się w głowie. Albo rzewnie płacze, albo śmieje się na całe gardło; to znów przesiaduje godzinami na brzegu morza puszczając kaczkę, a jeśli kamień odbije się ze sześć razy, uzurpator okazuje tak żywą radość, jakby znowu zwyciężył pod Marengo albo Austerlitz. Musisz pan przyznać, że to wyraźne objawy szaleństwa.

— Albo rozsądku, panie baronie — wtrącił z uśmiechem monarcha. — Puszczaniem kaczek po morzu zabawiali się w starożytności wielcy wodzowie. Przeczytaj pan u Plutarcha żywot Scypiona Afrykańskiego.

Niefrasobliwość tych dwóch personatów wprawiła pana de Blacas w głęboką zadumę. Villefort, nie chcąc dopuścić, żeby kto inny wyciągnął kasztany z ognia, nie wyjawiał całej prawdy; powiedział jednak dość, by minister zaniepokoił się mocno.

— Wystarczy, wystarczy, panie baronie — ozwał się Ludwik XVIII — toć widzisz, że Blacas nie daje się przekonać. Przejdźmy lepiej do innej sprawy; jakże tam z tym nawróceniem uzurpatora?

Minister policji skłonił się.

— Nawrócenie uzurpatora? — szepnął hrabia, spoglądając na króla i pana Dandré, którzy prowadzili dialog niby pasterze u Wergiliusza. — Napoleon nawrócił się?

— Całkowicie, kochany hrabio.

— Ale na co się nawrócił?

— Hołduje teraz wzniosłym zasadom, wyjaśnij to, baronie...

— Otóż to, panie hrabio — odpowiedział minister, najpoważniej w świecie. — Ostatnimi czasy Napoleon dokonał przeglądu swoich wojsk i podczas owej rewii kilku wiarusów (tak ich sam nazywa) wyraziło chęć powrotu do Francji; uzurpator zwolnił ich napominając, by służyli prawowitemu królowi. To jego własne słowa, panie hrabio, jestem tego pewien.

— No i cóż pan na to? — zagadnął triumfująco król, zaprzestawszy na moment wertować gruby tom komentarzy, który miał przed sobą.

— Uważam, Miłościwy Panie, że albo minister policji się myli, albo ja jestem w błędzie; nie sądzę jednak, aby pan minister, który czuwa nad bezpieczeństwem i honorem Jego Królewskiej Mości, mógł się mylić, i to ja zapewne popełniam błąd. Mimo to, będąc na miejscu Najjaśniejszego Pana,

porozmawiałbym z tym człowiekiem, o którym wspominałem; będę nawet nalegał, żeby Miłościwy Pan wyświadczył mu raczył tę łaskę.

— Bardzo chętnie, kochany hrabio; za pańską instancją przyjmę, kogo tylko zechcesz, ale pragnę go przyjąć z bronią w rękę. Panie ministrze, czy masz pan raport świeższej daty, bo ten jest z 20 lutego, a dziś już mamy 3 marca?

— Nie, Miłościwy Panie, ale oczekuję go z godziny na godzinę. Wyszedłem wcześniej, może dotarł na miejsce podczas mojej nieobecności.

— Idź pan do prefektury, a jeśli raportu nie ma... no, cóż... — dorzucił śmiejąc się Ludwik XVIII — wysmaż go pan jakoś; bo to dla was nie nowina, nieprawdaż?

— Ach, Najjaśniejszy Panie, dzięki Bogu, nie potrzeba tutaj nic zmyślać; co dzień nasze biurka zasłane są drobiazgowymi donosami; otrzymujemy je od gromady hołyszów, co spodziewają się, że tak czy owak wynagrodzimy im usługi, których nie oddają, ale które oddawać by pragnęli. Stawiają na chybił trafił, łudząc się, że któregoś dnia ich prorocтва ziszczą się niespodzianie.

— Wybornie, wybornie, idź pan zatem, a pamiętaj, że czekam.

— Pobiegnę i zaraz wrócę, Najjaśniejszy Panie, za dziesięć minut znów tu będę.

— A ja, Miłościwy Panie, pójdę do mojego wysłannika.

— Nie gorączkuj się, kochanku, nie gorączkuj się — zmiłgował go Ludwik XVIII. — Doprawdy, warto by zmienić twój herb: damy ci orła z rozwiniętymi skrzydłami, trzymającego w szponach ofiarę, która daremnie chciałaby umknąć. Zaopatrzymy ten herb dewizą: Tenax.

— Jestem na rozkazy, Miłościwy Panie — odpowiedział de Blacas, gryząc palce 7. niecierpliwości.

— Chciałem się pana poradzić o ten urywek: Molli fugies anhelitu; jak pan wiesz, mowa tu o jeleniu uciekającym przed wilkiem. Przecież jesteś pan myśliwym i wielkim łowczym, jako więc znawca spraw myśliwskich, co byś sądził o tym: molli anhelitu?

— To nadzwyczaj zajmujące, sire! Ale ów rączy jeleni, o którym Najjaśniejszy Pan wspomniał, przywodzi mi na pamięć mojego wysłannika, albowiem przebył on karetką pocztową dwieście mil, i to w trzy dni!

— A na cóż tyle fatygi i zachodu, mój kochany hrabio, skoro mamy telegraf, dzięki któremu można załatwić taką sprawę w kilka godzin, a trzeba dodać, że telegraf nie utrudzi się przy tym wcale.

— O, Miłościwy Pan krzywdzi tego młodzieńca, który pełen zapału przybywa z daleka, aby przekazać pożyteczną informację. Choćby ze względu na pana de Salvieux, za którego instancją wnoszę moją prośbę, racz Wasza Królewska Mość przyjąć go łaskawie.

— Pan de Salvieux, szambelan mojego brata?

— Tak. On sam.

— To możliwe, siedzi akurat w Marsylii.

— Stamtąd właśnie do mnie pisze.

— Czy i on napomyka coś o spisku?

— Nie, ale poleca moim względom pana de Villefort i prosi, żebym go wprowadził do Najjaśniejszego Pana.

— Pan de Villefort? — krzyknął król. — Ten wysłannik nazywa się de Villefort?

— Tak, Miłościwy Panie.

— I on to przyjechał z Marsylii?

— We własnej osobie.

— Czemuś mi pan od razu nie powiedział nazwiska? — spytał król, a po twarzy jego przemknął cień niepokoju.

— Sire, anim przypuszczał, że Najjaśniejszy Pan zna to nazwisko.

— O, tak, kochasiu, to człowiek poważny, wykształcony, a przede wszystkim ambitny; i, do diaska, znasz pan jego ojca!

— Jego ojca?

— Tak. To Noirtier.

— Noirtier żyrondyista? senator?

— Tak, właśnie.

— I Najjaśniejszy Pan korzysta z usług człowieka, którego ojciec!...

— Mój miły przyjacielu, nic tu nie pojmujesz; powiedziałem ci przecie, że Villefort to ambicjusz: dla kariery poświęci wszystko, nawet rodzzonego ojca.

— A zatem, sire, czy mogę go wprowadzić?

— Momencik, hrabio. Gdzież on jest?

— Pewnie czeka na dole, w mojej karcie.

— Idź pan po niego.

— Biegnę.

Hrabia wybiegł młodzieńczym krokiem; zapal, z jakim ten oddany sługa królewski spełniał swoje obowiązki, zdawał się mu ujmować dwadzieścia lat.

Ludwik XVIII został sam; rzuciwszy okiem na otwarty tom Horacego, szepnął:

— *lustum et tenacem propositi virum.*

Pan de Blacas powrócił z taką samą szybkością, z jaką wyszedł, ale w przedśionku musiał się powołać na autorytet królewski: zakurzona odzież Villeforta, jego strój uchybiający wymogom dworskiej etykiety zirytował pana de Brézé zdumionego widokiem młodzieńca, który pragnął stanąć tak ubrany przed obliczem monarchy.

Ale hrabia usunął wszelkie trudności, powiedziawszy tylko: „Rozkaz królewski” i mimo zastrzeżeń, jakie mistrz ceremonii wysuwał nadal, występując w obronie zasady, Villefort został wprowadzony.

Król siedział na tym samym miejscu, gdzie zostawił go hrabia. Otworzył drzwi Villefort stanął na wprost króla. Ulegając pierwszemu odruchowi, młody sadownik jakby wrósł w ziemię.

— Proszę, panie prokuratorze — rzekł monarcha — niech pan wejdzie. Villefort skłonił się i postąpił kilka kroków, czekając, aż monarcha zwróci się do niego.

— Panie prokuratorze — zagadnął Ludwik XVIII — hrabia de Blacas utrzymuje, że przywiozłeś jakieś ważne nowiny.

— Pan hrabia się nie myli, sire; mam nadzieję, że i Najjaśniejszy Pan przyznać mi to raczy.

— Przede wszystkim, czy zło wydaje się panu aż tak wielkie, jak próbowano mnie o tym przekonać?

— Miłościwy Panie, sprawa to nagła, ale mam nadzieję, że mój pośpiech pozwoli zapobiec złu.

— Wyjaśnij pan rzecz dokładnie, jeśli łaska — rzekł król, któremu udzielało się wzburzenie widoczne na odmienionej do niepoznania twarzy pana de Blacas i przebijające z głosu Villeforta — mów, a nade wszystko zacznij ab ovo, gdyż lubię, aby wszędzie panował ład.

— Sire — ozwał się Villefort — zdam Miłościwemu Panu najściślejszy raport z przebiegu sprawy, ale proszę, by Wasza Królewska Mość darować raczył, jeśli w moje słowa wkradnie się jakaś niejasność, wywołana li tylko onieśmieleniem.

To zręczne pochlebstwo, rzucone na samym wstępie, zapewniło Villefortowi, jak się o tym zaraz przekonał, życzliwość dostojnego słuchacza.

— Sire, przyjechałem możliwie jak najszybciej do Paryża, aby powiadomić Miłościwego Pana, że wykryłem w ramach moich urzędowych funkcji zamach prawdziwy, który w niczym nie przypomina zwykłych spisków, jakie knują co dnia rozmaite męty społeczne albo wyrzutki z armii; to groźna zawierucha, która chciałaby zmieść ni mniej, ni więcej, tylko tron królewski. Sire, uzurpator uzbroił trzy okręty, ma jakieś zamiary, absurdalne być może, ale jakkolwiek absurdalne, mogą się one okazać straszliwe w skutkach. O tej porze uzurpator opuścił już wyspę Elbę, aby wylądować bądź w Neapolu, bądź na wybrzeżach Toskanii, bądź też nawet we Francji. Miłościwy Pan wie z pewnością, że władca Elby utrzymywał nadal stosunki z Włochami i z Francją?

— Tak, mój panie, wiem o tym — odparł król, wyraźnie poruszony — a ostatnio ostrzegano nas, że przy ulicy Świętego Jakuba odbywają się zebrania stronnictwa bonapartystów. Ale mów pan dalej, jakim sposobem dowiedziałeś się

O tych szczegółach?

— Sire, wiadomości te zebrałem, przesłuchując pewnego marsylczyka, którego kazałem inwigilować już od dłuższego czasu, a pojąłem w dniu mojego wyjazdu. Ten osobnik, marynarz, obieżyświat o poglądach bonapartystowskich, które wydawały mi się podejrzane, wstąpił cichaczem na Elbę; widział się z marszałkiem dworu, który powierzył mu specjalną misję: miał się udać do Paryża, odwiedzić pewnego bonapartystę — nazwiska tego człowieka nie udało mi się wydobyć — i przekazać mu ustne polecenie, żeby przygotował umysły na rychły z pewnością (Miłościwy Pan raczy zwrócić uwagę, że są to słowa podsądnego) powrót Napoleona.

— Gdzie jest ten człowiek?

— W więzieniu.

— A zatem sprawa wydała się panu poważna?

— Tak poważna, sire, że nie bacząc na nic, nawet na uroczystość rodzinną, bo to wszystko stało się akurat w dzień moich zaręczyn, pożegnałem narzeczoną

i przyjaciół, odroczyłem całą sprawę na później, żeby złożyć u stóp Najjaśniejszego Pana świadectwo moich głębokich obaw i dowód szczerego oddania.

— Ach, prawda — odrzekł Ludwik XVIII — doszły mnie słuchy o projektowanym pańskim małżeństwie z panną de Saint-Méran.

— Córką najwierniejszego sługi Waszej Królewskiej Mości.

— Tak, tak; ale wróćmy do sprawy spisku.

— Sire, obawiam się, że to więcej niż spisek — to zamach.

— Zamach w obecnym czasie — odpowiedział z uśmiechem Ludwik XVIII — jest przedsięwzięciem, które uplanować nietrudno, ale zrealizować trudniej, choćby dlatego, że odzyskawszy nieledwie od wczoraj tron naszych pradziadów, obracamy baczne spojrzenie zarówno ku przeszłości, jak teraźniejszości i przyszłości; od dziesięciu miesięcy moi ministrowie zdwajają czujność, dążąc do wzmocnienia straży na całym wybrzeżu Morza Śródziemnego. Gdyby Bonaparte wylądował w Neapolu, Koalicja zerwałaby się na równe nogi, nim dotarłby do Piombino; wylądowawszy w Toskanii postawiłby stopę we wrogim sobie kraju; gdyby zaś wylądował we Francji, miałby ze sobą tylko garstkę ludzi i łatwo dalibyśmy sobie radę z tym człowiekiem znienawidzonym przez ludność. Nie trap się więc pan daremnie, ale bądź pewny, że możesz liczyć na naszą monarszą wdzięczność.

— Ach! Otóż i pan Dandré — zakrzyknął hrabia de Blacas.

W tej chwili rzeczywiście pojawił się we drzwiach minister policji, bladły i drżący; mrugał oczami, jakby poraziło go światło.

Villcfort cofnął się o krok, żeby wyjść, ale zatrzymał go znaczący uścisk dłoni pana de Blacas.

11. POTWÓR KORSYKAŃSKI

Widząc wzburzone oblicze ministra, Ludwik XVIII odepchnął gwałtownie stół, przy którym siedział.

— Co się z panem dzieje, mój baronie? — zakrzyknął. — Wydajesz się czymś okropnie poruszony! Czyżby twój niepokój, twoje wahanie miały jakiś związek z tym, o czym napomykał pan de Blacas, a co potwierdził właśnie pan de Villefort?

Pan de Blacas podbiegł żywo do ministra policji; jako dworak odczuwał teraz przede wszystkim lęk, toteż własny sukces — jako męża stanu — nie wydał mu się czymś istotnym. Rzeczywiście, w tych okolicznościach wolałby doznać upokorzenia ze strony prefekta policji, aniżeli upokorzyć go dla podobnego powodu.

— Sire... — wyjąkał baron.

— I co dalej? — rzucił Ludwik XVIII.

Minister policji upadł w rozpaczy do stóp monarchy, który cofnął się o krok, marszcząc brew.

— Powiesz pan, do licha, w czym rzecz? — spytał król.

— O, Miłościwy Panie, jakież okropne nieszczęście! Czy można być bardziej pożałowania godnym! Nie pocieszę się nigdy.

— Panie baronie — rzekł Ludwik XVIII — rozkazuję panu mówić.

— Sire, 26 lutego uzurpator opuścił Elbę i wylądował 1 marca...

Gdzie? We Włoszech? — zagadnął żywo król.

— We Francji, sire, w małym porcie nie opodal Antibes, w zatoce Juan.

— 1 marca uzurpator wylądował we Francji, nie opodal Antibes, w zatoce Juan, o dwieście pięćdziesiąt mil od Paryża, a pan dowiaduje się o tym dopiero 3 marca!... Ech, panie, to, co mi pleciesz, jest zgoła niemożliwe; podsunęli ci fałszywy raport albo oszalał.

— Niestety, Miłościwy Panie, wiadomość jest aż nazbyt prawdziwa. Ludwik XVIII zerwał się z nieopisanym gniewem i trwogą, jakby ten cios

wymierzony zniecka ugodził go nie tylko w serce, ale był także policzkiem.

— We Francji! — zakrzyknął. — Uzurpator we Francji! Ha! Więc nie pilnowano tego człowieka! A kto wie, może mu sprzyjano?

— O, sire! — zawołał hrabia de Blacas. — Pan Dandré nie jest kimś, kogo można by pomawiać o zdradę; Miłościwy Panie, wszyscy byliśmy ślepi, a minister policji uległ ogólnemu zaślepieniu, ot i wszystko.

— Ależ... — wtrącił Villefort i urwawszy nagle rozpoczęte zdanie, rzekł z ukłonem: — Ach, przepraszam, sire, zbyt zapamiętałem się w gorliwości. Niech Miłościwy Pan raczy darować.

— Mów pan, mów śmiało — odparł Ludwik XVIII — pan jeden ostrzegałeś nas przed nieszczęściem, dopomóż nam teraz na nie zaradzić.

— Sire, uzurpatora nienawidzą na Południu i, moim zdaniem, jeżeli zapuści się właśnie na Południe, uda nam się łatwo podburzyć Prowansję i Langwedocję.

— O tak, oczywista — wtrącił minister policji — ale Napoleon nadciąga od Gap i Sisteron.

— Nadciąga! Nadciąga! — żachnął się Ludwik XVIII. — A więc idzie na Paryż?

Minister policji zmilczał, a mówiło to więcej niż najszczerze wyznanie.

— A Delfinat, proszę pana? — zwrócił się monarcha do Villeforta. — Czy sądzisz pan, że można by go podburzyć tak jak Prowansję?

— Z żalem muszę wyznać Miłościwemu Panu okrutną prawdę: odmienny zgoła duch panuje w Delfinacie, inny niż w Prowansji i Langwedocji. Górale są bonapartystami, sire.

— No, no! — szepnął Ludwik XVIII. — Niezgorsze miał informacje. A iluż ludzi ma ze sobą?

— Nie wiem, Wasza Królewska Mość — odpowiedział minister policji.

— Jak to! Pan nie wiesz? Zapomniałeś wywiedzieć się o tym szczególe? Choć, co prawda, nie ma on wielkiego znaczenia — dorzucił z druzgoczącym uśmiechem.

— Sire, nie mogłem tego wybać. Podano w depeszy tylko wiadomość o wylądowaniu i marszrucie, którą obrał uzurpator.

— A jakimż to cudem dotarła do ciebie? — spytał król. Minister spuścił głowę, twarz oblał mu ciemny rumieniec.

— Przez telegraf, sire — wyjąkał.

Ludwik XVIII postąpił krok naprzód i skrzyżował ramiona gestem iście napoleońskim.

— A zatem — rzekł pobladłszy z gniewu — siedem armii koalicyjnych obaliło tego człowieka, cud boski sprawił, że osiadłem znów na tronie moich praojców po dwudziestu pięciu latach wygnania, podczas których przestudiowałem, zbadałem, zgłębiłem ludzi i sprawy rządzące Francją, ziemią mi przyobiecana, aby ta ujarzmiona siła wybuchła mi w rękach i rozerwała mnie na strzępy wtedy, gdy osiągnął cel moich pragnień!

— Sire, to fatum — szepnął minister, czując, że ciężar taki, będący fraszka dla przeznaczenia, zdoła zmiażdżyć człowieka.

— Prawdą więc jest to, co mówią o nas nasi wrogowie: nic się nie nauczyć to i nic nie zapomnieć. Łatwiej bym się pocieszył, gdyby nawet zdradzono mnie tak jak jego; ale być otoczonym przez ludzi, których sam powołałem do wysokich godności (niczym byli przede mną i niczym staną się po mnie) i którzy powinni byli strzec mnie jak żrenicy oka, albowiem los ich związany jest z moim losem, i zginąć marnie przez ich zwykłe ludzkie niezdarstwo i głupotę! Tak, tak, panie, masz pan rację — to fatum.

Minister stał pochylony, słuchając tego strasznego oskarżenia. Pan de Blacas ocierał pot z czoła. Villefort uśmiechał się w duchu, czuł bowiem, jak wzrasta jego znaczenie.

— Upaść — mówił dalej król, który w mgnieniu oka przemierzył przepaść, w jaką staczała się monarchia — upaść i dowiedzieć się przez telegraf o swoim upadku! Och! wolałbym powędrować na szafot, jak mój brat Ludwik XVI, zamiast zbiegać po schodach Tuileriów okryty śmiesznością... Nie wiesz pan, co znaczy narazić się we Francji na śmieszność, a przecież powinienes to wiedzieć.

— Sire, sire — jęknął minister — przez litość...

— Podejdz bliżej, mój panie — zwrócił się król do Villeforta stojącego nieruchomo na uboczu i śledzącego tok tej rozmowy, w której los królestwa okazał się tak rozpaczliwie chwiejny — zbliż się pan i wytłumacz panu Dandré, że jednak można się było dowiedzieć tego, o czym pojęcia nie miał.

— Sire, przeniknąć zamysły tego człowieka było naprawdę niemożliwe, ukrywał bowiem je pod korcem.

— Naprawdę niemożliwe! Tak, to wielkie słowo, proszę pana; nieszczęściem istnieją zarówno wielkie słowa, jak i wielcy ludzie — zgłębiłem jedno i drugich. To w istocie. Czyż to było naprawdę niemożliwe, żeby minister, który ma aparat administracyjny, biura, agentów, szpicli, szpiegów i piętnaście tysięcy tajnego funduszu, mógł być wypenetrować, co się dzieje o sześćdziesiąt mil od francuskich wybrzeży! A więc spójrzcie: oto człowiek, który nie rozporządzał żadnym z powyższych środków; oto zwykły sadownik, który wiedział więcej niż pan razem ze swoją policją, a gdyby tak jak pan kierował telegrafem, byłby ocalał dla mnie koronę.

Minister spojrział na Villeforta, a w oku jego malowała się najgłębsza niechęć; nasz prokurator spuścił oczy ze skromnością triumfatora.

— Nie mówię tego o panu, hrabio — ciągnął Ludwik XVIII — albowiem jeśliś pan nawet nic nie wykrył, to przynajmniej okazałeś wiele rozsądku, upierając się przy swoich podejrzeniach: kto inny na pańskim miejscu byłby może uznał relacje pana de Villefort za błahe albo nawet podyktowane chęcią zysku.

Słowa te były aluzją do tego, co minister oznajmił z taką dufnością godzinę wcześniej.

Villefort przeniknął chytrą grę króla. Kto inny wzięłyby się może na lep tych upajających pochwał, ale nasz prokurator domyślając się, że pan Dandré traci właśnie tekę, bał się jednak zyskiwać w nim śmiertelnego wroga. Istotnie, jeśli minister będąc u szczytu potęgi nie zdołał przeniknąć sekretu Napoleona, to teraz, o krok od upadku, mógłby „w agonii” wywęszyć tajemnicę Villeforta; wystarczyłoby przesłuchać Dantèsa. Zamiast więc dobijać ministra, ruszył mu z pomocą.

— Sire — rzekł Villefort — błyskawiczny rozwój tych wypadków dowodzi, że tylko Bóg mógłby tutaj pokrzyżować plany rozpętując burzę morską. To, co Miłościwy Pan przypisuje mojej głębokiej wnikliwości, jest wyłącznie dziełem przypadku; jako oddany sługa wykorzystałem ten przypadek, ot i wszystko. Niechże Miłościwy Pan nie przypisuje mi więcej, niż na to zasłużyłem, abym znów nie naraził się na lekceważenie.

Minister policji podziękował młodzieńcowi wymownym spojrzeniem, a Villefort zorientował się w mig, że powiodło mu się, co zamierzył, albowiem zachowawszy sobie wdzięczność monarchy, pozyskał przyjaciela, na którego w potrzebie mógłby liczyć.

— Wybornie — rzekł król — a teraz, moi panowie — dodał, zwracając się do pana de Blacas i do ministra policji — nie potrzebuję już was, możecie odejść; reszta należy do resortu ministra wojny.

— Szczęściem — ozwał się pan de Blacas — możemy polegać na armii. Najjaśniejszy Pan wie, że wszystkie raporty donoszą nam o jej oddaniu.

— Nie wspominaj mi pan więcej o raportach; ech, wiem, jakie można mieć do nich zaufanie; ale a propos raportów, mój baronie, cóżeś się tam nowego dowiedział o aferze na ulicy Świętego Jakuba?

— O aferze przy ulicy Świętego Jakuba! — zawołał Villefort, nie panując nad sobą.

Lecz urwał nagle.

— Przepraszam, sire — rzekł — oddanie Miłościwemu Panu sprawia, że ustawicznie zapominam nie tyle o respekcie dla Waszej Królewskiej Mości, gdyż ów szacunek głęboko wryty mam w serce, ile o wymogach etykiety.

— Nie turbuj się pan zbyt — odparł Ludwik XVIII — pozyskałeś dzisiaj prawo stawiania pytań.

— Sire — ozwał się minister policji — spieszyłem właśnie z nowym raportem dotyczącym tego wydarzenia, kiedy uwaga Najjaśniejszego Pana obróciła się ku straszliwym wypadkom, jakie rozegrały się w Zatoce Juan; informacje świeżo zebrane w tej materii nie zaciekawiałyby teraz Miłościwego Pana.

— Przeciwnie, mój panie, przeciwnie — rzekł monarcha. — Wydaje mi się, że ta afery jest ściśle związana ze sprawą tak żywo nas obchodzącą i śmierć generała Quesnel naprowadzi nas może na trop szeroko zakrojonego spisku wewnątrz kraju.

Postyszawszy nazwisko generała Quesnel, Villefort zdrzął.

— Rzeczywiście, sire — odparł minister policji — wszystko przemawia za tym, że śmierć generała nie była samobójstwem, jak początkowo mniemano, ale zabójstwem. Wygląda na to, że generał Quesnel przepadł akurat w chwili, gdy wychodził z klubu bonapartystów. Nieznany mężczyzna przyszedł do niego z rana i wyznaczył mu spotkanie na ulicy Świętego Jakuba; nieszczęściem pokojowiec, który chesał właśnie generała, kiedy wprowadzono do gotowalni owego nieznajomego, usłyszał wprawdzie doskonale, że tamten wyznaczył spotkanie na ulicy Świętego Jakuba, ale numeru nie pamiętał.

W miarę jak minister policji składał te wyjaśnienia, pan de Villefort, który zdawał się śledzić każdy ruch jego warg, bladł i czerwieniał na przemian. Król obrócił się ku niemu:

— Czy nie jesteś pan zdania, podobnie jak ja, że generał Quesnel, którego można było uważać za bonapartystę, choć był mi całkowicie oddany, zginął jako ofiara zasadzki zgotowanej przez stronników uzurpatora?

— To bardzo prawdopodobne — odpowiedział Villefort — ale czy nic więcej nie wiadomo?

— Jesteśmy na tropie tego mężczyzny, który wyznaczył spotkanie.

— Na tropie tego mężczyzny? — powtórzył Villefort.

— Tak, służący podał jego rysopis: ma on lat pięćdziesiąt, najwyżej pięćdziesiąt dwa; brunet o czarnych oczach ocienionych gęstymi brwiami, wąsaty; ubrany był w granatowy surdut, dokładnie zapięty, a w klapie miał wstążeczkę oficerskiego krzyża Legii Honorowej. Wczoraj śledzono osobnika, którego rysopis zgadza się co do joty z wyżej podanym, ale stracono go z oczu na rogu ulicy la Jussienne i Coq-Heron.

Villefort wsparł się o poręcz fotela, albowiem w miarę słów ministra policji czuł, jak nogi uginają się pod nim; odetchnął jednak lżej, posłyszawszy, że nieznajomy zdołał umknąć śledzącemu go agentowi.

— Poszukasz pan tego człowieka — rzekł król do ministra — bowiem jeśli generał Quesnel, który byłby nam bardzo użyteczny w obecnej chwili, padł ofiarą, a coraz mocniej jestem o tym przekonany, zabójstwa, czy to z ręki bonapartystów, czy nie, chcę, żeby mordercy ponieśli surową karę.

Villefort potrzebował całej swojej zimnej krwi, żeby nie okazać, jakim przerażeniem napawa go ten rozkaz monarchy.

— Zdziwiająca rzecz — mówił dalej król w przystępie gniewu — policja sądzi, że powiedziała wszystko, oświadczając: „popelniono morderstwo”, a jeśli dorzuci przy tym: jesteśmy na tropie winowajcy” — że spełniła całe swoje zadanie.

— Sire, mam nadzieję, że Wasza Królewska Mość przynajmniej w tym względzie nie dozna zawodu.

— Dobrze, dobrze, zobaczymy; nie będę pana dłużej zatrzymywał, baronie. Panie prokuratorze, musisz pan być srodze zmęczony tą długą podróżą, potrzeba ci więc spoczynku. Zajechałeś pan zapewne do ojca?

Villefortowi pociemniało w oczach.

— Nie, Miłościwy Panie — odpowiedział — zatrzymałem się w hotelu Madryckim, na ulicy Tournon.

— Ale widziałeś się pan z nim?

— Sire, kazałem się wieść wprost do księcia de Blacas.

— Niewątpliwie zobaczysz się pan z ojcem?

— Nie sądzę, sire.

— Ach, prawda! — odpowiedział Ludwik XVIII, a uśmiech towarzyszący słowom świadczył, że te następujące po sobie pytania nie były zadawane bez ubocznej myśli. — Zapomniałem na śmierć, że poróżniłeś się z panem de Noirtier, a to nowe poświęcenie złożone monarchii w ofierze winienem szczerze wynagrodzić.

— Sire, dobroć, jaką Wasza Królewska Mość mi okazuje, jest zadośćuczynieniem, które tak bardzo przewyższa najśmielsze moje ambicje, że o nic więcej Miłościwego Pana prosić nie będę.

— Mniejsza z tym, nie zapomnimy o panu, bądź spokojny, a tymczasem — (tu król odpiął krzyż Legii Honorowej, który nosił zwykle na błękitnym fraku, obok Orderu Świętego Ludwika, powyżej medalu Zakonu Notre-Dame du Mont Carmel i Świętego Łazarza, i wręczył Villefortowi) — a tymczasem — rzekł — przyjmij pan ten order.

— Sire — rzekł Villefort — Wasza Królewska Mość się myli: to jest krzyż oficerski.

— Tam do licha, mój panie — odpowiedział Ludwik XVIII — bierz pan taki, jaki jest: nie mam teraz czasu wołać o inny. Mój Blacas, dopilnuj, żeby przygotowano dyplom dla pana Villefort.

Oczy Villeforta zrosiła łza radosnej dumy. Wziął order i ucałował go.

— A teraz — ozwał się — jakie rozkazy Wasza Królewska Mość raczy mi wydać?

— Wypocznij pan, bo tego najpierw ci potrzeba; a ponadto weź pod uwagę, że możesz mi oddać nieocenione usługi w Marsylii, w Paryżu zaś nic nie zdziałasz.

— Sire — odpowiedział Villefort — za godzinę opuszczę Paryż.

— Idź więc, mój panie — rzekł monarcha — a gdybym o tobie zapomniał (królowie mają krótką pamięć), nie obawiaj się przypomnieć mi o sobie... Panie baronie, każ poprosić ministra wojny; pan niech zostanie — zwrócił się do hrabiego de Blacas.

— Ach, panie prokuratorze — powiedział minister policji do Villeforta u bram Tuileriów — wszedłeś pan właściwymi drzwiami i pańska kariera już gotowa.

— Ale czy będzie długo trwała? — szepnął Villefort, żegnając ukłonem ministra, który właśnie zakończył karierę, szukając wzrokiem dorożki, by wrócić do hotelu.

Dorożka przejeżdżała akurat bulwarami; Villefort skinął i pojazd się zbliżył. Podprokurator podał adres, zaszył się w głębi powozu i popuścił wodze ambitnym marzeniom.

Po dziesięciu minutach znalazł się u siebie; kazał podać śniadanie, a konie zaprząc na godzinę drugą.

Siadał właśnie do stołu, kiedy dzwonek zadzwieczał, ostro szarpnięty śmiałą, pewną dłonią; lokaj otworzył, a Villefort posłyszał swoje nazwisko.

— Któż zdążył się już dowiedzieć, że jestem tutaj? — zdziwił się młodzieniec. W tej chwili wszedł sługa.

— No i co? — spytał Villefort. — Cóż to takiego? Kto dzwonił? Kto do mnie przyszedł?

— Jakiś nieznajomy, który wzbrania się podać swoje nazwisko.

— Jak to nieznajomy?... Nie chce podać nazwiska? A czegoż on chce ode mnie?

— Chce z panem mówić.

— Ze mną?

— Tak.

— Zna moje nazwisko?

— Doskonale.

— A jak wygląda ów nieznajomy?

— Ma tak z pięćdziesiątkę, proszę pana.

— Niski? Wysoki?

— Mniej więcej tego wzrostu co pan.

— Brunet czy blondyn?

— Brunet o śniadej cerze. Włosy czarne, oczy czarne, brwi czarne.

— Jak ubrany? — spytał żywo Villefort — Jak ubrany?

— W obszerną błękitną świtkę, zapiętą od góry do dołu, z rozetką Legii Honorowej.

— To on — szepnął Villefort poblądwszy.

— Dalibóg, to piękne maniery — ozwał się ów osobnik, którego rysopis podaliśmy już dwa razy, ukazując się w drzwiach. — Syn każe antyszambrować ojcu! Cóż to za zwyczaj? Chyba marsylskie!

— Ojciec!... — zawołał de Villefort — więc się nie omyliłem... Domyśliłem się, że to ty.

— Jeśliś się domyślił, że to ja — odparł przybyły, stawiając w kącie laskę i kładąc kapelusz na krzesło — to pozwól mi sobie powiedzieć, mój kochany Gerardzie, że to nieładnie z twojej strony kazać mi tak czekać.

— Zostaw nas samych, Hermanie — rzekł Villefort. Służący wyszedł okazując wyraźnie zdumienie.

12. OJCIEC I SYN

Pan Noirtier — on to bowiem wszedł właśnie do pokoju — nie spuścił oczu ze służącego, póki tamten nie zamknął za sobą drzwi; po czym, obawiając się, że fagas podsłuchuje, wyjrzał na korytarz: ostrożność nie była zbyteczna, gdyż pośpiech, z jakim drapnął imć Herman, dowodził wymownie, że grzech, który zgubił naszego praojca, przytrafił się i temu sługusowi. Jakoż pan Noirtier pofatygował się osobiście do przedpokoju i zamknął drzwi, a następnie, zasunawszy rygielek w drzwiach sypialni, wyciągnął rękę do syna, który z niemalym zdziwieniem — nic ochłonał jeszcze — przyglądał się tym poczynaniom.

— A to pięknie! Czy wiesz, mój kochany Gerardzie — powiedział, spoglądając na młodzieńca z zagadkowym uśmiechem — że nie wyglądasz na zbyt uradowanego moją wizytą?

— Ale skąd, mój ojciec — odpowiedział Villefort — cieszę się niezmiernie, tylko, widzisz, ta twoja wizyta to niespodzianka.

— No tak — odpowiedział pan Noirtier siadając — ale, kochaneczku, zdaje mi się, że ja mógłbym to samo powiedzieć. Jak to! Zawiadamiasz mnie, że twoje zaręczyny odbędą się 28 lutego w Marsylii, a tymczasem 3 marca widzę cię tutaj!

— Nie powinienes, ojcze, uskarżać się na to — odparł Gerard, podchodząc do pana Noirtier — albowiem przyjechałem tu wyłącznie dla ciebie i może potrafię cię ocalić.

— Ach, doprawdy! — zdziwił się Noirtier, rozparłszy się wygodnie w fotelu — doprawdy! Wytłumacz mi to, mój panie jurysto, rzecz wydaje mi się ciekawa.

— Ojcze, czy słyszałeś o pewnym klubie bonapartystów rezydującym przy ulicy Świętego Jakuba?

— Nr 53? Tak. Jestem jego wiceprezesem.

— Ojcze, twoja zimna krew przyprawia mnie o drżenie.

— Cóż robić, kochasiu. Kto był proskrybowanym przez górali, kto czmychnął z Paryża na furze siana, komu na wrzosowiskach pod Bordeaux psy gończe pana de Robespierre'a szarpały nogawki, ten jest zahartowany. Mów dalej. No i co się wydarzyło w tym klubie?

— Zaproszono tam pewnego razu generała Quesnela; wyszedł o dziewiątej wieczór z domu, a nazajutrz rankiem wyłowiono go z Sekwany.

— A któż ci opowiedział tę piękną historię?

— Sam król, drogi ojcze.

— A więc w zamian za tę wiadomość i ja ci coś powiem — rzekł Noirtier.

— Chyba się domyślam, jaką to ma ojciec dla mnie nowinę.

— Ach, wiesz już, że Jego Cesarska Mość wylądował?

— Ciszej, ojcze, proszę cię, przede wszystkim ze względu na ciebie, no i na mnie. Owszem, wiem o tym, a nawet wiedziałem wcześniej od ciebie; trzy dni pędziłem co koń wyskoczy z Marsylii do Paryża, miotany wściekłością, że nie mogę przekazać innym sposobem poprzez dwustumilową przestrzeń tych wieści, od których płonęła mi głowa.

— Powiadasz: trzy dni temu wyjechałeś z Marsylii. Zwariowałeś chyba! Trzy dni temu cesarz jeszcze nie wylądował.

— No to co? Wiedziałem o jego zamiarach.

— A to jakim cudem?

— Dzięki listowi z Elby, skierowanemu do ciebie.

— Do mnie?

— Aha... Znalazłem go w kieszeni pewnego wysłannika; gdyby ten list wpadł komuś w ręce, już by cię, mój ojcze, pewnie rozstrzelano.

Stary Noirtier roześmiał się.

— Ha, ha, zdaje mi się, że Restauracja przejęła od Cesarstwa metodę szybkiego załatwiania spraw... Rozstrzelany! Ależ, rybko, co ci tak pilno? A gdzieś ów list? Znam cię jak zły szeląg, to i jestem pewien, żeś go w kął nie rzucił.

— Spaliłem go: bałbym się, gdyby został choć najmniejszy strzępek; ten list był dla ciebie wyrokiem.

— A dla ciebie ruiną całej kariery — odparł chłodno Noirtier. — Tak, rozumiem to wybornie; ale właściwie nie mam powodów do obaw, skoro ty mnie osłaniasz.

— Zrobiłem coś więcej, mój ojcze: uratowałem ci życie.

— Tam do diabła! sprawa staje się dramatyczna; mów jaśniej.

— Ojcze, muszę znów nawiązać do klubu z ulicy Świętego Jakuba.

— Zdaje się, że ten klub leży bardzo na wątrobie ichmościom z policji; dlaczego nie szukają starannie? Już by go na pewno znaleźli.

— Jeszcze go nie wykryli, ale są na tropie.

— To sakramentalne słowa, znam je doskonale; kiedy policja błądzi, opowiada, że jest na tropie, i rząd czeka cierpliwie, aż ci durnie położywszy uszy po sobie oznajmią, że strzelili baka.

— Tak, ale znaleziono trupa; generał został zabity, a to na całym świecie nazywa się morderstwem,

— Morderstwo, powiadasz? Ależ nic nie świadczy o tym, że generał padł ofiarą mordu; co dzień wylawia się z Sekwany różnych desperatów albo ludzi, którzy nie umieją pływać.

— Mój ojcze, wiesz dobrze, że generał desperatem nie był i że w styczniu nikt się nie kąpie w rzece. Nie, nie łudź się, tę śmierć trzeba zakwalifikować jako morderstwo.

— A któż ją tak określił?

— Sam król.

— Król?

— Tak.

— Sądziłem, że król, któremu po trosze uważał za filozofa, zdaje sobie sprawę, że w polityce zabójstwo nie istnieje, bo w polityce — rozumiemy się, prawda? — nie ma ludzi, a tylko idee, nie ma uczuć, a tylko interesy; polityka nie uznaje morderstwa: usuwa się przeszkodę... i basta. A chcesz wiedzieć, jak się rzecz miała? Mogę ci to wyjawić, posłuchaj: Zdawało nam się, że można liczyć na generała Quesnela, bo miał rekomendację z Elby; ktoś z naszych idzie do niego, prosi na zebranie do wiadomego klubu, gdzie spotka przyjaciół; przyszedł; przedstawiają mu cały plan: ucieczka z Elby i projektowane wylądowanie; wysłuchał, dowiedział się o wszystkim i oświadczył, kiedy nikt już nie miał przed nim żadnych tajemnic, że jest rojalistą. Wszyscy spoglądają po sobie; żądają przysięgi, on ją składa, ale tak niechętnie, że to po prostu obraza boska przysięgać w ten sposób; no i mimo wszystko puszczono generała bez przeszkód, bez żadnych przeszkód. Nie wrócił do domu. Cóż robić, mój kochany? Wyszedł od nas, pewnie zmylił drogę i basta. Zabójstwo? Doprawdy, zdumiewasz mnie. Ty, prokurator królewski, budujesz oskarżenie na tak lichych przesłankach; czy odważyłem się choć raz powiedzieć ci, gdyś spełniając obowiązki oddanego rojalisty ucinał głowę komuś z naszych: „Mój synu, zamordowałeś!” O nie! rzekłem: „Doskonale, mój panie, wygrałeś bitwę; zrewanżujemy się niebawem”.

— Strzeż się, ojcze, bo jeśli to my zaczniemy się rewanzować, odwet będzie srogi.

— Doprawdy? Nie pojmuje cię.

— Liczysz na powrót uzurpatora?

— Wyznaję to szczerze.

— Mylisz się, ojcze. Nie zrobi dziesięciu mil na terenie Francji: dogonią go, osaczą i złapią jak dzikie zwierzę.

— Drogi przyjacielu, cesarz jest już w drodze do Grenoble; 10 albo 12 będzie w Lyonie, a 20, najpóźniej 25 — w Paryżu.

— Ludność chwyci za broń...

— Aby iść mu z pomocą.

— Ma za sobą tylko garstkę ludzi, a wyruszy przeciw niemu cała armia.

— Która będzie jego eskortą, kiedy wkroczy do stolicy. Po prawdzie, kochany synu, wielkiś jeszcze żółtodziób; wydaje ci się, że masz dobre informacje, skoro w trzy dni po wylądowaniu dowiadujesz się przez telegraf: uzurpator wylądował w Cannes z garstką ludzi; ścigamy go. Ale gdzie jest i co robi, tego nie wiesz; ścigają go, tyle tylko ci wiadomo. I tak bez wystrzału będą go ścigać aż do Paryża.

— Grenoble i Lyon to wierne miasta; będą mu barierą, której nie przestąpi.

— Grenoble z entuzjazmem otworzy przed nim bramy; cały Lyon wyjdzie mu na spotkanie. Wierz mi, nie gorzej jesteśmy od was poinformowani, a nasza policja nie gorsza od waszej. Chcesz na to dowodów? Chciałeś ukryć przede mną swój przyjazd, a tymczasem dowiedziałem się w pół godziny, żeś minął roгатkę; dałeś swój adres tylko pocztylionowi, a ja, kochasiu, znam go; bo, jak widzisz; składam ci wizytę akurat w momencie, kiedy siadasz do stołu. Zadzwońże i każ przynieść drugie nakrycie: zjemy razem obiad.

— Rzeczywiście — odparł Villefort, spoglądając ze zdziwieniem na ojca istotnie, wydajesz mi się znakomicie poinformowany.

— Mój Boże! To bardzo proste: wy wszyscy, co jesteście teraz u władzy, rozporządzacie tylko tymi środkami, jakie daje pieniądź; my zaś, którzy oczekujemy Napoleona, czerpiemy nasze środki z entuzjazmu i oddania.

— Oddania? — roześmiał się Villefort.

— A tak, oddania. To uczciwa nazwa dla ambicji, może i niepłonnych.

I pan Noirtier sięgnął do dzwonka, aby przywołać służącego, którego Gerard jakoś nie kwapił się wezwać. Villefort chwycił ojca za rękę.

— Chwileczkę, chwileczkę — powiedział — jeszcze dwa słowa.

— Mów.

— Policja królewska, choć jak powiadasz, licha, zna jednak pewien fatalny szczegół.

— Jaki?

— Rysopis mężczyzny, który tego dnia, kiedy generał zginął, był rankiem u niego

— Ach! Zna jego rysopis ta wyborna policja? No, słucham, słucham.

— Smągła płeć, faworyty i oczy czarne, surdut granatowy zapięty po samą szyję, w kłapie rozetka Oficerskiego Krzyża Legii Honorowej, kapelusz z szerokim rondem, na koniec laska trzciniowa...

— Ho, ho, to ci mądrale — ozwał się Noirtier. — Czemuż więc nie przymknęli tego człowieka?

— Dlatego, że wczoraj lub onegdaj rozpląnął się na ulicy Coq-Heron.

— A widzisz, nie mówiłem, że to durnie?

— Ale w każdej chwili mogą go odnaleźć.

— Tak — odpowiedział Noirtier, rozglądając się beztrząsco — tak, jeśli tego jegomościa nikt nie ostrzegł; a skoro został uprzedzony — dorzucił z uśmiechem — przeberze się.

Domawiając tych słów wstał, zdjął surdut i halsztuk, podszedł do stolika, na którym były przybory toaletowe Gerarda, wziął brzytwę, namydlił twarz i zgolił wprawnie owe kompromitujące faworyty — bezcenny dowód dla policji.

Syn patrzył na niego z przerażeniem, lecz i z podziwem.

Zgoliwszy faworyty, Noirtier zmienił uczesanie, zamiast czarnego halsztuka zawiązał kolorowy, który wyjął z otwartej walizki; zamiast granatowego surduta zapinanego pod szyję, wdział brązowy, luźny surdut Gerarda; stanąwszy przed lustrem przymierzył cylinder, okazując zadowolenie, ponieważ było mu w nim do twarzy, a zostawiwszy w kącie, nie opodał kominka, trzciniową laskę, machnął kilkakrotnie bambusową laseczką syna, przecinając ze świstem powietrze; bambusik ten przydawał eleganckiemu podprokuratorowi tyle niewymuszonej swobody w ruchach, będącej jedną z głównych jego zalet.

— No i co? — rzekł do syna, zdumionego tą błyskawiczną przemianą. — Czy sądzisz, że ta twoja policja pozna mnie teraz?

— Nie, ojciec — wyjąkał Gerard — to jest, mam nadzieję, że nie.

— A teraz odwołuję się do twojej ostrożności, mój kochany Gerardzie — mówił dalej pan Noirtier. — Postaraj się zniszczyć te wszystkie łachy, które zostawiam ci w prezencie.

— O, bądź spokojny, ojciec — rzekł Villefort.

— Tak, tak; wiesz, przychodzę do wniosku, że masz słusność: możesz istotnie ocalić mi życie. Ale nie bój się, wywdzięczę ci się tym samym przy pierwszej okazji.

Villefort potrząsnął głową.

— Wątpisz?

— Mam błogą nadzieję, że się mylisz, ojciec.

— Zайдziesz jeszcze do króla?

— Może.

— Chciałbyś uchodzić w jego oczach za proroka?

— Dwór nie lubi puszczyków.

— Tak, ale któregoś dnia i puszczyk wychodzi na swoim; przypuśćmy, że nastanie nowa Restauracja; będziesz wtedy wielkim człowiekiem.

— I cóż w końcu mam powiedzieć królowi?

— Powiedz mu: „Sire, przedstawiają ci fałszywie układ stosunków we Francji, opinię panującą w miastach, ducha, jaki przepaja armię; ten, kogo Miłościwy Pan nazywa korsykańskim potworem, w Nevers nazywa się jeszcze uzurpatorem, ale w Lyonie — Bonapartem, a w Grenoble — cesarzem. Miłościwy Pan sądzi, że Bonapartego osaczono, że zmyka, gdzie pieprz rośnie, a tymczasem jego szybki marsz przypomina lot orła, godła, które dzierży. Jego armia, rzekomo przymierająca głodem, strudzona niezmiernie, idąca w rozsypkę, rośnie jak lawina, wokół której oblepiają się drobiny śniegu. Wyjeżdżaj, Miłościwy Panie, oddaj Francję prawowitemu władcy, temu, co ją zdobył, a nie kupił; wyjeźdź, nie dlatego, aby groziło ci niebezpieczeństwo, twoi wrogowie są dość silni, by okazać ci łaskę, ale dlatego, że nie godzi się, aby wnuk Świętego Ludwika zawdzięczał życie człowiekowi spod Arcoe, spod Marengo i spod Austerlitz”. Powiedz mu to, Gerardzie, albo... Niech tam... nic mu nie gadaj. Nie puszczaj pary o tym, coś zdziałał w Paryżu i dlaczegoś tu przyjechał; wsiadaj z powrotem do karetki pocztowej; w tę stronę gnałeś jak wariat, teraz wracaj na łeb na szyję, wjeźdź do Marsylii nocą, wejźdź do domu drzwiami kuchennymi i pozostań cichy, pokorny, dyskretny, a nade wszystko nie zaczynaj z nikim, gdyż tym razem, zapewniam cię, będziemy postępować jak ludzie silni, którzy znają swoich wrogów. Jedź, mój synu, jedź, kochanku; a w zamian za to posłuszeństwo rozkazom ojcowskimi albo

jeśli wolisz, uległość wobec przyjacielskich rad, nie wylejemy cię z urzędu. Tym sposobem — dorzucił śmiejąc się — gdyby polityczny diabelski młyn wyniósł cię znowu w górę, a mnie zwindował w dół, będziesz miał okazję ocalić mi ponownie życie. Żegnaj, mój kochany; jeśli trafisz kiedyś w te strony, zajeżdżaj od razu do l Noirtier wyszedł, a zimna krew, która go nie zawiodła podczas tej tak trudnej rozmowy, dopisała mu i teraz.

Villefort błądy i roztrzęsiony podbiegł do okna i uchylił firanki; zobaczył, jak ojciec, spokojny i niewzruszony, minął kilka indywidualiów spod ciemnej gwiazdy czających się po bramach i na rogu; sterczeli tutaj być może, aby aresztować mężczyznę z czarnymi faworytami, noszącego granatowy surdut i kapelusz z szerokim rondem.

Pan podprokurator tkwił tak przy oknie rozdygotany, aż ojciec skręcił w ulicę Bussy. Wtedy skoczył ku porzuconej garderobie, wepchnął na dno walizki czarny halsztuk i granatowy surdut, zmiął kapelusz i rzucił go do szafy, połamał trzciniową laskę na kawałki i cisnął je w ogień, włożył podróżny kaszkiet, przyzwał lokaja, jednym spojrzeniem odegnał tysiączne pytania, które tamten miał ochotę zadać, uregulował rachunek hotelowy, wskoczył do zaprzężonej i oczekującej już karety, dowiedział się w Lyonie, że Bonaparte wkroczył do Grenoble, i wśród ogólnego zamętu, który towarzyszył mu w drodze, przybył do Marsylii, trawiony okropnym niepokojem, jaki przy pierwszym powodzeniu wkrada się w serce karierowicza.

13. STO DNI

Pan Noirtier był dobrym prorokiem: wypadki potoczyły się, jak zapowiedział. Wszyscy znamy powrót z Elby: dziwny, cudowny, bezprzykładny w dziejach — a i w przyszłości też nikt pewnie takiego czynu nie dokona.

Ludwik XVIII zrobił tylko słaby wysiłek, aby odeprzeć ten brutalny cios. Nie ufając ludziom, nie dowierzał też i wypadkom. Królestwo, a raczej monarchia, dopiero co przezeń odbudowana, zadrżała w niepewnych jeszcze posadach i jeden gest cesarza wystarczył, aby runęła owa rudera sklecona ze starych przesądów i nowych idei.

Villefort nie otrzymał więc od króla nic, tylko znany nam już dowód wdzięczności: bezużyteczny, a nawet w tej chwili niebezpieczny, Oficerski Krzyż Legii Honorowej, którego, wiedziony ostrożnością, nie pokazywał nikomu, choć pan Blacas, wypełniając rozkaz królewski, przysłał mu skwapliwie dyplom.

Gdyby pan Noirtier — który dzięki niebezpieczeństwom, na jakie się narażał, i usługom, jakie oddał, był na dworze „studniowym” osobistością wszechmocną — nie protegował syna, Napoleon usunąłby go na pewno z sądownictwa. Tak więc — zgodnie z obietnicą — ów żyrondyista z 93 roku, a senator z 1806 osłaniał teraz tego, który wczoraj ocalił mu życie.

Podczas tych stu dni, kiedy duch Cesarstwa, którego ponowny upadek nietrudno było przewidzieć, unosił się ponad Francją, Villefort skoncentrował wszelkie wysiłki tylko w jednym kierunku; zatrzeć ślad tajemnicy, co wydałaby się niechybnie, gdyby Dantès mógł szepnąć choćby słowo.

Jedynie prokurator królewski, którego pomawiano o chłodny stosunek do sprawy napoleońskiej, został złożony z urzędu.

Tymczasem ledwie cesarz objął władzę, czyli zamieszkał w Tuileriach, które opuścił właśnie Ludwik XVIII, zaledwie posypały się liczne i rozmaite rozkazy ze znanego nam gabineciku (czytelnik wszedł tam śladem Villeforta), gdzie na orzechowym stole Napoleon znalazł jeszcze otwartą i do połowy napełnioną tabakierkę Ludwika XVIII, w Marsylii, mimo postawy jej sadowników, rozgorzało zarzewie wojny domowej, nigdy nie wygasającej na Południu. Niewiele brakło, a ruchawka przybrałaby szersze rozmiary, choć poprzestano na urządzaniu kocięj muzyki rojalistom, zabarykadowanym u siebie w domach, i na publicznych afrontach wyrządzanych tym, co ośmielali się wytknąć nos na ulicę.

Zwykłą koleją rzeczy armator, którego zaliczaliśmy do „stronnictwa ludowego”, stał się osobistością nie tyle wszechmocną — pan Morrel był człowiekiem ostrożnym i trochę nieśmiałym, jak wszyscy, którzy wolno i pracowicie budują swoją fortunę na transakcjach handlowych — ile tak znaczną (choć niejedyn bonapartysta posądzał go o zbytne umiarkowanie), że mógł śmiało poskarżyć się władzom w sprawie, domyślić się łatwo, Dantèsa.

Villefort ostał się, choć upadł jego zwierzchnik, a mariaż odłożono do lepszych czasów. Jeśli cesarz utrzyma się na tronie, Gerard będzie potrzebował lepszej partii, a jego ojciec znajdzie mu ją niezawodnie; ale gdyby Ludwik XVIII znowu na tron wrócił, wzmogą się wpływy pana de Saint-Méran, a i Villefort wiele dokaże i trudno będzie wtedy o małżeństwo zrodzone pod „szczęśliwymi auspicjami”.

Jakoż pan podprokurator królewski był chwilowo najstarszym rangą sadownikiem w Marsylii. Pewnego ranka otwarły się drzwi jego gabinetu i oznajmiono wizytę pana Morrela.

Kto inny pośpieszyłby naprzeciw, przyznając się tym samym do swojej słabości; ale Villefort był nader opanowany i umiał sobie radzić w każdej sytuacji, kierując się nie tyle doświadczeniem, co węchem. Kazał, aby pan Morrel zaczekał w przedsiönku — tak samo, jakby to uczynił za monarchii — bo choć nie miał nikogo u siebie, powodował się zwykłą racją, która stała się zwyczajem: trzeba antyszambrować u królewskiego podprokuratora; poświęciwszy kwadrans na czytanie kilku gazet o rozmaitych odcieniach politycznych, zawołał, aby wpuszczono armatora.

Pan Morrel sądził, że zastanie podprokuratora w stanie przygnębienia, a tymczasem Villefort nie zmienił się ani na jotę w przeciągu tych sześciu tygodni, jakie upłynęły od ostatniego spotkania: był spokojny, pewny siebie i pełen lodowatej grzeczności — a najtęższa to zaporą dzieląca ludzi wykształconych od gminu.

Wszedł do gabinetu Villeforta przekonany, że ten ostatni zadrży na jego widok; tymczasem okazało się, iż to nasz armator drżał i lękał się stanąwszy oko w oko z tą osobistością o badawczym spojrzeniu, która oczekiwała go wsparłszy podbródek na rękę, a łokieć na stole.

Zatrzymał się u drzwi, a Villefort przyglądał mu się, udając, że nie bardzo go sobie przypomina.

Przypatrzwszy się uważnie armatorowi, który obracał kapelusz w dłoniach, Villefort przerwał milczenie:

— Pan Morrel... o ile się nie mylę? — spytał.

— Tak, proszę pana.

— Witam, witam... — rzekł sadownik, zapraszając armatora protekcyjnym gestem. — Czemuż to mam przypisać ten zaszczyt?...

— Nie domyśla się pan? — zapytał z kolei Morrel.

— Nie, ani trochę, co nie przeszkadza, że pragnę pójść panu na rękę, jeśli to tylko możliwe.

— Ta sprawa zależy wyłącznie od pana — odpowiedział armator.

— A więc mów pan.

— Panie prokuratorze — armator mówił ze wzrastającą pewnością siebie, świadom, że broni słusznej sprawy i że pozycja jego nie budzi teraz żadnych zastrzeżeń — zapewne przypominasz pan sobie, jak na kilka dni przed wylądowaniem Jego Cesarskiej Mości byłem u pana i prosiłem o pobłażanie dla pewnego nieszczęśliwego młodzieńca, marynarza, zastępcy kapitana na moim brygu; oskarżono go, pewnie i to pan pamięta, o kontakty z Elbą, co wówczas było zbrodnią, a dziś stanowi tytuł do szczególnego faworu. Służyłeś pan wtedy Ludwikowi XVIII, nie oszczędziłeś więc tego młodzieńca; to było twoim obowiązkiem; obecnie zaś, służąc Napoleonowi, musisz roztoczyć nad tym nieborakiem opiekę: to także twój obowiązek. Przyszedłem tedy zapytać, co się z nim stało.

Villefort zapanował nad sobą z wielkim wysiłkiem.

— Któż to taki? — zapytał. — Bądź pan łaskaw powiedzieć mi jego nazwisko.

— Edmund Dantès.

Villefort wolałby kulę przeciwnika wymierzoną w pojedynku z odległości dwudziestu pięciu kroków, niż usłyszeć to nazwisko, które padło niby grom; a jednak nawet nie mrugnął.

Dzięki temu, pomyślał Villefort, nie będzie mnie można posądzać, że kazałem aresztować tego młodzieńca ze względów czysto osobistych.

— Dantès — powtórzył. — Edmund Dantès, powiadasz pan?

— Tak, proszę pana.

Villefort otworzył gruby rejestr, który zdjął z najbliższej półki, przebiegł wzrokiem skorowidz, a następnie przejrawszy rozmaite akta, odwrócił się do armatora i spytał:

— Czy jesteś pan aby pewien, że się nie mylicz? — zagadnął z miną całkiem naturalną.

Gdyby pan Morrel był sprytniejszy albo lepiej znał się na rzeczy, zdziwiłby się, że prokurator królewski raczy mu odpowiadać w tej kwestii obcej swojemu resortowi, "zastanowiłby się, dlaczego Villefort nie odesłał go do archiwum więziennego, do zarządu więzień, do prefekta departamentu.

Ale Morrel, nie mogąc dopatrzeć się w zachowaniu Villeforta jakiegoś lęku, dostrzegał (w przekonaniu, że prokurator nie potrzebował żywić żadnych obaw) tylko uprzejmość: Villefort utrafił doskonale.

-- Nie, panie prokuratorze, na pewno się nie mylę; znam zresztą tego nieboraka od dziesięciu lat, a od czterech jest u mnie w służbie. Półtora miesiąca temu, przypominasz pan sobie? przyszedłem do

pana z prośbą, abyś był pobłażliwy, tak jak dziś przyszedłem dopraszać się sprawiedliwości dla tego biednego chłopca; przyjąłeś mnie pan wtedy dość niełaskawie i odpowiedziałeś mi, okazując wielkie niezadowolenie. O, bo podówczas rojaliści byli nieprzejednani wobec bonapartystów!

— Proszę pana — odrzekł Villefort, odparowując ze zwykłą sobie zręcznością i zimną krwią — byłem wtedy rojalistą, bo uważałem, że Burboni są nie tylko prawowitymi dziedzicami tronu, ale i wybrańcami narodu; lecz cudowny powrót, którego byliśmy świadkami, przekonał mnie, że się myliłem; geniusz Napoleona zwyciężył: monarchą prawowitym jest ten, którego kochamy wszyscy.

— Chwała Bogu! — zawołał Morrel z rubaszną szczerością. — Mówiąc tak sprawiłeś mi pan rzetelną przyjemność, a i słowa twoje wróżą lepszą przyszłość Dantèsowi.

— Zaczekaj pan — rzekł Villefort przeglądając jeszcze jeden rejestr. — O, już wiem: to marynarz, co miał się ożenić z Katalonką? Tak, tak, przypominam sobie teraz. O, to była sprawa poważna.

— A to dlaczego?

— Wiesz pan, że po przesłuchaniu zaprowadzono go do więzienia obok gmachu sądu?

— Tak. No i co?

— Posłuchaj pan; napisałem raport do Paryża, wysłałem też papiery znalezione przy więźniu. Spełniłem obowiązek... Cóż robić?... i w tydzień po aresztowaniu więzień zniknął.

— Zniknął? — zawołał Morrel. — A cóż z nim się stało?

— Ach, uspokój się pan. Przewieziono go do Fenestrelle, do Pignerol albo na Wyspę Świętej Małgorzaty, to znaczy w języku administracyjnym: przesiedlono; zobaczysz pan, że pewnego pięknego poranka wróci i obejmie dowództwo twojego brygu.

— Niechaj wraca, kiedy zechce: zachowamy to stanowisko dla niego. Ale dlaczegóż jeszcze nie wrócił? Wydaje mi się, że sądy cesarskie powinny zająć się przede wszystkim wypuszczeniem na wolność tych, których sądownictwo królewskie uwięziło.

— Nie oskarżaj pan przedwcześnie, kochany panie Morrel — odpowiedział Villefort — w każdej sprawie trzeba postępować legalnie. Rozkaz uwięzienia przyszedł z góry, trzeba, aby rozkaz zwolnienia też przyszedł z góry. Napoleon powrócił dopiero dwa tygodnie temu, tedy nakazy zwolnienia zaledwie zdołano rozesać.

— Ależ czy nie można przynaglić biegu formalności, teraz, kiedy odnieśliśmy zwycięstwo? — spytał Morrel. — Mam rozmaitych przyjaciół, nieco wpływów; mógłbym uzyskać anulowanie wyroku.

— Nie było wyroku.

— W takim razie skreślenie z rejestru więźniów.

— W sprawach politycznych nie istnieją rejestry więźniów. Niekiedy rządowi zależy na zniknięciu człowieka, tak aby nie pozostał po nim żaden ślad; lista więźniów ułatwiłaby poszukiwania.

— Tak może działać się za Bourbonów, ale teraz...

— Tak było i będzie, kochany panie. Rządy nastają po sobie i są do siebie podobne; aparat karny zbudowany za Ludwika XIV działa do dziś, jakby nie zburzono Bastylii. Na punkcie regulaminu więziennego cesarz był zawsze większym rygorystą niż sam Król Słońce, i liczba więźniów, po których ślad zaginął, jest astronomiczna.

Taka uprzejmość zbiłaby z tropu osobę najmocniej przekonaną o prawdziwości swoich domysłów, toteż Morrel nie powziął był żadnych podejrzeń.

— Koniec końców, panie prokuratorze, poradź mi pan, jeśli łaska, w jaki sposób przyspieszyć powrót Dantèsa?

— Znam tylko jeden sposób: wnieś pan prośbę do ministra sprawiedliwości.

— Ach, proszę pana, toć dobrze wiemy, czym są wszelkie podania: minister otrzymuje ich co dzień ze dwieście, a nie przeczyta nawet i czterech.

— Tak — zgodził się Villefort — ale przeczyta prośbę, którą ja podpisuję, zaadresuję i wyślę.

— To pan zechcesz wysłać tę prośbę?

— Bardzo chętnie; Dantès może wtedy zawinął, ale dziś jest niewinny i spełnię tylko obowiązek, zwracając wolność temu, któremu uwięził — co zresztą było wówczas także moim obowiązkiem.

Villefort zabezpieczał się w taki sposób przed wszczęciem dochodzenia, co, choć mało prawdopodobne, zgubiłoby go na amen.

— Ale jak ułożyć taką prośbę do ministra?

— Siądź pan tutaj — powiedział Villefort, ustępując miejsca armatorowi — podyktuję panu.

— Będziesz pan tak dobry?

— Ależ oczywiście. Nie traćmy czasu, i tak zmarnowaliśmy go wiele.

— O tak, proszę pana; pomyślmy o tym biednym chłopcu, który wyczekuje, cierpi i pewnie desperuje.

Villefort zdrzął na myśl o tym więźniu, co przeklina go w ciemnościach i ciszy; ale za daleko już zaszedł, by się cofnąć: Dantès musiał być zmiażdżony w trybach jego ambicji.

— Słucham, proszę pana — ozwał się armator, siadając w fotelu Villeforta i biorąc pióro.

Villefort podyktował wtedy suplikę, w której podkreślił przesadnie — i gotów byś pomyśleć, że z najlepszą wolą — patriotyzm Dantèsa i jego usługi oddane sprawie Cesarstwa, w prośbie tej zaliczył go do najczynniejszych orędowników powrotu Napoleona. Któż by wątpił, że minister spojrzawszy na takie pismo załatwi je sprawiedliwie i od ręki, jeśli sprawiedliwości dotąd nie stało się zadość!

Skończywszy petycję, Villefort odczytał ją głośno.

— Zredagowana jak trzeba — powiedział — a co do reszty, możesz pan na mnie polegać.

— Wyślesz ją pan nie zwlekając, prawda?

— Nawet dziś.

— I poprzecz ją pan?

— Tak, i to najskuteczniej, jak sędzę, potwierdziwszy prawdziwość tego, coś pan tutaj napisał.

Villefort siadł i potwierdził prawdziwość pisma.

— A co robić dalej? — spytał Morrel.

— Czekać — odpowiedział prokurator. — Odpowiadam za resztę.

To zapewnienie wróciło Morrelowi nadzieję; opuścił Villeforta naprawdę nim oczarowany i pobiegł do starego Dantèsa, aby mu donieść, że wkrótce zobaczy się z synem.

A Villefort, zamiast wysłać suplikę do Paryża, schował ją pod bibułę. Owa petycja mogłaby teraz ocalić Dantèsa, ale w przyszłości skompromitowałaby go fatalnie, jeśli zważyć, że układ stosunków w Europie i toczące się wypadki zapowiadały nową Restaurację.

Dantès tedy pozostał nadal w więzieniu: z głębi lochu nie dosłyszał straszliwego łoskotu, jaki wywołał upadek monarchii Ludwika XVIII i jeszcze bardziej przerażającego — kiedy runęło Cesarstwo.

Villefort natomiast wszystko dojrzał bystrym okiem, wszystko pochwyił czujnym uchem. W czasie owych Stu Dni — tak bowiem nazwano ten krótkotrwały powrót Cesarstwa — Morrel dwukrotnie szturmował do wrót sprawiedliwości, domagając się, by wypuszczono Dantèsa; lecz Villefort zbywał go wciąż obietnicami, rokującymi zresztą jak najlepsze nadzieje. Tak nadeszło Waterloo. Morrel nie pojawił się więcej u Villeforta: zrobił dla młodego przyjaciela wszystko, co w ludzkiej mocy, a dalsze usiłowania skompromitowałyby go tylko niepotrzebnie, teraz, kiedy nastąpiła druga Restauracja.

Ludwik XVIII wrócił na tron. Villefort, w którym Marsylia budziła wiele wspomnień przerażających się w wyrzuty sumienia, poprosił o przeniesienie do Tuluzy na stanowisko prokuratora, które wakowało tam właśnie; zainstalowawszy się w nowej siedzibie, ożenił się po dwóch tygodniach z panną de Saint-Méran, której ojciec był teraz lepiej widziany u dworu niż kiedykolwiek.

Oto czemu Dantès zarówno w czasie Stu Dni, jak i po Waterloo tkwił za kratami: jeśli nie zapomnieli o nim ludzie, to Bóg widać o nim zapomniał.

Kiedy Napoleon wylądował we Francji, Danglars pojął całą doniosłość ciosu zadanego Edmundowi — donos trafił w sedno; tedy jako człowiek przejawiający naturalne skłonności do występku, a w życiu codziennym tępy, nazwał ten dziwaczny splot wypadków wyrokiem Opatrzności.

Lecz kiedy Napoleon wkroczył do Paryża, kiedy znów rozległ się jego władczy, potężny głos — Danglarsa obleciał strach; spodziewał się teraz w każdej chwili powrotu Dantèsa, który wiedząc o wszystkim, groźny i silny, zemściłby się okrutnie; oznajmił więc panu Morrelowi, że służbę w marynarce handlowej opuścić zamierza, i uzyskawszy jego poparcie został pod koniec marca, czyli w niespełna dwa tygodnie po wkroczeniu Napoleona do Tuileries, buchalterem u pewnego negocjanta hiszpańskiego; wyjechał do Madrytu i wszelki słuch o nim zaginął.

Fernand natomiast nic nie pojmował. Dantès zniknął, a to było najważniejsze. Co się z nim stało? — nie troszczył się o to. Nieobecność Dantèsa zapewniała mu długie chwile wytchnienia, które wykorzystywał na swój sposób: to głowił się, jak okłamywać Mercedes, przedstawiając jej zmyślone przyczyny nieobecności, to znów planował wyjazd do obcych krajów i uprowadzenie dziewczyny; czasami, a były to czarne godziny w jego życiu, siadał na cyplu Przylądka Pharo, tam skąd widać zarówno Marsylię, jak i wieś katalońską, i smutny, nieruchomy wypatrywał, niby drapieżny ptak

czyhający na zdobycz, czy nie ukaże się na drodze piękny młodzieniec, kroczący swobodnie, ze wzniesioną głową, który będzie dla niego zwiastunem okrutnej zemsty. Fernand powziął już decyzję: wypali Dantèsowi w łeb; potem sam się zabije — wmawiał sobie, pragnąc nadać szlachetniejszy pozór temu morderstwu. Ale tu łudził się całkiem, bo kto nie utracił nadziei, nigdy na samobójstwo się nie zdobędzie.

Gdy losy naszych bohaterów ulegały tak bolesnym wahaniom, cesarz obwołał pospolite ruszenie, każdy więc zdolny nosić broń pospieszył na grzmący głos Bonapartego poza granice Francji.

Fernand podążył z innymi, opuszczając chatę i Mercedes; gnębiła go myśl, że rywal powróci tymczasem i ożeni się z jego ukochaną.

Gdyby Fernand miał kiedykolwiek popełnić samobójstwo, uczyniłby to rozstając się z Mercedes.

Względy, jakimi otaczał dziewczynę, współczucie, które okazywał jej w nieszczęściu, troskliwość, z jaką usiłował odgadnąć jej najdrobniejsze życzenia, odniosły taki skutek — a zwykle tak bywa, gdy szlachetne serce spotka się z dowodami przywiązania — że w duszy Mercedes zakwitło obok przyjaźni nowe uczucie: wdzięczność.

— Bracie — rzekła przytracając Katalończykowi żołnierski tornister — bracie, mój jedyny przyjacielu, nie szukaj śmierci, nie zostawiaj mnie samej na świecie. Będę samotna, będę płakać, póki nie wrócisz.

Te słowa wyrzeczone w chwili odjazdu Fernanda wwały mu otuchę w serce. Gdyby Dantès nie wrócił, dziewczyna wyjdzie może za Fernanda.

Mercedes została sama na tym nagim cyplu, który nigdy jeszcze nie wydał jej się tak jałowy; jak okiem sięgnąć, morze stykało się z niebem. Wiecznie zapłakana, niby owa szalona, o której rozpaczliwym losie tyle nam opowiadano, błądziła wokół małej katalońskiej osady; niekiedy, zatrzymawszy się nagle, wyprostowana, nieruchoma i milcząca niby posąg, wlepiła wzrok w Marsylię zalaną żarem słonecznym albo siadłszy na nadbrzeżnym głazie, wsłuchiwała się w smętny szum morza, wieczny jak jej boleść, i rozmyślała, czy nie lepiej byłoby pochylić się w przód, osunąć się całym ciężarem w tę przepaść, co otworzy się przed nią i pochłonie ją, niż cierpieć tak straszliwie, przeżywając wszystkie koleje beznadziejnego oczekiwania.

To nie brak odwagi powstrzymał Mercedes od tego kroku, wiara przyszła jej z pomocą i ocaliła od samobójstwa.

Caderousse też dostał wezwanie; ale jako żonaty i starszy o lat osiem od Katalończyka, został wcielony do wojska dopiero podczas trzeciej branki, a wysłano go na wybrzeże.

Starego Dantèsa utrzymywała jeszcze przy życiu tylko nadzieja, ale z upadkiem Napoleona utracił i nadzieję.

Akurat w pięć miesięcy po rozstaniu z synem, o tej dokładnie porze, kiedy aresztowano Edmunda, oddał ducha Bogu w ramionach Mercedes.

Pan Morrel pokrył kosztą pogrzebu i spłacił drobne, żalosne długi, które starzec pozaciągał chorując.

Armator okazał nie tylko szlachetność, lecz i odwagę: Południe stało w ogniu i wspomagać, choćby na łożu śmierci, ojca bonapartysty tak niebezpiecznego jak Edmund — uchodziło za występpek.

14. WIĘZIEŃ OSZALAŁY I WIĘZIEŃ OBŁĄKANY

Mniej więcej w rok po powrocie Ludwika XVIII na tron pan inspektor generalny wizytował więzienia.

Dantès w głębi lochu słyszał odgłosy przygotowań, owe dudnienia i skrzypienia, tam w górze tak hałaśliwe, a tutaj na dole dosłyszalne jedynie dla więźnia przywykłego w ciszy nocnej słuchać, jak pająk snuje swoją nić i jak regularnie spada ze sklepienia kropla wody, gdzie formuje się godzinę.

Odgadł, że wśród żywych dzieje się coś niezwykłego — tak długo już przebywał w tym grobie, że mógł się zaliczać do zmarłych.

Rzeczywiście, pan inspektor odwiedzał kolejno wszystkie izby, cele i lochy. Rozmawiał z wielu więźniami, a byli to ci, którzy łagodnością albo głupotą wkupili się w łaski władz więziennych; inspektor wypytywał, jak są żywieni i jakie by mieli żądania.

Odpowiadali zgodnie, że jedzenie jest obrzydliwe i że domagają się wypuszczenia na wolność.

Inspektor spytał, czy nie mają mu nic więcej do powiedzenia.

Kręcili głowami. Jakiegoż innego dobra, prócz wolności, mogliby pragnąć więźniowie?

Inspektor odwrócił się od nich i uśmiechnięty rzekł do naczelnika:

— Nie rozumiem, po kiego licha zarządzili te bezcelowe obchody. Widzieć jednego więźnia — to znaczy tyle, co widzieć stu; rozmawiać z jednym — to rozmawiać z tysiącem; zawsze to samo: zagłodzeni i niewiniątka. Innych nie macie?

— Owszem, tylko że są niebezpieczni, a nawet i obłąkani. Tych trzymamy w lochach.

— Zajrzyjmyż i do nich — zdecydował inspektor z miną człowieka okropnie sfatygowanego — spełnijmy obowiązek do końca; zejdźmy do lochów.

— Niech pan zaczeka chwilę — ozwał się naczelnik. — Przywołam ze dwóch ludzi, bo więźniowie mając dość takiego życia i pragnąc, by skazano ich na śmierć, dopuszczają się czasem bezsensownych aktów rozpaczy: mógłbyś pan paść ofiarą takiego postępuku.

— Ano cóż, czyń pan, co nakazuje ostrożność — zgodził się inspektor. Rzeczywiście posłano po dwóch żołnierzy, a kiedy przyszli, nieliczna grupa

ludzi podążyła w dół schodami tak cuchnącymi, wstrętnymi i omszałymi, że sama ta wędrówka sprawiała przykrość oczom i powonieniu, a i oddychać było trudno.

— Fe! — skrzywił się inspektor, zatrzymawszy się w połowie drogi — a kogóż wy, u licha, tutaj trzymacie?

— Jednego z najniebezpieczniejszych spiskowców; uprzedzono nas, że to człowiek gotów na wszystko.

— Jest tam?

— Oczywiście.

— Od dawna siedzi?

— Chyba już rok.

— Czy od razu zamknąłeś go pan w lochu?

— Nie, panie inspektorze, dopiero wtedy, gdy usiłował zabić dozorcę, który zanosił mu jedzenie.

— Chciał zabić dozorcę?

— Tak, proszę pana, tego właśnie, który oświeca nam drogę. Prawda, Antoni? — zagadnął naczelnik dozorcę.

— No tak, pewnie że mnie chciał zabić — odparł stróż.

— No, no! Ależ to jakiś szaleniec...

— Jeszcze gorzej — odpowiedział dozorca — to czort.

— Czy chce pan, żebym wystąpił ze skargą na niego? — zagadnął inspektor naczelnika.

— To zbyteczne, proszę pana, i tak ma za swoje; zresztą zwariuje niebawem; doświadczenie, jakie mamy w tej materii, każe nam się spodziewać, że nim upłynie rok, trzeba mu będzie nałożyć kaftan.

— Dalibóg, tym lepiej dla niego — rzekł inspektor. — Będzie mniej cierpiał, jak zwariuje do reszty.

Widzimy, że inspektor był człowiekiem nadzwyczaj ludzkim i godnym powierzonych mu funkcji filantropijnych.

— Ma pan rację, panie inspektorze — powiedział naczelnik — i to ostatnie spostrzeżenie dowodzi, żeś pan głęboko przestudiował tę kwestię. Mamy też w lochu, dokąd prowadzą inne schody, oddalonym od tego zaledwie o jakieś dwadzieścia stóp, starego księdza, byłego przywódcę któregoś z włoskich stronnictw politycznych; jest on tutaj od 1811 roku, a zwariował po dwóch latach i od tej pory zmienił się do niepoznania: kiedyś płakał, teraz się śmieje, dawniej chudł, teraz tyje. Zajdź pan raczej do niego, bo to wariat wcale pocieszny, nie zasmuci więc pana swoim widokiem.

— Odwiedzę obu — postanowił inspektor — trzeba wykonywać sumiennie swoje obowiązki.

Była to pierwsza inspekcja tego urzędnika, chciał więc zyskać dobrą opinię u swoich władz.

— Chodźmy najpierw do spiskowca — dorzucił.

— Proszę bardzo — odpowiedział naczelnik i skinął na dozorcę, by otworzył drzwi.

Gdy zgrzytnęły masywne zamki i skrzypnęły zardzewiałe zawiasy, obróciwszy się na swoich osiach, Dantès, skulony w kącie, radował się niewypowiedzianie nikłym promieniem słońca, który prześliznął się przez wąskie okratowane okienko; posłyszawszy hałas, podniósł głowę.

Na widok nieznanego, któremu oświecało drogę dwóch dozorców z pochodniami, a towarzyszyli dwaj żołnierze i naczelnik gnący się w ukłonach, Dantès odgadł cel wizyty; będzie miał wreszcie okazję błagać wysokiego urzędnika; porwał się więc ku niemu złożwszy ręce.

Żołnierze skrzyżowali natychmiast bagnety, mniemając, że więzień skoczył w złych zamiarach. Inspektor także cofnął się o krok.

Dantès pojął, że przedstawiono go jako niebezpiecznego człowieka.

Skupił tedy w spojrzeniu całą łagodność i pokorę, jakie tylko mogą taić się w duszy, i przemawiając z nabożeństwem usiłował trafić inspektorowi do serca.

Urzędnik wysłuchał Dantèsa cierpliwie, po czym zwracając się do naczelnika rzekł półgłosem:

— Spobożniej; już teraz zakwitły w jego sercu łagodniejsze uczucia. Widziałeś pan, że strach ma do niego przystęp: cofnął się na widok bagnetów, a obłąkany nie cofa się nigdy. Bardzo ciekawe spostrzeżenie wyniosłem w tej materii z Charenton.

Po czym zwrócił się do więźnia:

— No dobrze, ale czego właściwie chcecie?

— Chcę dowiedzieć się, jaką popełniłem zbrodnię; chcę, żeby oddano mnie pod sąd; chcę, żeby wznowiono dochodzenia; chcę wreszcie, żeby — skoro zawiniłem — rozstrzelano mnie, jeśli zaś jestem niewinny — żeby zwrócono mi wolność.

— A z wiktur jesteście zadowoleni?

— Chyba tak. Czyja wiem... To zresztą nieważne; najważniejsze jest, i nie tylko dla mnie, nieszczęśliwego więźnia, ale dla urzędników, którzy wymierzają sprawiedliwość, dla króla, co nami rządzi, aby człowiek niewinny nie padł ofiarą nikczemnej denuncjacji i nie konał za kratami, przeklinając swoich katów.

— Bardzoście dzisiaj spokojnieli — ozwał się naczelnik — a inaczej przecież bywało. Inaczej zgoła mówiliście, mój przyjacielu, tego dnia, kiedy chcieliście zatłuc dozorcę.

— To prawda, proszę pana — odpowiedział Dantès — i pokornie przepraszam tego człowieka, który okazał mi tyle dobroci... Ale cóż pan chce?... Byłem wtedy szalony, wpadłem w furję.

— A teraz nie jesteś szalony?

— Nie, proszę pana, gdyż więzienie złamało mnie, zdruzgotało, unicestwiło. Już tak długo tu jestem!

— Tak długo?... A kiedyż to was aresztowano? — spytał inspektor.

— 28 lutego 1815 roku, o drugiej po południu. Inspektor jął obliczać.

— Dziś mamy trzydziestego lipca 1816 roku; i cóż wy gadacie? Dopiero siedemnaście miesięcy jesteście w więzieniu.

— Dopiero siedemnaście miesięcy! — powtórzył Dantès. — Ach, proszę pana, pan nie wie, co to znaczy siedemnaście miesięcy więzienia dla mnie, co byłem tak bliski wielkiego szczęścia. To siedemnaście lat... to siedemnaście stuleci dla człowieka, który miał poślubić ukochaną dziewczynę i przed którym otwierała się zaszczytna kariera. Człowiek ten utracił wszystko w jednej chwili, pośród najpiękniejszego dnia znalazł się w najgłębszych ciemnościach, przyszłość jego zburzona, nie wie, czy ta, co go kochała, darzy go jeszcze tym samym uczuciem, nie ma wreszcie pojęcia, czy jego stary ojciec żyje. Siedemnaście miesięcy więzienia dla człowieka nawykłego do morskiej bryzy, żeglarskiej swobody, przestrzeni, ogromu nieskończoności — siedemnaście takich miesięcy, proszę pana, to o wiele więcej, niż na to zasługują wszelkie zbrodnie, jakie w języku ludzkim mają najohydniejsze miano. Ulituj się pan nade mną i żądaj dla mnie nie pobłażania, ale surowości, nie łaski, ale sądu: sądu, proszę pana, domagam się tylko sądu; nie wolno odmawiać oskarżonemu prawa stawania przed sądem.

— Zgoda — odpowiedział inspektor — zobaczymy, co się da zrobić. Po czym odwracając się do naczelnika:

— Po prawdzie — rzekł — ten nieborak szczerze mnie zasmucił. Jak wrócimy na górę, pokażesz mi pan jego akta.

— Oczywiście — przystał naczelnik — ale zdaje mi się, że znajdziesz pan tam o nim opinię jak najgorszą.

— Proszę pana — mówił dalej Edmund — wiem, że nie może mnie pan zwolnić z więzienia na skutek własnej decyzji, ale może pan przekazać moją prośbę swoim władzom, może pan wszcząć dochodzenie, może pan wreszcie stawić mnie przed sądem; osądźcie mnie, to wszystko, czego się domagam, abym się dowiedział, jaką popełniłem zbrodnię i jaką dostałem karę, albowiem niepewność jest najstraszliwszą ze wszystkich tortur.

— Mów pan jaśniej — powiedział inspektor.

— Z tonu pańskiego głosu — wykrzyknął Dantès — wnioskuje, że wzruszył się pan. Powiedz mi pan, proszę, czy mogę żywić nadzieję...

— Tego powiedzieć nie mogę — odparł inspektor. — Mogę tylko obiecać, że przejrzymy akta.

— Ach, jestem więc wolny, jestem ocalony!

— Kto was kazał pojmać? — spytał inspektor.

— Pan de Villefort — odpowiedział Dantès. — Niech pan się z nim zobaczy i porozmawia.

— Pan de Villefort wyjechał rok temu z Marsylii. Jest teraz w Tuluzie.

— A, kiedy tak, to niczemu się nie dziwię — szepnął Dantès. — Mój jedyny protektor wyjechał.

— Czy pan de Villefort miał jakieś powody, by was nienawidzić? — zagadnął urzędnik.

— Żadnych, a nawet okazał mi wiele życzliwości.

— Czy mogę zatem polegać na jego adnotacjach albo na opinii, jaką o was wyda?

— Całkowicie, proszę pana.

— To dobrze. Czekać tedy cierpliwie.

Dantès padł na kolana, ręce wznosił w górę i jął szeptać pacierz, w którym polecał Bogu tego człowieka, co niby Zbawiciel zstępujący do piekieł, by zbawić dusze, zszedł do celi więziennej.

Drzwi zamknęły się, ale nadzieja, którą wniósł inspektor, pozostała w tym lochu.

— Czy chce pan zaraz obejrzeć rejestr więzienny, czy też pragnie pan najpierw odwiedzić księdza?

— Skończmy od razu z lochami — odparł inspektor — bo jeśli wyjdę na światło dzienne, zabraknie mi pewnie odwagi, aby skończyć tę smutną misję.

— Ach, ten więzień jest zupełnie inny i jego obłęd jest mniej przygnębiający niż rozsądek jego sąsiada.

— A w czym się przejawia jego szaleństwo?

— O, to najdziwniejsze pod słońcem szaleństwo: ksiądz uważa się za posiadacza ogromnych skarbów. W pierwszym roku swojego tutaj pobytu zaofiarował rządowi milion za zwolnienie; następnego roku — dwa miliony, trzeciego — trzy, i tak dalej. Już piąty rok u nas siedzi. Będzie chciał pomówić z panem na osobności i zaofiaruje pięć milionów.

— Ho! Ho! To istotnie ciekawe — powiedział inspektor. — A jakże się nazywa ów milioner?

— Ksiądz Faria.

— Nr 27! — odczytał inspektor.

— To tutaj, Antoni, otwórz.

Dozorca wykonał rozkaz i pałające ciekawością spojrzenie inspektora wdarło się do lochu księdza-wariata.

Tak bowiem zazwyczaj nazywano tego więźnia.

Pośrodku celi, w kole zakreślonym kawałkiem wapna odłupanego od ściany, leżał człowiek prawie nagi — odzież jego zwisała w strzępach. Rysował w tym kole wyraźne linie geometryczne i wydawał się tak głęboko pochłonięty owym zadaniem jak Archimedes, którego uśmiercił żołdak Marcellusa. Toteż nie poruszył się nawet, kiedy drzwi otworzyły się z hałasem, i dopiero światło pochodni, zalewając niezwykłym blaskiem podłogę, na której pracował, wyrwało go z zadumy. Odwrócił się więc i ze zdziwieniem spojrzął na grupę ludzi, którzy odwiedzili go w jego lochu.

Zerwał się żywo, chwycił derkę leżącą na barłogu i szybko się nią okrył, pragnąc wyglądać nieco przystojniej w oczach nieznanym ludzi.

— Czego potrzebujecie? — zagadnął inspektor, powtarzając sakramentalną formułę.

— Ja? — zdziwił się ksiądz. — Ależ ja nic nie potrzebuję.

— Nie rozumiecie mnie. Jestem wysłannikiem rządu, który zlecił mi następującą misję: odwiedzam więźniów i wypytuję ich, jakie mają życzenia.

— A, kiedy tak, to co innego! — zakrzyknął żywo ksiądz. — Nie wątpię, że się dogadamy.

— Widzi pan — szepnął naczelnik — czyż wszystko nie zaczyna się tak, jak zapowiedziałem?

— Proszę pana, nazywam się Faria, jestem księdzem. Urodziłem się w Rzymie. Przez dwadzieścia lat sekretarzowałem kardynałowi Rospigliosi; na początku 1811 roku aresztowano mnie, i nie bardzo wiem dlaczego. Od tej pory domagam się wypuszczenia na wolność, odwołując się zarówno do władz włoskich, jak i francuskich.

— Z jakiej racji do francuskich? — spytał naczelnik.

— Dlatego, że pojmano mnie w Piombino, a Piombino tak jak Florencja i Mediolan stały się, jak sądzę, głównymi miastami którejs prowincji francuskiej.

Naczelnik i inspektor spojrzeli po sobie i roześmieli się.

— A, do licha! Wiadomości, jakie ksiądz ma z Włoch, nie są najświeższej daty.

— To wiadomości z tego dnia, w którym mnie pojmano — odpowiedział Faria. — A skoro Jego Cesarska Mość stworzył królestwo rzymskie dla syna, którego niebiosa mu zesłały, mniemam, że dokonawszy jeszcze innych podbojów, spełnił marzenia Machiavellego i Cezara Borgii: zjednoczył Włochy pod wspólnym berłem.

— Drogi księże — odparł inspektor. — Opatrzność na szczęście zmieniła nieco te gigantyczne zamierzenia, których wydajesz się dość gorącym zwolennikiem.

— To jedyny sposób, aby przekształcić Włochy w silny, niepodległy i szczęśliwy kraj.

— To możliwe — odpowiedział dygnitarz. — Nie po to jednak przyszedłem, abyś mi ksiądz prawił o polityce ultramontańskiej. Czy nie chciałbyś się poskarżyć na wikt i pomieszczenie?

— Jadło takie jak w każdym więzieniu, to znaczy nic niewarte, a mieszkanie, jak pan widzi, wilgotne i niezdrowe, ale jak na loch — niezgorsze. Nie o to jednak idzie; chcę zaproponować rządowi bardzo ważną i nadzwyczaj korzystną transakcję.

— Jesteśmy w domu! — szepnął naczelnik do inspektora.

— Właśnie dlatego cieszę się, że pana widzę, choć przeszkodziłeś mi w doniosłych obliczeniach, które jeśli mnie nie zawiodą, zmienią zapewne cały system Newtona. Czy możesz mi pan wyświadczyć tę łaskę, żeby pogadać ze mną na osobności?

— No i co? A nie mówiłem? — szepnął naczelnik do inspektora.

— Znasz pan na wylot swoich pensjonariuszy — odpowiedział z uśmiechem dygnitarz, po czym zwracając się do Farii: — To, o co ksiądz mnie prosi, jest wykluczone.

— A jednak, gdyby rząd miał uzyskać tak ogromną sumę... na przykład pięciu milionów?...

— Tam do licha! — szepnął inspektor naczelnikowi. — Wszystkoś pan przepowiedział, nawet sumę.

— Wreszcie — wtrącił szybko ksiądz spostrzegłszy, że inspektor zbiera się do odejścia — to nie jest konieczne, żebyśmy byli sami; pan naczelnik może wziąć udział w rozmowie.

— Mój kochany księże — odparł naczelnik — niestety, umiemy na pamięć tę piosenkę. Idzie o skarby, o których ksiądz zawsze napomyka, nieprawdaż?

Faria obrzucił szydercę spojrzeniem, w którym bezstronny widz uchwyciłby zapewne błysk prawdy i rozsądku.

— Oczywiście, a o czym, według pana, miałbym mówić, jeśli nie o tym?

— Panie inspektorze — ozwał się naczelnik — mogę panu opowiedzieć tę historię tak dokładnie jak i ksiądz; od czterech z górą lat uszy mi od niej puchną.

— To jedynie dowód, panie naczelniku — odparł ksiądz — że zaliczasz się do ludzi, o których czytamy w Ewangelii: „Mają oczy, a nie widzą, mają uszy, a nie słyszą”.

— Drogi księże — zachnął się naczelnik — państwo jest bogate i dzięki Bogu nie potrzebuje tych pieniędzy, które ksiądz mu wtykasz; zatrzymaj je dla siebie, przydadzą się księdzu kiedyś na wolności.

Oko księdza błysnęło; chwycił inspektora za rękę.

— A jeśli nie wyjdę z więzienia — rzekł — jeśli wbrew wszelkiej sprawiedliwości pozostanę nadal w tym lochu, jeśli umrę tutaj nie przekazawszy nikomu mojej tajemnicy i skarb ten przypadnie? Czy nie lepiej, żeby rząd skorzystał zeń i ja także? Dam nawet więcej, proszę pana, dam sześć milionów; tak, rezygnuję z sześciu milionów i zadowolę się resztą, jeśli odzyskam wolność.

— Na honor — rzekł półgłosem inspektor — gdybym nie wiedział, że to pomylenie, uwierzyłbym jego słowom, tyle w nich niezłomnego przekonania.

— Nie jestem pomyleńcem i mówię prawdę — odparł Faria, który dzięki swojemu subtelnemu słuchowi, słuchowi więźnia, chwycił każde słowo inspektora. — Skarb, o którym mówię, istnieje naprawdę i proponuję, żebyś podpisał pan ze mną umowę, na mocy której zawieszysz mnie w wiadome mi miejsce; wskażę je; rozkopią ziemię w naszej obecności i jeśli nic tam nie znajdą, to znaczy, że skłamałem albo, jak pan mniema, jestem obłąkany; no cóż... wpakujecie mnie tutaj na powrót, zgniję w tym lochu, umrę, nie żądając nic więcej ani od pana, ani od nikogo.

Naczelnik roześmiał się.

— A jak daleko ten skarb? — zapytał.

— Pewnie ze sto mil stąd — oparł Faria.

— O, to chytry pomysł — powiedział naczelnik. — Gdyby każdy więzień żądny rozrywek proponował swoim stróżom takie spacerki, a stróże daliby się nabrać, więzień z kolei dawałby drapaka, gdzie pieprz rośnie, nie tracąc ani chwili. Bo i taka eskapada nastęrczałaby mu niejedną wyborną okazję do ucieczki.

— To znany sposobik — dorzucił inspektor — i księżulo tutaj nie wymyślił prochu.

Po czym zwrócił się wprost do Fani:

— Pytałem księdza, czyś zadowolony ze strawy więziennej.

— Panie — odparł Faria — niech mi pan przysięgnie, że uwolni mnie pan z więzienia, jeśli powiem prawdę, to wskażę miejsce, gdzie skarb ukryto.

— Czy dobrze księdza karmią?

— Przecież nic pan nie ryzykuje; sam pan widzi, że nie chodzi mi o sposobność ucieczki: toż podczas wyprawy i tak będę w więzieniu.

— Ksiądz nie odpowiedział na moje pytanie — zniecierpliwiał się inspektor.

— I pan też nie odpowiada na moją prośbę! — wrzasnął Faria. — A idźże pan do diabła, tak jak inni durnie, którzy nie chcieli mi uwierzyć! Nie chcecie mojego złota, to zachowam je dla siebie; nie chcecie zwrócić mi wolności, Bóg mi ją ześle. Idźcie sobie, nie mam już nic do gadania.

I ksiądz zrzucając derkę podniósł kawałek tynku, siadł pośrodku koła i wrócił do swoich linii geometrycznych i obliczeń.

— Co on robi? — spytał na wychodnym inspektor?

— Oblicza swoje skarby — odrzekł naczelnik.

Faria odpowiedział na ten sarkazm spojrzeniem pełnym wzdargy. Wyszli. Dozorca zamknął za nimi drzwi.

— Chyba rzeczywiście miał jakieś skarby — zauważył inspektor na schodach.

— Albo śnił, że je ma — odparł naczelnik — i nazajutrz obudził się obłąkany.

— Istotnie, albowiem gdyby rzeczywiście był bogaty, nie trafiłby do więzienia — rzekł inspektor, przyznając się naiwnie do swojej sprzedajności.

W ten sposób zakończyła się dla księdza Farii ta przygoda. Pozostał nadal więźniem, a od czasu tej wizyty jego reputacja jako zabawnego szaleńca utrwaliła się jeszcze mocniej.

Kaligula albo Neron, ci wielcy poszukiwacze skarbów upędzający się za zniszczeniem wszelkich mrzonek, uwierzyliby słowom biedaka i obdarzyliby go tą upragnioną otwartą przestrzenią, którą cenił nade wszystko, i wolnością, za którą tak hojnie chciał zapłacić; ale możni naszych czasów, zamykający wszelkie poczynania w granicach prawdopodobieństwa, nie mają już tego rozmachu. Obawiają się uszu, co słuchają ich rozkazów, oczu, które przypatrują się badawczo ich czynom; to głowy koronowane — i tyle. Dawniej, poczytując się na serio za synów Jowisza albo co najmniej mieniąc się nimi, zachowywali po trosze wzięcie swojego papy (boć mało kto wypatrzył i sprawdził, co dzieje się ponad chmurami), a dzisiejsi królowie są tacy przystępni! Rządy despotyczne ukrywały zawsze skutki uwięzienia i tortur, jak wiadomo, nadzwyczaj gorliwie — niewiele znamy ofiar inkwizycji, które pokazałyby ogółowi pomiażdżone kości i krwawiące rany — tak samo więc i obłąd, wrzód zrodzony z męki duchowej człowieka zamkniętego w błotnistym lochu, despoci ukrywają starannie tam, gdzie powstał; jeśli zaś wydostanie się na świat i tak jakiś ponury szpital będzie mu grobem, bo w tym okaleczonym strzępie, który dostawił utrudzony dozorca, lekarze nie spostrzegą ani człowieka, ani śladów ludzkiej myśli.

Zwariowawszy w więzieniu, ksiądz Faria został skazany przez własny obłąd na dożywocie.

Jeśli zaś idzie o Dantèsa, inspektor dotrzymał słowa. Wróciwszy do gabinetu naczelnika poprosił o rejestr więźniów; rubryka Dantèsa brzmiała następująco:

Edmund Dantès
Zajadły bonapartysta. Brał czynny udział w organizowaniu ucieczki
z Elby.
Odizolować raz na zawsze; trzymać pod najściślejszym dozorem.

Inny charakter pisma i inny rodzaj atramentu niż w całym rejestrze dowodziły, iż adnotację tę wpisano już po uwięzieniu Dantèsa.

Oskarżenie było nazbyt ciężkie i oczywiste, aby próbować je obalić. Inspektor dopisał tedy nad klamrą:

Nieodwołalne

Te odwiedziny przywróciły jakby życie Edmundowi; wtrącony do więzienia zapomniał był liczyć dni, ale inspektor podał mimochodem datę swojej wizyty i ta utkwiała już Edmundowi w pamięci; napisał na murze kawałkiem tynku odłupanym z sufitu: „30 lipca 1816 roku” i od tej pory żłobił co dzień jeden rowek w ścianie, aby nie stracić rachuby czasu.

Mijały dni, tygodnie, miesiące — Dantès wciąż czekał. Wyobraził sobie najpierw, że zwolnią go za dwa tygodnie, w tym bowiem czasie inspektor powinien by załatwiać sprawę. Ale po dwóch tygodniach Dantès powiedział sobie, iż niedorzecznością byłoby mniemać, aby inspektor zajął się nim przed powrotem do Paryża; a przecież ten powrót mógł nastąpić dopiero po zakończeniu inspekcji więzień, czyli po jakich dwóch miesiącach. Tedy Edmund postanowił czekać zamiast dwóch tygodni trzy miesiące. Po upływie tych trzech miesięcy przesunął termin aż do pół roku; kiedy jednak i ten okres minął, pokazało się, że zrachowawszy dni dokładnie, czekał tak już dziesięć i pół miesiąca. W tym czasie regulamin nie uległ żadnym zmianom, ani jedna pocieszająca nowina nie dotarła do Edmunda; dozorca, jeśli go było o cokolwiek zapytać, milczał jak zakłęty. Dantès przestał dowierzać swoim władzom umysłowym i jał przypuszczać, że to, co wspominał jako wydarzenie prawdziwe, było tylko wytworem wyobraźni, a ów anioł pocieszyciel, który zjawił się kiedyś w więzieniu, spłynął tylko na skrzydłach snu.

Pod koniec roku przeniesiono naczelnika do fortu Ham, nad którym objął zarząd; zabrał ze sobą kilku podwładnych, między innymi dozorcę Dantèsa. Przybył nowy naczelnik; nie zadał sobie trudu, aby poznać nazwiska więźniów: kazał wymienić ich wedle numerów. W tym okropnym hotelu było pięćdziesiąt „umeblowanych pokoi” i jego mieszkańcy otrzymali nowe miana: numery cel, w których przebywali; nieszczęśliwy młodzieniec nie nazywał się od tej chwili Edmund Dantès, lecz Nr 34.

15. NUMER 34 I NUMER 27

Dantès przebył wszystkie kręgi piekła, jakie cierpią zapomniani więźniowie.

Najpierw górowała w nim duma, która wynika z wiary w sprawiedliwość i ze świadomości, że jest się niewinnym; później zwątpił o swojej niewinności, co w znacznej mierze potwierdzało opinię naczelnika utrzymującego, że Dantès zwariował; wreszcie wyzbywszy się dumy jał prosić, jeszcze nie Boga, lecz ludzi, albowiem Bóg jest dopiero ostatnią deską ratunku. Każdy nieszczęśnik, choć winien zacząć od modlitwy, pokłada nadzieję w Bogu dopiero wtedy, gdy straci wiarę w siebie i w ludzi.

Dantès prosił tedy, aby przeniesiono go do innego lochu, ciemniejszego nawet jeszcze i głębiej ukrytego pod ziemią. Jakakolwiek odmiana, choćby na gorsze, byłaby zawsze nowością i odmieniła mu życie przynajmniej na kilka dni. Prosił, żeby mu pozwolono chodzić na spacer, bo łaknął powietrza; prosił o książki i narzędzia. Żadnej z owych prośb nie wysłuchano, ale nie zrażał się tym i prosił nadal. Przywykł mówić do swojego nowego dozorcę, choć był on jeszcze większym mrukiem — jeśli to możliwe — od poprzedniego; ale mówić do człowieka nawet niemego sprawiało Edmundowi przyjemność. Mówił po to, aby usłyszeć własny głos; próbował czasem mówić głośno, gdy był sam, ale wtedy ogarniał go lęk przed samym sobą.

Będąc jeszcze na wolności, Dantès bał się jak ognia wspólnych cel więziennych, gdzie przebywali włóczędzy, bandyci i mordercy, skojarzeni haniebną radością niepojętych orgii i straszliwych związków. Ale teraz pragnął, aby wtrącono go do jednej z tych nor: zobaczyćby tam zamiast fizjonomii milczącego nieubłagane dozorcę inne ludzkie twarze; tęsknił za galerami, choć galernicy noszą strój hańbiący, wloką łańcuchy u nóg, a na ramieniu mają wypalone znamię. Galernicy są przynajmniej wśród swoich, oddychają świeżym powietrzem, widzą niebo — galernicy są bardzo szczęśliwi.

Pewnego razu błagał dozorcę, żeby mu dano jakiegokolwiek towarzysza, choćby nawet tego obłąkanego księdza, o którym wspomiano nieraz. Pod grubą skórą dozorcę więziennego, najsurowszego nawet, tają się zawsze jakieś ludzkie uczucia. Ten zaś ubolewał w głębi serca, choć twarz wcale tego nie zdradzała — nad nieszczęśliwym młodzieńcem, który tak ciężko znosił więzienie; powtórzył więc prośbę więźnia Nr 34 naczelnikowi; ale naczelnik, ostrożny jak wytrawny polityk, wyobraził sobie, że Dantès chce podburzyć więźniów, uknuć jakiś spisek, zapewnić sobie pomoc towarzysza przy organizowaniu ucieczki — tedy odmówił.

Dantès wyczerpał wszelki środki leżące w mocy ludzkiej, zwrócił się więc ku Bogu, co — jak wyżej powiedzieliśmy — musiało nastąpić.

Wszystkie nabożne idee rozproszone po świecie, a które nieszczęśliwi uginający się pod jarzmem losu zbierają niby kłosa, pokrzepiły go na duchu; przypomniał sobie pacierze, których uczyła go matka, i odnalazł w nich sens ongi zapoznany; albowiem dla człowieka szczęśliwego modlitwa to tylko zbiór słów, monotonnych i pozbawionych sensu, i dopiero kiedy przygniecie go rozpacz i ból, zaczyna pojmować prawdziwe znaczenie wzniesłego języka, jakim zwraca się do Boga.

Modlił się więc nie tylko żarliwie, ale z pasją. Kiedy wymawiał głośno słowa modlitwy, nie przerażał go już własny głos; wpadał wtedy w rodzaj ekstazy; w każdym wyrzeczonym słowie dostrzegał promiennego Boga; wszystkie swoje uczynki, spełnione, gdy wiódł jeszcze skromny żywot marynarza, utracony, zda się, bezpowrotnie, przypisywał woli wszechmocnego Boga, wyciągał z nich morał, składał śluby i pod koniec każdego pacierza przemyślał ową realną prośbę, którą ludzie łatwiej wystosowują do bliźnich niż do Boga: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”.

Nic mu te żarliwe modły nie pomagały: był nadal więźniem.

Wtedy otępiało, zasłona wisząca przed jego oczami zaciemniła się jeszcze. Był człowiekiem prostym, nie miał wykształcenia; przeszłość była dla niego otulona ciemnym woalem, który odsłania tylko wiedza. Samotny w swoim lochu, błądzący po bezdrożach niewiedzy, nie potrafił odtworzyć myślą minionych stuleci, natchnąć życiem wygasłych plemion, odbudować miast antycznych, które imaginacja wyolbrzymia i poetyzuje tak, iż przesuwa się one przed oczami gigantyczne, oświetlone niebiańskim ogniem, jak na malowidłach Martinna, malarza Babilonu. Znał tylko własną przeszłość — tak krótką, teraźniejszość — tak ponurą, a przyszłość jego była tak niepewną. Pozostało mu wspomnienie owych dziewiętnastu lat, kiedy żył w pełni światła, lat, które będzie rozpamiętywał pogrążony w wiecznym mroku! Nic nie mogło oderwać go od tych wspomnień; jego energiczny umysł, co chętnie poszybowałby poprzez stulecia, był uwięziony niby orzeł w klatce. Jakoż Dantès uczył się tylko jednej myśli: swojego szczęścia zburzonego bez wyraźnej przyczyny, lecz skutkiem fatalnego, niesłychanego zbiegu okoliczności; krążył zapamiętałe wokół tej myśli, obracał ją we wszystkie strony, rzekłbyś — wgrzyzał się w nią niby bezlitosny Ugolin, który w „Piekle” Dantego wgrzyza się w czaszkę arcybiskupa Rogera. Będąc u szczytu powodzenia, Dantès jedyny raz, i to przelotnie, zawierzył swojej mocy i utracił tę wiarę tak jak inni ją tracą, gdy przemijają sukcesy. Ale Dantès nie zdążył wyciągnąć profitu.

Asceza ustąpiła miejsca atakom furii. Edmund miotał tak straszliwe przekleństwa, że dozorca cofał się przerażony; tłukł ciałem o mury lochu, wściekał się na wszystko, co go otaczało, głównie na siebie, a wystarczyła tu przeciwność choćby najdrobniejsza, jaką mogło być ziarnko piasku, źdźbło słomy czy podmuch wiatru. Wtedy przypomniał sobie ową delację, którą Villefort mu pokazał: widział ją na własne oczy i dotykał; każdy wiersz tego listu jarzył się na murach niby Baltazarowskie „Mane Tekel Fares”. Mówił do siebie, że to zawistni ludzie, a nie karząca dłoń Boga, wtrącili go w tę przepaść, gdzie się znajdował; poddawał tych nie znanych ludzi najwymyślniejszym torturom, jakie płomienna imaginacja podsunąć mu zdołała, i najstraszliwsze nawet cierpienia wydawały mu się zbyt łagodne, a przede wszystkim za szybko przemijające, albowiem śmierć kładzie im kres; w śmierci zaś jeśli nie odnajdziemy spoczynku, to przynajmniej martwość, która go przypomina.

Orzekłszy raz, w odniesieniu do swoich wrogów, że spokój to śmierć i że ten, kto chce srogo ukarać nieprzyjaciela, nie powinien pozbawiać go życia, lecz szukać innego sposobu, zatonął w posępnym odrętwieniu, jakie sprowadziły nań myśli samobójcze. Biada temu, kto staczając się w otchłań nieszczęścia uczepli się tych czarnych myśli! Są one niby morza martwe, których toń, błękitna jak czysty lazur oceanów, oblepi stopy pływaka, przyciągnie je, wchłonie, wessie w muliste, smołowate głębie. Człowiek pochwycony w te sidła — jeśli Bóg nie ześle mu pomocy — musi marnie skończyć, a każda próba obrony spycha go jeszcze głębiej w otchłań śmierci.

Ten stan agonii duchowej nie dręczy jednak tak straszliwie jak cierpienia, które go poprzedzają, ani jak tortury, co po nim być może następują; jest tym rodzajem pocieszenia, które przyprawia nas o zawrót głowy, ukazując rozwartą przepaść, ale owa przepaść wiedzie do nicości. Doszedłszy do tego stanu, Edmund znalazł niejako ukojenie: cierpienia jego, boleść i ów orszak widm, które wlokły się za nim, umykały, zda się, z tego kąta lochu, gdzie zawitać by mógł milczący anioł śmierci. Dantès przyrzął się spokojnie swojej przeszłości, a przyszłości z lękiem — i obrał ową średnią, która wydawała mu się najbezpieczniejszym schronieniem.

Czasami, myślał, gdy podróżowałem daleko, wolny, młody i silny, i wydawałem moim ludziom rozkazy, które oni wykonywali, niebo zasnuwało się chmurami, morze spiętrzało się i huczało, burza zbierała się na horyzoncie i niby olbrzymi orzeł ogarniała łopoczącymi skrzydłami dwie połacie nieba;

wtedy pojmowałem, że mój statek jest lichą łupiną, albowiem, lekki jak piórko w dłoni olbrzyma, dygotał i drżał. Wśród ryku bałwanów widok ostrych wierzchołków skał zapowiadał mi śmierć, a śmierć napawała mnie przerażeniem, toteż chcąc jej umknąć, rzucałem wszystkie siły ludzkie, całą przemyślność marynarza do walki z Bogiem! Dlatego, że byłem wtedy szczęśliwy; dlatego, że ocalenie oznaczało dla mnie powrót do szczęścia; dlatego, że nie przywoływałem owej śmierci i jej nie wybrałem, wreszcie dlatego, że ten spoczynek na postaniu z wodorostów i kamieni wydawał mi się przykry; dlatego, że oburzała mnie myśl, iż mnie, człowieka stworzonego na obraz i podobieństwo Boga, rozdziobią po śmierci mewy i sępy. Ale dziś jest inaczej: straciłem to wszystko, co sprawiłoby, że kochałbym życie; dziś śmierć uśmiecha się do mnie jak piastunka do dziecięcia, które kołysze; dziś umieram rad, usypiam zmęczony i złamany, jak każdego z tych wieczorów, kiedy zrozpaczony i wściekły okrążałem trzy tysiące razy moją celę, to znaczy robiłem trzydzieści tysięcy kroków, czyli blisko dziesięć mil.

Odkąd ta myśl zakiełkowała w głowie młodzieńca, rozpogodził się i złagodniał; przywykł do twardego łoża i czarnego chleba, jadał coraz mniej, nie spał już wcale, a przekonany, że tę resztę egzystencji porzuci, kiedy zechce — tak jak się zrzuca zniszczone odzienie — uznał ją za niemal znośną.

Istniały dwa sposoby samobójstwa; jeden z nich był bardzo prosty: należało przywiązać chustkę do kraty w oknie i powiesić się; drugi natomiast polegał na śmierci głodowej — trzeba było wyrzucać przez okno wszystką strawę. Pierwszy sposób budził w Edmundzie odrazę. Wychowano go w pogardzie dla piratów, ludzi, których się wiesza na rejach statku; śmierć przez powieszenie była dlań rodzajem hańbiącej karności, której sam nie zadałby sobie za nic w świecie; zdecydował się więc na drugi sposób i tegoż dnia zaczął wprowadzać go w czyn.

Prawie cztery lata upłynęły mu na roztrząsaniu dwóch wyżej opisanych możliwości. Pod koniec drugiego roku Dantès przestał liczyć dni i popadł znowu, jak przed wizytą inspektora, w nieświadomość przemijającego czasu.

Postanowił umrzeć — i obrał rodzaj śmierci; rozpatrzył go dokładnie, a obawiając się własnej słabości, poprzysiągł sobie, że decyzja jest nieodwołalna.

Wszystkie posiłki, tak poranne, jak i wieczorne, będę wyrzucał przez okno, myślał, i nikt nie spostrzeże, że ich nie zjadam.

Co postanowił, to i wykonał. Dwa razy dziennie wyrzucał jedzenie przez mały okratowany otwór, za którym widniał tylko skrawek nieba; na początku czynił to z radością, później z namysłem, wreszcie z żalem; musiał odwoływać się sam przed sobą do złożonej przysięgi, bo sił już mu brakło, by wypełnić to straszliwe postanowienie. Żywność, która przedtem napawała go wstrętem, wydawała się teraz, kiedy szarpały go ostre kły głodu, apetyczna, a zapach jej upajał go jak aromat; nieraz całą godzinę trzymał w dłoni garnek, wpatrując się w ochłap nieświeżego mięsa, zepsutej ryby czy kromkę spleśniałego razowca. Instynkt samozachowawczy walczył w nim jeszcze i on to odwodził go czasem od powziętej decyzji. Wtedy loch wydawał mu się mniej ciemny, a sytuacja nie tak rozpaczliwa; wszak był młody — miał najwyżej dwadzieścia sześć lat — czekało go jeszcze z pięćdziesiąt lat życia, dwakroć więcej, niż dotychczas przeżył. Przez tak ogromny szmat czasu ileż niespodzianych zdarzeń mogłoby wyważyć drzwi tego więzienia, obalić mury zamku i zwrócić mu wolność! W takich chwilach unosił do ust jedzenie, którego — nieszczęsny Tantal z własnej woli — sam się był wyrzekł; ale przypominał sobie złożoną przysięgę: gdyby jej nie dotrzymał, gardziłby samym sobą, a przed tym wzdragała się cała jego szlachetna natura. Tedy bezlitosny i surowy wyczerpał resztkę sił, jakie jeszcze posiadał, aż nadszedł wreszcie dzień, kiedy nie mógł się podnieść, by wyrzucić posiłek, który przyniesiono z wieczora.

Nazajutrz nic już nie widział i prawie nie słyszał. Dozorca był pewny, że Dantès ciężko zachorował, a i on spodziewał się rychłej śmierci.

Tak minął dzień. Edmund czuł, jak ogarnia go nieokreślone odrętwienie, a z nim razem jakby pewna błogość. Kurcze żołądka ustały, piekące pragnienie ustąpiło; kiedy przymykał oczy, widział mnóstwo lśniących iskerek podobnych błędnym ognikom unoszącym się nocą ponad bagnami: zmierzchało się w owej nieznannej krainie zwanej śmiercią.

Nagle około dziewiątej wieczór posłyszał głucho uderzenia w ścianę, przy której leżał.

Tyle plugawych zwierząt wkradało się do turmy i harcowało po niej, że Edmund z wolna przyzwyczał się do tego i nie budził się z tak błahych powodów; ale teraz bądź dlatego, że długotrwały post wyostrzył mu zmysły, bądź z tej racji, że hałas był osobiście silny, bądź z tej przyczyny, iż w ostatnich chwilach wszystko nabiera znaczenia — Edmund uniósł głowę, by lepiej słyszeć.

Był to chrobot jednostajny, wskazujący, że potężne szpony, mocne zęby albo jakieś narzędzia skrobiają po kamieniach i wydają ów odgłos.

Jakkolwiek umysł Dantèsa wyczerpany był do cna, zaświtała w nim banalna myśl, która nigdy nie opuszcza żadnego więźnia: wolność. Ten hałas rozbrzmiał, kiedy już dla Edmunda miały zamrzeć wszelkie dźwięki; wydało mi się tedy, że Bóg litując się nad jego cierpieniem zesłał mu ten szmer ostrzegawczy, by nieborak zatrzymał się nad mogiłą, dokąd osunęła już mu się noga. Kto wie, czy przyjaciel jakiś, jedna z owych drogich mu istot, o których przemyślał tak często, aż do znudzenia, nie zatroszczył się teraz o niego i nie starał się z nim połączyć?

Ale nie, chyba Edmund się myli: to pewnie jeden z majaków, które krążą wokół wrót śmierci.

A jednak słyszał nadal ów szmer; trwało to już około trzech godzin; po czym coś jakby runęło i zaległa cisza.

Po paru godzinach szmer ozwał się na nowo, silniejszy i jakby bliższy. Edmund zaczął się już interesować tą pracą, która przerwała mu samotność, gdy nagle wszedł dozorca.

Mniej więcej od tygodnia, to jest od chwili, kiedy Edmund postanowił umrzeć, i od czterech dni, kiedy zaczął głodówkę, nie odezwał się ani słowem do tego człowieka, nie odpowiadał, gdy dozorca usiłował go wybadać, na co jest chory, i odwracał się do ściany, czując, że stróż przygląda mu się nazbyt uważnie. Ale dziś dozorca mógłby posłyszeć ten głuchy odgłos, zaniepokoić się nim, położyć mu kres i zniweczyć ten cień nadziei, co zrodziwszy się zaledwie w umyśle Dantèsa, rozjaśniała mu ostatnie chwile życia.

Dozorca przyniósł śniadanie.

Dantès siadł na łóżku i podniesionym głosem rozprawiał na wszelkie możliwe tematy, mówił o tym, że jedzenie, jakie dozorca mu przynosi, jest podle, że w lochu jest okropnie zimno... mamrotał, burczał tak długo, aż rozzłościł stróża, który tego właśnie dnia uzyskał dla chorego więźnia trochę rosolu i świeżego chleba.

Szczęściem, przekonany, że Dantès majaczy, postawił jedzenie na koślawym stole, gdzie stawiał je zwykle, i wyszedł.

Dantès uwolniony od jego obecności jął nasłuchiwać radośnie.

Hałas stawał się tak wyraźny, że młodzieniec słyszał go teraz nie natężając ucha.

Skoro hałas ten nie ustaje w dzień — pomyślał — to z pewnością jakiś nieszczęśliwy jak i ja więzień próbuje wydostać się na wolność. O, gdybym był razem z nim, jakże gorąco bym mu pomagał!

Lecz zaraz ciemny obłok przysłonił jutrzenkę nadziei, albowiem ten umysł nawykły do nieszczęść nie umiał się tak łatwo poddać radościom; zrodziła się w nim natychmiast myśl, że hałas wywołali robotnicy, którzy na polecenie naczelnika naprawiali coś w sąsiedniej celi.

Łatwo się było o tym przekonać, ale jak zaryzykować podobne pytanie? Oczywiście można by zaczekać na dozorcę, pozwolić mu posłuchać tego szmeru i przypatrzeć się, jaką też wtedy będzie miał minę; lecz za cenę tej tak przelotnej satysfakcji czy wolno zdradzić czyjeś może najdonioślejsze sprawy? Nieszczęściem, w głowie Edmunda puste niby dzwon huczała tylko jakaś myśl niejasna, oguszając go; osłabł już tak, że skupić się nie potrafił, gdyż umysł jego przypominał skłębiony opar. Znalazł jednak sposób, który mógł mu przywrócić jasność rozumowania i trzeźwość sądu; spojrzął na dymiący jeszcze rosół, który dozorca przyniósł przed chwilą, wstał, podszedł zataczając się do stołu, wziął filiżankę, podniósł ją do ust, przełknął jej zawartość, doznając przy tym niewypowiedzianego zadowolenia.

Dzielnic poprzestał tylko na tym; niejedną raz słyszał, jak opowiadano o wygłodniałych rozbitkach, którzy uratowani, umierali wszakże najadłszy się do syta nazbyt posilnej stawy. Położył więc na stole kawałek chleba, który podniósł do ust, i wrócił na poślanie. Już nie pragnął umrzeć.

Niebawem doznał wrażenia, że rozjaśnia mu się w głowie; mgliste, prawie nieuchwytnie myśli wracały niby pionki na swoje pola w tej cudownej szachownicy, gdzie może tylko jeden kwadracik więcej decyduje o wyższości człowieka nad zwierzęciem. Mógł tedy myśleć i podeprzeć swoją myśl ścisłym rozumowaniem.

Wówczas rzekł do siebie:

— Spróbujmy tę rzecz zbadać, ale tak, by moje postępowanie nikomu szkody nie wyrządziło. Jeśli to zwyczajnie robotnik, gdy zastukam — przerwie pracę, aby się dowiedzieć, kto i dlaczego stuka. A skoro jego praca jest nie tylko dozwolona, lecz i nakazana, wkrótce do niej wróci. Jeśli zaś, przeciwnie, jest to więzień, moje stukanie go przerazi; będzie się lękał, że zostanie wykryty, porzuci swoją pracę i wróci do niej dopiero wieczorem, kiedy nabierze pewności, że wszyscy śpią.

Jakoż Edmund podniósł się znowu. Tym razem nogi mu się już nie uginały, a w oczach nie pojawiły się oślepiające blaski. Skierował się w róg lochu, wydłubał kamyk obluzowany pod działaniem wilgoci i zastukał nim w ścianę tam, skąd najsilniej dobiegały głuche odgłosy.

Uderzył kamieniem po trzykroć.

Po pierwszym uderzeniu chrobotanie ustało, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

Edmund nasłuchiwał teraz całą duszą. Upłynęła godzina, minęły dwie; żaden szmer się nie ozwał, po drugiej stronie muru zapanowała absolutna cisza.

Nadzieja wstąpiła mu w serce; zjadł kilka kęsów chleba, wypił łyk wody i dzięki swojej nadzwyczaj silnej kompleksji poczuł się teraz mniej więcej normalnie.

Dzień mijał, a cisza trwała nadal.

Zmierzch zapadł i szmer się powtórzył.

To więzień!, pomyślał Edmund z niewysłowioną radością.

Od tej chwili głowa jęła mu płonąć, powracał do życia gwałtownie; albowiem nabierało ono dla niego formy czynu.

Noc minęła — najłżejszy dźwięk nie przerwał ciszy.

Edmund nie zmrużył oka przez całą noc.

Rankiem dozorca przyniósł jedzenie. Edmund zjadł już wszystko, co miał, a i teraz połknął następną porcję, nad słuchując nieustannie, czy nie ozwie się chrobot; drżał, czy nie ustał on na zawsze; krążąc wokół lochu zrobił dziesięć, może dwanaście mil, przez wiele godzin usiłował wyważyć żelazne kraty w okienku, przywracając jednocześnie elastyczność i siłę swoim mięśniom za pomocą ćwiczeń poniechanych od dawna — słowem, podobny do zapaśnika, co nim wejdzie na arenę, namaszcza ciało oliwą i rozpościera szeroko ramiona, gotował się do walki z najbliższą przyszłością. Niekiedy, w przerwach między owymi gorączkowymi nawrotami energii, nasłuchiwał, czy nie ozwie się ów szmer; niecierpliwiła go ostrożność tego więźnia, który nie odgadł widać, że to inny więzień przeszkodził mu w pracy nad odzyskaniem wolności i że temu więźniowi spieszyło się na wolność nie mniej niż jemu.

Minęły trzy dni — siedemdziesiąt dwie śmiertelne godziny, odliczane minuta po minucie.

Wreszcie pewnego wieczoru, po ostatniej wizycie dozorca, kiedy Dantès przynajmniej setny raz przykładał ucho do muru, zdało mu się nagle, że prawie niewyczuwalny wstrząs odbił mu się głuchym echem w głowie, którą przywarł do umilkłych kamieni.

Edmund cofnął się, by uspokoić wzburzony umysł, okrążył kilkakrotnie celę i przyłożył ucho do muru tam, gdzie poprzednio.

Nie było wątpliwości — coś się stało z drugiej strony; więzień zmienił widać taktykę, podejrzewając, że poczynaniom jego zagraża niebezpieczeństwo: aby zapewnić sobie przy pracy większą dozę bezpieczeństwa, zastąpił dłuto jakimś rodzajem dźwigni.

Edmund ośmielony tym odkryciem postanowił przyjść z pomocą niestrudzonemu pracownikowi. Najpierw odsunął łóżko, za którym, jak mu się zdawało, toczyła się ta walka o wolność, i szukał wzrokiem jakiegoś przedmiotu, co posłużyłby mu za narzędzie, albowiem zamierzał wykruszyć kawał muru, a uwolniwszy kamień od wilgotnego cementu, wyrwać wreszcie i głaz.

Nic jednak nic wpadło mu w oko. Nie miał ani noża, ani żadnego ostrego przedmiotu, tylko żelazne pręty w oknie; a tyle razy przekonywał się, że krata jest mocno osadzona i że nie warto nawet próbować jej wyłamać.

Całe umeblowanie celi stanowiły: łóżko, zydeł, stół, wiadro i dzban.

Łóżko miało żelazne uchwyty, ale były one przykręcone śrubami do drzewa. Aby oderwać te uchwyty, musiałby mieć śrubokręt.

Przy stole i przy zydlu ani kawałka żelaza; wiadro miało kiedyś rączkę, lecz ją odjęto.

Nie pozostawało Dantèsowi nic innego, jak rozbić dzban i wybrawszy ostro zakończony kawałek kamionki, wziąć się do pracy.

Cisnął tedy dzbankiem o ziemię i dzban rozleciał się na kawałki.

Wybrał ze trzy ostro zakończone skorupy, ukrył je w sienniku, a inne zostawił rozrzucone na ziemi. Stłuczenie dzbana nie mogło nikogo zaniepokoić, albowiem jest to wypadek całkiem naturalny.

Edmund mógł pracować przez całą noc, ale w ciemnościach robota się nie kleiła, wykonywał ją bowiem po omacku, i wkrótce uczuł, że stępił to niezdarne narzędzie, skrobiąc po jeszcze twardszym kamieniu. Przynasnął więc łóżko do ściany i czekał, aż się rozwidni. Nadzieja przywróciła mu cierpliwość.

Przez całą noc słuchał, jak nieznany „górnik” prowadzi swoją podziemną robotę.

O świcie wszedł dozorca. Dantès powiedział mu, że pijąc wczoraj duszkiem, wypuścił dzban niechcący i naczynie potłukło się, upadając na ziemię. Dozorca zamruczał coś pod nosem i poszedł po nowy dzban, nie zadając sobie nawet fatygi, aby pozbierać rozrzucone skorupy.

Wrócił niebawem i zaleciwszy więźniowi większą ostrożność, poszedł sobie.

Zgrzyt klucza w zamku, któremu Dantès przysłuchiwał się zawsze ze ściśniętym sercem, nappełnił go dzisiaj niewypowiedzianą radością. Wsłuchiwał się w odgłos oddalających się kroków, po czym, kiedy ucichł zupełnie, rzucił się ku posłaniu, odsunął je i w bladym świetle świtu, co zajrzał do lochu, zobaczył, jak daremny był jego wczorajszy nocny wysiłek: zamiast jać się ocementowania wypełniającego szczeliny między głazami, żłobił lity kamień.

Pod działaniem wilgoci zaprawa murarska skruszała.

Dantès stwierdził z radosnym biciem serca, że odpada ona grudkami; co prawda owe kawałeczki były mikroskopijnych rozmiarów, ale po półgodzinnej pracy Edmund wykruszył z garść tynku. Matematyk mógłby obliczyć, że po dwóch latach takiej roboty wykopałoby się — gdyby głazy nie stanęły na przeszkodzie — chodnik długi na jakieś dwadzieścia stóp, do którego wyjście miałyby ze dwie stopy szerokości.

Nieborak zaczął sobie wtedy wyrzucać, że zmarnował te minione, długie, coraz dłuższe godziny, które trawił na płonnych nadziejach, modlitwie i rozpacz.

Od sześciu mniej więcej lat, to jest od chwili, kiedy go aresztowano, ileż pracy postępującej nawet tak wolno można by wykonać!

I ta myśl stała się dla niego nowym bodźcem.

W ciągu trzech dni zdołał, zachowując niesłychaną ostrożność, odskrobać warstwę cementu i odsłonić całkowicie jeden kamień. Mur był zrobiony z orcli, między którymi trafiały się niekiedy kamienie ciosane, stanowiące wzmocnienie budowli. Właśnie jeden z takich kamieni ciosanych Dantès obnażył niemal całkowicie, a teraz chodziło o to, by ten głaz wydobyć z jego ciasnej komórki.

Dantès próbował użyć paznokci, ale okazały się niewystarczające.

Skorupy wsuwane w szczeliny pękały, kiedy próbował podważyć nimi kamień.

Po daremnych, prawie godzinnych usiłowaniach, Edmund podniósł się, a twoga zrosiła mu potem czoło.

Czyżby już na samym początku napotkał przeszkodę, która go zatrzyma, każe mu, bezczynnemu i zbędnemu, czekać, aż sąsiad, co zniechęci się może również, zrobi wszystko?

Wtedy pewna myśl przemknęła mu przez głowę; stał chwilę na miejscu, uśmiechając się; czoło wilgotne od potu obeschło nagle samo.

Dozorca przynosił codziennie zupę w cynowym garnku. W naczyniu tym znajdowała się również zupa dla następnego więźnia, co Dantès od dawna zauważył, albowiem garnek raz był pełny, innym znowu razem napełniony zaledwie do połowy w zależności od tego, czy stróż przyniósł jedzenie najpierw jemu, czy też sąsiadowi.

Garnczek ten miał żelazny trzonek; ten właśnie trzonek żelazny budził pożądanie w Edmundzie, który oddałby zań, gdyby taką naznaczono cenę, dziesięć lat życia.

Dozorca wylewał zawartość garnka na talerz. Edmund zjadał zupę drewnianą łyżką, po czym mył talerz, który służył mu tak co dnia.

Tego wieczora Dantès postawił talerz na ziemi, w połowie odległości od drzwi do stołu; dozorca wszedłszy do celi stąpnął na talerz i potłukł go na kawałki.

Tym razem nie mógł nic powiedzieć Dantèsowi: wprawdzie więzień nie powinien był stawiać talerza na podłodze, ale dozorca powinien spojrzeć pod nogi.

Poprzestał tedy na gniewnych pomrukach.

Po czym rozejrzał się wkoło, szukając naczynia, do którego mógłby przelać zupę; ale sprzęty gospodarskie Edmunda ograniczały się do owego talerza, nie było więc w czym wybierać.

— Zostaw mi pan ten garnek — ozwał się Edmund. — Zabierzesz go jutro rano, kiedy przyniesiesz śniadanie. Rada dogadzała leniwemu dozorce, który nie kwapił się wcale wracać na górę, schodzić i wspinać się z powrotem.

Zostawił garnek.

Edmund zadygotał z radości.

Tym razem zjadł szybko zupę i mięso, które obyczajem więziennym wkładano do zupy. Potem odczekawszy z godzinę, aby upewnić się, czy dozorca się nie rozmyślił, odstawił łóżko, wziął garnek,

wsunął koniec trzonka między oskrobany z zaprawy gład i sąsiadujące z nim orcle i zaczął podwazywać kamień.

Kamień drgnął i obluzował się cokolwiek: praca tedy szła dobrze.

Istotnie, po upływie godziny Dantès wyważył gład, po którym została w murze wyrwa o średnicy wynoszącej przeszło półtorej stopy.

Starannie pozgarniał obsypany tynk, zaniósł go w ką, uskrobał kawałkiem skorupy trochę szarawej ziemi i przysypał nią okruszki zaprawy.

Po czym, chcąc wykorzystać tę noc, kiedy przypadek, a raczej sprytnie wykalkulowany zamysł, oddał w jego ręce tak cenne narzędzie, rył nadal zaciekle.

O brzasku zasłonił na powrót kamieniem otwór w murze, przysunął łóżko do ściany i położył się na nim.

Śniadanie składało się z kromki chleba; dozorca wszedł do lochu i położył chleb na stole.

— No i co? Nie przyniosłeś mi pan talerza? — zapytał Dantès.

— Ano nie — odparł klucznik. — Jesteś pan okropnym niezdara, potłukłeś dzbanek, a i ja przez pana rozbiłem talerz; gdyby wszyscy więźniowie wyrządzali takie szkody, rząd nie podołałby tym stratom. Zostawi się panu ten garnek i do niego będę nalewał supę; może w ten sposób nie wytłuczesz pan wszystkich naczyń.

Dantès uniósł oczy w górę i złożył ręce pod derką.

Ten kawałek żelaza, który mu pozostawiono, wzbudził w jego sercu głębszą wdzięczność dla niebios niż największe dobrodziejstwa, jakich zaznał w całym swoim minionym życiu. Zauważył jednak, że tamten więzień przestał pracować od chwili, kiedy on zaczął.

Mniejsza z tym, to jeszcze nie powód, by przerwać pracę, jeśli jego sąsiad nie przyjdzie, on uda się do sąsiada.

Pracował bez ustanku przez cały dzień; wieczorem okazało się, że dzięki nowemu narzędziu uskrobał około dziesięciu garści cementu, odprysków kamienia i tynku.

O zwykłej porze odwiedzin dozorca Edmund wyprostował, jak mógł, pogięty trzonek garnka i postawił naczynie na zwykłym miejscu. Dozorca przelał do garnka zwykłą porcję stawy, to jest supę i mięso, a raczej supę i kawałek ryby, tego dnia bowiem wypadał obiad postny, którym więźniów raczono trzy razy na tydzień. I w ten także sposób można było obliczać czas — gdyby Dantès nie poniechał od dawna tego rodzaju obliczeń.

Nalawszy supę stróż odszedł.

Teraz Edmund chciał się przekonać, czy jego sąsiad naprawdę przestał pracować.

Jął nasłuchiwać.

Cicho było jak podczas owych trzech dni, kiedy sąsiad przerwał pracę.

Dantès westchnął: oczywiście jego towarzysz nie ufał mu.

Nie zniechęcił się jednak i pracował przez całą noc; ale po paru godzinach natknął się na przeszkodę.

Żelazo nie kruszyło muru, ześlizgiwało się po jakiejś gładkiej powierzchni.

Dotknął owej przeszkody i przekonał się, że natrafił na belkę.

Ta belka przecinała, a raczej zatykała całkowicie otwór, który Dantès zaczął kopać.

Teraz należało ryc albo poniżej, albo powyżej belki. Nieborak nie spodziewał się, że się natknie na taką przeszkodę.

— O mój Boże, mój Boże! — wykrzyknął. — Tak Cię błagałem — myślałem, że mnie wysłuchasz. Mój Boże! Najpierw odebrałeś mi wolność, potem odwróciłeś ode mnie spokój śmierci i przywołałeś mnie do życia! Boże, litości! Nie dozwól mi umrzeć z rozpaczą w sercu!

— Któż mówi jednocześnie o Bogu i o rozpaczach? — ozwał się jakiś głos, który, jak się zdawało, dobywał się spod ziemi, a przytłumiony skutkiem przeszkody, brzmiał pozagrobowo.

Edmundowi włosy się zjeżyły i cofnął się pełzając.

— Ach — szepnął — to mówi człowiek.

Od czterech, a może od pięciu lat słyszał tylko głos dozorca, a dozorca nie jest w oczach więźnia człowiekiem: to żywe drzewo, będące jakby dodatkiem do drzwi dębowych, to krata z krwi i kości, uzupełniająca żelazne kraty więzienia.

— Na Boga! — zakrzyknął. — Człowieku, któryś się odezwał, mów jeszcze, choć głos twój mnie przeraził! Powiedz, kim jesteś?

— A ty? — zagadnął tamten.

— Jestem nieszczęsnym więźniem — odparł Dantès, nie drożąc się z odpowiedzią.

— Jakiej narodowości?

— Jestem Francuzem.

— Jak się nazywasz?

— Edmund Dantès.

— Czym się zajmujesz?

— Jestem marynarzem.

— Odkąd tu jesteś?

— Od 28 lutego 1815 roku.

— Jaką popełniłeś zbrodnię?

— Jestem niewinny.

— Ale o co cię oskarżono?

— O udział w spisku, który miał na celu powrót Napoleona.

— Jak to? Powrót Napoleona? Cesarz nie jest już na tronie?

— W roku 1814 abdykował w Fontainebleau i zesłano go na Elbę. Ale jak długo tutaj przebywasz, skoro nie wiesz o tym?

— Od 1811 roku.

Dantès zadrżał; ten człowiek o cztery lata dłużej od niego siedział w więzieniu.

— No tak. Ale nie kop więcej — mówił tamten bardzo prędko. — Powiedz mi, na jakiej wysokości znajduje się zrobiony przez ciebie wyłom?

— Tuż nad ziemią.

— Jak go ukrywasz?

— Zasłaniam łóżkiem.

— Czy podczas twojego pobytu w więzieniu odsuwano kiedy to łóżko?

— Nie.

— Do czego przylega twoja cela?

— Do korytarza.

— A korytarz?

— Wychodzi na dziedziniec.

— Ach, niestety! — ozwał się szept.

— O mój Boże! A cóż się stało? — zaniepokoił się Dantès.

— Omyliłem się: niedokładność moich kreśleń wprowadziła mnie w błąd, nieścisłość kompasu zgubiła mnie, błędnie przeprowadzona prosta na moim planie dała w rzeczywistości odchylenie wynoszące piętnaście stóp, a mur, który zacząłeś przebijać, wziąłem za zewnętrzny mur cytadeli.

— Ależ gdyby było inaczej, wyłot podkopu znalazłby się nad morzem.

— Tego właśnie chciałem.

— A gdyby ci się powiodło?

— Rzuciłbym się w pław przez morze, dotarłbym do jednej z wysp otaczających zamek If, do wyspy Daume bądź Tiboulen, bądź też aż do lądu stałego, i byłbym ocalony.

— Czy mógłbyś aż tam dopłynąć?

— Bóg uczczyłby mi siłę; a tak wszystko stracone.

— Wszystko?

— Tak. Zatkaj z powrotem z największą ostrożnością otwór. Nie kop więcej, niczym się nie zajmuj i czekaj, aż dam znać o sobie.

— Powiedz przynajmniej, kim jesteś?... powiedz mi...

— Jestem... jestem Nr 27.

— Nie ufasz mi więc? — spytał Dantès

Edmundowi zdawało się, że przez sklepienie otworu dobiegł go śmiech zaprawiony goryczą.

— Ach, jestem wierzącym chrześcijaninem — zawołał, odgadując instynktownie, że ten człowiek zamierza go opuścić. — Przysięgam ci na rany Chrystusa, że raczej dam się zabić, niżbym pozwolił twoim katom, a i moim, wydrzeć sobie choćby strzęp tajemnicy; ale nie pozbawiaj mnie, na Boga, swojej obecności, swojego głosu; albowiem przysięgam ci, że roztrzaskam sobie głowę o mur, gdyż jestem u kresu sił, będziesz miał tedy śmierć moją na sumieniu.

— Ile masz lat? Sądząc po głosie, jesteś jeszcze młody.

— Nie wiem, gdyż nie obliczałem czasu, odkąd tu jestem. Wiem tylko, że w chwili aresztowania, to jest 28 lutego 1815 roku miałem niespełna dziewiętnaście lat.

— Tedy masz niecałe dwadzieścia sześć — ozwał się szept. — Co mi tam! Ludzie nie bywają zdrajcami w tak młodym wieku.

— O, nie, nie! Przysięgam! — powtarzał Dantès. — Mówiłem ci i powiem jeszcze raz, że raczej dam się pokrajać na kawałki, niżbym miał cię zdradzić.

— Dobrześ postąpił mówiąc mi to i prosząc mnie, gdyż obmyśliłbym nowy plan i oddaliłbym się od ciebie. Jednak twój wiek usuwa podejrzenia, więc wrócę do ciebie, czekaj na mnie.

— Kiedy?

— Muszę zastanowić się, jakie są nasze możliwości; pozwól mi tedy, abym pierwszy dał znak.

— Ale mnie nie opuścisz, nie zostawisz samego, przyjdiesz do mnie albo pozwolisz, abym ja przyszedł do ciebie. Uciekniemy razem, a jeśli nie zdołamy uciec, będziemy rozmawiali o tych, których kochamy. Pewnie kogoś kochasz?

— Jestem sam na świecie.

— To mnie pokochasz: jeśli jesteś młody, będę ci towarzyszem; jeśli jesteś stary, będę ci synem. Mój ojciec powinien mieć teraz siedemdziesiąt lat, jeśli jeszcze żyje; kochałem tylko jego i dziewczynę imieniem Mercedes. Ojciec o mnie nie zapomniał, jestem tego pewny; ale ona, Bóg tylko wie, czy jeszcze myśli o mnie. Będę cię kochał jak ojca.

— Dobrze. Zatem do jutra — rzekł więzień.

Tych kilka słów wymówił tak, że przekonał Dantès'a; Edmund nie nalegał dłużej — wstał i z taką samą jak przedtem ostrożnością zgarnął wykruszone grudki tynku i przysunął łóżko.

Wtedy oddał się całkowicie radości: już na pewno nie będzie sam, a może nawet odzyska wolność; w najgorszym wypadku, to znaczy jeśli nadal pozostanie więźniem, będzie miał towarzysza; otóż więzienie podzielone z kimkolwiek jest tylko na połę więzieniem. Skargi, które się wznosi wspólnie, są niby pacierze; modlitwy, które się odmawia razem, są niemal aktami dziękczynienia.

Przez cały dzień Dantès kręcił się po celi, a serce łomotało mu z radości. Chwilami dusiła go ta radość. Przysiadł na łóżku, chwytając się za serce. Gdy posłyszał z korytarza choćby najlżejszy szelest, rzucił się ku drzwicom. Ze dwa razy przejął go lęk, że rozłączą go z tym człowiekiem nieznanym, ale już drogim niby przyjaciół. Powziął więc decyzję: gdyby dozorca odsunął łóżko i nachylił się, ażeby zbadać, co to za otwór za nim się kryje, rozstrzaskałby mu łeb kamieniem, na którym stał dzbanek.

Skażą go wtedy na śmierć, wiedział o tym dobrze; ale czyż nie umierał już prawie z tęsknoty i rozpaczki, w chwili gdy tamten cudowny odgłos przywrócił go do życia?

Wieczorem przyszedł dozorca; Edmund był w łóżku, gdyż zdawało mu się, że w ten sposób lepiej ustrzeże nie dokończonego podkopu; zapewne dziwnym spojrzeniem musiał powitać nieproszonego gościa, skoro tamten zapytał:

— No i co? Znowu pan myślisz wariować?

Dantès nic nie odpowiedział, lękając się, aby nie zdradził go głos zmieniony wzruszeniem.

Dozorca wyszedł, kręcąc głową.

Noc zapadła; Dantès spodziewał się, że sąsiad skorzysta z ciemności i ciszy, żeby nawiązać znów rozmowę, ale się omylił; noc minęła, a żaden szmer nie przerwał jego gorączkowego oczekiwania. Ale nazajutrz rano, zaraz po wizycie dozorca, kiedy Edmund odsunął łóżko od ściany, dały się słyszeć trzy miarowe uderzenia; rzucił się więc na kolana.

— Czy to ty? Jestem tutaj.

— Czy dozorca już poszedł? — spytał tamten.

— Tak — odpowiedział Edmund. — Przyjdzie dopiero wieczorem; mamy dwanaście godzin zupełnej swobody.

— Mogę więc działać? — spytał więzień.

— Tak, tak, tak — odpowiedział Dantès — bezzwłocznie, natychmiast, proszę cię!

Wtedy ziemia, na której Edmund, ukryty do połowy w wylomie, wsparł ręce, zapadła się pod nim; rzucił się w tył, a wówczas masa ziemi i sypiących się kamieni runęła w głąb podkopu, którego wylot ukazał się poniżej otworu wyżłobionego przez Edmunda; a w tej głębokiej, ciemnej jamie, której głębokości Dantès nie mógł przemierzyć okiem, ukazała się głowa, po czym ramiona, a wreszcie cała postać mężczyzny, co dość rażąco wygramolił się z tej jamy.

16. UCZONY WŁOSKI

Dantès uściskał nowego przyjaciela, tak długo i niecierpliwie wyglądanego, a potem pociągnął go do okienka, chcąc przyjrzeć mu się lepiej w świetle dziennym, co skąpe i blade wciskało się wąską smugą do celi.

Był to człowiek niepokażny, włosy posiwiały mu nie na skutek sędziwego wieku, ale raczej na skutek udręki; bystre oko ocieniała szpakowata brew, broda, czarna jeszcze, opadała na piersi; wymizerowana twarz poorana głębokimi zmarszczkami, i śmiały zarys jego charakterystycznego oblicza zdradzały, że ów człowiek zabiegał więcej o rozwój swoich władz umysłowych, aniżeli sił fizycznych. Krople potu pokrywały czoło przybysza.

Odzienie zwisało w strzępach, tedy niepodobna było rozeznąć ani jego formy, ani kroju.

Wyglądał na jakieś sześćdziesiąt pięć lat, ale jego energiczne ruchy wskazywały, że jest młodszy i tylko długoletnie więzienie uczyniło zeń starca.

Entuzjastyczne zapewnienia o przyjaźni, którymi zasypał go nasz młodzieniec, sprawiły mu niejaką przyjemność: zmrózzone serce ogrzało się i roztajało jakby na chwilę przy zetknięciu z tą gorącą naturą. Choć doznał wielkiego rozczarowania znalazłszy się w następnej celi, a nie na progu wolności, podziękował Edmundowi dość ciepło za jego serdeczność.

— Rozejrzyjmy się najpierw — rzekł — czy można zamaskować przed wzrokiem dozorców ślady przejścia, którym się tutaj dostałem. Nasz spokój na przyszłość zależy od tego, czy nie wypenetrują, co się tu stało.

Pochylił się nad jamą, wziął głaz, który podniósł z łatwością mimo znacznego ciężaru, i zakrył nim otwór.

— Ten kamień wyrwałeś z muru nieumiejętnie — rzekł kręcąc głową. — Nie masz pewnie odpowiednich narzędzi?

— A pan — zagadnął Dantès — pan je ma?

— Sporządziłem sobie kilka. Z wyjątkiem pilnika mam wszystko, czego mi trzeba: dłuto, obcęgi i lewar.

— Och, bardzo jestem ciekaw tych narzędzi świadczących o pańskiej cierpliwości i pomysłowości — rzekł Dantès.

— Spójrz, pokażę ci najpierw dłuto.

I pokazał mu grube, spłaszczone na końcu ostrze, oprawione w rączkę z bukowego drzewa.

— Z czego pan je zrobił?

— Wyjąłem z łożka żelazny pręt. Za pomocą tego narzędzia przebiłem podkop, który zaprowadził mnie aż tutaj: ma około pięćdziesiąt stóp długości.

— Pięćdziesiąt stóp — zakrzyknął Edmund niemal z przerażeniem.

— Mów ciszej, młodzieńcze, mów ciszej; często się zdarza, że dozorca podsłuchują pod drzwiami.

— Przecież wiedzą, że jestem sam.

— To nie ma znaczenia.

— Powiadasz pan, żeś przekopał tunel pięćdziesięciostopowy, aby dotrzeć tutaj?

— Tak. Tyle mniej więcej wynosi odległość dzieląca moją celę od twojej; ale źle obliczyłem krzywą z braku odpowiednich narzędzi geometrycznych, które pozwoliłyby mi wyznaczyć właściwe proporcje: zamiast czterdziestu stóp krzywizny wypadło mi pięćdziesiąt; jak ci już mówiłem, byłem pewien, że dotrę do zewnętrznych murów cytadeli, przebiję ten mur i skoczę w morze. Kopałem wzdłuż korytarza,

do którego przylega twoja cela, zamiast przejść pod nim; cały mój trud na nic, bo ten korytarz wychodzi na dziedziniec pełen strażników.

— To prawda — odpowiedział Dantès — ale ten korytarz biegnie wzdłuż jednej tylko ściany mojej celi, a takich ścian mamy cztery.

— Tak, niewątpliwie, ale jedną ścianę tworzy skała, do której cela przylega; dziesięciu ludzi wyposażonych we wszelkie narzędzia potrzebowałoby dziesięciu lat na przebicie tej skały; ta zaś przylega na pewno do fundamentów pod mieszkaniem naczelnika; dotarlibyśmy więc do piwnic, pozamykanych oczywiście na klucz, i tam by nas ujęto; a ta ściana sąsiaduje... czekajże, z czym ona sąsiaduje?

W tej właśnie ścianie było okienko, poprzez które padało światło dzienne; zewnętrzny otwór okienka zwężającego się coraz bardziej był tak mały, że dziecko nie przedostałoby się tamtędy; prócz tego zaopatrzono je w trójkątny szereg żelaznych krat, które najbardziej nawet podejrzliwemu dozorczy dawały gwarancję, że więzień nie skorzysta z tego sposobu ucieczki.

Zadając to pytanie, nowo przybyły pociągnął jednocześnie stół pod okno.

— Wejdz na stół — rzekł do Dantèsa.

Edmund usłuchał, wszedł na stół, a odgadując zamiary towarzysza, oparł się plecami o ścianę i wyciągnął do niego rękę.

Więzień Nr 27 wdrapał się zwinniej, niż należało się spodziewać po człowieku w podeszłych latach — ze zręcznością kota albo jaszczurki — najpierw na stół, ze stołu Dantèsowi na rękę, wreszcie z rąk na ramiona; skurczony we dwoje, albowiem sklepienie celi nie pozwalało mu się wyprostować, wysunął głowę poza pierwszy szereg krat i spojrzął w dół.

Po chwili cofnął szybko głowę.

— Ach, ach! — rzekł — spodziewałem się tego.

I zsunął się tą samą drogą na stół, ze stołu skoczył na podłogę.

— Czegoś się pan spodziewał? — zagadnął niespokojnie młodzieniec, zeskakując na ziemię.

Stary więzień dumiał nad czymś.

— Tak — ozwał się — tak jest; czwarta ściana wychodzi na krużganek, rodzaj galerii, którą przechodzą patrole i gdzie czuwają strażnicy.

— Jesteś pan tego pewien?

— Tak. Widziałem czako żołnierza i lufę karabinu; nie zeskoczyłbym tak szybko, gdybym się nie obawiał, że żołnierz mnie dojrzy.

— No i? — spytał Dantès.

— Widzisz, że niepodobna uciec z twojej celi.

— No więc? — ozwał się Dantès pytającym tonem.

— No więc niech się dzieje wola boska!

I oblicze starca przybrało wyraz głębokiej rezygnacji.

Dantès spojrzął na poły ze zdziwieniem, na poły z admiracją na tego człowieka, co z takim filozoficznym spokojem rezygnował z nadziei, które żywił od dawna.

— A teraz, czy możesz mi pan powiedzieć, kim jesteś? — zagadnął Edmund.

— Ach, mój Boże! czemu nie, skoro cię to interesuje nawet teraz, kiedy już nie mogę ci być w niczym pomocny.

— Będziesz mnie pan pocieszał i krzepił, bo zdaje mi się, że nikt nie dorówna ci siłą ducha.

Ksiądz uśmiechnął się smutno.

— Nazywam się Faria i jestem księdzem; od 1811 roku przebywam w lochach zamku If, o czym wiesz, ale przedtem siedziałem trzy lata w twierdzy Fenestrelle. W 1811 przesłano mnie z Piemontu do Francji. Wtedy dowiedziałem się, że los, jak się zdawało, w owym czasie posłuszny Napoleonowi, obdarzył go synem, który już w kolebce otrzymał rzymską koronę. Wtedy aniby mi przez myśl nie przeszło to, co mi dziś powiedziałaś: że w cztery lata później kolos zostanie obalony. Któż tedy rządzi Francją? Czy Napoleon II?

— Nie Ludwik XVIII.

— Ludwik XVIII, brat Ludwika XVI! Dziwne i tajemnicze są wyroki nieba! Do czegoż zmierzała Opatrzność poniżając człowieka, którego wyniosła, i wynosząc tego, którego poniżyła?

Dantès nie spuszczał z oczu starca, który zapomniał na chwilę o własnym losie, by poświęcić całą uwagę losom świata.

— Tak, tak — mówił dalej Faria — to tak jak w Anglii: po Karolu I Cromwell; po Cromwellu Karol II i może po Jakubie II jakiś zięć czy krewniak albo jakiś książę Orański; stathouder, który zamianuje się królem, a wtedy nowe ustępstwa dla ludu, nowa konstytucja, a z nią i wolność! Zobaczysz to kiedyś, młodzieńcze — dorzucił zwracając się ku Dantèsowi i ogarniając go spojrzeniem błyszczącym a głębokim, takim, jakie musieli mieć prorocy. — Zobaczysz to jeszcze, boś młody.

— Tak, jeśli się stąd wydostanę.

— Ach, to prawda — rzekł książdz Faria. — Jesteśmy więźniami, są chwile, kiedy o tym zapominam, i wtedy wydaje mi się, że jestem wolny, gdyż mój wzrok przebija mury, którymi jestem otoczony.

— Ale dlaczego książdz tu siedzi?

— Ja? Dlatego, że w 1807 roku śniłem o tym, co Napoleon chciał zrealizować w 1811, dlatego, że jak Machiavelli pragnąłem, by z tych wszystkich ksiąstewek, które czyniły z Włoch gniazdo królestw malutkich, słabych a despotycznych, powstało wielkie, jednolite, zwarte i silne imperium; bo wydawało mi się, że odnalazłem mojego Cezara Borgię w pewnym koronowanym głupcu, który udawał, że mnie rozumie, aby mnie tym łatwiej zdradzić. To były zamierzenia Aleksandra VI i Klemensa VII — a nie powiodą się one nigdy, bo dotychczas przedsiębrano je nadaremnie, a Napoleon nie zdołał ich zrealizować do końca; stanowczo, nad Włochami ciąży przekleństwo!

Starzec spuścił głowę.

Dantès nie pojmował, jak można ryzykować życie dla podobnych spraw; bo jeśli nawet coś wiedział o Napoleonie — widział go i rozmawiał z nim przecież — nie słyszał jednak nigdy ani o Aleksandrze VI, ani o Klemensie VII.

— Czy książdz nie jest aby tym... — zagadnął Dantès, dzielając opinię dozorczy, która panowała zresztą powszechnie w zamku If — tym chorym księdzem?

— Księdzem-wariatem, chciałeś powiedzieć, nieprawdaż?

— Nie miałem odwagi... — odparł z uśmiechem Dantès.

— Tak, tak — odpowiedział Faria z gorzkim uśmiechem — tak, to ja uchodzę za wariata; moim to kosztem bawią się od dawna tak wyśmienicie mieszkańcy tego więzienia i byłbym igraszką dla działwy, gdyby dzieci przemieszkiwały w tym siedlisku beznadziejnej męki.

Dantès umilkł i jakby zdrętwiał na chwilę.

— To książdz zrezygnował z ucieczki? — zapytał.

— Widzę, że ucieczka jest wykluczona; próbować osiągnąć to, czemu Bóg nie sprzyja, byłoby buntem wobec Niego.

— Dlaczego książdz się zniechęca? Niepodobna żądać od Opatrzności, aby zapewniła nam powodzenie tak od pierwszego razu. Czy książdz nie może, obrawszy inny kierunek, zacząć od nowa tego, co książdz dotychczas zrobił?

— A czy wiesz dobrze, co zrobiłem, że radzisz mi tak pochopnie zacząć od nowa? Czy wiesz, że trzeba mi było aż czterech lat, by sporządzić narzędzia? Czy wiesz, że od dwóch lat ryję ziemię twardą jak granit? Czy wiesz, że musiałem wyważać głazy, których kiedyś nie ośmieliłbym się ruszyć z miejsca? Że całe dni mijały mi na tym tytanicznym znoju i że niekiedy wieczorem zasypiałem szczęśliwy, usunąwszy może cal kwadratowy tego starego cementu stwardniałego w gład? Czy wiesz, czy wiesz wreszcie, że chcąc usunąć tę wykopaną ziemię i kamienie, musiałem przebić sklepienie piwnic, by dostać się pod schody, i wolną przestrzeń pod klatką schodową nappełniłem stopniowo gruzem tak szczelnie, że dziś nie wiedziałbym, gdzie podziąć choćby garść piasku? I czy wiesz, że wtedy, gdym był pewien, że mój trud dobiega kresu, kiedyś czułem, że wystarczy mi siła akurat na ukończenie tej pracy, Bóg nie tylko oddalił ode mnie cel moich wysiłków, ale odepchnął go, diabli wiedzą gdzie? Ach, powiedziałem ci już i powtarzam jeszcze raz, że od tej chwili nie kiwnę palcem, by odzyskać wolność, gdyż Bóg życzy sobie widać, abym utracił ją na zawsze.

Dantès pochylał głowę, nie chcąc zdradzić, że radość, którą odczuwał na myśl o pozyskiwaniu towarzysza, nie dozwalała mu współczuć tak, jakby może powinien, temu zrozpaczonemu starcowi.

Książdz Faria osunął się na łóżko Dantèsa, a ten stał obok.

Młodzieniec nigdy nie pomyślał o ucieczce. Istnieją zamierzenia, które wydają się nam takim niepodobieństwem, że nawet nie myśli się o wprowadzeniu ich w czyn i odrzuca się je instynktownie. Wykuć pod ziemią chodnik długości pięćdziesięciu stóp, poświęcić na to zadanie trzy lata, aby, jeśli się ono powiedzie, stanąć ponad przepaścią, której prostopadłą ścianę oblewają fale morskie, skoczyć

z wysokości pięćdziesięciu, sześćdziesięciu, może nawet stu stóp, by roztrzaskać sobie głowę o jakąś skałę, jeśli wprzód nie dosięgnie cię kula strażnika; wreszcie, jeśli wyjdzie się cało z tych niebezpieczeństw, być zmuszonym do przepłynięcia około mili — to wszystko wystarczało, by zrezygnować zupełnie, i jak wiemy, Dantès tak dalece zrezygnował, że tylko przypadek powstrzymał go od samobójstwa.

Ale teraz, napotkawszy starca, który czepiając się z taką mocą życia, dał mu przykład realizacji najrozpaczliwszych poczynań, nasz młodzieniec jął się zastanawiać i przymierzać swoje siły i odwagę. Kto inny porwał się na coś, co jemu nie przyszło nawet do głowy; kto inny, starszy, słabszy, mniej zręczny od niego, sprokurował sobie dzięki sprytowi i cierpliwości narzędzia konieczne dla dokonania tego nieprawdopodobnego czynu, którego nie ukoronowało zwycięstwo tylko z tej racji, że błąd wkraść się w obliczenia; skoro kto inny tego dokonał, nie było rzeczy niemożliwych i dla Dantèsa; Faria zrobił podkop długości pięćdziesięciu stóp — Dantès przebijie tunel stustopowy; pięćdziesięcioletni Faria wykonał tę pracę w trzy lata, a Dantès, połowę młodszy od Farii, poświęci na to sześć lat; Faria będąc księdzem, uczonym, nie obawiał się skoczyć w morze, przepłynąć przestrzeń dzielącą zamek If od wysp Daume, Ratonneau albo Lemaire, a on, marynarz, zuchwały pływak, co po tylekroć docierał na dno morza w poszukiwaniu gałązki koralu, miałby zawahać się, gdyby szło o przepłynięcie mili? Ileż by to czasu zabrało? Może godzinę? O nie, nie! Dantès potrzebuje tylko przykładu, który by go zachęcił. To, co kto inny mógł wykonać, Edmund wykona także.

— Znalazłem to, czego ksiądz potrzebuje — rzekł do starca. Faria zadrżał.

— Ty? — spytał podnosząc głowę, a z gestu jego można było poznać, że zniechęcenie, któremu uległ, nie będzie trwałe. — I cóż to znalazł, proszę?

— Prawda, że korytarz, który ksiądz wykopał, by dotrzeć tutaj, biegnie równolegle do zewnętrznej galerii?

— Tak.

— I oddalony jest od niej o jakie piętnaście kroków?

— Najwyżej.

— Tedy od połowy korytarza zaczniemy budować chodnik, który będzie stanowił jakby jedno ramię krzyża. Tym razem ksiądz dokładniej obliczy. Wylot tego chodnika znajdzie się na poziomie zewnętrznej galerii. Zabijemy strażnika i uciekniemy. Aby ten plan się powiódł, trzeba nam tylko odwagi, a tej księdzu nie brak, i tylko siły, tej zaś mam pod dostatkiem. Nie wspominam o wytrwałości, bo ksiądz dowiódł, że ją ma, a ja też dostarczę dowodów.

— Chwileczkę, młodzieńcze — rzekł Faria — nie wiesz, drogi towarzyszu, jakim rodzajem odwagi się odznaczam i na co chcę zużytkować moje siły. Co do wytrzymalności, wydaje mi się, że mam jej dosyć, skoro każdego ranka stawałem do pracy wykonywanej nocą, a każdego wieczoru — do tej, którą rozpocząłem za dnia. Ale posłuchaj mnie, młodzieńcze: widzisz, zdawało mi się, że służę Bogu, uwalniając istotę ludzką, która będąc niewinną nie mogła być skazana na wieki.

— Jakże to? Czy sprawa zmieniła się choćby na jotę? Czy ksiądz, zetknąwszy się ze mną, uczuł się nagle winowajcą?

— Nie, ale nie chcę nim zostać. Dotychczas walczyłem tylko z martwymi przedmiotami, a ty proponujesz mi walkę z ludźmi. Mogłem przebić mur, zburzyć schody, ale nie przebiję niczyjej piersi ani nie zniszczę niczyjego życia.

Dantès nie zdołał ukryć lekkiego odruchu zdziwienia.

— Jak to! Czy tego rodzaju skrupuły zdolne są księdza powstrzymać, kiedy idzie o wolność?

— A ty czemużeś pewnego wieczora — zapytał Faria — nie trzasnął dozorcę po łbie nogą od stołu, nie przebrałeś się w jego odzienie i nie próbowałeś zbiec?

— Bo mi to nie przyszło do głowy — odpowiedział Edmund.

— Bo zbrodnia przyprawia cię o taki wstręt, że nawet o niej nie pomyślisz — mówił ksiądz. — Zresztą w sprawach zwykłych, niejako dozwolonych, nasze naturalne pragnienia dają nam znak, że nie zbaczamy z właściwej drogi. Tygrys, co chępcze krew, bo taka jego natura, gatunek, przeznaczenie, potrzebuje tylko jednego: by jego węch doniósł mu, że w pobliżu znajduje się zdobycz. Natychmiast rzuca się ku tej zdobyczy, spada na nią i rozrywa. Po prostu idzie za głosem instynktu. Ale w człowieku krew budzi wstręt; to nie prawa socjalne powstrzymują ludzi od zbrodni, ale prawa naturalne.

Dantès stropił się: rzeczywiście, posłyszał wyjaśnienie tego, co działo się niejako bezwiednie w jego umyśle, a raczej w sercu, albowiem istnieją myśli rodzące się w mózgu, lecz są i takie, co poczynają się w sercu.

— Wreszcie — mówił dalej ksiądz — przez dwanaście lat, odkąd jestem w więzieniu, rozpamiętywałem wszystkie słynne ucieczki. Niewiele się z nich powiodło. Najczęściej udają się ucieczki obmyślane starannie i przygotowane powoli, co zapewnia im pełny sukces; w ten sposób ksiądz de Beaufort uciekł z zamku Vincennes, ksiądz du Buquoi z Fort-l'Evêque, a Latude z Bastylii. Są też ucieczki będące dziełem przypadku i te są najpomysłniejsze; zaczekajmy na sposobność — tak będzie najlepiej, wierz mi — i skorzystajmy z niej, jeśli się nadarzy.

— Księdzu łatwo było czekać — westchnął Dantès — ciężka praca wypełniała księdzu niemal każdą chwilę, a jeśli w pracy nie znajdował ksiądz zapomnienia, to z nadziei z nią związanych czerpał pociechę.

— Wcale nie tylko tym się zajmowałem — oznajmił Faria.

— A cóż ksiądz robił?

— Pisałem, studiowałem.

— Dają więc księdzu papier, atrament i pióra?

— Nie — odpowiedział Faria — Sam sobie sporządzam przybory do pisania.

— Jak to? Atrament, pióro i papier? — wykrzyknął Edmund.

— Tak.

Dantès spojrział z podziwem na tego człowieka; ale trudno mu było uwierzyć jego słowom. Faria spostrzegł owo lekkie powątpiewanie.

— Przyjdiesz kiedyś do mnie, to ci pokażę moją pracę, rezultat moich rozmyślań, poszukiwań, wreszcie spostrzeżeń gromadzonych przez całe życie i przemyślanych w Rzymie — w cieniu Koloseum; w Wenecji — u stóp kolumny świętego Marka, a we Florencji — nad brzegiem Arno; nigdy bym się nie spodziewał, że moi stróże pozwolą mi właśnie stworzyć to dzieło w czterech ścianach celi. Jest to „Memoriał o możliwości wprowadzenia ustroju monarchicznego w całych Włoszech”. W druku byłby to gruby tom in quarto.

— Ksiądz je napisał?...

— Na dwóch koszulach. Wynałazłem pewien preparat, dzięki któremu płótno staje się gładkie i jednolite niby pergamin.

— Zatem ksiądz jest chemikiem?

— Trochę. Znałem Lavoisiera, a przyjaźniłem się z Cabanisem.

— Ale aby napisać taką pracę, ksiądz musiał poczynić badania historyczne. Czy ksiądz miał jakieś książki?

— W Rzymie miałem w mojej bibliotece około pięciu tysięcy tomów. Przeczytawszy je kilkakrotnie, stwierdziłem, że sto pięćdziesiąt dzieł umiejętnie dobranych daje nam, jeśli nie wyczerpujące streszczenie całej ludzkiej wiedzy, to przynajmniej tyle, co człowiek wiedzieć powinien. Na parokrotne przeczytanie tych dzieł poświęciłem trzy lata i tym sposobem umiałem je niemal na pamięć w chwili, kiedy mnie aresztowano. W więzieniu wysiliwszy nieco pamięć przypomniałem je sobie dokładnie. Mógłbym więc recytować ci teraz Tucydidesa, Ksenofonta, Plutarcha, Tytusa Liwiusza, Tacyta, Stradę, Jornandesę, Dantego, Montaigne'a, Szekspira, Spinozę, Machiavellego, Bossueta. Wymieniam tylko najważniejszych.

— Ksiądz włada kilkoma językami, nieprawdaż?

— Znam pięć języków żywych: niemiecki, francuski, włoski, angielski i hiszpański; dzięki starogreckiemu rozumiem greczyznę współczesną, ale niezbyt dobrze mówię tym językiem i uczę się go teraz.

— Jak to być może?

— Po prostu sporządziłem słownik znanych mi wyrazów; ustawiam je, szereguję i przemieniam tak, bym mógł wyrazić moją myśl. Znam około tysiąca słów, to mi w ostateczności wystarczy, choć, o ile wiem, w słowniku jest ich ze sto tysięcy. Wymowny nie będę, ale porozumiem się doskonale z Grekiem i to mnie zadowoli.

Dantès, zachwycony coraz bardziej, jał się dopatrywać w uzdolnieniach tego dziwaka cech niemal nadnaturalnych. Chcąc przyłapać go na jakimś błędzie czy nieścisłości, zapytał:

— Niechże mi ksiądz powie, w jaki sposób ksiądz mógł napisać tak obszerne dzieło, skoro nie dają tutaj księdzu pióra?

— Zrobiłem sobie zapas wybornych piór, które uznano by na pewno za lepsze od zwykłych, gdyby wiedziano, z czego je sporządziłem: otóż ości ryb, którymi nas karmią w dni postne, stanowią

znakomity materiał, szczególnie zaś wyjęte z głów ogromnych sielaw, które niekiedy nam tu przynoszą, toteż witałem każdy wtorek, piątek i sobotę z radością, gdyż w te dni mogłem powiększać mój zapas piór, a wyznaję, że studium historyczne, które opracowuję, było zawsze moim najmiłszym zajęciem. Zapuszczając się w przeszłość, zapominam o teraźniejszości; przechadzając się, swobodny i niezależny, wśród minionych dziejów, zapominam, że jestem więźniem.

— Ale atrament — pytał nieustępliwie Dantès — z czego ksiądz zrobił atrament?

— Istniał kiedyś w mojej celi kominek — odparł Faria. — Na jakiś czas przed moim przybyciem zamurowano go, ale przez wiele lat palił się w nim ogień, całe tedy jego wnętrze pokryła warstwa sadzy. Rozpuszczam tę sadzę w winie, które otrzymuję co niedziela, i tym sposobem mam doskonały atrament. Jeśli idzie o notatki szczególnie ważne, które powinny zwracać uwagę, nakłuwam sobie palec i piszę własną krwią.

— A kiedy będę mógł to wszystko obejrzeć?

— Kiedy zechcesz.

— No to chodźmy zaraz — zawołał młodzieniec.

— Dobrze. Idź za mną — przystał ksiądz.

Wszedłszy do podziemnego korytarza, znikł z oczu Edmunda, który podążył jego śladem.

17. W CELI KSIĘDZA

Edmund szedł wprawdzie schylony, ale posuwał się dość łatwo, niebawem tedy dotarł do końca podkopu, którego wylot znajdował się w celi księdza. Tu korytarz zwężał się tak bardzo, że niepodobna było przecisnąć się inaczej, jak pełznąć. Cella księdza była wyłożona kamiennymi płytami; tak to, wyważywszy ongi jedną z tych płyt w najciemniejszym kącie, Faria rozpoczął pracowite dzieło, którego rezultat Edmund ujrzał na własne oczy.

Ledwie Edmund wszedł do celi i wyprostował się, od razu ogarnął ją bacznym spojrzeniem. Na pierwszy rzut oka nie przedstawiała nic osobliwego.

— Doskonale — rzekł Faria — jest kwadrans po dwunastej, mamy więc przed sobą kilka spokojnych godzin.

Dantès zreflektował się wokół szukając zegara, który pozwalał księdzu oznaczyć czas tak dokładnie.

— Spójrz na promień światła padający z okienka i na kreski, które wyrysowałem na ścianie. Dzięki owym liniom, które wyznaczyłem wedle podwójnego ruchu ziemi — dookoła własnej osi i elipsy zakreślonej wokół słońca — wiem dokładniej, która jest godzina, niż gdybym miał zegarek, albowiem zegarek psuje się często, a mechanizm obrotów ziemi nie psuje się nigdy.

Dantès nie zrozumiał ani słowa z tych objaśnień; widząc zawsze, że słońce wschodzi ponad górami, a zachodzi nad Morzem Śródziemnym, sądził, iż to słońce się porusza, a nie ziemia. Ten podwójny ruch kuli ziemskiej, którą zamieszkiwał, wydawał mu się prawie niemożliwy, gdyż go nie dostrzegał; w każdym słowie Farii odkrywał tajemnice wiedzy równie zachęcające do poszukiwań jak kopalnie złota i diamentów, które zwiedził dzieckiem będąc w Guzarate i Golkondzie.

— Spieszno mi poznać skarby, które ksiądz nagromadził.

Faria zbliżył się do kominka, podważył dłutem kamienną płytę dawnego paleniska, co zakrywała otwór dość głęboki; w tej jamie przechowywał wszystkie przedmioty, o których wspominał Edmundowi.

— Co chcesz najpierw obejrzeć? — spytał.

— Niech ksiądz mi pokaże dzieło traktujące o wprowadzeniu monarchii we Włoszech.

Faria wydobył z cennej skrytki kilka rulonów płótna przypominającego zwoje papirusu; były to pasy szerokie mniej więcej na cztery cale, a długości osiemnastu cali. Te pasy, ponumerowane starannie, pokrywało pismo, które Dantès mógł przeczytać, memoriał bowiem napisany był w języku ojczystym księdza, to jest po włosku, a nasz młodzieniec rodem z Prowansji znał doskonale ten język.

— Spójrz — rzekł Faria — wszystko gotowe; tydzień temu napisałem słowo „koniec” u dołu sześćdziesiątego ósmego pasa! Dwie moje koszule i wszystkie chusteczki poszły na ten cel. Jeśli kiedykolwiek odzyskam wolność, a znajdzie się we Włoszech jakiś odważny wydawca, który ośmieli się wydrukować moją pracę, zyskam sławę.

— O tak — odparł Dantès — jestem tego pewien. A teraz niech ksiądz pokaże, jeśli łaska, pióro, którym ksiądz napisał ten memoriał.

— Oto ono — rzekł Faria.

I pokazał młodzieńcowi patyczek długości sześciu cali, a grubości takiej, jak trzonek pędzla; u nasady patyczka była przymocowana nitką płaska ość, ubarwiona jeszcze atramentem, o którym ksiądz napomknął; ość była wydłużona i zastrzona na końcu jak zwykle pióro.

Dantès obejrzał je dokładnie, rozglądając się za narzędziem, którym ksiądz potrafił być zastrzyć pióro tak znakomicie.

— Ach, chodzi ci o scyzoryk, nieprawdaż? To mój majstersztyk; zrobiłem go, tak samo jak i nóż, ze starego żelaznego lichtarza.

Scyzoryk był ostry jak brzytwa a nóż miał tę zaletę, że mógł służyć i jako nóż, i jako sztylet.

Edmund oglądał te przedmioty z taką ciekawością, z jaką w Marsylii, zaszedłszy do sklepu z osobliwościami, przypatrywał się niekiedy narzędziom wykonanym przez dzikich, a przywożonym z Południa przez kapitanów wracających z dalekich rejsów.

— Jeśli idzie o atrament — powiedział Faria — to znasz już receptę: przygotowuję go tylko w miarę potrzeby.

— Dziwi mnie teraz jedno — zauważył Edmund. — Jakim sposobem pracując tylko za dnia ksiądz mógł aż tyle zdziałać?

— Pracowałem też i nocą.

— Nocą? Czy ksiądz ma kocie oczy?

— Nie, ale Bóg obdarzył człowieka inteligencją po to, by mógł przyjść z pomocą swoim niedoskonałym zmysłom: sprokurowałem sobie światło.

— A to jakim cudem?

— Oddzielam łój od mięsa, które nam przynoszą, topię go i w ten sposób otrzymuję coś w rodzaju gęstej oliwy. Spójrz, oto moja świeca.

Ksiądz zademonstrował młodzieńcowi rodzaj lampki oliwnej, podobnej do tych, jakie używa się w czasie iluminacji.

— A ogień? Oto dwa kamienie i trochę spalonego płótna. Powiedziałem, że mam jakąś chorobę skórnią i poprosiłem o siarkę, którą mi dano.

Dantès położył na stole przedmioty, które trzymał w ręku, i spuścił głowę, przytłoczony wytrwałością i siłą tego męznego ducha.

— To jeszcze nie wszystko — powiedział Faria — nie można bowiem ukrywać takich skarbów w jednej tylko skrytce; zamknijmy ten schowek.

Ułożyli płytę na swoje miejsce; ksiądz rozsypał na niej trochę piasku, rozgarnął go nogą, by wypełnić nim najmniejszą szczelinę, która powstać mogła na skutek podniesienia płyty, za czym podszedł do łóżka i odsunął je.

Za wezłowiec znajdowała się jama zasłonięta głazem, który zamykał ten otwór niemal hermetycznie, a w niej drabinka sznurowa długości dwudziestu pięciu, może trzydziestu stóp.

Dantès wypróbował ją: była zadziwiająco mocna.

— Któż księdzu dostarczył sznurka do tej cudownej drabinki?

— Poszło na to najsampierw kilka koszul, później prześcieradła, z których podczas trzyletniego pobytu w Fenestrelle wyciągałem nitki. Kiedy przewożono mnie do zamku If, urządziłem się tak, aby móc zabrać ze sobą te strzępy, a raczej nici; i tutaj wróciłem znów do roboty.

— Ale czy nie zauważono, że prześcieradła, na których ksiądz sypiał; nie są obrębione?

— Zaobrębiałem je na nowo.

— Czym?

— Tą igłą.

Ksiądz odchylił kraj podartego odzienia i pokazał Dantèsowi długą, cienką, nawet nawleczoną jeszcze igłę, którą nosił wpiętą w ubranie.

— Było to tak — ozwał się znów Faria. — Zamierzałem najpierw wyłamać kraty i uciec okienkiem jak widzisz, nieco szerszym od twojego, a poszerzyłbym je jeszcze w ostatniej chwili, ale spostrzegłem, że okienko to wychodzi na wewnętrzne podwórze, i porzuciłem ten projekt jako zbyt ryzykowny. Drabinkę jednak zostawiłem na wszelki wypadek, gdyby się nadarzyła taka okazja, o jakiej ci wspominałem, to znaczy będąca dziełem przypadku.

Edmund udając, że przygląda się drabince, myślał jednak o czym innym; przyszła mu bowiem do głowy taka myśl: czy ten człowiek tak inteligentny, pomysłowy i przenikliwy nie rozezna się lepiej od niego w mroku spowijającym jego nieszczęścia, do których źródła sam nigdy nie zdołał dotrzeć?

— O czym tak rozmyślasz? — spytał z uśmiechem Faria, sądząc, że młodzieniec milczy ogarnięty najwyższym podziwem.

— Myślę przede wszystkim o tym, jak ogromny zasób inteligencji potrzebny był księdzu, by osiągnąć takie rezultaty; czego by ksiądz dokonał, będąc na wolności!

— Pewnie nic; roztrwoiłbym może nadmiar mojej inteligencji na głupstwa. Dopiero nieszczęście odkrywa w ludzkich umysłach skarby nieprzebrane, a tajemne; kto chce wyważyć bramę, musi przeć na nią całym ciężarem. Dopiero w więzieniu skupiły się niejako w jednym punkcie wszystkie moje uzdolnienia, rozproszone w różnych kierunkach, zamknięte w ciasnej przestrzeni zderzały się ze sobą, a wiesz, że ze zderzenia chmur rodzi się elektryczność; z elektryczności błyskawica; z błyskawicy światło.

— Nie, nie mam o niczym pojęcia — jęknął Edmund przytłoczony swoją niewiedzą. — Niektóre ze słów księdza pozbawione są dla mnie sensu; o, jakże ksiądz jest szczęśliwy będąc tak wykształconym!

Faria uśmiechnął się.

— Powiedziałeś przed chwilą, że myślisz o dwóch sprawach, nieprawdaż?

— Tak.

— A powiedziałeś mi tylko o jednej; jakaż jest druga?

— Że ksiądz opowiedział mi swoje życie, nie wie zaś nic o moim.

— Twoje życie jest zbyt krótkie, młodzieńcze, by mogły się w nim pomieścić jakieś ważne wydarzenia.

— Przytrafiło mi się jednak straszliwe nieszczęście — rzekł Dantès — na które nie zasłużyłem, i chciałbym, żeby nie bluźnić więcej Bogu, jak to nieraz czynię, złożyć je na karb ludzkiej podłości.

— Utrzymujesz, że cię niewinnie oskarżono?

— Jestem niewinny, klnę się na głowy dwóch najdroższych mi osób: ojca i Mercedes.

— No dobrze — powiedział Faria, zakrywając schowanko i przysuwając łóżko — opowiedz mi więc swoją przeszłość.

Dantès opowiedział tedy to, co uznał za swoją przeszłość, a co ograniczało się do jednej podróży do Indii i dwóch, może trzech na Bliski Wschód, wreszcie doszedł i do ostatniej, wspomniawszy o śmierci kapitana Leclère, o pakiecie, który na polecenie kapitana miał wręczyć wielkiemu marszałkowi dworu, o wizycie u marszałka i o liście otrzymanym od niego, a zaadresowanym do pana Noirtier z Paryża, wreszcie o przybyciu do Marsylii, o rozmowach z ojcem, o miłości do Mercedes, o uczcie zaręczynowej, o pojmaniu go przez policję, o tymczasowym uwięzieniu w gmachu sądu, po czym, definitywnie, w zamku If. Dobrnawszy do tego punktu Dantès nic więcej nie wiedział — nawet, ile czasu jest więziony.

Wysłuchawszy opowieści do końca, Faria popadł w głęboką zadumę.

— Istnieje pewien aksjomat prawny — rzekł po chwili — w którym jest zawarta głęboka myśl, a odnosi się on do tego, o czym ci przed chwilą mówiłem:

dopóki zła myśl nie zrodzi się w spaczonej organizmie, natura ludzka wzdraga się przed zbrodnią. A jednak cywilizacja narzuciła nam pewne potrzeby, przywary, żądze, które wiodąc nas ku złu wywierają na nas niekiedy wpływ tak silny, że milkną nasze dobre instynkty. Na tym opiera się następująca maksyma: „Jeśli chcesz wykryć winowajcę, odszukaj najpierw tego, komu popełniona zbrodnia mogłaby przynieść korzyść”. Komu twoje zniknięcie mogło się na coś przydać?

— O mój Boże! Nikomu! Czymże ja byłem!

— Nie odpowiadaj w ten sposób, gdyż odpowiedź twoja świadczy jednocześnie o braku logiki i zmysłu filozoficznego; wszystko jest względne, mój miły przyjacielu; na przykład król jest niewygodną osobą dla swojego następcy, urzędnik zaś zawadza nadetatowemu koledze; gdy król umiera, następcą dziedziczy koronę; gdy urzędnik umiera, kolega, dla którego nie było etatu, dziedziczy tysiąc dwieście liwrów wynagrodzenia. Owe tysiąc dwieście liwrów to jego cywilna lista, a potrzebuje ich, aby żyć, tak samo jak król swoich dwunastu milionów. Każdy człowiek, począwszy od najędźniejszych, a skończywszy na osobistościach najwyżej postawionych w hierarchii społecznej, skupia wokół siebie jakby osobny mały światek, mający, jak i światy u Kartezjusza, swoje wiry i powinowactwa. I tylko kręgi tych światów rozszerzają się, w miarę jak światy się wznoszą. To spirala

jak gdyby odwrócona wierzchołkiem w dół i utrzymująca się na nim dzięki kapryswi równowagi. Wróćmy zatem do twojego osobistego świata. Miałeś tedy zostać kapitanem „Faraona”?

— Tak.

— Miałeś się ożenić z piękną dziewczyną?

— Tak.

— Czy leżało w czyimś interesie, byś nie został kapitanem „Faraona”? Czy zależało komu, żebyś się nie ożenił z Mercedes? Odpowiedz nasamprzód na pierwsze pytanie, porządek bowiem jest kluczem do rozwiązania każdej kwestii. Czy komuś mogło zależeć, byś nie został kapitanem „Faraona”?

— Nie, załoga bardzo mnie lubiła. Gdyby marynarze mogli wybierać sobie dowódcę, wybraliby mnie. Jeden tylko człowiek mógł mieć do mnie urazę: poróżniwszy się z nim trochę jeszcze przed tymi wydarzeniami, wyzwałem go na pojedynek, którego nie przyjął.

— No proszę! A jak się nazywa ów człowiek?

— Danglars.

— Jakie funkcje pełnił na statku?

— Był buchalterem.

— Czy zatrzymałbyś go na tym stanowisku, gdybyś został kapitanem?

— Nie, gdyby to ode mnie zależało, zdawało mi się bowiem, że przytapałem go na pewnych nieścisłościach w rachunkach.

— Dobrze. A teraz powiedz mi, czy był ktoś świadkiem ostatniej rozmowy z kapitanem Leclère?

— Nie, byliśmy sami.

— Czy ktoś mógł podsłuchać tę rozmowę?

— Tak, bo drzwi były otwarte; a nawet... zaraz, niech ksiądz poczeka... tak, tak; Danglars przeszedł właśnie tamtędy, gdy kapitan Leclère wręczał mi pakiet dla wielkiego marszałka.

— No tak — skinął głową Faria — jesteśmy na tropie. Czy zabrałeś kogo ze sobą, udając się na ląd, zatrzymawszy się u brzegów Elby?

— Nikogo nie zabrałem.

— Czy dano ci jakiś list?

— Tak, wielki marszałek dworu dał mi list.

— I co zrobiłeś z tym listem?

— Włożyłem go do pugilaresu.

— Miałeś więc pugilares ze sobą? A jakim sposobem pugilares zawierający urzędowy list mógł być się zmieścić w kieszonce marynarskiej bluzy?

— Ksiądz ma rację. Musiałem zostawić pugilares na statku.

— I dopiero wróciwszy na pokład schowałeś list do pugilaresu?

— Tak.

— A nim wróciłeś z Portoferraio na pokład „Faraona”, cóżes z tym listem robił?

— Trzymałem go w ręce.

— Kiedy więc wchodziłeś na pokład, wszyscy widzieli, że masz w ręku jakiś list?

— Tak.

— Tak samo Danglars, jak i inni?

— Tak samo.

— Teraz posłuchaj mnie uważnie i postaraj się wszystko sobie dokładnie przypomnieć: czy dobrze pamiętasz treść donosu?

— O tak; przeczytałem go trzy razy i każde słowo utkwilo mi w pamięci.

— Powtórz mi więc dokładnie. Dantès skupił się.

— Oto dosłowne brzmienie — rzekł: — „Oddany sługa tronu i ołtarza donosi panu prokuratorowi królewskiemu, że oficer ze statku »Faraon«, niejaki Edmund Dantès, który przybył dziś rano ze Smyrny, zatrzymawszy się po drodze w Neapolu i Portoferraio, przywiózł był list od Murata do uzurpatora, w następstwie czego uzurpator wręczył Dantèsowi list do komitetu stronnictwa bonapartystów w Paryżu.

Dowód winy wyjdzie na jaw po aresztowaniu Dantèsa, gdyż ów list znajduje się albo w jego kieszeni, albo w mieszkaniu jego ojca, albo też w kajucie Dantèsa na statku »Faraon«.

Ksiądz wzruszył ramionami.

— Przecież to jasne jak słońce — powiedział — i bardzo jesteś naiwny i dobroduszny, skoroś od razu na to nie wpadł.

— Ksiądz jest tego pewny? — zakrzyknął Dantès. — Ależ byłaby to podłość!

— Jaki charakter pisma miał Danglars?

— Pisał pięknymi, pochyłymi literami.

— A jakim pismem skreślono donos?

— Pochylonym w lewo. Ksiądz uśmiechnął się.

— Naumyślnie zmienionym?

— Raczej nie; było zbyt śmiałe, żeby mogło być zmienione naumyślnie.

— Poczekaj chwilę.

Ksiądz wziął pióro, a raczej to, co tak nazywał, zanurzył w kałamarzu i lewą ręką napisał na przygotowanym zawczasu kawałku płótna ze dwa wiersze denuncjacji.

Dantès cofnął się i spojrzał na księdza niemal z przerażeniem.

— Ach! To zadziwiające — wykrzyknął — jak tamto pismo było podobne do tego!

— Dlatego, że napisano donos lewą ręką. Zauważyłem jedno... — mówił ksiądz.

— Cóż takiego?

— Że te same litery pisane prawą ręką są zawsze różne, natomiast pisane lewą ręką są zawsze niemal identyczne.

— Chyba ksiądz wszystko widział i wszystko wie!

— Idźmy dalej.

— O, tak, tak!...

— Przejdźmy do następnego pytania.

— Słucham.

— Czy komuś zależało na tym, żebyś nie poślubił Mercedes?

— Tak. Pewnemu młodzieńcowi, który się w niej kochał.

— Jak mu na imię?

— Fernand.

— To hiszpańskie imię.

— Jest Katalończykiem.

— Czy sądzisz, że byłby zdolny do napisania tego listu?

— Nie. Wpakowałby mi sztylet w plecy i basta.

— Tak. Taki postępek byłby zgodny z naturą Hiszpana: morderstwo tak, ale podłość nie.

— Zresztą obce mu były szczegóły podane w donosie.

— Nie wspominałeś o nich nikomu?

— Nikomu.

— Nawet kochance?

— Nawet narzeczonej.

— Zrobił to Danglars.

— Och, teraz jestem tego pewien!

— Zaczekaj... Czy Danglars znał Fernanda?

— Nie... tak... przypominam sobie...

— Co?

— Na dwa dni przed moim ślubem widziałem ich, jak siedzieli razem przy stoliku w altance u starego Pamfila. Danglars żartował i odnosił się do mnie przyjaźnie, a Fernand był błądy i zmieszany.

— Czy byli sami?

— Nie. Siedzieli tam we trzech... Ten trzeci to dobry mój znajomy, krawiec nazwiskiem Caderousse, i on na pewno zapoznał ich ze sobą; ale ten był pijany; zaraz... zaraz.. proszę księdza... ach, jakże mogłem o tym zapomnieć? Na sąsiednim stoliku stał kałamarz, leżały pióra i papier — Dantès powiódł ręką po czole) — och! nędznicy! nędznicy!

— Czy chcesz się jeszcze czegoś dowiedzieć? — spytał z uśmiechem ksiądz.

— Tak, skoro ksiądz potrafi wszystko zgłębić, skoro widzi jasno każdą sprawę. Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego przesłuchano mnie tylko jeden raz, dlaczego nie było sprawy i dlaczego skazano mnie bez wyroku?

— A tak — powiedział ksiądz — to już nieco trudniejsze, wysoka sprawiedliwość bowiem postępuje w sposób zagadkowy i tajemniczy, trudno więc niekiedy przeniknąć jej zamysły. To, co zrobiliśmy dotychczas, wykrywając dwóch twoich wrogów, było dziecinną igraszką; jeśli zaś idzie o tę sprawę, będziesz mi musiał dać jak najściślejsze wyjaśnienia.

— Niechże więc ksiądz wypytuje, bo ksiądz lepiej potrafi się rozeznać w moim życiu niż ja sam.

— Kto cię przesłuchiwał? Czy prokurator królewski, czy substytut, czy też sędzia śledczy?

— Substytut.

— Młody czy stary?

— Młody; miał ze dwadzieścia osiem lat.

— Zatem jeszcze nie zdeprawowany, ale już ambitny — zauważył Faria. — Jak się do ciebie odnosił?

— Nie był specjalnie surowy... raczej łagodny.

— Czy wszystko mu powiedziałeś?

— Tak.

— Czy jego zachowanie zmieniło się w toku śledztwa?

— Tak, na gorsze, kiedy przeczytał ten kompromitujący list; wydało mi się, że moje nieszczęście przygnębiło go mocno.

— Twoje nieszczęście?

— Tak.

— Czy jesteś pewien, że rozpacział nad twoim nieszczęściem.

— Przecież dał mi dowód wielkiej sympatii.

— Jaki?

— Spalił list, który skompromitowałby mnie ostatecznie.

— Który? Donos?

— Nie. List.

— Jesteś tego pewien?

— Działo się to w moich oczach.

— A, to co innego; ten człowiek może być o wiele gorszym łajdakiem, niżbyś sądził.

— Na honor! Ksiądz mnie przeraża! — rzekł Edmund. — Czy tylko krokodyle i tygrysy zamieszkują ten piękny świat?

— Tak. Z tym, że dwunożne tygrysy i krokodyle są o wiele gorsze od czworonożnych.

— Niech ksiądz pyta dalej, prędko, prędko...

— Chętnie; powiadasz, że spalił ten list?

— Tak, mówiąc jednocześnie: „Ten list, dowód najbardziej cię obciążający — spójrz... zniszczyłem go”.

— Postępowanie substytutu zanadto było wielkoduszne, by mogło być szczere.

— Ksiądz przypuszcza?...

— O tak, jestem pewien. Do kogo list był zaadresowany?

— Do pana Noirtier, zamieszkałego w Paryżu, na ulicy Coq-Heron 13.

— A jak uważasz, czy twojemu substytutowi nie zależało przypadkiem na tym, by ów list zaginął?

— Może i tak, bo ze trzy razy kazał mi obiecać, że nikomu nie wspomnę o tym liście, co leżało, jak powiadał, w moim własnym interesie, i przysiąc, że nigdy nie wyjawię nazwiska podanego na kopercie.

— Noirtier — powtórzył Faria. — Noirtier? Znałem pewnego Noirtiera na dworze dawnej królowej Etrurii. Ów Noirtier był żyrondystą za czasów Rewolucji. A jak się nazywał twój substytut.

— De Villefort.

Faria wybuchnął śmiechem. Dantès spojrział nań zdumiony.

— Co się księdzu stało? — zapytał.

— Czy widzisz ten promień słońca? — zawołał Faria.

— Tak.

— Wszystko jest teraz dla mnie jaśniejsze od tego świetlistego przejrzystego promienia. Biedne dziecko! Biedny młodzieńcze! I ten sadownik był dobry dla ciebie?

— Tak.

— Ten szlachetny podprokurator zniszczył ów list?

— Tak.

— Ten uczciwy dostawca zaopatrujący szubienicę kazał ci przysiąc, że nigdy nie wymówisz nazwiska pana Noirtier?

— Tak.

— Czy wiesz, biedny ślepcze, kim był ów Noirtier? To jego ojciec!

Piorun trzasnąwszy Dantèsowi u stóp i otwartszy przepaść, na której dnie dojrzałby piekło, nie wydałby mu się tak elektryzujący, tak miażdżący jak owe niespodziane słowa; skoczył na równe nogi, chwycił się za głowę jakby w obawie, że mu pęknie.

— To jego ojciec! Ach! Jego ojciec! — wykrzyknął.

— Tak. Jego ojciec nazywa się Noirtier de Villefort — wyjaśnił Faria.

Wtedy Dantèsowi momentalnie rozjaśniło się w głowie: wszystko, co dotychczas spowite było mrokiem, stanęło jakby w pełnym blasku dnia. Owe nagłe wahania Villeforta zachodzące w toku śledztwa, zniszczenie listu, przysięga niemal wymuszona, ten prawie błagalny głos sadownika, który miał grozić, zdawał się prosić — wszystko to stanęło więźniowi przed oczami; krzyknął, zatoczył się jak pijany, potem skoczywszy ku otworowi lochu, co prowadził do jego celi, rzucił:

— Ach muszę być sam, żeby pomyśleć o tym wszystkim!

Dotarłszy do swojej celi, padł na łóżko; kiedy wieczorem wszedł dozorca, Dantès siedział na posłaniu nieruchomy i milczący jak posąg; rysy miał ściągnięte i wzrok szklany.

Rozmyślając przez kilka godzin, przemijających szybciej niżli sekundy, Edmund powziął okropną decyzję i złożył straszliwą przysięgę.

Czyjś głos wyrwał go z tych dumań; to ksiądz Faria, u którego dozorca był już także, zapraszał teraz Edmunda, by zjadł z nim kolację. Uznany za wariata, a co ważniejsze za pociesznego obłąkańca, stary więzień korzystał z pewnych przywilejów: dostawał na przykład nieco bielszy chleb, a w niedzielę butelkę wina. Była właśnie niedziela, toteż ksiądz wzywał towarzysza, by podzielić się z nim winem i chlebem.

Dantès poszedł za nim. Rysy twarzy odprężyły mu się trochę, lico przybrało swój zwyczajny wyraz, z tym jednak, że zagościły na nim surowość i stanowczość, świadczące o powziętej decyzji.

Ksiądz spojrział na niego bacznie.

— Żałuję, że ci pomogłem w rozwiązaniu tej zagadki — rzekł.

— Dlaczego?

— Bo wsączyłem ci w serce uczucie, którego tam wcale nie było, żądze zemsty.

Dantès uśmiechnął się.

— Mówmy o czym innym — odparł.

Ksiądz przyglądał mu się jeszcze chwilę i kręcił ze smutkiem głową; po czym ulegając prośbie Dantèsa zmienił temat rozmowy.

Rozmowa z ludźmi, którzy wycierpieli wiele, a stary więzień zaliczał się do nich, jest bardzo pouczająca i sama w sobie ciekawa; a że nieszczęsny ksiądz nigdy nad swoimi nieszczęściami się nie rozwodził, nie było w niej cienia egoizmu.

Edmund słuchał z podziwem jego słów; czasami Faria mówił to, o czym i Dantès już kiedyś myślał albo o sprawach należących do jego marynarskiej profesji; kiedy indziej roztrząsał sprawy nieznanne, co niby zorza polarna, przyświecająca żeglarzowi w krajach podbiegunowych, ukazywały młodzieńcowi nowe pejzaże i nowe horyzonty objęte fantastycznym blaskiem. Dantès pojął, jak

wielkim byłoby szczęściem dla człowieka inteligentnego podążać za tym wybitnym umysłem na owe wyżyny nauk moralnych, filozoficznych albo społecznych, gdzie Faria czuł się jakby u siebie w domu.

— Ach, gdyby ksiądz zechciał mi przekazać przynajmniej część swojej wiedzy, choćby dlatego, żeby się ze mną nie nudzić! Wydaje mi się teraz, że ksiądz wolałby samotność niż obcowanie z człowiekiem tak niewykształconym i prostym. Jeśli ksiądz zgodzi się na moją propozycję, obiecuję nie wspominać ani słowem o ucieczce.

— Niestety, wiedza ludzka, moje dziecko — odparł — jest bardzo ograniczona i z chwilą kiedy nauczę cię matematyki, fizyki, historii i kilku znanych mi języków żywych, będziesz umiał tyle co ja; otóż w ciągu dwóch lat potrafię ci przekazać całą tę wiedzę.

— Dwóch lat! — wykrzyknął Edmund. — Czy ksiądz sądzi, że potrafię się tego wyuczyć w dwa lata?

— Nie zdobędziesz praktycznego zastosowania tych nauk, ale poznasz ich zasady; nauczyć się to nie znaczy umieć; są mędrkowie i są mędrzy; jednych zrodziła wyśmienita pamięć, drugich — filozofia.

— Ale czyż nie można nauczyć się filozofii?

— Niepodobna się jej nauczyć, gdyż filozofia jest syntezą nauk, które geniusz pozyskał i stosuje. Filozofia jest promiennym obłokiem, na którym Chrystus postawił stopę, aby wznieść się do nieba.

— No to czego ksiądz będzie mnie najpierw uczył? Chciałbym rozpocząć naukę jak najszybciej, bo jestem spragniony wiedzy.

— Wszystkiego.

Istotnie, tego samego wieczora obaj więźniowie ułożyli plan mającej się rozpocząć edukacji i już nazajutrz przystąpili do dzieła. Dantès miał cudowną pamięć i fenomenalną zdolność pojmowania: urodzony matematyk, chwycił wszystko, ujmując każdą kwestię rachunkiem, a jednocześnie obdarzony, jako marynarz, wyobraźnią poety — wprowadzał poprawkę tam, gdzie dowód, ograniczony do suchych cyfr albo linii geometrycznych, mógł wydawać się nazbyt prozaiczny; znał zresztą język włoski i w niewielkim zakresie współczesną greczyznę, której się był poduczył w czasie swoich podróży na Wschód. Opierając się na tych dwóch językach pojął niebawem budowę innych i w pół roku później zaczynał już mówić po hiszpańsku, angielsku i niemiecku.

Zgodnie z obietnicą złożoną księdzu nie wspominał więcej o ucieczce, dlatego że nauka zastępowała mu w pewnym sensie wolność, a może dlatego, że chciał w tym wypadku dotrzymać ze zwykłą sobie surowością — co mieliśmy już sposobność zauważyć — danego słowa; i dni wypełnione nauką mijały mu szybko. Po roku stał się innym człowiekiem.

Jeśli zaś idzie o księdza, to mimo urozmaiceń, jakie towarzysz wniósł mu w monotonię więziennych dni, stawał się wciąż pochmurniejszy. Jakaś uporczywa myśl ustawicznie gościła mu w głowie; popadał w głębokie zadumy, wzdychał mimo woli, zrywał się raptem i splótszy ręce przechadzał się zasępiony po celi.

Pewnego dnia zatrzymał się nagle podczas jednej z takich po stokroć powtarzanych wędrówek i zakrzyknął:

— Ach, gdyby nie było strażnika!

— Strażnik będzie dopóty spacerował, dopóki ksiądz będzie sobie życzył — odpowiedział Dantès, podążając za jego myślą tak łatwo, jakby ją czytał w kryształowej kuli.

— Ach, mówiłem ci już, że wstrętem przejmuję mnie myśl o zabójstwie — odpowiedział Faria.

— A jednak to zabójstwo byłoby podyktowane koniecznością samoobrony, byłoby naturalnym przejawem zrodzonym z instynktu samozachowawczego.

— To nie ma znaczenia; nie zdobędę się na taki postępek.

— Ale ksiądz stale o tym myśli.

— Tak, tak... — szepnął Faria.

— Ksiądz pewnie znalazł sposób, w jaki moglibyśmy się stąd wydostać, prawda? — zagadnął żywo Dantès.

— Tak, ale strażnik, co czuwa na galerii, musiałby być głuchy i niemy.

— Będzie głuchy i niemy — odpowiedział młodzieniec, a w głosie jego zabrzmiało tak silne postanowienie, że Faria się przeraził.

— O nie, nie — zakrzyknął — to wykluczone!

Edmund próbował jeszcze wrócić do tego tematu, ale ksiądz potrząsnął głową i nie odezwał się ani słowem. Minęły trzy miesiące.

— Czy jesteś silny? — zagadnął Faria pewnego dnia.

Zamiast odpowiedzieć, Dantès wziął dłuto, wygiął je w kształt podkowy, po czym wyprostował.

— Czy możesz mi przysiąc, że tylko ostateczność skłoni cię do zabójstwa?

— Tak. Klnę się na honor.

— W takim razie możemy przystąpić do wykonania mojego planu.

— Ile czasu nam trzeba?

— Najmniej rok.

— A kiedy możemy zabrać się do dzieła?

— Natychmiast.

— Ach, widzi ksiądz, straciliśmy już cały rok! — zawołał Edmund.

— Czy sądzisz, że straciliśmy go naprawdę? — uśmiechnął się Faria.

— O, przepraszam, stokrotnie przepraszam — sumitował się Dantès, zaczerwieniwszy się po uszy.

— Głupstwo — uspokoił go Faria — człowiek jest tylko człowiekiem, a ty i tak jesteś najlepszy z tych, których znam. Spójrz, oto mój projekt.

I ksiądz pokazał Dantèsowi sporządzony przez siebie rysunek: był to plan jego celi i celi Edmunda, a także korytarza, który je łączył. Ze środka podkopu Faria zamierzał poprowadzić wąski chodnik, taki, jakie spotykamy w kopalniach. Ów chodnik miał wieść pod galerię zewnętrzną, po której przechadzał się zawsze strażnik; znalazłszy się pod galerią, należało wykopać szeroką jamę i podważyć jedną z kamiennych płyt, którymi krużganek był wyłożony; w stosownej chwili owa płyta miała się zapaść pod stopami strażnika i żołnierz runąłby w głąb jamy; Dantès rzuciłby się na ogłuszonego upadkiem, tedy i bezbronnego strażnika, związałby go, zakneblowałby mu usta i wówczas obaj więźniowie, wydostawszy się oknem wychodzącym z galerii na zewnętrzną stronę murów opasujących twierdzę, spuściliby się w dół, posługując się drabinką sznurową.

Dantès klasnął w ręce i oczy rozblęły mu radością; plan był tak prosty, że musiał się powieść. Tego samego dnia ci górnicy z przypadku wzięli się do pracy z tym większym zapałem, że poprzedzał ją długi wypoczynek, a prócz tego była ona na pewno ziszczeniem ich skrytych pragnień.

Nic jej zatem nie przerywało, dopóki nie zbliżyła się chwila, kiedy musieli wracać do swoich cel, gdzie oczekiwali dozorca. Zresztą nauczyli się rozpoznawać po nieuchwytnym niemal odgłosie kroków, kiedy dozorca schodził do cel, i nie dali się nigdy zaskoczyć. Ziemię wykopaną z nowego chodnika, którą w końcu musieliby zapełnić całkowicie starą galerię, wyrzucali zachowując największe ostrożności, przez okienka celi Edmunda albo przez okno lochu Farii, a wiatr nocny unosił ziemię daleko, tak że nie zostawało żadnych śladów.

Pracowali tak przeszło rok, posługując się tylko drągiem, który służył do wyważania głazów, nożem i dłutem; przez ten rok Faria uczył Dantèsa, nie przerywając zresztą pracy, mówił doń rozmaitymi językami, zaznajamiał go z dziejami narodów i wielkich ludzi, którzy pojawili się zostawiali za sobą ów świetlisty ślad zwany sławą. Ksiądz, jako człowiek bywały, obracający się niegdyś w arystokratycznych salonach, miał obejście dystyngowane, a przy tym pełne jakiejś majestatycznej melancholii, Edmund zaś, natura z gruntu chłonna, potrafił przejąć odeń ową wyszukaną elegancję manier, której mu brakło, te wykwintne formy towarzyskie, jakich nabieramy w obcowaniu już to z osobami wysoko urodzonymi, już to odznaczającymi się nieprzeciętnym umysłem.

Mniej więcej w półtora roku podkop poszerzony pod galerią był gotów; odgłos kroków strażnika dobiegał wyraźnie, a dwaj „kopacze”, którzy chcąc zapewnić sobie większe szanse powodzenia w projektowanej ucieczce, czekali na noc ciemną i bezksiężycową, obawiali się teraz jednego: że ziemia obsunie się sama za wcześniej pod stopami żołnierza. Zapobiegli katastrofie, osadzając pod płytą niewielką belkę, którą znaleźli przy fundamentach, gdzie służyła za podporę. Edmund umocowywał właśnie tę belkę, kiedy Faria, co został w celi naszego młodzieńca, aby zaostrzyć kołek, na którym miała zawisnąć drabinka, zaczął go rozpaczliwie przyzywać. Wróciwszy z największym pośpiechem, zobaczył, że ksiądz stoi pośrodku celi, błądy, spotniały, z zaciśniętymi kurczowo palcami.

— Ach, mój Boże! — wykrzyknął Dantès. — Cóż się księdzu stało?

— Prędeż, prędeż! — odparł Faria — słuchaj!

Edmund spojrzawszy na pobladłą twarz księdza, oczy w sonej obwódce, zbiele wargi, zjeżone włosy, tak się przeraził, iż puścił dłuto na ziemię.

— Ale co się stało? — zawołał.

— Jestem zgubiony — powiedział Faria. — Posłuchaj: pewna straszliwa, być może śmiertelna choroba chwyta mnie w szpony; czuję, że atak się zbliża, a miałem już podobny na rok przed

uwięzieniem. Istnieje jeden tylko lek, który może mnie uratować — powiem ci jaki, pobiegnij do mojej celi i podnieś nogę od łóżka; ta noga jest wydrążona i znajdziesz tam kryształową buteleczkę, napełnioną do połowy czerwonym płynem. Przynieś ją... albo nie... pomóż mi wrócić do mojej celi, może mi jeszcze sił wystarczy. Kto wie, co się stanie i jak długo będzie trwał atak.

Młodzieniec nie stracił głowy, chociaż dotknęło go poważne nieszczęście; zszedł do podkopu, wlokąc za sobą biednego towarzysza i wiodąc go z nieopisanym trudem przez tunel, dotarł do przeciwnego krańca korytarza, wciągnął go do celi i ułożył na pościeli.

— Dziękuję — rzekł ksiądz, a dygotał na całym ciele, jakby go wyjęto z lodowatej wody. — Atak się zbliża, zapadnę w katalepsę, może nawet nie drgnę ani nie jęknę, ale możliwe też, że piana pocieknie mi z ust, że będę się prężył i krzyczał; postaraj się, żeby moich krzyków nie usłyszano, to bardzo ważne, bo mogliby mnie przenieść do innej celi i rozłączyliby nas na zawsze. Kiedy znieruchomieję, będę zimny i jakby martwy, wtedy, pamiętaj, dopiero wtedy, rozewrzyj mi szczęki nożem i wlej do ust dziesięć kropeł tego płynu, to może odzyskam przytomność.

— Może? — powtórzył z rozpaczą Edmund.

— Ratunku! Ratunku — krzyknął ksiądz — umie... umie...

Atak był tak nagły, tak gwałtowny, że nieszczęśliwy więzień nie dokończył nawet rozpoczętego zdania; ponury cień zasnuł mu czoło tak szybko, jak nadchodzi morska nawałnica: źrenice rozszerzyły się nagle, usta wykrzywił grymas, na policzki wystąpił silny rumieniec; zaczął się rzucać, piana wystąpiła na usta i okropny ryk wyrwał mu się z gardła; ale Dantès, uprzedzony zawczasu, stłumił ów krzyk narzuciwszy księdzu derkę na twarz. Trwało to ze dwie godziny. Po czym bezwładny jak kłoda, zimniejszy i bielszy od marmuru, zwiotczały jak zdeptana trzcina osunął się na pościel, wyprężył się jeszcze raz w ostatnich drgawkach konwulsyjnych i zsiniał.

Edmund odczekał, aż ta pozorną śmierć ogarnie całkowicie zlodowaciałe ciało i dotrze do serca; wtedy wziął nóż, wsunął ostrze księdzu między zęby, rozwarł mu z nieopisanym trudem zaciśnięte szczęki, wlał do ust dziesięć kropli likworu, odliczając jedną po drugiej i czekał.

Minęła godzina, a starzec nawet się nie poruszył. Dantès zląkł się, że zbyt długo zwlekał, i patrzył na księdza, zanurzwszy dłonie we włosy. Wreszcie leciutki rumieniec ubarwił policzki starca, oczy bez ustanku otwarte i jakby martwe nabrały wyrazu, ciche westchnienie wydarło mu się z ust i drgnął niespodzianie.

— Ocalony! — wykrzyknął Edmund.

Chory nie mógł jeszcze mówić, lecz wyraźnie zaniepokojony wyciągnął rękę w kierunku drzwi. Dantès zaczął nasłuchiwać: dobiegł go odgłos kroków. Zbliżała się siódma, a Edmund nie miał kiedy odmierzyć czasu.

Młodzieniec skoczył ku jamie, zniknął w niej, zasunął płytę ponad głową i wrócił do celi.

W chwilę później otworzyły się drzwi; dozorca zastał Edmunda siedzącego jak zwykle na łóżku.

Ledwie stróż obrócił się plecami, zaledwie ucichły na korytarzu jego kroki, kiedy Dantès, pożerany niepokojem, pospieszył, nie myśląc nawet o jedzeniu, tam skąd przyszedł; uniósłszy płytę, wszedł do celi księdza.

Faria odzyskał przytomność, ale nieruchomy i bezsilny leżał na łóżku.

— Nie przypuszczałem — powiedział do Edmunda — że cię jeszcze zobaczę.

— Dlaczego? Czyżby ksiądz naprawdę spodziewał się śmierci?

— Ach nie, ale wszystko jest przygotowane do ucieczki, myślałem więc, że umkniesz.

Rumieniec oburzenia wykwił na twarzy Edmunda.

— Bez księdza?! — zawołał. — Czy ksiądz naprawdę mniemał, że byłbym do tego zdolny?

— Widzę teraz, że się omyliłem — odpowiedział chory. — Ach, jestem taki słaby, złamany, zdruzgotany.

— Odwagi! Siły księdzu wrócą niebawem — pocieszał Edmund, siadając na łóżku Farii i biorąc go za rękę.

Ksiądz potrząsnął głową.

— Ostatnim razem — rzekł — atak trwał pół godziny, a gdy się skończył, uczułem głód i podniosłem się sam; teraz nie mogę poruszyć ani prawą nogą, ani prawą ręką; czuję ucisk w głowie, co wskazuje na wylew krwi do mózgu. Za trzecim razem zostanę całkowicie sparaliżowany albo umrę.

— Nie, nie, niech się ksiądz uspokoi, ksiądz nie umrze; jeśli trzeci atak rzeczywiście nastąpi, ksiądz będzie wtedy wolny. Uratujemy księdza, tak jak i tym razem, a nawet ratunek będzie pewniejszy, bo wszelkie środki pomocy będą nam dostępne.

Przyjacielu — odparł starzec — nie ludź się: ten atak skazał mnie na wieczyste więzienie, gdyż chcąc uciec, trzeba mieć władzę w nogach.

— No więc poczekamy tydzień, miesiąc, a nawet jeśli będzie trzeba, i dwa; tymczasem siły księdzu wróca: wszystko jest przygotowane do ucieczki, a porę i czas możemy obrać, jak nam się spodoba. Kiedy ksiądz będzie miał tyle siły, by móc pływać, wykonamy nasz plan.

— Już nigdy nie będę mógł pływać — zaoponował Faria — gdyż rękę mam sparaliżowaną, i to nie na kilka dni, ale na zawsze; podnieś ją sam, a zobaczysz, jaka ciężka.

Młodzieniec dźwignął ramię księdza, które opadło bezwładnie. Westchnął.

— To cię przekonało, prawda? — rzekł ksiądz. — Wiem, co mówię, wierz mi, od pierwszego napadu tej choroby nieustannie o niej myślę. Spodziewałem się jej, bo jest u nas chorobą dziedziczną; mój ojciec umarł podczas trzeciego ataku, a dziadek również. Lekarz — nikt inny, tylko słynny Cabanis — który przygotował mi tę miksturę, przepowiedział mi taki sam los.

— Lekarz się pomylił! — wykrzyknął Dantès — a zresztą paraliż księdza nie będzie mi wcale przeszkadzał: wezmę księdza na plecy i popłynę.

— Cóż za dziecinada — burknął ksiądz — jesteś marynarzem i wyśmienitym pływakiem, orientujesz się więc doskonale, że z podobnym ciężarem nikt nie przeplynie i pięćdziesięciu sążni. Przystańże wreszcie ludzić się daremnie, bo tymi urojeniami nie zdołasz omamić nawet siebie, choć jesteś najlepszym z ludzi. Zostanę tutaj tak długo, aż wybije dla mnie godzina wyzwolenia, a będzie nim już tylko śmierć. Ty zaś zmykaj, uciekaj! Jesteś młody, zręczny i silny, nie troszcz się więcej o mnie, zwracam ci słowo.

— Kiedy tak, to i ja zostanę — odpowiedział Edmund.

Po czym wstał i wznosząc uroczyście ponad starcem dłoń, rzeki:

Przysięgam na rany Chrystusa, że księdza nie opuszczę aż do śmierci!

Faria spojrzał bacznie na tego młodzieńca, jakże szlachetnego, prawego, wzniosłego, i wyczytał w tych rysach ożywionych najszczerzym przywiązaniem prawdziwą przyjaźń i niezłomną wierność danemu słowu.

— Dobrze, przyjmuję — odpowiedział — i serdeczne dzięki.

Po czym wyciągając do niego rękę:

Twoje bezinteresowne poświęcenie zostanie być może nagrodzone — rzeki. — Ale skoro ja nie mogę uciec, a ty nic chcesz, najważniejszą jest rzeczą, byśmy zasypali podkop pod galerię; któryś z żołnierzy kręcących się tamtędy może usłyszeć, że kroki jego dudnią w tym miejscu jak po sklepieniu piwnicy; doniesie o tym inspektorowi, robota nasza zostanie wykryta, no i rozdzieli nas na zawsze. Musisz sam to zrobić, bo ja niestety nic mogę ci pomóc: jeśli będzie trzeba, pracuj przez całą noc i przyjdź do mnie jutro rano dopiero do obchodzie dozorczy; mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Dantès uściskał dłoń księdzu, który uśmiechnął się pocieszająco, i wyszedł posłuszny, pamiętając o respekcie, jakim obiecał darzyć sędziwego przyjaciela.

18. SKARB

Nazajutrz rano, wszedłszy do celi towarzysza, Edmund zastał go siedzącego na łóżku; oblicze starca jaśniało spokojem. Oświetlony promieniem słońca wpadającym przez wąskie okienko, trzymał w lewej ręce (pamiętamy, że tylko tą ręką władał) rulonik papieru, który od dawna ciasno zwinięty, nie dawał się już rozprostować.

Faria podał Edmundowi rulonik, nie odzywając się ani słowem.

— Co to jest? — spytał Edmund.

— Przyjrzyj się dobrze — odpowiedział ksiądz z uśmiechem.

— Choćbym oczy wypatrzył, nie widzę nic prócz na pół spalonego karteluska — rzekł Dantès — na którym nakreślono jakimś dziwnym atramentem gotyckie litery.

— Ten papier, mogę ci to wyznać teraz, mój przyjacielu, bom cię wypróbował, to mój skarb, którego połowa jest od dzisiaj twoją własnością.

Zimny pot zrosił czoło Edmunda. Aż do tego dnia — ileż minęło czasu! — unikał w rozmowie z Farią wszelkich aluzji do owego skarbu, z racji którego biedny ksiądz pozyskał opinię wariata; powodowany wrodzoną delikatnością, wolał nie dotykać tej czulej a bolesnej struny; a Faria też milczał. W powściągliwości księdza Dantès dopatrywał się cech powrotu do równowagi umysłowej, ale tych kilka słów, co wyrwały się Farii bezpośrednio po tak ciężkim ataku, zdawało się wskazywać na niebezpieczny nawrót szaleństwa.

— Skarb? — wyjąkał Dantès. Faria uśmiechnął się.

— Tak, pod każdym względem skarb — odpowiedział.

— Szlachetne masz serce, Edmundzie, bo widząc twoją bladeść i drzenie, odgaduję, co się teraz z tobą dzieje. O nie, uspokój się, nie jestem wariatem. Ten skarb istnieje naprawdę i jeśli nie było mi dane posiadać go, ty go zdobędziesz: nikt nie chciał mnie wysłuchać ani mi uwierzyć, gdyż uznano mnie za wariata; ale ty wiesz, że nim nie jestem, musisz mnie więc wysłuchać, a czy zechcesz mi uwierzyć, to się pokaże.

— Ach, niestety, znów mu gorzej — szepnął do siebie Edmund — tego mi jeszcze brakowało!

Po czym głośno:

— Szanowny przyjacielu, atak pewnie bardzo cię zmęczył; czy nie powinien ksiądz trochę odpocząć? Jutro, jeśli ksiądz zapragnie, wysłucham opowieści, ale dzisiaj chciałbym księdza tylko pielęgnować jako chorego. Zresztą — uśmiechnął się — czy nam tak pilno do tego skarbu?

— A pilno, bardzo pilno, Edmundzie — odpowiedział starzec. — Kto wie, czy jutro albo pojutrze nie nastąpi trzeci atak... Wszystko będzie wtedy skończone! Tak, to prawda; niejednym raz myślałem z gorzkim zadowoleniem o tych bogactwach, z których dałoby się wykroić fortuny dla dziesięciu rodzin, a straconych dla moich prześladowców; ta myśl była mi słodką zemstą i delectowałem się nią w pomroce lochu, w więziennym rozpaczliwym osamotnieniu. Ale teraz, przez miłość dla ciebie, wybaczyłem ludziom; teraz, kiedy myślę, ile szczęścia może się ziścić dla ciebie, młodego, budzącego nadzieje, gdy wyjawię ci ten sekret, lękam się, że będzie za późno, że nie zdołam cię uczynić posiadaczem tych ogromnych, ukrytych skarbów, czego jesteś naprawdę godny. Edmund westchnął i odwrócił głowę.

— Nie wierzysz mi wciąż, Edmundzie, i ton mojego głosu bynajmniej cię nie przekonał. Widzę, że trzeba ci dowodów. A więc zgoda! Przeczytaj to pismo, któremu nikomu jeszcze nie pokazywałem.

— Jutro przeczytam, zacny przyjacielu — odpowiedział Dantès, wzbraniając się, by nie ulec szaleństwu starca. — Ustaliliśmy, jak mi się zdaje, że dopiero jutro o tym pomówimy.

— Porozmawiamy jutro, ale dziś przeczytaj tę kartkę. Nie trzeba go irytować, pomyślał Edmund.

I biorąc skrawek papieru do połowy strawiony przez ogień, przeczytał, co następuje:

*...mienię, diamenty, klejnoty; że o ist około dwóch milionów
odnajdzie go wyważywszy ścianę dwudziestej ska położonej
Przebito dwa otwory w ścianach ty w kącie najbardziej odległym
skarb jako prawowitemu właścicielowi jest 25 kwietnia 1498*

— No i co? — spytał Faria, kiedy młodzieniec skończył czytać.

— Ależ widzę tutaj kilka urwanych zdań, kilkanaście słów nie powiązanych ze sobą; pismo pokrywające ten na pół zwęglony papier jest całkiem niezrozumiałe.

— Tylko dla ciebie, mój przyjacielu, boje czytasz po raz pierwszy, ale nie dla mnie, bo niejednym świt zastał mnie, wybladłego, nad owym pismem, kiedyś odtwarzałem każde zdanie, uzupełniałem każdą myśl w nim zawartą.

— I ksiądz przypuszcza, że odnalazł sens tych niejasnych zdań?

— Jestem tego pewien; sam zresztą osądzisz, ale najpierw posłuchaj historii tego dokumentu.

— Cicho! — zawołał Dantès. — Słyszę kroki!... ktoś idzie!... uciekam... do widzenia.

I uszczęśliwiony, że ominęły go wyjaśnienia dotyczące historii dokumentu, na podstawie których utwierdziłby się w domysłach o szaleństwie przyjaciela, wśliznął się niby wąż w wąski otwór, a tymczasem Faria, odzyskawszy w przerażeniu niejaką zdolność poruszeń, pchnął nogą płytę i zasłonił ją matą, aby ukryć przed okiem dozorczy szczelinę, której zasypać już nie miał czasu.

Był to naczelnik, który dowiedziawszy się od dozorczy o niedomaganiu Farii, przyszedł sam przekonać się o tym, czy było ono poważne.

Faria powitał go siedząc, unikał wszelkich gestów, które mogłyby wzbudzić podejrzenia, i tym sposobem zdołał zataić przed naczelnikiem skutki ataku, co sparaliżował mu połowę ciała. Lękał się, żeby naczelnik zdjęty litością nie przeniósł go do innego, zdrowszego pomieszczenia i nie rozłączył z towarzyszem; ale stało się na szczęście inaczej i naczelnik wyszedł niebawem, przekonany, że biedny szaleniec, dla którego odczuwał w głębi serca pewną sympatię, cierpi z powodu jakiejś lekkiej niedyspozycji.

Tymczasem Edmund, siadłszy na łóżku i zatopiwszy ręce we włosach, usiłował zebrać myśli; od pierwszej chwili Faria wydawał mu się tak rozumnym, tak wybitnym, tak logicznie myślącym człowiekiem, że nie mógł pojąć, w jaki sposób ta głęboka mądrość sprzymierzyła się u niego z manią, i to na jednym tylko punkcie; czy więc Faria się mylił co do swojego skarbu, czy ludzie mylili się co do Farii?

Dantès nie ruszył się ze swojej celi przez cały dzień, nie mając odwagi udać się do przyjaciela. Chciał w ten sposób oddalić moment, w którym przekonałby się niezawodnie, że ksiądz jest wariatem. Prawda taka byłaby dlań okropna.

Ale pod wieczór, gdy pora codziennego obchodu minęła, Faria, nie doczekawszy się młodzieńca, postanowił sam przebyć podkop; Edmund zadrżał, posłyszawszy bolesne jęki starca, który usiłował się czołgać, choć jedną nogę miał sparaliżowaną, a i ramieniem też nie mógł się wesprzeć. Edmund zmuszony był wciągnąć go do siebie, gdyż starzec nie zdołałby nigdy przecisnąć się przez wąski tunel, wiodący do jego celi.

— Widzisz, żem się uparł i mam cię wreszcie — ozwał się ksiądz z uśmiechem jaśniejącym życzliwością. — Wydawało ci się, że zdołasz umknąć przed moją wspaniałomyślnością, ale nic z tego. Posłuchaj więc.

Edmund nabrał przekonania, iż nie może się dłużej uchylać, posadził starca na łóżku, a sam siadł obok na taborecie.

— Wiesz o tym — rozpoczął ksiądz — że byłem sekretarzem, domownikiem, przyjacielem kardynała Spady, ostatniego potomka tego rodu. Zawdzięczam temu znakomitemu panu wszystko, com dobrego zaznał na ziemi. Nie był bogaty, choć fortuna tej rodziny stała się przysłowiowa i niejednokrotnie słyszałem, jak mawiano: bogaty jak Spada. Ale żył poniekąd z rozgłosu swoich bogactw. Jego pałac był mi rajem. Kształciłem jego synowców, a kiedy pomarli i kiedy został sam na świecie, zwróciłem mu, poddawszy się całkowicie jego woli, to, com otrzymał od niego przez dziesięć lat.

Niebawem dom kardynała nie miał przede mną sekretów; widywałem często eminentę, jak nocami wertował stare księgi, szperał chciwie w zakurzonych rodzinnych papierach. Pewnego dnia, kiedy czyniłem mu wyrzuty z racji owych bezsennych nocy i przygnębienia, które go potem ogarniało, spojrzał na mnie z gorzkim uśmiechem i otworzył przede mną książkę: były to dzieje Rzymu. Tam w dwudziestym rozdziale „Żywotu papieża Aleksandra VI” przeczytałem następujący urywek, którego zapamiętać nigdy nie zdołałem.

Skończyły się wielkie wojny w Romanii. Cezar Borgia, dokonawszy podbojów, potrzebował pieniędzy, by kupić całe Włochy. Papież także potrzebował pieniędzy, żeby rozprawić się ostatecznie z Ludwikiem XII, królem Francji, ciągle jeszcze groźnym mimo ostatnich niepowodzeń. Trzeba tedy było obmyślić jakąś znakomitą spekulację, niełatwą wszelako do przeprowadzenia w biednej, wyczerpanej Italii.

Jego Świątobliwość wpadł na pomysł. Postanowił mianować dwóch kardynałów.

Wybierając dwóch Rzymian, nade wszystko, zaś bogatych, Ojciec Święty liczył na dwojaki profit: przehandluje innym dawne urzędy i dostojęstwa nowo kreowanych kardynałów, im zaś wystawi za kapelusze rachunek nader słony.

Miała ta kombinacja i punkt trzeci, który ukaże się niebawem.

Papież i Cezar Borgia wyszukali najsampierw dwóch przyszłych kardynałów; byli to: Juan Rospigliosi, już i tak zajmujący cztery najwyższe godności w Stolicy Apostolskiej, i Cezar Spada, jeden z najznamienitszych i najbogatszych Rzymian. Zarówno jeden, jak i drugi domyślali się, ile może kosztować ów papieski fawor. Byli ambitni. Wyszukawszy ich, Cezar zakrzętała się z powodzeniem dookoła tych dwóch kandydatów na wakujące godności.

W rezultacie Rospigliosi i Spada zapłacili za kardynałstwo, a ośmiu innych za ich dawne, jak się rzekło, dostojęstwa i urzędy. Osiemset tysięcy dukatów powędrowało do szkatuły dwóch frantów.

Przejdźmy do ostatniej części owej machinacji — pora bowiem po temu. Obsypawszy Spadę i Rospigliosiego czułościami, wręczywszy im insygnia kardynalskie, upewniwszy się wreszcie, że chcąc spłacić dług wdzięczności, nie określony bliżej umową, musieli skomasować i spieniężyć cały majątek,

aby osiąść ostatecznie w Rzymie — papież i Cezar Borgia zaprosili dwóch nowych kardynałów na obiad.

Z tej racji wynikł spór między Ojcem Świętym i jego synem; Cezar uważał, że można użyć jednego z tych środków, jakie stawał zawsze do dyspozycji co najserdeczniejszych przyjaciół: był to słynny klucz, który wręczano upatrzonym osobom, prosząc je, by otworzyły pewną szafę. Ów klucz był zaopatrzony w malutki żelazny kolec — ot, niedbalstwo rzemieślnika! Kiedy naciskało się mocniej klucz, by otworzyć szafę — jakież wadliwe bywają czasem zamki! — kaleczyło się dłoń tą zaderką i umierało nazajutrz. Był też i pierścień z głową lwa, który Cezar wkładał na palec, gdy zamierzał uściśnąć upatrzoną dłoń. Lew kąsał naskórek owych rąk uprzywilejowanych, a ugryzienie okazywało się po dwudziestu czterech godzinach śmiertelne.

Cezar zaproponował tedy ojcu, żeby już to uprosić kardynałów o otwarcie szafy, już to uściśnąć im serdecznie dłoń; Aleksander VI odparł mu na to:

— Nie skąpmy niczego na obiad gościom tak świetnym. Coś mi mówi, że odzyskamy te pieniądze. Nie zapominaj zresztą, że niestrawność pojawia się od razu, a skaleczenie lub ugryzienie dają rezultat po jednym albo dwóch dniach.

Cezar uznał słuszność tego rozumowania. Oto dlaczego zaproszono kardynałów na obiad.

Biesiadę przygotowano w willi, położonej nie opodal kościoła Świętego Piotra w Okowach, uroczej posiadłości papieża, znanej dobrze kardynałom ze słyszenia.

Rospigliosi oszołomiony nowym zaszczytem szykował żołądek i dobrą minę. Spada, człek ostrożny, rozkochany w swoim synowcu, młodym kapitanie rokującym jak najlepsze nadzieje, wziął papier i pióro — i napisał testament.

Po czym kazał powiedzieć owemu synowcowi, by go oczekiwał niedaleko rzeczzonej willi, ale ponoć lokaj nie zastał młodzieńca.

Spada znał obyczaj zaprosin. Gdy chrześcijaństwo — znakomity siewca cywilizacji — ucywilizowało po swojemu i Rzym, zamiast centuriona zjawiającego się na polecenie tyrana, aby ci powiedzieć: „Cesarz pragnie, byś umarł!”, przebywał legat a latere, który z uśmiechem na ustach przekazywał ci polecenie papieża: „Jego Świątobliwość pragnie, byś przybył do niego na obiad”

Okolo drugiej Spada pojechał do papieskiej willi; Ojciec Święty czekał na niego. Pierwszą twarzą, jaką tam ujrzał, było urocze oblicze synowca; Cezar Borgia zasypywał go czułościami. Spada zbłądł, Cezar, zerknąwszy nań z głęboką ironią, dał poznać po sobie, że wszystko przewidział i że pułapka jest dobrze zastawiona.

Zasiedli do stołu. Spada zdołał tylko zapytać synowca: „Czyś otrzymał moje zlecenie?” Synowiec odpowiedział, że nie, i pojął wyśmienicie doniosłość tego pytania. Było za późno, wypił bowiem właśnie kielich doskonałego wina, które szafarz papieski nalał specjalnie dla niego. W tej samej chwili Spada ujrzał inną butelkę, z której napełniono mu szczerze kielich. A po godzinie lekarz stwierdził, iż obaj zatruli się smardzami. Spada skonał na progu willi; jego synowiec zmarł u drzwi swojego domu, dając żonie jakiś znak, którego nie zrozumiała.

Cezar i papież rzucili się natychmiast na schedę, pod pozorem konieczności odszukania dokumentów, które pozostały po zmarłych. Ale testament ograniczał się do kartki papieru, na której Spada napisał:

Przekazuję mojemu ukochanemu synowi kufry i książki, o pośród tych ostatnich przepiękny brewiarz o złoconych rogach, pragnąc, by go zatrzymał na pamiątkę po kochającym stryju..

Spadkobiercy bobrowali wszędzie, podziwiali piękny brewiarz, rozkradli szybko meble i głowili się jakim cudem Spada, taki bogacz, mógł umrzeć jako nędzarz: skarbów ani śladu — jedynie skarby wiedzy ukryte w bibliotece.

To było wszystko. Cezar i jego ojciec szukali, szperali, szpiegowali; nic nie znaleziono, a raczej bardzo niewiele, trochę kosztowności wartych najwyżej tysiąc dukatów i za tyleż dukatów złotych monet; ale synowiec, wróciwszy do domu, zdążył powiedzieć żonie:

— Szukajcie między papierami stryja, prawdziwy testament istnieje. Tamci szukali może nawet energiczniej od samych dostojnych spadkobierców.

Daremnym trudem pozostały tylko dwa pałace i willa nie opodal Palatynu. Ale w owych czasach nieruchomości nie były wysoko szacowane; dwa pałace i willa ostały się jako własność rodziny, niegodne wzbudzić drapieżnej chciwości w papieżu i jego synu.

Minęły miesiące, potem lata. Aleksander VI zmarł otruty — wiadomo ci, skutkiem jakiej pomyłki; Cezar, otruty jednocześnie, wyłabudał się, zrzuciwszy tylko jak wąż skórę i przywdziawszy nową, na której trucizna pozostawiła cętki podobne tym, jakie widuje się na skórze tygrysa; wreszcie, zmuszony opuścić Rzym, zginął tajemniczo od noża mordercy w jakiejś bójce nocnej, niemal już przez historię zapomniany.

Po śmierci papieża i skazaniu na banicję jego syna spodziewano się, że familia zmarłego kardynała Spady zacznie znów rej wodzić, jak to bywało za jego życia, ale tak się nie stało. Spadowie żyli nadal w wątpliwym dostatku, wieczysta tajemnica osłoniła tę ciemną sprawę i rozeszły się pogłoski, że Cezar jako zręczniejszy partner sprzątnął ojcu sprzed nosa fortuny obu kardynałów — mówię obu, gdyż kardynał Rospigliosi, który nie poczynił żadnych kroków ostrożności, został obrabowany doszczętnie.

— Jak dotąd — przerwał nagłe Faria, uśmiechnąwszy się do Edmunda — to, co opowiadam, nie wydaje ci się jakąś brednią, nieprawdą?

— Ach, zacny przyjacielu, przeciwnie! — wykrzyknął Edmund. — Wydaje mi się, że czytam jakąś niezmiernie interesującą kronikę. Mów dalej, proszę cię.

— Chętnie.

Ród Spadów przywykł do owej skromnej egzystencji. Minęły lata: niektórzy jego potomkowie wstępowali do wojska, inni do dyplomacji, inni znów obierali stan duchowny, inni jeszcze zostawali bankierami; jedni wzbogacili się, inni zubożeli. Docieramy wreszcie do ostatniego z rodu, hrabiego Spady, którego byłem sekretarzem.

Słyszałem nieraz, jak uskarżał się na dysproporcję zachodzącą między jego fortuną a urodzeniem; toteż poradziłem mu, żeby resztę majątku obrócił na dożywotnią rentę; usłuchał mojej rady i tym sposobem podwoił dochody.

Słynny brewiarz pozostawał nadal w rodzinie i teraz był własnością hrabiego Spady; przekazywano go z ojca na syna, gdyż dziwaczna klauzula zawarta w jedynym testamencie, jaki zdołano odnaleźć, uczyniła zeń niemal relikwię strzeżoną zabobonnie przez cały ród; była to księga iluminowana najpiękniejszymi motywami gotyckimi i tak ciężka od złocień, że podczas wielkich uroczystości lokaj nosił ją zazwyczaj przed kardynałem.

Na widok rozmaitych papierów, dokumentów, kontraktów i pergaminów, które przechowywano w archiwach rodzinnych w spadku po okrutnym kardynale, zacząłem jak i dwudziestu służących, dwudziestu intendentów, dwudziestu sekretarzy, co mnie poprzedzali, wertować te ogromne foliały; mimo nadzwyczaj energicznych i skrupulatnych poszukiwań nie znalazłem naprawdę nic. Ale poznałem, a nawet opisałem dzieje rodziny Borgiów, badając tu niemal każdy dzień z osobna, jedynie po to, by upewnić się, czy w momencie śmierci kardynała Cezara Spady fortuna tych książąt nie wzrosła; ale zauważyłem, że majątek ich powiększył się jedynie o spadek po kardynale Rospigliosim, towarzyszu niedoli kardynała Spady.

Byłem więc niemal pewny, że scheda nie wpadła w ręce ani Borgiom, ani rodzinie zmarłego, lecz pozostała bezpańska, niby owe skarby z baśni arabskich spoczywające w głębi ziemi pod strażą geniusza. Wertowałem, liczyłem, taksowałem po tysiąckroć dochody i wydatki rodziny na przestrzeni trzystu lat: wszystko było daremne, trwałem nadal w niewiedzy, a hrabia Spada w ubóstwie.

Mój pryncypał umarł. Sprzedając resztę dóbr na rentę dożywotnią, wyłączył papiery rodzinne, bibliotekę złożoną z pięciu tysięcy tomów i słynny brewiarz. Ofiarował mi to wszystko w spadku wraz z tysiącem rzymskich dukatów, jakie posiadał w gotowiznie, pod warunkiem, że co rok dam na mszę świętą za jego duszę, że sporządzę drzewo genealogiczne i kronikę dziejów rodziny; wypełniłem te zlecenia dokładnie...

Nie trap się, mój kochany Edmundzie, zbliżamy się ku końcowi.

W roku 1807, na miesiąc przed moim aresztowaniem, a w dwa tygodnie po śmierci hrabiego Spady, dnia 25 grudnia — zaraz się przekonasz, dlaczego ta pamiętna data utkwiła mi w głowie — czytałem może po raz setny owe szpargały, pragnąc je uporządkować, gdyż pałac był już w obcych rękach, a ja zamierzałem wyjechać do Florencji, gdzie miałem zabrać ze sobą około dwunastu tysięcy liwrów, stanowiących moją gotowiznę, bibliotekę i osławiony brewiarz; znużony długotrwałym ślęczeniem, ociężały po wcale obfitym obiedzie, oparłem głowę na rękach i zasnąłem; była trzecia po południu.

Obudziłem się, kiedy zegar wydzwonił szóstą.

Podniosłem głowę: panowała głęboka ciemność. Zadzwoiłem, żeby przyniesiono mi światło, ale nikt się nie zjawił; postanowiłem tedy obsłużyć się sam. Trzeba było mi zresztą nabrać nawyków filozofa.

Wziąłem w jedną rękę przygotowaną świecę, a drugą szukałem kawałka papieru, który zamierzałem zapalić od ostatniego płomyka pełgającego w kominku, gdyż przekonałem się, że pudełko od zapalek jest puste; lękając się jednak, żebym w ciemnościach nie wziął przez pomyłkę jakiegoś cennego dokumentu, stałem niezdecydowany i wtedy przypomniałem sobie o starym, pożółkłym od góry świstku, zatkniętym między stronice brewiarza, który leżał na stole: ów karteluszek spełniał chyba kiedyś rolę zakładki, a sukcesorowie kardynała pełni respektu dla zmarłego nie ruszali jej przez całe stulecia. Szukałem więc po omacku owej niepotrzebnej kartki, a znalazłszy — zmiąłem ją, przysunąłem do przygasającego płomienia i zapaliłem.

Wtedy na białej kartce zaczęły pojawiać się — jakby magicznym jakimś sposobem — w miarę jak płomień ją ogarniał, żółtawe litery. Przeraziłem się; ścisnąłem w rękach kartkę, zdusiłem płomień, zapaliłem świecę wprost od żarzącej się główki, rozprostowałem z niewypowiedzianym wzruszeniem zmięty papier i stwierdziłem, że skreślono te wiersze jakimś tajemniczym, sympatycznym atramentem, który wystąpił w zetknięciu z wysoką temperaturą.

Płomień strawił mniej więcej trzecią część kartki: pozostało to, co czytałeś dziś rano: przeczytaj jeszcze raz, Edmundzie, a kiedy skończysz, dopełnij te urwane zdania i wyjaśnij ci ich sens.

Faria podał Edmundowi triumfalnym gestem ową kartkę, pokrytą rudym, podobnym do rdzy pismem; Edmund odczytał ją chciwie.

*Dziś, 25 kwietnia 1498 roku byłem za
Aleksandra VI. Lękając się, że Jego Świątobliwość nie
zechce odziedziczyć po mnie fortunę i zgo
i Bentivoglio, którzy pomarli otruci,
jedyńemu mojemu spadkobiercy, że w zn
gdzie byliśmy razem, to znaczy w
wysepce Monte Christo, ukry
drogie kamienie, diamenty, klejnoty; że o ist
około dwóch milionów
odnajdzie go wyważywszy ścianę dwudziestej ska
położonej
Przebito dwa otwory w ścianach ty
w kącie najbardziej odległym
skarb jako prawowitemu właścicielowi, je
25 kwietnia 1498 Ces*

- A teraz — ozwał się znów Faria — przeczytaj tę drugą kartkę. I podał Dantèsowi inny zapisany świstek. Edmund przeczytał, co następuje.

*proszony na obiad przez Jego Świątobliwość papieża
kontent z tego, com zapłacił za kapelusze kardynalski
tuje mi los, jaki spotkał kardynałów Caprara
oświadczam mojemu synowcowi Guido Spada
anym mu miejscu
grocie położonych na
tem wszystko, co posiadam: złoto w sztabach, monety złote,
nieniu tego skarbu wartości
dukatów rzymskich wiem tylko ja, a
ty licząc w prostej linii od zatoczki
u wschodniego wybrzeża.
ch grot; skarb jest ukryty
od drugiego otworu; zapisuję mu ten
dynemu mojemu spadkobiercy
ar Spada*

Faria patrzył na Edmunda rozgorączkowany.

— A teraz — rzekł — zauważywszy, że Edmund dotarł do ostatniego wiersza — zestaw oba urywki i osądź sam.

Dantès usłuchał: zestawione ze sobą urywki dały następującą całość:

Dziś 25 kwietnia 1498 roku byłem zaproszony na obiad przez Jego Świątobliwość papieża Aleksandra VI. Lękając się, że Jego Świątobliwość nie kontent z tego, com zapłacił na kapelusz kardynalski, zechce odziedziczyć po mnie fortunę i zgotuje mi los, jaki spotkał kardynałów Caprarę i Bentivoglio, którzy pomarli otruci, oświadczam mojemu synowcowi Guido Spada, jedynemu mojemu spadkobiercy, że w znanym mu miejscu, gdzie byliśmy razem, to znaczy w grotach położonych na wysepce Monte Christo, ukryłem wszystko, co posiadam: złoto w sztabach, monety złote, drogie kamienie, diamenty, klejnoty; Że o istnieniu tego skarbu wartości około dwóch milionów dukatów rzymskich wiem tylko ja, a odnajdzie go wyważywszy ścianę dwudziestej skały licząc w prostej linii od zatoczki położonej u wschodniego wybrzeża. Przebito dwa otwory w ścianach tych grot: skarb jest ukryty w kącie najbardziej odległym od drugiego otworu; zapisuję mu ten skarb jako prawowitemu właścicielowi, jedynemu mojemu spadkobiercy.

25 kwietnia 1498

Cesar Spada

— No i co? Pojąłeś wreszcie? — zagadnął Faria.

— A więc jest to oświadczenie kardynała Spady, ów testament, którego poszukiwano od tak dawna — rzekł Edmund, nie dowierzając jeszcze.

— Tak, po tysiąckroć tak.

— Kto go odtworzył?

— Ja; posługując się pozostałą resztką, odgadłem, co w nim było, obliczywszy długość wierszy na podstawie rozmiarów kartki; wydobyłem sens ukryty, opierając się na oczywistym sensie nie dokończonych zdań, tak jak odrobina światła, padająca z góry, kieruje naszymi krokami w czasie wędrówki po podziemiach.

— I co ksiądz zrobił, upewniwszy się o swoim odkryciu?

— Zamierzałem tam pojechać, a nawet natychmiast ruszyłem w podróż, zabrawszy ze sobą rozpoczętą pracę o Zjednoczonym Królestwie Włoskim; ale policja cesarska, która w tych czasach — wbrew życzeniom Napoleona zrodzonych wraz z przyjściem na świat jego syna — upierała się przy podziale na prowincje, nie spuszczała mnie od dawna z oka; mój nagły wyjazd, którego przyczyny odgadnąć żadną miarą nie mogła, wzbudził podejrzenia, toteż aresztowano mnie w chwili, kiedy wsiadałem w Piombino na okręt. Teraz — ciągnął Faria, spoglądając na Edmunda z czułością niemal ojcowską — wiesz tyle co i ja: jeśli uciekniemy razem, połowa skarbu będzie twoją własnością; jeśli zaś umrę, a ty umkniesz sam, będzie on należał do ciebie w całości.

— Ale — zagadnął Dantès, wahając się jeszcze — czy nie istnieją gdzieś jacyś prawowici właściciele tego skarbu?

— Nie, nie, bądź spokojny; ta familia wymarła całkowicie; zresztą ostatni potomek, hrabia Spada, uczynił mnie swoim spadkobiercą; oddając mi ten symboliczny niejako brewiarz, oddał mi i to, co on zawierał. Nie, nie, nie obawiaj się; jeśli chwycimy w rękę ową fortunę, będziemy mogli korzystać z niej bez żadnych skrupułów.

— Ksiądz powiada, że w skarbcu tym znajduje się?...

— Dwa miliony dukatów rzymskich, co w naszej walucie wynosi około trzystu milionów.

— Niepodobieństwo! — zakrzyknął Dantès przerażony ogromem sumy.

— Niepodobieństwo? A dlaczego? — zapytał Faria. — Spadowie byli w XV stuleciu jednym z najstarszych i najpotężniejszych rodów. Zresztą w owych czasach, kiedy nie istniały ani spekulacja, ani przemysł, takie nagromadzenie złota i kosztowności nie było rzadkością, a jeszcze dziś spotyka się rodziny rzymskie przymierające głodem, gdyż nie mogą tknąć diamentów albo innych drogich kamieni, o wartości nieraz do miliona, bo należą one do majoratu.

Zdawało się Edmundowi, że śni: niewiara walczyła w nim o lepsze z radością.

— Tailem przed tobą te sprawy tak długo — mówił dalej Faria — bo przede wszystkim chciałem cię wypróbować, a po wtóre zrobić ci niespodziankę. Gdybyśmy zdołali umknąć, nim dosięgną! mnie atak kataleptyczny, zawiózłbym cię na Monte Christo; a teraz — dorzucił z westchnieniem — ty mnie tam zawieszysz. No i jakże to, Edmundzie, nie dziękujesz mi wcale?

— Ten skarb jest księdza własnością; należy on wyłącznie do ciebie, zacny przyjacielu, a ja nie mam do niego żadnych praw; nie jestem księdza krewnym.

— Jesteś moim synem, Edmundzie! — zakrzyknął starzec. — Jesteś moim dzieckiem zrodzonym w więzieniu; stan kapłański skazał mnie na celibat, Bóg mi ciebie zesłał, żebyś stał się pociechą

zarówno mężczyźnie, który nie mógł być ojcem, jak też i więźniowi, co nie mógł wydostać się na wolność.

To mówiąc Faria wyciągnął ku młodzieńcowi zdrowe ramię, a Edmund z płaczem rzucił się księdzu na szyję.

19. TRZECI ATAK

Ów skarb tedy, co z dawien dawna pochłaniał myśli księdza, mógł w przyszłości zapewnić szczęście Edmundowi, którego Faria pokochał naprawdę jak syna. Okoliczność ta podwoiła w oczach Farii wartość skarbu; nie minął dzień, by nie rozwodził się nad sumą, jaką można by uzyskać spieniężwszy go, i wyjaśniał Dantèsowi, ile dobra potrafiłby w czasach naszych wyświadczyć przyjaciółom posiadacz tylu milionów; ale wtedy oblicze Edmunda zasępiło się, przypominał bowiem sobie złożoną niegdyś przysięgę i zaczynał przemyślać nad tym, ile zła zdołałby wyrządzić swoim wrogom człowiek posiadający w naszych czasach tak olbrzymią fortunę.

Ksiądz nie był nigdy na wyspie Monte Christo, ale Edmund znał ją: mijał niejednokrotnie tę wyspę odległą o dwadzieścia pięć mil od Pianosy, a leżącą między Korsyką i Elbą; zarzucił nawet kiedyś u jej brzegów kotwicę. Była ona zawsze i jest bezludna; powiedziałabyś — tę skałę, niemal stożkową, jakiś kataklizm wulkaniczny wypchnął z morskiej głębin na powierzchnię. Dantès sporządził Farii plan wyspy, a ksiądz udzielał wskazówek, w jaki sposób trzeba będzie postępować, by skarb odnaleźć.

Dantès nie podzielał entuzjazmu, a tym bardziej ufności starca. Oczywiście, nabrał teraz pewności, że Faria nie jest szaleńcem, a sposób, w jaki ksiądz dokonał odkrycia, za które pomówiono go o chorobę umysłową, wzmógł jeszcze podziw, jakim Edmund darzył przyjaciela: ale przyjąwszy nawet, że skarbiec istniał i pełen był niegdyś kosztowności, Edmund nie wierzył, by przetrwały tam one do dziś — jeśli więc nie traktował owego skarbu jako mrzonki, to przynajmniej jako coś, co przepadło już od dawna.

A tymczasem przeznaczenie, chcąc jakby odebrać więźniom ostatnią iskrę nadziei i przekonać ich o tym, że są skazani na wieczyste uwięzienie, zgotowało im nowy cios: wyremontowano bowiem tę część galerii, która biegła nad brzegiem morza i od dawna groziła obsunięciem; naprawiono przypory i zatkało ogromnymi głazami tunel zasypany do połowy przez Dantèsa. Gdyby nie ów krok ostrożności, który jak pamiętamy, Faria podszeptął Edmundowi, spotkałoby ich stokroć okrutniejsze niepowodzenie: wykryłaby się próba ucieczki, a więźniów na pewno by rozdzielono. Tak więc nowe i mocniejsze wrota zatrasnęły się przed nimi.

— Niechaj ksiądz zauważy — mawiał młodzieniec z łagodnym smutkiem — że Bóg odbiera mi nawet i tę zasługę, którą ksiądz zwie wyrzeczeniem. Przynależę, że nie opuszczę nigdy księdza, a teraz nawet nie mógłbym nie dotrzymać tej obietnicy; nie zdobędę skarbu tak jak i ksiądz, bo żaden z nas stąd się nie wydostanie. Zresztą mój prawdziwy skarb to nie ten, który mnie czeka w mrocznych skałach Monte Christo, lecz to obecność księdza, obcowanie z księdzem na przekór naszym stróżom przez pięć do sześciu godzin dziennie, promień mądrości, którym ksiądz oświecił mój umysł; to języki, któreś, czcigodny przyjacielu, zaszczepił w mojej pamięci, języki, co rozrastają się w przeróżne rozgałęzienia filologiczne; to rozmaite nauki, któreś uczynił dla mnie tak łatwymi dzięki dokładnej ich znajomości i prostocie zasad, do jakiej je sprowadziłeś. Oto mój skarb, miły przyjacielu, oto bogactwo, które dzięki tobie uszczęśliwiło mnie. Niech ksiądz mi wierzy i przestanie się trapić — więcej to wszystko dla mnie znaczy niż beczki złota i skrzynie diamentów, choćby nie były one tak problematyczne jak owe obłoki, co rankiem pojawiają się na powierzchni wód, a żeglarz bierze je za ląd stały, póki nie rozchwieją się, nie rozplyną, nie ulotnią, w miarę jak się do nich zbliżamy. Mieć księdza przy sobie możliwie jak najdłużej, słuchać mądrych i pięknych wywodów księdza, doskonalić umysł, hartować duszę, przysposabiać całe jestestwo do zadań wielkich a strasznych, które czekają mnie, gdybym kiedykolwiek odzyskał wolność i wypełnić je tak doskonale, by rozpacz, której o małym nie uległ, nim księdza poznałem, nie miała do mnie przystępu, oto moja własna fortuna i ta na pewno nie okaże się chimerą; zawdzięczam ją naprawdę tylko księdzu i wszelacy władcy tego świata, nawet tacy Cezarowie Borgia, nie zdołają mi jej wydrzeć.

Dni, które teraz nastały, niepodobna nazwać szczęśliwymi, ale przynajmniej mijały one dość szybko. Faria, który przez tak długie lata nie napomykał ani słowem o skarbie, mówił teraz o nim przy lada okazji. Zgodnie z jego przewidywaniem, prawe ramię i lewa noga pozostały sparaliżowane, toteż utracił nadzieję, że będzie mógł kiedyś korzystać z tego skarbu, ale ustawicznie śnił o wolności, o ucieczce i radował się skarbem ze względu na młodego towarzysza. Lękając się, by testament nie zginął pewnego dnia lub nie uległ zniszczeniu, zmusił Edmunda, żeby wyuczył się go na pamięć, i nasz młodzieniec wbił sobie do głowy każde słowo. Wtedy Faria zniszczył drugą część pisma, pewien,

że gdyby nawet pierwsza wpadła komuś w ręce, niepodobna będzie odgadnąć właściwego znaczenia tekstu. Nieraz całymi godzinami Faria dawał Edmundowi wskazówki, a miały one być mu pomocne w chwili odzyskania wolności. Od tego dnia, w którym ucieknie z więzienia, od tej godziny, od tej chwili jedna jedyna myśl winna go zaprzętać: dotrzeć jakimkolwiek sposobem na wyspę Monte Christo, zostać na niej sam pod jakimś nie wzbudzającym podejrzeń pretekstem i tam zdawszy się na własne siły odnaleźć cudowne groty i przeszukać wskazane miejsce. Jak pamiętamy, był to załom najodleglejszy, licząc od drugiego otworu.

Tymczasem chwile przemijały, jeśli nie dość szybko, to przynajmniej znośnie: Farii, choć nie odzyskał, jak powiedzieliśmy, władzy w ręce i nodze, powróciła całkowicie dawna jasność umysłu, a wszczepiając Edmundowi te zalety duchowe, któreśmy wyszczególnili, wdrażał go jednocześnie w ów godny podziwu i wymagający cierpliwości zawód więźnia — zawód, który nas uczy robić coś z niczego; ustawicznie byli tedy czymś zajęci: Faria lękając się starczego niedołęstwa, a Edmund obawiając się, aby nie odżyły w nim wspomnienia przeszłości niemal wygasłe, pogrzebane w najgłębszym zakątku jego pamięci, gdzie migotały niby dalekie światła zagubione w mroku. Tak mijał czas — jak przemijają te istnienia ludzkie, gdzie nieszczęście nie zakłóciło normalnego biegu i które upływają w powolnym i machinalnym rytmie, pod okiem Opatrzności.

Ale pod tym pozornym spokojem, ile wstrzymywanych porywów i zdławionych westchnień taito się w ich sercach, a ujawniało się dopiero wtedy, gdy starzec zostawał sam, a młodzieniec wracał do siebie.

Pewnej nocy Edmund zbudził się nagle, bo wydało mu się, że ktoś go wzywa.

Otworzywszy oczy, usiłował przeniknąć gęste ciemności.

Postyszał nie tyle własne imię, co głos jakiś rozpaczliwy, który usiłował je wymówić.

Przerażenie pokryło mu czoło potem; siadł na łóżku i zaczął nasłuchiwać; nie było wątpliwości — jęk dobiegał z celi towarzysza.

— Wielki Boże! — szepnął Edmund. — Byłbyż to?...

Odsunął łóżko, wyrwał głaz skoczył do podkopu i dotarł na jego przeciwległy kraniec; płyta była odsunięta.

W pełgającym świetle nieforemnej lampki, o której wspominaliśmy, Edmund ujrzał starca; stał poblady obok łóżka, czepiając się palcami poręczy. Rysy twarzy miał zniekształcone owymi straszliwymi objawami choroby, które Edmund już znał i które przeraziły go tak bardzo, kiedy ujrzał je po raz pierwszy.

— No tak, przyjacielu — rzeki Faria zrezygnowanym tonem — pojmujesz, o co chodzi, prawda? Nie potrzebuję ci tłumaczyć?

Edmund jęknął boleśnie i straciwszy całkiem głowę, rzucił się ku drzwiom, wołając:

— Ratunku! Na pomoc!

Faria zdołał go jeszcze chwycić za ramię.

— Cicho! nakazał. — Inaczej zginiesz. Nie myślmy więcej o niczym, tylko o tobie, mój przyjacielu; o tym, żeby więzienie twoje uczynić znośnym, a ucieczkę możliwą. Trzeba by ci było wielu lat, by samemu zrobić na nowo to, czego tutaj dokonał, a wszystko byłoby stracone z chwilą, gdy nasi stróże dowiedzieliby się o naszym porozumieniu. A zresztą nie turbuj się: loch, który opuszczam, niedługo będzie świecił pustkami — inny nieborak zajmie moje miejsce. A ten następca powita cię jako anioła wybawiciela. Tamten może będzie miody, silny i cierpliwy, jak ty i dopomoże ci w ucieczce, podczas gdy ja udaremniałem ją tylko. Nie będziesz już miał przywiązanego do siebie półtrupą, będącego i kulą u nogi. istotnie, Bóg gotów jest nareszcie co i dla ciebie uczynić; daje ci więcej, niż odbiera, i już najwyższa pora, bym umarł.

Edmund zdołał tylko złożyć ręce i krzyknąć:

O mój przyjacielu zamilknijże!

Po czym, odzyskując siły p odcięte nagłym ciosem i odwagę zdruzgotaną słowami starca, rzekł:

Uratowałem księdza jeden raz, uratuję i drugi.

Podniósł nogę łóżka i wyjął flakonik napełniony w jednej trzeciej czerwonym likworem.

— Niech ksiądz spojrzy, ile jeszcze zostało tej zbawiennej mikstury. Prędko, prędko, proszę mi powiedzieć, jak mam tym razem postąpić, czy będą jakieś nowe wskazania? Niech ksiądz powie, błagam!

— Nie ma nadziei — odpowiedział Faria, potrząsając głową, ale mniejsza z tym; Bóg życzy sobie widać, żeby człowiek, którego stworzył i któremu tak głęboko zaszczepił w duszy umiłowanie życia, zrobił wszystko, co w jego mocy, by ocalić to istnienie tak czasem pełne udręki, a zawsze tak cenne.

— Tak, tak — wołał Dantès — powtarzam jeszcze raz, że uratuję księdza!

— No dobrze. Próbuje więc. Chłód mnie przenika; czuję, że krew napływa mi do mózgu; to okropne drżenie, które sprawia, że zęby mi szcękają, a kości zdają się pękać, zaczyna miotać mną całym; za pięć minut przyjdzie atak, a za kwadrans zamknę oczy.

— Ach! — jęknął Dantès, a serce jego pogrążyło się w rozpacz.

— Postąpisz jak za pierwszym razem, tylko nie czekaj tak długo. Wreszcie soki żywotne słabiej teraz we mnie tętnią i śmierć — dorzucił wskazując bezwładną rękę i nogę — będzie miała tylko połowę roboty. Jeśli wlażesz mi do ust dwanaście kropli zamiast dziesięciu, stwierdzisz, że nie odzyskuję przytomności, wlej mi resztę mikstury. A tymczasem zanieś mnie do łóżka, bo nie mogę już ustać.

Edmund wziął starca na ręce i ułożył go na pościeli.

— A teraz, przyjacielu, jedyna pociecho mojego nędznego żywota — rzekł Faria — ty, którego niebiosa zesłały mi trochę późno, ale zawsze zesłały, ty nieoszacowany darze, za który im dziękuję, życzę ci, rozstając się z tobą na zawsze, wszelakiego szczęścia i pomyślności, na jakie zasługujesz: błogosławię cię, synu!

Młodzieniec padł na kolana i oparł głowę o łóżko.

— Ale przede wszystkim posłuchaj uważnie tego, co ci powiem w tej godzinie: skarb Spadów istnieje; Bóg zezwolił, że nie masz dla mnie w tej chwili ani odległości, ani przeszkód. Widzę ten skarb spoczywający w głębi drugiej groty; mój wzrok przenika grubą warstwę ziemi i oślepia go widok tak ogromnych bogactw. Jeśli uda ci się zbiec, pamiętaj, że biedny ksiądz, którego wszyscy mieli za wariata, nie był nim. Spiesz na Monte Christo, korzystaj z naszej fortuny, korzystaj ile sił, boś dość się nacierpiał.

Gwałtowny skurcz przerwał mowę starcowi; Edmund podniósł wzrok i ujrzał oczy księdza zachodzące czerwienią; rzekłbyś, fala krwi wytrysnęła mu z piersi i chlusnęła na twarz.

— Żegnaj! Żegnaj! — szeptał starzec, ściskając konwulsyjnie dłoń Edmunda. — Żegnaj mi!

Och nie, niech ksiądz nie odchodzi, jeszcze nie — bełkotał Edmund — niech ksiądz mnie nie opuszcza! O mój Boże, wspomóż go!... na pomoc... ratunku!...

— Cicho! Cicho! — szepnął konający. — Bo nas rozdziela, gdybyś mnie zdołał uratować.

— Słusznie. Och, tak, tak, niech ksiądz będzie spokojny, ocalę księdza i tym razem. Zresztą, choć ksiądz okropnie cierpi, wydaję mi się, że cierpienia te nie są tak srogie jak poprzednio.

— O, nie lędz się! Cierpię mniej, bo i sił mam mniej, żeby cierpieć. W twoim wieku ufa się życiu; nie tracić nadziei i ufać — to przywilej młodości, ale starcy widzą jasno zbliżającą się śmierć. Ach, oto i ona!... Nadchodzi!... skończone!... wzrok mi gaśnie!... pamięć umyka!... daj rękę, Edmundzie!... żegnaj!...

I podnosząc się ostatnim wysiłkiem, w którym skupił wszelkie swoje moce, powiedział:

— Monte Christo! Nie zapomnij o Monte Christo! Po czym opadł na wezgłowie.

Atak był potworny: powykręcane członki, nabrzmiące powieki, krwawa piana, nieruchome ciało — oto, co pozostało na tym łożu boleści z istoty tak inteligentnej, która legła tutaj kilka minut temu.

Edmund postawił lampkę u wezgłowia na występie muru; chybottliwe jej światło rzucało dziwaczny i fantastyczny odbłask na to zmienione oblicze, na bezwładne, sztywne ciało.

Wlepiwszy wzrok w księdza, Edmund czekał stosownej chwili, by wlać zbawczą miksturę.

Sądząc, że nadszedł ów moment, rozwarł nożem szczękę, które stawały mniejszy niż za pierwszym razem opór, odliczył jedną po drugiej dwanaście kropeł i czekał; w fiolce zostało mniej więcej drugie tyle płynu.

Czekał dziesięć minut, kwadrans, pół godziny — chory nie poruszył się. Edmund drżący, ze zjeżonym włosom, z czołem pokrytym lodowatą rosą, liczył sekundy wedle uderzeń własnego serca.

I pomyślał, że nadeszła chwila, kiedy należało dokonać ostatniej próby: przysunął flakonik do zsiniałych warg chorego i nie potrzebując już rozwierać szczęk, nie zacisnęły się bowiem z powrotem, wlał resztę lekarstwa.

Likwor podział galwanizująco; starzec zadrżał gwałtownie, oczy, których widok przerażał, otworzyły się, a westchnienie podobne do krzyku wydarło się z piersi; z wolna to rozdygotane ciało legło w bezruchu.

Ale powieki nie ostoniły źrenic.

Minęło pół godziny, godzina, potem półtorej. Przez ten czas Edmund pochylony nad Farią słuchał, oparłszy dłoń o jego pierś, jak przygasało coraz głuchsze i jakby odleglejsze bicie serca, czuł, jak ciało stygło z wolna. Wreszcie wszystko zamarło, zamilkło echo ostatniego uderzenia serca, twarz powlokła się sinym cieniem, blask otwartych oczu zmatowiał.

Zbliżała się szósta; dniało, blade światło załało loch, przyćmiło zamierający płomień lampki. Dziwaczne odbłaski przemykały po twarzy księdza, nadając jej chwilami pozór życia. Dopóki trwała ta walka brzasku z mrokiem nocy, Dantès mógł się jeszcze ludzić; ale gdy jasność zwyciężyła, pojął, że jest sam na sam z trupem.

Wtedy zawładnął nim głęboki, nieprzewyciężony strach; nie śmiał już dotknąć tej zwisającej ręki, nie śmiał patrzeć w te nieruchome, zbiegłe źrenice, które po tylekroć próbował nadaremnie zasłonić powieką. Zgasił lampę, ukrył ją starannie i uciekł, zastawiając otwór kamienną płytą.

Pora była po temu, dozorca bowiem przyszedł zaraz.

Tym razem rozpoczął obchód od celi Edmunda; wyszedłszy od niego, skierował się do celi księdza, któremu niósł śniadanie i czystą bieliznę.

Nic zresztą nie wskazywało, że ten człowiek wie o tym, co zaszło.

Wyszedł.

Wtedy owładnęła Edmundem niewypowiedziana, gorączkowa ciekawość, by dowiedzieć się, co będzie się działo w celi nieszczęśliwego przyjaciela; wsunął się więc do podkopu, a przybywszy na miejsce, posłyszał jeszcze wołanie dozorczy, który wzywał na pomoc.

Niebawem nadbiegli inni dozorczy; po czym doleciał Edmunda odgłos regularnych ciężkich kroków żołnierzy, łatwy do rozpoznania, żołnierze bowiem chodzą tak zawsze, nawet nie będąc na służbie. W ślad za żołnierzami zjawił się naczelnik.

Dantès usłyszał skrzypienie łóżka, na którym poruszano ciało zmarłego; usłyszał słowa naczelnika, który kazał połączyć księdza twarzą wodą, a przekonawszy się, że ta kąpiel na nic się zdała, posłał po doktora.

Naczelnik wyszedł; słowa współczucia pomieszane ze śmiechem i drwinami dobiegły uszu Edmunda.

— Dobra, dobra — ktoś zagadał — stary wariat powędrował po swoje skarby; no to szczęśliwej podróży.

— Wszystkie jego miliony nie wystarczą na trumnę — dorzucił inny.

— E, nasze trumny nie są takie kosztowne — ozwał się trzeci.

— A może przez to, że był księdzem, wysadzą się dla niego na lepszą trumnę — odezwał się znów któryś.

— Tere fere, uczczą go workiem.

Edmund słuchał, nie tracąc ani słowa z tej rozmowy, ale rozumiał niewiele. Wkrótce głosy przycichły i wydało mu się, że cela opustoszała.

A jednak bał się tam wejść: mogło się zdarzyć, że któryś z dozorców czuwa przy zmarłym.

Pozostał więc na miejscu milczący, nieruchomy, wstrzymując oddech.

Mniej więcej po godzinie słaby szmer zakłócił ciszę i jął wzrastać.

Naczelnik przyszedł w asyście lekarza i kilku oficerów.

Zapadła cisza: widać doktor podszedł do łóżka i badał zmarłego.

Wkrótce pospytały się pytania.

Lekarz rozpoznawszy chorobę oświadczył, że ksiądz nie żyje.

Stawiano pytania i rzucono odpowiedzi z takim lekceważeniem, iż Edmund oburzał się w duchu; wydawało mu się bowiem, że wszyscy powinni choćby w części podzielać te serdeczne uczucia, jakimi darzył biednego księdza.

— Zmarła mi ta wiadomość — rzekł naczelnik w odpowiedzi na oświadczenie lekarza, który stwierdził urzędowo śmierć starca — gdyż więzień ten był wyjątkowo łagodny i nie sprawiał nam kłopotu; łatwo go było strzec, a i bawił nas czasem swoimi szaleństwami.

— Ach — wtrącił dozorca — tego można było wcale nie pilnować; choćby trzymano go tutaj przez pięćdziesiąt lat i tak, ręczę za to, ani razu nie spróbowałby drapnąć.

— A jednak — rzekł naczelnik — sądzę, że trzeba nam koniecznie przekonać się, czy więzień zmarł rzeczywiście; nie dlatego, żebym kwestionował pańską wiedzę, panie doktorze, ale za wszystko tutaj ponoszę odpowiedzialność.

Zapadła znów absolutna cisza, podczas której, jak Edmund mniemał — bacznie nadśluchując, lekarz badał powtórnie i osłuchiwał zmarłego.

— Możesz pan być spokojny — powiedział doktor — więzień nie żyje, ręczę za to.

— Wiadomo panu — upierał się naczelnik — że w takich razach nie zadowala nas tylko zwykłe badanie; mimo więc wszelkich pozorów racji, bądź pan łaskaw spełnić do końca swój obowiązek, zgodnie z przepisami prawa.

— Proszę rozgrzać do czerwoności żelazny pręt — rzekł lekarz. — Ale doprawdy jest to ostrożność zbyt duża.

Ten rozkaz przejął Edmunda dreszczem zgrozy.

Słychać było szybkie kroki, skrzypienie drzwi, odgłosy jakiejś krzątanimy po celi i w kilka chwil potem wszedł klucznik więzienny i powiedział:

— Przyniosłem rozżarzony węgiel, a w nim zatknięte żelazo.

Znów zrobiło się tak cicho, że słyszało się skwierczenie przypiekanego ciała, a dławiąca, pobudzająca do torsji woń przedostała się nawet przez mur, poza którym Edmund nasłuchiwał z największym przerażeniem.

Ten odór zwęglonego ludzkiego ciała zrosił potem czoło Edmunda, który pewny był, że zemdleje.

— Widzisz pan, że na pewno nie żyje — ozwał się lekarz. — To przypiekanie pięt żelazem jest decydujące. Biedny wariat został uleczony ze swojego szaleństwa i uwolniony z więzienia.

— A nie nazywał się on aby Faria? — spytał jeden z oficerów, którzy towarzyszyli naczelnikowi.

— Tak, proszę pana, i jego zdaniem to było stare nazwisko; zresztą był to człowiek ogromnie wykształcony i odznaczał się wielkim rozsądkiem, dopóki rzecz nie tyczyła jego skarbu; na tym punkcie, przyznam się, niepodobna było się z nim dogadać.

— To rodzaj schorzenia zwany monomanią — rzekł lekarz.

— Czy dał wam kiedy jaki powód do skarg? — spytał naczelnik strażnika, który przynosił księdzu jedzenie.

— Nigdy, panie naczelniku — odpowiedział dozorca — nigdy, przynigdy; a nawet, przeciwnie, zdarzało się dawniej, że opowiadał nam ciekawe historyjki; kiedy zachorowała mi żona, dał mi receptę na lekarstwo, które ją wyleczyło.

— Ho, ho! Nie wiedziałem, że miałem tutaj kolegę — zadrwił doktor. — Spodziewam się — dorzucił ze śmiechem — że pan, panie naczelniku, potraktuje go z należnymi mu honorami.

— Tak, tak, bądź pan spokojny, wyprawimy mu przyzwoity pogrzeb: pochowamy go w najlepszym worku, jaki tylko znajdziemy; no co, kontent pan jesteś?

— Czy i tę ostateczną formalność mamy wykonać w pańskiej obecności? — spytał któryś klucznik.

— Oczywiście, ale się pospieszcie; nie mogę marudzić w tej celi przez cały dzień.

Nowa krzątanimy i beładne kroki, a w chwilę potem szelest rozkładanego płótna dobiegł uszu Edmunda; zawiasy łóżka skrzypnęły, ciężkie stąpnięcia kogoś, kto coś dźwiga, rozległy się na kamiennej płycie, po czym łóżko znowu skrzypnęło pod ciężarem złożonego ciała.

— Do widzenia, zobaczymy się wieczorem — rzekł naczelnik.

— Czy będzie msza? — spytał jeden z oficerów.

— To niemożliwe — oparł naczelnik. — Kapelan więzienny poprosił mnie o tydzień urlopu, gdyż chciał pojechać na kilka dni do Hyères, a ja go zapewniłem, że ręczę tymczasem za moich więźniów; niepotrzebnie się biedak pospieszył. Inaczej miałby swoje requiem.

— Ii, stary był przecież duchownym, to i Bóg ze względu na jego stan nie spleta piekła kiepskiego figla, przysyłając mu w podarku księdza — rzekł doktor z bezbożnością, właściwą ludziom jego profesji.

Wybuch śmiechu rozbrzmiał po tym niewybrednym żarcie. Tymczasem odbywała się ceremonia spowijania zmarłego w całun.

— Przyjdźcie tu wieczorem — rzekł naczelnik, kiedy ją ukończono.

— O której? — spytał klucznik.

— Między dziesiątą a jedenastą.

— Czy ktoś będzie czuwał przy nieboszczyku?

— A po co? Zamknie się loch, jak się go zamykało, kiedy żył, i basta. Wtedy kroki oddaliły się, głosy umilkły, ucichając z wolna, drzwi skrzypnęły, klucz obrócił się w zamku, zgrzytnęły zasuwki i cisza bardziej posępna niż ta, jaka towarzyszy samotności — cisza śmierci ogarnęła wszystko, przepełniła nawet złodowaciale serce Edmunda.

Wówczas Dantès wolniutko wypchnął głową kamienną płytę i obrzucił badawczym spojrzeniem celę.

Cela była pusta: Edmund wypełził z podkopu.

20. CMENTARZ TWIERDZY IF

Na łóżku, objęty światłem mglistego dnia, co sączyło się przez okienko, widniał wór ze zgrzebnego płótna, a wśród jego obfitych fałdów jakiś niewyraźny, długi i sztywny kształt: było to ciało Farii spowite w całun — zdaniem dozorców tak tani. A zatem wszystko skończone. Edmund rozstał się na zawsze ze swoim starym przyjacielem; nie spojrz już w jego oczy, które pozostały otwarte, wpatrzone jakby w życie pośmiertne; nigdy nie uściśnie tych zręcznych, pracowitych dłoni, które uniosły zasłonę zakrywającą przed jego wzrokiem rzeczy nieznanne. Ten użyteczny, dobry człowiek, do którego tak silnie się przywiązał, żył już tylko we wspomnieniu. Edmund siadł w głowach tego okropnego łoża i pograżył się w ponurą, gorzką zadumę.

Sam! Znowu został sam! Znowu zapadnie w ciszę, stanie nad krawędzią nicości.

Sam! Ani widoku, ani głosu istoty ludzkiej, co wiązałaby go jeszcze z życiem! Czy nie lepiej powędrować śladem Farii do Boga, prosząc o wyjaśnienie zagadki bytu, choćby nawet trzeba było przejść przez okrutne wrota cierpienia?

Myśl o samobójstwie, którą przyjaciel mu wyperswadował już choćby swoją obecnością, pojawiła się teraz niby mara, kiedy Edmund znalazł się obok jego trupa.

— Gdybym mógł umrzeć — dumał — poszedłbym w ślad za nim i odnalazłbym go z pewnością. Ale jakże umrzeć? To wcale nietrudne — roześmiał się nagle. — Zostanę tutaj i rzucę się na pierwszego lepszego, który tu wejdzie, uduszę go i wtedy zetną mi łeb na szafocie.

Zdarza się jednak, że wśród wielkiej boleści, jak i wśród morskiej nawałnicy, przepaść otwiera się między dwoma szczytami fal — podobnie było z Edmundem: cofnął się przed tą haniebną śmiercią i dobywszy się nagle z dna rozpaczy, zapragnął gorąco życia i wolności.

— Umrzeć! O nie! — zawołał. — Po cóż było tak długo żyć i tak wiele wycierpieć, skoro miałbym teraz umrzeć! To było dobre kiedyś, gdy kilka lat temu powziął tę decyzję; ale teraz dopomógłbym tylko mojemu nędznemu losowi. Nie! Chcę żyć i walczyć do końca; chcę odzyskać szczęście, które mi skradziono. Zapomniałem, że przed śmiercią muszę jeszcze pokarać moich prześladowców, a kto wie, czy i nie nagrodzić kilku przyjaciół? Tylko że zapomniany przez wszystkich, wydostanę się z lochu jedynie tym sposobem co Faria.

Powiedziawszy to Edmund znieruchomiał nagle i wytrzeszczył oczy; wyglądał jak człowiek, którego razila jakaś okropna myśl; zerwał się z miejsca, powiódł ręką po czole, jakby doznał zawrotu głowy, a okrążywszy kilkakrotnie celę zatrzymał się znów przed posłaniem Farii.

— Och! Och! — szepnął. — A któż mi zesłał tę myśl? Czy to ty, o Boże? Skoro tylko zmarli mogą się stąd wydostać, zajmijmy tedy miejsce zmarłego.

Nie tracąc czasu na dłuższe namysły, nie chcąc jakby dopuścić, by owo rozpaczliwe postanowienie zachwiało się choćby na moment, pochylił się nad wstrętnym workiem, rozpruł go nożem Farii, wydobył trupa, zaniósł go do swojej celi, położył na łóżku, obwiązał mu głowę szmatką, którą zazwyczaj przytrzymywał sobie na noc włosy, okrył zmarłego swoją derką, ucałował po raz ostatni jego lodowate czoło, spróbował zamknąć nieposłuszne, ciągle otwarte oczy, budzące lęk swoim martwym, pozbawionym myśli wyrazem, obrócił go twarzą do ściany, aby dozorca przyniósłszy kolację pomyślał, że więzień śpi, jak to zwykł był czynić o tej porze, wśliznął się do podkopu i przysunawszy łóżko do muru powędrował do księżej celi, gdzie wyjął ze skrytki igłę i nici, zrzucił z siebie łachmany, żeby ci, co będą nieśli worek, wyczuwali nagie ciało, wsunął się do worka, ułożył się w tej samej pozycji, w jakiej spoczywał zmarły, i zaszył worek od środka.

Gdyby nieszczęściem ktoś wszedł w tej chwili, usłyszałby bicie jego serca.

Dantès mógł być zaczekać na wieczorny obchód dozorczy, lękał się jednak, że naczelnik odmieni tymczasem decyzję i ciało księdza zostanie wcześniej zabrane.

Wtedy ostatnia jego nadzieja spełzaby na niczym.

W każdym razie Edmund miał gotowy plan.

Oto, co zamierzał uczynić:

Gdyby grabarze spostrzegli się, idąc na cmentarz, iż niosą człowieka żywego zamiast trupa, Edmund nie pozwoli im się opamiętać: energicznym ruchem rozpruje worek od góry do dołu i korzystając z ich przerażenia, rzuci się do ucieczki; a jeśli popróbują go zatrzymać — użyje noża.

Jeśli natomiast zanosą go na cmentarzysko i ułożą w grobie, pozwoli się zakopać, po czym, kiedy zaledwie odwróca się plecami, rozgrzebie miękką ziemię i umknie, korzystając z ciemności nocnych; lękał się bowiem, że nie zakopią go tak głęboko, aby nie mógł dźwignąć warstwy ziemi, pod którą będzie spoczywał.

Jeżeli zaś okaże się, że się pomylił i ziemia będzie za ciężka, umrze niebawem, nie mając czym oddychać — no to tym lepiej, bo wszystko skończy się nareszcie.

Edmund nie jadł nic od wczoraj, ale ani tego ranka, ani nawet teraz nie pomyślał o głodzie. Sytuacja, w jakiej się znajdował, była zbyt niepewna, żeby mógł myśleć o czymkolwiek innym.

Pierwszym niebezpieczeństwem, jakie groziło Edmundowi, było nadejście strażnika, który przyniosłszy wieczerzę mógłby dostrzec zamianę, chociaż na skutek bądź mizantropii, bądź też zmęczenia więzień zwykle leżał o tej porze w łóżku, a dozorca w takich razach stawiał zupełny i chleb na stole i wychodził z celi, nie odezwawszy się ani słowem.

Ale dozorca, mruk z natury, mógł dziś akurat przemówić, a widząc, że Dantès nie odpowiada, podejść do łóżka i wszystko wykryć.

Z nadejściem godziny siódmej wielka trwoga opanowała Edmunda. Przyciskając rękę do piersi, usiłował stłumić bicie serca, a drugą ocierał pot, który strugają ciekł mu po twarzy. Całym jego ciałem wstrząsał od czasu do czasu gwałtowny dreszcz, od którego serce zamierało, ujęte jakby w lodowate kleszcze. Wtedy zdawało mu się, że umiera. Tymczasem mijały godziny, a w twierdzy panowała niezmacona cisza i Dantès pojął, że pierwsze niebezpieczeństwo minęło. To dobry znak. Wreszcie, kiedy nadeszła pora wyznaczona przez naczelnika, czyjeś kroki zadudniły po schodach i Dantès zrozumiał, że zbliża się moment decydujący: wezwał wtedy na pomoc całą swoją odwagę i wstrzymał oddech; a byłby rad, gdyby mógł powstrzymać jednocześnie gwałtowne pulsowanie krwi w żyłach.

Zatrzymano się u drzwi, a podwójny odgłos kroków dobiegł uszu Edmunda. Domyślił się tedy, że to dwaj grabarze przyszedli po ciało zmarłego. To przypuszczenie zamieniło się w pewność, kiedy posłyszał, jak dozorczy postawili nosze na ziemi.

Drzwi się otwały i Edmund dostrzegł przyćmiony blask światła. Zobaczył poprzez worek dwa cienie zbliżające się do łóżka. Trzeci stał w drzwiach, trzymając kaganiec. Dwaj ludzie chwycili worek za dwa końce.

— Ho! Ho! Jaki ciężki ten chudy staruch — ozwał się jeden, chwyciwszy Edmunda za głowę.

— Powiadają, że co rok kości stają się cięższe o funt — dorzucił drugi, podnosząc Dantèsa za nogi.

— Czy zawiązałeś już supeł? — spytał pierwszy.

— A po diabła miałbym dźwigać jeszcze i ten ciężar. Zrobię to na miejscu.

— Masz rację; to chodźmy już.

Po co ten supeł? — zapytał sam siebie Dantès.

Przeniesiono domniemanego trupa z łóżka na nosze. Edmund leżał wyprostowany, chcąc lepiej odegrać rolę zmarłego. Położono go na noszach i cały orszak, któremu przyświecał człowiek idący na przedzie z latarnią w ręku, jął się wspinać po schodach.

Nagle owionęło Edmunda świeże i ostre powietrze nocne. Zorientował się, że wieje mistral. Doznał nieoczekiwanie rozkosznego, a zarazem dręczącego uczucia. Grabarze zrobili jeszcze ze dwadzieścia kroków i postawili nosze.

Jeden z dozorców oddalił się, a Edmund usłyszał, jak stukają buty po kamieniach.

Gdzie ja jestem? — zapytał sam siebie.

— A wiesz, on wcale nie jest lekki! — powiedział ten, co został, przysiadając na brzegu noszy.

Pierwszym odruchem Edmunda było rzucić się teraz do ucieczki; na szczęście powstrzymał się jednak.

— Przyświeć mi, bydlaku — krzyknął grabarz, co się oddalił — bo nie znajduję.

Człowiek trzymający latarnię pospieszył na to wezwanie, choć było wyrzeczone w formie dość nieuprzejmej.

Czegóż on szuka? — zastanawiał się znowu Dantès. — Pewnie łopaty. Grabarz krzyknął z zadowolenia, znalazłszy widać to, czego szukał.

— Nareszcie — powiedział inny — nie przyszło ci to tak łatwo.

— Aha — odpowiedział tamten — ale nasz stary i tak nic na tym czekaniu nie stracił.

Powiedziawszy to podszedł do Edmunda, który usłyszał stukot jakiegoś ciężkiego przedmiotu rzuconego obok noszy; w tej samej chwili gruby sznur opasał mu nogi, ugniatając boleśnie.

— No i jak tam, węzeł gotów? — spytał ten grabarz, który dotychczas niczym się nie zajmował.

— Oho, jeszcze jak — mruknął tamten — ręczę ci, że się nie rozwiąże.

— No to jazda!

Grabarze ujęli nosze i ponieśli je dalej.

Zrobili może z pięćdziesiąt kroków, zatrzymali się, by otworzyć jakieś drzwi, i dalej puścili się w drogę. W miarę jak się posuwano naprzód odgłosy fal rozbijających się o skały, gdzie stała twierdza, dobiegały coraz wyraźniej.

— Kiepska pogoda — ozwał się jeden z grabarzy. — Znaleźć się na morzu dzisiejszej nocy to średnia przyjemność.

— O tak, ksiądz może zmoknąć — dorzucił drugi i obaj wybuchnęli śmiechem. Dantès nie bardzo zrozumiał ów żart, ale włosy mu się zjeżyły.

— Dobra! Jesteśmy na miejscu — powiedział grabarz.

— Idź trochę dalej, wiesz przecież, że ostatni zawisł w połowie drogi rozpląszczony na skale i że naczelnik nawymyślał nam później od leniów.

Podeszli jeszcze kilka kroków, nadal wspinając się w górę, po czym Edmund uczył, że jeden chwycił go za głowę, drugi za nogi i jęli nim huścić.

— Raz!

— Dwa!

— Trzy!

I w tym momencie Dantès uczył, iż niby zraniony ptak runął w jakąś przepaść bezdenną — spadał, spadał, a twoga ścięła mu lodem serce. Choć pociągał go w dół jakiś ciężar, przyspieszając szybkość tego błyskawicznego lotu, wydawało mu się, że spada tak już całe wieki. Wreszcie z okropnym pluskiem wpadł w lodowatą wodę, a okrzyk przerażenia zapadł z nim razem w głębinę morską.

Rzucono Edmunda w morze i trzydziestosześcioletni pocisk ciągnął go na dno głębin.

Morze jest cmentarzem zamku If.

21. WYSPA TIBOULEN

Dantès oszołomiony, niemal uduszony, miał jednak tyle przytomności umysłu, żeby wstrzymać oddech, a że przygotowany na wszystko dzierżył, jakeśmy to powiedzieli, w prawej ręce nóż, rozpruł szybko worek, uwolnił ramię i wysunął głowę; daremnie czynił wysiłki, by uwolnić się od ciężaru — ciężar dalej ciągnął go w dół; skurczył się więc szukając liny, którą związano mu nogi, i ostatnim wysiłkiem przeciął ją właśnie w tym momencie, gdy miał stracić przytomność; wtedy odbiwszy się mocno nogą, wypłynął wolny na powierzchnię morza, a ciężar ciągnął w tajemniczą głębię grubą tkaninę, która o mało nie stała się całunem Edmunda.

Młodzieniec zaczerpnął tylko trochę powietrza i zanurzył się powtórnie, gdyż ostrożność nakazywała mu przede wszystkim unikać teraz ludzkich oczu.

Kiedy wypłynął na powierzchnię po raz drugi, znajdował się już przynajmniej o pięćdziesiąt kroków od miejsca upadku; dojrzał nad głową ciemne, burzliwe niebo, po którym wiatr rozmiatał pędzące obłoki, ukazując niekiedy skrawek granatu ozdobiony gwiazdą; przed Edmundem rozpościerała się równinna dal, mroczna i rycząca, a fale zaczynały już kipieć jak przed nadejściem nawałnicy — za nim zaś czarniejsze od morza, czarniejsze od nieba wznosiło się granitowe, groźne widmo, którego stercząca krawędź przypominała rękę sięgającą po swoją ofiarę: u szczytu najwyższej skały kaganiec oświetlał dwa cienie.

Wydawało się Edmundowi, że te cienie pochylają się zaniepokojone nad głębiną; rzeczywiście, ci dwaj najdziwniejsi pod słońcem grabarze musieli posłyszeć krzyk, który, wydał przesywając powietrze lotem błyskawicy. Zanurzył się więc znowu i płynął dość długo pod wodą; ten manewr, który

wykonywał niegdyś z wielką łatwością, ściągał do zatoczki Pharo tłumy ciekawych, co podziwiając kunszt pływacki Edmunda okrzykiwali go niejednokrotnie najlepszym pływakiem w Marsylii.

Kiedy znów wypłynął na powierzchnię wód, latarnia zniknęła.

Edmund musiał się teraz zorientować w położeniu; spośród wysp otaczających twierdzę If, Ratonneau i Pomeque znajdują się najbliżej zamku; ale obie te wyspy są zamieszkane, tak samo jak wysepka Daume; najpewniejszym tedy schronieniem były wyspy Tiboulen i Lemaire'a, odległe o milę od twierdzy.

Mimo tej odległości Edmund nie zrezygnował bynajmniej z dotarcia do którejś z rzeczonych wysepek; ale jak je odnaleźć wśród gęstniejących ciemności?

W tym momencie ujrzał latarnię morską w Planier, świecącą jak gwiazda.

Płynąc wprost na tę latarnię, ominąby wyspę Tiboulea położoną nieco na lewo; jeśli więc skieruje się trochę w lewo natknie się na nią z pewnością.

Tylko że odległość tej wyspy od twierdzy If wynosi, jak już powiedzieliśmy, około mili.

Faria mawiał nieraz do Dantèsa, widząc jego przygnębienie i gnuśność:

— Edmundzie, nie poddawaj się słabości: jeśli nie będziesz ćwiczył mięśni, utoniesz z pewnością, gdyby udało ci się kiedyś stąd wymknąć.

Słowa te zadźwięczały Edmundowi w uszach, gdy przygniotła go ciężka fala o gorzkawym posmaku; wypłynął szybko na powierzchnię i jął energicznie przecinać spienione grzywy, żeby przekonać się, czy rzeczywiście utracił był siły; ale stwierdził z radością, że przymusowa bezczynność nie odjęła mu mocy i zręczności i że nadal panował nad tym żywiołem, z którym igrał już za dzieciństwa.

Zresztą strach, ten chyży prześladowca, dodawał Edmundowi sił. Nasłuchiwał z wierzchołków fal, czy nie dobiegnie go jakiś odległy hałas. Za każdym razem, gdy fala wynosiła go wysoko, obejmował szybkim spojrzeniem widzialny jeszcze krąg i starał się przebić wzrokiem gęstniejącą ciemność; każda wyższa od innych fala wydawała mu się łodzią spieszącą za nim w pogoni i wtedy zdawał wysiłki, dzięki którym oddalał się rzeczywiście od twierdzy; ale powtarzając często ten manewr, Edmund wyczerpie do cna swoje siły.

Płynął jednak dalej i posępną twierdzę otoczyły nocne mgły, nie dostrzegał jej więc, choć nie przestawał odczuwać jej bliskiego sąsiedztwa.

Minęła już może godzina, a Edmund, podtrzymywany na siłach pełną świadomością, że jest wolny, pruł fale w kierunku przez siebie obranym.

Płynę już pewnie z godzinę, pomyślał, ale tracę chyba czwartą część szybkości, gdyż wiatr jest mi przeciwny; a jednak, o ile tylko nie omyliłem się w kierunku, powinienem być teraz w pobliżu wyspy.

A jeśli się omyliłem?!

Drżenie wstrząsnęło ciałem Edmunda; chcąc trochę wypocząć, usiłował płynąć na wznak; morze kipiało coraz gwałtowniej i Edmund przekonał się, że ta forma odpoczynku, na którą liczył, jest wykluczona.

— A niech tam! Będę walczył do końca, aż ramiona mi zdrętwieją i kurcz mnie chwyci — wtedy pójdę na dno!

I pobudzony rozpaczą, jął rozgarniać wodę tęgimi uderzeniami.

Nagle wydało mu się, że czarne niebo pociemniało jeszcze, a ogromna, zwarta chmura wali się na niego; w tej samej chwili uczył dojmujący ból w kolanie. Wyobraźnia, jakże nieobliczalnie szybka, podszeptała mu natychmiast, że to kula go trafiła i że za chwilę posłyszysz odgłos wystrzału; ale strzał się nie rozległ. Edmund wyciągnął rękę i natrafił na jakiś opór, przyciągnął tedy drugą nogę — i stanął na ziemi; zrozumiał, czym była owa domniemana chmura.

W odległości dwudziestu kroków wznosił się skalisty, dziwaczny masyw, który można by wziąć za ogromne ognisko obrócone w kamień, gdy rozgorzało największym płomieniem; była to wyspa Tiboulen.

Edmund wyprostował się, uszedł jeszcze kilka kroków, podziękował Bogu i legł na ostrych głazach, które wydały mu się wygodniejszym postaniem od najmiększego na świecie łóżka.

Po czym mimo wichury, mimo burzy i deszczu, który właśnie począł siec, zapadł, złamany wysiłkiem, w ten cudowny sen, co przynosząc wprawdzie ciału odrętwienie, pozwala jednak duszy zachować świadomość niespodzianego szczęścia.

W godzinę później straszliwy grzmot obudził Dantèsa: burza rozsrożyła się w przestworzach i przecinała powietrze strzelistym lotem; niekiedy błyskawica podobna ognistemu wężowi sphywała z

nieboskłonu, oświetlając chmury i fale, co splecione w przedziwnym chaosie biegły jakby sobie naprzeciw.

Oko żeglarskie nie zawiodło Edmunda: wylądował rzeczywiście na wyspie Tiboulen, pierwszej z dwóch wymienionych wyseppek. Wiedział, że tej nagiej wyspy nie porasta żadna roślinność, a więc i o schronienie tutaj trudno; kiedy burza ucichnie, Edmund popłynie do Wyspy Lemaire'a, równie jałowej, ale większej i przeto bardziej gościnnej.

Schronił się chwilowo pod występem skalnym i niemal w tym samym momencie burza rozszalała się na dobre.

Czuł, jak drżały głązy, pod którymi przycupnął, fale rozbijały się o podnóże ogromnej piramidy i bryzgały aż na niego; choć nie groziło mu niebezpieczeństwo, głuche dudnienie i oślepiające błyskawice przyprawiły go o zawrót głowy; zdawało mu się, że cała wyspa dygocze pod nim i niby statek uwięziony na kotwicy — zerwie lada chwila linę i wciągnie go w ogromny wir.

Przypomniał sobie wtedy, że od dwudziestu czterech godzin nie miał nic w ustach: był głodny i chciało mu się pić.

Wyciągnął rękę i wychylił głowę; w jakimś zagłębieniu skalnym znalazł trochę wody deszczowej, której się napił.

Kiedy wracał do poprzedniej pozycji, błyskawica, która, rzekłbyś, rozdarła niebo aż do stopni boskiego tronu, oświetliła wszystko dookoła. Edmund w tym blasku ujrzał rybacki kuter, który na kształt widma pojawił się na grzbiecie fali, lecz zaraz runął w przepaść i gnany wichurą miotał się wśród rozszalałych odmętów w odległości ćwierć mili, między Wyspą Lemaire'a a przylądkiem Croisille; w sekundę później widmo pojawiło się na grzbiecie innej fali zbliżając się z przerażającą szybkością. Dantès chciał krzyknąć i rozglądał się bezradnie za kawałkiem płótna, by powiewając nim w powietrzu, ostrzec ich, że idą na pewną zgubę, ale oni sami wiedzieli o tym. W świetle następnej błyskawicy dojrzał czterech mężczyzn, trzymających się kurczowo masztu i sztagów; piąty uczeplił się drążka połamanego steru. Ci ludzie dostrzegli go widać także, gdyż rozpaczliwe wołania niesione na skrzydłach świszczących podmuchów dotarły do uszu Edmunda. Ponad masztem zgiętym jak trzcina łopotał na wietrze strzępek żagla; nagle pękły więzy, które go dotychczas przytrzymywały, i unosząc się niby biały ptak ku czarnym chmurom, zniknął w ciemnej czeluści nieba.

Jednocześnie rozległ się okropny trzask i okrzyki śmiertelnej trwogi. Następną błyskawica ukazała oczom Edmunda — który uczeplony niby sfinks występu skalnego, sięgał wzrokiem w przepaść — roztrzaskany stateczek, a wśród jego szczątków zrozpaczone twarze i ramiona wzniesione ku niebu.

Po czym wszystko wchłonęła ciemność: straszliwe widowisko trwało tyle, co błysk pioruna.

Dantès zsunął się po oślizłych skałach, narażając się na upadek, rozglądał się, nasłuchiwał, ale nic już nie dojrzał ani nie usłyszał: ucichły krzyki, ustały ludzkie wysiłki: tylko nawałnica, to wielkie dzieło Boga, smagała nadal świszczącym wichrem i rozbryzgiem spienionych fal.

Wiatr nacichał z wolna; nawisłe chmury, szare i odbarwione niejako przez burzę, przesunęły się ku zachodowi; na granatowym niebie rozbłyły iskrzące się jak nigdy gwiazdy; od wschodu długa, czerwona smuga wydobyła z mroku kontur sinoczarnych wyniosłości; fale spiętrzyły się, światło przyobiekło nagle jasnością ich spienione grzbiety, które przemieniły się w złote grzywy.

Świtało.

Edmund milczący i nieruchomy patrzył na ten widok, jakby oglądał go pierwszy raz; rzeczywiście, pobyt w twierdzy If wymazał mu z pamięci takie pejzaże.

Odwrócił się ku fortecy, ogarniając jednocześnie bacznym spojrzeniem ziemię i morze.

Posępna budowla wyłaniała się z łona mórz majestatyczna jak wszelkie kolosy, co zdają się czuć jednocześnie i nakazywać.

Mogła być piąta; morze wygładzało się.

Za dwie, najwyżej trzy godziny, pomyślał Edmund, dozorca wejdzie do mojej celi, znajdzie zwłoki mojego zmarłego przyjaciela, rozpozna je, na próżno będzie mnie szukał i zaalarmuje wszystkich. Wtedy natkną się na wylot podkopu, wykryją, dokąd prowadzi galeria; wypytawszy tych ludzi, co rzucili mnie do morza, dowiedzą się, że krzyknął wpadając do wody. Łodzie pełne wojska ruszą natychmiast w pogoń za nieszczęśliwym uciekinierem, który, jak wiadomo, nie mógł się bardzo oddalić. Wystrzał armatni rozgłosi po całym wybrzeżu, że nie wolno udzielać pomocy człowiekowi, który nagi i wygłodzony błąka się po okolicy. Szpiedzy i łapacze marsylscy zostaną powiadomieni i będą przetrząsać wybrzeże, a komendant twierdzy weźmie na siebie obowiązek przeszukania morza. Cóż wtedy pocznę osaczony ze wszystkich stron, tak na lądzie, jak i na morzu? Jestem głodny i zmarznięty, postradałem wszystko, nawet zbawienny nóż, który mi zawadzał, kiedym płynął. Jestem

zdany na łaskę i niełaskę pierwszego lepszego wieśniaka, który wyda mnie w ręce policji chcąc zarobić dwadzieścia franków; zabrakło mi już sił, nie potrafię już nic wymyślić ani postanowić. Ach Boże! Boże! Zważ, czym nie za wiele wycierpiał i czy nie mógłbyś przyjść mi z pomocą wtedy, gdy jestem zupełnie bezradny!

Kiedy Edmund, do cna już wyczerpany fizycznie i duchowo, był jakby w malignie i patrząc z niepokojem na zamek If powtarzał ten akt strzelisty, zobaczył, tam gdzie wysuwał się cypel wyspy Pomégué, zarys łacińskiego żagla, podobny mewie muskającej fale; był to stateczek i tylko oko marynarza mogło rozpoznać w nim na mrocznym jeszcze morskim widnokręgu genueńską tartanę. Wyruszyła z Marsylii i wypływała na pełne morze, tnąc iskrzącą się pianę ostrym dziobem, który torował drogę pękatomu kadłubowi.

— Och! — wykrzyknął Edmund — mógłbym przecież za pół godziny znaleźć się na tym statku, gdybym się nie lękał, że będą mnie tam wypytywać, rozpoznają we mnie zbiega i odwiozą do Marsylii! Cóż robić? Cóż im powiedzieć? Jakim łgarstwem wyprowadzić ich w pole? Ci ludzie są przeważnie przemytnikami, na pół piratami. Uchodząc za właścicieli statków kabotażowych, rabują wybrzeża; będą woleli mnie sprzedać, niż spełnić dobry uczynek, który nie przyniesie im żadnej korzyści.

Poczekajmy tedy.

Ale czekać niepodobna: przymieram głodem, a niedługo utracę resztę sił; wreszcie zbliża się pora codziennego porannego obchodu; nie uderzono jeszcze na alarm, to może i tamci z tartany nie domyśla się niczego; mogę się podać za marynarza z tego kutra, co rozbił się dzisiejszej nocy. To nawet całkiem prawdopodobne. Nikt nie może mi zaprzeczyć: wszystkich morze pochłonęło na zawsze. No to jazda!

Domawiając tych słów, Edmund spojrzął w to miejsce, gdzie mały statek się rozbił, i drgnął nagle, zobaczywszy czapkę frygijską, własność któregoś marynarza z zatopionego kutra, tkwiącą na skale, i pływające nie opodal szczątki kadłuba statku.

Edmund natychmiast powziął decyzję: skoczył w morze, podpłynął do czapki, włożył ją, chwycił się jednej z belek i skierował się ku statkowi, chcąc przeciąć mu drogę.

— Teraz jestem ocalony! — szepnął.

Przeświadczenie to wróciło mu siły.

Niebawem dostrzegł tartanę, która mając wiatr na dziób, lawirowała między twierdzą If a wieżą w Planier. W pewnej chwili Edmund zląkł się, że statek zamiast opływać wybrzeże skieruje się na pełne morze, co miałoby miejsce, gdyby tartana zdążyła na Korsykę albo Sardynię. Ale przyjrawszy się lepiej halsowaniu upewnił się, że tartana przepłynie między wyspami Jaros i Calaseraigne, to jest szlakiem, który obierają zwykle statki zdążające do Włoch.

Tymczasem statek i pływak zbliżali się do siebie, choć odległość zmniejszała się niewidocznie; podczas jednego ze zwrotów stateczek zbliżył się na ćwierć mili do Edmunda. Młodzieniec dźwignął się wtedy na fali, powiewając rozpaczliwie czapką; ale nikt na pokładzie go nie dostrzegł i żaglowiec wykonał nowy zwrot, przechodząc na przeciwny kurs. Dantès chciał krzyknąć, ale zmierzyszy okiem odległość przekonał się, że głos nie dotrze do statku, gdyż zagłuszy go łoskot fal i szum morskiej bryzy.

Powinszował sobie wtedy z powodu ostrożności, którą był przedsięwziął czepiając się belki. Wyczerpany tak bardzo nie potrafiłby się pewnie utrzymać na powierzchni wód i utonąłby, nie zdoławszy dotrzeć do tartany; gdyby zaś tartana przepłynęła obok, a nikt na pokładzie by go nie dostrzegł, Edmund na pewno nie byłby zdolny wydostać się na ląd.

Nie żywiąc już obaw co do kursu statku, śledził jednak niespokojnie żaglowiec, póki ten ostatni nie wykonał nowego zwrotu i nie zaczął się zbliżać.

Wtedy Edmund popłynął naprzeciw, ale nim dotarł, tartana znów zaczęła zmieniać kierunek.

Dantès dźwignął się z największym wysiłkiem; stając niemal prostopadle do fal i machając czapką, krzyczał tak żałośnie, jak czynią to marynarze w chwili najwyższej rozpacz — a głos ich można wtedy wziąć za lament jakiegoś geniusza mórz.

Tym razem zauważono go i posłyszano nawoływania. Tartana przerwała swój manewr i wzięła kurs na naszego rozbitka. Edmund dostrzegł, że jednocześnie gotowano się, aby spuścić szalupę.

W chwilę później łódź, którą płynęli dwaj marynarze rozgarniając wodę podwójnymi wiosłami, skierowała się ku Edmundowi. Wówczas Dantès, chcąc zaoszczędzić nieznaną połowę drogi, zsunął się z nieprzydatnej mu już, jak mniemał, belki i popłynął naprzeciw, wyrzucając energicznie ramiona.

Tymczasem okazało się, że przeliczył się z siłami, które już był wyczerpał niemal całkowicie; i wtedy uświadomił sobie, jak cenny był ów kawałek drewna, unoszący się na wodzie o sto kroków od niego. Ramiona zaczęły mu drętwieć, nogi utraciły elastyczność, ruchy stały się kanciaste, a w piersi brakło tchu.

Krzyknął powtórnie, marynarze zdwoili wysiłki i jeden z nich zawołał po włosku: „Odwagi!”

Słowo to dobiegło uszu Edmunda w chwili, gdy fala, na którą nie miał już siły się wznieść, przewaliła mu się nad głową, zalewając go.

Wypląnął na powierzchnię, bijąc w wodę nie skoordynowanymi i rozpaczliwymi ruchami tonącego i krzyknął jeszcze raz, uczuwszy, że jakaś siła ciągnie go na dno, jakby znowu uwiązano mu śmiercionośny pocisk. Fala chlusnęła mu w twarz i dojrzał poprzez wodę sinawy błękit nieba, usiany czarnymi plamami. Z ogromnym wysiłkiem wydobył się na powierzchnię morza.

Wtedy wydało mu się, że ktoś chwycił go za włosy, po czym nic już nie widział ani słyszał: stracił przytomność.

Kiedy otworzył oczy, stwierdził, że znajduje się na pokładzie tartany, która spokojnie płynęła dalej; przede wszystkim ogarnął baczym spojrzeniem okoliczne wody, chcąc się dowiedzieć, dokąd zmierza żaglowiec; okazało się, że i teraz oddalał się od twierdzy If.

Dantès był tak wyczerpany, że okrzyk radości, który wydarł mu się z ust, przypominał raczej jęk.

Jak już wspomnieliśmy, Edmund leżał na pomoście, a jeden z marynarzy rozcierał mu członki wełnianą derką; inny zaś, ten, co krzyknął był: „Odwagi!”, usiłował wetknąć mu w usta szyjkę łagiewki; trzeci natomiast, pilot i jednocześnie pryncypał, marynarz w podeszłym wieku, spoglądał na młodzieńca z tym rodzajem samolubnego współczucia, jakie ludzie odczuwają zazwyczaj wobec nieszczęścia, które wczoraj ich ominęło, ale nazajutrz może dosięgnąć.

Kilka kropli rumu, co posączyły się z łagiewki, pokrzepiło nadwątlone wysiłkiem serce Edmunda, a rozmasowywanie zdrętwiałych kończyn, któremu klęczący obok niego marynarz oddawał się z taką gorliwością, wróciło im zwykłą elastyczność.

— Kim pan jest? — zagadnął pryncypał, zwracając się do Dantèsa łamaną francuszczyzną.

— Jestem marynarzem maltańskim — odpowiedział Edmund niezbyt poprawnie po włosku. — Wracaliśmy właśnie z Syrakuz, z ładunkiem wina i panoliny. Sztorm zaskoczył nas nie opodal cypla Morgion i rozbiliśmy się o te skały, które pan tam widzi.

— A skąd pan się tu wziął?

— Na szczęście zdołałem uczepić się skał, o które nasz kapitan roztrzaskał sobie głowę. Nasi trzej towarzysze też utonęli. Zdaje mi się, że tylko ja ocalałem: spostrzegłszy waszą tartanę, a bojąc się, że zbyt długo musiałbym czekać na tej samotnej, bezludnej wysepce, chwyciłem się belki, co pozostała z naszego statku, aby do was dopłynąć. Dziękuję, ocaliliście mi życie — mówił dalej Edmund. — Szedłem już na dno, kiedy jeden z pańskich marynarzy chwycił mnie za włosy.

— To ja — odezwał się marynarz o twarzy szczerzej i otwartej, okolonej czarnymi faworytami — czas był najwyższy, boś pan już tonął.

— Tak — odparł Dantès, wyciągając do niego rękę — tak, i jeszcze raz dziękuję ci, kochany przyjacielu.

— Do diabła! — wykrzyknął marynarz. — A przecież zawahałem się na chwilę: z taką brodą na sześć cali i włosami długości stopy wyglądałeś pan raczej na rozbójnika niż na uczciwego człowieka.

Dantès przypomniał sobie, że istotnie odkąd był w twierdzy If, nie strzyżono mu ani razu włosów, ani nie zgolono brody.

— Ach tak — odparł. — Kiedyś znalazłszy się w wielkim niebezpieczeństwie, ślubowałem Madonnie del Pie de la Grotta, że przez dziesięć lat nie będę obcinał włosów ani golił brody. Dziś właśnie upływa dziesięć lat od chwili, kiedym złożył tę przysięgę, i o mało nie utopiłem się w rocznicę tego dnia.

— No i co my teraz z panem zrobimy? — zagadnął pryncypał.

— Niestety to, co się wam spodoba — odpowiedział Edmund; — nasza feluka roztrzaskana, a kapitan nie żyje; jak widzicie, ja też ledwie uniknąłem tego samego losu, ale za to jestem zupełnie goły; szczęściem dobry ze mnie marynarz; wysadźcie mnie więc na ląd w pierwszym porcie, do którego zawiniecie, gdyż zawsze znajduję zajęcie na jakimkolwiek statku handlowym.

— Znasz pan dobrze Morze Śródziemne?

— Pływam po nim od dzieciństwa.

— Znasz pan tutaj najlepsze miejsce do zakotwiczenia statku?

— Niewiele jest takich portów, nawet o trudnym wejściu, do których nie potrafiłbym na ślepo wpłynąć albo wypłynąć.

— No to powiedzcie, szefie — odezwał się marynarz, który krzyknął Dantèsowi: „Odwagi!” — cóż by się stało, gdyby ten kolega został z nami, oczywiście jeżeli nie kłamie.

— Tak, jeżeli nie kłamie — powtórzył pryncypał tonem powątpiewania — ale w takiej sytuacji, w jakiej biedaczysko się znajduje, obiecuje się dużo, a dotrzymuje, ile się zdoła.

— Dotrzymam więcej, niż obiecałem.

— No, no, to się pokaże — roześmiał się pryncypał.

— Możemy spróbować, kiedy pan tylko zechce — odparł Edmund wstając — dokąd płyniecie?

— Do Livorno.

— No to dlaczego nie idziecie po prostu ostrzej na wiatr, zamiast tracić czas na lawirowanie?

— Dlatego, że wpakujemy się wprost na wyspę Rion.

— Oplyniecie ją w odległości dwudziestu sążni.

— A to bierz pan ster — powiedział kapitan — przekonamy się, co umiesz. Edmund siadł przy sterze, a pociągnawszy go lekko, przekonał się, że statek, chociaż niezbyt zwrotny, nie opiera się, lecz jest sterowi posłuszny.

— Do brasów i szotów! — krzyknął.

Czterej marynarze, stanowiący załogę tartany, pobiegli na stanowiska, a szef patrzył na nich w milczeniu.

— Przyciągać! — zawołał Edmund.

Marynarze wykonali rozkaz z wystarczającą precyzją.

— Teraz mocować; dobrze.

Wykonano ten rozkaz tak jak dwa poprzednie; mały zagłowiec przestał halsować i zbliżał się do wyspy Rion; zgodnie z obietnicą Dantèsa przepłynął obok wysepki w odległości dwudziestu sążni, zostawiając ją po prawej burcie.

— Bravo! — przyznał kapitan.

— Bravo! — powtórzyli marynarze.

I wszyscy spoglądali z zachwytem na tego człowieka, którego oko rozbłysnęło znowu inteligencją, a ciało odzyskało niespodziewaną moc.

— Widzicie, że mógłbym się wam na coś przydać, przynajmniej podczas tego rejsu — rzekł Edmund, odchodząc od sterownicy. — A jeżeli nie będę wam potrzebny, no cóż... zostawicie mnie w Livorno; z pierwszej gaży zapłacę wam i za jedzenie, i za ubranie, które mi pożyczycie.

— Dobrze, dobrze — zgodził się szef — pewnie się dogadamy, jeżeli będziesz pan rozsądny.

— Człowiek wart człowieka — odparł Dantès. — To co pan płacisz kolegom, zapłać i mnie, a interes już ubity.

— To nie będzie rzetelne — zaproponował marynarz, który wyciągnął Edmunda z wody — bo pan umiesz więcej od nas.

— A cóż cię to u diabła, obchodzi, Jacopo? — zachnął się pryncypał. — Każdemu wolno zgodzić się za tyle, ile mu się podoba.

— To racja — przystał Jacopo. — Powiedziałem to tak sobie dla porządku.

— Lepiej zrobisz, gdy pożyczysz temu zacnemu golasowi portek i bluzy, jeżeli masz je w zapasie.

— Nie — odpowiedział Jacopo — ale mam portki i koszulę.

— To wszystko, czego mi trzeba, mój kochany — rzekł Edmund.

Jacopo wśliznął się do luku i po chwili ukazał się znów na pokładzie, niosąc ubranie, które Edmund przywdział z niewypowiedzianym zadowoleniem.

— A teraz czego pan jeszcze potrzebujesz? — zapytał kapitan.

— Kromki chleba i łyka tego wyśmienitego rumu, którego skosztowałem; od dawna nie miałem nic w ustach.

Rzeczywiście Edmund nie jadł nic od czterdziestu ośmiu godzin. Przyniesiono chleb, a Jacopo podał Edmundowi swoją łągiewkę.

— Ster na lewą burtę! — zawołał kapitan, odwracając się do sternika. Edmund spojrział w tę samą stronę, podnosząc jednocześnie manierkę do ust; ale łągiewka zawisła w połowie drogi.

— Patrzcie, coś niezwykłego wydarzyło się w twierdzy If — zakrzyknął ze zdziwieniem pryncypał.

Istotnie, biały dymek, który zwrócił uwagę Dantèsa, unosił się od południowej strony nad zębatymi blankami fortu. W chwilę później odgłos dalekiej eksplozji zamarł u burty żaglowca.

Marynarze podnieśli głowy i spojrzeli po sobie.

— Co to ma znaczyć? — zapytał kapitan.

— Jakiś więzień umknął dzisiejszej nocy — odpowiedział Edmund — to i strzelili na alarm.

Pryncypał zerknął na młodzieńca, który domawiając tych słów podniósł łagiewkę do ust; ale Edmund popijał rum z takim spokojem i z tak wyraźną satysfakcją, że jeśli pryncypał powziął nawet niejakie podejrzenie, to myśl ta zaświtawszy mu w głowie wygasła natychmiast.

— Diabelnie mocny rum! — zauważył Edmund, ocierając rękawem koszuli zroszone czoło.

— W każdym razie — mruknął szef spoglądając na Dantèsa — jeśli on jest tym więźniem, to tym lepiej; to dobry dla mnie nabytek, taki odważny człowiek.

Wymawiając się zmęczeniem, Edmund poprosił, by mu pozwolono sięść przy sterze. Sternik, uradowany, iż może przekazać komuś swoje funkcje, spytał wzrokiem pryncypała, który przyzwolił skinieniem.

Usadowiwszy się w ten sposób, Edmund mógł obserwować do woli Marsylię.

— Którego dziś — zagadnął Dantès Jacopa, co siadł przy nim, gdy twierdza If zniknęła im z oczu.

— 28 lutego — odparł tamten.

— Którego roku? — indagował dalej Edmund.

— Jak to którego roku? Pytasz pan, jaki teraz mamy rok?

— Tak. Pytam właśnie o to.

— Zapomniałeś pan, który mamy rok?

— No tak! Tak się przerażiłem dzisiejszej nocy, że o mało nie straciłem rozumu — tu Dantès roześmiał się — a w każdym razie pamięć mnie zawodzi; dlatego pytam, który rok mamy teraz?

— 1829 — odpowiedział Jacopo.

Ułynęło dokładnie czternaście lat od chwili, kiedy aresztowano Dantèsa.

Bolesny uśmiech przemknął mu przez wargi; młodzieniec zapytywał samego siebie, co mogło się stać z Mercedes przez te lata, kiedy musiała wreszcie uznać go za zmarłego.

Po czym rozbłysła mu w oczach nienawiść, pomyślał bowiem o tych trzech mężczyznach, którzy skazali go na tak długą i srogą niewolę.

Tedy ponowił przysięgę złożoną w więzieniu, że nie spocznie, póki nie zemści się okrutnie na Danglarsie, Fernandzie i Villefortcie.

A przysięga ta nie była już czczą pogroźką, gdyż najszybszy żaglowiec pływający na tych wodach nie doścignąłby teraz malutkiej tartany, która mknęła ku Livorno pod pełnymi żaglami.

22. PRZEMYTNICY

Dantès, nim spędził na statku dzień jeden, połapał się, z kim ma do czynienia. Przekazywał dowódca „Panny Amelii” — tak bowiem zwała się tartana genueńska — znał, nie uczęszczając wszelako nigdy na wykłady księdza Farii, niemal wszystkie języki (począwszy od arabskiego, a skończywszy na prowansalskim), jakimi mówiono na brzegach tego ogromnego jeziora noszącego miano Morza Śródziemnego. Nie potrzebując dzięki temu odwoływać się do tłumaczy, ludzi nudnych, nade wszystko zaś niedyskretnych, porozumiewał się łatwo bądź z załogami okrętów, bądź też małych łodzi, co w rozmaitych punktach wybrzeża przybijały do burty tego statku; albo wreszcie z owymi bezimiennymi osobnikami profesji bliżej nieokreślonej, tudzież nieznanego przynależności państwowej, co snują się po bulwarach portowych, a czerpią swoje dochody z tajemniczych, skrywanych zazdrośnie źródeł, które wskazuje im chyba tylko Opatrzność, nie mają bowiem żadnych widomych środków do życia. Odgadnąć nietrudno, że Dantès znalazł się na statku przemytniczym.

Dlatego pryncypał odnosił się początkowo do Edmunda z niejaką rezerwą; wszyscy celnicy z wybrzeża znali kapitana wybornie, a ponieważ ubiegali się wciąż o lepsze w zastawianiu sideł, właściciel „Panny Amelii” mniemał w pierwszej chwili, że Edmund jest po prostu wysłannikiem straży celnej, która chwyciwszy się fortelu usiłowała przeniknąć sekretne arkana szmuglerzy. Ale brawurowe pójście na wiatr, dzięki któremu Edmund wyszedł zwycięsko z próby, uspokoiło obawy zacnego

pryncypała; później zaś, kiedy dojrzał leciutki pióropusz dymu unoszący się nad blankami twierdzy If, kiedy usłyszał daleki huk wystrzału, sądził przez moment, że przyjął na pokład jednego z tych ludzi, których wjazdowi czy odjazdowi towarzyszą, podobnie jak i wizytom królewskim, salwy armatnie; rzecz trzeba, że zafrasowało go to mniej, niż gdyby nowo przybyły okazał się celnikiem: lecz i tę drugą supozycję odrzucił niebawem jak i pierwszą z uwagi na niewzruszony spokój nieznanego.

Edmund miał więc tę przewagę nad pryncypałem, że wiedział, kim on jest, natomiast jego szef nie miał pojęcia, a i dowiedzieć się nie mógł, kim jest ów obcy. Indagowany natarczywie to przez starego wygę, to przez jego podwładnych, trzymał się ostro i nie puścił farby; rozprawiał ze znanstwem o Neapolu i Malcie, które znał jak Marsylię, i potwierdzał teraz ze ścisłością przynoszącą zaszczyt jego pamięci wszystko, co zełgał był na początku. Tak więc Edmund, to uosobienie prostoty, wyprowadził w pole szczwanego genueńczyka, już to posługując się swoimi umiejętnościami żeglarskimi, już to, nade wszystko, mistrzowskim talentem udawania.

A może genueńczyk należał do tych ludzi rozumnych, którzy wiedzą tylko to, co wiedzieć powinni, a dają wiarę temu, w co uwierzyć im wygodnie.

Na tej płaszczyźnie układały się wzajemne stosunki, kiedy tartana zawinęła do Livorno.

Czekała tutaj na Edmunda nowa próba: miał niebawem przekonać się, czy sam siebie pozna, nie widząc swojej twarzy od lat czternastu; pamiętał wcale dokładnie, jak wyglądał za młodu, a teraz ujrzył siebie jako mężczyznę. Towarzysze jego wiedzieli, że śluby swoje już wypełnił — chcąc tedy obciąć brodę i włosy, udał się na ulicę Świętego Ferdynanda do golarza, z którym poznał się był swojego czasu, zatrzymując się kilkakrotnie w Livorno.

Balwierz zdumiał się na widok mężczyzny o długich włosach i gęstej kruczej brodzie, który jakby zszedł z obrazu Tycjana. W owym czasie nie były w modzie długie brody i opadające na ramiona włosy; dziś natomiast golarz zdziwiłby się niepomnie, że człowiek, obdarzony przez naturę tak piękną ozdobą, wyzbywa się jej dobrowolnie.

Livorneński balwierz wziął się do pracy, nie rzekłszy ani słowa.

Kiedy dzieła dokonał, Edmund zaś uczuł, że brodę ma zgoloną do samej skóry i że włosom jego przywrócono zwykłą długość, poprosił o lusterko i spojrzął w nie.

Jak już powiedzieliśmy, miał wtedy trzydzieści trzy lata, a cierpienia, jakie w ciągu czternastu lat przeżył w turmie, odbiły się piętnem na jego twarzy.

Dantès wszedł do twierdzy If jako rumiany, pogodny, promieniejący szczęściem młodzieniec, który postawiwszy wcale zgrabnie pierwsze kroki w życiu, liczył na pomyślną przyszłość, bo i taka się zapowiadała normalną kolejną rzeczy; tymczasem przez te lata zaszły wielkie zmiany.

Ował jego twarzy wyciągnął się, usta skore do uśmiechu zacisnęły się i nabrały stanowczości, świadczącej o zdecydowaniu; nad brwiami pojawiła się zmarszczka, jedyna, ale wskazująca, że nasz bohater myśli; w oczach zagościł głęboki smutek, w którym dopatrzyłbyś się czasem utajonych, ale gwałtownych i posępnych błysków nienawiści i mizantropii; płeć, na jaką tak długo nie padało ani światło dnia, ani promienie słoneczne, nabrała matowej karnacji, która szczególnie przy kruczych włosach używa ludom Północy arystokratycznego piękna; ponadto wiedza głęboka, którą nabył, opromieniała jego twarz inteligencją i pewnością siebie; jeśli zaś idzie o ciało, to choć był dość wysoki, miał ową krzepkość ludzi przysadzistych — albowiem przez cały ten czas koncentrował swoje siły w sobie.

Jego postać, dawniej wykwinna, szczupła i delikatna, teraz stała się tęgawa i muskularna. Modlitwy, płacz i złorzeczenia odmieniły jego głos: niekiedy brzmiał on nad podziw łagodnie, to znów nabierał tonów szorstkich i niemal chrypliwych.

Nieustanne przebywanie w półmroku albo w zupełnej ciemności wyćwiczyło mu oczy — cechowała go teraz osobiwa zdolność: widział nocą każdy przedmiot jak hieny lub wilki.

Edmund uśmiechnął się na swój własny widok: najlepszy przyjaciel — gdyby miał takiego — nigdy by go nie poznał; bo przecież Edmund nie poznał sam siebie.

Dowódca „Panny Amelii”, któremu bardzo zależało na skaptowaniu człowieka tej miary co Edmund, zaproponował mu zaliczkę na poczet przyszłego udziału w zyskach; Dantès chętnie się zgodził; wyszedłszy od balwierza, który dokonał pierwszej metamorfozy, Edmund udał się do sklepu po marynarski strój; jest on, jak wiemy, nader prosty, składa się bowiem z białych spodni, pasiastej koszuli i frygijskiej czapki.

Tak się właśnie ubrawszy, zwrócił Jacopowi pożyczony przyodziewek i stanął przed kapitanem „Panny Amelii”, któremu musiał jeszcze raz powtórzyć zmyśloną historię. Pryncypałowi nie mieściło się wprost w głowie, iż ów szykowny, elegancki marynarz jest tym samym człowiekiem, który nagi,

ociekający wodą, brodaty, zarosnięty po pas, oplątany wodorostami leżał bez zmysłów na deskach pokładu.

Zachęcony tym dziarskim wyglądem, ponowił propozycję zaangażowania; ale Edmund mając swoje własne projekty, zgodził się służyć na statku tylko kwartał.

Załoga „Panny Amelii” nie spoczywała prawie nigdy, posłuszna rozkazom szefa, który przyjął zasadę: nie tracić przede wszystkim czasu. Zaledwie od tygodnia przebywali w Livorno, a już pękaty kadłub statku wypełnił się wzorzystymi muślinami, przemyconą bawełną, angielskim prochem i tytoniem, na którym fiskał zapomniiał przystawić pieczętki. Należało teraz wywieźć to wszystko z Livorno, portu wolnocłowego, po czym dokonać wyładunku na wybrzeżach Korsyki, skąd, dzięki pomocy pewnych spekulantów, którzy podjęli się tego zadania, towar miał odpłynąć do Francji.

Wyruszono; Edmund przemierzał znowu te lazurowe morza, pierwszy horyzont swojej młodości, pojawiający mu się tak często we snach, gdy był więźniem. Zostawiwszy na prawo Gorgone, a po lewej Pianosę, płynął ku ojczyźnie Paoliego i Napoleona.

Pryncypał, wszedłszy nazajutrz rano na pomost (a czynił to zazwyczaj bardzo wcześnie), zastał tam Edmunda, jak wsparty o nadburcie przyglądał się z dziwnym wyrazem twarzy spiętrzeniu skał granitowych, oblanym bladym światłem brzasku: była to wyspa Monte Christo.

„Panna Amelia” zostawiła wyspę odległą mniej więcej o trzy ćwierci mili po prawej burcie i płynęła nadal swoim szlakiem, zdążając na Korsykę.

Opluwając tę wyspę o nazwie tak dlań urzekającej, Edmund dumał o tym, że skoczywszy do wody znalazłby się za pół godziny na tej ziemi obiecanej. Ale cóż by tam począł, nie mając ani narzędzi koniecznych do odszukania skarbu, ani broni, której potrzebowałby może, pragnąc zachować go dla siebie? Wreszcie, cóż by na to powiedzieli marynarze? Co by sobie pomyślał pryncypał? Wypadało zaczekać.

Szczęściem Edmund umiał czekać: skoro czternaście lat czekał na wolność, potrafi teraz, odzyskawszy ją, czekać pół roku albo i rok na fortunę.

Czyż nie przyjąłby wolności, gdyby mu ją zaproponowano bez bogactwa?

A wreszcie — czy ta fortuna nie jest złudą? Zrodzona w chorym umyśle Farii, czyż nie przestała istnieć wraz z nim?

Co prawda list kardynała Spady był zadziwiająco szczegółowy i dokładny.

I Dantès powtarzał w pamięci treść listu, nie zapomniawszy ani słowa.

Zbliżał się wieczór; Edmund przyglądał się wyspie: mieniła się całą gamą barw zapadającego zmierzchu i z wolna tonęła w mroku, niewidzialna dla nikogo; ale on, nawykły do ciemności więziennych, dostrzegał ją nadal, ostatni bowiem zszedł z pokładu.

Ranek zastał ich nie opodal Alerii. Lawirowali przez cały dzień; pod wieczór światła rozblęły na brzegu. Układ owych światel wskazywał snadź, że wyładunek można rozpocząć, gdyż banderę powiewającą u wierzchołka masztu zastąpiła latarnia okrętowa i żaglowiec podpłynął do brzegu na strzał z fuzji.

Dantès zauważył, że w tych okolicznościach, niewątpliwie uroczystych, kapitan „Panny Amelii” przybliżając się do lądu rozkazywał zazwyczaj wytaczać na stanowiska dwie śmigownice podobne do najlżejszych działek obronnych, które bez wielkiego hałasu mogły uczyć się na tysiąc kroków piękną czterofuntówką.

Ale tego wieczora ostrożność okazała się zbyteczna: wszystko odbyło się składnie i gładko. Cztery łodzie podpłynęły do burty statku, z którego spuszczone szalupę, aby zapewne utraktować tamte łodzie należnymi im honorami; chociaż łodzi było tylko pięć, tak się gracko spisały, że ładunek przywieziony przez „Pannę Amelię” znalazł się na lądzie jeszcze przed drugą nad ranem.

Rozdział premii nastąpił tejże nocy, gdyż kapitan „Panny Amelii” wysoce sobie cenił ład; każdy otrzymał sto liwrow tokańskich, to znaczy około osiemdziesięciu franków w naszej walucie.

Ale nie był to koniec wyprawy; wyznaczono teraz kurs na Sycylię. Należało znów załadować opróżniony statek.

Następna operacja odbyła się równie pomyślnie, jak i poprzednia; szczęściło się teraz „Pannie Amelii”.

Towar ów był przeznaczony dla księstwa Lucca. Składał się niemal wyłącznie z hawańskich cygar, xeresu i malagi.

Lecz tutaj doszło do porachunku ze strażą celną — odwiecznym wrogiem naszego kapitana. Jeden celnik padł, a dwóch marynarzy raniono; Dantès był jednym z nich; kula przeszła mu lewe ramię.

Dantès był kontent z owej potyczki i niemal cieszył się raną, znalazłszy się bowiem w opresji, wyniósł dwojakie doświadczenie: przekonał się, jak traktował niebezpieczeństwo i znosił ból. Niebezpieczeństwo powitał uśmiechem, a trafiony kulą wyrzekł te słowa, co niegdyś filozof grecki: „Bólu, ty złem nie jesteś”.

Ponadto zaś obejrzał śmiertelnie rannego celnika i czy w podnieceniu wywołanym walką, czy też dlatego, że wygasły w nim ludzkie uczucia, nie przejął się prawie wcale tym widokiem. Wstąpił na ścieżkę, po której chciał kroczyć, zmierzał do celu, jaki pragnął osiągnąć: serce zaczynało mu się obracać w kamień.

A Jacopo widząc, że Dantès padł, i sądząc, że nie żyje, rzucił się ku niemu, podniósł go i później pielęgnował jak najlepszy przyjaciel.

Ten świat nie jest tedy tak piękny, jak mniemał doktor Pangloss, lecz może nie jest taki zły, jakim go widział Dantès, skoro ów człowiek, który nie liczył tu na nic, najwyżej na przypadającą Edmundowi część udziału w zyskach, odczuł tak dotkliwy smutek na widok jego rzekomej śmierci?

Szczyściem, jak już powiedzieliśmy, Edmund był jedynie lekko ranny. Dzięki pewnym ziołom, zbieranym w odpowiedniej porze, a dostarczonym przemytnikom przez stare wieśniaczki sardyńskie, rana zasklepiła się szybko. Edmund postanowił wtedy wypróbować Jacopa. Zaofiarował mu swoją premię jako zapłatę za usługi oddane podczas choroby; Jacopo odrzucił propozycję z oburzeniem.

Z serdecznego uczucia, jakie Jacopo okazywał od pierwszej chwili Edmundowi, wynikało to, że i Edmund darzył go czymś na kształt przyjaźni. Ale Jacopo więcej nie żądał: odgadł instynktem jakąś u Edmunda osobliwą wyższość, którą Edmundowi udawało się kryć przed innymi. I dzielny marynarz kontent był z owej nikłej sympatii, którą okazywał mu Edmund.

Toteż przez wiele długich dni spędzanych na pokładzie, gdy statek mknął bezpiecznie po modrych wodach, a dzięki sprzyjającemu wiatrowi, który wydymał żagle, sternik mógł się obejść bez pomocy, Edmund brał mapę morską do ręki i uczył Jacopa — tak jak biedny ksiądz udzielał mu kiedyś cennych nauk. Wskazywał Jacopowi położenie wybrzeży, tłumaczył odchylenia busoli, uczył go czytać w tej wielkiej księdze, rozpostartej nad naszymi głowami, zwanej niebem — lazuruwej księdze, na której Bóg porozmieszczał diamentowe litery.

A gdy Jacopo pytał:

— Na co zda się uczyć tych wszystkich mądrości takiego biednego marynarza jak ja?

Edmund odpowiadał:

— Kto wie, czy pewnego dnia nie zostaniesz kapitanem okrętu? Twój rodak, Bonaparte, został przecież cesarzem!

Zapomnieliśmy powiedzieć, że Jacopo był Korsykaninem.

Przeróżne następujące szybko po sobie wyprawy wypełniły już dwa i pół miesiąca. Edmund tak zręcznie teraz żeglował po przybrzeżnych wodach, jak kiedyś zuchwale zapuszczał się na dalekie rejsy; zaznajomił się ze wszystkimi przemytnikami wybrzeża; wyuczył się wszelkich tajemnych znaków, za pomocą których ta na pół piracka bractwo rozpoznaje się między sobą.

Ze dwadzieścia razy przepływał obok wyspy Monte Christo, lecz ani jeden szczęśliwy traf nie sprowadził go na nią.

Powziął tedy taką decyzję:

Wynajmie dla siebie — z chwilą kiedy jego umowa z kapitanem „Panny Amelii” wygaśnie — małą łódź (Edmunda było stać na to, ponieważ podczas rozmaitych wypraw uciułał kilkaset piastrow) i pod łada pretekstem uda się na Monte Christo.

Tam swobodnie rozpocznie poszukiwania.

Ach nie, wcale nie swobodnie, bo przecież towarzysze wyprawy będą na pewno go podpatrywać,

No cóż, chcąc czegoś dokazać na tym świecie, trzeba też czasem i ryzykować.

Więzienie nauczyło Edmunda ostrożności i naprawdę wolałby, żeby obeszło się tutaj bez ryzyka.

Ale na próżno odwoływał się do swojej tak bujnej imaginacji — nie potrafił wynaleźć innego sposobu, jak tylko kazać się w przyszłości zawieźć na tę upragnioną wyspę.

Dantès nie mógł się nijak uporać z tymi wątpliwościami, aż tu pewnego wieczoru kapitan „Panny Amelii”, który, darząc go wielkim zaufaniem, pragnął zatrzymać u siebie, wziął go za ramię i zaprowadził do pewnego szynku na via de l'Oglio, gdzie zbierała się zazwyczaj śmietanka livorneńskich przemytników.

Tam ubijano zwykle rozmaite interesy, którymi zajmowali się ludzie z wybrzeża. Dantès był kilkakrotnie na tej giełdzie morskiej, a przyglądając się zuchwałym korsarzom i filutom, których siedziby

ciągną się wzdłuż całego wybrzeża i sięgają na blisko dwie mile w głąb lądu, zastanawiał się, jak ogromną potęgą rozporządzałby ten, kto umiejętnie pociągałby za te bądź zbieżne, bądź rozbieżne nici.

Tym razem nadarzał się — jak mówią — złoty interes; w grę wchodził statek wiozący dywany tureckie, wschodnie tkaniny i kaszmiry; trzeba było znaleźć teren neutralny, gdzie dokona się przeładunku, po czym należało spróbować przerzucić towar na francuskie wybrzeże.

Jeżeli sztuka się uda, zarobek będzie kolosalny: przypadnie pięćdziesiąt, a może nawet i sześćdziesiąt piastrow na głowę.

Kapitan „Panny Amelii” wymienił Monte Christo jako miejsce dogodne do przeładunku. Wysepkę tę, bezludną, nie mającą ani załogi wojskowej, ani straży celnej, Merkury rzucił jakby w czasach Olimpu na morze — Merkury, ów bóg zarówno złodziei, jak i kupców: rozdzieliliśmy te profesje, a przynajmniej rozróżniamy je, starożytni zaś, jak się wydaje, nie zadawali sobie tej fatygi.

Posłyszawszy o Monte Christo, Edmund zdrzął z radości; aby ukryć wzruszenie, wstał i przespacerował się po szynku, gdzie wśród fajczanych dymów splatały się ze sobą wszelkie języki świata, by stopić się wreszcie w narzecze lewantyńskie.

Kiedy wrócił do swoich rozmówców, okazało się, że zapadła decyzja, iż przeładunek odbędzie się na Monte Christo: kapitan „Panny Amelii” postanowił wyruszyć w drogę następnej nocy.

Gdy poproszono Edmunda o radę, potwierdził, że położenie wyspy dawało wszelką rękojmię bezpieczeństwa; dorzucił, że wielkie przedsięwzięcia winny być szybko realizowane, jeśli pragnie się osiągnąć powodzenie.

Nic tedy nie zmieniło ustalonego programu. Uzgodniono, że przygotowania do odjazdu zaczną się jutrzejszego wieczoru; ponieważ zaś morze było spokojne, a wiatr przychylny, spodziewano się wypłynąć na neutralne wody pojutrze wieczorem.

23. WYSPA MONTE CHRISTO

Szczęśliwym trafem, bo i ludziom prześladowanym od losu dopisuje niekiedy szczęście, Dantès miał osiągnąć swój cel w naturalny i łatwy sposób, miał stanąć na wyspie, nie wzbudzając niczych podejrzeń.

Tylko jedna noc dzieliła go od tak wyczekiwanego odjazdu.

Była to jedna z najbardziej gorączkowych nocy w życiu Edmunda. Jawiły mu się wszelkie możliwości powodzenia i klęski: przymykając oczy widział testament kardynała Spady jarzący się płomiennymi literami na murze; najdziwaczniejsze sny kotłowały mu się po głowie, gdy zdrzemnął się na chwilę. Zstępował do grot o szmaragdowych posadzkach i rubinowych ścianach, a ze sklepień zwieszały się brylantowe festony. Perły spływały wolniutko, jedna po drugiej, podobne kroplom wody sączącej się z podziemnych murów.

Edmund zachwycony i uradowany napełnił kieszenie klejnotami, po czym wyszedł na światło dzienne: owe skarby okazały się zwykłymi kamieniami. Wtedy próbował wrócić do cudownych grot, oglądanych zaledwie przez chwilę, ale ścieżki wiły się w nieskończone serpentyny i wejście do grot zniknęło mu z oczu. Na próżno tedy szukał w strudzonym umyśle magicznego słowa, dzięki któremu jaskinie Ali Baby otwierały się przed rybakiem arabskim. Wszelkie usiłowania spełzły na niczym: zagubiony skarb stał się od nowa własnością geniuszów ziemi, którym Edmund usiłował go wydrzeć, łudząc się przez chwilę, że mu się to uda.

Nastał dzień, niespokojny jak i poprzedzająca go noc; ale rozważa pośpieszyła na ratunek imaginacji i Dantès mógł teraz ułożyć plan, który zarysowywał się dotychczas niewyraźnie w jego umyśle.

Z nadejściem wieczoru rozpoczął przygotowania do drogi. W zamęcie owych przygotowań Dantèsowi nietrudno było ukryć własny niepokój. Z wolna wyrobił sobie wśród towarzyszy taki szacunek, że przywykli go słuchać niczym kapitana statku; że zaś jego rozkazy odznaczały się zawsze jasnością i łatwe były do wykonania, towarzysze Edmunda spełniali je nie tylko szybko, lecz i ochotnie.

Stary wyga patrzył na to przez palce: on także spostrzegł wyższość Dantèsa nad innymi marynarzami, a i nad samym sobą. Widział w tym młodzieńcu wymarzonego następcę i żałował, że nie ma córki, by przez świetny mariaż silniej związać Edmunda ze sobą.

O siódmej wieczór wszystko było gotowe; dziesięć po siódmej tartana opłynęła latarnię morską, w chwili gdy snop światła rozbłysnął z wieży.

Morze było spokojne; statek, smagany chłodnymi podmuchami południowo-wschodniej bryzy płynął pod szafirowym stropem, gdzie Bóg zapalał kolejno niebieskie latarnie, z których każda jest odrębnym światem. Edmund oznajmił, że wszyscy mogą iść spać, a on będzie czuwał przy sterze.

Oświadczenie Maltańczyka (tak nazywano Dantèsa) uznano za całkiem wystarczające i wszyscy poszli spać.

Bywało tak już nieraz.

Edmund, wyrwany z samotności i rzucony w wir życia, odczuwał niekiedy jej głęboką potrzebę. A gdzie teraz znajdziesz pełniejszą, a zarazem bardziej poetyczną samotność, jeśli nie na statku, który pod opiekuńczym wejrzeniem Boga żegluje pogrążony w ciemności nocnej i ciszy wodnych bezmiarów?

Teraz jednak samotność zaroila się od stłoczonych myśli, ciemności rozblęły marzeniem, a cisza ożyła głosami przyrzeczeń.

Gdy kapitan się zbudził, statek szedł pod pełnymi żaglami: ani jeden płat nie zwisał — wszystkie wydymał wiatr; robiono ponad dwie i pół mili na godzinę.

Wyspa Monte Christo majaczyła na horyzoncie.

Edmund zdał tartanę właścicielowi i ułożył się w koi; lecz pomimo nocy bezsennej nie mógł zmrzążyć oka.

Po dwóch godzinach wrócił na pokład; statek opływał właśnie Elbę. Znajdowano się na wysokości Mareciany, nieco powyżej zielonej i płaskiej Pianosy. Na błękitie nieba rysował się strzelisty kontur wyspy Monte Christo obłany purpurą.

Dantès kazał sternikowi położyć ster na lewą burtę, chciał bowiem zostawić Pianosę po prawej; obliczył, że ten manewr pozwoli mu na skrócenie rejsu o kilka węzłów.

Okolo piątej po południu wyspa pojawiła się w całej okazałości. Dostrzegało się najdrobniejsze szczegóły krajobrazu, gdyż powietrze stało się bardzo przejrzyste, jak to zwykle bywa o zachodzie.

Edmund pochłaniał wzrokiem ów masyw strzelisty, mieniący się wszelkimi barwami zmierzchu, począwszy od jaskraworóżowej aż do ciemnoniebieskiej. Od czasu do czasu gorący rumieniec buchał Edmundowi na twarz, czoło mu czerwieniało, a przed oczami pojawiała się purpurowa mgła.

Żaden gracz stawiający na jedną kartę całą fortunę nie odczuwał w decydującej chwili takiego lęku, jaki ogarnął Edmunda mimo przyływów nadziei.

Zapadła noc: przybili do brzegu o dziesiątej wieczór — „Panna Amelia” stawiała się pierwsza na spotkanie.

Dantès, choć panował zazwyczaj nad sobą, nie zdzierzył tym razem: wyskoczył pierwszy na brzeg; gdyby śmiał, ucałowałby, jak Brutus tę ziemię.

Noc była ciemna, ale o jedenastej księżyc wyłonił się z morza, przyoblekając srebrem każde załamanie fali, a wznosząc się coraz wyżej, oblewał kaskadami bladego światła spiętrzone skały tego nowego Pelionu.

Załoga знаła dobrze wyspę, tutaj bowiem zatrzymywano się zwykle. Dantès przyglądał się jej bacznie, opływając ją podczas każdej podróży na Wschód, ale nigdy tutaj nie był.

Zapytał więc Jacopa:

— Gdzie spędzimy noc?

— No, na pokładzie.

— A czy nie byłoby nam wygodniej w grotach?

— W jakich grotach?

— W grotach na tej wyspie.

— Nie słyszałem tu o żadnych grotach. Zimny pot zrosił czoło Dantèsa.

— To nie ma grot na wyspie Monte Christo? — zapytał.

— Nie.

Dantès osłupiał na chwilę; lecz pomyślał, że jakiś kataklizm mógł zasypać owe jaskinie albo kardynał Spada wiedziony ostrożnością zamaskował wejście do grot.

W ostatnim wypadku cała trudność polegałaby na odnalezieniu tego otworu. Nie warto go było szukać w nocy. Tedy Dantès odłożył badania do jutra. Zresztą, sygnał dany o pół mili od brzegu — „Panna Amelia” odpowiedziała natychmiast takim samym znakiem — wskazywał, że pora wziąć się do pracy.

Spóźniony statek, który zawiadomiono, że porozumienie ustne odbędzie się w warunkach zupełnego bezpieczeństwa, pojawił się niebawem bezgłośnie, biały jak widmo; rzucono kotwicę w odległości jednego kabla od brzegu.

Przeładunek się rozpoczął.

Edmund z pozoru pochłonięty robotą, dumął, jak radosne okrzyki wywołały na usta tych ludzi, gdyby wypowiedział głośno myśl, która bezustannie dzwoniła mu w uszach, a gościła w sercu. Ale nie zamierzając wyjawiać sekretu, obawiał się, że i tak już zbyt wiele zdradził; że wzbudził podejrzenia, kręcąc się ustawicznie, powtarzając te same pytania, obserwując wszystko badawczo i stale się czymś kłopotując. Szczęściem — przynajmniej w tych okolicznościach — jego tragiczna przeszłość nacechowała mu twarz niezatartym smutkiem, toteż radość, która pojawiała się niekiedy na tym chmurnym obliczu, przemykała tylko przez nie jak błyskawica.

Nikt więc nie domyślił się niczego; kiedy nazajutrz Dantès, wzięwszy fuzję, trochę śrutu i proch, oświadczył, że ma ochotę zapolować na kozice skaczące wśród pobliskich skał, wszyscy byli pewni, iż jedynie żyłka myśliwska i potrzeba samotności skłoniły go do tej wyprawy. Tylko Jacopo uparł się, by mu towarzyszyć. Dantès nie chciał się temu sprzeciwić, obawiał się bowiem, że czyniąc jakieś wstręty wzbudzi podejrzenia. Ale nie uszli nawet i ćwierć mili, kiedy nadarzyła się Edmundowi sposobność strzału; ubiwszy kozła, poprosił Jacopa, aby zaniósł go towarzyszom, ci zaś niechaj opieką zwierzę, a kiedy będzie gotowe, dadzą znać wystrzałem; suszone owoce i pękata butelka wina z Monte-Pulciano miały dopełnić uczty.

Edmund szedł dalej, oglądając się od czasu do czasu. Dotarłszy na szczyt skalistego urwiska, zobaczył o tysiąc stóp poniżej swoich towarzyszy, a wśród nich Jacopa: krzżeli się energicznie wokół śniadania, które dzięki zręczności Edmunda będzie bogatsze o wyśmienitą pieczeń.

Dantès spoglądał na nich przez chwilę z łagodnym a zarazem smutnym uśmiechem człowieka świadomego swojej wyższości.

— Za dwie godziny — szepnął do siebie — ci ludzie odjadą stąd, zarobiwszy pięćdziesiąt piastrow, wyruszą w drogę, by ryzykując życie zdobyć następne pięćdziesiąt; powrócą posiadając sześćset liwrow całego majątku i dumni jak sułtani, pewni siebie jak bogacze, roztrwonią ten skarb w pierwszym napotkanym mieście. Dziś nadzieja sprawia, że gardzę ich bogactwem, które wydaje mi się po prostu nędzą; jutro doznam może rozczarowania, które zmusi mnie, bym uznał ową nędzę, za szczyt szczęścia... Och! nie! — krzyknął — tak się nie stanie; mądry, nieomylny Faria nie wszedłby w tej jednej sprawie na fałszywą drogę. Zresztą lepiej byłoby mi umrzeć, niż wieść nędzny, poniżający żywot.

Tak więc Edmund, który trzy miesiące temu wdychał jedynie do wolności, dziś się nią nie zadowalał, pożądając i bogactwa; nie było to winą Edmunda, lecz Boga — ograniczywszy bowiem potęgę człowieka, obdarzył go pragnieniami, które nie znają granic!

Tymczasem Dantès, ukryty między dwiema skalnymi ścianami, kroczył po ścieżce, której prawdopodobnie nigdy nie tknęła stopa ludzka; wędrując tym łożyskiem wyschłego strumienia, dotarł do miejsca, gdzie, jak mniemał, powinny znajdować się groty. Posuwając się równoległe do wybrzeża morskiego i badając uważnie najdrobniejsze szczegóły, spostrzegł na niektórych głazach regularne wgłębienia, wykute, jak mu się zdawało, ludzką ręką.

Czas, który okrywa rzeczy martwe płaszczem mchów, tak jak spowija sprawy duchowe opończą zapomnienia, uszanował te znaki, wyrte w odstępach dość regularnych, zapewne dla wskazania tropu. Jednak niekiedy znikaly one wśród kęp ukwieconych mirtów albo pasożytniczych porostów. Musiał tedy rozgarniać gałęzie lub odrywać mech, by odnaleźć wyżłobienia, które wskazywały mu drogę w tym labiryncie. Zresztą właśnie te znaki dodały Edmundowi otuchy. Czemuż nie miały ich wykuć kardynał, pragnąc, by w wypadku jakiejś katastrofy — której skutków aż tak fatalnych nie przewidywał na pewno — wskazały drogę jego synowcowi? To pustkowie musiało bez wątpienia spodobać się temu, kto pragnął ukryć skarb. Ale czy te znaki nie okazały się zdradzieckie, odkrywszy sekret komuś niepowołanemu, i czy wyspa posępnych cudów wiernie strzegła wspaniałej tajemnicy?

Tymczasem wydało się Edmundowi — ciągle przemyskającemu się za wyniosłościami terenu, by ująć oczom towarzyszków, a oddalonemu o jakieś sześćdziesiąt kroków od portu — że nacięcia na głazach urwały się nagle; ale nie ujrzął żadnej groty. Ogromny okrągły głaz, osadzony mocno, wydawał się jedynym miejscem, dokąd wiodły. Edmund pomyślał tedy, że zamiast dotrzeć do końcowego punktu, znajdował się może na początku; zawrócił więc tą samą drogą.

W tym czasie towarzysze Edmunda przygotowywali śniadanie, czerpali wodę ze źródła, przynosili chleb i owoce na wyspę i piekli koźlę. Gdy zdejmowali pieczeń z zaimprovizowanego rożna, dostrzegli Edmunda, który zwinny i zuchwały jak kozica przeskakiwał ze skały na skałę; pragnąc skłonić go do powrotu, któryś wystrzelił z fuzji. Myśliwy zmienił więc kierunek i biegł ku nim. Ale kiedy tak wszyscy

śledzili wzrokiem ten rodzaj lotu będący próbą zręczności posuniętej do zuchwalstwa, Edmund, jakby dla potwierdzenia obaw towarzyszy, stracił nagle równowagę; zobaczono, jak zachwiał się na wierzchołku skały, krzyknął i znikł.

Wszyscy rzucili się ku niemu jednocześnie, każdy bowiem lubił Edmunda, mimo jego wyższości; a jednak Jacopo dobiegł pierwszy.

Znalazł Edmunda rozciągniętego na ziemi, okrwawionego i nieprzytomnego; stoczył się zapewne z wysokości około piętnastu stóp. Wlano mu do ust kilka kropel rumu — tego remedium, które już kiedyś tak skutecznie podziało, a i teraz wywołało podobny jak za pierwszym razem efekt.

Edmund otworzył oczy, skarżąc się na ból w kolanie, okropny ciężar w głowie i nieznośne rwania w krzyżu. Towarzysze chcieli go przenieść na wybrzeże, ale kiedy go dotknęto, jęknął — choć Jacopo dyrygował operacją — i oświadczył, że nie czuje się na siłach, by znieść ten transport.

Rozumie się, iż nie było mowy, aby Edmund mógł skosztować śniadania; zażądał więc, aby towarzysze, nie mający tych powodów co on do zachowywania postu, wrócili na wybrzeże. Utrzymywał, że jemu natomiast potrzeba tylko trochę wypoczynku i towarzysze zastaną go w lepszym stanie, gdy powrócą tutaj niebawem.

Marynarze nie dali się długo prosić: byli głodni, a zapach koźlęcia docierał aż do nich; wilki morskie nie ceregielują się między sobą.

Po godzinie wrócili. Edmund zdołał tylko podczołgać się do porośniętej mchem skały, oddalonej o jakieś dwanaście kroków, i wesprzeć się na niej.

Ale bóle nie ustały, a nawet zdawały się jeszcze wzmaczać. Kapitan, który tego rana musiał wyruszyć w podróż, by na granicy Piemontu i Francji wyładować towar, nalegał, żeby Edmund popróbowował wstać. Dantès czynił nadludzkie wysiłki, by spełnić życzenie pryncypała, ale po każdej próbie padał znów na ziemię, blady i jęczący.

— Złamał sobie kręgosłup — rzekł po cichu kapitan — ha, trudno, to dobry kolega i nie możemy go tak zostawić; spróbujmy przenieść go aż na tartanę.

Ale Dantès oświadczył, że woli raczej umrzeć, niżli znosić straszliwe bóle, wywoływane najłżejszym bodaj ruchem.

— Kiedy tak — odezwał się znów kapitan — niech się dzieje co chce; nikt jednak nie powie, że zostawiliśmy bez pomocy tak dzielnego, jak ty, towarzysza. Odpłyniemy dopiero wieczorem.

Ta decyzja zdumiała marynarzy, ale żaden nie myślał się sprzeciwić. Kapitan był człowiekiem nieustępliwym i zdarzyło się po raz pierwszy, że zrezygnował z przedsięwzięcia, a raczej opóźnił jego wykonanie.

Toteż Dantès nie mógł się zgodzić, aby ze względu na niego tak poważnie uchybiono dyscyplinie obowiązującej na statku.

— O nie — powiedział do pryncypała — byłem niezręczny i trzeba, żebym poniósł konsekwencje niezdarstwa. Zostawcie mi trochę sucharów, fuzję, proch i kule, abym mógł ubić kozła albo obronić się w potrzebie; zostawcie mi też łopatę, żebym mógł, jeśli nie przyjedziecie po mnie zaraz, zbudować sobie jakieś schronienie.

— Przecież umrzesz z głodu — zaproponował kapitan.

— Wolę to niż ten diabelski ból za najmniejszym ruchem.

Pryncypał spojrzął na statek, który pokryty do połowy żaglami kołysał się w małym porcie, gotów do wyruszenia na morze, z chwilą gdy „toaleta” jego będzie skończona.

— Cóż mam robić, Maltańczyku — zapytał. — Nie możemy cię zostawić samego, a i zostać też nie możemy.

— Jedźcie, jedźcie! — wykrzyknął Dantès.

— Wrócimy tu najwcześniej za tydzień, a prócz tego będziemy musieli zboczyć z kursu, aby po ciebie wstąpić — powiedział pryncypał.

— Posłuchajcie mnie więc — rzekł Dantès — jeśli za parę dni spotkacie jakiś statek rybacki lub jakkolwiek inny, który udawałby się w te strony, polećcie mnie kapitanowi; zapłacę dwadzieścia pięć piastrów za przewiezienie do Livorno. Jeśli nie napotkacie nikogo, przyjedźcie sami.

Kapitan pokręcił głową.

— Niech mnie pan posłucha, szefie — ozwał się Jacopo. — Wszystko da się pogodzić, ja zostanę z rannym, aby go pielęgnować, a wy jedźcie spokojnie.

— To rezygnujesz z udziału w zyskach — spytał Edmund — aby ze mną pozostać?

— Tak — odparł Jacopo — i to bez najmniejszego żalu.

— No, no, porządny z ciebie chłop — powiedział Edmund — i wynagrodzi cię kiedyś za twoje dobre chęci; ale widzisz, nie potrzebuję niczyjej pomocy i dziękuję ci za nią; dwa dni wypoczynku i wrócą mi siły, a zresztą spodziewam się znaleźć w tych skałach zioła, które wyśmienicie leczą kontuzję.

I dziwny uśmiech przemknął mu po wargach. Ucisnął z wylaniem rękę Jacopa, ale trwał przy swoim postanowieniu: chce pozostać tutaj, pozostać sam.

Przyniósłszy Edmundowi wszystko, o co prosił, przemytnicy odeszli, a oglądając się co moment, przesyłali mu serdeczne znaki pożegnania, na które Edmund odpowiadał tylko ruchem dłoni, nie mogąc się jakby zupełnie poruszać.

A kiedy zniknęli, szepnął z uśmiechem:

— To dziwne, że tacy właśnie ludzie dają dowody przyjaźni i poświęcenia. Wczołgał się wówczas ostrożnie na wierzchołek skały, skąd mógł ogarnąć wzrokiem morze, i jął obserwować tartanę; gdy skończono takłowanie i podniesiono kotwicę, statek zakotłował się wdzięcznie, jak mewa zrywająca się do lotu, i odpłynął.

Po godzinie tartana zniknęła Edmundowi z oczu; przynajmniej z tego miejsca, gdzie ranny się znajdował, niepodobna było jej dostrzec.

Wówczas Dantès podniósł się zwinniejszy i lżejszy od kozicy pomykającej wśród mirtów i mastyksów, co porastają te dzikie skały, wziął fuzję, łopatę i podbiegł do głazu, u podnóża którego kończyły się wyżłobienia.

— A teraz — krzyknął, przypomniawszy sobie baśń o arabskim rybaku, którą Faria mu kiedyś opowiedział — a teraz: Sezamie, otwórz się!

Słońce majowe zrobiło już prawie trzecią część drogi, a promienie jego, ożywcze i gorące, padały na głazy, które jakby rozkoszowały się ciepłem; tysiące koników polnych ukrytych w kępach wrzosów przepelniało powietrze szmerem muzyki monotonnej i bezustannej; liście mirtów i oliwek drżały i trzepotały, wydając dźwięk niemal metaliczny; za każdym krokiem Edmunda, stąpającego po rozpalonym granicie, umykały jaszczurki podobne do szmaragdów; w oddali wśród stromych zboczy uwijały się kozice, dla których niejednym myśliwym zapędza się w te strony; słowem, wyspa była zamieszkała, tętniąca życiem i ruchem, a jednak Edmundowi zdawało się, że znalazł się tutaj samotny w obliczu Boga.

Doznawał jakiegoś, chyba pokrewnego trwodze, wzruszenia; był to ów rodzaj lęku, który nawiedza nas niekiedy w biały dzień, nawet na pustkowiu, jakby ściagało nas inkwizytorskie spojrzenie czyichś oczu.

To uczucie było tak silne, że Edmund nie przystąpił od razu do pracy, lecz położywszy oskard wziął fuzję i wspiał się po raz ostatni na wierzchołek najwyższej skały, skąd ogarnął spojrzeniem krajobraz.

I trzeba powiedzieć, że uwagi jego nie przyciągnęła ani poetyczna Korsyka, na której dostrzegał nawet domy, ani nie znana mu prawie Sardynia, najbliższa jej towarzyszką, ani Elba, dawne więzienie giganta, ani wreszcie owa prawie nie dostrzegalna linia biegnąca wzdłuż widnokregu, gdzie doświadczone oko marynarza wykryć mogło Genuę, miasto pyszne, i kupieckie Livorno: o nie! — śledził wzrokiem brygantynę, co odpłynęła o świtanie, i tartanę, która przed chwilą wyruszyła w drogę.

Pierwsza niebawem zniknie w cieśninie Bonifacio, a druga, zdążając w kierunku przeciwnym, zbliża się już do Korsyki, którą zamierza opłynąć.

Ten widok uspokoił Edmunda.

Wówczas obrócił wzrok ku temu, co go bezpośrednio otaczało; podobny kruchej figurce tkwił na najwyższym szczycie stożkowatej wyspy — tego ogromnego piedestału; wokół nie masz ani jednej ludzkiej twarzy, ani jednej rozkołysanej łodzi; nic prócz modrych wód, które rozbijając się jak świat światem o te skały, ścielą się srebrzystą frędzlą u stóp wyspy.

Szybko, ale ostrożnie zbiegł po pochyłości; lękał się ulec w takim właśnie momencie podobnemu wypadkowi, jaki spowodował z rozmysłem i bez szkody dla siebie.

Jak się rzekło, Dantès zawrócił z drogi, dotarłszy do znanego nam głazu, a nacięcia zawiodły go wtedy nad małą zatoczkę, tak doskonale osłoniętą, że zdawała się miejscem igraszek starożytnych nimf; dość szerokie i głębokie wejście prowadziło do niej, toteż niewielki statek znalazłby tu wyborne schronienie. Snując wątek domysłów opartych na indukcji — był przecież uczniem księdza Farii, mistrza, który nigdy nie gubił się w labiryncie przesłanek — wniósł, że kardynał Spada, pragnąc zataić swoją obecność na wyspie, przybił do tej zatoczki, ukrył tam stateczek i posuwając się wzdłuż linii wyznaczonej nacięciami, dotarł do jej krańca i ukrył swój skarb.

To przypuszczenie znowu przywiodło Dantèsa do stóp krągłego głazu.

Jeden tylko problem niepokoił Edmunda i niweczył wszelkie powzięte przezeń domysły: w jaki sposób zdołano, nie posługując się żadną siłą mechaniczną, wciągnąć ten głaz, który ważył kilka dobrych tysięcy funtów, na tę płaską podstawę, gdzie spoczywał obecnie?

I taka myśl zaświtała mu nagle:

Zamiast go toczyć pod górę, zepchnięto po prostu w dół!

Wspiął się na stromiznę ponad głazem, aby poszukać miejsca, gdzie ta granitowa bryła musiała się kiedyś znajdować.

Istotnie zauważył wkrótce, że wykopano tu rodzaj łagodnie opadającego łożyska: głaz, ześliznąwszy się po nim, zatrzymał się w oznaczonym miejscu; innym głazem, nie większym od zwykłego kamienia, zaklinowano go od spodu; boczne szczeliny zasypano starannie kamieniami i żwirem; to swoiste dzieło murarskie pokryła warstwa ziemi, zarosło ono trawą i mchem, co rozpostarł się szeroko, osłoniło się mirtami i mastykowcem, których nasiona zapadły w tę glebę — i oto głaz przywarł do podłoża.

Dantès usunął ostrożnie warstwę ziemi i wykrył — a raczej zdało mu się, że wykrył — ten przemyślny fortel.

Wziąwszy oskard zaczął wykruszać ów mur obronny, który scalił się pod działaniem czasu.

Po dziesięciu minutach skała ustąpiła i ukazał się otwór na szerokość ręki.

Edmund ściał najgrubszą, jaką tylko mógł znaleźć, oliwkę, ociosał ją z gałęzi i wsunął w otwór, zamierzając użyć tego drąga jako dźwigni.

Ale głaz był ciężki i zbyt mocno zaklinowany od spodu, aby człowiek, ba, nawet i sam Herkules, mógł go poruszyć.

Zastanowiwszy się chwilę, Edmund postanowił usunąć najpierw spodni głaz.

Ale jakim sposobem?

Rozejrzał się dokoła, jak czynią zwykle ludzie skłopotani; wzrok jego padł na róg muflona napełniony prochem — podarek od Jacopa.

Uśmiechnął się. Piekielny wynalazek spełni swoje zadanie.

Dantès wykopał między dwoma głazami głęboki lej, jakie zwykli ryc pionierzy, pragnąc zaoszczędzić rękom ludzkim nazbyt ciężkiej pracy, i napchał tam prochu; podarłszy chustkę w długie pasy, obtoczył je w saetrze i sporządził lont.

Zapaliwszy ów lont, oddalił się.

Nie czekał długo na wybuch: nieobliczalna siła dźwignęła na moment górny głaz, a kamień leżący na spodzie rozprysnął się w kawałki; przez niewielki otwór, który Dantès wykopał był uprzednio, umykał rój brzęczących owadów, a ogromny wąż, co strzegł tego tajemniczego przejścia, wypętlął z jamy, ukazując swoje błękitnawe pierścienie, i znikł.

Dantès podszedł bliżej: górny głaz, nie mając już oparcia, chylił się w przepaść; nieustraszony poszukiwacz obszedł go wokół, wybrał miejsce, w którym bryła chwiała się najbardziej, oparł drąg o krawędź głazu i podobny Syzyfowi parł całą siłą na ramię dźwigni.

Zachwiał się złom skalny oderwany wybuchem od podłoża; Dantès zdwoił wysiłki: rzekłbyś, jeden z Tytanów, co walcząc z Zeusem wyrwali góry z posad. Wreszcie głaz ustąpił, potoczył się, odbił i runął w otchłań morza.

Pozostał po nim okrągły ślad; odsłoniła się kwadratowa płyta i przytwierdzony do niej pośrodku okrągły uchwyt kształtu pierścienia.

Edmund wydał okrzyk radości i zdumienia; nigdy jeszcze wspanialszy rezultat nie ukoronował dzieła zaledwie rozpoczętego.

Spieszno było Edmundowi dalej; ale nogi uginały się pod nim tak bardzo, serce biło tak gwałtownie i tak ćmiło mu się w oczach, że musiał chwilę zaczekać.

Lecz nie trwało to dłużej niż błysk piorunu. Edmund wsunął drąg w żelazny pierścień, nacisnął mocno i płyta odskoczyła, ukazując strome schodki, które nikły w głębi groty, spowitej mrokiem coraz to gęstszym.

Kto inny rzuciłby się naprzód, krzyknął z radości; Dantès znieruchomiał, przybladł i zawahał się.

— Odwagi! — szepnął do siebie. — Nawykłszy do walki z przeciwnościami, nie dajmy się pokonać rozczarowaniu: inaczej na darmo tyle bym wycierpiał! Serce pęka, kiedy nadmiernie wezbrane pod łagodnym tchnieniem nadziei, cofa się i zamyka w zetknięciu z zimną rzeczywistością! Faria śnił; kardynał Spada nic nie ukrył w tej grocie, a może nawet nigdy tu nie był; albo jeśli kiedyś tu zajrzał,

Cezar Borgia, ów zuchwały awanturnik, łotr ponury a niestrudzony, pośpieszył za nim krok w krok, i wpadłszy na właściwe tropy, podważył głaz, wdarł się do tej jaskini i nic już nie zostawił dla mnie.

Edmund, zamyślony i nieruchomy jak posąg, wlepił wzrok w mroczną czeluść.

— A teraz, gdy już na nic nie liczę, kiedy powiedziałem sobie, że byłoby szaleństwem ludzić się dłużej, dalsza część tej przygody to tylko kwestia zaspokojenia ciekawości i tyle.

Zamyślony tkwił nadal bez ruchu.

— Tak, tak, to istotnie przygoda wziąć naraz udział w pełnym blasków i cieni życiu królewskiego bandyty, w dziwacznych wypadkach, które stanowiły barwną osnowę jego egzystencji; to bajeczne wydarzenie wiąże się bez ochyby z zupełnie innymi sprawami; tak, Borgia zjawił się tutaj któreś nocy, dzierżąc pochodnię i miecz, a o dwadzieścia kroków stąd, u stóp tej może właśnie skały, czuwało dwóch zbirów posępnych i groźnych, którzy obserwowali bacznie ląd, morze i widnokrąg, kiedy ich pan wkraczał do jaskini, rozgarniając mrok straszliwym ramieniem, zbrojnym w płonąca żagiew.

No tak, ale co zrobił ze zbirami, którzy posiadli tym sposobem jego sekret?

To, co zrobiono z grabarzami Alaryka; (tu Edmund uśmiechnął się, odpowiadając sobie sam na to pytanie) pogrzebano ich razem z tym, którego pochowali.

A jednak, dumając Edmund, jeśli Cezar Borgia trafiłby tutaj, odnalazł i wziął skarb, to przecież ten człowiek, co porównując Włochy do karczocha zjadał je częścią po częście, zbyt dobrze umiał użytkować czas, by trwonić go na powtórne wtaczanie tego głazu.

Zejdźmy.

Uśmiechnął się z niedowierzaniem i wszedł do grotty, szepcząc najwyższe słowo ludzkiej mądrości: Być może!...

Ale zamiast oczekiwanych ciemności, zamiast powietrza zepsutego i stęchłego, otoczył go łagodny, błękitnawy półmrok; powietrze i światło przenikało nie tylko przez otwarte wejście do grotty, ale i szczelinami niewidzialnymi z zewnątrz; poprzez owe pęknięcia widniał błękit nieba, na którym igrały rozkołysane podmuchem gałęzie dębów i kolczaste wici jeżyn.

Kilka chwil pobytu w grotcie, gdzie powietrze, raczej ciepłe niż wilgotne, raczej pachnące aniżeli zatęchłe, różniło się tak samo od aury panującej na wyspie, jak błękitnawy półcień różnił się od słonecznego blasku, wystarczyło Edmundowi, nawykłemu, jak już; wspominaliśmy, do ciemności, żeby rozeznąć się w najodleglejszych zakamarkach tej jaskini, zbudowanej z granitowych skał usianych blaszkami miki połyskującej niby diamenty.

Niestety! — pomyślał Edmund, uśmiechając się gorzko, pewnie to i cały skarb, jaki kardynał Spada tutaj zostawił, a poczciwy ksiądz, ujrawszy we śnie te lśniąca ściany utwierdził się w swoich bogatych rojeniach.

Ale w tym momencie Edmund przypomniał sobie testament, który umiał na pamięć: „w kącie najbardziej odległym od drugiego otworu” — brzmiały te słowa. Odnalazłszy pierwszą grotę, musiał teraz poszukać wejścia do następnej. Usiłował tedy zorientować się nieco w położeniu grot: druga pieczara powinna oczywiście biec w głąb wyspy. Zbadał więc warstwy granitu i ostukał tę ścianę, w której, jak mniemał, winno być znajdować się wejście, bez wątpienia zamaskowane dla tym większej ostrożności.

Oskard zadzwęczał dobywając ze skały ton matowy i o takim natężeniu, iż pot zrosił czoło Edmunda — zdało się bowiem wytrwałemu kopaczowi, że część granitowej ściany odpowiada dudnieniem głębszym i bardziej głuchym; przybliżył do ściany palające oko, posługując się zaś dotykiem, który u więźniów rozwija się nad podziw, odkrył to, czego nikt inny na jego miejscu nie znalazłby zapewne: wejście do następnej grotty.

A jednak, aby nie podejmować zbyt ciężkiej pracy, Edmund, który podobnie jak Cezar Borgia nauczył się cenić czas, ostukał oskardem pozostałe ściany, a ziemię kolbą fuzji, rozkopął piasek w miejscach podejrzanych i nic nie znajdując, niczego nie rozpoznawszy, wrócił znów do granitowej opoki, która wydawała ów ton pocieszający.

Uderzył powtórnie i znacznie silniej.

Dostrzegł wtedy rzecz osobliwą: oto pod oskardem wydymał się i opadał małymi płatami rodzaj zaprawy, jaką powleka się zwykle mur, zanim artysta przystąpi do malowania fresków; wyłonił się z kolei żółtawy, kruchy kamień, podobny do zwykłego piaskowca. Zatkano tedy otwór innymi głazami, po czym obrzucono je zaprawą i dopiero na tę jakby polewę nałożono cienką warstwę jakiejś masy imitującej krystaliczne lśnienie i barwę granitu.

Dantès uderzył ostrzem oskarda, które zagłębiło się na cal w miękkim kamieniu.

Tutaj trzeba szukać.

Gromadziły się więc wciąż nowe dowody, iż nie pomylił się Faria, ale — tajemnicza jest natura ludzka — Edmund, miast umocnić się na duchu, zważył teraz, a nawet uległ zniechęceniu; nowe odkrycie nie dodało mu siły, przeciwnie — odjęło resztę energii; oskard zaciężył mu nagle, położył go na ziemi; otarłszy czoło, wyszedł z groty pod pozorem, iż musi się przekonać, czy go kto nie śledzi, ale w rzeczywistości pragnął tylko zaczerpnąć świeżego powietrza, czuł bowiem, że za chwilę zemdleje.

Na wyspie było pusto, słońce w zenicie zdawało się chłonać ją gorącym wejrzeniem; znieruchomiały w oddali szafirowe barki.

Dantès nie miał jeszcze nic w ustach; ale w takiej chwili jedzenie zabrałoby zbyt wiele czasu; pokrzepiwszy się więc tykiem rumu, wrócił do pieczary.

Oskard, który niedawno wydał mu się tak ciężki, znowu stał się lekki; Edmund podniósł go jak piórko i energicznie wziął się do pracy.

Uderzywszy kilkakrotnie, zorientował się, że głazy nie były scementowane, lecz ułożone jedne na drugich i pokryte wspomnianą zaprawą; wetknął więc ostrze oskarda w jedną ze szczelin, a pocisnąwszy mocno rękojeść, stwierdził z radością, że kamień obrócił się jak na zawiasach i stoczył mu się pod nogi.

Wystarczyło teraz zazębić oskard o głazy, by kolejno spadały na ziemię.

Zrobiwszy pierwszy wyłom, mógł od razu przedostać się do ostatniej groty; lecz ociągał się, w obawie, by nie rozwiła się nadzieja, której uczepił się kurczowo.

Wreszcie, po krótkim wahaniu, wszedł do drugiej pieczary.

Strop był tu znacznie niższy, a ciemności nadawały jej groźniejszy wygląd; świeże powietrze nie przeniknęło jeszcze w dostatecznej ilości przez otwór dopiero co powstały, toteż panował tu zaduch, którego ku zdziwieniu Edmunda nie było w pierwszej grocie. Odczekał, aż ożywczy prąd odświeży tę atmosferę jakby strupieszalą i wszedł.

Na lewo od wejścia był ciemny, głęboki załom.

Ale jak powiedzieliśmy, ciemności nie istniały dla Edmunda.

Przyjrzał się więc uważnie drugiej grocie: była pusta jak i pierwsza.

Skarb, jeśli w ogóle istniał, musiał znajdować się w tym ciemnym kącie.

Nadszedł moment najcięższej próby; od najwyższej radości albo najgłębszej rozpaczki dzieliło Edmunda tyle czasu, ile wymagało rozkopanie kawałka ziemi na głębokość dwóch stóp.

Zbliżył się do ciemnej wnęki i jakby powziąwszy nagle decyzję, zaczął odważnie rozrzucać piasek.

Po piątym, a może szóstym uderzeniu żelazo zadźwięczało stuknąwszy o żelazo.

Dzwony żałobne, zahuczawszy niespodzianie, nigdy by nikim silniej nie wstrząsnęły. Nie znalazłszy tutaj nic, Edmund nie pobladłby silniej.

Zbadał powtórnie grunt w pobliżu miejsca, które już rozkopał, i znów napotkał taki sam opór, ale całkiem inny dźwięk dobywał się z ziemi.

To drewniana skrzynia z żelaznymi okuciami, pomyślał.

W tejże chwili mignął jakiś cień, zasłaniając światło.

Edmund rzucił oskard i chwyciwszy fuzję wybiegł z groty.

Kozica przemknęła tuż obok wejścia do pierwszej groty i skubała teraz trawę o kilka kroków dalej.

Edmundowi trafiła się zwierzyna na wyśmienity obiad, ale poniechał zdobyczy, lękając się, by odgłos strzału nie zwabił kogoś.

Zastanowiwszy się odciął smolną gałąź, zapalił ją od tłącego się jeszcze ogniska, na którym przemysłnicy ugotowali śniadanie, i wrócił.

Nie chciał uronić najmniejszego szczegółu z tego, co miał zobaczyć.

Przysunął pochodnię do nieforemnej, rozpoczętej zaledwie jamy i przekonał się, że miał rację: oskard natrafił to na żelazo, to znów na drewno.

Odrzucił w mgnieniu oka rozsypane grudy ziemi i oczyścił całkowicie jamę, szeroką na dwie stopy, a długą na trzy; ukazała się dębowa skrzynia z cyzelowanymi okuciami. Na wieku lśnił nie zżarty wilgocią herb Spadów; miecz pośrodku srebrnej tarczy owalnej, jak zwykle u Włochów, a nad nim kardynalski kapelusz.

Dantès rozpoznał z łatwością ów klejnot, Faria bowiem rysował go tyle razy.

Teraz już niepodobna było wątpić: skarb istniał rzeczywiście; nikt nie przedsięwziąłby aż tylu środków ostrożności, aby umieścić tutaj pustą skrzynię.

Jedna chwila starczyła Edmundowi na odkopanie do reszty owego kufra i oto kolejno ukazały się jego oczom zamek, dwie kłódki i uchwyty przytwierdzone do obu przeciwległych ścianek skrzyni; wszystko to było cyzelowane — zwyczajem epoki, gdy sztuka przydawała wartości najpospolitszym metalom.

Dantès chwycił kufer i spróbował go podnieść, ale okazało się to niepodobieństwem.

Spróbował go wtedy otworzyć, ale zarówno zamek, jak i kłódki ani drgnęły; wierni stróże nie oddawali powierzonego im skarbu.

Wsunął więc ostrze oskarda między wieko i skrzynię; wparł się całym ciężarem w rękojeść — i wieko, zgrzytnąwszy niemiłosiernie, odskoczyło. Między deszczułkami powstał szeroki otwór, czyniąc zbędnymi i zamek, i kłódki, które odpadły wczepione chwyliwymi pazurami w nadwerężone deski. I oto kufer odsłonił swoje wnętrze.

Edmund, i tak już rozgorączkowany, doznał zawrotu głowy; chwycił fuzję, podsypał prochu i postawił ją obok siebie. Przymknął oczy, jak zwykle czynią to dzieci, kiedy pragną na połyskliwym niebie wyobraźni naliczyć więcej gwiazd, niż mogą dostrzec na oświetlonym jeszcze lazurze, po czym otworzył je znów i znieruchomiał olśniony.

Kufer miał trzy przegrody.

W pierwszej iskrzyły się żółto dukaty.

W drugiej leżały niewypolerowane sztabki, ułożone starannie, a posiadające niewątpliwie wagę i wartość złota.

W trzeciej, napelnionej tylko do połowy, Edmund zanurzył rękę: przegarniał palcami diamenty, perły, rubiny, które spadając lśniąca kaskadą, dzwoniły niczym grad o szyby.

Edmund dotknął wszystkiego, zanurzył dygocące dłonie w kamieniach i złocie; zerwawszy się nagle, przebiegł przez grotę drżący, rozgorączkowany, bliski obłędu. Wskoczył na głaz, skąd mógł ogarnąć wzrokiem morze, i nie dostrzegł nic; był sam, zupełnie sam obok tych nieprzebranych, niesłychanych, bajecznych bogactw, które należały do niego: sen to czy jawa? Przelotne złudzenie czy rzeczywistość?

Zaprzagnął znów popatrzeć na swoje skarby, lecz uczył, że w tej chwili nie zniósłby ich widoku. W pewnym momencie przycisnął ciemię obiema dłońmi, bojąc się jakby, żeby nie uciekł mu rozum; za czym pognał na oślep, nie trzymając się żadnej drogi (bo nie masz dróg na Monte Christo), prosto przed siebie — biegł, płosząc krzykiem i gwałtownymi ruchami kozice i morskie ptactwo. Wreszcie skręcił, zawrócił i nie dowierzając jeszcze, wpadł do grot, by stanąć przed tą kopalnią złota i diamentów.

Ukląkł przyciskając konwulsyjnie ręce do oszalałego serca, szeptał modlitwę, którą tylko Bóg mógł zrozumieć.

Niebawem uspokoił się nieco, a więc i poczuł się szczęśliwszy: dopiero teraz zaczynał wierzyć w swoje szczęście.

Wtedy jął obliczać bogactwa; znalazł tysiąc parofuntowych sztabek; ułożywszy w stosy dwadzieścia pięć tysięcy złotych dukatów, z których każdy wart był około osiemdziesięciu franków w naszej obecnej walucie — a wszystkie z wizerunkiem papieża Aleksandra VI lub jego poprzedników — stwierdził, że zaledwie do połowy opróżnił przegrodę; dziesięciokrotnie przemierzył pojemność swoich dłoni, nagarniając perły, szlachetne kamienie i brylanty, z których niejeden, oprawiony przez najlepszych złotników epoki, odznaczał się, obok handlowej wartości wielką wartością artystyczną.

Spostrzegł niebawem, że słońce się zniża i z wolna przygasa. Lękając się, by ktoś go tutaj nie zaskoczył, wziął fuzję i wyszedł z groty. Posilił się kawałkiem suchara i kilkoma łykami wina. Następnie zakrył otwór kamienną płytą, położył się na niej i tak osłaniając wejście własnym ciałem, przespał kilka godzin.

Była to noc cudowna i straszna zarazem, jedna z tych, których ten człowiek, co doznał już tylu niebywałych wstrząsów, miał kilka za sobą.

25. NIEZNAJOMY

Rozwidniło się nareszcie. Edmund od dawna czekał świtu, leżąc z otwartymi oczami. Gdy rozbłyły pierwsze promienie słońca, podniósł się i tak jak poprzedniego dnia powędrował na najwyższe wzniesienie, aby rozejrzeć się po okolicy; pusto było jak i wczoraj.

Edmund podążył do grotty, napełnił kieszenie kosztownościami, zamknął skrzynię, układając jak najstaranniej deski wraz z okuciami i przysypał ją piaskiem, aby grunt świeżo skopany nie różnił się od otoczenia; wyszedłszy z pieczary zastawił otwór płytą, narzucił na nią kamienie rozmaitej wielkości, zatkał szczeliny ziemią, posadził w niej kępki wrzosów i mirtów, skropił rośliny wodą, żeby nie uschły, zatarł ślady swoich stóp, liczne w tym miejscu, i jął oczekiwać niecierpliwie powrotu towarzyszków. Rzeczywiście, nie warto już było "tracić czasu na wpatrywanie się w owe diamenty i złoto, tkwić daremnie na wyspie i strzec niby czarodziejski smok bezużytecznych skarbów. Należało teraz wrócić do życia, między ludzi i zająć w społeczności zaszczytne miejsce, uzyskać wpływy i władzę, którą daje na tym świecie bogactwo — pierwsza i największa z potęg, jakimi człowiek rozporządza.

Przemysłowcy wrócili szóstego dnia.

Dantès rozpoznał z daleka sylwetkę i chód „Panny Amelii”, niby ranny Filoktet poczołgał się aż do przystani, a kiedy towarzysze wylądowali, zapewnił ich, że czuje się znacznie lepiej, aczkolwiek cierpienia jego jeszcze nie ustały; po czym on z kolei wysłuchał relacji towarzyszków. Powiodło im się — to prawda; ale zaledwie wylądowali towar, ostrzeżono ich, że bryg z Tulonu dozorujący wybrzeża opuścił port i skierował się w te strony.

Umknęli tedy co prędzej, a gnając jak na skrzydłach, ubolewali, że nie mają między sobą Dantèsa, on tylko bowiem ster ujawnszy potrafiłby nadać statkowi jeszcze większą szybkość. Bo i dostrzegli niebawem okręt, który ich ścigał; ale korzystając z ciemności nocnych zmylili pogoń, osłonięci Korsykańskim Przylądkiem.

W sumie wyprawa dała zysk nie najgorszy i wszyscy, a zwłaszcza Jacopo, żalowali, że Dantès nie wziął w niej udziału, na każdego bowiem przypadło pięćdziesiąt piastrów.

Edmund pozostał nieprzenikniony — nie uśmiechnął się nawet, kiedy wyliczano mu korzyści, jakie by osiągnął, gdyby mógł opuścić wyspę; a że „Panna Amelia” przybija do brzegów Monte Christo tylko dlatego, żeby go zabrać, wsiadł tegoż wieczora na statek i odpłynął z innymi do Livorno.

Tam sprzedał pewnemu Żydowi cztery najmniejsze diamenty po dwadzieścia pięć tysięcy franków. Żyd chętnie przeprowadziłby śledztwo, jakim to sposobem marynarz dorobił się takich klejnotów; ale poskromił ciekawość, bo na każdym diamencie miał tysiąc franków zysku.

Nazajutrz Edmund kupił nowiutką łódź i podarował ją Jacopowi, dokładając mu jeszcze, aby mógł nając załogę, sto piastrów; Jacopo, zgodnie z jego życzeniem, miał pojechać do Marsylii i wywieźć się o starca nazwiskiem Ludwik Dantès, zamieszkałego przy Alejach Meilhańskich, i o dziewczynę imieniem Mercedes. mieszkankę katalońskiej wioski.

Z kolei Jacopo mniemał, że śni; Edmund powiedział mu tedy, iż został marynarzem przez kaprys i dlatego, że rodzina odmówiła mu środków utrzymania; ale wróciwszy do Livorno odebrał sukcesję po wuju, który uczynił go jedynym swoim spadkobiercą. Rozległa wiedza, jaką miał Edmund, nadała temu opowiadaniu tyle prawdopodobieństwa, iż Jacopo nie wątpił ani przez moment, iż jego dawny towarzysz mówił prawdę.

Że zaś kontrakt Edmunda z kapitanem „Panny Amelii” wygaś właśnie, Edmund rozstał się z pryncypałem, który na początku usiłował go zatrzymać, ale dowiedziawszy się, podobnie jak Jacopo, o rzekomym spadku, stracił nadzieję, że zdoła odmienić postanowienie swego byłego marynarza.

Nazajutrz Jacopo pożeglował ku Marsylii; wróciwszy, miał odnaleźć Edmunda na Monte Christo.

Tegoż dnia Edmund pożegnał się z załogą „Panny Amelii”, nie zdradziwszy nikomu, dokąd zamierza się udać; obdarował sownie dawnych towarzyszków i obiecał pryncypałowi, że da mu kiedyś znać o sobie.

Pojechał do Genui.

Spuszczono akurat na wodę jacht zamówiony przez pewnego Anglika, który posłyszawszy, że genueńczycy słyną nad Morzem Śródziemnym jako najlepsi budowniczkowie okrętów, zapragnął mieć od nich żaglowiec; Anglik ugodził się na sumę czterdziestu tysięcy franków; Edmund ofiarował sześćdziesiąt tysięcy pod warunkiem, że jacht będzie mu oddany jeszcze tegoż dnia. Czekając, aż ukończą budowę jachtu, Anglik podróżował po Szwajcarii. Miał wrócić dopiero za trzy tygodnie, a może i za miesiąc; budowniczy pomyślał, że zdąży tymczasem wykończyć w stoczni nowy jacht. Dantès zaprowadził budowniczego do pewnego Żyda, który w kantorze za sklepem wypłacił genueńczykowi sześćdziesiąt tysięcy franków.

Budowniczy zaofiarował się najać załogę, ale Edmund podziękował mówiąc, że przywykł żeglować samotnie; dorzucił przy tym, że jedynym jego życzeniem jest mieć w kajucie na statku, u wezgiwia koi, sekretny schowek z trzema przegrodami, zamykającymi się w sposób jemu tylko wiadomy. Podał wymiar owych skrytek, które wykonano nazajutrz.

W dwie godziny później jacht wypływał z geneueńskiego portu odprowadzany wzrokiem ciekawych, którzy wylegli tutaj tłumnie, chcąc zobaczyć hiszpańskiego magnata, co przywykł żeglować sam po morzu.

Dantès radził sobie świetnie; jacht posłuszny sterowi, od którego Dantès nie potrzebował się oddalać ani na moment, wykonywał wszelkie żądane ewolucje; rzekłbyś, istota inteligentna, czuła na każdy impuls, choćby najdrobniejszy — jakoż Edmund przyznał w duchu, że geneueńczycy zasługują na miano najlepszych na świecie budowniczych okrętów.

Gapie ścigali wzrokiem stateczek, a gdy zniknął w oddali, rozpoczęły się debaty, dokąd to hiszpański grand pomknął. Jedni utrzymywali, że na Korsykę, inni — że na Elbę, inni jeszcze szli o zakład, że do Hiszpanii, a znaleźli się i tacy, co wyprawili Edmunda do Afryki — nikomu zaś nie przyszło do głowy wymienić Monte Christo.

A tymczasem Dantès żeglował ku Monte Christo.

Przybił tam pod koniec następnego dnia; doskonały żaglowiec przebył tę przestrzeń w trzydzieści pięć godzin. Edmund, obeznany już doskonale z linią wybrzeża, ominął rozległą przystań, gdzie zwykle się zatrzymywano, i zarzucił kotwicę w małej zatoczce.

Pusto było na wyspie; z pewnością od wyjazdu Dantèsa nikt nie przybił do jej brzegów; Edmund powędrował więc do grotu i zastał wszystko w takim samym porządku, w jakim był zostawił.

Następnego dnia przeniósł swoją ogromną fortunę na jacht i ukrył ją w sekretnym schowku.

Czekał tutaj cały tydzień. Przez ten czas lawirował wokół wyspy, wypróbowując jacht, jak masztalercz konia; pod koniec tygodnia znał już wszystkie zalety i wady żaglowca — postanowił tedy pierwsze wzbogacić, a drugie usunąć.

Po tygodniu dostrzegł łódź płynącą pod pełnymi żaglami ku wyspie; rozpoznał z daleka barkę Jacopa, który odpowiedział na dany mu znak podobnym sygnałem, i w niespełna dwie godziny łódź przybiła do burty jachtu.

Jacopo przywiózł smutne wieści: Ludwik Dantès zmarł. Mercedes zniknęła.

Edmund wysłuchał wszystkiego spokojnie, lecz natychmiast udał się na ląd, nie pozwoliwszy nikomu iść ze sobą.

Spędził tam dwie godziny; dwóch ludzi Jacopa wsiadło na jacht, aby pomóc przy lawirowaniu: wzięto kurs na Marsylię.

Edmund spodziewał się śmierci ojca, ale co się stało z Mercedes?

Udzielając szczegółowych wyjaśnień swojemu wysłannikowi, Edmund musiałby zdradzić własne sekrety, a zresztą chciał zasięgnąć jeszcze innych informacji, które pragnął zebrać osobiście. Przekonał się już w Livorno, spojrzawszy w lustro, że nie narazi się na żadne niebezpieczeństwo, nikt bowiem go nie rozpozna; a także mógł teraz z łatwością odmieniać swój wygląd, gdyż nie brakło mu na to środków. Jakoż pewnego ranka jacht, którego śladem mknęła żagłówka, wpłynął odważnie do portu marsylskiego i zatrzymał się akurat naprzeciwko tego miejsca, skąd w ów pamiętny fatalny wieczór wepchnięto Edmunda do łodzi i przewieziono do zamku If.

Edmund nie zdołał opanować drżenia, dostrzegłszy żandarma siedzącego w łodzi sanitarnej, która zmierzała do jachtu. Mimo to z niezawodną pewnością siebie, jaką potrafił w sobie wyrobić, przedstawił żandarmowi angielski paszport zakupiony w Livorno; dzięki owemu paszportowi — a takie dokumenty szacuje się we Francji znacznie wyżej od krajowych — Edmund dostał się na ląd bez żadnych trudności.

Pierwszą istotą, jaką napotkał znalazłszy się na Cannebière, był marynarz z „Faraona”. Człowiek ów, co służył niegdyś pod jego rozkazami, pojawił się tutaj niby zrzędzeniem losu, aby upewnić Dantèsa o głębokich przemianach, jakie się w nim dokonały. Podeszedł tedy do owego marynarza i zadał mu kilka pytań, na które tamten odpowiedział, ale ani jego słowa, ani wyraz twarzy nie świadczyły, by choć trochę przypominał sobie swojego rozmówcę.

Edmund wywdziękzył się napiwkami za otrzymane informacje; posłyszał za chwilę, że pocziwy marynarz biegnie za nim.

Odwrócił się.

— Przepraszam pana — ozwał się marynarz — ale chyba pan się pomylił; zamiast dać mi czterdzieści sous, dał mi pan podwójnego napoleona.

— Masz słuszość, przyjacielu musiałem się pomylić — odpowiedział Dantès — ale twoja uczciwość powinna być nagrodzona, przyjmij tedy ode mnie jeszcze jedną taką monetę, byś mógł wypić z towarzyszami za moje zdrowie.

Marynarz spojrział ze zdumieniem na Edmunda i nie podziękowawszy mu nawet, oddalił się mrużąc:

— To chyba jakiś indyjski nabab!

Edmund poszedł dalej; za każdym krokiem nowe wzruszenia ścisnęły mu serce: niezatarte wspomnienia z lat dziecińczych, tkwiące mu ustawicznie w pamięci, odżyły tutaj, wyrastały przed nim na placach, na rogach ulic, na skrzyżowaniach dróg. Doszedłszy do ulicy Noailles, z której widać było Meilhańskie Aleje, uczuł, jak nogi ugięły się pod nim; omal nie wpadł pod koła przejeżdżającego powozu. Wreszcie stanął przed domem, gdzie mieszkał jego ojciec. Powój i nasturcje zniknęły z drewnianych okratowań mansardy, na których pracowite ręce pocziwiny pielęgnowały je tak troskliwie.

Oparł się o drzewo i pogrążony w zadumie patrzył na najwyższe piętro ubogiej kamieniczki; po jakimś czasie wszedł do bramy, zapytał stróża, czy nie ma w tym domu wolnego mieszkania, a otrzymawszy odmowną odpowiedź, poty nalegał, że chce zobaczyć pokoje na mansardzie, aż dozorca powędrował na górę, aby spytać lokatorów, czy pozwolą komuś obejrzeć owe izdebki.

Te dwa pokoiki zamieszkiwało młode małżeństwo; ludzie ci pobrali się zaledwie przed tygodniem.

Ujrawszy młodą parę, Edmund westchnął głęboko.

Nic tu już zresztą nie przypominało ojcowskiego mieszkania; zmieniono nawet i tapety; zniknęły stare meble — ci najdawniejsi przyjaciele Edmunda. Mury tylko pozostały te same.

Spojrzał na łóżko: stało w tym samym miejscu co i posłanie dawnego lokatora; wbrew jego woli, z oczu popłynęły mu łzy: tutaj starzec skonał, wzywając syna.

Młoda kobieta patrzyła ze zdziwieniem na mężczyznę o surowym czole: dwie łzy spłynęły po tych licach, które zachowały spokój kamienny. Każdy ból nakazuje szacunek, tedy młodzi odeszli nie pytając o nic, aby Dantès mógł się wyplakać do woli; a gdy wychodził, powiedzieli mu, żeby odwiedzał ich, ilekroć zechce, gdyż powitają go zawsze z radością w swoim ubogim domu.

Zszedłszy o piętro niżej, Edmund zatrzymał się przed jakimiś drzwiami i zapytał stróża, czy mieszka tutaj nadal krawiec, nazwiskiem Caderousse. Stróż zaprzeczył, dorzuciwszy przy tym, że człowiekowi, o którego Edmund pyta, nieszczególnie się tutaj wiodło, toteż odmienił profesję i osiedlił się w pobliżu Beaucaire, gdzie prowadzi małą oberżę.

Dantès wyszedł, dowiedziawszy się uprzednio adresu właściciela posesji; udał się do niego, przedstawił się jako lord Wildmore (taki bowiem tytuł i nazwisko widniały w paszporcie Dantèsa) i kupił ten dom za dwadzieścia pięć tysięcy franków. Była to cena ogromnie wygórowana, bo kamieniczka nie warta była ponad piętnaście tysięcy. Ale Edmund zapłaciłby i pół miliona, gdyby tyle zażądano.

Tegoż dnia rejent powiadomił młodych z pięterka, iż dom został sprzedany, a nowy właściciel życzy sobie, żeby opuścili zajmowane dotychczas mieszkanie i wybrali wedle własnego upodobania jakiegokolwiek inne; zapewnił ich jednocześnie, że czynsz nie będzie podniesiony.

Ten niecodzienny wypadek zaprzętał co najmniej tydzień umysły spacerowiczów przechadzających się stale po Alejach Meilhańskich i nasunął tysiące domniemań, z których żadne nie było słuszne.

Ale co innego bardziej jeszcze zamęciło, a nawet wzburzyło umysły: widziano jak ów mężczyzna, który tego ranka wszedł do bramy domu w Alejach Meilhańskich, przechadzał się wieczorem po katalońskiej wiosce; wstąpiwszy do rybackiej chaty, zabawił tam dobrą godzinę, wypytyując o ludzi, którzy albo już pomarli, albo opuścili te strony kilkanaście lat temu.

Nazajutrz rybacy, u których gościł ten przybysz rozpytujący o rzeczy dawno minione, otrzymali nowiutką katalońską łódź wyposażoną w dwie sieci i niewód.

Pocziwcy chętnie by podziękowali wspaniałomyślnemu gościowi; ale widziano, że ów dziwak, pożegnawszy się z nimi, szepnął kilka słów jakiemuś marynarzowi, dosiadł konia i zniknął za rogatkami, na drodze do Aix.

26. OBERŻA W PONT-DU-GARD

Kto jak ja przemierzył pieszo południową Francję, zauważył pewnie między Bellegarde i Beaucaire, niemal w połowie drogi łączącej tę wioskę z miasteczkiem, nieco jednak bliżej Beaucaire niż Bellegarde, karczemkę, a na jej fasadzie skrzypiący za najłżejszym podmuchem wiatru blaszany szyld, gdzie wymalowano naiwnie i dziwacznie zarazem starorzymski akwedukt w Gard. Karczemka ta leży przy gościńcu biegnącym wzdłuż lewego brzegu Rodanu odwrócona tyłem do rzeki; otacza tę austerię coś, co w Langwedocji zowią grodem: znaczy to, że tylna ściana domu wychodzi za ogrodzony skrawek ziemi, po którym rozpełzły się cherlawe oliwki i zdziczałe figowce o liściach przysrebrzonych kurzem; dojrzysz między tą skarłałą drzewiną czosnek, pieprz turecki i szczypiorek — jedyne jarzyny, jakie się uprawia w tych stronach; wreszcie w jednym z kątów ogrodu pinia podobna zapomnianemu strażnikowi prostuje z rezygnacją smukły pień o koronie rozwiniętej w wachlarz, skrzypiącej w trzydziestostopniowym upale.

Wszystkie te drzewa, małe i duże, pochylają się w tym kierunku, w jakim przygina je mistral, jedna z trzech plag Prowansji; a wiadomo wam albo i nie — dwie pozostałe to rzeka Durance i tameczny trybunał.

Na sąsiednich równinach — tym morzu pyłu — trafi się czasem kępka pszenicy, którą tutejsi chłopcy sieją chyba tylko przez ciekawość, a polne koniki, co graniem swym monotonnym i jazgotliwym ścigają wędrowca błakającego się po tej Teбайдzie, sadowią się na wątych źdźbłach niby kury na grzędzie.

Od siedmiu z górą lat karczmę tę prowadziło dwoje ludzi, którzy mieli do pomocy pokojówkę Antosię i chłopca stajennego Pacaud; te dwie wspólnie działające siły nadały z łatwością w obsłudze od chwili, kiedy między Beaucaire i Aigues-Mortes przekopano kanał, dzięki któremu żegluga śródlądowa odniosła pełne zwycięstwo nad najszybszymi zaprzęgami, a statek nad dylizansem.

Ku większemu jeszcze frasunkowi nieszczęsnego oberżysty ten rujnujący kanał biegł między Rodanem, który zasiliał go swymi wodami, a gościńcem, skąd spijał jakby wszelkie soki, zaledwie o sto kroków od karczmy, opisanej przez nas zwięźle, ale wiernie.

Dzierżawca szynczku przekroczył już pewno czterdziestkę; w tym wysokim, chudym i zylastym mężczyźnie o lśniących, głęboko osadzonych oczach, orlim nosie i białych jak u wilka zębach rozpoznałbyś snadnie typowego południowca. Włosy jego nie kwapiły się posiwieć, choć lata stateczne owionęły go swoim tchnieniem: gęste, kędzierzawe, przetkane zaledwie tu i ówdzie srebrną nitką, jak i zarost okalający tę twarz, śniade z natury lico przybrało barwę jeszcze ciemniejszą, ów nieszczęśnik bowiem wystawał od rana do wieczora na progu karczmy, wypatrując, czy nie zawita ktoś pieszo albo powozem; wyczekiwał tak zwykle na darmo, a twarzy tej i w dni najskwarniejsze nie oślaniał nawet skrawek cienia, gdyż oberżysta, podobnie jak hiszpańscy mulnicy, zwykł nosić tylko czerwoną chustę, którą owiżywał sobie głowę. Był to nasz stary znajomy, Kacper Caderousse.

Jego żona, Magdalena Caderousse z domu Radelle, była w przeciwieństwie do męża osobą bladą, chudą i chorowitą; pochodząc z okolic Arles, zachowała dawny ślad słynnej urody swoich rodaczek, ale lica tej kobiety, nękaną ustawnie napadami febry — która, już to przyczaiwszy się, już to wybuchając z nagłą, pastwiła się wciąż nad ludnością zamieszkałą wśród bagnistych rozłogów wyspy Camargue i nie opodal stawów Aigues-Mortes — niszczały w sposób dla niej samej widoczny. Dygocząca bez ustanku z zimna, rzadko opuszczała swój pokój na pierwszym piętrze, gdzie skulona wtulała się w fotel albo opierała o wezłowie łóżka, podczas gdy jej mąż pełnił straż u progu karczmy: straż tę sprawował tym chętniej, gdyż ilekroć znalazł się choćby na moment u boku skwaszonej połowicy, musiał wysłuchiwać wieczystych sarkau przeciw losowi, na które odpowiadał zazwyczaj taką oto filozoficzną uwagą:

— Cicho bądź, Karkontko! To wola boska:

Mąż nie mówił jej: Magdaleno, bo imię to, zbyt miłe dla uszu, nie pasowało widać do jego wrodzonej szorstkości, tylko wołał na nią: Karkontko, od wsi Carconte (między Salon a Lambesc), gdzie przyszła na świat.

A jednak niechże owo pozorne poddanie się wyrokom Opatrzności nie wprowadza was w błąd: karczmarz odczuwał boleśnie nędzę, w jaką wpadł przez ów przeklęty kanał Beaucaire, a i ustawiczne lamentsy Karkontki dopiekały mu do żywego. Był jak wszyscy południowcy wstrzemięźliwy i niewymagający, ale próżny: cenił sobie wszelki blichtr; toteż za dobrych czasów nie przepuścili z Karkontką ani jednej fety wyprawianej z racji znakowania bydła, ani jednej procesji w dni Zielonych Świątek lub też ku czci świętej Marty, patronki Tarasconu, co uwolniła miasto od smoka; przywdziewał wówczas malowniczy strój południowca, na poły kataloński, na poły andaluzyjski. Karkontką zaś odziewała się w prześliczne suknie arlejańskie, wzorowane jakby na szatach greckich i arabskich; ale zaczęły kolejno znikać łańcuchy, naszyjniki, stubarwne pasy, gorsety haftowane, aksamitne kubraki,

wykwintne pończochy ze strzałkami, pstrokate kamasze, pantofle zapinane na srebrne klamry, i Kacper Caderousse, nie mogąc podolać obowiązkom, jakie nakładała nań miniona świetność, odsunął się wraz z żoną od wszelkich ucieszeń światowych, a radosna ich wrzawa, docierając aż do lichej karczemki, dopiekała serdecznie karczmarzowi, który siedział tu bardziej dla mieszkania niż dla zarobku.

I tegoż ranka Caderousse tkwił jak zwykle na progu, wodząc melancholijnym spojrzeniem bądź po skrawku wyłysiałego trawnika, gdzie kilka kur leniwie dziobało, bądź to po pustym gościńcu, którego jeden kraniec ginał na północy, a drugi na południu, gdy raptem odwołał go skrzek małżonki; wszedł więc do domu pomrukując niechętnie i powędrował na górę zostawiwszy drzwi otwarte na oścież, chcąc jakby tym sposobem znęcić podróżnych.

Kiedy Caderousse wchodził do domu, gościniec był również nagi, milczący i opustoszały jak pustynia w południe; biały i, zda się, bezkresny ciągnął się między szpalerami wynędzniałych drzew; łatwo pojąć, że żaden podróżny nie zapuści się dobrowolnie, mogąc obrać inną porę dnia, w tę okropną Saharę.

Ale gdyby Caderousse pozostał na straży, byłby dojrzał, wbrew wszelkim przewidywaniom, jakiegoś jeźdźca zbliżającego się do Bellegarde na koniu; z postawy i jeźdźca, i konia wniósłbyś łącznie, że między człowiekiem a zwierzęciem stosunki układały się jak najlepiej — wałach biegł lekko; jeździec był księdzem ubranym czarno i w trójganiasty kapelusz; słońce dopiekało nieznośnie w to skwarne południe, ale jeździec nie zważał widać na upał, ani myślał bowiem popędzać konia idącego bardzo umiarkowanym truchtem.

Nieznajomy zatrzymał się u drzwi oberży; trudno byłoby dociec, kto zdecydował o postoju: czy człowiek zatrzymał konia, czy zwierzę człowieka; jakkolwiek by to było, jeździec zsiadł z konia i wzięwszy go za uzdę, uwiązał u okiennicy spróchniałej do cna, dyndającej na jednej tylko zawiasie, następnie wycierając czerwoną bawełnianą chustką czoło spocone obficie, stanął na progu i po trzykroć zastukał okutą laską.

Wielki czarny pies zerwał się i podbiegł bliżej, ujadając i szczerząc białe, ostre kły; ten dwojaki objaw wrogości dowodził, że pies nawykł raczej do samotnego trybu życia mieszkańców oberży.

Drewniane schodki biegnące wzdłuż muru zadrżały pod ciężkimi krokami: gospodarz tej ubogiej siedziby, na której progu stał ksiądz, schodził tyłem, zgięty we dwoje.

— Jestem! Jestem! — wykrzykiwał zdziwiony. — Cicho, Margotin! Niech pan się nie boi, on szczeka, ale nie gryzie. Chce się pan napić wina, nieprawdaż? Bo też i łajdaki mamy upał!... Ach, przepraszam — urwał nagle, spojrzawszy na przybysza — stokrotnie przepraszam, nie wiedziałem, kogo mam zaszczyt powitać. Co ksiądz rozkaże? Czego ksiądz sobie życzy?

Przez kilka sekund ksiądz przyglądał się oberżycie ze szczególną uwagą, a nawet wydawało się, że pragnie ściągnąć na siebie uwagę tamtego; ale widząc na twarzy Caderousse'a tylko zdumienie, jakie wywołał brak odpowiedzi, zdecydował, że czas położyć mu kres, i odezwał się wymawiając z włoską:

— Czy to pan Caderousse?

— Tak, proszę jegomości — odparł oberżysta, którego to pytanie zaskoczyło jeszcze bardziej od poprzedzającego je milczenia — tak, tak, Kacper Caderousse, sługa uniżony.

— Kacper Caderousse... tak, zdaje mi się, że chodzi o człowieka, który tak się właśnie nazywa. A nie mieszkałeś pan ongi w kamieniczce w Alejach Meilhańskich? na czwartym piętrze?

— Oczywiście.

— Byłeś pan tam krawcem?

— Tak. Alem majątku nie zrobił. W tej diabelskiej Marsylii panuje ciągle taki skwar, że ludzie przestaną się chyba w ogóle ubierać. Ale... ale... skoro mowa o spiekocie, to ksiądz chciałby się pewnie czymś ochłodzić?

— Owszem. Przynieś mi pan butelkę najlepszego wina i jeśli pozwolisz, wrócimy do przerwanej rozmowy.

— Jak ksiądz sobie życzy.

I aby nie stracić okazji sprzedania jednej z ostatnich butelek wina cahors, szynkarz dźwignął kłapę zasłaniającą otwór w podłodze salki parterowej, która była zarazem jadalnią i kuchnią.

Caderousse zabawił w piwnicy z pięć minut; wygramoliwszy się zastał księdza siedzącego na zydłu przy długim stole, o który wsparł łokieć; Margotin, poniechawszy snadź kłótni, ułożył wychudły pysk na kolanie tego dziwaka, który wbrew utartemu zwyczajowi nie zażądał jadła czy napoju, i wpatrywał się weń tkliwie.

— To pan sam tu jesteś? — zagadnął ksiądz, gdy gospodarz stawił przed nim butelkę i szklanę.

— Mój Boże! Tak; moja żona nic mi nie pomaga, bo wciąż kwęka... biedna Karkontka.

— A, to pan jesteś żonaty? — rzucił ksiądz z pewnym zainteresowaniem, a rozglądając się po salce, taksował jakby skromny dobytek ubogiego stadła.

— Ksiądz, jak widzę, nie jest ślepy na naszą biedę — westchnął Caderousse. — Ha, trudna rada! Każdemu uczciwemu człowiekowi tak się wiecie na tym padole.

Ksiądz wlepił w oberżystę przenikliwe spojrzenie.

— Tak, tak, człowiekowi uczciwemu... no, tym przynajmniej mogę się pochwalić — mówił dalej, patrząc odważnie księdzu w oczy i kładąc ręce na piersi. — A w naszych czasach nie wszyscy mogą to powiedzieć o sobie — dorzucił kiwając głową.

— Tym lepiej, tym lepiej, mój synu, jeśli, oczywiście, chwając się nie mijasz się z prawdą, bo prędzej czy później, a święcie w to wierzę, człowiek uczciwy otrzyma nagrodę, a niegodziwiec poniesie zasłużoną karę.

— E, proszę księdza dobrodzieja, tak mówią z urzędu wszystkie duchowne osoby — odparł z goryczą karczmarz — a że mówią z urzędu, to i wolno nam nie wierzyć.

— Błądzisz rozumując w ten sposób. Kto wie, czy ja sam nie zdołam ci dowieść słuszności moich słów.

— Nie rozumiem, co ksiądz ma na myśli.

— To się pokaże, ale wprzód upewnić się muszę, czy jesteś pan tym, którego poszukuję.

— Jakich ksiądz żąda dowodów?

— Czy znałeś pan w latach 1814—15 niejakiego Dantèsa marynarza?

— Dantèsa!... Ach, czy ja znałem biednego Edmunda? No pewno! Toć był moim przyjacielem! — wykrzyknął Caderousse, czerwieniąc się mocno, a ksiądz nie spuszczał zeń czystego, jasnego spojrzenia, którym zdawał się chłonać twarz karczmarza.

— Tak. Zdaje się, że istotnie było mu Edmund.

— No chyba! Pewno, że Edmund! Klnę się, że to prawda, jakem Kacper Caderousse! A co się z biedakiem stało? Czy ksiądz go znał? Czy on jeszcze żyje? Czy jest wolny i szczęśliwy?

— Zmarł w więzieniu, bardziej zropaczony i wynędzniały niż galernicy z tulońskiej twierdzy zakuci w dyby.

Śmiertelna bladeść okryła twarz Caderousse'a, purpurową jeszcze przed chwilą. Odwrócił się i ksiądz dostrzegł, jak otarł łzy rogiem czerwonej chustki, którą miał na głowie.

— Biedny chłopak! — szepnął. — No i cóż, widzi ksiądz, oto jeszcze jeden dowód, że mam rację: sprawiedliwy Bóg sprzyja tylko niesprawiedliwym. Ach! Świat stacza się coraz niżej! — mówił Caderousse żywym, obrazowym językiem południowca. — Gdyby tak z nieba dwa dni sypał się proch, a potem przez godzinę leciał ogień, byłby wreszcie spokój!

— Zdaje się, żeś pan kochał tego chłopaka całym sercem? — zagadnął ksiądz.

— Tak, lubiłem go szczerze — potwierdził Caderousse — chociaż kiedyś zazdrościłem mu powodzenia i do dziś wyrzucam to sobie. Ale niech ksiądz mi wierzy, klnę się na moją duszę, że od tamtej pory niejedną raz opłakiwałem jego los.

Zapadła cisza, ksiądz ani na moment nie spuszczał z oczu ruchliwej twarzy karczmarza.

— To ksiądz go znał? — zagadnął po chwili Caderousse.

— Byłem u niego z ostatnią pociechą.

— A na co umarł? — spytał Caderousse zduszonym głosem.

— A na cóż umiera się w więzieniu, mając trzydzieści lat? Czy może być inna przyczyna niż samo więzienie?

Caderousse otarł pot, który zalewał mu oczy.

— Najdziwniejsze jednak to — ozwał się znów ksiądz — że Dantès umierając przysięgał mi na rany Chrystusa, że nie wie, dlaczego go uwięziono.

— To prawda; nie mógł tego wiedzieć; nie, proszę księdza, biedaczysko nie kłamał.

— Właśnie dlatego polecił mi wyjaśnić to nieszczęsne zdarzenie, którego sam nie zdołał wyświecić, i oczyścić pamięć jego, jeśli była na niej jakaś plama.

Ksiądz zdawał się pożerać wzrokiem twarz Caderousse'a, która stała się teraz niemal posępna.

— Pewien bogaty Anglik — ciągnął — jego towarzysz niedoli, który wyszedł z więzienia za drugiej Restauracji, miał brylant wielkiej wartości. Opuszczając więzienie, ofiarował Edmundowi, który pielęgnował go podczas choroby, niby rodzony brat, ów diament w dowód wdzięczności; Dantès nie próbował przekupić strażników za pomocą tego klejnotu, gdyż im nie ufał, i strzegł go pilnie wyczekując dnia, kiedy odzyska wolność; gdyby wyszedł z więzienia, pieniądze, które dostałby za ów diament, zapewniłyby mu egzystencję.

— Musiała to być jakaś wielka kosztowność — podchwycił Caderousse, a oczy zapłonęły mu nagle.

— Wszystko jest względne — odparł ksiądz — oszacowano ten kamień na pięćdziesiąt tysięcy franków, a taka suma musiałaby się wydać Edmundowi ogromną.

— Pięćdziesiąt tysięcy franków! — zakrzyknął Caderousse. — Toć ten kamień musiał być wielki jak orzech!

— No, niezupełnie... Zresztą osądź pan sam, mogę go panu pokazać. Oberżysta zdawał się szperać księdzu wzrokiem po kieszeniach.

Ksiądz wyjął z kieszeni czarne szagrynowe puzderko, otworzył je i ukazał olśnionemu karczmarzowi sypiące iskrami cudo, wprawione w pierścień kunsztownej roboty.

— I to warte jest pięćdziesiąt tysięcy franków?

— Bez oprawy, która ma także swoją cenę — odpowiedział ksiądz.

I zamknąwszy szkatuleczkę schował diament, który wszelako nie przestał migotać oberżysty przed oczami.

— A jakim sposobem ksiądz stał się właścicielem tego diamentu? Czy Edmund uczynił księdza swoim spadkobiercą?

— Nie; po prostu wykonawcą ostatniej jego woli. „Miałem trzech serdecznych przyjaciół i narzeczoną”, powiedział mi; „wszyscy czworo, jestem tego pewien, gorzko mnie oplakują; jednym z moich przyjaciół był Caderousse”.

Caderousse drgnął.

— „Drugi” — mówił ksiądz, nie spostrzegając jakby alteracji karczmarza — drugi nazywał się Danglars; trzeci zaś, dorzucił Edmund, kochał mnie także, choć był moim rywalem”.

Szatański uśmiech przemknął po twarzy Caderousse'a i karczmarz uczynił gwałtowny gest, chcąc księdzu przerwać.

— Zaczekaj pan — rzekł ksiądz — pozwól mi skończyć; potem chętnie wysłucham pańskich uwag. „Trzeci — ciągnął — choć był moim rywalem, szczerze mi był oddany, a zwał się Fernand; a moja narzeczona miała na imię”... Ach, nie pomnę, jak było na imię jego narzeczonej.

— Mercedes — rzekł Caderousse.

— A tak, słusznie — przyznał ksiądz i stłumił westchnienie — tak, Mercedes.

— No i?... — rzucił Caderousse.

— Daj mi pan szklanekę wody. Caderousse przyniósł ją w mig. Ksiądz wypił kilka łyków.

— O czym to mówiliśmy? — zagadnął, stawiając szklanekę na stole.

— O narzeczonej Edmunda, o Mercedes.

— Aha, słusznie. „Pojedzie ksiądz do Marsylii”... Pojmujesz pan, to słowa Edmunda?

— Rozumiem wybornie.

— „Sprzeda ksiądz ten diament, a uzyskane pieniądze podzieli ksiądz na pięć równych części i odda je tym osobom, które, one jedynie, kochały mnie szczerze”.

— Dlaczego pięć części? — zapytał Caderousse. — Przecież ksiądz wymienił tylko cztery osoby.

— No bo jak mi wiadomo, piąta osoba nie żyje... Był nią ojciec Edmunda.

— Niestety, tak — odparł Caderousse zdany na pastwę sprzecznych uczuć, które nim miotają. — Niestety, biedaczysko zmarł.

— Dowiedziałem się o tym w Marsylii — ciągnął ksiądz, z trudem udając obojętność; — starzec zmarł już tak dawno, że nie zdołałem niczego dojść... A może pan wiesz coś o okolicznościach, w jakich umarł stary Dantès?

— A któż by mógł lepiej o tym wiedzieć ode mnie?... Mieszkałem prawie drzwi w drzwi z tym starcem... Ha, cóż! Zaledwie w rok po zniknięciu syna stary zamknął oczy.

— Na co umarł?

— Lekarze uznali, że chorował na... chyba na katar żołądka; znajomi twierdzili, że umarł z rozpaczony... ja zaś, co byłem przy nim prawie do ostatniej chwili, uważam, że umarł...

Caderousse zamilkł.

— Umarł?... — powtórzył z niepokojem ksiądz.

— No cóż! Umarł z głodu!

— Z głodu! — wykrzyknął ksiądz zrywając się. — Nawet najlichsze stworzenia nie zdychają z głodu! Nawet bezpańskie psy trafią zawsze na litościwą rękę, która rzuci im kęs chleba! Nie, to wykluczone, żeby człowiek, chrześcijanin żyjący między ludźmi, co również mienia się chrześcijanami, miał umrzeć z głodu! Ach nie, to niemożliwe!

— Mówię to, co wiem.

— I źle robisz — doleciał ze schodów jakiś głos — po co się do tego wtrącasz?

Odwrócili się obaj i dojrzeli poprzez pręty drewnianej galeryjki schorowaną twarz Karkontki; kobieta przywlokła się na schody, siadła na stopniu najniższym i przysłuchiwała się rozmowie, opuściwszy głowę na kolana.

— A ty, żono, pilnuj swojego nosa — odparł Caderousse; — ksiądz żąda ode mnie pewnych wyjaśnień, tedy sama grzeczność nakazuje spełnić jego życzenie.

— Za to ostrożność nakazuje, żebyś nabrał wody w gębę. Skąd wiesz, głupcze, w jakich zamiarach ktoś ciągnie cię za język?

— W jak najuczciwszych, proszę pani — odparł ksiądz. — O ile pani mąż zechce odpowiedzieć mi szczerze na każde pytanie, zaręczam, że nic mu grozić nie będzie.

— Terę fere! Nic mu grozić nie będzie!... Najpierw obietnicy cacanki, potem zapewnienia, że nic nikomu nie grozi... i gość ulatnia się, ani myśląc dotrzymać przyrzeczeń. Aż tu pewnego pięknego poranka wali się na głowę, nie wiadomo skąd, jakieś nieszczęście.

— Uspokój się, zacna kobieto, nie spadnie na was przeze mnie żaden cios, ręczę.

Karkontka wymamrotała jeszcze kilka słów, których niepodobna było dosłyszeć, spuściła znów głowę na kolana i dygotała pochwycona atakiem febrzy; a choć nie przeszkadzała już mężowi w rozmowie, nie ruszyła się z miejsca, nie chcąc uronić ani jednego słowa.

Ksiądz wypił tymczasem łyk wody i wrócił do równowagi.

— Ale czy ten starzec nieszczęsny był od wszystkich aż tak zapomniany, że musiał umrzeć okrutną śmiercią? — zagadnął.

— Ach, proszę jegomości, ani Mercedes, ani pan Morrel nie odstępowali go;

tylko że starzec zapalał głęboką nienawiścią do Fernanda — tu Caderousse uśmiechnął się ironicznie — do tego właśnie, którego Edmund miał za przyjaciela.

— A czyż nim nie był? — zdziwił się ksiądz.

— Oj, Kacprze, Kacprze — ozwała się kobieta ze schodów — zastanów się dobrze, nim powiesz.

Caderousse zachnął się niecierpliwie i nie odpowiadając żonie, rzekł do księdza:

— Czy można być przyjacielem tego, którego żony pragnie się całą mocą? Edmund, złote serce, miał tych wszystkich ludzi za przyjaciół... Biedny Edmund! Może to i lepiej, że o niczym nie wiedział; pewnie ciężko by mu było darować im przed śmiercią... A choćby nie wiem co gadano, ja się i tak gorzej boję kłatw umierającego niż nienawiści ludzi żywych — mówił Caderousse, a słowem jego nie brakło pierwotnej poezji.

— Dureń! — oświadczyła Karkontka.

— To pan wiesz, czym Fernand zawinił wobec Dantèsa?

— Pewnie, że wiem.

— No to mów pan.

— Kacprze, zrobisz, jak ci się spodoba, jesteś panem swojej woli — odezwała się kobieta — ale ja ci radzę, nic nie gadaj.

— Zdaje mi się, że teraz masz rację, babo.

— Tedy nie zechcesz pan mi nic powiedzieć? — zapytał ksiądz.

— A po licha? Gdyby chłopak żył i przyszedł do mnie, żeby nareszcie poznać swoich przyjaciół i wrogów, to i owszem; ale przysypali go już piachem, jak ksiądz powiada, to ani zemścić się, ani znienawidzić teraz nie może; dajmy temu pokój i basta.

— A więc wolisz pan, żebym zamiast nagrodzić wiernych przyjaciół, rozdał te pieniądze ludziom niegodziwym i fałszywym?

— Ano tak, masz ksiądz rację — odparł Caderousse. — Zresztą, cóż by dla nich znaczył ten spadek po biednym Edmundzie? Ot, kropla w morzu, i tyle!

— Nie mówiąc o tym, że mogą cię zgnieść jednym palcem — dorzuciła Karkontka.

— Jakże to? Czyżby stali się tak bogaci i możni?

— A to ksiądz nic o nich nie wie?

— Nie. Opowiedz mi pan o nich. Caderousse zawahał się.

— E, naprawdę nie warto. To za długa historia.

— Możesz milczeć, przyjacielu, jeśli taka twoja wola — powiedział ksiądz z największą obojętnością; szanuję twoje skrupuły; a zresztą takie postępowanie świadczy o twojej głębokiej dobroci; nie mówmy o tym więcej. Jakiż bowiem przyjąłem na siebie obowiązek? Ot, prosta formalność. Sprzedam ten diament...

Wyjął puzderko z kieszeni, otworzył je i zaświecił brylantem karczmarzowi w oczy.

— Chodź, zobaczysz, żono! — Caderousse zawołał chrapliwie.

— Diament?... — mamrotała Karkontka, stąpając dość pewnie po schodach. — I cóż to za diament?

— Jak to, nie słyszałaś, Karkontko? — spytał oberżysta. — Edmund zostawił nam w spadku ten diament: swojemu ojcu, trzem przyjaciołom, Fernandowi, Danglarsowi i mnie, no i Mercedes, jako narzeczonej. Pierścionek wart pięćdziesiąt tysięcy.

— Ach, jaki piękny! — rzekła.

— A więc piąta część tej sumy do nas zależy? — zapytał Caderousse.

— Tak, a oprócz tego część przypadająca na starego Dantèsa, sądzę bowiem, że mam prawo rozdzielić ją między was czworo.

— Dlaczego między czworo? — zdziwiła się Karkontka.

— Boście wszyscy czworo byli przyjaciółmi Edmunda.

— Aha, zdrajcy to przyjaciele — mruknęła ponuro kobieta.

— Właśnie, właśnie — podchwycił Caderousse — to samo i ja mówiłem! Toż to profanacja nagradzać zdrajców, a kto wie, czy nie zbrodniarzy.

— Sam pan tego chciałeś — odparł spokojnie ksiądz, wkładając pierścień do kieszeni. — Podaj mi pan teraz adresy tych przyjaciół, żebym mógł wykonać ostatnią wolę zmarłego.

Grube krople potu ciekły po czole Caderousse'a; ksiądz wstał, podszedł do drzwi, aby rzucić okiem na konia, i wrócił.

Caderousse i jego żona patrzyli na siebie z wyrazem trudnym do opisania.

— Diament byłby wyłącznie nasz — zauważył Caderousse.

— Myślisz.

— Przecież ksiądz nas nie oszuka.

— Rób, jak ci się podoba — odparła — ja się do tego nie wtrącam.

I dygocząc na całym ciele jęła wstępować na schody; zęby jej szczękały, mimo że upał był nieznośny.

Zatrzymała się na chwilę na ostatnim stopniu.

— Zastanów się dobrze, Kacprze — rzuciła.

— Jużem się zastanowił.

Karkontka westchnęła i poszła do swojego pokoju. Podłoga zaskrzypiała pod jej nogami; a dowlóktszy się do fotela, padła nań ciężko.

— No i cóż pan zdecydowałeś? — zagadnął ksiądz.

— Powiem księdzu wszystko.

— Prawdę rzekłszy, wydaje mi się, że tak będzie lepiej — odparł ksiądz — wcale zresztą nie dlatego, bym chciał wyciągnąć z pana jakieś sekrety: spodziewam się tylko, że będziesz mógł dopomóc mi w podziale spadku zgodnie z życzeniami zmarłego.

— Ano właśnie — przystał Caderousse, a nadzieja i chciwość rozpromieniły mu policzki.

— Zatem słucham.

— Niech ksiądz chwilę zaczeka, ktoś mógłby nam przerwać w najciekawszym miejscu, co by nas tylko zirytowało; prócz tego po co kto ma wiedzieć, że ksiądz był u nas.

Podszedł do drzwi, zamknął je i dla większej ostrożności zaryglował sztabą, która broniła ich w nocy.

Tymczasem ksiądz obrał sobie dogodniejsze miejsce; zaszył się w mrocznym kącie tak, aby na twarz karczmarza, który miał się naprzeciw, padało światło. Pochyliwszy głowę i złożony ręce, a raczej skrzyżowawszy ręce, sposobił się do jak najważniejszego słuchania opowieści.

Caderousse przysunął zydła i usadowił się naprzeciw księdza.

— Zapamiętaj, żem cię nie nakłaniała i nie nakłaniam! — ozwał się drżący głos, jak gdyby Karkontka, przeniknąwszy wzrokiem podłogę, widziała, co się święci.

— Dobrze, dobrze! — odrzyknął Caderousse. — Nie ma o czym gadać, wszystko biorę na siebie. I rozpoczął opowieść.

27. RELACJA

Przede wszystkim chciałbym prosić — rzekł Caderousse — żeby ksiądz obiecał mi jedno.

— Cóż takiego?

— Żeby.... jeśli ksiądz zrobi kiedykolwiek użytek z tego, co zaraz powiem, nikt się nie dowiedział, że te wiadomości pochodzą ode mnie, bo ludzie, o których będę mówił, są bogaci i potężni, gdyby więc tknęli mnie bodaj jednym palcem, zgnieliby mnie jak robaka.

— Nie trap się o to, drogi przyjacielu, jestem księdzem i wszelkie ludzkie zwierzenia milkną raz na zawsze w moim sercu; zresztą przypomnij pan sobie, że jedynym tutaj celem jest wypełnić jak najsumienniejszą ostatnią wolę naszego przyjaciela; mów tedy bez nienawiści, ale i bez ogródek; mów prawdę, całą prawdę; nie znam i zapewne nigdy nie poznam żadnej z tych osób, o których pan będziesz mówił; prócz tego jestem Włochem, a nie Francuzem; i należę do Boga, a nie do ludzi, wrócę do klasztoru, który opuściłem jedynie po to, by wypełnić misję, jaką powierzył mi umierający.

Ta solenna obietnica uspokoiła Caderousse'a.

— W takim razie — rzekł — wyprowadzę księdza z błędu (a poczytuję to sobie nawet za obowiązek) co do owych przyjaciół, szczerze Edmundowi, jak mniemał, oddanych.

— Zacznijmy od ojca — poprosił ksiądz. — Edmund dużo mi mówił o tym starcu, którego kochał głęboko.

— O, to smutna historia, proszę jegomości — odparł Caderousse kiwając głową — a ksiądz pewnie zna jej początek.

— Tak. Edmund opowiedział mi wszystko, aż do momentu, kiedy aresztowano go w jakiejś knajpce pod Marsylią.

— W „Ustroniu”, tak, tak; mój Boże; pamiętam, jakby się to wszystko wczoraj wydarzyło.

— A nie było to przypadkiem w zaręczyny Edmunda?

— Tak. Przyjęcie zaczęło się tak wesoło, a miało taki smutny koniec: w pewnej chwili wszedł komisarz policji, a z nim czterech fizylierów i aresztowano Dantès'a.

— Tyle właśnie wiem o tym, mój panie — wtrącił ksiądz — Zresztą i Edmund nic więcej nie wiedział, bo nie zobaczył już nigdy żadnej ze wspomnianych osób i nigdy już o nich nie usłyszał.

— Otóż kiedy zaaresztowano Edmunda, pan Morrel pobiegł wywiedzieć się o przyczynę i wrócił z bardzo przykrymi wiadomościami. Stary poszedł do domu, gdzie płacząc poukładał w szafie odświętą odzież; słyszałem, bom mieszkał pod nim, jak dreptał cały dzień po pokoju, a i wieczorem też się nie położył: calutką noc krążył po swojej izdebce. Muszę się przyznać, że i ja nie zmrzyłem oka, bo rozpacz tego nieszczęśliwego ojca bolała mnie ogromnie i każdy jego krok miażdżył mi serce, jak gdyby starzec stąpał naprawdę po mojej piersi.

Następnego dnia Mercedes pojawiła się w Marsylii, by prosić pana de Villefort o wstawiennictwo, ale nic nie wskórała, odwiedziła też i starca. Widząc go tak przygnębionym i złamanym i dowiedziawszy się, że ojciec nie spał i nie jadł od wczoraj, chciała go zabrać do siebie, ale stary się nie zgodził.

— Nie — powiedział — nie ruszę z domu; chłopak nikogo tak nie kochał jak mnie, wyszedłszy tedy z więzienia, tu najpierw przybiegnie. I co sobie pomyśli, gdy mnie nie zastanie?

Przysłuchiwałem się tej rozmowie ze schodów, bo zależało mi, żeby Mercedes nakłoniła go wreszcie: te kroki, którym dzień i noc słyszał nad głową, nie dawały mi chwili spokoju.

— A pan nie odwiedzałeś starca, nie pocieszałeś go?

— Ach, proszę księdza, pocieszać można tylko tych, którzy chcą, żeby ich pocieszano, a stary tego nie chciał; zresztą wydawało mi się, że biedaczysko — nie mam pojęcia, dla jakiej przyczyny — nie cierpiał mnie. Pewnej jednak nocy, kiedy posłyszałem, jak płacze, nie mogłem się oprzeć i poszedłem na górę; ale kiedy podszedł do drzwi, stary już nie szlochał, tylko się modlił. Nie potrafię księdzu powtórzyć, jak wymowne były to słowa i jak żałosne błaganie: chyba coś więcej niż ból i nabożność dyktuje takie modlitwy; nie jestem bigotem, a jezuitów nie znoszę, toteż powiedziałem sobie wtedy: „To bardzo szczęśliwie się składa, że Bóg nie zesłał mi dzieci, bo gdyby miał mną jako ojcem targać kiedyś taki ból jak tym biednym starym, nie umiałbym znaleźć ani w duszy, ani w sercu tych słów, które on mówił Bogu, i rzuciłbym się w morze, aby dłużej nie cierpieć”.

— Nieszczęsny ojczel! — szepnął ksiądz.

— Żył więc z dala od ludzi, z każdym dniem bardziej osamotniony; pan Morrel i Mercedes odwiedzali go często, ale zastawali zawsze drzwi zamknięte; nie odpowiadał na pukania, a wiedziałem, że jest w domu.

Jednego razu wbrew zwyczajowi przyjął u siebie Mercedes, a kiedy zrozpaczona dziewczyna próbowała go pocieszyć, rzekł jej:

— Wierz mi, moja córko, że on nie żyje; nie czekajmy na niego, bo to on nas oczekuje; szczęście, że z was najstarszy, gdyż pierwszy go ujrzę.

Ksiądz rozumie, że najlepszy w świecie człowiek zaczyna wprędce unikać tych, którzy go zasmucają; stary Dantès żył na koniec w zupełnym osamotnieniu; widywałem tylko od czasu do czasu jakichś nieznajomych, którzy wychodzili od niego, ukrywając niezdarnie to mniejszy, to większy pakiet; domyśliłem się wkrótce, co to były za paczki: stary wyprzedawał się po trochu, bo nie miał co jeść.

Wreszcie nieborak wyprzedał wszystkie swoje łachy: od trzech miesięcy nie zapłacił ani grosza komornego: zagrożono mu usunięciem; poprosił o tydzień zwłoki i gospodarz zgodził się. Wiem o tym, bo wyszedłszy od niego wstąpił do mnie.

Przez pierwsze trzy dni słyszałem jak zwykle jego kroki, ale czwartego głęboka cisza zaległa na pięterku; nie zważając na nic, poszedłem na górę; drzwi były zamknięte, więc zajrzałem przez dziurkę od klucza: stary był taki blady i taki zmieniony, że uznałem go za ciężko chorego; powiadomiłem o tym pana Morrela i pobiegłem do Mercedes. Oboje pospieszili od razu z pomocą; pan Morrel przyprowadził ze sobą doktora, a ten stwierdził, że starzec jest chory na katar żołądka, i zalecił dietę. Byłem przy tym, proszę księdza, i nigdy nie zapomnę uśmiechu starego Dantèsa, jakim powitał zalecenie doktora.

Od tej chwili drzwi do jego mieszkania były stale otwarte; mógł się głodzić, ile chciał, bo miał doskonałą wymówkę: lekarz zapisał mu dietę.

Ksiądz jęknął cicho.

— Nie nudzi to księdza? — zapytał Caderousse.

— Nie, to prawdziwie wzruszająca historia.

— Mercedes znów odwiedziła starca; widząc, jak bardzo zmizerniał, chciała i tym razem zabrać go do siebie. Takiegoż zdania był i pan Morrel, a nawet próbował przenieść go siłą; lecz Dantès tak okropnie krzychał, że się złąkli. Mercedes została przy chorym. Wychodząc Morrel wskazał Katalonce sakiewkę, którą zostawił na kominku. Ale zastrzegając się stale poleceniem doktora, starzec nic nie jadł. Wreszcie po dziewięciu dniach rozpacz i głodowania stary umarł, przeklinając sprawców nieszczęścia i mówiąc do Mercedes:

— Gdybyś, moje dziecko, ujrzała kiedyś Edmunda, powiedz mu, że umarł błogosławiąc go.

Ksiądz wstał i przemierzając nerwowo salkę, dotykał drżącą ręką gardła, w którym mu zaschło.

— Sądzisz pan tedy, że umarł?...

— Z głodu... proszę księdza, z głodu — odparł Caderousse — klnę się na rany Chrystusa.

Ksiądz chwycił kurczowo szklankę w połowie pełną jeszcze, wypił do dna duszkiem i usiadł; oczy mu się zaczerwieńczyły, twarz pobleadła.

— O, jakież potworne nieszczęście! — rzekł chrapliwie.

— Tym większe, proszę księdza, że nie był to palec boży; to ludzie, wyłącznie ludzie tutaj zawinili.

— No to pomówmyż o tych ludziach — podchwycił ksiądz — ale pamiętaj pan — dodał tonem niemal groźnym — żeś się zobowiązał wyjaśnić mi wszystko; cóż to więc za ludzie, przez których ów starzec umarł z głodu, a jego syn z rozpacz?

— Dwóch ich było, obaj mu zazdrościli, jednym powodowała miłość, drugim ambicja; ci dwaj, proszę księdza, to Fernand i Danglars.

— I w jakiż sposób przejawiała się ta zazdrość?

— Zadenuncjowali Edmunda jako agenta napoleońskiego.

— Który z nich zadenuncjował? Który był prawdziwym winowajcą?

— Obaj. Jeden napisał donos, drugi go wysłał.

— A gdzie napisano ten list?

— W „Ustroniu”, w przeddzień ślubu Edmunda.

— Ano właśnie! Ano właśnie! — wyszeptał ksiądz. — O Faria, jak ty znałeś świat i ludzi!

— Słucham, co ksiądz mówi?

— E, nic — zbagatelizował ksiądz — mów pan dalej.

— Danglars napisał donos lewą ręką, żeby nie rozpoznano pisma, a Fernand wysłał ten list.

— Ależ — wykrzyknął nagle ksiądz — to pan tam byłeś?

— Ja? — zdumiał się Caderousse. — A któż księdzu powiedział, że ja tam byłem?

Ksiądz zorientował się, że zagalopował się trochę.

— Nikt mi tego nie mówił — odparł — ale musiałeś pan chyba przy tym być. skoro znasz tak dokładnie najdrobniejsze szczegóły.

— Tak, to prawda — przyznał Caderousse zduszonym głosem — i ja tam byłem.

— I dopuściłeś pan, by popełniono to łotrstwo? W takim razie jesteś ich współnikiem.

— Spili mnie tak dokładnie, proszę księdza, żeś niemal całkowicie stracił przytomność. Widziałem wszystko jak przez mgłę. Próbowałem ich odwieść od tego, ale co może zdziałać człowiek w takim stanie? Odpowiedzieli mi, że to tylko żart, który nie pociągnie żadnych następstw.

— A jednak nazajutrz przekonałeś się pan, że pociągnął; i nic pan nie powiedziałeś, nic, choć byłeś świadkiem aresztowania.

— Tak, proszę księdza, byłem i chciałem wszystko wygarnąć, ale Danglars powstrzymał mnie. Jeśli jest przypadkiem winien: jeśli naprawdę był na Elbie; jeśli rzeczywiście ma jakieś pismo do paryskiego komitetu bonapartystów i jeśli to pismo znajdą przy nim, obrońcy jego zostaną oskarżeni o współwinę”.

Przyznaję, że obleciał mnie strach na myśl, że będę miał do czynienia z taką policją, jaka wtedy była; no i nie puściłem pary z ust; stchórzyłem, to prawda, ale nie popełniłem zbrodni.

Pojmuję doskonale: przymknąłeś pan na wszystko oczy i basta.

— Tak, proszę jegomości, i to właśnie dręczy mnie we dnie i w nocy. Niech ksiądz mi wierzy, przysięgam, często Boga proszę, by mi przebaczył, tym bardziej że ten postępek, jedyny w moim życiu, który naprawdę sobie wyrzucam, jest przyczyną moich niepowodzeń. Pokutuję za chwilę, w której dałem się ponieść egoizmowi; toteż na biadolonia Karkontki mam tylko jedną odpowiedź: „Cicho bądź, żono wola boska”.

Caderousse spuścił głowę z oznakami najszczerzej skruchy.

Cieszę się, że mówisz pan otwarcie; oskarżając się w ten sposób, zasługujesz na przebaczenie.

— Niestety, Edmund nie żyje — odparł Caderousse — a on mi nie przebaczył. On nie wiedział...

— Teraz być może wie; ponoć zmarli wiedzą wszystko.

Zapadła cisza; ksiądz wstał i zamyślony jął się przechadzać; po chwili siadł znowu.

— Wymieniłeś pan już kilkakrotnie niejakiego pana Morrela. Któż to zacz?

— To armator, właściciel „Faraona”, pryncypał Dantèsa.

— A jakąż rolę odegrał ów człowiek w tej smutnej historii? — zagadnął ksiądz.

— Taką, jaką mógł odegrać człowiek przywoity, odważny i szczerze Dantèsowi oddany. Ze dwadzieścia razy wstawiał się u władz za Edmundem. Gdy cesarz wrócił, pan Morrel tak skrzętnie zabiegał, pisał, prosił, groził, że za drugiej Restauracji doznał, jako bonapartysta, srogich prześladowań. Z dziesięć razy, jak księdzu mówiłem, nakłaniał starego Dantèsa, żeby się do niego przeniósł, a bodaj na dwa dni przed śmiercią starca, i o tym też księdzu wspominałem, zostawił na

kominku sakiewkę z pieniędzmi, za które wyprawiono nieborakowi pogrzeb i zapłacono długi; dzięki temu stary umarł tak, jak i żył: nie uczyniwszy nikomu krzywdy. Mam jeszcze tę sakiewkę, dużą sakiewkę z czerwonego jedwabiu.

— Pan Morrel żyje jeszcze?

— Tak.

— No to temu człowiekowi Bóg pewnie pobłogosławił; musi być bogaty... szczęśliwy?...

Caderousse uśmiechnął się gorzko.

— Uhm, tak jak i ja.

— Pan Morrel popadł więc w tarapaty! — zakrzyknął ksiądz.

— Grozi mu nędza, proszę jegomości, a nawet więcej, bo dyshonor.

— Jakże to?

— Rzecz się ma tak: pozyskawszy, dzięki dwudziestopięcioletnim trudom, jedno z najwybitniejszych stanowisk wśród marsylskiego kupiectwa, pan Morrel jest obecnie zrujnowany z kretelem. W ciągu dwóch lat stracił pięć okrętów i zbankrutował trzy razy; jedyną jeszcze nadzieję pokłada w tym samym „Faraonie”, którym dowodził biedny Dantès, bo statek ten wraca teraz z Indii z ładunkiem indygo i koszenili. Jeśli i to przepadnie, pan Morrel już się nie wyłabuda.

— Czy ten nieborak jest żonaty, czy ma dzieci?

— Ma żonę, która przyjmuje te wszystkie ciosy z pogodą świętej; córka jego miała właśnie wyjść za mąż z miłości, ale rodzina narzeczonego sprzeciwia się, bo nie chce dopuścić do związku z córką bankruta; ma wreszcie syna, porucznika; cóż, ale to wszystko, jak ksiądz się domyśla, nie łagodzi bólu, raczej go zwiększa i ten zacny nieszczęśliwy człowiek tym więcej boleje nad swoim losem. Gdyby był sam, palnąłby sobie w łeb i byłoby po wszystkim.

— Ależ to okropne! — szepnął ksiądz.

— Proszę, widzi ksiądz, jak pan Bóg nagradza cnotę! O, na przykład ja nie popełniłem żadnego złego uczynku, prócz tego, o którym ksiądz opowiedziałem, i ja właśnie jestem w nędzy; żona, dla której nic uczynić nie mogę, umrze kiedyś w moich oczach na tę przeklętą gorączkę, a potem ja zdechnę z głodu, tak jak się zmarło staremu Dantèsowi; tymczasem Danglars i Fernand tarzają się w złocie.

— A to jakim cudem?

— Bo łądakom dobrze się wiedzie, a ludziom uczciwym źle.

— I cóż się dzieje z Danglarsem, głównym winowajcą? Bo jeśli dobrze pojąłem, on to właśnie podjudzał Fernanda?

— Cóż się z nim dzieje? Ano wyjechał z Marsylii, dzięki rekomendacji pana Morrela, który nic nie wie o jego zbrodni, został prokurentem u jednego hiszpańskiego bankiera; w czasie wojny z Hiszpanią zrobił spory majątek na dostawach dla naszego wojska; wsadziwszy kapitał w obligacje państwowe, uzyskał sumę czterykroć większą; ożenił się z córką swojego bankiera, owdowiał i poślubił wdowę, niejaką panią de Nargonne, córkę pana Salvieux, szambelana królewskiego, będącego w ogromnych łaskach. Kiedy nazgarniał milionów, zrobili go baronem, no i mieszka teraz jako baron Danglars we własnym pałacu przy ulicy Mont-Blanc, ma stajnię, dziesięć koni, w przedsiönku sześciu fagasów, a milionów w jego kasie już by się człek nie doliczył.

— Hm — ozwał się ksiądz szczególniejszym jakimś tonem — to jest szczęśliwy?

— Szczęśliwy? A któż to może wiedzieć? Nie dojdiesz, co mury w sobie tają, szczęście czy nieszczęście; ściany mają wprawdzie uszy, ale nie mają języków; jeśli ogromna fortuna daje szczęście, to Danglars jest szczęśliwy.

— A Fernand?

— Z Fernandem rzeczy się miały jeszcze inaczej.

— Jakim sposobem ten biedny rybak kataloński, nie mający ani wykształcenia, ani żadnych środków materialnych, mógł dorobić się tak wielkiej fortuny? Przyznaję, że nie mieści mi się to w głowie.

— Nie tylko ksiądzu nie mieści się to w głowie; w życiu Fernanda musi istnieć jakaś niezwykła tajemnica, której nikt nie zna.

— Po jakiej drabinie doszedł do tej fortuny czy może znakomitej pozycji?

— I do jednej, i do drugiej, proszę księdza. Temu przypadła w udziale i fortuna, i znakomita pozycja.

— Opowiadasz mi pan bajki!

— Rzeczywiście zakrawa to na bajkę; ale niech ksiądz posłucha, to ksiądz zrozumie.

Na kilka dni przed powrotem Napoleona Fernand wyciągnął los do wojska. Za Bourbonów siedział sobie spokojnie we wsi katalońskiej; ale kiedy cesarz wrócił, ogłoszono pospolite ruszenie i Fernand nie mógł się już wymigać. Ja też wyruszyłem, choć dopiero co pobraliśmy się z moją biedną Karkontką; wysłano mnie na wybrzeże, bom był już żonaty i nie taki młody.

Fernand został wcielony do oddziałów liniowych, dotarł ze swoim pułkiem do granicy i bił się pod Ligny.

Pierwszej nocy po bitwie pełnił wartę u namiotu jednego generała, który miał konszachty z nieprzyjacielem. Teżże nocy ów generał miał przejść do obozu Anglików. zaproponował Fernandowi, żeby mu towarzyszył. Fernand zgodził się i podał się za generałem.

Ten postępek, za który powędrowałby pod sąd wojenny, gdyby Napoleon utrzymał się na tronie, wyszedł mu na dobre za Bourbonów. Wrócił do Francji jako porucznik; a że generał, który był wtedy w szczególnych łaskach u dworu, opiekował się nadal swoim pupilem, Fernand w 1823 roku otrzymał szlify kapitańskie, a stało się to na początku wojny z Hiszpanią, wtedy właśnie, gdy Danglars puszczał się na pierwsze swoje spekulacje. Fernand jest Hiszpanem, więc wysłano go do Madrytu, aby badał tameczne nastroje; odszukał tam Danglarsa, zwąchał się z nim, przyrzekł swojemu generałowi pomoc rojalistów ze stolicy i z prowincji, pozyskał obietnicę, złożył rozmaite zobowiązania, przeprowadził swój pułk sobie tylko znanymi ścieżkami wiodącymi przez wąwozy, których strzegli rojaliści, słowem — oddał w tej krótkiej kampanii tyle usług, że po upadku Trocadero mianowano go pułkownikiem, wręczono mu Krzyż Legii Honorowej i obdarzono tytułem hrabiego.

— O losie! Dziwaczny losie! — szepnął ksiądz.

— Właśnie! Ale niech ksiądz słuca, to jeszcze nie koniec. Wojna z Hiszpanią skończona, wszystko przemawia za tym, że w Europie nastaną teraz długie lata pokoju... pokoju, który zwicznie karierę Fernandowi. Tylko w Grecji toczyły się boje: Grecja rozpoczęła właśnie walkę z Turcją o niepodległość; wszystkie spojrzenia biegły ku Atenom, było w modzie żałować i wspomagać Greków. Rząd francuski, jak księdzu wiadomo, nie popierał otwarcie Grecji, ale tolerował tych, co wyruszali tam na własną rękę. Fernand zakręcił się, gdzie trzeba, i pozwolono mu zaciągnąć się do armii greckiej, nie skreśliwszy go z francuskiej ewidencji wojskowej.

Po niejakiem czasie nadeszła wieść, że hrabia de Morcerf (takie bowiem przybrał nazwisko) objął służbę u Ali Paszy w stopniu generała instruktora.

Ali Pasza został zabity, ksiądz pewnie sobie przypomina; ale przed śmiercią wypłacił się Fernandowi za usługi okrągłą sumką, z którą Fernand wrócił do Francji; tutaj zatwierdzono mu uzyskany w Grecji stopień generała lejtnanta.

— Tym sposobem dzisiaj?... — zagadnął ksiądz.

— Dzisiaj — dokończył Caderousse — ma w Paryżu wspaniały pałac przy ulicy Helderskiej nr 27.

Ksiądz otworzył usta, ale milczał, wahając się jakby; po chwili rzekł, przewyciężywszy się:

— A Mercedes? Słyszałem, że zniknęła?

— Owszem, zniknęła, ale tak, jak słońce znika o zachodzie, by rankiem zabłysnąć jeszcze wspanialej.

— To i jej fortuna przypadła w udziale? — zadrwił ksiądz.

— Mercedes jest teraz jedną z najznakomitszych dam paryskich.

— Mów, mów, wydaje mi się, że opowiesz mi niezwykły sen. Ale widziałem już w życiu takie nadzwyczajności, że właściwie nie dziwi mnie to.

— Mercedes długo rozpaczała po Edmundzie. Mówiłem już księdzu o jej zabiegach u pana de Villefort i niezwykłej troskliwości, jaką otaczała starego Dantèsa. Tymczasem nowy cios spadł na zrozpaczoną dziewczynę: wyjazd Fernanda, którego kochała jak brata, nie wiedząc nic o zbrodni, jaką popełnił!

Fernand odjechał i Mercedes została sama.

Przeplakała trzy miesiące — Edmund przepadł bez wieści, Fernand nie pisał; pozostał jej tylko starzec umierający ze zgrzyoty.

Pewnego wieczoru wróciła do domu szczególnie zgnębiona, spędziwszy jak zwykle cały dzień u skrzyżowania gościńców wiodących z Marsylii do wsi katalońskiej; ani kochanek, ani przyjaciel nie pojawili się na drodze i żaden nie dawał znaku życia.

Nagle wydało jej się, że słyszy znajome kroki; odwróciła się niespokojna, a gdy drzwi się otworzyły, ujrzała Fernanda w mundurze podporucznika.

Nie był to wprawdzie ten, którego tak gorzko opłakiwała, ale i on stanowił jakąś część jej minionego życia, co niespodzianie wróciło.

Na widok przyjaciela zawładnęło dziewczyną radosne uniesienie, które Fernand wziął opacznie za miłość; chwycił go za ręce, ciesząc się tylko jego powrotem i tym, że skończyły się dla niej długie godziny rozpaczliwej samotności. A przy tym Mercedes nie żywiła nienawiści do Fernanda — po prostu go nie kochała, ot i tyle; kto inny zawładnął sercem Mercedes, ktoś, kto odszedł... zniknął... może zmarł. Na myśl o tym dziewczyna wybuchała płaczem i załamywała ręce; ale ta sama myśl, którą niegdyś odpychała od siebie, nie dając wiary cudzym podszeptom, narzucała jej się teraz; zresztą stary Dantès powtarzał ustawicznie: „Edmund nie żyje, bo gdyby żył, wróciłby do nas”.

Jak już księdzu mówiłem, starzec umarł — gdyby żył, Mercedes nie wyszłaby prawdopodobnie za męża, bo stary zdręczałby ją wyrzutami, że nie dochowała wierności Edmundowi. Fernand domyślił się tego. Wrócił dopiero wtedy, gdy dowiedział się o śmierci starca. Tym razem już jako porucznik. Podczas pierwszej wizyty nie napomknął ani słowem o miłości; podczas drugiej przypomniał dziewczynie o swoim uczuciu.

Mercedes poprosiła go o półroczną zwłokę; chciała poczekać na Edmunda, a i nie opłakała go jeszcze.

— W istocie uczyniło to półtora roku — zauważył ksiądz z gorzkim uśmiechem. — Czyż i najbardziej uwielbiany kochanek może żądać więcej?

I powtórzył słowa angielskiego poety:

— Frailty, thy name is woman!

— W pół roku potem ślub ich odbył się w kościele des Accoules.

— W tym samym kościele miała poślubić Edmunda — szepnął ksiądz. — Fi, zmieniła tylko narzeczonego.

— Mercedes szła do ołtarza niby spokojna — ciągnął Caderousse — ale zemdląła, mijając „Ustronie”, gdzie półtora roku temu obchodziła zaręczyny z tym, którego jeszcze kochała, a przekonałaby się o tym, gdyby odważyła się zajrzeć w głąb własnego serca.

Fernand, może i szczęśliwy, ale dręczony obawą, że Edmund wróci, o czym wiem, bom go podówczas widywał, zakrzętnął się zaraz dookoła wyjazdu: zbyt wiele niebezpieczeństw i za wiele wspomnień czyhało w rodzinnej wsi. Wyjechali w tydzień po ślubie.

— Spotkałeś pan jeszcze kiedy Mercedes? — zagadnął ksiądz.

— Tak, kiedy wybuchła wojna z Hiszpanią; Fernand zostawił żonę w Perpignan, gdzie poświęciła się edukacji syna.

Ksiądz zadrżał.

— Syna?

— Tak. Imieniem Albert.

— Ależ chcąc kształcić syna, musiałaby przecież sama odebrać staranną edukację. A jeśli mnie pamięć nie myli, Edmund utrzymywał, że była córką rybaka, piękną, ale nieokrzesaną.

— Ach, to Edmund nie doceniał narzeczonej! — wykrzyknął Caderousse. — Mercedes, proszę księdza, mogłaby zostać królową, gdyby do przywdziania korony wystarczyły tylko inteligencja i uroda. W miarę jak fortuna jej rosła, Mercedes stawała się wielką damą. Uczyła się rysunku, muzyki, uczyła się wszystkiego. Ale mówiąc między nami, wydaje mi się, że nabijała sobie tym głowę, aby się trochę rozerwać, zapomnieć, nie dopuszczać serca do głosu. No i mówiąc rzetelną prawdę, fortuna i zaszczyty musiały pocieszyć ją trochę. Jest bogata, została hrabiną, ale...

Caderousse urwał nagle.

— Ale? — powtórzył ksiądz.

— Ale wiem na pewno, że nie jest szczęśliwa.

— Z czegoż to wnosisz?

— A bo kiedy nędza nazbyt mi już dojadła, pomyślałem sobie, że dawni przyjaciele mogą mi się na coś przydać. Odwiedziłem Danglarsa, ale ten wcale mnie nie przyjął. Fernand, kiedym do niego zaszedł, przysłał mi przez lokaja sto franków.

— Nie widziałeś się więc ani z jednym, ani z drugim?

— A nie; ale hrabina de Morcerf wypatrzyła mnie jakoś.

— A jakże to było?

— Już na ulicy czyjaś sakiewka upadła mi pod nogi; było w niej dwadzieścia pięć ludwików; spojrzałem w górę i zobaczyłem Mercedes, jak opuszczała żaluzję.

— No a pan de Villefort? — zagadnął ksiądz.

— Iii, ani on mi brat, ani swat; nie znałem go, tom nie miał o co prosić.

— Ale czy nie wiesz pan, co się z nim stało? I ile zawinił wobec Edmunda?

— Nie mam pojęcia; wiem tylko, że w jakiś czas po pojmaniu Edmunda ożenił się z panną de Saint-Méran i zaraz wyjechał z Marsylii. Na pewno los uśmiechnął się i do niego; pewnie jest bogaty jak Danglars, a poważany jak Fernand. Tylko ja, jak ksiądz widzi, klepię wciąż biedę. Bóg widać o mnie zapomniał.

— Otóż mylisz się, mój przyjacielu — zaoponował ksiądz. — Pan Bóg, mówią, nierychliwy, ale sprawiedliwy i wreszcie któregoś dnia zawsze przypomni sobie o nas; spójrz oto dowód.

Domawiając tych słów, wyjął z kieszeni diament i podał Caderousse'owi.

— Proszę, weź go, przyjacielu, jest twój.

— Jak to mój? — wykrzyknął Caderousse. — Chyba ksiądz kpi ze mnie!

— Diament miał stać się własnością przyjaciół Edmunda; ale skoro Edmund miał tylko jednego przyjaciela, to i podział spadku jest niepotrzebny. Bierz pan pierścionek i sprzedaj go; jest wart, powtarzam, pięćdziesiąt tysięcy; spodziewam się, że dzięki tej sumce wypłaczesz się jakoś z biedy.

— Ach, proszę jegomości — mamrotał Caderousse, sięgając nieśmiało po klejnot i ocierając spotniałą twarz — niechże ksiądz nie bawi się kosztem czyjejs rozpacz albo szczęścia.

— Zbyt dobrze wiem, co rozpacz, a co szczęście, bym miał igrać z tymi uczuciami. Bierz pan diament, ale w zamian...

Caderousse cofnął szybko rękę, którą dotykał już niemal pierścienia. Ksiądz uśmiechnął się.

— Daj mi pan w zamian tę jedwabną sakiewkę, którą pan Morrel zostawił na kominku u starego Dantèsa; wszak mówiłeś, że masz ją jeszcze.

Caderousse coraz bardziej zdumiony podszedł do dębowej szafy, otworzył ją i podał księdzu długą sakiewkę z czerwonego, wypłowiałego jedwabiu, opatrzoną dwoma miedzianymi kółkami, niegdyś złożonymi.

Ksiądz wziął sakiewkę i dał oberżyscie klejnot.

— Och, ksiądz jest prawdziwym sługą bożym — zawołał Caderousse — przecież ksiądz mógł zatrzymać ten pierścionek, bo Edmund dał go księdzu na osobności.

— Wszystko przemawia za tym, że ty byś, kochasiu, tak zrobił — szepnął ksiądz i wstał, sięgnąwszy po rękawiczki i kapelusz. — Ale, ale... — rzucił — mogę więc polegać na tym, coś mi pan opowiedział, jako na rzetelnej prawdzie?

— Niech ksiądz spojrzy na ten drewniany poświęcony krzyż tam w rogu i na tę Ewangelię mojej żony leżącą na skrzyni; niechże ksiądz otworzy książkę, a ja przysięgnę na rany Chrystusa, na zbawienie moje i chrześcijańską wiarę, żem opowiedział wszystko, jak było i jak mój anioł stróż szepnie o tym Bogu na sądzie ostatecznym.

— No dobrze, dobrze — uspokoił go ksiądz, zawierzywszy tym słowom powiedzianym szczerze. — Niechże ci posłużą te pieniądze! Do widzenia, wracam do swojej samotni, gdzie człowiek człowiekowi nie wyrządza tak wielkiej krzywdy.

I ksiądz, opędziwszy się z trudem wielkim od nazbyt wylewnych podziękowań Caderousse'a, otworzył drzwi, siadł na koń, skłonił się raz ostatni oberżyscie żegnającemu go coraz krzykliwiej i odjechał w tym samym kierunku, skąd przyjechał.

Odwróciwszy się Caderousse dostrzegł Karkontkę bledszą i bardziej niż zwykle rozdygotaną.

— Czy to prawda? Czym się nie przesłyszała? — zagadnęła.

— Co? Że dał nam ten diament? — wykrzykiwał Caderousse nieprzytomny z radości.

— Tak.

— Pewnie, że prawda! Bo popatrz! Przyjrzawszy się klejnotowi kobieta rzekła głucho:

— A nie jest aby fałszywy? Caderousse zbladł, zachwiał się.

— Fałszywy —jęknął — fałszywy... A dlaczegoż miałby mnie oszukać?

— Po to, głupcze, żeby nie zapłacić ani grosza za informacje. To przypuszczenie ogłuszyło jakby na moment Caderousse'a.

— Możemy się zaraz o tym przekonać — zawołał i chwyciwszy kapelusz, wetknął go na głowę owiazaną czerwoną chustką.

— W jaki sposób?

— Przyjechali dziś do Beaucaire na jarmark złotnicy paryscy; pokażę im ten diament. A ty pilnuj domu. Wrócę za dwie godziny.

Wypadł na dwór i popędził w przeciwnym kierunku, niż odjechał ksiądz. — Pięćdziesiąt tysięcy franków! — mruknęła Karkontka. — Hm, to sporo... ale nie majątek.

28. REJESTRA WIĘZIENNE

Nazajutrz po opisanym właśnie wydarzeniu, które rozegrało się w przydrożnej karczmie między Beaucaire a Bellegarde, mężczyzna lat około trzydziestu, odziany w chabrowy frak, nankinowe spodnie i białą kamizelkę, zdradzający zarówno swoim wyglądem, jak i mową anglosaskie pochodzenie, złożył wizytę merowi Marsylii.

— Łaskawy panie — rzekł — jestem prokurentem formy Thomson i French w Rzymie. Od dziesięciu lat utrzymujemy ścisłe stosunki z marsylskim Domem Handlowym Morrel i Syn. W obrotach z tą firmą zaangażowaliśmy około stu tysięcy franków; zaniepokoił się tedy serio, posłyszawszy, że firmie tej grozi ruina; pragnąc zebrać konkretniejsze dane o rzeczonym przedsiębiorstwie, przyjechałem specjalnie z Rzymu.

— O ile wiem, proszę pana, już od kilku lat spadają na pana Morrela dotkliwe ciosy: stracił kolejno pięć statków i kilka razy zbankrutował; ale choć jestem jego wierzycielem, zadłużył się bowiem u mnie na jakieś dziesięć tysięcy franków, nie moja to rzecz wydawać opinię o stanie jego majątku. Jeśli zapytasz mnie pan jako mera, co sądzę o panu Morrelu, odpowiem, że to człowiek uczciwy aż do przesady i że dotychczas wywiązywał się ze swoich zobowiązań nienagannie. To wszystko, co mogę panu powiedzieć. Jeśli pragniesz pan dowiedzieć się więcej, zwróć się do pana de Boville, inspektora więzień zamieszkującego przy ulicy de Noailles 15; słyszałem, że ulokował on w firmie Morrela dwieście tysięcy franków, jeśli więc są rzeczywiście jakieś powody do obaw, inspektor winien być lepiej poinformowany ode mnie, bo zaangażował sumę znacznie wyższą.

Anglik ocenił widać w pełni tę nadzwyczajną delikatność, skłonił się bowiem merowi, wyszedł i skierował się pod wskazany adres. Chód miał szczególny, charakterystyczny dla synów Wielkiej Brytanii.

Pan de Boville był akurat w swoim gabinecie; ujrawszy gospodarza, Anglik drgnął okazując zdziwienie — jak gdyby spotkali się już kiedyś. Natomiast pan de Boville był tak czymś zdesperowany, tak głęboko pochłonięty jakąś myślą nie opuszczając go na moment, że nie dozwalał ani pamięci, ani wyobraźni zapuszczać się w krainę przeszłości.

Nowo przybyły, flegmatyczny jak wszyscy Anglicy, zadał inspektorowi to samo pytanie — i w takiej samej niemal formie — które postawił merowi Marsylii.

— Och, proszę pana — zawołał pan de Boville — pańskie obawy są aż nadto uzasadnione i masz pan przed sobą człowieka zrozpaczonego. Ulokowałem w firmie Morrel i Syn dwieście tysięcy franków: to posag mojej córki, którą zamierzałem wydać za mąż najdalej za dwa tygodnie; należność ta miała być płatna w dwóch ratach: sto tysięcy — piętnastego bieżącego miesiąca, a drugie sto tysięcy za miesiąc. Uprzedziłem pana Morrela, że pragnę otrzymać te pieniądze bez opóźnienia, i, wyobraź pan sobie, Morrel był u mnie może z pół godziny temu i zakomunikował mi, że nie będzie w stanie zwrócić mi tej sumy, o ile „Faraon” nie zawinie przed piętnastym do portu.

— Wygląda na to, że pan Morrel gra na zwłokę — zauważył Anglik.

— Wygląda to raczej na plajtę! — wykrzyknął zrozpaczony pan de Boville. Zastanowiwszy się chwilę, Anglik zagadnął:

— Słowem, ta należność budzi w panu obawy?

— Uważam ją po prostu za straconą.

— A ja chętnie ją przejmę.

— Pan?

— Tak.

— Chyba ze znaczną zniżką?

— Ale skąd! Daję dwieście tysięcy franków. Nasza firma takich interesów nie robi — dorzucił z uśmiechem.

— A płacisz pan?...

— Gotówką.

I Anglik wyjął z kieszeni plik banknotów na sumę dwukrotnie wyższą od tej, która w panu de Boville budziła takie obawy.

Radość przemknęła po obliczu inspektora; opanowując się jednak rzekł:

— Muszę pana uprzedzić, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie odzyskasz i sześciu procent tej sumy.

— Nie moja to sprawa — odparł Anglik. — To rzecz firmy Thomson i French, w imieniu której działam. Może spodziewa się ona jakiejś korzyści, przyspieszając ruinę konkurencyjnej firmy.... Wiem tylko jedno: jestem gotów wypłacić panu tę sumę, o ile dokonasz pan przeniesienia; ale poproszę też o fakto.

— Oczywiście, proszę pana! To się samo przez się rozumie! — zawołał pan de Boville. — Wynosi ono zazwyczaj półtora procent; chcesz pan dwa? trzy? pięć a może więcej? Mówże!

— Drogi panie — roześmiał się Anglik — takich interesów nie robimy: ani ja, ani moja firma! Nie, proszę pana, mówiąc o faktornym, zupełnie co innego miałem na myśli.

— Mów pan. Słucham.

— Jesteś pan inspektorem więzień?

— Tak. Przeszło czternaście lat.

— To w pańskich rękach znajdują się rejestra więzienne?

— Oczywiście.

— Czy w rejestrach tych można znaleźć jakieś adnotacje dotyczące poszczególnych więźniów?

— Każdy więzień ma swoje akta.

— Owóż, proszę pana, wychowywał mnie w Rzymie pewien ubogi ksiądz, który zniknął raptem. Dowiedziawszy się później, że więziono go w If, chciałbym poznać szczegóły jego śmierci.

— Jakże on się zwał?

— Faria.

— A! Pamiętam go doskonale! — wykrzyknął pan de Boville. — To był wariat.

— Podobno.

— Ależ na pewno.

— Możliwe. A jakież to był rodzaj szaleństwa?

— Twierdził, że wie o istnieniu ogromnego skarbu, i ofiarowywał rządowi szalone sumy w zamian za wolność.

— Biedaczysko. No i zmarło mu się?

— Tak, proszę pana, jakieś pół roku temu, chyba w lutym.

— Masz pan wyborną pamięć, skoroś tak łatwo przypomniał sobie tę datę.

— Zapamiętałem ten szczegół, bo śmierci biedaka towarzyszył pewien dziwny przypadek.

— Czy możesz mnie pan o nim poinformować? — zagadnął Anglik, a bystrego obserwatora zdumiałoby zaciekawienie, malujące się teraz na tym flegmatycznym obliczu.

— Ależ oczywiście, drogi panie. Loch, gdzie mieszkał ksiądz, był oddalony o jakie pięćdziesiąt stóp od celi agenta napoleońskiego, jednego z tych, co w roku 1815 przyczynili się do powrotu uzurpatora; więzień ten był zdecydowany na wszystko i nad wyraz niebezpieczny.

— Doprawdy? — wtrącił Anglik.

— O tak — zapewnił pan de Boville. — W roku 1816, a może 17 zetknąłem się z nim nawet osobiście; schodziło się do jego lochu z pikietą żołnierzy; człowiek ten wywarł na mnie głębokie wrażenie, nigdy chyba nie zapomnę jego twarzy.

Po licach Anglika przemknął uśmiech.

— Powiadasz pan — podjął — że lochy...

— Oddalone były od siebie o pięćdziesiąt stóp; ale zdaje się, że ów Dantès...

— To ten niebezpieczny człowiek nazywał się...

— Edmund Dantès. Owóz Dantès wytrzasnął skądś narzędzia albo sam je zmagistrował, bo wykryto podkop, dzięki któremu więźniowie odwiedzali się wzajem.

— Więźniowie zamierzali pewnie uciec i dlatego wykopali podkop.

— Rzec jasna, ale szczęście im nie dopisało, bo Faria dostał ataku kataleptycznego i zmarł.

— Sądzę, że to zniweczyło wszelkie próby ucieczki.

— Zmarłemu było już wszystko jedno, ale żywy nie dał za wygraną; przeciwnie, uznał tę okoliczność za sprzyjającą jego planom; mniemał zapewne, że więźniów zmarłych w twierdzy grzebano na zwyczajnym cmentarzu; przeniósł więc trupa do swojej celi, sam zajął jego miejsce w worku i czekał na pochówek.

— To ryzykowny krok, znamionujący niejaką odwagę.

— Przecież mówiłem panu, że był to człowiek prawdziwie niebezpieczny; szczęściem, sam uspokoił obawy, jakimi przejmował rząd.

— A to jakim sposobem?

— Nie pojmujesz pan?

— Nie.

— W twierdzy If nie ma cmentarza; zmarłych rzuca się po prostu w morze, przywiązawszy im uprzednio do stóp trzydziestosześcioletni pocisk.

— Cóż tedy?... — zagadnął tępo Anglik.

— Tedy przywiązano mu do stóp trzydziestosześcioletni pocisk i rzucono go w morze.

— Niepodobna! — zakrzyknął Anglik.

— Tak się stało. Wyobrażam sobie zdumienie tego uciekiniera, kiedy połapał się, że rzucono go w morze. Chciałbym widzieć wtedy jego minę.

— Nie byłoby to łatwe.

— Phi, to fraszka — zażartował pan de Boville, gdyż odzyskawszy dwieście tysięcy franków, odzyskał i dobry humor — i tak wyobrażam ją sobie.

I parsknął śmiechem.

— Ja też — dorzucił Anglik.

I również się roześmiał, ale tak, jak śmieją się Anglicy - półgębkiem.

— Tak więc utopiono zbiega — zakonkludował Anglik, który pierwszy odzyskał zimną krew.

— Tak, i to na dobre.

— Tym sposobem naczelnik więzienia został uwolniony jednocześnie od szaleńca i od obłąkanego.

— Święta prawda.

— Spisano zapewne protokół całej sprawy?

— Cóż, sporządzono akt zejścia. Pojmujesz pan, krewni Dantèsa, jeśli tacy istnieją, zapragną może kiedyś poinformować się, czy kuzyn żyje.

— Gdyby więc chodziło o schedę, nie żywiliby żadnych obaw, bo umarł i nie zmartwychwstanie.

— Ach, oczywiście. Akt zejścia mogą otrzymać w każdej chwili.

— Amen — rzucił Anglik — ale wróćmy do rejestrów.

— Prawda, prawda. Ta historyjka bardzo nas od nich oddaliła. Stokrotnie przepraszam.

— Za co pan przepraszasz? Za tę historyjkę? Nie ma za co. Wydała mi się nawet bardzo zajmująca.

— Bo i taka jest. Więc chciałbyś pan się dowiedzieć, co zanotowaliśmy o pańskim biednym księdzu, który był wcieleniem łagodności?

— Z największą chęcią.

— To chodźmy do kancelarii, pokażę panu jego akta. I pospieszyli obaj do kancelarii pana de Boville.

Panował tu ład nadzwyczajny: każdy rejestr opatrzony był numerem, wszystkie akta spoczywały w przegródkach. Inspektor posadził Anglika w swoim fotelu i położył przed nim rejestr i akta dotyczące twierdzy If; sam, usadowiwszy się w kącie, zabrał się do czytania gazety, pozostawiając Anglikowi zupełną swobodę w wertowaniu szpargałów urzędowych.

Anglik odszukał bez trudu akta księdza Fani, ale widać opowiadanie pana de Boville zajęło go żywo, nie poprzestał bowiem na adnotacjach dotyczących losu księdza Farii, lecz poty wertował, póki nie trafił na akta Edmunda Dantès. Znalazł tu wszystko: donos, protokół przesłuchania, petycję Morrela poświadczoną przez Villeforta. Złożył po cichutku donosielską kartkę, wsunął ją do kieszeni, a czytając protokół stwierdził, że nazwisko Noirtiera nie figurowało w nim; rzucił okiem na prośbę z 10 kwietnia 1815 roku, w której pan Morrel, idąc za radą podprokuratora, podkreślał przesadnie — w najlepszych zresztą intencjach, gdyż Napoleon rządził wtedy Francją — zasługi Dantès dla sprawy cesarskiej, które dzięki świadectwu Villeforta stały się niezaprzeczalne. Suplika ta, skierowana do Napoleona, którą wszelako Villefort zatrzymał u siebie, była za czasów drugiej Restauracji straszliwą bronią w rękach podprokuratora królewskiego. Przerzucając tedy karty rejestru, nie zdziwił się wcale, spostrzegłszy obok swojego nazwiska krótką notatkę, ujętą w klamrę:

*Edmund Dantès
pojadły bonapartysta. Brał czynny udział w organizowaniu ucieczki
z Elby.
Odizolować raz na zawsze; trzymać pod najściślejszym dozorem.*

Niżej dopisano innym charakterem:

Z uwagi na powyższą adnotację, nieodwołalne.

Ale porównując pismo adnotacji, ujętej w klamrę, z pismem Villeforta, które widniało na marginesie petycji, stwierdził, że skreśliła je ta sama ręka.

Jeśli idzie o dopisek przy adnotacji, Anglik domyślił się, że skreślił go jakiś inspektor, który zainteresował się przelotnie losem Dantès, ale wobec przytoczonego wyjaśnienia nie mógł nic uczynić.

Jak powiedzieliśmy, inspektor, powodowany dyskrecją, zaszył się w kącie i żeby nie krępować wychowanka księdza Farii, wetknął nos w „Drapeau Blanc”.

Nie zauważył więc, jak Anglik złożył i wsunął do kieszeni donos napisany przez Danglarsa w „Ustroniu”, w zacisznej altance; na kartce był marsylski stempel pocztowy z datą 27 lutego, szósta po południu.

Ale rzec to trzeba, że gdyby nawet dostrzegł cokolwiek, i tak nie sprzeciwiłby się niewłaściwemu postępkowi Anglika, gdyż nie przywiązując do owego dokumentu zbyt wielkiej wagi, wielce sobie cenił swoje dwieście tysięcy franków.

— Stokrotne dzięki — rzekł Anglik, zamykając hałaśliwie rejestr — znalazłem to, czegom potrzebowałem; teraz kolej na mnie dotrzymać obietnicy: napisz pan kilka słów, przekazując mi wiarytelność, pokwituj odbiór sumy, a zaraz ją wypłacę.

Ustąpił panu de Boville miejsca przy biurku, inspektor siadł bez ceregieli i zabrał się skwapliwie do sporządzania żądanego przelewu; Anglik tymczasem obliczał banknoty na brzegu półki.

29. FIRMA MORREI I SYN

Ten, kto wyjechałby lat temu kilka z Marsylii, znając firmę Morrel i Syn, a powrócił w czasach, o których mowa, zastałby wielkie zmiany.

Zamiast atmosfery ożywienia, dobrobytu i szczęścia, która spowija firmę znakomicie prosperującą, zamiast rozradowanych twarzy wychylających się zza firanek, zamiast urzędników zaaferowanych, którzy z piórem zatkniętym za ucho przebiegają korytarze, zamiast dziedziców zapchanego skrzyniami, rozbrzmiewającego śmiechem i nawoływaniem tragarzy, dostrzegłby, już na pierwszy rzut oka, jakiś smutek i ciszę śmierci.

Z ciżby urzędników, którzy niegdyś uwijali się po kantorach firmy, zostało dwóch i tylko ich spotykało się na wyludnionych korytarzach czy opustoszałym podwórzu; jednym był dwudziestoparoletni Emanuel Raymond, młodzieniec zakochany w pannie Morrel, który pozostał tutaj, choć rodzice chwyтали się wszelkich środków, by firmę opuścić; drugim — dawny woźny z kasy, ślepy na jedno oko, zwany Koklesem; miano to nadali mu młodzieńcy zamieszkujący niegdyś ten wielki brzęczący ul, dziś niemal wyludniony, miano, które tak wybornie zastąpiło mu prawdziwe nazwisko, że pewnie by się dziś nie obejrzał, gdyby go ktoś zawołał po imieniu.

Kokles pozostał tedy w służbie u pana Morrela, ale i w sytuacji tego zacnego człowieka zaszła szczególna zmiana. Wyniesiony do rangi kasjera, został zepchnięty jednocześnie do rangi służącego.

Kokles pozostał jednak zawsze tak samo zacny, cierpliwy, oddany, ale nieustępliwy, gdy szło o arytmetykę, o którą gotów był kruszyć kopie z całym światem i stawić czoło nawet samemu panu Morrel; uznający jedynie tabliczkę mnożenia, a wykuł się jej tak, że nikt żadnym, choćby najchytrzejszym, podstępem nie przyłapałby go na błędzie.

Wobec smutku, który zawładnął całym domem pana Morrel, tylko Kokles zachowywał dawny spokój. Ale nic dajcie się zwodzić pozorom: ta obojętność nie wynikała bynajmniej z braku serdecznych uczuć — przeciwnie, z niezachwianej pewności. Jak szczury, co podobno wynoszą się z wolna ze statku skazanego przez los na zagładę wśród morskich odmętów, jak owi egoistyczni lokatorzy umykający z okrętowych zakamarków, nim statek podniesie kotwicę, tak samo, jak się rzekło, ów rój prokurentów i urzędników, który żył na koszt firmy Morrel, opuścił biura i magazyny; Kokles widział; co prawda, że wszyscy odchodzą, ale nie zastanawiał się wcale nad przyczyną tego zjawiska; wszystko, jak powiedzieliśmy, sprowadzało się dla niego do kwestii cyfr, a zaobserwowawszy podczas swojej dwudziestoletniej służby u armatora, że płatności bez wypowiedzenia odbywały się z nadzwyczajną regularnością, nie wyobrażał sobie, aby owa punktualność mogła kiedykolwiek zawieść, płatności zaś ulec zawieszeniu — podobnie jak właściciel wodnego młyna poruszającego się dzięki obfitym wodom rzeki nie dopuszcza do siebie myśli, iż owa rzeka płynąć przestanie. Bo i rzeczywiście nic dotąd nie podważyło wiary Koklesa. Pod koniec miesiąca wypłacono wszystko z akuracją wzorową. Kokles wykrył, że pan Morrel omylił się w rachunkach o siedemdziesiąt centymów, i tegoż jeszcze dnia odniósł mu je, pryncypał bowiem pomylił się na swoją niekorzyść. Pan Morrel wziął je uśmiechając się melancholijnie i wrzucił do szuflady prawie puste, mówiąc:

— Doskonale, Koklesie, jesteś perłą wśród kasjerów.

I Kokles wyszedł, nie posiadając się z radości: pochwała od pana Morrela — tej perły wśród uczciwych marsylczyków — pochlebiała mu bardziej niżli pięćdziesiąt dukatów gratyfikacji.

Lecz po owym miesiącu, który zakończył tak zwycięsko, pan Morrel zaznał chwil okrutnych, gdyż aby odnieść ten triumf, zgromadził był wszystkie swoje zasoby: uciekł się do środków ostatecznych, w obawie zaś, aby jego kłopoty finansowe nie nabrały przykrego rozgłosu w Marsylii, pojechał sam do Beaucaire, gdzie sprzedał na targu trochę klejnotów żony i córki, a także część swoich sreber. Dzięki tej ofierze firma Morrela raz jeszcze wyszła z honorem — ale kasa świeciła pustkami. „Kredyt”, przerażony plotką, wycofał się ze zwykłym sobie egoizmem, i pan Morrel, który piętnastego bieżącego miesiąca musiał wypłacić panu de Boville sto tysięcy franków, a w miesiąc później drugie tyle — liczył już tylko na powrót „Faraona” zapowiedziany przez załogę innego statku, który w tymże czasie, podniósłszy kotwicę, zawinął już był szczęśliwie do Marsylii.

Ale statek ów, który jak i „Faraon” wyruszył z Kalkuty, przybył dwa tygodnie temu, „Faraon” zaś nie dawał znaku życia.

Tak to przedstawiały się sprawy, kiedy wysłannik rzymskiej firmy Thomson i French, ubiwszy ważny i znany już czytelnikowi interes z panem de Boville, zjawił się u pana Morrela.

Przyjął go Emanuel. Młodzieniec, którego przerażała każda nowa twarz — albowiem zjawiali się wciąż nowi wierzyciele, rozpytując niespokojnie o szefa firmy — chciał zaoszczędzić pryncypałowi jeszcze jednej niemiłej wizyty; zagadnął więc przybysza o cel odwiedzin — ale przybysz oświadczył, że nie ma panu Emanuelowi nic do zakomunikowania i że pragnie mówić z panem Morrelem.

Emanuel westchnął i zawołał Koklesa. Zjawił się Kokles, a młodzieniec kazał mu zaprowadzić cudzoziemca do pana Morrela.

Kokles poszedł przodem a cudzoziemiec za nim.

Na schodach spotkali urodziwą siedemnastoletnią dziewczynę; spojrzała niespokojnie na cudzoziemca.

Kokles nie dostrzegł niepokoju, który odmalował się na jej twarzy, lecz nie uszedł on uwagi obcego.

— Pan Morrel jest u siebie w gabinecie, prawda, panno Julio? — ozwał się kasjer.

— Chyba tak — odrzekła z wahaniem panienka. — Ale niech pan sam zobaczy, panie Koklesie, a jeśli ojciec jest, niech pan oznajmi tego pana.

— To byłoby zbyteczne — wtrącił Anglik — gdyż pan Morrel nie zna mojego nazwiska. Niechże ten zacny człek powie tylko, że przybył prokurent firmy Thomson i French w Rzymie, z którą szanowny ojciec pani utrzymuje stosunki handlowe.

Dziewczyna zbladła i poszła na dół, a Kokles i cudzoziemiec na górę.

Weszła do kancelarii, gdzie urzędował Emanuel, a Kokles tymczasem dobył klucz, świadczący, iż zawsze miał prawo wstępu do pryncypała, otworzył drzwi na drugim piętrze, wprowadził cudzoziemca do przedpokoju, otworzył drugie drzwi, zamknął je, pozostawił wysłannika firmy Thomson i French na chwilę samego, a zjawiwszy się znów, dał mu znak, by wszedł.

Anglik wszedł; pan Morrel siedział przy stole i blednąc coraz bardziej, wpatrywał się w groźne kolumny cyfr wyrażające pasywa.

Na widok nieznanego zamknął księgę, wstał i przysunął krzesło, a kiedy gość usiadł, siadł i gospodarz.

Godny kupiec, który na początku tej historii miał lat trzydzieści sześć, a dziś ma już pod pięćdziesiątkę, zmienił się przez ten czas bardzo: posiwiął, czoło pokryło mu się zmarszczkami świadczącymi o troskach, a spojrzenie, ongi tak stanowcze i zdecydowane, było teraz pełne wahania — jakby pan Morrel wciąż musiał zadawać sobie przymus, by rozpatrzyć jakąś sprawę albo spojrzeć na kogoś.

Anglik popatrzył nań, w oku jego zabłysła ciekawość, a i na pewno sympatia.

— Chciałeś pan ze mną mówić? — ozwał się Morrel, którego zatroskanie wzmogło się jakby pod badawczym okiem gościa.

— Tak, łaskawy panie. Wiesz pan zapewne w czym przychodzę imieniu?

— Przyszli pana panowie Thomson i French; tak mnie przynajmniej poinformował mój kasjer.

— I nie omylił się, łaskawy panie. Firma Thomson i French ma w ciągu miesiąca wypłacić we Francji do czterystu tysięcy franków, a znając pańską nadzwyczajną akuratność, wykupiła wszystkie weksle opatrzone pańskim podpisem. W miarę jak nadchodzić będą terminy płatności, mam podejmować gotówkę u pana i obracać nią dalej.

Morrel westchnął głęboko i przeciągnął dłonie po spotniałym czole.

— Tak więc — zagadnął — masz pan weksle z moim podpisem?

— Tak, proszę pana, i to na wcale znaczną sumę.

— Na jaką? — spytał Morrel, usiłując nadać głosowi naturalne brzmienie.

— Owóż — odparł Anglik, wyciągając z kieszeni plik papierów — mam tu najpierw przelew opiewający na dwieście tysięcy franków, a dokonany przez pana de Boville, inspektora więzień. Czy uznajesz pan tę należność?

— Tak, proszę pana. Niedługo minie pięć lat, jak ulokował u mnie tę kwotę na cztery i pół procent.

— A kiedy miałeś ją pan zwrócić?

— Połowę w tym miesiącu, piętnastego, a resztę za miesiąc.

— Owszem, zgadza się; następnie trzydzieści dwa tysiące franków płatne z końcem tego miesiąca: to weksle z pańskim podpisem, które wykupiliśmy z trzecich rąk.

— Nie kwestionuję — odpowiedział Morrel, czerwieniejąc ze wstydu na myśl, że pierwszy raz w życiu nie będzie mógł zapewne honorować swojego podpisu. — Czyż to nie wszystko?

— Nie, łaskawy panie. Mam tu jeszcze walory płatne z końcem przyszłego miesiąca, które przekazała nam firma Pascal i firma Wild i Turner z Marsylii. Będzie tego z pięćdziesiąt pięć tysięcy franków, a zsumowawszy wszystko, wypada dwieście osiemdziesiąt siedem tysięcy pięćset franków.

Opisać niepodobna, ile w czasie tego obrachunku wycierpiał biedny Morrel.

— Dwieście osiemdziesiąt siedem tysięcy pięćset franków! — powtórzył machinalnie.

— Tak, łaskawy panie — potwierdził Anglik. — Jakoż — ciągnął po krótkiej pauzie — nie będę tań, choć pańskiej kryształowej uczciwości, bo taką opinię miałeś dotąd, nikt nie neguje, że mówią głośno w Marsylii o pańskim bankructwie.

Na te słowa szczerze i niemal brutalnie Morrel poblądł jak trup.

— Mój panie — odparł — do dziś, a ojciec powierzył mi kierownictwo firmy przeszło dwadzieścia cztery lata temu i sam nią zawiadywał lat trzydzieści pięć, do dziś nikt jeszcze nie odszedł z pustymi rękami od naszej kasy, przedstawwszy weksel, podpisany Morrel i Syn.

— Tak, wiem o tym, pytam więc pana, jak człowiek honorowy pyta człowieka honorowego, a pan odpowiedz mi szczerze: czy i to wszystko zapłacisz z taką samą akuratnością?

Morrel zadrżał, lecz spojrzawszy na rozmówcę znacznie śmieiej niż poprzednio.

— Na pytanie tak szczerze — odrzekł — trzeba dać szczerą odpowiedź. Tak, proszę pana, zapłacę, jeśli mój statek zawinie, jak się tego spodziewam, szczęśliwie do portu, bo dzięki temu odzyskam

kredyt, który straciłem na skutek kolejnych, a niefortunnych dla mnie wypadków; jeśli jednak nieszczęsnym trafem „Faraon”, ostatnia moja nadzieja, zawiedzie...

W oczach biednego armatora zakręciły się łzy.

— Jeśli zawiedzie, to cóż wtedy?

— Cóż wtedy, mój panie... powiedzieć to ciężko, ale przywykłem już do nieszczęścia, trzeba mi więc będzie przyzwyczać się i do hańby... Tak, chyba zawieszę wypłatę, skoro nie będę mógł inaczej.

— To nie masz pan przyjaciół, którzy wsparliby cię w tych kłopotach? Morrel uśmiechnął się smutno.

— W interesach, mój panie — rzekł — nie mamy przyjaciół, wiesz pan o tym dobrze. Mamy tylko wspólników.

— To prawda — szepnął Anglik. — Została więc panu jedyna nadzieja?

— Jedyna.

— I ostatnia?

— Ostatnia.

— Toteż jeśli ona zawiedzie?...

— Przepadłem, mój panie, przepadłem na amen.

— Kiedym szedł do pana, jakiś statek wchodził do portu.

— Wiem, wiem... Młodzieniec, który nie opuścił mnie w biedzie, przesiaduje na wieżycze, spodziewa się bowiem, że pierwszy przyniesie mi dobrą nowinę. Zawiadomił mnie o przybyciu tego statku.

— I to nie był pański statek?

— Nie. To „Żyronda”, statek z Bordeaux, wyruszył także z Indii; nie, nie mój.

— Ale może słyszeli na nim coś o „Faraonie”, może otrzymasz pan jaką wiadomość?

— Niechętnie się do tego przyznaję, ale powiem panu, że lękam się prawie tak samo wieści o moim trójmasztowcu, jak i tej niepewności. W niepewności jest choć iskra nadziei...

I pan Morrel dorzucił głucho:

— Nie podoba mi się to spóźnienie. „Faraon” wyruszył z Kalkuty 5 lutego, powinien więc już tu być z górą od miesiąca.

— Co się tam dzieje? — ozwał się Anglik natężając ucha. — Cóż to za hałas?

— O Boże, Boże! — zawołał Morrel błędąc. — Cóż to nowego? Rzeczywiście, na schodach było głośno: ktoś biegał, tupał, a nawet i lamentował.

Morrel wstał, żeby otworzyć, ale siły go zawiodły i opadł na fotel.

Obaj mężczyźni siedzieli nieruchomo naprzeciw siebie. Morrel drżał na całym ciele, cudzoziemiec patrzył nań z głęboką litością. Hałas ustał, zdawało się jednak, że Morrel wciąż na coś czeka; ów hałas miał przyczynę, musiał więc mieć i skutki.

Cudzoziemcowi wydało się, że słyszy czyjeś kroki na schodach — szło po nich kilka osób: zatrzymały się na podeście.

Klucz zachrobotał w zamku pierwszych drzwi, drzwi skrzypnęły.

— Tylko dwie osoby mają klucz od tych drzwi, Kokles i Julia — ozwał się cicho Morrel.

W tejże chwili otworzyły się drugie drzwi i ukazała się Julia — blada, zalana łzami.

Morrel wstał drżący i oparł się o poręcz fotela, gdyż nie mógł utrzymać się na nogach. Chciał pytać, ale nie mógł dobyć głosu.

— Mój ojciec — rzekła Julia, składając ręce — wybacz, że dziecię twoje przynosi ci złą nowinę.

Morrel pobladł okropnie; Julia rzuciła mu się w objęcia.

— Ojciec, ojciec — mówiła — odwagi!

— A więc „Faraon” zatonął? — spytał Morrel, a słowa więzły mu w gardle. Julia nie odpowiedziała i tylko kiwnęła potakująco głową wspartą o pierś ojca.

— A załoga? — spytał Morrel.

— Ocalona — odrzekła Julia. — A ocalił ją statek z Bordeaux, który właśnie zawinął do portu.

Morrel wzniosł ręce do nieba, a patetyczny ów gest wyrażał rezygnację i podziękę.

— Dziękuję ci, Boże — powiedział. — Ugodziłeś tylko mnie! W oku flegmatycznego Anglika błysła łza.

— Wejdźcie, wejdźcie — ozwał się Morrel. — Domyślam się, że jesteście za drzwiami.

I rzeczywiście, ledwie wyrzekł te słowa, weszła pani Morrel szlochając, a za nią wszedł Emanuel — dalej zaś, w przedpokoju, widniały surowe lica półnagich marynarzy.

Ujrawszy tych ludzi, Anglik zadrżał; uczynił krok, jakby chciał podbiec do nich, ale zapanowawszy nad sobą, cofnął się w najciemniejszy i najdalszy kąt gabinetu.

Pani Morrel usiadła w fotelu i ujęła męża za rękę, a Julia stała wciąż przytulona do ojca. Emanuel zatrzymał się pośrodku pokoju i był jakby pośrednikiem między rodziną Morrelów a marynarzami stojącymi w drzwiach.

— Jakże to było? — spytał Morrel.

— Chodźcie tu, Penelon, i opowiedzcie o wypadku — rzeki młodzieniec. Stary marynarz, ogorzały od równikowego słońca, wystąpił, mnąc resztki kapelusza.

— Dzień dobry, panie Morrel — ozwał się, jak gdyby wczoraj opuściwszy Marsylię, wrócił z Aix albo Tulu.

— Dzień dobry, mój drogi — odrzekł armator, uśmiechając się poprzez łzy. — Ale gdzież kapitan?

— Kapitan, panie Morrel, zachorował i pozostał w Palmie. Ale da Bóg, że nic mu nie będzie i za parę dni wróci tu zdrów jak ryba.

— To dobrze... Opowiadajcież, Penelon.

Penelon żując prymkę przesunął ją językiem z prawa na lewo, zasłonił usta, odwrócił się, strzyknął czarniawą śliną daleko na środek przedpokoju, wysunął nogę i kołyszając się w biodrach, rozpoczął:

— Byliśmy, panie Morrel, tak mniej więcej między Przylądkiem Białym a Przylądkiem Boyador; po tygodniu paskudnej ciszy popchnęła nas bryza południowa-południowo-zachodnia i tak jechaliśmy sobie, aż tu kapitan Gaumard podchodzi do mnie — a trzeba panu wiedzieć, że byłem przy sterze — podchodzi i powiada:

— Co myślicie, ojczu, o tych chmurach, co gromadzą się tam na horyzoncie?

Akurat i ja tam patrzałem.

— Co myślę, panie kapitanie? Myślę, że wylażą prędeżej, niż mają prawo, i że są czarniejsze, niż przystoi chmurom, które nie mają złych zamiarów.

— I ja też tak myślę — powiada kapitan — trzeba mi więc przedsięwziąć środki ostrożności. Za dużo mamy żagli jak na taki wicher, co zaraz się zacznie.

— Hej tam! Gotuj się do zwijania bombramsli i skracania kliwra!

Czas był po temu; ledwie rozkaz wykonano, a już wiatr nas dopadł i statek się przechylił.

— Dobra — powiada kapitan — za dużo mamy jeszcze żagli. Zwijaj wielki żagiel! — W pięć minut zwinięto wielki żagiel i szliśmy pod fokiem, marsłami i bramslami.

— No cóż, ojczu, tak kiwacie głową — powiada mi kapitan.

— Ja bo na pańskim miejscu, widzi pan, zmykałbym, gdzie pieprz rośnie.

— Chyba masz rację, mój stary. Wiatr może nas porządnie trzepnąć — powiada mi na to.

— E — powiadam mu — gdzie tam, panie kapitanie! Ten, co kupiłby tę hecę za wichurę, zarobiłby niezgorzej; to sztorm jak się patrzy albowiem kiej!

To znaczy, że widzieliśmy, jak ten wiatr nadchodził, tak samo, jak się widzi kurz, kiedy wiatr gna go od Mont-Reddon; szczęściem, miał do czynienia z kimś, kto się na tym zna.

— Skróć marsie o dwa szoty! — zawołał kapitan. — Zluźnij szoty! Brasuj na wiatr! Przyciągnij marsie! Przyciągnij bloki na rejach!

— W tych okolicach to za mało — wtrącił Anglik. — Skróciłbym o cztery i pozbył się fokżagla.

Wszyscy zadrżeli, gdy padła ta nieoczekiwana uwaga, rzucona głosem stanowczym i dźwięcznym. Peneion przyłożył dłoń do oczu i spojrzał na nieznanego, który z taką pewnością siebie skrytykował manewr kapitana.

— Spisaliśmy się lepiej — odrzekł z odcieniem szacunku stary marynarz — bo zwiniliśmy bezan i położyliśmy ster na nawietrzną, żeby iść w czole burzy. Po dziesięciu minutach zwiniliśmy marsie i popłynęliśmy bez żagli.

— Za wielkie to było ryzyko, boście płynęli na starym pudle — zauważył znów Anglik.

— I to nas właśnie zgubiło! Po dwunastu godzinach diabelskiego huśtania zrobił się przeciek.

— Penelon — powiada mi kapitan — chyba już, mój stary, toniemy; daj no mi ster i złaż na dół.

Daję mu ster, złączę, a tam wody już na trzy stopy. Wyłączę więc i wołam: Do pomp! Do pomp! Ale, choroba, było za późno! Zaczęliśmy pompować, ale cośmy trochę wypompowali, to się jeszcze więcej nalało.

— I, do diabła — powiadam sobie po czterech godzinach tej roboty — jak toniemy, to i tońmy, raz w życiu się umiera.

— Ładny ty mi dajesz przykład, bratku — powiada kapitan. — Zaczekaj no. — I przynosi ze swej kajuty parę pistoletów.

— Kto odejdzie od pompy — powiada — temu w łeb wypalę.

— Bardzo słusznie — wtrącił Anglik.

— A nic tak nie dodaje odwagi jak słuszne racje — ciągnął marynarz. — A tymczasem niebo się przetało i wiatr ucichł; a że wody wciąż przybywało, to insza sprawa. Niedużo, tak ze dwa cale na godzinę, no, ale co przybywało, to przybywało. Dwa cale na godzinę, mój panie, to niby nic, ale przez dwanaście godzin, to już ni mniej, ni więcej, tylko dwadzieścia cztery cale, a dwadzieścia cztery cale to łokieć. A że mieliśmy przedtem trzy stopy, było teraz pięć. Owóż kiedy okręt ma w brzuchu wody na pięć stóp, to jakby chorował na puchlinę wodną.

— No — powiada kapitan — dosyć tej zabawy, pan Morrel nie będzie miał nam nic do zarzucenia. Zrobiliśmy, co tylko w naszej mocy, żeby uratować statek; teraz trzeba ratować ludzi. Do szalup, moje dziatki, nie gudzrać się!...

Bo widzi pan, panie Morrel, bardzośmy kochali „Faraona”, ale choćby marynarz najbardziej kochał swój statek, jeszcze bardziej kocha swoją skórę. Toteż nie daliśmy sobie dwa razy powtarzać; a widzi pan, i statek jakby pojękiwał i mówił do nas: „Wynoścież się, wynoścież się, do stu diabłów!” I nie łgał biedny „Faraon”, bo czuliśmy, dosłownie, jak ucieka nam spod nóg. No, to nim się kto obejrzał, szalupa była na wodzie, a nas ośmiu w szalupie.

Kapitan zszedł ostatni, a raczej nie zszedł, bo chciał zostać na okręcie, tylko ja go złapałem wpół i cisnąłem między kolegów, a potem skoczyłem za nim. Czas był, bo ledwie skoczył, pokład zawałił się z takim hukiem, jakby łupnęła artyleria okrętowa.

Po dziesięciu minutach zanurzył się dziobem, następnie rufą, a potem zaczął się kręcić w kółko, jak pies za własnym ogonem, a potem cześć, kolego, i bzdurm!... załatwiona sprawa, i już po „Faraonie”.

Gdyśmy tak bładzili trzy dni, nie mając nic w ustach, a już mówiliśmy, że trzeba ciągnąć losy, którego z nas najpierw zjeść, zobaczyliśmy „Żyrondę”. Zaczęliśmy dawać sygnały i dostrzeżono nas. „Żyronda” wzięła na nas kurs, wysłała szalupę i przyjęła wszystkich na pokład. Tak to się odbyło, panie Morrel, daję słowo honoru, parol marynarza! No co, koledzy, zgadza się?

Rozległ się pomruk wyrażający uznanie, narrator bowiem, nie mijając się z prawdą, przedstawił malowniczo szczegóły.

— Doskonale, moi drodzy — ozwał się pan Morrel. — Wiedziałem z góry, że w tym z moich nieszczęść zawinił tylko los. To woła boska, a nie wina ludzi. Ukorzmy się wobec bożej woli. A teraz powiedzcie, ile wam jestem dłużny?

— E, panie Morrel, o tym gadać nie będziem.

— Przeciwnie, pogadajmy.

Tu armator uśmiechnął się smutno.

— No, skoro tak, należy nam się za kwartał — oświadczył Penelon.

— Koklesie, wypłać tym dzielnym ludziom po dwieście franków. W innych warunkach, moi drodzy, dałbym wam jeszcze drugie tyle gratyfikacji, ale w tej biedzie i te grosze, co mi zostały, nie należą już do mnie. Wybaczcież mi więc i nie zrażajcie się do mnie.

Penelon skrzywił się, co miało oznaczać rozczulenie, a podszedłszy do towarzyszków zamienił z nimi kilka słów i wrócił.

— Względem tego, panie Morrel — ozwał się i znowu przesunawszy prymkę, plunął po raz wtóry na środek przedpokoju, tak aby ślina pacnęła symetrycznie do placka już uczynionego — względem tego...

— Względem czego?

— No tych pieniędzy.

— I cóż dalej?

— No to, panie Morrel, koledzy powiadają, że teraz każdemu starczy pięćdziesiąt franków, a na resztę mogą zaczekać.

— Dziękuję, moi drodzy, dziękuję — zawołał pan Morrel wzruszony do głębi. — Zacznie macie serca, ale pieniądze weźcie; a gdyby trafiła się wam korzystna służba, jesteście wolni.

Ostatnie słowa raziły jakby znacznych marynarzy. Spojrzeli po sobie wystraszeni. Penelona zatkało i o mało nie połknęła prymki, ale na szczęście zdążyła stuknąć się w grdykę.

— Jak to, panie Morrel, jak to, odprawiasz nas pan? Toś pan z nas niekontent?

— Nie w tym rzecz, moje dzieci, przeciwnie, bardzo z was kontent i nikogo nie odprawiam. Ale cóż robić? Nie mam już statków, a więc nie potrzebuję marynarzy.

— Jak to, nie ma pan okrętów! — wykrzyknął Penelon. — Jeśli tak, to każesz zbudować pan inne, a my zaczekamy. Wiemy, dzięki Bogu, co to siedzieć z założonymi rękami.

— Nie mam już pieniędzy na budowę okrętów, mój stary — rzekł armator, uśmiechając się smutno — nie mogę więc przyjąć twojej propozycji, choć bardzo ona pocziwa.

— No, skoro pan nie ma pieniędzy, to nie trzeba nam płacić. Zdamy się na los szczęścia i kwita.

— Dajcie pokój, dajcie pokój, moi drodzy — rzekł Morrel, a wzruszenie dławiło go w gardle. — I odejdźcie już. Spotkamy się w lepszych czasach. Emanuelu — dodał — odprowadź ich i dopilnuj, aby mojemu życzeniu stało się zadość.

— To, panie Morrel, zobaczymy się jeszcze, prawda? — zagadnął Penelon.

— Tak, moi drodzy, nie straciłem całkiem nadziei.

I na dany znak Kokles wyszedł, marynarze za nim, a Emanuel za marynarzami.

— A teraz — zwrócił się armator do żony i córki — zostawcie mnie na chwilę samego, muszę pomówić z panem.

I wskazał wzrokiem mandatariusza firmy Thomson i French, który stał nieruchomo w kącie podczas tej sceny i, jak wiemy, wtrącił kilka słów.

Kobiety, całkiem o cudzoziemcu zapomniawszy, spojrzały nań teraz i wyszły, lecz Julia wychodząc rzuciła mu spojrzenie, w którym tała się prośba, on zaś odpowiedział uśmiechem serdecznym, niezwykłym na tych lodowatych licach.

Dwaj mężczyźni zostali sami.

— Słyszałeś pan i widziałeś wszystko — powiedział gospodarz, osuwając się na fotel. — Nic tedy więcej nie mam panu do zakomunikowania.

— A tak, wiadomo mi już, łaskawy panie — odparł Anglik — że dosięgło cię nowe nieszczęście, tak samo niezastuzone jak i poprzednie. Utwierdziłem się więc w decyzji, którą powziąłem wcześniej: pójdę panu na rękę.

— Ach, drogi panie — szepnął Morrel.

— Należę do głównych pańskich wierzycieli, nieprawdaż? — nastawał Anglik.

— No tak, posiadasz pan walory o najkrótszych terminach płatności.

— Nie chciałbyś pan odroczenia tych terminów?

— Zwłoka ocaliłaby mi honor, a zatem i życie.

— Ile czasu pan potrzebujesz? Morrel zawahał się.

— Dwa miesiące — rzekł.

— Zgoda. Daję panu trzy.

— Ale — zatroskał się Morrel — sądzisz pan, że firma Thomson i French...

— Bądź pan spokojny, biorę to na siebie. Czy to dziś 5 czerwca?

— Tak.

— Wystaw mi więc pan te weksle na nowo z datą piątego września i piątego września o jedenastej — zegar wskazywał akurat jedenastą — zgłoszę się do pana.

— Będę pana oczekiwał — odparł Morrel — i albo spłacę ten dług, albo pożegnany się z życiem.

Ostatnie słowa wypowiedział tak cicho, że cudzoziemiec ich nie dosłyszał. Wystawiono nowe weksle, a stare zniszczono i biedny armator pozyskał trzy miesiące, by zgromadzić ostatnie swoje zasoby.

Wysłuchawszy podziękowań z flegmą właściwą swoim rodakom, Anglik pożegnał armatora, który odprowadził go aż do drzwi, obsypując błogosławieństwami.

Na schodach spotkał Julię. Dziewczyna udawała, że schodzi na dół, ale w rzeczywistości oczekiwała go tutaj.

— Och, proszę pana! — rzekła składając ręce.

— Pewnego dnia — ozwał się cudzoziemiec — dostanie pani list podpisany przez... Sindbada Żeglarza... Wykonaj pani dokładnie wszystkie zlecenia zawarte w owym liście, choć uznasz je może za dziwaczne.

— Dobrze, proszę pana — odparła Julia.

— Czy przyrzeka mi to pani?

— Przysięgam.

— Doskonale. Do widzenia pani. Bądź nadal dobra i dzielna, a Bóg cię nagrodzi, wierzę w to niezłomnie, dając ci Emanuela za męża.

Julia westchnęła, zarumieniła się jak wiśnia i oparła się o poręcz, by nie upaść. Cudzoziemiec poszedł dalej, skinąwszy Julii na pożegnanie. Na podwórku spotkał Penelona, który obracał w rękach dwa stufrankowe rulony, wahając się jakby, czy je zabrać.

— Chodź ze mną, przyjacielu — rzekł Anglik — chciałbym z tobą pogadać.

30. PIĄTY WRZEŚNIA

Prolongatę płatności udzieloną mu tak niespodzianie przez mandatariusza firmy Thomson i French uznał Morrel za jedną z owych oznak wracającego powodzenia, które zsyła nam los, uprzykrzywszy sobie wreszcie nas prześladować. Tegoż dnia Morrel opowiedział o wszystkim żonie, córce i Emanuelowi i jeśli nie odrobina nadziei, to przynajmniej spokoju zagościła w ich sercach. Na nieszczęście Morrel prowadził interesy nie tylko z firmą Thomson i French — firmą, która okazała mu tyle względów, a jak już był stwierdził, w handlu nie mamy przyjaciół, ale wspólników. Zastanawiając się głębiej, nie pojmował właściwie wspaniałomyślności panów Thomasona i Frencha, tłumaczył ją sobie tylko mądrym egoizmem tej firmy; uznała ona prawdopodobnie, iż lepiej wesprzeć dłużnika, który nam winien prawie trzysta tysięcy franków, i z końcem kwartału odzyskać tę sumę, niżli, przyspieszywszy jego bankructwo, wydebić najwyżej osiem procent wkładu.

Niestety — może to nienawiść, a może zaślepienie — nie wszyscy korespondenci Morrela powzięli tak roztropną myśl, a niektórzy byli zdania wręcz przeciwnego. Z nieubłaganą punktualnością przedstawiano w kasie weksle z podpisem Morrela, ale dzięki prolongacie uzyskanej od Anglika, Kokles pokrywał wszelkie należności. Kokles nie tracił swojego proroczego spokoju. Tylko Morrel stwierdził z przerażeniem, że gdyby piętnastego zapłacił sto tysięcy franków należnych panu de Boville, a trzydziestego wykupił weksle na sumę trzydziestu dwóch tysięcy pięciuset franków, które uległy prolongacie tak jak i wiarygodności inspektora więzień, byłby pod koniec miesiąca zrujnowany.

Sfery kupieckie Marsylii sądziły, że Morrel nie wytrzyma tylu godzących weń kolejno ciosów. Jakież było tedy zdziwienie, gdy pod koniec miesiąca wypłacił wszystko ze zwyczajną sobie akuracją. Mimo to ludzie nie odzyskali zaufania i termin upadłości przesunęli zgodnie na koniec następnego miesiąca.

Cały ten miesiąc upłynął Morrelowi na niesłychanych trudach: gromadził wszelkie środki. Dawniej jego weksle, jakkolwiek nosiły datę, cieszyły się zaufaniem, a nawet były poszukiwane. Usiłował też uzyskać trzymiesięczną pożyczkę w którymś z banków, ale nic nie wskórał. Szczęściem miał też kilka wpłat, na które mógł liczyć; jakoż dokonano owych wpłat: Morrel zdołał tedy sprostać swoim zobowiązaniom jeszcze i pod koniec lipca.

A mandatariusz firmy Thomson i French nie pojawił się więcej w Marsylii; zniknął w kilka dni po wizycie u Morrela; podczas swojej bytności w Marsylii Anglik nawiązał stosunki jedynie z merem, inspektorem więzień i panem Morrelem, więc też i jego pobyt nie zostawił innych śladów prócz odmiennych wspomnień, jakie te trzy osoby po nim zachowały. Jeśli idzie o marynarzy z „Faraona”, to chyba trafiło im się jakieś zajęcie, i oni bowiem zniknęli.

Kapitan Gaumard, ozdrowiawszy po lekkiej niedyspozycji, która zatrzymała go w Palmie, zawitał do Marsylii; ale nie kwapił się jakoś odwiedzić Morrela; ten zaś uwiadomiony o jego powrocie pośpieszył do niego. Wiedząc już od Penelona o bohaterskim zachowaniu się kapitana Gaumarda podczas katastrofy, zacny armator pragnął go pocieszyć. Przyniósł mu też gażę, po którą kapitan nie śmiał się zgłosić.

Wychodząc spotkał na schodach Penelona, który szedł na górę. Penelon na pewno nie zmarnował pieniędzy, gdyż ubrany był jak z igły. Na widok Morrela poczciwy sternik zmieszał się okropnie, przesunął kolejno prymkę z lewa na prawo i z prawa na lewo, a wytrzeszczywszy oczy i rozglądając się lękliwie, uściśnął nieśmiało dłoń, którą Morrel podał mu ze zwykłą serdecznością. Pan Morrei

złożył jego zakłopotanie na karb zbytelnego stroju: oczywista, pocziwiec nie wyelegantował się za darmo; musiał zaciągnąć się już na inny statek, a teraz wstydził się, że tak szybko zrzucił żałobę po „Faraonie”. Może zjawił się, aby zawiadomić kapitana Gaumarda o swoim powodzeniu i wysunąć propozycję w imieniu nowego pryncypała!

— Zacni ludzie — rzekł Morrel odchodząc — oby wasz nowy pryncypał kochał was jak ja i oby mu się lepiej poszczęściło!

Sierpień minął panu Morrelowi na ciągłych staraniach, by odzyskać dawny kredyt lub otworzyć sobie nowy. 20 sierpnia dowiedziano się w Marsylii, że zamówił miejsce w karetkce pocztowej; ludzie gadali więc już o jego ucieczce i o tym, że pod koniec miesiąca miała być podobno ogłoszona upadłość firmy, przy czym nie chciał być obecny, i że w tych przykrych chwilach mieli go zastąpić Emanuel, jako prokurent, i kasjer — Kokles. Ale wbrew owym przewidywaniom 31 sierpnia otwarto kasę jak zwykle. Kokles pojawił się w zakratowanym okienku niczym sprawiedliwy z Horacego, z tą samą jak zawsze uwagą badał walory, które mu podawano, i wykupił wszystkie weksle. Przydarzyły się nawet dwie wypłaty, przewidziane zresztą przez Morrela, które Kokles pokrył akuratnie — jak i należności za osobiste weksle armatora. Ludzie nie mogli się w tym wszystkim połapać, ale z uporem znamionującym zwiastunów złych nowin krakali o bankructwie, które miało nastąpić pod koniec września.

Morrel wrócił pierwszego września: cała rodzina oczekiwała go z wielkim niepokojem; ta podróż do Paryża miała być ostatnią deską ratunku; Morrel przypomniał sobie Danglarsa, obecnie milionera, człowieka, który niegdyś zawdzięczał mu wiele, dzięki bowiem jego rekomendacji Danglars otrzymał miejsce u bankiera hiszpańskiego i wtedy zaczął zbijać olbrzymi majątek. Dziś Danglars miał podobno z osiem milionów i nieograniczony kredyt; nie wyciągnąwszy ni grosza z kieszeni, Danglars mógł ocalić Morrela: wystarczyłoby poręczenie i Morrel uzyskałby zbawienną pożyczkę. Morrel już od dawna myślał o Danglarsie; ale istnieje instynktowna odraza, nad którą nie potrafimy zapanować — i Morrel zwlekał, póki mógł, nim chwycił się tego ostatecznego środka. Okazało się, że miał rację: wrócił złamany upokarzającą odmową.

Ale też nie złorzeczył i nie skarżył się nikomu; ucałował płacząc żonę i córkę, uściśnął przyjaźnie dłoń Emanuelowi i zamknąwszy się w gabinecie na drugim piętrze, wezwał Koklesa.

— Tym razem — rzekły obie panie do Emanuela — wszystko stracone. Po krótkiej naradzie zdecydowały, że Julia napisze do brata, który służył w garnizonie w Nimes, aby przyjechał natychmiast.

Biedne kobiety czuły instynktownie, że muszą zebrać wszystkie siły, by wytrzymać grozący im cios.

Bo i zresztą Maksymilian Morrel miał wielki wpływ na ojca, choć liczył sobie dopiero dwadzieścia dwa lata. Był to młodzieniec niezłomny i prawy. Gdy przyszło mu wybrać karierę, ojciec ani myślał narzucać synowi jakiegokolwiek zawodu i spytał młodzieńca o jego zamiłowania. Maksymilian oświadczył, iż upodobał sobie karierę wojskową; ukończywszy tedy jako prymus gimnazjum, zdał egzamin do Szkoły Politechnicznej i został podporucznikiem 53 pułku piechoty. Służył w tej randze od roku, obiecany zaś miał — skoro tylko nadarzy się okazja — awans na porucznika. W pułku stawiano Maksymiliana Morrela za wzór nie tylko cnót żołnierskich, lecz i tych, które winny cechować każdego porządnego człowieka — i przezywano go stoikiem. Oczywista, wielu spośród darzących Maksymiliana tym przydomkiem nie rozumiało jego sensu.

Takiego to młodzieńca matka i siostra wzywały, aby wspomógł je w ciężkich chwilach, które (spodziewały się tego) miały nastąpić.

Nie pomyliły się oceniając wypadki jako tak poważne, gdyż po chwili Julia zobaczyła, jak z gabinetu pana Morrela wychodził Kokles, błądy i drżący. Na twarzy jego malowało się silne poruszenie.

Chciała pytać, gdy przechodził koło niej, ale Kokles, zbiegając po schodach z nadzwyczajnym jak na niego pośpiechem, zawołał tylko wznosząc rękę:

— Ach! Panno Julio! Panno Julio! Cóż za okropne nieszczęście! I któż by się tego spodziewał!

Za moment Julia zobaczyła, jak niósł na górę kilka grubych ksiąg, portfel i worek z pieniędzmi.

Morrel zajrzał do ksiąg, otworzył portfel, przeliczył pieniądze.

Zasoby jego nie przekraczały ośmiu tysięcy franków, a wpływy, jakich się spodziewał przed piątym wrześniem, wyniosłyby najwyżej pięć tysięcy; biorąc pod uwagę nawet i pewną nadwyżkę, aktywa, którymi Morrel dysponował, równały się jakimś czternastu tysiącom franków, a po stronie debetowej figurował weksel na sumę dwustu osiemdziesięciu siedmiu tysięcy pięciuset franków. Niepodobna było proponować takiej zaliczki.

Morrel schodząc na obiad wydawał się wcale spokojny. Największe przygnębienie nie zatrwożyłoby silniej obu pań niż ów spokój.

Morrel wychodził zazwyczaj po obiedzie, aby w gronie Focejczyków wypić filiżankę kawy i przejrzeć „Semafor”; tego dnia nie ruszył się z domu, lecz udał się wprost do gabinetu.

Kokles był jakby półprzytomny. Spędził większą część dnia na podwórzu, gdzie, nie bacząc na trzydziestostopniowy upał, siedział na kamieniu, nie osłoniwszy niczym głowy.

Emanuel próbował pocieszyć zgnębione kobiety, ale okazał się niewymowny. Zbyt dobrze znał interesy firmy, by nie domyślić się, że rodzinie Morrela grozi niechybna katastrofa.

Zapadła noc; panie nie położyły się spać, łudząc się, że Morrel, opuściwszy gabinet, zechce je odwiedzić, lecz usłyszały, jak minął ich drzwi, stąpając ciszej niż zwykle, w obawie snadź, by go nie zawołały.

Jęły tedy nasłuchiwać jeszcze uważniej: wszedł do swojego pokoju i zamknął drzwi na klucz.

Pani Morrel kazała iść córce spać; w pół godziny potem wstała, zdjęła pantofle i wymknęła się cicho na korytarz, by zobaczyć przez dziurkę od klucza, co robi mąż.

Na korytarzu dostrzegła jakiś cień, który się cofnął: była to Julia; niespokojna jak i matka, czuwała tam już wcześniej.

Dziewczyna podeszła do matki.

— Pisz — rzekła.

Kobiety zrozumiały się, nie mówiąc więcej.

Pani Morrel zajrzała przez dziurkę od klucza. Mąż jej rzeczywiście pisał; ale to, czego Julia nie dostrzegła — ona zoczyła natychmiast: mąż pisał na popierze stemplowym.

Przemknęła jej myśl straszna: mąż pisze testament; drżenie przebiegło ją całą, ale opanowawszy się, zmilczała.

Nazajutrz Morrel nie okazywał żadnego niepokoju; pracował jak zwykle w swoim gabinecie, schodził jak co dnia na posiłki i tylko po obiedzie posadził córkę obok siebie, ujął jej głowę w obie ręce i przytulił mocno do piersi.

Wieczorem Julia powiedziała matce, iż ojcu, tak z pozoru spokojnemu, serce biło nad wyraz gwałtownie.

Następne dwa dni minęły prawie tak samo. 4 września wieczorem Morrel poprosił córkę, by zwróciła mu klucz od gabinetu.

Julia zadrżała usłyszawszy tę prośbę, która wydała jej się złowróżbna. Dlaczego ojciec zażądał od niej tego klucza, który odbierano jej tylko czasem, jeszcze w dzieciństwie, za karę?

Spojrzała na ojca.

— Co złego zrobiłam, tatku — spytała — że mi odbierasz ten klucz?

— Nic, moje dziecko — odparł nieszczęśnik, a zwykle to pytanie wycisnęło mu łzy z oczu — nic... po prostu jest mi potrzebny.

Julia udała, że szuka klucza.

— Pewnie zostawiłam go w moim pokoju — rzekła.

I wyszła, ale zamiast pójść do siebie, pobiegła zasięgnąć rady u Emanuela.

— Julio, nie zwracaj ojcu tego klucza; i jeśli to będzie możliwe, nie odstępuj go ani na krok jutro od samego rana.

Julia usiłowała wybadać Emanuela, lecz Emanuel albo nic więcej nie wiedział, albo niczego nie chciał zdradzić.

Przez całą noc z 4 na 5 września pani Morrel siedziała w swoim pokoju z uchem przytkniętym do boazerii. Słyszała nerwowe kroki męża aż do trzeciej nad ranem.

Dopiero o trzeciej rzucił się na łóżko.

Matka i córka spędziły razem tę noc. Od wczorajszego wieczora oczekiwały Maksymiliana.

O ósmej Morrel wszedł do pokoju żony. Był zupełnie opanowany; ale na jego licu bladym i zmienionym widać było ślady tej nocy niespokojnej.

Panie nie śmiały zapytać, czy dobrze spał.

Morrel okazywał dziś żonie i córce cieplejszą niż zwykle serdeczność. Nie mógł się napatrzeć biednemu dziecku, a uściskom nie było końca.

Julia, stosując się do rady Emanuela, pospieszyła za ojcem, gdy wyszedł z pokoju, lecz on odsunął ją łagodnie.

— Zostań z matką — rzekł. Julia zaprotestowała.

— Życzę sobie tego — uciął.

Pierwszy raz w życiu Julia usłyszała od ojca: „Życzę sobie tego”. Ale powiedział to głosem przepojonym tak głęboką, ojcowską czułością, że Julia nie ośmieliła się postąpić ani kroku.

I gdy tak stała milcząca i nieruchoma, drzwi się nagle otworzyły, objęły ją czyjeś ręce i ktoś pocałował ją serdecznie w czoło. Podniosła powieki i krzyknęła z radości.

— Maksymilianie, kochany bracie! — zawołała.

Posłyszawszy ten okrzyk, nadbiegła pani Morrel i rzuciła się synowi na szyję.

— Mamo — ozwał się młodzieniec, spoglądając to na matkę, to na siostrę — cóż się tu dzieje? Wasz list przeraził mnie, przyjechałem czym prędzej.

— Julio — rzekła pani Morrel, dając synowi porozumiewawczy znak — idź, powiedz ojcu, że przyjechał Maksymilian.

Biegnąc na górę, Julia natknęła się na jakiegoś mężczyznę z listem w ręku.

— Czy panna Julia Morrel? — zapytał z wyraźnym akcentem włoskim.

— Tak, proszę pana — wyjąkała. — Ale czegoż pan sobie życzy ode mnie? Nie znam pana.

— Niech pani przeczyta ten list — rzekł, podając jej bilet. Julia zawahała się.

— Chodzi o ratunek dla pani ojca — nalegał postaniec. Dziewczyna wyrwała mu list.

Rozdarłszy kopertę przeczytała:

Proszę udać się natychmiast na Aleje Meilhańskie, pod numer 15, poprosić stróża o klucz od mieszkania na piątym piętrze, pójść na górę, wziąć z pokoju czerwoną jedwabną sakiewkę leżącą na kominku i przynieść ją ojcu.

Jest bardzo ważne, by otrzymał ją przed jedenastą.

Przypominam, że przyrzekłaś mi Pani ślepe posłuszeństwo.

Sinbad

Dziewczyna krzyknęła radośnie, podniosła wzrok szukając tego, kto doręczył jej bilet, ale mężczyzna ów zniknął.

Spojrzała więc znów na bilet, chcąc go przeczytać powtórnie, i zauważyła na nim postscriptum:

Musi Pani wykonać tę misję osobiście i bez świadków; jeśli Pani przyjdzie w towarzystwie albo kto inny zgłosi się do stróża, stróż oznajmi, że nie wie o niczym.

To postscriptum ostudziło w znacznej mierze zapał dziewczyny. Czyż nie powinna była lękać się czegoś, na przykład zasadzki, którą na nią zastawiono? W naiwności swojej nie wiedziała, jakie niebezpieczeństwa grożą dziewczynie w jej wieku, ale człowiek nie musi znać niebezpieczeństwa, aby się go obawiać; a nawet podkreślić to trzeba, iż właśnie nieznanne niebezpieczeństwa budzą w nas największą trwogę.

Niezdecydowana postanowiła zasięgnąć rady.

Wiedziona jednak dziwnym uczuciem nie pośpieszyła ani do matki, ani do brata, lecz odwołała się do Emanuela.

Zeszła na dół, opowiedziała Emanuelowi o tym, co zaszło tego dnia, gdy mandatariusz firmy Thomson i French zjawił się u ojca; zwierzyła się z rozmowy na schodach i z przyrzeczenia, jakie wówczas złożyła; wreszcie pokazała mu list.

— Trzeba tam pójść, Julio — rzekł Emanuel.

— Pójść tam? — szepnęła Julia.

— Tak. Pójdę z tobą.

— Ale czyż nie wiesz, że mam iść sama?

— Toteż wejdiesz sama — odparł młodzieniec — a ja zaczekam na rogu; i gdybyś tak długo nie wracała, że zacząłbym się tym niepokoić, wejdę tam i ja; ręczę ci słowem, biada tym, na których byś się poskarżyła.

— Tedy, według ciebie, winnam iść na to spotkanie?

— Tak. Czyż posłaniec nie mówił ci, że chodzi o ratunek dla ojca?

— Ależ powiedz mi wreszcie, Emanuelu, jakież niebezpieczeństwo mu grozi? Emanuel zawahał się, lecz nagle zawładnęła nim nieprzeparta chęć, by Julię przekonać.

— Posłuchaj mnie — rzekł. — Dziś jest 5 września, prawda?

— Tak.

— Dziś o jedenastej twój ojciec ma zapłacić prawie trzysta tysięcy franków.

— Tak. Wiem o tym.

— A ma w kasie niecałe piętnaście tysięcy!

— Cóż się tedy stanie?

— Otóż, jeśli twój ojciec nie znajdzie dziś przed jedenastą pomocy, będzie musiał w południe ogłosić upadłość.

— Ach! Chodźmy! Chodźmy! — zawołała dziewczyna, pociągając za sobą młodzieńca.

Tymczasem pani Morrel wyznała wszystko synowi.

Młody oficer wiedział, iż na skutek kolejnych niepowodzeń firma ograniczyła bardzo swoje wydatki, nie miał jednak pojęcia, że sprawy zaszły aż tak daleko.

Złamało go to.

Zerwał się, wybiegł z pokoju, popędził na górę, sądząc, że zastanie ojca w gabinecie, ale stukał na próżno.

Stojąc tak u progu, usłyszał, jak otworzyły się drzwi od sypialni Morrela; odwrócił się i ujrzał ojca. Morrel nie poszedł wprost do gabinetu, lecz udał się do swojego pokoju, który właśnie opuścił.

Na widok syna pan Morrel krzyknął zdziwiony, nie wiedział bowiem o jego przybyciu. Nie ruszając się z miejsca, przyciskał lewym ramieniem jakiś przedmiot, ukryty pod surdudem.

Maksymilian zbiegł po schodach i rzucił się ojcu na szyję; cofnął się jednak nagle, wsparłszy prawą dłoń o pierś ojca.

— Ojcze! — zawołał, blednąc jak trup. — Po cóż ukrywasz pod surdudem tę parę pistoletów?

— Ach! Tego się właśnie obawiałem! — rzekł Morrel.

— Ojcze! Ojcze! Na cóż ci, na Boga, ta broń?! — wykrzyknął młodzieniec.

— Maksymilianie — ozwał się Morrel, spoglądając baczenie na syna — jesteś mężczyzną, jesteś człowiekiem honoru, pójdz tedy ze mną, to ci powiem.

I Morrel ruszył zdecydowanym krokiem do gabinetu, a Maksymilian chwiejąc się podążył za ojcem.

Morrel otworzył drzwi, zamknął je za synem, a minawszy przedpokój podszedł wprost do biurka, położył na brzegu pistolety i palcem wskazał Maksymilianowi otwartą księgę.

Owa księga obrazowała dokładnie sytuację.

Morrel miał za pół godziny zapłacić dwieście osiemdziesiąt siedem tysięcy pięćset franków.

— Czytaj — rzekł Morrel.

Młodzieniec przeczytał; zdruzgotany, zamarł w bezruchu. Morrel nie odzywał się; cóż bowiem mógłby jeszcze dorzucić do tej nieubłaganej wymowy cyfr.

— Czy wszystko uczyniłeś, ojcze, co było w twojej mocy — zapytał po chwili Maksymilian — by zapobiec nieszczęściu?

— Tak — odparł Morrel.

— Nie spodziewasz się już żadnego wpływu gotówki?

— Nie.

— Wyczerpałeś już wszystkie zasoby?

— Tak.

— Tedy za pół godziny — rzekł głucho Maksymilian — nasze nazwisko okryje się hańbą!

— Krew zmywa hańbę — odparł Morrel.

— Masz rację, ojcze; pojmuję cię wybornie. Po czym sięgając po pistolety:
— Jeden dla ciebie, drugi dla mnie — rzekł. — Dzięki. Morrel chwycił go za rękę.
— A matka... a siostra... któż je wyżywi? Młodzieniec zadrżał.
— Mój ojcze, czyżbyś nakazywał mi żyć?

— Tak, bo to twój obowiązek. Jesteś, Maksymilianie, człowiekiem silnym, umysł masz trzeźwy... Nie jesteś kimś przeciętnym; ale nie nakazuję i nie narzucam ci nic; powiadam tylko: rozważ sytuację, jakbyś był obcy, i sam ją osądź.

Młodzieniec zastanowił się chwilę, w oczach jego błysnęła szlachetna rezygnacja — i tylko zasmucony odpiął z wolna szlify oficerskie.

— Dobrze — tu wyciągnął rękę do ojca — umieraj, mój ojcze, w pokoju, będę żył.

Morrel chciał się rzucić synowi do nóg; Maksymilian przyciągnął go do siebie i przez moment te dwa szlachetne serca biły jedno przy drugim.

— Czy wiesz, że ja tu nie zawiniłem? — spytał Morrel. Maksymilian uśmiechnął się.

— Wiem, że jesteś najuczciwszym z ludzi.

— Kiedy tak, to dobrze; powiedzieliśmy sobie wszystko; wracaj teraz do matki i do siostry.

— Ojcze — rzekł młodzieniec klękając — pobłogosław mnie.

Morrel ujął głowę syna w obie dłonie, przyciągnął ją do siebie i ucałowawszy kilkakrotnie rzekł:

— O, tak, tak, błogosławię cię i we własnym imieniu, i w imieniu trzech pokoleń ludzi nieskazitelnych; posłuchaj tedy, co ci mówią przez moje usta: budowlę, którą zburzyło nieszczęście, Opatrzność może odbudować. Najbardziej nieubłagani dowiedziawszy się, jaką śmierć poniosłem, zlitują się nad tobą; tobie, kto wie, może nie poskąpią względów, których mi odmówili; staraj się tedy, by słowo „zhańbiony” nie padło; bierz się do dzieła, pracuj, synu, walcz odważnie i z zapalem; ty, matka twoja i siostra poprzestańcie tylko na tym, co najkonieczniejsze, aby majątek moich wierzycieli wzrastał z dnia na dzień w twoich rękach i wydawał plon. Pomyśl, jakież piękny będzie, wielki i uroczysty dzień rehabilitacji, kiedy to w tym samym gabinecie powiesz: Mój ojciec nie żyje, bo nie sprostą temu, czego ja zdołałem dokonać; ale umarł spokojny, gdyż umierając wiedział, jaką pójdę drogą.

— O, mój ojcze! Mój ojcze! — zawołał młodzieniec. — Gdybyś jednak nie odbierał sobie życia!

— Wtedy wszystko wzięłoby inny obrót: współczucie zmieniłoby się w nieufność, litość w zawziętość; pozostając przy życiu, byłbym tylko człowiekiem niesłownym, który nie sprostą zobowiązaniom, byłbym po prostu bankrutem. Jeśli zaś umrę, pomyśl o tym, Maksymilianie, moje ciało będzie tylko ciałem człowieka nieszczęśliwego. Żyw, musiałbym wymówić dom wszystkim przyjaciołom; zmarłego cała Marsylia odprowadzi na miejsce wiecznego spoczynku; jeśli pozostałbym przy życiu, wstydziłbyś się mojego nazwiska; kiedy umrę, podniesiesz głowę wysoko i powiesz:

— Jestem synem tego, który zabił się, bo po raz pierwszy w życiu nie zdołał dotrzymać słowa.

Młodzieniec westchnął i jakby pogodził się z losem. Wywody ojca przekonały go, lecz nic trafiły mu do serca.

— A teraz — rzekł Morrel — zostaw mnie samego i postaraj się zatrzymać matkę i Julię na dole.

— Czy nic chciałbyś zobaczyć się z Julią? — zapytał Maksymilian. Spotkanie ojca z córką budziło w sercu Maksymiliana ostatnią, cichą nadzieję; dlatego je zaproponował. Pan Morrel pokręcił głową.

— Pożegnałem się z nią dziś rano.

— Czy nie masz, ojcze, dla mnie jakichś specjalnych poleceń? — zapytał Maksymilian ze wzruszeniem.

— Tak, synu. Polecenie święte.

— Mów, ojcze.

— Firma Thomson i French, bądź przez ludzkość, bądź przez egoizm (nie mnie czytać w sercach) zlitowała się nade mną. Jej mandatariusz, ten sam, który za dziesięć minut zjawi się tutaj, aby podjąć należność w wysokości dwustu osiemdziesięciu siedmiu tysięcy pięciuset franków, przyznał mi, a raczej rzec muszę: zaofiarował trzymiesięczną zwłokę. Tę firmę spłać przede wszystkim, a człowiekowi temu okaż jak największy szacunek.

— Dobrze, ojcze.

— A teraz żegnaj — powiedział Morrel. — Idź, idź, muszę zostać sam; testament jest w kantorku, w mojej sypialni.

Młodzieniec jakby wrósł w ziemię; chciał spełnić wolę ojca, ale zawiodły go siły.

— Słuchaj, Maksymilianie — rzekł ojciec — przypuśćmy, że jestem żołnierzem jak i ty i że dostałem rozkaz wzięcia szturmem reducy; gdybyś nawet wiedział, że padnę zdobywając tę redukę, czyż nie rzekłbyś mi tak jak przed chwilą: „Idź, ojcze, bo nie spełniając rozkazu okryłeś się hańbą, a śmierć lepsza jest od hańby”.

— Tak! Tak — przystał młodzieniec — o tak. Obejmując ojca kurczowo, dorzucił:

— Idź, ojcze!

I wypadł z gabinetu.

Po wyjściu syna Morrel stał przez chwilę nieruchomo, wpatrując się w drzwi, po czym wyciągnął rękę, chwycił sznur dzwonka i zadzwonił.

Kokles zjawił się niebawem.

Nie był to już ten sam człowiek — złamały go te trzy dni, w czasie których przekonał się, iż położenie jest beznadziejne. Myśl: „Firma Morrel i Syn zawiesza wypłatę” przygięła go bardziej do ziemi aniżeli dwadzieścia lat życia.

— Mój zacny Koklesie — rzekł Morrel tonem, którego oddać niepodobna — zostań teraz w przedpokoju. Kiedy mandatariusz firmy Thomson i French, wiesz, ten pan, który odwiedził mnie trzy miesiące temu, zjawi się tutaj, uprzedzisz mnie o jego przybyciu.

Kokles nie odpowiedział, a tylko kiwnął głową, siadł w przedpokoju i czekał.

Morrel osunął się na krzesło; spojrzął na zegar — zostało mu siedem minut; wskazówka posuwała się z tak niewiarogodną szybkością, iż wydało mu się, że dostrzega jej ruch.

Wyrazić nie sposób, co w tej ostatniej i jakże uroczystej chwili działo się w duszy tego człowieka, który, będąc jeszcze w sile wieku, miał, na skutek rozumowania — fałszywego być może, lecz i nie pozbawionego przynajmniej pozorów słuszości — rozstać się ze wszystkim, co na tym świecie ukochał, rozstać się z życiem, które dawało mu wszystkie radości, jakich doznajemy przebywając w rodzinnym gronie; pojąć stan Morrela mógłby tylko ten, kto widziałby go w owym momencie." czoło spotniałe, na którym malowała się rezygnacja, oczy wilgotne od łez, a jednak spoglądające w niebo.

Wskazówka wciąż się posuwała, pistolety były naładowane; wyciągnął rękę, wziął pistolet i wyszeptał imię córki.

Położył z powrotem śmiertelną broń, chwycił pióro i skreślił kilka słów.

Wydało mu się bowiem, że nie dość czule pożegnał ukochane dziecko.

Po czym znów spojrzął na zegar, nie liczył już minut, ale sekundy.

Chwycił znów broń i z na pół otwartymi ustami wpatrywał się we wskazówkę; zadrżał, posłyszawszy zgrzyt odwodzonego kurka.

Teraz pot jeszcze zimniejszy wystąpił mu na czoło, serce ścisnęła śmiertelna trwoga.

Posłyszał bowiem, jak skrzyknęły drzwi wiodące na schody.

Otworzyły się drzwi gabinetu.

Zegar wydzwonił zaraz jedenastą.

Morrel nie obejrzał się nawet; czekał, aż Kokles powie: „Mandatariusz firmy Thomson i French”.

I przyłożył pistolet do ust.

Nagle posłyszał krzyk... był to głos córki...

Odwrócił się i ujrzał Julię; pistolet wypadł mu z ręki.

— Ojcze! — krzyknęła dziewczyna niemal bez tchu, nieprzytomna z radości. — Ojcze! Jesteś ocalony! Jesteś ocalony!

I rzuciła mu się na szyję, potrząsając czerwoną sakiewką z jedwabnej siateczki.

— Ocalony? — spytał Morrel. — Cóż przez to rozumiesz, moje dziecko?

— Tak, ocalony! Spójrz! — wołała dziewczyna.

Wziąwszy do rąk sakiewkę, Morrel zadrżał nagle, przypomniał sobie bowiem jakby przez mgłę, że owa sakiewka należała niegdyś do niego.

W jednej przegródce znajdowała się trąta na sumę dwustu osiemdziesięciu siedmiu tysięcy pięciuset franków.

Weksel ten był anulowany.

W drugiej znajdował się diament wielkości orzecha i skrawek pergaminu, na którym skreślono te słowa:

Posąg Julii

Morrel przesunął ręką po czole; zdawało mu się, że śni.

Zegar wydzwonił jedenastą.

Morrel tak odczuł te dźwięki, jakby stalowy młotek drżał w jego sercu.

— Ależ wytłumacz mi, moje dziecko — ozwał się Morrel — jakim cudem znalazłaś tę sakiewkę?

— W kamieniczce przy Meilhańskich Alejach, pod piętnastym, na rogu kominka w ubogim mieszkaniu na piątym piętrze.

— Przecież to nie twoja sakiewka! — wykrzyknął Morrel. Julia podała ojcu list otrzymany dzisiejszego dnia.

— Czy w tym domu sama byłaś? — zagadnął Morrel przeczytawszy bilet.

— Emanuel towarzyszył mi, ojcze. Miał czekać na rogu ulicy du Musee; ale, dziwna rzecz, wracając nie spotkałam go tam.

— Proszę pana! Proszę pana! — ozwało się na schodach czyjeś wołanie.

— To on — rzekła Julia.

W tym momencie wpadł Emanuel, a na jego twarzy malowały się radość i wzruszenie.

— „Faraon” — wykrzyknął. — „Faraon”!

— Jak to „Faraon”? Zwariowałeś, Emanuelu? Toć wiesz, że zatonął.

— „Faraon”, proszę pana! Sygnalizują „Faraona”. „Faraon” wchodzi do portu.

Pod Morrelem ugięły się nogi, padł na krzesło; nie dowierzał, nie mieściło mu się w głowie, by zajść mogły wydarzenia tak nieprawdopodobne, niesłychane — jak z baśni.

Maksymilian wbiegł do gabinetu.

— Ojcze! — zawołał. — Czemuś powiedział mi, że „Faraon” zatonął? Straż morską sygnalizuje jego przybycie; podobno statek wchodzi do portu!

— Moi drodzy — odparł Morrel — jeśli okaże się to prawdą, będziemy musieli uwierzyć w cud boski! To wykluczone! Wykluczone!

Ale czymś rzeczywistym, a zarazem czymś nie do wiary, była również ta sakiewka, którą trzymał w ręku, był ten anulowany weksel i ten przepyszny diament.

— Ach, proszę pana — ozwał się z kolei Kokles — nic już nie rozumiem. „Faraon”?...

— Chodźcie moje dzieci — rzekł Morrel wstając — chodźmy zobaczyć i niech Bóg się nad nami zlituje, jeśli ta wiadomość jest fałszywa.

Schodząc na dół, natknęli się na panią Morrel: biedna kobieta nie śmiała wejść na górę.

Po chwili znaleźli się już na Cannebière. Tłum zalegał molo. Rozstąpiono się przed Morrelem.

— „Faraon”! „Faraon”! — wołano zewsząd.

Istotnie, rzecz niesłychana, wprost bajeczna — oto naprzeciw Świętojańskiej wieży zarzucał kotwicę i związał żagle, statek, na którego rufie widniał biały napis: „Faraon”, Morrel i Syn, w Marsylii; ponadto żaglowiec ów, takiejż pojemności, jaką miał zatopiony „Faraon”, wioził indygo i koszenilę; pokład rozbrzmiewał rozkazami kapitana Gaumarda, który nie spuszczał z oka marynarzy związających żagle, a imć Penelon kiwał przyjaźnie panu Morrełowi.

Niepodobna już było wątpić: zmysły dawały świadectwo prawdzie, a i dziesięć tysięcy ludzi zaświadczyłoby w potrzebie.

Gdy Morrel wśród entuzjazmu zebranych ścisnął syna, człowiek jakiś o twarzy przestoniętej ciemnym zarostem, ukryty za budką strażniczą, wyszeptał wzruszony:

— Życzę ci szczęścia, człowieku szlachetny, niech cię Bóg błogosławi za dobro, któreś czynił dotąd i śiać nadal będziesz, i niech moja wdzięczność pozostanie w cieniu, jak pozostał twój zacny postępek.

Uśmiechając się radośnie, opuścił kryjówkę i nie dostrzeżony przez nikogo — tak żywo bowiem zajmowało wszystkich nadzwyczajne wydarzenie — zbiegł po schodkach, które służyły częstokroć za przystań, i zawołał:

— Jacopo! Jacopo! Jacopo!

Podpłynęła szalupa; wsiadł do niej i pomknął ku bogato wyposażonemu jachtowi, a znalazłszy się u jego burty, skoczył na pokład ze zwinnością marynarza; stamtąd spojrzął jeszcze raz na Morrela; armator płacząc z radości ścisnął wyciągnięte dłonie, a błędząc po niebie spojrzeniem, szukał jakby nieznanego dobroczyńcy, któremu pragnął podziękować.

— A teraz — rzekł nieznanemu — żegnaj mi, dobroci, żegnaj, wdzięczności... Żegnajcie, ludzkie uczucia, radujące serce! Odegrałem rolę Opatrzności, aby wynagrodzić dobrych... a teraz niechaj bóg zemsty ustąpi mi miejsca, bym mógł pokarać złych!

To rzekłszy dał znak; jacht jakby oczekiwał tego sygnału, natychmiast bowiem wypłynął na morze.

31. WŁOCHY. SINDBAD ŻEGLARZ

Z początkiem 1838 roku dwaj młodzi ludzie należący do śmietanki towarzyskiej Paryża, wicehrabia Albert de Morcerf i baron Franz d'Epinay, zjechali do Florencji. Ustalili między sobą, że tegoroczny karnawał spędzą w Rzymie, gdzie Franz, który od czterech lat przemieszkiwał we Włoszech, miał wystąpić w roli cicerona .

A że pobyt w Rzymie podczas karnawału to rzecz niełatwa, jeśli nie zamierzacie nocować na placu Ludowym albo na Campo Vaccino, dwaj przyjaciele napisali do imć Pastriniego, hotelarza, aby zatrzymał dla nich wygodny apartament w swoim Hotelu Londyńskim, przy Hiszpańskim placu.

Imć Pastrini odpowiedział, że dysponuje już tylko dwoma pokojami i alkową al secundo piano, które może odstąpić za umiarkowaną cenę wynoszącą ludwika dziennie. Młodzieńcy zgodzili się; następnie, aby wykorzystać czas, który pozostał mu jeszcze, Albert pojechał do Neapolu. Franz pozostał we Florencji.

Gdy nacieszył się już atmosferą miasta Medyceuszów, zwiedził tameczne ogrody, ów raj ziemski, i poznał je dokładnie, kiedy złożył wizyty w gościnnych domach, które świetnością rozświetliły Florencję, przyszła mu fantazja zobaczyć Elbę, ów wielki etap napoleońskiego zesłania — jako że na Korsykę, kolebkę Bonapartego, wstąpił był już wcześniej.

Pewnego tedy wieczora odcumował małą barkę przyczepioną żelaznym pierścieniem w livoneńskiej przystani, a owinąwszy się płaszczem legł na dnie łodzi i rzucił przewoźnikom krótki rozkaz: „Na Elbę!”

Łódź wymknęła się z portu niby morski ptak wymykający się z gniazda i nazajutrz Franz wysiadł w Portoferraio.

Podążywszy śladami, które pozostawił olbrzym, zwędrował wyspę cesarską i w Marcianie znowu wsiadł na łódź.

Po dwóch godzinach zawinął do Pianosa, gdzie jak zapewniano, miały nań czekać kuropatwy, przelatujące waśnie, chmarami, ,

Polowanie się nie udało. Franz ustrzelił z wielkim trudem kilka chudych kuropatw i jak każdy myśliwy, co fatygował się daremnie, wrócił skwaszony na łódź.

— Gdyby wasza wielmożność zechciał — rzekł właściciel łodzi — mógłby pięknie zapolować.

— A gdzie to?

— Czy widzi pan tę wyspę? — zagadnął ów żeglarz wskazując palcem na południe, gdzie spośród wód zabarwionych najpiękniejszym indygo wyłaniał się stożkowaty masyw skalny.

— A tak. I cóż to za wyspa? — spytał Franz.

— Monte Christo — odparł livorneńczyk.

— Nie mam pozwolenia na łowy na tej wyspie.

— Niepotrzebne ono waszej wielmożności, bo ta wyspa niezamieszкана.

— Bezludna wyspa na Morzu Śródziemnym! Dalibóg, to ciekawe! — zakrzyknął młodzieniec.

— E, właściwie całkiem naturalne. Wyspa jest skalista i nie znajdziesz tam pewnie ani jednego morga ziemi uprawnej.

— Do kogo należy ta wyspa? — Do Toskanii.

— A jakąż zwierzynę mógłbym tam napotkać?

— Tysiące dzikich kóz.

— Które żywią się glazami? — rzucił Franz z uśmiechem powątpiewania.

— Nie; skubią wrzosa, mirty i lentyszki, które porastają skały.

— A gdzie będę spał?

— Na gołej ziemi w grotach albo w łodzi na rozestłanym płaszczu. Zresztą, jeśli wasza wielmożność rozkaże, zapolujemy trochę i zaraz potem odpłyniemy; jaśnie pan wie, że potrafimy żeglować tak nocą, jak i dniem, a gdy nie stanie żagli, mamy wiosła.

Franz miał jeszcze sporo czasu do spotkania z przyjacielem, a o lokum w Rzymie nie potrzebował się kłopotać — przyjął tedy propozycję, pragnąc powetować sobie nieudane łowy.

Usłyszawszy to marynarze, zaczęli szeptać między sobą.

— No i cóż? — zagadnął Franz. — Czyżby zaszło coś nowego? Czyżby wycieczka okazała się nagle niemożliwa?

— E, nie — odparł właściciel łodzi — musimy tylko uprzedzić waszą wielmożność, że to wyprawa nieco ryzykowna.

— Czemuż to?

— Bo wyspa jest bezludna, tedy zawijają tam czasami statki korsarskie, wracające z Korsyki, Sardynii albo Afryki, i gdybyśmy zdradzili się czymkolwiek, że byliśmy na Monte Christo, wyznaczą nam w Livorno sześciodniową kwarantannę.

— Do diabła! A to zmienia postać rzeczy! Sześć dni! Tyle akurat czasu trzeba było Bogu na stworzenie świata. To trochę za długo, moje dzieci.

— Ale któż by się wygadał, że wasza wielmożność był na Monte Christo?

— No, ja na pewno nie! — wykrzyknął Franz.

— I my też nie — zaręczyli marynarze.

— Kiedy tak, to jazda na Monte Christo.

Właściciel łodzi kazał rozpocząć manewr; wzięto kurs na wyspę i łódź pożeglowała w jej kierunku.

Franz odczekał, aż skończył się manewr, i gdy łódź pomknęła nowym szlakiem, żagiel wydał się nabierając wiatru, a czterej marynarze wrócili, na zwykłe stanowiska — trzech na dziobie i jeden przy sterze — nawiązał przerwana rozmowę.

— Mój drogi Gaetano — zwrócił się do właściciela — powiedziałeś mi przed chwilą, jeśli pamiętam, że na Monte Christo chronią się niekiedy piraci, a to według mnie inny niż kozice rodzaj zwierzyny.

— Tak, ekscelencjo, i nie zelgałem.

— Nie wątpię o istnieniu przemytników, wydawało mi się jednak, że skoro zajęliśmy i opanowaliśmy Algier i Tunis, piraci schronili się raz na zawsze do romansów Coopera i kapitana Marryata.

— No to jaśnie pan się myli; piraci istnieją tak samo jak i bandyci, których wygnał rzekomo papież Leon XII; toć napadają oni co dnia podróżnych niemal u samych bram Rzymu. Nie słyszał pan, jak pół roku temu, o pięćset kroków od Velletri, ograbili francuskiego dyplomatę, akredytowanego przy Stolicy Apostolskiej?

— Owszem, słyszałem.

— No właśnie! Gdyby wielmożny pan mieszkał w Livorno, posłyszałby czasami, że stateczek naładowany towarem albo piękny angielski jacht, którego oczekiwano w Bastii, Portoferraio czy Civitavecchia przepadł bez wieści — przypuszczalnie rozbił się gdzieś o skałę. Owóż tą napotkaną skałą była płaska, wąska łódź wraz z kilkoma siedzącymi w niej ludźmi, którzy go zaskoczyli albo zrabowali, zaczaiwszy się w noc ciemną i burzliwą — jak zwykli to czynić bandyci napadający i rabujący pod lasem karetki pocztowe — u cypla dziokiej i bezludnej wysepki.

— A czemuż ci — ozwał się Franz wyciągnięty wygodnie na dnie łodzi — którym przytrafił się taki wypadek, nie poskarżą się, czemu nie odwołają się do rządu francuskiego, sardyńskiego albo tokańskiego, by piratów ukarać?

— Czemu? — powtórzył z uśmiechem Gaetano.

— No tak, dlaczego?

— Oto dlaczego: piraci przenoszą najpierw ze stateczku albo jachtu na barkę wszystko, co wziąć warto; po czym krępują ręce i nogi załodze, przywiązują każdemu u szyi dwudziestoczerofuntowy pocisk, wyrąbują w dnie pojmanego statku otwór na szerokość beczki, wychodzą na pokład, zamykają luki, no i czmychają na łódź. Po dziesięciu minutach statek zaczyna stękać, pojękiwać i powolutku się zanurza. Najpierw jednym bokiem, potem drugim; podnosi się, zanurza się znowu, zapadając coraz głębiej. Nagle rozlega się huk niby wystrzał armatni; to ciśnienie rozsadza pokład. Statek zaczyna się wtedy miotać niby tonący człowiek, który jeszcze się broni, ale za każdym ruchem staje się bardziej ociężały. Wkrótce woda nadmiernie sprężona w kadłubie statku tryska wszystkimi otworami, niby

przez nozdrza olbrzymiego kaszalota. Wreszcie statek rzezi po raz ostatni, ostatni raz obraca się wokół własnej osi, zapada w głębię, ryjąc w odmętach ogromny lej, który wiruje przez moment, napełnia się z wolna i znika; po pięciu minutach tylko Bóg zdoła dojrzeć na dnie spokojnych wód zaginiony statek.

— Rozumie pan teraz — dorzucił Gaetano z uśmiechem — dlaczego statek nie zawija do portu i dlaczego załoga nie wnosi skargi?

Gdyby Gaetano opowiedział to wcześniej, Franz zastanowiłby się dobrze, czy przedsięwziąć wyprawę; ale skoro już wyruszyli, zawracać wydało mu się tchórzostwem. Nie należał do ryzykantów poszukujących guza, ale w niebezpieczeństwie zachowywał zimną krew i niezmacony spokój; opanowany i nieustępliwy, traktował je zawsze tak, jak się traktuje przeciwnika w pojedynku, to znaczy obliczał każdy ruch, baczył pilnie na własne siły, cofał się jedynie wtedy, kiedy chciał nabrać oddechu, i tak, by nie wyglądało to na tchórzostwo, w okamgnieniu ogarniał wszystkie swoje atuty, a zabijał jednym ciosem.

— Ech — ozwał się — przewędrowałem Sycylię i Kalabrię, dwa miesiące pływałem po wodach archipelagu i nigdy nie dostrzegłem choćby cienia bandyty albo pirata.

— Toteż nie mówiłem o tym jasnie panu, aby go odwieść od decyzji; pytał mnie pan, tom odpowiedział, i już.

— Oczywiście, mój drogi Gaetano. Rozmowa z tobą jest nadzwyczaj zajmująca; jedźmy tedy na Monte Christo, bo chciałbym jak najdłużej z tobą gawędzić.

Tymczasem cel podróży zbliżał się szybko, dał bowiem sprzyjający wiatr i łódź robiła około siedmiu mil na godzinę — wyspa zdawała się wyrastać coraz większa z łona mórz; w przezroczystym świetle zachodu widać było wyraźnie owo ogromne spiętrzenie głazów, ułożonych jakby w pryzmę, a przypominających stos pocisków w arsenale; w szczelinach rozkwitały czerwienią wrzosi i zieleniały drzewa. Marynarze, na pozór spokojni, baczyli na wszystko i czujnym spojrzeniem ogarniali rozległe, umykające w poślizgu zwierciadło wód: daleko, na horyzoncie białały płyty żagli; kutry rybackie, leciutkie jak mewy, muskały wierzchołki fal.

Od Monte Christo dzieliło ich jeszcze około piętnastu mil, kiedy słońce zaczęło osuwać się za górzystą Korsykę, której zębaty kontur czernił się na prawo wśród błękitu; to groźne rumowisko, wyrastające przed łodzią jak olbrzym Adamastor, zasłaniało słońce, które powlekało złotem górne części żagli; mrok wypełzał powoli z mórz i wymiatał ostatnią, smugę gasnącej jasności, świetlisty snop spychany coraz dalej zawisł na chwilę ponad wierzchołkiem stożka, który przemienił się w gorejący wulkan; wreszcie mrok, pełnący cierpliwie od dołu, ogarniał stopniowo szczyt, jak ogarnął był podstawę, i wyspa przybrała postać szarej i wciąż ciemniejącej turni. Minęło jeszcze pół godziny i zapadły nieprzeniknione ciemności.

Szczeniściem marynarze, obeznani z tymi wodami, pamiętali o każdej rafie toskańskiego archipelagu; inaczej bowiem Franz nie oparłby się lękowi pośród ciemności spowijającej łódź. Korsyka zniknęła zupełnie, a i Monte Christo stała się niewidzialna; ale rysy wzrok marynarzy przenikał ciemności, a pilot siedzący przy sterze nie zdradzał najłżejszego wahania.

W godzinę mniej więcej po zachodzie słońca Franzowi wydało się, iż dostrzeżę o ćwierć mili na lewo jakąś ciemną plamę; ale że ciemność była gęsta jak rzadko, Franz milczał nadal, wzięwszy bowiem zwiewny obłok za ląd, mógłby rozśmieszyć marynarzy. Raptem jednak na skraju lądu zapłonęło światło; ziemia mogła się wydać obłokiem, ale snop światła nie był meteorem.

— Co to za światło? — spytał.

— Cśś! — ozwał się właściciel łodzi. — To ognisko.

— Mówiłeś przecie, że wyspa jest bezludna.

— Powiedziałem, że nie ma tu stałych mieszkańców, uprzedzałem jednak, że zatrzymują się tu przemytnicy.

— I piraci?

— I piraci — powtórzył Gaetano. — Właśnie dlatego kazałem opłynąć wyspę, bo jak pan widzi, światło zostało za nami.

— Ależ to światło — mówił dalej Franz — wydaje mi się raczej rękojmią bezpieczeństwa, a nie powodem do niepokoju; ludzie lękający się, by ktoś ich nie dostrzegł, nie rozpaliliby ognia.

— Ech, to nie ma znaczenia — odparł Gaetano. — Gdyby pan mógł zorientować się mimo ciemności w położeniu wyspy, stwierdziłby pan, że tego ogniska nie sposób zobaczyć ani od strony lądu, ani od Pianosy, lecz tylko od pełnego morza.

— Boisz się więc, że to światło zwiastuje nam niemiłą kompanię?

— O tym właśnie musimy się przekonać — odparł Gaetano, nie odrywając wzroku od ziemskiej gwiazdy.

— A jak się o tym przekonamy?

— Zaraz pan zobaczy.

Gaetano naradził się tedy z towarzyszami, a po pięciominutowych debatach wykonano w milczeniu manewr, dzięki któremu łódź, zawróciwszy w miejscu, podążyła znów tym samym szlakiem — a wtedy ogień znikł zasłonięty jakimś wzniesieniem.

Wtedy sternik ponownie zmienił kierunek, łódź zbliżyła się wyraźnie do lądu i niebawem już tylko jakieś pięćdziesiąt kroków dzieliło ją od wyspy.

Gaetano ściągnął żagiel i łódź znieruchomiła.

Wszystko to odbywało się w zupełnej ciszy, a zresztą od chwili gdy zmieniono kierunek, na pokładzie nie padło ani jedno słowo.

Gaetano, jako inicjator tej wyprawy, wziął na siebie całą odpowiedzialność. Czterej marynarze nie spuszczała go z oka, a sięgnąwszy jednocześnie po wiosła, gotowali się do potężnego wysiłku, który dzięki ciemnościom mógł okazać się owocny.

A Franz z właściwą sobie zimną krwią sprawdzał broń; miał dwie dubeltówki i sztucer; naładował je, sprawdził panewki i czekał.

Gaetano zrzucił tymczasem opończę i koszulę, zaciągnął silniej pasek od spodni, a będąc boso, nie potrzebował zdejmować ani pończoch, ani butów. Tak ubrany, a raczej rozebrany, przytknął palec do ust, nakazując najgłębsze milczenie, i zsunąwszy się do wody popłynął do brzegu tak ostrożnie i cicho, że nikt nie zdołał pochwycić najlżejszego nawet szmeru. I tylko migotliwa bruzda rysująca się na rozgarnianych ramionami falach znaczyła jego ślad.

Niebawem i owa smuga zniknęła: widocznie Gaetano dotarł na wyspę.

Na łodzi wszyscy znieruchomieli; w pół godziny później pojawiła się u brzegu ta sama świetlista bruzda, zbliżając się do łodzi. Jeszcze dwa ruchy ramion — i oto Gaetano znowu jest w łodzi.

— No i co? — zapytali wszyscy razem.

— No tak — odparł — to hiszpańscy przemytnicy; są z nimi dwaj bandyci korsykańscy.

— Co wspólnego mogą mieć hiszpańscy przemytnicy z korsykańskimi bandytami.

— Ach, mój Boże! — ozwał się Gaetano, a w głosie jego zabrzmiała nuta miłosierdzia iście chrześcijańskiego — toć trzeba wspomagać bliźnich. Czasem ziemia pali się takiemu bandycie pod stopami, zwłaszcza kiedy napierają nań żandarmi albo karabinierzy; no to nawija mu się pod rękę łódź, a w niej paru poczciwych jak my chłopaków. I prosi nas o gościnę w naszym pływającym domu. I jakże tu odmówić pomocy tropionemu biedakowi! Bierzemy go do siebie i dla pewności czmychamy na pełne morze. To nas nic nie kosztuje, a ratujemy, jeśli nie życie, to przynajmniej wolność bliźniemu, który w odpowiedniej chwili odwzajemnia nam usługę, wskazując miejsce dogodne, gdzie możemy, nie narażając się na niczyje wścibstwo, wylądować spokojnie towar.

— Ach tak! — zdziwił się Franz. — To i ty, mój drogi Gaetano, jesteś po trosze przemytnikiem?

— Cóż robić, jaśnie panie! — odparł Gaetano z uśmiechem, którego niepodobna opisać — człowiek chwytą się wszystkiego; trzeba przecie z czegoś żyć.

— No, to odwiedzając dziś Monte Christo, trafisz właściwie między swoich?

— Mniej więcej. My, żeglarze, jesteśmy jak masoni: poznajemy się po pewnych znakach.

— To sądzisz, że na wyspie, gdybyśmy wylądowali, nic nam grozić nie będzie?

— Nic a nic. Przemytnicy to nie zbóje.

— No a ci dwaj korsykańscy bandyci?... — indagował Franz, starając się ocenić z góry niebezpieczeństwo.

— Iii, mój Boże, to wcale nie ich wina, że są bandytami, to wina władz.

— Jakże to?

— Oczywiście; ściga się ich za to tylko, że dobrali się komuś do skóry; jakby zemsta nie leżała w naturze Korsykanina.

— Cóż ty rozumiesz przez to dobranie się komuś do skóry? Zabicie człowieka? — indagował Franz.

— Znaczy to zabicie wroga — odparł Gaetano — a to zupełnie co innego.

— No dobrze — zdecydował młodzieniec — poprośmy przemytników i bandytów o gościnę. Ale czy sądzisz, że nam jej udzielią?

— Na pewno.

— Ilu ich jest?

— Czterech, jaśnie panie, a licząc z dwoma bandytami — sześciu.

— To akurat tyłu co i nas! Siły są równe, a jeśli nawet ci panowie okażą nam wrogość, powstrzymamy jakoś ich zakusy. Więc po raz ostatni: na Monte Christo!

— Dobrze, wielmożny panie, ale jeśli pan pozwoli, nie poniechamy dalszych kroków ostrożności.

— Ależ oczywiście, mój drogi! Bądź rozumny jak Nestor i ostrożny jak Odys. Nie tylko zezwalam na to, ale i zalecam.

— Zgoda! A teraz cicho! — uciął Gaetano. Wszyscy zamilkli.

Franz, jako człowiek rozpatrujący każdą sprawę z właściwego punktu widzenia, nie uznał sytuacji za niebezpieczną, ale za dość poważną. Otoczony zewsząd głęboką ciemnością, osamotniony pośród rozległych wód, zdany był na łaskę kilku marynarzy, którzy, nie znając go wcale, nie mieli powodu okazywać mu przychylności:

marynarze ci z dziesięć razy oglądali, jeśli nie zazdrośnie, to przynajmniej ciekawie jego piękną broń, a i wiedzieli, że znalazłoby się u niego w pasie kilka tysięcy franków. Z drugiej znowu strony, pod taką właśnie eskortą miał wylądować na wyspie noszącej prawdziwie chrześcijańskie miano, a która rojąc się od przemytników i bandytów udzieli mu zapewne takiej gościny, jakiej udzieliła Kalwaria Chrystusowi. Prócz tego opowieść o zatapiających okrętach, która za dnia wydała mu się przejawiskawiona, nabrała nocą prawdopodobieństwa. Toteż ulokowany jakby między jednym i drugim, wyimaginowanym być może, niebezpieczeństwem, nie spuszczał z oka marynarzy, a ręki ze spustu dubeltówki.

Marynarze tymczasem wciągnęli żagle i łódź pomknęła szlakiem przebytym już dwukrotnie. Oswoiwszy się nieco z ciemnością, Franz dostrzegł granitowego olbrzyma, którego teraz opływali, wreszcie za skalistym cyplem ujrzał ognisko, rzucające blask nadzwyczaj silny, a wokół ogniska kilku siedzących mężczyzn.

Blask ognia rozświetlał fale na sto kroków. Gaetano opływał światło, unikając starannie zasięgu jego promieni, kiedy zaś znalazł się naprzeciw ogniska, popłynął wprost na nie i wjechał odważnie w świetlisty krąg, nucąc rybacką piosenkę, której refren śpiewali chórem majtkowie.

Usłyszawszy piosenkę, ludzie siedzący przy ognisku wstali i podążyli ku przystani, nie spuszczać łodzi z oka; starali się niewątpliwie oszacować siłę przybyszów oraz odgadnąć ich zamiary. W mniemaniu snadź, że sprawę zbadali należycie, wrócili do ogniska — oprócz jednego, który pozostał na brzegu.

Inni siedzieli znów przy ognisku, na którym piekło się koźlę.

Kiedy łódź znalazła się o jakieś dwadzieścia kroków od brzegu, stojący tam człowiek dał machinalnie karabinem taki znak, jaki daje strażnik na widok patrolu, i zawołał w narzeczu sardyńskim: — Kto idzie?

Franz, nie tracąc zimnej krwi, odbezpieczył obie dubeltówki.

Gaetano zamienił z nieznanym kilka słów, ale Franz nic nie rozumiał, choć najwyraźniej o nim rozmawiano.

— Czy jaśnie pan — zagadnął Gaetano — zechce wyjawić swoje nazwisko, czy woli zachować incognito?

— Moje nazwisko musi pozostać w tajemnicy; powiedz im po prostu, że jestem Francuzem, podróżującym dla rozrywki — odparł Franz.

Kiedy Gaetano powtórzył tę odpowiedź, strażnik wydał jakiś rozkaz jednemu z ludzi siedzących przy ognisku, ów zaś mężczyzna zerwał się i zniknął wśród skał.

Zapadło milczenie. Każdy, zda się, zajęty był swoimi sprawami: Franz lądowaniem, marynarze żaglami, przemytnicy koźlęciem; ale mimo tej pozornej niefrasobliwości wciąż obserwowano się nawzajem.

Mężczyzna, który się był oddalił, ukazał się nagle, nadchodząc z przeciwnej strony. Kiwnął głową strażnikowi, który, odwróciwszy się w kierunku łodzi ograniczył się do zwięzłego: s'accomodi.

Włoskie s'accomodi jest nieprzetłumaczalne; oznacza to jednocześnie: chodźcie, wejdźcie, witajcie, czujcie się jak u siebie, rozkazuj, jesteś tu panem. Podobnie jak owo tureckie zdanie Moliera, które wprawiało w takie zdumienie pana Jourdain. mnogością swoich znaczeń.

Marynarze nie kazali sobie powtarzać tego dwa razy: cztery uderzenia wiosł — i oto łódź przybiła do brzegu. Gaetano wyskoczył na ląd i coś tam jeszcze poszeptał ze strażnikiem; marynarze wysiedli jeden po drugim; wreszcie przyszła kolej i na Franza.

Franz przerzucił przez ramię jedną ze swoich strzelb, drugą wziął Gaetano, a sztucer niósł marynarz. Franz odziany był po trosze jak artysta i po trosze jak dandys, ubiór jego nie budził żadnych podejrzeń, a więc i nie zaniepokoił gospodarzy.

Przycumowawszy łódź przybysze postąpili kilka kroków, by wyszukać dogodnie miejsce na obozowisko; ale widać kierunek, jaki obrali, nie spodobał się przemysłowemu, który sprawował wartę; krzyknął bowiem do Gaetana:

— Nie tędy, panowie, jeśli łaska!

Gaetano wymamrotał coś na kształt przeprosin i nie oponując powędrował w przeciwną stronę, a dwaj marynarze podeszli do ogniska, by zapalić pochodnie, którymi chcieli oświetlać drogę.

Zrobiwszy około trzydziestu kroków, podróżni zatrzymali się na małym tarasie otoczonym zewsząd skałami, gdzie wykuto nyże w taki sposób, aby wartownik tu stróżujący mógł wygodnie siedzieć. Na wąskich skrawkach ziemi rosły z rzadka karłowate dęby i gęste kępy mirtów. Franz zniżył pochodnię, a dostrzegłszy kupkę popiołu, pomyślał, że nie tylko jemu to miejsce wydało się sposobne na obozowisko — rozbijali je tutaj na pewno włóczędzy zawadzający o wyspę Monte Christo.

Teraz już nie obawiał się żadnych niespodzianek; wylądowawszy bowiem, dostrzegł jeśli nie przyjazne, to przynajmniej obojętne zachowanie gospodarzy; pierzchył tedy jego troski, a woń aromatyczna pieczonego koźlęcia wzbudziła w nim apetyt, każąc zapomnieć o niepokoju.

Kiedy napomknął o tym Gaetanowi, Gaetano odpowiedział, że kolacja nie nasunie żadnych trudności, skoro mają w łodzi chleb, wino, sześć kuropatw, a ogień, na którym się je upiecze, rozniecić nietrudno.

— Wreszcie — dorzucił — jeśli zapach koźlęcia wydaje się wielmożnemu panu tak smakowity, mogę zaofiarować sąsiadom ze dwa ptaszki w zamian za plaster pieczeni.

— Maszeruj, Gaetano, a żywo — odparł Franz. — Masz niezwykle talent do wszelkich pertraktacji.

Marynarze nazrywali tymczasem wrzosu, przynieśli kilka wiązek mirtu i ścięli parę karłowatych dębów; po chwili zapłonął suty ogień.

Wciągając w nozdrza smakowity zapach, Franz oczekiwał niecierpliwie powrotu Gaetana; Gaetano zjawił się niebawem, ogromnie czymś zafrasowany.

— No i co? — zagadnął Franz. — Jakie nowiny? Czy odrzucono naszą ofertę?

— Przeciwnie — odparł Gaetano. — Naczelnik dowiedziawszy się, że pan jest młodym podróżującym Francuzem, zaprasza pana na kolację.

— Wybornie — rzekł Franz. — Ależ to wielka uprzejmość, nie widzę, dlaczego miałbym odmówić, tym bardziej że wnoszę swój udział do tej kolacji.

— E, nie chodzi o to; ma on co jeść, o ma! Ale zaprasza pana do siebie pod osobliwym warunkiem.

— Do siebie? — zdziwił się Franz. — To on ma dom?

— Nie, ale mimo to mieszka bardzo wygodnie, tak przynajmniej zapewniają.

— Znasz tedy naczelnika?

— Tylko ze słyszenia.

— A jak mówią o nim? Źle czy dobrze?

— I tak, i tak.

— O, do diabła! No i cóż to za warunek?

— Żeby pan pozwolił sobie zawiązać oczy i nie zdejmował opaski, póki naczelnik sam o to nie poprosi.

Franz spojrział Gaetanowi bystro w oczy, usiłując wybadać, co tai się pod tą propozycją.

— Ej, lichy nadał! — zachnął się Gaetano, odgadując myśl Franza. — Rzecz wymaga namysłu, wiem o tym dobrze.

— A ty co byś zrobił na moim miejscu?

— Zgodziłbym się, bo nie mam nic do stracenia.

— Przyjąłbyś zaproszenie?

— Tak. Choćby przez ciekawość.

— Jest więc tam coś do obejrzenia?

— Niech pan posłucha — rzekł Gaetano zniżając głos — nie wiem, czy to prawda, co mówią...
Urwał i rozejrzył się, czy kto nie słucha.

— Co mówią?

— Powiadają, że naczelnik mieszka w podziemiach, przy których pałac Pittich jest niczym.

— A cóż to za bajka! — powiedział Franz uspokojony.

— To wcale nie bajka, to prawda! Cama, sternik ze „Świętego Ferdynanda”, był tam kiedyś; wrócił olśniony i rozповіда, że podobne skarby istnieją tylko w baśniach.

— No, no! Czy wiesz, że słuchając tego, co mówisz, byłbym gotów powędrować nawet do jaskiń Ali Baby!

— Powtarzam wielmożnemu panu, com zasłyszał.

— Radzisz mi tedy iść?

— O, tego wcale nie powiedziałem. Jaśnie pan postąpi, jak mu się spodoba. Nie mam ochoty udzielać panu w takich okolicznościach żadnych rad.

Zastanowiwszy się chwilę, Franz doszedł do przekonania, że taki bogacz nie będzie dybał na życie człowieka, który ma przy sobie zaledwie kilka tysięcy franków; nęciła go zresztą kolacja, wyborna zapewne, zgodził się więc.

Gaetano zaniósł odpowiedź.

Ale, jak mówiliśmy już, Franz był rozważny — a zatem chciał zdobyć jak najwięcej wiadomości o swoim niezwykłym i tajemniczym gospodarzu. Zwróciwszy się tedy do marynarza, który podczas tej rozmowy oskubywał kuropatwę uważnie, jakby pyszniąc się swoją czynnością, zapytał, czym ci ludzie przyplłynęli do tej wyspy, bo nie widzi, aby przy brzegu stały łodzie, speronary albo tartany.

— Nie moje zmartwienie — odpowiedział marynarz. — A zresztą znam statek, na którym tu przybywają.

— No i co? Ładny jest ten statek?

— Życzę takiego wielmożnemu panu; mógłby pan objechać nim cały świat.

— Jaka wyporność?

— Około stu ton. To statek zbytkowny, jacht, jak mówią Anglicy, ale widzi pan, zbudowany tak, że wytrzyma każdą burzę.

— Gdzie go zbudowano?

— Nie wiem. Ale chyba w Genui.

— Z jakiegoż to tytułu herszt przemysłowców ośmiela się budować w genueńskich stocznicach statek przystosowany do jego machinacji?

— Wcale nie mówię, że właściciel tego statku jest przemysłowcem — odrzekł marynarz.

— No tak, ale Gaetano mówił mi o tym, jeśli się nie mylę.

— Gaetano tylko z daleka widział załogę, ale z nikim nie rozmawiał.

— Kim więc jest ten człowiek, jeśli nie jest hersztem przemysłowców?

— Bogatym panem, który podróżuje dla rozrywki.

Wobec tak różnych wersji, osobistość ta staje się coraz bardziej tajemnicza, pomyślał Franz.

— A jakże on się nazywa?

— Jeśli go o to zapytać, mówi, że Sindbad Żeglarz. Ale wątpię, czy to jego prawdziwe nazwisko.

— Sindbad Żeglarz?

— Tak.

— Gdzie mieszka ów magnat?

— Na morzu.

— Z jakiego kraju pochodzi?

— Nie wiem.

— Widziałeś go kiedy?

— Czasem go widuję.

— Jakiż to człowiek?

— Wasza wielmożność sam osądzi.

— A gdzie mnie przyjmie?

— Pewnie w tym podziemnym pałacu, o którym wspominał Gaetano.

— Czy nigdy nie zdjęła was ciekawość dotrzeć do tego zaczarowanego pałacu, wtedy na przykład, kiedy nie zastawaliście na wyspie nikogo?

— No chyba! I to niejedną raz, wielmożny panie! — odparł marynarz — ale nasze poszukiwania zawsze były daremne. Zajrzeliśmy we wszystkie kąty groty i nie natrafiliśmy na najmniejszy ślad jakiegogo wejścia. Zresztą, gadają, że drzwi pałacu otwierają się nie za pomocą klucza, ale zaklęcia.

— Nie ma co — szepnął Franz — uwikłałem się naprawdę w jakąś opowieść z „Tysiąca i Jednej Nocy”.

— Ekscelencja oczekuje pana — ozwał się ktoś za plecami Franza. Franz poznał strażnika po głosie.

Przyszedł on w towarzystwie dwóch ludzi z załogi jachtu.

Franz, nie rzekłszy słowa, wyjął chustkę i podał ją strażnikowi.

Bez słowa zawiązali mu oczy nader starannie, jakby w obawie, by nie popełnił jakiej niedyskrecji; potem kazali mu przysiąc, że nie popróbuje zdjąć opaski.

Przysiągł.

Wtedy dwaj marynarze wzięli go pod rękę i poprowadzili, a strażnik szedł przodem.

Uszedłszy ze trzydzieści kroków, Franz domyślił się, sądząc po coraz apetyczniejszym zapachu koźlęcia, że mijają obozowisko; zrobili tak jeszcze z pięćdziesiąt kroków, zdążając najwyraźniej tam, dokąd Gaetanowi wzbroniono się zapuszczać — zakaz ten stał się teraz jasny. Niebawem powietrze zmieniło się i Franz domyślił się, że schodzą do podziemia; jeszcze kilka kroków, jakieś skrzypnięcie — i oto powietrze zmienia się znowu: jest ciepłe i wonne; wreszcie uczył pod stopami gruby, puszysty dywan; przewodnicy puścili go nagle. Zapadła cisza, którą ktoś przerwał po chwili, odezawszy się francuszczyzną poprawną, ale z obcym akcentem:

— Witaj, miły gościu, i bądź łaskaw zdjąć opaskę.

Jak się domyślicie, Franz nie dał sobie tego dwa razy powtarzać; zdjawszy opaskę znalazł się oko w oko z mężczyzną lat około czterdziestu ubranym z marokańska: miał na sobie fez ozdobiony długim chwostem z błękitnego jedwabiu, czarny serdak zahaftowany złotem, szarawary ciemnoczerwone, kamasze tejsze barwy, haftowane złotą nicią jak i serdak, i żółte safianowe pantofle; opasany był przepyszny kaszmiem, za którym tkwił ostry, zakrzywiony kindżał.

Lico nieznanego było bardzo piękne, choć nadmiernie blade; spojrzenie — przenikliwe i bystre, nos prosty, typowo grecki; zęby białe jak perły, błyszcząły prześlicznie pod czarnym wąsem.

Ale przedziwna była to bladeść: rzekłbyś, ten człowiek, zamknięty przez dłuższy czas w grobie, nie zdołał już nigdy odzyskać rumieńca.

Był postawny, choć niezbyt wysoki, a jak południowiec miał małe ręce i stopy.

Franz, włożywszy opowieść Gaetana między bajki, osłupiał teraz na widok przepysznego urządzenia sali. Była ona wybita szkarłatną turecką materią, haftowaną w złote kwiaty. We wgłębieniu stała otomana, a nad nią wisiały szable arabskie w pochwach złożonych i o rękojeściach iskrzących się klejnotami; ze stropu zwisała lampa wenecka prześlicznego kształtu i barwy; noga tonęła po kostkę w puszystym tureckim kobiercu; drzwi, którymi Franz wszedł, zasłaniała kotara i takąż kotara zasłaniała drzwi drugie, prowadzące do następnej komnaty, wspaniale oświetlonej.

Gospodarz czekał, póki Franz nie ochłonie ze zdumienia — a zresztą, odplacając pięknym za nadobne, przyglądał się gościowi, nie spuszczać zeń oka.

— Łaskawy panie — ozwał się wreszcie — stokrotnie przepraszam za owe środki ostrożności, jakie panu narzucono wprowadzając go tutaj; ale gdyby znano tajemne wejście do mojego pomieszczenia, zastałbym je po powrocie — a opuszczam wyspę często i na długo — w oplakany stan, co zmartwiłoby mnie bardzo, nie tyle ze względu na straty czysto materialne, ile dlatego, że postradałbym cenne lokum, gdzie mogę, ilekroć tego zapragnę, ukryć się przed światem. A teraz postaram się, byś pan zapomniał o tej drobnej przykrości, ofiarowując ci to, czego nie spodziewałeś się tu znaleźć: przyzwoitą kolację i dość wygodne postanie.

— Drogi gospodarzu — odparł Franz — niepotrzebnie pan się sumitujesz. Wiem, że jak świat światem, zawiązywano oczy śmiałkom wkraczającym do czarodziejskich pałaców; racz pan wspomnieć Raula z „Hugenotów”; a zresztą, doprawdy, nie mogę się uskarżać, bo to, co ukazałeś moim oczom, jest chyba dalszym ciągiem cudów z „Tysiąca i Jednej Nocy”.

— Ano cóż! Odpowiem jak Lukullus: gdybym przewidział, że będę miał honor gościć pana, byłbym się przygotował. Tak czy inaczej, stawiam moją pustelnię do pańskiej dyspozycji. Proszę na kolację, jakakolwiek będzie. Ali, czy już podano?

W tejże niemal chwili odchyliła się kotara i Nubijczyk czarny jak heban, a odziany po prostu w białą tunikę, dał znak swojemu panu, że można przejść do jadalni.

— Nie wiem, czy podzielasz pan moje zdanie — rzekł nieznajomy do Franza — bo ja uważam, że nic nas tak nie krępuje, jak owa sytuacja, kiedy to spędzamy parę godzin z człowiekiem, którego nie wiemy, jak zwać albo tytułować. Racz pan zauważyć, że nazbyt sobie ceniąc prawa gościnności, nie zapytałem ani o pańskie nazwisko, ani o tytuł; proszę jedynie, byś pan zechciał wyjawić, jak mam się do pana zwracać. Aby ułatwić rozmowę, powiem panu, że zowią mnie zwykle Sindbadem Żeglarzem.

— Wobec tego — podjął Franz — powiem panu, że ponieważ brak mi tylko słynnej cudownej lampy, abym znalazł się w położeniu Aladyna, nic nie stoi na przeszkodzie, abyś na razie zwał mnie Aladynem. Tym sposobem nie opuścimy Wschodu, dokąd, uwierzyłbym chętnie, przeniosła mnie potęga jakiegoś dobrotliwego geniusza.

— Słyszałeś, mości Aladynie — rzekł dziwaczny amfitrion — że podano do stołu, nieprawdaż? Bądź więc łaskaw do jadalni; twój pokorny sługa pójdzie przodem, by wskazać ci drogę.

To mówiąc odchylił kotarę i wszedł pierwszy.

Coraz silniejszy zachwyt ogarniał Franza: boć i stół nakryto wspaniale. Upewniwszy się co do tego ważnego punktu, Franz rozejrzał się wokół. Jadalnia była urządzona z nie mniejszym przepychem niż buduar, który właśnie opuścili; na marmurowych ścianach widniały antyczne płaskorzeźby najwyższej ceny, a w dwóch rogach tej owalnej sali ustawiono dwa wspaniałe posągi z koskami na głowach. Z koszy wylaniały się piramidy świetnych owoców: były tam sycylijskie ananasy i granaty z Malagi; pomarańcze z Balearów, francuskie brzoskwinie i daktyle z Tunisu.

Kolacja składała się z piezzonego bażanta, ugarniowanego kosami, szynki z dzika w galarecie, udźca koźlęcego po tatarsku, wspaniałego turbotu i olbrzymiej langusty.

W przerwach między głównymi daniami zjawiały się przystawki.

Półmiski były ze srebra, talerze z japońskiej porcelany.

Franz przetarł oczy, by upewnić się, że nie śni.

Usługiwał tylko Ali, wywiązując się doskonale z zadania. Gość pogratulował gospodarzowi, że ma sługę tak wykwalifikowanego.

— Tak — odparł Sindbad, czyniąc honory domu z wielkopańską swobodą — tak, ten nieszczęśnik jest mi bardzo oddany i stara się jak może. Pamięta, żem ocalił mu życie. Zależało mu chyba na własnej głowie, jest mi tedy poniekąd wdzięczny, że nie dopuściłem, by spadła.

Ali podszedł do pana i pocałował go w rękę.

— Czy nie będzie to, mości Sindbadzie, zbytnią niedyskrecją, jeśli spytam, w jakich okolicznościach spełnił pan ten dobry uczynek?

— O, Boże! To całkiem proste. Podobno ten błazen kręcił się nie opodal haremu tuniskiego beja. Nie przystoi to zuchowi o takim kolorze skóry, dlatego bej kazał mu uciąć język, rękę i głowę: pierwszego dnia język, drugiego — rękę, a trzeciego — głowę. Zawsze miałem ochotę przyjąć niemego do służby; odczekawszy więc, by odcięto mu język, zaproponowałem bejowi, aby dał mi skazańca w zamian za wspaniałą dubeltówkę, która w przeddzień, jakem zauważył, ogromnie się spodobała Jego Wysokości. Wahał się chwilę, tak mu zależało na śmierci nieboraka. Ale dołożył do fuzji kordelas angielski, którym rozciąłem jatagan Jego Wysokości; wtedy bej zdecydował się darować mu rękę i głowę, pod warunkiem, że stopa jego w Tunisie nigdy już nie postanie. Była to zresztą zapowiedź zbyteczna. Ilekroć bowiem ten poganin zobaczy z daleka afrykańskie wybrzeże, zaszywa się na dno jachtu i nie wyciągnie go stamtąd żadna siła, póki nie oddalimy się od trzeciej części świata.

Franz milczał chwilę, dumając: zastanawiał się, co ma myśleć o okrutnej dobroduszości, z jaką gospodarz przedstawił mu tę sprawę.

— I jako czcigodny żeglarz, od którego zapożyczyłeś pan imię — ozwał się, zmieniając temat rozmowy — spędzasz pan życie na podróżach?

— Tak, to ślub, który złożyłem swojego czasu. Nie przypuszczałem wtedy, abym zdołał go kiedykolwiek wypełnić — uśmiechnął się nieznajomy. — Złożyłem jeszcze parę innych i te, mam nadzieję, doprowadzę kolejno do skutku.

Choć Sindbad wyrzekł te słowa z najzimniejszą krwią, w oku jego błysnęła osobliwa srogość.

— Przecierpiał pan wiele, nieprawdaż? — zagadnął Franz. Sindbad drgnął i popatrzał nań bystro.

— Z czego pan to wnosisz? — spytał.

— Ze wszystkiego: z pańskiego głosu, bladej twarzy, spojrzenia, no i z trybu życia.

— E, widzę najszczęśliwszy żywot, jaki mógłbym sobie wymarzyć: prawdziwy żywot paszy! Jestem panem stworzenia; jeśli jakaś miejscowość przypadnie mi do gustu, zostaję tam; gdy mi się znudzi — odjeżdżam; jestem wolny jak ptak i jak on mam skrzydła; moi ludzie czekają tylko na każde moje skinienie, czasami, ot tak, dla zabawy i żeby zakpić z ludzkiej sprawiedliwości, sprzedaję jej nosa tropionego bandytę albo złoczyńcę. Prócz tego mam swój własny trybunał, niższej i wyższej instancji, który nie uznaje odroczeń i apelacji, skazuje lub uwalnia i nikt do niego wtrącać się nie ma prawa. O, gdybyś pan zakosztował mojego życia, nie pragnąłbyś już innego i nigdy nie wróciłbyś do świata, chyba żebyś miał tam dokonać jakiegoś wielkiego dzieła.

— Na przykład dzieła zemsty! — rzucił Franz.

Nieznajomy popatrzył na młodzieńca, a spojrzenie to zgłębiało do dna serce i myśl.

— Skądże pan wnosisz by miała to być akurat zemsta?

— Bo wyglądasz pan na kogoś, kto wycierpiał wiele od ludzi, ma z nimi jakiś straszliwy rachunek do wyrównania.

— Owóż — tu Sindbad, wybuchnąwszy swoim dziwnym śmiechem, ukazał białe, ostre zęby — nie zgadłeś pan; jestem, mój panie, kimś na kształt filantropa i kto wie, czy nie zjawię się kiedyś w Paryżu, aby zakasować pana Apperta i innych.

— I to pierwszy raz zawitasz pan do Paryża?

— Tak, oczywiście. Wyglądam na kogoś niezbyt ciekawiącego się światem, prawda? Ale zapewniam pana, że nie ja ponoszę winę za to spóźnienie! Zjawię się i tam, zjawię!

— Może niedługo?

— Jeszcze nie wiem. Zależy to od wypadków, które znów podlegają niepewnemu zbiegowi okoliczności.

— Chciałbym być w Paryżu, kiedy przedsięwzięmiesz pan tę podróż. Wywdzięczyłbym się panu w miarę możliwości za tę wspaniałą gościnę.

— Przyjąłbym pańską propozycję z wielką radością... ale niestety, jeśli udam się do Paryża, to prawdopodobnie incognito.

Wieczera ciągnęła się tymczasem, a podano ją jakby tylko dla Franza; nieznajomy ledwie pokosztował kilku wykwintnych potraw, lecz gość jego niespodziany jadł z apetytem — bo i zasługiwała na to ta świetna uczta.

Wreszcie Ali przyniósł wety: wyjąwszy kosze z rąk figur, postawił je na stole.

Między koszami umieścił czareczkę z pozłacanego srebra o nakrywce z tegoż metalu.

Franza zaciekawił szacunek, z jakim Ali wniósł ową czarkę. Uniósłszy pokrywkę, zobaczył zielonkawą maź podobną do konfitur z dzięglu. Nie miał jednak pojęcia, co to może być za przysmak.

Położył nakrywkę na swoim miejscu, nie wiedząc, jak i przedtem, co zawiera naczynie, i spojrzał pytająco na gospodarza, który uśmiechnął się, rozbawiony jego zawodem.

— Nie możesz się pan domyślić, jakiego rodzaju specjał zawiera ta czareczka; intryguje to pana, nieprawdaż?

— Przyznam się, że tak.

— Owóż te zielone konfitury to ni mniej, ni więcej, tylko ambrozja, którą Hebe podawała przy Jowiszowym stole.

— Lecz oczywiście ta ambrozja — zauważył Franz — utraciła w ludzkich rękach swoje miano niebiańskie, a nabyła ziemskie; jakże więc nazywa się w ludzkiej mowie to powidełko, nie budzące zresztą we mnie szczególnej sympatii?

— Otóż i to! — zawołał Sindbad. — Słowa te świadczą, żeśmy powstałi z materii. Przechodzimy często obok szczęścia nie widząc go, nie patrząc na nie przypatrujemy mu się, nie poznając. Jeśli jesteś pan człowiekiem rzeczowym, a złoto dla ciebie jest bogiem, pokosztuj tego: otworzą się przed tobą kopalnie Peru, Guzuraty i Golkondy. Jeśli zaś posiadasz bujną wyobraźnię, jeśli jesteś poetą — skosztuj też, a znikną bariery, które ograniczają twoje możliwości: nieskończoność otworzy przed tobą swoje dziedziny, będziesz przechadzał się z lekkim sercem i umysłem jasnym po niezmiernym królestwie marzenia. Jeśli jesteś ambitny i gonisz za ziemską sławą — pokosztuj, a za godzinę będziesz królem, nie małego państewka zaszytego gdzieś w kącie Europy, jak Francja, Hiszpania czy

Anglia, lecz królem świata, królem wszechświata, królem stworzenia. Twój tron wznosić się będzie na górze, na którą szatan uniósł Jezusa; i nie złożysz szatanowi hołdu (nikt nie zmusi cię do tego), nie całując go w pazur, zostaniesz udziałnym panem wszystkich królestw ziemi. Czyż to nie kusząca propozycja? Powiedz sam. I czyż to niełatwe, bo wystarczy jeden ruch? Patrz.

To rzekłszy zdjął nakrywkę złoconej czarki, która zawierała tak zachwalaną substancję, nabrał łyżeczkę od kawy owych magicznych konfitur, zbliżył ją do ust i począł smakować wolno, przymykając oczy i odchylając głowę do tyłu.

Franz odczekał, póki gospodarz nie nasyci się swoim ulubionym przysmakiem, a widząc, że trochę przyszedł do siebie, zagadnął:

— Ale cóż to właściwie za szacowny specjał?

— Słyszałeś pan o Starcu z Gór, tym, co chciał zamordować Filipa Augusta?

— Naturalnie.

— Owóż, jak panu wiadomo, władał on żyzną doliną, nad którą wznosiła się góra: od nich to wzięt ów malowniczy przydomek. W dolinie były wspaniałe ogrody, sadzone ręką Hasana ibn Sabbaha, a w ogrodach odludne altany. W owych to altanach gościł swoich wybrańców, jak powiada Marco Polo, i częstował rośliną, co przenosiła ich do raj, w ogrody zawsze kwietne, pełne drzew uginających się pod zawsze dojrzałymi owocami i dziewcząt wiecznie młodych. Szczęśliwi młodzieńcy poczytywali za rzeczywistość to, co było tylko snem, ale snem tak uroczym, upojnym i rozkosznym, że zaprzędawali się duszą i ciałem temu, kto go sprowadzał, i słuchali jego rozkazów niby słowa bożego; szli, choćby na kraj świata, aby zabić wskazaną ofiarę, umierali bez skargi na torturach, myśląc tylko o tym, że śmierć otwiera im bramę do owego życia pełnego rozkoszy, którego przedsmak daje to święte ziele, panu tutaj podane.

— A więc to haszysz! — zawołał Franz. — Znam go, przynajmniej ze słyszenia.

— Rzekłeś, mości Aladynie, to haszysz, ale najlepszy i najklarowniejszy, jaki można dostać w Aleksandrii: haszysz wyrabiany przez Abugora, człeka znakomitego, jedyne w swoim rodzaju, człeka, któremu winniśmy wzniesć pałac z takim oto napisem: „Przekupniowi szczęścia — wdzięczni klienci”.

— Wiesz pan — ozwał się Franz — chciałbym wypróbować na sobie, czy twoje pochwały są prawdziwe, czy tylko przesadne.

— Osądź, drogi gościu, osądź, ale nie poprzestawaj na pierwszym doświadczeniu; w tym, jak i w każdym wypadku, zmysły muszą przywyknąć do wrażenia nowego, łagodnego albo gwałtownego, wesołego albo smutnego. Natura walczy z tą boską substancją, albowiem natura nie jest stworzona do radości, natura wczepia się w boleść. Trzeba, żeby natura zwyciężona padła w walce, żeby sen ustąpił miejsca rzeczywistości; i wtedy sen panuje niepodzielnie, sen staje się życiem, a życie snem. Jakąż odczujesz różnicę uległszy tej przemianie! Porównując udrękę istnienia rzeczywistego z uciechami istnienia sztucznego, nie zechcesz już nigdy wrócić do życia prawdziwego, zapragniesz marzyć zawsze. Kiedy porzucisz swój świat wewnętrzny dla świata innych, wyda ci się, żeś wiosnę w Neapolu zamienił na zimę w Laponii, żeś opuścił raj dla ziemi, niebo dla piekła. Pokosztuj haszyszu, gościu mój drogi, pokosztuj!

Franz, nic nie odrzekłszy, wzięt na łyżeczkę tyleż owej cudownej substancji, ile nabrał był gospodarz, i podniósł ją do ust.

— O, do diabła! — otrząsnął się, przełknąwszy boskie konfitury — nie wiem, czy w skutkach okażą się równie miłe, jak pan obiecujesz, bo na razie, mimo pańskich zapewnień, żadnego niebiańskiego smaku doszukać się w nich nie mogę.

— Toż pańskie podniebienie nie przywykło jeszcze do najwyższych, najdelikatniejszych zalet tej substancji. Powiedz pan sam, czyś już za pierwszym razem rozsmakował się w ostrygach, herbacie, porterze, truflach, za którymi przepadasz obecnie? Czy rozumiesz Rzymian, którzy przyprawiali bażanta asafetydą, i Chińczyków raczących się jaskółczymi gniazdami? Dalibóg, nie! Więc i tak samo jest z haszyszem. Ale gdybyś go jadał choćby tydzień, dzień po dniu, wzgardziłbyś najwykwintniejszymi smakołykami, żaden z nich bowiem nie prześcignąłby, według ciebie, owego haszyszu, który dziś wydaje ci się pewnie mdły i mdlący. A zresztą, chodźmy do pokoju obok, to znaczy pokoju pańskiego. Ali poda nam kawę i fajki.

Podnieśli się więc obaj, a kiedy rzekomy Sindbad — jak go od czasu do czasu zwiemy dla naszej i Franza wygody — wydawał służącemu rozkazy, Franz wszedł do sąsiedniego pokoju.

Urządzono go prościej, choć nie mniej bogato. Był okrągły, wokół zaś, pod ścianami, rozpościerała się kolistnie wielka otomana. Otomana, ściany, strop i posadzka były w całości wybite przepyszny

skórami, miękkimi jak najbardziej puszysty kobierzec; były to skóry lwów o grzywach potężnych — lwów z gór Atlasu; skóry tygrysów bengalskich, urzekające pręgami o ciepłym kolorycie; skóry panter z Przylądka Dobrej Nadziei, nakrapiane wesoło (pantera taka pojawiła się Dantemu), wreszcie skóry niedźwiedzi syberyjskich i lisów norweskich — a wszystkie te futra, rozesłane grubą warstwą, pieściły stopy niby najgęstsza murawa i nęciły niby najmiększe łoże.

Obaj wyciągnęli się na otomanie; mieli pod ręką jaśminowe fajki o bursztynowych ustnikach, przygotowane w takiej ilości, aby żadna nie służyła dwakroć. Zapaliwszy je, Ali poszedł po kawę.

Nastąpiła chwila milczenia. Sindbad zatonął w myślach, które, rzekłbyś, nie opuszczały go nigdy, nawet pośród rozmowy; Franz pograżył się w owej cichej zadumie, jaka ogarnia nas prawie zawsze, kiedy palimy dobry tytoń, co jakby unosi z dymem wszystkie nasze troski nękające umysł i zsyła w zamian wszelkie marzenia duszy.

Ali wniósł kawę.

— Jaką pan pija? — spytał nieznajomy. — Po francusku czy po turecku, mocną czy słabą, z cukrem czy bez cukru, zaparzoną czy gotowaną? Niechże pan wybiera, przyrządzono ją na wszelkie sposoby.

— Napiję się kawy po turecku.

— Słusznie, słusznie! — zawołał gospodarz. — To dowód, że skłaniasz się pan ku życiu wschodniemu. Bo widzi pan, tylko na Wschodzie człowiek zna sztukę życia! Co do mnie — przydał z owym szczególnym uśmiechem, na który Franz zwrócił już był uwagę — kiedy załatwię w Paryżu swoje sprawy, zechcę dokonać żywota na Wschodzie, a wtedy, jeśli raczy mnie pan znów odwiedzić, będziesz musiał szukać mnie w Kairze, w Bagdadzie albo Ispahanie.

— Dalibóg, z łatwością tego dokażę — odrzekł Franz — czuję bowiem, że vyrastają mi orle skrzydła, dzięki którym świat oblecę w dzień jeden.

— Oho, haszysz już działa. No to dobrze, otwieraj pan skrzydła, wzlatuj w nadludzkie dziedziny i nic się nie bój, bo czuwamy nad tobą. A jeśliby pańskie skrzydła, tak jak Ikarowe, stopniały w słońcu, ocalimy cię.

Powiedział po arabsku coś do Alego, Ali skłonił się na znak posłuszeństwa i wyszedł, iecz się nie oddalił.

A tymczasem we Franzu dokonywała się dziwna przemiana. Ustępowało zmęczenie fizyczne, które przyniósł mu ten dzień, nie zaprzętał się już wypadkami wieczornymi, zapadał w ów stan, kiedy zasypiając jesteśmy jeszcze na tyle przytomni, że czujemy, jak zbliża się sen. Ciało jego nabierało jakby niematerialnej lekkości, umysł ogarniała jasność niezwykła, wzmagały się władze zmysłów; horyzont wciąż się rozszerzał, lecz nie był to ów horyzont ciemny, na którego tle szybuje nieokreślona trwoga, horyzont, jaki widział, nim usnął — ale horyzont błękitny, przezroczy, rozległy, nasycony lazurem morza, złotym migotaniem słońca, zapachem bryzy; potem, wśród śpiewu żeglarzy tak melodyjnego i czystego, że stworzyłyby boską harmonię, gdyby podobna było zapisać nuty, wyłoniła się wyspa Monte Christo, lecz nie jako groźna rafa czyhająca wśród fal, ale jako oaza zagubiona na pustyni; następnie w miarę jak łódź się zbliżała, do chóru przyłączały się wciąż nowe głosy, gdyż owa czarodziejska i tajemnicza melodia wzbijała się z owej wyspy do Boga, jak gdyby wróżka, na przykład Lorelei, albo czarnoksiężnik, na przykład Amfion, pragnęli tu zwiabić duszę albo wybudować miasto

Wreszcie łódź przybiła do brzegu, lekko bez jednego wstrząsu, jakby wargi dotknęły warg, i nasz młodzieniec wśród owej uroczej melodii zniknął w grocie. Zszedł — a raczej zdawało mu się, że schodzi — po kilku stopniach, wdychając orzeźwiający i wonne powietrze, jakie musiało unosić się wokół groty Kirke, skomponowane z takich zapachów, iż rozmarza się umysł, pełne takiej gorącości, że rozpalają się zmysły; i zobaczył po raz wtóry to wszystko, co widział przed zaśnięciem — Sindbada, baśniowego gospodarza, i Alego, sługę-niemowę; potem wszystko zatarło się i pomieszało przed jego oczyma, jakby to były ostatnie obrazy wywołane czarnoksiężką latarnią, którą gasimy — i znalazł się znów w komnacie, gdzie stały posągi, oświetlonej tylko starożytną lampą rozsiewającą mdły poblask, lampą, co pośród nocy czuwa nad snem albo nad rozkoszą.

Były to te same posągi o kształtach bujnych, lubieżne i pełne poezji, posągi o hipnotyzujących oczach, uśmiechu rozpustnym, włosach bujnych. Fryne, Kleopatra i Mesalina — trzy najznamienitsze kurtyzany; potem między te bezwstydnne cienie wśliznęła się niby jasny promień, niby anioł chrześcijański nawiedzający mieszkańców Olimpu, postać dziewicza, cień spokojny, zjawa łagodna, która na widok owych marmurowych dziewczek przesłaniała niewinne lico.

Wydawało mu się wtedy, że trzy posągi złączyły swoją miłość do jednego mężczyzny i że tym mężczyzną był on; że zbliżyły się do łoża, gdzie spał snem powtórnym; nogi ich spowijały długie tuniki, piersi były obnażone, loki spływały falą. Pozom tych trzech zjaw ulegliby bogowie, lecz oparliby się

święci", rzucali spojrzenia bezlitosne i jarzące — tak samo wąż wpatruje się w ptaka — a Franz poddał się im: sprawiały mu ból nieznośny, niby zaciśnięte kleszcze, a zarazem napawały go rozkoszą, jaką daje pocałunek.

Wydało mu się, że zamykając oczy po raz ostatni ogarnął wzrokiem posąg wstydlivy, co zasłaniał swoje wdzięki; i gdy już oczy jego zamknęły się ostatecznie dla spraw rzeczywistego świata, otwały się zmysły i doznał wrażeń, o jakich nie śniło się nikomu.

Wtedy nastąpiła rozkosz nieprzerwana, jaką Prorok obiecuje swoim wybranym, amory bez chwili wytchnienia. Ożyły kamienne wargi, piersi zapłonęły żarem, a Franzowi, który po raz pierwszy dostał się we władanie haszyszu, miłość ta sprawiała niemal ból, rozkosz ta wydawała się niemal torturą, kiedy uczył na złaknionych ustach wargi posągów gibkich i zimnych jak węże; jednak im usilniej starał się odpychać tę miłość nieznaną, tym bardziej zmysły jego ulegały urokom tajemniczego snu — i po walce, dla której warto było zaprzedać duszę, skapitulował: zdyszany, rozgorączkowany zmęczeniem, wyczerpany rozkoszą, poddał się pocałunkom marmurowych kochanek i czarom tej nieprawdopodobnej wizji.

32. PRZEBUDZENIE

Odzyskującemu przytomność Franzowi wydało się, że wszystko wokół niego jest jakby dalszym ciągiem snu; mniemał, że znajduje się w grobowcu, dokąd wkradł się, jakby z litości, mdły promień słońca; wyciągnął rękę i natrafił na głaz; siadł na postaniu: owinięty w pelerynę spoczywał na pachnących i miękkich wrzosach.

Wizje znikły, z posągów nie zostało ani śladu, jakby należały do świata zjaw odwiedzających nas tylko we śnie. Skierował się tam, skąd padało światło; sny burzliwe ustępowały spokojnej rzeczywistości. Stwierdził, że znajduje się w grocie, a zbliżywszy się do wyjścia, ujrzał poprzez półkolisty otwór błękitne niebo i lazuruwe morze. Woda i niebo lśniły w porannym słońcu; kilku marynarzy śmiało się i rozmawiało, siedząc na nadbrzeżnym piasku; o dziesięć kroków od nich kołysała się wdzięcznie łódź uwiązana na kotwicy.

Przez dłuższą chwilę delektował się podmuchem, który chłodził mu czoło; słuchał dalekiego szumu fali, co kładąc się na brzegu, przystrajała skały srebrną koronką piany; nie zastanawiając się, nie myśląc, dał się porwać boskiemu urokowi, jaki odnajdujemy w naturze, zwłaszcza gdy uwalniamy się od fantastycznego snu; z wolna to życie, tak spokojne, czyste, wielkie, dobyło jakby na światło dzienne całą niedorzeczność jego snu i zaczęły napływać wspomnienia.

Przypomniał sobie, jak wylądowawszy na wyspie złożył wizytę hersztowi przemysłowców we wspaniałym podziemnym pałacu, gdzie zjadł wyśmienitą kolację i oszołomił się tyżeczką haszyszu.

Ale w zetknięciu z rzeczywistością, skąpaną blaskiem dnia, odniósł wrażenie, iż wypadki te rozegrały się co najmniej rok temu — tak bowiem żywo jaśniał mu w pamięci prześniony sen i tak ważne zajął miejsce w jego umyśle. Jakoż wyobraźnia ukazywała mu to siedzącą pośród marynarzy, to przemykającą się wśród skał, to kołyszącą się wreszcie na łodzi jedną z owych zjaw, których spojrzenia i pocałunki usiały tę noc gwiazdami. Zresztą myśl jego pracowała całkiem swobodnie, a wypoczętemu jak rzadko, głowa nie ciążyła — przeciwnie, ogarniało go doskonałe samopoczucie, napawał się słońcem i świeżym powietrzem z większą niż kiedykolwiek radością.

Podszedł wesół do marynarzy.

Spostrzegłszy Franza zerwali się, a Gaetano pośpieszył mu naprzeciw.

— Jaśnie wielmożny pan Sindbad — rzekł Gaetano — polecił mi złożyć ekscelencji, w jego imieniu, serdeczne ukłony; ku wielkiemu żalowi musiał wyjechać bez pożegnania, spodziewa się jednak, że jaśnie pan wybaczy mu to, dowiedziawszy się, że naglące sprawy wzywają go na Malagę.

— Mój drogi Gaetano — wykrzyknął Franz — a więc to wszystko, co mi się przydarzyło, jest prawdą? Istnieje tedy człowiek, który przyjął mnie na tej wyspie, ugościł po królewsku i wyjechał, gdy spałem?

— Oczywiście, że istnieje; oto jego jacht mknie pod pełnymi żaglami, a jeśli wielmożny pan spojrzy przez lunetę, to rozpozna z pewnością wśród załogi swojego gospodarza.

To rzekłszy Gaetano wskazał ręką stateczek żeglujący ku południowemu cyplowi Korsyki.

Franz wyjął lunetę, nastawił ją i wycelował we wskazanym kierunku.

Gaetano nie mylił się. Tajemniczy nieznajomy stał na rufie obrócony twarzą ku wyspie i, tak jak Franz, trzymał lunetę; miał na sobie ten sam strój, w którym przyjął wczoraj Franza, i powiewał chustką na znak pożegnania.

Wyjawszy chustkę Franz odpowiedział powiewając nią w taki sam sposób, jak to czynił nieznajomy.

Za chwilę lekki obłoczek dymu wykwił na rufie, zakołysał się nad nią wdzięcznie i wolniutko wzniósł się ku niebu; daleki odgłos strzału dobiegł uszu Franza.

— O, proszę, słyszy pan? — spytał Gaetano. — Przesyła panu pożegnanie. Młodzieniec wypalił w powietrze ze sztucera, nie łudząc się jednak, iżby odgłos tego strzału mógł dolecieć do jachtu.

— Co nam ekscelencja rozkaże? — zapytał Gaetano.

— Zapalcie mi najpierw pochodnię.

— Ach, tak, rozumiem, pewnie po to, by poszukać wejścia do zaczarowanego pałacu. Z ochotą, z ochotą, ekscelencjo; jeśli pana to bawi, dam panu tę pochodnię. I mnie podobna myśl kiedyś opętała i uległem jej parę razy. Alem w końcu dał pokój. Giovanni, zapal pochodnię i przynieś jaśnie panu.

Giovanni spełnił rozkaz. Franz wziąwszy pochodnię zszedł do grotty, a za nim Gaetano.

Odnalazł posłanie z wrzosu jeszcze pogniecionego; na próżno jednak oświetlał pochodnią ściany pieczary — nie dojrzał nic prócz okopconych miejscami skał, które inni, bezskutecznie jak i on, badali przed nim.

A przecież nie pominął ani kawałeczka granitowej calizny, nieprzeniknionej jak przyszłość; nie było też i szpary, w którą by nie wetknął kordelasa; nie poniechał ani jednej wypukłości, naciskał je kolejno w nadziei, że któraś się poruszy, ale wszystko okazało się daremne i nic nie wskórawszy, stracił ze dwie godziny na poszukiwania.

Zrezygnował z nich tedy. Gaetano triumfował.

Kiedy Franz znalazł się znów na nadbrzeżnym piasku, jacht, podobny białemu punktowi, ledwie widniał na horyzoncie; Franz chwycił lunetę, ale i przez nią niepodobna było cokolwiek dojrzeć.

Zapomniałby całkiem o polowaniu, gdyby nie Gaetano. Franz wziął więc fuzję i puścił się w drogę z miną człowieka, który czyni to raczej z obowiązku niż dla przyjemności, a ubiwszy kozę i dwoje koźląt, wrócił po kwadransie. Ale kozice, jakkolwiek dzikie i zwinne niby gazy, nazbyt przypominały nasze kozy domowe — Franz nie uznał ich tedy za myśliwską zwierzynę.

Prócz tego inne, o ileż ważniejsze myśli zaprzętały mu głowę. Od wczoraj był bohaterem wschodniej baśni, toteż jakaś nieprzeparta siła ciągnęła go do grotty.

Choć więc pierwsza wyprawa całkiem zawiodła, podjął drugą, nakazawszy wprzódy Gaetanowi upiec koźlę. Ta druga wizyta trwała dość długo: gdy wrócił, koźlę było upieczone i śniadanie gotowe.

Franz siadł w tym samym miejscu, gdzie wczoraj zjawił się wysłannik tajemniczego pana wyspy, i zobaczył jeszcze, jak mały jacht, podobny do mewy kołyszącej się na fali, płynął ku Korsyce.

— Ależ — zwrócił się do Gaetano — powiedziałaś mi przecie, że imć pan Sindbad pożeglował na Malagę, a tymczasem widzę, że płynie do Porto-Vecchio.

— Przecież mówiłem panu, że wśród załogi jachtu znajdują się dwaj korsykańscy bandyci.

— A prawda! To on zamierza wysadzić ich na brzeg?

— Oczywiście. Ach, powiadają — wykrzyknął Gaetano — że ten człek nie boi się ni Boga, ni diabła, i nadłoży nawet pięćdziesiąt mil, by oddać przysługę jakiemuś biedakowi.

— Ależ takie usługi mogą go poróżnić z władzami krajów, gdzie uprawia ten rodzaj działalności filantropijnej — zauważył Franz.

— To i co! — roześmiał się Gaetano. — A cóż go obchodzą jakieś tam władze! Kpi sobie z nich! Niechby spróbowano go doścignąć! Jego jacht to nie statek — to ptak. Kiedy fregata zrobi dwanaście węzłów, on wykpi się piętnastoma; a zresztą, czyż nie znajdzie wszędzie, dokąd tylko wypadnie mu zawinąć, najszczerzych przyjaciół?

Jasne w tej całej historii było tylko to, iż ekscelencja Sindbad, gospodarz Franza, miał zaszczyt utrzymywać stosunki ze wszystkimi bandytami i przemytnikami grasującymi po Morzu Śródziemnym; dawało mu to, oczywista, pozycję dość osobliwą.

Jeśli zaś idzie o Franza, to nic już nie zatrzymywało go na wyspie Monte Christo; utracił całkiem nadzieję wykrycia tajemnicy spowijającej grotę; zasiadł tedy spieszenie do jedzenia, poleciwszy swoim ludziom, by trzymali łódź w pogotowiu, zamierza bowiem puścić się w drogę zaraz po śniadaniu.

W pół godziny później był już na pokładzie łodzi.

Ostatnim spojrzeniem obrzucił jacht, który wpływał właśnie do zatoki Porto--Vecchio.

Dał sygnał do ruszenia.

Jacht zniknął w chwili, gdy łódź odbiła od brzegu.

I teraz już rozwiła się zupełnie prawdziwość wczorajszych nocnych wydarzeń, kolacja, Sindbad, haszysz, posągi — wszystko to cofnęło się dla Franza w ramy jednego snu.

Łódź płynęła cały dzień i całą noc; o wschodzie słońca znikła z kolei i wyspa Monte Christo.

Znalazłszy się na ładzie, Franz zapomniał, przynajmniej chwilowo, o minionych wydarzeniach, oddając się we Florencji rozrywkom i obowiązkom towarzyskim, którym musiał sprostać przed wyjazdem do Rzymu, gdzie przyjaciel czekał już na niego.

Wyjechał tedy i w sobotę wieczór wysiadł z karetki pocztowej na placu de la Douane.

Jak już powiedzieliśmy, apartament był z góry najęty, pozostawało więc tylko dotrzeć do hotelu imć Pastriniego; ale to nie było łatwe; na ulicach było tłoczno i w Rzymie panowało już owo szczególne rozgorączkowanie, które poprzedza ważne wypadki. A trzeba wam wiedzieć, że Rzym przeżywa corocznie cztery doniosłe wydarzenia: karnawał, Wielki Tydzień, Boże Ciało i dzień Świętego Piotra.

Cały rok Wieczne Miasto tonie w posępnej apatii, pochylone jakby nad grobem: Rzym przypomina stację graniczną między tym, a tamtym światem; stacja to wspaniała, pełna poezji i wyrazu — Franz za każdym pobytem odkrywał tutaj uroki nowe, cudowne, fantastyczne.

Przedarłszy się z trudem przez ów gęstniejący i coraz bardziej rozgorączkowany tłum, Franz dotarł wreszcie do hotelu. Na pierwsze pytanie odpowiedziano mu z ową bezczelnością cechującą dorożkarzy albo oberżystów, których zajazd jest akurat pełny — że w Hotelu Londyńskim miejsc nie ma. Franz przesłał tedy swój bilet panu Pastrini; powołał się też na Alberta de Morcerf. Odniosło to skutek: nadbiegł imć Pastrini, tłumacząc się, przepraszając, łając służbę; na koniec, wydarłszy świecę z rąk cicerona, który tymczasem zawładnął podróżnym, miał już zaprowadzić go do Alberta, lecz ten wybiegł na spotkanie przyjaciela.

Wynajęty apartament składał się z dwóch pokoiów i alkowy. Okna wychodziły na ulicę, a okoliczność tę imć Pastrini podkreślił specjalnie, dopatrując się w niej zalet nieoszacowanych. Całe piętro, z wyjątkiem tych pokoiów, najął jakiś bogacz, którego uważano za Maltańczyka albo Sycylijczyka; ale gospodarz nie potrafił określić, jakiej naprawdę narodowości był ów podróżny.

— Wybornie, mistrzu Pastrini — rzekł Franz — ale domyślasz się, że chcielibyśmy zjeść zaraz jakąś kolację; jutro zaś i następnych dni będziemy potrzebowali karety.

— Kolacja — odparł hotelarz — za chwilę będzie podana; ale jeśli chodzi o karete...

— Jak to! Jeśli chodzi o karete! — wykrzyknął Albert. — Chwileczkę, chwileczkę, panie Pastrini, cóż to za żarty? Karete mieć musimy.

— Proszę pana — odparł Pastrini — zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Tyle tylko mogę przyobiecać.

— A kiedy będziemy mieli odpowiedź?

— Jutro rano.

— Do diabła! — wykrzyknął Albert. — Zapłaci się drożej i kwita: wiadomo, że u Drakego i Aarona płaci się dwadzieścia pięć franków za dni powszednie i trzydzieści albo trzydzieści pięć za niedziele i święta, dołoż pan pięć franków porękawicznego, wpadnie czterdzieści franków dziennie i nie ma o czym gadać.

— Obawiam się, że nawet za drugie tyle panowie nie znajdą karety.

— No to trzeba zaprząć konie do mojej; odrapana jest trochę po podróży, ale to głupstwo.

— Nie dostanie się koni.

Albert spojrział na Franza, jakby nie rozumiał.

— Pojmujesz to, mój drogi? — zagadnął. — A koni pocztowych też zabrakło?

— Już od dwóch tygodni wszystkie są wynajęte i zostały tylko te, które są niezbędne.

— No i cóż ty na to? — zapytał z kolei Franz.

— Kiedy rzecz przechodzi moje zrozumienie, przestaję się nią interesować i zajmuję się innymi sprawami. Czy kolacja jest gotowa, mistrzu Pastrini?

— Tak, ekscelencjo.

— Wybornie! No to jedźmy.

— A co będzie z karete i końmi? — spytał Franz.

— Nie obawiaj się, miły przyjacielu, same się znajdują, kiedy wyznaczymy odpowiednią cenę.

I Morcerf, zaliczający się do owych uroczych filozofów, co nie wierzą w rzeczy niemożliwe, póki sakiewkę mają pełną albo pugilares wypchany, zjadł kolację, położył się, zasnął twardo i śnił, że w karnawałowym pochodzie sunie poszóstą karocą.

33. BANDYCI RZYMSCY

Nazajutrz Franz obudził się pierwszy, a obudziwszy się, zadzwonił natychmiast.

Dźwięki dzwonka drżały jeszcze w powietrzu, kiedy imć Pastrini zjawił się na progu.

— No proszę!— zawołał triumfalnie, nie czekając, aż Franz się odezwie — sprawdziły się moje wczorajsze domysły, ekscelencjo, i miałem rację, nie czyniąc panu żadnych obietnic! Wzięliście się, panowie, do tego za późno, nie znajdzie się już w Rzymie ani jednej karety... oczywiście na ostatnie trzy dni.

— Ach tak — odparł Franz — to znaczy na ten okres, kiedy niepodobna się bez niej obejść.

— Co się stało? — zapytał Albert wchodząc. — Nie ma karety?

— Rzeczywiście, drogi przyjacielu — odparł Franz. — Zgadłeś.

— A, pal diabli to wasze Wieczne Miasto!

— To znaczy, ekscelencjo — sprostował imć Pastrini, ujmując się za godnością stolicy świata chrześcijańskiego — nie znajdziemy karety od niedzieli do wtorku wieczorem, ale do niedzieli możecie ich mieć panowie choćby pięćdziesiąt.

— To już coś — powiedział Albert. — Dziś czwartek, kto wie, co będzie do niedzieli.

— Wiadomo, że zwali się tutaj ze dwanaście tysięcy osób, skutkiem czego trudności jeszcze wzrosną.

— Mój drogi — odparł Morcerf — radujmy się chwilą i nie obrzydźmy sobie przyszłości.

— A nie dostalibyśmy przynajmniej okna? — zagadnął Franz.

— Jakiego?

— Z którego, do licha, będziemy mogli obejrzeć pochód!

— Otóż to! Okno! — zawołał imć Pastrini. — Ależ to najniemożliwsze z niemożliwości; było jeszcze jedno wolne na piątym piętrze w pałacu Doria, ale wynajęto je rosyjskiemu księciu za dwadzieścia cekinów dziennie.

Młodzieńcy spojrzeli po sobie zdumieni.

— Wiesz, mój drogi — zwrócił się Franz do Alberta — co nam wypadnie uczynić? Jedźmy na karnawał do Wenecji; jeśli nawet nie dostaniemy tam karety, będziemy mieli gondole.

— O nie! Dalibóg nie! — wykrzyknął Albert. — Postanowiłem zobaczyć pochód karnawałowy w Rzymie, to i zobaczę, gdyby mi nawet przyszło chodzić na szczudłach.

— Świetny pomysł! — zawołał Franz — zwłaszcza że moglibyśmy gasić moccoletti; przebrawszy się za poliszynelów albo mieszkańców bagien, odniesiemy szalone sukcesy.

— Czy jaśnie panowie pragną mieć karety do niedzieli?

— Czy sądzisz pan, u licha, że będziemy biegać po Rzymie jak woźni sądowi?

— Już biegnę spełnić rozkaz jaśnie panów — rzekł imć Pastrini — ale uprzedzam, że kareta będzie kosztować sześć piastrow dziennie.

— A ja, mój panie Pastrini — odparł Franz — a ja, który nie jestem, jak nasz sąsiad, milionerem, uprzedzam cię, że zatrzymując się w Rzymie już po raz czwarty, znam ceny karet najmowanych czy to w święta, czy dni powszednie; damy panu dwanaście piastrow za dzień dzisiejszy, jutro i pojutrze, to i tak okroi ci się niezgorzej.

— A jednak, ekscelencjo... — próbował oponować imć Pastrini.

— Dobrze, dobrze, kochasiu — rzekł Franz — skoro ci to nie dogadza, ja sam ułożę się o cenę z twoim, a zarazem i moim *affettatore*, to mój stary przyjaciel, naciągnął mnie już nieraz, a licząc, że i w przyszłości będzie mnie okradał, przystanie na cenę niższą od tej, którą ci proponuję, i z własnej winy stracisz zarobek.

— Niech się pan nie trudzi, ekscelencjo — odrzekł mistrz Pastrini z uśmiechem włoskiego krętacza, świadomego własnej porażki — załatwię to najsumienniej i spodziewam się, że będziesz pan kontent.

— Wybornie! Nareszcie mówisz do rzeczy.

— O której powóz ma zajechać?

— Za godzinę.

— Za godzinę będzie stał przed bramą.

Po godzinie pojazd czekał już na młodzieńców; była to skromna dorożka, którą z uwagi na uroczystości podniesiono do rangi karety, ale choć pojazd wyglądał bardzo mizernie, młodzieńcy chętnie by go wynajęli na ostatnie trzy dni karnawału.

— Ekscelencjo! — zawołał cicerone, dostrzegłszy Franza w oknie — czy zajechać kareta przed pałac?

Chociaż Franz przywykł już być do włoskiej emfazy, mimo woli rozejrzał się wokół; tak, słowa te były do niego skierowane: Franz okazał się ekscelencją, dorożka kareta, a Hotel Londyński pałacem.

W tym jednym zdaniu zawarł się cały geniusz pochlebstwa właściwy Włochom.

Franz i Albert zeszli na dół. Karoca zajechała przed pałac. Ekscelencje oparli nogi na ławeczce, cicerone jednym skokiem stanął w tyle ekwipażu.

— Gdzie ekscelencje życzą sobie jechać?

— Najpierw do świętego Piotra, później do Koloseum — odpowiedział Albert jako prawdziwy paryżanin.

Albert nie wiedział o tym, że kto pragnie zwiedzić katedrę, musi poświęcić na to dzień cały, kto zaś pragnie poznać ją dokładnie, musi poświęcić miesiąc. Zabawili tam tedy prawie do wieczora.

Spostrzegli raptem, że słońce zachodzi.

Franz spojrział na zegarek: było wpół do piątej.

Wrócili więc do hotelu. Franz kazał dorożkarzowi stawić się na ósmą. Chciał pokazać Albertowi Koloseum skąpane księżycowym światłem, tak jak pokazał mu Świętego Piotra w blasku słońca. Ukazując przyjacielowi znaną nam już miejscowość, czynimy to z pewną kokieterią — podobnie jak byśmy przedstawiali mu kochankę.

Jakoż Franz wytyczył dorożkarzowi drogę: miał wyjechać bramą del Popolo i puściwszy się wzdłuż murów miejskich, wrócić bramą San Giovanni. Tak więc Koloseum wyrośnie przed nimi nagle, a wrażenia nie osłabiają jawiących się kolejno Kapitolu i Forum, łuku Septyma Sewera, świątyni Antonina i Faustyny i Via Sacra.

Zasiedli do stołu; Pastrini przyrzekł im był wyborną biesiadę, ale dał tylko niezły obiad; nie można było mu jednak nic przyganić.

Hotelarz zjawił się pod koniec posiłku. W pierwszej chwili Franz myślał, że przyszedł, by wysłuchać komplementów, i już miał powiedzieć mu coś miłego, ale Pastrini przerwał mu.

— Ekscelencjo — rzekł — pochlebia mi pańska pochwała, ale wstąpił w innej sprawie.

— Czyżby w tej, że znalazłeś pan powóz? — spytał Albert zapalając cygaro.

— Nie; to rzecz drobniejsza i nawet byłoby dobrze, żeby wielmożni panowie przestali myśleć o karecie i pogodzili się z losem. W Rzymie albo coś można, albo nie. A skoro się mówi, że nie, to przepadło.

— W takim razie wolę Paryż, bo u nas, jeśli czegoś nie można, daje się podwójną cenę i sprawę w mig załatwia.

— Wszyscy Francuzi tak mówią — odrzekł imć Pastrini urażony nieco — tylko nie rozumiem w takim razie, po co ruszają się z domu.

— Toteż — odpowiedział Albert, wypuszczając flegmatycznie pod sam sufit dym z cygara i kołysząc się w fotelu — tylko tacy wariaci i głupcy jak my puszczają się w podróż, bo ludzie stateczni siedzą w swoich pałacach na ulicy Helderskiej, bulwarze Gandawskim albo w Cafe de Paris.

Nie trzeba wspominać, że Albert mieszkał na wymienionej ulicy, zażywał co dzień przechadzki tam, gdzie bywa świat wytworny, i jadał co dzień w jedynej kawiarni, gdzie można dostać obiad, jeśli tylko utrzymuje się tam dobre stosunki z garsonami.

Imć Pastrini milczał chwilę; rzecz jasna przemyślał nad powyższą odpowiedzią, niezbyt dlań zrozumiałą.

— No więc — ozwał się Franz, przerwawszy z kolei rozmyślania geograficzne hotelarza — przyszedłeś pan w jakimś celu; może zatem wyjawisz nam powód odwiedzin.

— Ach, rzeczywiście. Kazaliście panowie zajechać o ósmej, prawda?

— Tak, istotnie.

— Zamierzają panowie zwiedzić il Colosseo?

— Koloseum, nieprawdaż?

— Przecież to jedno i to samo.

— Niech i tak będzie. Kazali panowie woźnicy wyjechać z miasta bramą del Popolo i okrążywszy mury wrócić bramą San Giovanni?

— Powtarzasz pan tylko moje słowa.

— Otóż ta marszruta jest wykluczona.

— Wykluczona?

— A co najmniej bardzo niebezpieczna.

— Niebezpieczna? Czemuż to?

— Z powodu słynnego Luigiego Vampy.

— Powiedźże nam, mój panie, cóż to znowu za znakomitość, ów Luigi Vampa — ozwał się Albert.

— Jakkolwiek głośny w Rzymie, nie zasłynął dotąd, zapewniam cię, w Paryżu.

— Jak to? Panowie go nie znają?

— Nie mamy zaszczytu...

— I nie słyszeliście nigdy jego nazwiska?

— Nigdy w życiu.

— To bandyta, przy którym taki Decesaris czy Gasparone to niewinne gołąbki.

— Uwaga, Albercie! — wykrzyknął Franz. — Nareszcie bandyta!

— Uprzedzam cię, kochasiu, że nie uwierzę w ani jedno twoje słowo. A teraz, skorośmy postawili kropkę nad i, mów, co zechcesz, posłucham chętnie. „Był sobie pewnego razu...”

— No, mówże wreszcie, mój panie.

Imć Pastrini odwrócił się do Franza, którego uznał widać za rozsądniejszego. A trzeba oddać pocziwcowi sprawiedliwość, że choć gościł już nieraz u siebie Francuzów, nigdy nie umiał pojąć niektórych cech ich umysłowości.

— Ekscelencjo — rzekł bardzo poważnie, zwracając się, jak wspomnieliśmy, do Franza — skoro uważacie mnie, panowie, za kłamcę, zbyteczne, abym wyjawiał to, z czym przyszedłem, ale zapewniam panów, że to w waszym własnym interesie.

— Albert nie nazwał cię kłamcą, mój kochany panie Pastrini — odparł Franz — oświadczył tylko, że nie uwierzy w pańskie słowa, i kwita. Ale ja uwierzę; uspokój się więc pan i mów.

— A jednak, ekscelencjo, skoro ktoś wątpi o mojej prawdomówności, sam pan rozumie...

— Kochasiu, jesteś pan drażliwszy od Kasandry, wróżki, której nikt nie słuchał; ty zaś jesteś pewien, że wysłucha cię przynajmniej połowa audytorium. Bądź łaskaw usiąść i powiedz nam, któż to taki ów pan Vampa.

— Mówiłem już panom, że to bandyta, jakiego nie mieliśmy od czasów słynnego Mastrilli.

— To pięknie, ale co ma z tym wspólnego rozkaz, który wydałem woźnicy, by wyjechał bramą del Popolo, a wrócił bramą San Giovanni?

— W tym rzecz — odparł imć Pastrini — że wyjedziecie panowie jedną bramą, ale kto wie, czy wróćcie drugą.

— A to dlaczego? — zapytał Franz.

— Bo po zachodzie słońca nikt nie jest bezpieczny o pięćdziesiąt kroków od bram miasta.

— Przysięgłbyś? — wykrzyknął Albert.

— Panie hrabio — rzekł imć Pastrini, wciąż dotknięty do żywego niedowierzaniem Alberta. — Wszystko, co mówię, dotyczy wyłącznie pańskiego towarzysza podróży, który znając Rzym wie, że nie żartuje się tutaj z tych rzeczy.

— Mój kochany — rzekł Albert do Franza — widzę, że czeka nas tutaj wspaniała przygoda: wypchamy nasz powóz pistoletami, gałaczami i dubeltówkami. Luigi Vampa, zaczaiwszy się, wypada, by nas pojmać, a my tymczasem bierzemy go w niewolę. Przyprawiamy go do Rzymu i dajemy w prezencie Jego Świątobliwości; Jego Świątobliwość pyta, jak nam może wynagrodzić tak ogromną przysługę. Wtedy skromnie i z prostotą prosimy o karetę i dwa konie z papieskich stajni i oto rozparci w powozie przyglądamy się igraszkom karnawałowemu; nie mówiąc już o tym, że lud rzymski, chcąc

okazać nam wdzięczność, wieńczy nas na Kapitolu i jak Curtiusa i Horacjusza Koklesa, obwołuje zbawcami ojczyzny.

Niepodobna opisać, z jaką miną imć Pastrini przysłuchiwał się projektom Alberta.

— A skądże weźmiesz te pistolety, garłaczce i dubeltówki — zwrócił się Franz do Alberta — którymi zamierzasz naszpikować nasz pojazd?

— To prawda, mój arsenał świeci pustkami — odparł Albert. — Zabrali mi w Terracina nawet i sztylet.

— Mnie zrobili to samo w Aquapendente.

— Otóż to! — rzekł Albert do gospodarza, zapalając następne cygaro od tłącego się ogarka. — Wydaje mi się, że te zarządzenia są nader wygodne dla bandytów, a kto wie, czy nie wprowadzono ich dla obopólnego zysku?

Imć Pastrini uznał widać ów żart za mocno niestosowny, gdyż odpowiedział nań tylko w połowie i zwracając się do Franza — człowieka roztropnego, z którym można się jakoś porozumieć:

— Jego ekscelencja wie chyba, że obrona przed napaścią bandytów nie należy do tutejszych zwyczajów.

— Jak to! — oburzył się Albert, co jako człek odważny nie pojmował, by ktoś dał się ograbić bez protestu. — Jak to! Nie należy do tutejszych zwyczajów?...

— Bo wszelaka obrona byłaby daremna. I cóż pan zrobi dwunastu bandytom, którzy wyskakują nagle z rowu, z jakiejś rudery albo spod akweduktu i wszyscy naraz mierzą do pana?

— A, do kroćset! Niechbym i zginął! — zawołał Albert.

Spojrzenie, którym hotelarz zaszczycił Franza, mówiło wyraźnie: „Ekscelencjo, pański towarzysz na amen zwariował”.

— Kochany Albercie — ozwał się Franz — wspaniałą dałeś odpowiedź i godną „niech umrze!” starego Corneille’a, ale Horacjusz wyrzekł te słowa, gdy ważyły się losy Rzymu, tedy gra warta była świeczki. Jeśli zaś o nas idzie, to zastanów się, że powoduje nami tylko kaprys i okrylibyśmy się śmiesznością, narażając życie dla jakiejś tam zachcianki.

— Per Bacco! — wykrzyknął Pastrini. — Nareszcie rozsądne słowa!

Albert nalał sobie kielich lacrima Christi i pił wino drobnymi łydkami, mamrocząc coś niezrozumiale.

— A więc mości Pastrini — podjął Franz — skoro mój przyjaciel uspokoił się, a pan mogłeś ocenić moje pokojowe zamiary, powiedźże wreszcie, któż to zacz, ten pan Luigi Vampa. Pastuch czy patrycjusz? Młody czy stary? Wysoki czy niski? Odmaluj go nam, abyśmy mogli go przynajmniej rozpoznać, jak Larę czy Jana Sbogara, spotkawszy w salonie.

— Trudno byłoby lepiej trafić, ekscelencjo, jeśli idzie o dokładne szczegóły, bo znałem Lugi Vampę, gdy był jeszcze dzieckiem, a później jednego dnia wpadłem mu w ręce idąc z Ferentino do Alatrii. Nie zapomniał na szczęście o naszej starej znajomości i nie tylko mnie puścił bez okupu, lecz jeszcze obdarował bardzo pięknym zegarkiem i opowiedział mi swoje dzieje.

— Ciekaw jestem tego zegarka — rzekł Albert.

Imć Pastrini dobył z kieszeni kamizelki wspaniały zegarek firmy Breguet, z wygrawerowanym nazwiskiem zegarmistrza, stemplem paryskim i hrabiowską koroną.

— O, proszę.

— Tam do licha! — wykrzyknął Albert. — Winszuję panu; mam prawie identyczny — tu sięgnął do kieszonki w kamizelce i wyjął zegarek — a kosztował mnie ze trzy tysiące franków.

— A ja ciekaw jestem losów tego bandyty — ozwał się z kolei Franz, przysuwając fotel imć Pastriniego i zachęcając go gestem, by siadł.

— Jaśnie panowie pozwolą?... — spytał hotelarz.

— Do kroćset, nie jesteś pan kaznodzieją, byś miał mówić stojąc — rzucił Albert.

Hotelarz siadł, skłoniwszy się wprzód z głębokim szacunkiem swoim przyszłym słuchaczom, czym chciał wyrazić, że gotów jest rozpocząć opowieść o Luigi Vampie.

— Przepraszam... — ozwał się Franz w chwili, gdy imć Pastrini otwierał usta. — Powiedziałeś pan, że znałeś Luigi Vampę, kiedy był dzieckiem, chyba jest on tedy jeszcze młodzieńcem?

— Chyba młodzieńcem! No pewnie! Ma zaledwie dwadzieścia dwa lata. O, ten zabijaka daleko zajdzie, niech pan będzie spokojny!

— I cóż ty na to, Albercie? Piękna to rzecz pozyskać sławę, mając dwadzieścia dwa lata, nieprawdaż? — zauważył Franz.

— No tak, oczywiście; Aleksander, Cezar czy Napoleon, którzy narobili trochę hałasu w świecie, nie zapowiadali się w jego wieku tak świetnie.

— Tedy ów bohater, którego dzieje mamy poznać — zwrócił się Franz do gospodarza — ma zaledwie dwadzieścia dwa lata?

— Tak, i to niespełna, jak miałem zaszczyt powiedzieć już panom.

— Jest wysoki czy niski?

— Średniego wzrostu, ot, mniej więcej taki jak jego ekscelencja — odparł hotelarz wskazując Alberta.

— Miłe to dla mnie porównanie — rzekł Albert, skłoniwszy się głęboko.

— Mów pan, mów przecie — zachęcał Franz, ubawiony drażliwością przyjaciela. — A do jakiejż klasy społecznej należy ów bohater?

— To zwykły pastuch zatrudniony w folwarku hrabiego de San-Felice, położonym między Palestriną a jeziorem Gabri. Urodził się w Pampinarze i jako pięcioletnie dziecko został oddany na służbę do hrabiego. Jego ojciec, trudniący się także pasterstwem, miał własne, nieduże stado, a utrzymywał się ze sprzedaży wełny i owczego mleka, które dostarczał do Rzymu.

Mały Vampa był bardzo dziwnym dzieckiem. Pewnego razu, a miał wtedy siedem lat, poszedł do palestrińskiego proboszcza i poprosił, by nauczył go czytać. Rzecz była trudna, bo chłopak nie mógł ani na chwilę odejść od stada. Ale poczciwy ksiądz odbywał codziennie pieszą wędrowkę do pobliskiej wioszczyny, nazbyt ubogiej, by stać ją było na własnego proboszcza, i taką małą, że nawet nie miała własnej nazwy — owóz w tym „del Borgo” ksiądz odprawiał co rano mszę. Zaproponował małemu Luigi, żeby spotykali się na drodze, kiedy będzie wracał z del Borgo; uprzedzał, że lekcje będą krótkie, musi więc jak najwięcej korzystać.

Dziecko zgodziło się z radością.

Co dzień Luigi pędził swoje stado drogą wiodącą z Palestriny do Borgo; co dzień o dziewiątej rano, ksiądz spotykał się z chłopcem, siadali obaj nad rowem i pastuszek uczył się czytać z brewiarza.

Nauczył się czytać w trzy miesiące.

Ale nie poprzestał na tym: chciał się teraz nauczyć pisać.

Ksiądz poprosił nauczyciela kaligrafii, aby sporządził dla niego trzy tablice alfabetyczne: jedną pisaną wielkimi literami, drugą średnimi, a trzecią małymi, pokazał dziecku ów alfabet i polecił mu żłobić same litery żelaznym rylcem na łupku.

Tegoż wieczora, zapędziwszy stado do obory, mały Vampa pobiegł do palestrińskiego ślusarza, sklepał u niego na kowadle duży gwóźdź, zaokrąglił go i wypolerował, tak że gwóźdź przypominał starożytny rylce.

Zaopatrzywszy się nazajutrz w łupkowe płytki, od razu wziął się do dzieła.

W trzy miesiące nauczył się pisać.

Bystra inteligencja i wybitne zdolności chłopca zdumiały i wzruszyły plebana; podarował mu tedy parę zeszytów, kilka piór i scyzoryk.

Czekała więc Luigiego nowa nauka, ale czymże ona była wobec poprzednich doświadczeń. Po tygodniu posługiwał się piórem tak wprawnie jak i rylcem.

Ksiądz opowiedział tę historyjkę hrabiemu de San-Felice, a hrabia zapragnął poznać chłopca; kiedy mały Vampa popisał się swoimi umiejętnościami, ów pan zlecił intendentowi wziąć chłopca na dworski wikt i wypłacać mu dwa piastry miesięcznie.

Za te pieniądze Luigi kupił książki i ołówki.

Potrafił rzeczywiście odtworzyć każdy przedmiot i niby Giotto w dzieciństwie, rysował na swoich łupkowych tabliczkach owce, drzewa i domy.

Później, posługując się ostrzem scyzoryka, zaczął rzezać w drzewie, nadając figurkom najprzeróżniejsze kształty. Od tego zaczął i Pinelli, rzeźbiarz ludowy.

Sześć-, a może siedmioletnia dziewczynka, trochę młodsza od Vampy, pasła owce z majątku znajdującego się opodal Palestriny; była to sierota urodzona w Valmontone, imieniem Teresa.

Dwoje dzieci spotykało się, siadało obok siebie, gwarzyło, śmiało się i bawiło, a stada pomieszane ze sobą pasły się razem; pod wieczór dzieci rozdzielały stada, i owce hrabiego de San-Felice wracały

z pastwiska pod opieką Vampy, a owce barona de Cervetri pod opieką Teresy; rozstając się dzieci obiecywały sobie spotkać się następnego dnia.

Nazajutrz, wierni obietnicy, znów się spotykali; i tak rośli oboje.

Vampa miał już dwunasty rok, Tereska — jedenasty.

A tymczasem dawały już znać o sobie ich przyrodzone skłonności:

Luigi rozwinął swoje zamiłowania do sztuk pięknych tak dalece, jak tylko chłopak żyjący w samotności rozwinąć je może; usposobienie miał nierówne: smucił się albo unosił za lada przyczyną, złościł się o byle co, a drwił bez ustanku. Żaden jego rówieśnik z Pampinary, Palestriny czy z Valmontone nie zdołał ani wywrzeć nań wpływu, ani nawet pokumać się z nim trwale. Luigi odznaczał się żelazną wolą, był zawsze skłonny wymagać, a ze swojej strony nie godził się nigdy na jakiegokolwiek ustępstwa, taka zaś natura mroziła wszelkie odruchy przyjaźni czy też objawy sympatii. Teresa jedynie (a wystarczyło tu słowo, spojrzenie albo gest) władała tym chłopakiem, o charakterze jakby wykutym z jednej bryły; ugiął się pod dotknięciem kobiecej ręki, mężczyźnie zaś, choćby najsilniejszemu duchem, opierałby się do ostatka i padł raczej w walce, niż ustąpił.

Teresa, przeciwnie, była usposobienia żywego, wesoła i roztrzepana; cechowała ją nadmierna zalotność; dwa piastry, które intendent hrabiego de San-Felice wypłacał Luigiemu, a także pieniądze, jakie chłopak uzyskiwał w rzymskich kramach z cackami ze sprzedaży swoich rzeźbionych figurek, szły na kolczyki, perły, paciorki weneckie i złote szpilki. Jakoż, dzięki rozrzutności swojego przyjaciela, Teresa była najstrojniejszą wieśniaczką w okolicach Rzymu.

Dwoje tych dzieci wzrastało, spędzając każdy dzień razem i oboje ulegali bez jakiegokolwiek sprzeciwu instyktom swoich natur pierwotnych. W rozmowach, które prowadzili, w rojeniach ich i marzeniach Vampa występował zawsze jako kapitan okrętu, generał albo gubernator prowincji; Teresa znowuż wyobrażała sobie, że jest bogata, odziana w najpiękniejsze suknie, że towarzyszy jej służba w liberii — i po całym dniu, który spędzili, haftując przyszłość w niedorzeczne, a migotliwe arabeski, rozstawali się: każde zapędzało swoje barany do szopy i zstępowało z wyżyn imaginacji w powszedniość ubogą, właściwą jego życiu.

Pewnego razu nasz pastuch oznajmił intendentowi hrabiego, że widział wilka, co wymknąwszy się z Lasów Sabińskich, krążył wokół stada. Intendent dał Vampie flintę — tego właśnie chłopak potrzebował.

Flinta okazała się przypadkowo dziełem znakomitego rusznikarza z Brescii, a niosła jak angielski sztucer; hrabia, dobijając kiedyś zranionego lisa, złamał kolbę — flintę rzucono do lamusa.

Snycerz tak zręczny jak Vampa nie uląkł się trudności. Zbadał dawne łożysko, skombinował, co należy w nim zmienić, by przystosować fuzję do swego oka, i zmajstrował kolbę rzeźbioną w tak śliczny ornament, że gdyby zechciał sprzedać w mieście samo drewno, dostałby przynajmniej piętnaście, a może i dwadzieścia piastrów.

Vampa jednak ani myślał o tym: fuzja była od dawna marzeniem chłopca. W krajach, gdzie wolność zastępuje się niezależnością, pierwszą potrzebą ludzi odważnych i wszelkich potężnych organizacji staje się broń, użyteczna zarówno w natarciu, jak i podczas obrony — broń, która czyniąc posiadacza groźnym, sprawia częstokroć, iż sieje on postrach.

Od tego dnia Vampa nie zmarnował ani jednej chwili: ciągle ćwiczył się w strzelaniu; kupił proch i kule i każdy cel był mu dobry: wierzchołki żalonych, charławych, szarych oliwek porastających stoki Gór Sabińskich; lis, który o zmierzchu wymyka się z nory na nocne łowy; orzeł bujający w powietrzu. Wkrótce tak się wyuczył, że Teresa, przewyciężywszy lęk, jaki z początku budził w niej odgłos strzału, przyglądała się teraz z przyjemnością Luigiemu, który trafiał do celu tak nieomylnie, jakby ręka kierowała kulą.

Któregoś wieczora wilk wypadł rzeczywiście z jodłowego lasu, na którego skraju chłopiec i dziewczyna przesiadywali zazwyczaj; nie zrobił i dziesięciu kroków, bo dosięgła go kula.

Vampa, bardzo dumny z tego pięknego strzału, wziął wilka na plecy i poniósł go na folwark.

Jakoż dzięki owym faktom Luigi pozyskał w okolicy pewną sławę; każdy niezwykły człowiek, gdziekolwiek by się znajdował, ma zawsze grono wielbicieli. Mówiono w tych stronach o tym młodym pastuchu jako o najzręczniejszym, najsilniejszym i najodważniejszym z chłopców na dziesięć mil wokół; i choć Teresa uchodziła wśród szerszego jeszcze może kręgu za jedną z najładniejszych dziewcząt sabińskich, nikt nie odważył się napomknąć jej nawet słowem o swojej miłości, wiedziano bowiem, że Vampa ją kocha.

A tych dwoje nie wyznało sobie jeszcze nigdy miłości; rośli tak obok siebie jak dwa drzewa, których korzenie splatają się pod ziemią, konary w powietrzu, a żywiczne wonie wysoko pod niebem; pragnęli

tylko oboje wciąż przebywać ze sobą, a pragnienie to odmieniło się niebawem w potrzebę i łatwiej wyobraziliby sobie śmierć niż jednodniową rozłąkę.

Teresa miała lat szesnaście, a Vampa siedemnaście.

Podówczas ludzie coraz częściej gadali o nowej bandzie rabusiów z gór Lepini. Nigdy nie udało się wykorzenić całkowicie bandytyzmu w okolicach Rzymu. Bandom brakowało niekiedy herszta, ale nie przytrafiło się chyba nigdy hersztowi, żeby nie znalazł sobie bandy.

Słynny Cucumetto ścigany w Abruzach, wygnany z Królestwa Neapolitańskiego, gdzie staczał regularne boje, przeprowił się jak i Manfred przez Garigliano, a między Sonnino i Juperno schronił się nad brzegami Amasyny.

On to właśnie za przykładem Decesarisa i Gasparona, których umyślił zakasować, zbierał nową bandę. Zniknęło wielu młodzieńców z Palestriny, Frascati i Pampinary. Zniknięcie to wzbudziło niepokój, ale dowiedziano się niebawem, że przystali do bandy Cucumetta.

Po jakimś czasie Cucumetto ściągnął na siebie powszechną uwagę. Przytaczano rozmaite fakty, świadczące o nieustraszonej odwadze i bestialstwach tego bandyty.

Jednego dnia porwał pewną dziewczynę — córkę mierniczego z Frosinone. Bandyckie prawa są niedwuznaczne: dziewczyna należy najpierw do tego, kto ją porwał, a następnie przechodzi, drogą losowania, w ręce innych i tak długo jest igraszką całej bandy, póki nie wyzionie ducha albo jej nie porzuci.

Jeśli rodzice są dość bogaci, aby ją wykupić, banda wysyła w takich razach parlamentariusza, który wyznacza okup; branka odpowiada swoją głową za bezpieczeństwo wysłannika. Jeśli rodzina odmówi okupu, branka nieodwołalnie ponosi śmierć.

Kochanek owej dziewczyny należał do bandy Cucumetta; zwał się Carlini.

Poznawszy młodzieńca, dziewczyna wyciągnęła do niego ręce, sądząc, że ją ocali, a nieszczęsnemu bandycie serce zamarło, gdy poznał kochankę; domyślił się bowiem, co ją czeka.

A jednak, jako ulubieniec Cucumetta, z którym od trzech lat dzielił niebezpieczeństwa i ocalił mu raz życie, kładąc strzałę z pistoletu karabiniera, co wznosił już szablę nad głową herszta, Carlini spodziewał się, że Cucumetto zlituje się nad nim.

Pociągnął tedy Cucumetta na stronę, a dziewczyna siadła u stóp olbrzymiej sosny pośrodku leśnej polany i zasłoniła twarz przed pożądliwymi spojrzzeniami bandytów, rozplótnęła malowniczą koafiurę, jaką zdobi głowy włoskich wieśniaczków.

Tu wyznał mu wszystko: że kocha dziewczynę, że przysięgli sobie wierność i że co noc, jak tylko banda pojawiła się w tej okolicy, spotykali się w starych ruinach.

Tegoż właśnie wieczoru Cucumetto wysłał Carliniego do pobliskiej wsi, Carlini nie mógł więc przybyć na spotkanie, ale Cucumetto znalazł się, jak powiadał, przypadkiem, w owych ruinach i uprowadził dziewczynę.

Carlini błagał herszta, by z uwagi na niego okazano Ricie względy wyjątkowe, tym bardziej że ojciec dziewczyny jest bogaty i zapłaci, ile zażąda.

Cucumetto odniósł się przychylnie do prośby przyjaciela i polecił mu znaleźć jakiegoś pastucha, którego można by posłać do Frosinone, do ojca Rity.

Uradowany Carlini zapewnił kochankę, że nic jej nie grozi, poprosił ją, by listem powiadomiła ojca o swojej przygodzie i o tym, że banda domaga się trzystu piastrów okupu.

Bandyci życzyli sobie, by ojciec Rity stawiał się z okupem najdalej za dwanaście godzin, to jest nie później niż nazajutrz o dziewiątej rano.

Gdy list był gotów, Carlini wziął go i pobiegł szukać posłańca.

Spotkał pastucha, który zapędzał właśnie owce do koszar. Pasterze przebywający za miastem, u podnóża gór, na granicy życia cywilizowanego i dzikiego, są częstokroć siłą rzeczy wysłannikami bandytów.

Pastuch wyruszył zaraz w drogę, obiecując dotrzeć do Frosinone najdalej za godzinę.

Carlini, kontent, pośpieszył do kochanki, by obwieścić jej pomyślną nowinę.

Odnalazł kamratów na polanie, gdzie wieczerali wesoło (prowiant otrzymywali od chłopów, w charakterze, łagodnego zresztą, haraczu), na próżno jednak szukał wśród tej rozbawionej gromady Cucumetta i Rity.

Zapytał, gdzie oboje się podzieli; bandyci wybuchnęli na to śmiechem. Zimny pot zrosił Carliniemu czoło, a trwoga zjeżyła mu włosy.

Powtórzył pytanie. Jeden z biesiadników napełnił szklanek winem orvieto i podał ją Carliniemu.

— Za zdrowie dzielnego Cucumetta i pięknej Rity!

W teże chwili zdało się Carliniemu, że słyszy krzyk kobiety. Odgadł wszystko. Chwycił kielich, cisnął go w twarz kamratowi, który go napełnił, i popędził tam, skąd doleciał krzyk.

Przebiegłszy ze sto kroków, natknął się za krzakiem na Cucumetta, który trzymał w ramionach zemdloną Ritę.

Widząc Carliniego, Cucumetto zerwał się; w obu rękach dzierżył pistolety.

Bandyci przypatrywali się sobie chwilę: po wargach jednego snuł się lubieżny uśmiech, drugi pobladał śmiertelnie.

Sądzić by można, że między tymi dwoma ludźmi dojdzie do straszliwego starcia. A jednak ściągnięte rysy Carliniego przybrały wyraz normalny; ręka, którą sięgnął po pistolet zatknięty za pasem, opadła bezwładnie.

Rozdzielało ich ciało zemdłonej dziewczyny.

Księżyc oświetlał tę scenę.

— No i cóż? — zagadnął Cucumetto. — Wykonałeś misję, której się podjąłeś?

— Tak, naczelniku — odparł Carlini. — Jutro przed dziewiątą ojciec Rity będzie tutaj z pieniędzmi.

— Doskonale! Tymczasem czeka nas wesola noc. Śliczna to doprawdy dziewczyna, winszuję ci gustu, mości Carlini. Nie bądźmy tedy sobkami, wracajmy do koleżków i niechaj los rozstrzyga, komu teraz przypadnie dziewczyna.

— Zdecydowałeś więc, że i ona ma podlegać prawu wspólnoty? — zagadnął Carlini.

— A dlaczego mielibyśmy robić tu wyjątek?

— Sądziłem, że moje prośby...

— A czymże ty się różnisz od innych?

— Masz rację, naczelniku.

— Ale nie martw się, chłopcze — roześmiał się Cucumetto. — Prędzej czy później przyjdzie i twoja kolej.

Carlini zacisnął tak silnie zęby, że o mało ich nie połamał.

— No to chodźmy — rzucił Cucumetto, ruszając w kierunku towarzyszy. — Idziesz ze mną?

— Zaraz cię dogonię...

Cucumetto oddalił się, nie spuszczać jednak wzroku z Carliniego, lękał się bowiem napaści od tyłu. Ale nic nie wskazywało, żeby bandyta żywił jakieś wrogie zamiary.

Skrzyżowawszy ramiona stał nieruchomo obok Rity wciąż nieprzytomnej.

Hersztowi przemknęła myśl, że Carlini weźmie dziewczynę na ręce i ucieknie. Ale teraz już mu na tym nie zależało — wziął od Rity to, co chciał; co zaś do pieniędzy, to trzysta piastrow podzielone między bandytów było w gruncie rzeczy sumą tak niepokazną, że nie troszczył się o nią wcale.

Szedł więc spokojnie na polanę, ale ku jego zdumieniu Carlini zjawił się tam tuż po nim.

— Ciągnąć losy! Ciągnąć losy — wołali bandyci na wypródki, spostrzegłszy herszta.

Oczy błyszcząły im pijaństwem i chucią, ognisko, rzucając na nich czerwonaświatłą, czyniło ich podobnymi do demonów.

Żądanie było słuszne; herszt skinął więc głową na znak zgody.

Rzucono do kapelusza kartki z nazwiskami wszystkich bandytów, nie pominawszy Carliniego, a najmłodszy dobył z zaimprovizowanej urny pierwszy zwitek.

Odczytano nazwisko uprzywilejowanego: był nim Divolaccio.

Onże Divolaccio zaproponował był Carliniemu, by wypili zdrowie herszta, i o jego to gębę Carlini potłukł kielich.

Krew płynęła strumieniem z twarzy bandyty, rozciętej od skroni aż po brodę.

Divolaccio, dowiedziawszy się o niezwyklej łaskawości losu, wybuchnął śmiechem.

— Naczelniku — rzekł — Carlini nie chciał wypić za twoje zdrowie, zaproponuj mu więc, by wypił moje; tym razem większą pewnie okaże uległość.

Wszyscy spodziewali się, że Carlini teraz wybuchnie, ale ku zdumieniu kamratów sięgnął tylko po szklanek i oplataną butelkę, a nalawszy sobie wina:

— Twoje zdrowie, Divolaccio — rzekł nad podziw spokojny, wypił wino duszkiem, a ręka nie zdrząła mu nawet, kiedy podnosił szklanę do ust.

Po czym siadając bliżej ogniska, rzucił:

— Gdzie moja porcja? Przeleciałem się trochę, tom nabrał apetytu.

— Niech żyje Carlini! — wykrzyknęli zbóje.

— Tak, to rozumiem! Grunt to traktować sprawę po koleżeńsku. — I wszyscy obsiedli ognisko, z wyjątkiem Divolaccia, który zniknął wśród drzew.

Carlini jadł i pił, jakby nigdy nic.

Bandyci spoglądali na niego zdziwieni, nie pojmując tego niewzruszonego spokoju; nagle posłyszeli za plecami czyjeś ciężkie kroki.

Obejrawszy się zobaczyli Divolaccia niosącego Ritę.

Głowa jej zwisała, długie włosy sięgały ziemi.

W miarę jak ogień coraz jaśniej oświetlał dziewczynę i niosącego ją zbója, coraz ostrzej występowała bladość ich twarzy.

Jakaś dziwna, a zarazem uroczyście powaga biła od tych dwóch postaci: zbójcy zerwali się jednocześnie, prócz Carliniego, który jadł obojętny na wszystko, co się wokół działo.

Wśród najgłębszej ciszy Divolaccio podszedł do ogniska i położył Ritę u stóp herszta.

Wtedy wszyscy dowiedzieli się, dlaczego śmiertelna bladość powlekała lica dziewczyny i dlaczego bandyta był trupio blady.

W lewej piersi Rity tkwił sztylet, wbity aż po rękojeść.

Wszyscy spojrzeli na Carliniego; pochwa u jego pasa była pusta.

— Ach, teraz rozumiem, dlaczego Carlini został w tyle — rzekł Cucumetto.

Natury pierwotne szacują wysoko każdy śmiały czyn, jakkolwiek ani jeden z tych łotrów nie zdobyłby się prawdopodobnie na to, co uczynił Carlini, wszyscy ocenili w pełni ów postępek.

— No i co? — ozwał się Carlini, podchodząc do trupa z ręką wspartą na kolbie pistoletu. — Który z was myśli się jeszcze spierać ze mną o tę kobietę?

— Nikt — odpowiedział herszt. — Jest twoja.

Wtedy Carlini wziął ją na ręce i poniósł między drzewa, tam gdzie nie docierała już jasność, bijąca od ognia.

Cucumetto porozstawał, jak zwykle, straże i bandyci otuleni w peleryny posnęli wokół ogniska.

O północy straże podniosły alarm; herszt i jego kamraci zerwali się na równe nogi.

Był to ojciec Rity — przyniósł okup.

— Bierz te trzysta piastrow i oddaj mi córkę — rzekł do Cucumetta, wręczając mu pełną sakiewkę.

Ale herszt nie wziął pieniędzy, tylko skinął na starca, by poszedł za nim.

Stary usłuchał; niebawem zniknęli obaj między drzewami; poprzez gałęzie sączyła się księżycowa poświata. Cucumetto przystanął wreszcie i wskazał starcowi jakieś dwie postacie spoczywające pod drzewem.

— To Carlini — rzekł. — Jego zapytaj o dziewczynę, on ci zda sprawę.

I wrócił do swoich.

Stary ani drgnął, tylko wpatrywał się w tych dwoje. Czuł, że jakieś nieznanne, ogromne, tragiczne nieszczęście zawisło mu nad głową.

Na koniec zbliżył się do tych dwojga, splecionych ze sobą, których nie potrafił rozpoznać.

Posłyszawszy szelest, Carlini podniósł głowę i wtedy nieforemne postacie przybrały w oczach starca wyraźniejsze kształty.

Jakaś kobieta leżała na ziemi z głową wspartą na kolanach siedzącego i pochylonego nad nią mężczyzny; prostując się, mężczyzna odsłonił twarz kobiety, którą tulił w ramionach.

Stary poznał córkę, a Carlini poznał starca.

— Czekalem na ciebie — rzekł bandyta.

— Nędzniku! I cóżeś uczynił?

Wpatrywał się z przerażeniem w Ritę, która blada, zalana krwią leżała z nożem tkwiącym w piersi.

Księżyc rzucał na jej lica sinawe blaski.

— Cucumetto zgwałcił twoją córkę — rzekł bandyta. — A ja kochałem ją. Zabiłem Ritę, żeby nie stała się igraszką całej bandy.

Stary nie rzekł ani słowa, ale zbladł jak trup.

— Jeśli uważasz, że źle postąpiłem, pomścij ją — dorzucił Carlini.

To mówiąc wyrwał sztylet z piersi dziewczyny, podał go staremu, a rozchyliwszy bluzę, obnażył pierś.

— Dobrześ zrobił — odparł głucho stary. — Ucałuj mnie, mój synu. Carlini rzucił się, łkając, w ramiona ojca swojej kochanki. Były to pierwsze łzy, jakie popłynęły z oczu tego krwawego zbrojaka.

— A teraz — ozwał się stary do Carliniego — dopomóż mi pogrzebać Ritę. Carlini przyniósł dwie łopaty; ojciec i kochanek jęli kopać dół pod dębem,

którego rozłożyste, bujne konary miały osłaniać grób dziewczyny.

Kiedy wszystko już było gotowe, ojciec ucałował Ritę pierwszy, potem kochanek; jeden wziął ją za nogi, drugi pod ramiona — i złożyli ją w grobie.

Po czym obaj klękli i odmówili pacierz za zmarłych. Skończywszy zasypali ciało, napelniając rów ziemią aż po brzegi. Wtedy stary wyciągnął rękę do bandyty i rzekł:

— Dziękuję ci, mój synu. Zostaw mnie samego.

— Ale... — zaoponował Carlini.

— Zostaw mnie tutaj. Rozkazuję.

Carlini usłuchał, wrócił do towarzyszy, owinał się w pelerynę i niebawem zasnął, z pozoru tak smacznie jak inni.

Bandyci postanowili dnia poprzedniego przenieść obozowisko w inne strony.

Na godzinę przed świtem Cucumetto zbudził ludzi i dał rozkaz wymarszu.

Carlini nie chciał jednak odejść, nie dowiedziawszy się o losie ojca Rity.

Poszedł więc tam, gdzie wczoraj go był zostawił.

Stary wisiał na gałęzi dębu, osłaniającego grób córki.

Wtedy Carlini poprzysiął na grób kochanki i na trupa jej ojca, że pomści oboje.

Ale nie zdołał dotrzymać tej przysięgi: po dwóch dniach padł w walce z rzymskimi karabinierami.

Dziwiono się tylko, że choć był twarzą zwrócony do nieprzyjaciela, otrzymał kulę w plecy.

Ale dziwić się przestano, gdy jeden z kamratów oświadczył, że gdy padł Carlini, Cucumetto znajdował się o dziesięć kroków za nim.

Świtkiem, kiedy bandyci opuszczali frosinońskie lasy, Cucumetto skorzystał z ciemności i skradając się za Carlinim, podsłuchiwał, co Carlini poprzysiął, a jako człek ostrożny, pozbył się zawczasu mściciela.

Wiele równie ciekawych opowieści krążyło o tym straszliwym herszcie.

Toteż pomiędzy Fondi a Perouse wszyscy drżeli na sam dźwięk jego imienia.

Opowieści te były często przedmiotem rozmów Teresy i Vampy.

Lęk ogarniał dziewczynę, kiedy słuchała tych relacji, ale Vampa uspokajał ją i śmiał się tylko, potrząsając doskonałą flintą, która niosła tak świetnie; a gdy to nie wystarczało, wskazywał jej kruka bujającego się na uschłej gałęzi, mierzył, pociągał kurek i oto ptak, trafiony śmiertelnie, upadał pod drzewem.

A czas płynął, młodzi ustalili, że pobiorą się, kiedy Vampa będzie miał lat dwadzieścia, a Teresa dziewiętnaście. Oboje byli sierotami, tedy nikogo nie potrzebowali prosić o pozwolenie, z wyjątkiem dziedzica — a kiedy poprosili, zgodził się.

Pewnego dnia, kiedy tak rozprawiali o przyszłości, usłyszeli nagle kilka strzałów. Z lasu, nie opodal którego paśli owce, wybiegł niespodzianie jakiś człowiek i rzucił się ku nim.

Kiedy mogli go posłyszeć, krzyknął:

— Ścigają mnie! Nie moglibyście mnie ukryć?

Młodzi odgadli bez trudu, iż uciekający był bandytą; rzymski chłop zawsze jest gotów dopomóc bandycie, łączy go z nim bowiem jakaś nić wzajemnej a naturalnej sympatii.

Vampa nie rzekłszy ani słowa podbiegł do głazu, który maskował wejście do im tylko znanej groty, odstąpił je, skinął na zbiega, by skrył się w środku, i zasłoniwszy otwór tym samym głazem, siadł obok Teresy.

W tejże chwili czterech konnych karabinierów wyjechało z lasu; trzej rozglądali się jakby za zbiegiem, a czwarty wiódł schwytanego zbrojnego, uwiązawszy mu postronek u szyi.

Trzej karabinierzy, rozejrzawszy się szybko po okolicy, dostrzegli dwoje młodych, popędzili ku nim galopem i jęli ich wypytywać.

Lecz Vampa i Teresa nie widzieli nikogo.

— O, to wielka szkoda — powiedział sierżant — bo ten, którego szukamy jest hersztem.

— Cucumetto?! — wykrzyknęli jednocześnie Teresa i Luigi, nie zapanowawszy nad sobą.

— Tak — odparł sierżant. — Wyznaczono tysiąc talarów rzymskich za jego głowę, dostalibyście tedy pięćset, gdybyście nam dopomogli go ująć.

Chłopiec i dziewczyna spojrzeli po sobie. Pięćset talarów rzymskich — to trzy tysiące franków, a trzy tysiące franków to wielki majątek dla dwojga sierot, zwłaszcza kiedy mają się pobrać.

— A pewno, że szkoda — odparł Vampa. — Aleśmy go nie widzieli. Karabinierzy przetrząsnęli całą okolicę w różnych kierunkach, lecz nic nie wskórali.

Zniechęceni odjechali kolejno.

Wtedy Vampa odsunął głaz i Cucumetto wyszedł z pieczary.

Widział przez szczeliny u wejścia, jak Teresa i Luigi rozmawiali z karabinierami; domyślił się, co to była za rozmowa, wyczytawszy zaś na twarzach dwojga młodych, że postanowili niezłomnie ocalić go, dobył z kieszeni sakiewkę wypchaną złotem i podał im ją.

Vampa podniósł dumnie głowę, lecz oko Teresy rozbłysło, gdy pomyślała, ile cennych klejnotów i bogatych sukien kupiłaby, posiadając tę sakiewkę pełną złota.

Cucumetto był przebiegły jak sam diabeł — właściwie zamiast kształtów węża przybrał postać bandyty; podchwycił owo spojrzenie, które przekonało go, że Teresa jest prawdziwą córką Ewy i po chwili ruszył do lasu, odwracając się co kilka kroków, jak gdyby pragnął pożegnać jeszcze serdeczniej swoich zbawców.

Przez wiele dni Cucumetto nie dał znaku życia, słuch o nim jakby zaginął. Zbliżał się karnawał. Hrabia de San-Felice wydawał wielki bal maskowy, na który zaproszono śmietankę towarzyską Rzymu.

Teresa marzyła o tym, by zobaczyć ów bal. Luigi poprosił intendenta, aby pozwolił im obojgu wmieszać się w dworską czeladź i przyglądać się zabawie. Intendent zgodził się.

Hrabia miał ukochaną córkę imieniem Carmela; dla niej to przede wszystkim urządzał ten bal.

Carmela była rówieśniczką Teresy i wzrost miała taki sam, a Teresa była co najmniej tak piękna jak Carmela.

Tego wieczoru, kiedy miał się odbyć bal, Teresa przywdziała najpiękniejszą suknię, spięła włosy najbogatszymi szpilkami i ustroiła się w błyszczące paciorki. Tak noszą się mieszkanki Frascati.

Luigi ubrał się w odświętny, jakże malowniczy strój chłopów spod Rzymu.

Wmieszali się — zgodnie z pozwoleniem — w dworską czeladź i chłopów.

Zabawa była wspaniała. Nie tylko pałac jarzył się światłem, lecz i tysiące kolorowych lampionów migotało wśród drzew. Niebawem tłum gości wyległ na tarasy, a z tarasów rozpięchł się po ogrodzie.

Na skrzyżowaniach alei przygrywała muzyka; ustawiono stoły z jadłem i orzeźwiającymi napojami; przechadzające się pary zatrzymywały się tutaj — rozbrzmiewał kadryl, tańczono wszędzie, gdzie się tylko komu spodobało.

Carmela przebrała się za chłopkę z Sonnino. Miała czepeczek naszywany perłami, złote szpilki wysadzone diamentami podtrzymywały jej loki, a przepasała się jedwabną szarfą turecką, haftowaną w wielkie kwiaty; spódniczka i narzutka były kaszmirowe, fartuszek z indyjskiego muślinu, a gorset spięty guzami ze szlachetnych kamieni.

Dwie towarzyszki Carmeli przebrały się również za wieśniaczki: jedna za mieszkankę Nettuno, druga — Ricci.

Czterej młodzieńcy, pochodzący z najbogatszych i najszlachetniejszych rodów rzymskich, asystowali wciąż pannom, gdyż dozwalała na to owa włoska swoboda obyczajów, jakiej nie znalazłbyś nigdzie pod słońcem — a byli także przebrani za wieśniaków: jeden z Albano, drugi z Velletri, trzeci z Civita-Castellana, a czwarty z Sory.

Oczywiście te wieśniacze stroje kapały, zarówno u pań, jak u młodych ludzi, od złota i klejnotów.

Carmeli przyszło na myśl urządzić kadryla wieśniaczego — ale brakowało jednej tancerki.

Carmela rozejrzała się wokół; żadna z panien nie miała na sobie kostiumu, który by pasował do stroju hrabianki i jej dwóch towarzyszek.

Hrabia de San-Felice wskazał córce Teresę, która wsparłszy się na ramieniu Vampy przyglądała się, jak inne chłopki, zabawie.

— Czy pozwolisz, ojczy?... — spytała Carmela.

— Oczywiście — odparł Hrabia. — Przecież to karnawał.

Carmela skłoniła głowę ku młodzieńcowi, który jej towarzyszył, szepnęła mu parę słów, wskazując palcem dziewczynę.

Młodzieniec podążył spojrzeniem za piękną rączką, co służyła mu za przewodniczkę, i skłoniwszy się na znak posłuszeństwa, podszedł do Teresy, by zaprosić ją do kadryla, którego miała poprowadzić hrabianka.

Teresie wydało się, że płomień jakiś musnął jej lica. Spojrzała pytająco na kochanka: cóż, nie sposób było odmówić. Luigi wolniutko puścił dłoń Teresy; dziewczyna odeszła prowadzona przez wykwintnego kawalera i cała drżąca zajęła miejsce w arystokratycznym kadrylu.

Oko artysty zachwyciłby oczywiście strój Teresy, prawdziwy strój wieśniaczy, surowy i pełen charakteru, a nie kostium Carmeli i jej towarzyszek, ale Teresa była dziewczęciem płochym i zalotnym; haftowany muślin, złote liście palmowe na jedwabnej szarfie, wspaniałość kaszmiru olśniewały ją, a blask szafirów i diamentów przywodził do szaleństwa.

Tymczasem Luigi czuł, jak rodzi się w nim afekt nieznany: był on podobny stłumionej zgryzocie, co zrazu kąsała mu serce, a potem, jakby pulsując, przenikała w żyły, biorąc we władanie całe jestestwo; śledził najdrobniejszy ruch Teresy i jej dansera; kiedy dłonie ich się spotykały, ćmiło mu się w oczach, puls bił gwałtownie, a w uszach, rzekłbyś, huczały mu dzwony. Kiedy zaś rozmawiali, to choć Teresa słuchała słów tancerza nieśmiało spuściwszy oczy, Luigi domyślał się z rozplómiennego wzroku pięknego młodzieńca, że prawi jej gorące komplementy; wydawało mu się wtedy, że ziemia pod nim wiruje i że wszystkie głosy piekieł nawołują go szeptem do morderstwa. Wtedy lękał się, że da się ponieść szaleństwu; jedną ręką wpijał się w pręty grabowej altanki, przy której stał, a drugą ścisnął kurczowo sztylet o rzeźbionej rękojeści, zatknięty za pasem, i nie zdając sobie z tego sprawy, wyciągał chwilami prawie całe ostrze z pochwy.

Luigi był zazdrosny! Czuł, że Teresa mogłaby mu się wymknąć, uległszy swojej naturze płochej, a zarazem pysznej.

Młoda wieśniaczka, onieśmielona z początku i niemal przerażona, nabrała wkrótce pewności siebie. Wspomnieliśmy już, że była piękna. Ale to nie wszystko: nad wyraz powabna, odznaczała się owym urokiem dzikości, jakże odmiennym od minoderii i sztucznego wdzięku światowych dam. Jej to składano w kadrylu większość hołdów, a jeśli zazdrościła hrabiance — hrabianka, choć tak rzec nie wypada, zazdrościła Teresie.

Z mnóstwem tedy komplementów piękny kawaler odprowadził Teresę na miejsce, gdzie oczekiwał ją Luigi.

Podczas kontredansa dziewczyna spojrzała kilkakrotnie na kochanka i za każdym razem oblicze jego jawiło się jej blade i jakby skurczone. Raz nawet ostrze sztyletu, który wyciągnął z pochwy, mignęło w oczach dziewczynie niby złowróźbna błyskawica.

Toteż drżąca niemal z trwogi wsunęła rękę pod ramię kochanka.

Kadryl osiągnął pełny sukces; oczywiście wszyscy pragnęli, by go powtórzono. Jedna Carmela nie chciała się zgodzić, ale hrabia de San-Felice tak serdecznie nalegał, że wreszcie przystała.

Natychmiast jeden z młodzieńców pobiegł odszukać Teresę, bez której nie można było odtńczyć kontredansa, ale dziewczyna przepadła.

Luigi bowiem czuł, że nie wytrzyma jeszcze jednej takiej próby, i uciekając się bądź do perswazji, bądź do siły, uprowadził Teresę w inny koniec ogrodu. Teresa ustąpiła wbrew własnej woli; ale widząc zmienioną twarz przyjaciela, spostrzegłszy jego milczenie i wstrząsające nim nerwowe drgawki, domyśliła się, że dolega mu coś dziwnego. Ją samą ogarnęło niezwykle podniecenie, i choć była pewna, że właściwie nic nie zbroiła, pretensje kochanka wydały jej się usprawiedliwione; ale co mógł jej zarzucić? — tego nie wiedziała; wiedziała jednak z całą pewnością, że zasłużyła na wymówki.

Tymczasem ku zdziwieniu Teresy Luigi milczał, ani jedno słowo nie padło z jego ust aż do końca zabawy. Dopiero kiedy nocny chłód wypędził gości z ogrodów i kiedy drzwi pałacu zamknęły się za nimi, a hulać już mieli tylko państwo, Luigi odprowadził Teresę do domu i rozstając się z nią zapytał:

— Tereso, o czym to myślałaś, tańcząc naprzeciw hrabianki?

— Myślałam — odparła dziewczyna z rozbrajająco naiwną szczerością — że dałabym pół życia za taką suknię, jak miała hrabianka.

— A cóż ci gadał twój tancerz?

— Że to zależy wyłącznie ode mnie i że wystarczy, bym rzekła słowo...

— Miał rację — odpowiedział Luigi. — Tak więc gorąco pragniesz takiej sukni.

— Tak.

— No dobrze. Będziesz ją miała.

Dziewczyna uniosła zdziwiona głowę, by wybadać kochanka, ale lico jego było tak zasepione i groźne, że słowa zamarły jej na ustach.

A zresztą Luigi już odszedł, nie rzekłszy nic więcej.

Teresa ściagała go spojrzeniem w mroku nocnym, póki, nie zniknął jej z oczu. A gdy zniknął, weszła, westchnąwszy, do domu.

Tejże nocy zdarzył się okropny wypadek, spowodowany nieostrożnością służby, która zapewne zapomniała pogasić światła; wybuchł pożar akurat w tej części pałacu, która przylegała do apartamentów pięknej Carmeli. Blask płomieni obudził w nocy hrabiankę; zerwała się z łóżka, narzuciła robdeszan i poskoczyła ku drzwiom, ale korytarz, którą musiała przejść, stał już w ogniu. Wróciła więc do pokoju i jęła wzywać pomocy, aż tu okno, znajdujące się na dwadzieścia stóp nad ziemią, otwarło się nagle; młody wieśniak wdarł się do pokoju, pochwyił ją w ramiona i ze zręcznością, i siłą nadludzką zniósł ją na trawnik, gdzie zemdląca. Gdy odzyskała przytomność, ojciec był przy niej. Zbiegła się też cała czeladź, śpiesząc z pomocą hrabiance. Spaliło się całe skrzydło pałacu; ale mniejsza z tym, skoro Carmela ocalała.

Szukano wszędzie jej zbawcy, lecz on więcej się nie pojawił; rozpytywano o niego tu i tam, ale nikt go nie widział. Jeśli zaś idzie o Carmelę, to zbytnio była wypadkiem wstrząśnięta, by zapamiętać twarz wybawcy.

Hrabia był bogaczem, jakich mało, toteż ów wypadek (nie mówiąc oczywiście o niebezpieczeństwie, jakie groziło Carmeli, i o jej cudownym ocaleniu, które zresztą poczytał za jeszcze jedną łaskę wyróżniającej go Opatrzności) i poniesione straty obeszły go niewiele.

Następnego dnia o zwykłej porze dwoje młodych spotkało się pod lasem. Luigi zjawił się pierwszy. Rozradowany niezwykle wybiegł na spotkanie dziewczyny; zdawało się, że zupełnie zapomniał o wczorajszej waśni. Teresa była wyraźnie zamyślona; ale spostrzegłszy wesołość Vampy odpowiedziała pogodną niefrasobliwością, która jeśli nie zamaściła jej jakiś gwałtowne uczucie, cechowała z przyrodzenia charakter tej dziewczyny.

Luigi wziął Teresę pod rękę i skierował się ku grocie. Zatrzymał się u wejścia, dziewczyna patrzyła nań bystro, spostrzegłszy, że dzieje się coś niezwykłego.

— Tereso — ozwał się Luigi — powiedziałaś mi wczoraj wieczorem, że oddałabyś wszystko na świecie za taki strój, jaki miała hrabianka.

— Owszem — przyznała Teresa ze zdziwieniem — ale takie życzenie to istne szaleństwo.

— A ja ci odpowiedziałem: „Dobrze, będziesz go miała”.

— Tak — rzekła dziewczyna, którą każde słowo Vampy wprawiało w coraz większe zdumienie. — Ot, powiedziałaś to, żeby mi zrobić przyjemność, i kwita.

— Nie zdarzyło się jeszcze, bym ci nie dał tego, com obiecał — odparł z dumą Luigi. — Wejdz do pieczary i ubierz się.

To rzekłszy odsunął głaz i pokazał Teresie grootę, gdzie płonęły dwie świece ustawione po obu stronach przepyszego zwierciadła; na zwykłym chłopskim stole, który Luigi sam zmajstrował, leżał naszyjnik z pereł i diamentowe szpilki, a obok na krześle poukładane były suknie.

Teresa krzyknęła z radości i nie pytając, skąd się wziął ów strój, ani też nie kwapiąc się podziękować Vampie, wpadła do groty, zamienionej w gotowalnię.

Luigi zastonił otwór głazem, na grzbiecie bowiem wzgórz zaślaniającego Palestrinę pojawił się nieznany jeździec, który, widać zbłądziwszy, przystanął na chwilę; sylwetka jego rysowała się na tle błękitu z ową przedziwną wyrazistością, znamionującą południowe pejzaże.

Dostrzegłszy Luigiego jeździec spiął konia i puścił się galopem w tę stronę.

Luigi nie omylił się: podróżny jechał z Palestriny do Tivoli, a straciwszy Palestrinę z oczu, zmylił kierunek.

Młodzieniec wskazał mu go, ale że o ćwierć mili dalej trakt rozwidłał się w trzy wąskie ścieżyny, podróżny poprosił Vampę, by posłużył mu za przewodnika, obawiał się bowiem, że znów zblądzi.

Luigi zsunął pelerynę, położył ją na ziemi; uwolniwszy się w ten sposób z ciężkiego odzienia, zarzucił na ramię fuzję i wyprzedzając podróżnego puścił się owym krokiem górala, tak szybkim, że koń ledwie zdołał mu nadążyć.

W dziesięć minut znaleźli się na rozstaju, o którym pasterz był wspominał.

Stanąwszy na miejscu, Luigi wskazał podróżnemu majestatycznym gestem imperatora właściwą drogę.

— Oto pańska droga, ekscelencjo — rzekł. — Teraz już pan nie zblądzi.

— A oto napiwek — odparł podróżny, podając młodzieńcowi kilka miedziaków.

— Dziękuję — zachnął się Luigi i cofnął rękę — chętnie oddaję usługi, ale ich nie sprzedaję.

— Ale — nastawał podróżny, któremu nieobca widać była różnica zachodząca między służalczym zachowaniem się mieszczuchów, a dumną postawą górali — skoro odrzucasz zapłatę, to nie wzgardzisz pewnie prezentem.

— A, to inna rzecz.

— Przyjmij tedy te dwa weneckie cekiny i podaruj je narzeczonej — będzie z nich miała ładne kolczyki.

— W takim razie niech pan przyjmie ode mnie ten sztylet — odparł pastuch. — Od Albano do Civita-Castella nie dostanie pan cacka z tak rzeźbioną rękojeścią.

— Chętnie go przyjmę — odparł podróżny — ale to ja jestem teraz twoim dłużnikiem, bo sztylet jest wart więcej niż dwa cekiny.

— Dla przekupnia pewnie tak; ale dla mnie najwyżej piastra, bom go sam rzeźbił.

— Jak się nazywasz? — zapytał nieznajomy.

— Luigi Vampa — odpowiedział pastuch z taką miną, jakby rzekł: „Aleksander Macedoński”. — A pan?

— Sindbad Żeglarz — odrzekł podróżny. Franz d'Epinaż aż krzyknął ze zdziwienia:

— Sindbad Żeglarz! — powtórzył.

— Aha — przytaknął narrator. — Takie nazwisko podróżny podał Vampie.

— A cóż ty chcesz od tego nazwiska? — wtrącił Albert. — To bardzo ładne miano i przyznaję, że przygody oryginalnego Sindbada wydawały mi się w dzieciństwie wielce uciechne.

Franz zamilkł. Słowa: „Sindbad Żeglarz”, rozumiecie to wybornie, obudziły w nim tyle wspomnień.

— Mów pan dalej! — zachęcił gospodarza.

Vampa wsunął niedbale cekiny do kieszeni i ruszył wolno tam, skąd przyszedł. Kiedy znalazł się o jakieś trzysta kroków od grotty, wydało mu się, że ktoś krzyknął.

Przystanął nasłuchując.

W chwilę potem postyszał wyraźnie swoje imię.

Ktoś krzyczał w pobliżu grotty.

Vampa skoczył jak kozioł, biegnąc nabił fuzję i w niespełną minutę znalazł się na szczycie pagórka leżącego naprzeciw wzgórza, gdzie był dostrzegł wędrowca.

Tutaj wołanie dobiegło go wyraźniej.

Powiół spojrzeniem po okolicy, którą widział z góry: jakiś mężczyzna uprowadzał Teresę, niby centaur Nessus — Dejanirę.

Człowiek ów, biegnący do lasu, przebył już trzy czwarte drogi, która dzieliła grotę od najbliższych drzew.

Vampa zmierzył okiem odległość; nieznajomy oddalił się już przynajmniej o dwieście kroków, nie sposób tedy było go doścignąć, nim dotrze do lasu.

Pastuch stanął jak wryty. Oparł kolbę fuzji o ramię, zmierzył w łotra, odczekał chwilę i dał ognia.

Porywca zatrzymał się, zachwiał i upadł, pociągając za sobą Teresę.

Ale Teresa zaraz się podniosła; łotr zaś wił się w przedśmiertnych drgawkach.

Vampa rzucił się ku Teresie, która o dziesięć kroków od konającego upadła na kolana; młodzieniec przeląkł się okropnie, czy ta sama kula, co powaliła jego wroga, nie zraniła dziewczyny.

Ale nie stało się nic takiego, jedynie strach odjął siły Teresie. Upewniwszy się, że kochanka wyszła szczęśliwie z opresji, Luigi odwrócił się ku rannemu.

Tamten właśnie skonał; pięści miał zaciśnięte, twarz wykrzywioną bólem, włosy zjeżone i zwilgotniałe od śmiertelnego potu. Otwarte oczy zdawały się grozić.

Vampa podszedł do trupa, poznał Cucumetta.

Bandyta zakochał się w Teresie tego dnia, kiedy młodzi ocalili mu życie, i poprzysiągł sobie, że ją zdobędzie. Od tej chwili stale ją śledził; korzystając z nieobecności kochanki, który odprowadzał zbłąkanego wędrowca, porwał dziewczynę i uważał już ją za swoją własność, gdy kula Vampy — a wiemy, że pastuch oko miał nieomyślne — przeszła mu serce.

Vampa przyglądał mu się chwilę, nie okazując najłżejszego wzruszenia, Teresa zaś, drżąc jeszcze, nie śmiała podejść do martwego bandyty; przysunęła się drobnym, niepewnym krokiem do Vampy i poprzez jego ramię obrzuciła trupa spojrzeniem.

Po chwili Vampa odwrócił się do kochanki.

— Ach, przebrałaś się już, teraz kolej na mnie.

Rzeczywiście, Teresa miała na sobie kostium hrabianki de San-Felice.

Vampa wziął zwłoki Cucumetta, zaniósł je do groty, a Teresa czekała u wejścia.

Gdyby jakiś podróżny pojawił się znowu, zobaczyłby rzecz niezwykłą: pasterka odziana w kaszmirowe suknie strzegła owiec; zdołał ją naszyjnik z pereł i także kolczyki, a kaszmir lśnił od brosz diamentowych i był usiany guzami szafirowymi, szmaragdowymi i rubinowymi.

Wydałoby mu się na pewno, że cofnął się w czasy Floriana, i wróciwszy do Paryża twierdziłby, że widział alpejską pasterkę siedzącą u podnóża Gór Sabińskich.

Po kwadransie Vampa wyszedł z groty. Strój jego był na swój sposób nie mniej elegancki od sukien Teresy.

Vampa miał na sobie wiśniowy aksamitny kubrak ze złotymi grawerowanymi guzami, jedwabną haftowaną kamizelkę, rzymski szal owinięty wokół szyi, ładownicę pikowaną złotym, czerwonym i zielonym jedwabiem, błękitne aksamitne pludry spięte pod kolanem diamentowymi kłami, łosiowe kamasze barwione w bogaty deseń, wreszcie kapelusz ozdobiony różnokolorowymi wstążkami, dwa zegarki wisiały mu u pasa, za ładownicą tkwił wspaniały sztylet.

Teresa krzyknęła z zachwytem. Vampa przypominał teraz postacie z obrazów Leopolda Roberta albo Schnetza.

Wdziął bowiem strój Cucumetta.

Wrażenie, jakie wywarł na narzeczonej, nie uszło uwagi młodzieńca; dumny uśmiech przemknął mu po wargach.

— Powiedz — zwrócił się do Teresy — czy jesteś gotowa podzielić mój los, jakkolwiek będzie?

— Ach tak! — wykrzyknęła z zachwytem.

— Pójdiesz za mną wszędzie?

— Choćby na kraj świata.

— No to weź mnie pod rękę i ruszajmy w drogę, bo nie mamy ani chwili do stracenia.

Dziewczyna wsunęła kochankowi rękę pod ramię, nie pytając nawet, dokąd się wybiera; wydawał jej się bowiem w tej chwili piękny, dumny i potężny jak bóg.

I ruszyli oboje w las, a po kilku minutach znikli wśród drzew.

Rozumie się samo przez się, że Vampa znał wszystkie górskie ścieżyny; nie zawahawszy się więc ani na moment, szedł przez las, choć nie wiodła tędy żadna ścieżka, rozpoznając kierunek jedynie po drzewach i krzakach: szli tak z półtorej godziny.

Znaleźli się w najgłębszym gąszczu leśnym. Łozysko wyschłego strumienia wiodło głębokim jarem. Vampa obrał tę dziwną drogę, wciśniętą jakby między dwie ściany, spowitą głębokim cieniem sosen; przypominałaby ona, gdyby nie to niełatwe zejście, ową ścieżynę nad jeziorem Averno, o której, mówi Wergiliusz.

Na tym dzikim pustkowiu lęk zawładnął ponownie dziewczyną; przytuliła się silniej do Luigiego i szła w milczeniu, ale równy krok Vampy, głęboki spokój malujący się na jego twarzy, sprawiły, iż zdołała ukryć obawy.

Niespodzianie, o dziesięć kroków przed nimi, jakiś człowiek oderwał się, rzekłbyś, od drzewa, za którym się skrył, i mierząc do Luigiego:

— Ani kroku dalej! — krzyknął. — Albo zginiesz!

— Spokojnie, bratku — odparł Vampa, machnąwszy pogardliwie ręką, Teresa zaśnie tając już trwogi tuliła się do niego. — Odkądże to wilki pożerają się między sobą?

— Ktoś ty? — zapytał strażnik.

— Luigi Vampa, pastuch z majątku San-Felice.

— Czego chcesz?

— Chcę pogadać z twoimi kamratami, którzy są na południowym stoku Rocca-Bianca.

— No to ruszaj za mną — rzekł strażnik — a raczej, skoro znasz drogę, idź przodem.

Vampa uśmiechnął się wzgardliwie, widząc tę przezorność; pociągnął za sobą Teresę, wyminął zbója i ruszył dalej tym samym miarowym, spokojnym krokiem, którym szedł dotychczas.

Po pięciu minutach bandyta dał znak Luigiemu, by się zatrzymał.

Młodzi usłuchali.

Bandyta zakrakał trzykrotnie.

Na ten trzykrotny zew odpowiedziało krakanie.

— W porządku — ozwał się bandyta. — Możesz iść dalej. Luigi i Teresa pośpieszyli naprzód.

Ale w miarę jak się posuwali, Teresa drżąc coraz silniej tuliła się do kochanka; bo i rzeczywiście migotały między drzewami sztylety, lśniły fuzje.

Polana Rocca-Bianca znajdowała się na wzgórzu, które niegdyś było na pewno wulkanem; wulkan ów wygasł jeszcze, nim Remus i Romulus opuścili Albę, by zbudować Rzym.

Dotarwszy na szczyt, Teresa i Luigi stanęli oko w oko z dwudziestu bandytami.

— Ten młodzieniec was szukał — oświadczył strażnik. — Chce z wami pogadać.

— A cóż go do nas sprowadza? — spytał bandyta, który pod nieobecność Cucumetta sprawował funkcje naczelnika.

— Chcę wam powiedzieć, że sprzykrzyło mi się pasterstwo — odparł Vampa.

— Ach, rozumiem — rzekł starszy zbójca — chciałbyś więc pewnie zaciągnąć się do nas.

— Witaj nam, witaj! — ozwały się zewsząd głosy; bandyci rodem z Ferrusino, Pampinary i Anagni poznali Vampę.

— No tak, ale przyszedł do was w innej sprawie.

— Czegóż tedy chcesz od nas? — spytali zdziwieni.

— Zostać waszym naczelnikiem — rzekł młodzieniec. Bandyci wybuchnęli śmiechem.

— I cóżeś takiego uczynił, by móc ubiegać się o taki zaszczyt? — spytał zastępca Cucumetta.

— Zabiłem waszego herszta, patrzcie, oto jego ubiór, i podpaliłem pałac de San-Felice, by ofiarować narzeczonej suknię ślubną.

W godzinę później Luigi Vampa został naczelnikiem, przejąwszy godność Cucumetta.

— Kochany Albercie — zwrócił się Franz do przyjaciela — no i cóż teraz sądzisz o imię panu Luigim Vampie?

— Uważam go za postać mityczną — odparł Albert. — Vampa nigdy nie istniał.

— Co to jest postać mityczna? — spytał Pastrini.

— Tego nie da się wytłumaczyć w paru słowach, kochany panie Pastrini — odrzekł Franz.— Powiadasz pan, że imię Vampa przeniósł cały swój kram w okolice Rzymu?

— A tak; przy tym zuchwałstwo tego bandyty nie da się z niczym porównać.

— To i policja nic tu jeszcze nie wskórała?

— Ha, cóż robić! Zwąchał się z pastuchami z nizin, z rybakami znad Tybru i przemytnikami z wybrzeża. Kiedy szukają go w górach, jest właśnie nad Tybrem; gdy ścigają go na rzece — wypływa na pełne morze; kiedy wszyscy są przekonani, że schronił się nad del Giglio, del Guanonti albo na Monte Christo, zjawia się w Albano, w Tivoli albo w Riccia.

— A jakże on sobie poczyna z podróżnymi?

— Ach, mój Boże! To bardzo proste. Wyznacza termin złożenia okupu, a ów termin bywa różny, niekiedy osiem godzin, czasem dwanaście, innym znów razem cały dzień — zależnie od tego, jak daleko jest do najbliższego miasta; gdy termin upływie, Vampa czeka zazwyczaj jeszcze godzinę. Gdy

upływa sześćdziesiąta minuta, a pieniądze nie nadchodzą, Vampa wypala pojmanemu w łeb albo pakuje mu sztylet w serce i kwita.

— No i co, Albercie — ozwał się Franz — czy zamierzasz nadal udać się do Koloseum drogą biegnącą pod murami miasta?

— Ależ oczywiście, o ile ta droga jest bardziej malownicza.

W tejże chwili wybiła dziewiąta, drzwi się otwały i w progu stanął dorożkarz.

— Ekscelencjo — rzekł — powóz czeka.

— W takim razie ruszajmy do Koloseum — powiedział Franz.

— Przez bramę del Popolo czy przez miasto?

— Przez miasto, do kroćset, przez miasto! — wykrzyknął Franz.

— E, mój drogi — skrzywił się Albert, wstając i zapalając trzecie cygaro — sądziłem, że jesteś odważniejszy.

Obaj młodzieńcy zeszli na dół i usadowili się w dorożce.

34. TAJEMNICZY NIEZNAJOMY

Franz obmyślił jednak drogę w taki sposób, aby Albert ujrzał nagle Koloseum, nie zobaczywszy uprzednio żadnych innych ruin: wtedy bowiem stopniowe przygotowania nie ujmą olbrzymowi nic z jego gigantycznych rozmiarów. Trzeba było, kierując się via Sistinia, skręcić przed kościołem Santa-Maria-Maggiore i potem, przez via Urbana, nie opodal Świętego Piotra w Okowach, dotrzeć do via del Colosseo.

Owa marszruta miała jeszcze jedną zaletę: nie rozpraszała w niczym wrażenia, jakie na Franzu wywarła opowieść imć Pastriniego, w której pojawił się był raptem tajemniczy amfitrion Franza z Monte Christo. Wsunąwszy się więc w kął powozu, podparł się łokciem i zatonał w dociekaniach, na które zadowolającej odpowiedzi znaleźć nie umiał.

Jedno zresztą na pewno przypominało Franzowi jego dobrego znajomego, Sindbada Żeglarza: owe tajemnicze stosunki łączące bandytów z marynarzami. To zaś, co imć Pastrini napomknął o schronieniu, jakiego Vampie udzielano na łodziach rybackich i przemytniczych, przywiodło Franzowi na myśl owych dwóch bandytów korsykańskich wieczierających w najlepsze z załogą jachtu, który później, nadłóżywszy drogi, zawiął do Porto-Vecchio w tym jedynie celu, aby wysadzić ich na ląd. Właściciel Hotelu Londyńskiego znał przydomek, jaki obrał sobie właściciel wyspy Monte Christo, a to znów wskazywałoby, że tajemniczy ów człowiek rozwijał swoją filantropijną działalność zarówno na wybrzeżach w okolicy Piombino, Ostii, Civitavecchia i Gaety, jak i na wybrzeżach korsykańskim, tokańskim i hiszpańskim: że zaś nieznamy, o ile Franz pamiętał, mówił o Tunisie i Palermo, dowodziło to, że sfera jego wpływów była wcale rozległa.

Ale choć dumania te przemożnie zawładnęły umysłem Franza, pierzchły, gdy wyrosło przed nim olbrzymie i posępne widmo Koloseum, przez którego otwory okienne księżyc rzucał ukośne i blade promienie, jakie padają z oczu upiora. Dorożka zatrzymała się o parę kroków od Meta Sudans. Dorożkarz pośpieszył otworzyć drzwiczki; młodzieńcy, wyskoczywszy z powozu, znaleźli się oko w oko z ciceronem, który wyrósł jakby spod ziemi.

Towarzyszył im przewodnik z hotelu: mieli więc dwóch.

Niepodobna zresztą uniknąć w Rzymie tego nadmiaru przewodników: poza ciceronem głównym, biorącym was we władanie z chwilą, kiedy przekraczacie progi hotelu, opuszczającym zaś dopiero w tym dniu, gdy znajdziecie się poza granicą miasta, są jeszcze przewodnicy specjaliści, którzy czatują przy każdej budowlu historycznej, a powiem nawet, że przy każdej jej części z osobna. Osądźcie więc, czy można wymknąć się ciceronom, zwiedzając Koloseum, ową pamiątkę pamiątek historycznych, a zarazem olbrzymia, o której Martial tak mówi:

„Niechże Memfis nie wychwala barbarzyńskiego cudu swoich piramid i zaprzestańcie opiewać piękności Babilonu; wszystko niknie wobec ogromu, jakim jest amfiteatr Cezarów, i wszyscyście winni połączyć głosy, aby sławić tę budowlę”.

Franz i Albert nie próbowali nawet wyłamać się spod prawa ciceronńskiej tyranii. Skądinąd byłoby to tym trudniejsze, że jedynie przewodnikom wolno chodzić po Koloseum z pochodniami. Nie stawiając tedy najmniejszego oporu, zdali się na łaskę i niełaskę oprowadzaczy.

Franz znał tę przechadzkę, zażywał jej już bowiem z dziesięć razy. Ale że jego towarzysz, mniej bywały, wkraczał po raz pierwszy w obręb budowli Flawiusza Wespazjana, powiedziec muszę — na

pochwałę Alberta — iż mimo głupiej gadaniny przewodników, mury te wywarły na nim silne wrażenie. Bo i rzeczywiście, kto ich nie widział, nie będzie miał pojęcia o majestacie tych ruin, których rozmiary podwaja tajemnicza poświata owej luny krajów południowych, jasna niczym zorza wieczorna na Zachodzie.

Jakoż Franz myśliciel, przeszedłszy sto kroków pod portykami wewnętrznymi, zostawił Alberta przewodnikom, którzy niezłomnie wierni rządzącym tu prawom chcieli pokazać mu Fosę Lwów, Łożę Gladiatorów i Podium Cezarów, a sam — pozwalając przyjacielowi kroczyć utartym szlakiem — wdrapał się na półzrujnowane schody i siadł po prostu w cieniu kolumny naprzeciw wyłomu, przez który mógł ogarnąć okiem cały majestat granitowego giganta.

Franz siedział już prawie kwadrans, ukryty — jak rzekłem — w cieniu kolumny, i przyglądał się Albertowi, co w towarzystwie dwóch ludzi niosących pochodnie opuścił właśnie vomitorium, które mieści się po drugiej stronie dawnej areny. Gdy podobni do cieni, co podążają za błędnym ognikiem, schodzili stopień po stopniu ku ławom przeznaczonym ongi dla westalek — wtedy to właśnie wydało się Franzowi, że w głębi ruin potoczył się kamień oderwany od schodów po drugiej stronie kolumny, przy której siedział. Nie jest oczywiście wypadkiem rzadkim, by kamień oderwany stopą czasu runął w przepaść, ale tym razem wydało się Franzowi, że kamień strąciła stopa ludzka i że słyszy nawet odgłos kroków, choć ten, kto szedł, dokładał wszelkich starań, by go ściszać.

Rzeczywiście, po chwili pojawił się jakiś człowiek, wyłaniając się z wolna z ciemności, w miarę jak wspinał się po schodach, które kończyły się tam, gdzie siedział Franz. Górne ich stopnie oświetlał księżyc, niżej — tonęły w coraz gęstszym mroku.

Mógł to być również podróżny, który wolał samotne dumania od częściej gadaniny przewodników, toteż obecność jego nie miała w sobie nic, co mogłoby zdziwić Franza; ale wahanie, z jakim nieznamy wszedł na najwyższe stopnie, niepokój, z jakim stanąwszy na szczycie jął nasłuchiwać, świadczyły, że przybył tu w jakimś specjalnym celu i że oczekuje kogoś.

Wiedziony instynktem, Franz ukrył się za kolumną, najlepiej jak umiał.

O dziesięć stóp nad nimi, w zrujnowanym sklepieniu, był otwór okrągły, przypominający studnię, przez który zaglądało niebo, gęsto usiane gwiazdami.

Wokół tego otworu, którego pewnie już od setek lat sączyło się światło księżycowe, rosły krzewy o gałązkach zielonych i delikatnych, odcinających się ostro od matowego szafiru nieba, a bujne liany i potężne pędy bluszczu zwisały z górnego tarasu, kołysząc się pod stropem niby sznury olinowania.

Nieznamy, którego tajemnicze przybycie zaciekało Franza, stał w półmroku, tak iż Franz nie zdołał dostrzec jego rysów; że jednak nie zalegał mrok zupełny — obejrzał szczegółowo ubiór; brunatna peleryna przerzucona przez lewe ramię osłaniała dół twarzy, górna zaś jej część ginęła w cieniu kapelusza o szerokich skrzydłach. Promienie, padające ukośnie przez otwór, oświetlały słabo czarne pantalony, które dzięki wykwintnemu krojowi układały się pięknie na lakierowanych trzewikach.

Stojąc już od kilku minut, zaczął się niecierpliwie wyrażnie, kiedy na wyższym tarasie coś zaszeleściło.

W tejże chwili cień zasłonił światło, jakiś człowiek pojawił się w ramie otworu i przeniknąwszy ciemności bystrym okiem, dostrzegł mężczyznę w pelerynie; chwycił pęk zwisających lian i bluszczu, ześliznął się w dół, a znalazłszy się na jakie trzy stopy nad ziemią, skoczył nie czyniąc hałasu. Miał na sobie ubiór mieszkańca Transtevere.

— Bardzo przepraszam, ekscelencjo — ozwał się w rzymskim dialekcie — że czekał pan na mnie. Spóźniłem się jednak zaledwie o parę minut. Na wieży Świętego Jana Laterańskiego wybiła właśnie dziesiąta.

— To nie wyście się spóźnili, lecz ja przyszedłem za wcześniej — odparł obcy w najczystszy narzeczu tokańskim. — Nie tłumacz się więc. Wreszcie, gdybyś się i spóźnił, domyśliłbym się i tak, że stało się to z przyczyn niezależnych od ciebie.

— I miałby pan słuszność, ekscelencjo, wracam bowiem z Zamku Świętego Anioła, gdzie po nieopisanych trudach zdołałem rozmówić się z Beppem.

— Cóż to za jeden, ten Beppo?

— Dozorca więzienny. Wyznaczyłem mu niewielką pensyjkę, by mieć informacje o tym, co się dzieje w zamku Jego Świątobliwości.

— E, widzę, że jesteś, kochasiu, przezorny!

— Cóż robić, ekscelencjo, kto wie, co może się zdarzyć? Przypuśćmy, że pewnego dnia wpadnę w sieci, jak i biedny Peppino — czyż nie będę wtedy potrzebował jakiegoś szczura, który przegryzie parę oczek mojej siatki?

— Krótko mówiąc, czegoś się dowiedział?

— Zgodnie z obyczajem otwarcie uroczystości karnawałowych poprzedzą dwie egzekucje, które odbędą się we wtorek o drugiej. Jeden będzie mazzolato — to nicpoń, który zamordował swojego opiekuna, księdza; ten nie zasługuje na litość. Drugi natomiast ma być decapitato — i to właśnie ma spotkać nieszczęsnego Peppina.

— Cóż robić, kochasiu. Napędzasz tyle strachu nie tylko rządowi papieskiemu, ale i sąsiednim królestwom, postanowiono tedy ukarać go dla przykładu.

— Ale Peppino nie należy wcale do mojej bandy, to biedny pastuch, który nie popełnił żadnej zbrodni prócz tej, że przynosi nam prowiant.

— To wystarczy, żeby uznać go za waszego współnika. Toteż okazano mu, jak widzisz, pewne względy: zamiast zaćwiczyć go na śmierć, co ciebie na przykład nie ominie, gdybyś wpadł im w ręce, poprzestaną na ścięciu mu głowy. Zresztą lud będzie miał o jedną rozrywkę więcej — widowisko zadowoli wszelkie gusta.

— Nie mówiąc o tym, które ja mu przygotuję, a którego się ani spodziewa — rzekł mieszkaniec Transtevere.

— Daruj, kochasiu — odparł mężczyzna w pelerynie — ale coś mi się widzi, że jesteś gotów popełnić jakieś głupstwo.

— Jestem gotów zrobić wszystko, co w mej mocy, by nie dopuścić do tej egzekucji: biedaczysko popadł w takie tarapaty tylko dlatego, że oddał mi przysługę. Par la Madonna! Miałbym się za łotra, gdybym nic nie zrobił dla tego poczciwego chłopaka.

— Cóż więc uczynisz?

— Rozstawię ze dwudziestu ludzi wokół szafotu i kiedy przyprowadzą nieboraka, dam znak: rzucimy się ze sztyletami w garści na eskortę, i odbijemy go.

— To bardzo ryzykowne; stanowczo, mój projekt jest lepszy.

— A jakiż jest pański plan, ekscelencjo?

— Dam, komu trzeba, dwa tysiące piastrow; dzięki temu egzekucję Peppina odłożą do następnego roku; po czym, nim rok upłynie, dam znowu tysiąc piastrow innej osobie (a wiem, komu dać należy), która dołoży starań, by Peppino umknął z więzienia.

— Czy pan jest pewien, że to się powiedzie?

— Pardieu! — zaklął po francusku mężczyzna w pelerynie.

— Słucham? — spytał mieszkaniec Transtevere.

— Powiadam, mój drogi, że więcej ja sam wskóram, razem z moim złotem, niż ty i twoi ludzie ze sztyletami, pistoletami, karabinami i gałaczami. Zostawcie to mnie.

— Wybornie! Ale jeśli panu się nie powiedzie, my będziemy gotowi.

— A proszę, bądźcie w pogotowiu, jeśli wam to sprawia przyjemność; ale zapewniam cię, że uzyskam ulaskawienie.

— Pojutrze wtorek, czy pan o tym pamięta? Zostaje panu tylko dzień jutrzejszy.

— Zgoda. Ale dzień składa się z dwudziestu czterech godzin, godzina z sześćdziesięciu minut, a minuta z sześćdziesięciu sekund; sporo można zdziałać przez osiemdziesiąt sześć tysięcy czterysta sekund.

— A jakże się dowiemy, czy ekscelencji się udało?

— O, to bardzo proste: nająłem trzy ostatnie okna w kawiarni Rospolich; jeśli uzyskam odroczenie, oba narożne okna będą wybite żółtym adamaszkiem, a środkowe białym i na tym białym polu każę naszyć czerwony krzyż.

— Wspaniale! A kto doręczy nam ulaskawienie?

— Przyślij mi jednego ze swoich ludzi w przebraniu pokutnika, to mu je dam. W tym stroju będzie mógł dotrzeć do samego rusztowania i wręczy papier najstarszemu z bractwa, ów zaś da go katowi. Tymczasem uprzedź o tym Peppina; gdyby umarł albo zwariował ze strachu, zmarnowałibyśmy pieniądze.

— Niech pan posłucha, ekscelencjo — rzekł domniemany chłop. — Wierzy pan w moje szczere przywiązanie, nieprawdaż?

— Mam nadzieję, że takie jest istotnie.

— A więc, jeśli pan ocali Peppina, mogę panu przyrzec coś więcej niż oddanie, bo posłuszeństwo.

— Zastanów się nad tym, co mówisz, kochasiu! Może się zdarzyć, że przypomnę ci to kiedyś; kto wie, czy i ja nie będę cię pewnego dnia potrzebował...

— Ach, ekscelencja znajdzie mnie zawsze w potrzebie, tak jak ja znalazłem pana w tej chwili. Choćby pan był na drugim końcu świata, wystarczy tylko napisać: „Zrób to”, a zrobię wszystko, klnę się...

— Psst! — syknął nieznajomy. — Słyszę jakiś hałas.

— To podróżni, którzy zwiedzają Koloseum przy świetle pochodni.

— Po cóż nas mają tu spotkać razem. Dorożkarze szpiegują, mogliby cię poznać i choć twoja przyjaźń to wielki dla mnie zaszczyt, utraciłbym poniekąd dobrą opinię, gdyby roztrąbili o naszej serdecznej zażyłości.

— A więc jeśli pan uzyska odroczenie?...

— Środkowe okno każe wybić białym adamaszkiem, a na nim umieścić czerwony krzyż.

— Gdyby pan jednak nie uzyskał odroczenia?

— Wszystkie trzy okna będą żółte.

— Cóż wtedy?...

— Wtedy, drogi przyjacielu, zgoda: dobywajcie sztyletów, a zobaczę, jak się spisze.

— Do widzenia, ekscelencjo; liczę na pana i niech pan na mnie polega.

To rzekłszy mieszkaniec Transtevere wbiegł na schody i zniknął, a nieznajomy, zasłaniając nadzwyczaj starannie twarz peleryną, pośpieszył na arenę zewnętrznymi stopniami, otarłszy się niemal o Franza.

W chwilę później imię Franza rozległo się pod sklepieniem, budząc echa: to Albert wołał przyjaciela.

Franz odczekał, aż dwaj mężczyźni oddalą się nieco, nie miał bowiem ochoty zdradzić, odpowiadając na wołanie, że mieli świadka, który jeśli nawet nie dojrzał ich twarzy, to nie stracił ani jednego słowa z rozmowy.

Po dziesięciu minutach Franz był już w drodze do Hotelu Londyńskiego: z roztargnieniem prawie niegrzecznym słuchał uczonych dysertacji Alberta, który cytując Pliniusza i Calpurniusa rozprawiał o siatkach najeżonych żelaznymi kolcami, nie pozwalającymi dzikim zwierzętom rzucać się na widzów.

Franz nie przerywał tych wywodów ani im oponował, spieszo mu bowiem było do samotności; która dozwoliłaby wreszcie rozważyć w spokoju to, co się wydarzyło przed chwilą.

Jednego z dwóch ludzi Franz na pewno nie znał i głosu jego nigdy nie słyszał, ale z drugim rzecz miała się inaczej: choć Franz nie dojrzał jego twarzy to ginącej w mroku, to znów osłanianej peleryną, głos ów tak zapadł mu w pamięć, gdy słyszał go po raz pierwszy, że zawsze i wszędzie poznałby to brzmienie. Miał on, zwłaszcza w nutach szyderczych, coś ostrego i metalicznego, co przejęło Franza drżeniem zarówno w ruinach Koloseum, jak i w grocie na Monte Christo. Nabrał więc przekonania, że owym mężczyzną był nie kto inny, tylko Sindbad Żeglarz.

Człowiek ów ciekawił Franza tak dalece, iż w każdej innej sytuacji młodzieniec nie wytrzymałby i zdradził swoją obecność; ale rozmowa, którą podsłuchał, miała charakter tak poufny, że Franz ani się nie ruszył, powodując się myślą roztrofną, iż spotkanie to nie sprawiłoby nieznajomemu przyjemności. Pozwolił mu tedy, jak widzieliśmy, odejść, ale przyrzekł sobie jednak, iż spotkawszy go po raz wtóry, nie przepuści już okazji, jak to się zdarzyło tym razem.

Franz, pochłonięty myślami, długo nie mógł zasnąć. Przez całą noc rozważał wszystko, co dotyczyło mieszkańca groty i nieznajomego z Koloseum — a okoliczności wskazywały na to, że był nim jeden i ten sam człowiek; im szczegółowiej Franz to roztrząsał, tym głębszej nabierał pewności.

Zasnął dopiero o świcie, obudził się więc bardzo późno. Albert, jako prawdziwy paryżanin, zatroszczył się przede wszystkim o przyjemne spędzenie wieczoru. Kazał zakupić łożę w teatrze Argentina.

Franz chciał napisać parę listów i wysłać je do Francji, oddał więc Albertowi dorożkę na cały dzień.

Albert wrócił do hotelu o piątej; złożyłszy, gdzie należało swoje listy polecające, uzyskał mnóstwo zaproszeń na wszystkie niemal wieczory i objechał Rzym.

Jeden dzień wystarczył mu na to wszystko.

A oprócz tego zdążył dowiedzieć się, co wystawiają w teatrze Argentina i jacy tam grają aktorzy.

Dawano „Parisinę” z Cosellim, Morianim i panią Spech w rolach głównych.

Jak widzimy, nasi dwaj młodzieńcy nie byli zbyt pokrzywdzeni, mieli bowiem zobaczyć jedną z najlepszych oper autora „Łucji z Lammermoor”, i to w wykonaniu najsłynniejszych włoskich artystów.

Albert nie mógł przyzwyczać się do teatrów włoskich, gdzie nikt szanujący się nie zasiada w pierwszych rzędach parteru i gdzie balkon i łoże są zasłonięte; nieprzyjemne to było dla młodzieńca, który miał własne krzesło w teatrze Bouffes, a w Operze część „łóż dandysów”.

Nie przeszkadzało mu to jednak elegantować się wspaniale, ilekroć udawał się w towarzystwie Franza do Opery; daremne trudy, bowiem — musimy to wyznać ku hańbie jednego z najgodniejszych reprezentantów naszej złotej młodzieży — choć od czterech miesięcy przemierzał Włochy we wszystkich kierunkach, nie miał ani jednej przygody miłosnej.

Albert usiłował niekiedy żartować z tych niepowodzeń, ale w głębi serca martwił się okropnie: on, Albert de Morcerf, jeden z paryskich donżuanów, musiał tutaj wciąż obywać się smakiem. Rzecz była jednak w istocie swojej przykrejsza: jak większość naszych cnotliwych rodaków Albert wyjechał z Paryża mniemając, że we Włoszech będzie odnosił sukcesy i że jego uwieńczone powodzeniem przygody miłosne wzbudzą zachwyt wśród spacerowiczów bulwaru Gandawskiego.

Niestety! Sprawy przybrały inny obrót: czarujące hrabiny z Genui, Florencji i Neapolu dotrzymywały towarzystwa nie tyle swoim mężom, co kochankom, i Albert nabrał bolesnego przekonania, że Włoszki mają nad Francuzkami co najmniej jedną przewagę: trwają wiernie w niewierności.

— Nie mówię przez to, że we Włoszech, jak i wszędzie, nie ma wyjątków.

A jednak Albert był nie tylko nienagannie wykwinłym młodzieńcem, lecz i cechowały go przymioty umysłu; ponadto był wicehrabią — świeżo upieczonym, to prawda; ale dziś, kiedy już nikt nie żąda po temu dowodów, mniejsza o datę nobilitacji: 1399 czy 1815! No i poza tym miał jeszcze pięćdziesiąt tysięcy liwrów renty. To więcej, niż trzeba, jak wiadomo, żeby być modnym w Paryżu. A więc czuł się poniekąd upokorzony, iż żadna kobieta dotąd, w żadnym włoskim mieście, nie zajęła się nim na serio.

Liczył jednak na to, że powetuje sobie w Rzymie: toż karnawał jest na całym świecie, gdziekolwiek święcą ów czcigodny obyczaj, okresem swobody, w którym najcnotliwsze panie dają się uwodzić szaleńczym pokusom. Otóż, karnawał miał rozpocząć się nazajutrz, było więc dla Alberta sprawą ogromnej wagi, by wszyscy, na pięć minut przed dwunastą, dowiedzieli się o jego przybyciu.

W tym celu najął w teatrze łożę zewsząd widoczną, a nim się tam udał, wystroił się jak nigdy. Miał miejsce w pierwszym rzędzie — odpowiadającym u nas galerii. Zresztą publiczność arystokratyczna, bez względu na rangę, i tak zajmuje trzy pierwsze balkony: z tej racji zowią je tutaj miejscami szlacheckimi.

Ponadto rzeczona łoża — mogło w niej zasiąść swobodnie osób dwanaście — kosztowała dwóch przyjaciół trochę mniej niżli łoża czteroosobowa w teatrze Ambigu.

Albert żywił jeszcze inną nadzieję: gdyby przypadł do serca którejś z pięknych rzymianek, zdobyłby, naturalną rzeczą kolejną, i miejsce w powozie, dzięki czemu oglądałby karnawał z wyżyn arystokratycznej karocy — albo książęcego balkonu.

W myśl powyższych rozważań, Albert wiercił się bardziej, niż miał zwyczaj. Obracał się tyłem do sceny i wychylając się tak, iż mało nie wypadł, lornetował wszystkie piękne damy lornetką długą na sześć cali.

Nic mu to jednak nie pomagało: lubo dokładał wszelkich starań, ani jedna ładna kobieta nie nagrodziła go spojrzeniem — choćby przez ciekawość.

Bo zresztą wszyscy gawędzili tu o interesach, miłostkach albo rozrywkach karnawału, który miał się nazajutrz rozpocząć, o zbliżającym się Wielkim Tygodniu — nie zwracając ani na moment uwagi na aktorów czy spektakl; tylko w pewnych określonych chwilach wszyscy spoglądali na scenę, aby posłuchać części recytatywu Cosellego, dać aplauz Morianiemu za wyjątkowo piękną nutę albo zawołać: „brawo!” pod adresem pani Spech; za czym wracano w najlepsze do przerwanej pogawarki.

Pod koniec pierwszego aktu Franz spostrzegł, że otwarty się drzwi łoża pustej dotychczas; weszła tam osoba, której Franz nie spodziewał się tutaj zobaczyć, sądząc, że przebywa jeszcze w Paryżu, gdzie nasz młodzieniec miał kiedyś zaszczyt być przedstawionym owej pięknej pani. Albert, zauważywszy poruszenie Franza zaskoczonego obecnością tej damy, odwrócił się i spytał:

— Czy znasz tę panią?

— Tak; jakże ci się ona podoba?

— Jest urocza, mój drogi, a przede wszystkim blondynka! Och, jakież prześliczne włosy! Czy to Francuzka?

— Wenecjanka.

— Jak się nazywa?

— To hrabina G...

— Ach, znam ją ze słyszenia — wykrzyknął Albert. — Twierdzą, że jest równie inteligentna, jak piękna. Do kroćset! Kiedy wspomnę, że na ostatnim balu u państwa de Villefort mogłem być jej przedstawiony i po prostu przepuściłem okazję... Ach, byłem doprawdy wyjątkowym durniem!

— Chcesz, bym naprawił ten błąd? — spytał Franz.

— Jak to! Czy znasz ją na tyle, by wprowadzić mnie do jej łoży?

— Rozmawiałem z nią kilka razy, a, jak wiesz, tyle akurat trzeba, by nie popełnić nietaktu.

W tejże chwili hrabina dostrzegła Franza i uroczym gestem przesłała mu pozdrowienie, na co Franz odpowiedział ukłonem pełnym szacunku.

— No proszę! Widzę, że serdeczne stosunki łączą cię z tą kobietą!

— Otóż to! Takie właśnie drobiazgi myląc nas, Francuzów, sprawiają, że co chwila strzelamy jakiegoś bąka, a największą niedorzecznością jest patrzeć na wszystko z paryskiego punktu widzenia; w Hiszpanii, a zwłaszcza we Włoszech, swoboda zachowania nigdy nie wskazuje na stopień zażyłości łączącej ludzi. Hrabina i ja powzięliśmy do siebie wzajemną sympatię i basta.

— Czy to wasze serca zdecydowały o tej sympatii? — roześmiał się Albert.

— O nie; raczej umysły — odparł poważnie Franz.

— I jakże to nawiązaliście ową nić sympatii?

— Podczas przejażdżki do Koloseum, takiej jaką odbyliśmy obaj.

— Przy księżycu?

— Tak.

— Byliście sami?

— Uhm.

— A mówiliście?...

— O zmarłych.

— Ach, toście się ubawili! — zawołał Albert. — Zapewniam cię, że gdybym kiedykolwiek miał szczęście towarzyszyć hrabinie podczas przejażdżki, i to jakiej! mówiłbym tylko o żywych.

— Kto wie, czy postąpiłbyś słusznie.

— Ale skoroś obiecał mnie przedstawić...

— Zaraz, niech tylko kurtyna zapadnie.

— Uf, diabelnie długi ten pierwszy akt!

— Posłuchaj finału, jest naprawdę piękny i Coselli śpiewa go prześlicznie.

— Ale jaka tusza!

— Pani Spech mistrzowsko wydobywa dramatyczne akcenty!

— E, słyszałem artystki tej miary co pani Sontag i pani Malibran... sam więc rozumiesz...

Czy nie uważasz, że Moriani znakomicie opanował swój kunszt?

— Nie lubię brunetów, którzy śpiewają jak blondyni.

— Ach, mój drogi, mój drogi - rzekł Franz, odwracając się od przyjaciela, który lornetował nadal z zapalem — jesteś zbyt wymagający.

Wreszcie, ku żywej radości wicehrabiego de Morcerf, kurtyna spadła, Albert chwycił cylinder, przyglądał szybko włosy, poprawił halsztuk i mankiety i przypomniał Franzowi, że czeka.

A że ze swej strony hrabina, którą Franz zapytał spojrzeniem, skinęła głową na znak, iż będzie mile widziany, nie zwlekał ani chwili, aby dogodzić niecierpliwącemu się już Albertowi; podążył więc półkolistym korytarzem, a przyjaciel jego, idąc za nim, zdążył poprawić jeszcze kołnierzyk, co powyginał się, niegroźnie zresztą, od gwałtownych poruszeń, i obciągnął wyłogi fraka; zastukał do łoży nr 4, gdzie siedziała hrabina.

Młodzieniec zajmujący krzesło w pierwszym rzędzie, obok hrabiny, ustąpił miejsca Albertowi, ten zaś musiałby — zgodnie z włoskim obyczajem — ustąpić z kolei panu, który by się po nim pojawił.

Franz przedstawił hrabinie Alberta jako młodego paryżanina wyróżniającego się nie tylko pozycją towarzyską, lecz i zaletami umysłu (była to zresztą prawda: środowisko, w którym obracał się ów młody elegant, nie miaoby mu nic do zarzucenia). Dodał, że przyjaciel jego, zrozpaczony, iż nie mógł wykorzystać pobytu hrabiny w Paryżu, aby zostać jej przedstawionym, prosił go, by naprawił to, co Albert poczytuje sobie za błąd, wywiązuje się przeto z owej misji, ale że i jego, Franza, winien był ktoś tutaj wprowadzić, błaga, by hrabina wybaczyła ów nietakt.

Hrabina powitała Alberta ślicznym ukłonem, Franzowi zaś podała rękę.

Na zaproszenie hrabiny Albert usadowił się w pierwszym rzędzie, a Franz siadł w drugim, za plecami uroczej damy.

Albert znalazł od razu wyborny temat rozmowy: Paryż. Wprędce odnaleźli z hrabiną wspólnych znajomych. Stwierdziwszy, że Albert wypłynął na dobrze sobie znane wody, Franz wziął od przyjaciela jego olbrzymią lornetkę i zaczął lustrować salę.

Naprzeciwno, w trzecim rzędzie łóż zbudowanych amfiteatralnie, siedziała kobieta niepospolitej urody odziana w strój grecki; swobodne jej zachowanie świadczyło, że nosiła się tak od samego dzieciństwa.

W głębi, za nią, rysowała się spowita mrokiem sylwetka mężczyzny, którego twarzy niepodobna było dojrzeć.

Franz, przerwawszy przyjacielowi, zapytał hrabinę, czy zna piękną Albanę, której uroda winna była przyciągnąć uwagę nie tylko mężczyzn, ale i kobiet.

— Nie — odrzekła hrabina. — Wiem tylko, że od jesieni mieszka w Rzymie, widziałam ją bowiem podczas otwarcia teatru w tym samym miejscu, gdzie i dziś; nie opuściła od miesiąca ani jednego przedstawienia, a towarzyszy jej zwykle ten sam mężczyzna, którego pan teraz obok niej widzi, albo po prostu czarny służący.

— A jak się ona podoba pani hrabinie?

— Bardzo piękna. Medora musiała być do niej podobna.

Franz i hrabina uśmiechnęli się do siebie. Hrabina powróciła do przerwanej rozmowy, a Franz lornetował dalej Albanę.

Kurtyna uniosła się i rozpoczął się balet. Był to jeden z owych doskonałych baletów włoskich, w inscenizacji słynnego Henryka, który jako baletmistrz pozyskał we Włoszech ogromną sławę, ale biedak utracił ją niedawno wystawiając naumachię, jeden z tych baletów, gdzie wszyscy, począwszy od primabaleriny, a skończywszy na najskromniejszym statyście, biorą tak żywy udział w akcji, że sto pięćdziesiąt osób wykonuje jednocześnie ten sam gest, wznosi tę samą rękę albo tę samą nogę.

Balet ów zwał się „Poliska”.

Franz nazbyt żywo zajął się piękną Greczynką, by interesować się baletem, jakkolwiek widowisko było bardzo ciekawe. Lecz ona przyglądała się przedstawieniu z wyraźną przyjemnością, odbijającą żywo od głębokiego lekceważenia, jakie okazywał spektaklowi jej towarzysz: nie zwracając uwagi na to arcydzieło choreografii, siedział bez ruchu i chociaż orkiestra złożona z trąb, cymbałów i żeli hałasowała piekielnie, wydawało się, że smakował w niebiańskich słodyczach spokojnego i pogodnego snu.

Wreszcie balet skończył się i kurtyna zapadła pośród frenetycznych oklasków upojonego parteru.

Dzięki owym scenom baletowym poprzedzającym w teatrach włoskich poszczególne części opery, antrakty są bardzo krótkie, bo śpiewający mają czas wypocząć i zmienić kostiumy, kiedy tancerze wykonują piruety i hołubce.

Rozpoczęto uverturę drugiego aktu; gdy ozwały się pierwsze tony skrzypiec, Franz spostrzegł, że śpioch wstał leniwie i podszedł do Greczynki, która obejrzała się, rzekła kilka słów i znowu oparła się o poręcz łoża.

Twarz nieznanego nadal pozostawała w cieniu, toteż Franz nie mógł dojrzeć jej rysów.

Kiedy kurtyna się uniosła, uwagę Franza pochłonęli, siłą rzeczy, aktorzy, odwrócił tedy na chwilę wzrok od pięknej Greczynki i skierował go ku scenie.

Drugi akt, jak wiemy, rozpoczyna się duetem śpiewanym we śnie: Parisina śpiąc wyznaje Azzowi, że kocha Uga; mąż, nękany najokrutniejszą zazdrością, upewnia się ostatecznie o zdradzie małżonki i zbudziwszy ją, zapowiada rychłą zemstę.

Duet ten należy do najpiękniejszych, najwymowniejszych, a zarazem najbardziej wstrząsających utworów, jakie wyszły spod niezwykle płodnego pióra Donizettiego. Franz słyszał go po raz trzeci, a choć nie zaliczał się bynajmniej do zaciekłych melomanów, odczuł jednak głęboko jego piękno. Zamierzał już przyłączyć się do oklasków, jakimi rozbrzmiewała sala, gdy ręce zastygły mu nagle w bezruchu, a na ustach zamarł okrzyk.

Mężczyzna z łoża naprzeciwko wstał, wyprostował się całkiem, a wtedy twarz jego znalazła się w pełnym świetle. Franz ujrzał tajemniczego pana z wyspy Monte Christo, którego głos i postać rozpoznał wczoraj — był tego niemal pewien — w ruinach Koloseum.

Wątpić nie sposób, dziwaczny podróżny mieszkał w Rzymie.

Spotkanie to zmieszało oczywiście Franza tak mocno, iż konfuzja odmalowała się na jego twarzy, hrabina bowiem spojrzawszy na niego roześmiała się głośno i zagadnęła, co mu się stało.

— Pani hrabino, pytałem panią przed chwilą — odrzekł Franz — czy zna pani tę Albankę; zapytam jeszcze, czy zna pani jej męża?

— Tyle co i ja.

— I nigdy nie zwróciła pani na niego uwagi?

— Takie pytanie może zadać tylko Francuz! Wiesz pan przecież doskonale, że dla nas, Włoszek, nie istnieje na świecie żaden mężczyzna prócz tego, którego kochamy.

— To prawda.

— Bądź co bądź — rzekła, przytknąwszy do oczu lornetkę Alberta i skierowawszy ją ku łożu naprzeciw — to chyba ktoś wyciągnięty z trumny, ktoś, kto za zgodą grabarza wstał z grobu, bo wydaje mi się straszliwie błądy.

— Zawsze jest taki.

— Znasz go pan tedy? — spytała hrabina. — No to ja z kolei zapytam: któż to zaczął?

— Zdaje mi się, że go już kiedyś spotkałem... tak, chyba to on...

— Rzeczywiście — powiedziała poruszywszy pięknymi ramionami, jakby drzenie jakieś przebiegło ją całą — pojmuję doskonale, że spotkawszy tego człowieka choćby tylko raz, niepodobna go zapomnieć.

Wrażenie, jakiego Franz doznał, nie było tedy czymś odosobnionym, skoro hrabina odczuła to samo.

— I cóż pani sądzi o tym człowieku? — spytał Franz, kiedy dama po raz wtóry skierowała lornetkę na nieznanego.

— To nikt inny, tylko lord Ruthwen we własnej osobie.

Wspomniała tedy znów o lordzie Byronie i to mocno zastanowiło Franza; gdyby zresztą ktokolwiek zdołał przekonać go o istnieniu wampirów, dokazałby tego ów nieznanomy.

— Muszę się dowiedzieć, kto to taki — rzekł Franz wstając.

— Ach nie! — zaprotestowała hrabina. — Niech pan mnie tu nie zostawia samej; mam nadzieję, że pan mnie odprowadzi, nie puszczę pana.

— Jak to? — spytał Franz, pochylając się nad hrabiną. — Czyż pani doprawdy się boi?

— Niech pan posłucha — rzekła. — Byron przysięgał mi, że wierzy w istnienie wampirów, mówił mi, że je widział, i odmalował mi ich wygląd... no tak... wszystko się zgadza: czarne włosy, ogromne oczy świecące niezwykłym blaskiem, ta sama śmiertelna bladeść; a niech pan przy tym zauważy, że asystuje on kobiecie niepodobnej do zwykłych kobiet, cudzoziemce... Greczynce... prawosławnej... obdarzonej z pewnością, jak i on, jakąś czarnoksięską mocą. Proszę, niech pan tam nie idzie! Jutro, jeżeli się panu spodoba, rozpocznie pan poszukiwania, ale dziś, oświadczam, że dziś nie zrezygnuję z pańskiego towarzystwa.

Franz nie ustępował.

— Posłuchaj pan — rzekła wstając — wracam do domu, nie mogę zostać do końca spektaklu, bo spodziewam się gości; czyżbyś pan okazał się niezbyt uprzejmym i nie dotrzymał mi towarzystwa?

Wobec takich słów można było tylko wziąć cylinder, otworzyć drzwi i podać ramię hrabinie.

Tak też uczynił.

Hrabina była rzeczywiście silnie poruszona; Franz także nie potrafił opanować zabobonnego lęku, tym naturalniejszego, że hrabiną powodowało tylko przecucie, a Franzem — wspomnienia.

Kiedy wsiadała do karety, Franz uczył, jak strwożona drży.

Odwiózł ją do domu: gości nie było i nikt na nią nie czekał, Franz tedy dał wyraz niezadowoleniu.

— Szczerze mówiąc, nie czuję się zbyt dobrze i chcę być sama; widok tego człowieka wstrząsnął mną do głębi.

Franz próbował się roześmiać.

— Niech pan się nie śmieje — rzekła. — Zresztą nie ma pan wcale ochoty. Czy może mi pan coś obiecać?

— Ale co?

— Proszę mi obiecać.

— Mogę przyrzec wszystko, czego pani zażąda, z wyjątkiem tego, że zaprzestanę moich poszukiwań. Z pewnych powodów, których nie mogę pani wyjawić, muszę dowiedzieć się, kto to taki, skąd przybył i dokąd zmierza.

— Skąd przybył, tego nie wiem, ale mogę panu powiedzieć, dokąd zmierza: z całą pewnością do piekła.

— Wróćmy do obietnicy, której pani hrabina ode mnie zażądała — rzekł Franz.

— A więc proszę, by udał się pan wprost do hotelu i nie szukał dziś tego człowieka. Istnieje jakaś nić między tymi ludźmi, z którymi się rozstajemy, i tymi, z którymi następnie mamy się spotkać. Niech pan między nami nie pośredniczy. Jutro szukaj go pan, ile zechcesz, ale nie waż mi się go przedstawiać, bo umarłabym ze strachu. A teraz dobranoc, staraj się pan zasnąć, a ja i tak wiem, kto nie zmruży dziś oka.

Rzekłszy to hrabina pożegnała Franza, zostawiając go w niepewności: czy zabawiła się jego kosztem, czy też lęk jej był nieklamany?

Wróciwszy do hotelu Franz zastał Alberta odzianego w robdeszan i domowe pantalone; rozparty wygodnie na fotelu, ćmił cygaro.

— Ach, to ty? — zdziwił się Albert. — Spodziewałem się, do kroćset, że wrócisz dopiero jutro.

— Drogi Albercie — odparł Franz — cieszę się, że nadarzyła mi się okazja wytłumaczyć ci coś raz na zawsze: twoje pojęcia o kobietach włoskich są jak najbardziej mylne, chociaż twoje niepowodzenia miłosne winny były cię wyprowadzić z błędu.

— Cóż robić! Nie dojdiesz do ładu z tymi diabolicami; podają ci rękę znaczącym uściskiem, szepczą ci na ucho, każą odprowadzać się do domu... toć paryżanka straciłaby nieodwołalnie reputację, gdyby choć w jednej czwartej zachowywała się jak Włoszka.

— Właśnie, właśnie. W tym pięknym kraju, gdzie jak powiada Dante, dźwięczy „si”, kobiety zachowują się tak swobodnie i nie potrzebują nic ukrywać, bo żyją w pełni słońca. Zresztą widziałeś, że hrabina naprawdę się przelękała.

— Przelękała się? A czegoż? Tego eleganckiego pana, który siedział naprzeciw nas obok tej ślicznej Greczynki? Chcąc niejako sprawdzić słuszność waszych domniemań, spotkałem się umyślnie z tą parą w korytarzu. Nie mam pojęcia, u diabła, co wam strzeliło do głowy z tymi pozagrobowymi fantazjami! To mężczyzna bardzo piękny i bardzo wykwinny; ubiera się z pewnością we Francji, u Blina albo u Humanna; owszem, jest może nazbyt blady, ale wiesz przecie, że jasna pleć to znamię dystynkcji.

Franz uśmiechnął się: Albert szczylił się ogromnie bledością swojej cery.

— Toteż jestem przekonany, że hrabina wydała o nim sąd nieopatrny — powiedział Franz. — A nie słyszałeś aby, co mówił, gdyście się mijali?

— Tak; ale rozmawiali w języku nowogreckim. Poznałem to narzecze, usłyszawszy kilka zniekształconych słów greckich. A trzeba ci wiedzieć, mój drogi, że w gimnazjum byłem asem w grece.

— Mówił tedy współczesną greką?

— Przypuszczalnie.

— To on bez wątpienia — szepnął Franz.

— Co takiego?

— E, nic. I cóżeś porabiał, mój drogi, wróciwszy tutaj?

— Przygotowałem ci niespodziankę.

— Jakąż to?

— Wiesz, że nie można dostać karety, prawda?

— Do licha! Skorośmy uczynili wszystko, co w ludzkiej mocy, i nic nie wskóraliśmy!...

— No właśnie! A ja mam cudowny pomysł.

Franz spojrział na Alberta, powątpiewając wyraźnie o jego pomysłowości.

— Mój drogi — ozwał się Albert — zaszczyliłeś mnie spojrzeniem, za które powinienem właściwie żądać satysfakcji.

Będę gotów ci jej udzielić, jeśli koncept okaże się istotnie tak wyborny, jak powiadasz.

— Słuchaj więc...

— Słucham, słucham.

— Niepodobna tedy zdobyć karety?

- Aha.
- Ani koni?
- Tym bardziej.
- Ale może uda się zdobyć wóz?
- Kto wie...
- I parę wołów?
- Niewykluczone.

— No to posłuchaj, mój drogi, jak się rzecz ma. Każę przystroić wóz, my zaś przeberzemy się za neapolitańskich żeńców i tak będziemy wyglądali, jak byśmy wyszli z ram wspaniałego obrazu Leopolda Roberta. I gdyby hrabina raczyła, aby podobieństwo było bardziej uderzające, włożyć strój wieśniaczki z Puzzole albo z Sorrento, maskarada zyskałaby na tym, bo to pani tak piękna jak Rafaelowska Madonna.

— Do kroćset! — wykrzyknął Franz. — Tym razem masz, panie Albercie, rację: trudno o szczęśliwszy pomysł.

— I typowo francuski, zapożyczony od naszych królów gnuśnych, i basta, mój drogi! Tak, panowie rzymianie, myśleliście, że będziemy, niby lazzaroni, śmigać piechotą po waszych ulicach tylko dlatego, iż za mało macie koni i karet, a my je wytrzaśniemy.

— Czy zdradziłeś już komu ten genialny koncept?

— Naszemu gospodarzowi. Wróciwszy poprosiłem go na górę i wyłożyłem mu swój plan. Zapewnił mnie, że to nic prostszego. Umyśliłem, by pozłociono wołom rogi, ale powiedział mi, że trzeba na to trzech dni; będziemy musieli sobie darować ten zbytek.

— A gdzie on jest?

— Kto?

— Nasz gospodarz.

— Poszedł na zwiady. Jutro byłoby za późno.

— Da ci tedy odpowiedź jeszcze dziś wieczór?

— Czekam właśnie na niego.

W tym momencie uchyliły się drzwi, imć Pastrini wetknął głowę.

— Czy można? — spytał.

— Oczywiście — wykrzyknął Franz.

— No i co? — zagadnął Albert. — Znalazł pan odpowiedni wóz i woły?

— Znalazłem coś lepszego — odpowiedział Pastrini, bardzo z siebie kontent.

— O, mój panie, uważaj proszę — wtrącił Albert. — Lepsze nie godzi się z dobrym.

— Ekscelencje mogą na mnie polegać — mądrzył się dalej Pastrini.

— O cóż więc chodzi?

— Czy panowie wiedzą — odparł hotelarz — że hrabia Monte Christo mieszka na tym samym piętrze?

— No pewnie; z tej właśnie racji mieszkamy niczym studenci z ulicy SaintNicolas-du-Chardonnet — mruknął Albert.

— A właśnie! Dowiedziawszy się o kłopotach, jakie panowie mają, proponuje panom dwa miejsca w swojej karecie i dwa miejsca w oknie w pałacu Rospolich.

Albert i Franz spojrzeli po sobie.

— Ale czy wolno przyjąć zaproszenie od nieznanego cudzoziemca? — zafrasował się Albert.

— Jakież on jest, ów hrabia de Monte Christo? — spytał Franz gospodarza.

— To magnat sycylijski albo maltański... nie wiem dokładnie. Ale pan całą gębą, jak Borghese, i opływa w złoto.

— Zdaje mi się — zwrócił się Franz do Alberta — że jeśli ów pan jest tak dystyngowany, jak utrzymuje imć Pastrini, to powinien obrać inną formę zaprosin, skreślić do nas bilecik albo...

W tejże chwili zastukano do drzwi.

— Proszę — powiedział Franz.

Służący w liberii nadzwyczaj wykwintnej pojawił się w progu.

— Od pana hrabiego de Monte Christo dla pana Franza d'Epina i pana wicehrabiego Alberta de Morcerf— rzekł.

I podał hotelarzowi dwa bilety wizytowe, które imię Pastrini wręczył młodzieńcom.

— Pan hrabia de Monte Christo pyta, czy jaśnie panowie raczą go przyjąć jutro z rana, po sąsiedzku — ciągnął służący. — Ma też zaszczyt zapytać wielmożnych panów, o której ich zastanie.

— Na honor — rzekł Albert do Franza — rzecz załatwiona nienagannie, co tu gadać.

— Proszę powiedzieć panu hrabiemu — odparł Franz — że to my prosimy o zaszczyt złożenia mu wizyty.

Lokaj wyszedł.

— A to nas zastrzeżił uprzejmością — powiedział Albert. — Stanowczo miałeś pan rację, mój Pastrini, pański hrabia de Monte Christo ma nienaganne maniere.

— Przyjmujecie więc panowie zaproszenie?

— Na honor, chyba tak — odrzekł Albert. — Choć, wyznać muszę, żal mi naszego wozu i żeńców. Gdyby nie te miejsca w pałacu Rospolich, będące rekompensatą, obstawałbym dalej przy naszym pomysle. A ty, drogi przyjacielu, co o tym sądzisz?

— I dla mnie te okna są decydujące — odparł Franz.

Istotnie, te dwa miejsca przy oknie przypomniły Franzowi rozmowę między nieznanym a mieszkańcem Transtervere, jaką posłyszał w ruinach Koloseum, podczas której mężczyzna w pelerynie zobowiązał się ocalić skazańca. Jeśli więc nieznanemu w pelerynie okaże się, a wszystko za tym przemawiało, owym mężczyzną, którego widok tak mocno poruszył Franza w teatrze Argentina, Franz pozna go niewątpliwie i już bez żadnych przeszkód zaspokoi ciekawość.

Prawie całą noc Franz dumał o tych dwóch spotkaniach i wyglądał niecierpliwie świtu.

Bo i rzeczywiście wszystko nazajutrz musiało się wyjaśnić: pan na Monte Christo nie umknie mu z pewnością tym razem, chyba że posiadałby pierścień Gygesa, mający właściwości czapki-niewidki.

Trawiony ciekawością wstał o ósmej.

Albert nie miał powodów, by zrywać się tak wcześnie, i spał jak zabity.

Franz kazał poprosić gospodarza na górę; hotelarz powitał Franza ze zwykłą sobie uniżonością.

— Mistrzu Pastrini — zagadnął Franz — czy to nie dzisiaj ma się odbyć jakaś egzekucja?

— Tak, ekscelencjo, ale jeśli pan pyta, żebym się wystarał o miejsce w oknie, to spóźnił się pan.

— Nie — odpowiedział Franz. — Zresztą, gdyby mi naprawdę zależało na tym widowisku, pewnie znalazłbym miejsce na Monte-Pincio.

— O, nie sądzę, żeby jaśnie pan zechciał się wmieszać między tę całą hołotę, która obsiadzie to wzgórze, bo stanowi ono jakby naturalny amfiteatr.

— Raczej wcale tam nie pójde, ale chciałbym się dowiedzieć pewnych szczegółów.

— Jakich?

— Ilu jest skazańców, jak się nazywają i jaka ich czeka, śmierć?

— Ekscelencja zapytał w porę! Przyniesiono mi właśnie tavolette.

— A cóż to takiego?

— Tavolette są to drewniane tabliczki, które wieszają się na rogach ulic w przededniu egzekucji; są na nich wypisane nazwiska skazańców, przyczyny stracenia i rodzaj tortury. Ogłoszenia te mają skłaniać wiernych do modłów, aby winowajcy okazali szczerą skruchę.

— To przynoszą panu te tavolette, abyś się modlił razem z innymi wiernymi? — spytał sceptycznie Franz.

— Nie, ekscelencjo; umówiłem się z kolporterem, że będzie mi je dostarczał, jak dostarcza mi afisze teatralne, bo jeśli któremuś z moich gości spodoba się zobaczyć egzekucję, muszę go o niej zawczasu powiadomić.

— O! Co za subtelna atencja — wykrzyknął Franz.

— Dumny jestem z tego — uśmiechnął się Pastrini — że dokładam wszelkich starań, by zadowolić szlachetnych cudzoziemców, którzy zaszczycają mnie swoim zaufaniem.

— A widzę to, widzę! Zachwałę pana każdemu, kto tylko zechce mnie wysłuchać, bądź spokojny. A tymczasem chciałbym przeczytać taką tavolette.

— Nic łatwiejszego — rzekł hotelarz otwierając drzwi. — Kazałem przybić jedną tutaj, na korytarzu.

Wyszedł i zdjawszy tavolettę podał ją Franzowi. Oto dosłowne tłumaczenie szubienicznego afisza:

Podaje się do publicznej wiadomości, że we wtorek dwudziestego drugiego lutego, czyli w pierwszy dzień karnawału, zostaną z wyroku Rady Rzymskiej straceni dwaj przestępcy: niejaki Andrea Rondolo, winny morderstwa popełnionego na osobie czcigodnego i szanownego don Cezara Torloni, kanonika kościoła Świętego Jana Laterańskiego, oraz niejaki Peppino, zwany Rocca Priori, winny współdziałania ze zniechędzonym Luigim Vampą i jego bandą.

Pierwszy będzie mazzolato, drugi decapitato

Uprasza się ludzi miłosiernych, aby modlili się do Boga o szczerą skruchę tych dwóch nieszczęśliwych skazańców.

Przedwczoraj w ruinach Koloseum Franz usłyszał dokładnie to samo; nie zaszła w tym programie ani jedna zmiana — nazwiska skazańców, przyczyny stracenia, rodzaj karni — każdy szczegół się zgadzał.

Wszystko tedy wskazywało, iż owym mieszkańcem Transtevere był bandyta Luigi Vampa we własnej osobie, a mężczyzną w pelerynie — Sindbad Żeglarz, co na swoje filantropijne wyprawy wypuszczał się zarówno do Rzymu, jak i do Porto-Vecchio czy Tunisu.

A czas mijał, było już po dziewiątej i Franz zamierzał właśnie obudzić Alberta, kiedy ku jego zdumieniu Albert wyszedł ze swojego pokoju całkiem już ubrany. Karnawał zabił mu ćwieka w głowę — młody hrabia wstał wcześniej, niżby Franz się spodziewał.

— Kochany panie Pastrini — zwrócił się Franz do gospodarza — czy sądzisz, że moglibyśmy, skoro obaj jesteśmy już gotowi, złożyć teraz wizytę hrabiemu de Monte Christo?

— Oczywiście! Hrabia Monte Christo to ranny ptaszek; ręczę, że już od dwóch godzin jest na nogach.

— A nie popełnimy nietaktu, zjawiwszy się u niego o tej porze?

— Bynajmniej.

— W takim razie, Albercie, jeżeliś gotów...

— Ależ najzupełniej.

— No to chodźmy podziękować sąsiadowi za grzeczność.

— Chodźmy, chodźmy.

Hotelarz wyprzedził młodzieńców i zadzwonił do drzwi; lokaj otworzył.

— I signori Francesi — oznajmił Pastrini.

Służący skłonił się i zaprosił gestem do wejścia.

Przyjaciele minęli dwa pokoje umeblowane z takim przepychem, jakiego nie spodziewali się znaleźć w tym hoteliku, i weszli do wykwińskiego salonu.

Posadzkę wyścielał kobierzec turecki, zbyt wysokie meble kusity miękkością poduszek i wygodnymi oparciami. Wspaniałe obrazy wielkich mistrzów, trofea, przebogata broń zdobiły ściany, gobelinowe portiere falowały u drzwi.

— Ekscelecje zechcą spocząć — ozwał się służący. — Zaraz uwiadomię pana hrabiego.

I znikł za drzwiami.

Kiedy drzwi uchyliły się na moment, dźwięki guzli dobiegły uszu przyjaciół, ale też i natychmiast ucichły; drzwi otwarte i niemal w tej samej chwili zamknięte wpuściły, rzekłbyś, do salonu jak gdyby wiew melodii.

Franz i Albert spojrzeli na siebie, ogarnęli wzrokiem meble, broń, obrazy.

Wszystko to, oglądane szczegółowiej, wydało się jeszcze wspanialsze.

— I cóż powiesz? — zagadnął Franz przyjaciela.

— Na honor, nasz sąsiad musi być chyba maklerem giełdowym, spekulującym na zniżce akcji hiszpańskich, albo jakimś księciem podróżującym incognito.

— Psst! — ostrzegł go Franz. — Zaraz się o tym przekonamy, bo oto i on. Przyjaciele usłyszeli, jak skrzypnęły drzwi — portiera zafalowała, do salonu

wszedł właściciel tych bogactw.

Albert pośpieszył mu naprzeciw, a Franz jakby wrósł w ziemię.

Ten, kto wszedł właśnie, był mężczyzną w pelerynie napotkanym w Koloseum, nieznanym z łoży i tajemniczym panem na Monte Christo.

Wybaczcież mi, panowie — powiedział wchodząc hrabia de Monte Christo — żem pozwolił się ubiec; zjawiłbym się wcześniej u panów, gdybym nie bał się narzucać. Wreszcie obiecaliście panowie mnie odwiedzić, tedy czekałem na was.

— Franz i ja winniśmy panu stokrotne dzięki — odrzekł Albert. — Wybawił nas pan z wielkiego kłopotu, bo kiedyśmy otrzymali pańskie miłe zaproszenie, wynajdywaliśmy akurat najbardziej fantastyczne pojazdy.

— Ech, proszę panów — odparł Monte Christo, zachęcając młodzieńców, by siedli na otomanie — to przez tego durnia Pastriniego, który nic nie wspominał mi o waszym zmartwieniu; bo ja, żyjąc tu w samotności i pustce, szukałem tylko pretekstu, by zaznajomić się z moimi sąsiadami; tak, on to jedynie zawinił, żem nie pośpieszył wcześniej z pomocą. Kiedy zaś dowiedziałem się, że mogę się okazać panom użyteczny, widzieliście sami, jak skwapliwie skorzystałem z okazji, żeby wam złożyć uszanowanie.

Młodzieńcy skłonili się.

Franz nie wykrztusił dotąd ani słowa, a i nie powziął jeszcze żadnej decyzji: hrabia nie zdradzał niczym, że przypomina sobie Franza, ani też nie objawiał najlżejszej chęci, aby młodzieniec sam mu się przypomniął; Franz nie wiedział tedy, czy ma natracić bodaj słowem o minionych wypadkach, czy też grać na zwłokę: czas przecież dostarczy mu nowych dowodów.

Pewien skądinąd, że widział hrabiego wczoraj w łoży, nie mógł twierdzić z taką samą pewnością, iż owym nieznanym spotkanym onegdaj w Koloseum był właśnie Monte Christo.

Postanowił więc zostawić sprawę własnemu losowi, w niczym nie nagabując bezpośrednio hrabiego.

A zresztą górował nad nim, znając jego sekret — hrabia zaś, przeciwnie, był wobec Franza bezsilny, gdyż młodzieniec nie miał nic do ukrycia.

Jednakże postanowił tymczasem tak pokierować rozmową, by w ten czy inny sposób wyjaśniła mu ona niektóre wątpliwości.

— Panie hrabio — ozwał się — byleś łaskaw zaprosić nas do swojego powozu i ofiarować nam miejsca w oknie pałacu Rospolich; nie zechciałbyś pan poinformować nas jeszcze, jak można by się dostać na plac del Popolo?

— A, prawda! — odpowiedział hrabia z roztargnieniem, wpatrując się w Alberta z niesłabnącą uwagą. — To chyba dziś ma się odbyć na placu del Popolo jakaś egzekucja...

— Tak — rzekł Franz dostrzegłszy, że hrabia sam zmierza tam, dokąd chciał go zaprowadzić.

— Chwileczkę, chwileczkę, zdaje mi się, żem kazał wczoraj intendentowi zająć się tym; kto wie, czy nie będę mógł wyświadczyć panom tej drobnej przysługi.

I sięgnął po sznur od dzwonka, który pociągnął trzy razy.

— Czy pan się kiedy interesował — zwrócił się do Franza — jak należy rozkładać czas i jakich zażywać sposobów, aby służba nie kręciła się bez ustanku? Bo ja przestudiowałem tę sprawę. Jednym dzwonkiem wzywam lokaja, dwoma — kamerdynera, a trzema — intendenta. Dzięki temu nie marnuję słów i nie tracę ani minuty. Proszę, ot i pan intendent.

Zjawił się jegomość, liczący sobie pod pięćdziesiątkę, podobny kubek w kubek do przemysłownika, który wprowadził Franza do grotty; niczym jednak nie okazał, by przypominał sobie Franza.

Franz przekonał się więc, że hrabia wydał odpowiednie rozkazy.

— Panie Bertuccio — ozwał się hrabia — czy wynająłeś, jak ci wczoraj zleciłem, okna na placu del Popolo?

— Tak, ekscelencjo — odpowiedział intendent. — Ale było już późno...

— Jak to? — rzekł hrabia marszcząc brew. — Czyż nie zapowiedziałem ci, że pragnę je mieć?

— I stało się zadość życzeniu ekscelencji. Zdobyłem okno wynajęte już uprzednio dla księcia Łobaniewa. Ale musiałem za nie zapłacić sto...

— Ależ zlituj się pan, oszczędź nam tych szczegółów; zarezerwowałeś okno, a więc zrobiłeś, co trzeba. Podaj pan tylko adres stangretowi i czekaj na nas na schodach, by nas tam odwieźć. To wszystko, możesz pan odejść.

Intendent skłonił się i cofnął o krok.

— Aha, spytaj pan z łaski swojej Pastriniego — zatrzymał go hrabia — czy dostał już tavolettę i czy mógłby przysłać mi program egzekucji.

— To zbytuczne — ozwał się Franz, wyjmując notatnik z kieszeni. — Rzuciłem rano okiem na te tabliczki i zapisałem sobie ich treść.

— W takim razie możesz pan zostawić nas samych, mój Bertuccio, nie będę cię już potrzebował. Proszę nas tylko uprzedzić, gdy śniadanie będzie na stole. Panowie — zwrócił się do młodzieńców — nie odmówią mi zaszczytu i zjedzą ze mną śniadanie, prawda?

— Ależ, panie hrabio, nie chcielibyśmy nadużywać uprzejmości... — rzekł Albert.

— Cóż znowu! Przeciwnie, zrobicie mi panowie wielką przyjemność, a kto wie, czy któryś z panów, a może nawet obaj nie ugościcie mnie kiedyś w Paryżu. Mój Bertuccio, każ podać nakrycia.

Wziął od Franza notatnik.

— Rzekło się tedy — powiedział takim tonem, jakby czytał „Ogłoszenia drobne” — że „we wtorek, dwudziestego drugiego lutego, zostaną straceni dwaj przestępcy: niejaki Andrea Rondolo, winny morderstwa popełnionego na osobie czcigodnego i szanownego don Cezara Torloni, kanonika kościoła Świętego Jana Laterańskiego, oraz niejaki Peppino, zwany Rocca Priori, winny współdziałania ze znenawidzonym Luigim Vampą i jego bandą...”

— Hm... — „Pierwszy będzie mazzolato, drugi decapitato”, Istotnie — mówił hrabia — rzecz się tak miała z początku odbyć, ale zdaje mi się, że wprowadzono niejaki zmiany.

— No, no! — zdziwił się Franz.

— Tak. Byłem wczoraj wieczorem u kardynała Rospogliosi; otóż mówiono tam, że podobno jednemu ze skazańców mają odłożyć egzekucję.

— Andrei Rondolo? — spytał Franz.

— Nie... — odparł niedbale hrabia — Temu drugiemu... (tu spojrzął w notatnik, chcąc jakby przypomnieć sobie jego nazwisko). — To Peppino, zwany Rocca Priori. Tym sposobem nie zobaczycie panowie ścięcia, a tylko mazzolatę, torturę nader ciekawą, jeśli ogląda się ją po raz pierwszy, a nawet i drugi; bo ścięcie, a na pewno widzieliście je, moi panowie, to rzecz nieskomplikowana i prosta; nie ma tu żadnych niespodzianek. Mandaia nigdy się nie pomyli, nie zadrży i nie chybi, nie gotuje się do ciosu ze trzydzieści razy, jak ów żołnierz, który ścinał hrabiego de Chalais, a zresztą, kto wie, czy kardynał de Richelieu nie polecił mu wtedy specjalnie delikwenta. E, moi panowie — dorzucił wzgardliwie hrabia — nie wspominajcie mi nawet o Europejczykach jako wynalazcach tortur: nic się oni na tym nie rozumieją — okrucieństwo jest u nich w powijkach, a raczej zdzieciniało na starość.

— Ależ, panie hrabio — ozwał się Franz — można by sądzić, że przeprowadziłeś pan wśród narodów całego świata badania porównawcze nad rodzajami tortur.

— Niewiele istnieje tortur, których bym nie oglądał — odparł zimno hrabia.

— Czyżby te okropne widowiska sprawiały panu przyjemność?

— Z początku brała mnie odraza, później zobojętniałem, a w końcu jęły mnie one ciekawić.

— Ciekawić?! Strasznie to brzmi, panie hrabio.

— A czemu? Tylko śmierć budzi w człowieku naprawdę głębokie zainteresowanie; czyż więc to nie ciekawe poznać owe rozmaite sposoby, w jakie dusza rozstaje się z ciałem? Badać, jak w zależności od charakteru, temperamentu, a nawet i miejscowych obyczajów, jednostka znosi to ostateczne przejście z bytu w niebyt. Co do mnie, ręczę za jedno: im więcej człowiek widzi umierających, tym łatwiej potem sam umiera; tak więc według mnie śmierć może jest torturą, ale nie jest ekspiacją

— Właściwie nie rozumiem pana — odrzekł Franz — prosiłbym więc o bliższe wyjaśnienia, bo nawet nie umiem wyrazić, jak dalece zainteresowały mnie pańskie słowa.

— Posłuchaj pan — odparł hrabia, a oblicze jego zabarwiło się żółcią, jak innym niekiedy krew barwi policzki. — Gdyby pański ojciec, matka albo kochanka, słowem, jedna z owych istot, co wydarte nagle z serca pozostawiają w nim wieczystą pustkę i nieustannie krwawiącą ranę, zginęła z cudzej winy wśród niewypowiedzianych męczarni i nie kończących się cierpień, czy uznałbyś pan za wystarczające owo zadośćuczynienie, jakie wyznacza w takich razach społeczność? Czy zadowoliliby pana, żeby ten, kto skazał cię na długie lata cierpień moralnych, odczuł przez krótką chwilę ból fizyczny, kiedy to nóż gilotyiny zagłębia się między podstawę czaszki a mięśnie barków?

— Tak, wiem — odpowiedział Franz — że sprawiedliwość ludzka pocieszyć nie umie, a za przelaną krew odpłaca się li tylko krwią. Ale nie żądajmy od sędziów nic ponad to, co nam dać mogą.

— Zresztą podałem panu jedynie przykład materialny — mówił dalej hrabia taki, kiedy społeczeństwo zagrożone u podstaw śmiercią jednostki, bo na jednostce się wspiera, mści się śmiercią za śmierć; ale czyż nie istnieją tysiące cierpień zdolnych wypruć człowiekowi trzewia, a nie obchodzących bynajmniej społeczności, która nie kwapi się tutaj, z taką mierną zemstą, jak przed chwilą wspomniana? Czyż nic istnieją zbrodnie, wobec których wbijanie na pal. tortury znane Persom, bykowiec Irokezów, wydają się zbyt łagodne? Zbrodnie te uchodzą bezkarnie, bo społeczeństwo spogląda na nie obojętnym okiem! Powiedz pan sam, czy nie ma takich zbrodni?

— Są — zgodził się Franz — i dlatego toleruje się pojedynki, bo zastępują one w takich wypadkach karę.

— Ach, pojedynek — zachnął się hrabia — śmieszny to dalibóg, środek, skoro celem jest zemsta! Ktoś porzywa ci kochankę, uwodzi żonę, zniesławia córkę, z całego życia, w którym miałeś prawo czekać na swój udział szczęścia, gdyż Bóg obiecał je każdej istocie, kiedy ją stwarzał, ktoś uczynił pasmo cierpienia, nędzy i niesławy, a ty uważasz się za pomśczonego, boś owemu łotrowi, co skaził ci umysł szaleństwem a serce rozpaczą, zatopił w pierś szpadę albo wpakował kulę w łeb? Dajże pan pokój! Nie mówiąc o tym, że to on zwykle zwycięża, obmyty z win w oczach świata, rozgrzeszony niejako przez Boga. O, nie, nie — ciągnął hrabia — gdyby mi przyszło mścić się, mściłbym się w zgoła inny sposób.

— Potępiasz pan tedy pojedynki? Nie biłbyś się pan w żadnym wypadku? — spytał Albert, zdumiony tymi niezwykłymi wywodami.

— Ależ oczywiście! — zawołał hrabia. — Zrozumcież mnie, panowie: biłbym się dla jakiegoś głupstwa, zniewagi, gdyby mi kto zadał kłam albo mnie spoliczkował, biłbym się tym bardziej lekceważąc sobie przeciwnika, że zaprawiony we wszelkich ćwiczeniach cielesnych i z dawna nawykły do niebezpieczeństw, byłbym niemal pewien, że go zabiję. Ach, przecież to jasne, że biłbym się dla wymienionych powodów, ale w zamian za ból przewlekły, nieustanny, głęboki, wypłaciłbym, gdybym tylko zdołał, bólem takim, jaki mi zadano: oko za oko, ząb za ząb, jak mówią ludzie Wschodu, nasi niedoścignieni mistrze, wybrani spośród wybranych, którzy potrafili utkać sobie życie ze snu, a świat ich otaczający zamienić w raj.

— Tylko że — odparł Franz — hołdując takiej teorii, która w pańskim przypadku czyni pana i sędzią, i katem, trudno ci zachować umiar tam, gdzie wymykasz się ustawicznie prawu. Nienawiść zaślepia, gniew ogłusza, a ten, kto pragnie zaspokoić żądzę zemsty, może przypadkiem napić się goryczy.

— Tak, jeśli jest biedny, nieporadny; nie, jeśli jest milionerem i człowiekiem zręcznym. Wreszcie, najgorsza rzecz, jaka może go spotkać, to jedna z kar, o których mówiliśmy przed chwilą, tortur, jakimi filantropijna rewolucja francuska zastąpiła łamanie kołem i ćwiartowanie. I cóż dlań będzie znaczyć owa tortura, jeśli jest pomśczonego? Doprawdy, żałuję niemal, że ten nieszczęsny Peppino nie będzie chyba decapitało, jak się tu mówi: zobaczylibyście, panowie, ile czasu to trwa i czy warto gadać o tym. Ale, na honor, dziwną rozmowę prowadzimy, jak na pierwszy dzień karnawału. Skąd ona się wzięła? A tak, tak, prosiliście o miejsce przy moim oknie. Zgoda, dostaniecie je, ale zjedzmy najpierw śniadanie, bo już podano do stołu.

Rzeczywiście lokaj otworzył drzwi salonu i wyrzekł sakramentalne słowa:

— Al suo commodo!

Młodzieńcy wstali i przeszli do jadalni.

W czasie śniadania, znakomitego i podanego z wyszukanymprepychem, Franz nie spuszczał wzroku z Alberta, chcąc wyczytać, jakie wrażenie wywarły na nim — czego był pewien — słowa gospodarza; ale czy to ze zwykłą sobie lekkomyślnością Albert nie zwracał na te spojrzenia uwagi, czy ustępstwo hrabiego dotyczące pojedynków zjednało Alberta, czy wreszcie wypadki wcześniejsze, a znane tylko Franzowi, spotęgowały to wrażenie — dość iż Albert nie wydał się przyjacielowi wstrząśnięty tym, co usłyszał: przeciwnie, jako człowiek skazany od paru miesięcy na kuchnię włoską, to znaczy najpaskudniejszą pod słońcem, jadł aż mu się uszy trzęsły.

Hrabia skosztował zaledwie kilku potraw — rzekłbyś, siadł do stołu jedynie przez grzeczność wobec zaproszonych i zaraz po ich odejściu zawołał o jakieś osobliwe specjały.

Franz przypomniał sobie mimo woli lęk, jaki hrabia de Monte Christo wzbudził w hrabinie G..., jej przekonanie, że człowiek w łoży naprzeciw jest wampirem.

Pod koniec śniadania Franz spojrzął na zegarek.

— Cóż to, spieszycie się panowie? — zagadnął hrabia.

— Niech nam hrabia daruje... ale mamy jeszcze tyle pilnych spraw...

— A jakich to?

— Nie zdobyliśmy jeszcze kostiumów, a kostium obowiązuje dziś każdego.

— Nie kłopotz się pan o to. O ile wiem, najęto dla mnie pokój na placu del Popolo. Każę tam zanieść kostiumy, jakie panowie sobie wybiorą, i przebierzemy się na miejscu.

— Zaraz po egzekucji? — zdziwił się Franz.

— Naturalnie, po egzekucji albo w jej czasie, a może przed, jak zechcecie.

— Tam, naprzeciw szafotu?

— Egzekucja należy do punktów programu.

— Hm, panie hrabio, otóż i rozmyśliłem się. Serdecznie dziękuję za tyle uczynności, z wdzięcznością przyjmę miejsce w pańskim powozie, fotele przy oknie w pałacu Rospolich, ale stanowczo rezygnuję z miejsca w oknie na placu del Popolo.

— Uprzedzam pana, że stracisz tym sposobem widowisko naprawdę ciekawe — odrzekł hrabia.

— Opowie mi pan o tym później, a jestem przekonany, że opowieść taka usłyszana z pańskich ust wstrząśnie mną tak samo jak egzekucja. Zresztą niejedyn już raz próbowałem się przemóc, ale nigdy nie mogłem się zdecydować na takie widowisko. A ty, Albercie?

— Widziałem stracenie Castainga — odparł wicehrabia — alem był akurat nieco ululany, tego bowiem dnia rozstałem się z gimnazjum i spędziłem całą noc nie pomnę już w jakiej knajpie.

— Ominęło to pana w Paryżu, ale czemuż nie miałbyś sobie powetować tej straty w Rzymie? Podróżujemy dla nauki, aby zobaczyć to i owo. Pomyśl, jaką pan będziesz miał minę, jeśli zapytany: „Jak się odbywa egzekucja w Rzymie?” — będziesz musiał odpowiedzieć: „Nie wiem”. Nie mówiąc o tym, że skazaniec to podobno łotr nad łotry: hulłaj zatłukł na śmierć wilkiem od kominka jednego zacnego kanonika, który opiekował się nim jak synem. Do diabła! Kto zamierza zgładzić duchownego, wybiera zwykle inny rodzaj broni, zwłaszcza gdy ów duchowny jest może jego rodzonym ojcem! Gdybyś pan wojażował po Hiszpanii, poszedłbyś pan na walkę byków, nieprawdaż? A więc wyobraź pan sobie, że wybieramy się na coś podobnego: przypomnij sobie starożytnych Rzymian i cyrk, wspomnij igrzyska, na których zabijano trzysta lwów i ze stu ludzi. Wspomnij pan ową osiemdziesiątosięciową rzeszę bijącą brawo; owe dostojne matrony, które wiodły tam swoje córki na wydaniu; owe białorękie westalki, co wdzięcznym gestem dłoni wyrażały taką oto myśl: „Nie leńciez się, proszę, skończcie wreszcie z tym człowiekiem, w którym wciąż jeszcze tli się iskra życia!”

— No i jak, Albercie, pójdziesz? — spytał Franz.

— Tak, na honor! Wahalem się, ale pan hrabia mnie przekonał.

— Chodźmy więc, skoro sobie tego życzysz — rzekł Franz. — Ale chciałbym wstąpić po drodze na ulicę del Corso. Czy to możliwe, panie hrabio?

— Powozem — wykluczone, ale pieszo tak.

— Ha, to pójde pieszo.

— Czy koniecznie musisz pan tam zajść?

— Tak. Muszę tam coś obejrzeć.

— Dobrze, pójdziemy tamtędy. Każemy stangretowi pojechać przez strada del Babuino na piazza del Popolo i tam zaczekać. Sam zresztą chętnie tam wstąpię, żeby zobaczyć, czy spełniono ściśle moje rozkazy.

— Ekscelencjo — rzekł służący otwierając drzwi — jakiś pokutnik pragnąłby mówić z jaśnie panem.

— Tak, tak, wiem, czego chce? Raczcie panowie, przejść do salonu... znajdziecie tam na stole doskonałe cygara hawańskie. Wróć za moment.

Młodzieńcy wstali i wyszli jednymi drzwiami, a hrabia, przeprosiwszy raz jeszcze, znikł za drugimi.

Albert, wielki amator cygar, a zwłaszcza tych, które podawano w Cafe de Paris, uważał sobie za niemąłą krzywdę brak ich we Włoszech — krzyknął więc z radości, ujrawszy na stole oryginalne puros.

— I cóż byś sądził o panu Monte Christo? — zagadnął Franz.

— Co bym sądził? — powtórzył Albert, wyraźnie tym pytaniem zdziwiony. — Przemiły człowiek i czarujący gospodarz. Wiele zapewne widział, mnóstwo wie, a niejedną kwestię przemyślał do głębi: zaliczam go, jak i Brutusa, do szkoły stoików, a prócz tego — dorzucił, puszczając z lubością kłęby dymu, co wzbijały się spiralami aż pod sufit — ma doskonałe cygara.

Taki był pogląd Alberta. Ponieważ zaś Franz wiedział, że Albert szczyci się tym, iż jego sąd o ludziach i rzeczach jest wynikiem głębokich refleksji, nie starał się tedy zmienić jego opinii.

— A czy nic cię nie uderzyło w jego zachowaniu?

— No, cóż takiego na przykład?

— Przypatrywał ci się nadzwyczaj uważnie.

— Mnie?

— Tak. Tobie. Albert zamyślił się.

— Ach!... — westchnął po chwili — to nic dziwnego. Minął już rok, jakem wyjechał z Paryża, to i ubrania ntam niemodne. Bierze mnie tedy za parafianina; wyprowadź go z błędu, mój drogi; powiedz mu przy pierwszej okazji, błagam cię o to, że jest inaczej.

Franz uśmiechnął się tylko; po chwili wszedł hrabia.

— Gotów już jestem panom towarzyszyć, bo wydałem wszystkie polecenia; powóz wyruszy na plac del Popolo swoją drogą, a my podążymy tam, jak panowie sobie życzyacie, ulicą del Corso. Niechże pan weźmie trochę tych cygar, drogi hrabio.

— Z rozkoszą, bo włoskie cygara są chyba jeszcze gorsze od naszych monopolowych. Wywdzięczę się za to wszystko w Paryżu, skoroś obiecał pan do nas zawitać.

— Ach, naturalnie, naturalnie, wybiorę się do Paryża i korzystając z pańskiej wielkiej uprzejmości, zastukam i do twoich drzwi. Ale chodźmy już, panowie, chodźmy; już pół do pierwszej, czas nagli.

I wyszli we trzech.

Stangret, wysłuchawszy ostatnich poleceń swojego pana, skierował się przez via del Babuino. Trzej panowie podążyli ku Placowi Hiszpańskiemu, skręciwszy zaś w via Frattina, wyszli wprost na pałac Rospolich.

Franz chłonał wzrokiem okna tego pałacu, pamiętając znak umówiony między jegomościem w pelerynie a mieszkańcem Transtevere.

— Któreż to pańskie okna? — zagadnął hrabiego tonem najbardziej naturalnym, na jaki umiał się zdobyć.

— Ostatnie trzy — odpowiedział niedbale Monte Christo, a nie było w tym żadnej sztuczności, gdyż nie mógł domyślać się, czemu Franz pyta.

Franz ogarnął szybko wzrokiem trzy wskazane okna.

Boczne były wybite żółtym adamaszkiem, środkowe — białym, na którego tle czerwienił się krzyż.

Mężczyzna w pelerynie dotrzymał słowa danego mieszkańcowi Transtevere, owym zaś mężczyzną był niewątpliwie hrabia Monte Christo.

Trzy okna były jeszcze puste. Wokół panowała gorączkowa krzątanina; ustawiano krzesła, wznoszono rusztowanie, przystrajano okna.

Dopiero na dźwięk dzwonów maski miały wylegnać na ulice, ekwipaże zaturkotać po bruku — ale domyśliłbyś się łatwo, że wiele masek kryje się już za oknami, a pojazdy czekają w bramach.

Franz, Albert i hrabia podążali wciąż ulicą del Corso.

Tłum gęstniał, w miarę jak zbliżali się do placu del Popolo. Nad ludzkimi głowami wznosił się pośrodku placu obelisk zakończony krzyżem, przed nim zaś, akurat tam, gdzie schodziły się w perspektywie ulice del Babuino, del Corso i di Ripetta, widniały dwie najwyższe belki szafotu, między którymi lśniło żelazo kształtu półksiężyca: mandaia.

Na rogu ulicy spotkali intendenta hrabiego, który czekał tutaj na pana.

Okno najęte za cenę tak wysoką, że hrabia nie chciał jej wyjawić swoim gościom, było na drugim piętrze olbrzymiego pałacu wznoszącego się między ulicą Babuino a Monte Pincio.

Pomieszczenie składało się, jak mówiliśmy, z alkowy przylegającej do sypialni.

Kto zamknął drzwi sypialni, czuł się w alce jak u siebie w domu. Na krzesłach leżały już kostiumy pajaców: biało-niebieskie, atłasowe.

— Zostawiliście mi, panowie, swobodę wyboru kostiumów — ozwał się hrabia — takie więc kazałem dla was przygotować. Przede wszystkim bardzo modne, a następnie praktyczne przy confetti, bo się nie ubielicie .

Franz, ledwie dosłyszawszy słowa hrabiego, nie ocenił chyba należycie tego nowego dowodu uprzejmości — całą bowiem uwagę młodzieńca przyciągał w tej chwili plac del Popolo i straszliwe narzędzie, które w tych wczesnych godzinach stanowiło główną jego atrakcję.

Bo też oglądał gilotynę pierwszy raz w życiu. Powiadam: gilotynę, gdyż mandaia rzymska nie różni się właściwie konstrukcją od naszego narzędzia śmierci. Nóż kształtu księżyca tnie stroną wypukłą i tylko spada z mniejszej wysokości .

Dwaj ludzie, siadłszy na ruchomej desce przeznaczonej dla delikwenta, jedli tymczasem śniadanie, złożone, o ile Franz zdołał dostrzec, z chleba i kiełbasy. Jeden z nich podniósł deskę i wydobyl spod niej flaszkę wina, a pociągnawszy z niej raz i drugi, dał towarzyszowi — byli to dwaj katowscy pachołkowie.

Na widok ów czoło Franza pokryło się kropelkami potu.

Skazańcy, przewiezieni poprzedniego wieczora z Carceri Nuove do kościołka Santa Maria del Popolo, spędzili noc, mając przy sobie po dwóch księży, w kaplicy przedpogrzebowej o drzwiach okratowanych, za którymi przechadzali się dozorczy, zmieniający się co godzinę.

Szpaler karabinierów wiódł od drzwi kościoła aż do rusztowania, tworząc przejście szerokie na stóp mniej więcej dziesięć, dalej zaś otaczał szafot kręgiem, którego obwód wynosił ze sto kroków.

Plac był jakby wybrukowany głowami ludzkimi.

Wiele kobiet posadziło sobie dzieci na ramionach.

Owe dzieci miały wymarzone miejsca — górując nad tłumem.

Monte Pincio przypominała szeroki amfiteatr z widzami stłoczonymi na stopniach.

Krużganki dwóch kościołów znajdujących się na rogach ulic del Babuino i di Ripetta pękały pod naporem uprzywilejowanych gapiów, stopnie zaś okrywała niby ruchliwa pstrokata fala, którą ustawiczny przyływ spychał wciąż ku furtom kościelnym.

Najmniejszy występ muru, gdzie człowiek mógłby postawić stopę, był postumentem żywego pomnika.

Hrabia nie mylił się tedy: najciekawszą rzeczą w życiu jest widok czyjejs śmierci.

A zamiast ciszy, której chwila tak uroczyście zdawała się wymagać, panował wszędzie gwar, wybuchy śmiechu, radosne okrzyki i nawoływania wzbijały się nad tłumem.

Egzekucja była dla tłumu — jak słusznie zauważył hrabia — tylko początkiem uciech karnawałowych.

Nagle, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wrzawa ucichła niespodzianie — otwarto się drzwi kościoła.

Ukazało się bractwo pokutników odzianych od stóp do głów w szare worki, z otworami na oczy. Pokutnicy nieśli płonące gromnice, na czele kroczył przełożony bractwa.

Za pokutnikami szedł wysoki mężczyzna.

Był prawie nagi, miał na sobie tylko kuse pluderki płócienne; z lewego biodra zwisał mu wielki nóż ukryty w pochwie, na prawym ramieniu dźwigał ciężką żelazną maczugę.

Był to kat.

Na nogach miał sandały przytwierdzone rzemykami krzyżującymi się powyżej kostek.

Tuż za katem postępował Peppino, a za nim Andrea — w takim bowiem porządku mieli być straceni.

Towarzyszyli im czterej księża: każdemu po dwóch.

Delikwenci nie mieli opasek na oczach.

Peppino szedł krokiem dość pewnym, uprzedzony może, iż kamraci czuwają.

Andreę za to dwaj księża wiedli pod ręce.

Skazańcy całowali od czasu do czasu krzyż, który podawał im spowiednik.

Na sam ten widok pod Franzem ugięły się nogi — spojrzął na Alberta.

Biały jak własna koszula cisnął precz, machinalnie, cygaro, choć wypalił je tylko do połowy.

Jedynie hrabia wcale zimnej krwi nie tracił.

Mało: leciutki rumieniec zdawał się przebijać przez sinawą bladość jego policzków.

Nozdrza rozdymały mu się jak u dzikiego zwierza węszącego krew, a w rozchylonych wargach lśły zęby białe, drobne i ostre jak u szakala.

A przy tym wszystkim w twarzy jego czaił się łagodny uśmiech, jakiego Franz nigdy jeszcze u Monte Christa nie widział — osobiście zaś oko czarne, aksamitne, ujmowało dobrocią.

A tymczasem, w miarę jak skazańcy zbliżali się do szafotu, łatwiej było dojrzeć ich rysy.

Peppino był młody i urodziwy, miał ze dwadzieścia pięć lat. Urok ogorzałego lica podkreślało śmiało i jakby nieco dzikie spojrzenie pięknych oczu.

Szedł wyprostowany, zadzierając dumnie głowę i węsząc jakby, z której strony pojawi się ratunek.

Andrea był tęgi i przysadzisty — z twarzy jego, zdradzającej podłe okrucieństwo, nie wyczytałbyś wieku; musiał mieć jednak około trzydziestki.

W więzieniu zapuścił brodę.

Głowa zwisała mu na ramię, plątały się nogi — poruszał się, rzekłbyś, jak automat, niezależnie od nakazów woli, która nie miała już nad nim żadnej mocy.

— Zdaje się — rzekł Franz do hrabiego — że wspomniał pan o jednej tylko egzekucji.

— Tak, i powiedziałem panu prawdę — odparł zimno hrabia.

— A przecież widzę dwóch delikwentów...

— Owszem, tylko że jednego z nich czeka rychła śmierć, a drugi długo jeszcze pożyje.

— Jeśli mają go ułaskawić, to chyba już czas najwyższy.

— Spójrz pan — odpowiedział hrabia.

Rzeczywiście, kiedy Peppino stanął u stóp mandai, pokutnik jakiś, niby spóźniony, przedarł się przez szpaler żołnierzy, nie próbujących go zresztą zatrzymać, i podał najstarszemu z bractwa papier złożony we czworo.

Płomienne oko Peppina chwyciło każdy szczegół. Przełożony bractwa rozłożył pismo, a przeczytawszy je wznosił rękę.

— Chwała Panu nad Pany, chwała Jego Świątobliwości! — zawołał. — Jeden ze skazańców został ułaskawiony!

— Ułaskawiony! — zakrzyknął lud. — Ułaskawiony!

Na dźwięk tego słowa Andrea szarpnął się gwałtownie i podniósł głowę.

— Ułaskawiony! — zawołał. — Kto? Peppino stał nieruchomo i milczał dysząc ciężko.

— Darowano życie niejakiemu Peppino, zwanemu Rocca Priori — oznajmił przełożony bractwa pokutników.

I podał pismo kapitanowi karabinierów, który odczytał je i zwrócił przełożonemu bractwa.

— Ułaskawiono Peppina! — wrzasnął Andrea, ocknąwszy się całkiem z odrętwienia. — Czemuż to jego, a nie mnie? Mieliliśmy umrzeć obaj: obiecano mi, że on zginie pierwszy. Nie macie prawa zabić tylko mnie! Nie chcę sam umierać, nie chcę!

Wrzeszcząc, klnąc i szamocąc się jak wariat, wyrwał się księżom i próbował zrzucić pęta, którymi skrupowano mu ręce.

Kat skinął na dwóch swoich pachołków: zeskoczywszy z rusztowania pochwycili skazańca.

— Co mu się stało? — zagadnął Franz hrabiego.

Nie pojął tej sceny, gdyż mówiono rzymskim dialektem, niezbyt dlań zrozumiałym.

— Nie pojmuje pan? Owóż to indywiduum mające za chwilę umrzeć wścieka się, że jego bliźni nie zginie z nim razem, i gdyby mogło, rozszarpałoby go na sztuki. Sam będzie pozbawiony życia, nie chce więc dopuścić, żeby cieszył się nim kto inny. O ludzie, ludzie, jaszczurcze plemię, jak zowie was Karol Moor! — zawołał hrabia, grożąc pięścią tłumowi. — Z jakąż łatwością was tu poznaję. Zawszeście siebie godni!

Bo i rzeczywiście Andrea i dwóch katowskich pachołków tarzało się wśród tumanów kurzu. Skazaniec krzyczał bez ustanku:

— On musi umrzeć! Ja chcę, żeby umarł! Nie macie prawa zabić tylko mnie!

— Przypatrzcie się, panowie, przypatrzcie — mówił hrabia, ująwszy ich za ręce — przyjrzyjcie się dobrze, bo klnę się duszą, rzecz jest ciekawa: oto człowiek, co poddawszy się już losowi, szedł spokojnie na szafot i umarłby, co prawda tchórzliwie, ale nie protestując i nie skarżąc się. Czy wiecie, panowie, skąd czerpał siły, co było mu pociechą i dlaczego tak cierpliwie znosił kaźń? Stąd, że towarzysza jego dręczyła boleść taka sama; że towarzysz ów miał umrzeć jak i on; że miał umrzeć wcześniej od niego! Zaprowadźcie do rzeźni dwa barany albo dwa woły, sprawcie, by jedno zwierzę pojęło, iż drugie ocaleje: baran zabeczy wtedy z radości, a wół zaryczy. Ale człowiek, którego Bóg stworzył na obraz i podobieństwo swoje, człowiek, co z bożego nakazu ma poczytywać sobie miłość bliźniego za pierwszy, jedyny i najświętszy obowiązek, człowiek, którego Bóg obdarzył mową, by mógł wyrażać myśli swoje — cóż ów człowiek uczyni, dowiedziawszy się, że jego towarzysz ocalał? Przeklnie go. Chwała człowiekowi, najwspanialszemu dziełu natury, chwała władcy stworzenia!

I hrabia wybuchnął śmiechem, a śmiech ten okrutny świadczył, że widać jakieś straszliwe cierpienia nauczyły go śmiać się w ten sposób.

Walka wciąż trwała, a był to widok okropny.

Pachołcy wlekli Andreę na rusztowanie. Wszyscy opowiedzieli się przeciw delikwentowi, dwudziestotysięczny tłum wołał zgodnie:

— Na śmierć! Na śmierć!

Franz rzucił się w tył, ale hrabia przytrzymał go za ramię, nie pozwalając mu odejść od okna.

— Cóż to znowu! — spytał. — Czyżby skazaniec budził w panu litość? A toś się pan wybrał! Usłyszawszy na ulicy wołanie: „Wściekły pies! Łapać go!” wziąłeś pan strzelbę, wybiegł z domu i wypalił prosto w ślepią biednemu zwierzęciu, które koniec końców nie zawiniło tak wiele: ugryzione przez innego psa, zwracało tylko to, co otrzymało; a pan tutaj litujesz się nad człowiekiem, który choć nikt go nie ugryzł, zamordował swojego dobroczyńcę, a teraz, nie mogąc nadal zabijać, bo skrępowano mu ręce, dąży wszelkimi siłami do tego, by ujrzeć śmierć towarzysza niedoli, spotkanego przypadkiem w więzieniu. O nie, nie! Przyjrzyj się pan!

Ale zbyt uczynna była to zachęta.

Franz wpatrywał się jak urzeczony w straszliwe widowisko.

Pachołcy wnieśli skazańca na szafot i tam, mimo jego wysiłków, ukąszeń i krzyków zmusili, by klęknął.

Kat, stanąwszy obok, wznosił maczugę.

Na dany znak pachołcy odsunęli się.

Delikwent usiłował się podnieść, lecz nim to uczynił, kat uderzył go maczugą w lewą skroń.

Rozległo się uderzenie tępe i głuche, skazaniec zwałił się jak wół, zarywwszy twarzą w ziemię, a następnie ostatnim konwulsyjnym ruchem obrócił się na grzbiet.

Wtedy kat, cisnąwszy maczugę, dobył nóż zza pasa i jednym cięciem rozplatał delikwentowi gardło — za czym skoczył mu na brzuch i jął po nim deptać.

Za każdym stąpieniem strumień krwi buchał z szyi zbrodniarza.

Tego już było Franzowi za wiele.

Rzucił się w tył i nieprzytomny padł na fotel.

Albert został przy oknie — ale zamknął oczy i wpił się kurczowo palcami w zasłonę.

Hrabia stał obok niego, triumfujący niczym zły duch.

36. KARNAWAŁ RZYMSKI

Przyszedłszy do siebie, Franz ujrzał, jak Albert pije wodę ze szklanki — bardzo mu to było potrzebne, o czym świadczyła jego bledość; a hrabia tymczasem przywdziewał kostium pajaca.

Ogarnął machinalnie plac okiem.

Wszystko znikło: rusztowanie, kaci, ofiary.

Pozostał tylko tłum — hałaśliwy, mrowiący się, radosny.

Na Monte Citorio rozkołysał się dzwon, który obwieszcza tylko śmierć papieża albo otwarcie mascheraty.

— Co się właściwie stało? — rzekł do hrabiego.

— Nic, absolutnie nic; jak pan widzisz, po prostu karnawał się rozpoczął, ubierajmy się prędko.

— Rzeczywiście, to straszliwe widowisko zostawiło po sobie tyle śladów, co i sen.

— Bo to był tylko sen, przywidział się panu jakiś koszmar.

— Mnie owszem, a delikwentowi?

— Jemu też się śniło, tylko on śpi jeszcze, a pan się zbudziłeś. Nie wiadomo, który z was jest bardziej uprzywilejowany.

— Ale co się stało z Peppinem?

— O, Peppino to chłopak roztropny, pozbawiony jakiegokolwiek miłości własnej: wbrew ludzkim nawykom nie rozjuszył się, że nikt na niego nie zwraca uwagi, przeciwnie, był zachwycony, bo wszyscy zainteresowali się jego towarzyszem; korzystając tedy z ogólnej dystrykcji, wśliznął się w tłum i znikł, nie podziękowawszy nawet wielobnym księżom za towarzysztwo. Stanowczo człek to zwierzę nader niewdzięczne i samolubne... Ale ubierajże się pan. Pan de Morcerf daje ci przykład.

Istotnie, Albert naciągał już kitajkowe szarawary na czarne spodnie i lakierowane buty.

— No i cóż, Albercie — spytał Franz — masz ochotę na szaleństwa? Tylko odpowiadaj bez ogródek.

— Nie. Ale jestem kontent, że widziałem coś takiego, i rozumiem, co mówił pan hrabia: kto zdoła raz oswoić się z takim widowiskiem, nie zazna już chyba później równych mu emocji.

— Nie mówiąc o tym, że tylko w takim momencie można studiować charaktery — powiedział hrabia. — Na pierwszym stopniu rusztowania śmierć zdiera maskę, którą nosiło się całe życie, ukazuje się prawdziwa twarz. Przyznać trzeba, że twarz Andrei była nieszczerólna... Łajdak ohydny!... Ubijajmy się, panowie, ubierajmy!

Franz ośmieszyłby się, okazując nadal wrażliwość kobiecie: trzeba było wziąć przykład z przyjaciół.

Wdział więc kostium i włożył maskę, na pewno w tej chwili nie bielszą niż jego lico.

Kiedy się przebrali — wyszli. Powóz czekał u bramy, pełen confetti i bukietów.

Włączyli się w sznur ekwipaży.

Trudno sobie wyobrazić, jaka na placu nastąpiła przemiana: niebo i ziemia.

Na placu del Popolo, gdzie przed chwilą śmierć dała milczące i posępne widowisko, wrzała teraz hałaśliwa i szalona orgia.

Maski wychodziły tłumnie, waliły ze wszystkich stron, wymykały się drzwiami, wyskakiwały przez okna.

Ze wszystkich ulic wyjeżdżały powozy uginając się od pierrotów, arlekinów, ludzi w dominach, w strojach francuskich, wieśniaczych, groteskowych, ludzi przebranych za transteverczyków i za rycerzy; wszyscy oni krzyczeli, gestykulowali, rzucali jaja wypełnione mąką, confetti i bukiety; zaczepiali słowem i czynem przyjaciół i obojętnych, znajomych i nieznajomych, a nikt nie miał prawa się obrazić — jedynie się śmiać.

Franz i Albert czuli się tak, jakby ktoś pragnąc, aby zapomnieli o gwałtownej zgrzozie, zawiódł ich na orgię; w miarę jak wtedy pijemy i jak się upijamy, gęstnieje zasłona oddzielająca przeszłość od teraźniejszości.

Dostrzegali wciąż jednak, a raczej wciąż czuli w sobie refleks tego, czego byli świadkami.

Ale z wolna ogarnęło ich ogólne upojenie, wydawało im się, że zaraz postradają i tak już chwiejną przytomność.

Ciągnęło ich osobiście do tego zgiełku, ruchu, szaleństwa.

Z powozu sąsiedniego ktoś obrzucił Alberta garścią confetti: kruszynki posypały się na wszystkich trzech, Morcerfowi zaś pokłuły szyję i część twarzy nie osłoniętej maską, jakby ktoś cisnął setką szpileczek. Skłoniło go to, by skoczyć w wir ogólnej walki, do której ruszyły już wszystkie napotkane maski.

Stanąwszy w powozie, jął czerpać pełnymi garściami z worków i z całą zręcznością i siłą, do jakich był zdolny, począł bombardować sąsiadów.

I wywiązała się walka.

Wspomnienie tego, co widzieli przed półgodziną, znikło całkiem sprzed oczu młodzieńców, tak ich pochłonął ów spektakl pstry, niedorzeczny, ruchliwy.

Ale hrabiego Monte Christo nic nigdy nie wzruszało choćby na chwilę, o czym już wiemy.

Wyobraźcie sobie tylko tę piękną i szeroką ulicę Corso, przy której od końca do końca ciągną się cztero- i pięciopiętrowe pałace, o balkonach i oknach udekorowanych na ten dzień dywanami i przepysznie ozdobionych.

W oknach i na balkonach trzysta tysięcy widzów: rzymianie, Włosi z całej Italii i cudzoziemcy przybyli z czterech stron świata; zebrała się tu arystokracja wszelkiego rodzaju: magnaci, nababi, artyści; prześliczne kobiety, nie mogąc oprzeć się czarowi tego widowiska, wychylają się z balkonów i okien i obsypują powozy gradem confetti, za co z ekwipaży rzucają im kwiaty; ciemno prawie od confetti sypiących się na dół — i kwiatów, co wzlatują do góry; ulice zalega tłum radosny, nieprzebrany, szalony, w najdziwniejszych kostiumach: defilują gigantyczne kapusty, łby krowie ryczą na postaciach męskich, psy zdają się spacerować na dwóch łapach.

Wyobraźcie sobie, jak pośród tego wszystkiego, w tym tłumie dziwadła, jakie wymarzyłby sobie Callot malując kuszenie świętego Antoniego, podnosi się maska i ukazuje się precudne lico jakiejś

Astarte — wszyscy rzucają się ku niej, ale na próżno: demony, jakie w snach widzujemy, odpychają adoratorów; ten obraz może dać wam słabe pojęcie, czym jest rzymski karnawał.

Kiedy okrążyli plac po raz wtóry, hrabia zatrzymał powóz, a pożegnawszy towarzyszków nadzwyczaj uprzejmie, zostawił ekwipaż do ich dyspozycji.

Franz spojrział w górę: byli naprzeciw pałacu Rospolich; w oknie środkowym, tym, które zdobił biały adamaszek z czerwonym krzyżem, zobaczył błękitne domino — domyślił się z łatwością, że spowija ono piękną Greczynkę z teatru Argentina.

— Kiedy znudzi się panom rola aktorów — powiedział hrabia wyskakując z powozu — i zechcecie stać się znowu widzami, pamiętajcie, że macie miejsce w moich oknach. A tymczasem dysponujcie moim pojazdem, stangetem i służbą.

Zapomniałem powiedzieć, że stanget hrabiego miał na sobie imponujące futro czarnego niedźwiedzia, takie samo, jakie nosił aktor Odry w „Niedźwiedziu i Paszy”, i że dwaj lokaje uwieszeni z tyłu karocy byli przebrani za zielone małpy: kostiumy te obciskały ich wybornie, maski, zaopatrzone w sprzężyny, wykrzywiały się do przechodniów.

Franz podziękował hrabiemu za tak wielką uprzejmość; Albert zalecał się właśnie do rzymskich wieśniaczków, których pełna karetka zatrzymała się w sznurze powozów — zwykle to w takich razach postoje — tuż obok ekwipażu Monte Christa. Albert bombardował przygodne sąsiadki bukietami.

Na nieszczęście pojazdy znów ruszyły: karetka hrabiego podążyła w stronę placu del Popolo, a powóz, który tak przyciągał uwagę Alberta, zawrócił ku Pałacowi Weneckiemu.

— Toś ty nic nie widział, mój drogi? — zagadnął Franza.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi.

— No, tej kolasy naładowanej rzymskimi wieśniaczkami?

— Nie.

— Jestem pewien, że były tam prześliczne kobiety.

— Jaka szkoda, kochasiu, że jesteś w masce, bo mógłbyś sobie teraz powetować miłosne zawody.

— O, spodziewam się — odpowiedział półzartem — że nim karnawał się skończy, jakoś to sobie wynagrodzę.

Mimo tych nadziei Albertowi nie trafiła się w tym dniu żadna miłosna przygoda: spotkał tylko parę razy ową kolasę wyładowaną rzymskimi wieśniaczkami.

Przy którymś spotkaniu Albertowi zsunęła się maska — nie wiadomo, czy był to przypadek, czy też młodzieniec postarał się o to.

Chwyciwszy ostatni bukiet, wrzucił go do kolasy.

Widać jedna z pięknych, jak domyślał się, kobiet, przebranych zalotnie za wieśniaczki, nie pozostała nieczuła na ów dowód galanterii, kiedy bowiem ekwipaże znów się mijały, rzuciła bukietem fioletów.

Albert pochwycił go czym prędzej.

Franz nie przypuszczając nawet, aby fioletki były dla niego, nie zamierzał spierać się z Albertem o zdobycz.

Albert zatknął zwycięsko kwiaty w butonierkę, a karetka triumfalnie potoczyła się dalej.

— No widzisz — ozwał się Franz — przygoda się zaczęła.

— Możesz kpić do woli, ale ja naprawdę myślę, że tak; dlatego nie rozstanę się z tym bukietem.

— Dalibóg, chyba po nim się rozpoznacie — uśmiechnął się Franz.

Żart ów nabrął zresztą niebawem pozorów rzeczywistości: kiedy wciąż posuwając się w sznurze powozów Franz i Albert spotkali znowu ekwipaż wieśniaczków, ta, co rzuciła bukietem Albertowi, zaklaskała w dłonie ujrawszy, że ustroił nim butonierkę.

— Brawo, kochasiu, brawo! — zawołał Franz. — Idzie ci jak z płatką. Pożegnam cię, bo na pewno wolisz teraz być sam.

— O, nie, nie przyspieszaj sprawy; nie dam się złapać jak dudek na pierwszy znak przychylności, nie pójdę na schadzkę pod zegarem, jak to się u nas mówi na balu w Operze. Jeśli piękna wieśniaczka żywi jeszcze jakieś zamiary, odnajdziemy ją jutro, a raczej ona nas odszuka. Da mi wtedy znak, a ja zastanowię się, co zrobić.

— Istotnie, mój drogi, jesteś mądry jak Nestor, a przebiegły jak Odys, toteż jeśli twoja Kirke zdoła zamienić cię w zwierzę, da dowody wielkiej chytryści i potęgi.

Albert miał rację.

Piękna nieznajoma zdecydowała na pewno nie posuwać w tym dniu dalej intrygi — choć młodzieńcy zabawili jeszcze na maskaradzie, nie ujrzeli już kolasy, której szukali oczyma: znikła oczywiście w którejś z sąsiednich ulic.

Wrócili tedy do pałacu Rospolich, ale hrabia znikł także, a z nim błękitne domino.

W oknach wybitych złotym adamaszkiem siedziały wciąż osoby, które był zaprosił.

W tymże momencie ten sam dzwon, który ogłosił początek maskarady, obwieścił jej koniec.

Sznur powozów na Corso przerwał się natychmiast i po chwili ekwipaże znikły co do jednego w bocznych ulicach.

Franz i Albert byli właśnie naprzeciw via delie Maratte: stangret nic nie mówiąc pojechał tamtędy, a minąwszy pałac Rospolich, znalazł się na placu Hiszpańskim i stanął przed hotelem.

Imć Pastrini witał już gości na progu.

Franz zapytał przede wszystkim o hrabiego, wyrażając żal, iż nie zdążył do pałacu Rospolich; ale Pastrini uspokoił go, powiadając, że hrabia najął drugi ekwipaż, który zajeżdżał tam po niego o czwartej.

Ponadto wręczył na zlecenie hrabiego dwóm przyjaciółom klucz od łoży w teatrze Argentina.

Franz zapytał Alberta, co czynić zamierza, lecz Albert miał dokonać nazbyt wielkiego dzieła, by myśleć o teatrze.

Tedy, zamiast odpowiedzieć, spytał Pastriniego, czy nie mógłby posłać po krawca.

— A po cóż panu krawiec? — zdziwił się hotelarz.

— Żeby nam uszył na jutro przyodziewek rzymskich wieśniaków, możliwie najwykwintniejszy.

Imć Pastrini potrzęsnał głową.

— Na jutro dwa kostiumy! — zawołał. — Najmocniej wielmożnych panów przepraszam, ale to żądanie typowo francuskie. Dwa kostiumy! Gdyby nawet za tydzień znaleźli panowie krawca, gotowego przyszyć wam sześć guzików do kamizelki, zapłacilibyście mu, panowie, dukata od sztuki! Tylko że takiego krawca i tak nie znajdziecie.

— A więc muszę zrezygnować z tych kostiumów?

— Nie, dostaniemy gotowe. Pozwólcie, panowie, że tym się zajmę, a jutro, budząc się, znajdziecie zadowolającą kolekcję kapeluszy, kurtek i pantalonów.

— Mój drogi — rzekł Franz do Alberta — zdajmy się na naszego gospodarza, bo dowiódł nam już, że ma rozmaite źródła; zjedzmy spokojnie obiad, a po obiedzie chodźmy na „Włoszkę w Algierze”.

— Niech ci będzie ta „Włoszka” — zgodził się Albert — ale niech pan pamięta, panie Pastrini — ciągnął wskazując Franza — że przywiązujemy obaj do tych kostiumów nadzwyczajną wagę.

Hotelarz zapewnił znowu, że nie potrzebują obawiać się o nic i że będą obsłużeni, jak sobie życzą — a Franz i Albert poszli do siebie, by zdjąć kostiumy pajaców.

Rozbierając się, Albert schował jak najstaranniej bukietek fiołków: był to przecież znak rozpoznawczy, konieczny na jutrzejsze spotkanie.

Przyjaciele zasiedli do stołu; Albert, choć jadł z apetytem, zauważył, że istnieje ogromna różnica między talentami kucharza imć Pastriniego, a talentami kucharza hrabiego Monte Christo.

W imię prawdy i Franz przyznał, aczkolwiek żywił w stosunku do Monte Christo rozmaite zastrzeżenia, że kucharz imć Pastriniego nie mógłby u kucharza hrabiowskiego nawet terminować.

Przy wetach wszedł lokaj pytając, na którą godzinę młodzieńcy raczą zamówić powóz.

Albert i Franz wymienili spojrzenia, bojąc się szczerze nadużywać uprzejmości sąsiada.

Lokaj zrozumiał.

— Jego ekscelencja pan hrabia de Monte Christo — rzekł — wydał już rozkazy, aby powóz był przez cały dzień do dyspozycji jaśnie wielmożnych panów. Jaśnie wielmożni panowie mogą więc dysponować nim, nie żywiąc żadnych obaw.

Młodzieńcy, postanowiwszy przeto wykorzystać do końca uprzejmość hrabiego, kazali zaprzęgać. Nim konie podano, włożyli strój wieczorowy, chociaż ubrania, które mieli na sobie, nie pogniotły się zbyt w wirze zabawy.

Przebrawszy się więc na wszelki wypadek, pojechali do teatru Argentina i usadowili się w łoży hrabiego.

Podczas pierwszego aktu hrabina G... weszła do swojej łoży.

Pierwsze spojrzenie jej padło tam, gdzie dwadzieścia cztery godziny temu zobaczyła hrabiego — i w łóżko tego człowieka, o którym wobec Franza wyraziła tak osobliwą opinię, ujrzała dwóch przyjaciół.

Kierowała ku Franzowi lornetkę z tak zawziętym uporem, że młodzieniec uznał, iż dopuściłby się okrucieństwa, wystawiając dłużej ciekawość hrabiny na próbę.

Owóz korzystając z przywileju, jaki mają widzowie we włoskich teatrach, a który polega na tym, iż wolno zachowywać się tam niby w prywatnym salonie, przyjaciele opuścili łóżko i podążyli do hrabiny, aby złożyć jej uszanowanie.

Ledwie znaleźli się w łóżku, hrabina wskazała Franzowi miejsce honorowe.

Albert usadowił się w głębi.

— No i cóż — ozwała się, ledwie Franz usiadł — zdaje się, że uznałeś pan za rzecz najpilniejszą, aby poznać się z tym nowym lordem Ruthwenem, i jesteście już najlepszymi w świecie przyjaciółmi!

— Zażyłość nasza nie posunęła się jeszcze tak dalece, jak pani hrabina raczy sądzić — odpowiedział Franz. — Nie przeczę jednak, że cały dzień nadużywaliśmy jego uprzejmości.

— Jak to, cały dzień?

— Na honor, tak właśnie było: rano zaprosił nas na śniadanie — przyjęliśmy; podczas całej maskarady rozjeżdżaliśmy jego powozem po Corso; no i teraz, wieczorem korzystamy z jego łóżka.

— Znacie go więc, panowie?

— I tak, i nie.

— Nie rozumiem.

— O, to długa historia.

— Którą mi pan opowiesz!

— Zbyt to by się pani przestraszyła.

— Tym usilniej nalegam.

— Niechże pani raczy poczekać, aż historia się wyjaśni. O to tylko proszę.

— Dobrze, lubię poznawać rzecz do końca. A tymczasem powiedz mi pan, jakże się z nim zetknęli, kto mu panów przedstawił?

— Nikt. To on wystąpił z inicjatywą.

— Kiedy?

— Wczoraj wieczór, kiedyśmy pożegnali panią hrabinę.

— Kto był pośrednikiem?

— Mój Boże, pośrednik był nader prozaiczny: nasz hotelarz.

— To on mieszka w Hotelu Londyńskim, jak i panowie?

— Nie tylko w tym samym hotelu, lecz i na tym samym piętrze.

— A jak się nazywa? Musieliście, panowie, dowiedzieć się jego nazwiska.

— Hrabia Monte Christo, nie inaczej.

— Cóż to za nazwisko? Przecież nie rodowe.

— Nie, bo to nazwa wyspy, którą nabył.

— I jest hrabią?

— Tak, tokańskim.

— No, jakoś tam ujdzie w tłoku — rzekła hrabina należąca do jednego z najstarszych rodów zamieszkałych w okolicach Wenecji. — I jakże on jest?

— Niech pani raczy zapytać wicehrabiego de Morcerf.

— Słyszał pan? Skierowano mnie do pana — powiedziała hrabina.

— Bylibyśmy, pani hrabino, bardzo wymagający, gdybyśmy nie nazwali go przemiłym człowiekiem — odrzekł Albert. — Ktoś, kogo znalibyśmy dobrze od lat dziesięciu, nie uczyniłby dla nas więcej z równym wdziękiem, delikatnością i kurtuazją, które wskazują prawdziwego światowca.

— Oho — roześmiała się hrabina — przekonacie się, panowie, że mój wampir okaże się po prostu jakimś nuworyszem, który, aby mu przebaczone miliony, udaje Larę: dzięki temu nie pomieszają go z panem Rotszyldem. A ją widzieliście, panowie?

— O kogo pani hrabina pyta? — uśmiechnął się Franz.

— O tę piękną Greczynkę, która była tu wczoraj.

— Nie. Słyszeliśmy, zdaje się, dźwięki guzli, ale ona ani się pokazała. Była „niewidzialna”.

— E, mój drogi — ozwał się Albert — powiadasz „niewidzialna” dlatego tylko, żeby otoczyć ją tajemniczością. A któż w takim razie miał na sobie niebieskie domino, siedząc w oknie wybitym białym adamaszkiem?

— A gdzież to okno? — zacięła się hrabina.

— W pałacu Rospolich.

— To hrabia miał trzy okna w pałacu Rospolich?

— Tak. Była pani hrabina na Corso?

— Oczywiście.

— W takim razie zauważyła pani trzy okna: dwa wybite żółtym adamaszkiem, a jedno białym, pośrodku czerwony krzyż... Były to okna hrabiego.

— Ach tak! Ależ to jakiś nabab! Wiecie panowie, ile kosztują trzy takie okna na tydzień karnawałowy, i to w pałacu Rospolich, czyli w najpiękniejszym punkcie Corso?

— Dwieście do trzystu dukatów rzymskich.

— E, dwa do trzech tysięcy.

— Do diabła!

— Czy to jego wyspa daje mu taki piękny dochód?

— Nie przynosi ani szeląga.

— To po cóż ją kupić?

— Ot tak, dla fantazji.

— To chyba jakiś oryginał.

— Faktem jest — powiedział Albert — że wydał mi się dość ekscentryczny. Gdyby mieszkał w Paryżu i bywał w teatrze, powiedziałbym ci, mój drogi, że to jakiś niesmaczny pozer albo niewydarzony literat.

W tym momencie wszedł ktoś, by złożyć wizytę, a Franz wedle zwyczaju ustąpił miejsca nowo przybyłemu.

Skutkiem tego nie tylko zapanowało chwilowe poruszenie, lecz i odmieniono temat rozmowy.

Po godzinie obaj przyjaciele wrócili do hotelu.

Imć Pastrini, zająwszy się już ich jutrzejszym przebraniem, zapewniał, iż będą kontenci — na sprycie mu bowiem nie zbywa.

Rzeczywiście, nazajutrz o dziewiątej rano wszedł do pokoju Franza, a za nim krawiec obładowany kostiumami rzymskich wieśniaków; było ich z dziesięć.

Przyjaciele wybrali dwa podobne, mniej więcej na ich miarę, i zlecieli hotelarzowi, by kazał przyszyć do kapeluszy po dwadzieścia metrów wstążki i wystarał się o dwie prześliczne jedwabne szarfy w poprzeczne pasy, szarfy kolorowe, jakimi lud włoski zwykł się opasywać w niedziele i święta.

Albertowi spieszo było się przekonać, czy mu w tym nowym kostiumie do twarzy — składał się on z niebieskiej aksamitnej kurtki i takichże pantalonów, z haftowanych pończoch, butów opatrzonych klamrami i z jedwabnej kamizelki.

Mógł zresztą jedynie zyskać w tym malowniczym stroju — i kiedy szarfa obcisnęła mu smukłą kibić, kiedy z kapelusza, który włożył lekko na bakier, wstążki spłynęły na ramię, Franz przyznać musiał, że strój narodowy decyduje często w znacznej mierze o urodzie, jaką przypisujemy pewnym ludom.

Turcy, którzy niegdyś wyglądali tak malowniczo w swoich powłóczystych i barwnych chałatach, wyglądają dziś obrzydliwie w błękitnych surdutach zapinanych na guziki i w czapeczkach greckich: zupełnie jak butelki wina zapieczętowane czerwonym lakiem.

Franz powinszował Albertowi, który stojąc przed lustrem uśmiechał się i podziwiał swoje odbicie z niekłamanym ukontentowaniem.

Na tym zastał ich hrabia Monte Christo.

— Panowie — rzekł — miło jest dzielić z kimś przyjemności, ale jeszcze miłsza jest swoboda: dlatego zostawiam wam na dziś i dni następne do dyspozycji ekwipaż, którym jeździliście wczoraj. Pastrini mówił panom zapewne, że mam w jego stajni kilka powozów, nie będę więc cierpieć żadnej prywacji. Korzystajcież do woli, jeżdżąc dla przyjemności czy za interesami. Gdybyście, panowie, chcieli mi coś zakomunikować, znajdziecie mnie zawsze w pałacu Rospolich.

Młodzieńcy, radzi wysunąć swoje skrupuły, nie znaleźli jednak ani jednego istotnego argumentu, dla którego mogliby odrzucić ową skądinąd wielce miłą propozycję.

Przyjęli ją więc.

Hrabia Monte Christo zabawił u nich z kwadrans, rozprawiając nadzwyczaj swobodnie na wszelkie tematy.

Był, jakeście to zdążyli już zauważyć, ogromnie odcytany w literaturze światowej.

Franz i Albert, rzuciwszy okiem na ściany jego salonu, przekonali się, że był amatorem obrazów.

Kilka słów bezpretensjonalnych, rzuconych mimochodem, dowiodło im, że nauka nie była mu obca.

Wydawało się, że szczególnie ciekawi go chemia.

Przyjaciele nie usiłowali nawet rewanżować się hrabiemu śniadaniem: kiepski byłby to żart ofiarować mu nędzne potrawy imć Pastriniego za ową wykwinną ucztę.

Powiedzieli to hrabiemu szczerze, on zaś przyznał im rację, oceniając ich drażliwość.

Albert zachwycił się manierami hrabiego, wątpiąc jedynie, czy ktoś tak uczony może być prawdziwym szlachcicem.

A zwłaszcza przepelniało go radością to, że mógł do woli rozporządzać ekwipażem. Miał bowiem zakusy na uroczę wieśniaczki, że zaś ukazały się wczoraj w nader eleganckim powozie, rad był wystąpić dziś znowu tak samo jak i one.

Młodzieńcy wyszli o pół do drugiej.

Stangret i lokaje wpadli na pomysł, aby na futra, które mieli na sobie wczoraj, włożyć liberię — co też uczynili, wywołując efekt jeszcze bardziej groteskowy. Franz i Albert nie szczędzili im tedy pochwał.

Sentymentalny Albert wetknął w butonierkę pęczek zwiędłych już fiołków.

Z pierwszym uderzeniem dzwonu pomknęli na Corso przez via Vittoria.

Kiedy jechali po raz wtóry, bukietek fiołków, wyleciawszy z karocy pełnej kolombin, wpadł do kolasy hrabiego: było to dla Alberta dowodem, że wczorajsze wieśniaczki zmieniły kostium jak i oni. Czy to na skutek przypadku, czy też powodując się uczuciem pokrewnym, jakiego doznawał Albert, ubrały się tak, jak on pokazał się dnia poprzedniego.

Albert włożył świeży bukietek na miejsce dawnego, dawny zaś od tego momentu trzymał w dłoni, a kiedy znów mijali karocę, podniósł go miłośnie do warg — gest ów, jak się zdało, uradował nie tylko tę, co rzuciła bukietek, lecz i jej towarzyszkę.

Dzień ów był nie mniej ożywiony niż poprzedni.

Kto wie, czy bystry obserwator nie dostrzegłby, że panowało więcej wesela i że gwar był większy.

Hrabia na chwilę pojawił się w oknie, ale kiedy powóz przejeżdżał znów, już go tam nie było.

Nie trzeba wam mówić, że Albert i kolombina wymieniali czułe spojrzenia i bukietki fiołków aż do wieczora.

Wieczorem, wróciwszy do hotelu, Franz zastał list z ambasady: zawiadamiano go, że nazajutrz dostąpi zaszczytu audiencji u Ojca Świętego.

Za każdą uprzednią bytnością w Rzymie zabiegał z powodzeniem o ten fawor; powodowany zarówno uczuciami nabożnymi, jak i wdzięcznością, składał zawsze hołd — choćby nawet krótko bawił w stolicy chrześcijaństwa — u stóp tego następcy świętego Piotra, który świecił rzadkim wszelkich cnót przykładem.

W owym więc dniu pomyślał o karnawale; bo chociaż Ojciec Święty promieniuje dobrocią, zawsze pełni szacunku i z głębokim wzruszeniem gotujemy się, by złożyć pokłon temu szlachetnemu i świątobliwemu starcowi, który panuje jako Grzegorz XVI.

Wyszedłszy z Watykanu, podążył do hotelu, omijając umyślnie Corso.

Unosił skarb nabożnych myśli, które sprofanowałoby zetknięcie z szalonymi uciechami maskarady.

Albert wrócił dziesięć po piątej.

Nie posiadał się z radości.

Kolombina ukazała się znowu w kostiumie wieśniaczki, a mijając ekwipaż Alberta, zdjęła maskę.

Była prześliczna.

Franz powinszował szczerze Albertowi, Albert zaś przyjął gratulacje tak, jakby mu się należały.

Przekonał się — jak mówił — po pewnych oznakach nieporównywalnego wykwintu, że piękna nieznajoma należy do najwyższej arystokracji.

Postanowił napisać do niej dnia następnego.

Franz, wysłuchując tych zwierzeń, dostrzegł, iż Albert ma taką minę, jakby chciał go o coś prosić, a przy tym się wahał.

Dopomógł mu tedy oznajmiając, że gotów jest dla jego szczęścia na każdą ofiarę, jaką tylko uczynić zdoła.

Albert kazał się prosić akurat tyle czasu, ile wymagała grzeczność obowiązująca między przyjaciółmi — i na koniec przyznał się Franzowi, że chciałby mieć jutro powóz do swojej wyłącznej dyspozycji. Zgadząc się na to, przyjaciel wyświadczyłby mu przysługę.

Albert przypisywał nieobecności Franza, nadzwyczajny fawor, jaki okazała mu piękna wieśniaczka, zdejmując maskę.

Rozumiecie sami, że Franz nie był aż takim egoistą, aby psuć szyki Albertowi, który nawiązał już miłostkę, zapowiadającą się przyjemnie, bo tajemniczą i jakże pochlebną dla jego ambicji.

Znając wybornie gadulstwo swojego zacnego przyjaciela, był pewien, że nie ominą go najdrobniejsze szczegóły tej awanturki; choć już bowiem od paru lat wojażował po całych Włoszech, podobne szczęście nie uśmiechnęło się doń nigdy, nawet z daleka — rad był więc, iż dowie się teraz, jak w takich wypadkach układają się sprawy.

Oznajmił więc Albertowi, że zadowolony się, patrząc jutro na spektakl z okien pałacu Rospolich.

I nazajutrz obserwował, jak Albert defiluje tam i z powrotem.

Dzierżył ogromny bukiet, w którym na pewno umieścił bilecik miłosny.

Przypuszczenie Franza zamieniło się w pewność, gdy ujrzął znowu ten bukiet — a zapamiętać go było łatwo po kręgu białych kamelii — w rękach uroczej kolombiny odzianej w różowy atłas.

Wieczorem tedy Albert już się nie radował — szalał z radości.

Nie wątpił, iż piękna nieznajoma odpowie mu tym samym sposobem.

Franz uprzedził jego prośby powiadając, że znużony hałasem, zamierza jutro przez dzień cały przeglądać swój sztambuch i robić notatki.

Albert nie pomylił się zresztą w przewidywaniach — następnego dnia wieczorem wpadł do pokoju Franza, potrząsając triumfalnie karteluszką, który trzymał za różek.

— No i co, możemy się łudzić?

— Odpisała? — wykrzyknął Franz.

— Czytaj.

Nie sposób oddać tonu, jakim to powiedział. Franz wziął bilecik i przeczytał:

We wtorek, o siódmej, wysiądziesz z powozu naprzeciw via dei Pontefici i udasz się za wieśniaczką rzymską, która odbierze ci moccoletto.

Stanąwszy na pierwszym stopniu kościoła San-Giacomo, przewiąż rękaw kostiumu pajaca różową wstążką — po tym wy sianka moja Cię pozna.

Me zobaczysz mnie do wtorku.

Dyskrecja i stałość.

— No i cóż ty na to, drogi przyjacielu? — zagadnął, kiedy Franz przeczytał do końca.

— Zdaje mi się, że jesteś na drodze do nadzwyczaj przyjemnej miłostki.

— Podzielał twoje zdanie, obawiając się bardzo, czy na bal do księcia de Bracciano nie pójdziesz sam.

Tegoż ranka Franz i Albert otrzymali zaproszenie do słynnego rzymskiego bankiera.

— Zastanów się, mój drogi, cała arystokracja zbierze się u księcia, a jeśli twoja piękna nieznajoma należy istotnie do arystokracji, nie będzie mogła wykręcić się od tego balu.

— Zjawi się tam czy nie, pozostanę przy swoich zamiarach — odrzekł Albert. — Przeczytałeś bilecik?

— Tak.

— A czy wiesz, jak mierną edukację odbierają we Włoszech kobiety z mezzo cito? (Tak nazywają tu mieszczaństwo).

— Owszem.

— No to przeczytaj jeszcze raz ten bilet, przypatrz się uważnie pismu i znajdź mi choć jeden błąd ortograficzny albo gramatyczny.

(Rzeczywiście, charakter pisma był prześlizgnięty, a ortografia bezbłędna).

— Wpadłeś po uszy — rzekł Franz, oddając mu bilecik.

— Śmieję się do woli, żartuję sobie, ile chcesz, jestem zakochany.

— O Boże! Przerażasz mnie! — zawołał Franz. — Widzę, że nie tylko pójdę sam na bal do księcia Bracciano, ale mogę sam wracać sobie do Florencji.

— Faktem jest, że jeśli moja nieznajoma okaże się równie miła, jak piękna, zostanę w Rzymie przynajmniej na sześć tygodni: oświadczam ci to. Uwielbiam Rzym, a zresztą miałem zawsze wybitne zamiłowania do archeologii.

— Jeszcze ze dwa takie spotkania, a nie wątpię, że zostaniesz członkiem Akademii Napisów i Literatury.

Albert zacząłby na pewno roztrząsać z powagą swoją kandydaturę do akademii, gdyby młodzieńcom nie oznajmiono, że obiad czeka.

Owóz u Alberta miłość bynajmniej nie przeszkadzała apetytowi.

Pokwapili się więc obaj do stołu, boć rozważania można było podjąć po obiedzie.

Ale wtedy zaanonsowano hrabiego de Monte Christo.

Młodzieńcy nie widzieli go już od dwóch dni.

Sprawa jakaś — tak poinformował im Pastrini — wezwała go do Civita-vecchia. Wyjechawszy poprzedniego dnia wieczorem, wrócił zaledwie godzinę temu.

Hrabia był czarujący — i prawie taki jak wszyscy ludzie: może dlatego, iż baczył na siebie, a może z tej racji, że nic nie potrafiło w nim strun goryczy, które w pewnych okolicznościach zadźwięczały już kilka razy, objawiając się cierpkością słów.

Człowiek ten był dla Franza istną zagadką.

Hrabia wątpić nie mógł, że młody podróżny go poznał; ale z ust jego nie padło ani jedno słowo, które świadczyłoby, że przypomina sobie, iż widział Franza gdzie indziej.

A Franz, choć korciło go, by napomknąć o pierwszym ich spotkaniu, powstrzymywał się, bojąc się urazić człowieka, który obsypywał ich obu uprzejmościami; zachowywał więc nadal powściągliwość równą powściągliwości hrabiego.

Monte Christo dowiedział się, że dwaj jego przyjaciele chcieli zakupić łożę w teatrze Argentina, ale wszystkie miejsca były już wyprzedane.

Przyniósł im tedy klucz od swojej łoży: tak przynajmniej pozorował wizytę.

Franz i Albert wymawiali się nieco, powiadając, że nie chcieliby pozbawiać go łoży; ale hrabia oznajmił, że dziś wieczór idzie do teatru Pallii, a więc łoża w teatrze Argentina będzie świecić pustkami, jeśli jej nie wykorzystają.

Na skutek tego zapewnienia młodzieńcy przyjęli łożę.

Franz przywykł po trochu do bladej twarzy hrabiego, która uderzyła go przy pierwszym spotkaniu.

Musiał oddać sprawiedliwość tej surowej twarzy: była piękna, owa zaś bladeść stanowiła jedyną jej wadę, a może właśnie główną zaletę.

Postać iście byronowska. Patrząc na hrabiego, a nawet myśląc o nim, Franz wyobrażał sobie zawsze jego posępne lico jako twarz Manfreda albo zdołał mu głowę tokiem Lary.

Na czole Monte Christa widniała zmarszczka, wskazująca, że myśl gorzka nie opuszcza go nigdy; oko płomienne czytało w tajnikach ludzkiej duszy, wargi dumne i o drwiącym wyrazie nadawały każdemu słowu, jakie z nich padło, charakter szczególnie, dzięki któremu to, co mówił, pozostawało wyrzeźbione głęboko w pamięci słuchaczy.

Hrabia nie był już młodzieńcem; liczył sobie co najmniej lat czterdzieści, ale wszyscy pojmowali w lot, iż miał wszelkie dane, aby górować nad młodzieżą, jeśli w jej towarzystwie się znalazł.

I jeszcze jedno, co czyniło go podobnym do bohaterów poety angielskiego: zdawał się posiadać rzeczywiście dar fascynacji.

Albert unosił się wciąż nad szczęściem swoim i Franza, gdyż poczytywał za nie znajomość z tak niepospolitym człowiekiem.

Franz choć mniejszy entuzjasta, ulegał jednak wpływowi, jaki wszyscy ludzie niezwykli wywierają na otoczenie.

Hrabia napomykał niekiedy, że wybiera się do Paryża. Rozmyślając nad tym Franz nie wątpił, iż ekscentryczny sposób bycia hrabiego, jego charakterystyczna twarz i olbrzymi majątek sprawią tam niebywałe wrażenie.

A jednak nie pragnął być obecny w Paryżu podczas tej wizyty.

Wieczór minął, jak mijają zwykle wieczory w teatrach włoskich: mało kto słuchał śpiewaków, za to wszyscy odwiedzali się wzajem i gawędzili.

Hrabina G. usiłowała sprowadzić rozmowę na Monte Christa, ale Franz oznajmił, że ma dla niej nowinę, o wiele świeższą; i chociaż Albert ją udawać skromnisia, Franz opowiedział o wielkim wydarzeniu, które trzeci już dzień pochłaniało przyjaciół.

Intrygi takie są we Włoszech nierzadkie, jeśli wierzyć opowieściom podróżnych, toteż i hrabina, nie okazując najmniejszego niedowierzania, powinszowała Albertowi, że nawiązał nici przygody, która, jak się zdawało, miała zakończyć się najprzyjemniej pod słońcem.

Księżę Bracciano sprosił do siebie na bal cały Rzym, rozstając się tedy hrabina i młodzieńcy wyznaczyli sobie tam spotkanie.

Dama z bukietem dotrzymała obietnicy: przez dwa następne dni nie dała Albertowi znaku życia.

Nadszedł wreszcie wtorek, ostatni i najhuczniejszy dzień karnawału.

Tego wtorku teatry otwiera się o dziesiątej rano, gdyż po ósmej wieczór rozpoczyna się post.

We wtorek ów, każdy kto z braku czasu, pieniędzy lub ochoty nie mógł uczestniczyć w zabawach, bierze udział w bachanalii, daje się wciągnąć w orgię i wznosząc okrzyki, kręcąc się tu i tam powiększa ogólny ruch i gwar.

Od drugiej do piątej Franz i Albert jechali w sznurze powozów, sypali garściami confetti na powozy sunące w przeciwną stronę i sami byli obsypywani; obsypywali też i pieszych, co krążyli między kołami ekwipaży i końmi — ale w tym okropnym tłoku nie zaszedł ani jeden nieszczęśliwy wypadek, nie słyszałeś ani jednej kłótni, nie widziałeś ani jednej bójki.

W tym względzie Włosi są ludem doskonałym.

Święto jest dla nich prawdziwym świętem.

Autor tej powieści, przemierzając ze sześć lat we Włoszech, nie zauważył, aby którąkolwiek z tamecznych uroczystości zamąciły wypadki, jakie towarzyszą nieodłącznie uroczystościom naszym.

Albert święcił triumfy w kostiumie pajaca.

Miał na ramieniu różową kokardę ze wstążkami sięgającymi mu do łudek.

Ażeby nie zaszła pomyłka, Franz przywdział kostium wieśniaka rzymskiego.

Słońce zniżało się już, a tumult wzrastał się coraz bardziej; nie znalazłbyś na ulicach, w ekwipażach i w oknach ust niemych i rąk leniwych; była to doprawdy burza ludzka, a składały się na nią grzmiące głosy, grad bukietów, cukierków, jaj, pomarańcz i kwiatów.

O trzeciej huk moździerzy, co grzmiały jednocześnie na placu del Popolo i z Pałacu Weneckiego, przebił się z trudem przez okrutną wrzawę, zwiastując początek wyścigów.

Wyścigi, jak i mocoli, należą do charakterystycznych epizodów ostatnich dni karnawału.

Kiedy huknęły moździerze, powozy ciągnące dotąd sznurami rozpierzchny się w okamgnieniu, chroniąc się w najbliższe przecznice.

Wszystkie te manewry dokonują się skądinąd z niepojętą zręcznością i cudowną szybkością, toteż policja nie potrzebuje ani wyznaczać miejsca, ani wskazywać drogi poszczególnym ekwipażom.

Piesi przylgnęli do pałacowych murów i zaraz rozległ się tętent galopujących koni i szcęk szabel.

Szwadron konnych karabinierów, po piętnastu w rzędzie, gnał, zajmując całą szerokość Corso, aby oczyścić je dla barberi.

Kiedy konni stanęli przed Pałacem Weneckim, inna bateria moździerzy obwieściła salwą, że ulica jest wolna.

W tymże niemal momencie, pośród wrzawy ogromnej, powszechnej, niesłychanej, konie, a było ich z osiem, ekscytowane krzykiem trzystutysięcznej ciżby i żelaznymi dzwonkami, które przytoczono im

do grzbietów, przemknęły niby widma; za czym działo na zamku Świętego Anioła wystrzeliło trzy razy, albowiem koń numer trzy wygrał wyścig.

Zaraz też, czekając na inny sygnał, ruszyły powozy napływając ku Corso, wypadając ze wszystkich ulic, niby potoki, co na chwilę zatrzymane w biegu, rzucają się razem w koryto jednej rzeki, którą zasilają — tak i fala olbrzymia i bardziej niż przedtem wartka potoczyła się między granitowymi brzegi.

Ale rozległ się nowy rodzaj hałasu i nowe poruszenie zapanowało w tłumie: handlarze moccoli wkraczali na scenę.

Moccoli albo moccoletti to świece rozmaitej wielkości — od paschału do stoczka — które budzą w aktorach wielkiej końcowej sceny karnawału rzymskiego zainteresowania sprzeczne:

Każdy czyni, co w jego mocy, żeby:

- 1) swoją świecę zachować płonąca,
- 2) zgasić świecę bliźniemu.

Z moccoletto jest jak z życiem: człowiek zna tylko jeden sposób, aby je przekazać; i sposób ów otrzymał od Boga.

Wynalazł jednak tysiące sposobów, aby życia pozbawiać; i co prawda przy tej decydującej operacji diabeł wspomaga go po trosze.

Moccoletto zapalamy, zbliżywszy je do czyjegoś światła.

Ale któż opisze tysiące sposobów, które wynaleziono, by zgasić moccoletto? Gigantyczne miechy, potworne gasidła, monstrualne wachlarze.

Każdy więc kupował co prędzej moccoletti, a Franz i Albert nie dali się uprzedzić.

Noc zapadała szybko. Setki przekupniów wołały piskliwie: Moccoli! — a ponad tłumem, na niebie, rozbłysły pierwsze gwiazdy.

Był to jakby sygnał.

Po dziesięciu minutach zaiskrzyło się pięćdziesiąt tysięcy światel, spływając od Pałacu Weneckiego na plac del Popolo i pnąc się z placu del Popolo ku Pałacowi Weneckiemu.

Rzekłbyś: święto błędnych ogni.

Kto nie widział tego spektaklu, ten go sobie nie wyobrazi.

Imaginujcie sobie, że wszystkie gwiazdy pospadały z nieba i wiodą na ziemi korowód szalony. Towarzyszy mu wrzawa, jakiej na tym świecie ucho ludzkie nie słyszało.

W owym to zwłaszcza momencie nikt różnice między stanami.

Facchino tarł księcia, księżę transteverczyka, transteverczyk mieszczanina, a każdy dmucha, gasi, zapala.

Gdyby pojawił się stary Eol, proklamowano by go królem moccoli. Akwilo zostałby następcą tronu

Ten korowód szalony i płomienny trwał blisko dwie godziny; na Corso było widno jak w dzień, dojrzałeś rysy widzów siedzących na trzecim i czwartym piętrze.

Co pięć minut Albert wyciągał zegarek. Wskazał wreszcie siódmą.

Przyjaciele znajdowali się akurat naprzeciwko via dei Pontefici; Albert wyskoczył z powozu, dzierżąc moccoletto.

Kilka masek przyskoczyło, by mu wyrwać albo zgasić świecę — lecz Albert, bokser wprawny, tak jedną po drugiej urządził, że potoczyły się na dziesięć kroków, i podążył do kościoła San-Giacomo.

Stopnie roiły się od widzów i masek, co walczyły wrywając sobie wzajem moccoli.

Franz patrzył za Albertem; zobaczył, jak przyjaciel postawił nogę na pierwszym stopniu; niemal jednocześnie maseczka w dobrze nam znanym stroju wieśniaczym — chłopka z bukietem — wyciągnęła rękę i wzięła moccoli. Młodzieniec tym razem nie stawiał żadnego oporu.

Franz był nazbyt daleko, aby usłyszeć, jakie wymienili słowa, ale na pewno nie miały one w sobie nic wrogiego, ujrzał bowiem, jak Albert i wieśniaczka oddalają się, idąc pod rękę.

Przeciskał się za nimi czas jakiś między tłumem, ale na via Macello stracił ich z oczu.

Raptem, na dźwięk dzwonu, który obwieszcza koniec karnawału, wszystkie moccoli pogasły, jak gdyby prysł czar.

Rzekłbyś, iż wichur unieścił wszystko jednym potężnym tchnieniem.

Franza ogarnęły najgłębsze ciemności.

Jednocześnie ucichła wrzawa, jakby wichur porwawszy światło porwał i głosy.

Słysząc już było jedynie turkot karet odwożących maski do domu, w oknach błyszczały tylko rzadko rozsiane światła.

Karnawał się skończył.

37. KATAKUMBY ŚWIĘTEGO SEBASTIANA

Chyba jeszcze nigdy Franz nie przeżył tak gwałtownej zmiany nastroju, tak nagłego przejścia od wesołości do smutku, jakie nastąpiło w tym momencie; Rzym, niby pod magicznym tchnieniem demona nocy, zamienił się w olbrzymi grobowiec. Zaległy ciemności tym bardziej intensywne, że księżyc, będący akurat w trzeciej kwadrze, miał wzejść około jedenastej.

Ulice, którymi jechał młodzieniec, spowijał wtedy głęboki mrok.

Niedaleko miał zresztą do domu.

Po dziesięciu minutach powóz jego, a raczej hrabiego, stanął przed Hotelem Londyńskim.

Obiad czekał. Franz siadł do stołu, ponieważ Albert uprzedził go, że nie wróci wcześniej.

Imć Pastrini, przywykły, że jadali razem, spytał o przyczynę nieobecności towarzysza; Franz zbył go, powiadając, iż Albert skorzystał z czyjegoś zaproszenia, które otrzymał onegdaj.

Nagle wygaśnięcie moccoletti, ciemność, która zastąpiła światło, cisza, co pojawiła się po gwarze, zostawiły w duszy Franza jakiś smutek, niewolny od niepokoju.

Zjadł obiad w milczeniu, mimo profesjonalnej troskliwości hotelarza, który zajrzał kilka razy, informując się, czy Franz czegoś nie potrzebuje.

Franz postanowił czekać na Alberta, dopóki to będzie możliwe.

Zamówił więc karetkę dopiero na jedenastą, prosząc imć Pastriniego, by uwiadomił go, gdy tylko Albert zjawi się w hotelu.

O jedenastej Alberta jeszcze nie było.

Franz przebrał się i pojechał, uwiadomiwszy hotelarza, że spędzi noc u księcia Bracciano.

Dom księcia Bracciano zalicza się w Rzymie do najmiłszych; księżna, wywodząca się z ostatnich Colonnów, czyni tutaj honory z nieopisaną gracją i taktem: dlatego recepcje u niej cieszą się europejską sławą.

Franz i Albert zjawili się w Rzymie z listami polecającymi do księcia; gospodarz zapytał więc od razu Franza, gdzie się podział jego towarzysz podróży.

Franz odpowiedział, że rozstał się z nim, kiedy gaszono moccoli, i że stracił go z oczu na via Macello.

— I nie wrócił dotąd? — spytał księżę.

— Czekałem na niego aż do tej pory.

— A wiesz pan, dokąd poszedł?

— Raczej nie; zdaje mi się jednak, że miał coś na kształt schadzki.

— O do diabła! — zawołał księżę. — Niedobry to dzień, a raczej noc, na późne eskapady. Nieprawdaż, pani hrabino?

Ze słowami tymi zwrócił się do hrabiny G..., co przybywszy właśnie, spacerowała wsparta na ramieniu brata księcia, pana Torloniego.

— Przeciwnie, uważam, że to noc uroczna — odrzekła hrabina. — A tutaj zaproszeni będą się żalić tylko na jedno: że minęła zbyt prędko.

— Ależ ja nie mówię o moich gościach — uśmiechnął się księżę. — Mężczyznom nic tu nie grozi, prócz tego, że zakochają się w pani; kobiety zaś tylko pochorują się z zazdrości, widząc panią hrabinę tak piękną; mówię o tych, którzy upędzają się po ulicach Rzymu.

— E, mój Boże, któż by teraz upędzał się po ulicach? Można spotkać tylko idących na bal.

— Nasz wspólny przyjaciel, pani hrabino, Albert de Morcerf — oznajmił Franz — z którym rozstałem się o siódmej wieczór, kiedy pogonił za pewną tajemniczą nieznajomą. Nie widziałem go od tej pory.

— Jak to? I nie wiesz pan, gdzie się podziewa?

— Nie mam pojęcia.

— Ma przy sobie broń?

— Ależ skąd! Jest w kostiumie pajaca!

— Nie puściłbym go, będąc na pańskim miejscu — ozwał się książę. — Znasz pan Rzym lepiej niż on.

— Mógłbym z takim samym powodzeniem zatrzymać konia, który wygrał dziś wyścig — odparł Franz — a ponadto, czy imaginujesz pan sobie, że mu się coś stanie?

— Kto wie. Ciemności choć oko wykol, a z via Macello dwa kroki do Tybru. Franzowi dreszcz zmroził krew w żyłach: to, co mówili książę i hrabina,

utwierdzało go w niepokoju.

— Toteż, mości książę, powiedziałem w hotelu, że będę miał zaszczyt spędzić noc w pańskim domu. Gdyby Albert powrócił, zaraz tu przyślą wiadomość.

— O, zdaje się, że lokaj poszukuje właśnie pana.

Książę nie mylił się; spostrzegłszy Franza lokaj podszedł do niego.

— Ekscelencjo, właściciel hotelu kazał uwiadomić pana, że posłaniec z listem od pana hrabiego de Morcerf czeka.

— Z listem od hrabiego! — wykrzyknął Franz.

— Tak.

— A cóż to za posłaniec?

— Nie wiem.

— Czemu nie przyniósł mi tutaj listu?

— Nie udzielił mi w tym względzie żadnych wyjaśnień.

— I gdzież ten posłaniec?

— Umknął, zobaczywszy, jak wchodzę na salę balową, żeby uwiadomić jaśnie pana.

— O Boże! Nie zwlekaj pan — zawołała hrabina, zwracając się do Franza. — Pewnie zdarzyło się biedakowi coś złego.

— Tak, tak, biegnę już!...

— A powrócisz pan do nas z wieścią? — spytała hrabina.

— Tak, jeśli sprawa okaże się błaha. W przeciwnym razie sam nie wiem jeszcze, co zrobię.

— Tak czy inaczej, zalecam ostrożność — rzekła hrabina.

— O, niechże pani hrabina będzie spokojna. Franz wziął cylinder i wybiegł.

Odsyłając powóz, kazał zajechać o drugiej; ale na szczęście pałac księcia Bracciano stoi na rogu Corso i placu Świętych Apostołów, o dziesięć minut drogi od Hotelu Londyńskiego.

Zbliżając się do hotelu, Franz ujrzał pośrodku ulicy jakiegoś człowieka; nie wątpił przez moment, iż był to wysłannik Alberta.

Owego człowieka spowijała obszerna peleryna.

Podszedł do niego — i ku zdumieniu Franza nieznamy przemówił pierwszy.

— Czego ekscelencja sobie życzy? — ozwał się i cofnął o krok, mając się jak — by na baczości.

— Dla mnie to chyba przyniosłeś pan list od wicehrabiego de Morcerf.

— To ekscelencja mieszka w hotelu Pastriniego?

— Tak.

— I jest towarzyszem podróży wicehrabiego?

— Tak.

— A nazwisko ekscelencji?

— Baron Franz d'Epinay.

— Tak, to do waszej ekscelencji ten list jest adresowany.

— Mam odpowiedzieć? — spytał Franz, odbierając list.

— Tak. Przyjaciel pański ogromnie na to liczy.

— To chodź pan do mnie, odpiszę zaraz.

— Wolę tu poczekać — roześmiał się wysłannik.

— Czemuż to?

— Ekscelencja zrozumie sam, jak przeczyta.

— Więc będziesz pan tu czekał?

— Na pewno.

Franz wszedł do hotelu; na schodach spotkał imć Pastriniego.

— No i jak? — zapytał.

— O co panu chodzi? — rzekł Franz.

— Widział się pan z człowiekiem, który chciał z panem mówić w imieniu pańskiego przyjaciela?

— Tak, oddał mi ten list. Każ pan u mnie zaświecić, jeśli łaska. Hotelarz zawołał służącego i kazał mu iść przodem ze świecą.

Imć Pastrini był tak wystraszony, że widząc to Franz pragnął tym pilniej przeczytać list.

Gdy świeca zabłysła, rozłożył papier. List był pisany ręką Alberta i nosił jego podpis. Franz odczytał go dwakroć, tak był zaskoczony. Oto ów list:

Mój drogi!

Otrzymałszy list niniejszy, bądź łaskaw wyjąć z mojego pugilaresu, który znajdziesz w czworokątnej szufladzie kantorka, list kredytowy; a gdyby okazał się niewystarczający, dołącz do niego swój.

Pobiegnij do Torloniego, odbierz natychmiast cztery tysiące piasstrów i wręcz je oddawcy tego listu.

Ważne, aby suma dotarła do mnie bez chwili opóźnienia.

Nie nalegam więcej, licząc na Ciebie, jak ty na mnie. P.S. I believe now in Italian bandetti. Twój Albert de Morcerf

Niżej widniał dopisek skreślony obcą ręką, po włosku:

Se alle sei della mattina le quattro mille piastre non sono nelle tue mani, alle sette il conte Alberto avra cessato di vivere .

Luigi Vampa

Drugi podpis wyjaśnił Franzowi wszystko — a pojął też, czemu wysłannik wzdragał się pójść za nim: na ulicy czuł się bezpieczniej niż w pokoju.

Albert dostał się w ręce słynnego herszta bandytów — w którego istnienie tak długo nie chciał uwierzyć.

Nie było czasu do stracenia.

Podbiegł do kantorka, otworzył go, w oznaczonej szufladzie znalazł pugilares, a w pugilaresie list kredytowy — opiewał na ogólną sumę sześciu tysięcy piasstrów; ale z owych sześciu tysięcy Albert wydał już trzy.

Franz nie posiadał listu kredytowego; mieszkał we Florencji, do Rzymu przybył na jaki tydzień, zabierając około stu ludwików, z których została mu najwyżej połowa.

Brakowało więc do żądanej kwoty z osiemset piasstrów.

To prawda, że w podobnym wypadku Franz mógł liczyć na uprzejmość panów Torlonich.

Wybierał się więc już, nie marnując ani chwili, do pałacu Bracciano, gdy nagle olśniła go pewna myśl.

Przypomniał sobie o hrabi Monte Christo.

Franz miał już posłać po imć Pastriniego, ale gospodarz stanął właśnie w progu.

— Mój drogi panie Pastrini — spytał żywo — jak się panu zdaje, czy hrabia jest u siebie?

— Tak, ekscelencjo, wrócił właśnie.

— A czy już zdążył się położyć?

— Chyba nie.

— To zadzwoń do jego drzwi, jeśliś pan tak dobry, i spytaj, czy nie zechciałby mnie przyjąć.

Imć Pastrini pokwapił się wypełnić zlecenie — po pięciu minutach wrócił.

— Hrabia oczekuje waszej ekscelencji — oznajmił.

— Ocaliłeś pan Peppina.

— Ho, ho! A któż to panu powiedział?

— Mniejsza z tym. Wiem i basta. Hrabia zmarszczył brew i milczał chwilę.

— A gdybym wybrał się do Vampy, towarzyszyłbyś mi pan?

— Jeśliby zrobiło to panu przyjemność...

— To wybornie. Ładna pogoda, przechadzka za miasto nam posłuży.

— Trzeba wziąć broń?

— A po co?

— A pieniądze?

— Zbyteczne. Gdzie jest człowiek, co przyniósł bilet?

— Na ulicy.

— Czeka na odpowiedź?

— Tak.

— Musimy się dowiedzieć, dokąd mniej więcej mamy pojechać. Zawołam go.

— Zbyteczne. Nie chciał przyjść.

— Może do pana, ale mnie robił trudności nie będzie.

Hrabia zbliżył się do okna, które wychodziło na ulicę, i gwizdnął w szczególny sposób.

Człowiek w pelerynie oderwał się od muru i wyszedł na środek ulicy.

— Salite — zawołał hrabia takim tonem, jakby rozkazywał słudze. Wysłannik usłuchał bez oporu, bez wahania, z pośpiechem nawet, i przeskakując po cztery stopnie podjazdu wbiegł do hotelu. Nie minęło pięć sekund, jak stanął w drzwiach gabinetu.

— A, to ty, Peppino? — rzekł hrabia.

Ale Peppino, zamiast odpowiedzieć, padł na kolana, chwycił dłoń hrabiego i jął okrywać ją pocałunkami.

— No, no, jeszcześ nie zapomniał, że ci uratowałem życie! Osobliwe! Boć to już tydzień.

— Nie, ekscelencjo, i nigdy nie zapomnę — odrzekł Peppino, a w głosie jego brzmiała nuta głębokiej wdzięczności.

— Nigdy, to bardzo długo! Ale to już wiele, skoro tak sądzisz. Wstawaj i odpowiadaj.

Peppino zerknął niespokojnie na Franza.

— Możesz pan przy mnie mówić, jestem przyjacielem pana hrabiego — ozwał się Franz.

— Niech i tak będzie — odrzekł Peppino, zwracając się z kolei do hrabiego. — Kiedy wasza ekscelencja zapyta, odpowiem.

— Jakże to wicehrabia Albert wpadł Luigiemu w ręce?

— Ekscelencjo, karoca Francuza spotkała się kilka razy z karocą Teresy.

— Kochanki herszta?

— Tak. Francuz puszczał oko do Teresy, a Teresa do Francuza, bo ją to Franz minął klatkę schodową, lokaj wprowadził go do hrabiego. Znalazł się w gabinecie, którego nie znał jeszcze, otoczonym sofami. Hrabia wyszedł naprzeciw niego.

— No i cóż to za dobre bogi sprowadzają pana o tej porze? Może wstąpiłeś pan, żeby mnie zabrać na kolację? Bardzo by to było miłe z pańskiej strony.

— Nie, przyszedłem w poważnej sprawie.

— W jakiejś sprawie! — zdziwił się hrabia, spoglądając przenikliwie na Franza. — I cóż to za sprawa?

— Czy jesteśmy sami?

Hrabia podszedł do drzwi i zaraz powrócił.

— Absolutnie sami.

Franz podał mu list od Alberta.

— Przeczytaj pan — rzekł. Hrabia przeczytał list.

— Aha! — powiedział.

— Czytał pan i postscriptum?

— Tak, tak, oczywiście.

Se alle sei della mattina le quattro mille piastre non sono nelle tue mani, alle sette in conte Alberta avra cessaio di vivere.
Luigi Vampa

— No i còz pan na to? — zagadnął Franz.

— Masz pan żadaną sumę?

— Tak, ale brakuje mi ośmiuset piastrow.

Hrabia podszedł do kantorka, otworzył go i wysunął szufladę pełną złota.

— Spodziewam się, że nie zwrócisz się pan do kogo innego, gdyż byłoby to dla mnie obelgą — rzekł.

— Przecież pan widzi, że przyszedł tu prosto.

— I wdzięczny panu jestem za to. Niech pan bierze — i wskazał Franzowi szufladę.

— Czy to konieczne posyłać Vampie te pieniądze? — ozwał się młodzieniec i spojrzął, on z kolei, przenikliwie na hrabiego.

— Do licha! Osądź pan sam. Postscriptum jest niedwuznaczne.

— Zdaje mi się, że gdybyś pan zastanowił się chwilę, znalazłbyś środek, który uprościłby nam ogromnie rokowania.

— A jakież to? — zdziwił się hrabia.

— Gdybyśmy na przykład pojechali razem do Luigiego Vampy, jestem pewien, że nie stawiając przeszkód wypuściłby Alberta na wolność.

— Nie rozumiem. Czyż ja mogę mieć jakiś wpływ na tego bandytę?

— A nie wyświadczyłeś mu pan niezapomnianej przysługi?

— Jakaż to przysługa?

— Ocaliłeś pan Peppina.

— Ho, ho! A któż to panu powiedział?

— Mniejsza z tym. Wiem i basta. Hrabia zmarszczył brew i milczał chwilę.

— A gdybym wybrał się do Vampy, towarzyszyłbyś mi pan?

— Jeśliby zrobiło to panu przyjemność...

— To wybornie. Ładna pogoda, przechadzka za miasto nam posłuży.

— Trzeba wziąć broń?

— A po co?

— A pieniądze?

— Zbyteczne. Gdzie jest człowiek, co przyniósł bilet?

— Na ulicy.

— Czeka na odpowiedź?

— Tak.

— Musimy się dowiedzieć, dokąd mniej więcej mamy pojechać. Zawołam go.

— Zbyteczne. Nie chciał przyjść.

— Może do pana, ale mnie robił trudności nie będzie.

Hrabia zbliżył się do okna, które wychodziło na ulicę, i gwizdnął w szczególny sposób.

Człowiek w pelerynie oderwał się od muru i wyszedł na środek ulicy.

— Salite — zawołał hrabia takim tonem, jakby rozkazywał słudze. Wysłannik usłuchał bez oporu, bez wahania, z pośpiechem nawet, i przeskakując po cztery stopnie podjazdu wbiegł do hotelu. Nie minęło pięć sekund, jak stanął w drzwiach gabinetu.

— A, to ty, Peppino? — rzekł hrabia.

Ale Peppino, zamiast odpowiedzieć, padł na kolana, chwycił dłoń hrabiego i jął okrywać ją pocałunkami.

— No, no, jeszcze nie zapomniał, że ci uratowałem życie! Osobliwe! Boć to już tydzień.

— Nie, ekscelencjo, i nigdy nie zapomnę — odrzekł Peppino, a w głosie jego brzmiała nuta głębokiej wdzięczności.

— Nigdy, to bardzo długo! Ale to już wiele, skoro tak sądzisz. Wstawaj i odpowiadaj.
Peppino zerknął niespokojnie na Franza.

— Możesz pan przy mnie mówić, jestem przyjacielem pana hrabiego — ozwał się Franz.

— Niech i tak będzie — odrzekł Peppino, zwracając się z kolei do hrabiego. — Kiedy wasza ekscelencja zapyta, odpowiem.

— Jakże to wicehrabia Albert wpadł Luigiemu w ręce?

— Ekscelencjo, karoca Francuza spotkała się kilka razy z karocą Teresy.

— Kochanki herszta?

— Tak. Francuz puszczał oko do Teresy, a Teresa do Francuza, bo ją to bawiło; Francuz jej rzucał bukiety, a ona mu też; działo się to oczywiście za zgodą naczelnika, który był w karecie.

— Jak to! — zawołał Franz. — Luigi Vampa był w karecie wieśniaczek rzymskich?

— A był. Powoził przebrany za stangreta.

— I co dalej?— rzucił hrabia.

— No, potem Francuz zdjął maskę, a Teresa, za zgodą naczelnika, też zdjęła; Francuz poprosił o schadzkę, a Teresa się zgodziła, tylko że zamiast Teresy na schodach kościoła San-Giacomo czekał Beppo.

— Jak to! — przerwał znowu Franz. — Ta wieśniaczka, co wyrwała mu moccoletto?...

— To był piętnastoletni chłopak — objaśnił Peppino. — Ale to nie wstyd dla pańskiego przyjaciela, że dał się oszukać. Beppo oszkał nie takich jak on.

— I Beppo wyprowadził go za mury? — spytał hrabia.

— No tak. Przy końcu via Maccello czekała kolasa; Beppo wsiadł i zaprosił Francuza; Francuz nie dał sobie dwa razy powtarzać. Galanty człek: posadził Beppa z prawej strony i sam usiadł obok. Beppo powiada mu, że zawiezie go do jednej willi, o milę od Rzymu. Francuz zapewnił Beppa, że pójdzie za nim choćby na koniec świata. Zaraz też stangret zawraca ulicą di Ripetta i wyjeżdża bramą San Paolo, a dwieście kroków za miastem Francuz robi się nazbyt chwacki, więc Beppo przystawi mu parę pistoletów do gardła, woźnica zatrzymuje konie, obraca się na koźle i robi to samo. W tejże chwili czterech naszych, co czatowali ukryci nad brzegiem Almo, przyskakuje z dwu stron do drzwiczek. Francuz miał wielką ochotę się bronić i nawet podobno trochę przydusił Beppa, ale cóż mógł przeciwko pięciu zbrojnym? Musiał się poddać. Kazali mu wyjść z karety i brzegiem rzeki poprowadzili go do katakumb Świętego Sebastiana, gdzie czekał Luigi z Teresą.

— Ależ — tu hrabia zwrócił się do Franza — wydaje mi się, że to historia banalna. I cóż pan na to, jako znawca?

— Uważałbym ją za bardzo zabawną, gdyby przydarzyła się komu innemu, a nie biednemu Albertowi.

— Faktem jest, że gdybyś pan mnie tu nie zastał, awanturka ta kosztowałaby pańskiego przyjaciela trochę słono, ale, bądź pan spokojny, skończy się to dla niego na strachu.

— Jedziemy więc?

— Naturalnie, tym bardziej, że to miejsce nader malownicze. Znasz pan te katakumby?

— Nie. Nie byłem tam nigdy, ale obiecywałem sobie, że kiedyś się tam zapuszczę.

— No to okazja jak znalazł, lepszej już byś pan chyba nie spotkał. Masz pan powóz?

— Nie.

— To drobiazg, bo na mnie zaprzęg czeka dniem i nocą.

— Cały zaprzęg?

— Tak, mam swoje fantazje. Na przykład czasami, kiedy późną nocą wstaję od obiadu, bierze mnie chęć, żeby przejechać się, wszystko jedno dokąd, i wyruszam w daleki świat.

Hrabia zadzwonił, wszedł lokaj.

— Każ, aby kareta wyjechała z wozowni, wyjmij pistolety z kieszeni powozu, stangreta nie budź, wezmę Alego.

Po chwili powóz zaturkotał i stanął przed domem. Hrabia wyciągnął zegarek.

— Pół do pierwszej — rzekł — moglibyśmy wyruszyć o piątej, i tak zdążylibyśmy na czas; ale może wskutek naszego spóźnienia pański towarzysz spędziłby przykrą noc, toteż pojedziemy co koń wyskoczy, aby ocalić go z rąk niewiernych. Czy nadal zamierzasz mi pan towarzyszyć?

— Bardziej niż kiedykolwiek.

— No to jedziemy!

Franz i hrabia wyszli, a za nimi Peppino.

Powóz czekał u bramy.

Na koźle siedział Ali.

Franz poznał niemego niewolnika z grot Monte Christo.

Franz i hrabia usadowili się w powozie: był to kocz.

Peppino siadł obok Alego. Ruszyli galopem.

Ali otrzymał był już rozkazy, pojechał bowiem ulicą przez Corso, przeciął na ukos pole Vaccino i przez ulicę San Gregorio dotarł do bramy Świętego Sebastiana.

Stróż miejski zaczął robić trudności, ale hrabia pokazał mu pozwolenie od gubernatora Rzymu: Monte Christo mógł wyjeżdżać z miasta albo wjeżdżać tam dniem i nocą, o każdej porze. Podniesiono więc kratę, stróż otrzymał ludwika za fatygę i przejechali.

Karetka potoczyła się po starożytnej via Appia, obrzeżonej grobowcami.

Księżyc wschodził — i chwilami zdawało się Franzowi, że widzi w jego świetle, jak wartownik wynurza się spomiędzy ruin.

Ale też i zaraz, na osobliwy znak Peppina, wartownik krył się w cieniu i zniknął.

Powóz przystanął nie opodal cyrku Caracalli, Peppino otworzył drzwiczki, Franz i hrabia wysiedli.

— Będziemy na miejscu za dziesięć minut — ozwał się hrabia do towarzysza. Wziął Peppina na stronę, dał mu szeptem jakiś rozkaz i Peppino odszedł, przyświecając sobie pochodnią, którą wydobyl z kufra karetki.

Upłynęło jeszcze pięć minut: Franz obserwował, jak pasterz posuwa się ścieżyną wijącą się wśród sfalowanych kapryśnie podrzymskich równin, a potem nikt między rdzawymi trawy, podobnymi do zjeżonej grzywy gigantycznego lwa.

— A teraz chodźmy za nim — ozwał się hrabia.

Franz i hrabia puścili się tą samą ścieżką: kiedy uszli sto kroków, ścieżka jęła opadać, wiodąc zboczem na dno dolinki.

Spostrzegli niebawem dwóch ludzi gwarzących w cieniu.

— Mamy iść dalej, czy zaczekać? — spytał Franz hrabiego.

— Chodźmy, Peppino z pewnością oznajmił już wartownikowi o naszym przybyciu.

Rzeczywiście, jednym z tych ludzi był Peppino, a drugim strażujący bandyta. Franz i hrabia podeszli bliżej. Bandyta skłonił się.

— Ekscelencja raczy mi towarzyszyć — rzekł Peppino do hrabiego. — Wejście do katakumb jest tuż obok.

— Dobrze — powiedział hrabia — ruszaj przodem.

Istotnie za kępą krzaków i pośród głazów widniał otwór, ale tak wąski, że człowiek z ledwością mógł się nim precyzyjnie.

Peppino wśliznął się w szczelinę pierwszy; lecz o kilka kroków dalej podziemie się rozszerzało.

Zatrzymał się, zapalił pochodnię i spojrzął, czy hrabia i Franz idą za nim.

Hrabia wsunął się w ów rodzaj dymnika, za nim Franz.

Teren opadał łagodnie — im dalej, tym podziemie bardziej się rozszerzało; w tej chwili jednak Franz i hrabia musieli jeszcze postępować przygięci, a niełatwo byłoby się tutaj wyminąć dwóm ludziom.

Kiedy uszli tak sto pięćdziesiąt kroków, zatrzymał ich okrzyk:

— Kto to?

W tymże momencie lufa karabinu załśniła w ciemnościach, gdyż padł na nią blask pochodni.

— Przyjacie! — odrzekł Peppino. Wysunął się naprzód, szepnął coś wartownikowi, ten zaś, tak samo jak i pierwszy, skłonił się i dał znak nocnym gościom, że mogą iść dalej.

Wartownik przepuścił ich na schody o dwudziestu stopniach.

Franz i hrabia zszedłszy na dół znaleźli się w piwniczce, będącej skrzyżowaniem cmentarnych dróg.

Pięć korytarzy rozchodziło się gwałdziście, w ścianach widniały rzędy nisz, jedne nad drugimi, przyciosowanych kształtem do trumien. Owe nyże świadczyły, że to wreszcie katakumby.

We wgłębieniu, którego rozmiarów określić było nie sposób, migotał odblask światła.

Hrabia wsparł dłoń na ramieniu Franza:

— Chcesz pan obejrzeć obóz odpoczywających bandytów?

— Oczywiście.

— No to chodź pan ze mną... Peppino, zgaś pochodnię.

Peppino spełnił rozkaz, Franza i hrabiego ogarnęły najgłębsze ciemności.

I tylko o jakie pięćdziesiąt kroków nad nimi igrały wciąż na murach czerwonawe błyski, które teraz, gdy Peppino zgasił pochodnię, stały się znacznie wyraźniejsze.

Posuwali się w milczeniu, hrabia prowadził Franza, jakby (szczególny to dar) widział w ciemnościach.

Ale i Franz orientował się coraz łatwiej, w miarę jak zbliżał się do tych odblasków, które ułatwiały im drogę.

Dotarli pod trzy arkady — najwyższa z nich stanowiła drzwi.

Arkady te wychodziły z jednej strony na korytarz, gdzie znajdował się hrabia z Franzem, z drugiej zaś na obszerną czworokątną salę otoczoną nyżami, takimi, o jakich mówiliśmy właśnie.

Pośrodku tej komnaty widniały cztery kamienie, na których wspierał się ongi ołtarz, o czym świadczył krzyż, co pozostał jeszcze nad nimi.

Jedyna lampa, stojąca na ściętej kolumnie, oświetlała blaskiem anemicznym

i chybotliwym dziwną scenę, jaka ukazała się oczom Franza i hrabiego, którzy stali w mroku.

Siedział tam jakiś człowiek odwrócony tyłem do trzech arkad, za którymi stali dwaj przybysze, i wsparłszy się łokciem o kolumnę, czytał.

Był to herszt bandy — Luigi Vampa.

Wokół niego ze dwudziestu bandytów, którzy roztasowali się wedle własnej fantazji, leżało w pelerynach na ziemi albo siedząc opierało się o potężną kamienną ławę otaczającą columbarium.

Każdy miał pod ręką strzelbę.

W głębi, milczący, zaledwie widzialny, podobny do cienia, spacerował wartownik wzdłuż i wszerz, pilnując otworu, który tylko dlatego dawał się dostrzec, że ciemności w tym miejscu były bardziej gęste.

Hrabia, uznawszy, że Franz już nacieszył oko malowniczym obrazem, przytknął palec do warg, aby nakazać towarzyszowi milczenie, wszedł po trzech schodach wiodących z korytarza do columbarium, a stamtąd, przez środkową arkadę — do izby. Zbliżył się do Vampy, ale herszt był taki zaczytany, że nie słyszał odgłosu kroków.

— Kto tu? — zawołał inny wartownik, mniej zajęty strażowaniem, widząc, jak w świetle lampy wyrasta za Luigim jakiś cień.

Wtedy Vampa zerwał się, wyciągając pistolet zza pasa.

Bandyci skoczyli na równe nogi, dwadzieścia luf karabinowych groziło hrabiemu.

— Cóż to — rzekł Monte Christo z absolutnym spokojem w głosie i twarzą kamienną — cóż to, mój Vampa, tak niegościnnie witasz przyjaciela?

— Do nogi broń! — zawołał herszt i jedną ręką dał znak rozkazujący, a drugą z respektem zdjął kapelusz.

I zwracając się do zagadkowej osobistości, która odgrywała główną rolę w tej scenie:

— Przepraszam, panie hrabio, ale tak dalece nie spodziewał się pańskich zaszczytnych odwiedzin, że nie poznałem pana.

— Zdaje się, mój Vampo, że pod każdym względem masz krótką pamięć — odparł hrabia — bo nie tylko zapominasz ludzkich twarzy, lecz i o umowach, jakie zawierasz z ludźmi.

— Jakimż to warunkom uchybiłem, panie hrabio? — zagadnął bandyta tonem człowieka, który, jeśli błąd popełnił, pragnie najszczerzej go naprawić.

— Czyż nie ustaliliśmy, że nietykalny jestem dla ciebie nie tylko ja, lecz i moi przyjaciele?

— Ale w czymże temu uchybiłem, ekscelencjo?

— Porwałeś dziś wieczorem i przywiozłeś tutaj wicehrabiego Alberta de Morcerf; owóż — ciągnął hrabia takim tonem, że Franz zdrzął — ten młodzieniec należy do moich przyjaciół, ten młodzieniec mieszka w tym samym hotelu co ja, ten młodzieniec jeździł przez tydzień po Corso moją kareta, a jednak, powtarzam, porwałeś go i przywiozłeś tutaj — mówił hrabia, wyciągając z kieszeni list — i nałożyłeś na niego okup jak na pierwszego lepszego.

— Czemuście mnie o tym nie uprzedzili? — zwrócił się herszt do swoich ludzi, którzy cofnęli się pod jego spojrzeniem. — Dlaczegoście narazili mnie na to, żem złamał słowo dane panu hrabiemu, który włada życiem nas wszystkich? Na rany Chrystusa! Gdybym przypuszczał, iż któryś z was wiedział, że ten młodzieniec jest przyjacielem jego ekscelencji, nie czekając, palnąłbym mu w łeb!

— A nie mówiłem panu, że to jakaś pomyłka? — zwrócił się hrabia do Franza.

— To pan hrabia nie jest sam? — zaniepokoił się Vampa.

— Jestem tu ze znajomym, do którego napisaliście ten list, bo chciałem mu dowieść, że Luigi Vampa słowa danego nie lamie. Niech ekscelencja raczy podejść — rzekł do Franza. — Luigi Vampa oświadczy panu osobiście, jak boleje nad swoją pomyłką.

Franz zbliżył się, herszt postąpił kilka kroków ku niemu.

— Witaj nam, ekscelencjo — rzekł. — Słyszał pan, co mówił hrabia i com na to odpowiedział; dodam jeszcze, że nie życzyłbym sobie podobnego nieporozumienia nawet za cenę czterech tysięcy piastrów, które wyznaczyłem za głowę pańskiego przyjaciela.

— Ale — ozwał się Franz, rozglądając się niespokojnie — gdzież jeniec?

— Spodziewam się, że nie stało mu się nic złego, nieprawdaż? — ozwał się hrabia marszcząc brew.

— Jeniec jest tam — oznajmił Vampa wskazując nyżę, przed którą spacerował wartownik-bandyta. — Powiem mu sam, że jest wolny.

Herszt skierował się ku nyży, którą wskazał jako więzienie Alberta. Franz i hrabia podążyli za Vampą.

— Co robi jeniec? — zapytał wartownika.

— Dalibóg, naczelniku, nie wiem. Z godzinę już nie słyszałem, żeby się poruszył.

— Pozwólcież, ekscelencjo! — rzekł Vampa.

Franz i hrabia weszli po ośmiu stopniach. Herszt, idący wciąż przed nimi, odciągnął zasuwę i pchnął drzwi.

Wtedy, w świetle lampy, takiej samej, jaka paliła się w columbarium, ujrzeni Alberta: zakutawszy się w pelerynę, której pożyczył mu jeden z bandytów, ułożył się w kącie i spał jak suseł.

— Nie najgorzej — tu hrabia uśmiechnął się w sposób sobie tylko właściwy — nie najgorzej jak na człowieka, którego mieliście rozstrzelać o siódmej rano.

Vampa spoglądał na Alberta nie bez podziwu. Nie mógł pozostać nieczuły na taki dowód odwagi.

— Pan hrabia miał rację — rzekł. — Taki człowiek musi być pańskim przyjacielem.

I podszedłszy do Alberta trącił go lekko w ramię:

— Czy ekscelencja — rzekł — nie raczyłby się obudzić? Albert przeciągnął się, a przetarłszy oczy, otworzył je.

— A, to naczelnik! Nie trzeba było, do licha, mnie budzić. Miałem nazbyt przyjemny sen: śniło mi się, żem u Torlonich tańczył galopkę z hrabiną G...!

Wyciągnął zegarek; nie oddał go bowiem, pragnąc orientować się, jak czas upływa.

— Pół do drugiej! — rzekł. — I po cóż u diabła, budzić mnie o tej porze?

— Ażeby powiedzieć ekscelencji, że jest wolny.

— Zapamiętaj sobie, kochasiu — ozwał się Albert z najzimniejszą krwią — zapamiętaj na przyszłość tę oto maksymę Napoleona Wielkiego: „Możecie mnie budzić tylko wtedy, kiedy nadejdą niedobre wieści”. Gdybyś dał mi spać, skończyłbym galopkę i byłbym ci wdzięczny póki życia... To już zapłacono okup?

— Nie, ekscelencjo.

— No to jakim cudem puszczacie mnie na wolność?

— Ktoś, komu niczego odmówić nie mogę, przybył upomnieć się o pana.

— Tutaj?

— Tutaj.

— Dalipan, przemily jakiś człowiek. Rozejrzawszy się, Albert spostrzegł Franza.

— Jak to? To ty, mój drogi, poświęciłeś się aż do tego stopnia?

— Nie ja, ale nasz sąsiad, pan hrabia de Monte Christo.

— Dalibóg, panie hrabio — powiedział wesoło Albert, poprawiając halsztuk i mankiety — jesteś pan człowiekiem doprawdy nieoszacowanym i mam nadzieję, że oblig, jakim zaciągnął wobec ciebie, będziesz pan uważał za wieczysty: mam na myśli przede wszystkim karetę, a następnie to, co stało się właśnie.

I wyciągnął rękę do hrabiego, a hrabia wzdygnął się, nim podał mu swoją — ale podał.

Bandyta nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia.

Przywykł oczywiście, że jeńcy drżeli przed nim, a tu znalazł się taki, który nie stracił ochoty do żartów.

Franz był ogromnie kontent, iż Albert zachował wobec bandyty honor narodu.

— Mój drogi — rzekł do Alberta — jeśli raczysz się pospieszyć, zdążymy jeszcze na bal u Torlonich; dokończysz przerwanej galopki, dzięki czemu nie zachowasz żadnej urazy do imć Luigiego, który postąpił, jak przystało na eleganckiego człowieka.

— A rzeczywiście, masz rację, zdążymy tam na drugą. Gości Luigi — ciągnął Albert — czy muszę dopełnić jakich formalności, nim pożegnaj waszą ekscelencję?

— Żadnych. Jesteś pan wolny jak ptak.

— No to życzę panu szczęścia i radości w życiu! Chodźmy, panowie, chodźmy.

Albert, a za nim Franz i hrabia zeszli po schodach i minęli czworokątną salę — bandyci wstali i zdjęli kapelusze.

— Peppino — powiedział herszt — daj mi pochodnię.

— A cóż to nowego? — spytał hrabia.

— Odprowadzę pana — odparł naczelnik — skoro w tej chwili nie mogę inaczej uhonorować waszej ekscelencji.

I wzięwszy zapaloną pochodnię z rąk pasterza, udał się przodem, nie jak lokaj zaprawiony w dziele służalczości, ale niby król wiodący ambasadorów. Stanąwszy u wyjścia, skłonił się nisko.

— Panie hrabio — rzekł — jeszcze raz przepraszam i mam nadzieję, że nie zachowa pan do mnie urazy za to, co zaszło.

— Nie, mój kochany Luigi, a zresztą naprawiłeś swoje błędy w sposób tak elegancki, że mam niemal ochotę być ci wdzięczny za nie.

— Panowie — podjął herszt, zwracając się do młodzieńców — może propozycja moja nie wyda wam się zbyt kusząca, ale gdybyście kiedykolwiek zechcieli odwiedzić mnie znowu, będę wam ogromnie rad.

Franz i Albert skłonili się.

Hrabia wyszedł pierwszy, za nim Albert, a Franz ociągał się jakoś.

— Ekscelencja chciałby spytać mnie o coś — zagadnął Vampa z uśmiechem.

— Przyznam się, że tak. Bardzo ciekaw, jakie to dzieło czytałeś pan tak uważnie, kiedyśmy weszli.

— „Komentarze” Cezara, to moja najulubiejsza książka.

— No co, nie idziesz? — zawołał Albert.

— Już, już! — odpowiedział Franz. I ukazał się w szczelinie.

Przeszli kilka kroków polem.

— Momencik — ozwał się Albert zwracając — pozwoli pan, panie naczelniku?

I zapalił cygaro od pochodni, którą trzymał Vampa.

— A teraz, panie hrabio — rzekł — jeśli można, pędźmy co koń wyskoczy. Niebawem zależy mi na tym, aby zakończyć tę noc u księcia Bracciano.

Kareta stała tam, gdzie ją zostawiono; hrabia rzucił Alemu tylko jedno arabskie słowo i konie pomknęły jak wicher.

Zegarek Alberta wskazywał drugą, kiedy obaj młodzieńcy zjawili się na sali balowej.

Wzbudziło to sensację — ale że weszli razem, zebrani przestali się niepokoić o Alberta.

— Łaskawa pani — rzekł wicehrabia de Morcerf, przystępując do hrabiny — wczoraj, w dobroci swojej, obiecałaś pani zatańczyć ze mną galopkę. Zjawiam się trochę za późno, aby przypomnieć o tej miłej obietnicy, ale przyjaciel mój, którego prawdomówność znasz pani, zapewni cię, że tu nie zawinił.

W tymże momencie zabrzmiała przygrywka do walca, Albert objął hrabinę wpół i zniknęli pośród wiru tańczących.

A Franz tymczasem rozmyślał o szczególnym drzeniu, jakie przejęło hrabiego Monte Christo, kiedy był w pewnym sensie zmuszony podać Albertowi rękę.

38. SPOTKANIE

Nazajutrz Albert, ledwie wstał, zaproponował Franzowi, aby złożyli hrabiemu wizytę, bo chociaż podziękował mu był wczoraj, przysługa tak ogromna wymagała powtórnego podziękowania.

Franz odczuwający w stosunku do hrabiego sympatię, która jednak mieszała się z trwogą, nie chciał dopuścić, by Albert poszedł sam do tego człowieka; udali się przeto we dwóch, lokaj wprowadził ich do salonu, a po pięciu minutach zjawił się hrabia.

— Panie hrabio — rzekł Albert, idąc ku niemu — pozwól, bym dziś rano powtórzył to, co wczoraj wyraziłem tak niezręcznie: nigdy nie zapomnę okoliczności, w jakich pomogłeś mi pan, i będę zawsze pamiętał, że właściwie uratowałeś mi życie.

— Drogi sąsiedzie — roześmiał się hrabia — przesadne masz pojęcie o swoim obliżu. Zaoszczędziłeś pan dzięki mnie coś niecoś ze swojego budżetu podróznego, najwyżej dwadzieścia tysięcy franków, sam pan widzisz, że nie ma o czym mówić. Zechciej pan natomiast przyjąć moje najgorętsze pochwały: okazałeś pan zadziwiającą brawurę i swobodę.

— A cóż miałem robić, panie hrabio! Wyobraziłem sobie, że poważniłem się z kimś paskudnie i że czeka mnie pojedynek, a tym bandytom chciałem dowieść jednego: ludzie biją się we wszystkich krajach, ale tylko Francuzi nie tracą przy tym humoru. Ale nie umniejsza to w niczym mojego obliżu wobec pana: zapytuję więc, czy ja albo moi przyjaciele nie moglibyśmy, dzięki naszym stosunkom, być panu użyteczni. Mój ojciec, Hiszpan z pochodzenia, ma znaczne wpływy zarówno we Francji, jak i w Hiszpanii, ja zaś oddaję panu do dyspozycji zarówno siebie, jak i wszystkich moich znajomych i przyjaciół.

— A, skoro tak, przyznam się panu, panie Albercie, że oczekiwałem tej propozycji i że przyjmuję ją z najszczęśliwszego serca. Bo zamierzam zresztą prosić pana o wielką przysługę.

— Jaką?

— Nie byłem nigdy w Paryżu, nie znam Paryża...

— Doprawdy? — zdumiał się Albert. — I pan żyłeś sobie spokojnie, nie znając Paryża? Nie do wiary!

— Hm, tak jakoś zeszło. Ale przyznaję panu, że stolicę myśli poznać muszę, i dłużej zwlekać mi nie wolno. Powiem coś jeszcze: może już od dawna odbyłbym tę nieodzowną podróż, gdybym znał kogoś, kto mógłby wprowadzić mnie w ów świat, gdzie żadnych stosunków nie mam.

— Nie pojmuję! Pan? — zawołał Albert.

— Bardzoś pan dla mnie łaskaw, ale że w braku innych przymiotów mógłbym jedynie konkurować jako milioner z panem Aguado czy z panem Rotszyldem, ociągałem się z tej drobnej przyczyny; nie pojechałbym przecież do Paryża, aby grać na giełdzie. Zdecydowałem się dzięki pańskiej propozycji. Podejmujesz się więc, drogi panie Albercie — (słowom hrabiego towarzyszył osobliwy uśmiech) — podejmujesz się więc, kiedy przyjadę do Francji, otworzyć przede mną drzwi owych salonów, gdzie będę równie obcy jak Huron albo mieszkaniec Indochin?

— Ależ panie hrabio, to pomysł cudowny, cieszę się najserdeczniej! A podejmę się tym chętniej (mój Franiu, nie naśmiewaj się zbyt ze mnie!), że wzywają mnie do Paryża listem, który otrzymałem dziś rano: mowa tam o pewnym aliansie, który mam podobno zawrzeć z domem nader przyjemnym i wybornie w Paryżu usytuowanym.

— Aliansie małżeńskim? — uśmiechnął się Franz.

— No tak, oczywiście. Toteż, kiedy wrócisz do Paryża, ujrysz mnie jako człeka statecznego i być może ojca rodziny. Będzie to pasowało do mojej wrodzonej powagi, nieprawdaż? Tak czy inaczej, powtarzam, drogi hrabio, że ja i moi najbliżsi należymy do pana duszą i ciałem.

— Przyjmuję, zapewniam bowiem pana, że brakowało mi tylko tej okazji, aby urzeczywistnić projekty, nad którymi przemyśliwam już od dawna.

Franz nie wątpił ani przez moment, iż owe projekty to te same, o których hrabia napomknął mu niby niechcący na wyspie Monte Christo. Kiedy więc hrabia mówił, spozrzał nań, usiłując wyczytać z jego fizjonomii, co właściwie ciągnie go do Paryża — ale niełatwo było przeniknąć duszę tego człowieka, zwłaszcza gdy maskował się uśmiechem.

— Ale, panie hrabio — podjął Albert zachwycony, że będzie wprowadzał w świat człowieka takiego jak Monte Christo — czy to nie jeden z owych projektów ulotnych, jakich tysiące przychodzi nam do głowy w czasie podróży, projektów pisanych na wodzie?

— Nie, na honor, mam ochotę pojechać do Paryża, a zresztą to nawet konieczne.

— I kiedy się pan wybierzesz?

— A pan kiedy wrócisz?

— Hm, no za dwa, najpóźniej za trzy tygodnie. Tyle mniej więcej trwa podróż.

— Daję panu trzy miesiące. Jak pan widzisz, liczę z okładem.

— I za trzy miesiące — uradował się Albert — zastukasz pan do moich drzwi?

— Mogę, jeśli pan chcesz, oznaczyć dokładnie dzień i godzinę spotkania: uprzedzam, że jestem rozpaczliwie punktualny.

— Dzień i godzinę — powtórzył Albert — cudownie!

— A więc umowa staje — tu sięgnął po kalendarz zawieszony obok zwierciadła. — Mamy dziś — rzekł — dwudziesty pierwszy lutego — wyciągnął zegarek — jest pół do jedenastej. Oczekuj mnie pan więc, jeśliś tak łaskaw, dwudziestego pierwszego maja o tej samej porze.

— Cudownie! Śniadanie będzie gotowe.

— Gdzie pan mieszka?

— Helderska 27.

— Czy mieszka pan sam? Nie chciałbym panu sprawić kłopotu.

— Mieszkam w pałacu ojca, ale mam pawilon całkiem oddzielny, w głębi dziedzińca.

— Wybornie.

Hrabia zapisał w notatniku:

Helderska 27, 21 maja, o pół do jedenastej.

— Owóż — powiedział hrabia, chowając notatnik do kieszeni — bądź pan spokojny: wskazówka pańskiego zegara nie okaże się punktualniejszą ode mnie.

— Zobaczymy się jeszcze przed moim Wyjazdem? — spytał Albert.

— To zależy. Kiedy pan wyjeżdżasz?

— Jutro, o piątej po południu.

— W takim razie pożegnam się panem. Mam coś do załatwienia w Neapolu, wrócę dopiero w sobotę wieczór albo w niedzielę rano. A pan — zwrócił się hrabia do Franza — też odjeżdża, panie baronie?

— Tak.

— Do Francji?

— Nie. Do Wenecji. Zabawię jeszcze we Włoszech ze dwa lata.

— To nie zobaczymy się w Paryżu?

— Obawiam się, że nie spotka mnie ten zaszczyt.

— Życzę więc panom szczęśliwej podróży — tu hrabia podał przyjaciółom rękę.

Franz dotknął ręki tego człowieka po raz pierwszy; zdrzął: była lodowata jak u trupa.

— A więc — rzekł Albert — trzymam pana za słowo: Helderska 27, 21 maja o pół do jedenastej rano.

Tu obaj młodzieńcy skłonili się i wyszli.

— Co ci się stało? — zapytał Albert Franza, kiedy wracali do siebie. — Jesteś mocno zatroskany.

— Tak, przyznam ci się, hrabia to wielki oryginał; niepokoi mnie trochę to wasze paryskie spotkanie.

— Niepokoi cię... to spotkanie! E, tyś chyba zwariował, mój drogi.

— Może i tak, ale, widzisz, coś mi się tu nie podoba.

— Słuchaj, rad jestem, że nadarzyła mi się okazja, aby ci to powiedzieć: spostrzegłem, żeś był zawsze wobec hrabiego jakiś chłodny, ja zaś, przeciwnie, nic zarzucić mu nie mogę: niepodobna było zachowywać się wobec nas uprzejmie. Czyżbyś miał do hrabiego jakąś osobistą anse?

— Hm, kto wie.

— Spotkałeś go gdzie dawniej?

— Otóż i to.

— Gdzie?

— A przyrzekasz, że nie powtórzysz nikomu ani słowa?

— Oczywiście.

— Słowo honoru?

— Słowo honoru.

— No, to posłuchaj.

I Franz opowiedział Albertowi o swojej wycieczce na Monte Christo, o napotkanej tam bandzie przemytników i o tym, że było między nimi dwóch bandytów korsykańskich. Odmalował szczegółowo feeryczną gościnę, jakiej doznał od hrabiego w grocie z „Tysiąca i Jednej Nocy”.

Opowiedział o wieczerzy, o haszyszu, o posągach, o śnie i o jawie, i o tym, jak po przebudzeniu pozostał mu tylko na dowód, iż to wszystko przeżywał, widok jachtu, niknącego na horyzoncie, a żeglującego do Porto-Vecchio.

Przeszedł następnie do faktów rzymskich: noc w Koloseum — rozmowa, jaką podsłuchał między nim a Vampą, dotycząca zaś Peppina, w której hrabia obiecał wyjednać dla bandyty ulaskawienie, i obietnicy dotrzymał — jak to czytelnik mógł osądzić.

Wreszcie wypadki ostatniej nocy: zakłopotanie, w jakie wprawilo go to, że nie znalazł całych czterech tysięcy piasłów; pomysł, aby udać się do hrabiego, uwiecznony sceną końcową — malowniczą, a zarazem radosną.

Albert chłonał słowa Franza.

— E, mój drogi — ozwał się, gdy przyjaciel skończył — i cóż w tym wszystkim złego? Hrabia podróżować lubi, a ma własny jacht, bo jest bogaty. Przejeżdż się do Portsmouth albo do Southampton, a zobaczysz port zapchany jachtami należącymi do bogatych Anglików, którzy mają podobne fantazje. Aby mieć na wycieczkach stały punkt oparcia, aby nie jadać tych obrzydliwości, którymi zatruwamy się obaj, ja od czterech miesięcy, a ty od lat czterech, aby nie spać na tych paskudnych łóżkach, bo właściwie zasnąć na nich nie sposób, urządził sobie mieszkanie na Monte Christo; skoro zaś je umeblował, boi się, aby rząd toskański nie wyrzucił go stamtąd. Nie chcąc tedy, aby wydatki poszły na marne, zakupił wyspę i wziął od niej nazwisko. Poszperaj, kochasiu, w pamięci i powiedz, ilu twoich znajomych wzięło nazwisko od majątku, którego nigdy nie byli właścicielami.

— Ależ u niego w załodze są bandyci korsykańscy!

— No to co? I cóż w tym nadzwyczajnego? Wiesz doskonale, że bandyci korsykańscy nie są zbójcami, ale po prostu zbiegami, ludźmi, których vendetta wygnała z ich miast czy wsi; można zatem zadawać się z nimi, nie kompromitując się. Oświadczam ci, że jeśli kiedy wybiorę się na Korsykę, złożę, nim się przedstawię gubernatorowi i prefektowi, wizytę bandytom Colomby, jeśli oczywiście mi się uda. To ludzie czarujący.

— Ale Vampa i jego banda to bandyci i rabusie zarazem, mam nadzieję, że mi nie zaprzeczysz. Hrabia cieszy się wśród tych ludzi ogromną powagą — cóż o tym sądzisz?

— Powiem ci, kochasiu, tylko tyle: owemu autorytetowi zawdzięczam życie, nie do mnie więc należy tu szczegółowa krytyka. Z tej racji, zamiast wytaczać hrabiemu sprawę gardłową, jak ty to czynisz, pozwolisz, że mu przebaczę, bo jeśli nawet nie ocalił mi życia (twierdzić, że ocalił mi je, byłoby lekką przesadą), tom dzięki jego protekcji zaoszczędził cztery tysiące piasłów, czyli w naszych pieniądzech okrągłe dwadzieścia cztery tysiące franków, a na taką sumę na pewno by mnie we Francji nie oszacowano; dowód — roześmiał się — że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju.

— Ale zastanów się dobrze: z jakiego kraju pochodzi hrabia? jaki jest jego język ojczysty? z czego właściwie żyje? skąd się wzięła ta jego olbrzymia fortuna? jaka była pierwsza część jego życia, tajemnicza i nieznana, która rzuciła na drugą cień posępnej mizantropii? Na twoim miejscu bardzo byłbym ciekaw tego wszystkiego.

— Mój Franiu — odpalił Albert — kiedy otrzymawszy list wywnioskowałeś, że potrzebujemy pomocy hrabiego, udałeś się do niego i rzekłeś: „Przyjacielowi mojemu, AlbertoVi de Morcerf, grozi niebezpieczeństwo, może byśmy tak wyciągnęli go wspólnymi siłami”, nieprawdaż?

— Tak.

— A czy on cię wtedy zapytał, co to za jeden ten pan Albert de Morcerf i kto go rodził? Skąd się wzięła jego majątek? Z czego żyje? Z jakiego kraju pochodzi? Pytał cię o to? Gadaj.

— Przyznam się, że nie.

— Przyjechał i basta. Wydobył mnie z rąk pana Vampy, u którego choć udawałem zucha, nie czułem się znowu tak nadzwyczajnie, co tu ukrywać. Owózkochasiu, jeśli w zamian za taką przysługę prosisz, abym zrobił dla niego to, co się robi dla pierwszego lepszego rosyjskiego czy włoskiego księcia, który zawita do Paryża, to znaczy wprowadził go w świat, mam odmówić? Zwariowałeś, Franiu, czy myślisz?

Wbrew zwyczajowi powiedzieć trzeba, że cała słuszność była tym razem po stronie Alberta.

— Przecież, mój drogi hrabio — uśmiechnął się Franz — zrobisz, jak uważasz; przyznaję, że wszystko, co mówisz, jest jak najsluszniejsze; a że hrabia Monte Christo jest wielkim oryginałem, to rzecz inna.

— Hrabia Monte Christo to filantrop. Nie powiedział ci, po co wybiera się do Paryża. Chce ubiegać się o nagrodę Montyona; cóż, po to, żeby ją uzyskać, będzie potrzebował tylko mojego głosu i protekcji owego szpetnego pana, od którego nagroda zależy, dam hrabiemu swój głos, a protekcję zapewnię. Dość już na ten temat, miły Franiu, przegryźmy coś i chodźmy po raz ostatni do Świętego Piotra.

Stało się, jak zapowiedział Albert: nazajutrz o piątej po południu młodzieńcy pożegnali się — Albert de Morcerf wyruszył do Paryża, a Franz d'Epinay na dwa tygodnie do Wenecji.

Lecz Albert, nim wsiadł do kolasy, wręczył — lękając się, by hrabia nie skrewił — chłopcu hotelowemu swój bilet wizytowy dla hrabiego Monte Christo. Pod napisem

Wicehrabia Albert de Morcerf

skreślił ołówkiem:

21 maja o pół do jedenastej rano, Hhelderska 27.

TOM II

1. BIESIADNICY

Rankiem dwudziestego pierwszego maja w domu na ulicy Hhelderskiej, gdzie Albert jeszcze w Rzymie wyznaczył był spotkanie hrabiemu Monte Christo, służba uwijała się, aby młodzieniec wystąpił z honorem.

Albert zajmował pawilon w rogu obszernego dziedzińca, naprzeciwko mieszkań dla służby.

Tylko dwa okna pawilonu wychodziły na ulicę; trzy były od dziedzińca, dwa od ogrodu.

Między dziedzińcem a ogrodem wznosił się szpetny, bo wybudowany w stylu Cesarstwa, okazały i modny pałac hrabiostwa de Morcerf.

Posesję tę odgradzał, na całą jej szerokość, od ulicy potężny mur ozdobiony w równych odstępach wazami z roślinnością, w środku zaś rozdzielony kratą o złożonych włóczniach: była to brama paradna; furtki, przylepionej jakby do domku odźwiernego, używała służba albo i państwo, jeśli wychodzili pieszo.

Pawilon przeznaczony na mieszkanie dla Alberta, był jawnym dowodem subtelnej troskliwości matki, która nie chcąc rozstawać się z synem, rozumiała jednak, iż młodzieniec w jego wieku potrzebuje całkowitej swobody.

Z drugiej zaś strony dostrzegało się, powiedzieć to musimy, mądry egoizm młodzieńca rozkochanego w życiu niczym nie skrępowanym i leniwym, jakie chłopak z dobrego domu wie dzie w swojej złoczonej klatce.

Przez dwa okna od ulicy Albert mógł obserwować, co się dzieje na świecie.

Widok taki jest niezbędny dla młodzieńca, który lubi, żeby ten i ów pojawiał się co i raz na horyzoncie, choćby nawet ulicznym! Następnie, jeśli coś zaobserwował, a rezultat obserwacji zdawał się zasługiwać na głębsze badania, Albert mógł, aby oddać się poszukiwaniom, wyjść furtką podobną do tej, którą wskazaliśmy przy domku odźwiernego, a wartą szczególniejszej wzmianki.

Była to furteczka niby zapomniana przez wszystkich już w dniu, kiedy dom zbudowano, furteczka, o której powiedziałaś, że nikt nigdy jej nie przestąpi, taka była niepozorna i zakurzona — ale zamki i zawiasy miała starannie naoliwione, co świadczyło, iż otwierano ją często i w tajemniczych celach.

Chytra ta furteczka robiła konkurencję dwóm innym wejściom, a kpiała sobie z czujności i władzy odzwiernego, otwierając się niby słynne wrota jaskini z „Tysiąca i Jednej Nocy”, niby zaklęty Sezam Ali Baby, jeśli ktoś wymówił kabalistyczne słowa albo zastukał w sposób umówiony — słowa te musiał wymawiać głos nadzwyczaj melodyjny, stukać musiały paluszki najdelikatniejsze pod słońcem.

Na końcu szerokiego i cichego korytarza, dokąd wchodziło się przez ową furteczkę, a będącego przedSIONKIEM, widniały po prawej drzwi do jadalni Alberta — z oknami na dziedziniec, a po lewej do saloniku — z oknami na ogród.

Kępy krzewów, pnącze, rozpięte w wachlarz naprzeciw okien, zasłaniały od podwórza i od ogrodu wnętrze tych dwóch pokoi (jedynych na parterze) przed niedyskretnymi spojrzeciami.

Na pierwszym piętrze także dwa pokoje — i jeszcze jeden nad przedSIONKIEM.

Były to salon, sypialnia i buduar.

W salonie dolnym, wysłanym poduszkami algierskimi, mieściła się palarnia.

Buduar sąsadował z sypialnią, i miał ponadto drzwi sekretne, wychodzące na schody.

Widzimy, że przedSIĘWZIĘTO wszelkie środki ostrożności.

Nad pierwszym piętrem królowała „pracownia” — ogromna, ponieważ wyburzono tu ściany wewnętrzne i przepierzenia: pandemonium, gdzie artysta ubiegał się o lepsze z dandysem.

Znaleźlibyście tutaj, a było ich mnóstwo, wszelkie widome ślady fantazji Alberta; rożki, skrzypce, altówki i flety (cała orkiestra), gdyż Albert przez krótki czas gustował w muzyce — nie było to jednak upodobanie, lecz kaprys; sztalugi, palety, farby — bo po zachceniach muzycznych przyszła kolej na pretensje do malarstwa; wreszcie florety, szpady, rękawice bokserskie i laski wszelkiego rodzaju, gdyż wierny tradycjom ówczesnych złotych młodzieńców, Albert uprawiał z wielką wytrwałością niż okazał to przy muzyce i malarstwie, trzy sztuki dopełniające edukacji męskiej, to znaczy fechtunek, boks i walkę na kije — a w opisanym pomieszczeniu przystosowanym do ćwiczeń cielesnych brał lekcje od Grisiera, Cooksa i Karola Lecour.

Umeblowanie tej szacownej sali stanowiły skrzynie z czasów Franciszka I, pełne porcelany chińskiej, waz japońskich; fajansów Lucca delia Robii i półmisków Bernarda Palissy; antyczne fotele, na których siadali może Henryk IV albo Sully, Ludwik XIII albo Richelieu — dwa bowiem z nich ozdobione rzeźbionymi herbami: na lazurowym tle trzy lilie Bourbońskie a nad nimi królewska korona — pochodziły jeśli nie z lamusów Luwru, to na pewno z jednego z królewskich zamków.

Na tych fotelach barwy surowej i ciemnej leżały w nieładzie bogate i pstre tkaniny, ubarwione słońcem Persji, lub też arcydzieła kobiet z Kalkuty czy z Chandernagoru.

Nie wiadomo, co tutaj robiły te tkaniny.

Czekały, radując oko, przeznaczenia, którego nie znał sam ich właściciel, a czekając rozświetlały pokój złotawym i jedwabistym lśnieniem.

Na honorowym miejscu pysznił się fortepian z różanego drzewa — dzieło Rollera i Blancheta; fortepian ów, pasujący rozmiarami do naszych lilipucich salonów, taił jednak w ciasnym i dźwięcznym pudle całą orkiestrę, a uginał się pod stosami arcydzieł Beethovena, Webera, Haydna, Mozarta, Porpory, i Gretry'ego.

Poza tym wszędzie — pod ścianami, nad drzwiami, na suficie: szpady, sztylety, krysy, maczugi, topory, broje złożone, damasceńskie, inkrustowane; zielniki i rzadkie minerały; ptaki wypchane, otwierające do nieruchomego lotu purpurowe skrzydła i dzioby, których już nigdy nie miały zamknąć.

Oczywiście Albert najbardziej tu przebywać lubił.

Ale w dzień spotkania młodzieniec nasz, w wykwinnym negliżu, zainstalował się, aby wydawać rozkazy, w saloniku na parterze.

Tu, na stole otoczonym sofą szeroką i miękką, widniały wszelkie gatunki tytoniu: od jasnożółtego, petersburskiego, do czarnego synajskiego, poprzez maryland, portorico i lataké — złocąc się w fajansowych naczyniach o spękanej polewie, za jakimi przepadają Holendrzy.

Obok, w szkatułach z aromatycznego drzewa, leżały uszykowane wedle wielkości i odmiany cygara: puros, regalia; hawańskie i manilskie.

Na koniec w szafie otwartej na roścież oglądać mogłeś kolekcję fajek: niemieckie, tureckie o usznikach z bursztynu, ozdobione koralem, nargile inkrustowane złotem i o długich cybuchach safianowych zwiniętych niby węże. Wszystko to czekało na zachcenie albo kaprys palacza.

Albert sam czuwał, jak uładzono, a raczej rozkładano w artystycznym nieładzie te przybory, które biesiadnik współczesny, wypiwszy kawę, kontemplować lubi poprzez obłoki dymu, co wydobywając się z ust ulatuje pod sufit długimi kapryśnymi spiralami.

Za kwadrans dziesiąta wszedł lokaj.

Był to stajenny piętnastoletni, imieniem John, mówiący jedynie po angielsku. Innego sługi Albert nie trzymał.

Miał oczywiście zawsze do dyspozycji kucharza pałacowego, a w nadzwyczajnych okazjach ojciec oddawał mu na usługi swojego strzelca.

Lokaj ów, cieszący się absolutnym zaufaniem młodego pana, położył właśnie na stole plik gazet, Albertowi zaś wręczył paczkę listów.

Spojrzawszy z rozrządzeniem na tę korespondencję rozmaitego rodzaju, Albert wybrał dwie perfumowane koperty, na których widniały litery kreślone delikatną ręką. Rozpieczętował je, a listy przeczytał z niejaką uwagą.

— Jaką drogą nadeszły te listy? — zapytał.

— Jeden pocztą, a drugi przyniósł mi lokaj pani Danglars.

— Każ powiedzieć pani Danglars, że przyjmuję miejsce w jej łoży... Zaczekaj, zaczekaj... Wstąpisz później do Róży i zawiadomisz ją, że skorzystam z zaproszenia: przyjdę do niej na kolację po Operze; dostarczysz tam sześć butelek wyborowego wina: cypryjskie, malaga i xeres, a także beczułkę ostryg ostendzkich; weźmiesz je od Borela, tylko nie zapomnij powiedzieć, że to dla mnie.

— O której jaśnie pan każe podać do stołu? — A teraz która godzina?

— Za kwadrans dziesiąta.

— Hm, punktualnie o pół do jedenastej. Debray może będzie musiał iść do biura... A zresztą... — (Albert zajrzał do notatnika) — na tę właśnie godzinę zaprosiłem hrabiego; dwudziesty pierwszy maja, pół do jedenastej rano, i chociaż nie bardzo jakoś w tę jego obietnicę wierzę, chcę być akuraty. Aha, nie wiesz przypadkiem, czy pani hrabina już wstała?

— Jeśli pan hrabia sobie życzy, dowiem się.

— Dobrze... i poprosisz, żeby przysłała mi trochę likierów, bo mój kredensik już niepełny. Oznajmisz pani hrabinie, że będę miał zaszczyt odwiedzić ją około trzeciej i że pytam, czy pozwoli, bym przedstawił jej kogoś.

Lokaj wyszedł.

Albert rzucił się na sofę, rozdarł opaski paru dzienników, spojrzął na program spektakli, skrzywił się, tego bowiem dnia dawano operę, a nie balet, jał szukać na próżno w ogłoszeniach perfumiarzy pasty do zębów, którą mu zachwalano, i ciskając precz, jedną po drugiej, najpopularniejsze gazety paryskie, ziewał na całe gardło.

— Doprawdy, te gazety robią się coraz nudniejsze — mrucał.

W tymże momencie przed drzwiami zatrzymał się wolant, a po chwili wszedł lokaj i oznajmił pana Lucjana Debray.

Zjawił się młodzieniec jasnowłosy, wysoki, blady. Z szarych jego oczu przebijała pewność siebie, a z wąskich warg — chłód. Miał na sobie frak błękitny ze złotymi cyzelowanymi guzami i biały halsztuk. Na jedwabnej tasiemce wisiał monokl w oprawie szylkretowej, który udawało mu się czasem, dzięki wysiłkom mięśni policzka, utrzymać w oczodole. Wkroczył z miną na poły urzędową, nie uśmiechnąwszy się i nic nie powiedziawszy.

— A, jak się masz, Lucjanie, jak się masz! — ozwał się Albert. — Przerażasz mnie swoją punktualnością. Bo to i więcej niż punktualność! Spodziewałem się, że przyjdiesz ostatni, a ty jesteś już za pięć dziesiąta, chociaż ostateczny termin wyznaczyłem na pół do jedenastej. Cuda, cuda! A może to rząd upadł przypadkiem?

— Nie, rybeńko — odpowiedział młodzieniec, moszcząc się wygodnie na sofie. — Uspokój się, chwiejemy się wciąż, ale nigdy nie upadamy. Zaczynam wierzyć, że zarabiamy po trochu na dożywocie, nie mówiąc o tym, że sprawa Półwyspu skonsolidowała nas do reszty.

— A, rzeczywiście! Wypędzacie don Carlosa z Hiszpanii.

— O nie, rybeńko, nie mylmy pojęć: transplantujemy go tylko z jednej strony granicy na drugą — do Francji, i ofiarowujemy mu królewską gościnę w Bourges.

— W Bourges?

— A tak, i nie ma, do diabła, na co się skarżyć! Bourges to obecnie stolica Karola VII. Jak to, nic nie wiedziałeś? Cały Paryż mówi o tym od wczoraj, a onegdaj rzecz przeniknęła na Giełdę, bo pan Danglars (nie pojmuję, jakim cudem ten jegomość otrzymuje wiadomości w tymże czasie co i my) zagrał na hossę i zarobił milion.

— A ty, zdaje się, nowy orderek, bo widzę, że przybyła ci niebieska wstążeczka.

— Tak, przysłali mi medal Karola III — odrzekł niedbale Debray.

— No, nie udawaj obojętnego, przyznaj, że to miły prezent.

— Ja myślę! Jako uzupełnienie toalety, medal pasuje do czarnego fraka zapinanego pod szyję. Owszem, elegancko wygląda.

— Tak — uśmiechnął się Morcerf — człowiek przypomina wtedy księcia Walii albo księcia Reichstadtu.

— A wiesz, rybeńko, dlaczego zjawił się tak wcześnie?

— Boś dostał order i chciałeś się pochwalić.

— Nie. Bom całą noc ekspediował listy: dwadzieścia pięć depech dyplomatycznych. Wróciwszy o świcie, próbowałem zasnąć; ale rozboleła mnie głowa, wstałem więc, aby pojeździć godzinę konno. W Lasku Bulońskim chwycił mnie głód i nuda: dwaj ci wrogowie rzadko występują razem, a jednak sprzymierzyli się przeciwko mnie. To coś jak alians karlistowski-republikański; przypomniałem sobie, że dziś biesiada u ciebie — jestem więc; jeść mi się chce — nakarmże głodnego; nudzi mi się — to mnie zabaw.

— To, kochasiu, mój obowiązek gospodarza — odrzekł Albert, dzwoniąc na lokaja. Lucjan tymczasem podrzucał końcem szpicruty, ozdobionej złotą gałką wysadzaną turkusami, rozłożone gazety. — Hermanie, xeres i biszkopy. Zaraz poda, a ty, drogi Lucku, zapal cygaro, pochodzi oczywiście z kontrabandy; spróbuj i namów swojego ministra, żeby sprzedawał nam coś w tym rodzaju, a nie paskudne liście orzechowe, na które skazuje obywateli.

— O, do diabła! Tego nie zrobię. Gdyby rząd zaczął sprowadzać cygara, uznałbyś je od razu za szkaradne. A zresztą, cóż mają do tego sprawy wewnętrzne, to rzecz finansów. Zwróć się do pana Humanna, wydział dostaw pośrednich, korytarz A, pokój 26.

— Doprawdy, imponują mi twoje wiadomości. Ale weźże cygaro.

— Ach, drogi hrabio — rzekł Lucjan, zapalając manilę od różowej świecy, która płonęła w złoconym lichtarzu, i wyciągając się na sofie — ach! drogi hrabio, jaki z ciebie szczęściarz, że nic nie robisz! Doprawdy, nie znasz własnego szczęścia!

— A cóż byś ty robił, mój ty drogi pacyfikatorze królestw — podchwycił Albert z taką ironią — gdybyś nic nie robił? Jak to! Sekretarz osobisty ministra, biorący udział zarówno w wielkiej kabale europejskiej, jak i w drobnych paryskich intrygach, ty, któremu zlecono, byś chronił królów, a co ważniejsze — królowe, godził stronnictwa i kierował wyborami; ty, który siedząc w swoim gabinecie więcej działasz piórem i za pomocą telegrafu, niżli Napoleon na polu bitwy działał mieczem i zwycięstwami; ty, który posiadasz dwadzieścia pięć tysięcy liwrow renty, nie licząc wynagrodzenia ministerialnego; ty właściciel konia, za którego Château-Renaud dawał ci czterysta ludwików, a ty ich nie przyjąłeś; ty, któremu krawiec nie sfuszeruje nigdy pantalonów; ty, który bywasz w Jockey- Clubie, w Operze i w Rozmaitościach, nie widzisz w tym wszystkim nic, co mogłoby cię rozerwać? Dobrze, skoro tak, to cię zabawię.

— W jaki sposób?

— Poznasz dziś u mnie kogoś.

— Kobietę czy mężczyznę?

— Mężczyznę.

— E, znam już wielu.

— Ale nie znasz takiego jak ten.

— A skądże on się wziął? Spadł z nieba?

— Kto wie.

— Niech go diabli!... Mam nadzieję, że nie razem z naszym śniadaniem?

— Bądź spokojny. Śniadanie pichci się w kuchni, u mamy. A co, możeś głodny?

— Owszem, choć przyznać się do tego — rzecz ponizająca. Ale byłem wczoraj na obiedzie u państwa de Villefort, i zauważyłeś to chyba mój drogi, u każdego prokuratora jada się szkaradnie; jakby tych ludzi wciąż gryzło sumienie.

— No, no, nie obgaduj bliźnich, bo jak się jada u twoich ministrów?

— Tak, ale my przynajmniej nie zapraszamy ludzi dobrego tonu; a gdybyśmy nie musieli zaszczycać obiadami różnej hołoty posłusznej rządowi, a przede wszystkim głosującej, jak trzeba, unikalibyśmy tych naszych przyjęć, jak zarazy, wierz mi, proszę.

— Wobec tego, mój drogi, napij się jeszcze xeresu, a tu masz biszkopty.

— Z przyjemnością, bo wina hiszpańskie u ciebie wyborne; jak widzisz mieliśmy całkowitą rację pacyfikując ów kraj.

— Tak, ale co z don Carlosem?

— No cóż, don Carlos będzie pijał wina bordeaux, a za dziesięć lat ożenimy jego syna z młodziutką królową.

— A ty, jeśli będziesz jeszcze w ministerium, dostaniesz za to Złote Runo.

— Nie wyobrażaj sobie, Albercie, że nasycę się kadzidłami, którymi systematycznie dziś mnie częstujesz.

— Przyznaj mi, że nic tak jak one nie pobudza apetytu; ale słyszę w sieni głos Beauchampa: pokłóćcie się, a to wam skróci czekanie.

— A cóż ma być powodem kłótni?

— Gazety.

— O, drogi przyjacielu — rzekł Lucjan z królewską pogardą — ja gazet nie czytuję.

— W takim razie jeszcze jeden powód do tym zajadlejszej kłótni.

— Pan Beauchamp! — oznajmił lokaj.

— Chodźże tu, chodźże, człowieku najokrutniejszego pióra! — zawołał Albert, spiesząc naprzeciw młodego dziennikarza. — Jest Lucjan, który cię nienawidzi, choć nie czyta; tak przynajmniej twierdzi.

— I ma świętą rację — odparł Beauchamp — bo ja go krytykuję, nie wiedząc nic o jego zajęciach. Jak się masz, komandorze.

— A, to już się dowiedziałeś? — odrzekł sekretarz osobisty i wymienił z dziennikarzem uścisk dłoni i uśmiech.

— No jakżeż!

— I co o tym mówią w świecie?

— Zależy w jakim, bo różne mamy w roku pańskim 1838.

— No, w świecie krytyczno-politycznym, gdzie jesteś jednym ze lwów.

— A, powiedziano tam, że ci się to słusznie należy: zasiałeś tyle czerwieni, że wyrósł błękitny kwiatek.

— Ho, ho, niegorszy koncept — odparł Lucjan. — Czemuż nie należysz do nas, mój drogi? Przy takim dowcipie zajęchałbyś daleko, i to w lat parę.

— Toteż, aby zastosować się do twojej rady, czekam tylko na jedno: na rząd, który by przetrwał pół roku. A teraz do ciebie słówko, drogi Albercie, bo niechże ten biedny Lucjan odsapnie. Wydajesz śniadanie czy obiad? Muszę być w Izbie. Rzemiosło nasze, jak widzicie, nie zawsze jest usłane różami.

— Tylko śniadanie. Czekamy jeszcze na dwie osoby, a siadamy do stołu, jak przyjdą.

— I cóż to za osoby? — spytał Beauchamp.

— Szlachcic i dyplomata.

— No to szlachcic się spóźni o dwie godzinki, a dyplomata o dwie godziny. Zjawię się przy wetach. Zostaw mi poziomki i kawę i nie wypalcie wszystkich cygar. Zjem kotlet w Izbie.

— Nie kłopotz się, bo choćby szlachcic był Montmorencym, a dyplomata Metternichem, siadamy do stołu punkt jedenasta; a tymczasem skosztuj, jak i Lucjan, xeresu i biszkoptów.

— No, w takim razie zostaję. Koniecznie mi dziś potrzebna jakaś rozrywka.

— Oho! Zupełnie jak Lucjanowi. A myślałem jednak, że kiedy ministrowie się smućą, opozycja się raduje.

— E, bo widzisz, mój drogi, nie masz pojęcia, co mi grozi. Mam dziś rano wysłuchać w Izbie Poselskiej mowy pana Danglarsa, a wieczorem, u jego małżonki, tragedii, którą napisał par Francji. Niech diabli wezmą ten rząd konstytucyjny! A skoro, jak powiadają, mogliśmy wybierać, czemu wybraliśmy właśnie taki?

— Rozumiem, że musisz zaopatrzyć się w wesołość.

— Nie psioczyłbyś na mowy pana Danglarsa — rzekł Debray. — Głosuje za tobą, należy do opozycji.

— W tym sęk! Czekam, kiedyż wreszcie poślecie go do Pałacu Luksemburskiego, żeby tam gadał, bo wtedy będę śmiał się do woli.

— Mój drogi — zwrócił się Albert do Beauchampa — wiem już na pewno, że uładzono się z kwestią hiszpańską, boś zjadliwy dziś do przesady. Przypomnij sobie jednak, że w kronice paryskiej była wzmianka o moich zaręczynach z panną Eugenią Danglars. Nie mogę więc dopuścić, gdyż inaczej miałbym wyrzuty sumienia, abyś postponował talenty krasomówcze człowieka, który powie mi pewnego dnia: „Panie hrabio, wiadomo panu, że daję Eugenii dwa miliony”.

— E, przestań! — zachnął się Beauchamp. — Ten mariaż nigdy nie dojdzie do skutku. Król mógł mianować Danglarsa baronem, będzie mógł mianować go parem, ale nigdy nie uzna w nim szlachcica; a hrabia de Morcerf, żołnierz arystokrata, i to jaki! nie zgodzi się, dla dwóch marnych milionów, na mezalians. Wicehrabia de Morcerf winien poślubić jedynie margrabiankę.

— Dwa miliony to jednak piękna sumka — rzekł Morcerf.

— To kapitał spółki posiadającej teatr bulwarowy albo kolejkę żelazną.

— Niech on sobie gada, Albercie — rzucił nonszalancko Debray — a ty się żeń. Poślubisz etykietę worka, nieprawdaż? No i pięknie! Nie zwracaj sobie tym głowy! Lepsza taka etykieta, gdzie masz o jeden herb mniej, ale o jedno zero więcej. Z siedmiu ptaszków zdobiących twój herb trzy podarujesz żonie, a dla ciebie zostanie cztery. Będziesz miał i tak o jednego ptaszka więcej niż Gwizjusz, niedoszły król Francji, a krewniak cesarza austriackiego.

— Dalibóg, chyba masz rację — odpowiedział z roztargnieniem Albert.

— Na pewno mam! A zresztą każdy milioner jest, jak i bastard, szlachcicem; to znaczy może nim być.

— Przestań pleść, Lucjanie — roześmiał się Beauchamp — bo nadchodzi Château-Renaud, który, abyś wyleczył się z manii paradoksów, przeszyje cię szpadą swojego przodka, Renaud de Montaubana.

— -E, splamiłby się, bom niskiego, arcyniskiego pochodzenia.

— Świetne! — zawołał Beauchamp. — Przedstawiciel rządu wyśpiewuje jak sam Béranger. O Boże, dokąd my idziemy?!

— Pan de Château-Renaud! Pan Maksymilian Morrel! — oznajmił lokaj dwóch nowo przybyłych.

— Morrel? — zdziwił się Albert. — Morrel? A cóż to za jeden?...

Ale nim- dokończył zdania, pan de Château-Renaud, mężczyzna piękny, trzydziestoletni, szlachcic w każdym calu — to znaczy uroda Guiche'a i dowcip Mortemarta — ujął go za rękę.

— Pozwól, mój drogi, że ci przedstawię pana Maksymiliana Morrela, kapitana spahisów, mojego przyjaciela, a co więcej — zbawcę. A zresztą nie wymaga on prezentacji. Pokłońże się, hrabio, bohaterowi.

I usunął się, aby przepuścić młodzieńca szlachetnej postawy, rosnącego; o czole wysokim, bystrych oczach i ciemnym wąsie. Czytelnik poznał go był w Marsylii, gdzie Morrel wystąpił w okolicznościach dość dramatycznych — nie zapomniał więc o nim może.

Bogaty mundur, na poły francuski, a na poły wschodni, noszony z nadzwyczajną elegancją, uwydatniał szeroką pierś, na której błyszczał krzyż Legii Honorowej, i podkreślał smukłość talii.

Młody oficer skłonił się z wykwinną grzecznością — każdy ruch jego odznaczał się wdziękiem, gdyż Morrel był silny.

— Łaskawy panie — ozwał się Albert z kurtuazją pełną serdeczności — baron de Château-Renaud przewidział, jaką sprawi mi radość przyprowadzając tu pana. Jesteś pan jego przyjacielem, bądźże i naszym.

— Ślicznie to powiedziałeś — rzekł Château-Renaud — i życzę ci, mój drogi, aby w podobnym wypadku pan kapitan zrobił dla ciebie to, co zrobił dla mnie.

— A cóż to było takiego? — spytał Albert.

— O, nie warto mówić — powiedział Morrel — baron przesadza.

— Jak to! — obruszył się Château-Renaud. — Mówić nie warto? Nie warto mówić o życiu!... Doprawdy, drogi kapitan ujmuje rzecz nazbyt filozoficznie... Dobrze to dla pana, bo co dzień życie narażasz, ale ja narażem jeden raz, i to przypadkiem...

— Widzę z tego tylko to, że pan kapitan uratował ci życie.

— No właśnie, po prostu! — rzekł Château-Renaud.

— W jakich okolicznościach? — zawołał Beauchamp.

— Mój drogi, wiesz, że umieram z głodu — zniecierpliwził się Debray — a ty zaczynasz go teraz wypytywać.

— Ale przecież to nie przeszkadza — odparł Beauchamp — żebyśmy siedli do stołu... Château-Renaud opowie tę historię przy stole.

— Moi drodzy — rzekł Albert — dopiero kwadrans po dziesiątej. Zważcie, że jeszcze na kogoś czekamy.

— A rzeczywiście, na tego dyplomata — ozwał się Debray.

— Dyplomata albo i nie, bo właściwie nie wiem, kto on taki, wiem tylko, że w swojej sprawie obarczyłem go poselstwem, z którego wywiązał się tak znakomicie, że gdybym był królem, mianowałbym go nie czekając kawalerem wszystkich moich orderów, choćbym dysponował naraz i Złotym Runem, i Podwiązką.

— Skoro więc nie siadamy jeszcze do stołu — rzekł Debray — nalej sobie xeresu, tak jak myśmy to zrobili sami, a ty, baronie, opowiadaj.

— Wiecie wszyscy, jakem wpadł na pomysł, żeby wybrać się do Afryki.

— Szlakiem wytkniętym przez twoich pradziadków, mój drogi — ozwał się dwornie Albert.

— Tak, ale wątpię, czyś chciał jak oni oswobadzać grób Jezusa Chrystusa — wtrącił Beauchamp.

— I masz rację — odrzekł młody arystokrata. — Chciałem ot tak, z amatorską, postrzelać z pistoletu. Jak wiecie, zbrzydziłem sobie pojedynki od czasu, kiedy sekundanci, których wybrałem, aby uregulować pewną sprawę, zmusili mnie, bym roztrzaskał rękę najlepszemu przyjacielowi... no, temu biednemu Franzowi d'Épinay, znacie go wszyscy.

— A, prawda — ozwał się Debray — strzelaliście się kiedyś... A dlaczego?

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli pamiętam. Przypominam sobie jedynie to:
zawstydzony, że marnuję takie talenta, postanowiłem wypróbować na Arabach nowe pistolety, które dostałem w prezencie. Z tej racji pojechałem statkiem do Oranu; z Oranu podążyłem do Konstantyny i przybyłem tam w momencie, kiedy odstępowaliśmy od oblężenia. Zawróciłem przeto z innymi. Przez dwie doby znosiłem niezgorzej w dzień słońce, a nocą śnieg; ale trzeciego dnia, rankiem, koń mój padł z zimna. Biedak! Przywykł był do derek i ogrzewanej stajni... arab, ale poczuł się w Arabii trochę obco — na dziesięciostopniowym mrozie.

— A, to dlatego chcesz kupić ode mnie mojego angiika — ozwał się Debray. — Wyobrażasz sobie, że będzie lepiej znosił mrozy.

— Mylisz się. Ślubowałem, że nigdy już do Afryki nie pojedę.

— To aż tak się wystraszyłeś? — zagadnął Beauchamp.

— O właśnie, i nie skrywam tego! Koń mój padł więc; kiedy szedłem pieszo, przygalopowało sześciu Arabów, aby uciąć mi głowę; dwóch powaliłem z fuzji, dwóch — z pistoletów, bo strzelałem celnie, ale zostali jeszcze dwaj, a już byłem bezbronny. Jeden złapał mnie za włosy, dlatego noszę dziś krótkie, bo nie wiadomo, co się jeszcze, może zdarzyć; drugi przyłożył mi do szyi jatagan i czułem już ostry chłód żelaza, kiedy pan kapitan dopadł Ich, zabił z pistoletu tego, co mnie trzymał za włosy, a temu, który szykował się poderżnąć mi gardło, rozplątał łeb pałaszem. Kapitan postanowił ocalić kogoś tego dnia, a przypadek zechciał, że ocalił mnie; jak się wzbogacę, zamówię u Klangmanna albo Marochettiego rzeźbę wyobrażającą Przypadek.

— Tak — uśmiechnął się Morrel — było to piątego września, czyli w rocznicę dnia, kiedy mój ojciec został cudownie ocalony; jakoż póki życia będę święcił ów dzień uczynkiem...

— Bohaterskim, nieprawdaż? — przerwał mu Château-Renaud. — Krótko mówiąc, zostałem wybrany. Ale to jeszcze nie wszystko: uratowawszy mnie od śmierci, kapitan uratował mnie od zimna, oddając mi nie połowę płaszczka, jak to uczynił święty Marcin, ale cały; następnie od głodu, podzieliwszy ze mną zgadnijcie co...

— Pasztet od Felixa? — rzucił Beauchamp.

— Nie. Własnego konia: z wielkim apetytem zjedliśmy po kawałku, a ciężka to była...

— Wiem, wiem, konina jest ciężkostrawna — roześmiał się Albert.

— Ależ nie, ofiara. Spytaj Lucjana, czy poświęciłby swojego angiika dla kogoś zupełnie obcego.

— Dla obcego nie, ale dla przyjaciela, kto wie — odrzekł Debray.

— Przeczyłem, że zaprzyjaźnimy się, panie hrabio — ozwał się Morrel — a zresztą miałem już honor oznajmić panu, że bez względu na bohaterstwo czy osobistą skłonność do poświęcenia, winienem być tego dnia ofiarę złemu losowi, aby wywdzięczyć się za łaskę, jakiej zaznałem ongi od losu dobrego.

— Pan kapitan — ciągnął Château-Renaud — napomknął właśnie o zadziwiającym wydarzeniu, o którym wam opowie, kiedy zaznajomicie się bliżej.

Dziś dogadzajmy żołądkowi, a nie wspomnieniom. O której, Albercie, siadamy do stołu?

— O pół do jedenastej.

— Punktualnie? — spytał Debray, wyciągając zegarek.

— Dajcież mi jeszcze pięć minut, jeśli łaska; bo i ja oczekuję zbawcy.

— A czyjegoż to?

— Mojego. Czy wyobrażacie sobie, że nie można mnie uratować i że tylko Arabowie ucinają głowy? Śniadanie nasze jest filantropijne, bo, jak się spodziewam, zasiądziemy do stołu, z dwoma dobroczyńcami ludzkości.

— No i cóż my poczniemy? — zatroskał się Debray. — Mamy chyba tylko jedną nagrodę Montyona.

— E, damy ją po prostu temu, kto na nią nie zasłuży — powiedział Beauchamp. — Zwykły to sposób, na który bierze się Akademia, aby wymigać się od kłopotu.

— A skąd on się wzięł? — zagadnął Debray. — Wybacz, że nalegam, bo zadałem ci już to pytanie, aleś odpowiedział tak niejasno, że pozwałam sobie zapytać raz jeszcze.

— Nie wiem, doprawdy. Zaprosiłem go dwa miesiące temu, poznawszy w Rzymie. Ale nie mam pojęcia, gdzie wojażował potem.

— I myślisz, że on potrafi być punktualnym?

— Myślę, że on wszystko potrafi.

— Uważaj tylko, żeby z tych pięciu minut, któreśmy ci darowali, nie zrobiło się dziesięć.

— W takim razie skorzystam, aby powiedzieć wam o nim kilka słów.

— Zaczekaj — przerwał Beauchamp — czy będzie w tym temat do felietonu?

— Oczywiście, i to nadzwyczaj zajmujący.

— No to gadaj, bo widzę, że i tak nie pójde do Izby. Będę to sobie musiał jakoś powetować.

— Karnawał spędziłem w Rzymie.

— Wiemy, wiemy — rzekł Beauchamp.

— Tak, ale nie wiecie, że porwali mnie tam bandyci.

— Nie ma żadnych bandytów — powiedział Debray.

— Owszem są, i to nawet paskudni, a raczej zadziwiający.

— Przyznałbyś się lepiej, kochasiu — ozwał się Debray — że kucharz się guzdrze, a ostrygi nie nadeszły jeszcze z Marennes czy z Ostendy: dlatego, na wzór pani de Maintenon, zastępujesz potrawę opowiadką. Powiedz, kochaneczku, prawdę: znamy się tu wszyscy i przyjaźnimy na tyle, żeby ci przebaczyć i wysłuchać tej twojej historyjki, gdybyś nawet wyssał ją z palca.

— A ja ci mówię, że choć wygląda na zmyśloną, jest prawdziwa od początku do końca. Bandyci, porwawszy mnie, osadzili w miejscu bardzo ponurym, zwanym katakumbami Świętego Sebastiana.

— Znam je — wtrącił Château-Renaud — o mało nie nabawiłem się tam kataru.

— Ze mną było gorzej. Oznajmiono mi, że będę jeńcem, póki nie zapłacę bagatelnego okupu: cztery tysiące dukatów rzymskich, to znaczy dwadzieścia sześć tysięcy liwrow bitych w Tours. Na nieszczęście miałem już tylko tysiąc pięćset; podróż moja się kończyła, wyczerpałem cały kredyt. Napisałem do Franza. Przecież Franz był ze mną, możecie go spytać, czy jest w tym słowo blagi. Napisałem tedy do Franza, że jeśli do szóstej rano nie zjawi się z czterema tysiącami dukatów, dziesięć po szóstej znajdę się pomiędzy świętymi i męczennikami, bo pan Vampa, herszt bandytów, dopilnuje sumiennie, żeby nie minął mnie ten zaszczyt.

— Ale Franz zjawił się z czterema tysiącami, nieprawdaż? — ozwał się Château-Renaud. — Nie kłopotce się o taką sumę ten, kto nazywa się Franz d'Epina y lub Albert de Morcerf!

— Nie. Zjawił się po prostu z owym panem, którego przybycie wam zapowiedziałem i którego przedstawię wam, mam nadzieję.

— Ten pan to chyba Herkules, pogromca Cacusy, albo Perseusz, który wyswobodził Andromedę.

— Nie, to człowiek mniej więcej mojego wzrostu.

— Uzbrojony po zęby?

— Nie miał przy sobie nawet szydełka.

— Ale chyba pertraktował o twój okup?

— Szepnął coś hersztowi na ucho i byłem wolny.

— I jeszcze go przeprosili za tę całą przykrość — dodał Beauchamp.

— A żebyście wiedzieli — rzekł Morcerf.

— Może więc był to jakiś nowy Ariosto?

— Nie. Był to tylko hrabia de Monte Christo.

— Nie ma takich hrabiów — ozwał się Debray.

— I mnie się też tak wydaje — rzekł Château-Renaud ze spokojem człowieka, który ma w małym palcu cały herbarz europejski. — Nikt nigdy nie słyszał, żeby gdziekolwiek istnieli hrabiowie de Monte Christo.

— Pochodzą może z Ziemi Świętej — rzekł Beauchamp. — Może jego przodkowie posiadali Kalwarię, jak ród Mortemart posiadał Morze Martwe.

— Chwileczkę, panowie, może wam pomogę rozstrzygnąć tę kwestię — powiedział Maksymilian. — Monte Christo to wysepka, o której często słyszałem od marynarzy zatrudnionych u mojego ojca: ziarnko piasku na Morzu Śródziemnym, atom w nieskończoności.

— Otóż i to, panie kapitanie — ozwał się Albert. — Panem i władcą tego atomu i ziarnka jest właśnie nasz hrabia. Podobno kupił sobie tytuł gdzieś w Toskanii.

— No to bogaty jest ten twój hrabia.

— Ba! Ja myślę.

— Ale to się chyba jakoś uzewnętrznia?

— Tu właśnie mylisz się, Lucjanie.

— Nic już nie rozumiem.

— Czytałeś „Księżę Tysiąca i Jednej Nocy”?

— Też pytanie!

— A więc zauważyłeś, że nie wiadomo, czy ludzie są tam bogaci, czy biedni? Czy ziarnka zboża nie są rubinami i diamentami? Wyglądają na biednych rybaków, prawda? I tak ich traktujesz, aż tu nagle otwierają przed tobą jakąś tajemniczą jaskinię pełną skarbów, za które kupiłbyś Indie. .

— I cóż dalej?

— Owóż mój hrabia zalicza się do owych rybaków. Zapożyczył nawet od nich przydomek: zowie się Sindbadem Żeglarzem — i ma jaskinię pełną złota.

— A tyś widział tę jaskinię? — zagadnął Beauchamp.

— Nie, ale widział ją Franz. Tylko żebyście nie wspomnieli o tym przy hrabi. Franz zszedł tam z zawiązanymi oczami, a posługiwał mu niemowa i kobiety, przy których Kleopatra wydawałaby się podobno zwykłą kurewką. Tylko że tych kobiet nie jest całkiem pewien, bo weszły dopiero wtedy, jak podjadł sobie haszyszu; toteż nie wie, czy miał do czynienia z kobietami, czy też tańczyły wokół niego posągi.

Przyjaciele spojrzeli na Alberta, jakby chcieli powiedzieć: „Czyś ty, bratku, wariował, czy z nas robisz wariatów?”

— Owszem — rzekł Morrel, nad czymś jakby medytując — słyszałem podobną historię od starego marynarza nazwiskiem Penelon.

— Całe szczęście, że kapitan przyszedł mi w sukurs — rzekł Albert. — Nie w smak ci, że pan Morrel wybrał się z kłębkim do mojego labiryntu, co?

— Nie gniewaj się, mój drogi — odpowiedział Debray — ale mówisz nam rzeczy tak nieprawdopodobne...

— Nieprawdopodobne, bo wasi ambasadorowie i konsulowie milczą o nich! Są bardzo zajęci, muszą przecież szykanować podróżujących rodaków.

— Irytujesz się tylko i niepotrzebnie napadasz na naszych biednych agentów. Boże miły! A jakimż oni cudem mają cię bronić? Izba wciąż obcina im pensje, toteż coraz o nich trudniej. A może ty byś został ambasadorem? Zaraz wyekspediowałbym się do Konstantynopola.

— Dziękuję. Okazałbym jeszcze sympatię Mechmed Alemu, a wtedy sułtan przysłałby mi sznur, żeby mnie moi sekretarze zadusili.

— No więc sam widzisz.

— Ale to wszystko nie przeszkadza, że hrabia Monte Christo istnieje.

— Dalibóg, istniejemy wszyscy, i to właśnie cud nad cudy!

— Istniejemy, oczywiście, ale nie w takich warunkach. Nie każdy ma czarnych niewolników, książęce galerie, broń damasceńską, konie po sześć tysięcy franków sztuka i grecką kochankę.

— Widziałeś tę Greczynkę?

— Tak, widziałem i słyszałem. Widziałem w teatrze Valle, a słyszałem któregoś dnia, będąc u hrabiego na śniadaniu.

— To ten oryginał jada?

— Jeśli nawet jada, to, daję słowo, tak niewiele, że mówić nie warto.

— Przekonacie się, że to wampir.

— Śmiećcie się, śmiećcie, ale tak właśnie sądzi hrabina G..., która, jak wam wiadomo, znała lorda Ruthwena.

— A to wspaniałe! — zawołał Beauchamp. — Oto dla kogoś, kto nie jest dziennikarzem, znakomity odpowiednik słynnego węża morskiego, o którym rozpisywał się „Constitutionel”. Wampir! Wymarzona historia.

— Oko żółte, którego źrenica rozszerza się wedle woli albo zwęża — powiedział Debray. — Szczęki wydatne, czoło wspaniałe, pleć trupio biała, zarost kruczony, zęby białe i ostre i odpowiednie do tego wszystkiego zachowanie.

— Trafiałeś, mój drogi! — zawołał Albert. — Rysopis zgadza się co do joty. Zachowanie: uprzejmość zjadliwa, kostyczna. Ten człowiek nieraz przejmował mnie dreszczem. Jednego dnia, kiedy obserwowaliśmy egzekucję, o mało nie zemdlałem, i nie dlatego, że przyglądałem się katowi spełniającemu obowiązek i słysząc krzyki delikwenta, ale z tej racji, że patrzyłem jednocześnie na hrabiego, słuchając jego zimnych wywodów o wszystkich możliwych torturach na świecie.

— A nie zaciągnął cię na chwilę w ruiny Koloseum, żeby ci wyssać trochę krwi? — spytał Beauchamp.

— A może, kiedy cię oswobodził, kazał ci podpisać szkarłatny pergamin, na mocy którego sprzedałeś mu duszę, jak Ezaw sprzedał pierworództwo.

— Kpijcie, moi panowie, ile wam się podoba — rzekł Albert nieco urażony. — Kiedy patrzę na was, piękni paryżanie, nawykli do bulwaru Gandawskiego, spacerujący po Lasku Bulońskim, i kiedy ten człowiek staje mi przed oczyma, wydaje mi się, że on i my nie jesteśmy z jednej gliny.

— Pochlebiam sobie! — rzekł Beauchamp.

— Wynika więc czarno na białym — dorzucił Château-Renaud — że w wolnych chwilach twój hrabia de Monte Christo jest eleganckim człowiekiem, wyjąwszy oczywiście drobne kunszacty z bandytami włoskimi.

— E, nie ma żadnych bandytów włoskich — powiedział Debray.

— Ani wampirów! — przydał Beauchamp.

— Ani też hrabiego de Monte Christo — dorzucił Debray. — Słyszysz, Albercie? Bije właśnie pół do jedenastej. Przyznaj się, że miałeś zły sen, i siadajmy do stołu.

Ale dźwięki zegara drżały jeszcze w powietrzu, kiedy otworzyły się drzwi i Herman oznajmił:

— Jego ekscelencja pan hrabia de Monte Christo!

Wszyscy drgnęli gwałtownie, co świadczyło, iż opowieść Morcerfa przesączyła się głęboko w ich dusze. A i Albert nie oparł się nagłemu wzruszeniu. Na ulicy nie zaturkotał bowiem żaden powóz, w przedpokoju nie rozległy się kroki, a drzwi otwarły się bezszelestnie.

Hrabia stanął w progu, odziany z jak największą prostotą, ale najbardziej wybredny lew nie zdołałby nic zarzucić jego toalecie. Wszystko tu było wykwinne i pochodziło od najlepszych dostawców: frak, pantalon, cylinder i koszula.

Wyglądał na trzydzieści pięć lat — a najbardziej uderzyło zebranych to, iż był zadziwiająco podobny do wizerunku, jaki nakreślił Debray.

Hrabia uśmiechając się podążył na środek salonu, wprost do Alberta, co spiesząc naprzeciw niego, wyciągnął serdecznie rękę.

— Punktualność — ozwał się Monte Christo — jest grzecznością królów, jak powiadał, o ile wiem, któryś francuski monarcha. Ale podróżni czasem się spóźniają, choćby mieli najlepszą wolę. Mam jednak nadzieję, drogi hrabio, że biorąc pod uwagę moje dobre chęci, przebaczysz mi tych parę sekund spóźnienia. Pięćset mil nie zawsze przebyć łatwo, zwłaszcza we Francji, gdzie jakoby zakazano bić pocztylionów.

— Panie hrabio — odrzekł Albert — zapowiadałem właśnie pańską wizytę kilku przyjaciółom zaproszonym z tak świetnej okazji, których mam honor przedstawić panu. Pan hrabia de Château-Renaud, którego szlachectwo sięga czasów Karola Wielkiego, potomek rycerzy Okrągłego Stołu. Pan Lucjan Debray, sekretarz osobisty ministra spraw wewnętrznych. Pan Beauchamp, dziennikarz groźny, postrach naszego rządu — ale choć on sławny we Francji, nie słyszał pan o nim, bo gazety, w której pisuje, nie wpuszczają do Włoch. Pan Maksymilian Morrel, kapitan spahisów.

Kiedy padło to nazwisko, hrabia, który dotąd kłaniał się nader uprzejmie, ale z istic angielskim chłodem i flegmą, postąpił mimo woli krok naprzód, a blade policzki zabarwił mu na chwilę leciutki rumieniec.

— Nosi pan mundur zwycięzców — rzekł, — Piękny to mundur.

Trudno powiedzieć, jakie uczucie nadało w tej chwili głosowi hrabiego wibrację tak głęboką, czemu oko Monte Christa, piękne, spokojne i jasne — jeśli dla jakiejś przyczyny nie przysłaniał go powieką — błysnęło jakby mimo jego woli.

— To pan hrabia nigdy nie widział naszych Afrykańczyków? — spytał Albert.

— Nigdy — odrzekł Monte Christo, całkiem już odzyskawszy zimną krew.

— Panie hrabio, pod tym mundurem bije najdzielniejsze i najszlachetniejsze serce w naszej armii.

— Ależ panie hrabio — przerwał Morrel.

— Niech mi pan kapitan pozwoli skończyć — mówił Albert. — Dowiedzieliśmy się o czynie kapitana tak bohaterskim, że choć, panie Maksymilianie, widzę dziś pana pierwszy raz, pozwól, a proszę o to, jak o łaskę, abym cię zaprezentował jako swojego przyjaciela.

Można było jeszcze przy powyższych słowach dostrzec u Monte Christa owo spojrzenie osobliwie nieruchome, ów przelotny rumieniec i lekkie drżenie powieki: świadczyły one zawsze, że hrabia się wzruszył.

—A, to pan ma szlachetne serce — rzekł — chwali się, chwali!

Ów dziwny komplement, który bardziej wyrażał utajoną myśl hrabiego, niżli kojarzył się z tym, co powiedział był Albert, zdziwił wszystkich, a szczególnie Morrela. Kapitan spojrzał zdumiony na hrabiego. Ale hrabia wyrzekł to tak łagodnie i miękko, iż niepodobna było się obrazić.

— Czyżby on o tym wątpił? — ozwał się Beauchamp do Château-Renauda.

— Rzeczywiście — odparł Château-Renaud, który jako człek obyty w świecie i odznaczający się byстрыm okiem arystokraty przeniknął Monte Christa na tyle, na ile przeniknąć go było można — rzeczywiście, Albert nie wprowadził nas w błąd: szczególna osobistość ten hrabia; a pan co myśli o tym, panie Maksymilianie?

— Dalibóg, dobrze patrzy mu z oczu, a głos ma przyjemny, toteż spodobał mi się, choć potraktował mnie w sposób dziwny.

— Panowie — ozwał się Albert — Herman powiedział mi, że podano do stołu. Drogi hrabio, pozwól pan, że wskażę drogę.

Przeszli w milczeniu do jadalni. Każdy zajął miejsce.

— Panowie — powiedział hrabia siadając — pozwólcie, abym wyznał wam coś na usprawiedliwienie wszelkich kłopotów, o jakie mógłbym was przyprawić; jestem cudzoziemcem, i to tak dalece, że po raz pierwszy przyjechałem do Paryża. Nie znam więc życia francuskiego. Do tej pory wiodłem tryb życia wschodni, czyli jak najmocniej kolidujący z zacnymi paryskimi tradycjami. Wybaczcie więc, proszę, jeśli zauważycie, że zanadto trączę Arabem, Turkiem lub Neapolitańczykiem. A skorom już to panom powiedział, jedźmy.

— Powiedział i świetnie — szepnął Beauchamp — to na pewno wielki pan. — Wielki, ale cudzoziemski — rzekł Debray.

— Magnat jest wszędzie magnatem, mój Lucjanie — odparł Château-Renaud.

2. ŚNIADANIE

Hrabia, jak to zapewne pamiętacie, jadał niewiele.

Albert napomknął o tym, wyrażając obawy, czy życie paryskie już na wstępie nie zrazi podróżnego swoją stroną najbardziej prozaiczną, ale i nieodzowną.

— Drogi hrabio — rzekł — lękam się nie na żarty, czy kuchnia z ulicy Helderskiej wyda się panu równie smaczna, jak i kuchnia na placu Hiszpańskim.

Powinienem był dowiedzieć się, w czym pan gustujesz, aby przyrządzono panu którąś z jego ulubionych potraw.

— Gdybyś znał mnie pan lepiej — tu hrabia uśmiechnął się — nie okazywałbyś troski niemal upokarzającej podróżnemu, który jak ja żywił się w Neapolu makaronem, w Mediolanie polentą, w Walencji olla podrida, w Konstantynopolu pilawem, w Indiach carrickiem, a w Chinach jaskółczymi gniazdami. Taki obieżyświat jak ja uznaje każdą kuchnię. Jadam wszystko, tylko po prostu niewiele; dziś, choć zarzucasz mi pan wstrzeźliwość, mam właśnie apetyt, bom się wypościł od wczorajszego rana.

— Jak to? Od wczorajszego rana? — zdumiewali się biesiadnicy. — Nie miałeś pan nic w ustach od dwudziestu czterech godzin?

— Tak. Musiałem zboczyć z drogi, aby zebrać pewne informacje w okolicach Nimes, skutkiem czego będąc nieco spóźnionym nie chciałem się już nigdzie zatrzymać.

— I nie jadłeś pan nic w karecie? — spytał Morcerf.

— Nie. Spałem, jak mi się zwykle zdarza, kiedy się nudzę, a nie mam odwagi się rozerwać, albo kiedy jestem głodny, a jeść nie mam ochoty.

— To pan rządzi swoim snem? — zagadnął Morrel.

— Poniekąd.

— Masz pan na to receptę?

— Niezawodną.

— Byłaby bezcenna dla nas, Afrykańczyków, bo nie zawsze mamy co jeść, a o picie też trudno.

— Owszem, tylko że ta recepta, wyborna dla mnie, bo prowadzę wyjątkowy tryb życia, byłaby bardzo niebezpieczna dla armii: żołnierze nie pobudziliby się wtedy, kiedy byliby najpotrzebniejsi.

— A mógłbym wiedzieć, co to za recepta? — spytał Debray.

— Ależ oczywiście, nie robię z niej sekretu: mieszam najprzedniejsze opium, po które wyprawilem się kiedyś do Kantonu, aby mieć pewność, że jest czyste, z najlepszym haszyszem, jaki zbierają na Wschodzie — to znaczy między Tygrysem i Eufratem; łączy się te dwie ingrediencje w równych proporcjach, kręci się coś na kształt pigułek, a zażywa się w potrzebie. Po dziesięciu minutach środek ów zaczyna działać. A w jaki sposób, opowie panom baron Franz d'Epinau, który, o ile wiem, skosztował go kiedyś.

— Tak — odrzekł Albert — napomknął mi o tym; sprawił mu wtedy hrabia wielką przyjemność.

— Ale — zagadnął Beauchamp, który jako dziennikarz był wielkim niedowiarkiem — czy pan zawsze masz ten narkotyk przy sobie?

— Zawsze.

— Czy nie popełniłbym niedyskrecji, prosząc, abyś pokazał mi pan te pigułki szacowne — nie dawał za wygraną Beauchamp, w mniemaniu, że przyłapie cudzoziemca na bladze.

— Ależ nie, proszę pana — odpowiedział hrabia i wyciągnął z kieszeni prześliczne puzderko. Był to szmaragd wydrążony w środku, a zamykany złotą śrubką. Kiedy hrabia ją odkręcił, wypadła zielona gałka, nie większa od grochu.

Gałka miała zapach cierpki a przenikliwy. Szmaragd zawierał z pięć podobnych, a mógłpomieścićokoło tuzina.

— Puzderko okrążyło stół, ale wszystkich ciekawiłbardziej wspaniały szmaragd niżli widok i woń pigułek.

— Czy to pański kucharz preparuje ten specjał? — zapytał znów Beauchamp.

— O nie, mój panie! Nie zdaję moich prawdziwych rozkoszy na łaskę niegodnych rąk. Jestem nie najgorszym chemikiem, sam więc sporządzam te pigułki.

— Szmaragd precudowny i nigdy nie widział takiego olbrzyma, chociaż moja matka ma parę niezłych klejnotów rodzinnych — rzekł Château-Renaud.

— Miałem takich trzy — podjął Monte Christo. — Jeden podarowałem sułtanowi: kazał wprawić go w szablę; drugi Ojcu Świętemu: kazał wprawić go w tiarę obok szmaragdu podobnego, nie tak jednak pięknego, który jego poprzednik, Pius VII, otrzymał od cesarza Napoleona; trzeci zachowałem dla siebie: kazałem go wydrążyć, a chociaż utracił skutkiem tego połowę wartości, stał się dla mnie bardziej użyteczny.

Wszyscy ze zdumieniem patrzyli na Monte Christa.

— Oznajmił to z taką prostotą, iż albo mówił prawdę, albo był szaleńcem. Ale na widok szmaragdu wszyscy skłonili się, rzecz naturalna, do supozycji pierwszej.

— A czymże ci dwaj władcy wywdzięczyli się panu za upominek tak wspaniały? — zagadnął Debray.

— Sułtan wolnością pewnej kobiety; Ojciec Święty życiem ludzkim. Toteż raz jeden byłem potężny, jak gdybym zrzędzeniem bożym urodził się na stopniach tronu.

— To Peppina pan uratowałeś, dla niego skorzystałeś ze swojego prawa łaski, nieprawdaż? — zawołał Morcerf.

— Może — uśmiechnął się Monte Christo.

— Panie hrabio, nie ma pan pojęcia, z jaką przyjemnością słucham pańskich słów — rzekł Morcerf. — Zapowiedziałem pana moim przyjaciółom jako postać baśniową, jako czarnoksiężnika — z „Tysiąca i Jednej Nocy” albo średniowiecznego czarodzieja; ale paryżanie są tak przyzwyczajeni do paradoksów, że prawdy niezaprzeczalne biorą za kaprys imaginacji, jeśli owe prawdy nie pasują do warunków ich życia codziennego. Na przykład Debray czyta co dzień, a Beauchamp co dzień drukuje, że na bulwarze napadnięto i obrabowano zapóźnionego członka Jockey-Clubu; że na ulicy Świętego Dionizego czy na Przedmieściu Saint-Germain zamordowano cztery osoby; że zaaresztowano dziesięciu, piętnastu, dwunastu „złodziei” bądź w jakiejś kawiarni na bulwarze Tempie, bądź w Termach Juliana, lecz Debray, i Beauchamp zaprzeczają istnieniu bandytów w Maremmes, w kampanii Rzymskiej i na Pontyjskich Bagnach. Niechże im pan hrabia powie, błagam, że pojмали mnie bandyci i że gdyby nie pańska szlachetna interwencja, czekałbym dziś na ciała zmartwychwstanie w katakumbach Świętego Sebastiana, a nie śniadał z panami w mojej budzie na ulicy Helderskiej.

— E, obiecałeś mi pan, że nigdy nie wspomnisz przy mnie o tej bagateli — skrzywił się Monte Christo.

— To nie ja, panie hrabio, to kto inny, komu oddałeś pan identyczną przysługę: pomyliłeś nas pan. Przeciwnie, mówmy o tym, bardzo proszę; jeśli bowiem zgodzisz się pan na to, nie tylko przytoczysz pan znane mi fakty, lecz i dodasz wiele, których nie znam.

— Ależ wydaje mi się — uśmiechnął się hrabia — że odegrał w tej sprawie rolę dość znaczną, świadom jesteś, nie gorzej, niż ja całości wypadków.

— Czy zechce mi pan przyrzec, że jeśli powiem wszystko, co wiem, pan z kolei dopowie to, czego nie wiem?

— Propozycja aż nazbyt słuszna.

— W takim razie, choć ucierpi na tym właściwie moja ambicja, powiem, że przez trzy dni kokietowała mnie, jak mi się zdawało, maseczka, którą brałem za praprawnuczkę Tulii czy Poppei — a tymczasem okazało się ni mniej, ni więcej, że byłem celem zalotów contadiny; zauważcie, że mówię: contadiny, aby nie powiedzieć: chłopki. I wiem tylko, że byłem jeszcze większym dudkiem niż ten, o którym mówiłem przed chwilą: wieśniaczka okazała się młodym bandytą, szesnastoletnim gołowąsem, smukłym w talii, który, kiedym zagalopowawszy się, chciał go pocałować w toczone ramię, podetknął mi pistolet pod gardło, a wspomagany przez licznych kamratów poprowadził mnie, a raczej powłókł, do katakumb Świętego Sebastiana, gdzie zastał herszta wielce, na honor! wykształconego, czytał bowiem „Komentarze” Cezara. Mimo to raczył przerwać lekturę, aby mi oznajmić, że jeśli do szóstej rano nie wpłacę do jego kasy czterech tysięcy dukatów, kwadrans po szóstej żyć przestanę. List istnieje, pozostał w rękach Franza, podpisany przeze mnie, a z dopiskiem imię Luigiego Vampy. Jeśli wątpicie, napiszę do Franza, żeby rejentalnie poświadczył podpisy. Oto, co wiem. A teraz, to, czego nie wiem: jakim sposobem zyskał pan hrabia tak wielki szacunek u bandytów rzymskich, którzy prawie nic nie szanują? Przyznam się, że nie posiadaliśmy się z Franzem z zachwytem.

— Nic prostszego, mój panie: znam słynnego Vampę od lat przeszło dziesięć. Kiedy był jeszcze bardzo młody i paś owce, wskazał mi jednego razu drogę, a ja mu dałem za to, nie pomnę już jaki, złoty pieniądz. Nie chcąc mi nic zawdzięczać, podarował mi sztylet, którego rękojeść sam wyrzeźbił: widziałeś go pan na pewno w moim prywatnym arsenale. Po jakimś czasie, czy to zapomniał o

wymianie tych drobnych upominków, które powinny były utwalić naszą przyjaźń, czy też nie poznał mnie — dość że próbował mnie schwytać; ale to ja schwytałem go razem z jego dwunastoma kamratami. Mogłem go wydać sprawiedliwości rzymskiej, która jak wiadomo, szybka w działaniu, okazałaby Vampie specjalne względy; alem tego nie zrobił. Puściłem ich wolno.

— Pod warunkiem, że nie nabroją więcej — roześmiał się dziennikarz. — Aż miło pomyśleć, jak skrupulatnie dotrzywali słowa.

— Nie, proszę pana: pod warunkiem, że będą zawsze okazywać respekt mnie i moim przyjaciółom. Może to, co powiem, wyda wam się dziwaczne, panowie socjaliści, zwolennicy postępu i humanitaryzmu: nie troszczę się nigdy o bliźniego i nigdy nie staram się chronić społeczności, która nie daje mi żadnej ochrony, więcej: jeśli zajmuje się mną, to na ogół jedynie w tym celu, żeby mi szkodzić; bliźni więc i społeczeństwo winni mi są wdzięczność, jeśli nie szacując ich wcale, zachowuję wobec nich neutralność.

— Wspaniałe! — zawołał Château-Renaud. — Słyszę pierwszy raz aby człowiek głosił tak uczciwie i odważnie zasady egoizmu. To bardzo pięknie; brawo, panie hrabio!

— W każdym razie to stanowisko uczciwe — rzekł Morrel. — Ale jestem pewien, że pan hrabia nie żałował, jeśli raz uchybił zasadom, które wyłożył nam bez osłonek...

— A jakżesz to miałbym im uchybić, mój panie? — spytał Monte Christo, który nie zawsze panując nad sobą, spoglądał od czasu do czasu na Maksymiliana tak badawczo, iż odważny młodzieniec spuścił już parę razy oczy, nie wytrzymawszy przenikliwego wzroku hrabiego.

— Zdaje mi się — odparł Morrel — że ratując pana de Morcerf, którego pan nie znałeś, przysłużyłeś się zarówno bliźniemu, jak i społeczeństwu.

— Którego nasz Albert jest najpiękniejszą ozdobą — dokończył poważnie Beauchamp, wychylając jednym haustem kielich szampana.

— Panie hrabio — zawołał Morcerf — pobito pana logicznym argumentem, choć nie znam nikogo, kto rozumowałby logiczniej od pana. Przekona się pan zaraz, bo wykażemy to panu jasno, że nie jesteś egoistą, ale przeciwnie filantropem. O, drogi hrabio, mienisz się człowiekiem Wschodu, Lewantyńczykiem, Maltańczykiem, Hindusem, Chińczykiem, dzikusiem; rodowe twoje nazwisko brzmi Monte Christo, obrałeś przydomek Sindbada Żeglarza — ale tego dnia, kiedy postawiłeś stopę w Paryżu, posiadałeś instynktownie największą zaletę albo największą wadę naszych dziwaków paryskich: przypisałeś sobie grzechy, których nie popełniłeś, a taisz cnoty, które masz.

— Drogi hrabio — odrzekł Monte Christo — nie widzę w tym wszystkim, co powiedziałem lub uczyniłem, ani jednego słowa czy postępu, dzięki któremu zasługiwałbym na pochwałę zarówno ze strony pańskiej; jak i pańskich przyjaciół. Nie byłeś pan dla mnie kimś obcym: znałem już pana; odstąpiłem panom dwa pokoje, zaprosiłem was na śniadanie; pożyczyłem wam jeden z moich powozów; oglądaliśmy razem na Corso pochód masek; a z okna na placu del Popolo obserwowaliśmy wspólnie ową egzekucję, którą tak się przejąłeś, żeś o mało nie zemdłał. Pytam was więc, moi panowie, czy mogłem zostawić mojego gościa w rękach bandytów, których nazywacie strasznymi? A zresztą, jak pan wiesz, miałem ratując pana pewien wzgląd na uwadze: umyśliłem sobie z góry, że wprowadzisz mnie pan na salony paryskie, kiedy przyjadę do Francji. Przez jakiś czas mogłeś pan sobie wyobrazić, że to zamysł daleki i przelotny: ale dziś, jak pan widzisz, to piękna i miła rzeczywistość, której musisz się pan podporządkować, gdyż inaczej złamiesz słowo.

— I dotrzymam je. Obawiam się tylko, czy drogi hrabia nie dozna wielkiego zawodu. Przywykłeś pan do miejscowości malowniczych, do barwnych wypadków i fantastycznych horyzontów. Nie znajdziesz pan u nas ani jednego z tych epizodów, do których przyzwyczało cię życie pełne przygód. Nasze Cimborazzo to Montmartre; nasze Himalaje to Mont Valérien; nasza Sahara to równina Grenelle, a i tak wiercą tam studnię artezyjską dla spragnionych karawan. Mamy bandytów, i to wielu, chociaż nie tyłu, jak mówią; ale nasi bandyci drżą nierównie więcej przed najmniejszym ze szpiegów niżli przed największym z panów; wreszcie Francja to kraj tak prozaiczny, a Paryż to miasto tak ucywilizowane, że nie znajdziesz pan, choćbyś nie wiem, jak szukał, w naszych osiemdziesięciu pięciu departamentach, powiadam osiemdziesięciu pięciu, bo wyłączam Korsykę, ani jednego, choćby najniższego wzgórze, gdzie nie byłoby telegrafu, ani jednej groty, w której komisarz policji nie umieściłby latarni gazowej. Mogę więc panu, drogi hrabio, wyświadczyć jedną jedyną przysługę, i stawiam się do dyspozycji: zaprezentuję pana wszędzie, ja albo moi przyjaciele. Skądinąd żadnych protektorów panu nie trzeba: pańskie nazwisko, fortuna i zalety umysłu — (tu Monte Christo skłonił się z uśmiechem lekkiej ironii) zaprezentują pana same i wszędzie doznasz miłego przyjęcia. W rzeczywistości więc będę mógł przydać się panu tylko wtedy, jeśli pragnąłbyś zasięgnąć rady w sprawie paryskich zwyczajów; pomogę też panu urządzić się wygodnie, bo mam w tym doświadczenie, wskażę najlepsze magazyny i wynajdę odpowiednie dla pana lokum. Tu jestem do

pańskiej dyspozycji. Nie ośmielam się zaofiarować panu gościny, choć korzystałem z pańskiej w Rzymie. Nie głoszę egoizmu, ale jestem egoistą w każdym calu, gdyż nie uświadczysz pan u mnie ludzkiego cienia — chyba że to będzie cień kobiecy.

— A, to zastrzeżenie zapewne natury całkiem matrymonialnej. Bo i rzeczywiście napomknąłeś mi pan w Rzymie o projektowanym mariażu. Czy mam pogratulować przyszłego szczęścia?

— Rzecz jest nadal w stadium projektów, panie hrabio.

— Kto mówi o projektach — podchwycił Debray — liczy się z ewentualnością.

— Niekoniecznie! Ojciec mój obstaje przy tym, spodziewam się więc, że zaprezentuję panu niedługo jeśli nie żonę, to przynajmniej narzeczoną: pannę Eugenię Danglars.

— Pannę Danglars? Zaraz, zaraz, czy to nie córka pana barona Danglarsa?

— Tak, ale to baron świeżej daty.

— O, to nie ma znaczenia, jeśli otrzymał tytuł przysłużwszy się państwu.

— Oddał olbrzymie usługi — objaśnił Beauchamp.

— Choć liberał z przekonania, uzupełnił w roku 1829 sześciomilionową pożyczkę dla Karola X, który mianował go za to baronem i kawalerem Legii Honorowej. Nasz baron nie nosi wstążeczki orderowej w kamizelce, jak należałoby się spodziewać, ale jakby nigdy nic, w butonierce fraka.

— O łotrze, łotrze — roześmiał się Albert — zachowaj to dla „Korsarza” albo dla „Charivari”, ale przy mnie oszczędzaj mojego przyszłego teścia. — I zwracając się do Monte Christo: — Tak pan wymówiłeś nazwisko barona, jakbyś go znał.

— Nie znam go — odparł niedbale Monte Christo — ale z pewnością zaznajomimy się niebawem, bo mam u niego kredyt otwarty za pośrednictwem Richarda i Blounta w Londynie, Arsztajna i Heszelesa w Wiedniu i Thomsona i Frencha w Rzymie.

Wymawiając dwa ostatnie, Monte Christo spojrział ukradkiem na Maksymiliana Morrela. Nie mylił się, jeśli oczekiwał, iż wywrze to na nim wrażenie: Morrel drgnął, jakby przebiegł po nim prąd elektryczny.

— Zna pan hrabia firmę Thomson i French? — zapytał.

— To bankierzy stolicy świata chrześcijańskiego — padła spokojna odpowiedź. — Czy mógłbym coś u nich załatwić dla pana?

— Kto wie, czy pan hrabia nie zdołałby pomóc mi w poszukiwaniach, jak dotąd bezowocnych; firma ta wyświadczyła kiedyś naszej ogromną przysługę, niezapomnianą, i do dziś zaprzecza temu z niezrozumiałych powodów.

— Jestem na pańskie rozkazy — odpowiedział z ukłonem Monte Christo.

— Ale — ozwał się Morcerf — wspomniawszy o baronie Danglars, dziwnie jakoś odbieglśmy od tematu rozmowy. Mamy przecież wyszukać odpowiednie mieszkanie dla pana hrabiego; no, panowie, ruszmy konceptem, gdzie w wielkim Paryżu umieścić naszego gościa.

— Na Przedmieściu Saint-Germain — rzekł Château-Renaud. — Znalazłby się tam prześliczny pałacyk z ogrodem.

— E, mój drogi — skrzywił się Debray — znasz tylko tę swoją ponurą i nudną dzielnicę; niech go pan hrabia nie słucha; najlepsza tu będzie Chaussee-d'Antin, To prawdziwe centrum Paryża.

— A ja radzę — ozwał się Beauchamp — bulwar Opery; dom z balkonem, pierwsze piętro. Każę pan hrabia wyościć balkon poduszkami ze srebrołtowi i pałac nargile albo łykając swoje pigułki obejrzy całą stolicę, która przedefiluje przed jego oczyma.

— A pan kapitan nie ma żadnego pomysłu? Nic pan nie zaproponuje — rzekł Château-Renaud.

— Ależ tak — odparł z uśmiechem. — Mam propozycję, ale myślałem, że hrabiego skuszą olśniewające projekty panów. Skoro jednak pan hrabia nie odpowiada, sądzę, że mogę zaofiarować mu apartament w prześlicznym pałacyku styl Pompadour — jak marzenie. Pałacyk ten, na ulicy Meslay, wynajęła rok temu moja siostra.

— To pan ma siostrę? — zagadnął Monte Christo.

— Tak, panie hrabio; urocza osoba.

— Zameżna?

— O, prawie od dziesięciu lat.

— Szczęśliwa? — zagadnął znów hrabia.

— Tak szczęśliwa, jak tylko szczęśliwym być można. Poślubiła ukochanego człowieka, który w złych dniach dochował nam wierności. Nazywa się Emanuel Herbaut.

Monte Christo uśmiechnął się nieznacznie.

— Mieszkam u nich, kiedy na pół roku wracam do kraju — ciągnął Maksymilian — i będziemy ze szwagrem do pańskiej dyspozycji, gdyby pan hrabia potrzebował jakiejś pomocy.

— Chwileczkę! — zawołał Albert, nim Monte Christo zdążył odpowiedzieć. — Niech się pan, kapitanie, zastanowi: chciałbyś podróżnego zamknąć w czterech ścianach. Sindbad Żeglarz przy rodzinie! Hrabia przyjechał zobaczyć Paryż, a pan czynisz z niego patriarchę.

— Ależ skąd! — roześmiał się Morrel. — Moja siostra ma dwadzieścia pięć lat, a szwagier trzydzieści; są młodzi, szczęśliwi, weseli; a zresztą pan hrabia będzie u siebie, będzie spotykał gospodarzy, jeśli spodoba mu się ich odwiedzić.

— Najserdeczniej panu dziękuję — odrzekł Monte Christo — prosiłbym tylko, żebyś zechciał przedstawić mnie swojej siostrze i szwagrowi, jeśli raczysz uczynić mi ten zaszczyt; ale nie przyjmę żadnej z tych miłych propozycji, bo mam już apartament gotowy.

— Jak to? — zawołał Morcerf. — Toć nie staniesz pan chyba w hotelu. Byłoby to dla pana nad wyraz niedogodne.

— A czym cierpiał w Rzymie jakieś niewygody?

— E, w Rzymie wydałeś pan pięćdziesiąt tysięcy piastrów, aby umeblować sobie apartament, wątpię jednak, czy chciałbyś pan wciąż ponawiać ekspens tak znaczny.

— Nie w tym rzecz. Postanowiłem mieć w Paryżu dom, oczywiście własny. Wysłałem więc wcześniej lokaja, który już na pewno kupił go dla mnie i umeblował.

— No to ten pański lokaj musi wybornie znać Paryż — rzekł Beauchamp.

— Pierwszy raz, jak i ja, przyjechał do Francji; jest czarny i niemy.

— To pewnie Ali — rzekł Albert pośród ogólnego zdumienia.

— Tak panie Albercie, mój Nubijczyk, Ali, we własnej osobie. Niemowa, którego, zdaje się, widziałeś pan w Rzymie.

— Ależ oczywiście, pamiętam go wybornie. Ale jakże ten Nubijczyk zdołał tutaj kupić i umeblować dom dla pana? Toć nieszczęśnik musiał zrobić wszystko na opak.

— Myli się pan. Przeciwnie, jestem pewien, że wybrał wszystko wedle mojego gustu; bo jak pan wiesz, mam gustu dość wyjątkowe. Przybył tu tydzień temu; biegał zapewne po całym mieście, wiedziony owym instynktem, jakim odznacza się dobry pies, który poluje sam jeden; zna moje kaprysy, fantazje i potrzeby; urządził zapewne wszystko według mojego upodobania. Wiedział, że przyjadę dziś o dziesiątej; od dziewiątej czekał więc na rogatce Fontainebleau; podał mi papier; oto mój nowy adres: proszę, zobaczcie panowie.

I Monte Christo podał kartkę Albertowi.

— Pola Elizejskie 30 — przeczytał Morcerf.

— A, to doprawdy oryginalne! — zawołał Beauchamp, nie zdoławszy zapanować nad zdziwieniem.

— I bardzo książęce — dorzucił Château-Renaud.

— To pan jeszcze nie widziałeś swojego domu? — zapytał Debray.

— Nie. Przecież panom mówiłem, zem nie chciał się spóźnić. Zrobiłem toaletę i wysiadłem przed domem pana Alberta.

Młodzi ludzie spojrzeli po sobie, zastanawiając się, czy Monte Christo nie gra komedii; ale każde słowo, jakie padało z ust tego człowieka, miało, mimo oryginalności, takie znamię prostoty, iż nikt nie mógł posądzać go o kłamstwo. A zresztą, po cóż miałyby kłamać?

— Będziemy więc musieli poprzestać na tym — ozwał się Beauchamp — aby oddawać panu hrabiemu wszelkie drobne przysługi w zakresie naszych możliwości. Jako dziennikarz, stawiam do pańskiej dyspozycji wszystkie teatry paryskie.

— Serdecznie panu dziękuję — odparł z uśmiechem hrabia — ale kazałem już mojemu intendentowi nająć łoża we wszystkich teatrach.

— A czy pański intendent to także Nubijczyk i niemowa? — spytał Debray.

— Nie, drogi panie, to znów rodak, jeśli Korsykańczyk może w ogóle być czymś rodakiem. Przecież pan go znasz, panie Albercie.

— Czyżby to ów zacny signor Bertuccio, nieprześcigniony, gdy trzeba wynajmować okna?

— O właśnie. Widziałeś go pan tego dnia, kiedy miałem honor podejmować panów śniadaniem. To bardzo dzielny człowiek, trochę żołnierz, trochę przemytnik, słowem: z niejednego pieca chleb jadał.

— I pan hrabia uczynił tego dzielnego powsinogę swoim intendentem? — zdziwił się Debray. — A ileż on kradnie na rok?

— Zaręczam słowem, że nie więcej niż inni. Jestem tego pewien. Dogadza mi ten człowiek, nie ma dla niego rzeczy niemożliwych, więc go trzymam.

— No cóż — ozwał się Château-Renaud — ma pan wszystko, co trzeba: pałac na Polach Elizejskich, służbę, intendenta; brak panu jedynie kochanki.

— Albert uśmiechnął się, pomyślawszy o pięknej Greczynce, którą widział był był w łoży hrabiego w teatrze Valle i w teatrze Argentina.

— Jestem w lepszej sytuacji: mam niewolnicę. Panowie wynajmujecie sobie kochanki w Operze, w Wodewilu czy w Rozmaitościach, a ja kupiłem ją sobie w Konstantynopolu. Kosztowało mnie to drożej, ale mam raz na zawsze święty spokój.

— Zapominasz pan — roześmiał się Debray — że, jak powiedział król Karol, jesteśmy wolni z przyrodzenia. Pańska niewolnica jest więc wolna, skoro znalazła się we Francji.

— A któż ją o tym poinformuje? — odrzekł Monte Christo.

— Pierwszy lepszy!

— Mówi tylko po grecku.

— A, to inna sprawa.

— Ale czy ją przynajmniej zobaczymy? — spytał Beauchamp. — Czy też mając niemowę, masz pan i eunuchów?

— Dalibóg, nie! Tak dalece się nie posuwam w moich wschodnich upodobaniach. Każdy z mojego otoczenia opuścić mnie może, a rozstawszy się ze mną nie potrzebuje ani mnie, ani nikogo. Dlatego pewnie wszyscy pozostają mi wierni.

Od dawna już biesiadnicy przeszli na kawę i cygara.

— Mój kochany — powiedział Debray wstając — już pół do trzeciej; twój gość jest czarujący, ale nie ma tak dobrej kompanii, której czasami nie trzeba byłoby opuścić dla złej: muszę wracać do ministerium. Powiem ministrowi o hrabi, musimy spenetrować, co on za jeden.

— Uważaj. Chytrzejsi połamali na tym zęby.

— Ba! Wykładamy na policję trzy miliony — co prawda niemal zawsze z góry; ale niech tam, znajdzie się na tę sprawę ładnych pięćdziesiąt tysięcy franków.

— A kiedy się dowiecie, kto on, powiecie mi?

— Tak, obiecuję ci to. Do widzenia, Albercie. Sługa uniżony szanownych panów.

I wychodząc Debray krzyknął bardzo głośno w przedpokoju:

— Powóz!

— Świetnie — rzekł Beauchamp do Alberta — nie idę już do Izby. Mam dla czytelników coś lepszego niż oracja pana Danglarsa.

— Błagam cię, nie pisz ani słowa. Specjalnie zależy mi na tym, żebym wszędzie wprowadził go i przedstawił pierwszy. Czyż to nie prawdziwy oryginał?

— Szacujecie go za nisko — podchwycił Château-Renaud — bo to jeden z najbardziej niezwykłych ludzi, jakich spotkałem w życiu. Idzie pan, panie kapitanie?

— Już idę, tylko dam panu hrabiemu swój bilet. Był łaskaw obiecać nam wizytę.

— Bądź pan pewien, że nie zawiodę — powiedział kłaniając się hrabia. I Maksymilian Morrel wyszedł z baronem de Château-Renaud, pozostawiając Monte Christa z Albertem.

Kiedy Albert i Monte Christo zostali sami:

— Panie hrabio — rzekł — pozwól, abym rozpoczął rzemiosło cicerona, pokazując panu wzór kawalerskiego mieszkania. Nawykły do włoskich pałaców, obliczysz pan teraz może, iloma stopami kwadratowymi zadowala się młody paryżanin, mieszkający podobno nie najgorzej. W każdym pokoju będziemy otwierać okna, abyś oddychał swobodnie.

Monte Christo znał już jadalnię i salon na parterze.

Albert zaprowadził go najpierw do swojej „pracowni”.

Był to jego ulubiony pokój.

Monte Christo umiał oszacować wszystkie przedmioty, które Albert tu nagromadził: stare skrzynie, porcelanę japońską, szkła weneckie, tkaniny wschodnie, broń wszystkich narodów świata,. Hrabiemu nic nie było tu obce, na pierwszy rzut oka określał wiek przedmiotu i kraj, z którego pochodził.

Albert myślał, że będzie tu przewodnikiem, a tymczasem to hrabia nauczył go przy sposobności trochę archeologii, mineralogii i historii naturalnej.

Zeszli na pierwsze piętro.

Albert wprowadził gościa do salonu.

Salon ów był wytapetowany dziełami malarzy współczesnych.

Były tu pejzaże Duprego, smukłe trzciny, strzeliste drzewa, ryczące krowy i przepiękne niebo.

Byli jeźdźcy arabscy Delacroix: długie białe burnusy, pasy lśniące, broń damasceńska; konie gryzły się z wściekłością, ludzie wyrzynali się wzajem.

Akwarele Boulangerera przedstawiające katedrę Notre-Dame. Przemawiały one silnie do imaginacji: zaleta, dzięki której malarz rywalizuje z poetą.

Były płótna Diaza, który maluje kwiaty piękniejsze niż kwiaty; a słońce bardziej promienne niż słońce.

Rysunki Decampsa nie mniej barwne niżli Salvatora Rosy, a przy tym bardziej poetyczne.

Pastele Girauda i Müllera wyobrażające dzieci o główkach anielskich i kobiety o rysach dziewczycy.

Szkice wyrwane z albumu podróży na Wschód — Dautats rysował je w kilka sekund, siedząc na wielbłądzie albo pod kopułą meczetu.

— Słowem wszystko, co artyści współcześni mogą nam dać za sztukę czasów dawnych, zatraconą albo zmarnowaną.

Tym razem Albert spodziewał się, iż pokaże hrabiemu jakieś rzeczy nowe; ale jakie było jego zdumienie, gdy osobiwy podróżny, nie szukając nawet podpisów — niektóre dzieła były zresztą znaczone jedynie inicjałami — jął wymieniać nazwiska autorów. Świadczyło to, że przestudiował był i ocenił talenty poszczególnych twórców.

3. PREZENTACJA

Z salonu przeszli do sypialni.

— Mogła ona służyć za wzór surowej elegancji. Zdobił ją jeden tylko portret, ale za to podpisany nazwiskiem Leopolda Roberta. Świetne to malowidło miało ramę z matowego złota.

Przyciągnęło ono natychmiast wzrok hrabiego. Monte Christo, postąpiwszy kilka kroków, stanął jak wryty.

Był to wizerunek kobiety dwudziestopięcioletniej: cera smagła, oko płomienne, przysłonięte ciężką powieką.

Miała na sobie malowniczy strój katalońskiej rybaczki: czerwony stanik z czarnym przybraniem, a we włosach złote szpilki.

Spoglądała na morze. Wykwintna jej sylwetka odcinała się od lazuru nieba i od lazuru fal.

Gdyby pokój nie był mroczny, Albert dostrzegłby, że hrabia pobladał okrutnie, a ramionami jego i piersią wstrząsnął nerwowy dreszcz.

Obaj chwilę milczeli. Monte Christo nie odrywał wzroku od malowidła

— Piękną masz kochankę, hrabio — ozwał się Monte Christo z całkowitym spokojem. — Zachwycająca w tym kostiumie, rzecz jasna, balowym

— Omyłka to, proszę pana, której tu, przed tym portretem nie darowałbym nikomu, choćby wisiał obok niego inny. Nie znasz pan mojej matki: ją to widzisz w tych ramach; kazała się tak namalować z osiem lat temu. Kostium to jakoby fantazyjny, a podobieństwo jest tak wielkie, że wydaje mi się, jakbym ją widział w roku 1830. Matka kazała namalować ten portret w czasie nieobecności ojca. Myślała oczywiście, że zgotuje mu na powitanie miłą niespodziankę; ale rzecz dziwna, wizerunek ten nie spodobał się ojcu; a wartość artystyczna malowidła, które jak pan widzisz, należy do piękniejszych dzieł Leopolda Roberta, nie zdołała przewyciężyć owej niechęci. To prawda, ale niech to zostanie, drogi hrabio, między nami, że ojciec mój, par stałe przesiadujący w Pałacu Luksemburskim i jako generał, wybitny strateg, jest bardzo mizernym znawcą sztuki; matka — przeciwnie: maluje sama i ma

spory talent; owóż, matką, nazbyt szacując tak piękne dzieło, aby nie rozstać się z nim całkiem, podarowała mi je; tutaj nie drażni już ono ojca, którego portret namalowany przez Grosa też panu pokażę. Wybacz mi pan, że poruszyłem rodzinne sprawy, ale będę miał honor przedstawić pana mojemu ojcu: niechże pan więc nie pochwali przypadkiem w jego obecności tego portretu. Zresztą działa on na matkę w jakiś przykry sposób: ilekroć bowiem matka przyjdzie do mnie, prawie zawsze ogląda ten wizerunek, a oglądając go, niemal zawsze płacze. Malowidło to sprowadziło jedyną chmurę na nasz dom, gdyż rodzice, choć pobrali się z górą przed dwudziestu laty, kochają się jak w miodowym miesiącu.

Monte Christo ogarnął Alberta bacznym spojrzeniem, jakby doszukiwał się w tych słowach ukrytej intencji; było jednak oczywiste, że młodzieniec powiedział to wszystko w prostocie ducha.

— A teraz — rzekł Albert — skoro pan hrabia widział wszystkie moje skarby, niechże pan pozwoli, choć one niegodne, ofiarować je sobie; rozejrzyj się pan tak, jakbyś był u siebie. Pragnąc jak najbardziej wygodnie panu, zaprowadzę pana niebawem do mojego ojca, któremu pisałem z Rzymu o przystudze, jaką mi pan wyświadczyłeś, a także zapowiedziałem pańską wizytę. Śmiało powiedziec mogę, że moi rodzice oczekują pana z niecierpliwością, aby mu podziękować. Wiem, że pan hrabia znużył się po trosze tym wszystkim, a sceny rodzinne nie mają dla Sindbada Żeglarza wielkiej atrakcji: widziałeś pan tyle innych ciekawszych! A jednak pozwól pan, żebym wprowadzając cię w życie paryskie, zaczął, opierając się na wzajemnych grzecznościach, od wizyt prezentacyjnych.

Monte Christo skłonił się w milczeniu.

Przyjął propozycję bez entuzjazmu, lecz i nie okazując niechęci, tak jak człowiek dobrze wychowany godzi się z konwenansem towarzyskim, gdyż poczytuje go sobie za obowiązek.

Albert zawołał lokaja i posłał go do państwa de Morcerf z wiadomością, że pan hrabia de Monte Christo wkrótce się zjawi.

Albert i hrabia poszli za lokajem.

W pałacowej sieni, nad drzwiami salonu, widniała tarcza herbowa, której oprawa bogata i zharmonizowana z ornamentami zdobiącymi ściany wskazywała, że pan domu wysoko szacuje swój klejnot.

Monte Christo, zatrzymawszy się przed owym herbem, jął przyglądać mu się z uwagą.

— Lazurowe pole, a na nim w ukos siedem złotych kosów. To oczywiście pański herb rodzinny, nieprawdaż? Umiem rozszyfrowywać tarcze herbowe, ale ponad to cóż mogę powiedzieć o heraldyce, ja, hrabia z przypadku; tytuł mój sfabrykowała w Toskanii komandoria Świętego Szczepana i mógłbym się obejść bez niego, gdyby mi nie wytłumaczono, że kto wiele podróżuje, musi być wielkim panem. Trzeba koniecznie mieć coś na drzwiczkach karety, choćby dlatego, żeby nie naprzykrzała się straż celna. Daruj mi pan więc to pytanie.

— Ależ nie widzę w nim nic niestosownego — odrzekł Albert z prostotą człowieka mocno o swoim szlacheństwie przekonanego — to nasz herb, to znaczy mojego ojca, bo, jak pan widzi, tarczę błękitną wzbogaciła czerwona ze srebrną wieżą pośrodku: to herb mojej matki; po kądzieli jestem Hiszpanem, ale ród Morcerfów to Francuzi z dziada pradziada; liczymy się podobno do najstarszych rodów południowej Francji.

— Tak, świadczą o tym kosy. Prawie każdy zbrojny pielgrzym, który usiłował wyswobodzić albo wyswobodził Ziemię Świętą, brał za godło bądź krzyż, na znak swojego postannictwa, bądź wędrownego ptaka, symbol długiej wyprawy, którą spodziewał się odbyć na skrzydłach wiary. Któryś z pańskich przodków po mieczu był zapewne krzyżowcem, a jeśli nawet nie walczył pod Ludwikiem Świętym, szlacheństwo pańskie i tak sięga trzynastego wieku — klejnot masz pan piękny.

— To możliwe. Jest w gabinecie ojca drzewo genealogiczne, które nam to wyjaśni. Napisałem o nim kiedyś komentarz, który zbudowałby naszych dawnych znamienitych genealogów. I choć teraz nie myślę już o tym, powiem panu, panie hrabio, bo należy to do moich obowiązków cicerona, że pod naszym rządem ludowym znów zaczynają się interesować mocno tymi kwestiami.

— Hm, w takim razie wasz rząd mógłby wybrać ze swojej przeszłości więcej niżli te dwie wywieszki, które zauważyłem na waszych pomnikach, wywieszki pozbawione heraldycznego sensu. Ale pan, panie Albercie, jesteś szczęśliwszy od swojego rządu, masz bowiem herb naprawdę piękny, herb, który przemawia do wyobraźni. Tak, w tym rzecz właśnie: jesteś Hiszpanem a zarazem Prowansalczykiem; tłumaczy mi to; jeśli portret jest wierny, skąd się wzięła u ciebie ta piękna smagła pleć, którą tak bardzo podziwiałem u Katalonki.

Jedynie Edyp albo sam Sfinks pojąłby ironię, jaką hrabia utulił w tych słowach przepojonych na pozór nienaganną grzecznością.

Toteż Albert, podziękowawszy uśmiechem, otworzył drzwi do salonu.

W salonie tym, na honorowym miejscu, wisiał inny portret.

Przedstawiał on mężczyznę lat trzydziestu pięciu do trzydziestu ośmiu, w mundurze generalskim. Oficer ów miał szlify z bulionami (oznaka wysokiej szarży), szyję jego zdobiła komandorska wstęga Legii Honorowej, pierś — po lewej stronie order Karola III, a po prawej oficerski medal Zbawiciela; wskazywały one, że wojował w Hiszpanii i w Grecji lub że w obu tych krajach pełnił jakąś misję dyplomatyczną, za co równie dobrze mógł otrzymać owe wysokie odznaczenia.

Kiedy Monte Christo przyglądał się owemu portretowi z taką samą uwagą (rozpatrując szczegół po szczególe), jaką poświęcił był wizerunkowi kobiety, otworzyły się drzwi boczne i stanął oko w oko z hrabią de Morcerf.

Hrabia miał lat najwyżej czterdzieści pięć, ale wyglądał przynajmniej na pięćdziesiąt. Czarne brwi i wąsy osobliwie kontrastowały z włosami niemal całkiem siwymi, ostrzyżonymi na jeża, jak zwykle u wojskowych.

Ubrany był po cywilnemu, butonierkę zdobiły wstążki rozmaitych orderów.

Ruchy miał wcale dystyngowane, a wszedł z jakimś pośpiechem.

Monte Christo czekał, nie postąpiwszy ani kroku.

Myślałbyś, że nogi wrosły mu w posadzkę. Nie odrywał wzroku od oblicza hrabiego de Morcerf.

— Ojciec — rzekł Albert — mam honor ci przedstawić pana hrabiego de Monte Christo, owego szlachetnego przyjaciela, któremu miał szczęście spotkać w znanych ojcu i trudnych okolicznościach.

— Jakże nam miło powitać u nas pana — powiedział hrabia de Morcerf, kłaniając się z uśmiechem.

— Wyświadczyłeś pan naszemu domowi, uratowawszy mu jedyne dziecko, przysługę, za którą póki życia będziemy wdzięczni.

To mówiąc wskazał gościowi fotel i sam usiadł naprzeciw okna.

Monte Christo, sadowiac się we wskazanym fotelu, ustawił go tak, aby pozostawszy w cieniu sutych aksamitnych zasłon, wyczytać z twarzy hrabiego, znużonej i smutnej, historię utajonych zmartwień, które zapisały się w przedwczesnych zmarszczkach.

— Małżonka moja — ozwał się Morcerf — robiła właśnie toaletę, kiedy syn kazał ją uprzedzić o pańskiej wizycie. Z wielką radością powita pana hrabiego, za dziesięć minut będzie w salonie.

— Wielki to zaszczyt dla mnie — rzekł Monte Christo — że w dzień mojego przyjazdu do Paryża zawarłem znajomość z człowiekiem równie sławnym, jak wybitnym. Fortuna, wyróżniwszy pana hrabiego, nie omyliła się tym razem; dziwię się tylko, że na polach Metydży albo w górach Atlasu nie znalazła jeszcze marszałkowskiej buławy, aby zaofiarować ją panu.

— Wycofałem się ze służby wojskowej, proszę pana — odparł Morcerf, zarumieniwszy się z lekka. — Za Restauracji, mianowany zostałem parem, brałem udział w pierwszej kampanii, służąc pod marszałkiem de Bourmont, mogłem więc ubiegać się o dowództwo i kto wie, jak obróciłyby się sprawy, gdyby linia starsza pozostała na tronie! Ale widać rewolucja lipcowa była tak udana, że mogła sobie pozwolić na niewdzięczność; okazała ją więc każdemu, kto nie służył za Cesarstwa; złożyłem tedy dymisję; boć kto zdobył szlify w boju, nie umie manewrować na śliskich posadzkach salonów; rozstałem się z szabłą, przerzuciłem się do polityki, poświęciłem się przemysłowi, studiuje sprawy techniczne. Miałem na to ochotę służyć dwadzieścia lat w wojsku, ale nie miałem czasu.

— Dzięki takim poglądom naród pański góruje stale nad innymi — odpowiedział Monte Christo. — Pan, szlachcic z wielkiego rodu, człowiek majątny, zgodziłeś się zacząć karierę wojskową od skromnego żołnierza: to bardzo rzadkie; następnie, jako generał, par Francji, komandor Legii Honorowej, zgadzasz się pan terminować po raz wtóry, mając tylko tę nadzieję i spodziewając się tylko tej nagrody, że któregoś dnia będziesz użyteczny dla bliźnich... O, panie hrabio, to naprawdę piękne; mało: to wzniosłe!

Albert spoglądał na Monte Christa i słuchał go ze zdziwieniem; nie widział jeszcze, aby poglądy tego rodzaju napawały go entuzjazmem.

— Niestety — mówił cudzoziemiec, pragnąc zapewne pocieszyć hrabiego, który na jego słowa zachmurzył się z lekka — we Włoszech ludzie są inni: rozwijamy się wedle praw naszego gatunku, zachowując, niby drzewa, wciąż to samo listowie i rozmiary, często nikomu całe życie nieprzydatni.

— Ależ, proszę pana, dla człowieka tak wybitnego Włochy nie mogą być ojczyzną; Francja wyciąga ręce do pana. Odpowiedz na jej wezwanie, Francja może nie wszystkim okazać niewdzięczność; własne dzieci traktuje po macoszemu, ale wobec cudzoziemców bywa zwykle wielkoduszna.

— E, mój ojciec — uśmiechnął się Albert — widać nie znasz pana hrabiego. Obojętne mu są świetności tego świata. Pan hrabia nie szuka zaszczytów, wystarczają mu tytuły, które można wpisać do paszportu.

— Nikt jeszcze nie określił mnie w słuszniejszych słowach — odparł cudzoziemiec.

— Będąc panem swojej przyszłości — westchnął Morcerf — wybrał hrabia drogę usłaną różami.

— O właśnie, proszę pana — odpowiedział Monte Christo z właściwym sobie uśmiechem, którego malarz nigdy nie odda, a fizjonomista nigdy zanalizować nie zdoła.

— Gdybym nie lękał się znudzić pana hrabiego — ozwał się generał, zachwycony manierami Monte Christa — zawiózłbym pana do Izby, bo dziś sesja ciekawa dla każdego, kto nie zna naszych nowożytnych senatorów.

— Będę panu niezmiernie zobowiązany, jeśli raczysz pan ponowić kiedyś tę propozycję; bo dziś mam niepłonną nadzieję, że będę jeszcze przedstawiony pani hrabinie.

— O, mama właśnie nadchodzi! — zawołał Albert.

— Monte Christo, obejrawszy się szybko, zobaczył panią de Morcerf: stała w drzwiach przeciwnych do drzwi, którymi wszedł jej mąż; nieruchomej i bladej opadła ręka, którą, nie wiadomo dlaczego, wsparła się o złoconą futrynę; stała tak już od paru chwil słuchając ostatnich słów cudzoziemskiego przybysza.

Na widok hrabiny Monte Christo podniósł się i skłonił głęboko, ona zaś odpowiedziała ukłonem milczącym i ceremonialnym.

— O, cóż ci się stało, moja żono? — zagadnął generał. — Czyżby w salonie było za gorąco?

— Niedobrze ci, moja mamo? — zawołał wicehrabia, biegnąc ku Mercedes. Podziękowała im uśmiechem.

— Nie — odrzekła — wzruszyłam się nieco, ujrawszy po raz pierwszy pana hrabiego. Gdybyś nie zechciał pan wtedy interweniować, bylibyśmy dziś pogrążeni w żałobie i łzach. Panie hrabio — mówiła generałowa, zbliżając się doń krokiem majestatycznym, królewskim — ocaliłeś życie mojemu synowi, za to dobrodziejstwo błogosławię pana. A teraz dziękuję serdecznie, żeś dał pan nam sposobność, byśmy wyrazili ci wdzięczność, dziękuję tak, jak pobłogosławiłam pana: ze szczerego serca.

Hrabia skłonił się jeszcze głębiej, a był jeszcze bledszy niż Mercedes:

— Łaskawa pani — ozwał się — zbyt hojnie wynagradzacie mnie państwo za czyn bardzo zwyczajny. Ocalić człowieka, zaoszczędzić zgrzyoty ojcu, strapienia matce, to nie czyn dobry, ale po prostu ludzki.

Na te słowa, wymówione łagodnie i nadzwyczaj uprzejmie, pani de Morcerf odpowiedziała z głębokim wzruszeniem:

— Wielkie to szczęście, że mój syn zyskał pańską przyjaźń, dziękuję Bogu za to zrządzenie.

I Mercedes uniosła piękne oczy do nieba z wdzięcznością tak wielką, że zabłyśły w nich łzy.

Pan de Morcerf podszedł do niej.

— Przeprosiłem już pana hrabiego — rzekł — muszę go bowiem pożegnać, a ty, moja żono, zechcesz przeprosić naszego gościa raz jeszcze. Sesja rozpoczęła się o drugiej, teraz jest już trzecia, a mam przemawiać.

— Postaram się, mój drogi, aby nasz gość zapomniał o twojej nieobecności — odpowiedziała hrabina z tym samym co i wprzód wzruszeniem. — Pan hrabia — tu zwróciła się do Monte Christa — raczy spędzić z nami resztę dnia, nieprawdaż?

— Niewymownie, niech mi pani hrabina wierzy, jestem wdzięczny za to zaproszenie, ale dziś rano, u drzwi państwa, wysiadłem z podróźnej kolasy. Nie wiem jeszcze, jak zainstalowano mnie w Paryżu; nie wiem nawet dokładnie, gdzie. Oczywiście sprawa to błaha, ale ma swoje znaczenie.

— A więc przyjemność tę odłożymy tylko. Przrzekasz nam pan? — spytała hrabina.

Monte Christo skłonił się w milczeniu, ale tak, iż ów ukłon mógł wyrażać zgodę.

— Tedy nie zatrzymuję pana, nie chcę bowiem, aby moja wdzięczność stała się nietaktowna lub uciążliwa.

— Drogi hrabio — odrzekł Albert — jeśli pan pozwolisz, spróbuję zrewanżować się w Paryżu za miłą grzeczność, jaką wyświadczyłeś mi pan w Rzymie. Kareta moja będzie do pańskiej dyspozycji, póki nie sprokurujesz pan sobie własnych ekwipaży.

— Tysiącne dzięki, panie Albercie, ale zdaje mi się, że Bertuccio zużytkował, jak należy, cztery i pół godziny, które mu dałem. Zastanę chyba u bramy powóz i konie.

Albert, nawykły do fantazyj hrabiego, wiedział, że człowiek ten szuka, jak Neron, wciąż nowych przeszkód do pokonania. Nie dziwił się więc już niczemu, a tym razem chcąc się tylko przekonać, w jakiej mierze wykonano rozkazy Monte Christa, odprowadził go do drzwi pałacu.

Hrabia się nie pomylił: kiedy pojawili się w przedsionku, ten sam lokaj, który w Rzymie doręczył młodzieńcom bilet wizytowy Monte Christa, zapowiadając im jego odwiedziny, wybiegł przed kolumnadę i kiedy znakomity podróżny ukazał się na ganku, powóz już czekał.

Była to karetka pochodząca z warsztatów Kellera, zaprzężona w parę koni, której dnia poprzedniego — wieść ta rozeszła się już pośród lwów paryskich — Drake nie chciał sprzedać za osiemnaście tysięcy franków.

— Panie Albercie — ozwał się hrabia — nie proponuję, abys mnie pan odwiózł, gdyż nie chciałbym pokazać panu mieszkania zaimprovizowanego naprędce. Mam, jeśli idzie o improwizację, opinię ustaloną i wolałbym ją zachować. Proszę więc o dzień zwłoki, pozwalam sobie zaprosić pana na jutro. Będę pewniejszy, że prawom gościnności nie uchybię.

— Skoro pan hrabia prosi o dzień jeden, jestem spokojny; pokaże mi pan nie dom, ale pałac. Na pewno rozkazuje pan jakiemuś geniuszowi.

— Dalibóg, niech pan rozpowszechni tę wiadomość — rzekł Monte Christo, wchodząc na aksamitny stopień swojego wspaniałego ekwipażu — przyda mi się ona wobec dam.

Wskoczył do powozu, zatrzasnęły się drzwiczki, a choć konie ruszyły galopem, zauważył, jak w oknie salonu, gdzie pożegnał był panią de Morcerf, drgnęła nieznacznie firanka.

Albert zastał matkę w buduarze — siedziała w głębokim pluszowym fotelu. Pokój tonął w mroku, czasami tylko jakiś błysk zaigrał to na wypukłościach wazonów imitujących do złudzenia starą porcelanę, to w rogu złoconej ramy.

Albert nie mógł dostrzec lic matki: głowę, hrabiny spowijał gazowy szal, podobny mglistej aureoli; ale poznał, że głos matki był zmieniony; wyczuwał również pośród woni róż, heliotropów i tuberoz, które zdobiły żardinierę, ostrą smugę zapachu soli trzeźwiących; młodzieniec zaniepokoił się słusznie: na rzeźbionej krawędzi kominka stał flakon wydobyty z szagrynowego futerału.

— Zachorowałaś, mamó? — spytał wchodząc. — Czyżbyś poczuła się źle, kiedy mnie nie było?

— E, nie. Ale widzisz, te róże, tuberozy i kwiat pomarańczowy pachną zbyt silnie w czasie pierwszych upałów, do których nie przywykliśmy jeszcze...

— W takim razie, mamó — tu Albert sięgnął do dzwonka — trzeba je wynieść do przedpokoju. Przecież ty jesteś naprawdę niedysponowana; wchodząc do salonu byłaś bardzo blada.

— Mówisz, że byłam blada?

— Bładością, z którą jest ci prześlicznie, moja mamó. Niemniej złąkliśmy się z ojcem bardzo.

— Ojciec napomknął ci o tym? — spytała żywo Mercedes.

— Nie, przecież sam o tym mamie powiedział. Nie pamiętasz?

— Nie.

Na dwonek Alberta zjawił się lokaj.

— Wynieś te kwiaty do przedpokoju albo gotowalni. Panią hrabinę rozboleła od nich głowa.

Lokaj spełnił rozkaz.

Kiedy lokaj uprzątał kwiaty, matka i syn milczeli.

— Go to właściwie za nazwisko, Monte Christo? — ozwała się hrabina, kiedy sługa zabrał ostatni wazon. — Nazwisko rodowe, pochodzące od włości, czy może zwykły przydomek?

— Chyba przydomek, i basta. Hrabia nabył jedną z wysepek Archipelagu Toskańskiego, a z tego, co dziś mówił, wynika, że ufundował komandorię. Wiesz, że to możliwe: można kupić we Florencji komandorię Świętego Szczepana, w Parmie Świętego Jerzego, można też tym sposobem zostać kawalerem maltańskim. A zresztą nie ma on żadnych pretensyj do szlachectwa, sam się nazywa hrabią z przypadku, choć w Rzymie panuje opinia, że jest hrabią autentycznym, a ponadto bardzo wielkim panem.

— Maniery ma znakomite, jeśli zdażyłam zauważyć podczas tej krótkiej chwili, którą u nas zabawiał.

— O, bez zarzutu, mamó. Nie widziałem wśród najwyższej i najdumniejszej arystokracji europejskiej, mam na myśli szlachtę angielską, hiszpańską i niemiecką, kogoś równie dystygowanego. Monte Christo góruje nad nimi.

Hrabina zamyśliła się, a po krótkim wahaniu rzekła:

— Widziałeś, Albercie... pytam jako matka, zrozumiesz mnie więc, mój drogi, widziałeś pana de Monte Christo u niego w mieszkaniu; jesteś bystry, obyty, masz więcej doświadczenia niż twoi rówieśnicy; czy sądzisz więc, że hrabia jest rzeczywiście tym, na kogo wygląda?

— A na kogo wygląda?

— Toć sam powiedziałeś przed chwilą, że na bardzo wielkiego pana.

— Mówiłem ci, mamo, że za takiego uchodzi.

— Ale jakie ty masz o tym zdanie, Albercie?

— Wyznam, że nie powziąłem jeszcze o nim zdecydowanej opinii. Chyba to Maltańczyk.

— Nie pytam o jego pochodzenie, pytam, co to za człowiek.

— A, to inna rzecz. Widziałem w nim mnóstwo cech osobliwych, toteż, jeśli mam powiedzieć mamie, co myślę o hrabi naprawdę, wyznam, że poczytywałbym go chętnie za jednego z bohaterów Byrona, których nieszczęście naznaczyło swoim piętnem fatalnym; to jakiś Manfred, Lara czy Werner; jeden z ostatnich potomków starego rodu, co wyzuci z ojcowizny, zdobywają fortunę dzięki sile i geniuszowi awanturniczemu, który wynosi ich ponad prawa społeczne.

— Jak to?

— No tak. Monte Christo jest bezludną wysepką na morzu Śródziemnym; nie ma tam załogi wojskowej, co pozwala gnieździć się przemytnikom i piratom wszelkich narodowości i ze wszystkich krajów. Kto wie, czy ci ludzie godni a przemyślni nie płacą swojemu władcy za prawo azylu.

— To możliwe.

— Ale mniejsza z tym. Przemytnik czy nie, przyznasz droga mamo, boś go widziała, że pan hrabia de Monte Christo jest człowiekiem nieprzeciętnych zalet i że zrobi furorę w salonach paryskich. No, przecież dziś rano, u mnie, postawiwszy pierwsze kroki w świecie, oszołomił wszystkich, nawet takiego Château-Renauda.

— A w jakim wieku może być hrabia? — zapytała Mercedes, wyraźnie przywiązując dużą wagę do tej kwestii.

— Ma ze trzydzieści sześć lat.

— Taki młody? To niemożliwe — ozwała się Mercedes, odpowiadając jednocześnie i Albertowi, i swoim własnym myślom.

— Ależ tak. Mówił mi parę razy bez żadnej intencji: miałem wtedy pięć lat, wtedy dziesięć, a kiedy indziej dwanaście; ciekaw tych szczegółów, słuchałem bacznie, porównywałem daty i nigdy nie złapałem go na kłamstwie. Na pewno ten oryginał ma ze trzydzieści pięć lat, choć w ogóle trudno określić jego wiek.. Następnie przypomnij sobie, moja mamo, z jaką bystrością spoglądają jego oczy; hrabia nie ma ani jednego siwego włosa, a na czole jego, choć bladym, nie dostrzeżesz ani jednej zmarszczki. To organizm nie tylko silny, ale jeszcze młody. Hrabina spuściła głowę, jakby pod nawałem gorzkich myśli.

— I ten człowiek powziął do ciebie przyjaźń? — zagadnęła drżąc nerwowo.

— Chyba tak.

— A tyś go... też polubił?

— Podoba mi się, mamo, aczkolwiek Franz chciałby we mnie wmówić, że hrabia powrócił z tamtego świata.

Hrabina wzdygnęła się z przerażeniem.

— Albercie — rzekła, a głos wiał jej w gardle — zawsze przestrzegałam cię przed nowymi znajomościami. Jesteś już mężczyzną, mógłbyś udzielać rad swojej matce; a jednak powtórzę: bądź ostrożny.

— Żeby skorzystać z twojej rady, droga mamo, musiałbym najpierw wiedzieć, czego mam się strzec. Hrabia nie grywa nigdy; pije tylko wodę przyłożoną kilkoma kroplami wina hiszpańskiego; jest tak bogaty, że gdyby chciał pożyczyć ode mnie pieniędzy, to chyba tylko na kpiny; czegoż więc mam, według ciebie, lękać się ze strony hrabiego?

— Masz rację, niedorzeczne są moje obawy, tym bardziej że ten człowiek ocalił ci życie. Ale, ale, jak go przyjął ojciec? Musimy być wobec hrabiego jak najuprzejmiejsi, to ważne. Ojciec bywa zapracowany, martwi się o swoje interesy, mógł więc niechcący...

— Ojciec był bez zarzutu — przerwał Albert — a nawet wydało mi się, że mile polechtały go komplementy, trudno o zręczniejsze i trafniejsze, które hrabia przemycił raz i drugi tak zgrabnie, jakby znał papę od lat trzydziestu. Każda z tych pochlebnych strzałek sprawiła tatusiowi wyraźną

przyjemność — roześmiał się Albert. — Jakoż rozstali się jak najlepsi przyjaciele. Ojciec chciał nawet zabrać hrabiego do Izby, aby popisać się przed nim swoją dzisiejszą oracją.

Hrabina nic nie odrzekła; zadumała się tak głęboko, że oczy jej zamknęły się z wolna

Młodzieniec stał przed nią i wpatrywał się w jej twarz z ową synowską miłością, która tkliwszą jest zawsze i serdeczniejszą, jeśli matka zachowa młodość i urodę. Widząc, że przymknęła oczy, jął wsłuchiwać się w jej oddech, a że pogrążyła się w słodkim odrętwieniu, wyszedł po chwili na palcach, zamykając ostrożnie drzwi.

— To diabeł wcielony — mruknął potrząsając głową. — Przepowiedziałem mu jeszcze tam, że zrobi w świecie furorę; sprawdziłem to właśnie na termometrze niezawodnym. Matka go zauważyła, a więc musi być godzien uwagi.

Poszedł do stajni. Irytował się w duchu, że hrabia Monte Christo, nie pomyślawszy nawet o tym, kupił konie, które w oczach znawców zaćmiają jego gnidosze.

— Stanowczo — rzeki — ludzie nie są równi. Poproszę ojca, żeby przed Wysoką Izbą rozwinął to twierdzenie.

4. IMĆ BERTUCCIO

Tymczasem hrabia zajechał do domu; droga trwała sześć minut.

Ale w ciągu tych sześciu minut ze dwudziestu złotych młodzieńców znających cenę koni hrabiego, sami bowiem mieli na nie chrapkę, galopowało za kareta, żeby zobaczyć magnata, który nabył cuganty po dziesięć tysięcy franków sztuka.

Na miejską rezydencję hrabiego Monte Christo Ali wybrał dom z ogrodem, wznoszący się u końca Pól Elizejskich, po prawej stronie; bardzo gęste drzewa rosnące pośrodku dziedzińca zasłaniały częściowo fasadę; dwie aleje, ogarniając niby dwa ramiona ową kępę drzew, łączyły okratowaną bramę z gankiem. Przed ów ganek o rozgałęzionych schodach, których stopnie zdobiły porcelanowe wazy z kwiatami, zajeżdżały powozy.

Dem stał na pustkowiu. Obok wejścia głównego miał jeszcze inne, od ulicy Ponthieu.

Nim stangret zawołał odźwiernego, masywna krata obróciła się na zawiasach.

Oczekiwano hrabiego. W Paryżu, jak i w Rzymie, a zresztą wszędzie, obsługiwano go z błyskawiczną szybkością.

Stangret wjechał i nie zwalniając zatoczył półkole; bramę zamknęto, nim koła przestały skrzypieć na piasku alei.

Kareta zatrzymała się na lewo od ganku; dwaj ludzie wyrosli przy drzwiczkach: Ali uśmiechnął się do pana z najszczęśliwszą radością, a zwykłe spojrzenie Monte Christa poczytał sobie za hojną nagrodę.

Drugi skłonił się kornie i wyciągnął rękę, aby pomóc hrabiemu wysiąść z karety.

— Dziękuję, panie Bertuccio — rzekł hrabia i zeskoczył lekko z trzech rozkładanych stopni powozu. — Gdzie rejent?

— W saloniku, ekscelencjo.

— A co z biletami wizytowymi? Miano je sporządzić, jak tylko będzie wiadomy numer domu.

— Już gotowe, panie hrabio. Byłem u najlepszego sztycharza w Palais-Royal, przy mnie wykonał płytkę; pierwszy wytłoczony bilet zaniesiono, nie czekając, jak pan hrabia rozkazał, do pana barona Danglars, deputowanego, Chaussée d'Antin 7; inne leżą na kominku, w sypialni waszej ekscelencji.

— Dobrze. Która godzina?

— Czwarta.

Monte Christo dał rękawiczki, cylinder i laskę temuż lokajowi francuskiemu, który wybiegł z przedsiönka pałacu Morcerfów, żeby zawołać powóz; następnie podążył do saloniku — Bertuccio szedł przodem, wskazując drogę.

— Mizerne jakieś marmury tu w sieni — ozwał się Monte Christo. — Spodziewam się, że je zabierzecie.

Bertuccio skłonił się.

Jak powiedział intendent, rejent czekał w saloniku.

Postać typowa: twarz zacnego kancelisty, który osiągnął szczyty kariery — otworzył kancelarię na przedmieściu.

— To pan jesteś rejentem występującym w imieniu właścicieli domu wiejskiego, który chcę kupić? — zagadnął Monte Christo.

— Tak, panie hrabio.

— Akt sprzedaży gotów?

— Tak, panie hrabio.

— Masz go pan tutaj?

— Proszę.

— Wybornie. A gdzie ten dom? — spytał niedbale Monte Christo, popatrując to na Bertuccia, to na rejenta.

Intendent odpowiedział gestem oznaczającym: nie wiem. Rejent spojrział zdziwiony na Monte Christa.

— Jak to? — rzekł. — Pan hrabia nie wie, gdzie jest dom, który zamierza kupić?

— Dalibóg, nie.

— I pan hrabia go nie widział?

— A kiedyż, u diabła, miałem oglądać? Dziś rano przyjechałem z Kadyksu, pierwszy raz widzę Paryż, pierwszy raz noga moja stanęła we Francji.

— To rzecz inna — odpowiedział rejent. — Dom, który pan hrabia zamierza kupić, jest w Auteuil.

Na te słowa Bertuccio zbladł.

— A gdzież to Auteuil?

— O dwa kroki stąd, panie hrabio — objaśnił rejent. — Niedaleko za Passy. Śliczne położenie, w samym środku Lasku Bulońskiego.

— Tak blisko? E, to nie wieś. Czemuż u diabła, panie Bertuccio, wybrałeś mi dom u samych rogatek paryskich?

— Ja? — zawołał intendent ze szczególnym przejęciem. — Ależ pan hrabia na pewno nie mnie zlecił tę sprawę; niech pan hrabia raczy sobie dobrze przypomnieć, poszperać w pamięci.

— A słusznie, słusznie, przypominam sobie teraz. Wyczytałem anons w gazecie, zwiódł mnie kłamliwy tytuł: Dom wiejski.

— Jeszcze mamy czas — wtrącił żywo Bertuccio. — Niech tylko wasza ekscelencja każe mi poszukać gdzie indziej, a znajdę, co będzie najlepszego w Enghien, Fontenay aux Roses czy w Bellevue.

— E nie, po co? — rzekł niefrasobliwie hrabia. — Zostanę już przy tym domu.

— I pan hrabia ma rację — wtrącił szybko rejent, lękając się utraty honorarium — bo to urocza posiadłość. Strumyki, gęsty las, a mieszkanie, choć opuszczone z dawna, bardzo wygodne; nie mówiąc o meblach: aczkolwiek nienowe, mają wartość, a zwłaszcza dziś, kiedy każdy szuka staroci. Przepraszam, a może pan hrabia gustuje właśnie w swojej epoce?

— Proszę, proszę, niech pan mówi. Więc to przyzwoita posesja?

— Przyzwoita? Wspaniała, panie hrabio.

— Do licha. Nie przepuszczę takiej okazji. Dajże mi, panie rejencie, kontrakt, jeśliś tak łaskaw.

I podpisał szybko, rzuciwszy okiem na to miejsce, gdzie określono położenie domu i wymieniono nazwiska właścicieli.

— Panie Bertuccio, proszę wypłacić panu rejentowi pięćdziesiąt pięć tysięcy franków.

Intendent wyszedł chwiejnym krokiem i wrócił niosąc plik banknotów. Rejent przeliczył, nigdy bowiem nie przyjmował ani grosza bez należytych formalności.

— Stało się wszystkiemu zadość? — spytał Monte Christo.

— Tak, panie hrabio.

— Klucze pan masz?

— Ma je stróż, który pilnuje domu; ale jest tu list do niego, żeby wprowadził pana, jako właściciela.

— Wybornie.

I hrabia kiwnął głową rejentowi, jakby chciał powiedzieć: „Nie potrzebuję już pana, idźże pan sobie”.

— Ale — bąknął nieśmiało uczciwy rejent — pan hrabia chyba się pomylił; należy mi się tylko pięćdziesiąt tysięcy franków, licząc już wszystko.

— A pańskie honorarium?

— Właśnie zawiera je ta suma, panie hrabio.

— Ale potrudziłeś się pan do mnie z Auteuil.

— No tak.

— A więc za pański trud coś się panu należy. I odprawił go gestem.

Rejent cofał się, kłaniając się do ziemi.

Pierwszy raz od czasu, jak objął stanowisko, trafił mu się taki klient.

— Niech pan wyprowadzi pana rejenta — rzekł hrabia do Bertuccia. Bertuccio podążył za rejentem.

Wtedy hrabia wyciągnął z kieszeni pugilares zamykany na kluczyk i otworzył go. Kluczyk ów nosił na szyi i nigdy się z nim nie rozstawał.

Poszperawszy chwilę spojrział na karteczkę opatrzoną jakimiś notatkami. Porównał notatki z aktem kupna leżącym na stole i, przywołując na pamięć wspomnienia, rzekł:

— Auteuil, Źródłana 28, otóż i to; czy teraz wydobyć zeznanie strasząc religią, czy też uciekając się do środków natury świeckiej?. A zresztą, za godzinę dowiem się wszystkiego.

— Bertuccio! — zawołał, uderzając młoteczkiem o giętą rękojęć w dzwonek; instrument ów wydał dźwięk ostry i wibrujący, podobnie brzmi tam-tam. — Bertuccio!

Intendent stanął w progu.

— Panie Bertuccio, czy nie wspomniałeś mi aby, żeś podróżował po Francji?

— Tak, ekscelencjo, znam te i owe strony.

— To na pewno znasz pan i okolice Paryża?

— Nie, ekscelencjo, o nie — i Bertucciem wstrząsnął nerwowo dreszcz. Monte Christo, znając się na ludzkich uczuciach, przypisał go mocnemu zaniepokojeniu.

— Szkoda, że nie zwiedzałeś pan okolic Paryża, bo dziś jeszcze chciałbym obejrzeć mój nowy nabytek. Pojechawszy ze mną udzieliłbyś mi pan, nie wątpię, użytecznych informacji.

— Do Auteuil? — zawołał Bertuccio, a twarz jego oliwkowa zrobiła się trupio biała. — Ja miałbym jechać do Auteuil?

— Ciekaw jestem, czemu to pana tak bardzo dziwi. Kiedy zamieszkać w Auteuil, zamieszkać i pan, bo należysz do mojej służby.

Pod władczym spojrzeniem pana Bertuccio spuścił głowę. Stał w miejscu i milczał.

— Cóż to się z panem dzieje? Czy mam zadzwonić po raz wtóry, żeby podano konie? — rzekł hrabia tonem Ludwika XIV, kiedy ów monarcha rzucił sławne: „O małym nie czekał”.

Bertuccio, przebywszy jednym susem salonik i przedpokój, zawołał chrapliwie:

— Konie jego ekscelencji.

Monte Christo napisał jeszcze parę listów. Kiedy pieczętował ostatni, zjawił się intendent. Powóz waszej ekscelencji czeka — oznajmił.

— No to bierz pan kapelusz i rękawiczki.

— To mam jechać z panem hrabią? — przeraził się Bertuccio.

— Oczywiście. Skoro mam- zamieszkać w tym domu, musisz pan wydać stosowne zarządzenia.

Nikt jeszcze nie sprzeciwił się hrabiemu.

Intendent nie protestując podążył za panem, a hrabia dał mu znak, by wsiadł do powozu.

Bertuccio usadowił się z szacunkiem na ławeczce.

5. DOM W AUTEUIL

Monte Christo zauważył, iż Bertuccio, schodząc z ganku przeżegnał się na modłę korsykańską, to znaczy zrobił kciukiem krzyż w powietrzu, a sadowiąc się w powozie, wymamrotał krótki pacierz.

Kto inny, mniej ciekawy, ulitowałby się szczególnemu obrzydzeniu, z jakim czcigodny intendent odniósł się do przechadzki extra muros, zamierzonej przez hrabiego; ale, zdaje się, Monte Christo był nazbyt ciekawy, aby darować mu tę niedaleką wycieczkę.

Po dwudziestu minutach byli w Auteuil.

Zaniepokojenie intendenta wciąż rosło.

Kiedy wjechali do Auteuil, Bertuccio, wciśnięty w kąt karety, jął przyglądać się uważnie i z gorączkowym podnieceniem mijanym budynkom.

— Każesz pan stanąć na ulicy Źródlanej, pod numerem 28 — rzekł hrabia do intendenta, nie spuszczając zeń upartego i bezlitosnego wzroku.

Pot zrosił twarz Bertuccia. A jednak posłuszny intendent wychylił się i zawołał:

— Źródłana 28.

Dom ten stał na końcu wsi.

Tymczasem noc zapadła — a raczej pojawiła się czarna chmura, naładowana elektrycznością, nadając owemu przedwczesnemu mrokowi wygląd uroczysty, jak gdyby w dramatycznym epizodzie.

Kareta zatrzymała się, lokaj podskoczył do drzwiczek i otworzył.

— Cóż to? — zdziwił się hrabia. — Nie wysiadasz pan, mój Bertuccio? W takim razie zostajesz pan w powozie. O czym, u diabła, pan dziś myślisz?

Bertuccio wyskoczył z karety, podał ramię hrabiemu, który tym razem wsparł się na nim i zszedł wolno po trzech stopniach.

— Zastukaj — rzekł hrabia — i powiedz, że przybyłem. Bertuccio zastukał, drzwi się otworzyły i pokazał się w nich odźwierny.

— A co tam nowego? — spytał.

— To, mój dobry człowieku, że przyjechał wasz nowy pan — objaśnił lokaj. I dał odźwiernemu bilet od rejenta.

— To dom sprzedany i ten pan tu zamieszka? — spytał odźwierny.

— Tak, mój przyjacielu — odpowiedział hrabia — i postaram się, żebyś nie żałował dawnego pana.

— E, proszę pana, nie mam co go żałować, bo pokazywał się tu bardzo rzadko, ostatni raz był tu przeszło pięć lat temu, i dalibóg, dobrze zrobił, że sprzedał dom, z którego nie miał żadnego zysku.

— A jak się nazywał wasz dawny pan?

— Margrabia de Saint-Méran. Nie sprzedał domu za tyle, za ile go kupił, jestem tego pewien.

— Margrabia de Saint-Méran. Zdaje się, że to nazwisko nie jest mi obce... Margrabia de Saint-Méran...

I hrabia jakby coś sobie przypominał.

— Sędziwy szlachcic — rzekł odźwierny — wierny sługa Bourbonów: miał córkę, jedynaczkę, którą wydał za pana de Villefort, prokuratora królewskiego w Nimes, a potem w Wersalu.

Monte-Christo rozejrzał się: Bertuccio sinoblady stał oparty o mur, aby nie upaść.

— A czy hrabianka nie umarła przypadkiem? Coś takiego obito mi się o uszy.

— Tak, proszę pana, dwadzieścia lat temu, i od tego czasu biedny pan margrabia był tu najwyżej trzy razy.

— Dziękuję, dziękuję — rzekł Monte Christo, sądząc po zdenerwowaniu Bertuccia, że nie należy przeciągać struny, gdyż mogłaby pęknąć — dziękuję. Daj mi jakie światło, mój dobry człowieku.

— Mam towarzyszyć panu?

— Nie. Bertuccio mi poświęci — to mówiąc Monte Christo wsunął odźwiernemu dwie sztuki złota; odźwierny aż sapiąc z uciechy rozplynał się w błogosławieństwach.

— O, proszę wielmożnego pana — rzekł, nie znalazłszy świeczki ani na kominku, ani obok na półkach — nie mam czym poświęcić.

— Panie Bertuccio — ozwał się hrabia — weź latarnię powozu i oprowadź mnie po pokojach.

Bertuccio spełnił rozkaz bez słowa, ale łatwo było wnieść po drzeniu ręki, w której trzymał latarnię, ile kosztuje go to posłuszeństwo.

Obeszli dość obszerny parter, następnie pierwsze piętro składające się z salonu, łazienki i dwóch pokojów sypialnych.

Jeden z nich łączył się z kręconymi schodami, które prowadziły do ogrodu.

— O, schody dla służby, to wcale wygodne — ozwał się hrabia. — Poświęć mi, panie Bertuccio; idź przodem, zobaczymy, dokąd te schody nas zaprowadzą.

— Do ogrodu, panie hrabio — objaśnił Bertuccio.

— A pan skąd o tym wiesz?

— To znaczy, tak przypuszczam.

— Przekonajmyż się tedy. Bertuccio westchnął i poszedł przodem. Rzeczywiście, schody wiodły do ogrodu. Intendent zatrzymał się przy drzwiach.

— No dalej, dalej — zachęcił go hrabia.

Ale Bertuccio stał oszołomiony, ogłupiały, zgnębiony.

Rozglądał się błędnie wokół, jakby szukając śladów okropnej przeszłości; dłonie, zaciśnięte kurczowo, próbowały jakby odpychać okrutne wspomnienia.

— Czemuż się pan nie ruszasz? - nalegał hrabia.

— Nie, nie! — zawołał Bertuccio, stawiając latarnię na występie muru. — Nie, panie hrabio, dalej nie pójdę, nie mogę.

— A cóż to znaczy? — wycedził hrabia głosem, któremu niepodobna było się oprzeć.

— Ale czyż pan hrabia nie widzi, że to wszystko sprawa nadprzyrodzona? Chciał pan kupić dom w Paryżu i kupuje go pan akurat w Auteuil, i to właśnie na ulicy Źródlanej numer 28. Ach, czemuż nie powiedziałem wszystkiego jaśnie panu? Na pewno nie żądałby pan, żebym tu przyjechał. Myślałem zresztą, że pan hrabia kupi inny dom. Jak gdyby w Auteuil nie było innych domów, tylko takie, gdzie dopuszczono się morderstwa!

— No, no, no — rzekł Monte Christo, zatrzymując się nagle — cóż to za szkaradne słowo powiedziałeś, mój panie! Diable wcielony! Korsykańczyku zatwardziały! Wciąż tajemnice i zabobony! Bierz mi zaraz latarnię i obejrzyjmy ogród; mam nadzieję, że ze mną bał się nie będziesz!

Bertuccio wziął latarnię i usłuchał.

W prostokacie otwartych drzwi ukazało się niebo, gdzie księżyc daremnie usiłował walczyć z nawałą chmur, co zasnuwały go ciemnymi lalami. Rozświetlał na moment obłoki — lecz po chwili ginęły one jeszcze ciemniejsze, w głębinach nieskończoności.

Intendent skierował się na lewo.

— Nie, mój panie — rzekł Monte Christo — czemuż mamy spacerować po alejach? Oto piękny trawnik, idziemy prosto przed siebie.

Bertuccio otarł pot spływający mu z czoła, ale usłuchał. Mimo to znów popróbowwał skrócić w lewo.

Monte Christo, przeciwnie, podążył na prawo i zatrzymał się tuż pod kępą drzew.

Intendent nie zapanował nad sobą.

— Niech pan hrabia stamtąd odejdzie, błagam! — zawołał. — Jest pan akurat na tym miejscu!

— Na jakim miejscu?

— Tam, gdzie on upadł.

— Mój drogi panie Bertuccio — roześmiał się hrabia — oprzytomnij, radzę ci, nie jesteśmy w Sartene ani w Corte. To nie korsykańskie chaszczce, ale park angielski, zapuszczony co prawda, lecz nie należy go z tej racji oczerniać.

— Niech pan hrabia stamtąd odejdzie, błagam na wszystko!

— Wydaje mi się, mości Bertuccio, żeś zwariował — odparł zimno hrabia. — A jeśli tak, to przyznaj się, żebym póki czas mógł cię zamknąć w jakimś domu zdrowia. Inaczej będzie nieszczęście.

— Niestety, ekscelencjo — rzekł Bertuccio, potrząsając głową i składając ręce gestem, który rozśmieszyłyby hrabiego, gdyby chwila ta nie była dlań tak ważna; hrabia bowiem obserwował z napięciem każdy odruch tego człowieka owładniętego strachem i wyrzutami sumienia. — Niestety, ekscelencjo, nieszczęście już się stało.

— Panie Bertuccio, powiem ci bez ogródek, że wywijasz rękami i toczysz okiem jak potępieniec, którego diabeł opętał; otóż zauważyłem, że diabeł najbardziej uparty, który nie chce ruszyć się z człowieka, to jego sekret. Wiadomo mi, że jesteś Korsykaninem, człekiem ponurym, i że nurtuje cię jakaś dawna historia vendetty; we Włoszech patrzyłem na to przez palce, bo we Włoszech to rzeczy przyjęte; ale we Francji morderstwo uchodzi za czyn wielce niesmaczny; zajmują się nim żandarmi, potępiają je sędziowie, a mści gilotyna.

Bertuccio złożył ręce, a że miotając się nie wypuścił latarni, światło padło na jego zmienioną twarz.

Monte Christo przypatrywał mu się bacznie z takim samym wyrazem, jak w Rzymie egzekucji Andrei; następnie ozwał się tonem, od którego biedny intendent zadrżał znowu:

— Czyżby ksiądz Busoni okłamał mnie, kiedy wróciwszy z wojażu po Francji, w roku 1829, przysłał mi pana z listem polecającym, w którym zachwalał pańskie szacowne zalety? Ha cóż, napiszę do księdza, że jest odpowiedzialny za swojego pupila, i tym sposobem dowiem się na pewno, w czym

rzecz. Ale, uprzedzam pana, mój Bertuccio, że stosuję się zawsze do praw tego kraju, w którym mieszkam, nie zamierzam więc wadzić się ze sprawiedliwością francuską.

O, niechże ekscelencja nie pisze! Służyłem dotąd wiernie, prawda. — zawołał zdesperowany Bertuccio. — Byłem zawsze uczciwy, więcej nawet: spełniałem dobre uczynki!

— Nie przeczę, ale po kiego licha tak się pan miotasz? Zły to znak: gdybyś pan miał czyste sumienie, nie pobladłbyś tak okropnie, a ręce by ci tak nie drżały...

— Ale czyż pan hrabia nie mówił mi sam — podjął wahając się Bertuccio — że ksiądz Busoni, któremu wypowiadałem się w więzieniu w Nimes, uprzedził pana hrabiego, przysyłając mnie panu, żem popełnił ciężki grzech?

— Owszem, ale zapewnił mnie, że będziesz pan doskonałym intendentem, z czegom wniósł, że nakradłeś pan gdzieś, i basta.

— E, panie hrabio — skrzywił się z pogardą Bertuccio.

— Albo, że będąc Korsykaninem, sprzątnąłeś kogoś, jak to u was nazywają łagodnie zabójstwo.

— Otóż to, mój jaśnie wielmożny, przedobry panie — zawołał Bertuccio, padając hrabiemu do kolan. — Ale, przysięgam, była to zwykła zemsta!

— Rozumiem; ale nie rozumiem, dlaczego ten dom robi na panu takie piorunujące wrażenie?

— Ależ, proszę jaśnie pana, to całkiem naturalne, bo w tym domu dokonała się zemsta.

— Co takiego? W moim domu?

— Tak, proszę jaśnie pana — odrzekł naiwnie Bertuccio. — Nie był on wtedy jeszcze własnością pana hrabiego.

— A czyją? Już wiem, margrabiego de Saint-Méran, jak poinformował nas odźwierny. Za cóż to, u diabła, mściłeś się na margabi de Saint-Méran?

— Nie na nim, panie hrabio, na kim innym.

— Szczególniejszy zbieg okoliczności — rzekł Monte Christo jakby w zamyśleniu — znalazłeś się pan przypadkiem, by tak powiedzieć: nieumyślnie, w domu, gdzie stało się coś, co przyprawia cię o najokropniejsze wyrzuty sumienia.

— Panie hrabio, sprowadziła mnie tutaj fatalność, jestem pewien; przede wszystkim nabył pan dom akurat w Auteuil; właśnie w tym domu popełniłem morderstwo; schodzi pan hrabia do ogrodu akurat tymi schodami, którymi on zszedł; zatrzymuje się pan akurat w tym miejscu, gdzie on padł od ciosu; o dwa kroki od tego płatanu zakopano dziecię; to wszystko nie jest dziełem przypadku, przypadek bowiem przypominałby zbyt zbytnio zrządzenie Opatrzności.

— A więc, mój panie Korsykańczyku, załóżmy, że to Opatrzność; jestem zawsze zgodny; a zresztą, kto ma chorą duszę, temu ustępować należy. Oprzytomnij tedy i opowiedz, jak to było.

— Opowiadałem o tym tylko raz jeden, księdzu Busoni. Taką rzecz można wyznać — tu Bertuccio potrząsnął głową — jedynie pod tajemnicą powieści.

— A więc, mój drogi panie Bertuccio, musisz się z tym pogodzić, że cię odeślę do twojego spowiednika; wstąpisz, idąc w jego ślady, do bernardynów czy kartuzów i będziecie sobie opowiadać swoje sekrety. Ja sam bym się bał jegomości, którego straszą upiory; nie lubię, kiedy służba boi się wyjść wieczorem do ogrodu. Wreszcie, przyznam panu, nie życzyłyby sobie wizyty komisarza policji, dowiedz się bowiem jednego, mój Bertuccio: we Włoszech płacimy sprawiedliwości tylko za milczenie, a we Francji przeciwnie: kiedy gada. Do diabła! Wiedziałem, że jesteś pan po trosze Korsykaninem, a prócz tego znakomitym przemytnikiem i wybornym intendentem, ale nie spodziewałem się, że masz jeszcze wiele innych rzeczy w zanadrzu. Ano cóż, odpawiam pana, mój Bertuccio.

— O, proszę jaśnie pana! — zawołał intendent przerażony tą groźbą. — Jeśli tylko od tego zależy, bym pozostał w służbach jaśnie pana, powiem, wyznam wszystko, a gdybym pana opuścił... no cóż, powędrowałbym prosto na szafot.

— Widzę, że pan mięknie. Ale zastanów się: nie próbuj mnie okłamać — mów prawdę albo nie mów wcale.

— Panie hrabio, klnę się zbawieniem duszy, że powiem wszystko! Księdzu Busoni wyjawilem tylko część mojej tajemnicy. Ale, błagam, niech pan hrabia odsunie się od tego płatanu; księżyc zaraz wyrzy zza chmur, a w tym miejscu, gdzie pan hrabia stoi, spowity w płaszcz, nazbyt mi pan przypomina pana de Villefort...

— Kogo? — zawołał Monte Christo. — Pana de Villefort?

— Ekscelencja go zna?

— Czy był on prokuratorem w Nimes?

— Tak.

— I ożenił się z margrabią de Saint-Méran?

— Tak.

— I uchodził wśród adwokatów za najbardziej nieprzejednanego i najsurowszego prokuratora?

— Owóż, panie hrabio, ten człowiek nieskazitelnej reputacji...

— Tak, i co dalej?

— To szuja.

— E, nie pleć.

— Ależ tak, zapewniam pana hrabiego.

— Naprawdę? I masz na to dowody?

— Miałem.

— I zgubiłeś je, niedołęgo?

— Tak, ale jeśli dobrze poszukam, może się znajdą.

— Niestety. Opowiedzże mi to, mój panie Bertuccio, ta historia zaczyna mnie naprawdę ciekawić.

I hrabia, nucąc aryjkę z „Łucji”, siadł na ławce, a Bertuccio tymczasem przywoływał na pamięć wspomnienia. Usiąść nie śmiał.

6. VENDETTA

Czy pan hrabia sobie życzy, abym wspomnieniami cofnął się wstecz, i od czego mam zacząć — spytał Bertuccio.

— Od czego się panu żywnie podoba, toć nie znam tej historii.

— Zdawało mi się jednak, że ksiądz Busoni mówił jego ekscelencji...

— Tak, tak, podał mi parę szczegółów; ale rozmawialiśmy przed jakimś ośmiu laty, to i nic już nie pamiętam.

— A więc mogę, bez obawy, że znudzę pana hrabiego...

— Proszę bardzo, mój Bertuccio, zastąpisz mi pan dzisiaj wieczorną gazetę.

— Sprawy sięgają roku 1815.

— Ho, ho, rok 1815 był rzeczywiście dość dawno.

— A jednak, panie hrabio, najdrobniejsze szczegóły tak utkwiły mi w pamięci, jakby to wszystko działo się wczoraj. Miałem starszego brata, który służył w wojsku cesarskim. Mianowano go porucznikiem pułku złożonego z samych Korsykańczyków. Był mi jedynym przyjacielem. Rodzice odumarli nas, kiedy miałem pięć lat, a on osiemnaście; wychowywał mnie jak syna. Ożenił się w roku 1814, za Bourbonów. Kiedy cesarz wrócił z Elby, brat mój zgłosił się do wojska, a lekko ranny pod Waterloo, wycofał się, jak i cała armia, za Loarę.

— Nie opowiadajże mi historii Stu Dni — przerwał hrabia. — O ile się nie mylę, już ją napisano.

— Przepraszam, ekscelencjo, ale te wstępne szczegóły są konieczne; a zresztą obiecał mi pan hrabia słuchać cierpliwie.

— Dobrze, dobrze, skorom obiecał, dotrzymam.

— Jednego dnia dostaliśmy list. Powiedzieć trzeba, że mieszkaliśmy w wiosce Rogliano, na krańcu Przylądka Korsykańskiego; list był od brata, donosił nam, że armię rozpuszczono i że wraca przez Chateauroux, Clermont-Ferrand, Puy i Nimes, prosił, żebym przesłał mu trochę pieniędzy, jeśli je mam, do Nimes, na ręce karczmarza, z którym utrzymywałem stosunki...

— Przemytncze — dokończył Monte Christo.

— O, mój Boże. Toć człowiek musi z czegoś żyć, panie hrabio.

— Naturalnie. Mów pan dalej.

— Kochając brata serdecznie, postanowiłem nie przysyłać mu pieniędzy, ale zawieźć; miałem tysiąc franków, z czego pięćset zostawiłem mojej bratowej, Asuncie, i wzięwszy drugie pięćset, wyruszyłem do Nimes. Nie było to trudne: miałem własną łódź, towar miałem załadować w drodze;

wszystko sprzyjało moim projektom. Ale kiedyśmy łódź załadowali, wiatr się zmienił, tak że przez kilka dni nie mogliśmy się dostać na wody Rodanu. Udało nam się to wreszcie, dotarliśmy do Arles; zostawiwszy łódź między Bellegarde a Beaucaire, puściłem się do Nimes.

— Przystępujemy już do rzeczy, prawda?

— Tak, za pozwoleniem pana hrabiego, ale niech mi ekscelencja wybaczy: przekona się pan hrabia, że to wszystko, co mówię, jest konieczne. Owóż było to w czasie osławionych rozruchów na południu Francji. Bandyci — wśród których zasłynęli najbardziej Trestaillon, Truphemy i Graffan — tak ich przezywano — mordowali na ulicy każdego, kto tylko był podejrzany o bonapartyzm. Na pewno słyszał pan hrabia o tych mordach.

— Coś mi się obito o uszy; ale byłem wtedy daleko stąd; mów pan dalej.

— W Nimes brodziło się dosłownie we krwi; wszędzie walały się trupy; mordercy, potworzywszy szajki, zabijali, rabowali i palili. Ujrawszy tę rzeź, zadrżałem; nie o siebie; czegoż miał się lękać zwykły rybak korsykański; przeciwnie: dobre to były czasy dla nas przemytników; zląkłem się o brata: był żołnierzem napoleońskim, wracał znad Loary, miał na sobie mundur i szlify — groziło mu więc najokrutniejsze niebezpieczeństwo. Pobiegłem do naszego oberżysty. Nie myliły mnie przecucia. Brat mój przybył w przeddzień do Nimes i zamordowano go na progu owej oberży, gdzie miał się schronić. Nie zaniedbałem niczego, aby dowiedzieć się, kim byli mordercy, ale nikt nie odważył się wyjawić ich nazwisk, taki budzili postrach. Pomyślałem tedy o sprawiedliwości francuskiej, bo wiele mi o niej mówiono, a która jakoby nie boi się nikogo. Zjawiłem się u prokuratora królewskiego.

— I ten prokurator nazywał się Villefort? — zagadnął od niechcenia Monte Christo.

— Tak, ekscelencjo; przybył z Marsylii, gdzie sprawował urząd zastępcy prokuratora. Za gorliwość dostał awans. Podobno jeden z pierwszych doniósł rządowi o wylądowaniu Napoleona.

— A więc — podjął Monte Christo — zjawiłeś się pan u niego.

— Łaskawy panie — rzekłem — wczoraj mojego brata zamordowano na ulicach Nimes. Nie wiem, kto jest mordercą, a pan winieneś z urzędu dowiedzieć się tego. Prezydujesz pan tutejszej sprawiedliwości, do niej należy pomścić tych, których nie potrafiła obronić.

— Kim był pański brat? — zapytał prokurator królewski.

— Porucznikiem batalionu korsykańskiego.

— To znaczy żołnierzem uzurpatora, nieprawdaż?

— Żołnierzem francuskim.

— Cóż pan chcesz. Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.

— Myli się pan, zginął od sztyletu.

— I cóż ja poradzę?

— Powiedziałem: żądam, abys go pan pomścił.

— Na kimże mam się zemścić?

— Na mordercach.

— A czyż ja wiem, kto oni?

— Każ ich pan szukać.

— A to po co? Pański brat powadził się z kimś pewnie i stoczył pojedynek. Wszyscy ci byli żołnierze dopuszczają się wybryków, które uchodziły płazem za Cesarstwa, ale dziś nie wychodzą im na dobre; owóż na Południu nikt nie lubi ani żołnierzy, ani wybryków.

— Panie prokuratorze — odparłem — nie dla siebie proszę. Bo ja oplakałbym brata i pomścił, to wszystko; ale biedaczysko miał żonę. Gdyby mninie z kolei przydarzyło się nieszczęście, biedaczka umarłaby z głodu, gdyż jedynie mój brat ją utrzymywał. Wystaraj się pan dla niej o emeryturkę.

— Żadna rewolucja nie obejdzie się bez katastrof — odrzekł pan Villefort — a że pański brat padł ofiarą tych właśnie rozruchów, to zwykle nieszczęście i rząd nie jest nic winien pańskiej familii. Gdybyśmy chcieli osądzać każdy akt zemsty, jaki zwolennicy uzurpatora, będąc przy władzy, wywierali na stronnikach królewskich, kto wie, czy pański brat nie zostałby dzisiaj skazany na śmierć. Stała się rzecz zwyczajna: to prawo odwetu.

— Jak to, proszę pana? — zawołałem. — Czy to możliwe, abys pan tak mówił? Pan, dygnitarz sądowy...

— Na honor, każdy Korsykańczyk to szaleniec — odpowiedział pan de Villefort. — Zdaje wam się, że wasz rodak jest nadal cesarzem. Nie w porę pan tu przyszedł, kochasiu; trzeba było się zjawić dwa

miesiące temu. Dziś już za późno. Idźże pan sobie, a jeśli będziesz nadal nastawać, każę cię wyprosić.

Spojrzałem na niego, zastanawiając się chwilę, czy ponowna prośba nie odniosłaby skutku. Ale był to człowiek z kamienia. Podszedłem więc bliżej.

— W takim razie — tu ściszyłem głos — znając Korsykańczyków, winieneś pan wiedzieć, jacy są słowni. Uważasz pan, będąc rojalistą, że dobrze się stało,

ponieważ zginął mój brat, bonapartysta; wobec tego, jako bonapartysta, oświadczam panu, że zginiesz z mojej ręki. Zapowiadam panu vendettę; od tej chwili strzeż się pan i pilnuj się, jak możesz. Kiedy znów bowiem staniemy oko w oko, wybije twoja ostatnia godzina,.

Nim ochłonął ze zdumienia, otworzyłem drzwi i uciekłem.

— No, no — ozwał się Monte Christo — tak pocziwie pan, mój Bertuccio, wyglądasz, a takie wyprawiasz figle, i to w dodatku z prokuratorem królewskim. A nieładnie. A wiedział on przynajmniej, co to takiego vendetta?

— O, wiedział doskonale: od tej chwili ani razu nie wyszedł sam, zabarykadował się w domu, a mnie kazał poszukiwać.

Na szczęście ukryłem się tak dobrze, że nie zdołał mnie znaleźć.

Wtedy obleciał go strach: za nic na świecie nie chciał pozostać w Nimes; jął starać się o przeniesienie, a że naprawdę miał stosunki, mianowano go prokuratorem w Wersalu; ale jak pan wie, Korsykańczyk, co poprzysiągł zemstę wrogowi, nie zna odległości, toteż choć jego kolasa jechała szparko, wyprzedzał mnie zawsze tylko o pół dnia, choć wędrowałem pieszo.

Nie chodziło jedynie o to, żeby go zabić: sto razy nadarzyła mi się po temu sposobność; musiałem zabić go tak, aby mnie nie wykryto, a przede wszystkim nie schwytano.

Nie należałem przecież do siebie; miałem zaopiekować się bratową i żywić ją.

Przez trzy miesiące deptałem Villefortowi po piętach. Przez trzy miesiące nie zrobił kroku, nie ruszył się nigdzie, nie poszedł na spacer, aby nie śledziło go moje spojrzenie.

Odkryłem wreszcie, że bywał w tajemnicy w Auteuil; śledząc go stwierdziłem, że zachodził do tego domu; tylko że nie wchodził jak wszyscy głównym wejściem, od ulicy, ale — czy przybył konno, czy powozem — zostawiał powóz albo konia w oberży i wślizgiwał się tamtą, panie hrabio, furteczką.

Monte Christo kiwnął głową na znak, że mimo ciemności dostrzega ową furteczkę.

— Nie miałem już co siedzieć w Wersalu; zamieszkałem w Auteuil i zebrałem informacje.

Skoro chciałem go schwytać, tutaj oczywiście musiałem zastawić sidła.

Dom był podówczas własnością, jak odźwierny powiedział waszej ekscelencji pana de Saint-Méran, teścia Villefortowego.

Pan de Saint-Méran przemieszkował w Marsylii; a zatem niepotrzebna mu była wiejska posiadłość; mówiono, że wynajął ją młodej wdowie, którą zwano tu baronową.

Rzeczywiście, któregoś wieczoru, wspiąwszy się na mur, ujrzałem młodą i piękną kobietę spacerującą po ogrodzie; na ogród ów nie wychodziły niczyje okna; spoglądała często w stronę furtki, domyśliłem się więc, że tego wieczoru oczekiwała pana de Villefort.

Kiedy zbliżyła się do mnie, mogłem, choć było ciemno, przypatrzeć się jej rysom. Miała najwyżej lat dziewiętnaście, była wysoka i jasnowłosa.

Luźny peniuar zdradzał, że jest brzemienna. Dostrzegłem, że wkrótce już należało spodziewać się rozwiązania.

Po chwili otworzyła się furka i wszedł jakiś mężczyzna; młoda pani pobiegła, jeśli biec w ogóle mogła, na jego spotkanie; padli sobie w objęcia, ucałowali się czule i poszli do domu.

Mężczyzną tym był pan de Villefort.

Pomyślałem, że będzie wracał sam, zwłaszcza jeśli miał wracać nocą, i że będzie musiał przejść przez ogród.

— A nie dowiedziałeś się pan później nazwiska tej pani? — przerwał hrabia.

— Nie, ekscelencjo; zobaczy pan, że nie miałem nawet kiedy.

— Mów pan dalej.

— Tego wieczora mogłem właściwie go zabić, ale nie znałem jeszcze dokładnie ogrodu.

Bałem się, że gdybym nie zabił Villeforta na miejscu, mógłby ktoś nadbiec zwabiony jego krzykami i udaremnić mi ucieczkę.

Odłożyłem więc rzecz do następnego spotkania i, aby nie chybić celu, najałem izdebkę z oknem na ulicę, przy której znajdował się ogród.

Czwartego dnia, około siódmej wieczór, zobaczyłem, jak sługa wyjechał konno przez furtkę i pogalopował drogą wiodącą do Traktu Sewrskiego; domyśliłem się, że pojechał do Wersalu. I nie omyliłem się.

Po trzech godzinach powrócił okryty pyłem; spełnił, co do niego należało.

Po dziesięciu minutach jakiś człowiek, otulony w płaszcz, zniknął w ogrodowej furtce.

Wybiegłem na ulicę.

Choć nie dostrzegłem twarzy Villeforta, serce powiedziało mi, że to on; przeszedłem na drugą stronę i wdrapałem się na słup kamienny, który stał przy węgle muru; z tego słupka obejrzałem ogród po raz pierwszy.

Ale teraz nie zadowolilem się samymi tylko oględzinami. Dobyłem nóż z kieszeni, upewniłem się, czy jest ostry na końcu, i przesadziłem mur.

Przede wszystkim pobiegłem do furtki; klucz tkwił w zamku, Villefort zamknął ją tylko na dwa spusty; nic więc nie odcinało mi drogi.

Zacząłem badać teren.

Ogród był prostokątny, pośrodku rozpościerał się miękki angielski trawnik, po którego rogach widniały kępy bujnych drzew i jesienne kwiaty.

Zmierzając od furtki w stronę domu albo wracając, pan de Villefort musiał więc zawsze wymijać jedną z owych kęp.

Był koniec września; dął silny wiatr; błądy sierp księżycy, co chwila niknący za wielkimi chmurami, które pędziły po niebie, ubierał piasek alejek wiodących do domu, ale nie zdołał przeniknąć mroku, jaki panował pod gęstymi drzewami, gdzie każdy mógł się skryć bez obawy, aby go dostrzeżono.

Zacząłem się pod tą kępą drzew, którą miał mijać Villefort; ledwie się tam ulokowałem, kiedy poprzez podmuchy wiatru, co gwałt gałęzie nad moją głową, wydało mi się, że słyszę jakieś jęki.

Ale pan hrabia wie, a raczej nie wie, że ten, kto wyczekuje na moment, by popełnić morderstwo, słyszy zawsze jakieś wymaginowane i głuche wołania.

Ułynęły tak dwie godziny, w czasie których wydawało mi się co i raz, że słyszę owe jęki.

Wybiła północ.

Kiedy ostatni dźwięk zegara, posępny i donośny, drżał jeszcze w powietrzu, dostrzegłem słabe światełko w oknach owych schodów, którymi zeszedliśmy przed chwilą.

Otworzyły się drzwi, zjawił się człowiek w płaszczu.

Była to straszliwa chwila, ale przygotowywałem się tak długo do tej ostatecznej rozprawy, że nie zachwiałem, dobyłem noża, stanąłem w pogotowiu.

Człowiek w płaszczu zmierzał prosto ku mnie; ale kiedy przecinał trawnik, wydało mi się, że trzyma broń w prawej ręce; zląkłem się, nie walki, lecz niepowodzenia.

Kiedy zbliżył się do mnie na kilka kroków, broń okazała się łopata.

Kiedy głowiłem się, na co mu łopata, pan de Villefort zatrzymał się pod kępą drzew, rozejrzał się wokół i zaczął kopać dół.

Wtedy dopiero spostrzegłem, że ukrywał pod płaszczem jakiś przedmiot, który położył na ziemi, aby mieć swobodę poruszeń.

Wtedy, przyznam się, ciekawość wzięła jednak górę nad nienawiścią; chciałem zobaczyć, co robi pan de Villefort; nie ruszyłem się z miejsca i wstrzymując oddech, czekałem.

Potem przyszła mi do głowy pewna myśl, a utwierdziłem się w niej, zobaczywszy, jak prokurator wyciągnął spod płaszcza kuferek długi na dwie stopy, a szeroki pewnie na osiem cali.

Zaczekałem, aż włoży kufeczek do dołu i przysypie go ziemią; potem udeptał wilgotną jeszcze ziemię, aby zatrzeć ślady nocnego dzieła.

Rzuciłem się wtedy na niego i zatopiłem mu nóż w piersi, mówiąc:

— Jam Giovanni Bertuccio. Twoja śmierć będzie darem dla mojego brata, a twój skarb dla wdowy po nim; jak widzisz, zemsta jest bardziej całkowita, niżem się spodziewał.

Nie wiem, czy usłyszał te słowa; nie sądzę, bo zważył się nie wydawszy jęku; uczułem, jak gorąca krew buchnęła mi na ręce i na twarz; ale byłem pijany, nieprzytomny; krew ta orzeźwiła mnie, zamiast palić.

Chwyciwszy łopatę, w moment odkopałem kufereczek; potem, aby nie dostrzeżono, żem go zabrał, przysypałem dół, łopatę wyrzuciłem za mur, a wybiegłszy furtką zamknąłem ją na dwa spusty i zabrałem klucz.

— Wybornie — rzekł Monte Christo. — Jak widzę, drobne to morderstwo połączyłeś pan z kradzieżą.

— Nie, ekscelencjo, była to vendetta połączona z odbiorem należności.

— A sumka była chociaż okągła?

— Nie były to pieniądze.

— A tak, prawda; wspomniałeś przecież pan o dziecku.

— Otóż i to, ekscelencjo. Pobiegłem nad rzekę, siadłem na stromym jej brzegu i zaciekawiony, co zawiera skrzyneczka, wyważyłem zamek nożem.

W pieluszkach z cienkiego batystu tkwił noworodek; twarzyczkę miał purpurową, rączki sine: świadczyło to, że dziecko było już prawie martwe; ale że nie wystygło jeszcze całkiem, zawahałem się, czy wrzucić je do rzeki, która płynęła u moich stóp.

Rzeczywiście, wyczułem po chwili, że serduszko bije mu jeszcze, choć bardzo słabo, rozwiązałem tasiemkę kaftanika, a żem był ongi pielęgniarzem w szpitalu w Bastii, postąpiłem tak, jak w podobnym przypadku zachowałby się lekarz: stosowałem z energią sztuczne oddychanie i po kwadransie niebywałych wysiłków dziecko westchnęło i zakrzyczało.

I ja też wydałem okrzyk, ale był to okrzyk radości.

Bóg nie przeklął mnie tedy, pomyślałem, skoro dopuścił, żebym przywrócił życie człowiekowi, choć przecie zabiłem człowieka.

— I cóż uczyniłeś pan z tym dziecięciem? — zagadnął Monte Christo. — Był to bagaż dość kłopotliwy dla kogoś, kto musiał ratować się ucieczką.

— Toteż ani mi w głowie nie powstało, aby dzieciaka zatrzymać. Wiedziałem, że istnieje w Paryżu dom dla tych nieszczęsnych stworzeń.

Oświadczyłem więc na rogatce, że znalazłem dziecko przy drodze, i spytałem o adres domu podrzutków. Kuferek był dowodem; batystowe pieluchy wskazywały, że rodzice dziecka byli bogaci; mogłem też cucząc noworodka umazać się krwią.

Nie wzbudziłem tedy niczyich podejrzeń, wskazano mi ochronkę przy końcu ulicy d'Enfer; nie zaniedbałem jednak rozciąć pieluszki na pół, tak aby zabrać jedną z dwóch liter monogramu; druga połowa spowijała nadal dziecię; złożyłem mój ciężar u bramy przytułku, zadzwoniłem i uciekłem co sił.

Po dwóch tygodniach, zawitawszy w Rogliano, rzekłem do Asunty:

— Pociesz się, bratowo. Izrael umarł, alem go pomścił. Spytała, co znaczą te słowa; ja opowiedziałem jej o wszystkim.

— Giovanni — rzekła mi Asunta — winienesz być przywieźć to dziecko, zastąpilibyśmy mu rodziców; dalibyśmy mu na pamiątkę tego dobrego uczynku imię Benedetto, a Bóg pobłogosławiłby nam z pewnością.

Nie odpowiedziałem, a tylko pokazałem jej połowę pieluszki, którą zachowałem, aby odebrać dziecko, gdybyśmy się wzbogacili.

— A jakież był ten monogram? — zaciekawił się Monte Christo.

— H.N., a nad nim baronowska korona.

— No, no, jak mi Bóg miły. Znasz się na heraldyce, mój panie Bertuccio. Gdzieżeś, u diabła, ją studiował?

— Służąc panu hrabiemu, wszystkiego się człowiek nauczy.

— Ciekaw jestem dwóch rzeczy.

— Jakich, proszę jaśnie pana?

— Co się stało z chłopczykiem? Bo wspominałeś mi chyba, mój panie Bertuccio, że był to chłopczyk.

— Nie, ekscelencjo, nie przypominam sobie, żebym to mówił.

— Zdawało mi się widać. Pomyliłem się i basta.

— Nie pomylił się pan hrabia, gdyż był to rzeczywiście chłopak; ale ekscelencja pragnął dowiedzieć się dwóch rzeczy; słucham więc.

— Ciekawi mnie też i zbrodnia, o którą oskarżono pana. Pod tym zarzutem osadzono cię w więzieniu w Nimes i zażądałeś pan wtedy księdza spowiednika, którym był ksiądz Busoni.

— O, to może być opowieść nazbyt długa, ekscelencjo.

— To nic. Dopiero dziesiąta, wiesz pan, że nie śpiam prawie, a nie przypuszczam, żeby i tobie spać się chciało.

Skłoniwszy się, Bertuccio ciągnął dalej opowieść.

— Bądź dlatego, by odegnać natrętne wspomnienia, a i dlatego by wspomagać biedną wdowę, powróciłem z zapalem do rzemiosła przemysłowego, które wykonywać wtedy było łatwiej, nie przestrzegano bowiem prawa, jak to po każdym przewrocie.

Dozór osłabł szczególnie nad Morzem Śródziemnym, gdyż to w Awinionie, to w Nimes, to w Uzes wybuchały wciąż rozruchy.

Korzystając z owego zawieszenia broni, które w pewnym sensie zawarł z nami rząd, nawiązaliśmy szerokie stosunki z całym wybrzeżem.

Nie chciało mi się wracać do Nimes, od czasu jak zamordowano tam na ulicy mojego brata.

Oberżysta, z którym robiliśmy dawniej interesy, widząc, że nie chcemy zatrzymywać się u niego, poszedł nam na rękę, założywszy drugą karczmę na drodze z Bellegarde do Beaucaire. Nazwał ją Pont du Gard.

Mieliśmy więc w różnych stronach, niedaleko Aigues-Mortes, Martigues czy Bouc, ze dwanaście składów, gdzie zostawialiśmy towar i gdzie w potrzebie mogliśmy schronić się przed żandarmami i celnikami.

Żandarm i celnik zarabia znacznie więcej od przemysłownika, jeśli nie zbywa mu na sprycie i energii; osiedliłem się w górach, gdyż obecnie z dwóch względów musiałem wystrzegać się zarówno żandarmerii, jak i straży celnej: jeśliby mnie schwytano, sędzia mógłby przeprowadzić dochodzenie sięgając w przeszłość, jak to zresztą zawsze bywa, a przeszłość moją obciążyło obecnie coś gorszego niżli przemyt cygar i baryłek wódki.

Przekładając tedy śmierć nad aresztowanie, dokazywałem cudów i zuchwałe te poczynania przekonały mnie, że zbytnia dbałość o życie jest nam główną przeszkodą w wykonywaniu tych planów, które wymagają błyskawicznej decyzji, kroków energicznych i ryzyka.

Ktokolwiek postawił życie na jedną kartę, przewyższa od razu ogół bliźnich, a raczej bliźni nie są już mu równi — a powziąwszy tę decyzję, czuje od razu ogromny przybytek sił i widzi, jak rozszerzają się przed nim horyzonty.

— Filozofia i basta, mój Bertuccio — przerwał hrabia. — Ale widzę, żeś rozmaite rzeczy w życiu robił.

— Przepraszam, ekscelencjo.

— Nie o to mi idzie: jest pół do jedenastej, trochę więc za późno na filozofowanie. Ale cóż, mogę tylko powiedzieć, że rozumiesz słusznie, a to nie każdej filozofii zaleta.

— Wypuszczałem się tedy na coraz dalsze i coraz owocniejsze wyprawy. Asunta była oszczędna, zaokrąglą się nasza fortuna. Któregoś dnia, kiedym się wybierał w drogę, rzekła:

— Wróciwszy, zastaniesz niespodziankę.

Daremnie pytałem, co to takiego, nie chciała mi zdradzić sekretu. Wyruszyłem.

Zabawiłem poza domem prawie sześć tygodni. Byliśmy w Lucca po oliwę, a z Livorno wzięliśmy ładunek bawełny angielskiej; wyładowaliśmy towar bez przeszkód.

Wróciliśmy weseli, z pełnym trzosem.

W izbie Asunty, na honorowym miejscu, stała kołyska odbijająca świetnością od naszego skromnego umeblowania. W kołysce leżało ośmiomiesięczne dziecko.

Krzyknąłem z radości.

Jeślim po zabójstwie prokuratora zaznawał jakich smutnych momentów, to tylko wtedy, kiedy myślałem o porzuconym dziecku.

Co tu gadać, z racji morderstwa sumienie nie dokuczało mi wcale.

Biedna Asunta domyślała się wszystkiego: zapisawszy, ażeby nie zapomnieć, dzień i godzinę, w której zostawiłem dziecię u bramy przytułku, skorzystała z mojej nieobecności, wzięła połowę pieluszki i pojechała do Paryża, by je odebrać.

Oddano jej malca bez żadnych przeszkód.

Ach, panie hrabio, kiedy zobaczył to biedne stworzonko śpiące w kołysce, pierś nabrzmiała mi wzruszeniem, a w oczach stanęły mi łzy.

— Jesteś, Asunto, doprawdy szlachetną kobietą — zawołałem — i Opatrzność ci to nagrodzi.

— To już — przerwał Monte Christo — nie było tak uzasadnione jak pańska filozofia; była to jedynie wiara.

— Niestety, ekscelencja ma rację, Bóg pokarał mnie tym dzieciakiem. Nigdy jeszcze charakter bardziej przewrotny nie objawił się wcześniej, a przecież nie można powiedzieć, aby dziecko było źle chowane: bratowa moja traktowała go niby książętko, śliczny to był chłopczyk: oczy miał jasnyniebieskie o takim odcieniu jak deseń na chińskiej porcelanie, co tak pięknie harmonizuje z mlecznobiałym tłem; tylko włosy rudawe nadawały twarzyczce jakiś szczególny wyraz, podkreślony jeszcze żywością spojrzenia i złośliwym uśmiechem.

Nieszczęściem przysłowie powiada: „Ryży i kuternoga, jeśli coś dobrego, to już chwała Boga”; przysłowie nie skłamało, Benedetto od zarania okazał się zły.

To prawda, że łagodność przybranej matki rozwinęła w nim wrodzone skłonności; dzieciak, dla którego moja biedna bratowa chodziła na targ do miasta odległego o parę mil, aby kupować mu wczesne owoce i najdelikatniejsze cukry, przekładał nad pomarańcze z Palmy i konfitury genueńskie — kasztany, które kradł sąsiadowi przełaząc przez płot, albo suszone jabłka z jego strychu, choć miał w naszym sadzie jabłek i kasztanów do woli.

Jednego dnia (Benedetto miał wtedy sześć lat) sąsiad nasz, Wasilio, który obyczajem naszego kraju nie zamykał pieniędzy ani klejnotów, gdyż jak pan hrabia wie doskonale, na Korsyce złodziei nie ma, poskarżył się, że zniknął mu z sakiewki złoty talar; myśleliśmy, że Wasilio źle policzył, ale twierdził, że się nie myli.

Owego dnia Benedetto wymknął się z domu wczesnym rankiem i niepokoił się już bardzo; wrócił pod wieczór, prowadząc na łańcuchu małpkę, którą, jak oświadczył, znalazł uwiązaną u drzewa.

Od miesiąca niedobry dzieciak, któremu zachciewało się już gwiazdki z nieba, marzył o małpie.

Nieszczęsne to zachcenie trawiło go chyba od czasu, jak przez Rogliano przechodził kuglarz mający kilka tresowanych małp, których sztuki ogromnie Benedetto zabawiły.

— Nie znalazłbyś małpy w naszym lesie — rzekłem — a zwłaszcza małpy uwiązanej u drzewa, przyznaj się więc, skąd ją wziąłeś.

Benedetto brnął dalej w kłamstwo, ubierając je w szczegóły przynoszące większy zaszczyt imaginacji niżli prawdomówności; rozgniewałem się, zaczął się śmiać; pogroziłem mu, cofnął się o dwa kroki:

— Nie masz prawa bić mnie — rzekł — boś nie jest moim ojcem.

Nigdy nie zdołaliśmy się dowiedzieć, kto wyjawiał mu sekret, który utrzymywaliśmy przed Benedetto w najściślejszej tajemnicy.

Tak czy inaczej, odpowiedź ta, w której dzieciak zdradził cały swój charakter, przeraziła mnie niemal; ręka mi opadła, nie tknąłem winowajcy; dziecko zatryumfowało, a zwycięstwo to napełniło je takim zuchwalstwem, że od tego czasu wszystkie pieniądze Asunty, której miłość do Benedetto wzrastała, im mniej na nią zasługiwał, szły na jego kaprysy. Nie umiała ich malcowi wyperswadować, nie miała odwagi się sprzeciwić jego szaleńczym pomysłom.

Kiedy byłem w Rogliano, sprawy układały się znośnie; ale pod moją nieobecność Benedetto stawał się panem domu i wszystko przybierało obrót jak najgorszy.

Mając lat jedenaście zadawał się tylko z chłopcami osiemnaste- i dwudziesto-letnimi, najszkaradniejszymi łobuzami w Bastii i w Corte, a sprawiedliwość doniosła nam już o kilku jego psotach, które zasługiwały na surowsze miano.

Byłem przerażony: prowadząc jakiegokolwiek śledztwo, najfatalniej pogorszyłbym sprawę, a musiałem wyjechać z Korsyki, wzywany ważnymi interesami.

Zastanawiałem się długo i wreszcie, aby uniknąć nieszczęścia, postanowiłem zabrać Benedetto ze sobą.

Liczyłem na to, że pracowite i twarde życie przemysłowca, rygory panujące na statku odmienia ten charakter, jeśli już nie całkiem, to prawie zepsuty.

Wziąłem więc Benedetto na osobność i zaproponowałem mu, by pojechał ze mną, ubarwiając propozycję wszelkimi obietnicami, jakie mogłyby porwać dwunastoletniego chłopca.

Poczekał, aż dokończę, a kiedy skończył, wybuchnął śmiechem:

— Czyś ty zwariował, wujaszku? — rzekł (w przystępie dobrego humoru nazywał mnie wujaszkiem). — Ja miałbym zamieniać moje życie na takie, jakie ty prowadzisz? Przemie i wyborne leniwo na znojną pracę, którą sam sobie narzuciłeś! Spędzać noce na zimnie, a w dzień pocić się od skwaru; ukrywać się wciąż, narażać się na kule, i to wszystko dlatego, żeby zarobić trochę grosza! Toć mam tyle pieniędzy, ile zechcę! Mama Asunta daje mi je na każde żądanie. Czy nie widzisz, że byłbym głupcem, gdybym przyjął twoją propozycję?

Zaniemówiłem na tę bezczelność i to rozumowanie.

Benedetto pobiegł bawić się z kolegami. Słyszałem z daleka, jak opowiadał im o mnie jako o idiocie.

— Przemieły chłopaczek! — mruknął hrabia Monte Christo.

— O, gdyby był moim synem — odparł Bertuccio — albo chociaż synowcem, umiałbym go naprowadzić na właściwą drogę, bo czyste sumienie sił dodaje. Ale na samą myśl, żeby zbić dzieciaka, któremu zabiłem ojca, opadała mi ręka. Udzielałem bratowej dobrych rad, ona zaś, we wszelkich naszych sporach, brała zawsze stronę tego małego nicponia; a kiedy przyznała mi się, że kilkakrotnie już zginęła jej spora sumka, wskazałem jej kryjówkę na nasze skromne oszczędności. Powziąłem też decyzję: Benedetto umiał doskonale czytać, pisać i rachować, jeśli bowiem tylko raczył przyłożyć się do pracy, uczył się w jeden dzień tego, na co innym trzeba było tygodnia; zdecydowałem więc, aby, o niczym Benedetta nie uprzedzając, oddać go na morski statek: pewnego pięknego ranka zabrano by chłopca siłą i przewieziono na pokład; tutaj cała jego przyszłość zależałaby od kapitana, którego specjalnym względem poleciłbym mojego wychowanka.

Z tą myślą wyruszyłem do Francji.

Tym razem mieliśmy przeprowadzić nasze operacje w Zatoce Liońskiej, a stawały się one coraz trudniejsze, gdyż był to rok 1829.

Spokój powrócił już całkiem, straż celna pracowała tedy bardziej niż kiedykolwiek systematycznie, okazując jak największą surowość.

Ów nadzór wzmógł się jeszcze chwilowo, gdyż rozpoczęły się targi w Beaucaire.

Na początku jednak nikt nam nie przeszkadzał.

Przycumowaliśmy naszą łódź o podwójnym dnie, gdzie chowaliśmy towar pochodzący z przemytu, wśród mnóstwa innych łodzi pozostawionych po obu brzegach Rodanu, od Beaucaire aż po Arles.

Przybywszy tutaj zaczęliśmy nocą wyładowywać towar zakazany, a roznosili go po mieście nasi wspólnicy albo oberżyści, u których mieliśmy składy.

Powodzenie uczyniło nas nierozważnymi, a może po prostu ktoś nas zdradził, dość że kiedy jednego dnia, około piątej, zasiadaliśmy do podwieczorku, nadbiegł nasz chłopiec okrętowy, wołając z przerażeniem, że nadchodzi oddział celników.

Nie zlekliśmy się samego oddziału: w tym właśnie czasie całe kompanie straży celnej wałęsały się po brzegach Rodanu — wystraszyliśmy się tym, że jak powiedział chłopak, celnicy skradali się, aby nas zaskoczyć.

Zerwaliśmy się na równe nogi, ale było już za późno.

Łódź naszą, gdyż ona to oczywiście była celem poszukiwań, już otoczono.

Wśród straży celnej dostrzegłem paru żandarmów; stawiałem śmiało czoła każdej innej formacji wojskowej, ale żandarmów bałem się jak ognia: zbiegłem pod pokład, wyśliznąłem się okienkiem w burcie i dopłynąłem nurkując (a nie dostrzeżono mnie, bom, - jak mógł najrzadziej, wytykał głowę, żeby zaczerpnąć powietrza), aż do głębokiego rowu, przekopanego niedawno, który łączył Rodan z kanałem wiodącym z Beaucaire do Aigus-Mortes.

Dotarłszy tam, byłem ocalony, mogłem bowiem niepostrzeżenie przemknąć rzeczoną rowem.

Dopłynąłem więc bez przeszkód do kanału.

Drogę tę obrałem celowo.

Wspomniałem już waszej ekscelencji o karczmarzu z Ninies, który na drodze między Bellegarde a Beaucaire założył sobie niewielką, oberżę.

— Tak — rzekł Monte Christo — pamiętam wybornie. Godny ten człowiek należał, jeśli się nie mylę, do pańskich wspólników.

— Tak, ale przed jakimi ośmiu laty odstąpił interes byłemu krawcowi z Marsylii, który klepiąc biedę postanowił jąć się innego rzemiosła. Oczywiście poprzednik przekazał mu konszachty, jakie utrzymywał z nami; tego to człowieka zamierzałem prosić o schronienie.

— A jakżeż on się nazywał? — spytał hrabia, który zdawał się słuchać teraz opowieści Bertuccia z ponownym zaciekawieniem.

— Kasper Caderousse. Żonaty był z chłopką pochodzącą ze wsi Carconte: dlatego zwał ją Karkontką i pod takim tylko znaliśmy ją imieniem; biedna to była kobiecina, chorowała na malarię, trzy ćwierci do śmierci, tak ją to wycieńczało. Mąż jej, chłop na schwał, miał czterdzieści pięć lat, a kiedy znajdowaliśmy się w opałach, wykazywał przytomność umysłu i odwagę.

— I mówiłeś pan, że to wszystko działo się w roku...

— 1829, panie hrabio.

— A w jakim miesiącu?

— W czerwcu.

— Na początku czy pod koniec?

— Trzeciego, z wieczora.

— No, no, trzeciego czerwca 1829... Mówże pan dalej.

— Zamierzałem więc prosić Caderousse'a o przytułek; ale że zazwyczaj, nawet w okolicznościach normalnych, nie wchodziliśmy do niego drzwiami od gościńca, postanowiłem nie odstępować od naszych nawyków: przesadziłem płot ogrodu i pełznąc między skarłalymi oliwkami i zdziczałymi figami, dostałem się do schowanka, gdzie nieraz już spędził noc, wypawszy się niby w najmniejszej pościeli. Ostrożność tę podyktowała mi obawa, czy Caderousse nie gości jakiegoś podróżnego.

Schówek ów dzieliło od jadalni, mieszczącej się na parterze, przepierzenie z desek, w których na nasze życzenie wywiercono otwory, abyśmy mogli w sposobnym momencie zawiadomić gospodarza o naszej obecności.

Liczyłem na to, że jeśli Caderousse będzie sam, uwiadomię go o moim przybyciu i skończę posiłek, który przerwali nam celnicy, po czym, skorzystawszy z nadciągającej burzy, wrócę nad Rodan, żeby zobaczyć, co stało się z łodzią i moimi współnikami.

Wśliznąłem się do schowka, natchniony snadź dobrą myślą, bo w tejże chwili zjawił się Caderousse z jakimś nieznanym.

Siedziałem cicho, nie dlatego, żeby podpatrywać sekrety karczmarza — po prostu nie miałem innego wyjścia, a zresztą podobna sytuacja nie była dla mnie nowością.

Towarzysz Caderousse'a nie pochodził, jak świadczył o tym sam jego wygląd, z południowej Francji. Należał on do rzeszy kupców wędrownych, którzy na targach w Beaucaire sprzedają klejnoty. Targi te trwają miesiąc, a ściągają z całej Europy kupców i nabywców, którzy robią tam interesy niekiedy na sto albo i sto pięćdziesiąt tysięcy franków.

Caderousse wszedł szybko pierwszy.

Widząc, że sala jest, jak zwykle pusta i strzeże jej tylko pies, zawołał żonę:

— Hej, Karkontko, ten czcigodny ksiądz nie oszukał nas; diament jest dobry. Rozległ się wesóły okrzyk i niemal w tym samym momencie zaskrzypiały schody pod stąpaniem chorej.

— Go ty mówisz? — rzekła. Karkontka blejsza niżli trup.

— Mówię że diament jest dobry i że ten pan, jeden z najpierwszych jubilerów paryskich, daje nam za niego pięćdziesiąt tysięcy franków. A tylko, by się upewnić, że ten diament do nas należy, życzy sobie, abyś mu opowiedziała, com ja uczynił, jakim to cudownym sposobem dostał się do naszych rąk. Tymczasem niech pan będzie łaskaw spocząć, a że parno dziś, przyniosę zaraz coś dla ochłody.

Jubiler rozglądał się uważnie wokół. Dziwiło go snadź ubóstwo ludzi, od których kupić miał diament godny książęcego skarbcza.

— No więc niech pani opowiada — ozwał się, pragnąc wykorzystać nieobecność gospodarza: Caderousse'owie nie mogli teraz wymieniać żadnych znaków porozumiewawczych, kupiec przekona się, czy relacje obojga będą pasować do siebie.

— O mój Boże! — paplała kobieta — albo pobłogosławiło nam niebo, chociaż wcaleśmy się tego nie spodziewali. Niech pan sobie wyobrazi, kochany panie, że mój mąż przyjaźnił się w roku 1814 czy tam 15 z niejakim marynarzem, Edmundem Dantesem. Biedaczysko, o którym mój całkiem zapomniał, zostawił mu, umierając, ten diament, coś go pan widział.

— Ale skądże on wziął ten diament? — zagadnął jubiler. — Czyżby miał go przy sobie w więzieniu?

— Nie, proszę pana; ale w więzieniu zaznajomił się ponoć z jednym bardzo bogatym Anglikiem; siedzieli w jednej celi, a kiedy Anglik zachorował, Dantés doglądał go jak rodzzonego brata. Anglik wychodząc na wolność podarował diament Dantesowi, któremu nie poszczęściło się, bo umarł w

więzieniu. Umierając powierzył diament jednemu bardzo godnemu księdzu i ten ksiądz przyjechał do nas, żeby nam go wręczyć.

— Wszystko się zgadza — mruknął jubiler. — Tak czy inaczej, historia może być prawdziwa, choć zrazu wydaje się nieprawdopodobna. Nie ugodziliśmy się jeszcze tylko z ceną.

— Jak to nie! — ozwał się Caderousse. — A już myślałem, że dajesz mi pan tyle, ile żądam.

— Daję to, com zaproponował: czterdzieści tysięcy franków.

— Czterdzieści tysięcy! — wrzasnęła Karkontka. — Za tę cenę nie sprzedamy. Ksiądz mówił, że diament wart pięćdziesiąt tysięcy, nie licząc oprawy.

— A jakże się ten ksiądz nazywał? — spytał niezrażony jubiler.

— Ksiądz Busoni — oznajmiła Karkontka.

— Był to w takim razie cudzoziemiec.

— Tak. Włoch, zdaje się, że spod Mantui.

— Pokaż mi pan jeszcze ten diament. Obejrzę go po raz wtóry, za pierwszym razem można się omylić w ocenie klejnotów.

Caderousse wyciągnął z kieszeni czarny szagrynowy futerałik, otworzył go i podał jubilerowi.

Na widok diamentu rozmiarów niewielkiego orzecha laskowego (pamiętam go, jakbym widział dzisiaj) oczy Karkontki rozbłyły chciwością.

— A co pan myślisz o tym wszystkim, mój panie podsłuchiwalski? — zagadnął Monte Christo. — Wierzysz w tę piękną bajkę?

— Tak, ekscelencjo. Nie uważałem Caderousse'a za człowieka złego. Nie sądziłem, żeby zdolny był dopuścić się zbrodni czy kradzieży.

— Przynosi to większy zaszczyt twojemu sercu niżli doświadczeniu, mój panie Bertuccio. Nie znałeś aby tego Edmunda Dantesa, o którym mowa?

— Nie, ekscelencjo, i nigdy dotąd o nim nie słyszałem. Tylko ksiądz Busoni wspomniał go jeden raz, kiedy był u mnie w więzieniu, w Nimes.

— No dobrze. I co dalej?

— Jubiler wziął pierścień, wyciągnął z kieszeni stalowe szczypczyki i małą mosiężną wagę, następnie, odchyliwszy złote pazurki, które przytrzymały diament, wyjął go i skrupulatnie zważył.

— Daję czterdzieści pięć tysięcy i ani grosza więcej; a zresztą taką sumę mam tylko przy sobie, bom oszacował diament jeszcze na jarmarku.

— O, to nic nie szkodzi — odrzekł Caderousse — wróć z panem do Beaucaire i tam dopłacisz mi pan pięć tysięcy.

— Nie — tu jubiler oddał diament i oprawę Caderousse'owi — tyle nie zapłacę, bo to więcej niewarte, zły jestem nawet na siebie, żem ofiarował tę sumę, bo kamień ma skazę, której od razu nie dostrzegłem, ale mniejsza z tym, słowo się rzekło, powiedziałem czterdzieści pięć tysięcy i nie cofam się.

— To przynajmniej opraw pan diament z powrotem — ozwała się cierpko Karkontka.

— Słusznie — rzekł jubiler i osadził kamień z powrotem.

— Mała szkoda — powiedział Caderousse, chowając futerał do kieszeni. — Sprzeda się komu innemu.

— Owszem, ale inny nie będzie tak ustępliwy jak ja. Inny nie zadowoli się wyjaśnieniami, których państwo udzielacie. To trochę dziwne, że ktoś taki jak pan posiada diament wart pięćdziesiąt tysięcy franków. Kto inny doniesie władzom, trzeba będzie odszukać księdza Busoniego, a księża, którzy dają diamenty tak cenne, trafiają się raczej rzadko; sprawiedliwość zajmie się tym, osadzą pana w więzieniu, a jeśli pan wykażesz swoją niewinność, wypuszczą cię po kilku miesiącach; tymczasem pierścień zapodzieje się gdzieś w sekretariacie sądu albo wetkną panu kamień fałszywy, wart trzy franki, zamiast diamentu wartającego pięćdziesiąt, a może nawet i pięćdziesiąt pięć tysięcy — tylko, przynasz mi to, mój pocziwczu, że kupując go człek ryzykuje poniekąd.

Caderousse'owie wymienili pytające spojrzenia.

— Nie — oświadczył Caderousse — nie jesteśmy tacy bogacze, żeby tracić pięć tysięcy.

— Jak sobie chcesz, kochasiu, wziąłem jednak, jak widzisz ze sobą pieniążki. I dobywszy z kieszeni garść złota, błysnął nim olśnionym oberżystom przed oczyma. Z drugiej kieszeni wyciągnął plik banknotów.

Caderousse, widać to było po nim, toczył ciężką walkę duchową: oczywiście, nie wydawało mu się, aby futeralik, który wciąż obracał w palcach, odpowiadał wartością olbrzymiej sumie, co fascynowała mu wzrok.

Zbliżył się do żony.

— I co ty na to? — szepnął.

— Niech zabiera, niech zabiera; jeśli wróci do Beaucaire bez diamentu, oskarży nas, a jak powiedział, kto wie, czy znajdziemy kiedykolwiek tego księdza.

— Zgoda — rzekł Caderousse — masz pan diament za czterdzieści pięć tysięcy, ale dodasz pan jeszcze dla żony złoty łańcuszek, a dla mnie srebrne kolczyki.

Jubiler wyciągnął z kieszeni długie i płaskie pudełko, zawierające żądane przedmioty w różnych gatunkach i rozmaitych wzorów.

— Proszę. W interesach ze mną jak z dzieckiem. Wybierajcie państwo. Karczmarz wybrała złoty łańcuszek wartości jakich pięciu ludwików,

karczmarz — kolczyki wartości mniej więcej piętnastu franków.

— Mam nadzieję, że nie macie państwo pretensji — rzekł jubiler.

— Ksiądz mówił o pięćdziesięciu tysiącach — burknął Caderousse.

— Dajże mi go pan wreszcie! Cóż za człek nienasycony — odparł jubiler, wyjmując mu z rąk diament. Proponuje mu czterdzieści pięć tysięcy franków, czyli dwa i pół tysiąca franków renty, fortunę, którą sam bym nie pogardził, a on jeszcze grymasi!

— A gdzie te pieniądze? — spytał chrapliwie Caderousse.

— Proszę bardzo — odpowiedział jubiler.

I wyliczył na stół piętnaście franków złotem i trzydzieści tysięcy w banknotach.

— Zaczekaj pan, niech zapalę lampę — ozwała się Karkontka — ciemno już, łatwo by się pomylić..

Rzeczywiście, przez te pół godziny, kiedy się spierali noc zapadła, a z nocą nadciągnęła burza.

W oddali zadudnił głucho grzmot, ale ani jubiler, ani Caderousse'owie nie zdawali troszczyć się o to, opętani wszyscy troje przez demona zysku.

A i mnie dziwnie jakoś fascynowało to złoto i banknoty.

Zdawało mi się, że śnię, i jak to we śnie bywa, przykuło mnie coś jakby do miejsca.

Caderousse przeliczył dwakroć złoto i banknoty, za czym podsunął je żonie, która policzyła wszystko raz jeszcze.

Tymczasem jubiler obracając diament pod lampą dobywał zeń ogień: klejnot iskrząc się zaćmiewał błyskawice, zwiastuny burzy, co zapalały się chwilami w oknach.

— No i jak tam? W porządku? — spytał.

— Tak — odpowiedział Caderousse. — Dajże, Karkontko, pugilares i poszukaj worka.

Karkontka wstała i wyjęła z szafy skórzany pugilares. Wyrzucili z niego kilka zatłuszczonych listów, a na ich miejsce włożyli banknoty. Przyniosła też worek, co zawierał ze trzy talary — chyba całą fortunę tego nędznego stadła.

— No, choć mi pan obciąłeś ładne dziesięć tysięcy franków — ozwał się Caderousse — prosimy na kolację, i zaprosiny to szczere.

— Dziękuję — odrzekł jubiler — ale za późno, muszę wracać do Beaucaire. Żona będzie się niepokoić.

I spojrzął na zegarek.

— A niech to diabli, dochodzi dziewiąta, nie zdążę do Beaucaire przed północą. Do widzenia, moje dziatki, gdyby przypadkiem ten wasz ksiądz Busoni znów się zjawił, pamiętajcież o mnie.

— Za tydzień nie będzie pana już w Beaucaire, targi kończą się w tych dniach — odpowiedział Caderousse.

— E, to nic nie szkodzi. Napisz pan do mnie do Paryża, nazywam się Joannes; mam sklep w Palais-Royal, Galeria Kamienna, numer 15, a przyjadę specjalnie, jeśli rzecz będzie warta zachodu.

Zagrzmiało, błysnęło się tak jasno, że lampa przygasła jakby.

— E, nie pójdziesz pan przecie w taką burzę — powiedział Caderousse.

— Nie boję się grzmotów,

— A bandyci? — zagadnęła Karkontka. — Niebezpiecznie jest na tej drodze podczas targów.

— Oto co mam dla bandytów — odparł Joannes.

I wyciągnął z kieszeni parę naładowanych pistoletów.

— Te pieski — rzekł — ujadają, a jednocześnie gryzą. Poszczuję nimi każdego, kto zapragnie twojego diamentu, mój tatuńciu.

Małżonkowie wymienili posępne spojrzenia.

Zdaje się, że w tym samym momencie powzięli tę samą myśl.

— No to szczęśliwej drogi! — powiedział Caderousse.

— Dziękuję — odrzekł jubiler.

Wziął laskę, którą oparł był o starą skrzynię, i wyszedł.

Kiedy otwierał drzwi, wicher wpadł do izby i o mało nie zgasił lampy.

— O! — zawołał jubiler — psia pogoda, a przede mną dwie mile!

— To niech pan zostanie — poradził mu Caderousse — przenocuje pan tutaj.

— Tak, tak — dodała Karkontka, a głos jej drżał — naszykujemy panu wygodne spanie.

— Nie. Muszę wracać do Beaucaire. Do widzenia. Caderousse wyszedł, nie spiesząc się, na próg.

— Ciemności jak oko wykol — ozwał się Joannes już ze dworu. — Na prawo mam iść czy na lewo?

— Na prawo — odrzekł Caderousse. — Nie zabłądzi pan, z obu stron drogi rosną drzewa.

— Dziękuję, już je widzę — doleciał głos niewyraźny, jak to z oddali.

— Zamykaj drzwi! — powiedziała Karkontka. — Nie lubię, kiedy drzwi są otwarte podczas burzy.

— A zwłaszcza jeśli pieniądze są w domu, prawda? — zagadnął Caderousse i zamknął drzwi na dwa spusty.

Podszedł do szafy, wyjął pugilares i worek i znów, po raz trzeci, jęli przeliczać banknoty i złoto.

Nigdy dotąd nie widział podobnego wyrazu chciwości jak na tych twarzach oświetlonych nikłym blaskiem lampy.

Karkontka zwłaszcza wyglądała ohydnie. Chwyciły ją dreszcze silniejsze niż zazwyczaj.

Blade jej lico powlokła trupia siność i tylko zapadłe oczy żarzyły się niby węgle.

— Czemu — spytała tłumiąc głos — zapraszałeś go na noc?

— No bo teraz — Caderousse dygotał jak w febrze — no bo teraz droga taka ciężka.

— A ja — odrzekła tonem, którego oddać nie sposób — a ja sędzę, że dla innego powodu.

— O żono, żono! — zawołał. — Dlaczego nawiedzają cię takie myśli i czemu nie zachowujesz ich dla siebie?

— A jednak — odparła po dłuższej pauzie — niedojda z ciebie i już.

— Dlaczego? — zdziwił się Caderousse.

— Gdybyś był mężczyzną, to on by stąd nie wyszedł.

— Milcz!

— Albo nie doszedłby do Beaucaire.

— Milcz!

— Droga zakręca, a on musi iść drogą; wzdłuż kanału jest inna droga, krótsza.

— Żono, obrażasz Boga! Ale co to? Posłuchaj...

Zagrzmiało straszliwie, a w tejże chwili niebieskawa błyskawica rozświetliła całą izbę — i grom cichnąc żałował jakby, iż oddala się od tego przeklętego domu.

— A słowo ciałem się stało! — rzekła Karkontka, czyniąc znak krzyża.

— I zaraz, pośród przeraźliwej ciszy, jaką zostawia po sobie piorun, ktoś załomotał do drzwi.

Małżonkowie zadrżeli i wystraszeni spojrzeli po sobie.

— Kto tam? — wrzasnął Caderousse i zerwawszy się zgarnął na kupę złoto i banknoty rozproszone po stole i nakrył je dłońmi.

— Ja! — ozwał się ktoś.

— Co za ja?

— No ja, do licha, Joannes, jubiler!

— No widzisz? powiedziałaś — ozwała się Karkontka ze straszliwym uśmiechem — że obrażam Boga?... Toć Bóg go nam przysłał.

Caderousse padł na krzesło blady, ciężko dysząc.

Karkontka przeciwnie: wstała, podeszła zdecydowanym krokiem do drzwi i otworzyła je.

— Niechże pan wejdzie, prosimy pięknie! — rzekła.

— Do kroćset! — zawołał jubiler ociekając deszczem — chyba sam diabeł nie życzy sobie, żebym wracał do Beaucaire dziś nocą. Im kto prędzej przyjdzie po rozum do głowy, tym lepiej, drogi panie Caderousse; zaproponowałeś mi gościnę: przyjmuję, zawróciłem, żeby przenocować u państwa.

Caderousse wybełkotał coś, ocierając pot z czoła. Karkontka zamknęła drzwi na dwa spusty.

7. KRWAWE DESZCZ

Jubiler wchodząc rozejrzał się bacznie; ale nie dostrzegł nic takiego, co zrodziłoby w nim podejrzenia, jeśli ich nie miał, utwierdziło zaś — jeśli je miał.

Caderousse dzierżył wciąż pieniądze, a Karkontka uśmiechała się do gościa najśłodziej, jak umiała.

— Cóż to? — zdziwił się jubiler. — Sądzicie państwo, żem was oszukał? Znowu przeliczaliście wasz kapitał, kiedym odszedł?

— E, nie — odpowiedział Caderousse. — Wzbogaciliśmy się tak niespodzianie, że nie możemy w to uwierzyć. Musieliśmy mieć nasz skarb przed oczyma na dowód, że nie śnimy.

Jubiler uśmiechnął się.

— Macie państwo w obojętnej jakich podróży? — spytał.

— Nie — odpowiedział Caderousse. — W ogóle nie przyjmujemy na nocleg. A zresztą za blisko od nas do miasta, więc nikt się tu nie zatrzymuje.

— Tom narobił wam okropnego ambarasu!

— Pan? O, mój panie kochany — rzekła miluchno Karkontka — skądże znowu! Na pewno nie, przysięgam.

— A gdzie mnie, moi państwo, położycie?

— Na piętrze. Mamy tam pokój.

— Ale czyż to nie jest pokój państwa?

— A cóż to szkodzi? Mamy zresztą dwa łóżka w pokoju sąsiednim. Caderousse popatrzył ze zdziwieniem na żonę.

Jubiler tymczasem, podśpiewując jakąś melodię, grzał sobie plecy przy wiązce chrustu, którą Karkontka podpaliła na kominku, aby gość się osuszył.

Karkontka tymczasem nakryła róg stołu, przyniosła jakieś smutne resztki z obiadu i parę jajek.

Caderousse umieścił znowu banknoty w pugilaresie, złoto zsypał do worka, po czym wszystko schował do szafy. Przechadzał się wzdłuż i wszerz izby, posępny i zamyślony, popatrując czasami na jubilera, który suszył się wciąż przy kominie — odzież parowała, Joannes, w miarę jak sechł, obracał się to w jedną, to w drugą stronę.

— No — rzekła Karkontka, stawiając butelkę wina — jeśli pan chce wieczerzać, wszystko gotowe.

— A pan? — ozwał się jubiler.

— Nie, ja nic jadł nie będę.

— Obiad był bardzo późno — wyjaśniła pospiesznie Karkontka.

— To mam jeść sam? — skrzywił się Joannes.

— Obsłużymy pana — powiedziała Karkontka nadzwyczaj, jak na nią, skwapliwie; okazywała bowiem zawsze gościom lekceważenie, nawet płacącym.

Caderousse ogarniał ją od czasu do czasu błyskawicznym spojrzeniem.

Burza nie ustawała.

— A widzi pan, a widzi pan — rzekła Karkontka — jak dobrze, że pan zawrócił.

— Jeśli podczas kolacji huragan się uspokoi, i tak puszczyć się w drogę — odparł jubiler.

— To mistral — oznajmił Caderousse, potrząsając głową — będzie trwał do rana.

I westchnął.

— Do licha — rzekł jubiler siadając do stołu — tym gorzej dla tych, co są poza domem.

— Tak — zgodziła się Karkontka — nieprzyjemną będą mieli noc. Jubiler zabrał się do jedzenia, Karkontka krzątała się, świadcząc gościowi

niby troskliwa gosposia; zawsze zręczna i kwaśna, mogła w tej chwili służyć za wzór uprzejmości i grzeczności.

Gdyby jubiler znał ją przedtem, odmiana taka zdziwiłaby go na pewno i kto wie, czy nie wzbudziła w nim podejrzeń.

Caderousse milczał, jakby nabrał wody w gębę, przechadzał się wciąż i starał się nie patrzeć na jubilera.

Kiedy gość skończył kolację, gospodarz otworzył skwapliwie drzwi.

— Zdaje mi się; że burza przechodzi — rzekł.

Ale w tej chwili, jakby przecząc jego słowom, piorun tak trzasnął gdzieś blisko, że dom zadrżał w posadach, a wicher pomieszany z deszczem zgasił lampę.

Caderousse zamknął drzwi, Karkontka zapaliła świeczkę od wygasającego ognia.

— No, musi pan być zmęczony — rzekła do jubilera. — Dałam panu czystą pościel, idź pan na górę i wyśpij się smacznie.

Joannes pozostał jeszcze chwilę, aby przekonać się, czy huragan nie nacicha, ale stwierdziwszy, że ulewa i pioruny wciąż się wzmagają, powiedział gospodarzom dobranoc i poszedł na górę.

Przechodził nad moją głową, słyszałem, jak stopnie skrzypiały pod jego stopami.

Karkontka podążyła za nim spojrzeniem roziskrzonym od chciwości; Caderousse nie spojrział nań wcale, odwrócił się plecami.

Wszystkie te szczegóły, które przypomniałem sobie później, nie zastanawiały mnie, kiedy byłem ich świadkiem; boć wszystko to było całkiem naturalne, oprócz historii z diamentem, która wydawała mi się trochę nieprawdopodobna.

Sam zresztą okropnie znużony, czekałem tylko, kiedy przycichną żywioły; postanowiłem przespać się kilka godzin, a potem wymknąć się nocą.

Słyszałem, jak w pokoju nade mną jubiler przygotowywał się, by spędzić noc możliwie najwygodniej; niebawem łóżko zaskrzypiało, położył się.

Czułem, jak oczy mi się kleją, a nie podejrzewając nic, nie próbowałem walczyć z sennością; ogarnąłem kuchnię ostatnim spojrzeniem.

Caderousse siedział przy długim stole, na ławie, która w oberży zastępuje krzesła; siedział tyłem do mnie, a więc nie mogłem obserwować jego fizjonomii; ale choćby siedział inaczej, i tak bym jej nie dojrzał, zastaniał bowiem twarz dłońmi.

Karkontka popatrzyła na męża, wzruszyła ramionami i siadła naprzeciw.

W tejże chwili dogasający ogień zapalił kawałek suchego drzewa, który dotychczas oszczędziły płomienie; błysk oświetlił mroczną izbę.

Karkontka wlepiła wzrok w męża, a że Caderousse nie ruszał się, wyciągnęła rękę i haczykowatym palcem dotknęła mu czoła.

Caderousse zadrżał.

Wydawało mi się, że kobieta poruszyła wargami; ale czy mówiła bardzo cicho, czy zmysły moje odrętwiła już senność — dźwięk słów nie dolatywał do mnie.

Widziałem wszystko jak przez mgłę, mieszały się obrazy i myśli, przybierając kształt sennych widziadeł.

Wreszcie powieki mi się zamknęły, straciłem świadomość.

Z owego twardego snu zbudził mnie strzał i okropny krzyk.

Nade mną zadudniły niepewne kroki, masa bezwładna runęła na schody, tuż nad moją głową.

Nie ocknąłem się jednak zupełnie.

Słyszałem jęki i stłumione krzyki walczących ludzi.

Ostatni krzyk, bardziej niż uprzednie przeciągły, krzyk, co zamienił się w rżenie, wyrwał mnie całkiem z drętwoty.

Uniosłem się, podpierając się na łokciu, otworzyłem oczy — ale nic nie widziałem w ciemnościach, i dotknąłem ręką czoła, gdyż wydawało mi się, że szparami w deskach kropi deszcz obfity i ciepły.

Po tym okropnym hałasie zaległa cisza najgłębsza.

Nad moją głową chodził jakiś mężczyzna, schody zaskrzypiały pod czymiś nogami.

Mężczyzna zszedł na dół, zbliżył się do kominka i zapalił świecę.

Był to Caderousse: wybladły, w okrwawionej koszuli.

Zapaliwszy świecę wbiegł na górę — słyszałem, jak uwijał się tam niespokojnie i szybko.

Po chwili znów zszedł.

Przyniósł futerał; upewnił się, czy diament jest w środku, zastanawiał się chwilę, do której go włożyć kieszeni; za czym, pomyślawszy, że kieszeń jest raczej niepewnym schowankiem, owinął klejnot w czerwoną chustkę i okręcił sobie nią szyję.

Podbiegł do szafy, wyjął swój skarb, złoto wsypał w kieszeń spodni, banknoty schował do kurtki, wziął parę koszul; rzucił się do drzwi i zniknął w ciemnościach.

Wszystko tedy stało się dla mnie jasne; zacząłem robić sobie wyrzuty, jakbym to ja był winowajcą.

Wydało mi się, że słyszę jęki; może nieszczęsny jubiler żył jeszcze; może udzielając mu pomocy zdołam naprawić zło, którego nie byłem sprawcą, ale do którego dopuścił.

Wparłem się ramionami w licho pozbijane deski oddzielające moją sionkę od jadalni.

Deski ustąpiły, byłem wewnątrz domu.

Porwałem świecę, wpadłem na schody; czyjeś ciało zagroziło mi drogę; był to trup Karkontki.

Do niej to jubiler wymierzył był z pistoletu; kula przebiła na wylot gardło, krew buchała z dwóch ran i ustami.

Karkontka nie ruszała się już.

Poszedłem dalej.

W pokoju panował najokropniejszy nieład.

Meble były powywracane; pościel walała się po podłodze; jubiler leżał na ziemi z głową wspartą o ścianę, w kałuży krwi, która ciekła z trzech ogromnych ran w piersi.

W czwartej ranie nóż kuchenny tkwił aż po rękojeść.

Trąciłem nogą drugi pistolet, który nie wypalił, gdyż proch zamókł prawdopodobnie.

Zbliżyłem się do jubilera; zipał jeszcze, gdyż na odgłos moich kroków, a zwłaszcza dlatego, że ugięły się deski podłogi, otworzył nieprzytomnie oczy, zdołał spojrzeć na mnie i poruszył wargami, jakby chciał coś powiedzieć. Skonał.

Widok tego wszystkiego był tak okropny, że właściwie zobojętniał; skoro nie mogłem pomóc nikomu, chciałem już tylko uciekać.

Wypadłem na schody, wczepiwszy sobie palce we włosy i krzycząc ze strachu.

W jadalni, na dole, było z pięciu celników i ze trzech żandarmów — wszyscy uzbrojeni.

Schwycili mnie; nie próbowałem się nawet opierać — odchodziłem od zmysłów.

Usiłowałem coś powiedzieć, wydawałem jakieś nieartykułowane dźwięki — ot i wszystko.

Widziałem, że celnicy i żandarmi wskazują mnie palcem; spojrzałem na samego siebie; ociekałem krwią.

Ów ciepły deszcz, który padał na mnie poprzez szpary schodów, była to krew Karkontki.

Wskazałem palcem swoją kryjówkę.

— Czego on chce? — spytał żandarm. Celnik poszedł ją obejrzeć.

— Chce powiedzieć, że dostał się tędy — odparł.

I wskazał otwór, którędy dostałem się rzeczywiście. Zrozumiałem wtedy, że biorą mnie za mordercę.

Odzyskałem mowę i siły; wyrwałem się ludziom, którzy mnie trzymali, i krzyknąłem:

— To nie ja! To nie ja!

Dwaj żandarmi zmierzili do mnie z karabinów.

— Jeśli się ruszysz — rzekli — padniesz trupem.

— Ale — zawołałem — skoro mówię wam, że to nie ja!...

— Opowiesz tę bajeczkę sędziom w Nimes — odrzekli — a tymczasem chodź z nami; radzimy ci przede wszystkim, byś nie stawiał oporu.

Nie myślałem nawet o tym, złamany, osłupiały i wystraszony.

Skuto mi ręce i na postronku, za koniem, poprowadzono do Nimes.

Okazało się, że jeden z celników puściwszy się za mną w pogoń stracił mnie z oczu nie opodal oberży, ale domyślił się, że tam zanocuję; powiadomił o tym kolegów i wszyscy zjawili się w momencie, gdy huknął strzał z pistoletu; kiedy mnie schwyтали, ciążyło na mnie tyle dowodów winy, że zrozumiał od razu, jak trudno będzie mi się oczyścić z zarzutów.

Na śledztwie obstawałem przy jednym: żeby szukano wszędzie niejakiego księdza Busoni, który w tym dniu zatrzymał się w oberży Pont-du-Gard.

Jeśli Caderousse zmyślił całą tę historię i ksiądz Busoni nie istniał, byłbym oczywiście zgubiony, chyba że ujęto by z kolei Caderousse'a, który przyznałby się do wszystkiego.

Minęły dwa miesiące, w czasie których, muszę to powiedzieć na pochwałę sędziego, nie zaniedbano poszukiwań.

Straciłem już wszelką nadzieję.

Caderousse'a nie pojmano.

Miano mnie sądzić na pierwszej powakacyjnej sesji, 8 września, to znaczy w trzy miesiące i pięć dni po tych wypadkach, kiedy ksiądz Busoni, na którego już nie liczyłem, przyszedł do więzienia powiadając, że o ile mu wiadomo jeden z więźniów pragnie z nim mówić.

Poinformowano go o tym w Marsylii, spieszy więc, by spełnić moje życzenie.

Pojmuje pan hrabia, z jaką gorącą radością go przywitałem; opowiedziałem mu wszystko, czego byłem świadkiem; wspomniałem z lękiem o diamencie i o jego historii; wbrew moim oczekiwaniom sprawdziła się co do joty; a także wbrew moim oczekiwaniom, ksiądz uwierzył mi bez żadnych zastrzeżeń.

Rozczulony jego miłosierdziem, widząc, że zna do głębi obyczaje mojej ojczyzny, spodziewając się, że wargi tak litościwe udzielą mi przebaczenia za jedyną moją zbrodnię, wyznałem mu, pod tajemnicą spowiedzi, nie pominawszy żadnego szczegółu, mój postępek w Auteuil.

To, com uczynił z najszczerzego serca, dało taki sam rezultat, jaki uzyskałbym powodując się wyrachowaniem; przyznawszy się do pierwszego zabójstwa, niczym do tych wynurzeń nie zmuszony, dowiodłem księdzu, że nie popełniłem drugiego; rozstał się ze mną, krzepiąc mnie na duchu i zapewniając, że uczyni, co tylko w jego mocy, aby przekonać sędziów o mojej niewinności.

Miałem dowody, że zajął się mną, ponieważ w więzieniu zaczęto traktować mnie łagodniej i dowiedziałem się, że sprawę moją odłożono do następnego posiedzenia sądu przysięgłych.

Tymczasem Opatrzność zrządziła, że Caderousse'a ujęto za granicą i odstawiono do Francji.

Przyznał się do wszystkiego, twierdząc, że działał za namową żony, a co ważniejsze nawet, pod jej presją.

Dostał dożywotnie galery, a mnie puszczono na wolność.

— I wtedy to — rzekł Monte Christo — przyszedłeś pan do mnie z listem od księdza Busoniego.

— Tak, ekscelencjo, ksiądz zaopiekował się mną troskliwie. „Proceder przemysłowy zgubi cię, mój synu — rzekł mi — jeśli wydostaniesz się stąd, rzuć go”.

— Ale, mój ojciec — spytałem — z czegoż w takim razie utrzymam siebie i moją biedną bratową?

— Jeden z moich plenipotentów — odpowiedział — który żywi dla mnie wielką estymę, prosił mnie, abym wyszukał mu sługę godnego zaufania. Jeśli chcesz, skieruję cię tam.

— O, mój ojciec — zawołałem — tyle dobroci!

— A przysięgasz mi, że nigdy nie będę tego żałował? Wyciągnąłem rękę do przysięgi.

— To zbyt uczynne — rzekł — znam duszę korsykańską, masz tu list polecający. Nakreślił parę słów. Doręczyłem je waszej ekscelencji, a wtedy pan hrabia

raczył przyjąć mnie do służby. A teraz pytam, choć może pycha dyktuje mi to pytanie, czy pan hrabia miał kiedy powód skarżyć się na mnie?

— Nie, mój panie Bertuccio, przyznaję z radością, że jesteś zacnym sługą, chociaż zgrzeszyłeś brakiem zaufania.

— Ja, panie hrabio?

— A tak. Czemuż to mając bratową i przybranego syna, nigdy nie wspomniałeś mi o nich?

— Niestety, ekscelencjo, pozostała mi jeszcze do opowiedzenia najsmutniejsza część mojego życia. Wyjechałem na Korsykę. Spieszno mi było, rozumie to pan hrabia, zobaczyć i pocieszyć moją

biedną bratową; ale przybywszy do Rogliano, zastałem żalobę; w domu naszym stała się rzecz potworna, o której sąsiedzi pamiętają dziś jeszcze. Bratowa, stosując się do moich zaleceń, odmawiała zachciankom Benedetta, który żądał wciąż, aby oddała mu całe pieniądze, jakie miała w domu. Jednego ranka zagroził jej, po czym znikł na cały dzień. Moja pocziwa Asunta spłakała się okrutnie, gdyż kochała tego łotra jak rodzone dziecko. Wieczorem czekała, nie kładąc się spać. Wrócił o jedenastej, prowadząc ze sobą dwóch przyjaciół, którzy zwykle towarzyszyli mu we wszelkich wybrykach.

Wyciągnęła do niego ręce, lecz oni chwycili ją, a jeden z nich, drżę, czy nie ten właśnie piekielnik, zawołał:

— Weźmy ją na spytki, to powie, gdzie ma pieniądze.

Wasilio, nasz sąsiad, był właśnie w Bastii; w domu została tylko jego żona.

Nikt oprócz niej nie mógł widzieć ani słyszeć, co się działo u mojej bratowej.

Dwaj przytrzymywali biedną Asuntę, ona zaś nie wierząc w ogóle w możliwość podobnej zbrodni, uśmiechała się do swoich przyszłych katów; trzeci zabarykadował drzwi i okna, a kiedy wrócił, wszyscy trzej zakneblowali Asuncie usta, zaczęła bowiem krzyczeć ze strachu, widząc te przygotowania coraz poważniejsze; co uczyniwszy poczęli przypalać jej stopy, zbliżając je do ognia — sądząc, że ból zmusi ją, aby wskazała schowanko z naszymi szczupłymi oszczędnościami. Kiedy się szamotoła, zajęły się jej suknie; puścili tedy ofiarę, aby się nie poparzyć.

Asunta, cała w płomieniach, rzuciła się do drzwi, ale drzwi były zamknięte.

Rzuciła się do okna: było zabarykadowane.

Wtedy to sąsiadka usłyszała przeraźliwe krzyki: Asunta wołała o ratunek.

Wkrótce głos jej począł słabnąć — nie krzyczała już, ale jęczała; żona Wasilia, którą przez całą noc dręczył niepokój i lęk, odważyła się wyjść dopiero rankiem; wezwała sędziego — i kiedy otwarli drzwi naszego domu, znaleźli Asuntę na pół spaloną, choć dyszała jeszcze; szafy były rozbite, pieniądze znikły.

Benedetto ulotnił się z Rogliano i nie wrócił więcej; nie widziałem go od tej pory i wszelki słuch o nim zaginął.

Dowiedziawszy się o tych tragicznych wypadkach, udałem się do waszej ekscelencji. Nie wspominałem o chłopcu, bo przepadł bez wieści, ani o bratowej, gdyż umarła.

— I cóż pan myślisz o tym wypadku? — spytał Monte Christo.

Myślę, że to kara za moją zbrodnię. Ach, te Villeforty, to plemię przekłętę.

— A tak, tak — wyszeptał ponuro hrabia.

— Rozumie teraz wasza ekscelencja, poznawszy z własnej woli przyczynę, jak posępnych wzruszeń doznałem, ujrawszy znowu ten dom, ten ogród, gdzie znalazł się niespodzianie, to miejsce, na którym zabiłem człowieka; bo właściwie nie jestem pewien, czy tutaj, pod moimi stopami, w mogile, którą wykopał dla swojego dziecka, nie leży pan de Villefort.

— Rzeczywiście, wszystko jest możliwe — powiedział Monte Christo, wstając z ławki — a nawet i to — dorzucił szeptem — że prokurator królewski żyje. Ksiądz Busoni dobrze zrobił przysławszy mi pana. A pan dobrze zrobiłeś opowiedziawszy mi swoje dzieje, gdyż od tej chwili o nic pana podejrzewał nie będę. Nie próbowałeś pan aby odnaleźć śladów tego potworka Benedetta, dowiedzieć się, co się z nim stało?

— Nigdy, panie hrabio. Gdybym się dowiedział, gdzie jest, nie poszedłbym do niego, ale uciekł jak przed potworem. Nie, na szczęście nigdy już o nim nie słyszałem; mam nadzieję, że umarł.

— Nie licz na to, mój Bertuccio; źli nie umierają tak łatwo; Bóg opiekuje się nimi, jakby czyniąc ich narzędziami zemsty swojej.

— Być może. Proszę tylko Boga, żebym go już nigdy nie zobaczył. A teraz — tu spuścił głowę — pan hrabia wie wszystko; jest pan tu, na ziemi, moim sędzią, jak Bóg będzie nim w niebie; czyż mi pan nie powie nic na pociechę?

— Masz pan rację, bo i rzeczywiście mogę powiedzieć panu to, co powiedziałby ksiądz Busoni: ten, któregoś ugodził nożem, Villefort, zasłużył na karę, bo cię skrzywdził, a może także i dla innych powodów. Benedetto, jeśli żyje, będzie narzędziem, jak wspominałem już panu, bożej zemsty, a potem sam poniesie karę. Pan zaś masz w rzeczywistości tylko jeden grzech na sumieniu; zastanów się, dlaczego ocaliwszy dziecę nie zwróciłeś go matce; w tym była zbrodnia, mój Bertuccio.

— Tak, panie hrabio, prawdziwa zbrodnia, bom postąpił tchórzliwie. Przywróciwszy życie dziecku, mogłem, jak pan hrabia powiedział, uczynić tylko jedno: odesłać je matce. A musiałbym w takim

wypadku rozpocząć poszukiwania — zwróciłbym więc na siebie uwagę i kto wie, czy nie wpadłbym w ręce sprawiedliwości; nie chciałem umrzeć; chciałem żyć ze względu na bratową, no i ze względu na miłość własną, naturalną u każdego: mszcząc się, lubimy wychodzić z opresji cało i zwycięsko; a wreszcie — może zależało mi na życiu po prostu dlatego, że kochałem je. O, nie jestem taki dzielny, jak był mój biedny brat!

Bertuccio ukrył twarz w dłoniach, a Monte Christo patrzył nań uparcie i zagadkowo.

I po chwili milczenia, którą noc i miejsce uczyniły jeszcze bardziej uroczystą, rzekł:

— Aby godnie zakończyć tę rozmowę, a więcej już do pańskich przygód, mój Bertuccio, nie wrócimy — tu głos hrabiego zabrzmiał niezwykłą melancholią — zapamiętaj pan dobrze słowa, które często powtarzał mi ksiądz Busoni: na każdą boleść istnieją dwa lekarstwa — czas i milczenie. A teraz, mój panie, chciałbym zażyć samotnej przechadzki po ogrodzie. To, co pana, któryś odegrał rolę w tej okropnej scenie, gnębi i gryzie, będzie dla mnie uczuciem niemal przyjemnym, a posiadłości tej nada podwójną cenę. Widzi pan, mój Bertuccio, lubimy drzewa, gdyż dają cień, a cień lubimy, gdyż pełno w nim sennych widziadeł. Kupiłem ten ogród myśląc, że kupuję kawał ziemi ogrodzony murem, i już; okazało się, że ogród za murem roi się od widm, o których nic nie wspomniano w kontrakcie. Otóż ja lubię widma: zmarli, o ile wiem, przez sześć tysięcy lat nie wyrządzili tyle zła, ile żyjący potrafią narobić w jeden dzień. Wróć do domu, panie Bertuccio, i zaśnij spokojnie. Jeśli twój spowiednik okaże się, gdy będziesz konał, nie tak pobłażliwy jak ksiądz Busoni, przyzwij mnie, jeśli będę żył jeszcze, a znajdę słowa, które łagodnie ukołyszają twoją duszę gotową do ciężkiej drogi, zwanej wiecznością.

Bertuccio skłonił się z szacunkiem i odszedł wzdychając. Monte Christo postąpił cztery kroki naprzód:

— Tutaj, pod tym platanem — szepnął — pochowano dziecię; tam w murze furka; w rogu schody wewnętrzne, wiodące do sypialni. Nie potrzebuję chyba notować tego wszystkiego, mając przed oczyma, wokół siebie i pod stopami plan wypukły, plan żywy.

Obszedłszy ogród raz jeszcze, hrabia wrócił do powozu; Bertuccio, widząc zadumę pana, siadł w milczeniu na koźle, obok stangreta.

Ekwipaż ruszył w stronę Paryża.

Tegoż wieczoru hrabia, wróciwszy na Pola Elizejskie, obejrzał cały dom, zachowując się tak, jakby znał go od lat; ani razu, choć kroczył pierwszy, nie otworzył niewłaściwych drzwi, a korytarze czy schody wiodły go zawsze tam, dokąd zmierzał.

W tym obchodzie towarzyszył mu Ali.

Hrabia wydał Bertucciowi kilka rozporządzeń: chodziło o upiększenie domu, co miało pociągnąć za sobą najrozmaitsze zmiany, a nawet częściową przebudowę. Po czym spojrzawszy na zegarek ozwał się do baczego na wszystko Nubijczyka:

— Pół do dwunastej, Hayde niebawem nadjedzie. Czy służące, Francuzki, wiedzą już o tym?

Ali wskazał ręką apartament przeznaczony dla pięknej Greczynki; znajdował się on na uboczu, toteż kiedy drzwi zaślaniała makata, można było zwiedzić cały dom, nie domyśliwszy się, że krył się za nią salon i dwa pokoje. Ali, jak się rzekło, wskazał ów apartament, a potem wysunął trzy palce lewej dłoni, oparł na niej policzek i zamknął oczy.

— Aha — rzekł Monte Christo, obznajmiony z tymi znakami — trzy panny służące czekają w sypialni, tak?

Ali przytaknął głową.

— Pani będzie dziś wieczorem zmęczona — ciągnął Monte Christo — i naturalnie zechce się położyć spać; nie trzeba więc, żeby rozmawiała; służebne francuskie mają tylko pokłonić się nowej pani i wyjść; będziesz czuwał, aby służebna grecka nie porozumiewała się z Francuzkami.

Ali skłonił się.

Po chwili usłyszano, jak ktoś wołał odźwiernego; otworzyła się brama, powóz przejechał aleją i zatrzymał się przed gankiem.

Hrabia zszedł; drzwiczki były już otwarte; podał rękę młodej kobiecie, którą spowijała suta mantyla z zielonego jedwabiu, bogato haftowana złotem. Twarz osłaniał kaptur.

Kobieta ujęła podaną rękę i ucałowała ją z miłością, w której taił się jakby odcień szacunku; wymienili parę słów: kobieta mówiła tkliwie, hrabia z łagodną powagą — oboje zaś posługiwali się melodyjną mową, którą Homer włożył w usta swoich bogów.

Wtedy Ali, dzierżąc świecę z różowego wosku, poprowadził kobietę — a była nią piękna Greczynka, towarzysząca hrabiemu we Włoszech — na jej pokoje, Monte Christo zaś podążył do oddzielnego pawilonu, który przeznaczył dla siebie.

O pół do pierwszej światła w całym domu wygasły — sądziłbyś więc, że wszyscy posnęli.

8. KREDYT NIEOGRANICZONY

Nazajutrz, około drugiej po południu, karetka zaprzęzona w parę wspaniałych koni angielskich stanęła przed bramą Monte Christa; mężczyzna w błękitnym fraku z guzikami obciągniętymi jedwabiem tegoż koloru, w białej kamizelce przerznętej nadmiernie grubą złotą dewizką i w jasnobrązowych pantalonach; mężczyzna zwracający uwagę uwłosieniem gęstym, czarnym, zaczesanym aż na brwi — lecz koafiurę tę, choć miała odmładzać, wzięłybyś łącznie za perukę, gdyż przezierało spod niej pomarszczone czoło; mężczyzna ów lat pięćdziesięciu albo nawet pięćdziesięciu pięciu, starający się wyglądać na czterdziestkę — wytknął głowę przez okienko karety, pod którym widniała baronowska korona, i wysłał stajennego, aby zapytał odźwiernego, czy pan hrabia de Monte Christo jest w domu.

Tymczasem jegomość ów oglądał uważnie i tak szczegółowo, że aż trąciło to niegrzecnością, dom, liberię kręcącej się służby, a także zapuszczał żurawia do ogrodu.

Oko miał żywe, ale bardziej chytre niż inteligentne; wargi tak wąskie, iż nie tworzyły wypukłości, ale wpadały w jamę ustną; policzki szerokie i wystające świadczyły, że to człek niezawodnie szczwany; na koniec czoło cofnięte i czaszka u góry tak rozsadzona, że maskowała niemal uszy sterczące i bynajmniej nie arystokratyczne, nadawały całej tej fizjonomii — fizjonomista dostrzegłby to zaraz — charakter niemal odrażający; natomiast gmin był o tej osobistości innego zdania: imponowały mu wspaniałe konie, olbrzymia diamentowa spinka w koszuli i czerwona wstęga orderowa, łącząca butonierki fraka.

Stajenny zastukał w okno odźwiernego, pytając:

— Czy mieszka tu pan hrabia de Monte Christo?

— Tak, tu mieszka jego ekscelencja — odpowiedział odźwierny — ale... Tu spojrział pytająco na Nubijczyka.

Ali potrząsnął przecząco głową.

— Ale ? — zagadnął stajenny.

— Ale jego ekscelencja nie przyjmuje dziś nikogo — dokończył odźwierny.

— W takim razie zostawiam bilet mojego pana — pana barona Danglars. Doręczysz go panu panu hrabiemu de Monte Christo i oznajmisz, że jadąc do Izby pan baron nadłożył drogi, pragnął bowiem panu hrabiemu złożyć uszanowanie.

— Nie mam dostępu do jego ekscelencji — odrzekł odźwierny — zajmie się tym kamerdyner.

Groom zawrócił do karety.

— No i co? — spytał Danglars.

Chłopak, po trosze zawstydzony nauczka, powtórzył panu odpowiedź odźwiernego.

— Ho, ho! — rzekł baron. — Ten pan to widać jakiś książę. Tytułują go ekscelencją i tylko kamerdyner ma dostęp do niego. Mniejsza z tym, ma u mnie otwarty kredyt, to i zobaczę go, kiedy zachce mu się pieniędzy.

I Danglars, rozpartszy się w powozie, rozkazał stangretowi głosem donośnym, aby usłyszano po obu stronach ulicy:

— Do Izby Deputowanych!

Monte Christo, uwiadomiony w porę, widział Danglarsa przez żaluzję swojego pawilonu, że zaś uzbrojony był w doskonałą lunetkę, mógł obserwować barona z taką samą uwagą, z jaką Danglars studiował dom, ogród i lokajów. Sam zresztą przyjrzał się Danglarsowi z nie mniejszą bacznością.

— Stanowczo — rzekł otrząsając się z obrzydzeniem i wsuwając składaną lunetkę do futerału z kości słoniowej — stanowczo kreatura to obrzydliwa; jakże zobaczywszy już po raz pierwszy nie poznać węża po czole spleśzczonym, nietoperza po wypukłej czaszce, a sępa po łbie szerokim i ostrym dziobie!

— Ali! — zawołał i uderzył w miedziany gong. Wszedł Ali. — Wezwij Bertuccio — rzekł.

W tejże chwili zjawił się Bertuccio.

— Wasza ekscelencja kazał mnie zawołać?

— Tak. Widziałeś pan konie, które zatrzymały się przed naszą bramą?

— Tak, ekscelencjo. To bardzo piękne konie.

— Jakimże więc to cudem — ozwał się hrabia marszcząc brew — koni tych nie ma w moich stajniach, skoro zleciłem panu, byś kupił dwa najpiękniejsze konie w Paryżu? Jakże mogłeś dopuścić, żeby ktoś miał zaprzęg równie piękny jak mój?

Widząc zachmurzone czoło, słysząc surowy głos hrabiego, Ali zbladł i spuścił głowę.

— To nie twoja wina, mój poczciwy Ali — powiedział hrabia po arabsku z łagodnością, którą dostrzegłbyś rzadko w jego głosie czy na jego twarzy — przecież ty nie wiedziałeś nic o koniach angielskich.

Ali rozpogodził się.

— Panie hrabio — rzekł Bertuccio — te konie nie były do sprzedania. Monte Christo wzruszył ramionami.

— Wiedz, panie intendencie, że wszystko jest do sprzedania dla tego, kto umie oznaczyć cenę.

— Panie hrabio, pan Danglars zapłacił za nie szesnaście tysięcy franków.

— No to co? Trzeba mu było zaproponować trzydzieści dwa' tysiące. Jest bankierem, a bankier nie chybi okazji, by podwoić swój kapitał.

— Pan hrabia mówi serio?

Hrabia spojrział tak, jakby dziwił się, że intendent zaryzykował to pytanie. — Dziś wieczór — odrzekł — wybieram się z wizytą. Życzę sobie, aby te konie zaprzężono do mojej karety. Szory mają być nowe.

Bertuccio wyszedł kłaniając się; zapytał jeszcze od drzwi:

— O której wasza ekscelencja raczy wyjechać?

— O piątej.

— Pozwolę sobie zauważyć, ekscelencja mi wybaczy, że już druga — bąknął intendent.

— Wiem o tym.

I zwracając się do Alego:

— Każ przeprowadzić wszystkie konie przed panią, niech wybierze sobie ten zaprząg, który spodoba jej się najbardziej, i spytaj, czy zechce zjeść ze mną obiad; jeśli tak, niech nakryją u pani. Odejdź już i przyslij mi kamerdynera.

Ledwie Ali znikł, wszedł kamerdyner.

— Panie Baptysto — ozwał się hrabia — słyszysz już u mnie rok; to zwykły czas próby, jaki daję moim ludziom: odpowiadasz mi.

Baptysta skłonił się.

— Chciałbym z kolei wiedzieć, czy ja panu odpowiadam.

— Och! Panie hrabio! — zawołał Baptysta.

— Wysłuchaj mnie do końca. Zarabiasz tysiąc pięćset franków rocznie: to pensja wykwalifikowanego i dzielnego oficera, który co dzień naraża życie; stół masz taki, że pozazdrościłby ci go niejeden wyższy urzędnik, nieszczęsny sługa, o ileż bardziej od ciebie zapracowany. Będąc służącym masz służbę, która dba o twoją bieliznę i ubranie. Poza pensją, wynoszącą tysiąc pięćset franków, okradasz mnie przez rok mniej więcej na drugie tyle, załatwiając sprawunki konieczne dla mojej toalety.

— Och! Ekscelencjo!

— Nie mam pretensji, panie Baptysto, bo to rozsądne, życzyłbym sobie jednak, żebyś dał temu pokój. Nie znajdziesz nigdzie lepszego miejsca niż to, którym obdarzył cię los łaskawy. Nie biję nigdy moich ludzi i nigdy im nie wymyślam, nie unoszę się gniewem, przebaczam zawsze błąd, nigdy nie przebaczam niedbalstwa czy zapomnienia. Rozkazy moje są zazwyczaj krótkie, ale jasne i wyraźne. Wolę powtórzyć je dwa, a nawet trzy razy, niż sądzić, że nie zostałem zrozumiany. Mam na tyle pieniędzy, żeby dowiadywać się o wszystkim, co mnie interesuje, a jestem, uprzedzam pana, bardzo ciekawy. Jeślibym więc dowiedział się, że mówisz o mnie, źle czy dobrze, wszystko jedno, że komentujesz moje uczynki albo zbyt bacznie im się przyglądasz, odprawię cię z miejsca. Pouczam moją służbę tylko raz jeden, otrzymawszy tedy instrukcję, możesz pan odejść.

Baptysta skłonił się i zrobił parę kroków ku drzwiom.

— Chwileczkę — podjął hrabia — zapomniałem panu powiedzieć, że rokrocznie odkładam dla moich ludzi pewną sumę. Odprawiony traci oczywiście wszystkie te pieniądze i przechodzą one na dobro tych, którzy zostają. Otrzymają je po mojej śmierci. Jesteś pan u mnie już rok, zaczęła się twoja kariera, postaraj się wytrwać.

Przemówienie to hrabia wygłosił w obecności Alego, który stał nieruchomo, bo i zresztą nie rozumiał ani słowa po francusku. Każdy, kto studiował choć trochę psychologię francuskiego sługi, pojmie, jakie wrażenie wywarło ono na Baptyście.

— Będę starał się przystosować w najdrobniejszym szczególe do wymagań waszej ekscelencji — obiecał — wzorując się na panu Alim.

— O, tylko nie to — odparł hrabia z kamiennym chłodem. — Ali ma mnóstwo wad połączonych z zaletami; nie bierz z niego przykładu, gdyż jest on wyjątkiem; nie otrzymuje pensji, bo sługą nie jest; jest moim niewolnikiem: to mój pies; gdyby uchybił obowiązkowi, nie wypędziłbym go, ale zabił.

Baptysta wytrzeszczył oczy.

— Wątpisz pan?

I powtórzył Alemu to wszystko, co powiedział był Baptyście po francusku. Ali wysłuchał, uśmiechnął się, przykląkł przed panem i z szacunkiem ucałował mu dłoń.

Ów rodzaj nauki przyprowadził Baptystę o najwyższe zdumienie. Hrabia odprawił kamerdynera gestem, Alemu zaś dał znak, by został. Przeszli do gabinetu i długo tam rozmawiali. O piątej hrabia uderzył po trzykroć w gong.

Jedno uderzenie wzywało Alego, dwa — Baptystę, trzy intendenta. Zjawił się intendent. — Konie! — rzucił hrabia.

— Gotowe, ekscelencjo. Mam towarzyszyć panu hrabiemu?

— Nie. Tylko Ali, stangret i Baptysta.

Hrabia zszedł i zobaczył przy swojej karecie konie barona Danglarsa, którymi zachwycił się parę godzin temu. Obrzucił je okiem.

— Owszem, piękne — rzekł — chwali się panu, żeś je kupił; szkoda tylko, że trochę za późno.

— Ekscelencjo — odparł intendent — natrudziłem się, żeby je kupić, a kosztowały bardzo drogo.

— Czy tracą przez to na urodzie? — spytał hrabia wzruszając ramionami.

— Skoro wasza ekscelencja jest kontent, wszystko w porządku. Dokąd wasza ekscelencja jedzie?

— Na Chaussee-d'Antin, do pana barona Danglarsa. Rozmawiali na ganku.

Bertuccio zrobił krok, zamierzając zejść.

— Poczekaj, panie Bertuccio — zatrzymał go hrabia. — Chcę nabyć majątek nad brzegiem morza, na przykład w Normandii, między Hawrem a Boulogne. Jak widzisz, masz gdzie szukać. Musi na tym terenie być mały port, przystań, zatoczka, do której mogłaby wpłynąć i pozostać tam korweta; zanurza się ona tylko na piętnaście stóp. Statek musi być zawsze gotów do wyjścia, o każdej porze dnia i nocy, kiedy tylko spodoba mi się dać znak. Dowiesz się pan u wszystkich rejentów, czy nie ma gdzie takiej posiadłości; jeśli się znajdzie, obejrzyj ją, a jeśli będzie odpowiadała warunkom, kupisz na swoje nazwisko. Korweta płynie już chyba do Fécamp, nieprawdaż?

— Widziałem, jak wypływała na morze tego wieczoru, kiedy wyjeżdżaliśmy z Marsylii.

— A jacht?

— Jacht stoi w Martigues, tak pan hrabia rozkazał.

— Dobrze. Napiszesz pan co jakiś czas do obu kapitanów, żeby nie pozasypiali.

— A co ze statkiem parowym?

— Jest w Châlons, tak?

— Tak.

— Te same rozkazy co dla żaglowców.

— Dobrze.

— Jak tylko kupisz pan ten majątek, postarasz się, żebyśmy miał konie rozstawne, co dziesięć mil, na trakcie południowym i północnym.

— Ekscelencja może liczyć na mnie.

Hrabia kiwnął głową zadowolony, zszedł po schodach, wskoczył do karety, wspaniały zaprzęg puścił się kłusem i zatrzymał się dopiero przed pałacem bankiera.

Danglars przewodniczył właśnie obradom komisji powołanej do spraw budowy dróg żelaznych, kiedy oznajmiono mu wizytę hrabiego Monte Christo.

A zresztą posiedzenie już się skończyło.

Kiedy padło nazwisko hrabiego, wstał.

— Panowie — rzekł do kolegów, z których wielu było czcigodnymi posłami i parami — wybaczcie mi, ale muszę was pożegnać. Wyobraźcie sobie, że bank Thomsona i Frencha w Rzymie przysłała mi niejakiemu hrabiemu de Monte Christo, otwierając mu kredyt nieograniczony. To najparadniejszy żart, na jaki moi korespondenci zagraniczni pozwolili sobie wobec mnie. Rozumiecie więc, jaka zdjęła mnie ciekawość i nie daje mi spokoju; wstąpiłem dziś wczesnym popołudniem do tego rzekomego hrabiego. Mówię rzekomego, bo rozumiecie sami, prawdziwy hrabia nie byłby taki bogaty. Jaśnie pan nie przyjmował nikogo. I cóż wy na to, moi panowie? Imć Monte Christo zachowuje się niczym księżę krwi albo piękna kobieta. A zresztą dom, który kupił sobie, jak się dowiedziałem, na Polach Elizejskich, prezentuje się przyzwoicie. Ale kredyt nieograniczony — tu Danglars wybuchnął swoim szkaradnym śmiechem — czyni bankiera, u którego kredyt ów otwarto, bardzo wymagającym. Spieszno mi więc obejrzeć tego jegomościa. Zdaje się, że mnie nabierają. Ale nie wiedzą, z kim mają okoliczność: ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Domawiając tych słów — a perorował z taką emfazą, że aż rozdymał nozdrza — pan baron pożegnał kolegów i udał się do białozłotego salonu, którego przepych słynął na Chaussée-d'Antin.

Tam to kazał wprowadzić gościa, aby olśnić go z miejsca.

Hrabia stał, oglądając kopie Albaniego i Fattorego, które sprzedano baronowi jako oryginały — i chociaż były to tylko kopie, kłóciły się z pstrokatymi malowidłami i złoceniami sufitu.

Hrabia obejrzał się na odgłos kroków Danglarsa.

Danglars kiwnął niedbale głową i wskazał hrabiemu złożony fotel obity białym aksamitem przetykanym złotą nicią.

Hrabia usiadł.

— Czy mam honor z panem de Monte Christo?

— A czy ja mam honor z panem baronem Danglars, kawalerem Orderu Legii Honorowej, członkiem Izby Deputowanych?

Monte Christo wymienił wszystkie godności, jakie znalazł na bilecie wizytowym barona.

Zrozumiawszy przytyk, Danglars przygryzł wargi.

— Wybacz pan, że w pierwszej chwili ominąłem pański tytuł; ale jak panu wiadomo, mamy rząd ludowy, ja zaś prezentuję interesy ludu.

— Toteż każąc się stale tytułować baronem, zapominasz pan o tytule hrabiowskim, który przysługuje komu innemu.

— E, wcale mi na tym nie zależy, proszę pana — odparł niedbale Danglars — zrobili mnie baronem i dali mi Legię Honorową za jakieś tam zasługi, ale...

— Ale pan zrzekł się swojego tytułu, jak kiedyś Montmorency i Lafayette, nieprawdaż? Piękny przykład i godzien naśladowania, mój panie.

— Niezupełnie, niezupełnie — zakłopotał się Danglars — bo wobec służby, pan rozumie...

— Tak, dla służby jesteś pan jaśnie panem; dla dziennikarzy — panem; a dla swoich mocodawców — obywatelem. Odcienie nader praktyczne, skoro macie rząd konstytucyjny. Pojmuję to wybornie.

Danglars przygryzł wargi; przekonał się, że na tym terenie Monte Christo nie dorówna; spróbował tedy powrócić na teren mu bliższy.

— Panie hrabio — tu skłonił się — otrzymałem awiz od firmy Thomson i French.

— Niezmiernie się cieszę, panie baronie. Pozwólże, abym zwracał się do pana tak samo jak pańska służba: niedobry to zwyczaj, nabyty w krajach, gdzie są jeszcze baronowie właśnie dlatego, że już ich się nie kreuje. Cieszę się niezmiernie, powiadam, bo nie będę musiał prezentować się sam — rzecz zawsze dość kłopotliwa. Mówiłeś pan zatem, żeś otrzymał awizo od Thompsona i Frencha?

— Tak, ale przyznam się panu, że treść jego wydaje mi się niezbyt jasna.

— Czyżby?

— Tak, i miałem już honor wstąpić do pana, aby prosić o parę wyjaśnień.

— A więc proszę. Słucham i gotów jestem wszystko wytłumaczyć.

— Zdaje się, że mam ten list przy sobie — tu Danglars pogrzebał w kieszeni. — O, tak, tak, ten list otwiera panu hrabiemu de Monte Christo kredyt nieograniczony w moim banku.

— No i jakaż w tym, panie baronie, niejasność?

— Nie ma żadnej; tylko ten kredyt nieograniczony...

— Hm. Może w tym naprawdę coś niezrozumiałego. List pisali Anglo-Niemcy.

— Ależ nie. Pismo zredagowane bez zarzutu, tylko że błędne ze stanowiska rachunkowości.

— Czyżby, panie baronie — tu Monte Christo zrobił minę najbardziej naiwną, jaką potrafił — firma nie była według pana całkowicie pewna? Do diabła! Przykre by to było, bom ulokował u nich kapitały.

— Ech nie, całkowicie pewna — odparł Danglars, uśmiechając się niemal z ironią — ale nieograniczony to w sprawach finansowych termin tak niejasny...

— Że niejasność ta nie ma granic, prawda?

— O właśnie, to chciałem powiedzieć. Niejasność — to wątpliwości, a skoro wątpisz, nie działaj pochopnie, mówi pewien mędrzec.

— To znaczy, że jeśli bank Thompson i French skłonny jest popełniać szaleństwa, bank Danglarsa nie weźmie z tych panów przykładu.

— Nie rozumiem, panie hrabio.

— No tak. Panowie Thomson i French robią interesy nie zważając na cyfry, a pan Danglars wyznaczył swoim cyfrom granicę, bo to mędrzec, jak mi oznajmił przed chwilą.

— Łaskawy panie! — odrzekł puszczając się bankier. — Nikogo jeszcze nie zawiodła moja kasa.

— Zdaje mi się, że mnie jednak zawiedzie — odparł zimno hrabia.

— Jakim cudem?

— Żądasz pan wyjaśnień, a więc chyba się wahasz. Danglars przygryzł wargi.

Człowiek ten pokonał go po raz wtóry, i w tym wypadku na jego własnym terenie.

Drwiąca grzeczność barona była tylko maską; każde jego słowo trąciło właściwie impertynencją.

Monte Christo przeciwnie: uśmiechał się najuprzejmiej pod słońcem, a umiał też przybrać, jeśli chciał, naiwną minę, która dawała mu znaczną przewagę.

— W takim razie — ozwał się Danglars po chwili milczenia — popróbiję wytłumaczyć panu, o co chodzi, prosząc, abyś wymienił sumę, jaką zamierzasz pan podjąć u mnie.

— Ależ, mój panie — odparł Monte Christo, zdecydowany nie ustąpić na cal w tej dyskusji — skoro prosiłem o kredyt nieograniczony, sam widać nie wiem jeszcze, jakich sum będę potrzebował.

Bankierowi wydało się, że nadszedł dla niego wreszcie moment zwycięstwa.

Rozparł się w fotelu, uśmiechnął się jak zwykle tępo i z pychą i rzekł: — O, nie lękaj się pan. Możesz pan żądać, ile zechcesz, a przekonasz się pan wtedy, że budżet mojego banku, choć ograniczony, sprostą najwyższym wymaganiom. Proś pan nawet o milion....

— Nie dosłyszałem — przerwał Monte Christo.

— Milion — powtórzył Danglars z butą durnia.

— A cóż ja bym robił z milionem? E, łaskawy panie, gdybym potrzebował tylko miliona, nie otwierałbym sobie dla takiej fraszki kredytu. Milion! Ależ ja mam zawsze milion w pugilaresie albo w moim sepeciku podróżnym.

I hrabia wyciągnął z pugilaresika, w którym trzymał bilety wizytowe, dwa bony opiewające na pięćset tysięcy franków każdy, wystawione na okaziciela, a płacone przez skarb państwa.

Takiego człowieka jak Danglars trzeba było walić po łbie, a nie kłuc.

Pałka podziałała, bankier zachwiał się, doznał zawrotu głowy.

Wytrzeszczył na Monte Christa półprzymknięte oczy, których źrenica rozszerzyła się okropnie.

— No, przyznaj się pan teraz — ozwał się Monte Christo — że nie ufasz firmie Thompson i French. Mój Boże! To całkiem zrozumiałe! Przewidziawszy trudności, zabezpieczyłem się, choć nie jestem obznajmiony z interesami. Oto dwa inne podobne listy, adresowane nie do pana, lecz do pana barona Rotszylda i do pana Laffitte. Do jednego piszą z Wiednia panowie Arsztajn i Heszzeles, a do drugiego pan Baring z Londynu. Powiedz pan jedno słowo, a przestanę pana niepokoić i udam się do któregoś z pańskich kolegów.

Stało się: Danglars złożył broń; otworzył, nie panując nad drżeniem, list z Wiednia i list z Londynu, które hrabia podał mu, trzymając je w końcach palców; sprawdził, czy podpisy są autentyczne, z

dokładnością, która obrażałaby Monte Christa, gdyby hrabia nie wytłumaczył jej sobie oszołomieniem bankiera.

— O, łaskawy panie — powiedział Danglars i wstał, pragnąc jakby pokłonić się potędze złota uosobionej w hrabi — o, łaskawy panie, są tu trzy podpisy warte wielu milionów. Kredyt nieograniczony w trzech naszych bankach!... Niechże mi pan hrabia wybaczy: nieufność ustąpiła całkiem, ale mogę być jeszcze zdumiony.

— O, niejeden bankier, tak znakomity jak pan, mógłby się zdziwić — odparł grzecznie hrabia. — A więc przyślesz mi pan trochę pieniędzy, prawda?

— Jestem na rozkazy pana hrabiego.

— Porozumieliśmy się tedy i rozumiemy się, jak sądzę. Danglars kiwnął potakująco głową.

— I wyzbyłeś się pan wszelkiej nieufności?

— Ależ, panie hrabio! — zawołał bankier. — Ufałem panu od pierwszej chwili.

— Nie. Żądałeś pan dowodu. No, ale skorośmy się porozumieli, skoro już mi pan ufasz, ustalmy, jeśli łaska, ogólną sumę na rok pierwszy. Powiedzmy: sześć milionów.

— Sześć milionów! — wykrztusił Danglars. — Dobrze!

— Jeśli potrzebowałbym więcej — podjął niedbale Monte Christo — podwyższymy tę cyfrę; ale nie wydaje mi się. Żebym zabawił we Francji dłużej niż rok i żebym w ciągu roku przekroczył wymienioną sumę... a zresztą zobaczymy... Na początek bądź pan łaskaw przysłać mi jutro pięćset tysięcy franków; będę w domu do południa; a gdybym wyszedł, zostawię pokwitowanie intendentowi.

— Panie hrabio, pieniądze będą jutro o dziesiątej z rana. Życzy sobie pan złoto, srebro czy banknoty?

— Pół na pół, złoto i banknoty. I hrabia wstał.

— Chciałbym wyznać jedno panu hrabiemu — ozwał się z kolei Danglars. — Sądziłem, że mam wcale dokładne wiadomości o wielkich fortunach Europy, a jednak, chociaż pańska fortuna wydaje mi się znaczna, nigdy, mówiąc szczerze, o niej nie słyszałem; czyżby datowała się z niedawnych czasów?

— Nie, proszę pana, przeciwnie, jest ona stara jak świat; stanowiła coś na kształt skarbu rodzinnego, którego naruszać nie było wolno, a tymczasem procenty, gromadząc się, potroiły kapitał; termin wyznaczony przez testatora minął zaledwie przed kilku laty, a więc od kilku lat dopiero z mojej schedy korzystam — pańska niewiedza jest więc tutaj całkiem naturalna; a zresztą po pewnym czasie zaznajomisz się pan z tym wszystkim.

Słowom hrabiego towarzyszył ów blady uśmiech, który tak bardzo przeraził Franza d'Epinay.

— Wnosząc z upodobań pańskich i zamiarów — ciągnął Danglars — przepych, jakim zabyłniesz pan w stolicy, zaćmi nas, biednych milionerzynie; jednak proszę, żebyś pan raczył obejrzeć moją galerię, bo kiedy tu wszedłem, oglądałeś pan moje obrazy, jesteś tedy miłośnikiem sztuk pięknych; wszystkie moje obrazy są stare, pędzla dawnych mistrzów, każdy obraz ma metrykę; bo terażniejszego malarstwa nie lubię.

— I słusznie. Ma ono jedną zasadniczą wadę: nie zdążyło się jeszcze zestarzeć.

— Czy zechciałby pan obejrzeć kilka rzeźb Thorwaldsena, Bartoliniego i Canovy? Jak pan widzisz, artyści to zagraniczni. Francuskich nie szacuję wysoko.

— Masz pan prawo być wobec nich niesprawiedliwym, boć to pańscy rodacy.

— Ale to wszystko na później, kiedy zawrzemy bliższą znajomość. Dziś byłbym bardzo kontent, gdybyś się pan zgodził, abym przedstawił pana mojej małżonce; niechże mi pan hrabia wybaczy ten pośpiech, ale taki klient jak pan należy niemal do rodziny..

Monte Christo skłonił się na znak, że przyjmuje zaszczyt, który bankier tak bardzo wyświadczyć mu pragnął.

Danglars zadzwonił; zjawił się lokaj w liberii kapiącej od złota.

— Czy pani baronowa jest u siebie? — spytał Danglars.

— Tak, proszę jaśnie pana barona.

— Sama?

— Nie. U jaśnie pani są goście.

— Nie będzie pan zapewne miał nic przeciwko temu, jeśli zaprezentuję pana w czyjejs obecności, prawda, panie hrabio? Nie bawisz pan tu przecie incognito.

— Nie, panie baronie — uśmiechnął się Monte Christo — takich praw sobie nie roszczę.

— A któż jest u jaśnie pani? Pan Debray? — zagadnął Danglars tak dobroduszenie, że ubawiło to Monte Christa, znał bowiem sekrety domowe bankiera. Wszystkim zresztą były one wiadome.

— Tak, pan Debray, proszę jaśnie pana barona — rzekł lokaj. Danglars kiwnął głową.

Po czym zwracając się do Monte Christa:

— Pan Lucjan Debray — oznajmił — nasz stary przyjaciel, jest osobistym sekretarzem ministra do spraw wewnętrznych; małżonka moja, wychodząc za mnie, utraciła swój klejnot szlachecki. Ożeniłem się bowiem z margrabiną de Nargonne, z domu de Senderes, wdową po pułkowniku.

— Nie mam zaszczytu znać pani baronowej, ale zetknąłem się już z panem Debray.

— No, no — zdziwił się Danglars — a u kogóż to, jeśli wiedzieć wolno?

— U pana de Morcerf.

— To pan znasz tego młodziutkiego wicehrabiego?

— Spotkaliśmy się przypadkiem w Rzymie, podczas karnawału.

— A tak, tak, obita mi się o uszy jakaś dziwna przygoda z bandytami czy złodziejami, w ruinach... Cudem ocalał. Zdaje mi się, że wróciwszy z Włoch opowiadał coś takiego mojej żonie i córce.

— Pani baronowa oczekuje jaśnie panów — oznajmił lokaj.

— Pozwoli pan, że pójdę przodem, by wskazać drogę — powiedział kłaniając się finansista.

— Idę za panem — odrzekł hrabia.

9. ZAPRZĄG SIWOJABŁKOWITY

Baron poprowadził hrabiego długą amfiladą pokoi, zwracających uwagę ciężkim przepychem i niegustowną wspaniałością. Weszli do buduaru pani Danglars: był to pokój niewielki, ośmiokątny, wybity różowym atłasem, na który naciągnięto indyjski muślin; staroświeckie złożone fotele pokrywała staroświecka materia; w supraportach widniały sceny pasterskie w stylu Bouchera; wreszcie dwa ładne pastele w owalnych ramach, dobrane do reszty umeblowania, sprawiały, że ten jeden pokój w całym pałacu miał jakiś charakter; to prawda, że wyjęty był z ogólnego planu, jaki ułożyli pan Danglars ze swoim architektem, który za Cesarstwa liczył się do największych znakomitości, i że całą tę opisaną dekorację wymyśliła baronowa wespół z panem Lucjanem.

Toteż pan Danglars, wielki lubownik starożytności, tak jak rozumiano ją za Dyrektoriatu, gardził owym przytulnym buduarem, a zresztą, na ogół biorąc, wolno mu się było tu pokazywać jedynie w tym wypadku, jeśli usprawiedliwił swoją obecność przyprowadziwszy kogoś nowego.

Tak to w rzeczywistości Danglars nie był tu panem domu; traktowano go jako intruza, czasami lepiej, czasami gorzej, zależnie od miłego czy niemiłego wrażenia jakie ten, kto składał wizytę, wywarł na baronowej.

Pani Danglars, osoba wielkiej urody mimo lat trzydziestu sześciu, siedziała przy fortepianie ozdobionym mozaiką stanowiącą małe arcydzieło, a pan Lucjan siedział przy stole i przeglądał album.

Nim hrabia się zjawił, Lucjan zdążył już opowiedzieć o nim baronowej różne rzeczy.

Wiadomo, jaką sensację wywołał Monte Christo na śniadaniu u Alberta.

Wrażenie to, choć Debray był zblazowanym młodzieńcem, nie zatarło się w jego umyśle, więc też i relacja o hrabi, jaką składał baronowej, była wielce malownicza.

Ciekawość pani Danglars, podekscytowana zarówno szczegółami, które słyszała od Morcerfa, jak i opowieścią Debraya, sięgnęła szczytu.

Jakoż pani Danglars siadła do fortepianu a Lucjan przerzucał kartki albumu: maskowali tym sposobem najżywsze zaciekawienie — jeden z drobnych forteli wielkiego świata.

Dlatego pani Danglars powitała małżonka uśmiechem, co zdarzało się jej nader rzadko.

Na ukłon hrabiego odpowiedziała dygiem ceremonialnym, lecz pełnym gracji.

Lucjan wymienił z hrabią taki ukłon, jakby się znali i nie znali zarazem, a z baronem znak świadczący o zażyłych stosunkach.

— Pozwól, moja małżonko — ozwał się Danglars — że ci przedstawię pana hrabiego de Monte Christo. Pan hrabia przybył do mnie z rekomendacjami od moich korespondentów rzymskich, a rekomendacje to nader pilne; powiem tylko to, że wkrótce hrabia stanie się ulubieńcem naszych pięknych dam; zamierza zabawić w Paryżu rok i przez ten czas wydać sześć milionów; obiecujemy

więc sobie bale, obiady, kolacje; mam nadzieję, że pan hrabia wydając je nie zapomni o nas, jak my nie zapomnimy o panu urządzając nasze skromniutkie zabawy.

Chociaż ta prezentacja raziała dość grubym pochlebstwem, człowiek zjawiający się w Paryżu, aby przepuścić książęcą fortunę, trafia się tak rzadko, iż baronowa spojrzała na Monte Christa okiem wcale łaskawym.

— Dawno pan przyjechał?... — spytała.

— Wczoraj, łaskawa pani.

— I swoim zwyczajem przybywasz pan podobno z dalekiego świata...

— Tym razem tylko z Kadyksu, łaskawa pani.

— O, przyjechałeś pan w najgorszym sezonie; Paryż jest latem obrzydliwy; nie ma ani balów, ani rautów, ani zabaw; Opera Włoska wyjechała do Londynu, nasza występuje wszędzie z wyjątkiem stolicy; Komedia Francuska rozplynęła się gdzieś w powietrzu. Zostają nam tedy za całą rozrywkę nędzne wyścigi na Polu Marsowym i w Satory. Założy pan hrabia stajnię wyścigową?

— Będę, łaskawa pani, robił wszystko, co robią w Paryżu, jeśli szczęśliwym trafem znajdę kogoś, kto poinformuje mnie dokładnie o francuskich zwyczajach.

— A jest pan hrabia amatorem koni?

— Spędziłem długie lata na Wschodzie, a, jak pani wiadomo, szacuje się tam jedynie dwie rzeczy: rasowe konie i piękne kobiety...

— Ach, panie hrabio — obruszyła się baronowa — uprzejmość nakazywałaby dać pierwsze miejsce kobietom.

— Jak pani widzi, miałem rację prosząc przed chwilą o mentora, który byłby mi w waszych salonach przewodnikiem.

W tymże momencie weszła panna służąca, ulubienica baronowej Danglars, i zbliżywszy się do pani szepnęła jej coś na ucho. Pani Danglars pobladła.

— To niemożliwe! — zawołała.

— Najprawdziwsza prawda, proszę jaśnie pani — zapewniła pokojowa. Pani Danglars spojrzała na męża.

— Co się stało? — zapytał, wyraźnie zaniepokojony.

— Według tej panny...

— A cóż ona takiego powiedziała?...

— Powiedziała, że kiedy stangret chciał zaprzęgać, nie znalazł już moich koni w stajni; proszę o wyjaśnienie.

— Racz mnie wysłuchać, moja: żono.

— Proszę, słucham, słucham i bardzo ciekawa; ale najpierw objaśnię panom, w czym rzecz, abyście rozsądziła sprawę. Mój małżonek ma w stajni dziesięć koni; wśród nich są dwa moje: konie prześliczne, najpiękniejsze w Paryżu; znasz je, panie Lucjanie, znasz mój zaprząg siwojabłkowity! Owóz w momencie, kiedy pani de Villefort prosi mnie, abym pożyczyła jej na dziś koni i karety, bo chciałyby się przejechać do Lasku, a ja obiecuję przysłać jej mój zaprząg, konie znikają. Pan małżonek mógł pewnie zarobić na nich parę tysięcy franków, więc je sprzedał. O Boże! Ci finansisci!... cóż to za szkaradne plemię!

Ależ, moja żono, konie te były nazbyt ogniste, miały zaledwie cztery lata, drżałem o ciebie, kiedy jeździłaś nimi.

— Mój mężu, wiesz doskonale, że rok temu przyjąłem do służby najlepszego z paryskich stangretów. Czyżbyś i jego sprzedał razem z moimi końmi?

— Moja duszko, wynajdę ci inne, piękniejsze nawet, a przy tym łagodne, spokojne; nie będę drżał o ciebie.

. Baronowa wzruszyła ramionami z głęboką pogardą.

Danglars nie dostrzegł jakby tego gestu, który aż nazbyt świadczył o stosunkach między małżonkami, i zwrócił się do Monte Christa:

— Żałuję doprawdy, że nie poznał wcześniej pana hrabiego; urządzasz się pan tutaj?

— Ależ oczywiście.

— Zaoferowałbym je panu; wyobraź sobie, że oddałem je pół darmo, ale chciałem ich się pozbyć: to konie dla młodego człowieka.

— Bardzo panu dziękuję. Kupiłem dziś parę pięknych i stosunkowo niedrogich koni. O, niech pan zobaczy zwrócił się do Debraya — jesteś pan podobno amatorem.

Kiedy Debray podążył do okna, Danglars podszedł do żony.

— Wyobraź sobie — szepnął jej — że zaproponowano mi za te konie sumę kolosalną. Jakiś wariat, kto on nie wiem, ale że się rujnuje, to pewnie, przysłał do mnie dziś rano swojego intendenta; faktem jest, że zarobiłem szesnaście tysięcy franków; nie dąsaj się, dostaniesz cztery tysiące, a Eugenia dwa.

Pani Danglars zmiażdżyła go wzrokiem.

— O, Boże! — zawołał Debray.

— Co się stało? — zapytała baronowa.

— Ależ jeśli się nie mylę, konie pani baronowej zaprzężono do karety pana hrabiego.

— Moje siwosze! — zawołała pani Danglars. I podbiegła do okna.

— A, tak, to one — rzekła. Danglars osłupiał.

— Czyż to możliwe? — ozwał się Monte Christo, udając zdziwienie.

— Nie do wiary! — mruknął bankier.

Baronowa szepnęła coś Debrayowi na ucho — Debray podszedł do Monte Christa.

— Pani baronowa prosi, żeby pan powiedział, ile jej mąż wziął za ten zaprząg.

— Ach, nie wiem dokładnie. Mój intendent chciał mi zrobić niespodziankę, która kosztowała mnie chyba trzydzieści tysięcy.

Debray powtórzył baronowej tę odpowiedź.

Danglars był taki błądy i pomieszany, że hrabia zdawał się litować nad nim.

— No i widzi pan — rzekł — jakie kobiety są niewdzięczne! Pańska troskliwość bynajmniej nie wzruszyła pani baronowej. Niewdzięczne... nie, to nie jest słowo właściwe, powiedzmy raczej: nierozumne. Ale cóż! Lubimy zawsze to, co nam szkodzi; krótko mówiąc, drogi baronie, pozwalajmy im zawsze robić to, co im strzeli do głowy, a jeśli ją sobie przy tym rozbijają, winny mieć pretensję tylko do siebie.

Danglars nic nie odpowiedział, przeczuwając, iż nadciąga burza z piorunami.

Brew pani baronowej marszczyła się już, zapowiadając, jak i brew Jowisza Olimpijskiego, nawałność.

Debray widząc, jak niebo ciemnieje, ulotnił się pod pozorem pilnych spraw.

Monte Christo też mógłby sobie zaszkodzić, gdyby zabawił dłużej, a zamierzał w tym domu zdobyć piękną pozycję: skłonił się pani Danglars i wyszedł, rzucając barona na pastwę żoninej złości.

Doskonale, pomyślał wychodząc, osiągnąłem to, czego chciałem: mam już w ręku spokój tego stadła, a teraz, za jednym zamachem, zdobędę serce i męża, i żony; co za szczęście! Ale, dodał, nie zostałem dotąd przedstawiony pannie Danglars, a wielce rad byłbym ją poznać.

Zresztą — tutaj uśmiechnął się na swój szczególny sposób — jestem w Paryżu, czas mam. Co się odwlecze, to nie uciecze.

Snując te refleksje, hrabia wsiadł do karety i wrócił do siebie.

Po dwóch godzinach pani Danglars otrzymała czarujący list od pana de Monte Christo. Hrabia pisał, że nie chcąc rozpocząć życia paryskiego krzywdą pięknej kobiety błaga, aby raczyła przyjąć konie.

Miały tę samą uprzęż, którą baronowa widziała była rano.

Tylko w środku każdej rozetki, jakie nosiły nad uszami, hrabia kazał przyszyć po diamencie.

Danglars także otrzymał list.

Hrabia prosił, aby bankier zezwolił żonie przyjąć podarek będący fantazją milionera i aby nie gniewał się, że wschodnim zwyczajem przyozdobił jeszcze ów prezent.

Wieczorem hrabia pojechał do Auteuil, a towarzyszył mu Ali.

Nazajutrz około trzeciej gong wezwał Alego do gabinetu.

— Ali — rzekł hrabia — nie mówiłeś mi kiedyś, że bardzo zręcznie rzucasz lassem?

Ali kiwnął potakująco głową i wyprostował się dumnie.

— Doskonale!... A więc na lasso złapałbyś byka? Ali kiwnął potakująco głową.

— A tygrysa? Tenże znak.

— A lwa?

Ali uczynił ruch, jakby rzucał lassem; a z gardła wydał stłumiony dźwięk, naśladujący ryk lwa.

— Aha; rozumiem. Polowałeś na lwy, tak? Ali kiwnął dumnie głową.

— A zatrzymałbyś w biegu rozhukane konie? Ali uśmiechnął się.

— No to posłuchaj. Za chwilę będzie przejeżdżać tędy kareta zaprzęzona w siwojabłkowe konie, te same, które miałem wczoraj. Konie poniosą, a ty musisz zatrzymać je przed bramą, choćby cię miały stratować.

Ali wyszedł na ulicę i przed bramą nakreślił linię na bruku.

Wrócił i pokazał linię hrabiemu.

Hrabia poklepał go miło po ramieniu: w taki sposób zawsze dziękował Alemu.

Potem Nubijczyk siadł na kamieniu przed domem i palił nargile, a hrabia wrócił do gabinetu, nie troszcząc się już o nic.

A jednak, około piątej, kiedy, jak się spodziewał, powóz miał nadjechać, widać było po hrabi lekkie zniecierpliwienie.

Przechadzał się po pokoju, z którego widać było ulicę, czasami nasłuchiwał, a czasami znów podchodził do okna — widział przez nie Alego kurzącego nargile. Nubijczyk wypuszczał kłęby dymu tak regularnie, jakby ważna ta czynność całkiem go pochłaniała.

Nagle rozległ się w oddali turkot — i zbliżał się z szybkością błyskawicy.

Po chwili ukazała się kareta. Stangret usiłował daremnie zatrzymać konie rozszalone, o grzywach zjeżonych, galopujące susami.

W karecie młoda pani i chłopak ośmioletni obejmują się kurczowo i z przerażenia nie mają siły już nawet krzyżeć.

Wystarczyłyby na drodze kamień albo zwisająca gałąź drzewa, żeby wehikuł, trzeszczący już, rozbił się dokumentnie.

Powóz pędził środkiem ulicy, a przechodnie, widząc, jak nadjeżdża, krzyżeli wystraszeni.

Ali odłożył nargile, wyciągnął z kieszeni lasso, rzucił je, owinał po trzykroć przednie nogi konia lewego — gwałtowne szarpnięcie pociągnęło Nubijczyka kilka kroków naprzód; ale też i zaraz koń spętany wali się na dyszel i łamie go, paraliżując wysiłki drugiego konia, który rwie się, by pędzić dalej.

Korzystając z tego momentu, stangret zeskakuje z kozła; lecz Ali chwycił już nozdrza drugiego konia w swoje stalowe palce i zwierzę, rżąc z bólu, pada rozdygotane obok towarzysza.

Nie trwało to dłużej, niż kula leci do celu.

A jednak z domu naprzeciw miejsca, gdzie zdarzył się wypadek, wybiegł już jakiś mężczyzna, a za nim służdy.

Stangret otwiera drzwiczki, ów mężczyzna wynosi z karocy damę, która jedną ręką wczepiła się w poduszki, a drugą tuli zemdlonego syna.

Monte Christo przenosi oboje do salonu i kładzie na kanapie.

— Niech się pani nie boi — powiada — jesteś ocalona.

Dama odzyskała przytomność, ale zamiast odpowiedzieć, wskazała syna wzrokiem bardziej wymownym niż najgorętsze błagania. Bo i chłopiec wciąż jeszcze był nieprzytomny.

— Tak, tak, rozumiem panią — powiedział hrabia badając dziecię — ale niech pani będzie spokojna, nic mu się nie stało, wystraszył się po prostu.

— O — zawołała dama — czy nie mówisz mi pan tego tylko na pociechę? Spójrz, jaki blady! Synu mój! Moje dziecię! Edwardku! Odezwij się do matki! Ach, poślij pan po lekarza! Oddam majątek temu, kto mi uratuje syna!

Monte Christo, uczyniwszy ręką gest, by uspokoić matkę tonącą we łzach, otworzył szkatułkę i wyjął z niej flakon kryształowy z bogatymi złoceniami, a zawierający płyn czerwony jak krew. I kapnął kropelkę na wargi dziecka.

Chłopak nie odzyskał rumieńca, ale zaraz otworzył oczy.

Na widok ten matka o mało nie oszalała z radości.

— Gdzie jestem? — zawołała. — Komu zawdzięczam tyle szczęścia po tak okrutnym doświadczeniu?

Jesteś pani u kogoś aż nazbyt szczęśliwego, że zdołał oszczędzić ci boleści — odrzekł Monte Christo.

— To przez tę moją przeklętą ciekawość! — ozwała się dama. — Cały Paryż mówił o wspaniałych koniach pani Danglars, a mnie ogarnęła przemożna chęć, żeby je zobaczyć i przejechać się nimi.

— Jak to — zawołał hrabia, mistrzowsko udając zdziwienie — to konie baronowej?

— Tak, proszę pana. Znasz ją pan?

— Mam honor znać panią Danglars, a moja radość wzmożła się jeszcze, że ocalił panią przed niebezpieczeństwem. Bo mogłaby pani sądzić, że spotkało ono panią z mojej przyczyny; kupiłem wczoraj konie od baronowej, ale baronową tak to zmartwiło, że odesłał je zaraz, prosząc, aby przyjęła je w upominku.

— Ach, to pan jesteś hrabią de Monte Christo, o którym Hermina tyle opowiadała mi wczoraj!

— Tak, łaskawa pani.

— A ja, proszę pana, jestem Heloiza de Villefort.

Hrabia skłonił się tak, jakby usłyszał nazwisko całkiem sobie nie znane.

— O, jakież mój małżonek będzie panu wdzięczny! Przecież uratowałeś mu pan żonę i syna. Gdyby nie pański szlachetny sługa, zginęlibyśmy oboje.

— O tak, pani. Drżę jeszcze na myśl o niebezpieczeństwie, jakie ci groziło.

— Spodziewam się, że pozwolisz pan, abym wynagrodziła hojnie temu człowiekowi jego poświęcenie.

— Niechże mi pani nie psuje mojego Alego, błagam, ani pochwałą, ani nagrodą. Nie życzę sobie, aby się dowiedział, że istnieje coś takiego. Ali jest moim niewolnikiem, ocaliwszy panią usłużył mnie, a służyć mi jest jego obowiązkiem.

— Ależ on naraził życie! — zawołała pani de Villefort, której osobliwie imponował władczy ton hrabiego.

— Ocaliłem to życie, łaskawa pani, a więc należy ono do mnie. Pani de Villefort zamilkła.

Może myślała o tym człowieku, który już od pierwszej chwili wywierał tak silne wrażenie.

Przez ten czas hrabia mógł do woli przyjrzeć się chłopcu, którego matka obsypywała pocałunkami.

Niewyrośnięty był, wąty i pleć miał mlecznobiałą, jak u dzieci rudych — ale gęsta i czarna czupryna, oporna grzebieniowi, opadała na wypukłe czoło i na ramiona, okalając twarz. Kontrast ów przydawał żywości oczom o spojrzeniu złośliwym, obłudnym i nieżyczliwym, usta, co właśnie odzyskały szkarłat, były szerokie, ale przy tym delikatne; choć miał lat osiem, wyglądał przynajmniej na dwanaście, a sprawiły to rysy twarzy.

Szorstkim ruchem wyswobodził się z objęć matki, a po chwili otworzył szkatułkę, z której hrabia wyjął był flakon eliksiru.

I nie pytając się nikogo o pozwolenie, jak to dzieci nawykłe zadowalać wszystkie swoje kaprysy, zaczął otwierać flakon po flakonie.

— Nie ruszaj tego, mój przyjacielu — ozwał się hrabia — są tam likwory, które nie tylko pić, lecz i wąchać jest niebezpiecznie.

Pani de Villefort zbladła, powstrzymała rękę syna i przyciągnęła go do siebie; uspokoiwszy się ogarnęła szkatułkę przelotnym, ale wymownym spojrzeniem które hrabia podchwycił od razu.

Wszedł Ali.

Pani de Villefort okazała gestem radość i przyciągając syna jeszcze bliżej, rzekła:

— Przypatrz się, Edziu, temu pocziwemu słudze: jest bardzo odważny; naraził życie, aby zatrzymać rozhukane konie i karetę, która o mało się nie rozbiła. Podziękuj mu, bo gdyby nie on, zapewne nie żylibyśmy już oboje.

Chłopiec wydał wargi i odwrócił wzgardliwie głowę.

— Go? Takiemu brzydalowi! — powiedział. Hrabia uśmiechnął się, jakby dziecię go nie zawiodło.

Pani de Villefort skarciła syna z umiarem, który na pewno nie spodobałby się Janowi Jakubowi Rousseau, gdyby Edwardek był Emilem.

— Ta pani — zwrócił się hrabia po arabsku do Alego — poprosiła syna, żeby ci podziękował, boś ocalił życie im obojgu, ale chłopiec w zamian za to nazwał cię tylko brzydalem.

Ali odwrócił się na chwilę i ogarnął dziecko bystrym spojrzeniem, w którym nie tała się na pozór żadna uraza, a tylko zadrżały mu nozdrza — hrabia znał Nubijczyka: Ali otrzymał cios w serce.

— Czy pan zawsze tu mieszka? — zapytała pani de Villefort wstając i szykując się do odejścia.

— Nie, łaskawa pani, czasem tylko tu zaglądam, a mieszkam stale na Polach Elizejskich pod numerem trzydziestym. Ale widzę, że już się pani uspokoiłaś i że pragniesz odejść. Kazałem już, aby zaprzężono te same konie do mojego powozu, Ali zaś, ten brzydal — tu uśmiechnął się do chłopca — będzie miał zaszczyt odwiedzić panią do domu, bo stangret pani zostanie tutaj, żeby zająć się naprawą karety. Kiedy skończą tę niewielką, ale nieodzowną reperację, odeślę ekwipaż do pani Danglars.

— Ależ ja nie odważę się pojechać tymi samymi końmi — odparła pani de Villefort.

— O, przekona się pani, że kierowane ręką Alego będą łagodne jak baranki. Ali podszedł do koni, które podniesiono z wielkim trudem.

Trzymał gąbkę przesyconą octem aromatycznym; natarł nim koniom nozdrza i skronie, z których ociekał pot i piana. Zaraz też jęły parskać i przez kilka sekund drżały na całym ciele.

Potem wśród licznego tłumu, co zbiegł się tutaj na wieść o wypadku, Ali kazał zaprząć konie do koczynka hrabiego, wziął lejce, wskoczył na kozioł i ku zdumieniu zebranych — którzy widzieli, jak owe konie gnały niby wicher — musiał tego smagnąć je batem, aby ruszyły. Słynne siwosze, otępiełe teraz i na pół przytomne, podążyły klusem tak niepewnym i leniwym, że pani de Villefort znalazła się na Przedmieściu Świętego Honoriusza, gdzie mieszkała, dopiero po dwóch godzinach.

Ochłonawszy z pierwszych emocji i uspokoiwszy rodzinę, napisała do pani Danglars następujący list:

Kochana Herminio!

Ocalił nas właśnie, mojego synka i mnie, cudownym sposobem tenże hrabia de Monte Christo, o którym mówiliśmy tyle wczorajszego wieczoru. Nigdy bym się nie spodziewała, że dziś go poznam.

Opowiadałaś mi wczoraj o nim z entuzjazmem, a ja kpiłam, bom powstrzymać się nie mogła, na ile mi tylko mój nieosobliwy dowcip pozwolił. A dziś widzę, że Twój entuzjazm w stosunku do hrabiego był stanowczo za mały.

Twoje konie, jakby opanowane szaleństwem, poniosły w Ranelagh. I na pewno roztrzaskalibyśmy się o pierwsze napotkane drzewo lub o kamień przydrożny, gdyby jakiś Arab, Murzyn czy Nubijczyk, no, słowem — czarny, a sługa hrabiego, nie zatrzymał koni — jak sądzę, na jego rozkaz — ryzykując życie. I to był cud prawdziwy, że konie go nie stratały.

Wtedy nadbiegł hrabia, zaniósł nas dwoje do domu, gdzie ocucił Edwardka.

Wróciłam do domu powozem hrabiego; Twój powóz hrabia odeśle Ci jutro.

Konie Twoje zesłały po tym wypadku i są jakby otumanione; myślałabym, iż nie mogą sobie wybaczyć, że dały się ujarzmić człowiekowi.

Hrabia prosił mnie, abym Cię uwiadomiła, że dwudniowy wypoczynek w stajni (przy czym mają być karmione tylko jęczmieniem) przywróci im dawną, to znaczy przerażającą energię.

Kończę już Nie dziękuję Ci za tę przejażdżkę; ale kiedy się zastanawiam, byłoby to niewdzięcznością z mojej strony, gdybym do Ciebie miała pretensje za kaprysy Twoich cugantów: dzięki takiemu właśnie kaprysowi poznałam hrabiego de Monte Christo; znakomity ów cudzoziemiec wydaje mi się — pomijam tu jego miliony — kimś tak interesującym, że zdecydowałam się zgłębić go za wszelką cenę — choćbym miała znów wybrać się do lasu Twoimi końmi.

Edzio zniósł tę przygodę z zadziwiającym męstwem.

Zemdłał, ale przedtem ani pisnął, a potem nie uronił ani jednej łezki.

Powiesz mi znowu, że to miłość macierzyńska mnie zaślepia; ale w tym chłopczynie, jakże wątlym i delikatnym, przemieszkuje duch żelazny.

Nasza ukochana Walentynka przesyła czułości Twojej Geni, a ja ściskam Cię z całego serca.

Twoja Heloiza

P.S. Pokieruj tak sprawą, abym mogła zobaczyć się u Ciebie z hrabią de Monte Christo; chcę koniecznie go spotkać. A zresztą

nakłoniłam już małżonka, aby złożył mu wizytę. Spodziewam się, że hrabia pospieszy z rewizytą.

Wieczorem cały Paryż mówił o wypadku w Auteuil.

Albert opowiedział o nim matce, Château-Renaud w Jockey-Clubie, Debray w salonie ministra; a i Beauchamp wyświadczył uprzejmość hrabiemu, opisawszy rzecz w swojej gazecie; poświęcił jej w kolumnie „Wydarzeń” dwadzieścia wierszy, tak przedstawiając szlachetnego cudzoziemca, że wszystkie damy z arystokracji uznały go za bohatera.

Wiele osób zostawiło bilety wizytowe u pani de Villefort, aby zjawić się w sposobnym czasie i usłyszeć z jej ust o szczegółach tej nadzwyczajnej przygody.

A pan de Villefort — jak to czytaliśmy w liście pani Heloizy — wdział czarny frak i białe rękawiczki, służbie kazał ustroić się w paradną liberię, wsiadł do karety i tegoż jeszcze wieczora pojechał na Pola Elizejskie, pod numer trzydziesty.

10. IDEOLOGIA

Gdyby hrabia de Monte Christo obracał się od dawna w paryskim świecie, oszacowałby całą wartość wizyty pana de Villefort.

Dobrze widziany u dworu, bez względu na to, czy monarcha panujący pochodził ze starszej linii, czy też młodszej; czy pierwszy minister był doktrynerem, liberałem czy też konserwatystą, poczytywany przez wszystkich za spryciarza, tak jak na ogół poczytuje się za spryciarzy tych, co nigdy nie zaznali niepowodzeń natury politycznej; znienawidzony przez wielu, przez niektórych gorąco protegowany, a nie kochany przez nikogo — pan de Villefort piastował jeden z wysokich urzędów sądowych i utrzymywał się na tych wyżynach niby Harlay albo Mole.

Młoda żona i córka z pierwszego małżeństwa, licząca zaledwie lat osiemnaście, stworzyły mu salon na nowo, a był to jeden z owych salonów paryskich, gdzie panowały surowe obyczaje, do tradycji zaś i etykiety odnoszono się zawsze z pietyzmem.

Zimna grzeczność, niezachwiana wierność polityce rządowej, głęboka pogarda dla teorii i teoretyków, bezmierna nienawiść do ideologów — oto zasady, jakie głosił pan de Villefort nie tylko w życiu publicznym, lecz i domowym. Pan de Villefort był sędzią, lecz i nieomal dyplomatą.

Stosunki jego z dawnym dworem, o którym wyrażał się zawsze z powagą i respektem, zjednały mu szacunek nowego, a zresztą wiedział tyle, że liczono się z nim w każdym wypadku; mało — zasięmano u niego rad.

Kto wie, czy sprawy nie ułożyłyby się inaczej, gdyby można było pozbyć się pana de Villefort; lecz on, niby dawni panowie feudalni oporni wobec suwerena, zamknął się w niezdobytej twierdzy.

A był nią urząd prokuratora królewskiego. Wykorzystywał nad podziw zręcznie wszelkie przywileje związane z ową godnością, a porzuciłby ją tylko wtedy, gdyby miał kandydować przy wyborach; w takim wypadku przeszedłby ze stanowiska neutralnego do opozycji.

Na ogół pan de Villefort przyjmował rzadko, a wizyt prawie nie składał.

Wyręczała go w tym żona; świat uznał taki stan rzeczy, składając na karb licznych i poważnych obowiązków dygnitarza sądowego to, co było w rzeczywistości wyrachowaniem człeka pysznego, kwintesencją arystokratyzmu, praktycznym zastosowaniem maksymy: „Udawaj, że się szanujesz, a będą cię szanować”. Maksyma ta sto razy w naszym społeczeństwie użyteczniejsza niżli greckie: „Poznaj sam siebie” — zastąpione za naszych dni sztuką znacznie łatwiejszą i bardziej korzystną, sztuką poznawania innych.

Dla przyjaciół pan de Villefort był możliwym protektorem; dla wrogów — przeciwnikiem milczącym, ale zajadłym; dla obojętnych — żywym pomnikiem wyobrażającym prawo. Obejście miał wyniosłe, twarz nieprzeniknioną, oko jego, pozbawione blasku, a barwy nieokreślonej, umiało spoglądać bezczelnie, badawczo, przeszywająco; oto wizerunek człowieka, któremu cztery rewolucje, pomyślnym trafem na sobie spiętrzone, wzniosły, a potem scementowały piedestał.

Pan de Villefort cieszył się reputacją najdyskretniejszego i najmniej banalnego człowieka we Francji; raz do roku wydawał bal, ale pokazywał się na nim tylko przez kwadrans, czyli o czterdzieści pięć minut krócej, niż król pokazuje się swoim gościom; nie widywano go nigdy w teatrze, na koncertach i w miejscach publicznych; czasami nader rzadko, siadał do wista, a wtedy dobierano mu

starannie godnych partnerów — jakiegoś ambasadora, arcybiskupa, księcia, prezesa albo w ostateczności jakąś majątną a sędziwą księżnę.

Oto kim był człowiek, którego karetą zatrzymała się właśnie przed bramą hrabiego Monte Christo.

Kamerdyner zaanonsował pana de Villefort w momencie, gdy hrabia, pochylony nad ogromnym stołem, studiował na mapie drogę z Petersburga do Chin.

Prokurator królewski wkroczył dostojnie i sztywno, jakby znajdował się w trybunale; był to ten sam człowiek albo — by tak rzec — dalszy ciąg tego samego człowieka, którego w Marsylii widzieliśmy ongi substytutem.

Natura, w swoich zasadach konsekwentna, nie wprowadziła żadnych istotniejszych zmian w jego postaci.

Był szczupły — zrobił się chudy; był blady — a teraz przyżółkł; oczy głęboko osadzone, zapadły jeszcze bardziej, a złote okulary, dopasowane do oczodołów, wydawały się częścią twarzy; od stóp do głów ubierał się na czarno, a wyjątkiem w tym stroju był jedynie biały halsztuk; czerń tę żalobną ożywiała tylko wąska czerwona wstążeczka przeciągnięta dyskretnie przez butonierkę — powiedziałbyś: smużka krwi nakreślona pędzlem.

Chociaż Monte Christo wybornie panował nad sobą, przyglądał się sędownikowi z wyraźnym zaciekawieniem, odpowiadając na jego ukłon. Villefort zaś, nieufny z natury i niezbyt łatwowierny, zwłaszcza jeśli chodziło o „cuda wielkiego świata”, skłonny był widzieć w szlachetnym cudzoziemcu — taki Monte Christo zdobył już przydomek — raczej szalbierza grasującego na nowym terenie albo zbiegłego złoczyńcę niżli księcia Stolicy Apostolskiej czy sułtana z „Tysiąca i Jednej Nocy”.

— Łaskawy panie — ozwał się Villefort tonem szcześliwym, jakiego nadużywają sędownicy w swoich oracjach, a którego nie chcą albo nie mogą się pozbyć w prywatnej rozmowie — łaskawy panie, nieoszacowana przysługa, którą wyświadczyłeś pan wczoraj mojej małżonce i synowi, nakłada na mnie obowiązek podziękowania. Przychodzę tedy spełnić ów obowiązek, wyrażając panu serdeczną wdzięczność.

Kiedy to mówił, srogie jego spojrzenie nie straciło nic ze zwykłej arogancji.

A słowa powyższe wypowiedział dobitnie, tonem prokuratora generalnego, trzymając się jakby kij połknął; dzięki tej to posturze pochlebcy nazywali Villeforta posągiem wyobrażającym prawo.

— Łaskawy panie — odparł lodowato hrabia — nie posiadam się z radości, żem uratował dziecko i oddał je matce, bo podobno miłość macierzyńska jest najświętsza. Szczęście, jakiego doznałem, zwalnia pana z obowiązku, który tu spełniasz, choć jest on dla mnie wielkim zaszczytem, gdyż, o ile wiadomo, pan prokurator rzadko bywa aż tak łaskawy. Ale fawor ten, nadzwyczaj dla mnie cenny, znaczy z mojego stanowiska mniej niż moje zadowolenie wewnętrzne.

Villefort, zdziwiony tą nieoczekiwaną repliką, zadrżał niby żołnierz, któremu przeciwnik przebił zbroję, i wydał wzdorliwie wargę na znak, iż nie uważa hrabiego de Monte Christo za szlachcica dobrze wychowanego.

Rozejrzał się wokół, aby nawiązać jakoś przerwana rozmowę, wydało mu się bowiem, że niczym nie da się załatać powstałej dziury.

Ujrawszy mapę, którą przed chwilą oglądał Monte Christo, podjął:

— Interesuje się pan geografiją? Owocne to studia zwłaszcza dla pana, który, jak słyszałem, zwiedził tyle krajów, ile map w tym atlasie.

— Tak, zamierzyłem przeprowadzić nad rodzajem ludzkim studia, jako zbiorowiskiem, studia, które pan przeprowadzasz co dzień na jednostkach; mam na myśli studia fizjologiczne. Według mojego mniemania, łatwiej badać część, poznawszy całość, niżli odwrotnie. To zresztą pewnik algebraiczny, że trzeba od wiadomych zmierzać ku niewiadomym, a nie od niewiadomych ku wiadomym... Ale niechże pan będzie łaskaw spocząć.

I Monte Christo wskazał prokuratorowi fotel, który ten musiał sobie przysunąć, hrabia zaś usadowił się po prostu w fotelu, gdzie klęczał, gdy prokurator wszedł; tym sposobem gość widział gospodarza mniej więcej z profilu — Monte Christo siadł tyłem do okna, łokciem wsparł się o mapę, która stanowiła chwilowo temat rozmowy, a rozmowa ta miała przybrać obrót taki jak u Morcerfa i Danglarsa.

— Ach, filozofujesz pan — podjął Villefort po krótkiej pauzie, kiedy to zbierał siły jak atleta, który spotyka groźnego adwersarza. — Na honor, mój panie, poszukałbym weselszego zajęcia, gdybym tak jak pan nie miał nic do roboty.

— Racja, bo to człowiek jest nędznym robakiem, jeśli oglądać go przez mikroskop; ale dałeś mi pan do zrozumienia, że nie mam nic do roboty. A czy przypadkiem łaskawemu panu się zdaje, że masz coś do roboty? Albo, mówiąc jaśniej, czy panu się zdaje, że to, co robisz, jest coś warte?

Zdumienie Villeforta wzrosło, kiedy otrzymał drugi cios tak ciężki. Z dziwnym spotkał się adwersarzem. Nasz prokurator dawno już nie słyszał równie mocnego paradoksu, a mówiąc ściślej, usłyszał go po raz pierwszy.

Prokurator królewski odpowiedział tedy z namysłem:

— Jesteś pan cudzoziemcem, a podobno, jak sam zresztą głosisz, część pańskiego życia upłynęła na Wschodzie; to i nie wiesz pan zapewne, że sprawiedliwość, radykalna w tych barbarzyńskich krajach, postępuje u nas oględnie i nie spiesząc się.

— Naturalnie, mój panie, naturalnie; to starożytna pede clauda. Wiem o tym doskonale, bom przede wszystkim zajmowałem się sprawiedliwością każdego kraju, a postępowanie karne obowiązujące u poszczególnych narodów porównywałem ze sprawiedliwością naturalną; i muszę panu powiedzieć, że moim zdaniem prawo ludów pierwotnych, czyli prawo odwetu, jest najbliższe sercu Boga.

— Gdybyśmy, proszę pana, przyjęli to prawo, kodeksy nasze uprościłyby się ogromnie, a tym samym sądownicy nasi nie mieliby, jak powiedziałeś pan przed chwilą, wiele do roboty.

— Kto wie, czy nie dojdzie do tego. Ludzie starają się upraszczać wynalazki skomplikowane, boć prostota jest zawsze doskonałością.

— A tymczasem, proszę pana, istnieją nasze kodeksy ze swoimi sprzecznymi paragrafami, których źródłem jest prawo rzymskie, jako też obyczaje galicyjskie i frankońskie; znajomość tych wszystkich praw i obyczajów, zgodzisz się pan tu ze mną, zdobywa się tylko dzięki długotrwałym studiom. Trzeba żmudnej pracy, aby zdobyć tę wiedzę, i wybornej pamięci, żeby pozostała ona w głowie.

— Zgadzałem się z panem, ale to wszystko, co pan wiesz o kodeksie francuskim, ja wiem również o kodeksach innych narodów: jestem tak samo obznajmiony z prawem angielskim, tureckim, japońskim i hinduskim, jak i z francuskim; miałem przeto rację powiadając, że w stosunku do tego (bo wszystko jest względne), czegom dokonał, pan masz do dokonania niewiele, a w stosunku do tego, czegom się nauczył, pan masz do nauczenia się wiele.

— Ale w jakim celu uczyłeś się pan tego wszystkiego? — zdziwił się Villefort. Monte Christo uśmiechnął się.

— Wyborne pytanie — rzekł. — Widzę, że choć masz pan reputację człowieka nieprzeciętnego, odnosisz się do każdej sprawy jak ogół, to znaczy z materialnego i pospolitego punktu widzenia: zaczynasz od jednostki i na jednostce kończysz, to znaczy bierzesz pan najuboższy i najciaśniejszy punkt widzenia, na jaki stać ludzką inteligencję.

— Niech pan mówi jaśniej — rzekł Villefort z rosnącym zdumieniem — nie rozumiem pana... jak należy...

— Powiadam, mój panie, że utkwivszy wzrok w organizmie społecznym narodów, dostrzegasz jedynie kółeczka maszyny, a nie widzisz wspaniałego robotnika, który wprawia ją w ruch; to znaczy uznajesz przed sobą i wokół siebie tylko notablów, których dyplomy podpisali ministrowie albo król, a ludzie postawieni przez Boga nad notablami, ministrami i królem, ludzie, którym Bóg dał posłannictwo, a nie martwą godność, wymykają się pańskiemu krótkiemu wzrokowi. Cecha to właściwa słabości ludzkiej, nie tylko cherlawej, lecz i kalekiej: Tobiasz brał anioła, który miał mu przywrócić wzrok, za zwyczajnego młodzieńca; narody poczytywały Attyłę, co miał je unicestwić, za zwykłego zdobywcę; i jeden, i drugi musiał objawić swoje posłannictwo boskie, musiał powiedzieć, aby go poznano: jestem aniołem bożym. Jestem biczem bożym. Inaczej nikt by nie dostrzegł, że mieli na czole boże znamię.

— Czyżbyś pan w takim razie — zagadnął Villefort, coraz bardziej zdumiony i sądząc, że rozmawia z szaleńcem albo z iluminatem — czyżbyś pan sądził, że liczysz się do owych istot nadzwyczajnych, które przed chwilą wymieniałeś?

— A dlaczegożby nie? — odparł zimno hrabia.

— Wybacz mi pan — odrzekł oszołomiony Villefort — ale przychodząc tutaj nie spodziewałem się, że poznam człowieka, którego wiedza i umysł górują niepomiarnie nad wiedzą i umysłem ogółu. Niespotykane to zjawisko wśród nas, biedaków zepsutych cywilizacją, aby szlachcic, a zarazem krezus, tak przynajmniej zapewniają — zauważ pan, że nie pytam, a jedynie powtarzam — niespotykane to zjawisko, aby ktoś opływający w bogactwa marnował czas na roztrząsania natury społecznej i na marzenia filozoficzne, istniejące raczej po to, aby pocieszać ludzi argumentami o losie pokrzywdzonych.

— E, mój panie, czyżbyś pan osiągnął swój znakomity urząd, nie zgodziwszy się na pewne wyjątki, a nawet ich nie spotykając? Czy wzrokiem swoim, który przecież musi być aż nadto subtelny i niezawodny, nie odgadujesz pan od pierwszego spojrzenia, jaki przed tobą stoi człowiek? Czyż sądownik winien być nie tylko najlepszym wykonawcą prawa, najchytrzejszym interpretatorem jego

zawiłości, lecz i stalową sondą, która doświadcza serca, kamieniem probierczym, który wypróbowuje złoto będące, z mniejszą lub większą domieszką, głównym składnikiem każdej duszy?

— Na honor, zadajesz mi pan cios po ciosie, nigdy jeszcze nie .słyszał, aby ktoś tak mówił.

— Bo pan wciąż przebywasz w kręgu warunków ogólnych, boś pan nigdy nie ośmielił się rozwinąć skrzydeł, aby wzbić się nagle w rejony, które Bóg zaludnił istotami niewidzialnymi albo wyjątkowymi.

— I pan utrzymujesz, że te rejony istnieją i że te stworzenia niewidzialne i wyjątkowe przebywają między nami?

— A dlaczegoż by nie? Czy widzisz pan powietrze, którym oddychasz, a bez którego żyć byś nie mógł?

— A więc nie widzimy tych istot, o których pan mówisz?

— Owszem, widzisz je pan, jeśli Bóg pozwoli, żeby się zmaterializowały; dotykasz ich pan, ocierasz się o nie, mówisz do nich, one zaś panu odpowiadają.

— Hm — uśmiechnął się Villefort — przyznam się panu, że wolałabym, aby mnie uprzedzono, gdyby któraś z tych istot miała nawiązać ze mną stosunki.

— Stało się już wedle pańskiej woli: uprzedzono pana przed chwilą, a teraz uprzedzam raz jeszcze.

— A więc to pan...

— Tak, mój panie, należę do istot wyjątkowych i zdaje mi się, że do dziś nikt nie znajdował się w podobnym położeniu. Królestwa monarchów są ograniczone bądź górami, bądź rzekami, bądź odmiennością obyczajów lub języka. Moje królestwo jest wielkie jak świat, gdyż nie jestem ani Francuzem, ani Hindusem, ani Amerykaninem ani Hiszpanem; nie mam ojczyzny. Żaden kraj nie widział moich narodzin, i Bóg jeden wie, w jakim umrę kraju. Przyswajam sobie wszelkie obyczaje, mówię wszystkimi językami. Uważasz mnie za Francuza, nieprawdaż, bo mówię po francusku tak samo płynnie i z tak samo czystym akcentem, jakim pan mówisz; lecz Ali, mój Nubijczyk, uważa mnie za Araba; Bertuccio, mój intendent, za Włocha; Hayde, moja niewolnica — za Greka. Rozumiesz więc pan, że skoro nie pochodzę z żadnego kraju, skoro nie proszę rządu żadnego państwa o opiekę i skoro nie uważam żadnego człowieka za brata, nie paraliżuje mnie ani nie zatrzymuje żaden ze skrupułów, jakie powstrzymują silnych, a paraliżują słabych. Mam tylko dwóch wrogów — nie powiem zwycięzców, gdyż wytrwałością ujarzmiam ich: przestrzeń i czas. Trzeci, najokrutniejszy, to moja dola człowieka śmiertelnego. Ona tylko może zatrzymać mnie w drodze, nim dotrę do celu; resztę obliczyłem. Przewidziałem to wszystko, co ludzie zowią kaprysami losu: ruinę, odmiany, ewentualności; jeśli nawet któraś z nich osiągnąć mnie zdoła, nie obali mnie żadna. Nie zmienię się, póki nie umrę; oto dlaczego mówię panu to, czego nigdy nie słyszałeś nawet od królów, gdyż królowie potrzebują pana, a inni się boją. Któż nie mówi sobie w społeczeństwie tak pociesznie zorganizowanym jak nasze: „Może któregoś dnia będę miał do czynienia z prokuratorem królewskim!”

— A pan nie mógłbyś tak powiedzieć od momentu, kiedy zamieszkałeś we Francji i zacząłeś, rzecz naturalna, podlegać naszym prawom?

— Wiem o tym, mój panie. Toteż każdą podróż do obcego kraju poprzedzam osobliwymi studiami, mnie tylko właściwymi, i staram się poznać grutownie ludzi, z jakimi wypadnie mi się zetknąć, ludzi, których się lękam albo których potrzebuję. I w rezultacie prokurator królewski — mówię dla przykładu — miałby ze mną o wiele więcej kłopotu niż ja z nim.

— To znaczy — podjął z wahaniem Villefort — że skoro natura ludzka jest słaba, każdy, według pana, ma coś... na sumieniu.

— Grzechy... albo i zbrodnie — rzucił od niechcienia Monte Christo.

— I że pan jeden spośród ludzi, których, jak sam powiedziałeś, nie uważasz za braci — ciągnął Villefort z lekką alteracją w głosie — jesteś doskonały!

— Doskonały! O nie: po prostu nieprzenikniony. Ale poprzestańmyż na tym, jeśli ta rozmowa nie w smak panu; pańska sprawiedliwość nie wyrządzi mi, to pewne, żadnej krzywdy, a mój podwójny wzrok nic panu złego nie zrobi.

— Ależ proszę, proszę! — zawołał Villefort, lękając się oczywiście, aby hrabia nie pomyślał, iż ustępuje z placu — proszę bardzo! Dzięki swoim błyskotliwym, niemal olśniewającym wywodom, wzniosłeś mnie pan nad zwykłe poziomy; to nie pogawędka, to dysputa. Wiadomo panu, jak często teologowie i filozofowie wykładający na Sorbonie odbywają dysputy, w których mówią sobie nieraz okrutną prawdę; przypuśćmy, że dyskutujemy na temat teologii społecznej albo filozofii teologicznej, a powiem panu rzecz bardzo przykrą: Bracie mój, pycha cię zaślepia, jesteś ponad wszystkimi, ale nad tobą jest Bóg.

— Tak, mój panie, ponad wszystkimi — odparł Monte Christo tonem tak głębokim, że Villefort zdrzął mimo woli. — Jestem pyszny wobec ludzi, bo to węże, gotowe ukąsić każdego, kto ich przerasta o głowę, lecz nie depcze. Zrzucam jednak tę pychę przed Bogiem, który wydobyci mnie z nicości, aby uczynić tym, kim jestem.

— W takim razie podziwiam pana, panie hrabio — ozwał się Villefort, używszy po raz pierwszy w toku tej dziwnej rozmowy tytułu, którym dotąd nie chciał darzyć cudzoziemca. — Tak, powiadam to panu, jeśli pan jesteś rzeczywiście silny, nieprzeciętny, święty czy nieprzenikniony, co, pan masz rację, wychodzi właściwie na jedno, bądź pyszny; to prawo władania. Ale z tym wszystkim nie masz pan aby jakich ambicji?

— Mam jedną.

— A jakąż to?

— I mnie też, boć to przydarza się raz w życiu każdemu, szatan uniósł na najwyższą górę ziemi; tu wskazał mi cały świat i jak ongi Chrystusowi, rzekł do mnie: „Go chcesz, abym ci dał, jeśli upadłszy oddasz mi pokłon?” Namyślałem się długo, gdyż od dawna straszliwa ambicja naprawdę żarła mi serce, a potem odpowiedziałem: „Wiesz co, zawsze słyszałem o Opatrzności, a jednak nie widziałem nigdy ani Jej, ani czegoś co by Ją przypominało — dlatego sądzę, że nie istnieje; chcę zostać Opatrznością, bo największą i najszlachetniejszą rzeczą na świecie jest nagradzać i karać”. Ale szatan spuścił głowę i westchnął. „Mylisz się — rzekł — Opatrzność istnieje; a nie widzisz Jej, bo córa boża jest niewidzialna jak i Ojciec. Nie widziałeś nic, co by Ją przypominało, działa bowiem poruszając sprężyny sekretne i chadza nieznanymi drogami; mogę zrobić dla ciebie tylko jedno: uczynię cię jednym z wysłanników Opatrzności”. Dobiliśmy targu, stracę może duszę, ale cóż to szkodzi — gdybym umowę taką mógł zawrzeć raz jeszcze, zawarłbym ją.

Villefort spoglądał na Monte Christa z najwyższym zdumieniem.

— Czy pan hrabia ma krewnych? — spytał.

— Nie, jestem sam jak palec.

— To źle.

— A czemuż to?

— Bo byłbyś pan świadkiem czegoś, co złamałoby pańską pychę. I lękasz się pan tylko śmierci, czy tak?

— Nie powiedziałem, że się lękam; mówiłem, że ona jedynie zdołałaby mnie zatrzymać.

— A starości się pan nie boisz?

— Spełnię swoją misję, nim się zestarzeję.

— A szaleństwa?

— O małym kiedyś nie zwariował, a znasz pan maksymę: non bis idem, znają kodeks karny, a więc należy ona do pańskiego resortu.

— Mój panie, oprócz starości, śmierci i szaleństwa należy się obawiać jeszcze jednej rzeczy, mam na myśli apopleksję; to grom, który uderza nie zabijając — a jednak wszystko kończy się dla człowieka, którego porazi. To niby wciąż pan, a jednak już nie pan; pan, który jak Ariel miałeś w sobie coś z anioła, stajesz się bezwładną masą, pokrewną, jak i Kaliban, zwierzęciu; nazywa się to po prostu, jak już panu mówiłem, nazywa się w ludzkim języku — apopleksja. Niechże pan, panie hrabio, jeśliś łaskaw, przyjdzie do mnie na dalszy ciąg naszej rozmowy, kiedy będziesz pan miał ochotę spotkać adwersarza zdolnego cię zrozumieć, aczkolwiek chętnego, aby ci oponować — a pokażę panu mojego ojca, pana Noirtier de Villefort. To jeden z najzagorzalszych jakobinów, jakich wydała rewolucja francuska, to znaczy brawurowo odważny człowiek oddany w służbę najpotężniejszej organizacji; nie widział może, jak pan, wszystkich królestw tej ziemi, ale dopomógł, by jedno z najpotężniejszych runęło w posiadach; wreszcie, jak i pan, miał się za jednego z wysłanników nie Boga, lecz najwyższej Istoty, nie Opatrzności, lecz losu. No i cóż, proszę pana! Pękła mu żyłka w mózgu — i wszystko to zaważyło się nie w dzień i nie w godzinę, ale w sekundę. Pan Noirtier, były jakobin, były senator, były karbonariusz, człowiek, co kpił sobie z gilotyny, nie kłaniał się kulom i drwił ze sztyletu, pan Noirtier, dla którego rewolucja była chlebem powszednim, a Francja szachownicą, gdzie przestawiał pionki, konie, wieże, laufrów i damy, byle tylko królowi dać mata, groźny pan Noirtier stał się w okamgnieniu biednym panem Noirtier, sparaliżowanym starcem, zależnym od istoty najsłabszej w domu — wnuczki swojej, Walentyny; stał się trupem lodowatym i niemym, który żyje, nie cierpiąc zresztą, po to jedynie, aby materia osiągnęła bez żadnego wstrząsu swój rozkład ostateczny.

— Niestety, mój panie, obraz taki nie jest obcy ani moim oczom, ani myśli; jestem po trosze lekarzem i jak moi koledzy, szukałem nieraz duszy zarówno w materii martwej, jak i żyjącej; a dusza,

niby Opatrzność, pozostała dla moich oczu niewidzialna, chociaż obecna w sercu. Stu autorów, od Sokratesa, Seneki i świętego Augustyna aż po Galia, przeprowadzało wierszem i prozą porównanie, które pan właśnie uczyniłeś; rozumiem jednak, że cierpienia ojca mogły wpłynąć zasadniczo na duszę syna. Przyjdę, mój panie, skoro mnie tak zachęcasz, zobaczyć, gdyż będzie to z korzyścią dla mojej pokory, ów okropny widok, który zapewne smuci bardzo familię.

— Smuciłby, gdyby Bóg nie dał mi hojnej rekompensaty. Obok tego starca, który wlokąc się schodzi do grobu, dwoje dzieci wstępuje w życie: Walentyna, moja córka z pierwszego małżeństwa z panną Renatą de Saint-Méran, i Edwardek, którego pan uratowałeś od śmierci.

— I cóż pan wnosisz z tej rekompensaty?

— Wnoszę, że mój ojciec otumaniony namiętnościami popełnił jeden z owych grzechów, jakie wymykają się sprawiedliwości ludzkiej, ale zależą od sprawiedliwości bożej... i że Bóg nie życzył sobie pokarać nikogo, z wyjątkiem grzesznika.

Monte Christo uśmiechając się stłumił w sercu krzyk bolesny, który przepłoszyłby Villeforta, gdyby Villefort mógł go usłyszeć.

— Do widzenia panu — rzekł sędownik, który podniósł się był już dawniej. — Odchodzę żywiąc wielki szacunek dla pana, szacunek który, mam nadzieję będzie panu miły, kiedy poznamy się lepiej, bo nie należę do ludzi banalnych, o nie. A zresztą, zyskałeś pan sobie dozgonną wdzięczność mojej małżonki.

Hrabia skłonił się, a rozstał się z Villefortem już w drzwiach gabinetu — Villefort podążył do karety poprzedzony przez dwóch lokajów, którzy na znak pana otworzyli drzwiczki.

Monte Christo został sam.

— No, dość tej trucizny — rzekł dysząc ciężko, bo pierś gniótł mu ciężar — nabrzmiało nią moje serce, poszukajmy antidotum.

I ostro uderzył w gong:

— Idę do pani — powiedział do Alego — konie mają być za pół godziny.

11. HAYDE

Pamiętamy, jacy to nowi — a raczej starzy — znajomi hrabiego de Monte Christo mieszkali przy ulicy Meslay: Maksymilian, Julia i Emanuel.

Nadzieja na miłą wizytę, z którą się wybierał, na parę chwil szczęśliwych, jakie miał spędzić, na ów promień rajski prześlizgujący się do owego piekła, dokąd zstąpił z własnej woli, przepoiła twarz hrabiego, gdy tylko znikł Villefort, tak uroczą pogodą, iż Ali, zjawiwszy się na dźwięk gongu, oddalił się na palcach, wstrzymując oddech, aby nie sponżyć zarówno tej radości tak rzadkiej i ciepłej, jak i dobrej myśli, co, jak mu się zdawało, krążyła wokół pana.

Było południe.

Hrabia zarezerwował sobie godzinę dla Hayde; pomyślałbyś, że radość nie mogła wrócić od razu do tej duszy przez tak długi czas łamanej i że hrabia musiał przygotowywać się do miłych wrażeń, jak inni przygotowują się do wrażeń gwałtownych.

Greczynka zajmowała, jakśmy to już mówili, apartament całkiem oddzielny.

Ów apartament był urządzony na sposób wschodni: puszyste kobierce tureckie okrywały posadzkę, ze ścian zwisały brokatowe zasłony, a wokół każdego pokoju królowała sofa ze stosami poduszek, które każdy ku swojej wygodzie mógł przenosić do woli.

Hayde miała trzy służebne francuskie i jedną grecką.

Trzy Francuzki przesiadywały w pierwszym pokoju, aby nadbiegać na dźwięk złotego dzwoneczka i słuchać rozkazów greckiej niewolnicy, umiejącej na tyle po francusku, iż mogła przekazywać wolę pani trzem pokojowym, którym hrabia zalecił, aby darzyły Hayde względami należnymi królowej.

Dziewczyna była w ostatnim pokoju — okrągłym buduarze oświetlonym jedynie od góry za pomocą różowych szyb.

Leżała na dywanie zarzuconym poduszkami z niebieskiego atlasu przetykanego srebrem. Plecy wsparła o krawędź sofy, jedną ręką ogarnęła miękko głowę, drugą podnosiła co chwila do warg ustnik koralowy połączony z rurką nargili i wdychała leniwie dym, który filtrował się przez wodę perfumowaną będzwinem.

Poza jej, całkiem naturalna u kobiety Wschodu, raziłaby u Francuzki nieco przesadną kokieterią.

Ubrana była, jak ubierają się kobiety z Epiru: miała na sobie szarawary z białego atlasu haftowanego w różowe kwiaty, stopy jej, drobne jak u dziecka, wzięłybyś za marmur paryjski, gdyby nie igrały w sandałkach zakręconych do góry, wyszywanych perłami i złotem; kaftan pasiasty, biało-niebieski, o szerokich rozciętych rękawach, o guzikach z pereł, a dziurkach od guzików obdzierganych srebrem; stanik wycięty w serduszko, który odślaniał szyję, spięty był tuż nad piersiami na trzy diamenty.

Dół stanika i góra szarawarów ginęły pod szerokim pstrym pasem o długich jedwabnych frędzlach — marzeniu każdej eleganckiej paryżanki.

Główkę ozdobił złoty toczek, haftowany perłami, włożony z fantazją; we włosy rozpuszczone i tak czarne, że lśniły granatem, wpięła szkarłatną różę.

Rysy jej twarzy były doskonale greckie. Ogromne czarne oczy o aksamitnym połysku, nos prosty, koralowe wargi i ząbki jak perły.

Uroczą tą dziewczyną jaśniała młodością rozkwieconą, wonną.

Miała najwyżej dwadzieścia lat.

Monte Christo wezwał służebną grecką i posłał do Hayde, aby zapytała, czy może wejść.

Zamiast odpowiedzieć, Hayde dała znak, aby służąca podniosła makatę, która zastaniała drzwi — i prześliczna dziewczyna ukazała się w nich niby wdzięczny obraz w ramie.

Monte Christo zbliżył się.

Hayde uniosła się na łokciu nie wypuszczając nargili z ręki i podała dłoń hrabiemu; uśmiechała się przy tym.

— Czemu — zagadnęła melodyjnym językiem cór Aten i Sparty — czemu pytasz o pozwolenie, kiedy chcesz przyjść do mnie? Czyż nie jesteś już moim panem, a ja twoją niewolnicą?

Monte Christo uśmiechnął się.

— Hayde — rzekł — jak wiesz, pani...

— Czemuż nie mówisz mi „ty”, jak zawsze? — przerwała Greczynka. — Czym zrobiła coś złego? Czy to za karę mówisz mi „pani”?

— Hayde, jak wiesz, jesteśmy we Francji, a więc jesteś wolna.

— Cóż to znaczy?

— To znaczy, że możesz mnie opuścić.

— Opuścić?... A dlaczegoż bym miała cię opuścić?

— Czyja wiem... Zaczniemy bywać w świecie.

— Nie chcę widywać nikogo.

— A jeśli wśród przystojnych młodzieńców, których poznasz, znajdzie się taki, co ci się spodoba, nie będę tyranem...

— Nigdy nie widziałam mężczyzny piękniejszego od ciebie, a kochałam zawsze tylko mojego ojca i ciebie.

— Biedactwo! Boś z nami tylko rozmawiała.

— A po cóż miałabym rozmawiać z innymi? Ojciec nazywał mnie swoją pociechą, ty nazywaś mnie swoją miłością, a obaj nazywaliście mnie córką.

— Pamiętasz ojca, Hayde? Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Jest tu — powiedziała, kładąc dłoń na oczach i sercu.

— A ja gdzie jestem? — uśmiechnął się Monte Christo.

— Ty jesteś wszędzie.

Monte Christo ujął dłoń Hayde, aby pocałować — ale naiwna dziewczyna wyrwała mu ją i podała czoło.

— A teraz, Hayde — rzekł — skoro już wiesz; że jesteś wolna, że jesteś panią albo królową, możesz zachować ten strój albo porzucić go, jeśli wola; możesz przebywać w domu, jeśli zechcesz, i możesz wychodzić, zawsze będzie czekała na ciebie zaprzężona karetą; Ali i Myrto będą ci towarzyszyć wszędzie, posłuszni twoim rozkazom; o jedno tylko proszę...

— Mów.

— Abyś zachowywała w sekrecie swoje urodzenie i nie wspominała ani słowem o swojej przeszłości; nie wyjawiaj nigdy, jakie było nazwisko twojego dostojnego ojca i biednej matki.

— Powiedziałam ci, już panie, że nie będę widywać nikogo.

— Posłuchaj, Hayde: nie wydaje mi się, aby to wschodnie zamknięcie było możliwe w Paryżu; winnaś nauczyć się życia naszych krain północnych, jak poznałaś życie Rzymu, Florencji, Mediolanu i Madrytu; zawsze ci się to przyda, bez względu na to, czy zostałabyś tutaj, czy wróciła na Wschód.

Dziewczyna podniosła na hrabiego wielkie wilgotne oczy i odrzekła:

— Chciałeś powiedzieć, panie, wrócili na Wschód, nieprawdaż?

— Tak, moja córko; wiesz doskonale, że nie opuszczę cię nigdy. Drzewo nie opuszcza kwiatu, to kwiat opuszcza drzewo.

— Nigdy nie opuszczę cię, panie, bo wiem, że nie mogłabym żyć bez ciebie.

— Biedactwo! Za dziesięć lat ja się już zestarzeję, a ty będziesz jeszcze młoda.

— Mój ojciec miał długą siwą brodę, a kochałam go mimo to; ojciec miał sześćdziesiąt lat, a wydawał mi się piękniejszy aniżeli wszyscy młodzieńcy, których znałam.

— Hm, ale czy sądzisz, że przywykniesz do tych krajów?

— A będę cię widywać?

— Co dzień.

— Więc po cóż pytasz, panie?

— Boję się, żebyś się nie nudziła.

— Nie, mój panie; rankiem będę myślała o twoim przybyciu, wieczorem będę wspominać twoje odwiedziny; a zresztą, kiedy jestem sama, tonę w przepięknych wspomnieniach, widzę olbrzymie obrazy, rozległe horyzonty z górami Pindu i Olimpu mającymi w oddali; a następnie żywię w sercu trzy uczucia, dzięki którym nie nudzę się nigdy: smutek, miłość i wdzięczność.

— Jesteś, Hayde, godną córą Epiru: łączysz w sobie wdzięk i poezję; widać, że pochodzisz z owej rodziny bogiń, która zrodziła się w twoim kraju. Bądź tedy spokojna, moja córko; postaram się, aby twoja młodość nie przepadła, bo jeśli ty mnie kochasz jak ojca, ja cię Kocham jak dziecko.

— Mylisz się, panie: nigdy nie kochała ojca tak, jak Kocham cię, miłość, jaką cię darzę, jest inną miłością; ojciec zmarł, a ja nie umarłam, ale umarłabym, gdybyś ty zmarł.

Hrabia podał jej rękę, uśmiechając się z głęboką czułością, Hayde, jak zwykle, przyłgnęła do niej wargami.

I hrabia, już teraz w najlepszym humorze, pojechał do Morrelów szepcząc wiersz Pindara:

„Młodość jest kwiatem, a miłość jego owocem... Szczęśliwy, kto zbiera winne grono, przyjrząwszy mu się wprzód cierpliwie, jak z wolna dojrzewa”.

Konie, jak rozkazał, czekały.

Ruszyły, jak zwykle, galopem.

12. RODZINA MORRELÓW

Po kilku minutach hrabia zajechał na ulicę Meslay pod numer siódmy.

Dom był biały, wesoły, a przed nim podwórze ozdobione dwiema kępami ładnie kwitnących krzewów.

W odźwiernym, który otworzył bramę, hrabia poznał starego Koklesa.

Lecz Kokles nie poznał hrabiego, gdyż, pamiętacie zapewne, miał tylko jedno oko, które w dodatku po upływie dziewięciu lat bardzo mu osłabło.

Powozy, zajeżdżając przed ganek, musiały omijać niewielką fontannę i basen z muszli i kamyczków — zbytek ów budził w dzielnicy ogólną zazdrość: dlatego zwano ten dom „małym Wersalem”.

Jak się domyślicie, w basenie igrały czerwone i żółte rybki.

Dom był dwupiętrowy, z mansardami, kuchnia mieściła się w suterenie, a pod kuchnią piwnice.

Młodzi małżonkowie nabyli ów dom z przyległościami, w których skład wchodziła ogromna szopa, nadająca się na warsztat, i dwa pawilony w głębi ogrodu.

Emanuel zorientował się w okamgnieniu, że przy takim układzie rzeczy można zrobić interes; zachował dla siebie dom, ogród przedzielił murem, odgradzając się od warsztatów i pawilonów, które wynajął z przynależną do nich częścią ogrodu; tym samym pieniądze, które wydał na nieruchomość,

wracali z wolna do jego kieszeni, a przy tym był panem u siebie, niby najbardziej wymagający pod tym względem posesjonat z Przedmieścia Sant-Germain.

Jadalnię miał dębową, salon z mahoniów krytych niebieskim pluszem, w sypialni królowało drzewo cytrynowe i zielony adamaszek.

Miał też gabinet do pracy, chociaż nie pracował, jak Julia miała salonik muzyczny, choć nie grywała na żadnym instrumencie.

Drugie piętro należało do Maksymiliana.

Był tu rozkład taki sam jak na pierwszym, które zajmowała Julia — z tą różnicą, iż Maksymilian obrócił jadalnię na pokój bilardowy, gdzie przyjmował przyjaciół.

Asystował sam podczas czyszczenia swojego konia. Kiedy hrabia zajechał przed bramę, stał u wejścia do ogrodu, kurząc cygaro.

Kokles, jak powiedzieliśmy, otworzył, a Baptysta zeskoczywszy z kozła zapytał, czy państwo Herbault i pan Maksymilian Morrel raczą przyjąć pana hrabiego de Monte Christo.

— A jakżeby inaczej! — zawołał Maksymilian, rzuciwszy cygaro i biegnąc naprzeciw gościowi. — Ja myślę, ja myślę! Tysiącne dzięki, panie hrabio, żeś pamiętał o nas.

I młody oficer uściśnął dłoń hrabiego z takim wylaniem, że hrabia nie wątpił, iż radość to była szczerą. Przekonał się, że oczekiwano go tu z niecierpliwością, a przyjęto serdecznie.

— Niechże pan będzie łaskaw, poprowadzę pana hrabiego; nie dopuszczę, by lokaj oznajmił takiego gościa; moja siostra jest w ogrodzie, obcina zwiędłe róże; szwagier czyta swoje ulubione gazety („Presse” i „Debats”) o parę kroków od niej, gdyż od rana do wieczora jedno drepcze za drugim, i tak zawsze.

Usłyszawszy czyjeś kroki, młoda dwudziestopięcioletnia kobieta w jedwabnym robdeszanie, przycinająca właśnie z nadzwyczajną troskliwością wspaniały krzak herbacianej róży, podniosła głowę.

Była to nasza Julia, obecnie — jak przepowiedział był mandatariusz firmy Thomson i French — pani Emanuelowa Herbault.

Zmieszała się, ujrawszy nieznanego.

Maksymilian roześmiał się.

— Nie przeszkadzaj sobie, siostruniu — rzekł — pan hrabia bawi w Paryżu dopiero od dwóch dni, ale wie dobrze, kim jest rentierka z Marais, a jeśli nie wie, to mu powiesz.

— Ach, proszę pana, mój brat przyprowadził pana tu zdradziecko, nic się nie liczy ze swoją biedną siostrą... Penelon!. Penelon!...

Starzec, który okopywał rabatę róż bengalskich, wbił łopatę w ziemię i zbliżył się, z czapką w ręku, kryjąc jak najstaranniej w głębokościach ust — prymkę.

Gęste jego włosy przetykała już siwizna, ale smągła cera i bystre oko, zdradzały, że to doświadczony marynarz ogorzały w słońcu równika, zahartowany wichrem burzy.

— Zdaje się, że panienka mnie wołała — rzekł.

Penelon nazywał córkę pryncypała panienką; nie nauczył się nigdy mówić jej: pani.

— Powiedźcie panu, że mamy miłego gościa, a tymczasem Maksymilian zaprowadzi pana do salonu.

I zwracając się do Monte Christa:

— Daruje mi pan, ale zniknę na chwilę.

I nie czekając na zgodę hrabiego pobiegła do domu boczną ścieżką wiodącą wśród krzaków.

— Ach, mój drogi panie — rzekł Monte Christo do Maksymiliana — przykro mi, że narobiłem tyle zamętu.

— E, niech pan patrzy — roześmiał się Morrel — teraz jej małżonek ściąga kurtkę i wdziewa surdut. Słyszeli już tutaj o panu, zapowiedziałem im pańską wizytę, niech mi pan wierzy.

— Zdaje się, że pańska rodzina jest szczęśliwa — rzekł hrabia, jakby odpowiadając samemu sobie.

— O, tak, ręczę panu, panie hrabio. No bo czegoż im brak do szczęścia? Są młodzi, weseli, kochają się, a posiadając dwadzieścia pięć tysięcy liwrow renty, wyobrażają sobie, choć przecież widzieli tyle wielkich fortun, że są Rotszyldami.

— Dwadzieścia pięć tysięcy to jednak niewiele — rzekł Monte Christo z tak miłą troską w głosie, że Maksymilianowi zabiło serce, jakby usłyszał głos ojca — ale na tym nie poprzestaną, dorobią się i oni miliona. Szwagier pański jest adwokatem... lekarzem?

— Był kupcem, panie hrabio, przejął firmę po naszym ojcu, nieboszczyku. Ojciec zostawił nam pięćset tysięcy franków; podzieliliśmy się z siostrą, bo jest nas tylko dwoje. Szwagier poślubiając siostrę nie miał żadnego majątku oprócz bezwzględnej uczciwości, znakomitej inteligencji i nieposzlakowanej opinii; zapragnął więc posiadać tyle, co i ona. Pracował tedy, póki nie zgromadził dwustu pięćdziesięciu tysięcy franków; zabrało mu to sześć lat. Doprawdy, panie hrabio, wzruszałem się patrząc na tych dwoje dzieci tak pracowitych i zgodnych; mogli oboje, dzięki zdolnościom, dorobić się ogromnej fortuny, ale przestrzegając tradycji kupieckich, którym hołdował mój ojciec, harowali przez sześć lat, choć kto inny, jakiś nowator, zgromadziłby tę fortunę w trzy. Toteż w Marsylii wszyscy ich jeszcze wychwalają, bo i jakże nie uznać tak pięknego wyrzeczenia. Wreszcie, jednego dnia, Emanuel podszedł do żony, która właśnie płaciła należność.

— Julko — rzekł — oto ostatni rulon stufrankowy, który wręczył mi Kokles; mamy więc już owe dwieście pięćdziesiąt tysięcy franków, osiągnięta granica, jaką wyznaczaliśmy naszej fortunie. Będiesz aby kontenta z tak szczupłego mająteczku, którym mamy zadowolić się od dziś? Nasza firma ma milion rocznego obrotu, a więc może dać czterdzieści tysięcy rocznego zysku. Jeśli chcemy, możemy sprzedać w godzinę naszą klientelę za trzysta tysięcy franków: masz tu list od pana Delaunay; tyle proponuje nam za nasz interes, bo umyślił połączyć go ze swoim. Zastanów się nad tym.

— Mój drogi — odrzekła — firma Morrel może być tylko w rękach Morrela. Warto chyba wyrzec się trzystu tysięcy franków, aby uchronić imię naszego ojca przed nieżyczliwą zmiennością losu.

— I ja tak myślałem — odparł Emanuel — chciałem tylko poradzić się ciebie.

— A więc mój drogi, oto moja rada: wpłacono nam wszystkie wierzytelności, zapłaciliśmy wszystkie długi; możemy podsumować rachunek z ostatnich dwu tygodni i zamknąć nasz kantor; sumujmy, zamykajmy.

Tak też uczynili. Kwadrans po trzeciej zjawił się klient, aby ubezpieczyć dwa okręty; zarobiliby netto, gotówką, piętnaście tysięcy franków.

— Niech pan będzie łaskaw — powiedział Emanuel — zwrócić się w tej sprawie do naszego kolegi, pana Delaunay. Wycofaliśmy się z interesów.

— A kiedyż to? — zdziwił się klient.

— Kwadrans temu.

— Oto dlaczego, panie hrabio — ciągnął Maksymilian z uśmiechem — moja siostra i szwagier mają tylko dwadzieścia pięć tysięcy liwów renty.

Kiedy Maksymilian opowiadał — a w miarę jak zbliżał się do końca, w hrabi serce rosło — nadszedł Emanuel wystrojony w kapelusz i surdut, skłonił się tak, jak należało skłonić się dostojnemu gościowi, i oprowadziwszy go po kwitnym wirydarzu, powiódł do salonu.

Salon pachniał od kwiatów, które, rzekłbyś, rozsadały ogromny japoński wazon.

Julia, elegancko ubrana i zalotnie uczesana (dokazała tej sztuki w dziesięć minut!), powitała hrabiego w drzwiach.

W sąsiedniej ptaszarni świergotały ptaki.

Festony szczydrzeńca i różowej akacji przeglądały gronami spoza niebieskich pluszowych zasłon w oknach.

Wszystko w tym zacisznym, uroczym domku tchnęło spokojem: uśmiech gospodarzy i świergot ptaków.

Przybywszy tutaj, hrabia jął od razu sycić się tym szczęściem; milczał więc rozmarzony, zapomniawszy, iż gospodarze wymienili z nim grzeczności i teraz oczekują na dalszy ciąg przerwanej rozmowy.

Spostrzegłszy, że milczenie jego zakrawa na niegrzeczność, przemógł się i dumać zaprzestał.

— Łaskawa pani mi wybaczy — rzekł wreszcie — to wzruszenie, które musi dziwić państwa, nawykłych do tego spokoju i szczęścia, jakie tu spotykam; ale zadowolenie goszczące na ludzkiej twarzy jest dla mnie czymś tak nowym, że nie mogę się napatrzeć pani i jej mężowi.

— Rzeczywiście, proszę pana, jesteśmy bardzo szczęśliwi — odpowiedziała Julia — ale też cierpieliśmy długo; mało kto zapłacił za szczęście tak drogo jak my.

W twarzy hrabiego pojawiła się ciekawość.

— O, to cała historia, jak powiedział panu niedawno Château-Reanud — podjął Maksymilian. — Pan hrabia widział tyle słynnych nieszczęść i wspaniałych radości, że nie interesowałby się raczej tym obrazem szczęścia rodzinnego. A jednak, jak mówiła panu Julka, wycierpieliśmy wiele, chociaż nasze nieszczęścia nie wyszły poza wąskie ramy naszego domu...

— Ale Bóg, jak to zwykle bywa, pocieszył państwa w nieszczęściu, prawda? — zagadnął hrabia.

— O, tak, proszę pana — odrzekła Julia — możemy to powiedzieć, gdyż uczynił dla nas tyle, ile czyni tylko dla swoich wybranych: zesłał nam anioła.

Hrabia zaczerwienił się gwałtownie. Zakaszłał, by zatuszować wzruszenie, i przesłonił usta chusteczką.

— Ten, kto urodził się w purpurze i nigdy nic nie pragnął — ozwał się Emanuel — nie wie, jakim szczęściem jest życie; tak samo jak nigdy nie docenił czystego błękitu ten, czyje życie nie było zdane na łaskę czterech desek miotanych falami wzburzonego morza.

Monte Christo wstał, nic nie odrzekłszy, gdyż głos tak by mu zadrżał, że zdradziłby jego wzruszenie. Zaczął przechadzać się po salonie.

— Uśmiecha się pan hrabia, widząc te nasze zbytki — rzekł Maksymilian, podążając za nim wzrokiem.

— Ależ nie — odparł Monte Christo; zbladł, jedną ręką przycisnął bijące serce, a drugą wskazywał Maksymilianowi szklany klosz, pod którym na czarnej aksamitnej poduszeczce leżała jedwabna sakiewka. — Zastanawiałem się tylko, do czego służy ta sakiewka, zawierająca, jak się zdaje, papier, a także wcale piękny diament.

Maksymilian spoważniał.

— To, panie hrabio — odrzekł — najcenniejsza z naszych rodzinnych pamiątek.

— Owszem, niezgorszy diament — odparł Monte Christo.

— O, mój brat nie mówi o wartości diamentu, choć oszacowano go, panie hrabio, na sto tysięcy franków; chciał tylko powiedzieć, że przedmioty, które zawiera ta sakiewka, to święte pamiątki po aniele przed chwilą wspomnianym.

— Nie rozumiem, łaskawa pani, ale pytać nie powinienem — odparł Monte Christo z ukłonem. — Daruj mi pani, nie chciałem popełnić niedyskrecji.

— Ależ nie ma mowy o jakiegokolwiek niedyskrecji! Przeciwnie, uszczęśliwił nas pan hrabia, gdyż możemy rzecz wyłożyć. Gdybyśmy taili piękny czyn, który przypomina nam ta sakiewka, schowalibyśmy ją głęboko. O, chcielibyśmy tę sprawę rozgłosić całemu światu: może wtedy nasz nieznany dobroczyńca drgnąłby, a my byśmy go poznali.

— Ach! Doprawdy! — rzekł Monte Christo, a głos uwiązał mu w gardle.

— Panie hrabio — ozwał się Maksymilian i podniósłszy kryształowy klosz ucałował z pietyzmem sakiewkę — woreczek ten był w ręku człowieka, który ocalił naszego ojca od śmierci, nas od ruiny, a nazwisko nasze od hańby; człowieka, za którego przyczyną my, biedne dzieci skazane na nędzę i łzy, słuchamy teraz uniesień nad naszym szczęściem. Ten list — tu Maksymilian wydobyl papier z sakiewki i podał hrabiemu — ten list napisała jego ręka w owym dniu, kiedy mój ojciec powziął zamiar desperacki, a ten diament siostra dostała w posagu od szlachetnego nieznajomego.

Monte Christo rozłożył list i przeczytał go z niewysłowionym szczęściem — był to ów bilet od Sindbada Żeglarza, znany czytelnikom, adresowany zaś do Julii.

— Nieznajomy, powiadacie państwo? I do dziś nie wiecie, kto wyświadczył wam tę przysługę?

— Tak. Nigdy nie dostąpiliśmy tego szczęścia, aby ucisnąć mu rękę; nie nasza to wina, bośmy błagali Boga o tę łaskę — podjął Maksymilian — ale jest w tej całej historii jakieś tajemnicze zrządzenie, dotąd dla nas niepojęte; kierowała wszystkim niewidzialna ręka, potężna jak u czarodzieja.

— O! — rzekła Julia — nie straciłam jeszcze nadziei, że ucałuję kiedyś tę rękę, jak całuję sakiewkę, której dotykała. Przed czterema laty Penelon był w Trieście. Penelon, panie hrabio, to ów pocziwiec, były marynarz, którego widziałeś pan z łopatą w ręku: z szypra stał się ogrodnikiem. Owóż Penelon będąc w Trieście widział w porcie, jak jakiś Anglik wsiadał na jacht, i poznał w nim owego człowieka, który był u mojego ojca 5 czerwca 1829 roku, a 5 września napisał ten bilet. To z pewnością, twierdzi Penelon, był ten sam człowiek, ale nie ośmielił się podejść do niego.

— Anglik! — rzekł hrabia z namysłem; niepokoiło go każde spojrzenie Julii. — Anglik, powiadacie państwo?

— Tak — odparł Maksymilian — Anglik, co przedstawił się u nas jako mandatariusz firmy Thomson i French w Rzymie. Dlatego wtedy, u pana de Morcerf, zadrżałem, kiedy wspomniałeś pan o nich jako o swoich bankierach. Mów pan, na miłość boską, czy znałeś tego Anglika? Był u nas w roku 1829.

— Ale czy nie mówiłeś mi pan, że firma Thomson i French odpowiadała stale, że nie wyświadczyła państwu podobnej przysługi?

— Tak.

— To może ów Anglik zawdzięczał pańskiemu ojcu jakieś dobrodziejstwo, o którym pański ojciec dawno już zapomniał, i może z tej racji wyświadczył przysługę?

— W podobnym wypadku wszystko jest możliwe, nawet cud.

— A jak się nazywał ten Anglik? — spytał Monte Christo?

— Wiemy o nim tylko tyle — odrzekła Julia, przypatrując się hrabiemu z głęboką uwagą — że bilet podpisał jako Sindbad Żeglarz.

— To naturalnie tylko pseudonim.

Dostrzegłszy, iż Julia przygląda mu się z jeszcze bardziej natężoną uwagą, że stara się jakby pochwycić i skojarzyć dźwięki jego głosu, rzekł:

— A czy przypadkiem ów pan nie był mojego wzrostu, no tak mniej więcej, tylko trochę wyższy, trochę szczuplejszy? Czy nie nosił halsztuka pod samą brodę? Czy nie był zapięty na wszystkie guziki i mocno ściśnięty w pasie? Trochę taki, jakby kij połknął, i zawsze z ołówkiem w ręku?

— No to przecież pan go zna? — zawołała Julia, a oczy jej rozbliły radością.

— Nie, to tylko domysły. Znałem niejakiego lorda Wilmore, który gdzie stąpnął, tam popełniał dobry uczynek.

— I nie dawał się poznać?

— Tak. Był to dziwak nie wierzący w ludzką wdzięczność.

— O Boże! — zawołała Julia składając ręce, a głos jej zabrzmiał najszlachetniejszym tonem. — W coś więc ten nieszczęśnik wierzył?

— W tym przynajmniej czasie, kiedy go spotykałem, nie wierzył — powiedział Monte Christo, w którym ten głos poruszył najgłębsze struny. — Ale potem może zdobył jakiś dowód, że wdzięczność istnieje.

— A pan znasz tego człowieka? — spytał Emanuel.

— O, niechże nam pan to powie! Koniecznie, koniecznie! A jeśli go pan znasz, czy mógłbyś zaprowadzić nas do niego, pokazać nam go, wyjawić, gdzie on jest? Maksymilanie, Emanuelu, gdybyście go kiedy odnaleźli, musi dzięki nam się przekonać, że istnieje wdzięczność serca!

Monte Christo, czuł, jak łyż zakręciły mu się w oczach. Jął znowu chodzić po salonie.

— Błagam pana — rzekł Maksymilian — powiedz nam o nim wszystko, co wiesz!

— Niestety — odparł Monte Christo, usiłując panować nad wzruszeniem — jeśli to lord Wilmore jest dobroczyńcą państwa, obawiam się, że go nie odnajdziecie. Rozstałem się z nim przed trzema laty w Palermo: odpłynął do jakichś bajecznych krain i wszelki śluch po nim zaginął.

— Ach! Jakież pan jesteś okrutny — przeraziła się Julia. I w oczach jej zabłyśły łzy.

— Łaskawa pani — odparł poważnie Monte Christo, chłonąc wzrokiem dwie płynne perły, co zrosiły jej policzki — gdyby lord Wilmore widział to, czego ja tu jestem świadkiem, pokochałby jeszcze życie, bo te łzy pogodziłyby go z ludźmi.

Podał rękę Julii, ona zaś złożyła dłoń w dłoni hrabiego, zniewolona jego spojrzeniem i tonem głosu.

— Ale czy ten lord Wilmore — spytała, nie tracąc do ostatka nadziei — miał jakąś rodzinę, krewnych? Może go ktoś znał? Słowem, czy nie zdołalibyśmy?...

— O, nie szukaj go pani — przerwał hrabia — nie buduj nic na słowach, które mi się wymknęły; bo będą to tylko miłe złudzenia. Nie przypuszczam, żeby lord Wilmore był tym, którego państwo szukacie: przyjaźniliśmy się serdecznie, znałem wszystkie jego sekrety, ale o tym nie opowiadał mi nigdy.

— Nigdy nic nie wspomniał? — spytała Julia.

— Nic.

— Nie padło ani jedno słowo, z którego wniósłbyś pan...

— Nie.

— A przecież wymieniał pan od razu jego nazwisko.

— E, łaskawa pani... w takich wypadkach można przypuszczać to i owo.

— Ale, siostrzyczko — rzekł Maksymilian, idąc w sukurs gościowi — pan hrabia ma rację. Nie pamiętasz, co powtarzał tak często nasz dobry ojciec: nie Anglikowi zawdzięczamy nasze szczęście.

Monte Christo zadrżał.

— I cóż takiego powtarzał pański ojciec? — podchwycił szybko.

— Ojciec, panie hrabio, widział w tym wydarzeniu cud. Wierzył, że nasz dobroczyńca wstał z grobu, aby nam dopomóc. Nedorzeczne było to mniemanie, ale tak wzruszające, że choć sam nie wierzyłem, nigdy nie rozwiewałem tej wiary szlachetnego serca! Ileż to razy ojciec, dumając szepcząc imię drogiego przyjaciela utraconego; a konając, kiedy w obliczu wieczności na duszę jego spadł jakby dar jasnowidzenia, utwierdził się w owej myśli, która dotąd była tylko domniemaniem, bo takie oto wyrzekł ostatnie słowa: „Maksymilianie, to był Edmund Dantés!”

Od kilku sekund hrabia bladł coraz bardziej, a kiedy padły powyższe słowa, bladość ta stała się nieopisana.

Wszystka krew spłynęła mu do serca, nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Spojrzał na zegarek, jak gdyby zapomniał, która godzina, wziął cylinder, skłonił się pani Herbault, belkocząc jakąś grzecznościową formułkę, uściśnął ręce Maksymilianowi i Emanuelowi.

— Czy łaskawa pani pozwoli mi czasem zachodzić z wizytą. Spodobał mi się dom państwa, wdzięczny jestem za miłe przyjęcie, od wielu lat po raz pierwszy zdarzyło mi się tak zasiedzieć.

I wyszedł wielkimi krokami.

— Oryginał jakiś ten twój hrabia — zauważył Emanuel.

— Tak — odpowiedział Maksymilian — ale wydaje mi się, że serce ma złote, i jestem pewien, że nas polubił.

— A mnie — ozwała się Julia — głos jego zapadł w duszę i wydało mi się parę razy, że już go kiedyś słyszałam.

13. PYRAMOS I TYZBE

Na ulicy Świętego Honoriusza, trochę bliżej jej końca niż na początku, wznosi się piękny pałac zwracający uwagę pośród innych pięknych domów tej bogatej dzielnicy; za pałacem rozciąga się wielki ogród. Wysokie i gęste kasztany górują ponad murem potężnym, niemal warownym, a wiosną prószą białym kwieciami albo różowym do dwóch kamiennych żłobkowanych waz zdobiących dwa czworokątne słupy, między którymi widnieje ażurowa kuta brama z czasów Ludwika XIII.

Tego paradnego wejścia nikt jednak nie używa, chociaż w wazach rosną pelargonie, kołysząc na wietrze żyłkowate liście i purpurowe kwiaty — nie używa od czasów dawnych, kiedy właściciele zostawili sobie tylko pałac, dziedziniec zasadzony drzewami, przylegający do ulicy i ogród z ową bramą, która dawała ongi dostęp do wspaniałego morgowego warzywnika wchodzącego w skład opisywanej posesji.

Ale demon spekulacji wytyczył na krańcach tego warzywnika linię — to znaczy ulicę, owa zaś ulica, nim zaczęła istnieć, miała już nazwę, bo ktoś zawczasu przybił zardzewiałą tabliczkę. Właściciel pomyślał tedy, że mógłby sprzedać warzywnik komuś, kto zacząłby budować przy nowej ulicy, która miała robić konkurencję wielkiej paryskiej arterii zwanej Przedmieściem Świętego Honoriusza.

Tylko w interesach człowiek projektuje, ale rządzi pieniądź.

Kiedy ulicę ochrzczono, zmarła w kolebce.

Nabywca warzywnika, zapłaciwszy co do grosza, nie mógł potem odsprzedać go z zyskiem. Czekając na zwykłą cenę — a prędzej czy później musi ona nastąpić — która wynagrodziłaby mu straty i odmroziła kapitał ulokowany w tym gruncie, wydzierżawił warzywnik ogrodnikom za pięćset franków rocznie.

Zarabiali oni na tej sumie pół procent. Niewiele to w dzisiejszych czasach, kiedy niejeden lokuje swój kapitał na pięćdziesiąt od sta i jeszcze się skarży.

Niemniej, jakeśmy powiedzieli, nikt nie używa" kraty wiodącej ongi do warzywnika i rdza żre jej zawiasy.

To jeszcze nie wszystko: aby niegodziwi ogrodnicy nie pokalali chamskim spojrzeniem arystokratycznej posesji, bramę zasłonięto deskami wysokimi na sześć stóp.

Co prawda deski zbito nieporządnie, można więc ukradkiem zerkać przez szpary.

Ale że w tym domu panują surowe obyczaje, nikt nie lęka się niedyskretnych spojrzeń.

W warzywniku zamiast kapusty, marchwi, rzodkiewek, grochu i melonów rośnie wybujała lucerna — na znak, że ktoś myśli jeszcze o tej opuszczonej ziemi.

Na ów teren otoczony murami wchodzi się niską furteczką. Dzierżawcy opuścili go tydzień temu, gdyż jałowy grunt przestał już rodzić i dawać wymieniony, jakże skromny zysk: nie przynosił już ani grosza.

Od strony pałacu, jakeśmy to mówili, wieńczą mur kasztany, co nie przeszkadza innym drzewom, pieniającym się bujnie i ukwieconym, wciskać między nie gałęzi chciwych powietrza.

W kącie tak zacienionym, że promienie słońca zaledwie się tu dostają poprzez gęstwą listowia, szeroka ława kamienna i ogrodowe krzesła świadczą, iż mieszkańcy pałacu — a może tylko jedna osoba — odległego o sto kroków i prawie niewidocznego spoza wału zieleni, ulubili sobie tę samotnię.

Zrozumiałe zresztą, że wybrali to ustronie: słońce tu nie dociera, panuje tu zawsze chłód i w największy skwar letni, ptaki tu śpiewają i daleko stąd zarówno do domu, jak do ulicy — czyli do interesów i do gwaru.

Pod wieczór jednego z najbardziej upalnych dni, jakimi wiosna obdarowała paryżan, widniała na kamiennej ławie książka, parasolka, koszyczek do robót i batystowa chusteczka z rozpoczętym haftem, nie opodal zaś ławy stała przy kracie młoda kobieta i przez szpary w deskach obserwowała znany już nam opuszczony teren.

W tymże niemal momencie furteczką otworzyła się i zamknęła cicho. Wszedł młody mężczyzna, wysoki, barczysty, odziany w płócienną bluzę i aksamitny kaszkiet — ale ciemny wąs, broda i fryzura nadzwyczaj starannie wypielęgnowane klóciły się po trosze z owym strojem ludzi prostych. Otwierając furtkę, rozejrzał się szybko, czy nikt go nie śledzi, a zniknąwszy za nią, biegł do kraty.

Na jego widok dziewczyna cofnęła się z lękiem — nie spodziewała się zapewne takiej maskarady.

Ale młodzieniec zdążył już poprzez szpary ogarnąć spojrzeniem właściwym tylko zakochanym białą powiewną suknię i długą niebieską szarfę.

Przyskoczył do ogrodzenia i powiedział przez szparę:

— Nie bój się, Walentyno, to ja. Dziewczyna zbliżyła się.

— Och! Czemuż dziś tak późno? — rzekła. — Czyż nie wiesz, że obiad niebawem? Czyż nie wiesz, jakich musiałam używać forteli i jak się spieszyć, aby pozbyć się macochy, która mnie śledzi, pokojówki, która mnie szpieguje, i brata, co mnie zadręcza — aby wymknąć się tutaj z robótką? Obawiam się, że nieprędko ten haft ukończę. A kiedy wytłumaczysz się ze spóźnienia, powiesz mi, co to za nowy strój wymyśliłeś sobie: toć mało brakło, a byłabym cię nie poznała.

— Droga Walentyno — odpowiedział młodzieniec — nazbyt cię kocham, abym śmiał ci mówić o miłości; a jednak ilekroć cię widzę, muszę ci powtórzyć, że cię ubóstwiam, gdyż echo moich własnych słów pieści mi serce, kiedy jesteśmy daleko od siebie. A teraz dziękuję, żeś mnie wyłajała; śliczna to była nagana; dowodzi ona, że myślałaś o mnie, bo nie śmiem powiedzieć, żeś mnie czekała. Chciałaś wiedzieć, dlaczego się spóźniłem, i przebrałem; powiem ci, a mam nadzieję, że mi wybaczysz: wybrałem profesję.

— Profesję?... Cóż to znaczy, Maksymilianie? Czy jesteśmy tacy szczęśliwi, żebyś mówił żartem o sprawach dotyczących nas obojga?

— Ale niechże mnie Bóg broni, bym żartował z tego, co jest moim życiem; ale znudziło mi się już biegać po polach i przełazić mury; zląkłem się też na serio tego, coś mi powiedziała wczoraj wieczorem: że twój ojciec każe osądzić mnie któregoś dnia jako złodzieja — a wystawiłoby to na szwank honor całej armii francuskiej; zląkłem się również, aby nie zaczęto się dziwić, że po tych polach, gdzie nie ma najmniejszej forteczki, którą można by oblegać, albo blokhausu, którego należałoby bronić, kręci się kapitan spahisów; zostałem więc ogrodnikiem, ubrałem się jak moi koledzy z profesji.

— Wyborne! Co za szaleństwo!

— A ja sądzę, że to najrozsądniejszy czyn w moim życiu, bo zapewnia nam całkowite bezpieczeństwo.

— Nie rozumiem. Wytłumacz, jakim cudem...

— A takim... byłem u właściciela tego ogrodu, a że umowa z dawnymi dzierżawcami wygasła, wydzierżawiłem go ja. Cała lucerna, Walentynko, do mnie należy; mogę sobie wśród tego zielska sklecić budkę i zamieszkać o dwadzieścia kroków od ciebie. O, nie mogę zapanować nad swoją radością i szczęściem! Bo rozumiesz, Walentynko, musiałem za nie zapłacić... Nie do wiary, prawda?

Owóz całe to szczęście i radość, za które oddałbym dziesięć lat życia, kosztują mnie, no... zgadnij ile? Pięćset franków rocznie, a sumę tę rozłożono mi na cztery kwartały. Jak widzisz, nie potrzebujemy się już o nic lękać. Jestem tu u siebie, mogę oprzeć drabinę o swój mur i patrzeć na to, co się dzieje po drugiej stronie; mam prawo, a policjant już mnie nie zaczepi, mówić ci, że cię kocham, o ile słowo to nie zrani teraz twojej dumy, gdyż będzie ci się oświadczał z miłością ubogi wyrobnik w bluzie i w kaszkiecie.

Walentynka krzyknęła z radości, tak ją ucieszyła ta niespodzianka; lecz nagle rzekła:

— To źle! Teraz Maksymilianie — w głosie jej brzmiał smutek, jakby zazdrosna chmura przesłoniła nagle promień, co rozświetlił jej serce — teraz będziemy mieli zbyt wielką swobodę; nasze szczęście skusi los; zbyt pewni swojego bezpieczeństwa, zgubimy się sami.

— Jakże możesz, ukochana, mówić to do mnie, który od chwili, gdy cię poznał, daję co dzień dowody, że myśli moje i życie uzależniłem od twoich myśli i twojego życia? Co cię napęłniło takim zaufaniem? Mój honor, nieprawdaż? Kiedy powiedziałaś mi, że jakieś niejasne przeczucie ostrzega cię przed wielkim niebezpieczeństwem, zaofiarowałem ci pomoc, nic w zamian nie żądając, prócz tego, byś dozwoliła mi służyć ci poświęceniem. Czy od tego czasu jednym słowem albo gestem dałem ci powód, abyś żałowała, że wyróżniłaś mnie spośród tych, którzy byłiby szczęśliwi, umierając dla ciebie? Powiedziałaś mi, biedactwo, że jesteś narzeczoną pana Franza d'Epina i że twój ojciec zdecydował ów alians, a więc jest on nieodwołalny; wola pana de Villefort nie zna bowiem przeszkód. Pozostałem tedy w cieniu, licząc nie na własne siły i twoje, Walentyno, ale na wypadki, na Opatrzność, na Boga. A ty ulitowałaś się tymczasem nade mną, pokochałaś mnie, wyznałaś mi to. Dzięki za te słowa, proszę tylko, żebyś powtarzała mi je czasem, bo wtedy zapominam o bożym świecie.

— I to właśnie ośmieliło cię, Maksymilianie, i to stanowi przyczynę, że jestem szczęśliwa a zarazem nieszczęśliwa tak dalece, że zastanawiam się często, co jest lepsze dla mnie: zgryzota, o jaką przyprawiała mnie dawniej surowość macochy, i to, że zaślepiona w swoim dziecku, krzywdzi mnie, czy też owo szczęście, pełne niebezpieczeństw, jakim się sycę widując się z tobą.

— Niebezpieczeństwa! — zawołał Maksymilian. — Okrutne to słowo i jakież niesprawiedliwe. Czyś widziała kiedy niewolnika uleglejszego ode mnie? Pozwoliłaś, Walentyno, abym czasami przemówił do ciebie, ale zabroniłaś mi, bym w świecie szukał z tobą spotkania; usłuchałem. Czy od czasu, jak znalazłem sposób, aby zakradać się do tego ogrodu i gawędzić z tobą przez szpary, gawędzić z tobą nie widząc cię, poprosiłem choć raz, powiedz, abyś dozwoliła mi dotknąć kraju twojej sukni? Nigdy nie skarżył się na twoją surowość, nigdy nie wyraziłem głośno żadnego życzenia; dotrzymuję słowa jak dawni rycerze. Przyznaj chociaż to, abym nie myślał, że jesteś niesprawiedliwa.

— To prawda — rzekła Walentyna wsuwając w szparę delikatny paluszek, który Maksymilian ucałował — to prawda, że jesteś lojalnym przyjacielem. Ale, mój drogi Maksymilianie, postępujesz tak we własnym interesie; wiesz doskonale, że niewolnik straciłby wszystko, jeśli zacząłby stawiać wymagania. Obiecałeś braterską miłość mnie, która nie ma przyjaciół, mnie o której ojciec zapomniał, mnie, którą macocha szykanuje, mnie, co mam za jedyną pociechę starca nieruchomego, niemego, który nie ma sił, by ucisnąć mi rękę, a przemawia do mnie tylko oczyma, ale serce jego bije z pewnością dla mnie resztką swego ciepła. Gorzki żart losu, który uczynił mnie wrogiem a zarazem ofiarą wszystkich silniejszych ode mnie, a podporą moją i przyjacielem wyznaczył żywego trupa. Och, naprawdę, Maksymilianie, powtarzam ci, jestem bardzo nieszczęśliwa i masz rację kochając mnie dla mnie, a nie dla siebie.

— Walentyno — odrzekł Maksymilian z głębokim wzruszeniem — nie powiem, że ciebie jedną kocham na świecie, bo kocham jeszcze siostrę i szwagra, ale to miłość spokojna, łagodna, w niczym niepodobna do uczucia, jakim cię darzę; kiedy myślę o tobie, krew kipi mi w żyłach, pierś wzbiera, serce bije jak szalone; ale tej sile, temu ogniewi, tej nadludzkiej potędze dam upust dopiero w tym dniu, kiedy dozwolisz, aby ci służyły. Pana d'Epina nie będzie jeszcze rok; przez ten rok ileż razy może nam się poszczęścić, ileż wypadków może nam dopomóc! Nie traćmy nadziei, jakże błogo i dobrze jest mieć nadzieję! Ale ty, Walentyno, która zarzucasz mi egoizm, jakże mnie traktujesz? Tak jakbyś była pięknym i zimnym posągami wstydlivej Wenery. Cóż ty mi obiecałaś w zamian za to posłuszeństwo, oddanie i powściągliwość? Nic. A com otrzymałaś? Bagatelkę. Mówisz mi o panu d'Epina, swoim narzeczoną, martwiąc się, że będziesz musiała wyjść za niego. Jak to, Walentyno, nic więcej nie masz w duszy? Poświęcam ci życie, oddaję duszę, oddaję ci każde, najsłabsze nawet uderzenie mego serca, należę do ciebie duszą i ciałem, a ciebie, kiedy powiadam sobie po cichu, że umarłbym, gdybym cię utracił, ciebie nie przeraża myśl, że mogłabyś należeć do kogo innego. O, Walentyno, Walentyno, gdybym był na twoim miejscu, gdybym czuł się tak kochany, jak ty, a jesteś tej miłości pewna, sto razy już bym przesunął rękę między tymi kratami, ucisnął dłoń biednego Maksymiliana i rzekł: „Do ciebie tylko na tym i na tamtym świecie należeć będę”.

Walentyna nic nie odrzekła, ale młodzieniec usłyszał, jak westchnęła i zapłakała.

Zareagował na to od razu.

— O, Walentyno, Walentyno! — zawołał. — Zapomnij o tych słowach, jeśli było w nich coś, co mogło cię zranić.

— Nie! — odpowiedziała — masz rację. Ale widzisz, jestem biednym stworzeniem, opuszczonym, mieszkającym właściwie u obcych, gdyż ojciec jest mi niemal obcy; od dziesięciu lat dzień po dniu, minuta po minucie wolę moją łamie żelazna wola otoczenia. Nikt nie widzi, ile cierpię, a ja o tym nikomu nie mówię, tylko tobie. Na pozór, w oczach świata, jest mi dobrze, wszyscy odnoszą się do mnie ciepło, a w rzeczywistości każdy mi jest wrogiem. Ludzie powiadają: „Pan de Villefort jest nazbyt surowy i poważny, aby rozpieszczać córkę, ale dziewczyna miała to szczęście, że w pani Villefort zyskała drugą matkę”. Otóż świat się myli: ojciec zaniedbał mnie i nic go nie obchodzi, a macocha nienawidzi mnie z zajadłością tym okropniejszą, że maskowaną wieczystym uśmiechem.

— Nienawidzi, Walentyno? Ale jakimż cudem można ciebie nienawidzić?

— Niestety, mój najdroższy, wyznać ci muszę, że owa nienawiść ma źródło naturalne. Macocha uwielbia swojego syna, Edzia.

— No i cóż z tego?

— Hm, dziwne, że w naszą rozmowę wmieszała się kwestia pieniężna, ale, mój miły, sądzę, że pieniąż jest główną przyczyną nienawiści. Macocha jest biedna, a ja jestem bogata po matce, a jeszcze będę miała drugie tyle po dziadkach de Saint-Méran. Owóż zdaje mi się, że ona jest o to zazdrosna. O, Boże! Gdybym mogła oddać jej połowę tej fortuny, a w zamian być w domu ojca traktowana jak córka, uczyniłabym to bez wahania.

— Biedactwo!

— Tak, jestem jakby związana, a jednocześnie tak słaba, że zdaje mi się, iż te więzy mnie podtrzymują; i boję się je zerwać. Ponadto ojciec nie należy do ludzi, których zakazy można przekraczać bezkarnie: ma władzę nade mną, a i tobie mógłby zaszkodzić; zaszkodziłby, gdyby zechciał, samemu królowi, bo przeszłość ma nieposzlakowaną, a z urzędu ruszyć go właściwie nie sposób. O, Maksymilianie, przysięgam ci, że nie walczę tylko dlatego, że boję się, abyśmy oboje nie zginęli w tej walce.

— Ależ czemuż tak desperujesz, czemu zawsze widzisz przyszłość w czarnych barwach?

— Ach, mój luby, bo znam przeszłość.

— Posłuchaj, choć nie jestem znakomitą partią z punktu widzenia arystokracji, to jednak z wielu względów nie jestem obcy światu, w którym przebywasz; czas, kiedy we Francji istniały dwie Francje, przeminął już; najświetniejsze rody monarchii rozplynęły się wśród rodów Cesarstwa; arystokracja miecza poślubiła arystokrację działa. A ja należę do tej ostatniej: czeka mnie piękna kariera wojskowa, majątek mam niewielki, lecz i nie obdłużony; pamięć mojego ojca czczą w naszych stronach, gdyż był jednym z najuczciwszych negocjantów na świecie.

Mówię, Walentyno, w naszych stronach, bo i ty niemal pochodzisz z Marsylii.

— Nie przypominaj mi Marsylii, gdyż od razu staje mi przed oczami moja biedna matka, ten anioł, którego wszyscy oplakują. Niedługo czuwała nade mną na ziemi, ale teraz, mam nadzieję, czuwa z nieba. O, gdybyż moja matka żyła, nie obawiałabym się o nic; powiedziałabym jej, że cię kocham, a ona ujęłaby się za tobą.

— E, Walentyno, nie sądzę, bym cię kiedykolwiek poznał, gdyby twoja matka żyła; byłabyś wtedy szczęśliwa, a Walentyna szczęśliwa spoglądałaby na mnie ze swoich wyżyn z pogardą.

— Ach, mój luby, to ty jesteś z kolei niesprawiedliwy... Ale powiedz mi... — Co mam ci powiedzieć? — spytał, widząc, że Walentyna się zawahała.

— Powiedz mi, czy dawno już, jeszcze w Marsylii, mój ojciec nie poważnił się z twoim?

— O ile wiem to nie. Ale twój ojciec był gorliwym stronnikiem Bourbonów, a mój cesarza. Przypuszczam, że to jedno ich dzieliło. Ale skąd to pytanie, Walentynko?

— Powiem ci, boś powinien wszystko wiedzieć. Było to tego dnia, kiedy w gazetach napisano, żeś dostał Legię Honorową. Zebraliśmy się akurat u dziadzi, a był też pan Danglars, no wiesz, ten bankier, którego konie onegdaj poniosły, a moja macocha i brat o mało się nie zabili. Czytałam dziadkowi gazetę, a między moim ojcem i panem Danglarsem toczyła się rozmowa o mariażu jego córki. Odczytałam głośno i twoje nazwisko, chociaż poprzedniego rana przyniosłeś mi tę dobrą nowinę; byłam bardzo uszczęśliwiona... ale też drżałam, kiedy byłam zmuszona wymówić głośno twoje imię, i z

pewnością ominęłabym je, gdybym się nie bała, że wywoła to jakieś fałszywe komentarze; zebrawszy się więc na odwagę, odczytałam...

— Walentynko najdroższa!

— I kiedy tylko padło twoje nazwisko, ojciec mój odwrócił głowę. Byłam święcie przekonana (widzisz, jaki ze mnie głuptas), że twoje nazwisko wywoła wszędzie piorunujące wrażenie. Ojciec mój zdrzął, a nawet, ale tu łudzę się na pewno, i pan Danglars.

— Morrel — rzekł mój ojciec — zaraz, zaraz... i zmarszczył brew — czy to nie z tych Morrelów marsyjskich, zajadłych bonapartystów, którzy nam wyrządzili tyle szkód w roku 1815?

— Tak — odpowiedział pan Danglars — wydaje mi się nawet, że to syn ówczesnego armatora.

— Doprawdy! — zdziwił się Maksymilian. — I cóż na to, Walentynko, odpowiedział twój ojciec?

— Och, powiedział rzecz okropną, nie śmiem ci nawet powtórzyć.

— Mów, mów...

— Ten ich cesarz — ciągnął ze zmarszczoną brwią — umiał ustawiać tych wszystkich fanatyków na właściwych miejscach, zwał ich mięsem armatnim, jedyne miano, na jakie zasługiwali. Widzę z radością, że nowy rząd wprowadza energicznie tę zbawienną zasadę. Gdyby tylko dlatego nie ustępował z Algieru, powinszowałbym rządowi, choć kosztuje to nas trochę za słono.

— Istotnie, polityka raczej brutalna — rzekł Maksymilian — ale nie rumień się, ukochana, z racji tego, co mówił twój ojciec; mój zacny ojciec w niczym pod tym względem nie ustępował twojemu, bo mawiał zawsze: „Czemuż cesarz, który robi tyle pięknych rzeczy, nie sformuje pułku z samych sędziów i adwokatów i nie wyśle go na pierwszą linię ognia?” Jak widzisz, kochanie, stronnictwa polityczne są sobie warte, jeśli idzie o styl obrazowy i przyjemne pomysły. Ale jak pan Danglars zareagował na to wystąpienie prokuratora królewskiego?

— Roześmiał się, jak to on zwykle, z cicha, ale dla mnie to śmiech okropny; a po chwili wstali i wyszli. Spostrzegłam tylko, że mój dobry dziadek zirytował się mocno. Trzeba ci wiedzieć, Maksymilianie, że ja jedna umiem odgadnąć, co w danej chwili gnębi tego biednego paralityka; domyśliłam się więc, że ta rozmowa, która odbyła się przy nim (bo nikt już się z biedakiem nie liczy!), rozdrażniła go bardzo, bo wyrażono się niekorzystnie o jego cesarzu. A podobno kochał go fanatycznie.

— No tak, przecież jego nazwisko było głośne za Cesarstwa. Był senatorem i, nie wiem, Walentynko, czy ci to wiadome, czy nie, za Restauracji maczał ręce we wszystkich niemal spiskach bonapartystowskich.

— Tak, słyszałam, jak szeptano u nas o tych sprawach, które wydają mi się bardzo dziwne: dziadek bonapartysta, ojciec rojalista; a zresztą... Spojrzałam więc na dziadka.

Wskazał mi wzrokiem gazetę.

— No co, dziadziu? — spytałam. — Jesteś kontent? Kiwnął potakująco głową.

— Z tego, co ojciec powiedział? Zaprzeczył

— Z tego, co mówił pan Danglars? Zaprzeczył znowu.

— Z tego, że pan Morrel — (nie śmiałam powiedzieć Maksymilian) — dostał order?

Przytaknął.

Czy byś uwierzył, Maksymilianie? Był rad, żeś dostał oficcerski krzyż Legii Honorowej, chociaż cię nie zna. Może nie był całkiem przytomny, bo powiadają, że dziecinnieje. Ale bardzo go kocham za to, że przytaknął.

Dziwna historia, pomyślał Maksymilian.

— Czyżby twój ojciec mnie nienawidził, natomiast dziadek... Osobliwe są te partyjne sympatie i antypatie.

— Cicho! — szepnęła nagle Walentyna, — Schowaj się, uciekaj, ktoś idzie! Maksymilian chwycił za rydel i jął bez litości kopać lucernę.

— Panienko! Panienko! — ozwał się głos spoza drzew. — Jaśnie pani prosi panienkę, szuka wszędzie panienki. Ktoś przyjechał z wizytą i jest w salonie.

— Z wizytą? — zawołała Walentyna mocno przejęta. — A któż taki?

— Jakiś bardzo wielki pan, podobno ksiączę. Pan hrabia de Monte Christo.

— Idę, idę! — odkrzyknęła Walentyna.

Maksymilian zdrzął: owym „idę” kończyła się każda ich schadzka — było to słowo pożegnania.

— No, no — rzekł do siebie, wsparłszy się w zamyśleniu o rydel — skądże to pan de Villefort zna hrabiego de Monte Christo?

14. TOKSYKOLOGIA

Rzeczywiście, w salonie pani de Villefort zjawił się hrabia de Monte Christo, pragnąc rewizytować pana prokuratora królewskiego. Rozumiecie więc, jakie poruszenie zapanowało w całym domu.

Pani de Villefort siedziała sama w salonie, kiedy oznajmiono hrabiego. Natychmiast posłała po Edwardka, żeby raz jeszcze podziękował hrabiemu, chłopaczek ów zaś nadbiegł w te pędy, nie dlatego, żeby okazać posłuszeństwo matce a wdzięczność jej gościowi, lecz powodowany ciekawością — od dwóch dni rodzice i znajomi mówili tylko o tym świetnym panu — i chęcią pobłażowania, matka bowiem mawiała w takich razach:

— Niedobre dziecko, ale jakież dowcipne! Muszę mu przebaczyć. Nastąpiła wymiana zwykłych grzeczności, po czym hrabia spytał o pana de

Villefort.

— Małżonek mój jest na obiedzie u pana kanclerza — odpowiedziała młoda pani — wyjechał niedawno; będzie bardzo żałował, jestem pewna, że ominęło go takie szczęście jak pańska wizyta.

— A co robi twoja siostra? — rzekła pani de Villefort do Edwardka. — Niechże uwiadomią Walentynę, abym miała zaszczyt przedstawić ją panu hrabiemu.

— To pani masz córkę? — zagadnął hrabia. — Chyba to jeszcze dziecko?

— To córka mojego męża z pierwszego małżeństwa; dorosła już i bardzo ładna.

— Ale melancholiczka — dorzucił Edzio, który właśnie, aby sporządzić sobie pióropusz do kapelusika, wyrywał pióra z ogona wspaniałej papugi ary, co wrzeszczała z bólu na swojej złoconej żerdzi.

Pani de Villefort rzekła tylko:

— Cicho bądź, Edziuńku.. I dodała:

— Ten mały trzpiot ma właściwie rację: powtórzył tylko to, o czym mówimy z wielką boleścią; bo choć robimy, co w naszej mocy, aby ją rozweselić, córka mojego męża usposobienie ma smutne i milkliwe, a to czasem źle wpływa na jej urodę. Ale jakoś jej nie widać, zobacz no, Edziu, co się stało.

— E, bo szukają jej tam, gdzie jej nie ma.

— A gdzie jej szukają? U dziadziusia.

— I myślisz że jej tam nie ma?

— Nie ma, nie ma, nie ma, nie ma — zanucił chłopczyk.

— Gdzież więc jest? Powiedz, jeśli wiesz.

— Jest pod wielkim kasztanem — objaśnił przemily chłopczyzna częstując, mimo protestów matki, papugę żywymi muchami, a ptak wydawał się ogromnie łasy na ów rodzaj zwierzyny.

Pani de Villefort sięgała już do dzwonka, aby zawołać pokojówkę i posłać ją po Walentynę, kiedy Walentyna weszła.

Wydawała się rzeczywiście smutna. Uważny obserwator dostrzegłby w jej oczach ślady łez.

W szybkim toku opowiadania nie zdążyliśmy opisać dokładnie Walentyny. Była wysoka i smukła, miała lat dziewiętnaście, włosy jasnokasztanowate, oko ciemnobłękitne, ruchy leniwe, ale nacechowane uroczą dystynkcją, którą odznaczała się jej matka; dzięki dłoniom białym, o długich palcach, szyi zalecającej się perłową karnacją i przelotnemu rumieńcowi, wyglądała z pozoru na jedną z owych pięknych Angielek, dość poetycznie przyrównywanych do łabędzia, który przegląda się w wodzie.

Weszła, a widząc przybraną matkę z cudzoziemcem, o którym tyle słyszała, dygnęła nie mizdrząc się wcale, jak to zwykły dziewczęta, i nie spuszczając oczu. W ukłonie tym było tyle gracji, że uwaga hrabiego wzmogła się jeszcze.

Monte Christo podniósł się.

— Panna de Villefort, moja pasierbica — oznajmiła prokuratorowa, wychylając się z sofy i wskazując gestem Walentynę.

— A to pan hrabia de Monte Christo, król Chin, cesarz Kochinchiny — dodał mały błazen, popatrząc ukradkiem na siostrę.

Tym razem pani de Villefort pobladła i o mało nie rozgniewała się na tę plagę domową imieniem Edzio, ale hrabia uśmiechnął się i spojrział na chłopca jakby z życzliwością, od której macierzyńskie serce nabrzmiało radosnym entuzjazmem.

— Ale — ozwał się hrabia, spoglądając to na panią de Villefort, to na Walentynę — czy ja kiedyś już nie miałem zaszczytu spotkać obu pań? Zastanawiałem się właśnie nad tym, a kiedy panna Walentyna weszła, nowy błysk rozświetlił to zacierające się, panie mi wybaczą, wspomnienie.

— To raczej niemożliwe, panie hrabio. Córka stroni od świata, wychodzimy tak rzadko...

— Ależ nie w salonach spotkałem obie panie i tego uroczego figlarza. Nie znam wcale paryskiego świata, bo, jak miałem honor pani powiedzieć, bawię tutaj od kilku dni. Nie; jeśli panie pozwolą, żebym namyślił się jeszcze chwilę... zaraz, zaraz...

I hrabia przytknął rękę do czoła, jakby gromadząc wszystkie swoje wspomnienia.

— Nie... to było gdzie indziej... nie wiem... ale zdaje mi się, że to wspomnienie kojarzy się z dniem słonecznym i czymś na kształt uroczystości religijnej. Panna Walentyna niosła bukiet; malec uganiał się po parku za pawiem, a pani, pani prokuratorowo, siedziała w altanie. No, niechże mi pani pomoże, czy to pani nic nie przypomina?

— Doprawdy nie, zdaje mi się, że gdziekolwiek bym pana spotkała, zapamiętałabym pana z pewnością.

— A może pan hrabia widział nas we Włoszech? — wtrąciła nieśmiało Walentyna.

— Rzeczywiście, to możliwe... — zgodził się Monte Christo. — Podróżowała pani po Włoszech?

— Byłyśmy tam z mamą przed dwoma laty. Lekarze, obawiając się, bym nie zapadła na piersiową chorobę, zalecili mi powietrze neapolitańskie. Jechaliśmy przez Bolonię, Peruzę i Rzym.

— Otóż to, proszę pani! — zawołał Monte Christo, jak gdyby ta prosta wskazówka odnowiła zatarte wspomnienia. — To w Peruzie, w Boże Ciało, przypadek zetknął nas wszystkich w ogrodzie Hotelu Pocztowego. Tam to miałem zaszczyt widzieć obie panie i Edwardka.

— Doskonale pamiętam Peruzę, Hotel Pocztowy i święto, o których pan mówisz — rzekła pani de Villefort — ale na próżno szperam we wspomnieniach, i wstyd mi bardzo za krótką pamięć, ale nie miałam chyba zaszczytu spotkać tam pana.

— To dziwne, bo i ja też nie pamiętam — ozwała się Walentyna, podnosząc piękne oczy na hrabiego.

— A ja pamiętam! — zawołał Edzio.

— Pomogę pani — ciągnął hrabia. — Dzień był skwarny; czekałaś pani na konie, które się spóźniały, gdyż była procesja. Panna Walentyna zaszyła się głęboko w ogrodzie, a synek pani znikł uganiając się za pawiem.

— I wiesz, matusiu, dogoniłem go — rzekł Edwardek — i wyrwałem mu trzy pióra z ogona.

— Siedziałaś pani w altance oplecionej winogradem, na szerokiej kamiennej ławie. Nie pamięta pani, jak wtedy — panny Walentyny i Edwardka nie było w pobliżu — przeprowadziłaś z kimś długą rozmowę?

— A tak, rzeczywiście — tu młoda kobieta zaczerwieniła się — z mężczyzną spowitym w długi wełniany płaszcz... zdaje się, doktorem.

— Jesteśmy w domu, łaskawa pani; tym mężczyzną byłem ja; od dwóch tygodni mieszkałem w owym hotelu, a że wykurowałem mojego lokaja z malarii i hotelarza z żółtaczką, pocytywano mnie za lekarską sławę. Gawędziliśmy długo, łaskawa pani, na przeróżne tematy: o Peruginim i Rafaelu, o zwyczajach i strojach, a także o słynnej aqua-tofana, której sekret zaginał, ale jak poinformowano panią prokuratorową, kilka osób w Peruzie posiadało go jeszcze.

— A tak, tak — ozwała się pani de Villefort żywo i z pewnym zaniepokojeniem — przypominam już sobie.

— Nie pamiętam dziś szczegółów tego, co mi pani wtedy mówiła — ciągnął hrabia z doskonałym spokojem —; ale za to przypominam sobie jedno: dzielając ogólny błąd, radziłaś mi się pani o zdrowie panny Walentyny.

— Przecież byłeś pan chyba naprawdę lekarzem, skoro uzdrawiałeś chorych?

— Moliere i Beaumarchais odpowiedzieliby łaskawej pani, że moi pacjenci właśnie dlatego zdrowieli, iż nie byłem lekarzem; a ja powiem tylko, że studiowałem dość gruntownie chemię i historię naturalną, oczywiście z amatorstwa... rozumie pani.

Wybiła szósta.

— O, już szósta — rzekła pani de Villefort wyraźnie podekscytowana. — Nie zobaczyłabyś, Walentyńko, czy dziadziś gotów do obiadu?

Walentyńska wstała, dygnęła hrabiemu i wyszła bez słowa.

— O, Boże! Czy to przeze mnie wyprawiłaś pani pannę Walentyńkę? — zmartwił się hrabia.

— Ależ nie! Ale o tej godzinie podajemy mojemu teściowi posiłek, który podtrzymuje jego smutną egzystencję. Słyszałeś pan chyba, w jak opłakanym stanie jest ojciec mojego męża.

— Tak. Pan de Villefort wspomniał mi o tym. Zdaje się, paraliż...

— Niestety! Paraliż zupełny. Biedny staruszek! Tylko dusza czuwa jeszcze w tej ludzkiej maszynie, ale to dusza błąda, drżąca, rzekłbyś lampa, co wnet zgaśnie. Ale przepraszam, że mówię o nieszczęściach domowych, przerwałam panu w momencie, gdy napomknął, że jesteś dobrym chemikiem.

— Tegom nie powiedział — uśmiechnął się hrabia. — Zaczęłam studiować chemię, postanowiwszy osiąść na Wschodzie. Król Mitrydat był mi przykładem.

— Mithridates, rex Ponticus! — dał o sobie znać Edzio, a wycinał właśnie obrazki z przepysznego albumu. — To ten sam, który pił co dzień na śniadanie filiżankę trucizny ze śmietanką.

— Edziu, niedobre dziecko! — zawołała pani de Villefort, wrywając mu zniszczony album. — Nieznośny jesteś, przeszkadzasz nam. Poszedłbyś do Walentyńki, jest u dziadunia.

— Album!... — rzucił lakonicznie Edzio.

— Album, a po co?

— Potrzebny mi ten album.

— A dlaczego powycinałeś obrazki?

— Bo mnie to bawi.

— Idźże już raz!

— Nie pójdę, póki nie dostanę albumu — rzekło nieustępliwe dziecię, sadowiając się w głębokim fotelu.

— Weź i daj nam pokój — zgodziła się pani de Villefort.

Dała album Edziowi i skierowała się z synkiem ku drzwiom. Monte Christo podążył za nią oczyma.

— Ciekaw jestem, czy zamknie za nim drzwi — mruknął. Pani de Villefort zamknęła drzwi nadzwyczaj starannie. Hrabia udał, że nie spostrzegł tego.

I rozejrzawszy się wokół jeszcze raz, młoda pani wróciła na swoją kozetkę.

— Daruje mi pani prokuratorowa — ozwał się hrabia ze znaną nam już dobroduszością — ale zbyt surowo postąpiłaś pani z tym urzekającym psotnikiem.

— Trzeba tak było, mój panie — odparła z istic macierzyńską pewnością siebie.

— Ależ mówiąc o królu Mitrydacie, nasz luby Edwardek zacytował Korneliusza Neposa, a pani przerwała mu, choć ów cytat dowodzi, że gubernator Edzia nie traci czasu i że masz pani syna nad wiek rozwiniętego.

— Faktem jest, panie hrabio — rzekła matka, mile polechtana w swojej dumie — że to chłopak niezmiernie pojętny, wszystko chwyta w lot. Ma tylko jedną wadę: jest nazbyt samowolny. Ale, wracając do tematu, czy sądzisz pan, że Mitrydat stosował naprawdę jakieś środki ostrożności i że były to środki skuteczne?

— Tak, proszę pani, bo i ja sam używałem ich, aby nie otruto mnie w Neapolu, w Palermo i w Smyrnie. Próbowano tego trzy razy i gdyby nie moje leki, byłbym już w grobie.

— Więc pomogły one panu?

— Znakomicie.

— A tak, przypominam sobie teraz, mówiłeś mi pan coś podobnego w Peruzie.

— Doprawdy? — zawołał hrabia, wybornie udając zdumienie. — Bo ja nie pamiętam nic takiego.

— Pytałam, czy trucizny działają jednakowo, to znaczy z jednakową energią na mieszkańców Północy i Południa, a pan objaśniłeś mi, że mieszkaniec Północy nie jest, dzięki chłodnemu i flegmatycznemu temperamentowi, tak podatny, jak mieszkaniec Południa, kipiący energią.

— Owszem, widziałem, jak Rosjanie zjadali, bez szkody dla siebie pewne substancje roślinne, które zabiłyby niechybnie Neapolitańczyka lub Araba.

— A więc pańskim zdaniem, rezultat byłby u nas o wiele pewniejszy niżli na Wschodzie. Wśród naszych mgieł i deszczów człowiek, który zażywałby stopniowo truciznę, przywykłby do niej łatwiej aniżeli mieszkaniem ciepłych krajów.

— Oczywiście, ale pod warunkiem, że zabezpieczałby się przed jedną tylko trucizną. Inne działałyby nadal.

— Tak, rozumiem. A w jaki sposób byś się pan przyzwyczaił, to znaczy przyzwyczaiłeś się już?

— To bardzo łatwe. Przypuśćmy, że dowiedziałaś się pani, czym masz być otruta... no, powiedzmy, brucyną...

— Brucynę wydobywają z fałszywej chin, nieprawdaż? — zagadnęła pani de Villefort.

— Otóż i to, łaskawa pani; ale widzę, że niewiele zdołam już panią nauczyć; winszuję, winszuję; podobną wiedzę rzadko spotykamy u kobiet.

— Wyznam panu, że przepadam za naukami tajemnymi, bo przemawiają one do wyobraźni, jak poezja, a redukują się do liczb niby równanie algebraiczne; ale niechże pan mówi, proszę, interesuje mnie to do najwyższego stopnia.

— Przypuśćmy więc, że naszą trucizną jest brucyna. Pierwszego dnia zażywasz pani jeden miligram, a dwa następnego; po dziesięciu dniach dojdiesz już pani do centygrama; po dwudziestu dniach następnym, stosując wciąż tę samą dawkę, połkniesz pani trzy centygramy; dawkę tę zniesiesz pani jak najlepiej, a byłaby ona bardzo niebezpieczna dla kogoś, kto nie przedsięwzięłby tychże środków ostrożności; tak to po miesiącu, pijąc zatrutą wodę z karafki, zabijesz pani osobę, którą byś tą wodą poczęstowała, sama zaś naraziwszy się tylko na lekką niedyspozycję.

— A nie znasz pan innych sposobów?

— Nie, pani.

— Czytałam nieraz historię Mitrydata — rzekła pani de Villefort, medytując jakby nad czymś — ale wkładałam ją między bajki.

— Nie, proszę pani, fakt to prawdziwy, aczkolwiek mówi o nim historia. Ale z tej naszej pogawędki i z pytań, które mi pani zadawała, wniosłem, że ta ciekawość nie jest kaprysem kobiety. Pytałaś mnie pani o to samo już przed dwoma laty i mówiłaś mi wtedy, że już od dawna interesujesz się historią Mitrydata.

— To prawda, panie hrabio; za młodu ulubiłam sobie studia nad botaniką i mineralogią; a później, dowiedziawszy się, że zioła tłumaczą często dzieje narodów albo jednostek na Wschodzie, tak jak mowa kwiatów wyraża u nich miłość, pożałowałam, że nie jestem mężczyzną. Zostałabym drugim Flamelem, Fontaną albo Cabaniséem.

— Tym bardziej, łaskawa pani, że ludzie Wschodu nie poprzestają na tym, aby jak Mitrydat robić sobie z trucizny pancerz; robią także z niej sztylet: nauka jest w ich rękach nie tylko bronią odporną, ale i zaczepną; jedna koi cierpienia fizyczne, druga godzi w nieprzyjaciół; za pomocą belladony, opium, brucyny, żmijowca i laurowiśni usypiają tych, którzy chcieliby ich obudzić. W Egipcie, Turcji i Grecji tak zwane u was babki zdumiałyby swoją wiedzą chemiczną lekarza, a znajomością psychologii przeraziłyby spowiednika.

— Doprawdy? — rzekła pani de Villefort. W toku tej rozmowy oczy płonęły jej osobliwym ogniem.

— Ależ tak, proszę pani. Sekretne dramaty zawiązuje albo rozwiązuje na Wschodzie bądź roślina, która budzi miłość, bądź roślina, która zabija; wywar, który otwiera niebo, albo wywar, który pogrąża człowieka w piekło. Tyle tam odcieni wszelkiego rodzaju, ile w naturze ludzkiej dziwactw i kaprysów; nie tylko to: owi chemicy umieją wybornie przystosowywać lekarstwo i chorobę do swoich zachceń miłosnych albo do pragnienia zemsty.

— Widzę, proszę pana, że te społeczeństwa wschodnie, pośród których przebywałeś pan tak długo, są równie fantastyczne, jak i baśnie o nich do nas docierające; w tych pięknych krainach można bezkarnie zgładzić człowieka; czyżby takimi były w rzeczywistości Bagdad i Bassora pana Gallanda? Czyżby sułtani i wezyrowie rządzący tymi społeczeństwami, a stanowiący to, co we Francji nazywamy gabinetem, liczyli się rzeczywiście do Harun al Raszydów i Dżiafarów, którzy nie tylko, jeśli zbrodnia jest zręczna, przebaczą trucidielowi, lecz i czynią go swoim pierwszym ministrem i każą ryc jej historię złotymi głoskami, aby potem mieć urozmaicenie w godzinach nudy?

— Nie, proszę pani, świat fantastyczny nigdzie już nie istnieje, nawet na Wschodzie; istnieją tam również, tylko pod innym mianem i odziani inaczej, komisarze policji, sędziowie śledczy, prokuratorowie królewscy oraz rzeczoznawcy. Przesłupców wieszają tam, ścinają albo wbijają na pal, i to z wielką przyjemnością; ale przestępcy umieją, jako zręczni szalbierze, wyprowadzić sprawiedliwość w pole, a sprytnymi kombinacjami zapewniać powodzenie swoim przedsięwzięciom. U

nas głupiec opętany przez demona nienawiści albo chciwości, pragnący zgładzić wroga albo rodzzonego dziadka, idzie do sklepiku, podaje fałszywe nazwisko, skutkiem czego wykrywają go tym łatwiej, i kupuje, pod pozorem, że szczyry nie dają mu spać, parę gramów arseniku; jeśli jest wyjątkowym spryciarzem, zachodzi do kilku sklepików i wtedy wykryją go jeszcze snadniej. Zaopatrzone w ów arsenik aplikuje dziadkowi czy wrogowi dozę, która powaliłaby mamuta lub mastodonta, i postępując wciąż bez sensu, sprawia tym samym, że; krzyki ofiary zwabiają wszystkich bliższych i dalszych sąsiadów. Nadbiega tedy chmara policjantów i żandarmów; sprowadzają lekarza, który robi sekcję i wybiera z żołądka i wnętrzości trupa arsenik łyżkami. Nazajutrz sto gazet podaje nazwisko ofiary i mordercy. Pod wieczór sklepikarz albo sklepikarze schodzą się i oświadczają: „To ja sprzedałem arsenik temu panu”. Żeby zaś się nie pomylić, wskazują ze dwudziestu nabywców. Dureń idzie do aresztu: śledztwo, konfrontacja, druzgocące oskarżenie, wyrok, gilotyna; jeśli to kobieta, a zwłaszcza niebrzydka, dożywotnie więzienie. Oto, łaskawa pani, jak ludzie Północy rozumieją chemię. A jednak przyznać muszę, że Desrues był mądrzejszy.

— Cóż pan chcesz? — roześmiała się pani de Villefort. — Każdy robi, co może. Nie wszyscy znają sekrety Borgiów i Medyceuszów.

— A wiesz pani — tu hrabia wzruszył ramionami — gdzie tkwi przyczyna tego całego głupstwa? Winne tu wasze teatry, jeśli osądzić mogłem, czytając wasze sztuki: oglądamy tam ludzi, którzy wypijają coś z flakonika, przegryzają oczko pierścienia i padają trupem; po pięciu minutach kurtyna zapada; widzowie idą do domu. Nikt nie dowiaduje się o następstwach morderstwa; nie występuje ani komisarz wystrojony w szarfę, ani kapral ze swoimi czterema ludźmi, toteż wielu półgłówek przychodzi do wniosku, że wszystko w ten sposób się odbywa. Niech pani jednak pojedzie do Aleppo, Kairu albo chociaż do Neapolu, to zobaczy tam pani na ulicach ludzi trzymających się prosto, krzepkich, rumianych; ale gdyby Diabeł Kulawy musnął panią swoim płaszczem, mogłaby pani powiedzieć: „Ten jegomość jest truty od trzech tygodni, lecz umrze dopiero za miesiąc”.

— Czyżby więc odnaleziono sekret owej słynnej aqua-tofana, który jak zapewniano mnie w Peruzie, zaginął?

— E, proszę pani, czyż cokolwiek może zaginać wśród ludzi? Umiejętności zmieniają tylko miejsce pobytu, okrążają świat; rzeczy zmieniają nazwę, ot i wszystko, a gmin się myli; ale rezultat jest zawsze ten sam. Dana trucizna atakuje zawsze jakiś określony organ: ta żołądek, tamta mózg, inna kiszki. Owóż jakaś trucizna wywołuje kaszel, a kaszel zapalenie płuc albo inną chorobę zanotowaną w księgach medycznych; nie przeszkadza to, iż owa choroba jest nieuleczalna, a choćby nawet było inaczej, stanie się śmiertelną na skutek leków, jakie stosują naiwni doktorzy, na ogół nędzni chemicy; lekarstwa te pomogą albo zaszkodzą, ale pacjent i tak umrze, zabity wedle wszelkich prawideł sztuki, a sprawiedliwość nie będzie tu miała nic do gadania, jak powiadał pewien chemik straszliwy, a mój przyjaciel, znakomity ksiądz Adelmonte z Taorminy na Sycylii. Studiował on z zamiłowaniem rolę, jaką odgrywa trucicielstwo w życiu narodów.

— To przerażające, lecz godne podziwu — rzekła młoda pani, znieruchomiawszy z wrażenia. — Sądziłam dotąd, przyznam się, że wszystkie te sposoby wynaleziono w średniowieczu.

— Tak, naturalnie, a w naszych czasach udoskonalono je tylko. Bo i na cóż mają służyć stypendia, medale, ordery, nagrody Montyona, jeśli nie do tego, by doskonalić społeczeństwo? A społeczeństwo osiągnie doskonałość dopiero wtedy, kiedy nauczy się tworzyć i zabijać jak Bóg; zabijać już umie, to znaczy jest w połowie drogi.

— Tak to — podjęła pani de Villefort, trzymając się z uporem tematu — trucizny Borgiów, Medyceuszów, Ruggierich, doktora René, a później prawdopodobnie i barona von Trenck, trucizny, których tak nadużywano we współczesnym dramacie i powieści...

— Były dziełami sztuki, łaskawa pani, niczym innym. Czy sądzisz pani, że prawdziwy uczoney pracuje dla jednostki? Pracuje banalnie? Skądże znowu. Nauka lubi rykoszety, sztuki kuglarskie i fantazję, jeśli można tak powiedzieć. Tak to na przykład ów niezwykły ksiądz Adelmonte, o którym wspominałam pani przed chwilą, robił w tym względzie zadziwiająca doświadczenia.

— Doprawdy?

— Tak. Opowiem pani o jednym. Miał bardzo piękny ogród, pełen warzyw, owoców i kwiatów; wśród owych jarzyn wybierał najpocziwsze, na przykład kapustę. Przez trzy dni podlewał ją roztworem arseniku; trzeciego dnia kapusta chorowała i żółkła: był to moment, żeby ją ścinać; każdy brał ją za dojrzałą, zachowywała wygląd pocziwy; i tylko ksiądz Adelmonte wiedział, że jest zatruta. Wtedy zanosił tę kapustę do siebie i brał królika — ksiądz Adelmonte miał kolekcję królików, kotów i świnek morskich, która nie ustępowała w niczym jego kolekcji warzyw, owoców i kwiatów. Ksiądz brał więc królika i karmił go liściem kapusty, a królik zdychał. Któryż to sędzia śledczy ośmieliłby się postawić jakiś tu zarzut? Któryż prokurator królewski zdecydowałby się sporządzić akt oskarżenia

przeciw panom Magendie i Flourensowi, ponieważ obaj zabili mnóstwo królików, kotów i świnek morskich? Nie znalazłby się taki. Owóż królik zdechł, a sprawiedliwość bynajmniej się tym nie przejęła. Ksiądz Adelmonte kazał kucharce wypatroszyć królika, a wnętrzności wyrzucić na kupę gnoju; po gnoju łązi kura, dziobie wnętrzności królika, choruje, a nazajutrz zdycha. Kiedy jeszcze rzuca się w agonii, nadlatuje sęp — w ojczyźnie księdza Adelmonte sępów nie brak — porywa kurę, odlatuje na swoją skałę i zjada obiad. Po trzech dniach biedny sęp, którego od tej uczyt widać bolał żołądek, dostaje, bujając w przestworzach, zawrotu głowy, i spada ciężko do sadzawki, będącej własnością łaskawej pani; szczupaki, mureny i węgorze mają, jak pani wiadomo, apetyt — rozszarpują sępa. Nazajutrz — wyobraź to sobie pani — podają u ciebie do stołu węgorza, szczupaka i murenę, zatrute, by tak rzec, w czwartym pokoleniu; gość pani zatrute się w piątym i umrze po tygodniu, skręcając się z bólesci i wymiotując, niby to na wrzód żołądka. Lekarze zrobią sekcję i powiedzą: — Chory umarł na raka wątroby albo na tyfus.

— Tylko że — zaoponowała pani de Villefort — najbłahszy wypadek może zerwać cały ten łańcuch wydarzeń; na przykład sęp nie nadleci albo spadnie o sto kroków od sadzawki.

— Na tym właśnie zasadza się sztuka; na Wschodzie tylko ten jest wielkim chemikiem, kto kieruje wypadkami. I udaje im się to.

Pani de Villefort słuchała zamyślona.

— Ale — odrzekła — arsenik zawsze pozostawia ślady; w jakikolwiek sposób zażyty, odnajduje się w organizmie, rzecz jasna, jeśli człowiek przyjmuje dawkę sprowadzającą śmierć.

— Wybornie! Wybornie! — ucieszył się Monte Christo. — Tom właśnie mówił mojemu pocziwemu Adelmonte. Uśmiechnął się, pomyślał chwilę i odpowiedział mi przysłowiem sycylijskim, znanym, zdaje się, i we Francji:

„Mój synu, świat nie powstał w jeden dzień, ale w siedem; przyjdź w niedzielę”.

Zjawiłem się tedy w niedzielę; ksiądz tym razem podlewał kapustę nie arsenikiem, ale roztworem soli zaprawionym strychniną, strychninos colubrina, jak powiadają uczeni. Kapusta nie chorowała od tego, wyglądała na najzdrowszą w świecie; królik, odniósłszy się do niej z całkowitym zaufaniem, schrupał ją i po pięciu minutach już nie żył; kura podziobała królika i nazajutrz zdechła. Wtedy my dwaj zabawiliśmy się w sępa; wzięliśmy kurę, zajrzeliśmy jej do środka. Owóż, nie znaleźliśmy ani jednego symptomu szczególnego, a tylko ogólne. Nie stwierdziliśmy w organach żadnych specjalnych zmian; podrażnienie systemu nerwowego, ślad po wylewie krwi do mózgu, ot i wszystko; nikt nie otrul kury, padła na apopleksję. Rzadko się to zdarza kurom, wiem doskonale, ale za to ludziom bardzo często.

Pani de Villefort zapadała w coraz głębszą zadumę.

— Całe szczęście — wtrąciła — że tylko chemik umie preparować podobne substancje, bo inaczej jedna połowa ludzkości wytrulaby drugą.

— Chemik albo ktoś zamiłowany w chemii — rzucił niedbale Monte Christo.

— Tak czy inaczej — rzekła pani de Villefort, z wysiłkiem odpędzając jakieś natrętne myśli — zbrodnia, choćby nader uczenie przygotowana, pozostaje zawsze zbrodnią; a jeśli ukryje się przed śledztwem ludzi, nie ukryje się przed okiem Boga. Ludzie Wschodu nie mają sumienia tak wrażliwego jak my, przezornie bowiem odrzucili piekło; ot i wszystko.

— E, proszę pani, skrupuły takie muszą zrodzić się z natury rzeczy w duszy tak zacnej jak u pani, ale wkrótce wykorzeni je rozumowanie. Kwestię zła istniejącego w duszy ludzkiej streścił raz na zawsze paradoks Jana Jakuba Rousseau: Mandaryn, którego ktoś zabił z odległości pięciu tysięcy mil kiwnąwszy końcem palca. Życie ludzkie na tym upływa, inteligencja wysila się na zbrodnicze pomysły. Nie znajdziesz pani wielu takich, co wbiliby brutalnie nóż w serce bliźniego albo zaaplikowali mu dozę arseniku, aby ów bliźni zniknął z powierzchni ziemi. Bo to doprawdy już dziwactwo albo głupota. Aby dojść do czegoś podobnego, trzeba, żeby się krew zagrzała, tętno wzrosło, a dusza straciła zwykłą równowagę; ale, mówiąc oględnie, rugujesz pani pewne sposoby: zamiast popełnić ohydne morderstwo, usuwasz pani po prostu ze swojej drogi tego, kto ci zawadza — nie dopuszczając się gwałtu i nie zadając mu cierpień, które stają się torturą i zamieniają ofiarę w męczennika; ale jeśli nikt nie krzyczy, nie zwija się w przedśmiertnych drgawkach, jeśli krew się nie leje, a zwłaszcza jeśli mordu nie popełniono w jeden moment, bo rzecz to okropna i kompromitująca, wtedy umykasz pani sprawiedliwości ludzkiej, która powiada: Nie zakłócaj spokoju publicznego! Oto jak postępują, i z dobrym skutkiem, ludzie Wschodu, poważni i flegmatyczni, umiejący w sprawach pewnej wagi — czekać.

— Pozostaje sumienie — rzekła pani de Villefort mocno poruszona i tłumiąc westchnienie.

— Tak, tak, pozostaje sumienie, bez którego bylibyśmy bardzo nieszczęśliwi. Po każdym czynie trochę nazbyt gwałtownym sumienie ratuje nas, wysuwając tysiące racji, które osądzamy sami jedni; a

te racje, choć tak znakomite, że dzięki nim zasypiamy sobie spokojnie, nie byłyby wystarczające wobec trybunału, aby uchronić nas od śmierci. Tak na przykład Ryszardowi III znakomicie przysłużyło się sumienie, kiedy zgładził był dzieci Edwarda IV; rzeczywiście mógł powiedzieć sobie: „Ci dwaj potomkowie okrutnego prześladowcy odziedziczyli po ojcu wady, które ja jeden umiałem dostrzec w ich skłonnościach młodzieńczych; chcę uszczęśliwić lud angielski, a ci dwaj chłopcy byłoby mi w tym zawadą; lud niechybnie cierpiałby przez nich”. Przysłużyło się sumienie i lady Makbet, która chciała, cokolwiek mówiłby Szekspir, obdarować tronem nie męża, ale syna. Ach! Miłość macierzyńska to rzecz tak wielka, siła tak potężna, że w jej imię sporo wybaczyć należy; jakoż po śmierci Duncana lady Makbet okropnie bolała w swoim sumieniu.

Pani de Villefort chłonęła chciwie te straszliwe maksymy i potworne paradoksy, które hrabia wypowiadała z właściwą sobie niewinną ironią.

Po chwili rzekła:

— Czy wiesz, hrabio, że jesteś groźnym mistrzem argumentu i że widzisz świat w upiornym świetle? Czyżbyś osądził pan tak ludzkość patrząc na nią poprzez szkła alembików i retort? Miałeś pan rację, jesteś wielkim chemikiem, ów zaś likwor, którym tak szybko ocuciłeś mojego syna...

— O, niech łaskawa pani zbytnio temu likworowi nie ufa. Jedna kropla zdolna jest przywrócić życie konającemu dziecku, ale trzy krople, nadmiernie pobudzając serce, wywołałyby przekrwienie płuc; sześć—zatrzymałoby mu oddech, powodując omdlenie o wiele groźniejsze niż to, w którym był. A dziesięć zabiłoby go na miejscu. Widziałaś pani, z jakim pośpiechem odebrałem mu flakony, których dotknął przez nieostrożność...

— A więc to straszliwa trucizna?

— E, dalibóg, nie! Założmy najpierw, że słowo trucizna nie istnieje, skoro medycyna posługuje się truciznami bez porównania groźniejszymi, które dzięki umiejętnemu użyciu zamieniają się w zbawienne leki.

— Cóż to więc było takiego?

— Mądry preparat mojego przyjaciela, owego znakomitego księdza Adelmonte, który dał mi przepis, jak go używać.

— O — rzekła pani de Villefort — musi to być wyborny środek przeciw skurczom.

— Niezastąpiony, łaskawa pani, i często go używam, naturalnie z jak największą ostrożnością — odparł śmiejąc się.

— Ja myślę — odrzekła podobnym tonem. — Jakżeby mi się przydał taki doktor Adelmonte, mnie, która jestem taka nerwowa i skłonna do omdleń i mam ciągłe ataki duszności: wynalazłby jakiś lek, dzięki któremu oddychałabym swobodnie, a więc minąłby mi lęk przed śmiercią. Tymczasem jednak, skoro niełatwo znaleźć ten środek we Francji, a pański ksiądz nie zechciałby raczej pofatygować się dla mnie do Paryża, pozostanę wierna miksturom pana Planche; mięta i krople Hoffmana odgrywają w moim życiu doniosłą rolę. A to, niech pan spojrzy, pastylki, robione na moje specjalne zamówienie, w podwójnych dozach.

Monte Christo otworzył szylkretowe pudełeczko, które podała mu młoda pani, i jął wachać pastylki z miną amatora godnego oszacować ów preparat.

— Znakomite — rzekł — ale mają jedną wadę: trzeba je łykać, a ktoś, kto zemdłał, rzadko kiedy łykać potrafi. Wolę już mój eliksir.

— Ależ oczywiście, i ja bym go wolała, zwłaszcza że przekonana jestem o jego skuteczności; ale z pewnością trzymasz pan receptę w sekrecie, ja zaś nie będę na tyle nietaktowna, aby o nią poprosić.

— Ale ja, łaskawa pani — rzekł Monte Christo wstając — będę na tyle elegancki, aby ofiarować ją pani.

— Och! Panie hrabio!

— Tylko pamiętaj pani, że słabsza doza — to lekarstwo, a silniejsza to trucizna. Jedna kropla przywraca życie, jak to pani widziałaś; pięć albo sześć zabiłoby niechybnie, a tym zdradliwiej, że rozpuszczone w winie nie zmieniłoby absolutnie jego smaku. Ale więcej nie powiem, i tak już wyglądam na pani doradcę.

Wybiło pół do siódmej. Lokaj oznajmił, że przyjaciółka pani de Villefort przybyła do niej na obiad.

— Gdybym miała honor widzieć pana hrabiego po raz trzeci i czwarty, a nie po raz wtóry — rzekła pani de Villefort — i gdybym miała honor być pańską dobrą znajomą, a nie osobą w stosunku do pana zobligowaną, chociaż to prawdziwe szczęście, zatrzymałabym pana na obiad i niełatwo bym ustąpiła, jeślibyś pan odmówił.

— Najserdeczniejsze dzięki, pani prokuratorowo, ale przyjąłem już inne zaproszenie i nie mogę zrobić zawodu. Obiecałem mojej dobrej znajomej, księżniczce greckiej, że zawiozę ją dziś na spektakl. Nie widziała jeszcze paryskiej Opery, a liczy na mnie.

— No cóż, trudno, ale nie zapomnij pan p recepcie.

— Ależ, łaskawa pani, tym samym musiałbym zapomnieć o naszej godzinnej rozmowie, a to nie do pomyślenia.

Hrabia skłonił się i wyszedł. Pani de Villefort zadumała się.

— Dziwny człowiek — powiedziała do siebie — i coś mi się widzi, że naprawdę to on nazywa się Adelmonte.

Rezultat wizyty przeszedł oczekiwania hrabiego.

— Dobry grunt — powiedział do siebie — jestem pewien, że ziarno tam rzucone nie zginie.

A nazajutrz dotrzymał obietnicy i przysłał receptę.

15. ROBERT DIABEŁ

Przedstawienie w Operze stanowiło tym lepszą wymówkę, iż wieczorem miała się tam odbyć uroczystość Akademii Muzycznej.

Levasseur po długiej chorobie miał znów śpiewać rolę Bertrama, a występ modnego maestra ściągnął jak zwykle śmietankę towarzystwa paryskiego.

Morcerf, jak większość bogatych młodzieńców, miał swój fotel na parterze, prawo wstępu do „łóży lwów”, a ponadto mógł zawsze poprosić o miejsce w łoży kogoś ze znajomych.

Fotel Château-Renauda sąsiadował z fotelem Morcerfa.

Beauchamp, jako dziennikarz, był królem sali i mógł zasiąść, gdzie mu się podobało.

Lucjan Debray dysponował tego wieczoru łożą ministra. Ofiarował ją hrabiemu de Morcerf, ale że Mercedes odmówiła, Morcerf przesłał kartę wstępu Danglarsowi, zapowiadając, iż jeśli jego panie przyjmą łożę, odwiedzi je pod koniec spektaklu.

Baronowa i jej córka nie odmówiły oczywiście.

Nikt nie jest bardziej łasy na darmową łożę niż milioner.

Ale Danglars oświadczył, iż godność i przekonania polityczne deputowanego z opozycji wzbraniają mu pokazywać się w łoży ministra.

Jakoż baronowa napisała do Lucjana Debray, aby wstąpił po nią, nie mogła bowiem sama pojechać z Eugenią do Opery.

Gdyby obie panie zasiadły w łoży same, uznano by to za krok bardzo niestosowny; ale nikt nie widział w tym nic złego, że panna Danglars udawała się do Opery z matką i jej kochankiem — trzeba brać ludzi takimi, jakimi są.

Kurtyna podniosła się przed salą jak zwykle pustą w połowie.

Elegancki świat Paryża ma przeróżne obyczaje: z reguły, na przykład, spóźnia się do teatru. Dlatego ci, którzy przybyli na czas, nie słuchają sztuki i nie patrzą na scenę, ale na spóźnionych widzów, a słyszą tylko trzaskanie drzwiami i szmer pogawędek.

— Patrz, patrz! — ozwał się nagle Albert, kiedy otworzyły się drzwi którejs łoży bocznej pierwszego rzędu. — Hrabina G...

— A cóż to za jedna? — spytał Château-Renaud.

— Tego pytania, mój baronie, ci nie daruję; nie Wiesz kto to taki hrabina G...?

— A prawda! To ta śliczna Wenecjanka.

— Jakbyś zgadł.

W tymże momencie hrabina G... spostrzegła Alberta — wymienili ukłony i uśmiechy.

— To wy się znacie? — rzekł Château-Renaud.

— Tak. Franz przedstawił mnie jej w Rzymie.

— A nie wyświadczyłbyś mi podobnej przysługi w Paryżu?

— Z przyjemnością.

— Psst! — próbował ich ktoś uciszyć.

Gawędzili dalej, nie przejmując się, że ktoś na parterze chciałby posłuchać muzyki.

— Była na wyścigach, na Polu Marsowym — powiedział Château-Renaud.

— Dziś?

— Tak.

— A rzeczywiście, to dziś były wyścigi. Postawiłeś co?

— Nie warto mówić, pięćdziesiąt ludwików.

— A który koń wygrał?

— Nautilus. Właśnie na niego postawiłem.

— Ale przecież były trzy biegi...

— Tak, o nagrodę Jockey-Clubu: puchar złoty. Wydarzyło się nawet coś osobliwego.

— No cóż tam znowu?

— Cicho! — zniecierpliwiał się ktoś.

— No cóż tam znowu? — powtórzył Albert.

— Koń i dżokej nikomu nie znani wygrali ten bieg.

— Co takiego?

— No, mówię ci. Nikt nie zwrócił uwagi na konia wpisanego pod imieniem Vampa i na dżokeja noszącego pseudonim Hiob, gdy nagle wysunął się na czoło wspaniały kasztan, a na nim dżokej nie większy od pięści; choćbyś mu wsadził w kieszenie dwadzieścia funtów ołowiu, i tak wzięłyby o trzy długości Ariela i Barbara, które biegiły z nim razem.

— I nie wiadomo, czyj to był koń i czyj dżokej?

— Nie.

— Powiadasz, że koń nazywał się...

— Vampa.

— No to jestem górą: wiem, czyj to był koń.

— Cicho tam! — krzyknął ktoś po raz trzeci z parteru.

Nastąpiło poruszenie tak wielkie, iż młodzieńcy zorientowali się, że to do nich się zwracano.

Rozglądali się przez chwilę szukając tego, kto pozwolił sobie wobec nich na tę rzekomą impertynencję, ale że nikt nie zwrócił im ponownie uwagi, skierowali wzrok na scenę.

W tejże chwili otwarto lożę ministra. Pani Danglars, jej córka i Lucjan Debray zajęli miejsca..

— A — ozwał się Château-Renaud — przyszły twoje znajome. Czemuż, u diabła, patrzysz na prawo? Szukają cię.

Albert obrócił się i wzrok jego spotkał się ze wzrokiem baronowej Danglars. Poruszyła lekko wachlarzem, na znak powitania.

Czarne i wielkie oczy panny Eugenii ledwie raczyły zniżyć się ku przednim rzędom parteru.

— Doprawdy, nie rozumiem, mój drogi — ozwał się Château-Renaud — pominąwszy mezalians, bo nie dbasz o to, nie rozumiem, co ty masz właściwie przeciw pannie Danglars; bo przecież ona jest bardzo piękna.

— Owszem, bardzo piękna, ale, jeśli idzie o urodę, wolałbym obiekt mniej kanciasty, a bardziej kobiecy.

— E, bo tej dzisiejszej młodzieży — odparł Château-Renaud, który mając trzydziestkę lubił traktować Alberta z ojcowska — trudno dogodzić. Wyszukali ci, kochasiu, pannę zbudowaną jak Diana łowczyni, a ty jeszcze wybrzydzasz?

— Ano właśnie: wolałbym Wenus miłońską. Ta Diana łowczyni, przebywając ustawicznie wśród nimf, przeraża mnie trochę. Boję się, żeby nie obeszła się ze mną jak z Akteonem.

Rzuciwszy okiem na pannę Eugenię, zrozumiemy stanowisko uczuciowe pana Alberta.

Panna Danglars była urodziwa, ale — jak się wyraził Morcerf — za mało kobieca; włosy jej czarne, o pięknym odcieniu, układały się w naturalne pukle, ale z koafiury tej przezierał jakiś nieład, na który ręka daremnie usiłowała zaradzić; wspaniałe czarne brwi nad czarnymi oczyma miały tylko tę wadę, że marszczyły się czasem, nadając spojrzeniu stanowczość, która dziwiła u kobiet; nos Eugenii cechowały dokładnie te same proporcje, jakie rzeźbiarz nadał nosowi Junony; usta miała za szerokie, a białe ząbki podkreślały karmin warg nazbyt żywo odcinających się od śnieżnej karnacji; na koniec pieprzyk w kącie ust, prawie czarny i większy, niżli bywają zazwyczaj owe znamiona stanowiące

kaprys natury, uwydatniał w tej fizjonomii ostrość, która nieco płoszyła Alberta. A zresztą cała postać Eugonii harmonizowała z rysami jej twarzy.

Przypominała — jak powiedział Château-Renaud — Dianę łowczynię, ale miała urodę bardziej męską i była bardziej muskularną.

Edukacji, jaką otrzymała, można by postawić jeden zarzut: odpowiadała ona wyglądowni Eugonii, była edukacją raczej męską.

Panna Danglars mówiła paroma językami, komponowała wiersze i utwory muzyczne.

Ale do muzyki miała zamiłowanie szczególne, a studiowała ją wespół z koleżanką jeszcze z pensji, dziewczyną ubogą, lecz, jak zapewniano, obdarzoną talentem śpiewaczym, rokującym najświetniejszą przyszłość.

Pewien znakomity kompozytor, kochający ową pannę podobno niemal jak córkę, kształcił jej głos, w przekonaniu, iż da on kiedyś uczennicy fortunę.

Panna Danglars przyjmowała pannę Ludwikę d'Armilly — tak bowiem nazywała się młoda wirtuozka — u siebie w domu, lecz nie pokazywała się z nią nigdy publicznie, zważywszy, iż przyjaciółkę czekała kariera sceniczna.

Z tym wszystkim, choć nie traktowano jej w domu bankiera na równi z innymi przyjaciółkami Eugonii, panna Ludwika miała tam pozycję wyższą niżli pozycja zwykłej nauczycielki.

Ledwie pani Danglars usadowiła się w łoży, kurtyna opadła, a po chwili pierwsze rzędy opustoszały prawie, gdyż długi półgodzinny antrakt pozwalał na przechadzkę po foyer i na składanie wizyt.

Morcerf i Château-Renaud wyszli jedni z pierwszych.

Pani Danglars zdawało się przez chwilę, iż Albert pośpieszył się tak bardzo, by złożyć jej uszanowanie — nachyliła się do ucha córki, zapowiadając jego wizytę; lecz panna uśmiechnęła się tylko i potrząsnęła przecząco głową; w tymże momencie, jakby na dowód, iż Eugenia miała rację, Morcerf pojawił się w jednej z łoż bocznych pierwszego rzędu.

Była to łoża hrabiny G...

— A, witaj mi, panie podróżny — rzekła hrabina podając mu rękę serdecznie, jak staremu znajomemu. — Bardzo miło, żeś mnie pan poznał, a zwłaszcza wyróżnił pierwszą tutaj wizytą.

— Niech mi pani wierzy, że gdybym znał pani adres paryski, odwiedziłbym ją niezwłocznie, zaraz po jej przybyciu. Ale niechże pani hrabina pozwoli, abym przedstawił jej barona de Château-Renaud, mojego przyjaciela, a jednego z ostatnich potomków prawdziwej francuskiej szlachty. Powiedział mi, że była pani na wyścigach na Polu Marsowym.

Château-Renaud skłonił się.

— To był pan na wyścigach? — spytała żywo hrabina.

— Tak, pani.

— A nie wiesz pan aby, do kogo należał koń, który wziął nagrodę Jockey--Clubu?

— Nie, pani hrabino, i właśnie przed chwilą pytałem o to Alberta.

— A czy pani hrabinie specjalnie na tym zależy? — zagadnął Albert.

— Na czym?

— Aby się dowiedzieć, kto był właścicielem konia.

— Jak najbardziej. Bo wyobraź pan sobie... Czyżbyś pan wiedział?

— Ale chciała mi pani coś powiedzieć. Powiedziała pani „wyobraź pan sobie”.

— A więc, wyobraź pan sobie, że ów prześliczny kasztan i mały ładniutki dżokej w różowym kubraku obudzili we mnie od pierwszego wejrzenia tak gorącą sympatię, że m prosiła Boga, aby wygrali, jakbym postawiła na nich pół swojego majątku; toteż kiedym ujrzała, jak dopadali mety wyprzedzwszy o trzy długości swoich współzawodników, o mało nie oszalałam z radości i dałam im brawo. Imaginujcie sobie, panowie, moje zdumienie, kiedy w domu spotkałam na schodach owego różowego dżokeja. Myślałam, że zwycięzca wyścigu mieszka w tym samym domu co ja, ale otworzywszy drzwi salonu, ujrzałam złoty puchar, którym nagrodzono tajemniczego konia i dżokeja. W pucharze był karteluszek i takie oto słowa:

„Dla hrabiny G... od lorda Ruthwena”.

— Wszystko się zgadza — rzekł Albert.

— Jak to się zgadza? Nie rozumiem.

— Był to lord Ruthwen we własnej osobie.

— Jaki znowu lord Ruthwen?

— No, nasz wampir z teatru Argentina.

— Doprawdy? To on jest w Paryżu?

— A tak.

— I pan go widzisz? Bywacie u siebie?

— To mój serdeczny przyjaciel, a i Château-Renaud miał zaszczyt go poznać.

— A z czegoż pan wnosisz, że to on wygrał?

— Koń nazywa się Vampa.

— No i cóż z tego?

— Nie przypomina sobie pani, jak nazywał się słynny bandyta, który mnie uwięził?

— A rzeczywiście.

— A z którego rąk hrabia wyratował mnie cudownym sposobem?

— Tak, tak.

— Nazywał się Vampa. A więc nie ma tu żadnych wątpliwości.

— Ale czemuż przysłał ten puchar akurat mnie?

— Przede wszystkim dlatego, że, jak się pani hrabina winna spodziewać, wiele mu o niej opowiadałem, a następnie był zachwycony, że spotkał rodaczkę, która okazała mu niejaki zainteresowanie.

— Spodziewam się, żeś nie powtórzył mu pan tego, cośmy o nim pletli.

— Tego bym nie przysiągł, bo skoro przysłał pani ów puchar jako lord Ruthwen...

— Ależ to okropne! Znienawidzi mnie śmiertelnie.

— E, przecież nie zachował się jak wróg.

— No tak.

— Widzi pani.

— To on jest w Paryżu?

— Jest.

— I jakież tu wywołał wrażenie?

— Mówiono o nim tydzień, ale potem była koronacja królowej angielskiej i ktoś ukradł diamenty pannie Mars, to i zmieniono temat rozmowy.

— Mój drogi — ozwał się Château-Renaud — widać, że hrabia jest twoim przyjacielem, boś już do niego przywykł. Niech mu pani hrabina nie wierzy: przeciwnie, cały Paryż mówi tylko o hrabi Monte Christo. Zaczął od tego, że przysłał baronowej Danglars parę koni za trzydzieści tysięcy franków, a następnie ocalił życie pani de Villefort; a potem wygrał wyścig Jockey-Clubu. Jestem odmiennego zdania niż Albert: wszyscy w obecnym momencie interesują się hrabią, a interesować się nim będą i za miesiąc, jeśli nadal prowadził będzie ów ekscentryczny, a zdaje się u niego zwykły, tryb życia.

— Możliwe — odrzekł Morcerf. — Nie wiesz aby, kto odziedziczył łożę ambasadora rosyjskiego?

— Która to? — spytała hrabina.

— Tam, w pierwszym rzędzie, między kolumnami. Chyba ją odnowiono.

— A tak — ozwał się Château-Renaud. — Był tam kto podczas pierwszego aktu?

— Gdzie?

— No, w tej łoży.

— Nie zauważyłam nikogo — powiedziała hrabina. — A więc — tu nawróciła do tematu — myślisz pan, że to ten pański hrabia de Monte Christo wygrał puchar?

— Jestem pewien.

— A kto mi go przysłał?

— On.

— Ależ ja go nie znam i korci mnie, żeby odesłać mu ten prezent.

— O, niech pani tego nie robi, bo przyśle pani inny podarek — rżnięty w szafirze albo wydrążony w rubinie. Taki on już jest i nic na to nie poradzimy.

W tymże momencie dzwonek zapowiedział akt drugi. Albert wstał, aby wrócić na swoje miejsce.

— Zobaczmy się jeszcze? — spytała hrabina.

— Jeśli pani pozwoli, wstąpię w którymś antrakcie, aby się dowiedzieć, czy nie mógłbym być pani przydatnym w Paryżu.

— Moi panowie, mieszkam przy ulicy Rivoli dwadzieścia dwa, a sobotnie popołudnia rezerwuję dla przyjaciół. Będziecie mile widziani.

Młodzi ludzie skłonili się i wyszli.

Wróciwszy na salę spostrzegli, że oczy wszystkich były utkwione w jednym punkcie.

Spojrzeni więc tam: to loża ambasadora rosyjskiego skupiła powszechną uwagę.

Wszedł właśnie do niej mężczyzna czarno ubrany, lat około czterdziestu, a z nim kobieta w szatach wschodnich.

Olśniewająca była jej uroda, a strój tak bogaty, że, jakeśmy to powiedzieli, wszyscy utkwili oczy w jednym punkcie.

— O! — rzekł Albert — to Monte Christo ze swoją Greczynką. Istotnie byli to hrabia i Hayde.

Po chwili młodej kobiecie przyglądał się nie tylko parter, wpatrywała się w nią cała sala.

Panie wychylały się z łóż, jak gdyby urzeczone kaskadą diamentów iskrzących się w świetle kinkietu.

W czasie drugiego aktu słychać było nieprzerwany szmer rozmów, świadczący, iż tę cizbę poruszył jakiś niezwykły ewenement.

Nikt nie myślał protestować.

Nie było ciekawszego widoku niżli ta kobieta młodziutka olśniewającej urody.

Tym razem baronowa Danglars dała wyraźnie Albertowi do zrozumienia, że życzy sobie, aby odwiedził ją w następnym antrakcie.

Morcerf był nazbyt dobrze wychowany, aby nie zareagować na ten wyraźny znak.

Kiedy kurtyna zapadła, pośpieszył tam, gdzie go oczekiwano.

Skłonił się obu damom i uściśnął dłoń Debraya.

Baronowa powitała go czarującym uśmiechem, a panna Eugenia ze zwykłym chłodem.

— Dalibóg, mój drogi — ozwał się Debray — czekam na ciebie jak na zbawienie. Pani baronowa zasypuje mnie pytaniami dotyczącymi hrabiego, a ja właściwie pojęcia nie mam, kto on zacz; gdybym był Cagliostrem, może jakoś zadowolilibym panią baronową, ale że nie jestem, odpowiedziałem: racz pani zwrócić się do Alberta, gdyż on zna Monte Christa jak samego siebie; dlatego cię przywołano.

— Niesłychane! — rzekła baronowa. — Kto ma do dyspozycji pół miliona tajnego funduszu, mógłby więcej wiedzieć.

— Niech mi pani wierzy — odparł Lucjan — że gdybym dysponował takim funduszem, nie używałbym go na zbieranie informacji o panu hrabi de Monte Christo, który według mnie jest dwakroć bogatszy niż nabab, ale poza tym na uwagę nie zasługuje; ale oddaję głos przyjacielowi mojemu, Albertowi; niechże go pani wypytuje, a ja tymczasem odpocznę.

— Nabab z pewnością nie przysłałby mi pary koni za trzydzieści tysięcy franków, nie mówiąc o czterech diamentach po pięć tysięcy każdy, którymi ozdobił uprzęż.

— O, bo diamenty — roześmiał się Morcerf — to jego mania. Gotów jestem pomyśleć, że hrabia, podobnie jak Potemkin, ma ich zawsze pełne kieszenie i że znaczy nimi swój ślad, jak Tomcio Paluch kamyczkami.

— A może odkrył kopalnię diamentów. Gzy wiesz pan — zagadnęła baronowa — że ma w banku mojego męża kredyt nieograniczony?

— O tym nie wiedziałem — odparł Albert — ale to całkiem naturalne.

— Oświadczył mojemu mężowi, że zamierza posiedzieć w Paryżu rok i wydać przez ten czas sześć milionów.

— To w takim razie szach perski podróżujący incognito.

— Zauważył pan, panie Lucjanie, tę prześliczną kobietę? — zagadnęła Eugenia.

— Chyba jedynie pani, panno Eugenio, umie oddać sprawiedliwość osobom swojej płci.

Lucjan przyłożył monokl do oka.

— Niezwykła uroda! — rzekł.

— Wie pan, panie Albercie, kto to taki? — spytała.

— Po trosze tak, panno Eugenio — odrzekł Albert — bo trudno wiedzieć coś dokładnie o naszym tajemniczym hrabi. To Greczynka.

— To widać z jej stroju. Objawiłeś pan nam to, co spostrzegłyśmy już, tak samo jak i cała sala.

Przykro mi, że wiem tak mało, ale cóż, muszę wyznać, że do tego ograniczają się moje wiadomości; no, wiem jeszcze, że lubi muzykę, bo jednego dnia, kiedy byłem na śniadaniu u hrabiego, słyszałem gusłę. To na pewno grała Greczynka.

— Więc ten pański hrabia urządza śniadania? — zaciekała się pani Danglars.

— I to wspaniale, zaręczam pani.

— Muszę namówić małżonka, aby wydał na jego cześć jakiś obiad czy bal: skłonimy go wtedy do rewanżu.

— No, no! To pani poszłaby do niego? — roześmiał się Debray.

— Z mężem, a dlaczegoż by nie?

— Bo tajemniczy hrabia to kawaler.

— A właśnie, że nie — roześmiała się z kolei baronowa, wskazując na Greczynkę.

— To podobno jego niewolnica. Pamiętasz, Albercie, mówił nam o tym u ciebie na śniadaniu? — rzekł Debray.

— Przyznaj, drogi panie Lucjanie, że wygląda raczej na księżniczkę — zauważyła baronowa.

— Z „Tysiąca i Jednej Nocy”.

— Tego nie mówię. Ale po czym poznaje się księżniczkę? Po diamentach. A ona, drogi Lucjanie, jest nimi okryta.

— Ma ich nawet za wiele — wtrąciła Eugenia. — Ładniejsza byłaby bez nich. Byłoby lepiej widać jej prześliczne dłonie i szyję.

— Ach, ty artystko! — zawołała pani Danglars. — Już cię ponosi.

— Bo ją, tak kocham piękno — odparła Eugenia.

— A cóż w takim razie powiesz o hrabi? — zagadnął Debray. — Bo wydaje mi się wcale przystojny.

— Hrabia? — rzekła Eugenia takim tonem, jakby jeszcze nie raczyła nań spojrzeć. — E, taki bladej.

— Otóż i to — powiedział Morcerf. — Nie możemy dociec sekretu tej bladej. Hrabina G... utrzymuje, że to bladej wampira.

— To hrabina G... wróciła? — spytała baronowa.

— Siedzi, mamu, w tamtej łoży, prawie naprzeciw nas — ozwała się Eugenia. — Ta dama o przepysznych jasnych włosach to ona.

— Tak, tak — odparła pani Danglars. — A pan, panie Albercie, nie wiesz, co masz uczynić?

— Jestem na rozkazy pani baronowej.

— Złóż pan, z łaski swojej, wizytę hrabiemu i przyprowadź nam go tutaj.

— A to po. co? — zdziwiła się Eugenia.

— Żebyśmy z nim pogawędzili. Nie jesteś go ciekawa?

— Nic a nic.

— Dziwaczka z ciebie — obruszyła się baronowa.

— O, na pewno przyjdzie sam — rzekł Albert. — Właśnie zobaczył panią baronową, kłania się... Baronowa odwzajemniła ukłon, uśmiechając się zalotnie.

— No to się poświęcę — oznajmił Albert. — Pójdę, może uda mi się z nim pomówić.

— To całkiem proste: niech pan pójdzie do jego łoży.

— Ależ nie przedstawił mnie dotąd.

— Komu?

— Greczynce.

— Sam pan mówiłeś, że to niewolnica.

— Tak, ale pani sama utrzymujesz, że to księżniczka... Hm... No, jak zobaczy, że stąd wyszedłem, to i on chyba wyjdzie.

— Możliwe. Idź pan.

— Idę.

Skłonił się i wyszedł.

Rzeczywiście, kiedy mijał łożę hrabiego, otworzyły się drzwi.

Hrabia rzekł coś po arabsku do Alego, który stał na korytarzu, i wziął Alberta pod ramię.

Ali zamknął drzwi i stanął przed nimi; wokół Nubijczyka zgromadzili się gapie.

— Doprawdy — rzekł Monte Christo — szczególne miasto ten wasz Paryż, a ci pańscy paryżanie to szczególny naród. Myślałbyś, że pierwszy raz widzą Nubijczyka. Patrz pan, jak cisną się wokół Alego, a biedak nie wie, co to znaczy. Ręczę panu, że w Tunisie, Konstantynopolu, Bagdadzie czy Kairze paryżanin nie wywoła zbiegowiska.

— Bo pańscy ludzie Wschodu są rozsądni i przyglądają się tylko temu, co zasługuje na uwagę; ale niech pan wierzy, Ali cieszy się taką popularnością, gdyż należy do pana, a pan jesteście obecnie w modzie.

— Niebyswałe! I komuż zawdzięczam to wyróżnienie?

— Samemu sobie. Rozdarowujesz pan zaprzęgi za tysiąc ludwików; ratujesz pan życie prokuratorowym; jako major Black trzymasz pan konie wyścigowe czystej krwi i dżokejów nie większych niż małpki; zdobywasz pan złote puchary i posyłasz je pięknym kobietom.

— A któż, u diabła, naopowiadał panu tyle bredni?

— Przede wszystkim pani Danglars, która oddałaby życie, żeby zobaczyć pana w swojej łoży, a raczej żeby wszyscy pana tam zobaczyli; następnie gazeta, do której pisuje Beauchamp; a wreszcie, domyślam się sam tego i owego. Po kiego licha nazywasz pan swojego konia Vampą, jeśli pragniesz zachować incognito?

— Owszem, popełniłem nieostrożność. Ale powiedz mi pan, czy pański szanowny ojciec nie bywa czasami w Operze? Wypatruję go, ale nigdzie nie widzę.

— Przyjdzie tu dziś.

— A gdzie siądzie?

— Zdaje się, że w łoży baronowej.

— Gzy ta czarująca osoba obok niej to jej córka?

— Tak.

— Wobec tego gratuluję. Albert uśmiechnął się.

— Pomówimy o tym później szczegółowo — rzekł. — Jak się panu podoba muzyka?

— Jaka muzyka?

— No ta, którą pan słyszałeś...

— Doskonała, jak na muzykę skomponowaną przez człowieka. Śpiew też piękny, jeśli wziąć pod uwagę, że śpiewakami są ptaki dwunożne i bezpióre, jak mawiał nieboszczyk Diogenes.

— E, gotówem pomyśleć, drogi hrabio, że słuchasz siedmiu chórów anielskich, kiedy ci przyjdzie ochota.

— Nie takie to dalekie od prawdy. Kiedy chcę posłuchać prześlicznej muzyki, muzyki, jakiej, drogi hrabio, ucho nie słyszało, zasypiam.

— No to lepiej hrabia trafić nie mógł: prześpij się pan w Operze, po to ją wynaleziono.

— O nie. Wasza orkiestra jest nazbyt hałaśliwa. Sen, o którym panu wspomniałem, wymaga ciszy i spokoju, a ponadto pewnych przygotowań...

— Słynnego haszyszu, nieprawdaż?

— Właśnie, mój drogi hrabio. Kiedy zechcesz pan posłuchać muzyki, przyjdź do mnie na kolację.

— Ależ ja słyszałem już muzykę, będąc u pana na śniadaniu.

— W Rzymie?

— Tak.

— E, to Hayde wygrywała na gusli. Biedna wygnanka gra mi czasem, dla własnej przyjemności, swoje melodie narodowe.

Albert nie nalegał więcej — a i hrabia zamilkł. W tejże chwili zadzwoniono.

— Wybacz mi pan — ozwał się hrabia, zwracając do łoży.

— Jak to?

— Niechże pan serdecznie pozdrowi hrabinę G... od jej wampira.

— A co z baronową?

— Powiedz jej pan, że dziś jeszcze pośpieszę do niej z uszanowaniem. Zaczął się akt trzeci.

Podczas aktu trzeciego hrabia de Morcerf zjawił się, jak był obiecał, w łoży baronowej Danglars.

— Hrabia nie zaliczał się do tych, co robią zamęt na sali; toteż nikt nie spostrzegł, jak przybył i zasiadł — oprócz tych, którzy zajmowali łożę.

Monte Christo zauważył go jednak i uśmiechnął się nieznacznie.

Hayde zapomniała o bożym świecie; wielbiła wszystko, co przemawia do wyobraźni — jak każda natura pierwotna.

Akt trzeci rozgrywał się na scenie.

Panna Noblet, panna Julia i Leroux tańczyli.

Robert Mario wyzwał księżęcia Grenady.

Ów dostojny władca trzymał córkę za rękę i obchodził komnatę, aby popisać się aksamitnym płaszczem.

Kurtyna zapadła, publiczność jęła cisnąć się do foyer i na korytarze.

Hrabia wyszedł z łoży i po chwili zjawił się u baronowej Danglars.

Baronowa nie zdołała powstrzymać okrzyku radości połączonej z lekkim zdziwieniem.

— A, nareszcie, nareszcie! — zawołała. — Bardzo mi było pilno uzupełnić mój list podziękowaniem osobistym.

— O, że też pani baronowa pamięta jeszcze o tej bagatelce, bo ja już zapomniałem.

— Pamiętam, a nigdy nie zapomnę, że nazajutrz ocaliłeś pan życie mojej serdecznej przyjaciółce, pani de Villefort, kiedy te konie poniosły.

— I tym razem, łaskawa pani, nie zasługuję na podziękowanie; to Ali, mój Nubijczyk, miał szczęście wyświadczyć pani de Villefort ową znakomitą przysługę.

— Czy to także Ali — zagadnął hrabia de Morcerf — wybawił mego syna z rąk zbójceckich?

— Nie, panie hrabio — odrzekł Monte Christo ściskając dłoń, którą podał mu Morcerf — nie, tym razem zapisuję podziękowanie na mój rachunek; ale już mi pan dziękowałeś, ja podziękowania przyjąłem, niechże więc pan generał nie zawstydz mnie tą wciąż żywą wdzięcznością. Niechże pani baronowa raczy mnie przedstawić panie baronównie.

— Ależ ona już pana hrabiego zna, przynajmniej z nazwiska, gdyż od paru dni mówimy jedynie o panu. Eugenio — tu zwróciła się do córki — pan hrabia de Monte Christo.

Hrabia skłonił się.

Panna Danglars lekko skinęła głową.

— Towarzyszy pan hrabia prześlicznej osobie — rzekła. — Czy to pańska córka?

— Ależ nie — odparł Monte Christo zdumiony tym naiwnym, a zarazem obcesowym pytaniem — to nieszczęśliwa Greczynka, którą się opiekuję.

— A jak jej na imię?

— Hayde.

— Greczynka! — ozwał się generał.

— Tak, mój hrabio — odrzekła pani Danglars. — Powiedz pan, czy widziałeś kiedy na dworze Ali Tebelina, któremu służyłeś z nadzwyczajnym poświęceniem, strój równie piękny?

— To pan byłeś w Janinie? — zagadnął Monte Christo.

— Tak, jako generał byłem tam instruktorem wojskowym — oświadczył Morcerf — i nie taję, że fortunę swoją zawdzięczam hojności tego znakomitego wodza albańskiego, jakim był Tebelin pasza.

— Ale niechże pan spojrz! — nalegała pani Danglars.

— Na kogo? — wybełkotał Morcerf.

— O tam! — powiedział Monte Christo.

I objąwszy generała wychylił się razem z nim z łoży.

W teże chwili Hayde, rozglądając się za Monte Christem, dostrzegła jego bladą twarz obok twarzy Morcerfa.

Widok ten podzielał na Greczynkę tak, jakby zobaczyła głowę Gorgony.

Rzuciła się naprzód, pozerając obu wzrokiem — a po chwili cofnęła się krzyknawszy słabo, ale tak przejmująco, że posłyszeli to sąsiedzi, a także Ali. Natychmiast otworzył drzwi.

— O, cóż to się stało pańskiej pupilce, panie hrabio? — spytała Eugenia. — Jakby zachorowała nagle.

— Niech się tym pani nie przeraża — odpowiedział hrabia. — Hayde jest bardzo nerwowa, a więc zbyt mocno reaguje na niemiłe jej zapachy, mam na myśli perfumy. Gotowa zemdleć poczuwszy woń, która ją razi. Ale mam na to lek — dodał dobywając jakiś flakonik z kieszeni.

Skłonił się damom, uściśnął rękę Morcerfowi i Debrayowi i wyszedł. Kiedy wrócił do swojej łóż, Hayde była jeszcze bardzo błada — i ledwie się zjawił, chwyciła go za rękę.

Zauważył, iż dłonie dziewczęcia były wilgotne, a zarazem lodowate.

— Z kim rozmawiałeś, panie? — spytała.

— Z hrabią de Morcerf, który był w służbach twojego wielkiego ojca i przyznaje, że jemu to zawdzięcza fortunę.

— A, nędznik! — zawołała Hayde. — On to sprzedał mojego ojca Turkom. Dorobił się tej fortuny na zdradzie. Nie wiedziałeś o tym, panie mój umiłowany?

— Słyszałem już coś o tym w Epirze, ale szczegółów nie znam. Chodźmy, moje dziecko, opowiedz mi o nich, to musi być zajmujące.

— O tak, chodźmy, chodźmy! Umarłabym chyba, pozostając dłużej tu, naprzeciw tego człowieka.

Hayde wstała szybko, owinęła się w kaszmirowy burnus naszywany perłami i koralami i wyszła spieszenie, kiedy podnosiła się kurtyna.

— No i widzi pan, jaki to dziwak! — rzekła hrabina G... do Alberta, który znów jej asystował. — Słucha z nabożeństwem aktu trzeciego, a wychodzi, kiedy rozpoczyna się czwarty.

16. HOSSA I BESSA

W kilka dni po tym spotkaniu Albert złożył wizytę hrabiemu de Monte Christo w jego domu na Polach Elizejskich. Był to właściwie pałac, taki bowiem wygląd — dzięki olbrzymiej fortunie — hrabia nadawał swoim choćby tymczasowym rezydencjom.

Przystała go tu pani Danglars, aby powtórzył raz jeszcze podziękowania, choć dała im już wyraz w liście podpisanym: baronowa Hermina Danglars, z domu de Servieux.

Towarzyszył mu Lucjan Debray. I on także dołączył do słów przyjaciela parę komplementów, a choć nie wystąpił „oficjalnie”, hrabia, człek bystry, domyślił się łącznie, w czym Debray przemawia imieniu.

Wydawało mu się nawet, że Debray zjawił się u niego, w połowie tylko kierując się własną ciekawością — młodego człowieka przysłał ktoś nie mniej ciekawy, a zamieszkały na Chaussée-d'Antin.

Mógł tedy przypuszczać, nie lękając się omyłki, że pani Danglars, nie mogąc obejrzeć na własne oczy mieszkania kogoś, kto rozdarowywał konie po trzydzieści tysięcy franków para i bywał w Operze z niewolnicą Greczynką, mającą na sobie diamentów za milion, wyprawiła tu Lucjana, którego oczyma zwykle oglądała świat, aby zobaczył ów apartament i podzielił się z nią spostrzeżeniami.

Ale hrabia nie zdradził niczym, iż domyśla się związku między odwiedzinami Lucjana a ciekawością baronowej.

— Widujesz się pan z baronem Danglarsem prawie co dzień? — zagadnął Alberta.

— Tak, panie hrabio, bo jak wspominałem już panu...

— To te projekty wciąż jeszcze są aktualne?

— Bardziej niż kiedykolwiek — wtrącił Lucjan — sprawa zdecydowana.

I sądząc zapewne, że wmieszawszy się na chwilę do rozmowy, może sobie darować jej ciąg dalszy, wetknął w oko szylkretowy monokl i gryząc złotą gałkę laseczki, jął krążyć po pokoju i przyglądać się obrazom i rozwieszanej tu zbroi.

— Ach tak! — zdziwił się Monte Christo. — Nie przypuszczałem, sądząc z pańskich słów, że sprawa zdecyduje się tak szybko.

— Cóż robić! Sprawy posuwają się wciąż naprzód, choć się tego nie domyślamy; zapominamy o nich, ale one nie zapominają o nas; a gdy się człowiek obejrzy, zdumiewa go, że posunęły się tak daleko. Mój ojciec i pan Danglars służyli razem w Hiszpanii; ojciec był na froncie, a pan Danglars w

intendenturze. Ojca mego zrujnowała rewolucja, pan Danglars nie miał nigdy żadnego majątku rodowego, obaj więc rozpoczęli podówczas karierę. Ojciec — wojskową i polityczną, a bardzo ona piękna; pan Danglars — finansową i polityczną, wprost zadziwiającą.

— Tak, tak, zdaje się, że pan Danglars napomknął mi o tym, kiedy byłem u niego z wizytą. A ładna jest ta panna Eugenia? — tu zerknął na Lucjana, który przeglądał album. — Bo o ile sobie przypominam, na imię jej Eugenia.

— Bardzo ładna, a raczej bardzo piękna, tylko że jakoś nie umiem poznać się na tej urodzie. Nie jestem jej godny.

— Mówisz pan tak, jakbyś już był jej mężem!

— O! — westchnął Albert oglądając się; i on chciał zobaczyć, co robi Lucjan.

— Coś nie entuzjasmujesz się pan tym mariażem — powiedział Monte Christo ścisząc głos.

— Panna Eugenia jest dla mnie za bogata, przeraża mnie to.

— Ba! To mi argument! A pan nie jesteś bogaty?

— Ojciec ma z pięćdziesiąt tysięcy liwrów renty, da mi, żeniąc mnie, dziesięć do dwunastu tysięcy.

— No tak, to skromnie, zwłaszcza jak na Paryż; ale pieniądz nie o wszystkim decyduje na tym świecie, piękne nazwisko i wysoka pozycja towarzyska też coś warte. Masz pan przecież nazwisko świetne, a pozycję wspaniałą; pan hrabia de Morcerf jest żołnierzem, łączy się w nim nieskazitelność Bayarda z ubóstwem Du Guesclina, a to bardzo chwalebne; bezinteresowność to najpiękniejszy promień słońca, jaki może zabłysnąć na szlachetnym mieczu. Nie zgadzam się z panem — trudno by ci wyszukać lepszą partię: panna Danglars da panu fortunę, a ty jej szlachectwo!

Albert potrząsnął głową i zamyślił się.

— To jeszcze nie wszystko — rzekł.

— Nie rozumiem doprawdy, jak można mieć odrazę do ładnej i bogatej dziewczyny.

— Miły Boże! Odrza! Jeśli ona istnieje, to nie z mojej strony.

— No to z czyjej? Bo powiedziałeś mi pan, że twój ojciec życzy sobie tego małżeństwa.

— Ze strony mojej matki. Matka umie patrzeć roztropnie, a oko ma pewne. Owóż, nie uśmiecha jej się ten związek, żywi do Danglarsów jakieś uprzedzenie.

— E — odparł hrabia tonem nieco sztucznym — to zrozumiałe; pani hrabina, jako arystokratka, uosobienie dystynkcji i subtelności, waha się trochę, czy dotknąć tej ręki chamskiej, grubej, ordynarnej. To naturalne.

— Nie wiem, czy naprawdę o to chodzi; wiem tylko, tak mi się przynajmniej wydaje, że rozpaczaliby, gdyby ten mariaż zawarto. Mieliśmy już nawet zebrać się przed sześciu tygodniami, żeby traktować o interesach, ale zacząłem dostawać dzień po dniu takiej migreny...

— Rzeczywiście? — uśmiechnął się hrabia.

— Ależ tak, ze strachu... że odłożono zebranie na dwa miesiące. Bo to nic pilnego, rozumie pan, mam dopiero dwadzieścia jeden lat, a Eugenia zaledwie siedemnaście, ale w przyszłym tygodniu upływa ów termin dwumiesięczny. Trzeba będzie się zdecydować. Wyobraża sobie drogi hrabia, w jakim jestem kłopotcie... Ach, szczęśliwy pan jesteś, bo wolny!

— A pan nie możesz być wolny? Któż panu przeszkadza, niech mi pan powie.

— Hm, gdybym nie ożenił się z panną Danglars, sprawiłbym zbyt wielki zawód ojcu.

— No to się pan żeń! — odparł hrabia, w szczególny sposób wzruszając ramionami.

— Tak, ale wtedy to będzie zawód dla matki, zawód i zgryzota.

— No to się pan nie żeń!

— Zobaczę jeszcze, zastanowię się; ale pan będziesz mi służył radą, nieprawdaż? I jeśli to możliwe, wybawisz mnie z kłopotu. O, myślę, że poróżniłbym się z ojcem, byle nie sprawić przykrości mojej ukochanej matce.

Monte Christo odwrócił się; był jakby wzruszony.

— A cóż pan tam robisz? — rzekł do Lucjana, który zapadłszy w fotel, na drugim końcu salonu, trzymał w ręce ołówek i notes. — Szkic, według Poussina?

— E, nie — odpowiedział z flegmą Debray — nazbyt kocham malarstwo. Nie szkicuję więc, ale sumuję.

— Sumujesz pan?

— Tak, a dotyczy to ciebie pośrednio, mój Albercie. Obliczam, ile bank Danglarsa zarobił na ostatniej hossie Haiti; w trzy dni z dwustu sześciu akcje skoczyły na czterysta dziewięć, a nasz mądry bankier nabył ich sporo po dwieście sześć. Musiał więc zarobić trzysta tysięcy.

— Niezgorsze posunięcie — rzekł Albert — ale miał już lepsze. Toć zarobił w tym roku milion na obligacjach hiszpańskich.

— Posłuchaj, kochasiu — rzekł Lucjan — pan hrabia powie ci, jak mawiają Włosi:

*Danaro e santia
Meta delia meta*

A to już wiele. Dlatego, kiedy ktoś opowiada mi podobne historyjki, wzruszam ramionami.

— Ale mówiłeś pan o Haiti — przerwał mu Monte Christo.

— O, Haiti to rzecz inna; w naszych spekulacjach giełdowych Haiti jest jak ecarte. Można lubić bouillotte, cenić wista, przepadać za bostonem, a jednak znudzić się nimi. Ale zawsze wracamy do ecarte; ecarte jest jak przystawka. Owóż pan Danglars sprzedał wczoraj po czterysta sześć, a zainkasował trzysta tysięcy; gdyby zaczekał do dziś, straciłby ze dwadzieścia pięć tysięcy, bo akcje spadły na dwieście pięć.

— A czemu spadły tak znacznie? — zapytał Monte Christo. — Darujcie mi, panowie, ale nie znam się nic na tych giełdowych intrygach.

— Bo — roześmiał się Albert — wiadomości następują po sobie, ale nie są do siebie podobne.

— O, do diabła! — zawołał hrabia. — Pan Danglars ryzykuje w jednym dniu trzysta tysięcy franków? To chyba krezus?

— To nie on ryzykuje — sprostował szybko Lucjan — to jego małżonka. Baronowa jest rzeczywiście nieustraszona.

— Ale ty, Lucjanie, człek rozsądny, świadom, że wiadomości bywają pewne, boć jesteś u ich źródła, winienesz ją powstrzymać — rzekł Albert z uśmiechem.

— Jakim cudem, skoro jej mąż tego nie potrafi? Znasz charakter baronowej; nikt nie ma na nią wpływu, robi zawsze tylko to, co zechce.

— E, na twoim miejscu...

— Cóż na moim miejscu?

— Wyleczyłbym ją, oddając tym samym przysługę jej przyszłemu zięciowi.

— I jakże byś to zrobił?

— Do licha! Nic łatwiejszego. Dałbym jej nauczki.

— Nauczki?

— A tak. Jesteś sekretarzem ministra, a więc autorytetem, jeśli idzie o wiadomości; ilekroć otworzysz usta, stenografowie giełdowi zapisują twoje słowa; postaraj się, żeby baronowa przegrała raz po raz po sto tysięcy franków, a stanie się ostrożniejsza.

— Nie rozumiem cię — wybełkotał Lucjan.

— Przecież to jasne jak słońce — rzekł Albert ze szczerą naiwnością. — Któregoś dnia podaj do wiadomości coś niebywałego, co sam wysiesz z palca. Na przykład, że Henryk IV odwiedził wczoraj Gabrielę; akcje skoczą, baronowa zaryzykuje jakąś sumkę i straci ją na pewno, gdyż Beauchamp napisze nazajutrz w swojej gazecie:

Ludzie skądinąd dobrze poinformowani nieśluszenie twierdzą, jakoby Henryk IV odwiedził wczoraj Gabrielę. Plotka ta wierutna. Król Henryk IV nie ruszył się z Nowego Mostu.

Lucjan roześmiał się sztucznie.

Monte Christo, na pozór obojętny, słuchał bacznie tej rozmowy, a bystre jego oko dostrzegło nawet pewną tajemnicę w zakłopotaniu sekretarza.

Zakłopotanie to uszło całkiem uwagi Alberta — a jednak było przyczyną, dla której Lucjan skrócił wizytę.

Czuł się nieswojo.

Hrabia, wyprowadzając go, szepnął mu kilka słów, na które Lucjan odpowiedział:

— Jak najchętniej, panie hrabio. Zgadzam się. Hrabia wrócił do Alberta.

— Czy nie myślisz pan — rzekł — zastanowiwszy się nad tym, żeś postąpił niewłaściwie, mówiąc tak o swojej teściowej wobec pana Debraya?

— Bardzo proszę — zachnął się Albert — aby pan hrabia nie nazywał jej tak zawczasu.

— Czy naprawdę, odpowiedz mi pan bez przesady, pańska matka jest aż tak przeciwna temu małżeństwu?

— Tak dalece, że baronowa bywa u nas rzadko, a nie wiem, czy matka odwiedziła ją choć dwa razy.

— No to ośmieliłeś mnie pan, mogę mówić otwarcie: pan Danglars jest moim bankierem, pan de Villefort wyświadczył mi nadzwyczajną grzeczność, za jakąś tam przysługę, którą oddałem mu jedynie szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Za tym wszystkim kryje się, jak przypuszczam, nawet obiadów i rautów. Owóż, aby nie pomyślano, że pławię się w tych dowodach wdzięczności i uprzejmości, postanowiłem uprzedzić (niechże ja będę górą) naszych wspólnych znajomych, zapraszając ich do mojego wiejskiego domu w Auteuil. Jeśli tedy zapraszając na ów obiad państwa Danglars i państwa de Villefort zaproszę pana i pańskich rodziców, czy zebranie to nie będzie miało charakteru, by tak rzec, matrymonialnego? Pańska matka gotowa tak pomyśleć, zwłaszcza jeśli pan baron Danglars uhonoruje mnie obecnością swojej córki. Wtedy pańska matka znienawidzi mnie, czego nie życzyłbym sobie bynajmniej; przeciwnie, proszę, byś wspomniał pan hrabinie, ilekroć nadarzy się okazja, że zależy mi, aby pomyślała o mnie jak najlepiej.

— Jakież ja panu jestem wdzięczny za tę szczerość! Zgadzam się oczywiście, abyś ominął nas pan przy tym zaproszeniu. Powiadasz pan, że chciałbyś, aby moja matka myślała o panu jak najlepiej. Ależ ona przepada za panem.

— Tak pan sądzi? — zaciekał się Monte Christo.

— O, jestem tego pewien. Tego dnia, kiedy byłeś pan u nas na śniadaniu, gawędziłem z nią potem o panu przez godzinę. Ale wróćmy do tematu. Gdyby moja matka dowiedziała się o tym dowodzie pańskiej uwagi, a spróbuję szepnąć jej o nim, jestem pewien, że nie posiadałaby się z wdzięczności. A ojciec by się wściekał!

Monte Christo wybuchnął śmiechem.

— No więc dobrze — ozwał się — wiesz już pan, w czym rzecz. Ale myślę, że nie tylko pański ojciec będzie wściekły. Państwo Danglars zaczną mnie poczytywać za kogoś bardzo źle wychowanego. Wiedzą, że się w pewnym sensie przyjaźnimy, że jesteś pan najdawniejszym z moich paryskich znajomych, i nie zastaną pana u mnie; będą się głowić, dlaczego pana nie zaprosił. Postaraj się pan przynajmniej o jakieś wcześniejsze zaproszenie, które miałyby cechy prawdopodobieństwa, i napisz do mnie kilka słów. Bo jak pan wiesz, bankier musi mieć dowód na piśmie.

— Wymyśliłem coś lepszego, panie hrabio. Matka pragnie odetchnąć morskim powietrzem. Na kiedy wyznaczyłeś pan obiad.

— Na sobotę.

— Dziś wtorek. Wybornie. Jutro pod wieczór wyjedziemy, pojutrze rano będziemy w Treport. Nie ma pan hrabia pojęcia, w jak czarujący sposób umie pan wygadzać znajomym.

— Ja? Doprawdy, przeceniasz mnie pan. Chciałem panu iść na rękę, i basta.

— A kiedy rozsyła pan zaproszenia?

— Dziś.

— No to pędzę do Danglarsa i zapowiadam mu, że jutro wyjeżdżamy z matką z Paryża. Nie widziałem się z panem, a więc nie wiem nic o pańskim obiedzie.

— Szaleńcze! Toć Debray widział pana u mnie.

— A... rzeczywiście.

— Zaprosiłem pana tutaj ot tak, bezceremonialnie, a pan z całą prostotą odmówiłeś, bo wybierasz się do Treport.

— A więc na tym stało. Nie zaszedłby pan hrabia dziś jeszcze do mojej matki?

— Dziś to byłoby trudno; a poza tym zjawiłbym się nie w porę: będziecie się państwo przygotowywać do podróży.

— E, mógłby pan hrabia sprawić nam nawet większą przyjemność. Jesteś pan czarujący, ale gdybyś pan zgodził się na moją propozycję, nie miałbym słów dla pana.

— Cóż to tak podniosłoby mnie w pańskiej estymie?

— Pytasz, co pan masz uczynić?

— Właśnie.

— Jesteś pan dziś wolny jak ptak; przyjdź pan do nas na obiad; będziemy w ścisłym kółku: pan, moja matka i ja. Widziałeś pan moją matkę przelotnie, poznasz ją lepiej. To kobieta niezwykła, i żałuję tylko jednego: żem nie spotkał kobiety podobnej, ale o dwadzieścia lat młodszej, bo wtedy, ręczę panu, byłyby dwie panie de Morcerf: hrabina i wicehrabina. Ojca pan nie zastaniesz: ma jakąś komisję, a później obiad u kanclerza. Przyjdź pan, utniemy sobie pogawędkę o podróżach. Zwiedziłeś pan cały świat, opowiesz nam o swoich przygodach, a także historię tej pięknej Greczynki, która była parę dni temu w Operze, a którą traktujesz pan jak księżniczkę, choć zowiesz swoją niewolnicą. Będziemy mówić po włosku i po hiszpańsku. No, nie ociągaj się pan, moja matka będzie panu bardzo wdzięczna.

— Najserdeczniej dziękuję, trudno o miłsze zaproszenie, ale żałuję mocno, przyjąć go nie mogę. Nie mam tyle swobody, jak się panu zdaje; przeciwnie: muszę się dzisiaj z kimś spotkać, i to w nadzwyczaj ważnej sprawie.

— Ejże, radziłbym się pilnować: nauczył mnie pan hrabia przed chwilą, jak pozbyć się kłopotliwych zaprosin. Proszę o dowód; nie jestem na szczęście, jak pan Danglars, bankierem, ale jestem równie podejrzliwy, uprzedzam pana.

— Zaraz będziesz pan miał dowód. I hrabia zadzwonił.

— Hm, drugi raz odrzucasz pan zaproszenie na obiad do mojej matki — rzekł Albert. — Czyżby się w tym, panie hrabio, coś kryło?

Monte Christo zadrżał.

— A więc, mój panie niedowiarku — ozwał się — dowód nadchodzi. Zjawił się Baptysta i stanął przy drzwiach w pozie wyczekującej.

— Nikt nie uprzedził mnie o pańskiej wizycie, prawda?

— Do licha, jesteś pan człowiekiem tak niezwykłym, że nie ręczyłbym za to.

— Ale nie mogłem się domyślić, że zaprosisz mnie pan na obiad; chyba się z tym zgodzisz.

— No tak, prawdopodobnie.

— Słuchaj no, Baptysto, com ci powiedział dziś z rana, kiedyś wezwał cię do gabinetu?

— Że po piątej pana hrabiego dla nikogo nie ma w domu.

— Następnie?

— Och, panie hrabio — przerwał Albert.

— Zaraz, zaraz, pragnę za wszelką cenę uwolnić się od tego nimbu tajemniczości, którą przypisujesz mi, drogi panie Albercie. To nazbyt męczące uchodzić wiecznie za Manfreda. Chcę, żeby mój dom miał ściany ze szkła. Następnie... Mówże, Baptysto.

— Następnie zapowiedział mi pan hrabia, żebym wpuścił tylko pana majora Bartolomeo Cavalcanti i jego syna.

— Słyszałeś, panie Albercie? Major Cavalcanti należy do najstarszej szlachty włoskiej, Dante raczył wspomnieć o jego przodkach... pamiętasz pan, albo i nie, w dziesiątej pieśni „Piekła”; syn jego, czarujący młodzieniec, mniej więcej w pańskim wieku, i jak pan — wicehrabia, wypływa na paryskie wody, holując miliony swojego ojca. Major ma przyprowadzić mi dziś po południu swojego syna, contino Andreę. Oddaje mi go pod opiekę. Wprowadzę go w świat, jeśli tego wart, a pan mi dopomożesz, prawda?

— Oczywiście! Czy major Cavalcanti to pański stary przyjaciel?

— Ale skąd! To po prostu wielki pan, doskonale wychowany, bardzo skromny, bardzo powściągliwy, jakich setki we Włoszech; pochodzą oni ze starych rodów, które nigdy nie skalają się mezaliansem. Spotkałem go parę razy we Florencji, w Bolonii i w Lucce, a teraz uwiadomił mnie o swoim przyjeździe. Ustawiczne kłopoty z tymi ludźmi, których poznaje się w podróży; wyświadczysz pan takiemu uprzejmość, to już potem, gdziekolwiek byś się znalazł, będzie cię nagabywać o następne; jakby człek obyty, który potrafi pogawędzić godzinę z przygodnym znajomym, miał w tym zawsze jakiś zamysł! Owóż ten poczciwy major zwiedzi znów Paryż. Był tu po raz pierwszy przelotem, za Cesarstwa, wybierając się do Moskwy, żeby tam zmarznąć. Uraczę go dobrym obiadem, a on mi

zostawi syna; obiecuję mu, że będę nad nim czuwał: dopuszczę, żeby młokos popełnił parę szaleństw, pilnując, aby nie wpadł w przesadę, i będziemy kwita.

— Wybornie! Jesteś pan szacownym mentorem. Do widzenia więc; wrócimy w niedzielę. A prawda, dostałem list od Franza.

— Tak? I wciąż mu się podoba we Włoszech?

— Chyba tak, ale stęsknił się za panem. Píše, że był pan słońcem Rzymu i że bez pana jest szaro. O ile pamiętam, napisał nawet, że bez pana wciąż tam deszcz pada.

— To pański przyjaciel zmienił zdanie?

— Ale skąd! Uważa, pana nadal za postać fantastyczną i dlatego tak za panem tęskni.

— Przemily chłopak! powziąłem do niego żywą sympatię już tego wieczora, kiedy szukał jakiejś kolacji i zechciał przyjąć moją. Czy nie jest on synem generała d'Epinay?

— Tak.

— Tego, którego tak podle zamordowano w roku 1815?

— Tak, mordercami byli bonapartyści.

— Dalibóg, ogromnie go lubię. A nie żenią go aby?

— Owszem. Ma poślubić pannę de Villefort.

— Naprawdę?

— Tak jak ja mam poślubić pannę Danglars — roześmiał się Albert.

— I pan się śmieje?

— A tak.

— Czemuż to?

— Bo tak akurat mu się spieszy do panny de Villefort, jak mnie do panny Danglars. Ale, drogi hrabio, gadamy o kobietach w taki sposób, w jaki one gadają o nas; to niewybaczalne.

I wstał.

— Już pan idziesz?

— A to mi pytanie! Od dwóch godzin zanudzam pana, a pan w uprzejmości swojej dziwisz się, że już idę! Doprawdy, hrabio, nie widziałem człowieka tak świetnie wychowanego! No i wspaniale wytresowałeś pan służbę! A zwłaszcza Baptysta! Nigdy nie mogłem dostać takiego. Moja służba przypomina lokajów teatralnych, którzy pchają się na sam środek sceny właśnie dlatego, że nie mają nic do powiedzenia. Gdybyś pan odprawił Baptystę, przyślij go mnie.

— Zapamiętam.

— Jeszcze moment: kłaniaj się pan ode mnie swojemu powściągliwemu Toskańczykowi, panu Cavalcante dei Cavalcanti, a gdyby przypadkiem chciał ożenić syna, wyszukaj mu pannę bardzo bogatą, z dobrego szlacheckiego gniazda, przynajmniej po kądzieli — a i po mieczu może to być baronówna. Już ja w tym panu dopomogę.

— Ho, ho, czy się pan nie zagalopowałeś?

— Nie.

— Nie trzeba się niczego zarzekać.

— Drogi hrabio, nie wiesz, jaką oddałbyś mi przysługę i jakiego zyskałbyś we mnie przyjaciela, gdybym dzięki panu pozostał kawalerem, choćby jeszcze i dziesięć lat.

— Wszystko jest możliwe — odparł poważnie Monte Christo.

A pożegnawszy Alberta wrócił do gabinetu i po trzykroć uderzył w gong. Zjawił się Bertuccio.

— Panie Bertuccio — rzekł — dowiedz się, że w sobotę urządzą przyjęcie w Auteuil.

Bertuccim wstrząsnął lekki dreszcz.

— Tak jest, panie hrabio.

— Zdaję się na pana, aby wszystko było przygotowane jak należy. Dom w Auteuil jest bardzo piękny, a raczej może być bardzo piękny.

— W takim razie, panie hrabio, trzeba by wszystko zmienić. Obicia całkiem wypelzły.

— To zmień je, tylko nie ruszaj tego czerwonego adamaszku w sypialni. I w ogóle nie tykaj tego pokoju.

Bertuccio skłonił się.

— Nie tykaj też ogrodu, ale na przykład z dziedzińcem możesz pan zrobić, co ci się żywnie spodoba; cieszyłbym się nawet, gdybyś zmienił go pan nie do poznania.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pan hrabia był kontent; ale czułbym się pewniej, gdyby pan hrabia zechciał powiedzieć mi, co ma być na obiad.

— Dziwne to, mój drogi panie Bertuccio, ale wydajesz mi się w Paryżu jakiś zagubiony, onieśmielony. Cóż to, nie znasz mnie?

— Ale gdyby jego ekscelencja raczył mi wyjawić, kogo podejmuje...

— Nie wiem jeszcze, i dla pana wiadomość to zbyteczna. Lucullus obiada u Lucullusa, ot i wszystko.

Bertuccio skłonił się i wyszedł.

17. MAJOR CAVALCANTI

Hrabia i Baptysta nie skłámali, oznajmiając Albertowi o wizycie majora toskańskiego — ale swoją drogą posłużyła ona Monte Christowi za wymówkę, dzięki której wykręcił się od obiadu u hrabiny de Morcerf.

Wybiła właśnie siódma. Imć Bertuccio, na rozkaz hrabiego, wyruszył już dwie godziny temu do Auteuil — kiedy przed bramą zatrzymała się dorożka i uciekła jakby zawstydzona, zostawiwszy jegomościa lat mniej więcej pięćdziesięciu dwóch, odzianego w zieloną czamare z czarnymi szamerunkami; strój ten nigdy chyba w Europie nie zginie.

Granatowe pantalone, buty wcale jeszcze przyzwoite, lecz o wątpliwym połysku i nazbyt grubej podeszwie, łosiowe rękawiczki, kapelusz fasonu nieco żandarmskiego, czarny halsztuk, spod którego wystawał rąbek kołnierzyka przypominającego chomąto i jakby ogromnie właścicielowi niedogodnego — oto strój malowniczy, w jakim zjawiła się opisywana osobistość. Nieznajomy zadzwonił, a kiedy odźwierny odpowiedział mu, że tu właśnie mieszka pan hrabia de Monte Christo, wszedł, zamknął za sobą furtkę i podążył w stronę ganku.

Baptysta czekał już w przedsionku. Uprowadzony o wyglądzie osobnika poznał go po głowie małej i jak gdyby kanciastej, po siwiejących włosach i po gęstym szpakowatym wąsie.

Przybysz podał swoje nazwisko sprytnemu słudze, który nie zwlekając uwiadomił hrabiego.

Wprowadzono gościa do najskromniejszego salonu.

Hrabia czekał już — a teraz szedł naprzeciw niego uśmiechnięty.

— Witam, witam drogiego pana. Spodziewałem się wizyty.

— Doprawdy? Ekscelencja spodziewał się mnie? — zdziwił się Toskańczyk.

— Tak, uprzedzono mnie, że zjawisz się pan dziś o siódmej.

— Uprzedzono pana hrabiego, że się zjawię?

— No tak.

— A, tym lepiej. Bałem się, czy nie zapomniano o tym drobiazgu.

— O jakim?

— Żeby pana uprzedzić.

— Ale skąd!

— I jesteś pan pewien, że się nie mylisz?

— Oczywiście.

— Więc to mnie ekscelencja oczekiwał dziś o siódmej?

— Tak, tak. A zresztą możemy sprawdzić.

— O, jeśli mnie pan oczekiwał, to nie warto.

— Ależ warto, warto! Toskańczyk zaniepokoił się z lekka.

— A może pan nie jesteś margrabią Bartolomeo Cavalcanti?

— Ależ jestem nim — zgodził się radośnie Toskańczyk.

— Byłym majorem wojsk austriackich?

— To ja byłem majorem? — zmieszał się eks-żołnierz.

— Owszem. Tak nazywają we Francji rangę, którą piastowałeś pan we Włoszech.

— Doskonale. To mi wystarczy, rozumiesz pan...

— Nie zjawiałeś się pan u mnie z własnej intencji, nieprawdaż? — zagadnął Monte Christo.

— Ach, oczywiście, że nie.

— Ktoś skierował tu pana?

— Tak.

— Przemiły ksiądz Busoni?

— Właśnie, właśnie! — ucieszył się major.

— Masz pan list?

— Proszę.

— Otóż i to. Dajże go pan.

Monte Christo wziął list, otworzył go i przeczytał.

Major w zdumieniu wytrzeszczał oczy, obserwując to hrabiego, to szczegóły umeblowania — ale najbardziej ciekawił go gospodarz.

— Tak, w tym rzecz... kochany ksiądz!

— Major Cavalcanti, czcigodny patrycjusz z Lucca, potomek florenckich Gavalcantic — czytał głośno hrabia — posiadacz fortuny dającej pół miliona dochodu...

Monte Christo spojrział znad kartki i skłonił się.

— Pół miliona! A niechże pana nie znam, mój drogi panie Cavalcanti!

— Pół miliona? — zagadnął Toskańczyk.

— Czarno na białym. Ksiądz Busoni jest człowiekiem najlepiej poinformowanym o wszystkich wielkich fortunach Europy.

— Niech będzie pół miliona. Ale, słowo honoru, anim przypuszczał, że to aż tyle.

— Bo pański intendent okrada pana; trudno, mój drogi panie Cavalcanti, to nieuniknione.

— Oświeć mnie pan w tym względzie — odparł Toskańczyk z powagą — przepędzę tego błazna.

Monte Christo czytał dalej:

— Majorowi brakuje do szczęścia tylko jednego...

— Boże miły! Tak, tylko jednego — westchnął Toskańczyk.

— Nie może odnaleźć ukochanego syna.

— Ukochanego syna?

— Którego porwał w dzieciństwie albo wróg szlacheckiego rodu Cavalcantic, albo Cyganie.

— Pięć lat miał nieboraczek! — tu major, westchnąwszy głęboko, wznosił oczy do nieba.

— Biedny ojczel! — ulitował się Monte Christo. I czytał dalej:

— Tchnąłem weń nadzieję, przywróciłem mu życie, panie hrabio, oznajmiwszy, że pan możesz odnaleźć owego syna, którego major daremnie poszukuje od lat piętnastu.

Toskańczyk spojrział na Monte Christa z niewypowiedzianym niepokojem.

— A mogę — rzekł Monte Christo. Major wyprostował się.

— Ach — ozwał się — to list od początku do końca mówi prawdę?

— A pan o tym zwątpił, drogi panie Bartolomeo?

— Ależ nie! Broń Boże! Człowiek poważny, głęboko religijny, człowiek taki jak ksiądz Busoni nie dopuściłby się niesmacznego żartu; ale czy ekscelencja przeczytał wszystko?

— A rzeczywiście, jest jakieś postscriptum.

— Tak — powtórzył Toskańczyk — tak, jest... ja... jakieś... postscriptum.

— Ażeby uchronić majora przed kłopotem — musiałby wycofać z banku część swojej gotowizny — wysyłam mu przekaz na dwa tysiące franków na kosztą podróży i otwieram mu u Pana kredyt w wysokości czterdziestu ośmiu tysięcy franków, które pozostał mi Pan jeszcze dłużny.

Major, wyraźnie zaniepokojony, śledził ów dopisek oczyma.

— Dobrze! — powiedział lakonicznie hrabia.

— Chyba się zgadza — mruknął Toskańczyk. — A więc...

— Cóż więc?...

— No, z tym dopiskiem...

— Co z dopiskiem?

— Czy pan hrabia uznał go tak samo jak i cały list?

— Naturalnie. Mamy rozrachunki, ksiądz Busoni i ja; nie wiem, czy jestem mu dłużny akurat czterdzieści osiem tysięcy, ale nie będziemy spierać się o grosze. Ale cóż to, drogi panie Cavalcanti, przywiązujesz do tego dopisku aż taką wagę?

— Przyznam się panu, że ufając podpisowi księdza Busoniego, nie wziąłem ze sobą pieniędzy; gdyby więc zawiodło to źródło, zostałbym w Paryżu na lodzie.

— Czyż pan mógłby zostać gdziekolwiek na lodzie? No, no, nie przesadzajmy.

— Toć ja nie znam nikogo w Paryżu!...

— Ale pana znają!...

— Owszem, tylko że...

— Niech pan dokończy, drogi panie Cavalcanti!

— Tylko czy dostanę od pana te czterdzieści osiem tysięcy?

— Kiedy tylko pan zażądaś. Major osłupiał, wybałuszył oczy.

— Ale niechże pan będzie łaskaw spocząć; doprawdy, zapomniałem o obowiązkach gospodarza... Stoi pan już kwadrans.

— O to drobiazg.

Major przysunął sobie fotel i usiadł.

— Może pan się czegoś napije? — zagadnął hrabia. — Kieliszeczek xeresu, porto, alicante?

— Alicante, jeśli pan łaskaw; to moje ulubione wino.

— Mam wyborne. I biskopczik, nieprawdaż?

— Proszę, jeśli pan każe.

Hrabia zadzwonił — wszedł Baptysta. Monte Christo zbliżył się doń.

— No i co?... — szepnął.

— Młody pan już czeka — szepnął lokaj.

— Dobrze. A gdzie?

— Tam, gdzie jego ekscelencja kazał: w błękitnym salonie.

— Doskonale. Przynieś wina alicante i biskoptów. Baptysta wyszedł.

— Tyle panu hrabiemu robię kłopotu — ozwał się Toskańczyk — że doprawdy mnie to żenuje.

— E, dałbyś pan spokój!

Baptysta wniósł wino, kieliszki i biskopty.

Hrabia napełnił jeden kieliszek, w drugi zaś nalał tylko parę kropel. Płyn był rubinowy, butelka — osnuta pajęczyną: znak to niezawodny, pewniej świadczący o wieku wina niżli zmarszczki na twarzy o wieku ludzkim.

Major nie pomylił się: wziął kieliszek pełny i sięgnął po biskopt.

Hrabia kazał Baptystcie postawić tacę tak, aby gość miał ją pod ręką. Major umoczył wargi w winie, posmakował, uśmiechnął się błogo i umoczył w nim koniec biskopta.

— Tak to, mój panie — ozwał się Monte Christo — mieszkasz w Lucca, jesteś bogatym szlachcicem, otacza cię ogólny szacunek, masz wszystko, co potrzebne człowiekowi do szczęścia.

— Wszystko, ekscelencjo — odrzekł major przełykając biskopt — absolutnie wszystko.

— Brak ci było do szczęścia tylko jedynej rzeczy?

— Jedynej... — powtórzył jak echo Toskańczyk.

— Chciałbyś pan odnaleźć swoje dziecię, tak?

— Ach! — tu major wziął drugi biskopt — tak, ta moja tęsknota za tym dzieckiem.

Tu czcigodny Toskańczyk wznosił oczy do nieba i popróbowwał westchnąć.

— A teraz, mój drogi panie Cavalcanti, powiedz mi, jak to było z tym synem nieodżałowanym? Bo słyszałem, że jesteś kawalerem.

— Tak mniemano, a ja...

— A pan nawet potwierdzałeś, pragnąc zataić grzech młodości. Toskańczyk wyprostował się, przybrał minę chłodną i pełną godności

(najgodniejszą ze swoich min godnych), a jednocześnie spuszczać skromnie oczy, bądź aby dodać sobie kontenansu, bądź aby dopomóc własnej imaginacji, popatrywał ukradkiem na hrabiego. A Monte Christo właściwym sobie uśmiechem objawiał wciąż tę samą życzliwą ciekawość.

— Tak, proszę pana, pragnąłem, aby nikt nie dowiedział się o tym błędzie.

— No, ale przed sobą pan go nie tałeś. Przecież mężczyzna jest ponad tym.

— Ach, oczywiście! — tu major uśmiechnął się potrząsając głową.

— Ale cóż rato matka tego dziecięcia...

— Biedna kobieta! — zawołał Toskańczyk, biorąc trzeci biszkopt. — Nieszczęśliwa!

— Niechże pan się napije, drogi panie — rzekł Monte Christo dolewając mu wina. — Wzruszenie dławi pana.

— Biedna, nieszczęśliwa kobieta! — wyszeptał Toskańczyk, a że mimo woli nie zdołał pobudzić gruczołów łzowych, zamrugnął oczami usiłując wycisnąć fałszywą łzę.

— A zdaje mi się, że należała do jednego z najświetniejszych włoskich rodów.

— Patrycjuszka z Fiesole, panie hrabio, patrycjuszka z Fiesole!...

— A jej nazwisko?

— Pytasz pan o nazwisko?

— A cóż w tym dziwnego? Zresztą, możesz mi go pan nie wymieniać, znam je-

— Pan hrabia wie wszystko — tu major skłonił się.

— Oliva Corsinari, nieprawdaż?

— Oliva Corsinari!

— Margrabianka?

— Margrabianka!

— A pan nie poślubiłeś jej aby, mimo sprzeciwów rodziny?

— O Boże! No tak, skończyło się na tym.

— Mam nadzieję, że przywozłeś pan świadczące o tym dokumenty...

— Jakie dokumenty? — zdziwił się Toskańczyk.

— Akt pańskiego ślubu z Olivą Corsinari i metrykę dziecięcia.

— Metrykę?

— No tak, metrykę urodzenia pańskiego syna, Andrei Cavalcanti; czyż nie na imię mu Andrea?

— Zdaje się, że tak.

— Jak to, zdaje się panu?

— Dalibóg! Nie ośmieliłbym się twierdzić z całą pewnością. Chłopczyna przepadł już tak dawno.

— A, słusznie, słusznie. No, masz pan te papiery?

— Panie hrabio, muszę oświadczyć z żalem, że nie wziąłem ich, ponieważ nikt nie uprzedził mnie, że wziąć je powinienem.

— A, niech to diabli! — zawołał Monte Christo.

— A czy są niezbędne?

— Absolutnie konieczne. Toskańczyk podrapał się w głowę.

— Ach! Per Bacco! — wykrzyknął. — Absolutnie konieczne!

— Naturalnie. Na wypadek, gdyby ktoś wątpił, że zawarłeś pan ów mariaż i że syn jest pańskim ślubnym synem.

— No tak, oczywiście, mogłyby zrodzić się wątpliwości.

— A przykre byłoby to dla młodzieńca.

— Fatalne!

— Mogłaby upaść sprawa jego świetnego małżeństwa.

— O peccato!

— We Francji, jak panu wiadomo, prawo jest surowe; nie wystarczy, jak we Włoszech, znaleźć księdza i powiedzieć mu: „Kochamy się, niech dobrodziej da nam ślub”. We Francji istnieją śluby cywilne, a kto chce zawrzeć ślub taki, musi przedstawić dowody tożsamości.

— A to prawdziwe nieszczęście, że zapomniał wziąć tych papierów.

— Ale ja mam je na szczęście.

— Pan?

— Ja.

— Pan je ma?

— Mam.

— A to nadzwyczajne, a to szczęście! — zawołał Toskańczyk, sądził bowiem, iż na skutek braku owych dokumentów podróż jego obróci się na marne i że wymknie mu się czterdzieści osiem tysięcy franków. — Tak, to szczęście, bo ja nie pomyślałem o tym.

— Dalibóg, zdaje mi się, że niepodobna myśleć o wszystkim. Ale na szczęście ksiądz Busoni pomyślał za pana.

— Kochany ksiądz!

— O, to człek przezorny.

— I godzin uwielbienia. Przysłał więc dokumenty?

— Oto one.

Zachwycony Toskańczyk złożył nabożnie ręce.

— Poślubiłeś pan Olivę Corsinari w kościele Świętego Pawła de Monte--Cattini. Oto zaświadczenie, które wydał był ksiądz.

— No tak! Dalipan! — zawołał major, oglądając je ze zdziwieniem.

— A tu świadectwo chrztu Andrei Cavalcanti wydane przez proboszcza w Saravezzy.

— Wszystko w porządku — oznajmił major.

— No to bierz pan te szpargały, bo i na cóż mi one; dasz je swojemu synowi: będzie przechowywał je pieczołowicie.

— Ja myślę! A gdyby je zgubił...

— Hm, gdyby je zgubił, to i co?

— To musiałbym tam napisać i dużo upłynęłoby wody, zanim przystaliby mi nowe.

— Rzeczywiście, wynikłyby trudności — zgodził się Monte Christo.

— Byłoby to prawie niemożliwe.

— Bardzom rad, że doceniasz pan wartość tych papierów.

— Tak, tak, są one nieoszacowane.

— A teraz, co do matki młodzieńca...

— Co do matki młodzieńca — powtórzył niespokojnie major.

— Mam na myśli margrabiankę Corsinari.

— Miły Boże! — zawołał Toskańczyk, przerażony piętrzącymi się trudnościami — po cóż jeszcze i ona?

— Niech pan będzie spokojny; bo zresztą czyż ona nie...

— Ależ tak! Ależ tak — przerwał Toskańczyk.

— Nie spłaciła długu naturze?

— Niestety! — przytaknął czym prędzej Toskańczyk.

— Dowiedziałem się, że zmarła przed dziesięciu laty.

— A ja wciąż jeszcze oplakuję ją, panie hrabio — tu major dobył z kieszeni kraciatą chustkę i otarł sobie najpierw lewe oko, a potem prawe.

— Cóż, mój drogi panie — pocieszył go Monte Christo — wszyscy jesteśmy śmiertelni. Rozumiesz już teraz, mój miły panie Cavalcanti, że nie trzeba, aby dowiedziano się we Francji, iż nie widziałeś się z synem przez lat piętnaście. Niemodne tu bajeczki o Cyganach porywających dziatwę. Posłałeś syna do kolegium, gdzieś na prowincji, a teraz życzysz sobie, żeby szlifował się w paryskich salonach. Dlatego opuścił Viareggio, gdzie mieszkałeś od śmierci żony. To wystarczy.

— Tak pan sądzi?

— Oczywiście.

— No to wybornie.

— Gdyby jednak dowiedziano się, że nie zawsze opiekowałeś się synem...

— O właśnie! Co mam wtedy mówić?

— Że gubernierz zdradziecki, zaprzędany wrogom pańskiej rodziny...

— Corsinarim, tak?

— Rzecz jasna... porwał dziecę, aby nazwisko pańskie wygasło.

— Słusznie. Bo to przecież jedynak.

— Skoro więc ustaliliśmy wszystko, skoro wspomnienia pańskie, odświeżone, nie zawiodą pana, domyślasz się pan zapewne, że zgotowałem ci niespodziankę.

— Przyjemną?

— Widzę, że ojcowskiego serca, tak samo jak i oka, oszukać się nie da.

— Hum! — chrząknął major.

— Ktoś popełnił niedyskrecję albo raczej odgadłeś pan sercem, że on tu jest.

— Co za on?

— Pański syn, pańskie dziecę, pański Andrea.

— Przeczulem to — oznajmił Toskańczyk z najdoskonalszą flegmą. — Naprawdę on tu jest?

— Ależ tak. Lokaj, wszedłszy przed chwilą, oznajmił mi o jego przybyciu.

— Ach, co za radość! Ach, co za radość! — zawołał major, zaciskając kolejno szamerowania czamarki.

— Drogi panie — rzekł Monte Christo — rozumiem pańskie wzruszenie, dam ci chwilę czasu, żebyś ochłonął; przygotuję tedy na owo upragnione spotkanie młodzieńca, który jak przypuszczam, niecierpliw się tak samo jak pan.

— I ja tak sądzę.

— A więc za kwadransik jesteśmy do pańskiej dyspozycji.

— Wprowadzisz go pan tutaj? Zaprezentujesz mi go pan sam w niezmiernej dobroci swojej?

— O nie, panie majorze: nie będę się mieszał w wasze sprawy rodzinne, zostawię was tu samych; ale bądź pan spokojny — gdyby nie odezwał się w panu głos krwi, nie pomylisz się pan: młodzieniec wejdzie tymi drzwiami. To piękny blondyn, może cokolwiek rudawy, ale ułożenie ma przemile. Zobaczysz pan.

— Momencik jeszcze. Jak panu hrabiemu wiadomo, zabrałem tylko dwa tysiące franków, które przekazał mi ksiądz Busoni. Koszta podróży...

— Aha, potrzebujesz pieniędzy... to aż nazbyt oczywiste, mój drogi panie Cavalcanti. O, proszę, osiem tysięcy franków a conto.

Oczy majora zaiskrzyły się niby diamenty.

— Jestem panu winien jeszcze czterdzieści tysięcy — rzekł Monte Christo.

— Gzy mam pokwitować, ekscelencjo? — spytał major, wsuwając banknoty w wewnętrzną kieszeń czamarki.

— A po co?

— Żeby miał pan dowód dla księdza Busoni.

— E, nie warto, pokwitujesz mi pan całą sumę, otrzymawszy czterdzieści tysięcy. Tego rodzaju środki ostrożności są zbędne między uczciwymi ludźmi.

— A tak, to prawda — potwierdził major — między nami, uczciwymi ludźmi.

— A teraz, margrabio, jeszcze jedno.

— Proszę bardzo.

— Przyjmiesz pan jedną radę, nieprawdaż?

— Ma się rozumieć! Proszę o nią.

— Nie byłoby od rzeczy, gdybyś rozstał się z tą czamarką.

— Doprawdy? — zdziwił się major, patrząc na swoją węgierkę z pewnym upodobaniem.

— A tak. Rajtroki takie nosi się jeszcze w Viareggio, ale w Paryżu, choć bardzo one eleganckie, wyszły już z mody.

— To przykre — zmartwił się Toskańczyk.

— Skoro tak majorowi na tej kurteczce zależy, przywdziejesz ją pan na odjeźdny.

— Ale w co się mam ubrać?

— W to, co znajdziesz pan w swoich kufrach.

— W jakich kufrach? Mam tylko troki.

— Ze sobą, oczywiście. Po cóż robić sobie kłopot? A zresztą stary żołnierz nie lubi wozić tobołów.

— Dlatego właśnie...

— Ale jako człek przezorny, wysłałeś pan kufry wcześniej. Przybyły wczoraj do Hotelu Książęcego, na ulicy Richelieu. Tam też zamówiłeś pan sobie stancję.

— A więc w tych kufrach?...

— Domyślam się, że rozkazałeś pan zapakować lokajowi wszystko, co trzeba: ubrania cywilne i mundury. W wyjątkowych okazjach będziesz pan kładł mundur, bo to robi korzystne wrażenie. I nie zapominaj pan o orderach. Każdy sobie, z nich kpi we Francji, ale nosi je, kto może.

— Doskonale! Doskonale! Doskonale! — powtarzał major, doznając wciąż nowych olśnień.

— A teraz — rzekł Monte Christo — skoroś przygotował pan serce na zbyt silne wzruszenia, ujrysz, mój miły panie Cavalcanti, syna swojego, Andree.

I hrabia, skłoniwszy się z gracją olśnionemu Toskańcykowi, znikł za portierą.

18. ANDREA CAVALCANTI

Hrabia wszedł do sąsiedniego salonu, nazwanego przez Baptystę błękitnym, gdzie czekał młodzieniec wysmukły, dość elegancki, który pół godziny temu zajechał przed bramę pałacu najętym kabrioletem.

Baptysta poznał go łatwo.

Monte Christo poinformował był bowiem sługę o wyglądzie spodziewanego gościa: młody, rostry, o włosach jasnych, krótko przystrzyżonych, rudobrody, czarnooki, o mlecznej karnacji, a przy tym rumiany.

Kiedy hrabia wszedł, młodzieniec leżał w pozie niedbalej na sofie i z roztargnieniem trzącał but cienką trzcinką o złotej gałce.

Na widok Monte Christa zerwał się czym prędzej.

— Czy mam honor z panem hrabią de Monte Christo? — zapytał.

— Tak, mój panie, a ja mam zapewne honor z panem wicehrabią Andree Cavalcanti.

— Z wicehrabią Andree Cavalcanti — powtórzył młodzieniec, kłaniając się nader niedbale.

— Masz pan list polecający?

— Nie wspomniałem panu o nim, gdyż podpis wydaje mi się dziwny.

— Sindbad Żeglarz, czy tak?

— Tak, a ponieważ znam tylko jednego Sindbada, tego z „Tysiąca i Jednej Nocy”...

— No właśnie, to jego potomek, a mój przyjaciel, Anglik, bogacz i oryginał, niemal wariat. Nazywa się w rzeczywistości lord Wilmore.

— A, to tłumaczy wszystko. Tak, tak, zgadza się co do joty. To ten sam Anglik, któregoś poznał... w... no, tak... doskonale!... Jestem do usług pana hrabiego.

— Jeśli to, com miał zaszczyt usłyszeć od pana, jest prawdą — tu hrabia uśmiechnął się — raczże opowiedzieć mi o sobie i o swojej rodzinie. Proszę o szczegóły.

— Chętnie, panie hrabio — i młodzieniec zaczął mówić ze swadą, korzystnie świadcząca o jego pamięci. — Jestem, jak pan rzekłeś, wicehrabia Andrea Cavalcanti, syn majora Bartolomea Cavalcantiego, potomek Cavalcantich, zapisanych we florenckiej złotej księdze. Nasz ród, chociaż po dziś dzień bogaty, skoro mój ojciec posiada pół miliona renty, doznał wielu nieszczęść, a mnie, proszę pana, kiedy miałem ze sześć lat, uprowadził guwerner zdradziecki, toteż od piętnastu lat nie widziałem mojego rodziciela. Zacząłem go poszukiwać, kiedy tylko osiągnąłem pełnoletność i stałem się niezależnym, ale bezowocne były to poszukiwania. Dopierom z listu pańskiego przyjaciela Sindbada

dowiedział się, że ojciec mój przebywa w Paryżu. W owym liście Sindbad upoważnił mnie, abym w tej materii zwrócił się do pana.

— Rzeczywiście, cała ta historia jest ogromnie interesująca — ozwał się hrabia, spoglądając z posępnym zadowoleniem na tego młodzieńca o minie bezczelnej, a z urody podobnego upadłemu aniołowi — i dobrześ pan uczynił, zastosowawszy się tak pilnie do rad mojego przyjaciela Sindbada, gdyż pański ojciec jest tutaj i szuka pana.

Przez cały czas hrabia nie spuszczał Andrei z oka.

Podziwiał w duchu pewność jego spojrzenia i głosu — ale kiedy padły słowa jakże naturalne: „Pański ojciec jest tutaj i szuka pana” — młodzieniec skoczył jak oparzony i wykrzyknął:

— Mój ojciec?! Mój ojciec tutaj?

— No tak — rzekł Monte Christo — pański ojciec: major Cavalcanti. Młodzieniec natychmiast ochłonął z przerażenia.

— Ach, tak! Prawda — odrzekł — to major Bartolomeo Cavalcanti. Mówi pan hrabia, że mój ukochany ojciec tu jest?

— Tak, mój panie. Dodam nawet, że rozstałem się z nim przed chwilą i że historia, którą opowiedział mi o swoim synku, utraconym ongi, rozrzewniła mnie głęboko; boć i rzeczywiście zgryzota majora, jego obawy i nadzieje stworzyłyby rozczulający poemat. Wreszcie jednego dnia otrzymał wiadomość, że ci, którzy porwali chłopca, gotowi są oddać go albo wskazać miejsce jego pobytu — za dość znaczną sumę. Ale dla dobrego ojca nie istniały żadne przeszkody. Wysłał pieniądze na granicę pimoncką, a z nimi paszport opatrzony we wszystkie konieczne wizy. Mieszkałeś pan w południowej Francji, musiałeś przedostać się do Włoch.

— Tak, proszę pana — zgodził się Andrea z niejakim zakłopotaniem — tak, mieszkałem w południowej Francji.

— Karetą czekała tedy w Nicei, tak?

— O właśnie; pojechałem z Nicei do Genui, z Genui do Turynu, z Turynu do Chambery, z Chambery do Pont-de-Beauvoisin, z Pont-de-Beauvoisin do Paryża.

— Wybornie! Ojciec, podążając tą samą drogą, liczył, że spotka gdzieś pana; dlatego taką wytyczono panu marszrutę.

— Ale gdyby nawet ukochany ojczulek mnie spotkał, wątpię, czyby mnie poznał; zmieniłem się trochę podczas naszego rozstania.

— A głos krwi?

— Rzeczywiście! Nie pomyślałem o tym! — zawołał młodzieniec.

— Jedna tylko rzecz niepokoi majora Cavalcantiego: co pan robieś w latach rozstania; w jaki sposób traktowali pana wrogowie; czy okazywano ci względy, należne pańskiemu urodzeniu; wreszcie, czy cierpienia duchowe, bez porównania gorsze od fizycznych, nie osłabiły zdolności, których natura nie poskapiła panu, i czy czujesz się pan na siłach, aby w wielkim świecie reprezentować godnie swój ród.

— Panie hrabio... — zająknął się Andrea — mam nadzieję, że żaden fałszywy donos...

— Ależ usłyszałem o panu po raz pierwszy od mojego przyjaciela Wilmore'a, filantropa. Wiem, że zastał pana w przykrym położeniu, nie mam pojęcia jakim, bo i o nic nie pytałem; nie jestem ciekawy. Skoro zainteresowały go pańskie nieszczęścia, jesteś godzien zainteresowania. Powiedział mi, że pragnie przywrócić panu należną, a utraconą pozycję towarzyską, że szuka pańskiego ojca i że znajdzie go pewnie; poszukał i, jak pan widzisz, znalazł, boć twój ojciec jest tutaj; na koniec dał mi wczoraj znać o pańskim przybyciu, dołączając pewne wskazania odnośnie pańskiej fortuny; ot i wszystko. Wiem, że mój przyjaciel Wilmore to dziwak, ale człowiek pewny i bogaty jak mina złota, a więc można na nim polegać i nie zrujnują go dziwactwa, choćby najkosztowniejsze; dlatego obiecałem mu działać wedle jego zaleceń. Nie powinienes pan tedy mieć mi za złe mojego pytania; że zaś będę musiał panu nieco patronować, pragnąłbym wiedzieć, czy nieszczęścia, za które przecież nie ponosisz pan odpowiedzialności, nieszczęścia nie umniejszające bynajmniej szacunku, jaki żywię dla pana, nie uczyniły pana w pewnym sensie, obcym światu, dokąd wzywa cię twoja kondycja i fortuna, światu, gdzie winienes tak pięknie zabłysnąć.

— O, w tym względzie możesz być pan spokojny — odparł młody człowiek odzyskawszy dawny tupet, w miarę jak hrabia mówił. — Rozłączono mnie z ojcem na pewno w tym celu, żeby mnie później mojemu ojcu sprzedać, bo tak się i stało; porwaniu towarzyszyła tedy kalkulacja: żeby zyskać lepszą cenę, odebrałem więc niezgorszą edukację: traktowano mnie prawie tak jak ongi w Azji Mniejszej

niewolników. Pan kształcił swojego niewolnika, każąc edukować go w gramatyce, medycynie lub filozofii, aby tym korzystniej sprzedać na rynku w Rzymie.

Monte Christo uśmiechnął się z zadowoleniem.

Widać nie spodziewał się aż tyle po młodym panu Andrei Cavalcantim.

— A zresztą — ciągnął Andrea — gdyby w edukacji mojej ujawniły się jakieś braki, a raczej gdyby okazało się, że nie mam dostatecznej ogłady, to jak sędzę, świat potraktuje mnie z pobłażliwością, biorąc pod uwagę nieszczęścia, które prześladowały mnie w dzieciństwie i w latach młodzieńczych.

— To już pańska rzecz, wicehrabio — ozwał się niedbale Monte Christo — będziesz postępował, jak zechcesz, jesteś pełnoletni; ale wierz mi, że nie wspominałbym nigdy o tych osobliwych przygodach: pańska historia to romans; świat uwielbia romanse w żółtych okładkach, ale okazuje diabelną nieufność wobec, że tak powiem, welinu żyjącego, choćby miał złocone brzegi — a pan mieć je możesz. Oto trudność, przed którą, panie hrabio, pozwalam sobie ostrzec pana; opowiesz pan komu swoją rozrzewniającą historię, a zaraz obiegnie ona świat zniekształcona do cna. Minęły czasy, kiedy można było pozować na Anthony'ego. Kto wie, czy nie zrobiłbyś pan furory, ale nie każdy lubi, żeby skupiała się na nim ogólna ciekawość. Zmęczyłaby pana pewnie ta ustawiczna obserwacja twojej osoby i ciągłe komentarze.

— Myślę, że ma pan rację — odpowiedział Andrea, blednąc pod upartym spojrzeniem Monte Christa — byłoby mi to bardzo nie na rękę.

— No, nie przesadzajmy, wtedy bowiem, aby uniknąć kroku fałszywego, robimy krok szalony. Nie, musimy ustalić zwykły plan postępowania, a człowiek inteligentny, jak pan, tym łatwiej go przyjmie, że jest on zgodny z pańskimi interesami: będzie pan musiał maskować wiarygodnymi dowodami i przyjaźnią z ludźmi zasługującymi na szacunek to, co w pańskiej przeszłości jest niezbyt jasne.

Andrea stracił wyraźnie kontenans.

— Odpowiadałbym chętnie za pana — ciągnął Monte Christo — ale taki już mam zwyczaj, że nie tylko wątpię o najlepszych przyjaciółach, lecz jeszcze staram się, aby inni o nich wątpili; toteż odegrałbym rolę nie dla siebie, jak powiadają dramatopisarze, i naraziłbym się na wygwizdanie, zgola bez potrzeby.

— A jednak, panie hrabio — odparł zuchwale Andrea — z uwagi na lorda Wilmore, który polecił mnie panu...

— Ach, naturalnie, tylko że lord Wilmore nie zataił przede mną pańskiej, mój miły panie, cokolwiek burzliwej młodości. O, nie żądam — rzekł hrabia, widząc, iż Andrea poruszył się niespokojnie — pańskiej spowiedzi; a zresztą, żebyś nie musiał pan szukać oparcia w kimś obcym, sprowadzono z Lukki pańskiego ojca, pana margrabiego Cavalcanti. Obejrzyj go pan sobie: jest nieco sztywny, nieco wymuszony; ale to kwestia munduru, a kiedy ludzie dowiedzą się, że major służy od lat osiemnastu w armii austriackiej, każdy to zrozumie; na ogół biorąc nie wymagamy wiele od Austriaków. Zważywszy wszystko, całkiem panu ten ojciec wystarczy, zapewniam.

— Ach! Pokrzepiające to słowa. Rozstaliśmy się tak dawno, że nie pamiętam go wcale.

— I jak panu wiadomo, ludziom majątnym wybacza się wiele.

— A czy mój ojciec jest naprawdę bogaty?

— To milioner... pięćset tysięcy liwrow renty.

— Tedy — spytał niepewnie Andrea — znajdę się w sytuacji... przyjemnej?

— Najprzyjemniejszej pod słońcem, drogi panie; ojciec będzie wypłacał panu pięćdziesiąt tysięcy liwrow rocznie, dopóki będziesz pan bawił w Paryżu.

— No to w takim razie nie ruszam się stąd.

— Hm, któż zdoła przewidzieć wypadki, drogi panie? Człowiek strzela, pan Bóg kule nosi.

Andrea westchnął.

— Ale — spytał — czy przez cały czas, który pozostanę w Paryżu, jeśli okoliczności nie zmuszą mnie do wyjazdu, będę otrzymywał tę sumę?

— Rzecz jasna.

— Z rąk ojca? — zaniepokoił się Andrea.

— Tak, ale za gwarancją lorda Wilmore, który na prośbę pańskiego ojca kazał otworzyć panu kredyt, w wysokości pięciu tysięcy franków miesięcznie, u pana Danglarsa, jednego z najsolidniejszych bankierów paryskich.

— A czy mój ojciec długo zamierza pozostać w Paryżu? — zaniepokoił się znów Andrea.

— Tylko parę dni. Dostał urlop zaledwie na dwa do trzech tygodni.

— Kochany staruszek! — zawołał Andrea, kontent najwidoczniej z owego rychłego odjazdu.

— Jakoż — ozwał się Monte Christo udając, iż oszukał go ton jego słów — nie zwlekając połączone panów. Przygotowałeś się pan, aby uściskać zacnego Cavalcanti?

— Czyżby wątpił pan o tym?

— A więc, młody przyjacielu, przejdź do sąsiedniego salonu, ojciec czeka tam na ciebie.

Andrea skłonił się głęboko i znikł za drzwiami.

Hrabia podążył za nim wzrokiem, a kiedy drzwi się zamknęły, nacisnął ukrytą sprężynę: w jednym z obrazów płótno odsunęło się od ramy, tworząc szparę, którą można było obserwować przyległy pokój.

Zamknawszy drzwi, Andrea zbliżył się do majora, który wstał słysząc czyjeś kroki.

— Ach, panie ojczule! Drogi ojczule! — zawołał Andrea tak, by hrabia mógł usłyszeć przez zamknięte drzwi. — Czy to ty?

— Witaj mi, drogi synu! — odparł uroczyście major.

— Co za szczęście, żeśmy znów ujrzeli się po tylu latach rozłąki — wydeklamował Andrea, zerkając wciąż ku drzwiom.

— A tak, długa była ta rozłąka.

— Nie uściskamyż się, panie ojczule?

— Ależ tak, mój synu — zgodził się major.

I dwaj panowie uściskali się tak, jak to czynią aktorzy w Komedii Francuskiej: jeden stuknął nosem drugiego w ramię.

— A więc jesteście znów razem — zagaił Andrea.

— Jesteście znów razem — potwierdził major.

— I już nie rozstaniemy się nigdy, prawda?

— Ma się rozumieć. Ale jak sądzę, mój synu, uważasz teraz Francję za swoją drugą ojczyznę...

— Istotnie, byłbym w rozpacz, gdyby mi przyszło opuścić Paryż.

— A ja, pojmujesz to, mogę żyć jedynie w Lucce. Dlatego nie czekając wracam do Włoch.

— Ale, najdroższy ojczule, nim wyjedziesz, dasz mi dokumenty, na mocy których będę mógł łąco dowieść, czyja krew płynie w moich żyłach.

— Rzecz jasna. Toć dlatego przyjechałem, a zbyt natrudziłem się, aby cię odnaleźć i wręczyć ci te papiery, żebyśmy zaczęli się szukać wzajem od nowa; strawiłbym na to resztę życia.

— I gdzież one?

— O, proszę.

Andrea wyrwał mu niemal akt ślubu i świadectwo chrztu, a rozłożywszy je z pośpiechem naturalnym u dobrego syna, przeczytał błyskawicznie oba dokumenty — co znowuż świadczyło o wprawnym oku i palącej ciekawości.

Kiedy skończył, czoło rozbłysło mu zagadkową radością; spojrzawszy na majora zagadnął ze szczególnym uśmiechem:

— No, no, czyżby we Włoszech nie było galer? (Powiedział to w najczystszy narzeczu tokańskim). Major wyprostował się.

— A cóż to za pytanie?

— Skoro fabrykuje się bezkarnie takie dokumenty! Za jeden z nich, najdroższy tatku, we Francji posłano by cię do Tulonu, żebyś tam przez pięć lat natykał się do woli świeżego powietrza.

— Go takiego! — ozwał się Toskańczyk, usiłując nie tracić majestatycznej miny.

— No, mój drogi panie Gavalcanti — tu Andrea znacząco uścisnął mu ramię — ileś dostał za to twoje ojcostwo? Major otwarł usta, aby odpowiedzieć.

— Ciszej! — szepnął Andrea — dam panu dowód zaufania; mam dostawać pięćdziesiąt tysięcy rocznie za to, żeby być pańskim synem: rozumiesz pan więc, że daleki, by zaprzeczyć panu tego ojcostwa.

Major rozejrzał się niespokojnie.

— E, uspokój się pan, jesteśmy sami, a zresztą mówimy po włosku.

- A ja dostałem pięćdziesiąt tysięcy jednorazowo — oznajmił Toskańczyk.
- Wierzysz w bajki, panie Cavalcanti?
- Nie wierzyłem dawniej, ale teraz wierzyć muszę.
- To i pan miałeś dowody? Major dobył z kieszeni garść złota.
- Dowód, jak pan widzisz, namacalny.
- I sądzisz pan, że mogę wierzyć w dane mi obietnice?
- Sądzę, że tak.
- I że ten poczciwy hrabia dotrzyma słowa?
- Co do joty; ale rozumiesz pan, pod warunkiem że, odegramy naszą rolę.
- Jak to?
- Ja czułego ojca..
- A ja wzorowego syna.
- No tak, skoro oni życzą sobie, żebyś pan był moim potomkiem.
- Jacy oni?
- A bo ja wiem!... Ci, którzy do pana pisali. Nie otrzymałeś pan listu?
- Owszem.
- Od kogo?
- Od jakiegoś księdza Busoniego.
- Nie znasz go pan?
- Nie widziałem na oczy.
- I cóż było w tym liście?
- A nie wydasz mnie pan?
- Nie ma obawy: nasze interesy są wspólne.
- No to czytaj pan.

I major podał mu list. Andrea przeczytał szeptem:

*Jesteś Pan w biedzie; czeka Cię nieszczęsna starość.
Czy nie zechciałbyś Pan, jeśli się nie wzbogacić, to w każdym razie
zostać niezależnym?
W takim razie jedź Pan zaraz do Paryża, odwiedź pana hrabiego de
Monte Christo (Pola Elizejskie 30) i zapytaj o syna, którego miałeś z
margrabią Corsinari, a porwanego, kiedy był chłopcem
pięcioletnim.
Syn ów to Andrea Cavalcanti.
Abyś nie podał Pan w wątpliwość dobrej woli niżej podpisanego,
dołączam:
Primo: Bon na dwa tysiące czterysta tirów toskańskich, płatny u
pana Gozzego we Florencji.
Secundo: List polecający do pana hrabiego de Monte Christo.
Hrabia otworzy panu kredyt w wysokości czterdziesta ośmiu tysięcy
franków.
Staw się Pan u niego 26 maja o siódmej wieczór.
Podpisano: ksiądz Busoni*

- Otóż i to!
- Nie rozumiem, co pan masz na myśli — ozwał się major.
- Otrzymałem list niemal identyczny.
- Pan?
- Tak, ja.
- Od księdza Busoniego?
- Nie.
- Od kogóż więc?

- Od jakiegoś Anglika, lorda Wilmore, który obrał sobie przydomek: Sindbad Żeglarz.
- I tyle pan go znasz, co ja księdza Busoniego?
- Niezupełnie; mam tu nad panem niejaką przewagę.
- Widziałeś go pan?
- Tak, raz jeden.
- Gdzie?
- Tego właśnie wyjawić panu nie mogę. Nie życzę sobie, abyś pan wiedział tyle, co ja.
- A co było w liście?
- Czytaj pan.

Jesteś Pan biedny, czeka cię nędzna przyszłość. Chcesz Pan zdobyć nazwisko, być niezależnym i bogatym?

— Do diabła! — mruknął Andrea, kołysząc się na piętach. — Po cóż w ogóle zadawać takie pytania?

Wsiądź Pan do karetki pocztowej, która będzie czekać na Ciebie tu, w Nicei, za Genueską rogatką. Pojedziesz Pan przez Turyn, Chambery i Pont--de-Beauvoisin.

Dwudziestego szóstego maja o siódmej wieczór stawisz się Pan u pana hrabiego de Monte Christo (Pola Elizejskie 30) i zapytasz o swojego ojca.

Jesteś Pan synem margrabiego Bartolomea Cavalcanti i margrabianki Olivvy Corsinari, jak się o tym przekonasz z dokumentów, które doręczy Ci margrabia. Dzięki nim będziesz Pan mógł bywać pod wymienionym nazwiskiem w salonach Paryża.

Dochód wynoszący pięćdziesiąt tysięcy franków rocznie pozwoli Panu występować tak, jak nakazuje Twoja wysoka kondycja.

Dołączam bon na pięć tysięcy franków płatny u pana Ferrea, bankiera nicejskiego i list polecający do hrabiego de Monte Christo. Hrabia, na moją prośbę zaspokoi wszelkie pańskie potrzeby.

Sindbad Żeglarz

- Hm! — rzekł major — to brzmi bardzo pięknie.
- Prawda?
- Widziałeś się pan z hrabią?
- Przed chwilą.
- Potwierdził?
- Co do joty.
- Rozumiesz pan coś z tego?
- Dalibóg, nie.
- Jest w tej aferze ktoś oszukany.
- W każdym razie chyba nie ja i nie pan.
- Na pewno nie.
- Ale w takim razie...
- A cóż to nas obu obchodzi?
- Racja. To właśnie chciałem powiedzieć; trzymajmy się razem, ręka w rękę zmierzajmy do celu.
- Niech będzie. Znajdziesz pan we mnie godnego partnera, przekonasz się o tym.
- Drogi ojcze, nie wątpiłem o tym przez moment.
- Przynosisz mi zaszczyt, drogi synu.

Monte Christo wybrał ową chwilę, aby wrócić do salonu. Na odgłos jego kroków obaj panowie padli sobie w objęcia; tak zastał ich gospodarz.

— No i cóż, margrabbio — zagadnął — odnalazłeś syna i jak mi się zdaje, przypadł ci do serca.

— O, panie hrabio, radość zapiera mi dech!

— A pan co na to, młodzieńcze?

— O, panie hrabio, szczęście odjęło mi mowę!

— Szczęśliwy ojciec i syn szczęśliwy! — dorzucił hrabia.

— Jedno tylko mnie smuci — ozwał się major. — To, że niezwłocznie muszę wyjechać z Paryża.

— O, spodziewam się, że nie odjedziesz, mój drogi panie Cavalcanti — odrzekł Monte Christo — póki nie zaprezentuję pana kilku moim przyjaciołom.

— Jestem na rozkazy pana hrabiego.

— No, a teraz wypowiadaj się, młodzieńcze.

— Komu mam się spowiadać?

— Swojemu ojcu, rzecz jasna; powiedźże coś niecoś majorowi o stanie swoich finansów.

— O, do diabła! Dotknąłeś pan czulej struny.

— Słyszał pan major? — ozwał się Monte Christo.

— Słyszałem, słyszałem.

— A zrozumiałeś pan?

— Wybornie.

— Kochany chłopak mówi, że trzeba mu pieniędzy.

— A cóż ja na to poradzę?

— No, dasz mu je pan, do licha!

— Ja?

— Tak, pan.

Monte Christo przeszedł między dwoma panami.

— Bierz! — powiedział, wsuwając Andrei w rękę plik banknotów.

— Co to takiego?

— Odpowiedź pańskiego ojca.

— Mojego ojca?

— Tak. Czyż nie dałeś mu do zrozumienia, że potrzebujesz pieniędzy?

— Dałem. I co z tego?

— Poprosił mnie, abym wypłacił panu tę sumkę.

— Na poczet moich dochodów?

— Nie, na koszt pańskiej instancji.

— Ojczy kochany!

— Cicho pan bądź! Nie widzisz, że ojciec twój pragnie być dobrodziejem bezimiennym?

— Oceniam ten dowód delikatności — odparł Andrea, kładąc pieniądze do kieszeni pantalonów.

— To dobrze — odpowiedział Monte Christo — a teraz do widzenia panom!

— Kiedy będziemy mieli zaszczyt znów ujrzeć pana hrabiego? — spytał Cavalcanti.

— A tak, kiedy będziemy mieli znów ten zaszczyt? — powtórzył Andrea.

— W sobotę, skoroście panowie tak łaskawi... zaraz... zaraz... no tak, w sobotę. Wydaję obiad w moim domu w Auteuil, ulica Źródłana dwadzieścia osiem. Będzie parę osób, między innymi pan Danglars, bankier panów: trzeba, żebyście się panowie z nim poznali, z uwagi na wasze wspólne rachunki.

— Strój galowy? — zagadnął półgłosem major.

— Tak. Włóżysz pan mundur, pluderki, przyniesz ordery.

— A ja? — spytał Andrea.

— Pan ubierzesz się jak najprościej: czarne pantalone, lakierki, biała kamizelka, frak czarny albo granatowy, halsztuk; polecam w tym względzie firmę Blin albo Veronique. Jeśli nie znasz adresu, zwróć się pan do Baptysty. Jesteś pan bogaty, nie możesz więc ubierać się pretensjonalnie, bo zepsujesz całe wrażenie. Gdybyś kupował konie, polecam pana Devedeux; faeton nabędziesz pan w firmie Baptiste.

— O której mamy się stawić? — zagadnął młodzieniec.
— Około pół do siódmej.
— Doskonale, nie zawieziemy — rzekł major dotykając kapelusza. Panowie Cavalcanti skłonili się hrabiemu i wyszli.
Monte Christo wyrwał oknem: szli pod rękę dziedzińcem.
— To istotnie — rzekł do siebie — wyjątkowe łajdaki. Szkoda, że nie są naprawdę ojcem i synem.
Zasępił się, pomyślał chwilę i rzekł jeszcze:
— Pójdę do Morrelów. Zdaje się, że niesmak dławi mnie bardziej niż nienawiść.

19. ZAGON LUCERNY

Pozwól, czytelniku, że wrócimy na pole graniczące z posesją pana de Villefort i że przed bramą, nad którą zwisają bujne gałęzie kasztanów, spotkamy dwoje naszych znajomych.

Tym razem Maksymilian zjawił się pierwszy.

Przywarłszy okiem do szpary, bada głębie ogrodu, wypatruje, czy między drzewami nie przemknie jakiś cień, nasłuchuje, czy jedwabny pantofelek nie zaskrzypi na piasku alei.

Słychać wreszcie upragniony szelest, ale miast jednego cienia zamajaczyły dwa.

Walentyna spóźniła się, ponieważ pani Danglars i Eugenia przyjechawszy z wizytą zasiedziały się aż do tej pory, kiedy miał czekać Maksymilian.

Nie chcąc tedy przepuścić schadzki, Walentyna zaproponowała Eugenii spacer po ogrodzie. Pragnęła, żeby Maksymilian się przekonał, że spóźnienie, którym martwił się już na pewno, wynikało nie z jej winy.

Młodzieniec zrozumiał w lot, gdyż zakochanych cechuje szczególna intuicja — i ciężar spadł mu z serca.

A zresztą, chociaż głos jej nie dobiegał Maksymiliana, Walentyna tak pokierowała krokami, że młodzieniec mógł widzieć, jak obie panny chodziły tam i z powrotem; ilekroć zaś znajdowała się w pobliżu bramy, przesyłała spojrzenie, którego nie dostrzegała Eugenia, ale dostrzegał Maksymilian. A spojrzenie to mówiło:

„Cierpliwości, kochanie; toć widzisz, że nie moja wina”.

Maksymilian rzeczywiście brał na cierpliwość i dziwił się kontrastowi, jaki zachodził między urodą dwóch panien — jasnowłosej Walentyny o tęsknym spojrzeniu, z lekka pochylonej niby wdzięczna brzoźka, i czarnowłosej Eugenii, o spojrzeniu dumnym, a smukłej niby topola.

Minęło tak pół godziny, panny odeszły.

Maksymilian domyślił się, że wizyta pani Danglars kończy się już.

Rzeczywiście, po chwili Walentyna zjawiła się sama.

W obawie, aby ktoś niepożądany nie zainteresował się jej powrotem do ogrodu, szła wolno i zamiast podążyć prosto do bramy, siadła na ławce. Okiem baczny, lecz nie okazując zaniepokojenia, przyglądała się kępom drzew i zapuszczała wzrok w każdą aleję z osobna.

Rozpatrzywszy się dokładnie w sytuacji, podbiegła do bramy.

— Dzień dobry, Walentynko!

— Dzień dobry. Musiałeś czekać, ale widziałeś chyba, że nie z mojej winy.

— A tak, przez pannę Danglars. Nie wiedziałem, że się przyjaźnicie.

— A któż ci powiedział, że się przyjaźnimy?

— Nikt mi tego nie mówił, ale wniosłem to z waszego zachowania: spacerowałyście pod rękę, gawędziłyście czule jak dwie pensjonarki zatopione we wzajemnych zwierzeniach.

— No bośmy się sobie zwierzały; przyznała mi się, że czuje wstręt do mariażu z panem de Morcerf, a ja jej się przyznałam, że byłabym bardzo nieszczęśliwa, gdybym poślubiła pana d'Epina.

— Najdroższa!

— Oto dlaczego, kochaneczku, wydało ci się, żeśmy z Eugenią w ogromnej zażyłości; przecież mówiąc o człowieku, którego pokochać nie mogę, myślałam o człowieku, którego kocham.

— Jakaś ty zawsze dobra, Walentynko! Ponadto masz w sobie coś, czego panna Danglars nigdy nie będzie mieć: ów niewysłowny wdźwięk, będący u kobiety tym, czym zapach u kwiatu, a smak w

owocu! Bo jeśli kwiat jest tylko piękny, to jeszcze nie wszystko, i jeśli owoc jest tylko piękny, to też jeszcze nie wszystko.

— E, mówisz tak zaślepiiony miłością.

— Nie, Walentyńko, przysięgam! Przed chwilą obserwowałem was obie i wierz mi, że oddając sprawiedliwość urodzie panny Danglars, głowiłem się, jakim cudem ktoś mógłby się w niej zakochać.

— Byłam z nią, a więc, jak rzekłam, miłość cię zaślepiła.

— Nie... ale powiedz mi... pytam ze zwykłej ciekawości, którą budzą we mnie poglądy, jakie wyrobiłem sobie o panie Danglars...

— O, z pewnością poglądy niesłuszne, choć ich nie znam. Kiedy wyrokujecie o nas, biednych kobietach, nie możemy liczyć na pobłażliwość.

— Za to jedna kobieta wyrokuje o drugiej sprawiedliwie!

— Bo naszym sądem kierują prawie zawsze gorące uczucia. Ale o cóż to chciałeś zapytać?

— Czy panna Danglars lęka się małżeństwa z panem de Morcerf, bo kocha kogo innego?

— Mówiłam ci, że nie jestem przyjaciółką Eugenii.

— No i cóż z tego? Panny, nie będąc przyjaciółkami, często zwierzają się sobie; przynaj się, żeście poruszały tę sprawę. A widzisz, uśmiechasz się!

— Widać twój wzrok przenika te deski.

— Powiedzże, co ci mówiła.

— Mówiła mi, że nie kocha nikogo; że brzydzi się małżeństwem; że byłaby najszczęśliwsza, gdyby mogła wieść życie swobodne, niezależne; że niemal sobie życzy, aby jej ojciec zbankrutował, bo wtedy zostałaby artystką jak panna Ludwika d'Armilly, jej przyjaciółką.

— A widzisz!

— Ale czegoż to dowodzi?

— Niczego — uśmiechnął się Maksymilian.

— To czemu ty się teraz uśmiechasz?

— O, widzę, że i twój wzrok przenika deski.

— Chcesz, żebym sobie poszła?

— Nie odchodź, błagam! Mówmy więc o tobie.

— Masz rację, bo możemy widzieć się dziś tylko dziesięć minut.

— O Boże! — zmartwił się Maksymilian.

— Tak, mój drogi, — ozwała się melancholijnie Walentyńka — ile sobie wybrałeś kochankę! Jakież ty życie wiedziesz przeze mnie, biedaku! Ty, stworzony do szczęścia. Ale wyrzucam to sobie gorzko, wierz mi.

— E, dałabyś pokój, Walentyńko, skoro i tak jestem szczęśliwy; czyż tego wieczystego czekania nie wynagradza mi, jak się zdaje, to, że widzę cię przez pięć minut, że słucham twoich słów? Czyż nie jest mi nagrodą przeświadczenie głębokie, niezłomne, że Bóg nigdy jeszcze nie stworzył dwojga serc tak dobranych jak nasze i że nie po to złączył nas cudem, aby je rozdzielić?

— Dziękuję za te słowa otuchy; musisz mieć nadzieję za siebie i za mnie: daje mi to połowę szczęścia.

— A cóż to się jeszcze stało, że tak uciekasz?

— Nie wiem. Macocha zapowiedziała mi przez pokojową, żebym do niej wstąpiła: ma mi coś oznajmić, idzie podobno o część mojego majątku. Ach, mój Boże! Niech mi zabiorą moją fortunę i tak jestem aż nazbyt bogata, i niech mi dadzą spokój i swobodę! Kochałbyś mnie i biedną, prawda, Maksymilianie?

— Będę kochał cię zawsze; cóż mnie obchodzić będzie bogactwo czy bieda, gdy będę miał przy sobie moją Walentyńkę, pewien, że nikt mi jej odebrać nie zdoła! Ale czy nie obawiasz się, że macocha pragnie oznajmić ci coś nowego w związku z twoim zamęściem?

— Nie sądzę.

— A jednak posłuchaj i nie lękaj się o nic, bo póki żyję, na żadną inną nie spojrzę.

— Wydaje ci się, że to dla mnie takie pocieszające?

— Przepraszam, masz rację, gbur ze mnie. Owóż, chciałem ci powiedzieć, że spotkałem niedawno pana de Morcerf.

- No i co dalej?
- Pan d'Epina jest, jak wiesz, jego przyjacielem.
- Wiem, ale co z tego?
- Franz pisał mu, że niedługo wraca. Walentyna zbladła i oparła się ręką o deski.
- O, Boże! — zawołała — Czyżby o to chodziło? Ale nie, macocha chce mi oznajmić raczej co innego.
- Skąd wiesz?
- Właściwie nie wiem... ale wydaje mi się, że choć macocha nie sprzeciwia się otwarcie mojemu mariażowi, nie sprzyja mu.
- E, co ty mówisz, Walentynko! Chyba zacznę uwielbiać twoją macochę!
- Nie spiesz się, nie spiesz — rzekła Walentyna uśmiechając się smutno.
- Jeśli więc nie sprzyjałaby tak dalece twojemu mariażowi, że gotowa by go zerwać, może zechciałaby wysłuchać oświadczeń z mojej strony?
- Nie łudź się: macosze nie chodzi o wybór męża; chce w ogóle udaremnić moje małżeństwo.
- Jeśli więc tak nienawidzi małżeństwa, czemuż sama wyszła za męża?
- Nie rozumiesz mnie. Kiedy rok temu wspomniałam, że chętnie wstąpiłabym do klasztoru, macocha zgłosiła swoje zastrzeżenia li tylko z obowiązku, bo w istocie uradował ją mój projekt; ojciec, przez nią instygowany, zgodził się także, jestem tego pewna. I jedynie powstrzymałam się ze względu na mojego biednego dziadka. Nie wyobrażasz sobie, jak spojrział ten biedny starzec, który mnie jedną kocha na świecie, a którego, niech mi Bóg przebaczy, jeśli to bluźnierstwo, kocham na świecie tylko ja jedna. Gdybyś zobaczył, jak spojrział na mnie dowiedziawszy się o decyzji, ile wyrzutu było w jego oczach, ile rozpacz w łzach — a nie skarżył się i nie szlochał — które spływały po jego nieruchomych policzkach! O, Maksymilianie, ogarnął mnie wielki żal i padłam mu do nóg, wołając: „Przebacz, dziadziu, przebacz! Niech się dzieje, co chce, nie opuszczę cię nigdy!” Wtedy wznosił oczy do nieba. Maksymilianie, mogę wycierpieć wiele: ten wzrok starca nagroził mi z góry wszelkie cierpienia.
- Najdroższa Walentynko, jesteś aniołem! Nie wiem doprawdy, czym zasłużyłem sobie, żeś mi się objawiła. Chyba dlatego, że Bóg uważa za niewiernych Beduinów, których rąbałem szabłą na prawo i lewo. Ale, wracając do rzeczy, jaki interes pani de Villefort miałaby w tym, żebyś została starą panną?
- Czyż nie mówiłam ci przed chwilą, że jestem bogata, aż nazbyt bogata? Odziedziczyłam po matce prawie pięćdziesiąt tysięcy liwrów renty; dziadkowie, margrabiostwo de Saint-Meran, zostawią mi drugie tyle; dziadek Noirtier zamierza, bo nie kryje się z tym, zapisać mi cały swój majątek. Wynika z tego, że w porównaniu ze mną brat mój, Edwardek, który nie może liczyć na żadną schedę po matce, jest biedny. Otóż matka świata poza tym dzieckiem nie widzi; gdybym więc wstąpiła do klasztoru, cały mój majątek, jak również i scheda po margrabiostwie, przeszłyby najpierw na ojca, a potem na Edwardka.
- Dziwi mnie taka zachłanność u młodej i pięknej kobiety.
- Weź pod uwagę, że nie myśli o sobie, lecz o swoim dziecku. A więc to, co poczytujesz jej za grzech, jest, z macierzyńskiego punktu widzenia, chwalebne.
- No, a gdybyś tak, Walentynko, dała temu chłopcu część swojej fortuny...
- Trudno wystąpić z taką propozycją, bo ta kobieta bez ustanku rozprawia o bezinteresowności!
- Walentynko, nasza miłość jest dla mnie rzeczą świętą i jak każdą świętość osłoniłem ją szacunkiem i zamknąłem na dnie serca; nikt, nawet moja siostra, nie domyśla się tego uczucia, nie zwierzyłem się dotąd absolutnie nikomu. Ale czy zgodziłabyś się, żebym powiedział o mojej miłości przyjacielowi? Walentyna zadrzała.
- Przyjacielowi? — rzekła. — Miły Boże! Dreszcz mnie przejmuje na to słowo. Przyjacielowi! I któż to taki, ów przyjaciel?
- Posłuchaj, Walentynko. Czy nigdy nie poczułaś do kogoś przemożnej sympatii już od pierwszego wejrzenia? Wydaje nam się wtedy, że znamy tego człowieka od lat, zastanawiamy się, gdzieśmy go widzieli, ale że nie możemy sobie przypomnieć ani miejsca, ani czasu, wnosimy, że to przyjaźń z jakiegoś innego świata i że budzi się w nas tylko wspomnienie.
- Tak.
- Owóż doznałem czegoś podobnego po raz pierwszy na widok tego niezwykłego człowieka!
- Niezwykłego?
- Tak.

— No to chyba znasz go już dawno.....

— Zaledwie od tygodnia, a najwyżej od dziesięciu dni.

— I nazywasz przyjacielem kogoś znanego ci od tygodnia! Sądziłam, że z większą powściągliwością używasz tego pięknego słowa: przyjaciel!

— Z logicznego punktu widzenia masz rację, ale nie wyperswadujesz mi tego uczucia podyktowanego instynktem. Według mnie ten człowiek weźmie udział we wszystkim, co mi się w przyszłości zdarzy dobrego — jego wzrok przenikliwy zna jakby przyszłość, a kieruje nią jego ręka potężna.

— To chyba jakiś wróżbita? — roześmiała się Walentyna.

— A wiesz, rad bym nieraz wierzyć, że czyta w przyszłości... zwłaszcza jeśli idzie o dobro.

— O — rzekła smętnie Walentyna — przedstaw mi tego człowieka! Chciałabym się dowiedzieć, czy miłość wynagrodzi mi wszystkie moje cierpienia.

— Biedactwo! Ależ ty go znasz... -Ja?

— Tak. On przecież ocalił twoją macochę i Edwardka.

— Hrabia Monte Christo?

— No tak.

— O! — zawołała Walentyna — przyjaciel mojej macochy nigdy moim przyjacielem nie zostanie!

— Hrabia przyjaźni się z twoją macochą? Instynkt nie zawiódłby mnie do tego stopnia. Jestem pewien, że się mylisz.

— E, bo nie wiesz, mój drogi, że już nie Edwardek rządzi w naszym domu, ale hrabia; macocha mu nadszkakuje, widząc w nim kwintesencję ludzkiej mądrości; ojciec, słyszysz? ojciec go wielbi, powiadając, że nikt jeszcze z równą elokwencją nie sformułował wzniosłych poglądów; Edwardek oddaje mu cześć niemal boską, a chociaż boi się jego wielkich czarnych oczu, wybiega, jak tylko hrabia się zjawi i otwiera mu dłoń, w której zawsze znajduje jakąś prześliczną zabawkę; pan hrabia de Monte Christo nie jest u nas ani gościem ojca, ani macochy — jest u siebie w domu.

— To nic, kochana Walentynko, jeśli sprawy przedstawiają się tak, jak mówisz, musisz już odczuwać albo odczujesz niebawem skutki wizyt hrabiego. Poznał Alberta de Morcerf we Włoszech i wyratował go z rąk bandytów; poznał panią Danglars i przesał jej dar królewski; twoja matka i brat przejeżdżają pod jego domem i Nubijczyk im ocalił życie. Ten człowiek otrzymał na pewno jakąś władzę, dzięki której może wpływać na wypadki. Nie widziałem nigdy skromniejszych upodobań połączonych z większym przepychem. Uśmiecha się do mnie tak miło, że wbrew temu, co sądzą inni, nie potrafiłbym uważać tego uśmiechu za gorzki. O, powiedz, Walentynko, czy uśmiechnął się miło do ciebie? Jeśli tak, będziesz szczęśliwa.

— Do mnie? Ależ on nie zaszczycił mnie dotąd ani jednym spojrzeniem! A jeśli przypadkiem zjawię się przed nim, odwraca wzrok. O, to nie jest człowiek szlachetny, nie łudź się! Mylisz się, przypisując mu bystre spojrzenie, które czyta na dnie serc. Gdyby rzeczywiście był szlachetny, dostrzegłby, jaką samotną i smutną w tym domu, i otoczyłby mnie tą swoją magiczną opieką; i skoro, jak utrzymujesz, odgrywa rolę słońca, rozgrzałby mi serce choć jednym promieniem. Powiadasz, że cię lubi — a cóż ty, Maksymilianie, wiesz o tym? Każdy się uśmiecha do oficera takiego jak ty; wysokiego, barczystego, wąsatego i noszącego szablę; i każdemu się zdaje, że może bez obawy krzywdzić biedną, zapłakaną dziewczynę.

— Walentynko, mylisz się, przysięgam ci.

— E, gdyby było inaczej, gdyby, skoro zamierza w taki czy inny sposób rządzić się u nas w domu, chciał mnie pozyskać, zaszczyciłby mnie choć raz owym uśmiechem, który tak zachwalasz; ale nie: spostrzegłszy, że jestem nieszczęśliwa, wniósł, że nie przydam mu się na nic i nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi. Kto wie, czy nie zacznie mnie prześladować, jak tylko potrafi, aby przypodobać się mojemu ojcu, macosze i bratu. A przecież, mówiąc otwarcie, nie jestem kobietą, którą można lekceważyć bez racji; sam mi to powiedziałeś. Ach! Przebacz mi — rzekła, widząc, że słowa te sprawiły Maksymilianowi wyraźną przykrość — jestem zła, powiedziałam ci, co myślę o tym człowieku, nie wiedząc nawet, że tyle mam na sercu. Słuchaj, nie przeczę, że ten wpływ, o którym wspomniałeś, istnieje, a może i ja mu ulegam; ale jeśli tak jest, wpływ to szkodliwy i zgubny, jak sam widzisz, dla myśli zacnej.

— No już dobrze, Walentynko — westchnął Morrel — przestańmy o tym mówić, nic mu nie powiem.

— Nadokuczałam ci, kochany mój, widzę to. O, gdybym mogła na przeprosiny uściskać ci rękę! Ależ ja naprawdę nie mam nic przeciwko temu, żebyś mnie przekonał; powiedzże mi, co zrobił dla ciebie ten twój hrabia de Monte Christo.

— Przyznam, że to kłopotliwe pytanie. Z pewnością nie okazał mi ostentacyjnie swojej przyjaźni. Toteż, mówiłem ci to, sympatia, jaką żywię dla niego, jest całkowicie instynktowna, nie ma w sobie nic wyrozumowanego. Czy słońce zrobiło coś dla mnie? Grzeje mnie, a dzięki jego promieniom widzę ciebie, ot i wszystko. Czy jakiś piękny zapach zrobił coś dla mnie? Też nie; raduje po prostu moje powonienie; cóż mogę odpowiedzieć innemu, jeśli mnie kto spyta, czemu podoba mi się ów zapach? Dziwna to rzecz, ale coś nas ku sobie ciągnie. Tajemniczy głos szepcze mi, że w tej niespodzianej i wzajemnej sympatii jest coś więcej niżli przypadek. Dostrzegam jakiś związek w naszych najzwyczajniejszych postępkach, a nawet w naszych najtajniejszych myślach. Znowu będziesz się śmiać, Walentyńko, ale odnoszę niedorzeczne wrażenie, że od momentu, kiedy poznałem hrabiego, wszystko, co mi się zdarza dobrego, od niego pochodzi. A przeżyłem trzydzieści lat, nie potrzebując tego protektora, nieprawdaż? Mniejsza z tym, dam ci przykład: mam być u niego w sobotę na obiedzie; zaproszenie przy naszych wzajemnych stosunkach zwyczajne; ale czegoż się później dowiaduję? Że i twój ojciec, a także macocha, będą na tym obiedzie. Spotkam się z nimi, kto wie, co jeszcze z tego wyniknie... Okoliczności na pozór zwykłe. A jednak widzę w nich coś, co mnie dziwi; napełniają mnie one szczególną otuchą. Powiedziałem sobie: hrabia, ów oryginał, który odgaduje wszystko, postanowił, bym zetknął się z państwem de Villefort, i czasami, przysięgam ci, staram się wyczytać z jego oczu, czy nie odgadł mojej miłości do ciebie.

— Mój kochany, wzięłabym cię za maniaka i złąkała się naprawdę o twoją równowagę umysłową, gdybym tylko takie argumenty słyszała od ciebie. Ależ w tym spotkaniu trzeba widzieć tylko przypadek. Zastanów ty się! Ojciec mój z zasady nie bywa u nikogo: dziesięć razy odrzuciłby więc to zaproszenie, gdyby macocha, którą pali ciekawość, żeby zobaczyć apartamenty tego bajkowego nababa, nie skłoniła ojca, po niebywałych trudach, by jej towarzyszył. Nie, mój drogi, wierzę mi, że oprócz ciebie nie mam w nikim oparcia! Chyba że poszukałabym go u mojego dziadka, który właściwie jest trupem, i mojej biednej matki przebywającej wśród cieniów.

— Czuję, że racja i logika są po twojej stronie, ale twój słodki głos, działający na mnie z przemożną siłą, nie przekonał mnie dzisiaj.

— I ty mnie też nie przekonałeś, i wyznam, że jeśli nie przytoczysz innych argumentów...

— Mam jeszcze pewien argument — przerwał jej z wahaniem Maksymilian — ale, doprawdy, Walentyńko, sam przyznać muszę, że jest on bardziej absurdalny niż pozostałe.

— Tym gorzej — roześmiała się Walentyna.

— A jednak jest on niezbity dla mnie, człowieka kierującego się uczuciem i natchnieniem, dla mnie, żołnierza od lat dziesięciu, który zawdzięcza życie owym wewnętrznym błyskom, co mówią nam, czy mamy pochylić się do przodu czy też do tyłu, aby minęła nas kula zabójcza.

— Mój drogi, zapominasz o moich modlitwach. Kiedy byłeś tam, modliłam się do Boga i do mojej matki tylko za ciebie, nie myśląc o sobie.

— Tak, od czasu, kiedy mnie poznałaś — umiechnął się Morrel — ale przedtem?

— Skoro, brzydaku, nie chcesz mi nic zawdzięczać, powiedzże, jaki to był przykład, który sam nazywałeś niedorzecznym.

— No to spojrzaj przez szparę. Widzisz, o tam, stoi koń uwiązany u drzewa: kupiłem go i przyjechałem do ciebie.

— Och, jaki śliczny! Nie mógłbyś go przyprowadzić bliżej? Przemówiłabym do niego, zrozumiałby mnie.

— To, jak widzisz, rumak nadzwyczaj kosztowny. Wiesz przecie, że bogaty nie jestem, a zaliczam się, jak to mówią, do ludzi rozsądnych. Zobaczyłem wczoraj u kupca tego wspaniałego Medeacha; tak go nazwałem. Spytałem o cenę; odpowiedziano mi: cztery i pół tysiąca franków; musiałem go sobie wyperswadować, pojmujesz sama, zapomnieć o jego urodzie; a kiedy odchodziłem, przyznam ci się, serce mi się krajało, bo koń spojrzał na mnie z czułością, położył mi głowę na ramieniu, a przedtem nosił mnie z nieopisaną gracją. Tegoż wieczora było u mnie kilku przyjaciół — Château-Renaud, Debray, i jeszcze paru hulaków, których na szczęście nie znasz nawet z nazwiska. Zaproponowano bouillotte; nie grywam nigdy, bom nie na tyle bogaty, żeby móc przegrywać, i nie taki znów biedak, żeby rwać się do wygranej. Ale jako gospodarz musiałem pośłać po karty. Kiedyśmy siadali do gry, przyjechał hrabia de Monte Christo; przysiadł się do nas, zaczęliśmy grać, i — zaledwie śmiem przyznać ci się do tego — wygrałem pięć tysięcy. Goście rozeszli się o północy. Nie wytrzymałem, wziąłem dorożkę, pojechałem do handlarza koni. Zadzwoiłem zdenerwowany, rozgorączkowany;

odźwierny wziął mnie z pewnością za wariata. Uchylił furtki, a ja wtargnąłem do środka niemal siłą. Wpadłem do stajni, spojrzałem po żłobach. Co za szczęście! Medeach był! Chrupał siano. Osiodłałem go czym prędzej i sam założyłem mu uzdę; Medeach godził się na to, kontent wielce! Zapłaciłem zdumionemu handlarzowi należną sumę, a potem już do rana jeździłem po Polach Elizejskich. Owóż, widziałem światło w oknie hrabiego, wydało mi się nawet, że dostrzegam cień jego za firanką. A teraz, Walentyńko, przysiągłbym, że hrabia odgadł moje pragnienie i że zjawił się umyślnie, abym mógł wygrać.

— Mój kochany, doprawdy ponosi cię fantazja... Niedługo przestaniesz mnie kochać... Człowiek tak rozmiłowany w poezji nie zechce wędznąć w miłości tak monotonnej jak nasza... Ale... O Boże!... Słyszysz?... Wołają mnie.

— Walentyńko, przesuń przez szparę najmniejszy paluszek, niechże go ucałuję.

— Przynieśliśmy sobie, że będziemy tylko dwojgiem głosów i dwojgiem cieni!

— Jak chcesz, Walentyńko.

— A czy cię uszczęśliwię, spełniwszy twoją prośbę?

— O tak!

Walentyńska weszła na ławkę i zamiast przesunąć palec przez szparę, podała mu rękę ponad deskami.

Maksymilian wydał okrzyk radości, wskoczył na kamień u bramy, chwycił ukochaną rękę i przycisnął do niej gorące wargi.

Ale rączka wysliznęła się zaraz z jego dłoni — i Walentyńska czmychnęła, przerażona zapewne doznaną emocją.

20. PAN NOIRTIER DE VILLEFORT

Zobaczymy teraz, co się działo w domu prokuratora po wizycie pani Danglars, kiedy Walentyńska była na schadzce.

Pan de Villefort, a za nim małżonka wkroczyli do pokoju ojca — a Walentyńska tymczasem gruchała z Maksymilianem.

Małżonkowie, skłoniwszy się starcowi, odprawili Barrois, sędziwego lokaja, który służył mu już od lat dwudziestu pięciu, i siedli obok pana Noirtier.

Pan Noirtier siedział w głębokim fotelu na kółkach. Sadowiono go tu co dzień z rana, a wieczorem przenoszono na łóżko. Fotel stał przed ogromnym lustrem, w którym odbijał się cały pokój — tak to paralytyk mógł widzieć każdego, kto wchodził lub wychodził, a także obserwować wszystko, co się działo wokół niego. Pan Noirtier, nieruchomy niby trup, śledził okiem przenikliwym i bystrym ową parę: ceremonialny ukłon zapowiadał, że przyszedli w jakiejś sprawie oficjalnej a nieoczekiwanej.

Wzrok i słuch ożywiały jeszcze, niby dwie iskry, to ciało, gotowe już właściwie do grobu; z owych dwóch zmysłów jeden zdradzał, iż w kamieniu tym istnieje jakieś życie wewnętrzne — a było to spojrzenie podobne dalekiemu światłu, które nocą mówi podróżnym zabłąkanym na pustkowiu, że ktoś czuwa jeszcze pośród mroków i ciszy.

Owóż w czarnym oku starego pana Noirtier, ocienionym brwią czarną — bo włosy, długie i opadające na ramiona, miał siwe — skoncentrowała się cała żywotność, cały spryt, cała siła, cała inteligencja, które przemieszkowały niegdyś w tym ciele; zwykle tak bywa, że jeden organ, kiedy zamrą inne, skupia w sobie cechy duchowe człowieka.

Nie mógł poruszyć ręką, nie mógł wydać głosu, nie mógł wstać — lecz to oko potężne zastępowało mu ruchy i mowę: rozkazywał oczyma, dziękował oczyma.

Był to trup o żywym spojrzeniu: trudno o coś bardziej przerażającego niż to lico marmurowe, na którym płonął gniew albo błyszczała radość.

Trzy tylko osoby rozumiały ów język nieszczęsnego paralytyka: pan de Villefort, Walentyńska i, wspomniany właśnie, stary sługa.

Ale że pan de Villefort zachodził do ojca rzadko, unikając tych wizyt na wszelkie sposoby, zjawiając się zaś, nie starał mu się dogodzić, choć go rozumiał, starcowi osładzała życie tylko wnuczka. Dzięki poświęceniu, miłości i cierpliwości Walentyńska nabrała takiej wprawy, że chwyciła w lot każdą myśl pana Noirtiera.

Na tę mowę niemą i dla nikogo niezrozumiałą odpowiadała słowami i grą fizjonomii, wkładając w ową czynność całą duszę. Jakoż między dziewczyną i tym rzekomym kamieniem, który już niemal obracał się w proch, toczyły się ożywione dialogi. Kamień pozostał człowiekiem wszechstronnie wykształconym, nadzwyczaj bystrym i o woli tak silnej, jak potężny może być duch zamknięty w ciele, nad którym utracił władzę.

Walentyna rozwiązała tedy osobliwy problem: nauczyła się rozumieć myśl starca i przekazywać mu myśli swoje; dzięki starannej obserwacji prawie zawsze, jeśli chodziło o sprawy mniej skomplikowane, odgadywała dokładnie jego życzenia albo potrzeby.

Lokaj, służąc od lat dwudziestu pięciu, znał wybornie nawyki pana, toteż niemal w każdym przypadku uprzedzał jego rozkazy.

Villefort nie musiał uciekać się ani do pomocy służącego, ani Walentyny, by rozpocząć z ojcem szczególną rozmowę, którą przeprowadzić zamierzył.

Znał bowiem, jak się rzekło, mowę starca, unikał jednak pogawędek z ojcem bądź dlatego, że się nimi nudził, bądź przez obojętność.

Odczekawszy, by Walentyna poszła do ogrodu, oddalił Barrois, usiadł po prawej stronie ojca — pani de Villefort usadowiła się po lewej — i przemówił:

— Niech ojca nie dziwi, że Walentyna nie przysłała z nami i żem wyprawił lokaja, lecz ani młoda panna, ani służący nie powinni być świadkami narady, którą zamierzam z ojcem odbyć; pragnęlibyśmy, małżonka moja i ja, coś ojcu zakomunikować.

W czasie tego wstępu oblicze starca pozostawało nieprzeniknione, natomiast Villefort spoglądał tak badawczo, jak gdyby chciał przejrzeć ojcowskie serce do głębi.

— Sądzę, że to, co zamierzamy z małżonką zakomunikować — ciągnął Villefort swoim tonem lodowatym, prokuratorским, nie dopuszczającym sprzeciwu — spodoba się ojcu.

Oko starca było nadal matowe; słuchał i nic więcej.

— Ojciec — podjął Villefort — wydajemy Walentynę za męż. Pan Noirtier nie zareagował na tę wiadomość.

— Ślub odbędzie się za trzy miesiące — objaśnił Villefort. Oko starca było wciąż martwe.

Zabrała tedy głos pani de Villefort, dorzucając szybko:

— Myśleliśmy, że ta nowina zainteresuje ojca; bo i zresztą zdawało mi się, że ojciec zawsze wyróżniał Walentynę; pozostaje nam więc tylko wyjawic, jak nazywa się młody człowiek, przyszły Walentyny. Walentynie trudno byłoby zrobić szczytniejszą partię; fortuna, piękne nazwisko, dystynkcja i upodobania tego młodzieńca są dla Walentyny najwyborniejszą gwarancją szczęścia. Wreszcie nazwisko jego musi być ojcu znane. Wybraliśmy pana Franza de Quesnel, barona d'Epinau.

Kiedy małżonka jego wygłaszała to krótkie przemówienie, Villefort jeszcze baczniej śledził oblicze starca.

Gdy padło nazwisko Franza, oko pana Noirtiera, doskonale jego synowi znane, drgnęło, a powieki rozwarły się niby wargi, które chciałyby wyrzucić słowa. Ale wystrzelił z nich tylko błysk.

Prokurator, świadom dawnej nieprzyjaźni politycznej, jaka istniała między jego ojcem a ojcem Franza, zrozumiał ową iskrę, objaw niepokoju; udał jednak, że nic nie zauważył, i ozwał się, zabrawszy głos po małżonce:

— Ważne jest, aby ojciec pojął, że Walentyna, mając blisko lat dziewiętnaście, musi w końcu wyjść za męż. Z tym wszystkim, nie pominęliśmy ojca w naszych naradach. Upewniliśmy się, że mąż Walentyny zgodzi się mieszkać jeśli nie razem z nami, bo to mogłoby młodych małżonków krępować, to razem z ojcem. Wie, jak bardzo Walentyna kocha swojego dziadka i że ojciec odwzajemnia jej to uczucie — zamieszka więc ojciec z nimi: tym sposobem nie wyrzeknie się ojciec żadnego ze swoich przyzwyczajzeń, a zamiast jednej opiekunki będzie miał ojciec opiekunów dwoje.

Oko pana Noirtiera błysnęło krwawo.

Starzec cierpiał straszliwie; krzyk bólu i gniewu dławił go w gardle i nie znajdując ujścia dusił go, bowiem twarz pana Noirtiera zrobiła się purpurowa, a wargi zsiniały.

Villefort otworzył z flegmą okno, mówiąc:

— Za gorąco tutaj i dlatego ojcu niedobrze. Zbliżył się znów do pana Noirtiera, ale nie siadł już.

— Ten mariaż — dorzuciła pani de Villefort — podoba się zarówno panu d'Epinau, jak i jego rodzinie; a zresztą owa rodzina składa się tylko z wuja i ciotki; matka pana Franza umarła wydawszy go na świat, ojca zamordowano w roku 1815, to znaczy, kiedy dziecię miało zaledwie dwa lata. Tedy nasz młodzieniec jest całkiem niezależny.

— Tajemniczy to był mord — oznajmił Villefort — sprawców dotąd nie wykryto, wielu było podejrzanych, ale w końcu podejrzenia nie spadły na niczyją głowę.

Noirtier uczynił taki wysiłek, że wargi skurczyły mu się, jak gdyby w uśmiechu.

— Owóż — ciągnął Villefort — prawdziwy winowajca, ten, który poczuwa się do popełnionej zbrodni, ten, którego za życia mogłaby pokarać sprawiedliwość ludzka, a po śmierci boska, nie posiadałby się na naszym miejscu ze szczęścia, gdyby zdołał wydać córkę za pana d'Epinau, w ten bowiem sposób oczyściłby się z wszelakich podejrzeń.

Noirtier zapanował nad sobą dzięki woli, której trudno było się spodziewać w tym zrujnowanym organizmie.

— Tak, rozumiem — odpowiedział wzrokiem synowi.

A spojrzenie to wyrażało głęboką wzgardę i niedwuznaczny gniew zarazem. Villefort, pojawiwszy treść tego spojrzenia, odpowiedział lekkim wzruszeniem ramion.

Dał znak żonie, żeby wstała.

— Niechże ojciec raczy — rzekła — przyjąć ode mnie zapewnienia szacunku. Czy mam przysłać Edwardka, żeby złożył ojcu uszanowanie?

Ustalono, że pan Noirtier wyrażał zgodę zamykając oczy, odmowę — mrugając nimi, a życzenie — wznosząc je w górę.

Gdy pragnął zobaczyć się z Walentyną, przymykał prawe oko.

Gdy wołał Barrois, przymykał lewe.

Na propozycję synowej zamrugał szybko.

Pani de Villefort przygryzła wargi, doznawszy niedwuznacznej odmowy.

— W takim razie przyślę ojcu Walentynę — rzekła.

— Tak — zgodził się starzec przymykając oczy.

Państwo de Villefort skłonili się i wyszli. Kazali zawołać Walentynę, której zresztą było wiadome, że dziadek ją wezwie.

Walentyna, zaróżowiona jeszcze z emocji, wbiegła do pokoju starca.

Odgadła jednym spojrzeniem, że dziadek cierpiał okrutnie i że ma jej mnóstwo rzeczy do powiedzenia.

— Co się stało, dziadziu? — spytała żywo. — Zirytowali cię, rozgniewali, prawda?

— Tak.

— Na kogo się gniewasz? na ojca? nie; na macochę? nie; na mnie?

— Tak.

— Na mnie? — zdziwiła się Walentyna.

— Tak.

— A cóż ja zrobiłam?

Nie było odpowiedzi — pytała więc dalej:

— Nie odwiedziłam cię dziś jeszcze? Dowiedziałeś się czegoś o mnie?

— Tak.

— Cóż to mogło być takiego?... Boże miły! Przysięgam ci, dziadziu.. A!... Rodzice byli u ciebie?

— Tak.

— To oni ci naopowiadali tych irytujących rzeczy? Cóż to było takiego? Może chcesz, abym ich spytała i wytłumaczyła się przed tobą?

— Nie! Nie!

— Przerażasz mnie! Mój Boże, coż oni mogli powiedzieć? Zamyśliła się.

— A, już wiem! — tu zniżyła głos i zbliżyła się do starca. — Nie mówili ci aby o moim mariażu?

— Tak! — spojrzenie błysnęło gniewem.

— Rozumiem; masz do mnie żal, że nic ci o tym nie wspomniałam. Bo widzisz, zapowiedzieli mi surowo, żebym ci o tym nie mówiła; mnie też właściwie nic o tym nie powiedzieli, wykryłam ten sekret popełniwszy pewną niedyskrecję; dlatego milczałam. Przebac mi, dziaduniu.

Spojrzenie znieruchomiało, zmatowiało, mówiąc jakby: „Martwi mnie nie tylko twoje milczenie”.

— Cóż jeszcze? Może myślisz, że cię opuszczę i że jako mężatka zapomnę o tobie?

— Nie.

— W takim razie powiedzieli ci, że pan d'Epina y się zgadza, byś zamieszkała z nami.

— Tak.

— No to czemu się gniewasz?

Oczy starca spojrzały z niewysłowioną czułością.

— Rozumiem — rzekła Walentyna — dlatego że mnie kochasz.

— Tak.

— I obawiasz się, abym nie była nieszczęśliwa?

— Tak.

— Nie lubisz Franza?

— Nie! Nie! Nie!

— To musisz, dziadziu, bardzo się martwić.

— Tak.

— Posłuchaj, dziadziu — rzekła Walentyna i klękawszy objęła go za szyję — ja też się martwię, bo jak i ty nie lubię pana d'Epina y.

W oczach pana Noirtiera błysnęła radość. Noirtier dyszał ciężko.

— A czy pamiętasz, jak bardzo zgniewałeś się na mnie, kiedy chciała wstąpić do klasztoru?

Łza zrosiła suchą powiekę starca.

— Boć tym sposobem uniknęłabym małżeństwa, które doprowadza mnie do rozpacz y.

— Więc i ty, dziadziu, gryziesz się z racji tego małżeństwa? Miły Boże! Gdybyś zdołał mi pomóc, może byśmy we dwójkę udaremnili ten projekt... Ale ty jesteś wobec nich bezsilny, chociaż umysł masz trzeźwy, a wolę niezłomną; ale gdy idzie o walkę, jesteś taki słaby, jeszcze słabszy ode mnie. Niestety! Byłbyś mi najpotężniejszym opiekunem, gdybyś nie utracił sił i zdrowia; ale dziś możesz mnie już tylko zrozumieć, podzielać moje radości i smutki. To jedyne szczęście, które Bóg zapomniał mi odebrać.

Kiedy to mówiła, oczy starca błysnęły tak podstępnie i chytrze, że wyczytała w nich jak gdyby te słowa:

— Mylisz się; wiele jeszcze mogę zrobić dla ciebie.

— Możesz coś zrobić dla mnie, dziadziu najdroższy?

— Tak.

Noirtier spojrział w sufit: był to znak umówiony, którym wyrażał życzenia. Walentyna zastanowiwszy się chwilę jęła wymieniać to wszystko, co przychodziło jej do głowy — ale dziadek wciąż odpowiadał: nie.

— E, po cóż te nadzwyczajne sposoby; głupia jestem!

I poczęła recytować kolejno litery alfabetu, patrząc bacznie w oczy paralityka. Kiedy wymieniła R, starzec mrugnął twierdząco.

— A więc, dziadziu, idzie o coś na r. Poszukajmyż, co to takiego: ra...re?...

— Tak! Tak! Tak!

— A więc r e?

Walentyna wzięła słownik i umieściła go na pulpicie, przed panem Noirtierem.

Otworzyła go, a kiedy wzrok starego padł na kartki, zaczęła szybko wodzić palcem z góry na dół.

Porozumiewali się tym sposobem już lat sześć, czyli od czasu, kiedy Noirtiera sparaliżowało. Walentyna doszła do takiej wprawy, że odgadywała myśli dziadka równie szybko, jakby starzec sam przeglądał słownik.

Przy słowie „rejent” Noirtier dał wnuczce znak, aby się zatrzymała.

— Rejent; chcesz, dziaduniu, żeby wezwać rejenta? Starzec potwierdził.

— Posłać po niego?

— Tak.

— Uwiadomić ojca?

— Tak.

— Czy to pilne?

— Tak.

— Zaraz więc poślę. Życzysz sobie czegoś jeszcze?

Walentyna zadzwoniła, a kiedy wszedł sługa, kazała poprosić pana albo panią de Villefort.

— No co, kontent jesteś? — zagadnęła Walentyna. — Myślę, że tak... Nielatwo było wpaść na to.

I uśmiechnęła się do starego, jakby uśmiechała się do dziecka. Barrois wprowadził pana de Villefort.

— Czego ojciec sobie życzy? — zwrócił się do paralytyka.

— Dziadzio prosi, żeby wezwać rejenta — objaśniła Walentyna.

Żądanie było osobliwe i co najmniej niespodziane — pan de Villefort i jego ojciec wymienili spojrzenia.

— Tak! — potwierdził Noirtier ze stanowczością, która wskazywała, że wspomagany przez wnuczkę i starego sługę, który wiedział już, czego pan chce, gotów jest podjąć walkę.

— Życzy sobie ojciec, żeby sprowadzono rejenta? — spytał Villefort.

— Tak.

— A to po co? Noirtier nie odpowiedział.

— Na cóż ojcu rejent? — powtórzył Villefort. Spojrzenie paralytyka pozostawało nieruchome na znak:

— Macie spełnić moją wolę.

— Żeby nam spłatać jakiego szkaradnego figla? — zagadnął Villefort. — I czy to warto?

— Ależ — ozwał się Barrois, gotów nalegać z uporem właściwym starym sługom — skoro jaśnie pan życzy sobie, żeby sprowadzić rejenta, to widać ma do niego jakiś interes. Idę już.

Barrois uznawał jedynie rozkazy pana Noirtiera i nie dopuszczał, aby kwestionowano je w jakikolwiek sposób.

— Tak, życzę sobie, aby przyszedł rejent — oświadczył Noirtier zamykając oczy, a było w nich wyzwanie, jak gdyby chciał powiedzieć:

„Zobaczmy, czy ośmielicie się sprzeciwić mojej woli”.

— Rejent przyjdzie, skoro ojciec aż tak się tego domaga; ale będę go musiał przeprosić, a i ojciec też, bo scena będzie nad wyraz pocieszna.

— Nic nie szkodzi — ozwał się Barrois — i tak go tutaj przyprowadzę. I stary sługa wyszedł z tryumfującą miną.

21. TESTAMENT

Kiedy Barrois wyszedł, Noirtier spojrzał na Walentynę z życzliwością, w której utaił odrobinę szyderstwa i mnóstwo obietnic.

Spojrzenie to pojęła nie tylko Walentyna, lecz i Villefort, zasępił się bowiem i zmarszczył brew.

Usadowiwszy się na krześle — czekał.

Noirtier popatrywał nań z doskonałą obojętnością, ale kątem oka przesłał wnuczce spojrzenie, którym nakazał jej, aby nie martwiła się o nic i została.

Po trzech kwadransach Barrois wprowadził rejenta.

— Łaskawy panie — rzekł Villefort przywitawszy się z nim — wezwał pana tu obecny pan Noirtier de Villefort; paraliż odjął mu władzę w członkach oraz mowę i my tylko z wielkim trudem chwytny od czasu do czasu jakiś strzęp myśli chorego.

Noirtier spojrzał na Walentynę tak poważnie i rozkazująco, iż ozwała się:

— Ale ja, proszę pana, rozumiem wszystko, co mój dziadek chce powiedzieć.

— To prawda — wtrącił Barrois — absolutnie wszystko, jak już to mówiłem panu rejentowi po drodze.

— Wybaczcie państwo — zwrócił się rejent do Walentyny i jej ojca — ale jest to przypadek, w którym prawnik postępujący nieopatrznie naraziłby się na ciężką odpowiedzialność. Przede wszystkim więc, aby akt był prawomocny, muszę, jako rejent, przekonać się, czy wola, którą objawi testator,

będzie przekazywana wiernie. A tutaj nie mogę nawet być pewien aprobaty czy dezaprobaty mojego klienta, ponieważ pan Noirtier jest niemy; z uwagi też na ową niemotę nie będę mógł stwierdzić jasno i wyraźnie, co klient mój życzy sobie, a czego nie życzy sobie stanowczo: a więc nie jestem tu potrzebny, bowiem funkcje swoje spełniałbym tu bezprawnie.

I gotował się już do odejścia.

Na wargach prokuratora zaigrał tryumfalny uśmieszek.

Noirtier spojrział na Walentynę z takim bólem, iż zastąpiła rejentowi drogę.-

— Proszę pana — rzekła — język, którym rozmawiam z dziadkiem jest bardzo łatwy i mogę nauczyć go pana w kilka minut. Niechże mi pan powie, czego panu trzeba, abyś był absolutnie spokojny w swoim sumieniu.

— Aby akt był prawomocny, muszę mieć pewność aprobaty czy dezaprobaty. Testatorem może być człowiek chory na ciele, ale zdrowy na umyśle.

— Otóż, dzięki dwóm znakom uzyskasz pan pewność, że dziadek mój jest w pełni władz umysłowych. Dziadek mój jest niemy i poruszać się nie może, ale zamyka oczy, kiedy chce powiedzieć „tak”, a mruga nimi, gdy chce powiedzieć „nie”. To wszystko, co trzeba wiedzieć, żeby porozumieć się z moim dziadkiem. Niechże pan spróbuje.

Starzec przesłał Walentynie spojrzenie tak czułe i tchnące wdzięcznością, że rejent je zrozumiał.

— Słyszałeś pan i pojąłeś, co mówiła przed chwilą pańska wnuczka? — zagadnął rejent.

Noirtier zamknął z wolna oczy i otworzył je zaraz.

— I aprobujesz pan to, co powiedziała? To znaczy, czy aprobujesz pan znaki, które wskazała? Czy właśnie za ich pomocą można zrozumieć pańską myśl?

— Tak.

— Czy to pan mnie wezwał?

— Tak.

— Aby sporządzić testament?

— Tak.

— A nie życzysz pan sobie, bym odszedł nie sporządziwszy owego testamentu?

Paralitik zamrugał żywo oczyma.

— Czy rozumiałeś pan teraz i czy pańskie sumienie będzie spokojne? — zagadnęła Walentyna.

Ale nim rejent zdążył odpowiedzieć, Villefort wziął go na stronę.

— Czy wydaje się panu rejentowi — zapytał — że wstrząs fizyczny tak okropny, jakiego doznał mój ojciec, nie naruszył, i to w sposób nader poważny, jego władz umysłowych?

— Nie to budzi we mnie wątpliwości — odrzekł rejent. — Zastanawiam się, jak odgadniemy myśl testatora, nim przetłumaczymy ją na słowa.

— Sam więc pan widzi, że trudności są tu nie do przewyciężenia. Walentyna i jej dziadek przysłuchiwali się tej rozmowie. Pan Noirtier popatrzył na wnuczkę tak bacznie i stanowczo, iż owo spojrzenie wymagało, rzecz jasna, odpowiedzi.

— Niech się pan o to nie troska — rzekła do rejenta. — Chociaż trudno, a raczej tak się panu zdaje, odgadnąć myśl mojego dziadka, przekażę ją w sposób nie budzący żadnych wątpliwości. Opiekuję się dziadkiem od lat sześciu. Dziadek sam panu powie, czy przez ten czas jakiegokolwiek jego życzenie zostało nie spełnione, ponieważ nie zdołałam go zrozumieć.

— Nie — dał znak starzec.

— W takim razie spróbujmy — przystał rejent. — Zgadza się pan, aby pańska wnuczka służyła nam za tłumacza?

— Tak.

— A więc, czego pan życzy sobie ode mnie i jakiego rodzaju akt mam sporządzić?

Walentyna wymieniła wszystkie litery alfabetu aż do T. Przy owej literze Noirtier zamknął oczy.

— Wskazał pan literę T. — ozwał się rejent — nie ma tu jakiegokolwiek zastrzeżeń.

— Chwileczkę — rzekła Walentyna. I zwracając się do dziadka:

— Ta... te...

Starzec dał znak przy drugiej sylabie.

Walentyna wzięła słownik i pod baczny spojrzeniem rejenta poczęła przewracać kartki.

Palec jej, zatrzymany wzrokiem dziadka, wskazał słowo: testament.

— Testament! — zawołał rejent. — Sprawa nie ulega wątpliwości, pan Noirtier pragnie spisać testament.

— Tak! — potwierdził starzec.

— Przecież to niemal cud, łaskawy panie; musisz pan to przyznać! — zwrócił się rejent do osłupiałego Villeforta.

— Istotnie, a jeszcze większym cudem będzie ów testament; gdyż nie wydaje mi się, aby jego paragrafy można słowo po słowie przenieść na papier — tak, aby wyłączyć wpływ mojej córki. Walentyna, jako osoba nazbyt może owym testamentem zainteresowana, nie powinna przekazywać woli mojego ojca sformułowanej w sposób niejasny.

— Nie, nie, nie! — dał znak paralityk.

— Jak to! — zdziwił się Villefort. — Walentyna nie jest tutaj osobą zainteresowaną?

— Nie.

— Łaskawy panie — ozwał się rejent, zachwycony, że ów oryginalny epizod posłuży mu za temat do malowniczej opowieści w salonach — to, co przed chwilą uważałem za niemożliwe, wydaje mi się obecnie najłatwiejsze pod słońcem; sporządzimy po prostu tak zwany testament mistyczny, przewidziany i dozwolony prawem: musi on być tylko odczytany w przytomności siedmiu świadków, testator musi go przy nich zaaprobować, a rejent zamknąć. Wszystko to zabierze niewiele więcej czasu niżli testament zwykły; istnieją przede wszystkim formalności — uświęcone i zawsze takie same, co zaś do szczegółów, to większość ich dostarczy faktyczny stan interesów testatora. Pan także dostarczysz nam pewnych informacji: znasz przecie sprawy majątkowe testatora, kierujesz nimi. Ponadto, żeby testamentu naszego nikt obalić nie zdołał, nadam mu autentyczność absolutną, pomoże mi w tym jeden z moich kolegów, który, choć się tego nie praktykuje, będzie asystował przy dyktandzie. No co, jesteś pan zadowolony? — zwrócił się rejent do starca.

Odpowiedzią było rozpromienione spojrzenie.

Co on zamyśla? — głowił się Villefort. Wysoki urząd nakazywał mu jak największą powściągliwość — a zresztą nie mógł odgadnąć, do czego ojciec zmierza.

— Obejrzał się więc, aby posłać po drugiego rejenta, lecz Barrois, będący świadkiem całej rozmowy, odgadł życzenia swojego pana i wyszedł.

Prokurator wezwał tedy swoją małżonkę.

Po kwadransie nadszedł drugi rejent — w pokoju pana Noirtier nie brakowało więc już nikogo.

Obaj rejenci porozumieli się w kilku słowach.

Odczytano Noirtierowi ogólnikową i banalną formułę testamentu; następnie odbyło się badanie władz umysłowych starca — zwrócił się doń tedy pierwszy z rejentów:

— Testament, proszę pana, sporządzamy zwykle na czyjąś korzyść albo niekorzyść.

— Tak.

— Czy zdajesz sobie pan sprawę, ile pańska fortuna wynosi obecnie w cyfrach?

— Tak.

— Wymienię parę kolejnych cyfr, coraz wyższych; dasz mi pan znak przy cyfrze, która według pana określi stan pańskiego majątku.

— Tak.

Było w tym badaniu coś uroczystego. Nigdy jeszcze walka ducha z materią nie była tak widoczna: obraz jeśli nie wzniosły, to przynajmniej ciekawy.

Drugi rejent siedział przy stole gotów do pisania; pierwszy — stał przed panem Noirtier i pytał:

— Czy pańska fortuna przekracza trzysta tysięcy franków?

— Tak.

— Czy posiadasz pan czterysta tysięcy franków? Brak odpowiedzi,

— A pięćset tysięcy? Znowu brak odpowiedzi.

— Sześćset tysięcy? Siedemset tysięcy? Osiemset tysięcy? Dziewięćset tysięcy?

— Tak.

— Posiadasz pan dziewięćset tysięcy franków?

— Tak.

— W nieruchomościach?

— Nie.

— W obligacjach?

— Tak.

— Czy masz je pan u siebie?

Pan Noirtier spojrział na Barrois. Stary sługa wyszedł i wrócił po chwili, niosąc niewielką szkatułkę.

— Czy mogę otworzyć tę szkatułkę? — zapytał rejent.

— Tak.

Otworzono szkatułkę — zawierała obligacje na dziewięćset tysięcy franków. Pierwszy rejent podawał kolejno każdą obligację drugiemu; przeliczono — suma się zgadzała.

— W porządku — ozwał się. — Dowód, że chory jest w pełni władz umysłowych.

I zwracając się do paralityka:

— Posiadasz pan zatem dziewięćset tysięcy franków kapitału; rodzaj lokaty wskazuje, że przynosi on mniej więcej czterdzieści tysięcy liwrowych dochodu.

— Tak.

— Komu chcesz pan zostawić ten majątek?

— O! — wtrąciła pani de Villefort — tu nie ma żadnych wątpliwości; teść mój kocha jedynie swoją wnuczkę, Walentynę; ona to pielęgnuje go od lat sześciu; pilnym staraniem umiała zyskać nie tylko miłość, ale i wdzięczność dziadka; byłoby więc rzeczą słuszną, gdyby za tyle poświęcenia otrzymała nagrodę.

Oko Noirtiera błysnęło, starzec nie dał się oszukać fałszywym uznaniem, jakie pani de Villefort wyraziła dla jego projektów, których domyślała się tylko.

— Czy zapisujesz pan owe dziewięćset tysięcy franków pannie Walentynie de Villefort? — spytał rejent, wydało mu się bowiem, że nie pozostaje nic innego, jak umieścić taką właśnie klauzulę. Musiał jednak uzyskać zgodę Noirtiera w obecności świadków tej dziwacznej sceny.

Walentyna cofnęła się o krok, spuściła oczy i zapłakała. Starzec popatrzył na wnuczkę z głęboką tkliwością, a następnie, przeniósłszy wzrok na rejenta, zamrugął znacząco.

— Nie? — zagadnął rejent. — Jak to? Nie wyznaczasz pan panny Walentyny dc Villefort swoją jedyną spadkobierczynią?

— Nie.

— Czy pan się aby nie mylisz? — zdumiał się rejent. — Powiadasz pan „nie“?

— Nie! Nie!

Walentyna uniosła głowę. Nie to dziwiło ją niepomiernie, że została wydziedziczona, ale że wzbudziła w dziadku uczucie, które dyktuje zazwyczaj podobny uczynek.

Lecz Noirtier spojrział na nią tak ciepło, że zawołała:

— To nic, kochany dziadziu, że odbierasz mi majątek, skoro zostawiasz mi serce!

— Tak, tak, nie obawiaj się — powiedziały oczy paralityka — i przymknął je z takim wyrazem, że Walentyna mylić się nie mogła.

— Dzięki! Dzięki.

Sytuacja ta obudziła w sercu pani de Villefort niespodzianą nadzieję. Zbliżyła się do starca:

— Czyżby w takim razie kochany ojciec zapisywał majątek swojemu wnukowi, Edwardkowi?

Powieki Noirtiera zadrżały straszliwie, jak gdyby z nienawiścią.

— Nie — stwierdził rejent. — A więc może tu obecnemu synowi?

— Nie.

Rejenci spojrzeli na siebie w osłupieniu.

Villefortowie zaczerwienili się — on ze wstydu, a ona ze złości.

— Ale cóżeśmy takiego zrobili ci, dziadziu? — ozwała się Walentyna. — Nie kochasz nas już?

Starzec obrzucił błyskawicznym spojrzeniem syna i synową, a po chwili wzrok jego, niewypowiedzianie czuły, spoczął na Walentynie.

— A więc — rzekła — jeśli mnie kochasz, postaraj się, dziaduniu, skojarzyć ową miłość z tym, co czynisz obecnie. Znasz mnie, wiadomo ci, że twój majątku nie pragnę wcale; a zresztą jakoby

mam znaczną fortunę po matce, podobno nawet za dużą; wytłumacz, o co ci chodzi. Noirtier utkwił pałający wzrok w ręce Walentyny.

— O moją rękę?

— Tak.

— O jej rękę! — powtórzyli zebrani.

— Widzicie, moi panowie, że gra niewarta świeczki. Mój ojciec zwariował i basta! — ozwał się Villefort.

— Ach! — wykrzyknęła Walentyna! — rozumiem! Masz, dziadziu, na myśli mój mariaż, prawda?

— Tak! Tak! Tak! — i oko paralityka rzuciło trzy błyskawice.

— Gniewasz się za moje projektowane małżeństwo, prawda?

— Tak.

— Ależ to niedorzeczność! — oburzył się Villefort.

— Wybacz mi pan — ozwał się rejent — ale przeciwnie, wszystko to jest nadzwyczaj logiczne i według mnie powiązane bez zarzutu.

— Nie chcesz, abym poślubiła pana d'Epinay?

— Nie.

— I wydziedziczasz pan wnuczkę, gdyż owo małżeństwo nie jest po pańskiej myśli? — zagadnął rejent.

— Tak.

— A gdyby nie ten mariaż, dziedziczyłaby po panu?

— Tak.

Zaległo głębokie milczenie.

Rejenci poczęli się naradzać.

Walentyna, złożwszy ręce, spoglądała na dziadka uśmiechając się z wdzięcznością. Villefort przygryzał wargi. Pani de Villefort nie zdołała ukryć radości, którą rozjaśniło się jej lico.

— Ale — przerwał milczenie Villefort — zdaje mi się, że ja jeden mam prawo sądzić o względach, które przemawiają za tym związkiem. Ja jeden rozporządzam ręką mojej córki: życzę sobie, aby Walentyna poślubiła pana d'Epinay, i tak się stanie.

Walentyna płacząc osunęła się na fotel.

— Go łaskawy pan uczyni ze swoim majątkiem, jeśli panna Walentyna wyjdzie za pana d'Epinay? — zwrócił się rejent do starca.

Brak odpowiedzi.

— Bo jednak zamierzasz pan sporządzić testament, prawda?

— Tak.

— Na rzecz kogoś z rodziny?

— Nie.

— A więc na rzecz ubogich.

— Tak.

— Ale jak panu wiadomo, prawo sprzeciwi się, gdybyś zechciał pan wydziedziczyć całkowicie swojego syna.

— Tak.

— Zechcesz więc pan rozporządzić częścią, którą prawo dozwoli panu wyłączyć?

Brak odpowiedzi.

— Zamierzasz pana nadal rozporządzić całością?

— Tak.

— Ale po pańskiej śmierci testament zostanie zakwestionowany.

— Nie.

— Mój ojciec mnie zna, proszę pana — ozwał się Villefort. — Wie, że wolę jego uznaję za świętą. A poza tym zdaje sobie sprawę, że w mojej sytuacji nie będę mógł procesować się z ubogimi.

W oku Noirtiera pojawił się błysk tryumfu.

— Cóż więc pan decydujesz? — zagadnął rejent prokuratora.

— Nic, mój panie. Skoro ojciec tak w duchu postanowił, wiem, że się nie cofnie. Rezygnuję tedy. Rodzina straci dziewięćset tysięcy franków, wzbogacą się natomiast przytulki; ale nie ugnę się przed kaprysem starca i postąpię, jak mi nakazuje sumienie.

I Villefort wyszedł zabierając żonę, aby ojciec jego mógł sporządzić testament wedle własnej woli.

Testament był gotów tegoż dnia.

Posłano po świadków. Starzec podyktował swoją ostatnią wolę. Testament zapieczętowano przy świadkach, a złożono u pana Deschamps, rejenta rodziny Villefortów.

22. TELEGRAF

Wróciwszy do siebie, państwo de Villefort dowiedzieli się, że hrabia Monte Christo przyjechał z wizytą i czeka w salonie; pani de Villefort, nazbyt jeszcze zdenerwowana, by pokazać się od razu, wstąpiła do sypialni, a prokurator, panujący bardziej nad sobą, podążył wprost do salonu.

Aczkolwiek nie okazywał nigdy wzruszeń i umiał nadawać twarzy wyraz kamienny, nie zdołał teraz rozchmurzyć czoła, toteż hrabia, uśmiechnięty pogodnie, dostrzegł ową posępną zadumę.

— Na miły Bóg, cóż to się stało, panie prokuratorze? — spytał, kiedy wymienili zwykłe grzeczności. — Czyżbym zastał pana ferującego wyrok śmierci?

Villefort spróbował się uśmiechnąć.

— Nie, panie hrabio, tym razem ja jestem ofiarą. To ja przegrałem proces, który wytoczyły mi przypadek, upór i bezrozumność.

— Ale cóż to było takiego? — spytał Monte Christo, wybornie udając życzliwość. — Czy naprawdę spotkało pana jakieś nieszczęście?

— E, panie hrabio — odrzekł Villefort spokojnie, ale z głębokim rozgoryczeniem — raczej nie warto mówić o tym; to bagatela, zwykła strata pieniędzy.

— Istotnie, strata pieniędzy to niewiele dla człowieka tak majątnego i myślącego tak filozoficznie i wzniosie jak pan.

— Toteż nie troskam się wcale o pieniądze, choć utrata dziewięćset tysięcy franków może człowieka rozżalić, a przynajmniej na chwilę zirytować. Głównie jednak boleję nad zrzędzeniem losu, przypadku, fatalności, bo nie wiem, jak nazwać siłę, co posłużywszy się kaprysem dzieciinnego starca, zesłał na mnie ten cios, aby zniweczyć nie tylko moje nadzieje majątkowe, lecz może i przyszłość mojej córki.

— Ależ cóż to takiego, na miłość boską? Powiedziałeś pan: dziewięćset tysięcy franków? No tak, tej sumy może żałować nawet filozof. I któż panu sprawił taką przykrość?

— Rodzony ojciec.

— Niesłychane! Ale mówiłeś mi pan, że jest całkiem sparaliżowany, że zamarły w nim wszelkie władze...

— Fizyczne, bo nie może ani się poruszyć, ani przemówić, ale przy tym wszystkim myśli, działa, przeprowadza swoją wolę. Wyszedłem od niego przed pięcioma minutami i teraz właśnie dyktuje testament dwóm rejentom.

— Czyżby więc przemówił?

— Żeby to! Zdołał się z nimi porozumieć.

— W jaki sposób?

— Spojrzeniem; oczy jego pozostały przy życiu i, proszę pana, mają moc zabójczą.

— Czy ty czasem nie przesadzasz, mój mężu? — ozwała się pani de Villefort wchodząc do salonu.

— Witam łaskawą panią... — tu hrabia skłonił się głęboko. Pani de Villefort odskoczyła się z najwdzięczniejszym uśmiechem.

— Małżonek pani mówił mi właśnie o jakiejś niezrozumiałej przykrości...

— Niezrozumiałej! Tak to nazwać trzeba. Starcze grymasy! — podchwycił Villefort wzruszając ramionami.

— A nie dałoby się wyperswadować panu Noirtierowi tej decyzji?

— Owszem — powiedziała pani de Villefort. — Zależy jedynie od mojego męża, aby ojciec zmienił ów testament krzywdzący Walentynę, zmienił na jej korzyść.

Widząc, iż małżonkowie zaczynają mówić parabolami, hrabia udał, że przestała go interesować ta sprawa, i jał z najgłębszą uwagą i skupieniem pełnym aprobaty przyglądać się Edwardkowi, który nalewał atramentu do miseczki z wodą przeznaczoną dla ptaków.

— Wiadomo ci, moja duszko — mówił tymczasem Villefort do żony — że nie lubię pozować u siebie w domu na patriarchę i żem nigdy nie sądził, aby losy świata zależały od mojego skinienia głową. Niemniej, poczytuję za rzecz ważną, aby w rodzinie szanowano moje decyzje: nie dopuszczę więc, aby zdzieciniały starzec i kapryśna smarkula zniweczyli plan, który obmyśliłem już przed laty. Baron d'Epina był, jak wiesz, moim przyjacielem, trudno o alians lepszy niżli z jego synem.

— A czy wydaje ci się, że Walentyna porozumiała się z tym młodym człowiekiem?... Bo w istocie., zawsze była przeciwna temu zamęściu, nie dziwiłabym się przeto, gdyby ukartowała z dziadkiem całą tę scenę, która rozegrała się przy nas.

— Moja żono, zapewniam cię, że nikt dla błahostki nie rezygnuje z dziewięciuset tysięcy franków.

— Ale rok temu, mój mężu, chciała zrezygnować ze świata, wybierając się do klasztoru.

— Mniejsza z tym, moja żono. Oświadczam ci, że ten mariaż musi dojść do skutku.

— Mimo sprzeciwu twojego ojca? — zagadnęła pani de Villefort próbując poruszyć inną strunę. — Trudny to problem!

Monte Christo udawał, że nie słucha, ale nie tracił z powyższego dialogu ani słowa.

— Moja żono — podjął Villefort — mogę powiedzieć śmiało, żem zawsze szanował ojca, gdyż naturalny afekt synowski kojarzył się u mnie z podziwem dla człowieka o nieprzeciętnym charakterze; dlatego wreszcie, że ojciec jest osobą uświęconą z dwóch względów: daje nam życie i włada nami; ale dziś nie mogę już oddawać sprawiedliwości rozumowi starca, który powodując się zwykłym wspomnieniem nienawiści, jaką żywił do ojca, chciałby zaszkodzić synowi; byłoby więc śmieszne, gdybym moje postępowanie uzależnił od jego kaprysu. Będę nadal żywił dla ojca najgłębszy szacunek. Zniosę, nie skarżąc się, presję natury pieniężnej, którą usiłuje mnie pognać — ale pozostanę nieugięty, a świat oceni, po czyjej stronie był zdrowy rozsądek. Tak czy inaczej, wydam córkę za barona d'Epina, poczytując ów mariaż za korzystny i zaszczytny, no i ostatecznie wolno mi wybrać zięcia wedle mojego gustu.

— Niebawem! Niebawem! — ozwał się hrabia, u którego Villefort szukał co chwila wzrokiem aprobaty. — To pan Noirtier zamierza wydziedziczyć pannę Walentynę, bo, jak pan mówisz, wychodzi ona za pana d'Epina?

— Ano tak, panie hrabio. Racja fizyka... — odrzekł Villefort wzruszając ramionami.

— Taką przynajmniej rację znamy — dodała pani de Villefort.

— Istotna to racja, moja żono. Wierz mi, znam mojego ojca.

— Nie do pojęcia. I czemuż to, mój mężu, pan d'Epina jest mojemu teściowi bardziej antypatyczny niż ktokolwiek inny?

— Zdaje się — wtrącił hrabia — że znam pana Franza d'Epina. Czy to nie syn generała Quesnela, którego Karol X zrobił baronem?

— Tak, tak — potwierdził Villefort.

— Ależ, według mnie, to młodzieniec uroczy!

— E, to tylko pretekst, jestem tego pewna — rzekła pani de Villefort. — Każdy starzec kochając, tyranizuje. Mój teść nie życzy sobie, aby jego wnuczka wyszła za mąż.

— Ale — zagadnął Monte Christo — czy nie wiesz pani, co zrodziło tę nienawiść?

— A któż to może wiedzieć?

— Czy nie jakaś antypatia natury politycznej?

— Istotnie — wyjaśnił Villefort — mój ojciec i ojciec pana d'Epina żyli w burzliwych czasach, których ja nie pamiętam już prawie.

— Czy pański ojciec nie był bonapartystą? — zagadnął hrabia. — Zdaje mi się, że wspominałeś mi pan coś o tym.

— Był nade wszystko jakobinem — oświadczył Villefort przekraczając w podnieceniu granice rozważa — a pod togą senatorską, którą Bonaparte narzucił mu na ramiona, krył się człowiek taki sam jak przedtem. Ojciec nie spiskował nigdy w interesie cesarza, ale przeciw Bourbonom; gdyż ojciec był

tym groźny że nie walczył nigdy dla utopii, ale dla rzeczy możliwych, aby zaś doprowadzić je do skutku, stosował straszliwe teorie góry, która nie cofała się przed niczym.

— Ach, to tak! — odparł Monte Christo. — Pan Noirtier i pan d'Epinay spotkali się tedy na terenie politycznym. Czy generał d'Epinay, choć służył pod Napoleonem, nie zachował na dnie serca przekonań rojalistycznych? Czy to nie jego któregoś wieczora zamordowali członkowie klubu bonapartystowskiego? Wciągnęli go tam, poczytując za brata...

Villefort spojrział na hrabiego niemal z przerażeniem.

— Czy może się mylę? — zapytał Monte Christo.

— Ależ nie, przeciwnie — ozwała się pani de Villefort. — Mój mąż postanowił złączyć węzłem małżeńskim tych dwoje dzieci, aby wygasła nienawiść, która podzieliła dwa rody.

— Wzniosła myśl! — zawołał Monte Christo. — Myśl pełna miłosierdzia, której świat winien przyklasnąć. Jakież by to było piękne, gdyby panna Walentyna de Villefort nazywała się panią baronową d'Epinay!

Villefort zadrżał i przeszył wzrokiem hrabiego, jakby badał, co podyktowało mu te słowa.

Lecz Monte Christo uśmiechał się życzliwie, banalnie — i tym więc razem bystre oko prokuratora nic dojrzeć nie zdołało.

— Jakoż — podjął Villefort — choć Walentyna, jeśli dziadek ją wydziedziczy, poniesie wielką stratę, nie sądzę, aby pan d'Epinay cofnął się dla pieniężnych względów; przekona się, że może więcej jestem wart ja, który potrafię zrzec się owej sumy, aby dotrzymać danego słowa; obliczy, że Walentyna jest i tak bogata: ma przecież majątek po matce, którym zawiadują jej dziadkowie, państwo de Saint-Méran. Bardzo oni kochają wnuczkę.

— A warci są takiej miłości i takich starań, jakimi Walentyna otacza pana Noirtier — dodała prokuratorowa. — Najdalej za miesiąc zjadą do Paryża, a Walentyna nie będzie już obowiązana, doznawszy takiego afrontu, przesiadywać wciąż u dziadka, jak to bywało dotąd.

Hrabia słuchał uprzejmie tych niezbyt ze sobą zharmonizowanych wypowiedzi, jakie dyktowała obojgu małżonkom zraniona ambicja i zawód finansowy.

— Wydaje mi się — rzekł Monte Christo po chwili milczenia — a z góry przepraszam za to, co powiem, wydaje mi się, że pan Noirtier wydziedziczając wnuczkę za mariaż, jego zdaniem niewłaściwy, nie ma nic do zarzucenia naszemu kochanemu Edziowi.

— Czyż to właśnie — zawołała pani de Villefort tonem, którego opisać się nie da — czyż to właśnie nie jest niesprawiedliwością, brzydką niesprawiedliwością? Czyż mój biedny Edwardek nie jest takim samym wnukiem mojego teścia jak Walentyna? A jednak, gdyby Walentyna nie wychodziła za pana d'Epinay, dziadek zapisałby jej całą fortunę. A przecież Edwardek jest dziedzicem nazwiska, pomijając już to, że jeśli dziadek istotnie wydziedziczy Walentynę, Walentyna i tak będzie trzy razy bogatsza od brata.

Po takim wyznaniu hrabia słuchał już tylko i nie powiedział nic więcej.

— Dajmy już pokój, panie hrabio — ozwał się Villefort — przestańmyż rozmawiać o tych rodzinnych kłopotach; tak, to prawda, moja fortuna powiększy majątek ubogich, którzy są dzisiaj właściwie bogaczami. Tak, niech ojciec pozbawi mnie godziwej nadziei, nie mając po temu żadnych powodów, i tak postąpię, jak na człowieka rozsądnego i szlachetnego przystało. Obiecałem panu d'Epinay dochód z owej sumy i będzie go miał, choćby kosztem najokrutniejszych z mojej strony wyrzeczeń.

— A jednak, czy nie byłoby lepiej — podjęła pani de Villefort, powracając wciąż do jednej i tej samej myśli, którą pielęgnowała stale na dnie serca — żebyśmy w zaufaniu powiedzieli panu d'Epinay o tym smutnym fakcie i żeby sam zwrócił słowo?

— O, to byłoby straszne nieszczęście! — zawołał Villefort.

— Straszne nieszczęście? — powtórzył Monte Christo.

— Naturalnie — mówił już spokojniej Villefort — zerwanie zaręczyn, choćby ze względów majątkowych, psuje opinię młodej pannie; a poza tym, dawne pogłoski, z którymi chciałyby skończyć, odżyłyby znowu. Ale nie, nic z tego. Jeśli pan d'Epinay jest porządnym człowiekiem, uzna, iż wydziedziczenie Walentyny obowiązuje go tym bardziej; w przeciwnym wypadku okazałby się po prostu chciwcem, a tak nie jest, o nie!

— Zgadzam się z panem prokuratorem — odparł hrabia, utkwivszy wzrok w pani de Villefort — a jeśli uważacie mnie państwo za przyjaciela, pozwoliłbym sobie udzielić pewnej rady: skoro pan d'Epinay ma wrócić niebawem, bo takie doszły mnie słuchy, skłoniłbym go, aby ostatecznie zakończyć

tę sprawę; czyli obrałbym ten z projektów, który, w razie powodzenia, przyniosłby państwu z pewnością największy zaszczyt.

— Villefort wstał nie kryjąc radości, ale jego małżonka pობladła nieco.

— Doskonale! — rzekł. — Tegom właśnie chciał i będę polegał na opinii takiego jak pan doradcy — mówił wyciągając rękę do hrabiego. — A więc uważajmy wszystko to, co stało się dziś, za niebyłe. Projekty nasze nie uległy żadnej zmianie.

— Łaskawy panie — ozwał się hrabia — świat, choć niesprawiedliwy, przykłaśnie, zaręczam, pańskiemu postanowieniu; pańscy przyjaciele będą z niego dumni, a pan d'Epınay, choćby małżeństwo z panną Walentyną nie wniosło mu żadnego posagu, co nie jest raczej możliwe, będzie rad wejść do rodziny, która umie zdobyć się na poświęcenia tak niezwykle, pragnąc dotrzymać słowa i spełnić obowiązek.

To rzekłszy wstał i gotował się do odejścia.

— Już pan hrabia ucieka? — zasmuciła się pani de Villefort.

— Muszę łaskawa pani, wstąpiłem tylko, żeby przypomnieć państwu o sobocie.

— Czyż się pan lękał, żebyśmy nie zapomnieli?

— Pani jesteś aż nazbyt uprzejma; ale pan prokurator ma tyle zajęć ważnych i często nie cierpiących zwłoki...

— Mój mąż obiecał i słowa dotrzyma; przekonał się pan, że nie cofa go nawet w obliczu ciężkiej straty, a tu sytuacja jest wręcz odwrotna.

— Czy sprosił pan gości do swojego domu na Polach Elizejskich? — zapytał Villefort.

— Nie, i dlatego ofiara pańska tym większego nabiera znaczenia; będziecie, państwo, musieli pofatygować się na wieś.

— Na wieś?

— Tak.

— A dokąd? Spodziewam się, że gdzieś pod Paryż...

— Pół mili za rogatki, do Auteuil.

— Do Auteuil? — zawołał Villefort. — A, prawda, żona mówiła mi kiedyś, że masz pan siedzibę w Auteuil. Tam przecież spotkał ją ten wypadek. A w którym miejscu?

— Na Źródlanej.

— Na Źródlanej!... — powtórzył Villefort, a głos wiązał mu w gardle. — A pod którym numerem?

— Pod dwudziestym ósmym.

— Ależ — zawołał Villefort — to pan kupiłeś dom pana de Saint-Méran?

— Pana de Saint-Méran? — zdziwił się Monte Christo. — Ten dom należał do pana de Saint-Méran?

— Tak — wtrąciła pani de Villefort — i ciekawa jestem, czybyś pan uwierzył w jedną rzecz?

— W jaką?

— To ładny dom, prawda?

— Prześliczny.

— Otóż mój małżonek nigdy nie chciał tam zamieszkać.

— Musiało w tym być jakieś nie znane mi uprzedzenie.

— Nie lubię Auteuil, proszę pana — oznajmił prokurator, z wysiłkiem panując nad sobą.

— Ale powodując się antypatią, nie rozmyślisz się pan, nie zrobisz mi pan tak okropnej przykrości? — zaniepokoił się hrabia.

— Na pewno nie, proszę pana... nie przypuszczam... wierz mi pan... uczynię wszystko, co w mojej mocy — bełkotał Villefort.

— O, nie przyjmę żadnych wymówek. Oczekuję państwa w sobotę o szóstej, a jeśli zawiedziecie, gotowym wyobrazić sobie... bo ja wiem co... że nad tym domem, nie zamieszkanym od lat dwudziestu, ciąży jakieś fatum albo że krąży o nim jaka krwawa legenda.

— Ależ nie sprawię panu hrabiemu zawodu, nie sprawię — zapewnił skwapliwie Villefort.

— No to dziękuję, a teraz pozwólcie państwo, że was pożegnam.

— Ano cóż, wspomniał pan hrabia, że się spieszy — rzekła pani de Villefort. — Zdaje mi się, że już nawet miał pan powiedzieć dokąd, ale zmieniłeś pan temat.

— E, łaskawa pani, nawet nie ośmieliłbym się przyznać, dokąd mi spieszo.

— Mniejsza z tym, powiedz pan.

— Wybieram się w charakterze zwykłego gapia obejrzeć coś, o czym nieraz dumiałem całymi godzinami.

— I cóż to takiego?

— Telegraf. A niech tam, cóż robić, wygadałem się.

— Telegraf? — zdziwiła się pani de Villefort.

— A tak, dalibóg, telegraf. Obserwowałem czasami, jak u końca drogi, w słoneczny dzień, na wzgórzu, wznoszą się czarne składane ramiona, podobne do łap olbrzymiego owada — zawsze niepokoił mnie ten widok, zapewniam państwa. Myślałem o tych dziwacznych a dokładnych znakach zarysowujących się w powietrzu i przenoszących na odległość trzystu mil czyjąś nieznaną wolę. Z jednego i z drugiego końca linii siedzi przy stole ktoś nieznajomy, kreśląc na szarym tle chmury albo na błękitnym lazurze rozkazy wszechpotężnego wodza. Myślałem wtedy o geniuszach, sylfach, gnomach, słowem — o jakichś tajemniczych mocach — i śmiałem się. Ale nigdy nie zdjęła mnie chęć, aby obejrzeć z bliska te ogromne biało brzuche owady, o łapach czarnych i chudych, bałem się, że spod ich kamiennych skrzydeł wylezie kobold niesympatyczny, nudny, nafaszerowany czarnoksiężką wiedzą. Aż tu tymczasem dowiaduję się któregoś dnia, że stację telegraficzną wprawia w ruch biedny człeczyna, urzędnik zarabiający tysiąc dwieście franków rocznie, który nie patrzy w niebo jak astronom, nie na wodę jak rybak i nie na pola, i lasy jak pustogłów, ale na drugiego biało brzuchego i czarno łapego owada, umieszczonego o parę mil dalej. Wtedy zapragnąłem obejrzeć to widowisko, które polega na tym, że ze swej skorupy daje ona, pociągając odpowiednie sznurki, znaki innej poczwarcie.

— I wybierasz się pan tam?

— A właśnie.

— Do której stacji? Ministerstwa Spraw Wewnętrznych czy Obserwatorium?

— E, nie, bo zastałbym tam ichmościów, co zmusiliby mnie, żebym zrozumiał rzeczy, których rozumieć ani mi się śni, a także wytłumaczyliby mi, wbrew mojej woli, tajemnicę dla nich samych niezrozumiałą. Tak, moi państwo, chcę ludzi się nadal, że to ogromne owady: dość mi, że stracił złudzenia tyżące się ludzi. Nie pójdę więc ani do ministerstwa, ani do Obserwatorium. Trzeba mi telegrafu w szczerym polu, bo znajdę tam człowieka, który zaskorupiał w swojej wieży.

— Pierwszy raz widzę wielkiego pana, który byłby takim oryginałem — rzekł Villefort.

— Jaką linię radziłby mi pan jako przedmiot studiów?

— Najbardziej zajęta w tej chwili?

— Doskonale. Może by tak hiszpańską?

— Słusznie. Chciałbyś pan list od ministra, aby wyjaśniono...

— Ależ nie, przeciwnie, nie chcę, żeby mi cokolwiek wyjaśniano. W momencie, kiedy coś zrozumieć, nie będzie już telegrafu, a tylko znak, jaki pan Duchâtel czy pan de Montalivet przesyła prefektowi Bajony, znak odziany w dwa słowa greckie — tele graphein. A ja pragnę zawsze widzieć i czcić czarno łapego owada i przerażające słowo.

— Spiesz się pan w takim razie, za dwie godziny zmrok- zapadnie i już nic pan nie zobaczy.

— Do licha, zmartwiłeś mnie pan! Gdzie najbliższa stacja?

— Chyba na trakcie bajońskim.

— No to jadę tam.

— Albo nie, raczej na Chatillon.

— A poza tym?

— Chyba wieża w Monthléry.

— Dziękuję i do widzenia. W sobotę opowiem państwu o swoich wrażeniach. W drzwiach hrabia spotkał się z dwoma rejentami, co właśnie wydziedziczyli

Walentyne. Odchodzili zachwyceni, sporządziwszy akt, który, jak się spodziewali, na pewno miał ich okryć sławą.

23. W JAKI SPOSÓB UWOLNIĆ OGRODNIKA OD KOSZATEK WYJADAJĄCYCH MU BRZOSKWINIE

Nie tegoż popołudnia, ale następnego ranka hrabia Monte Christo wyjechał rogatką d'Enfer, podążył traktem orleańskim, minął wieś Linas, nie zatrzymując się przy telegrafii poruszającym właśnie swoimi długimi, chudymi ramionami, i dotarł do wieży Monthlery, która, jak wiecie, wznosi się na pagórku będącym najwyższym punktem równiny Monthlery.

Wysiadł u jego stóp i wążutką drożyną, opasującą kilkakrotnie wzgórze, począł się wspinać na szczyt.

Tutaj stanął przed płotem, na którym owoce, zielone jeszcze, mieszały się z białym i różowym kwieciem.

Zaraz też odszukał furteczkę.

Była nią drewniana krata, obracająca się na wiklinowych zawiasach, zamknięta na skobel, sporządzony z gwoździa i sznurka.

Hrabia otworzył ją bez trudu.

Znalazł się w ogródku długim na dwadzieścia stóp i na dwanaście szerokim, który otoczony był wspomnianym płotem. W głębi widniała wieża zarosła bluszczem, a w oknach jej kwitły laki i lewkonie.

Przypominała starą kobietę w zielonej kwicistej sukni, babkę, do której wnuczęta zaraz przyjdą z życzeniami imieninowymi — a mogłaby opowiedzieć wiele straszliwych historii, gdyby ściany miały nie tylko uszy, jak powiada odwieczne przysłowie, lecz i głos.

W ogródku wiła się ścieżka wysypana czerwonym piaskiem, obrzeżona gęstym, paroletnim bukszpanem, tak żywo kontrastując z nim barwą, iż ucieszyłaby oko pana Delacroix, naszego współczesnego Rubensa.

Ścieżka tworzyła ósemkę, dzięki czemu po maleńkim tym ogródku można było spacerować do woli.

— Od nikogo chyba jeszcze Flora, wesoła i jędrna bogini zacnych ogrodników rzymskich, nie doznała tyłu nabożnych a niestrudzonych starań.

Na rabacie roślo róż dwadzieścia — ani jeden Ustek nie był popstrzony przez muchę i nigdzie nie dojrzałbyś zielonej gromadki mszyc, tej kłęski młodych roślin w wilgotnych ogrodach.

A przecież nie brakło tu wilgoci: ziemia czarna jak sadza, ciemna zieleń drzew . świadczyły o tym dowodnie; bo i zresztą na posuchę zaradziłaby pleśniejąca woda z beczki wkopanej w kącie, gdzie po dwóch krańcach zielonawej tafli siedziały ropucha i żaba, stale odwrócone do siebie tyłem — widać niezgodne z naturą.

Na ścieżce ani jednej trawki, na grzędach ani jednego chwastu.

Niewidzialny ogrodnik otaczał te rośliny większym staraniem niż gospodarna damulka swoje doniczki, w których hoduje pelargonie, kaktusy i rododendrony, myjąc je, obrywając im zeschłe gałązki i liście.

Monte Christo, zamknąwszy furteczkę na skobel, ogarnął spojrzeniem całą tę posiadłość.

— Zdaje się — powiedział do siebie — że telegrafista albo najmuje ogrodników, albo sam jest zapamiętałym.

Raptem natknął się na kogoś, kto przykucnął za taczką naładowaną liśćmi.

Postać wyprostowała się, wydając okrzyk zdziwienia — Monte Christo miał przed sobą człowieka lat mniej więcej pięćdziesięciu, który zbierał truskawki, układając je na liściach winogrodu.

Było dwanaście liści i prawie tyleż truskawek.

Zrywając się, poczcwiwiec o mało nie upuścił truskawek, liści i talerza.

— Zbierasz pan plony? — uśmiechnął się Monte Christo.

— Proszę łaski pana — odrzekł poczcwiwiec dotykając ręką kaszkietu — zawsze siedzę tam na górze, a zszedłem dopiero co.

— Ależ nie przeszkadzam, zbieraj truskawki, mój przyjacielu, jeśli jeszcze coś zostało.

— Mam jeszcze dziesięć, bo tu już jedenaście, a wszystkich jest dwadzieścia jeden, o pięć więcej niż roku zeszłego. Ale nie dziwota, wiosnę mieliśmy ciepłą, a truskawka przede wszystkim, mój dobry panie, lubi, jak ją przygrzewa. Dlatego zamiast szesnastu, jak w roku zeszłym, zebrałem już jedenaście... dwanaście, trzynaście, czternaście, piętnaście, szesnaście, siedemnaście, osiemnaście! O Jezusie Nazareński! Dwóch mi brakuje, a były tu wczoraj na pewno, liczyłem przecie! To ten chłopak Simonowej je zwędził, włóczył się tu dziś rano. A łotrze, będziesz okradał ogrody! Jakby nie wiedział, że od rzemyczka...

— Rzeczywiście mocno zawinił, ale cóż, dzieci bywają takome.

— Wiadomo, a jednak człowiek i tak ma przykrość. Ale, jeszcze raz pana przepraszam, czy może mam okoliczność z panem zwierzchnikiem i tak go tu trzymam?

Spoglądał lękliwie i pytająco na granatowy frak hrabiego.

— Uspokój się, miły przyjacielu — odparł hrabia z uśmiechem, w którym wedle jego woli czaiła się okrutna groźba albo przewijała się ogromna życzliwość, a tym razem uśmiech ów był życzliwy jak nigdy — nie jestem zwierzchnikiem, który przyjechał na inspekcję, ale zwykłym podróżnym. Sprowadziła mnie tu ciekawość i teraz wyrzucam sobie nawet, że zabieram ci czas.

— O, mój czas nie jest drogi — uśmiechnął się smętnie poczciwiec. — A jednak to czas rządowy i nie powinienem go tracić; ale zawiadomiono mnie właśnie sygnałem, że mogę sobie odpocząć godzinę — tu rzucił okiem na zegar słoneczny, gdyż w ogródku wieży Monthlery był nawet i zegar słoneczny! — i, mój panie, mam jeszcze dziesięć minut, a prócz tego moje truskawki dojrzały; mają dziś o jeden dzień więcej... Czy nie zdaje się panu, że to koszatki je podjadają?

— E, nie zdaje mi się — odparł poważnie Monte Christo — ale, mój panie, koszatki to źli sąsiedzi; szkoda, że nie jadamy ich smażonych w miodzie, jak to czynili starożytni Rzymianie.

— Rzymianie jadali toto? — zdumiał się ogrodnik. — Rzymianie jadali koszatki?

— A tak, wyczytałem to u Petroniusza.

— Naprawdę? Ale to chyba niesmaczne, choć mówią: tłusty jak ta koszatka. A pewnie, że tłuste: wysypiają się cały boży dzień, a budzą się wieczorem, żeby po nocy wszystko zżerać. Miałem ją, proszę pana, zeszłego roku cztery morele, to mi jedną napoczęły. Miałem jedną taką specjalną brzoskwinę, owoc rzadki, to mi ją zżarły do połowy, od strony muru; dorodna była, a smaczna... Nigdy nie jadł lepszej.

— To jednak zjadłeś ją pan?

— Ma się rozumieć tę połowę, co zostawiły. Była wyborna. O, te chorobniki wiedzą, co dobre. A i ten chłopak Simonowej nie wybrał najgorszych truskawek, o nie! Ale już się tu nie zakradnie, kiedy owoc będzie dojrzewał, choćbym miał pilnować po nocach.

Monte Christo wiedział już, co chciał wiedzieć.'

Każdy ma swoją namiętność, co zżera mu serce, niby robak mięsz owocu; namiętnością telegrafisty było ogrodnictwo.

Jął więc obrywać liście winogrodu, które zasłaniały owoc przed słońcem, i tym zdobył sobie serce ogrodnika.

— Chciał pan obejrzyć telegraf? — zapytał ogrodnik.

— No, owszem, jeśli regulamin tego nie zabrania.

— Nie, bo przecie nikt nie zna ani znać nie może szyfru.

— Słyszałem nawet, że i panowie nie rozumiecie sygnałów, które przekazujecie sobie.

— A tak, proszę pana, i to dla nas lepiej — roześmiał się telegrafista.

— A czemuż to?

— Bo tym sposobem nie ponoszę odpowiedzialności. Jestem machiną, mam funkcjonować i tyle.

Do diabła, pomyślał Monte Christo, czym aby nie trafił przypadkiem na człowieka pozbawionego ambicji? Bo wtedy nie miałbym szczęścia.

— Proszę pana — ozwał się ogrodnik — minęło już prawie dziesięć minut, muszę wracać do roboty. Może byłby pan tak łaskaw i poszedł ze mną?

— Jak najchętniej.

Wieża miała trzy piętra. Na najniższym był składzik narzędzi rolniczych: motyki, łopaty, grabie, polewaczki stały pod ścianą; mebli żadnych tu nie było.

Na drugim telegrafista mieszkał, a raczej nocował.

Było tu trochę ubogich sprzętów, łóżko, stół, dwa krzesła i kamionkowy zbiornik na wodę. U sufitu wisiało jakieś suszone zielsko; przyjrzawszy się baczniej, hrabia rozpoznał groszek pachnący i fasolę, których poczciwiec nie zdążył jeszcze wyłuskać.

Ale każdy pęczek miał etykietkę, niby u mistrza cechu ogrodniczego w paryskim Ogrodzie Botanicznym.

— Długo trzeba się uczyć pańskiego rzemiosła? — zagadnął Monte Christo.

— E, nie, tylko długo się czeka, nim się dostanie własną stację.

- A wynagrodzenie jakie?
- Tysiąc franków na rok, proszę pana.
- Nieosobliwe.
- Tak, ale jest mieszkanie. Monte Christo rozejrzył się po izbie.
- Byle tylko nie zależało mu na mieszkaniu — mruknął. Poszli na trzecie piętro. Tu mieścił się telegraf.
- Monte Christo przypatrzył się dwóm żelaznym rękojeściom, za pomocą których funkcjonariusz uruchamiał swoją maszynę.
- Bardzo ciekawe — ozwał się — ale w końcu taki tryb życia może się trochę znudzić, nie uważa pan?
- Tak, na początku kark boli, bo wciąż trzeba wyciągać szyję i patrzeć, ale po roku albo dwóch Człowiek się przyzwyczaja; no i mamy godziny odpoczynku, a także dni wolne.
- Dni wolne?
- Tak.
- A któreż to?
- Mgliste.
- A prawda.
- To dla mnie prawdziwe święto; siedzę wtedy w ogrodzie i sadzę, przycinam, szczepię, obieram liszki; i tak czas jakoś mija.
- Dawno pan tu jesteś?
- Dziesięć lat, a z praktyką piętnaście.
- A masz pan ich...
- Pięćdziesiąt pięć.
- A kiedy się pan dosłużyysz emerytury?
- E, proszę pana, po dwudziestu pięciu latach.
- Ileż tego będzie?
- Ze sto dukatów.
- Nieborak — szepnął do siebie Monte Christo.
- Słucham pana?
- Powiedziałem, że to bardzo ciekawe.
- Ale co?
- To wszystko, co mi pan pokazujesz... I nie rozumiesz się pan nic a nic na znakach?
- Nie.
- I nigdy nie usiłowałeś pan nic wymiarkować?
- Nigdy, bo i na cóż mi to?
- A jednak są znaki dotyczące pana bezpośrednio.
- No tak.
- A te pan rozumiesz?
- Są zawsze takie same.
- I cóż powiadają?
- Nie ma wiadomości... godzina przerwy... albo: następne wiadomości jutro.
- No tak, to rzeczywiście niewiele; ale spójrz pan; czy kolega nie przesyła ci sygnałów?
- A rzeczywiście; dziękuję panu.
- I cóż powiada? Coś zrozumiałego?
- Tak. Pyta, czym gotów.
- I co pan mu odpowiadasz?
- Daję znak, który mówi koledze po prawej, że jestem gotów, a koledze po lewej, żeby się przygotował.
- To bardzo pomysłowe.

— Zobacz pan — ozwał się z dumą pocziwiec — za pięć minut zacznie gadać.

— Mam więc pięć minut, a to więcej, niż mi trzeba. Chciałbym zadać panu jedno pytanie, dobrze?

— Proszę bardzo.

— Lubisz pan ogrodnictwo?

— Przepadam za nim.

— I byłbyś pan kontent, gdybyś zamiast tego ogródeczka miał dwumorgowy ogród?

— Zrobiłbym z niego, proszę pana, raj ziemski.

— Biedujesz pan za te swoje tysiąc franków, prawda?

— Raczej tak, ale jakoś się żyje.

— Ale taki nędzny ogródek...

— No cóż, wielki to on nie jest.

— A w dodatku te bydłatka, co zżerają wszystko.

— To istna plaga.

— Powiedz pan, co by się stało, gdybyś odwrócił głowę, bo może tak nieszczęściem się zdarzyć, a kolega z prawej nadawałby panu tymczasem sygnały?

— Nic zobaczyłbym ich.

— I co by z tego wynikło?

— Nie przekazałbym ich dalej.

— No i?...

— Dowiedziono by mi niedbalstwa i zapłaciłbym karę.

— Ile?

— Sto franków.

— Czyli dziesiątą część pańskiej rocznej pensji. Funkcjonariusz westchnął.

— Zdarzyło się to kiedy już panu? — zapytał hrabia.

— Jeden raz, kiedy szczepiłem różę herbacianą.

— Aha. A co by się stało, gdybyś zmienił pan coś w sygnałach albo nadał inne?

— To inna sprawa: wyrzuciliby mnie i straciłbym emeryturę.

— Trzysta franków, tak?

— Sto dukatów, tak, proszę pana; rozumie pan więc, że nigdy nie dopuściłbym się czegoś podobnego.

— A za piętnastoletnią pensję? Warto się zastanowić, nieprawdaż?

— Za piętnaście tysięcy franków?

— Tak.

— Straszne rzeczy pan mówi!

— E!....

— Chciałby mnie pan skusić?

— I owszem. Piętnaście tysięcy franków, słyszysz pan?

— Przepraszam pana, muszę spojrzeć na kolegę z prawej

— Nie, spójrz pan lepiej na to.

— A cóż to takiego?

— Niepojęte. Nie widziałeś pan nigdy tych świstków?

— Banknoty!

— Nowiutkie; jest ich piętnaście.

— A czyjeż one?

— Będą pańskie, jeśli zechcesz.

— Moje?! — funkcjonariusz o mało się nie udusił z wrażenia.

— No tak, pańskie własne!

— Proszę pana, kolega z prawej daje mi znaki.

- A niech sobie daje.
- Zawrócił mi pan głowę, będę musiał zapłacić karę.
- Będzie pana to kosztować sto franków; sam pan widzisz, jak potrzebne ci są moje pieniądze.
- Proszę pana, kolega z prawej się niecierpliwi, powtarza sygnał.
- Niech sobie powtarza, a pan bierz to.

Tu hrabia wsunął funkcjonariuszowi w rękę plik banknotów.

- Ale to jeszcze nie wszystko — rzekł. — Nie wyżyjesz pan za piętnaście tysięcy.
- Przecież miejsca nie stracę.
- Owszem, stracisz pan, bo nadasz inny sygnał, niż ten, który prześle ci kolega.
- Ojej! I cóż mi pan jeszcze zaproponuje?
- Śmieszna rzecz.
- Byleby tylko nie użył pan siły...
- A ja właśnie zamierzam siłą.

I Monte Christo wydobyl z kieszeni drugi plik banknotów.

— Oto jeszcze dziesięć tysięcy franków — rzekł — a z piętnastoma, które pan już otrzymałeś będzie dwadzieścia pięć tysięcy. Za pięć tysięcy franków kupisz pan sobie śliczny domeczek i dwie morgi gruntu; a pozostałych dwadzieścia tysięcy da panu tysiąc franków rocznie renty.

- Dwie morgi ogrodu...
- I tysiąc franków renty.
- O Boże, Boże!
- Weźże pan.

I Monte Christo wcisnął siłą banknoty w dłoń funkcjonariusza.

- Co mam zrobić?
- Nic trudnego.
- Ale co?
- Nadać ten szyfr.

I Monte Christo wyciągnął z kieszeni papier, gdzie widniały trzy znaki nakreślone dokładnie i liczby wskazujące porządek, w którym miały być powtórzone.

- Jak pan widzisz, niewiele tego.
- Tak, ale...
- Ale za to będziesz pan miał specjalne brzoskwinie, nie mówiąc o innych rzeczach.

Poskutkowało.

Pocziwiec zaczerwienił się, kroplisty pot zrosił mu czoło, ale nadał szyfr hrabiego — a tymczasem telegrafista z prawej nic nie rozumiejąc z tego, co się dzieje, nadawał rozpaczliwe sygnały, pewien, że kolega zwariował.

Telegrafista z lewej przesłał wiernie szyfr — i tak dotarł on do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

- A teraz jesteś pan bogaty — ozwał się hrabia.
- Tak, ale za jaką cenę!
- Posłuchaj, mój przyjacielu; nie chcę, żebyś miał wyrzuty; wierzaj mi więc, przysięgam, żeś nie skrzywdził nikogo, a dopomogłeś zamysłom bożym.

Funkcjonariusz przyglądał się banknotom, dotykał ich, liczył je. Czerwieniał i bladł na przemian. Wreszcie zbiegł na dół, aby napić się wody. Ale nim dotarł do zbiornika, zemdlał wśród swoich grochowin. Ministerium otrzymało wiadomość w pięć minut. Debray kazał zaprząć do swojej karetki i pognął do Danglarsa.

- Czy małżonek pani ma obligacje pożyczki hiszpańskiej? — zagadnął baronową?
- Ja myślę! I to na ładnych sześć milionów.
- Niech je sprzeda za każdą cenę.
- A czemuż to?
- Don Carlos uciekł z Bourges i wrócił do Hiszpanii.
- Skąd pan to wiesz?

— Dziwne pytanie — tu Debray wzruszył ramionami — ze zwykłego źródła. Baronowa nie dała sobie dwa razy powtarzać.

Pobiegła do męża, Danglars pobiegł do swojego agenta giełdowego i zlecił mu sprzedać wszystko za każdą cenę.

Kiedy dowiedziano się, że Danglars sprzedaje, akcje hiszpańskie spadły natychmiast.

Danglars stracił pięćset tysięcy, ale wyzbył się wszystkich kuponów. Wieczorem „Messenger” podał co następuje:

TELEGRAFEM:

Król don Carlos zmyliwszy strażę uciekł z Bourges i wrócił do Hiszpanii przez granicę katalońską.

W Barcelonie opowiedziano się za nim i wybuchło tam powstanie.

Przez cały wieczór mówiono tylko o tym, jaki Danglars ma dar przewidywania — sprzedał przecież kupony; podziwiano szczęśliwego spekulanta, który w tej krytycznej chwili tracił tylko pięćset tysięcy.

Ci zaś, którzy zachowali kupony albo nabyli je od Danglarsa, poczytywali się za bankrutów i mieli przykrą noc. Ale nazajutrz rano w „Monitorze” ukazała się taka oto wzmianka:

„Messenger” podał wczoraj bezpodstawną wiadomość o ucieczce don Carlosa i o rewolcie w Barcelonie.

Don Carlos nie opuścił Bourges, a na Półwyspie Iberyjskim panuje całkowity spokój.

Sygnaly telegraficzne odczytano błędnie z powodu wczorajszej mgły.

Wartość akcji hiszpańskich wzrosła w dwójnasób. Danglars stracił więc ogółem nie pół miliona, lecz milion.

— Doskonale — rzekł Monte Christo do Morrela, który był akurat u niego, gdy nadeszła wiadomość o dziwnym kaprysie giełdy, mocno niekorzystnym dla Danglarsa — za dwadzieścia pięć tysięcy franków dokonałem odkrycia wartego dla mnie sto tysięcy.

— A cóż pan odkryłeś? — zapytał Maksymilian.

— Odkryłem, w jaki sposób uwolnić ogrodnika od koszatek wyjadających mu brzoskwinie.

24. WIDMA

Na pierwszy rzut oka dom w Auteuil nie prezentował się wspaniale i nic nie wskazywało, aby mieszkał tam pan równie świetny jak Monte Christo; ale hrabia zapowiedział kategorycznie, żeby nie zmieniano dawnego skromnego wyglądu willi — natomiast nie trzeba tłumaczyć, że co się tyczyło wnętrza, wydał całkiem inne rozkazy.

Bo i ledwie otwarty się drzwi, przybysz doznawał odmiennego wrażenia.

Imć Bertuccio przeszedł sam siebie, dostarczywszy co najwykwintniejszego umeblowania i urządziwszy wszystko z błyskawiczną szybkością.

Jak ongi diuk d'Antin wyciął w jedną noc aleję drzew, aby nic nie zasłaniało widoku Ludwikowi XIV, tak w trzy dni pan Bertuccio zasadził dziedziniec, dotychczas goły, dorodnymi topolami i sykomorami. Fasadę domu ocieniły tedy drzewa, przed nią zaś jeszcze owego sobotniego ranka wyjęto kamienie brukowe poprzerastane trawą i ułożono na ich miejscu kobierzec darni, iskrzący się kroplami wody, którą go zraszano.

Były to zresztą pomysły hrabiego. Wręczył intendentowi plan, gdzie znaczył ilość oraz rozmieszczenie drzew, a także wymiary trawnika.

Dom, oprawiony ramą zieleni, zmienił całkiem wgląd, a zapewniał o tym i sam Bertuccio.

Intendent nie pogniewałby się, gdyby mógł wprowadzić kilka zmian w ogrodzie, ale hrabia zakazał dotykać tam czegokolwiek.

Powetował to sobie, przystroiwszy niezliczonym mnóstwem kwiatów sień, schody, korytarze i kominki.

Ale co, głównie świadczyło o nadzwyczajnych uzdolnieniach intendenta i o głębokiej wiedzy jego pana — o tym, że jeden umiał służyć, a drugi umiejętnie kierował obsługą — to fakt, iż ów dom, wczoraj jeszcze ponury i ciemnawy przesycony mdłą wonią, rzekłbyś: zapachem czasu, w dzień jeden ożywił się, zapachniał i rozjaśnił wedle upodobań właściciela; że hrabia zastał tu ulubione książki, broń i obrazy; że w przedpokoju powitały go, łaszcząc się, ulubione psy i że zaśpiewały mu ulubione ptaki; że całe to domostwo, rozbudzone, niby pałac śpiącej królowny, z długiego snu, żyło, śpiewało i radowało się, podobne owym siedzibom z dawna umiłowanym, które choćbyśmy na skutek nieszczęścia musieli opuścić, zostawiamy w nich mimo woli część naszej duszy.

Zadowolona służba krzątała się po pięknym dziedzińcu.

Jedni, władający kuchnią, uwijali się po schodach wczoraj odnowionych, jakby od lat zamieszkiwali ten dom, inni kręcili się po wozowni, gdzie ekwipaże ponumerowane, każdy w swojej przegrodzie, stały tu jakby już od lat pięćdziesięciu; w stajni konie uwiązane u żłobu odpowiadały rzeniem na słowa koniuszych, którzy odnosili się do nich z respektem bez porównania większym niżli szacunek, z jakim niejeden sługa odnosi się do pana.

Szafy biblioteczne zawierały prawie dwa tysiące tomów, a stały naprzeciw siebie.

Był specjalny dział powieści współczesnych — ostatnie nowości, w czerwonych oprawkach ze złoceniami, pyszniły się już na półkach.

W drugiej części domu, naprzeciwko biblioteki, była cieplarnia, pełna roślin rzadkich, które kwitły w obszernych japońskich wazach, pośrodku zaś owej cieplarni, zachwycającej wzrok i pieszczącej powonienie, stał bilard — i tak wyglądał, jakby gracze opuścili go przed godziną, zostawiwszy na suknie drzemiące kule.

Znakomity Bertuccio nie tknął tylko jednego pokoju.

Pokój ów narożny, mieszczący się w lewym skrzydle na pierwszym piętrze, pokój — dokąd wiodły paradne schody, ale skąd można było wyjść schodami ukrytymi, służba mijala z ciekawością, a Bertuccio z lękiem.

Hrabia przybył punktualnie o piątej — na stopniu w tyle karety stał Ali.

Bertuccio czekał na przyjazd pana z niecierpliwością, lecz i mocno zaniepokojony; spodziewał się pochwał, ale i bał się, by hrabia nie zmarszczył brwi.

Monte Christo wysiadł na dziedzińcu, obszedł dom i ogród, a przez cały czas milczał, nie okazując ani zadowolenia, ani dezaprobaty.

I tylko wszedłszy do sypialni mieszczącej się naprzeciw zamkniętego pokoju wskazał na szufladę toaletki z różanego drzewa, którą zauważył już był z pierwszą swoją bytnością.

— Nadaje się tylko na rękawiczki — rzekł.

— Bo i są tam rękawiczki, ekscelencjo — odparł uradowany Bertuccio — niech ekscelencja raczy tylko otworzyć.

W innych szufladach i przegrodach innych mebli hrabia znalazł to, czego się spodziewał: flakony, cygara i klejnoty.

— Dobrze! — powiedział jeszcze.

A Bertuccio odszedł wniebowzięty — tak wielki, istotny i nieklamany wpływ hrabia wywierał na otoczenie.

Punkt szósta przed głównym wejściem zatętniły końskie kopyta. Był to nasz kapitan spahisów — przyjechał na Medeachu. Monte Christo czekał z uśmiechem na podjeździe.

— Zjawiłem się pierwszy, jestem pewien! — zawołał Morrel. — Zrobiłem to umyślnie, żeby chwilę bez przeszkód pogwarzyć z panem. Julia i Emanuel przesyłają panu mnóstwo serdeczności. Ależ tu pięknie! Tylko, drogi hrabio, czy pańscy ludzie zaopiekują się, jak należy, moim koniem?

— Bądź spokojny, drogi panie Maksymilianie, znają się na rzeczy.

— Bo trzeba go wytrzeć. Żebyś pan wiedział, jak mknął! To wicher!

— O, do diabła! Kosztował cię, kochasiu, ten konik z pięć tysięcy! — rzucił z ojcowiska Monte Christo.

— Żałujesz ich pan? — odpowiedział Morrel ze swoim szczerym uśmiechem.

— A niechże mnie Bóg bron! Żałowałbym, gdyby koń nie był dobry.

— Taki dobry, mój kochany hrabio, że Château-Renaud, najznamienitszy koniarz we Francji, i Debray, który jeździ na arabach rządowych, dali mi się nieco wyprzedzić, a doganiają ich konie baronowej Danglars, biegnące swoim kłusikiem ładnych sześć mil na godzinę.

— To jadą za panem?

— O, już są, niech pan spojrzy.

W tymże momencie otwarła się brama, wpadły dwa spienione konie ciągnące karetę, a za nimi pojawiły się dwa zdyszane wierzchowce.

Kareta — i dwaj jeźdźcy pędzący w ślad za nią — zatoczyła łuk i stanęła przed gankiem.

W okamgnieniu Debray zeskokczył z wierzchowca i podbiegł do drzwiczek karety. Podał ramię baronowej, która wysiadając dała mu znak tak dyskretny, iż zauważył go jedynie hrabia.

Hrabia bowiem dostrzegał zawsze wszystko — zobaczył więc, jak dyskretnie mignął bilecik, podany z wprawą, która świadczyła, że między ręką baronowej a sekretarza manewr to stały.

Za żoną wysiadł bankier, blady, jakby wychodził nie z karety, ale z grobu.

Pani Danglars rozejrzała się wokół — a spojrzenie to, szybkie i badawcze, którym ogarnęła dziedziniec, perystyl i fasadę, zrozumiał jedynie gospodarz — za czym, tłumiąc wzruszenie, które na pewno odbiłoby się na jej twarzy, gdyby baronowa jeszcze zblednąć mogła, weszła na schody, mówiąc do Morrela:

— Gdyby należał pan do kręgu moich przyjaciół, spytałabym, czy nie sprzedałbyś tego konia...

Morrel nie tyle się uśmiechnął, ile wykrzywił — i popatrzył błagalnie na Monte Christa, prosząc o pomoc w tym ciężkim kłopotcie. Hrabia zrozumiał.

— Do mnie raczej — rzekł — powinna się zwrócić pani baronowa.

— Niepodobna zwrócić się do pana z żadną prośbą — odparła pani Danglars — bo spełnisz ją zaraz. Dlatego zagadnęła pana Morrela.

— Niestety, jestem świadkiem, że pan kapitan nie może odstąpić swojego konia, nie narażając na szwank honoru.

— Jak to?

— Założył się, że ujeździ go w pół roku. Rozumie więc pani, że wyzbywszy się go przed terminem, nie tylko poniósłby stratę, ale powiedziano by jeszcze, że stchórzył, a kapitan spahisów nie może dopuścić do podobnych plotek, choćby nawet wchodził w grę kaprys pięknej kobiety, który według mnie zalicza się do świętości.

— Widzi więc pani baronowa... — ozwał się Morrel, uśmiechając się z wdzięcznością do hrabiego.

— Zdaje mi się, moja żono — rzekł Danglars tonem ordynarnym, którego nie zdołał pokryć prostacki uśmiech — że masz koni aż nadmiar.

Pani Danglars nigdy nie puszczała mężowi płazem podobnych odezwań — ale, ku zdumieniu młodych ludzi, nie skarciła go i udając, że nie słyszy, zmilczała.

Monte Christo uśmiechnął się, milczenie to bowiem świadczyło o jakiejś niezwykłej pokorze. Pokazywał właśnie baronowej dwie olbrzymie wazy z chińskiej porcelany, wokół których wiły się morszczyzny takich rozmiarów i wykonane z takim kunsztem, jaki tylko natura umie włożyć w swoje dzieło: było w nim jej bogactwo, żywotność i polot.

Baronowa nie posiadała się z zachwytem.

— Ależ można by w takiej wazie posadzić kasztanowiec z Tuileriów! — dziwiła się pani Danglars. — Jakim cudem wypalono takiego kolosa?

— O, droga pani, cóż my o tym wiemy, my, którzy potrafimy robić tylko statuetki i bibeloty z najcieńszego szkła; to praca wieków dawnych, coś jakby dzieło geniuszów ziemi i morza.

— Nie rozumiem. Z jakiejże ono pochodzi epoki?

— I tego nie wiem; słyszałem tylko, że któryś tam cesarz chiński kazał wybudować specjalny piec; w owym piecu wypalono jeden po drugim tuzin podobnych garnków. Dwa pękły już w ogniu; dziesięć udanych spuszczone w morze na głębokość trzystu sążni. Morze, domyśliwszy się ludzkich zamiarów, otoczyło te wazy swoimi lianami i koralami, a pomiędzy nimi wprawilo muszle; wszystko to scementowało się zapomniane, w niewiarygodnych głębinach, przez lat dwieście, cesarza bowiem, który chciał dokonać tej próby, zmiołła rewolucja; ocalał jedynie protokół, stwierdzający, że wazy takie wypalono i zatopiono w morzu. Po dwustu latach odnaleziono protokół i zastanowiono się, jak by te naczynia wydobyć. Na dno zatoki więc, gdzie spoczywały, spuszczone nurków w specjalnych machinach; ale z dziesięciu waz odszukano tylko trzy — resztę potłukły i rozniosły fale. Lubię te wazy. Patrząc na nie dumam czasem o bezkształtnych, straszliwych i tajemniczych potworach, znanych li tylko nurkom, potworach, co matowym i zimnym okiem przyglądały się zdziwione wazom, albo wyobrażam sobie miriady ryb, które spały pod nimi czy chroniły się tam w ucieczce przed wrogiem.

Tymczasem Danglars, nie interesujący się osobliwościami, obrywał machinalnie kwiaty z przepysznego pomarańczowego drzewa — a załatwiwszy się z pomarańczą, przystąpił do kaktusa, lecz roślina ta, mniej potulna, ukłuła go szkaradnie.

Wzdrygnął się i przetarł oczy, ocknąwszy się jakby.

— Widziałem u pana barona, amatora obrazów — powiedział z uśmiechem Monte Christo — malowidła tak wspaniałe, że swoich już nie polecam. A jednak mam tu dwóch Hobbemów, jednego Pawła Pottera, dwóch Gerardów Dow, Mierisa, Van Dycka, Rafaela i Zurbarana, i jeszcze paru Murillów godnych pańskiej uwagi.

— No, no — zdziwił się Debray — gdzieś ja już tego Hobbema widziałem...

— Doprawdy?

— Tak, proponowano go dyrekcji muzeum.

— Myślę jednak, że muzeum go nie posiada — ozwał się Monte-Christo.

— Tak, bo nie kupiło.

— A czemuż to? — spytał Château-Renaud.

— Rozbrajający jesteś! Toć rząd jest za biedny.

— Daruj, ale choć słyszę tę piosenkę od lat ośmiu, i to co dzień, nie mogę jakoś do niej przywyknąć.

— Zaczekaj, przywykniesz jeszcze.

— Nie sądzę — odparł Château-Renaud.

— Pan major Bartolomeo Cavalcanti i pan wicehrabia Andrea Cavalcanti! — obwieścił Baptysta.

Czarny atlasowy kołnierz prosto z igły, podbródek wygolony, szpakowaty wąs, spojrzenie śmiałe, mundur z dystynkcjami majora przystrojony trzema medalami i pięcioma krzyżami — słowem, stary żołnierz bez zarzutu: oto jak się pojawił major Bartolomeo Cavalcanti, ów czuły ojciec, którego już znacie.

Przed nim — we fraku nowiutkim — uśmiechnięty, kroczył Andrea Cavalcanti, syn tak pełen szacunku dla ojca, którego znacie także.

Trzej młodzi ludzie, gawędzący właśnie, obrzucili spojrzeniem ojca i syna — spojrzenie to zatrzymało się oczywiście na Andrei; zajęli się nim szczegółowo.

— Cavalcanti? — rzekł Debray.

— Dobre nazwisko — powiedział Morrel.

— Tak — dodał Château-Renaud — ci Włosi nazywają się dobrze, ale ubierają się źle.

— Wymagający jesteś — ozwał się Debray — frak od świetnego krawca, prosto z igły.

— To właśnie mu zarzucam. Ten pan wygląda tak, jakby wystroił się po raz pierwszy w życiu.

— Go to za jedni? — zapytał Danglars hrabiego.

— Słyszałeś pan przecież: panowie Cavalcanti.

— Nic mi to nazwisko nie mówi, i basta!

— A prawda, nie znasz pan włoskiej szlachty; kto mówi: Cavalcanti, mówi: rod książęcy.

— A fortunę mają?

— Bajeczną!

— Co robią?

— Usiłują przejeść ją jakoś, ale bez większego powodzenia. Mają zresztą kredyt u pana, powiedzieli mi o tym onegdaj, kiedy byli u mnie z wizytą. Toteż zaprosiłem ich głównie z uwagi na pana. Zaprezentuję ich baronowi.

— Wydaje mi się, że mówią bezbłędną francuszczyzną.

— Syn wychowywał się w jakimś kolegium na Południu, w Marsylii, a może pod Marsylią. Zobaczysz pan, jaki rozentuzjasmowany.

— Czym? — wtrąciła baronowa.

— Francuzkami. Powiada, że ożeni się tylko z paryżanką.

— Też się wybrał! — mruknął Danglars wzruszając ramionami.

Pani Danglars przesłała mężowi spojrzenie, które w każdym innym wypadku zwiastowałoby burzę; ale zmilczała po raz wtóry.

— Baron dziś jakiś bardzo zaszępiony — rzekł Monte Christo do pani Danglars. — Czyżby chciano upolować go na ministra?

— O ile wiem, to jeszcze nie. Zdaje mi się, że przegrał coś na giełdzie i myśli, na kim by wyładować złość.

— Państwo de Villefort! — zawołał Baptysta. Weszły zapowiedziane osoby.

Pan de Villefort, choć umiał panować nad sobą, był wyraźnie poruszony. Kiedy witał się z gospodarzem, Monte Christo uczył, iż dłoń mu drżała.

Stanowczo, jedynie kobiety umieją się maskować, pomyślał obserwując panią Danglars, która uśmiechała się do prokuratora i całowała się z jego żoną.

Wymieniwszy z państwem de Villefort zdawkowe grzeczności, hrabia zauważył, iż Bertuccio, do tej pory zajęty w kredensie, wśliznął się do saloniku, który przylegał do salonu, gdzie zebrali się goście.

Podszedł do niego.

— No i cóż tam, mości Bertuccio? — zagadnął.

— Ekscelencja nie powiedział mi, ile osób siądzie do stołu.

— A rzeczywiście.

— Na ile więc osób mam nakryć?

— Policz pan sam.

— A wszyscy już są, ekscelencjo?

— Tak.

Bertuccio zajrzał przez szparę w drzwiach. Monte Christo nie spuszczał zeń oka.

— O Boże! — zawołał intendent.

— No, cóż się stało?

— Ta kobieta!... Ta kobieta!...

— Która?

— W białej sukni, obwieszona diamentami!... Ta blondyna!

— Pani Danglars?

— Nie wiem, jak się nazywa, ale, panie hrabio, to ona, ona!

— Co za ona?

— To ona chodziła po ogrodzie i była brzemienna! Ona to spacerowała, czekając!

Bertuccio stał, otworzywszy usta, blady i ze zjeżonymi włosami.

— Na kogo?

Bertuccio nie odpowiedział i tylko wskazał Villeforta palcem, czyniąc mniej więcej gest taki sam, jak Makbet, gdy wskazywał Banka .

— O!... Widzi pan hrabia?... — wyszeptał.

— Kogo znów?

— To on!

— On?... Pan de Villefort, prokurator królewski?! I cóż stąd?

— Czyżbym go nie zabił?

— E, zdaje mi się, żeś pan oszalał, mój dobry panie Bertuccio. — To on nie umarł?

— Nie, nie umarł, sam pan widzisz. Zamiast wpakować mu nóż między szóste a siódme żebro po lewej stronie, jak to czynią pańscy rodacy, ugodziłeś pewnie za wysoko albo za nisko; prawnicy mają życie twarde — albo raczej, panie Bertuccio, zmyśliłeś tę całą historię, wyimaginowałeś ją sobie, przyśniła ci się; zasnąłeś nie przetrawiwszy do końca myśli o zemście; zaciążyła ci w żołądku, przydusiła cię zmora, o! i wszystko. No, no, uspokójże się pan i policz: państwo de Villefort to dwoje; państwo Danglars — czworo; pan de Château-Renaud, pan Debray i pan Morrel — siedmioro; pan major Cavalcanti — ośmioro.

— Ośmioro — powtórzył Bertuccio.

— Zaraz, zaraz, dokądże, u diabła, panu tak śpieszno? Zapomniałeś o jednym z moich gości. Spójrz pan trochę bardziej w lewo, o tam, tam... ten młody człowiek w czarnym fraku... przygląda się Madonnie Murilla... a teraz odwraca się... to pan Andrea Cavalcanti.

Tym razem Bertuccio krzyknąłby, gdyby spojrzenie Monte Christa nie zamknęło mu ust.

— Benedetto — wyszeptał — fatalność!

— Biję pół do siódmej, mości Bertuccio — napomniał go surowo hrabia — zapowiedziałem, że o tej godzinie siądziemy do stołu; wiesz, że czekać nie lubię.

I Monte Christo wrócił do salonu, gdzie czekali goście, a tymczasem Bertuccio powlókł się do jadalni, trzymając się ścian.

Po pięciu minutach otwarto się podwoje salonu.

Ukazał się w nich Bertuccio czyniąc, niby Vatel w Chantilly, ostatni bohaterski wysiłek.

— Panie hrabio — oznajmił — podano do stołu. Monte Christo podał ramię pani de Villefort.

— Niechże pan prokurator — rzekł — raczy poprowadzić panią baronową. Villefort podał ramię pani Danglars — i wszyscy przeszli do jadalni.

25. OBIAD

Nie ulegało wątpliwości, że biesiadników idących do jadalni nurtowała myśl jedna i ta sama.

Zastanawiali się, jaka dziwaczna siła sprowadziła ich do tego domu — ale chociaż dziwili się wszyscy, a niektórzy niepokoiili, w gruncie rzeczy byli radzi, że znaleźli się tutaj.

A przecież gospodarza znali od niedawna, był samotnikiem i oryginałem, nie wiadomo, skąd pochodziła jego prawie legendarna fortuna: taki stan rzeczy nakazywał mężczyznom ostrożność, kobietom zaś w ogóle nie wypadało przekroczyć progów tego domu pozbawionego gospodyni — ale mężczyźni machnęli ręką na ostrożność, kobiety — na konwenans, nie mogąc oprzeć się palącej, przemożnej ciekawości.

Nawet sztywny Cavalcanti i nazbyt swobodny Andrea byli mocno przejęci, znalazłszy się na zebraniu towarzyskim u tego człowieka, którego zamysłów znać nie mogli.

Pani Danglars drgnęła, kiedy na słowa hrabiego pan de Villefort pospieszył, aby służyć jej ramieniem, a panu de Villefort zaszyły mgłą oczy przysłonięte złotymi okularami, gdy baronowa ujęła go pod rękę.

Emocja owa, jakiej oboje doznali, nie uszła uwagi hrabiego. Bo i zresztą zachowanie tych dwojga ludzi w tym właśnie miejscu byłoby ciekawe dla każdego obserwatora.

Pan de Villefort miał po prawicy panią Danglars, a po lewicy Morrela.

Hrabia usiadł między panią de Villefort a Danglarsem.

Miejsce Debraya wypadło między panami Cavalcanti, a Château-Renauda między panią de Villefort a Morrelem.

Uczta była wspaniała.

Monte Christo umyślił odstąpić całkowicie od obyczaju biesiad paryskich, pobudzając bardziej ciekawość gości aniżeli apetyt — boć tego właśnie pragnęli.

Była to biesiada wschodnia, jak gdyby z arabskiej baśni.

Wszelkie owoce, jakie cztery części świata zdołają dostarczyć nam, nietknięte i soczyste, sypiąc je do europejskiego rogu obfitości, piętrzyły się piramidami w chińskich wazach i japońskich czarach.

Ptaki najrzadsze ustrojone piórami, olbrzymie ryby na podłużnych srebrnych półmiskach, wszelakie gatunki win egejskich, syryjskich i południowoafrykańskich opalizujące w dziwacznych flaszach, których sam wygląd przydawał jeszcze im smaku, przesuwały się niczym na ucztę u Apicjusza przed owymi paryżanami rozumiejącymi, iż można utopić tysiąc ludwików w obiedzie na dziesięć osób, ale pod warunkiem, że będzie się jadło perły — jak to czyniła Kleopatra, albo piło płynne złoto — jak to czynił Wawrzyniec Medyceusz.

Monte Christo widząc to ogólne zdumienie jał śmiać się i wyszydzać sam siebie:

— Moi panowie — rzekł — przyznacie mi chyba, że kto osiągnie pewien stopień fortuny, potrzebuje już tylko rzeczy zbędnych, tak jak panie przyznają mi, że osiągnąwszy pewien stopień egzaltacji, dostrzegamy rzeczywistość już tylko w ideałach. Owóż, w myśl tych wywodów, czymże jest cudowność? Tym, czego nie rozumiemy. Czegóż pożądamy prawdziwie? Tego, czego zdobyć nie możemy. Tedy całe życie zaprzętałem się tym jedynie, aby oglądać to, czego zrozumieć nie potrafię, i zdobywać rzeczy nie do zdobycia. Udaje mi się to dzięki pieniądзом i woli. Goniąc za jakąś chimera, okazuję nie mniejszą wytrwałość, niż na przykład pan baron Danglars, kiedy buduje linię kolejową, albo pan de Villefort, kiedy skazuje człowieka na śmierć; pan Debray — kiedy zaprowadza ład w królestwie; pan Château-Renaud — kiedy nadskakuje kobiecie; pan Morrel, kiedy ujeżdża konia, którego nikt jeszcze

poskromić nie zdołał. Tak to, na przykład, widzicie państwo dwie ryby: jedna wylęła się o pięćdziesiąt mil od Petersburga, a druga

o pięć mil od Neapolu. Czy to nie zabawne skojarzyć je na jednym stole? — To chyba sterlet — ozwał się Château-Renaud.

— Jakbyś pan zgadł!

— A tamta, jeśli się nie mylę, to lampreda — dodał Cavalcanti.

— Naturalnie. A teraz niech pan, panie baronie, zapyta, gdzie można wyłowić te ryby.

— Sterleta tylko w Wołdze — oznajmił Château-Renaud.

— A lampredę tej wielkości jedynie, o ile wiem, w jeziorze Fusaro — powiedziała Cavalcanti.

— Nie do wiary! — zawołali biesiadnicy.

— Ano cóż! To właśnie mnie bawi — rzekł Monte Christo. — Jestem jak Neron: cupitor impossibilium ; ale okazuje się, że i was, moi państwo, w tym momencie też to bawi; i dlatego to mięso, gorsze może niż mięso łososia czy okonia, wyda wam się zaraz nieporównane: boście myśleli, że zdobyć go nie sposób, a jednak jest przed wami.

— Ale jak odbywa się transport tych ryb do Paryża?

— E, nic prostszego: przyjechały w dwóch beczkach; jedną beczkę wymoszczono trzcina i wodorostami rzecznyymi, a drugą — sitowiem i wodorostami jeziora; władowano je na specjalnie w tym celu zbudowany furgon; i tak sterlet żył dni dwanaście, a lampreda tydzień — żyłyby sobie dalej, gdyby mój kucharz nie ugotował sterleta w mleku, a lampredy w winie. Oho, pan baron Danglars jakoś mi nie dowierza...

— Raczej tylko wątpię — i Danglars uśmiechnął się tępo, jak to on.

— Baptysto — ozwał się hrabia — powiedz, żeby przynieśli żywego sterleta i lampredę; bo, proszę państwa, mam jeszcze trochę ryb w innych beczkach i żyją.

Danglars wybałuszył oczy; biesiadnicy klasnęli w dłonie. Czterech służących wniosło dwie beczki przystrojone morszczyzną; w jednej i w drugiej pluskały się ryby tegoż gatunku, co te, które podano na stół.

— Ale dlaczego po dwie? — zapytał Danglars.

— Bo jedna umarłaby z nudów — objaśnił z prostotą hrabia.

— Naprawdę jesteś pan cudotwórcą — rzekł Danglars. — Niechże sobie filozofowie gadają, co chcą, ale bogactwo to rzecz wspaniała.

— A zwłaszcza, jeśli łączą się z pomysłowością — dodała pani Danglars.

— O, zbyt wielki pani baronowa czyni mi zaszczyt, pomawiając mnie o nią; nikt pod tym względem nie dorównał starożytnym Rzymianom; Pliniusz powiada, że z Ostii przesyłano do Rzymu ryby z gatunku, który nazywa się mulus — sądząc z opisu, idzie o naszą doradę; niewolnicy, zmieniając się po drodze, nieśli ją na głowie. Sprowadzić doradę żywą było zbyt ciężkim, ale i sam widok, jak dokonywała żywota, był bardzo ciekawy: zmieniała wtedy kilka razy barwę, przybierając kolejno wszystkie kolory tęczy, a kiedy tęczować przestała, odsyłano ją do kuchni. Agonia taka należała, do jej zalet. Gdyby nie widziano tej ryby za życia, gardzono by nią po jej śmierci.

— Tak, ale z Rzymu do Ostii jest najwyżej mil osiem — zauważył Debray.

— Oczywiście — odparł Monte Christo — ale kto urodził się w tysiąc osiemset lat po Lukullusie, winien go prześcignąć, gdyż inaczej nie miałby żadnej zasługi.

Obaj panowie Cavalcanti wytrzeszczyli oczy, mieli jednak na tyle rozumu, że nie odzywali się słowem.

— Wszystko to jest urocze — ozwał się Château-Renaud — ale przyznam się, że podziwiam tu najbardziej co innego: niewiarygodną szybkość, z jaką obsługują pana. Bo przecież pan hrabia kupił ten dom niecały tydzień temu, prawda?

— Chyba tak — odparł Monte Christo.

— Otóż jestem pewien, że w tak niedługim czasie dom ten całkowicie przebudowano; o ile pamiętam, miał inne wejście, a dziedziniec był wyłożony kamiennymi płytami i goły, a dziś rozpościera się tam przepyszny trawnik otoczony drzewami wyglądającymi na stuletnie.

— Cóż robić, lubię zieloność i cień — odrzekł Monte Christo.

— A rzeczywiście — ozwała się pani de Villefort — przecież wchodziło się tutaj drzwiami od gościńca, pamiętam, że tak było jeszcze tego dnia, kiedy ocaliłeś mnie pan cudownie.

— Tak było, łaskawa pani — odrzekł Monte Christo — ale spodobało mi się bardziej inne wejście: mam stąd widok na Lasek Buloński.

— W cztery dni tyle zmian — powiedział Morrel — to cud!

— Owszem — dodał Château-Renaud — ze starego domu tak szybko zrobić nowy — to sztuka nie lada; a był to dom bardzo stary i w dodatku bardzo posepny. Parę lat temu matka przysłała mnie tutaj, żebym obejrzał tę posesję, kiedy pan de Saint-Méran wystawił ją na sprzedaż.

— Pan de Saint-Méran? — zdziwiła się pani de Villefort. — To ten dom, nim pan hrabia kupił, należał do pana de Saint-Méran?

— Zdaje się, że tak.

— Jak to zdaje się? To pan nie wiesz, od kogo ten dom kupiłeś?

— Nie, jak mi Bóg miły; takimi drobiazgami zajmuje się mój intendent.

— Co prawda, przez jakie dziesięć lat nikt tu nie mieszkał — rzekł Château-Renaud. — Przykro było patrzeć na te spuszczone żaluzje, pozamykane drzwi i na dziedziniec zarosły trawą. Gdyby właścicielem nie był teść pana prokuratora, można by pomyśleć, że to dom przeklęty, gdzie popełniono zbrodnię.

Villefort, choć dotychczas nie tknął ani jednego z paru kielichów napelnionych co najrzadszymi winami, chwycił pierwszy z brzegu i wychylił duszkiem.

Monte Christo odczekał chwilę — ozwał się wśród ciszy, jaka zaległa po słowach Château-Renauda:

— To dziwne, panie baronie, bo to samo przyszło mi na myśl, gdym po raz pierwszy przestąpił te progi, a ten dom wydał mi się tak ponury, że nie kupiłbym go, gdyby mój intendent nie ugodził się za mnie wcześniej. Przypuszczam, że błazen dostał coś w łapę od rejenta.

— To możliwe — wtrącił Villefort uśmiechając się sztucznie — ale wierz mi pan, zem nie umoczył ręki w tym przekupstwie. Pan de Saint-Méran życzył sobie, aby ten dom, stanowiący część wiana jego wnuczki, został sprzedany, gdyż nie zamieszkał jeszcze lat parę, rozsypałby się w gruzy.

Z kolei zbladł Morrel.

— Był tu jeden pokój, który zwrócił moją szczególną uwagę — ciągnął Monte Christo — pokój, zapewniam państwa, na pozór zwyczajny, no, taki jak wszystkie, obity czerwonym adamaszkiem; a wydał mi się, nie wiem czemu, by tak rzec, dramatyczny nad wszelkie wyobrażenie.

— A dlaczegoż to? — spytał Debray. — Dlaczego dramatyczny?

— Czy zdajemy sobie dokładnie sprawę z tego, co nam szepcze instynkt? — odparł Monte Christo. — Czyż nie ma takich miejsc, które jakby z natury tchną smutkiem? Dlaczego? Nie wiadomo. Może wspomnienia łączące się ze sobą niby ogniwa łańcucha, może kaprys myśli przenosi nas w inne czasy i w inne miejsce, nie mające raczej nic wspólnego z czasem, w którym żyjemy, i z miejscem, gdzieśmy się znaleźli; owóż na widok tego pokoju przypomniał mi się, i to z jaką siłą, pokój margrabiny de Ganges albo pokój Desdemony. Ale, moi drodzy goście, skoro skończyliśmy obiad, pokażę wam ten pokój, a potem zejdziemy do ogrodu na kawę: po obiedzie spektakl.

I Monte Christo spojrział pytająco na biesiadników.

Pani de Villefort wstała, za nią Monte Christo, a za ich przykładem wszyscy zebrani.

Lecz Villefort i pani Danglars siedzieli jeszcze chwilę, jakby przykuci do miejsca.

Naradzali się wzrokiem, spokojni, milczący, zmrozeni.

— Słyszał pan? — ozwała się pani Danglars.

— Trzeba tam pójść — odrzekł Villefort i wstając podał jej ramię. Wszyscy, powodując się ciekawością, rozproszyli się już po domu; każdy spodziewał się, iż obejrzy nie tylko wspomniany pokój, lecz i całą siedzibę, z której Monte Christo uczynił pałac.

Goście wychodzili więc otwartymi drzwiami.

Monte Christo czekał na ociągającą się parę.

Kiedy zaś i oni przyszli, zamknął pochód uśmiechając się tak, że gdyby ktokolwiek zdołał ów uśmiech pojąć, przeraziłby się bardziej, niż widokiem pokoju, do którego wszyscy zdążali.

Zaczęło się jednak od zwiedzania domu: były to pokoje urządzone na sposób wschodni, bez mebli, ale pełne sof i poduszek, fajek i broni; były buduary wybite chińskim jedwabiem, o barwach kapryśnych, wzorach fantastycznych, a tkanym cudownie.

Otworzyły się wreszcie drzwi słynnego pokoju.

Nie było tu właściwie nic szczególnego — zwracał uwagę tylko panujący tam półmrok — gdyż nie zapalono świateł, i uderzała pewna staroświeckość, tym bardziej że cały dom odnowiono.

Wystarczyło to całkiem, aby nadać mu charakter posępny.

— Och! — zawołała pani de Villefort. — Rzeczywiście, jest się czego przestraszyć.

Pani Danglars usiłowała coś wybełkotać — ale nikt nie dosłyszał. Każdy rzucał jakąś uwagę, a wszyscy zgodzili się, że czerwony pokój ma w sobie coś złowróżbnego.

— Nieprawdaż? — zagadnął Monte Christo. — Spójrzcie, państwo, jak dziwnie stoi to łóżko, spójrzcie na tę posępną i krwawą czerwień; na te dwa portrety pastelowe, wyblakłe od wilgoci. Czyż ich blade wargi i oczy pełne grozy nie zdają się mówić: „Widziałem!”

Villefort zsiniał, pani Danglars osunęła się na szezlong ustawiony przy kominku.

— Że też pani się nie boi siadać na tym — powiedziała z uśmiechem prokuratorowa. — Może na tej właśnie kanapce kogoś zabito.

Pani Danglars zerwała się na równe nogi.

— E, to jeszcze nie wszystko — ozwał się gospodarz.

— A cóż jeszcze? — zagadnął Debray, który dostrzegł zresztą wybornie, jak bardzo denerwowała się pani Danglars.

— Tak, tak, co jeszcze? — dorzucił bankier. — Bo, jak dotąd, nie widzę w tym nic nadzwyczajnego. Prawda, panie majorze?

— A pewnie; mamy w Pizie więź Ugolina, w Ferrarze więzienie Tassa, a w Rimini celę Paola i Franceski — zgodził się Cavalcanti.

— Owszem, ale nie macie takich schodków — odparł Monte Christo, otwierając zamaskowane drzwi — spójrzcie, moi państwo. Ciekaw jestem, co o nich myślicie.

— Kręte i ponure — roześmiał się Château-Renaud.

— Nie wiem, czy to wino z Chois usposabia tak melancholijnie, ale faktem jest, że wszystko w tym domu widzę w czarnych kolorach — powiedział Debray.

Od momentu, kiedy wspomniano w rozmowie posąg Walentyny, Morrel posmutniał i nie odzywał się wcale.

— Wyobraźcie sobie, moi państwo — ozwał się znów gospodarz — jak jakiś Otello albo ksiądz de Ganges schodzi powoli, w noc burzliwą i ciemną, tymi schodami, niosąc jakieś kompromitujące zawiniątko, które chciałby czym prędzej ukryć przed okiem ludzkim, jeśli nie przed Bogiem...

Pani Danglars zawisła półprzytomna na ramieniu Villeforta, on zaś musiał oprzeć się o ścianę.

— Na Boga, co się pani stało? — zawołał Debray. — Zbladła pani śmiertelnie!

— To bardzo proste — wyjaśniła pani de Villefort — pan hrabia opowiada nam historie mrozące krew, abyśmy umarli ze strachu, a baronowa się przestraszyła.

— Czemuż pan hrabia straszy tak okrutnie nasze damy? — zagadnął Villefort.

— Co się pani stało? — powtórzył Debray szeptem swoje pytanie.

— Ach, nic — odrzekła z wysiłkiem — chciałabym tylko zaczerpnąć świeżego powietrza.

— To może zejdziemy do ogrodu? — zaproponował Debray i podając ramię baronowej, kierował się ku ponurym schodkom.

— Nie, nie — rzekła — wolę już zostać tutaj.

— Czyżby łaskawa pani zlekła się naprawdę? — zatroszczył się Monte Christo.

— Nie ale pan hrabia w taki sposób snuje swoje przypuszczenia, że nabierają pozorów rzeczywistości.

— Ha, cóż — uśmiechnął się Monte Christo — to jedynie sprawa imaginacji; bo przecież można równie dobrze wyobrazić sobie, że to był pokój zacnej i cnotliwej matki... To łóżko o purpurowych kotarach nawiedzała bogini płodności, tymi tajemniczymi schodami doktor czy niańka chodzili po cichu, aby nie zmacić krzepiącego snu położnicy... a kto wie, czy sam ojciec nie szedł nimi, niosąc uśpione niemowlę...

Ale ten obraz pogodny zamiast uspokoić panią Danglars, sprawił, że westchnęła i zemdlała na dobre.

— Pani baronowa zachorowała — wybełkotał Villefort — może by ją przenieść do karety...

— O Boże! — zawołał Monte Christo. — A ja nie wziąłem swojego flakonu.

— Ale ja wzięłam swój — rzekła pani de Villefort.
I podała hrabiemu flakonik rubinowego likworu, takiego samego jak ten, co tak pomógł Edwardkowi.
— O! — zdziwił się Monte Christo, biorąc flakonik z rąk damy.
— Tak — szepnęła — wypróbuję pańską receptę.
— I z jakim skutkiem?
— Chyba z dobrym.
Przeniesiono panią Danglars do sąsiedniego pokoju.
Monte Christo zwilżył jej wargi kroplą rubinowego płynu — odzyskała przytomność.
— Ach! — rzekła — co za straszny sen.
Villefort ścisnął jej dłoń znacząco, by zrozumiała że nie śniła bynajmniej.
Zaczął szukać pana Danglarsa. Bankier, obcy raczej poetycznym wrażeniom, poszedł do ogrodu i omawiał z majorem Cavalcantim projekt kolei żelaznej między Livorno a Florencją.
Monte Christo udawał zrozpaczonego.
Wziął panią Danglars pod ramię i zawiódł do ogrodu — pan Danglars popijał tu kawę, siedząc między panami Cavalcanti.
— Czy naprawdę — spytał hrabia — przerażiłm łaskawą panią tak bardzo?
— Ech, nie, tylko, proszę pana, opowieści wywierają na nas takie lub inne wrażenie, zależnie od naszego stanu ducha.
Villefort zmuszał się do uśmiechu.
— A w takim wypadku — dodał — rozumie pan, wystarczy jakaś supozycja, fantazja...
— Owóż — odparł Monte Christo — możecie mi państwo wierzyć albo nie, ale jestem przekonany, że w tym domu popełniono jakąś zbrodnię.
— Niech pan uważa — powiedziała pani de Villefort — jesteśmy w towarzystwie prokuratora.
— Wybornie — odrzekł Monte Christo — wobec tego, korzystając z okazji, złożę zeznania.
— Zeznania? — powtórzył Villefort.
— Tak, w obliczu świadków.
— Wszystko to jest ogromnie interesujące, a jeśli istotnie popełniono tu zbrodnię, wiadomość taka znakomicie ułatwi nam trawienie — zauważył Debray.
— A popełniono — oznajmił Monte Christo. — Tędy, panowie, tędy, niechże pan będzie łaskaw, panie prokuratorze; aby zeznanie miało ważność, muszę złożyć je w obecności czynników kompetentnych.
Monte Christo, ująwszy Villeforta pod ramię i nie puszczać ręki baronowej, pociągnął oboje pod platan, gdzie mrok panował najgęstszy. Wszyscy podążyli za nimi.
— Tu, w tym miejscu — mówił Monte Christo, wskazując nogą ziemię — kazałem, aby zasilic stare drzewa, wykopać dół i nasypać w niego próchnicy; owóż, w trakcie kopania, robotnicy znaleźli kufereczek, a ściśle — okucia po nim; między nimi spoczywał szkielecik noworodka. Nie zmyśliłem tego.
Monte Christo uczuł, jak ręka pani Danglars sztywnieje i drży dłoń Villeforta.
— O do diabła! — zawołał Debray. — Szkielecik noworodka. To mi już wygląda poważnie.
— Nie myliłem się tedy — powiedział Château-Renaud — utrzymując, że każdy dom, jak i każdy człowiek, ma swoją duszę i oblicze i że na fizjonomii domów odzwierciedla się ich wnętrze. Ten dom był smutny, bo nękały go wyrzuty sumienia, a nękały, ponieważ taił zbrodnię.
— O, nie wiadomo jeszcze, czy to była zbrodnia — wtrącił Villefort, czyniąc ostatni wysiłek.
— Jak to! Pogrzebać dziecko żywcem w ogrodzie to nie zbrodnia? — zawołał Monte Christo. — Jakże tedy zakwalifikuje pan czyn taki, panie prokuratorze królewski?
— Ale któż dowiódł, że pochowano je żywcem?
— A kto by je tu pogrzebał, gdyby nie żyło? Ten ogród nie był nigdy cmentarzem.
— A co grozi dzieciobójcy w tym kraju? — zagadnął prostodusznie major Cavalcanti.
— Wyborne mi pytanie! — zawołał Danglars. — Ucinają mu łeb.
— Tak? Ucinają mu łeb? — zdziwił się Cavalcanti.
— Ja myślę... Nieprawdaż, panie prokuratorze? — ozwał się Monte Christo.

— Tak, panie hrabio — odparł Villefort głosem nie z tego świata.

Monte Christo postanowił nie przeciągać struny, widząc, że dwie osoby, dla których przygotował tę scenę, są już u kresu wytrzymałości.

— A kawa, moi państwo? — rzekł. — Zdaje się, że zapomnieliśmy o niej. I powiódł gości do stołu ustawionego pośrodku trawnika.

— Doprawdy, panie hrabio — ozwała się pani Danglars — wstyd mi się przyznać do własnej słabości, ale wstrząsnęły mną te wszystkie okropne historie; pozwoli pan więc, że usiądę.

Osunęła się na krzesło.

Monte Christo skłonił się baronowej i podszedł do pani de Villefort.

— Wydaje mi się, że pani Danglars przydałoby się jeszcze trochę lekarstwa — rzekł.

Ale nim pani de Villefort podbiegła do przyjaciółki, prokurator zdążył jeszcze szepnąć pani Danglars na ucho:

— Muszę pomówić z panią.

— Kiedy?

— Jutro.

— Gdzie?

— U mnie w gabinecie, w prokuraturze, jeśli pani łaskawa; to miejsce najbezpieczniejsze.

— Dobrze.

W tymże momencie stanęła przy nich pani de Villefort.

— Dziękuję, kochanie — rzekła pani Danglars, siłąc się na uśmiech — już mi przeszło, czuję się znacznie lepiej.

26. ŻEBRAK

Robiło się coraz później — pani de Villefort objawiła chęć powrotu do Paryża. Pani Danglars nie odważyła się tego powiedzieć, chociaż cierpiała wyraźnie.

Jakoż, na życzenie małżonki, pan de Villefort dał sygnał do odjazdu.

Zaofiarował pani Danglars miejsce w swoim landzie, aby pani de Villefort mogła się nią zaopiekować.

Pan Danglars pochłonięty rozmową z majorem, a rozmawiali o nadzwyczaj interesujących kwestiach przemysłowych, nie zwracał najmniejszej uwagi na to, co się dzieje.

Monte Christo, prosząc panią de Villefort o flakonik z lekarstwem, dostrzegł, iż prokurator zbliżył się do pani Danglars; obznajmiony wybornie z sytuacją, odgadł, o czym mówili, chociaż Villefort szeptał tak cicho, że baronowa słyszała zaledwie.

Nie starał się zatrzymać Morrela, Debraya i Château-Renauda, którzy odjechali konno, ani też obu dam zamierzających odjechać landem de pana Villefort.

Tymczasem Danglars, coraz bardziej zachwycony majorem Cavalcanti, zaprosił go do swojej karety.

Andrea Cavalcanti miał odjechać swoim tilbury. Czekają nań przed bramą, a stajenny, ubrany z przesadnym szykiem, wspinał się na palce trzymając za munsztuk olbrzymiego konia stalowej maści.

Podczas obiadu Andrea mówił niewiele: nakazała mu to wrodzona inteligencja, a następnie lękał się — uczucie całkiem naturalne — by nie strzelić głupstwa w kompanii tych ludzi bogatych i wpływowych, między którymi był prokurator królewski. Nie w smak mu była jego obecność.

Następnie obu panów Cavalcanti zagarnął pan Danglars. Obrzuciwszy ich szybkim spojrzeniem, wywnioskował, że skoro ów ojciec sztywny jakby kij połknął i syn z lekka onieśmielony są gośćmi hrabiego, major musi być jakimś nababem, który przyjechał do Paryża, pragnąc, aby syn jego nabrał poloru w wielkim świecie.

Popatrywał tedy z niewysłowionym upodobaniem na olbrzymi diament iskrzący się na małym palcu majora, ów bowiem człek roztropny a doświadczony obrócił natychmiast otrzymaną gotówkę w obawie, aby nie zdarzył się mu jaki przykry wypadek — na przedmiot wartościowy.

Po obiedzie zaś, wciąż niby to ciekawiąc się przemysłem i podróżami, rozpytywał ojca i syna o ich tryb życia — oni zaś uprzedzeni, że mają u Danglarsa otwarty kredyt (ojciec na jednorazową wypłatę

w wysokości czterdziestu ośmiu tysięcy franków — syn na pensję wynoszącą pięćdziesiąt tysięcy liwów, płatną w ciągu roku), byli czarujący i tak bardzo starali się przypodobać bankierowi, iż niewiele brakło, a w nadmiernym porywie wdzięczności uściskałby dłoń jego lokajom.

Szacunek — by nie powiedzieć: uwielbienie — jaki Danglars odczuwał dla majora, wzmógł się osobiście na skutek jednego faktu.

Oto pan Cavalcanti, wierny zasadzie Horacego *nil admirari*, dał dowód uczoności wymieniwszy nazwę jeziora, gdzie łowią najlepsze lamprety — i zadowolając się tym, zjadł w milczeniu swoją porcję.

Danglars wywnioskował tedy, że specjały tego rodzaju były dla znakomitego potomstwa rodu Cavalcantich czymś całkiem zwyczajnym i że major żywi się w Toskanii pstrągami szwajcarskimi i langustami bretońskimi, sprowadzonymi w podobny sposób, w jaki hrabia zdobywał lamprety z jeziora Fusaro i wołzańskie sterlety.

Skłonił się więc nader uprzejmie, kiedy Cavalcanti rzekł do niego:

— Będę miał honor złożyć jutro panu wizytę, aby pomówić z łaskawym panem o interesach.

— Wizyta łaskawego pana sprawi mi wielką przyjemność — odpowiedział Danglars.

I zaproponował Cavalcantiemu, że odwiezie go do Hotelu Książęcego, jeśli major zdecyduje się na chwilową rozłąkę z synem.

Cavalcanti odpowiedział, że Andrea dawno już ma swobodę należną młodzieńcowi w tym wieku; posiada więc własne konie i powozy, skoro zaś nie przyjechali razem, mogą wracać oddzielnie.

Cavalcanti wsiadł tedy do karety Danglarsa, a bankier usadowił się obok niego, coraz bardziej zachwycony systematycznością i oszczędnością tego człowieka, który jednak dawał synowi pięćdziesiąt tysięcy franków na rok, czyli miał zapewne fortunę przynoszącą do sześciuset tysięcy liwów renty.

Andrea zaś, udając pana, nawymyślał stajennemu, że nie zajechał przed ganek, ale czekał u bramy, skutkiem czego nasz młodzieniec musiał zrobić aż trzydzieści kroków, żeby wsiąść do tilbury.

Stajenny wysłuchał pokornie reprimendy, aby zaś pohamować zapalony konia, grzebiącego niecierpliwie nogą, ujął wędzidło lewą ręką, a prawą podał lejce Andrei, który biorąc je postawił lekko na stopniu nogę, obutą w lakierowany trzewik.

W tejże chwili uczuł, jak na ramieniu jego spoczęła czyjaś ciężka dłoń.

Młodzieniec obejrzał się, myśląc, że Danglars albo Monte Christo, zapomniawszy mu czegoś powiedzieć, przybiegł jeszcze w ostatnim momencie.

Ale zobaczył twarz dziwną, ogorzałą od słońca i okoloną bujnym zarostem; oczy błyszczące jak diamenty i uśmiech szydery, w którym odsłaniały się zęby równe, białe, zdrowe, ostre i drapieżne jak u wilka.

Głowę spowijała czerwona kraciasta chustka, spod której wylały włosy szpakowate, ziemiste. Bluza najbardziej wyświechtana i podarta, jak sobie wyobrazić można, okrywała korpus tego człowieka wysokiego i tak kościstego, iż powiedziałbyś, że chodząc klekocze piszczelami.

Andrea zauważył, iż dłoń, która wsparła mu się na ramieniu, była olbrzymia.

Nie wiemy, czy młodzieniec poznał tę twarz oświetloną latarniami powozu, czy też przeraził się straszliwym wyglądem nieznanego — dość że zadrżał i odskoczył.

— Czego pan chcesz? — zapytał.

— Przepraszam, jeśli dziedzicowi przeszkadzam — tu nieznamy dotknął ręką chustki — ale chciałbym z dziedzicem pogadać.

— Nie żebrze się wieczorem! — zawołał stajenny, czyniąc taki ruch, jakby zamierzył odegnąć natręta.

— Ja, mój piękny chłopysiu, nie żebrzę — odparł tamten uśmiechając się z ironią i z taką zarazem groźbą, iż stajenny odsunął się — a tylko chcę zamienić dwa słowa z twoim dziedzicem, który ze dwa tygodnie temu dał mi pewne zlecenie.

— Czegóż to chcecie? Mówcie prędko, mój dobry człowieku — ozwał się Andrea, panując na tyle nad sobą, aby służący nie dostrzegł jego pomieszania.

— Chciałbym... chciałbym.. — mruknął człowiek w czerwonej chustce — abyś oszczędził mi pan, jeśli łaska, fatygi: nie chce mi się wracać do Paryża pieszo. Zmęczyłem się bardzo, a żem nie jadł równie smacznego obiadu, ledwie trzymam się na nogach.

Młodzieniec zadrżał na tę dziwnie poufałą propozycję.

— No ale czego właściwie chcecie? — spytał znowu.

— Chcę, żebyś mnie wziął do tego eleganckiego kabrioleciku i odwiózł! Andrea pobladł, ale zmilczał.

— A tak, a tak — tu nieznajomy wetknął ręce w kieszenie i spojrzał wyzywająco na młodzieńca — to mi właśnie przyszło do głowy, rozumiesz, mój złociutki Benedetto?

Kiedy padło to imię, młodzieniec zreflektował się widać, podszedł bowiem do stajennego i rzekł:

— Rzeczywiście, ten człowiek miał załatwić coś dla mnie, a teraz ma mi zdać relację. Idź piechotą do rogatki, a tam weź dorożkę, żebyśmy nie musiał długo czekać na ciebie.

Zdziwiony sługa oddalił się.

— Usuńmyż się przynajmniej od światła — ozwał się prosząco Andrea.

— Masz rację, sam ci wynajdę dobre miejsce — odparł nieznajomy. Wziął konia za uzdę i odprowadził go razem z tilbury w miejsce tak ciemne, iż nikt nie wypatrzyłby tam, z jakimi honorami Andrea traktuje żebraka.

— O, nie zależy mi na tym, żeby paradować w pięknej kariolce — oświadczył nieznajomy — zmęczyłem się po prostu, a także chciałbym pogadać z tobą o interesach.

— Wsiadajże pan — powiedział Andrea.

Szkoda, że nie było to w dzień; każdego zainteresowałby widok nędzarza, rozpartego na wzorzystych poduszkach tilbury, obok wykwintnego młodzieńca, który powoził.

Andrea dojechał do ostatniego domu wsi, nie odezwawszy się ani słowem do towarzysza, ten zaś uśmiechał się i milczał, rozkoszując się jakby tak wygodnym środkiem lokomocji.

Tuż za Auteuil Andrea rozejrzał się, a upewniwszy się, że nikt nie może ich ani widzieć, ani słyszeć, zatrzymał konia, skrzyżował ramiona i zagadnął:

— Czemuż to zakłócasz mi pan spokój?

— A ty, mój chłopaczku, dlaczego przestałeś mi ufać?

— Jakiż to dałem dowód nieufności?

— Pytasz jeszcze? Rozstaliśmy się w Var, powiedziałaś mi, że wybierasz się w podróż po Piemoncie i Toskanii, a ja cię spotykam w Paryżu.

— I cóż to panu szkodzi?

— Wcale mi nie szkodzi, przeciwnie, spodziewam się nawet, że mi pomoże.

— Czyli chcesz mnie pan szantażować.

— E, nie gadałbyś słów ordynarnych.

— Ale nic z tego, mój panie Caderousse, uprzedzam.

— Ii, na miły Bóg, nie żołądkuj się, mój mały; powinieneś chyba wiedzieć, co to nieszczęście! A czyni ono zazdrosnym. Myślałem, że szwendasz się po Piemoncie albo Toskanii, pełniąc z musu funkcję faccina albo cicerona, toteż ubolewałem nad tobą szczerze, jak nad rodzonym dzieckiem. Tak cię zawsze nazywałem, pamiętasz?

— Streszczaj się pan.

— Zamknij dziób, do diabła!

— Przecież nic nie mówię. I co dalej?

— Aż tu nagle widzę, jak przejeżdżasz rogatki Bons-Hommes, w tilbury, z groomem, wystrojony jak lalka. Ano, toś albo odkrył żyłę złota, albo jesteś maklerem giełdowym...

— Toteż, jak powiedziałeś, zazdrościsz mi pan.

— Nie, jestem kontent, taki kontent, że chciałbym ci, mój mały, powinszować, ale żem ubrany niezbyt szykownie, zachowałem środki ostrożności, żeby cię nie skompromitować.

— A to ładne środki! Przystąpiłeś pan do mnie w obecności mojego służącego.

— A cóż miałem robić, kochasiu? Przystąpiłem do ciebie, kiedy mogłem cię złapać. Konia masz chwackiego, powozik leciuchny; umiesz wyslizgiwać się jak piskorz, bo już taka twoja natura; gdybym cię teraz nie przychwycił, może już bym cię nigdy nie spotkał.

— Toć widzisz pan, że się nie kryję.

— Poszczyło ci się, szkoda, że nie mogę tego powiedzieć o sobie, bo ja się kryję; prócz tego bałem się, że mnie nie poznasz — tu Caderousse uśmiechnął się złowieszczo — aleś mnie poznał, boś chłopak jak się należy.

— Ale czego pan chcesz?

— To już nie jesteśmy na ty? Nieładnie, nieładnie, Benedetto, toć myśmy starzy koledzy; uważaj, bym nie stał się wymagający.

Pogrożka ta ostudziła gniew młodzieńca — musiał spokojnie. Ściągnął cugle tak, aby koń szedł stępa.

— Sam postąpiłeś nieładnie — rzekł — odnosząc się tak do starego kolegi; jesteś marsylczykiem, a ja jestem...

— To ty już wiesz, coś za jeden?

— Nie, ale wychowałem się na Korsyce. Jesteś niemłody i uparty, a ja jestem uparty, ale młody. Między takimi jak my pogrożka to nic dobrego, trzeba rzecz załatwić polubownie. Czy to moja wina, że los, dla ciebie wciąż niełaskawy, uśmiechnął się do mnie?

— A więc uśmiechnął się? Toś nie wynajął tego sługi, kabrioletu i fraka? No, to tym lepiej! — powiedział Caderousse, a w oku jego błysnęła chciwość.

— Wiesz o tym doskonale, boś do mnie podszedł — odparł Andrea, irytując się znowu. — Gdybym miał na głowie taką chustkę, jak twoja, na grzbiecie wyświechtany lejebik, a na nogach dziurawe buty, nie raczyłyś mnie poznać.

— Żle mnie sądzisz, mój chłoptysiu, sam wiesz o tym; ale skorom cię odszukał, nic nie przeszkodzi, żebym sprawił sobie ubranie z cienkiego sukna, bo znam twoje dobre serce; gdybyś miał dwa ubrania, dałyś mi jedno; toć oddawałem ci moją zupę i fasolę, kiedyś stękał z głodu.

— To prawda.

— A żerty byłeś! Wciąż masz taki dobry apetyt?

— Jeszcze jaki — roześmiał się Andrea.

— Aleś musiał się napchać na obiedzie u tego księcia!

— To nie żaden książę, ale zwyczajny hrabia.

— Bogaty, co?

— Tak, ale nie zaczepiaj go lepiej; nie jest on przystępny.

— E, możesz być spokojny, nie mam zakusów na hrabiego, nie wleżę ci w paradę. Ale — tu Caderousse uśmiechnął się złowieszczo jak przedtem — musisz mi dać coś za to, rozumiesz?

— No, cóż takiego?

— Sądzę, że za sto franków na miesiąc...

— Słucham, słucham!

— Żyłbym...

— Za sto franków?

— Żyłbym, ale kiepsko, rozumiesz sam; ale za...

— Za?

— Za sto pięćdziesiąt żyłbym jak król.

— No to masz dwieście.

I wcisnął Caderousse'owi w rękę dziesięć złotych ludwików.

— Dobra! — powiedział Caderousse.

— Na pierwszego będziesz zawsze tyle odbierał u stróża.

— Co to, znów mnie chcesz poniżyć?

— Jak to?

— Mam zjawiać się u jakiegoś łapserdaka; nie, kochasiu, chcę mieć do czynienia tylko z tobą.

— A więc będziesz zgłaszał się do mnie; dopóki będę odbierał swoją rentę, będziesz odbierał ją i ty.

— No, widzę, że się nie pomylił. Porządny z ciebie chłopak. Błogosławieństwo to dla innych, kiedy wiedzie się ludziom takim jak ty. Gadaj teraz, w jaki sposób ci się poszczęściło.

— A co ci do tego?

— Oho! Znów jesteś nieufny.

— E, nie... Wiesz, odnalazłem ojca...

— Prawdziwego?

— Tak, póki będzie płacił.

— Czuj ojca twego!... Mądre słowa. I któż on zacz?

— Major Cavalcanti.

— I kontent z siebie?

— Jak dotąd, raczej tak.

— I któż ci tego ojczulka wyszukał?

— Hrabia Monte Christo.

— Ten, u którego byłeś?

— Tak.

— Słuchaj no, pogadaj z nim; może by mnie przyjął jako twojego dziadka, przecież nie on sam administruje swoim majątkiem.

— Dobrze, pomówię z nim, ale tymczasem co będziesz robił?

— Ja?

— Tak, ty.

— Bardzoś pocziwy, żeś zatroszczył się o to.

— Skorom zaopiekował się tobą, wolno mi chyba zapytać o to i owo.

— Masz rację. Wynajmę pokój w porządnym domu, odzieję się przyzwoicie, będę chodził co dzień do golibrody i wstępował do kawiarni na gazety. Porozumiawszy się z którymś z szefów od klaki, będę wieczorami bywał w teatrze. Każdy mnie będzie brał za piekarza, który dorobił się i już nie pracuje, to szczyt moich marzeń.

— Dobra myśl! Gdybyś tylko ją urzeczywistnił i usatkwował się, wszystko by ci poszło jak z płatka.

— Patrzcie, jaki kaznodzieja!... A ty kim zamierzasz zostać?... Parem Francji?

— Hm, kto wie.

— A może jest nim pan major Cavalcanti?... ale trzeba nieszczęścia, że parostwa już się nie dziedziczy.

— Przestań gadać o polityce, jesteśmy na miejscu, złaż i do widzenia.

— Co to, to nie, kochasiu.

— Jak to nie?

— Zastanówże się, mój mały: czerwona chustka na głowie, nogi prawie bosc, dokumentów żadnych, a do tego dziesięć złotych napoleonów w kieszeni, nie mówiąc o całych dwustu frankach, które miałem przy sobie; aresztowano by mnie na rogatce, jak amen w pacierzu! Musiałbym wtedy, żeby się wytłumaczyć, powiedzieć, że to od ciebie dostałem tyle złota; no i śledztwo, dochodzenie; dowiadują się, że po cichu opuścił Tulon, odstawiają mnie ciupasem nad Morze Śródziemne. Staję się znowu numerem 106 i basta! Marzyłem, aby wyglądać na piekarza rentiera, a tu żegnaj, śnie miły! Nie, mój synu, wolę siedzieć w stolicy i zażywać ogólnego szacunku.

Andrea zmarszczył brew — a jak wiadomo, bo i sam tym się chwalił, nie był dobrym człowiekiem.

Przystanął na chwilę, rozejrzał się bacznie wokół; a jednocześnie ręka jego sięgnęła jakby nigdy nic do kieszeni, a palce zaczęły manipulować delikatnie, odwodząc bezpiecznik pistoletu kieszonkowego.

Ale Caderousse nie dał się ubiec: założywszy ręce w tył, otworzył delikatnie nóż hiszpański, który miał zawsze przy sobie — na wszelki wypadek.

Jak widzimy, byli to przyjaciele godni siebie: rozumieli się, zrozumieli się więc i teraz; ręka Andrei opuściła niewinnie kieszeń i dotknęła rudyh wąsów gładząc je starannie.

— Dobrze — powiedział — żyj szczęśliwie!

— Dołożę wszelkich starań — obiecał Caderousse, wsuwając nóż do rękawa.

— No to jedziemy do Paryża. Ale co zrobisz, żeby na rogatce nie wzbudzić niczyich podejrzeń? Według mnie, będąc tak odziany, ryzykujesz więcej w powozie niż pieszo.

— Zaczekaj, zobaczysz.

Włożył cylinder towarzysza, obszerny płaszcz z pelerynką, który stajenny zostawił w kabriolecie, i naburmuszył się, jak to czyni lokaj z dobrego domu, kiedy pan powozi.

— A ja mam zostać z gołą głową? — zapytał Andrea.

— A cóż takiego? Dmie jak wszyscy diabli, wiatr zerwał ci kapelus.

- No to jedźmy wreszcie!
- A ktoś ci broni? Chyba nie ja...
- Siedźże cicho! — burknął Cavalcanti. Minęli roгатkę bez przeszkód.
- Andrea zatrzymał się na rogu pierwszej napotkanej przecznicy, a Caderousse wysiadł.
- A płaszcz stajennego i mój cylinder? — upomniał się Andrea.
- Chciałbyś, żebym się nabawił kataru?
- A co ze mną będzie?
- Ty jesteś młody, a ja już się starzeję. Do widzenia, Benedetto! I znikł w ulicze.
- Niestety! — westchnął Andrea. — Nie masz widać zupełnego szczęścia na tym świecie.

27. SCENA MAŁŻEŃSKA

Trzej młodzieńcy rozstali się na placu Ludwika XV: Morrel pojechał bulwarami, Château-Renaud przez most Rewolucji, a Debray wybrzeżem Sekwany.

Morrel i Château-Renaud wrócili zapewne w domowe pielesze — jak do dziś mówią posłowie prawnicy i autorzy znacznych sztuk odgrywanych w teatrze przy ulicy Richelieu; ale Debray — nie.

Wjechałszy truchtem w bramę Luwru, przeciął plac du Carrousel i pocwałował ulicą Świętego Rocha, a następnie ulicą Michodiere do pałacu państwa Danglars. Zjawił się tu w momencie, gdy lando państwa Villefort zatrzymało się, odwiózłszy panią Danglars. Prokurator i jego żona wysiedli wcześniej, przed swoim domem na Przedmieściu Świętego Honoriusza.

Debray, zadomowiony u państwa Danglars, wjechał pierwszy na dziedziniec, rzucił cugle lokajowi i podbiegł do drzwiczek ekwipażu, aby podać ramię baronowej i poprowadzić ją na pokoje.

Kiedy znaleźli się sami na dziedzińcu, zapytał:

— Co ci się stało, Hermino? Czemu poczułaś się tak źle, kiedy hrabia opowiadał tę historię, a raczej tę bajkę?

— Czułam się okropnie cały wieczór, mój drogi.

— Nie, Hermino, tego mi nie wmówisz. Przyjechałszy do hrabiego czułaś się wybornie. Twój mąż był nieco zasępiony, to prawda, ale wiem, nic sobie nie robisz z jego humorów. Spotkała cię może jaka przykrość? Powiedz mi, wiesz doskonale, że nie przepuszczę płazem nikomu, kto spróbowałby cię obrazić.

— Mylisz się, Lucjanie, zapewniam cię. Było tak, jak mówię, a i humory, które dostrzegłeś, nie sprawiły mi przyjemności; uważałam tylko, że nie warto ci o tym wspominać.

Pani Danglars uległa niewątpliwie ekscytacji nerwowej, z której kobiety nie zawsze umieją zdać sobie sprawę, albo, jak się domyślił Debray, doznała jakiegoś tajemniczego wstrząsu, do czego nie chciała nikomu się przyznać.

Uważając kaprysy za nieodzowny składnik w życiu kobiecym, nie nalegał dłużej i tylko czekał na moment sposobny, żeby znów zapytać, albo na wyznanie proprio motu.

W drzwiach swojego pokoju baronowa napotkała pannę Kornelię.

Panna Kornelia była jej zaufaną sługą.

— Co robi panienka? — zagadnęła pani Danglars.

— Cały wieczór grała gamy, a teraz się położyła.

— To jej fortepian słyszę?

— To panna d'Armilli wygrywa, a panienka jest w łóżku.

— Aha. No to rozbierz mnie. Weszli do sypialni.

Debray wyciągnął się na kanapie, a pani Danglars i panna Kornelia znikły w gotowalni.

— Drogi panie Lucjanie — ozwała się baronowa spoza kotary wiszącej w drzwiach — czy wciąż się skarżysz, że Eugenia nie raczy z tobą rozmawiać?

— Nie ja jeden, łaskawa pani, mógłbym mieć o to żal — odparł Debray, bawiąc się z pieskiem baronowej, a piesek łąsił się doń serdecznie, jako do przyjaciela domu. — Zdaje się, że i Morcerf żalił się pani, że niepodobna mu wydobyć z narzeczonej ani jednego słowa.

— Tak, to prawda, ale spodziewam się, że któregoś ranka sytuacja się odmieni i Eugenia wejdzie do pańskiego gabinetu.

— Do mojego gabinetu?

— Oczywiście w ministerium.

— A to po co?

— Aby prosić o engagement do opery. Nigdy jeszcze nie widziała, żeby ktoś tak zapalił się do muzyki. U osoby z towarzystwa to śmieszne!

Debray uśmiechnął się.

— Doskonale — rzekł — niech panna Eugenia przyjdzie, naturalnie za zgodą obojga państwa; zaangażujemy ją i postaramy się, aby honorarium odpowiadało jej talentowi, choć, zastrzegam, jesteście bardzo biedni.

— Możesz odejść, moja Kornelciu — ozwała się pani Danglars — już nie jesteś mi potrzebna.

Kornelia ulotniła się, po chwili zaś baronowa w uroczym negligiu wyszła z gotowalni i siadła obok Lucjana.

Zadumawszy się, jęła głaskać swojego spaniela. Lucjan milczał chwilę, popatrując na nią.

— Przyznaj się, Herminio — rzekł wreszcie — co cię tak mocno zraniło...

— Ależ nic...

A jednak dusiło ją w gardle. Wstała usiłując odetchnąć głębiej i podeszła do lustra, żeby się przejrzeć.

— Tak dziś wyglądam, że można się mnie przestraszyć — rzekła.

Debray miał biec już ku niej, uśmiechnięty, aby uspokoić ją w tym względzie, gdy nagle otwarły się drzwi.

Zjawił się pan Danglars; Debray usiadł.

Kiedy skrzyknęły drzwi, baronowa odwróciła się i spojrzała na męża ze zdziwieniem, którego nie starała się nawet zataić.

— Dobry wieczór, moja żono — ozwał się bankier — dobry wieczór panu. Baronowej wydało się zapewne, iż małżonek przybył, ażeby w jakiś sposób

załagodzić gorzkie słowa, które wymknęły mu się w ciągu tego dnia.

Przybrawszy tedy minę pełną godności, obróciła wzrok na Lucjana, nie odpowiadając mężowi.

— Niechże mi pan coś przeczyta, panie Lucjanie — rzekła.

Debray, zdenerwowawszy się trochę w pierwszej chwili tą wizytą, uspokoił się, gdyż baronowa okazywała spokój; sięgnął więc po książkę, z której zamiast zakładki wystawał nóż z perłowej macicy inkrustowany złotem.

— Przepraszam cię, moja żono — powiedział bankier — ale zmęczysz się, czuwając do późnej nocy; już jedenasta, a pan Debray mieszka bardzo daleko.

Debray osłupiał — Danglars bowiem ozwał się tonem nader uprzejmym i spokojnym, ale poprzez ową uprzejmość i spokój przebijał — rzecz niesłychana — sprzeciw wobec żoninej woli.

Baronową też to zaskoczyło. Dała wyraz zdziwieniu, tak spojrzawszy na męża, iż baron zreflektowałby się przypuszczalnie, gdyby nie wetknął nosa w gazetę szukając kroniki giełdowej.

A więc owo spojrzenie, jakże dumne, zawisło w powietrzu i chybiło celu.

— Panie Lucjanie — rzekła baronowa — oświadczam panu, że nie mam najmniejszej ochoty iść spać; przeciwnie, chciałabym opowiedzieć panu mnóstwo rzeczy: spędzisz tu całą noc, słuchając mnie, choćbyś miał drzemać z nudów.

— Jestem na rozkazy łaskawej pani — odparł flegmatycznie Lucjan.

— Drogi panie — ozwał się bankier — nie zamęczaj się pan, proszę, wysłuchując dzisiejszej nocy niedorzeczności, jakie zamierza ci opowiadać moja małżonka, bo równie dobrze możesz pan wystuchać ich jutro; rezerwuję sobie dzisiejszy wieczór, a poświęcę go, jeśli pozwolisz, na omówienie z moją żoną ważnych interesów.

Cios ten, wymierzony tym razem między oczy, ogłuszył zarówno Lucjana, jak i baronową.

Naradzali się wzrokiem, jakby "jedno szukało u drugiego pomocy wobec tej napaści; ale cóż oprze się władzy pana domu — zatryumfował mąż.

— Tylko niech pan nie myśli, kochany panie Lucjanie — ciągnął Danglars — że wyrzucam pana; ani mi to w głowie; nieprzewidziane okoliczności sprawiły, że muszę właśnie dziś wieczór pomówić z żoną. Zdarza się to nazbyt rzadko, aby ktokolwiek mógł powziąć do mnie o to urazę.

Debray wybełkotał coś w odpowiedzi i wyszedł, zataczając się niby Nathan w „Atalii”.

Nie do wiary, pomyślał, kiedy drzwi zamknęły się za nim, jak łatwo ci mężowie, których uważamy za takich pociesznych, zyskują nad nami przewagę.

Danglars tymczasem zajął miejsce Lucjana na kanapie, zamknął otwartą książkę i przybrał postać poważną, jęł bawić się z pieskiem.

Ale piesek nie żywiąc dlań podobnej sympatii, jaką okazywał Debrayowi, chciał ugryźć barona. Złapał go więc za skórę na karku, zaniósł na drugi koniec pokoju i cisnął na szezlong.

Zwierzę, rzucone z rozmachem, zaskowyczało; a że nikt chyba jeszcze nie potraktował go w taki sposób, wtuliło się zdziwione za poduszkę i pozostało już tam, nie ruszając się ani nie poszczekując.

— Czy wiesz, mój mężu — ozwała się baronowa, nie skrzywiwszy się nawet — że robisz postępy? Zazwyczaj bywałeś tylko nieokrzesany, a dziś jesteś ordynarny.

— Bo dziś jestem w gorszym niż zazwyczaj humorze. Herminia spojrzała nań z najwyższą pogardą.

Spojrzenie takie złościło zawsze pysznego bankiera; ale dziś nie zwrócił na nie najmniejszej uwagi.

— I cóż mnie obchodzi pański zły humor? — zirytowała się kamiennym spokojem męża. — Czy to mnie dotyczy? Schowaj zły humor dla siebie albo dla swoich urzędników: skoro im płacisz, możesz wyładowywać go na nich.

— O nie, błędne dajesz mi rady, a więc nie zastosuję się do nich. Moje biuro to mój Paktol, nie będę zakłócał tam ani biegu spraw, ani mącił spokoju. Moi urzędnicy to ludzie uczciwi: zdobywają dla mnie majątek, a ja płacę im grubo poniżej wartości ich rzeczywistych zasług, zważywszy zyski, jakie mi przynoszą. Nie będę więc na nich się gniewał. Gniew mój natomiast obrócę przeciwko tym, którzy jadają u mnie obiady, zajeżdżają mi konie, a przynoszą uszczerbek mojej kasie.

— A któż to tak zaszkodził twojej kasie? Mów jaśniej, mój mężu, jeśliś łaskaw.

— Cierpliwości. Mówię zagadkowo, niebawem jednak, spodziewam się, znajdziesz klucz od zagadki. Kto w godzinę wyciąga mi z kasy siedemset tysięcy franków, przynosi jej znaczny uszczerbek.

— Nie rozumiem cię, mój mężu — odparła baronowa, usiłując stłumić wzburzenie, jakie brzmiało w jej głosie, i zapanować nad rumieńcem.

— Przeciwnie, rozumiesz jak najlepiej, ale skoro nadal okazujesz złą wolę, powiem ci, że stracił siedemset tysięcy na pożyczce hiszpańskiej.

— No, no, no! I to mnie oskarżasz o tę stratę? — zagadnęła drwiąco baronowa.

— A dlaczegoż by nie?

— To moja wina, żeś stracił siedemset tysięcy?

— W każdym razie nie moja.

— Zapowiedziałam ci raz na zawsze, mój mężu — odrzekła ostro baronowa — żebyś mi nigdy nie wspominał o swojej kasie; nie poruszało się takich tematów ani w domu moich rodziców, ani w domu mojego pierwszego męża.

— Ja myślę! Toć nie mieli grosza przy duszy.

— Jeszcze jeden powód, dla którego nie mam pojęcia o żargonie bankowym, rażącym tu moje uszy od rana do nocy; zbrzydziłam sobie ten ustawiczny dźwięk liczonego złota i chyba tylko twój głos jest dla mnie jeszcze przykrzejszy.

— A to doprawdy osobliwe! Bo myślałem, że nic cię tak nie ciekawi jak moje spekulacje.

— Mnie? A któż ci podsunął tę myśl niedorzeczną?

— Ty sama.

— Niebywałe!

— A jednak ty.

— Rada bym wiedzieć, przy jakiej okazji.

— Z łatwością ci to wyłożę. W lutym ty pierwsza powiedziałaś mi o sumach ulokowanych na Haiti; śniło ci się, że do Hawru zawinął statek i że ktoś na tym statku przywiózł pomyślną wiadomość o pieniądzach, które już miano wypłacić na święty nigdy. Wiem, że miewasz sny prorocze; kazałem więc wykupić po cichu wszystkie, jakie tylko się znajdują, kupony owej pożyczki; zarobiłem czterysta tysięcy franków, z czego sto tysięcy, jako człek skrupulatny, wręczyłem tobie. Zrobiłaś z nimi to, co ci się spodobało — nie moja rzecz.

W marcu znowu chodziło o koncesję na budowę kolei żelaznej. Trzy towarzystwa przedstawiły jednakowe gwarancje. Aczkolwiek utrzymujesz, że jesteś obca wszelkim spekulacjom, powiedziałaś mi, że przywilej uzyska towarzystwo zwane Południowym, bo tak ci mówi twój instynkt. Obca tedy interesom, masz jednak w niektórych sprawach instynkt niezawodny.

Zakupiłem więc od razu dwie trzecie akcji owego towarzystwa. Rzeczywiście otrzymało przywilej; jak przewidziałaś, jego akcje podskoczyły o dwieście procent, ja zaś zainkasowałem okrągły milion, z czego dwieście pięćdziesiąt tysięcy franków dałem ci na szpilki. Co zrobiłaś z tą sumą? Nie moja rzecz.

— Ale do czegoś ty zmierzasz, mój mężu? — zawołała baronowa, trzęsąc się z irytacji.

— Cierpliwości, droga żono, już kończę.

— Całe szczęście.

— W kwietniu byłaś na obiedzie u ministra; gwarzono o Hiszpanii, wysłuchałaś przypadkiem ściśle poufnej rozmowy: miano wygnąć don Carlosa; zakupiłem obligacje hiszpańskie. Króla wygnano, a w dniu, kiedy Karol V powrócił przez Bidassoa, zarobiłem sześćset tysięcy franków. Otrzymałaś z tego pięćdziesiąt tysięcy dukatów; należały ci się, rozporządziłaś nimi wedle własnej fantazji, nie żądam więc rozrachunku; ale, tak czy inaczej, dostałaś tego roku pół miliona liwów.

— No i cóż z tego?

— To, że potem napaskudziłaś.

— Elegancko się wyrażasz, mój mężu... nie ma co...

— Hm, oddałem swoją myśl, a tego właśnie było mi trzeba... Owóż, przed trzema dniami rozprawiłaś z panem Debrayem o polityce; ze słów jego wniosłaś, że don Carlos wrócił do Hiszpanii; sprzedaję tedy swoje obligacje, wieść się rozchodzi, powstaje panika, a ja nie sprzedaję już: rozdaję za darmo; nazajutrz okazuje się, że wieść była fałszywa — a ja tracę siedemset tysięcy franków.

— A więc?

— A więc, skoro ci daję czwartą część zarobku, winnaś pokrywać czwartą część moich przegranych; a czwartą część siedmuset tysięcy franków to sto siedemdziesiąt pięć tysięcy.

— Bredzisz, mój mężu, a ponadto nie rozumiem, czemu w tę całą aferę mieszasz pana Debraya.

— Bo jeśli nie masz przypadkiem sumy, której żądam, zaożyczysz się u swoich przyjaciół, a pan Debray liczy się do nich.

— Oburzające! — wykrzyknęła baronowa.

— E, nie krzycz i nie gestykuluj jak w nowoczesnym dramacie; posłuchaj, jak się rzecz ma, zmusiłaś mnie, żebym ci to powiedział. Pan Debray ma w kieszeni pół miliona liwów, które wypłacił mu tego roku — śmieje się w kułak i mówi, że odkrył to, czego najsprytniejsi gracze nie zdołali, to znaczy ruletkę, na której wygrywa się, nie ryzykując ani grosza i nie traci się, kiedy wszyscy tracą.

Baronowa o mało nie wybuchła:

— I ty, łotrze, ośmielasz się mówić, żeś nie wiedział o tym, z czego dzisiaj czynisz mi zarzut?

— Nie mówię, że wiedziałem, i nie mówię, że nie wiedziałem; powiadam tylko: przyjrzyj się, jak postępuję od lat czterech, czyli od czasu, kiedy przestaliśmy być małżeństwem we właściwym znaczeniu, a zobaczysz, że byłem zawsze konsekwentny. Na jakiś czas przed naszym zerwaniem zapragnęłaś studiować muzykę pod kierunkiem owego sławnego barytona, który tak świetnie zadebiutował w Teatrze Włoskim; wtedy ja zapragnąłem uczyć się tańca u tancerki, która zyskała wspaniałą renomę w Londynie. Zapłaciłem za to, licząc koszty twojej nauki, prawie sto tysięcy franków. Nie sprzeciwiłem się, bo nazbyt szacuję harmonię małżeńską. Sto tysięcy to nie jest za drogo, aby mąż poznał gruntownie taniec, a żona muzykę. Niebawem sprzykrzyła ci się muzyka i zapragnęłaś studiować dyplomację, a nauczycielem twoim jest sam sekretarz ministra. Studiujże sobie. Zrozum, że nic nie obchodziły mnie te lekcje, póki płaciłaś za nie z własnej kasy. Ale dziś stwierdziłem, żeś zaczęła z mojej i że te korepetycje mogą mnie kosztować siedemset tysięcy miesięcznie. O nie, łaskawa pani, na to się nie zgodzę... Albo dyplomata będzie cię uczył, za darmo, a wtedy ja będę go tolerował, albo jego noga więcej w tym domu nie postanie; zrozumielaś?

— O, to już za wiele, mój panie! — zawołała Herminia dysząc ciężko. — Przekroczyłaś granice podłości!

— Ale widzę z przyjemnością, że i ty też z własnej woli zastosowałaś paragraf kodeksu: „Żona winna iść za mężem”.

— To obelga!

— Masz rację. Nie unośmy się, rozumiemy na zimno. Jeślim kiedykolwiek wtrącał się do twoich spraw, to jedynie dla twojego dobra; uczyniże to samo. Podobno moja kasa nic cię nie obchodzi. Niech i tak będzie; spekuluj na własną rękę, a do mojej kasy nic nie dokładaj i nic z niej nie ujmuj. Kto wie zresztą, czy wszystko nie jest ciosem w plecy zadany ze względów politycznych; kto wie, czy minister, wściekły, że jestem w opozycji, zazdrosny, że budzę sympatię wśród ludu, nie zwąchał się z panem Debrayem, żeby mnie zrujnować.

— To aż nazbyt prawdopodobne!

— Ależ tak! Telegraf nigdy dotąd nie podawał wiadomości fałszywych, znaki są raz na zawsze ustalone, proste. Skądże ta sprzeczność między dwiema kolejnymi depeszami? Zapewniam cię, że zrobiono to na mój benefis.

— Chyba wiesz, mój mężu — spuściła z tonu baronowa — że funkcjonariusza tego wypędzono; że mówią nawet o jego procesie; że aresztowano by go, gdyby nie przepadł bez wieści, dając tym dowód winy albo. szaleństwa... Zaszła więc pomyłka.

— Tak. Durnie się śmieli, minister źle spał tej nocy, panowie sekretarze zaczernili mnóstwo papieru, ale ja zapłaciłem siedemset tysięcy franków.

— Ale — tu Herminia otrzeźwiała jakby — skoro według ciebie zawinił pan Debray, czemuż do mnie wnosisz te wszystkie pretensje, a nie do niego? Czegóż jego oskarżasz, a na mnie napadasz?

— A czy ja go znam i czy chcę znać? Czy chcę wiedzieć, że jest twoim doradcą? Czy chcę stosować się do jego rad? Czy gram na giełdzie? Nie, to ty robisz to wszystko, a nie ja.

— Wydaje mi się, że skoro z tego korzystasz... Danglars wzruszył ramionami.

— O, szalone istoty! Kobieta, której udało się przeprowadzić parę intryg tak, że Paryż nie dowiedział się o nich, poczytuje się od razu za geniusza. Ale zastanów się, że choćbyś zdołała ukryć swoje romanse przed własnym mężem, a to łatwe, bo większość mężów umyślnie zamyka oczy, i tak nie doścignęłabyś swoich przyjaciółek z wielkiego świata. Ale ze mną jest inaczej: widziałem i to zawsze. Przez lat szesnaście mogłaś czasami ukryć przede mną myśl, ale nie udało ci się ukryć żadnego kroku, czynu i błędu. I cóż wynikało z tego, że zachwycałaś się własnym sprytem i wierzyłaś święcie, że mnie oszukujesz? Nic. Mimo tej mojej rzekomej niewiedzy, wszyscy twoi przyjaciele, od pana de Villefort do pana Debraya, drżeli przede mną; każdy z nich traktował mnie, jak winno się traktować pana domu, bo tego jednego domagam się jako twój mąż; żaden z nich wreszcie nie powążył się mówić do ciebie o mnie tego, co ja ci mówię dziś o nich. Możesz przedstawiać mnie w obrzydliwym świetle, zgoda; ale nie dopuszczę, byś mnie ośmieszała, a nade wszystko zabraniam ci pod najsurowszymi rygorami działać na szkodę moich interesów.

Póki nie padło nazwisko pana de Villefort, baronowa nie traciła kontenansu; ale kiedy Danglars napomknął o prokuratorze — zbladła, zerwała się, wyciągnęła ręce, jakby chciała odegnąć widmo, i podbiegła do męża, jak gdyby pragnęła wydrzeć mu sekret, którego nie znał może do końca, a może, powodując się jakimś ohydny, a właściwym sobie wyrachowaniem, nie wyjawiał w całości.

— Pan de Villefort? Co to znaczy? Go masz na myśli?

— To, moja pani, że pan de Nargonne, twój pierwszy mąż, nie będąc ani filozofem, ani bankierem, a może przeciwnie, i widząc, że na prokuratora królewskiego nie ma sposobów, umarł ze zgrzyoty albo ze złości, wróciwszy po trzech kwartałach do domu: byłaś akurat w szóstym miesiącu ciąży. Jestem brutalem i nie tylko mi to wiadome, ale tym się chlubię; grubiaństwo to jeden ze środków, które zapewniają mi powodzenie w moich spekulacjach handlowych. Czemuż to, zamiast zabić, dał się zabić? Bo nie potrzebował ratować kasy. Ale ja mam obowiązki wobec mojej kasy. Straciłem przez pana Debraya, mojego współnika, siedemset tysięcy franków. Niech poniesie swoją część strat, a będziemy nadal robić razem interesy; w przeciwnym razie ja pokryję stratę stu siedemdziesięciu pięciu tysięcy franków, a on niech postąpi jak na bankruta przystało, to znaczy — zniknie. Boże drogi! Wiem, że to uroczy chłopak, jeśli nie dostarcza błędnych wiadomości; jeśli natomiast będzie informował fałszywie, znajdzie się z pięćdziesięciu niż on lepszych.

Pani Danglars była zmiażdżona. A jednak, zebrawszy wszystkie siły, popróbowwała odeprzeć ten ostatni atak.

Osunęła się na fotel, myśląc o Villeforcie, o scenie, jaka rozegrała się u hrabiego, i o tej osobliwej serii nieszczęść, które od paru dni spadały na jej dom, mącąc jej życie jedwabne i doprowadzając do skandalicznych sporów.

Danglars nawet na nią nie spojrział, choć dokładała wszelkich starań, by zemdleć.

Nic już nie rzekłszy, zamknął drzwi sypialni i poszedł do siebie, zachowując się tak cicho, że kiedy baronowa budziła się z półomdlenia, mogła pomyśleć, iż miała tylko zły sen.

28. PROJEKTY MATRYMONIALNE

Debray jadąc do biura zwykł był wstępować do pani Danglars na krótką wizytę. Ale nazajutrz po opisanych wypadkach karetka jego nie zaturkotała na pałacowym dziedzińcu.

O tej porze, to znaczy mniej więcej w południe, pani Danglars zawołała o konie i wyjechała.

Danglars obserwował ją zza firanki, spodziewając się tego wyjazdu.

Rozkazał, aby powiadomiono go, jak tylko pani wróci; ale o drugiej nie było jej jeszcze.

O drugiej zawołał karete, pojechał do Izby i zapisał się do głosu: miał wygłosić mowę krytykującą budżet.

Od dwunastej do drugiej siedział w swoim gabinecie, czytając depesze. Zasepiając się coraz bardziej, wypisywał długie kolumny cyfr. Od czasu do czasu zjawiał się jakiś interesant — między innymi odwiedził bankiera major Cavalcanti. Odziany jak zawsze na granatowo, sztywny i punktualny, stawiał się w oznaczonej godzinie, aby załatwić swoją sprawę.

W czasie sesji Danglars był mocno wzburzony i z wyjątkową zajadłością atakował ministra. Wyszedłszy z parlamentu kazał się zawieźć na Pola Elizejskie, pod numer trzydziesty.

Monte Christo był w domu, ale że miał właśnie gościa, poprosił, by Danglars zaczekał.

W tym czasie otworzyły się drzwi, wszedł jakiś ksiądz, ale miast poczekać jak bankier, skłonił mu się tylko i — snadź w tym domu bywały — zniknął w apartamentach hrabiego.

Po chwili otworzyły się drzwi, którymi wszedł ksiądz, i ukazał się Monte Christo.

— Najmocniej drogiego barona przepraszam — rzekł — ale jeden z moich przyjaciół, ksiądz Busoni, którego widziałeś pan, jak przechodził, przyjechał właśnie do Paryża; po długim rozstaniu niesporo mi go było zaraz opuszczać. Mam nadzieję, że zrozumiesz mnie pan i wybaczysz.

— Ależ naturalnie, to całkiem zrozumiałe; wybrałem się nie w porę i zaraz uciekam.

— Ależ skąd, niech pan siada. Tylko, na Boga, co się panu stało? Mocno pan czymś jesteś zafrasowany, niepokoisz mnie doprawdy. Zmartwiony bogacz jest niby kometa: zapowiada zawsze światu jakieś wielkie nieszczęście.

— Nie wiedzie mi się od kilku dni, drogi panie: co nowina, to gorsza.

— O! Czyżby znów jakieś niepowodzenie na giełdzie?

— Nie, tę dziurę już załatałem, przynajmniej na parę dni; rzecz idzie teraz o bankructwo w Trieście.

— Doprawdy? Czy nie mówisz pan przypadkiem o bankructwie Jacopa Manfredi?

— A właśnie! Wyobraź pan sobie, że od niepamiętnych czasów robiliśmy interesy, które przynosiły mi osiemset do dziewięciuset tysięcy franków rocznego zysku. Nigdy nie sprawił mi zawodu, nie spóźnił się nigdy; płacił niczym księżę... księżę wypłacamy. Zaawansowałem mu milion, a ten diabeł zawiesza wypłatę!

— Naprawdę?

— To niebywała fatalność. Chcę wydobyć od niego sześćset tysięcy liwów: nie płaci; mało tego: mam od niego weksle na czterysta tysięcy franków, płatne z końcem obecnego miesiąca u jego paryskiego korespondenta. Dziś trzydziesty — posyłam po pieniądze — ale korespondent się ulotnił. Dołożywszy moją hiszpańską aferę, ślicznie zakończyłem ten miesiąc.

— Ale czyś pan rzeczywiście stracił na tych obligacjach hiszpańskich?

— No, a co pan myśli? Siedemset tysięcy franków jak w błoto!

— I pan, taki wytrawny finansista, dałeś się podejść?

— E, to przez moją żonę. Przyśniło jej się, że don Carlos wrócił do Hiszpanii; wierzy w sny. To magnetyzm, powiada; cokolwiek jej się przyśni, musi, jej zdaniem, sprawdzić się niechybnie. Skoro żywi takie przekonanie, pozwalam jej grać na giełdzie; ma swoją kasę i swojego maklera, gra i przegrywa. To prawda, że gra swoimi pieniędzmi, a nie moimi. Tak czy inaczej, rozumiesz pan, kiedy żona przerznie siedemset tysięcy franków, męża trochę to zaboli. Jak to? Nie wiedziałeś pan nic? Ależ o tym aż huczało!

— Może coś mi się obito o uszy, alem nie znał szczegółów; a następnie pojęcia nie mam o sprawach giełdowych.

— To pan nie grasz?

— A po cóż miałbym grać? I tak nie wiem, co robić z pieniędzmi. Dość mam intendenta, a musiałbym wziąć jeszcze urzędnika i kasjera. Co zaś do Hiszpanii, wydaje mi się, że powrót don Carlosa przysnił się nie tylko pani baronowej. Pisano o tym w gazetach.

— Nie spodziewałem się po panu, że wierzysz gazetom.

— Wcale nie wierzę. Przypuszczam jednak, że organ tak szacowny jak „Messenger” stanowi między nimi wyjątek i że podaje on wiadomości pewne, wiadomości telegraficzne.

— W tym właśnie tkwi tajemnica, że nowinę o powrocie don Carlosa przekazał z pewnością telegraf.

— Tak to stracisz pan w tym miesiącu prawie milion siedemset tysięcy franków? — zagadnął Monte Christo.

— Nie prawie, bo akurat tyle.

— Do diabła! — powiedział ze współczuciem Monte Christo. — Ciężki to cios dla fortuny trzeciego rzędu.

— Trzeciego rzędu! — powtórzył Danglars nieco urażony w ambicji. — A cóż pan, u diabła, przez to rozumiesz?

— Widzi pan, dzielę fortunę na trzy kategorie. Fortuną pierwszego rzędu nazywam taką, na którą składają się dochody płynące bezpośrednio z ziemi ornej, z kopalń i z podatków — posiada ją na przykład Francja, Austria czy Anglia. Tylko jeden warunek: wszystkie te skarby, kopalnie i dochody muszą mieć wartość okrągłych stu milionów; fortuna drugiego rzędu pochodzi z fabryk, towarzystw akcyjnych, wicekrólestw i księstw, daje najwyżej półtora miliona dochodu, czyli ma za podstawę kapitał wynoszący pięćdziesiąt milionów; wreszcie fortunę trzeciego rzędu tworzy procent składany od kapitału, a powiększa ją czasami czyjaś praca, czasami przypadek — bankructwo może ją naruszyć, depesza telegraficzna może nią zachwiać; z fortuną taką wiążą się spekulacje, których rezultat nigdy nie jest naprzód wiadomy, operacje zależne od fatalności, którą można by nazwać siłą niższą w porównaniu do siły wyższej, czyli naturalnej; podstawą tej fortuny jest kapitał fikcyjny albo rzeczywisty wynoszący jakichś piętnaście milionów. To chyba mniej więcej pańska pozycja, nieprawdaż?

— Hm, no tak.

— Czyli jeszcze sześć podobnych miesięcy — wywodził z niezmaconym spokojem Monte Christo — a firma trzeciego rzędu będzie zapewne w agonii.

— Och! Cóż za nieubłagana logika — odpowiedział Danglars, uśmiechając się blado.

— Powiedzmy: siedem — dorzucił uprzejmie Monte Christo. — Ciekaw jestem, czy pomyślałeś pan kiedy, że siedem razy milion siedemset tysięcy franków to mniej więcej dwanaście milionów?... Nie? To i słusznie, bo kto by się nad tym zastanawiał, nigdy nie angażowałby swojego kapitału, który jest dla finansisty tym, czym skóra dla człowieka cywilnego. Mamy ubrania mniej albo więcej wspaniałe: to nasz kredyt; ale zmarłemu pozostaje tylko własna skóra; tak samo, jak wycofując się z interesów, masz pan tylko swój majątek rzeczywisty: pięć, a najwyżej sześć milionów; bo fortuna trzeciego rzędu jest z reguły znacznie niższa, aniżeli na to wygląda — jak lokomotywa wśród dymu, który spowija ją i wyolbrzymia, jest tylko silniejszą albo słabszą machiną. Owóż z pięciu milionów, stanowiących pańskie rzeczywiste aktywa, utracił pan prawie dwa; o tyleż zmniejszyła się pańska fortuna fikcyjna, czyli pański kredyt. A więc, mój drogi baronie, nacięto panu skórę i puszczono krew — cztery takie zabiegi wykrwawiłyby cię na śmierć. Ej, uważaj, kochany baronie, uważaj! Jeśli potrzebujesz pan pieniędzy, mogę służyć pożyczką.

— E, kiepsko pan kalkulujesz! — zawołał Danglars, przyzywając na pomoc całą swoją filozofię i ze wszelkich sił starając się maskować. — Pieniądz właśnie wrócił do mojej kasy, powiodły mi się bowiem inne spekulacje. Upuszczono mi krwi, ale od czegoż posilne jądło? Przegrałem batalię hiszpańską i pobito mnie w Trieście, ale moja flota wojenna wzięła w Indiach kilka bogatych okrętów, a moi pionierzy założyli w Meksyku nową minę złota.

— Wybornie, wybornie, ale blizna pozostanie i otworzy się przy następnej stracie.

— O nie, gdyż uznaję tylko pewny teren — ciągnął Danglars z banalną swadą szalbierza, co z profesji zachwala swój kredyt — abym upadł, musiałyby runąć trzy kolejne rządy.

— Dalipan, i to już widziano.

— Musiałyby całą kulę ziemską dotknąć nieurodzaj.

— A pamiętasz pan siedem krów tłustych i siedem krów chudych?

— Aby morze się rozstało, jak za czasów owego faraona; ale mórz jest wiele, a choćby wyschły, pozostaną mi karawany wielbłądów.

— Tym lepiej! Po stokroć lepiej! Widzę, mój kochany baronie, że się pomylił: jesteś u progu fortuny drugiego rzędu.

— Wydaje mi się, że mogę ubiegać się o ten zaszczyt — odpowiedział Danglars z uśmiechem. Ów uśmiech obleśny przypominał hrabiemu uśmiech, jakim nędzni malarze obdarowują księżyc świecący nad ruinami. — Ale skoro mówimy o interesach — dodał, zachwycony, iż może zmienić temat — powiedz mi pan, co mogę zrobić dla majora Cavalcanti.

— Wypłacić mu gotówkę, skoro ma list kredytowy do pana i list ów uznałeś za dobry.

— Jak najlepszy! Był u mnie dziś rano i przedstawił bon na czterdzieści tysięcy franków, płatny na okaziciela, a wystawiony przez księdza Busoniego. Rozumiesz pan, że wyliczyłem mu z miejsca czterdzieści tysięcy franków w banknotach.

Monte Christo kiwnął głową na znak pełnej aprobaty.

— Ale to jeszcze nie wszystko. Otworzył u mnie kredyt swojemu synowi.

— Nie chciałbym popełnić niedyskrecji, ale zapytam, ile ten młodzieniec otrzymuje od niego?

— Pięć tysięcy franków miesięcznie.

— Sześćdziesiąt tysięcy na rok. Domyślałem się — tu Monte Christo wzruszył ramionami. — I cóż ten chłopak zdoła, mając pięć tysięcy franków miesięcznie?

— Ale, rozumiesz pan, gdyby potrzebował jeszcze kilku tysięcy...

— Nie radzę. Ojciec wykwituje pana. Nie znasz jeszcze tych włoskich milionerów: to istne harpagony. A kto mu otworzył ten kredyt?

— Bank Fenziego, jeden z najsolidniejszych we Florencji.

— Nie powiem, że pan stracisz, daleko do tego;— a jednak nie przekraczaj sumy, na którą opiewa list kredytowy.

— Czyżbyś pan nie ufał majorowi?

— E, dałbym mu na weksel i dziesięć milionów. To fortuna drugiego rzędu, a wiesz już, co to znaczy, mój kochany panie baronie.

— A przy tym ileż w tym człowieku prostoty! Wziąłbym go za zwykłego majora.

— A i tak byłoby to dla niego pochlebne. Masz pan rację, nie jest on reprezentacyjny. Kiedym go poznał, myślałem, że to stary porucznik, zapleśniały w swoim garnizonie. Ale tacy już ci Włosi; jeśli nie olśniewają niczym wschodni magowie, przypominają starych Żydów.

— Syn prezentuje się lepiej.

— Owszem; może tylko nazbyt nieśmiały; ale na ogół robi przyjemne wrażenie. Zaniepokoił mnie trochę.

— Dlaczego?

— Kiedyś spotkał go pan u mnie, był to jego pierwszy występ towarzyski; tak mnie przynajmniej zapewniał. Podróżował pod opieką srogiego preceptora, ani razu nie zawadziwszy o Paryż.

— Arystokracja włoska żeni się przeważnie między sobą, nieprawdaż? — zagadnął niedbale bankier. — Lubią kojarzyć fortuny.

— Tak, mają ten zwyczaj; ale Cavalcanti jest oryginałem, postępuje inaczej niż wszyscy. Przesłał syna do Francji, żeby wyszukał tu sobie żonę —jestem o tym przekonany.

— Tak pan sądzisz?

— Jestem pewien.

— A słyszałeś pan coś o jego fortunie?

— Ogromnie się tym interesują. Tylko jedni obliczają go na miliony, a drudzy twierdzą, że jest biedny jak mysz kościelna.

— A jaki jest pański pogląd?

— Nie mógłbyś się pan oprzeć na nim: to pogląd czysto osobisty.

— No ale...

— Według mnie, wszyscy ci dawni podeści i kondotierzy, bo Cavalcanti dowodził wojskiem, władali poszczególnymi prowincjami; według mnie, zaznaczam, mają oni po różnych dziurach zakopane miliony, a sekret kryjówki przechodzi z ojca na syna; dowód, że są zasuszeni i żółci jak ich floreny z czasów Republiki: tak się w nie wpatrywali, że zarazili się od nich kolorem.

— Znakomite! A tym prawdziwsze, że nikt nie słyszał, aby któryś z nich miał kawałek ziemi.

— Jeśli który ma, to niewiele. Wiadomo mi tylko z wszelką pewnością, że Cavalcanti ma pałac w Lucce.

— Ma pałac! E, to już nieźle — ucieszył się Danglars.

— Owszem, ale wynajął go ministrowi finansów, a sam mieszka w jakimś domeczku. Mówiłem już panu, że to sknera.

— No, no, nie obmawiaj go pan.

— Widzi pan, nie znam go prawie: nie wiem, czy spotkaliśmy się trzy razy w życiu. Informatorem moim jest ksiądz Busoni, no i on sam; mówił mi dziś rano, jak zamierza pokierować synem, i dał mi do zrozumienia, że ma znaczne kapitały zamrożone we Włoszech i że już mu się to sprzykrzyło. Włochy — kraj martwy; Cavalcanti szuka sposobu, żeby ulokować korzystnie swoje miliony w Anglii albo we Francji. Ale zapamiętaj pan raz na zawsze, że choć ufam księdzu Busoniemu jak najbardziej, za nic odpowiadać nie mogę.

— To drobiazg; dziękuję, żeś mi pan przysłał klienta; piękne nazwisko będzie figurowało w moich księgach, a mój kasjer, któremu powiedziałem, kim jest ród Cavalcantich, nie posiada się z dumy. I jeszcze jedno, a ciekawi mnie to po prostu jako zaimitowanego podróżnika: czy ci ludzie żeniąc swoich synów, dają im wiano?

— Czy ja wiem... to zależy. Znałem księcia włoskiego bogatego jak sam krezus, noszącego jedno z pierwszych nazwisk tokańskich, który jeśli syn, a miał ich wielu, żenił się po jego myśli, dawał mu miliony, jeśli zaś przyszła synowa mu nie dogadzała, dawał mu raptem trzy dukaty renty miesięcznej. Jeśli mariaż Andrei spodoba się ojcu, chłopak powinien dostać ze trzy miliony. Gdyby na przykład Andrea poślubił córkę bankiera, kto wie, czy major nie zainteresowałby się żywo jego spekulacjami; ale przypuśćmy, że synowa nie przypadła mu do serca; adieu, Fruziu! Papa Cavalcanti bierze klucz od swojej kasy pancерnej, zamyka ją na dwa spusty, a synalek musi żyć jak i każdy chłopiec z dobrej paryskiej rodziny — szachrując w kartach albo wyciągając pieniądze od bliźnich.

— E, ten chłopak znajdzie sobie księżniczkę bawarską czy peruwiańską; sięgnie po mitrę, wystara się o kopalnię złota albo srebra.

— Nie. Wielcy panowie włoscy żenią się przewaźnie ze zwykłymi śmiertelniczkami: lubią, niczym Jupiter, krzyżować rasy. Ale czemuż to kochany pan tak zasypuje mnie pytaniami? Chciałbyś baronie ożenić Andreę?

— No cóż, widzę w tym niezłą spekulację, a przecież jestem spekulantem.

— Ale chyba nie z panną Eugenią? Nie dopuścisz pan, by Albert zakatrupił tego biednego Andreę.

— Albert! — zachnął się Danglars wzruszając ramionami. — Tyle on o nią dba, co o zeszłoroczny śnieg.

— Toć podobno są zaręczeni.

— Na razie tylko rozmawialiśmy z Morcerfem raz i drugi o małżeństwie; ale pani de Morcerf i Albert...

— Gzy mam rozumieć, że Albert nie jest odpowiednią partią?

— E nie, oboje są z jednakowo dobrych rodzin.

— Panna Eugenia otrzyma piękne wiano, nie wątpię, zwłaszcza jeśli telegraf znowuż nie napsoci.

— O, chodzi nie tylko o posag. Ale, ale, chciałem zapytać jeszcze...

— Proszę bardzo.

— Dlaczego pan nie zaprosił Morcerfów na wczorajszy obiad?

— Zaprosiłem, ale pan Albert wymówił się podróżą do Dieppe. Miał tam wyjechać z matką, której lekarz zalecił morskie powietrze.

— Tak, tak — roześmiał się Danglars — z pewnością ono dobrze jej zrobi.

— Czemuż to?

— Oddychała nim za młodu.

Monte Christo puścił mimo uszu tę ironiczną uwagę.

— Ale — podjął hrabia — jeśli Albert nie dorównuje pannie Eugenie majątkiem, nie zaprzeczysz pan, że nosi piękne nazwisko.

— Owszem: tak samo dobre jak i moje.

— Słusznie, pańskie nazwisko zyskało sobie rozgłos i to ono przydało blasku tytułowi, a nie odwrotnie — ale pan liczysz się do ludzi nazbyt inteligentnych, aby nie rozumieć, że w myśl pewnych

przesądów, zakorzenionych tak głęboko, że usunąć się nie dadzą, stara szlachta, mająca za sobą pięć stuleci, jest więcej warta od nowej, mającej za sobą lat dwadzieścia.

— Dlatego właśnie—tu Danglars popróbowwał uśmiechnąć się sardonicznie— wolałbym pana Andreę Cavalcantiego od pana de Morcerf.

— Ależ wydaje mi się, że Morcerfowie w niczym nie ustępują Cavalcantim.

— Morcerfowie!... E, drogi hrabio... Jesteś pan arystokratą, nieprawdaż?

— Mam nadzieję.

— A znasz się pan na heraldyce?

— Trochę.

— No to spójrz pan na moje barwy: mocniej one ugruntowane niż na tarczy herbowej Morcerfów.

— Dlaczego?

— Bo choć nie urodziłem się baronem, nazywam się przynajmniej Danglars!

— I cóż dalej?

— A on nie nazywa się Morcerf.

— Jak to? Nie nazywa się Morcerf?

— Nie nazywa i nigdy się tak nie nazywał.

— Żarty!

— Mnie tam ktoś nadał moje baronostwo, czyli jestem baronem, a on jest hrabią i to samozwańczym, czyli żadnym.

— Nie do wiary.

— Posłuchaj, drogi hrabio: Morcerf jest moim przyjacielem, a raczej tylko znajomym od lat trzydziestu; jak pan wiesz, nie bardzo szacuję swój klejnot, bo i nigdy nie zapominam o moim pochodzeniu...

— Dowodzi to wielkiej pokory albo wielkiej pychy! — przerwał Monte Christo.

— Owóż, kiedy byłem urzędniczyną, Morcerf był zwykłym sobie rybakim.

— I jakże się zwał wtedy?

— Fernand.

— Tylko tyle?

— Fernand Mondego.

— Jesteś pan pewien?

— Dalibóg. Chyba dość u niego kupiłem ryb!

— Czemuż więc chcesz pan wydać córkę za jego syna?

— Bo Fernand i Danglars to dwaj parweniusze, których razem uszlachcono i którzy wzbogacili się razem: jeden w gruncie rzeczy wart drugiego — chociaż istnieją pewne różnice, gdyż mówiono o nim to, czego nigdy nie powiedziano by o mnie.

— A cóż mówiono?

— E, głupstwo.

— Aha! Domyślam się. Gdy mówiłeś pan o Fernandzie Mondego, przypomniałem sobie coś. Słyszałem o nim w Grecji.

— W związku ze sprawą Ali Paszy?

— Nie inaczej.

— To właśnie tajemnica, a przyznam się, że dałbym wiele, aby ją wyświecić.

— Nic trudnego, jeśli masz pan wielką ochotę.

— Jakim cudem?

— Nie masz pan jakiegoś korespondenta w Grecji? — Jeszcze ilu!

— W Janinie też?

— Wszędzie.

— No więc napisz pan do swojego korespondenta w Janinie, pytając, jaką rolę odegrał w dramacie Tebelina Paszy pewien Francuz nazwiskiem Fernand Mondego.

— Świetny pomysł! — zawołał Danglars wstając szybko. — Dziś jeszcze napiszę.

— Napisz pan.
— Napiszę.
— A jeśli otrzymasz pan jakąś mocno skandaliczną wiadomość...
— To przekażę ją panu.
— Będzie mi bardzo miło.
Danglars wypadł z salonu i wskoczył do karety.

29. GABINET PROKURATORA KRÓLEWSKIEGO

Zostawimy bankiera, który wraca pędem do domu, będziemy bowiem towarzyszyć pani Danglars w jej porannym spacerze.

Jak się rzekło, pani Danglars zawołała o pól do pierwszej o konie i wyjechała.

Minęła Przedmieście Saint-Germain i ulicę Mazarine, po czym kazała przystanąć nie opodal Nowego Mostu.

Wysiadłszy tu, poszła dalej piechotą. Ubrana była skromnie — jak przystoi wytwornej damie odbywającej poranną przechadzkę.

Na ulicy Guénégaud wsiadła w dorożkę i kazała się zawieźć na ulicę Harlay.

Sadowiąc się w dorożce, wyjęła z torebki czarny, bardzo gęsty woal i przypięła go do słomkowego kapelusza; włożywszy kapelusz, spojrzała z zadowoleniem w lustro: spoza woalu prześwitywały tylko jej iskrzące się oczy i biała płeć.

Dorożka pojechała Nowym Mostem i placem Delfiny na dziedziniec Harlay; tu dorożkarz otworzył drzwiczki, a pani Danglars, zapłaciwszy, pomknęła ku schodom, wbiegła na nie lekko i niebawem znalazła się w sali des Pas-Perdus.

Przed południem załatwia się tu wiele spraw i kręci się tu mnóstwo zaaferowanych ludzi.

A mężczyzna zaaferowany nie spogląda raczej na kobietę.

Nikt więc nie zauważył, jak pani Danglars przeszła salę des Pas-Perdus — a zresztą dziesięć innych kobiet czatowało tutaj na adwokatów.

Poczekalnia pana de Villefort była pełna, lecz pani Danglars nie potrzebowała nawet podać swojego nazwiska; kiedy się zjawiła, woźny wstał, podszedł do niej i zapytał, czy to ona zamówiła sobie wizytę u pana prokuratora królewskiego, kiedy zaś odpowiedziała twierdząco, powiódł ją korytarzem, na który publiczność nie miała wstępu, do gabinetu pana de Villefort.

Dygnitarz pisał, siedząc w fotelu, odwrócony plecami do drzwi.

Usłyszał, jak drzwi się otworzyły, jak woźny powiedział: „Niech pani będzie łaskawa” — i drzwi się zamknęły; ale nie drgnął nawet.

Ale gdy kroki woźnego ścichły w korytarzu, zerwał się, zamknął drzwi na zasuwę, zaciągnął firanki w oknach i zajrzał do każdego kąta.

Pewien, że nikt nie może go ani widzieć, ani słyszeć, uspokoił się wreszcie.

— Dziękuję pani — ozwał się — dziękuję, że przyszałaś tak punktualnie.

I podsunął jej fotel, na którym pani Danglars siadła czym prędzej, serce jej bowiem biło tak mocno, że nie mogła złapać tchu.

— Bardzo już dawno, łaskawa pani — powiedział, siadając i obracając tak swój fotel, aby znaleźć się naprzeciw, pani Danglars — bardzo już dawno nie miałem szczęścia pogwarzyć z panią sam na sam, a ku mojemu wielkiemu żalowi spotykamy się tutaj, aby przeprowadzić bardzo smutną rozmowę.

— A jednak, jak pan widzisz, stawiałam się na pierwsze wezwanie, choć ta rozmowa będzie z pewnością znacznie cięższa dla mnie niż dla pana.

Villefort uśmiechnął się gorzko.

— A więc to prawda — rzekł, odpowiadając raczej na własną myśl niż na słowa pani Danglars — a więc to prawda, że każdy nasz czyn zostawia po sobie ślady w naszej przeszłości; ślady ciemne albo jasne! A więc to prawda, że przechodzimy przez życie tak, jak wąż czołga się po piasku, zostawiając wyraźną smugę. Niestety, w wielu wypadkach smuga to wilgotna od łez.

— Rozumiesz pan moją emocję, prawda? A więc oszczędzaj mnie, proszę. Ten gabinet, przez który tylu winowajców przeszło drżących i zawstydzonych; ten fotel, w którym ja z kolei siedzę drżąca i

zawstydzona!... Och! Jakże ja muszę odwoływać się do swojego rozsądku, aby nie uważać się za winowajczynię, a pana za groźnego sędziego.

Villefort potrząsnął głową i westchnął.

— A ja — odparł — powiadam sobie, że nie za sędziowskim stołem moje miejsce, lecz na ławie oskarżonych.

— Pańskie? — zdziwiła się pani Danglars.

— Tak, moje.

— Zdaje mi się, że przesadzasz pan w swoim purytyzmie — odrzekła pani Danglars, a w oku jej, jakże pięknym, pojawił się przelotny błysk. — Te ślady, o których mówiłeś przed chwilą, pozostawia zawsze gorący poryw młodości. Na dnię namiętności, w momentach gdy zapominamy o rozkoszy, natrafiamy zawsze na lekkie wyrzuty; dlatego Ewangelia, to wieczyste źródło pocieszenia dla nieszczęśliwych, dała nam, biednym kobietom, aby krzepić nas na duchu, cudowną przypowieść o jawnochrześcijaninie i o wiarołomnej żonie. Przyznam się więc panu, że wspominając szaleństwa młodości, myślę czasem, że Bóg mi przebaczy — gdyż odpokutowałam za nie, jeśli nie całkowicie, to chyba częściowo, moimi cierpieniami. Ale czegoż możecie się w tym wszystkim lękać wy, mężczyźni, których każdy usprawiedliwia, a skandal uszlachetnia?

— Nie znasz mnie pani; nie jestem obłudnikiem, a raczej nie jestem nim nigdy bez potrzeby. Czoło moje jest surowe, bo spochmurniało od licznych nieszczęść; serce stało się kamieniem, aby zdołało znieść ciosy. Nie byłem taki za młodu, nie byłem taki owego wieczoru zaręczynowego, na ulicy du Cours w Marsylii, kiedy siedzieliśmy wszyscy wokół okrągłego stołu. Ale od tego czasu wszystko uległo przemianom i we mnie, i na zewnątrz; sterałem życie, dążąc do celów trudnych do osiągnięcia, łamiąc tych, którzy świadomie czy nieświadomie, z własnej woli czy przypadkiem, stawali mi na drodze.

Nie zdarza się raczej, aby naszym najgorętszym pragnieniom nikt się nie sprzeciwiał: jedni nie chcą dopuścić, abyśmy uzyskali rzecz upragnioną, drudzy bronią jej przed nami zajadłe. Dlatego większość złych uczynków nasuwa się ludziom sama, pod złudnym pozorem konieczności; zły czyn popełniamy w gniewie, ze strachu albo powodowani szaleństwem — a później widzimy, że mogliśmy go uniknąć. Uczciwy środek, którego nie dostrzegaliśmy w zaślepieniu, jawi się przed nami łatwy i prosty; powiadamy sobie: czemuż uczyniłem to, a nie tamto właśnie? Was, kobiety, przeciwnie — bardzo rzadko dręczą wyrzuty sumienia, gdyż bardzo rzadko decyzja od was zależy; wasze nieszczęścia są prawie narzucone, wasze błędy wynikają niemal zawsze z cudzej winy.

— W każdym wypadku przyznasz pan, że jeśli popełniła błąd, to choć obciążał on tylko mnie, otrzymałam wczoraj surową karę.

— O biedna! — tu Villefort ujął jej rękę. — Zbyt surową, boś wczoraj dwa razy o mało nie zemdlała, a jednak...

— A jednak?...

— Powiedzieć ci muszę: uzbrój się w całą swoją odwagę, bo to jeszcze nie koniec.

— Na miłość boską — przeraziła się pani Danglars — a cóż czeka mnie jeszcze?

— Widzisz pani tylko przeszłość, a na pewno ona posępna. Owóż wyobraź sobie, że przyszłość będzie posępniejsza... straszna, o tym nie wątpię... i kto wie, czy nie krwawa.

Baronowa знаła spokój Villeforta — przeraziła się tedy jego podnieceniem tak bardzo, iż otworzyła usta, by krzyknąć, ale krzyk zamarł jej w gardle.

— Jakżeż odżyła ta okropna przeszłość?... — zawołał Villefort. — Jakże to było, że pogrzebany na dnię naszych serc i w grobie wstał niby widmo, abyśmy pobledli i aby rumieniec okrył nasze czoła?

— No cóż, to z pewnością przypadek...

— Przypadek? O, nie, nie, to nie przypadek!

— Ale czyż to wszystko nie jest dziełem przypadku? Przypadku, to prawda, fatalnego... Czyż nie przypadkiem hrabia de Monte Christo kupił ów dom? Czyż nie przypadkiem kazał rozkopać ziemię? Czyż wreszcie nie przypadkiem znaleziono pogrzebane pod drzewami to nieszczęsne dziecko? Biedne, niewinne stworzonko, którego nigdy nie pocałowałam, które oplakałam tak serdecznie! Ach! Myślałam, że serce wyrwie mi się z piersi, kiedy hrabia mówił o tym szkieleciku, nad którym rosły kwiaty.

— Otóż nie, proszę pani — ozwał się głucho Villefort — i to właśnie jest ta okropna rzecz, którą miałem ci powiedzieć; nie znaleziono żadnego szkieleciku, nie wykopano nic; nie trzeba płakać i lamentować: trzeba nam drzeć.

— Nie rozumiem! — zawołała pani Danglars dygocąc nerwowo.

— Hrabia Monte Christo nie znalazł w ziemi ani szkieleciku dziecięcego, ani okuć od kufierka, bo ich tam nie było.

— Nie było? — powtórzyła pani Danglars, utkwivszy w prokuratorze źrenice rozszerzone strachem.
— Nie było? — powtórzyła raz jeszcze, jak gdyby dźwiękiem głosu chciała utrwalić myśl, która mogłaby jej umknąć.

— Nie! — potwierdził Villefort, wspierając bezwładnie czoło na dłoniach. — Nie!...

— To pan nie pogrzebałeś tam biednego dziecięcia? I czemuż mnie było oszukiwać? W jakim celu? Mów!

— Ależ tak, właśnie tam go pogrzebałem. Wysłuchaj mnie pani, a użalisz się nade mną, bom przez lat dwadzieścia nosił bolesny ciężar, nie wspomniawszy ci o nim ani razu.

— O Boże! Przerażasz mnie pan! Ale mów, słucham.

— Pamiętasz, jak upłynęła ta noc okropna, kiedyś o mało nie skołała w tym czerwonym pokoju. Dysząc niemal tak ciężko jak pani, czekałem na twój połóg. Dziecko urodziło się: oddano mi je zeszywniałe i nieme; nie oddychało, myśleliśmy, że nie żyje.

Pani Danglars poderwała się nagle, jakby chciała uciekać. Villefort zatrzymał ją, składając ręce błagalnym gestem.

— Myśleliśmy, że nie żyje. Ułożyłem dziecko w skrzyneczce, która miała zastąpić mu trumnę, zszedłem do ogrodu, wykopałem dół i pogrzebałem je spieszenie.

Ledwie przysypałem skrzyneczkę ziemią, ramię Korsykańczyka wyciągnęło się ku mnie.

Wyrósł przede mną jakby cień i coś błysnęło.

Uczułem ból, chciałem krzyknąć, lodowaty dreszcz zmroził mi ciało i sparaliżował głos w gardle...

Padłem, sądząc, że umieram.

Nigdy nie zapomnę twojej szlachetnej odwagi: kiedy odzyskawszy przytomność powlokłem się ku schodom, zesłałaś i pomogłaś mi, sama ledwie żywa.

Musieliśmy ten straszliwy wypadek spowić mrokiem tajemnicy.

Okazałaś niezwykle hart; wróciłaś do domu pod opieką swojej starej niańki.

Ranę moją upozorowałem rzekomym pojedyńkiem.

Wbrew naszym obawom sekret się nie wydał.

Przewieziony do Wersalu, trzy miesiące walczyłem ze śmiercią.

Kiedy nastąpiło wyraźne polepszenie, zalecono mi powietrze i słońce Południa.

Czterech ludzi niosło mnie z Paryża do Chalon, robiąc po sześć mil dziennie. Moja żona jechała karetą za noszami.

W Chalon umieszczono mnie na statku podążającym Saoną, a dalej Rodanem, i tak dotarłem do Arles; statek nie rozwinął ani razu żagli, płynął z szybkością prądu; w Arles złożono mnie znów na noszach i przetransportowano do Marsylii.

Dziesięć miesięcy byłem rekonwalescentem.

Nie słyszałem już więcej o tobie, nie śmiałem się dowiadywać o twoje losy. Po powrocie do Paryża dowiedziałem się, że owdowiawszy poślubiłaś pana Danglarsa.

O czym myślałem, kiedyś stracił przytomność? Zawsze o jednym i tym samym: o zmarłym dziecku; widywałem je w snach każdej nocy — unosiło się nad otwartą mogiłą, grożąc mi spojrzeniem i gestem.

Wróciwszy do Paryża, zebrałem informacje: w domu nikt dotąd nie zamieszkał, ale wynajęto go właśnie na lat dziewięć.

Odnalazłem przysięgo lokatora, udałem wielkie zmartwienie, że dom ów należący do moich teściów, dostanie się w obce ręce. Zaproponowałem odszkodowanie, prosząc, by zerwano kontrakt dzierżawny.

Zażądano sześciu tysięcy franków — dałbym dziesięć, a nawet i dwadzieścia tysięcy.

Miałem tę sumę przy sobie — podsunąłem więc od razu lokatorowi akt zrzeczenia; podpisał go; zdobywszy tę upragnioną cesję, popędziłem co koń wyskoczy do Auteuil.

Od czasu jak opuściłem ów dom, nikt nie przestąpił jego progów.

Była piąta po południu; siadłem w czerwonym pokoju, czekając, aż zmrok zapadnie.

Obrazy, które widywałem przez rok, złożony ciężką niemocą, stanęły mi przed oczyma groźniejsze jeszcze.

Korsykańczyk, który zapowiedział mi vendettę, podążył za mną z Nimes do Paryża; on to ugodził mnie sztyletem, a ukrywając się w ogrodzie, był świadkiem, jak wykopałem dół i pogrzebałem dziecko; kto wie, czy i ciebie nie widział; może cię zapamiętał...

Kto wie, czy któregoś dnia nie każe ci zapłacić za dochowanie tego strasznego sekretu...

Kto wie, czy zadowoli się taką zemstą, dowiedziawszy się, że nie zginął od jego sztyletu...

Musiałem więc przede wszystkim i nie zważając na nic, zniszczyć wszelkie ślady przeszłości. I tak póki życia zachowałem je w pamięci.

Dlatego postarałem się, by unieważniono dzierżawę, i przybyłem tutaj.

Noc zapadła, czekałem, aż zmrok zgęstnieje na dobre.

Siedziałem po ciemku — czasami wiatr poruszał portiera; zdawało mi się wtedy, że czyha za nią szpieg.

Czasami wstrząsał mną dreszcz — wydawało mi się, że spoczywasz na łóżku i jęczysz; ale bałem się obejrzeć.

Słyszałem uderzenia własnego serca; biło tak gwałtownie, iż obawiałem się, by nie otworzyła się rana.

Wreszcie w ogrodach i na polach uciszyło się całkiem. Pojawszy, że już nie potrzebuję lękać się świadków, zdecydowałem się zejść.

Widzisz, Herminio, nie sądzę, abym nie dorównywał innym odwagą; kiedy jednak wydobyłem ów kluczyk od drzwi wiodących na schody, kluczyk, który nosiłem zawsze na piersi, kluczyk nasz ukochany, który chciałaś przyczepić do złotego kółeczka, kiedy otwarłem drzwi, kiedy na kręcone schody padła przez okno biała, widmowa poświata, przytrzymałem się ściany, żeby nie upaść, i o mało nie krzyknąłem; myślałem, że zwariuję.

Zapanowałem w końcu nad sobą.

Zszedłem wolno po schodach.

Kolana ugięły się przede mną, opanowane dziwnym drżeniem: nie mogłem tego przewyciężyć.

Wpiłem się palcami w poręcz — runąłbym w dół, gdybym puścił ją choć na chwilę.

Dotarłem do drzwi na parterze; znalazłem łopatę opartą o mur domu.

Miałem ze sobą ślepą latarkę; przystanąłem pośrodku trawnika, zapaliłem ją i skierowałem się dalej.

Było to pod koniec listopada. Znikła już zieleń, drzewa przypominały szkielety o długich kościstych rękach, pod nogami szeleścił piasek i zeschnięte liście.

Lęk tak ścisnął mi serce, że kiedy zbliżałem się do kępy drzew, dobyłem pistolet z kieszeni i odwiodłem kurki.

Zdawało mi się, że spomiędzy drzew zaraz wychyli się twarz Korsykańczyka.

Oświetliłem drzewa latarką — nie było tam nikogo.

Rozejrzałem się wokół — na pewno byłem sam; żaden szelest nie mącił nocnej ciszy i tylko sówka pokrzykiwała ostro i posępnie, jakby zwołując upiory.

Przywiązałem latarkę do rozwidlonej gałęzi, którą zauważyłem już przed rokiem, tam właśnie, gdzie zatrzymałem się wtedy, żeby wykopać dół.

W lecie wyrosła tu bujna trawa, a jesienią nikt jej nie skosił.

Ale zauważyłem miejsce rzadziej porośnięte murawą — tam oczywiście był grób.

Zabrałem się do dzieła.

Nadeszła owa godzina, na którą czekałem więcej niż rok!

Pracowałem, nie ominąwszy ani jednej piędzi, miejsce w miejsce sondowałem łopatą, spodziewając się, że natrafi na opór. Gdzie tam! A przecież wykopałem teraz dół dwa razy głębszy.

Myślałem, że się pomylił. Jałem się więc rozglądać, przypatrywać drzewom, szukać w pamięci szczegółów, co wtedy zwróciły moją uwagę.

Czoło ociekało mi potem, chociaż zimny wiatr północny świstał między nagimi gałęziami.

Przypomniałem sobie, że sztylet ugodził mnie, kiedy udeptywałem ziemię, aby zatrzeć ślady; czyniąc to, wsparłem się o hebanowiec; za mną był długi płaski głaz, służący tu za ławę; kiedy bowiem padałem, ręka moja puściła drzewo i otarła się o kamień. Pamiętam jego chłód.

Po prawej miałem tedy hebanowiec, a po lewej głaz.

Ułożyłem się więc w takiej samej pozycji, w jakiej wtedy padłem. Wstałem, zacząłem kopać dalej, poszerzając otwór. Ale kufeczek nie było!

— Nie było! — wyszeptała pani Danglars tak przerażona, że słowa zamierały jej w gardle.

— Nie myśl, że była to ostatnia próba. Gdzie tam! Kopałem wszędzie pomiędzy drzewami; mniemałem, że morderca wydobędzie kuferek, sądząc, że znajdzie w nim skarb, a nie znalazłszy, zakopał go w innym miejscu. Następnie przyszło mi na myśl, że nie fatygował się tak bardzo, a tylko rzucił kuferek w jakiś kąt. W takim wypadku musiałbym, aby podjąć poszukiwania, zaczekać, aż się rozwidni. Wróciłem więc do czerwonego do pokoju i czekałem.

— O Boże!

— Kiedy rozwidniło się, zszedłem znowu. Przetrasnąłem jeszcze raz kępę drzew, sądząc, że znajdę ślady, których nie dostrzegłem po ciemku. Skopałem ziemię na przestrzeni dwudziestu stóp kwadratowych, a na dwie stopy głęboko. Nie wiem, czy cały dzień starczyłby wyrobnikowi na to, czego ja dokonałem w godzinę. Ale nie znalazł absolutnie nic. Jąłem więc szukać kufereka po całym ogrodzie. Leżałby najpewniej przy dróżce wiodącej do furtki; ale i tu nic nie znalazłem. Ze ściśniętym sercem, utraciwszy już wszelką nadzieję, wróciłem do kępy drzew.

— Och! — zawołała pani Danglars. — Można było zwariować!

— Myślałem przez chwilę, że tak będzie, ale nie dostałem tego szczęścia; zebrałem jednak wszystkie siły, a więc i myśl zaczęła pracować: „Na cóż ten człowiek miałby zabierać trupka?” — zastanowiłem się.

— Przecież powiedziałeś pan: ażeby mieć dowód.

— E, nie; któż by przechowywał trupa cały rok? Pokazuje się go prokuratorowi, składa zeznanie. Otóż nie wydarzyło się nic takiego.

— A w takim razie?... — zagadnęła Herminia, drżąc na całym ciele.

— Stało się coś znacznie gorszego, bardziej dla nas fatalnego i niebezpiecznego: dziecicę żyło zapewne, a morderca je odratował.

Pani Danglars krzyknęła przeraźliwie — i chwytając Villeforta za rękę:

— Moje dziecko żyło! — rzekła. — Pogrzebałeś pan żywcem moje dziecko! Nie będąc pewnym, czy zmarło, pogrzebałeś je! Ach!...

Podniosła się zaciskając delikatnie palce wokół przegubów jego dłoni. I stała przed prokuratorem królewskim, grożąc mu niemal.

— Czy ja wiem... Może tak było, a może nie... — powiedział Villefort, a wzrok zaszedł mu szklawem; wskazywało to, że człowiek ów, jakże potężny, jest bliski szaleństwa albo czynu desperackiego.

— O moje dziecicę! Moje biedne dziecicę! — zawołała pani Danglars i osunąwszy się na krzesło, tłumiała szlochaniem gryząc chusteczkę.

Villefort oprzytomniał. Zorientował się, iż aby odwrócić burzę, co zbierała się nad jego głową, musi przyprawić panią Danglars o straszliwy lęk, który odczuwał sam.

— Rozumiesz więc pani — tu wstał i zbliżył się do baronowej, aby mówić szeptem — że jeśli tak było, jesteśmy zgubieni; dziecko żyje, a ktoś o tym wie, ktoś odkrył nasz sekret; skoro zaś Monte Christo powiada w naszej obecności, że wykopał szkielecek, którego nie było, Monte Christo zna naszą tajemnicę.

— O Boże! Boże sprawiedliwy! Boże pomsty! — szepnęła pani Danglars. Villefort westchnął ciężko.

— Ale to dziecicę? To dziecicę? Co się z nim stało? — pytała matka z uporem.

— Och! Ileż ja się go naszukałem! — odpowiedział Villefort załamując ręce. — Ileż razy przywoływałem je w długie bezsenne noce! Ileż razy pożądałem królewskich skarbów, aby kupić od miliona ludzi milion tajemnic i wśród nich wyszukać tę jedną. Na koniec, któregoś dnia, gdym kopał po raz setny, zastanowiłem się również po raz setny, co Korsykańczyk mógł zrobić z dzieciciną; dla kogoś, kto uciekać musi, dziecko to kłopotliwy ciężar; może, przekonawszy się, że dziecko żyje, wrzucił je do rzeki.

— To niemożliwe! — zawołała pani Danglars. — Można zamordować kogoś, powodując się zemstą, ale nikt z zimną krwią nie wrzuci dziecka do rzeki!

— Kto wie, czy nie umieścił malca w domu podrzutków...

— O tak, tak!... Moje dziecię jest tam!

— Pobiegłem do ochronki. Dowiedziałem się, że owej nocy, 20 września, podrzuciono dziecię spowite w cienką pieluszkę, przedartą umyślnie na pół. Na tym kawałku płótna była połowa baronowskiej korony i litera H.

— Tak, tak! Cała moja bielizna była znaczone w ten sposób. Nargonne był baronem, a mnie na imię Herminia. Dzięki ci, o Boże! Moje dziecko nie urodziło się martwe!

— Nie urodziło się martwe — powtórzył Villefort.

— I pan to mówisz, nie lękając się, czy nie umrę z radości? Gdzież ono? Gdzie moje dziecię?

Villefort wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Czy myślisz pani, że gdybym wiedział, kazałbym ci przejść te wszystkie gradacje, jak czyni powieściopisarz albo dramaturg? Nie wiem... niestety! Kiedy miało z pół roku, zjawiała się kobieta, okazała drugą połowę pieluszki i odebrała maleństwo. Dostarczyła dowód wymagany przez prawo, a więc oddano jej dziecię.

— Toć mogłeś dowiedzieć się pan, kto ona, odszukać ją!

— A czy pani przypuszczasz, że zajmował się czym innym? Upozorowałem śledztwo, policja rozesała swoich najsprytniejszych agentów. Znalaziono ślady — ale zaginęły one w Chalon.

— Zaginęły?

— A tak. Nic więcej nie dało się zrobić!

W trakcie tej rozmowy pani Danglars to popłakiwała, to wzdychała, to łkała.

— I to wszystko? — zagadnęła. — Poprzestaliście na tym?

— Nie, nigdy nie zaprzestałem poszukiwać, rozpytywać się, badać. Dopiero przed jakimi trzema laty zaniedbałem tę sprawę. Ale dziś rozpocznę znowu poszukiwania, z jeszcze większą niż dawniej wytrwałością i jeszcze zajadlej; i osiągnę, com postanowił, zapewniam panią; bo teraz bodźcem będzie mi nie tylko sumienie, lecz i trwoga.

— Wydaje mi się jednak, że hrabia Monte Christo nic nie wie; inaczej bowiem nie starałby się zawrzeć z nami tak serdecznych stosunków.

— O, złość ludzka to uczucie bardzo głębokie; sięga głębiej niż dobroć boża. Zauważyłaś to pani, z jakim wyrazem oczu hrabia mówił to wszystko?

— Nie.

— I nigdyś, pani, nie przyglądała mu się baczniej?

— Ależ tak. To oryginał i basta. Jedno tylko mnie uderzyło: w czasie tej wspaniałej uczty, którą nas fetował, nie zjadł ani kęsa.

— A tak, i ja to zauważyłem. Gdybym wiedział wczoraj to, co wiem dziś, nie tknąłbym również ani jednej potrawy; przypuszczałbym, że zamierza nas wytruć.

— E, pomyliłbyś się pan, wiesz doskonale.

— Tak, z pewnością, ale wierz mi, pani, że ten człowiek ma inne zamysły. Dlatego chciałem zobaczyć się z panią, dlatego poprosiłem o rozmowę, dlatego pragnę zabezpieczyć panią przed tym całym towarzystwem, a zwłaszcza przed hrabią. Powiedz mi pani jeszcze — tu Villefort przeszył baronową wzrokiem — czy wspominałaś komukolwiek o naszym romansie?

— Nigdy nikomu.

— Rozumiesz, pani — ozwał się ciepło — o co mi chodzi: nigdy nikomu na świecie, czy tak? Przebac, proszę, że nalegam...

— Ależ tak, rozumiem wybornie — tu baronowa oblała się rumieńcem. — Nigdy nikomu, przysięgam.

— A nie spisujesz pani wieczorami swoich wrażeń? Nie prowadzisz pani pamiętnika?

— Niestety nie! Życie moje upłynęło na głupstwach; sama już o nich zapominam.

— A nie mówisz pani przez sen?

— Śpię jak zabita. Nie pamiętasz?

Lico baronowej oblało się purpurą, a Villefort poblądł okropnie.

— To prawda... — rzekł ledwie dosłyszalnym szeptem.

— I co jeszcze? — zagadnęła baronowa.

— Ano wiem już, co mi czynić wypada. Nim tydzień minie, będę wiedział, kto zacz ten pan de Monte Christo, skąd się tu wziął i dlaczego mówi przy nas o dzieciach wykopywanych w ogrodzie.

Villefort wypowiedział te słowa takim tonem, że hrabia zdrząłby, gdyby je mógł usłyszeć.

Uścisnął rękę baronowej (pani Danglars podała mu ją bardzo niechętnie) i z szacunkiem odprowadził ją do drzwi.

Pani Danglars zawołała znów dorożkę i pojechała na drugi brzeg Sekwany. Tu czekała na nią jej karetka, stangret drzemał spokojnie na koźle.

30. BAL LETNI

Tegoż dnia, mniej więcej o tej samej porze, kiedy pani Danglars rozmawiała z prokuratorem królewskim, kolasa podróżna wjechała w bramę domu przy ulicy Helderskiej 27 i zatrzymała się na dziedzińcu.

Otworzył się drzwiczki i wysiadła pani de Morcerf wspierając się na ramieniu syna.

Odprowadziwszy matkę do jej apartamentu, Albert wykapał się, przebrał, zawołał o konie i pojechał na Pola Elizejskie do hrabiego Monte Christo.

Hrabia powitał go ze zwykłym sobie uśmiechem.

Rzecz osobliwa: w znajomości z tym człowiekiem niepodobna było przekroczyć pewnej ściśle wytyczonej przezeń granicy.

Ktokolwiek próbował zaprzyjaźnić się z nim serdecznie, natrafiał na mur nie do przebycia.

Morcerf biegł ku niemu, wyciągnawszy ramiona — lecz musiał je opuścić, chociaż hrabia uśmiechał się przyjaźnie, i zaledwie ośmielił się podać mu rękę.

A Monte Christo dotknął, jak zawsze, jego dłoni, lecz jej nie uścisnął.

— A więc już jestem, kochany hrabio.

— Cieszę się niezmiernie.

— Przyjechałem godzinę temu.

— Z Dieppe?

— Nie, z Tréport.

— A, rzeczywiście.

— I nie zwlekając stawiam się u pana.

— Nadzwyczaj to miło z pańskiej strony — odpowiedział gospodarz tonem zdawkowo uprzejmym.

— No i co nowego?

— Pytasz pan o to mnie, cudzoziemca?

— Chciałem się dowiedzieć, czy zrobiłeś pan coś dla mnie.

— Czyżbyś pan prosił mnie o coś przed wyjazdem? — odparł Monte Christo, udając zaniepokojenie.

— No, no, nie udawaj pan, żeś o mnie zapomniał. Istnieją znaki sympatyczne, które otrzymujemy bez względu na przestrzeń: owóż w Tréport otrzymałem taki sygnał elektryczny; uczyniłeś pan coś dla mnie, a przynajmniej o mnie myślałeś.

— Możliwe. Owszem, myślałem o panu; ale prąd magnetyczny, któremu posłużyłem za przewodnik, działał, przyznam się, pomimo mojej woli.

— Doprawdy? Niechże mi pan to opowie. Bardzo proszę.

— E, to proste. Pan Danglars był u mnie na obiedzie.

— Wiem o tym. Przecież dla tej przyczyny wyjechaliśmy z matką.

— Ale był też u mnie pan Andrea Cavalcanti.

— Ten włoski książę?

— Nie przesadzajmy. Pan Andrea mieni się tylko wicehrabią.

— Mówisz pan, że mieni się tylko?

— No tak.

— A więc nim nie jest?

— Licho go wie. Mieni się tak, ja go tak nazywam, inni też; a to już prawie jakby nim był.

— Nie widziałem jeszcze takiego oryginała jak pan. I co dalej?

— Jak to, co dalej?

— To pan Danglars był u pana na obiedzie?

— Był.

— Razem z tym pańskim wicehrabią?

— Z wicehrabią Cavalcanti i z margrabią, jego ojcem; z panią Danglars i z państwem de Villefort —' czarujący ludzie; z panem Debray i z panem Maksymilianem Morrel... Był jeszcze... zaraz, zaraz... jakże mu tam... aha!... pan de Château-Renaud.

— Mówiono o mnie?

— Nikt nie wspomniał.

— Tym gorzej.

— Czemuż to? Zdaje mi się, że pragnąłeś pan, aby zapomniano o tobie.

— Drogi hrabio, jeśli nie mówiono, to znaczy, że wiele myślano, a w takim razie jestem w rozpacz.

— A cóż to panu szkodzi, skoro nie było między nimi panny Danglars? A, prawda, mogła myśleć o panu u siebie w domu.

— O, tu jestem całkiem spokojny: jeśli nawet o mnie myślała, to z pewnością w taki sam sposób, w jaki ja myślę o niej.

— Wzruszające! A więc nienawidzicie się wzajem?

— Proszę pana, gdyby panna Eugenia była zdolna ulitować się męczarni, jaką rzekomo cierpię dla niej, nagradzając mnie poza ramami ślubnej intercyzy, którą uplanowały nasze dwa rody, nie posiadałbym się z radości. Krótko mówiąc, uważam, że panna Danglars byłaby uroczą kochanką; ale żoną... niech to diabli...

— Tak to — roześmiał się hrabia — myślisz pan o swojej przyszłej małżonce?

— No cóż, wyraziłem się w sposób nieco dosadny, ale przynajmniej dokładnie. Skoro więc niepodobna, by ziściło się to marzenie, skoro, żeby osiągnąć wiadomy cel, musiałbym poślubić pannę Danglars, ogarnia mnie przerażenie, gdyż mieszkałaby ze mną, myślałaby przy mnie, śpiewałaby w mojej obecności, komponowała wiersze i muzykę o dziesięć kroków ode mnie, i tak póki życia. Kochankę, drogi hrabio, można porzucić, a żony, psiakrew, nie! Żona to mebel na całą wieczność, wszystko jedno czy jest bliżej nas, czy dalej. A posiąść pannę Danglars na wieki to straszne, choćby nawet udało się ją oddalić.

— Niełatwo panu dogodzić.

— O tak, bo czasem pragnę czegoś nieosiągalnego.

— Czegóż to?

— Pragnę znaleźć taką kobietę, jaką znalazł mój ojciec.

Monte Christo zbladł i spojrzał na Alberta. Bawił się akurat parą przepysznych pistoletów — odwiódł kurki z taką mocą, że zaskrzyptały sprężyny.

— To pański ojciec miał aż takie szczęście? — zagadnął.

— Wie pan hrabia, co myślę o mojej matce: to anioł w ludzkim ciele; piękna, dowcipna i niezrównanej dobroci. Przyjechałem z Tréport. W moim wieku synowie towarzyszą matkom przez uprzejmość albo odrabiając pańszczyznę. A ja, spędziwszy z nią cztery dni, radowałem się, wypoczywałem, otoczony atmosferą poezji, jakbym zawiódł nad morze królową Mab albo Tytanię.

— Doskonałość taka przywodzi do rozpacz: ten, co pana usłyszy, pozostanie na zawsze starym kawalerem.

— Otóż wiedząc, że istnieje na świecie kobieta doskonała, nie kwapię się poślubić panny Danglars. Gzy zauważyłeś pan, że w egoizmie swoim oblekamy w świetne kolory to wszystko, co do nas należy? Diament, co iskrzy się na wystawie u Marlego albo Fossina, iskrzy się jeszcze bardziej od chwili, gdy stanie się naszym diamentem; ale, pojmujesz pan, jak cierpimy, widząc, że istnieje inny diament, czystszej wody niż ten, który musimy nosić przez całe życie.

— O próżności światowa! — szepnął hrabia.

— Oto dlaczego będę skakał z radości tego dnia, kiedy panna Danglars spostrzeże się, że jest tylko marnym atomem i że daleko moim tysiącom do jej milionów.

Monte Christo uśmiechnął się.

— Myślałem wiele o czym innym — ciągnął Albert. — Franz lubi uczucia ekscentryczne, robiłem więc, co mogłem, żeby zakochał się w pannie Danglars; ale, choć napisałem do niego cztery listy nader kuszące, odpowiadał mi niezmiennie: „Jestem ekscentryczny, to prawda, ale żadna siła mnie nie skłoni, bym złamał dane słowo”. — Oto co nazywam prawdziwym poświęceniem, do jakiego przyjaźń jest zdolna: oddać komuś kobietę, którą chciałoby się mieć za kochankę.

Albert uśmiechnął się.

— Franz wraca lada dzień — rzekł — ale to pana chyba nie interesuje, bo nie wydaje mi się, żebyś go lubił.

— Ja? — zdziwił się Monte Christo. — Z czegoż to wniosłeś, drogi panie Albercie? Lubię każdego.

— A więc i mnie na równi z innymi... dziękuję...

— E, nie upraszczajmy; miłuję wszystkich wedle przykazania bożego, to znaczy po chrześcijańsku, a nienawidzę tylko paru osób. Powiadasz pan, że pan Franz d'Epinau powraca?

— Tak, na wezwanie pana de Villefort. Prokurator podobno gorączkuje się, żeby wydać za mąż pannę Walentynę, jak pan Danglars gorączkuje się, aby wydać pannę Eugenię. Stanowczo, zdaje się, że być ojcem dorosłej córki to rzecz nader męcząca; dostaje się od tego gorączki, puls bije dziewięćdziesiąt razy na minutę, dopóki panna jest w domu.

— Ale pan d'Epinau nie jest podobny do pana; cierpi, lecz bierze na cierpliwość.

— Gorzej, bierze sprawę na serio; nosi białe krawatki i opowiada już o swojej rodzinie. Bardzo zresztą szanuje Villefortów.

— Bo zasługują na to, nieprawdaż?

— Chyba tak. Pan de Villefort uchodzi za człowieka surowych zasad, ale sprawiedliwego.

— A to świetnie. Jeden przynajmniej, o którym nie wyrażasz się pan tak, jak o tym biednym panu Danglarsie.

— Pewnie dlatego, że muszę ożenić się z jego córką — roześmiał się Albert.

— Pyszałkowatość pańska jest doprawdy oburzająca.

— Moja?

— Tak, pańska; ale weź pan cygaro.

— Chętnie. I czemuż to jestem pyszałkiem?

— Bronisz się pan i miotasz, żeby nie poślubić panny Danglars; pozostaw pan rzeczy własnemu ich biegowi, a może nie będziesz pan tym, który wycofa się pierwszy.

— Co takiego? — Albert wytrzeszczył oczy z wielkiego zdumienia.

— Ależ tak, mój panie, nie popędzą pana batem do ołtarza! Mówiąc serio — rzekł już innym tonem Monte Christo — czy masz pan ochotę zerwać?

— Dałbym za to sto tysięcy.

— No to raduj się pan: pan Danglars jest gotów dać na ten cel dwa razy tyle.

— Nie mogę uwierzyć w swoje szczęście — powiedział Albert, a jednak zachmurzył się z lekka. — A czymże, drogi hrabio, pan Danglars to motywuje?

— A mam cię, pyszałku, mam cię, egoisto! Porąbałbyś pan cudzą ambicję siekierą, ale nie w smak ci, jeśli ktoś pańską ambicję nakłuje szpileczką.

— E, nie o to chodzi... zdaje mi się, że pan Danglars...

— Powinien pana nosić na rękach, nieprawdaż? Ale pan Danglars, nie odznaczający się dobrym gustem, jak ogólnie wiadomo, ma teraz jeszcze większą ochotę ponosić na rękach kogo innego...

— Kogóż to?

— A czy ja wiem? Obserwuj pan, przypatruj się, chwytaj ulotne słowa i staraj się wyciągać wnioski.

— Dobrze, zrozumiałem. Wie pan, moja matka... nie! pomyliłem się: ojciec zamierza wydać bal.

— Bal o tej porze roku?

— Letnie bale są w modzie.

— Choćby nawet nie były, pani hrabina wprowadziłaby je w modę, gdyby zechciała.

— Chyba tak. Domyślasz się pan, że to bale w całym znaczeniu tego słowa: tylko bowiem najprawdziwsi paryżanie zostają w naszym Paryżu na lipiec. Nie zechciałbyś pan w naszym imieniu poprosić panów Cavalcanti?

— A kiedy ten bal?

— W sobotę.

— Starszego pana Cavalcanti już tu nie będzie.

— Ale pan Andrea pozostaje. Nie byłbyś pan łaskaw go przyprowadzić?

— Ależ ja go nie znam.

— Nie znasz go pan?

— Widziałem go pierwszy raz na oczy parę dni temu, nie mogę za nic odpowiadać.

— Z tym wszystkim przyjmujesz go pan u siebie.

— To inna sprawa. Polecił mi go pewien zacny kapłan, ale przecież i jego mogli wprowadzić w błąd. Wyślij mu pan zaproszenie, nic nie będę miał przeciwko temu — ale przedstawiać go u państwa: nie. Gdyby poślubił pannę Eugenię, mógłbyś mnie pan oskarżyć o machinacje, krew by się połała między nami; a zresztą sam nie wiem, czy będę...

— Gdzie?

— Na balu u państwa.

— A dlaczegoż miałbyś pan nie być?

— Przede wszystkim dlatego, żeś mnie pan jeszcze nie zaprosił.

— Po tom tu przyszedł, żeby zaprosić pana.

— Aż nazbyt to miło z pańskiej strony, ale nie wiem jeszcze, czy mi co nie przeszkodzi.

— Powiem panu jedną rzecz, a wtedy na pewno usuniesz pan wszelkie przeszkody.

— Słucham.

— Zapraszam pana w imieniu mojej matki.

— Pani hrabiny de Morcerf? — powiedział drżąc Monte Christo.

— Zapewniam pana, kochany hrabio, że matka mówi ze mną szczerze; i jeśli nie dotarli do pana te sygnały sympatii, o których wspomniałem, widać nie ma w pańskiej duszy odpowiednich strun, bo cztery dni gawędziliśmy wyłącznie o panu.

— O mnie? Doprawdy? Zbyt państwo jesteście łaskawi.

— No, to już przywilej kogoś, kto jest żyjącym problemem.

— Ach, więc jestem problemem i dla pańskiej matki? Nadzwyczajne! Sądziłem, że jest nazbyt trzeźwa, aby do tego stopnia ulegać imaginacji.

— Ależ, drogi hrabio, jesteś problemem dla wszystkich, nie tylko dla mojej matki — problemem uznanym, lecz nie rozwiązanym; pozostajesz pan nadal zagadką, bądź pan spokojny. Moja matka głowi się ustawicznie, jakim cudem zachowałeś pan młodość. Zdaje mi się, że w gruncie rzeczy matka uważa pana za Cagliostro albo za hrabiego de Saint-Germain, tak samo jak hrabina G... dopatrywała się w panu cech lorda Ruthwena. Za pierwszym widzeniem powinienes pan utwierdzić moją matkę w tej opinii. Nie sprawi to panu trudności: posiadasz przecież kamień filozoficzny Cagliostro, a błyszczysz pan inteligencją niczym hrabia Saint-Germain.

— Dziękuję, żeś mnie pan uprzedził — uśmiechnął się hrabia — postaram się tych domniemań nie zawieść.

— A więc będziesz pan w sobotę?

— Skoro zaprasza mnie pańska matka...

— Przemiły pan jesteś.

— A pan Danglars będzie?

— O tak, ojciec prosił go już parokroć. Postaramy się też ściągnąć znakomitego i uczonego pana de Villefort; ale wielkiej nadziei nie mamy.

— Nie należy nigdy tracić nadziei, powiada przysłowie.

— Czy drogi pan hrabia tańczy?

— Ja?

— No tak, pan. A cóż by było w tym dziwnego?

— Właściwie racja... póki się nie przekroczyło czterdziestki... Nie, nie tańczę, ale lubię przyglądać się, jak inni tańczą. A pańska matka tańczy?

— Nie, nigdy nie tańczyła. Nagadacie się państwo do woli, gdyż matka marzy o pogawędce z panem.

— Naprawdę?

— Daję słowo. I zapewniam pana, że nie widziałem jeszcze, żeby matka tak kimś się interesowała. Albert wziął cylinder i wstał — hrabia odprowadził go do drzwi.

— Wyrzucam sobie jedno — ozwał się, zatrzymując jeszcze gościa na ganku.

— Cóż takiego?

— Niedyskrecję. Nie powinienem był panu mówić takich rzeczy o panu Danglars.

— Przeciwnie: powinienem mi pan mówić o nim rzeczy tego rodzaju, jak najczęściej i w taki sam sposób.

— To i dobrze. Uspokoileś mnie pan. I jeszcze jedno: kiedy wraca pan d'Epina?

— Najdalej za tydzień.

— A kiedy ślub?

— Jak tylko przyjadą państwo de Saint-Méran.

— Przyrowadź go pan do mnie, jak będzie w Paryżu. Choć utrzymujesz, że pana d'Epina nie lubię, rad go zobaczę.

— Spełnię rozkazy twoje, o panie.

— Do widzenia.

— Do soboty. Liczę, że nie zrobisz pan nam zawodu.

— Ależ skąd! Słowo się rzekło.

Hrabia popatrzył za odchodzącym i kiwnął mu jeszcze ręką na pożegnanie. A kiedy młodzieniec usadowił się w swoim faetonku, obejrzał się. Bertuccio stał za nim.

— No i co? — zagadnął.

— Była w sądzie — oznajmił intendent.

— Długo?

— Półtorej godziny.

— A potem wróciła do domu?

— Tak, prosto do domu.

— W takim razie, mój drogi panie Bertuccio, radzę ci, żebyś teraz poszukał tego mająteczku w Normandii, o' czym ci już kiedyś mówiłem.

Bertuccio skłonił się, a że rozkaz to był wymarzony, wieczorem puścił się w drogę.

31. INFORMACJE

Pan de Villefort dotrzymał słowa danego pani Danglars, a zwłaszcza dotrzymał go sobie — starając się wykryć, w jaki sposób hrabia de Monte Christo mógł się dowiedzieć historii domu w Auteuil.

Tegoż jeszcze dnia napisał do niejakiego pana de Boville — był to dawny inspektor więzień sprawujący obecnie wysoki urząd w policji bezpieczeństwa — zwracając się o informacje. Pan de Boville odpowiedział, że na zebranie możliwie dokładnych wiadomości trzeba, mu dwóch dni.

Trzeciego dnia pan de Villefort otrzymał następującą notatkę:

Osobnik mieniący się hrabią de Monte Christo znany jest najlepiej lordowi Wilmore, bogatemu cudzoziemcowi, który czasem odwiedza Paryż i przebywa tu w chwili obecnej, oraz księdzu Busoniemu, Sycylijczykowi, słynącemu na Wschodzie dla swojego wyjątkowego miłosierdzia.

Pan de Villefort kazał tedy zebrać o tych dwóch cudzoziemcach informacje jak najszybciej i jak najdokładniejsze; rozkaz wykonano już następnego wieczora; oto czego się dowiedział:

Ksiądz przyjechał do Paryża tylko na miesiąc i zamieszkał w jednopiętrowej kamieniczce za kościołem Świętego Sulpicjusza; są tam cztery pokoje — dwa na dole i dwa na górze — a ksiądz jest jedynym lokatorem. Na parterze mieści się jadalnia; meble są w niej orzechowe: stół, krzesła i

kredens; przylega do niej biały salon z boazerią pozbawiony wszelkich ozdób, zegara czy kobierca. Widać ksiądz ograniczył się do przedmiotów i mebli najkonieczniejszych.

Przebywał najchętniej w salonie pierwszego piętra.

Salon ten, a właściwie biblioteka, zavalony był dziełami teologicznymi i starymi pergaminami, w których — jak oznajmił lokaj — ksiądz zagrzebywał się na całe miesiące.

Ów lokaj oglądał odwiedzających poprzez okieneczko w drzwiach, a nieznanym lub natrętom powiadał, że ksiądz wyjechał z Paryża — i wielu kontentowało się tym oświadczeniem, wiedzano bowiem, iż ksiądz bawił nieraz długo w podróży.

Ale gdziekolwiek by przebywał — w Paryżu czy w Kairze — lokaj zawsze rozdzielał w imieniu pana, przez owo okienko, hojną jałmużnę.

Do biblioteki przylegała sypialnia. Łóżko bez kotar, cztery fotele, klęcznik i żółta pluszowa kanapa stanowiły tu całe umeblowanie.

Lord Wilmore mieszkał na ulicy Fontaine-Saint-Georges.

Zaliczał się do owych Anglików turystów, którzy całą swoją fortunę przejadają w podróżach.

Wynajmował apartament umeblowany, do którego zaglądał co dzień za ledwie na kilka godzin i gdzie nocował rzadko.

Miał rozmaite manie — między innymi za nic w świecie nie chciał mówić po francusku, choć, jak zapewniano, pisał w tym języku całkiem poprawnie.

Minął jeszcze jeden dzień. Na rogu ulicy Ferou zatrzymał się powóz, wysiadł zeń jakiś mężczyzna, zastukał do drzwi malowanych na kolor oliwkowy i zapytał o księdza Busoniego.

— Ksiądz dobrodziej wyszedł z samego rana — oznajmił lokaj.

— Nie zadowolę się tą odpowiedzią — odparł nieznanomy — bo przysłał mnie tu ktoś, dla kogo każdy musi być w domu. Ale w takim razie proszę doręczyć to księdzu Busoniemu.

— Powiedziałem panu, że księdza nie ma.

— Więc jak wróci, doręczycie mu tę kartkę i tę zapieczętowaną kopertę. Zastanę go o ósmej wieczór?

— O, na pewno, proszę pana, chyba żeby ksiądz dobrodziej pracował, bo w takim wypadku to tak samo, jakby go nie było.

— Będę tu więc o ósmej — rzekł nieznanomy. I odszedł.

Rzeczywiście powrócił o ósmej tym samym powozem, ale nie zatrzymał się na rogu, tylko przed drzwiami.

Zastukał, otworzono mu, wszedł.

Z szacunku, jaki okazał mu lokaj, wniósł, że list zrobił swoje.

— Ksiądz w domu? — zagadnął.

— Tak, pracuje w bibliotece, ale czeka na pana.

Gość wszedł na dość strome schody. Pokój tonął w mroku. Przy stole, na który padało światło lampy osłoniętej szeroką umbrellą, siedział ksiądz. Miał na głowie kaptur, jakich używali ongi, w średniowieczu, uczeni mnisi.

— Czy mam honor z księdzem Busonim? — zapytał obcy.

— Tak, proszę pana. A czy pan jest wysłannikiem pana de Boville, eks-intendenta więzień, który skierował tu pana w imieniu prefekta policji?

— Tak, proszę księdza.

— Jednym z wyższych agentów paryskiego bezpieczeństwa?

— Tak, proszę księdza — tu nieznanomy zawahał się jakby, a przede wszystkim nieco zarumienił.

Ksiądz poprawił ogromne okulary, które zasłaniały mu nie tylko oczy, lecz i skronie — i siadając wskazał krzesło gościowi.

— Słucham pana — ozwał się z najwyraźniejszym akcentem włoskim.

— Misja, którą mi poruczono, proszę księdza — mówił agent, kładąc taki nacisk na każde słowo, iż wydobywały mu się z ust jakby z trudem — to misja poufna, a więc obowiązuje nas obu jak najściślejsza dyskrecja.

Duchowny skłonił się.

— Pan prefekt policji — mówił dalej nieznajomy — tak wybornie zna uczciwość księdza dobrodzieja, że pragnie dowiedzieć się z urzędu o pewnej sprawie interesującej bezpieczeństwo publiczne, którego jestem wysłannikiem. Spodziewam się więc, że w rozmowie naszej nie będzie się ksiądz powodował żadnymi względami przyjaźni czy też prostej znajomości, względami, które skłoniłyby księdza dobrodzieja do ukrycia prawdy przed sprawiedliwością.

— Owszem, byle tylko to, czego panowie chcecie się dowiedzieć, nie kolidowało w jakikolwiek sposób z moim sumieniem. Jestem, mój panie, księdzem, i na przykład tajemnica spowiedzi winna pozostać między mną i sprawiedliwością bożą, a nie mną i sprawiedliwością ludzką.

— O, niech ksiądz dobrodziej będzie spokojny, nie zamierzamy pytać o nic, co miałyby jakikolwiek związek z obowiązkami kapłańskimi.

Na te słowa ksiądz dotknął umbrelli tak, iż całe światło lampy padło na twarz agenta. Sam pozostał nadal w cieniu.

— Bardzo księdza przepraszam, ale ten blask okropnie razi mnie w oczy.

Ksiądz obniżył zielony karton.

— A teraz słucham pana — rzekł.

— Przystępuję więc do rzeczy. Czy ksiądz zna pana hrabiego de Monte Christo?

— Czy masz pan na myśli pana Zaccone?

— Zaccone?!... To on nie nazywa się Monte Christo?

— Monte Christo to nazwa majątku, a raczej skały, lecz nie nazwisko rodowe.

— Ach nie spierajmy się o słowa, skoro pan de Monte Christo i pan Zaccone to jedna i ta sama osoba...

— Z pewnością jedna i ta sama.

— Mówmy o panu Zaccone.

— Proszę.

— Czy ksiądz go zna?

— Doskonale.

— Któż to taki?

— Syn bogatego armatora z Malty.

— Wiem; takie o nim chodzą pogłoski; ale rozumie ksiądz, że policja nie może zadowolić się pogłoskami.

— A jednak — tu ksiądz uśmiechnął się mile — owe pogłoski to prawda; wszystkim one muszą wystarczyć, a więc i policji.

— Czy ksiądz jest pewien tego, co mówi?

— Jak to, czy jestem pewien?

— Podkreślam, że nie kwestionuję tu w niczym dobrej wiary księdza. Pytam tylko: czy ksiądz jest pewien?

— Ależ, mój panie, znałem jego ojca. — Ach tak!

— A z synem bawiliśmy się, kiedyśmy byli mali, w stocznich pana Zaccone.

— Więc skądże ten tytuł hrabiowski?

— To pan nie wiesz, że można go kupić?

— We Włoszech?

— Na całym świecie.

— A te bogactwa, podobno niezmiernie...

— A tak, niezmiernie, toś pan trafnie powiedział.

— Ileż więc on posiada?

— Na pewno jakie sto pięćdziesiąt, a może i dwieście tysięcy liwrow renty.

— No tak, to wiarogodne... bo powiadają o trzech, a nawet czterech milionach!

— Czteromilionowy kapitał daje, mój panie, akurat dwieście tysięcy liwrow renty.

— Ależ mówiono o trzech albo i czterech milionach samej renty.

— E, to bajki.

- Zna ksiądz tę wyspę Monte Christo?
- Zna ją każdy, kto przybył morzem do Francji z Palermo, Neapolu czy Rzymu. Widać ją ze statku.
- Podobno ma tam czarodziejską rezydencję?
- To goła skała.
- Na cóż więc kupił tę skałę?
- Po to właśnie, żeby być hrabią. We Włoszech każdy hrabia musi mieć jakieś hrabstwo.
- Czy nie słyszał ksiądz, co pan Zaccone porabiał w młodości?
- Stary Zaccone?
- Nie, młody.
- Tu właśnie słabo jestem poinformowany. Straciłem go wtedy z oczu.
- Był na wojnie?
- Zdaje się, że służył w wojsku.
- W jakiej broni?
- W marynarce.
- A czy ksiądz nie jest jego spowiednikiem?
- Nie, mój panie. Chyba nawet to luteranin.
- Luteranin?
- Powiedziałem „chyba”; nie twierdzę na pewno. Ale myślałem zawsze, że we Francji panuje wolność wyznania.
- Oczywiście. Toteż zajmujemy się w tej chwili nie jego wyznaniem, ale postępkami; w imieniu pana prefekta policji wzywam księdza, abyś mówił, co wiesz.
- Uchodzi za człowieka nader miłosiernego. Ojciec Święty mianował go rycerzem Chrystusa, fawor rzadki, przyznawany tylko księżętom; otrzymał go za znamienite zasługi, jakie oddał chrześcijanom na Wschodzie. Ma też kilka co najwyższych orderów, bo wyświadczył rozmaite przysługi temu lub owemu władcy czy też państwu.
- I nosi te ordery?
- Nie, ale szczyli się nimi. Powiada, że woli nagrody przyznawane dobroczyńcom ludzkości, a nie jej mordercom.
- To jakiś kwakier.
- Otóż to właśnie. Tylko że nie nosi wielkiego kapelusza i piernikowego surduta.
- Czy ma przyjaciół?
- Tak ma przyjaciół we wszystkich swoich znajomych. —Ale chyba ma i wrogów?
- Tylko jednego.
- Któż to taki?
- Lord Wilmore.
- Gdzie mieszka?
- Obecnie w Paryżu.
- Czy mógłby udzielić mi informacji?
- Tak, i to cennych. Był w Indiach w tymże czasie, co i Zaccone.
- A gdzie mieszka?
- Gdzieś w okolicach Chaussée-d'Antin, ale nie wiem, na jakiej ulicy i pod którym numerem.
- Nie jest ksiądz w dobrych stosunkach z tym Anglikiem?
- Lubię Zacconego, a on go nienawidzi, dlatego stosunki między nami są oziębłe.
- Czy zdaniem księdza dobrodzieja hrabia de Monte Christo był już kiedyś we Francji, nim zjawił się teraz w Paryżu?
- A, tu mogę udzielić panu ścisłych informacji. Hrabia jest w Paryżu po raz pierwszy, gdyż pół roku temu zasięgał u mnie pewnych rad, a dotyczyły one właśnie tej podróży. Ze swej strony, nie wiedząc, kiedy wrócić do Paryża, przysłałem hrabiemu pana Cavalcantiego.
- Andree?
- Nie, Bartolomea, ojca.

— Wybornie. Spytam jeszcze o jedno, zaklinając na honor, ludzkość i religię, aby ksiądz odpowiedział szczerze.

— Proszę, niech pan pyta.

— Czy ksiądz wie, w jakim celu pan hrabia de Monte Christo nabył dom w Auteuil?

— A tak; mówił mi o tym.

— I jakież to cel, proszę księdza?

— Hrabia zamierza ufundować szpital dla umysłowo chorych, podobny do tego, jaki baron Pisani założył w Palermo. Znasz pan ten zakład?

— Owszem, ze słyszenia.

— Wspaniała instytucja.

Tu ksiądz skłonił się agentowi, dając mu do zrozumienia, że pragnie podjąć przerwana pracę.

Pojawwszy ów gest, a może wypytawszy się o wszystko, agent wstał. Ksiądz odprowadził go do drzwi.

— Rozdziela ksiądz hojne jałmużny — ozwał się agent na pożegnanie — ale choć mówią, że ksiądz jest bogaty, ośmielę się złożyć jakiś datek na biednych; czy ksiądz raczy przyjąć moją ofiarę?

— Dziękuję panu; mam jedną jedyną ambicję: aby jałmużna pochodziła li tylko ode mnie.

— A jednak...

— Nigdy nie odstępuję od tej zasady. Ale poszukaj pan, a znajdziesz. Niestety! Każdy człowiek zamożny ociera się o tak wielką nędzę...

Ksiądz skłonił się po raz ostatni i otworzył drzwi. Agent skłonił się także i wyszedł. Pojechał prosto do pana de Villefort.

Po godzinie udał się tym samym powozem na ulicę Fontaine-Saint-Georges. Zatrzymał się przed numerem trzecim. Mieszkał tu lord Wilmore.

Agent napisał był do lorda Wilmore, prosząc o rozmowę, ten zaś wyznaczył ją na godzinę dziesiątą.

Wysłannik pana prefekta policji, zjawiwszy się dziesięć minut wcześniej, dowiedział się, że lord Wilmore jeszcze nie wrócił — ale jako wcielenie punktualności stawi się na pewno z uderzeniem godziny dziesiątej.

Agent czekał w salonie.

Nie było tu nic osobliwego: banalny salon, jaki wynajmuje się lokatorom.

Na kominku dwa nowoczesne sewrskie wazony i zegar z amorem napinającym łuk; nad kominkiem zwierciadło złożone z dwóch tafel, po obu stronach lustra — ryciny: na jednej Homer niosący swojego przewodnika, na drugiej Belizariusz proszący o jałmużnę.

Szara tapeta, meble obite czerwonym sukniem w czarny, drukowany wzór.

Taki był salon lorda Wilmore.

Dwie kule z matowego szkła sączyły słabe światło — jakby ze względu na zmęczone oczy wysłannika prefektury.

Po dziesięciu minutach zegar zaczął dzwonić dziesiątą.

Przy piątym uderzeniu otworzyły się drzwi i stanął w nich lord Wilmore.

Był raczej wysoki, płeć miał bladą, faworyty rude i rzadkie, włosy jasne, przyprószone siwizną.

Był, jak to Anglik, odziany ekscentrycznie: miał na sobie granatowy frak ze złotymi guzami i wysokim pikowanym kołnierzem, modny w roku 1811; białą kaźmirową kamizelkę; pantalonki nankinowe, o trzy cale za krótkie, nie uciekały pod kolana dzięki strzemiączkom z tejże materii.

Oświadczył z miejsca:

— Trzeba panu wiedzieć, że nie mówię po francusku.

— Wiadomo mi raczej, że nie lubisz pan mówić naszym językiem — odparł wysłannik pana prefekta policji.

— Ale pan możesz mówić po francusku, bo rozumiem wasz język, choć nim nie władam.

— Za to ja — ozwał się agent po angielsku — władam dość biegle pańskim językiem, toteż będziemy mogli przeprowadzić rozmowę. Niechże się pan więc nie kłopotuje.

— Ooo! — zawołał lord Wilmore z akcentem właściwym tylko rodowitemu synowi Albionu.

Agent podał lordowi list od prefekta policji.

Anglik przeczytał go z istic angielską flegmą, a skończywszy rzekł:

— Rozumiem, rozumiem doskonale. Zaczęły się tedy pytania.

Agent wypytywał Wilmore'a o to samo mniej więcej, co i księdza.

Ale będąc wrogiem Monte Christo lord Wilmore odpowiadał nie tak powściągliwie, ale znacznie obszerniej.

Odmalował młodość hrabiego. Monte Christo miał jakoby już od dziesiątego roku życia służyć jednemu z indyjskich książątek walczących z Anglikami; Wilmore spotkał go po raz pierwszy w Indiach — byli wtedy w dwóch przeciwnych obozach.

Podczas wojny dostał się do niewoli. Wysłany do Anglii uciekł z okrętu dla jeńców i dopłynął do brzegu.

Wtedy zaczęły się jego podróże, pojedynki, miłostki.

Kiedy wybuchło powstanie w Grecji, służył w greckich szeregach. Wtedy również odkrył żyłę srebra w górach Tesalii — lecz nie wyjawiał tego nikomu.

Po bitwie pod Neo-Castro, kiedy rząd się ustalił, poprosił króla Ottona

o przywilej, który pozwoliłby mu eksploatować rzeczoną kopalnię; przywilej ów otrzymał.

Stąd olbrzymia fortuna. Monte Christo miał, według lorda Wilmore, do dwóch milionów dochodu — niemniej dochody mogły się urwać, bo złoża srebra nie były niewyczerpane.

— Ale czy nie wie pan, po co przyjechał do Francji? — zapytał agent.

— Żeby spekulować na kolejach żelaznych; następnie, jako doskonały chemik i nie mniej wybitny fizyk, wynalazł nowy rodzaj telegrafu i pracuje teraz nad jego zastosowaniem.

— A ile mniej więcej wydaje na rok?

— Pięćset, najwyżej sześćset tysięcy franków; to skąpiec.

Nie ulegało wątpliwości, że przez Anglika przemawiała nienawiść: nie wiedząc już, co zarzucić hrabiemu, zarzucał mu skąpstwo.

— Wie pan coś o domu w Auteuil?

— Naturalnie.

— I cóż pan wiesz tedy?

— Pytasz pan, w jakim celu go nabył?

— Tak.

— Hrabia spekuluje. Ale to ryzykant, którego zrujnują w końcu doświadczenia i niedorzeczne pomysły. Otóż twierdzi, że w Auteuil, nie opodal domu, który kupił, istnieją ukryte źródła wody mineralnej nie gorszej niż w Bagneres, Luchon czy Gauterets. Chce na zakupionych gruntach wystawić badhaus, jak mówią Niemcy. Przekopał już ze trzy razy cały ogród, poszukując owego słynnego źródła; a że nic nie znalazł, przekona się pan, że niebawem zakupi wszystkie sąsiednie posesje. Nie lubię go, a więc mam błogą nadzieję, że zbankrutuje na kolejach żelaznych, telegrafie elektrycznym i wodach mineralnych; nie spuszczaam go z oka, aby pewnego dnia radować się jego porażką, która nastąpić musi.

— A o co masz pan do niego pretensję?

— O to, że będąc przejazdem w Anglii, uwiódł żonę mojego przyjaciela.

— Ale czemuż w takim razie nie szukasz pan sposobności, aby się zemścić?

— Pojedynkowałem się już z nim trzy razy: na pistolety, na szpady i na szable.

— A w wyniku tych pojedynków...

— Za pierwszym razem roztrzaskał mi ramię, za drugim przebił mi płuco, a za trzecim tak mnie urządził.

Tu Anglik odchyliwszy kołnierz koszuli, którego rożki sięgały mu aż do uszu, pokazał agentowi bliznę czerwoną jeszcze, a więc świeżą.

— Owóż bardzo nie lubię hrabiego — zapewnił Anglik — i z pewnością go zgładzę.

— Ale chyba nie będzie to morderstwo — zaniepokoił się agent.

— Co dzień bywam na strzelnicy i codziennie Grisier przychodzi do mnie. Było to już wszystko, czego chciał dowiedzieć się agent — a i nie wydawało mu się, by Anglik wiedział więcej.

Agent wstał i wyszedł, skłoniwszy się lordowi Wilmore, który skłonił mu się również — grzecznie i sztywno, czyli z angielska.

Usłyszawszy, jak zamknęły się drzwi, lord Wilmore poszedł do sypialni: wystarczył jeden ruch ręką, aby znikły jasne włosy, rude faworyty, przyprawiona szczęka i blizna. Ukazał się hrabia Monte Christo — czarnowłosy, o matowej cerze i zębach jak perły.

Ale co prawda agentem powracającym do domu nie był wysłannik pana prefekta policji, lecz pan de Villefort we własnej osobie.

Obie te wizyty uspokoiły nieco prokuratora, bo choć nie dały określonego rezultatu, nie dowiedział się nic takiego, czym mógłby zdenerwować się jeszcze bardziej.

Tedy po raz pierwszy od pamiętnego obiadu w Auteuil spał w nocy na ogół spokojnie.

32. BAL

Nadeszły lipcowe skwary, a za nimi owa sobota, której miał odbyć się bal u państwa de Morcerf.

Była dziesiąta wieczór. Sylwetki potężnych drzew ogrodu pałacowego rysowały się ostro na tle nieba, po którym sunęły obłoki — ostatnie zwiastuny burzy, co groziła od rana dalekim, głuchym pomrukiem — odsłaniając tu i ówdzie lazur usiany złotymi gwiazdami.

W salonach na parterze muzyka przygrywała to do walca, to znów do galopa, jarzące się światło przenikało szparami w żaluzjach i rozcinało mroki.

W tej chwili ogród roił się od służby, pani domu przekonawszy się bowiem, że niebo rozjaśniało się coraz piękniej, kazała podać kolację na świeżym powietrzu.

Wahała się do tej pory, czy zastawić stoły w jadalni, czy też pośrodku trawnika, pod obszernym namiotem.

Ale pogodne, wygwieżdzone niebo zdecydowało na korzyść namiotu i trawnika.

W alejach ogrodu zabłyśły więc kolorowe lampiony — obyczaj to włoski; stół, przy którym miano wieczerzać, tonał w powodzi światła i kwiatów — rzecz zwyczajna w każdym kraju, gdzie człowiek okazuje trochę zrozumienia dla przepychu nakrycia i jadła; ze wszystkich jednak rodzajów zbytku tę jego formę — zbliżoną do doskonałości — spotyka się najrzadziej.

Wydawszy ostatnie rozkazy, hrabina de Morcerf wróciła na paradne pokoje. Salony zaczynały się już napełniać — urocza gościnność pani domu stanowiła dla zaproszonych atrakcję znacznie większą niżli wysoka pozycja gospodarza; każdy wiedział, że zabawa urządzona przez Mercedes, słynącą z dobrego smaku, dostarczy tematu do rozmowy, a w potrzebie — przykładu godnego naśladowania.

Pani Danglars, mocno zaniepokojona niedawnymi wypadkami, wahała się, czy pójść do pani de Morcerf. Ale rankiem karetą baronowej spotkała się z kareta pana de Villefort.

Na znak prokuratora oba pojazdy zbliżyły się do siebie.

— Będziesz pani u Morcerfów, nieprawdaż? — zagadnął Villefort przez okienko w drzwiczkach.

— Nie. Czuję się okropnie.

— Niesłusznie postąpisz pani — tu Villefort spojrział znacząco — trzeba koniecznie, żeby cię tam widziano.

— Doprawdy?

— Z pewnością.

— W takim razie będę.

I karety podążyły w dwóch przeciwnych kierunkach.

Pani Danglars zjawiała się tedy, piękna nie tylko własną pięknnością, lecz i jaśniejąca przepyszną toaletą..

Kiedy stanęła w drzwiach, Mercedes wracała właśnie z ogrodu.

Hrabina wysłała Alberta, by witał baronową.

Zachwyciwszy się — i słusznie — strojem pani Danglars, Albert ujął ją pod ramię, wiodąc na to miejsce, które raczyłyby mu wskazać.

Idąc, rozglądał się.

— Szukasz pan mojej córki? — uśmiechnęła się baronowa.

— Przyznam się, że tak; czyżby pani baronowa, w okrucieństwie swoim, nie zabrała panny Eugenii?

— Niech się pan uspokoi: spotkała pannę de Villefort, idą razem, tuż za nami; o, niech pan spojrz, obie są w białych sukniach; Eugenia trzyma bukiet kamelii, a Walentyna — niezapominajek; ale powiedz mi pan...

— Kogóż to pani baronowa szuka? — uśmiechnął się z kolei Albert.

— Czy będzie dziś u państwa hrabia de Monte Christo?

— Siedemnasta! — zawołał Alberi.

— Nie rozumiem...

— To znaczy — objaśnił śmiejąc się wicehrabia — że jest pani siedemnastą osobą z rzędu, która zadaje mi to pytanie; powodzi się hrabiemu!... będę musiał mu powinszować...

— I każdemu odpowiadasz pan w taki sam sposób?

— Ach, przepraszam! Może być pani baronowa spokojna: przyjdzie ów człek będący w modzie, jesteśmy uprzywilejowani.

— Byłeś pan wczoraj w Operze?

— Nie.

— A on był.

— Tak? I cóż ten ekscentryk? Zdziwił świat czym nowym?

— Inaczej nie byłby sobą. Panna Elssler tańczyła w „Diabie Kulawym” — księżniczka grecka nie posiadała się z zachwytu. Kiedy odtańczyła cachuchę, hrabia wetknął pęk kwiatów w przepyszny pierścień i rzucił ten bukiet uroczej tancerce. W trzecim akcie panna Elssler, aby uhonorować hrabiego, miała ów pierścień na palcu. A ta jego księżniczka będzie u państwa?

— Nie. Tej przyjemności musimy sobie odmówić; pozycja księżniczki w domu hrabiego nie jest właściwie ustalona.

— No, niech mnie pan tutaj zostawi i przywita się z panią de Villefort. Widzę, że koniecznie chciałaby z panem pogawędzić.

Albert skłonił się pani Danglars i podążył ku pani de Villefort. W miarę jak się zbliżał, prokuratorowa otwierała usta, by doń przemówić.

— Założę się — uprzedził ją Albert — że wiem, o co mnie pani chce zapytać.

— Ach tak? — zdziwiła się pani de Villefort.

— A jeśli zgadnę, nie zaprze się pani?

— Nie.

— Słowo?

— Słowo.

— Chciałaś mnie pani zapytać, czy hrabia de Monte Christo jest już albo czy będzie.

— Wcale nie. Nie o nim właśnie myślałam. Chciałam pana zapytać, czy miałeś jakie wiadomości od pana Franza.

— Miałem wczoraj.

— I cóż pisał?

— Że wyjeżdża, wysyłając jednocześnie ów list.

— Pięknie. A co z hrabią?

— Przyjedzie, może pani być spokojna.

— A wie pan, że nazywa się on inaczej?

— Nie wiem.

— Monte Christo to nazwa wyspy. Nazwisko rodowe hrabiego jest inne.

— Nigdy mi go nie wymienił.

— Tedy wiem więcej od pana. Hrabia nazywa się Zaccone.

— Możliwe.

— Jest Maltańczykiem.

— I to też możliwe.

— Synem armatora.

— Ale czemu nie mówisz pani tego głośno? Zrobiłabyś furorę!

— Bił się w Indiach, eksploatuje kopalnię srebra w Tesalii, a przyjechał do Paryża, by założyć badhaus w Auteuil, gdzie odkrył wody mineralne.

— Wspaniałe nowiny! Pozwolisz pani, bym je rozgłosił?

— Tak, ale powoli i nie powołując się na mnie.

— Dlaczego?

— Bo to sekret wykradziony...

— Komu?

— Policji.

— A więc mówiono o tym...

— Wczoraj wieczór u prefekta. W Paryżu za wiele już gadano, rozumie pan, o tym niebywałym zbytku, policja tedy zebrała informacje.

— A to dobre! Niewiele brakowało, żeby zatrzymano hrabiego jako wagabundę, pod pozorem, że jest nazbyt bogaty.

— I stałoby się tak, gdyby informacje nie wypadły na korzyść hrabiego.

— Biedak! I nie domyśla się, jakie groziło mu niebezpieczeństwo?

— Chyba nie.

— A więc ze względów czysto ludzkich należałoby go przestrzec. Już ja się tym zajmę, kiedy nadejdzie.

W tejże chwili młodzieniec czarnowłosa, o bystrym oku i starannie wypielęgnowanych wąsach, skłonił się z szacunkiem pani de Villefort. Albert uściśnął mu dłoń.

— Mam zaszczyt — ozwał się — przedstawić łaskawej pani pana Maksymiliana Morrela, kapitana spahisów, oficera o zacnym sercu, a nade wszystko dzielnego.

— Miałam przyjemność poznać już pana w Auteuil, u pana hrabiego de Monte Christo — odparła zimno pani de Villefort i z rozmysłem odwróciła głowę.

Od słów tych, a zwłaszcza od tonu, jakim zostały wypowiedziane, biednemu Morrelowi ścisnęło się serce. Ale czekało go zadośćuczynienie: odwróciwszy się, ujrzał we framudze drzwi uroczą białą postać, która utkwiała w nim ogromne błękitne oczy, na pozór obojętne, a bukiet niezapominajek unosił się z wolna do warg.

Był to znak umówiony. Morrel, spoglądając też niby obojętnie, przytknął do ust chusteczkę — i te dwa żywe posągi o sercach bijących jakże mocno, posągi rozdzielone całą szerokością sali, zapomniały się na chwilę, a raczej zapomniały o bożym świecie, pogrążone w niemej kontemplacji.

Mogliby tak pozostać dłużej zapatrzeni w siebie i nikt nie spostrzegłby tego, wszedł bowiem właśnie hrabia de Monte Christo.

Wspomnieliśmy już kiedyś, że hrabiego otaczał nimb — naturalny czy sztuczny — który ściągał nań powszechną uwagę, gdziekolwiek Monte Christo by się pojawił. A decydował o tym nie ubiór — czarny frak, skrojony nienagannie, na którym jednak nie błyszczał żaden order; biała kamizelka nie przystrojona żadnym haftem; pantalony modelujące smukłą nogę — ale płac matowa, ciemne falujące włosy, lico spokojne i o regularnym owalu, oczy myślące i smutne, a wreszcie usta o rysunku nad podziw delikatnym, które przybierały z łatwością wyraz dumnej pogardy.

Byli na pewno mężczyźni piękniejsi od niego, ale nie znalazłbyś bardziej imponujących; hrabia nigdy bowiem nie rzucił słów na wiatr, czoło jego zawsze odbijało jakąś myśl poważną, a w każdym jego choćby najbliższym geście przejawiał się nieporównany wykrint i stanowczość.

Z drugiej zaś strony wielki świat Paryża, jakże kapryśny, nie zwróciłby może na to wszystko uwagi, gdyby nie tajemnicza historia przyzłocona olbrzymim majątkiem.

Hrabia szedł więc pod ostrzałem spojrzeń — i odwzajemniając niedbale ukłony — ku pani de Morcerf, która stała przy kominku ustrojonym kwiatami. Przygotowała się już na jego przyjęcie, zobaczyła bowiem w lustrze umieszczonym naprzeciwko drzwi, jak wchodził.

Zwróciła się ku niemu z uśmiechem nieco sztucznym, gdy pochylił się przed nią w ukłonie.

Była pewna, że hrabia przemówi pierwszy, hrabia zaś spodziewał się, iż ona pierwsza odezwie się do niego; żadne więc nie rzekło ani słowa — gdyż obojgu wydawało się że banalna wymiana grzeczności jest ich niegodna; złożwszy tedy ukłon, Monte Christo podążył do Alberta, który spieszył ku niemu z otwartymi ramionami.

— Przywitał się pan już z moją matką? — spytał Albert.

— Miałem właśnie honor powitać panią hrabinę; ale gdzie pański ojciec?

— O tam, rozprawia o polityce w gronie wielkich znakomitości.

— To ci panowie są rzeczywiście aż tak znakomici? Nigdy nie domyśliłbym się tego. A czymże zasłynęli? Bo, jak panu wiadomo, wszystkim zasłynąć można.

— Pierwszy z brzegu, ten wysoki chudy — to uczoney; odkrył w okolicach Rzymu pewien rodzaj jaszczurki, która ma w kręgosłupie o jeden krąg więcej niż inne; wróciwszy, podzielił się swoimi spostrzeżeniami z Instytutem. Długo mu zaprzeczano, ale w końcu nasz chudeusz zwyciężył. Kręgosłup narobił wielkiego hałasu w sferach naukowych, a chudeusz z kawalera Legii Honorowej został jej oficerem.

— Doskonale. Słusznie mu się należał ten awans. Jeśli wykryje następny dodatkowy krąg, otrzyma komandorię, prawda?

— Niewykluczone.

— A tamten, któremu przyszło do głowy, żeby wdziąć granatowy frak z zielonym haftem, kto zaczął?

— To nie jemu strzeliło do głowy, ale Republice. Republika, nie odznaczająca się, jak panu wiadomo, dobrym smakiem artystycznym, zechciała umundurować akademików, a David zaprojektował na jej prośbę taki właśnie frak.

— Aha! Więc to członek Akademii?'

— Tydzień temu przyjęto go do tego uczonego grona.

— A czymże na to zasłużył? Jaka ma specjalność?

— Specjalność? Zdaje się, że nakłuwa królicze łebki szpilkami, karmi kury marzanną i wpycha fiszbiny w rdzeń kręgowy psów.

— I z tej racji zasiada w Akademii Nauk?

— Nie, w Akademii Francuskiej.

— A cóż ona ma z tym wspólnego?

— Zaraz panu wyjaśnię; podobno...

— Zapewne dzięki jego doświadczeniom nauka poczyniła ogromne postępy.

— Nie, ale pisze bardzo pięknym stylem.

— Musi to niezmiernie pochlebiać ambicji królików, którym wbija szpilki, kur, którym zabarwia kości na czerwono, i psów, którym wpycha fiszbiny.

Albert wybuchnął śmiechem.

— A tamten? — zagadnął hrabia.

— Który?

— No, ten trzeci.

— W chabrowym fraku?

— Tak.

— To kolega ojca. To ten, który protestował tak gorąco, nie chcąc dopuścić, aby parowie otrzymali mundury. Odnosił w tym względzie wielki sukces. Był na bakier z prasą liberalną, a teraz pogodził się z nimi, sprzeciwiwszy się z godnością projektom dworu; jakoby ma zostać ambasadorem.

— A z jakiego tytułu jest parem?

— Skomponował kilka oper komicznych, nabył parę akcyj gazety „Siècle” i kilka razy głosował za rządem.

— Winszuję, panie Albercie — roześmiał się hrabia — jesteś przemiłym informatorem. A teraz proszę, byś mi wyświadczył pewną przysługę.

— Jaka?

— Nie przedstawiał mnie tym panom i ostrzegł mnie, gdyby chcieli zawrzeć ze mną znajomość.

W tym momencie hrabia uczuł, iż czyjaś ręka spoczęła mu na ramieniu. Obejrzał się — był to Danglars.

— A! Pan baron! — rzekł hrabia.

— Czemuż to nazywasz mnie pan baronem? — odparł Danglars. — Wiesz pan przecie, że na tytule mi nie zależy. Ale pan, mój wicehrabio, nie mógłbyś tego powiedzieć o sobie, prawda?

— Oczywiście — odrzekł Albert. — Nie będąc wicehrabią byłbym niczym, a pan możesz zrezygnować z tytułu baronowskiego, bo i tak pozostaniesz milionerem.

— Trudno chyba o piękniejszy tytuł za monarchii lipcowej — ozwał się Danglars.

— Na nieszczęście — powiedział Monte Christo — nie zawsze można być milionerem póki życia, tak jak się jest baronem, parem Francji albo członkiem Akademii; wiedzą już coś o tym panowie Frank i Pulmann, milionerzy frankfurccy, bo właśnie zbankrutowali.

— Naprawdę? — spytał Danglars blednąc.

— Zapewniam pana. Otrzymałem tę wiadomość dziś wieczór przez umyślnego. Miałem tam u nich z milion. Ale uprzedzony zawczasu, chyba przed miesiącem, poprosiłem kategorycznie o zwrot.

— O Boże! — zawołał Danglars. — Miałem u nich dwieście tysięcy franków.

— Dowiedziałeś się pan, jak wyglądają, dowiedz się jeszcze, że podpis ich wart pięć procent.

— Alem dowiedział się za późno. Honorowałem ich podpis.

— No cóż, dopiszesz pan dwieście tysięcy do tamtych...

— Nie mówmy już na ten temat, a zwłaszcza — tu Danglars przysunął się do Monte Christa — a zwłaszcza przy panu Andrei Cavalcantim.

To rzekłszy bankier obrócił się z uśmiechem w stronę młodzieńca.

Albert opuścił tymczasem hrabiego, aby pomówić z matką. Danglars opuścił go też, witając się z młodszym panem Cavalcantim. Monte Christo na chwilę pozostał sam.

Upał zaczynał dawać się we znaki.

Lokaje krążyli po salonach, obnosząc tace z owocami i lodami.

Hrabia ocierał spocniałą twarz, ale kiedy lokaj podszedł doń z tacą, usunął się, nie biorąc nic dla ochłody.

Pani de Morcerf nie spuszczała wzroku z Monte Christa. Widziała więc i to. Dostrzegła nawet ruch, jaki hrabia uczynił, cofając się.

— Albercie — rzekła — czyś zauważył jedną rzecz?

— Jaką, mamó?

— Że hrabia wymawiał się zawsze, ilekroć zapraszaliśmy go na obiad.

— Tak, ale był u mnie na śniadaniu, które wprowadziło go w tutejszy świat.

— U ciebie, ale nie u nas — szepnęła Mercedes. — Obserwuję go od chwili, w której się zjawił.

— No i co?

— Nie zjadł ani nie wypił nic jeszcze.

— Bo jest nadzwyczaj wstrzemięźliwy. Mercedes uśmiechnęła się smutno.

— Podejdź do niego, a kiedy lokaj zjawi się z tacą, nalegaj.

— Po co?

— Zrób to dla mnie, Albertku.

Albert ucałował dłoń matki i podążył do hrabiego. Nadszedł lokaj, dźwigając zastawioną tacę.

Mercedes widziała, jak Albert zapraszał hrabiego, podając mu nawet talerzyk z lodami, lecz Monte Christo odmawiał uparcie. Albert podszedł znów do matki. Hrabina była bardzo blada.

— No i widzisz — rzekła — odmówił. — Tak, ale czemuż ty się martwisz?

— Mój drogi, każda kobieta ma swoje zachcenia. Ucieszyłabym się, gdyby hrabia zjadł cokolwiek u nas, choćby cząsteczkę granatu. A może zresztą nie przywykł jeszcze do francuskiej kuchni, może ma jakieś specjalne upodobania.

— E, sam widziałem, że we Włoszech wszystko jadał. Widać dziś nie jest dysponowany.

— A skoro — dodała hrabina — mieszkał zawsze w ciepłych krajach, może nie odczuwa tak upału jak inni.

— Nie wydaje mi się. Skarżył się, że mu duszno, i pytał, czemu otwarto okna, ale nie podniesiono żaluzji.

— Aha — rzekła Mercedes — już wiem, jak wybadać, czy to wstrzemięźliwość rozmyślna.

I wyszła z salonu.

Po chwili podniesiono żaluzje. Za oknami ozdobionymi powojnikiem i jaśminem ukazał się ogród; płonęły lampiony, pod namiotem czekała kolacja.

Tańczące pary, goście, którzy grali w karty albo gawędzili — wszyscy krzyknęli z radości, rozkoszując się świeżym powietrzem, które buchnęło ożywczą falą.

W tymże momencie weszła Mercedes. Była jeszcze bledsza, ale na licu jej malowała się stanowczość, która cechowała ją w pewnych wypadkach.

Podeszła do grupy, której ośrodek stanowił pan de Morcerf.

— Daj, mój mężu — ozwała się — panom trochę swobody. Skoro panowie nie siedzą przy kartach, pewnie z chęcią odetchnęliby w ogrodzie, zamiast dusić się tutaj.

— Pani hrabino — odrzekł sędziwy i nader elegancki generał — sami do ogrodu nie pójdziemy.

— Wybornie — powiedziała Mercedes — dam więc panom przykład. I zwracając się do Monte Christa:

— Racz, mój hrabio, podać mi ramię.

Monte Christo zachwiał się niemal, kiedy padły te proste słowa; po czym spojrzał na Mercedes.

Było to spojrzenie błyskawiczne, a jednak wydało się hrabinie, że trwało ono wiek, tyle Monte Christo wyraził w nim myśli.

Podał ramię pani de Morcerf.

Wsparała się na nim, a raczej musnęła je tylko swoją delikatną rączką — i oboje zeszli po stopniach ganku obrzeżonego rododendronami i kameliami. Za nimi zbiegło do ogrodu, weseląc się, z dziesięć roześmianych par.

33. CHLEB I SÓL

Pani de Morcerf i jej towarzysz weszli pod sklepienie z listowia. Była to aleja wiodąca pod lipami do oranżerii.

— Za gorąco było w salonie, prawda, panie hrabio? — ozwała się Mercedes.

— Tak. Pani hrabina wpadła na wyborny pomysł, rozkazawszy pootwierać okna i drzwi.

Mówiąc to, hrabia spostrzegł, iż ręka Mercedes drży.

— Nie zaziębi się pani, mając na, sobie tylko tę lekką suknię, a wokół szyi gazową chusteczkę? — rzekł Monte Christo.

— Wie pan, dokąd go prowadzę? — ozwała się, nie odpowiadając na jego pytanie.

— Nie wiem, pani hrabino; ale, jak pani widzisz, nie stawiam oporu.

— Do oranżerii, o tam, gdzie kończy się aleja.

Hrabia spojrzał na Mercedes jakby pytająco; ale nie powiedziała nic więcej, tedy i on milczał.

Weszli do budynku pełnego przepysznych owoców. Dojrzały one już na początku lipca w temperaturze tak obmyślonej, aby zastąpić ciepło słoneczne, którego często brak u nas.

Hrabina puściła ramię Monte Christa i zerwała kiść południowych winogron.

— Niechże pan skosztuje — powiedziała ze smutnym uśmiechem, a na rzęsach jej zalśniła łza — naszych winogron francuskich, których porównać nie można, wiem o tym, z waszymi winogronami sycylijskimi albo cypryjskimi. Ale chyba okażesz pan pobłażliwość naszemu blademu północnemu słońcu.

Hrabia skłonił się i cofnął o krok.

— Odmawiasz mi pan? — spytała Mercedes, a głos jej zadrżał.

— Proszę pokornie, aby pani hrabina mi wybaczyła, ale nigdy winogron nie jadam.

Mercedes westchnęła, kiść upadła na ziemię.

Nie opodal złociła się prześliczna brzoskwinia, która, jak i winogrona, dojrzała w sztucznym cieple oranżerii.

Mercedes zerwała ów aksamitny owoc.

— To niech pan spróbuje tej brzoskwini — rzekła. Ale hrabia odmówił takim samym gestem.

— Och! Znowu! — ozwała się z boleścią i tłumiąc szlochanie. — Doprawdy, nie mam szczęścia.

Nastało długie milczenie. Brzoskwinia upadła na piasek.

— Panie hrabio — ozwała się wreszcie Mercedes, patrząc błagalnie na Monte Christa — istnieje śliczny zwyczaj arabski: ten, z kim podzielimy pod jednym dachem chleb i sól, staje się naszym przyjacielem na wieki.

— Znam ten obyczaj, pani hrabino, ale jesteśmy we Francji, a nie w Arabii. We Francji wieczysta przyjaźń nie istnieje, tak samo jak nikt nie dzieli się tutaj chlebem i solą.

— Ale tak czy inaczej — rzekła hrabina, a drżąc chwyciła niemal konwulsyjnie ramię Monte Christa i przywarła wzrokiem do jego oczu — jesteśmy przyjaciółmi, nieprawdaż?

Wszystka krew spłynęła hrabiemu do serca — pobladł śmiertelnie; a potem, gdy uderzyła do głowy, policzki ubarwił ciemny rumieniec. Oczy zaszklily mu się, jakby doznał porażenia światłem — zamroczyło go na kilka sekund.

— Ma się rozumieć, pani hrabino, że jesteśmy przyjaciółmi; bo i dla czegoż miałyby być inaczej?

Wypowiedział te słowa tonem tak dalekim od tego, o jakim marzyłyby pani de Morcerf, iż odwróciła się i westchnęła, a raczej jęknęła cicho.

— Dziękuję — rzekła.

I postąpiła parę kroków.

Obeszli tak ogród, nie wypowiedziawszy ani słowa.

— Panie hrabio — ozwała się nagle Mercedes po dziesięciu minutach milczącej przechadzki — czy to prawda, że widziałeś, podróżowałeś i przecierpiałeś tak wiele?

— Tak, pani, przecierpiałem wiele.

— A teraz pan jesteś szczęśliwy?

— Oczywiście. Toć nikt nie słyszy, żebym się skarżył.

— I to obecne szczęście nie ułagodziło pana?

— Moje obecne szczęście równa się dawnej nędzy.

— A nie jesteś pan żonaty?

— Skądże znowu! — tu Monte Christo zadrżał. — Któż mógł o tym pani powiedzieć?

— Nikt mi o tym nie mówił, ale pokazujesz się pan w Operze z jakąś piękną i młodą osobą.

— To, pani hrabino, niewolnica, którą kupiłem w Konstantynopolu. Sierota, księżniczka grecka; zaadoptowałem ją, nie kochając więcej nikogo.

— To żyjesz pan samotnie?

— Tak.

— I nie masz pan nikogo na świecie?... Siostry?... Syna?... Ojca?...

— Nie.

— Jakże pan możesz wytrzymać, nie mając żadnej więzi, która łączyłaby pana z życiem?

— Nie moja to wina, pani hrabino. Na Malcie kochałem pewną dziewczynę, ale kiedy miałem ją poślubić, wybuchła wojna i porwała mnie od niej daleko. Myślałem, że kocha mnie na tyle, by czekać, by pozostać mi wierną do grobowej deski. Kiedym powrócił, była już mężatką. Ale to przeżywa prawie każdy dwudziestoletni chłopak. Miałem serce może wrażliwsze, niż mają inni, to i cierpiałem więcej; ot i wszystko.

Hrabina zatrzymała się na chwilę, jak gdyby zabrakło jej tchu.

— Tak — rzekła — i ta miłość nie wygasa w pańskim sercu... Kocha się naprawdę tylko raz... I nigdy pan już nie spotkałeś tej kobiety?

— Nigdy.

— Nigdy!

— Bom i nigdy nie powrócił w jej strony.

— Na Maltę?

— Tak, na Maltę.

— Więc ona wciąż jeszcze mieszka na Malcie?

— Chyba tak.

— A przebaczyłeś pan jej tę boleść, którą panu zadała?

— Jej tak.

— Ale tylko jej. Czyżbyś nienawidził pan nadal tych, którzy was rozdzielili?

— Skądże znowu! Dlaczego miałbym ich nienawidzić? Hrabina stanęła naprzeciw Monte Christa. Trzymała jeszcze cząstkę wonnego grona.

— Niech pan skosztuje — rzekła.

— Pani hrabino, nigdy winogron nie jadam — odparł Monte Christo takim tonem, jak gdyby poczęstowała go po raz pierwszy.

Hrabina cisnęła owoc w najbliższą kępę krzewów, a w geście tym tała się rozpacz.

— Nieugięty! — szepnęła.

Monte Christo ani drgnął — jakby ten wyrzut dotyczył kogo innego.

W tymże momencie nadbiegł Albert.

— O, mamó! — zawołał — stało się wielkie nieszczęście.

— Co takiego? Co się stało? — zapytała hrabina, jakby zbudzona ze snu. — Nieszczęście, powiedziałaś? A tak, spadnie na nas wiele nieszczęść!

— Przyjechał pan de Villefort.

— No i co z tego?

— Przyjechał po żonę i córkę.

— A cóż mu przyszło do głowy?

— Pani margrabina de Saint-Méran przybyła do Paryża z wiadomością, że mąż jej umarł na pierwszym postoju, jak tylko wyjechali z Marsylii. Pani de Villefort była tak rozbawiona, że nie chciała tego nieszczęścia ani przyjąć do wiadomości, ani w nie uwierzyć; ale panna Walentyna, choć jej ojciec mówił o wszystkim w słowach nader oględnych, domyśliła się od razu całej prawdy: padła jakby rażona gromem, zemdląca.

— A kimże był margrabia de Saint-Méran dla panny de Villefort? — zagadnął Monte Christo.

— Dziadkiem, po kądzieli. Jechał, żeby przyspieszyć jej małżeństwo z panem d'Epinau.

— Ach, tak!

— A tymczasem Franz się spóźnił. Czemuż pan de Saint-Méran nie był również dziadkiem panny Danglars!

— E, nie plóńbyś, Albertku — skarciła go łagodnie matka. — Panie hrabio, on tak bardzo pana szanuje: wytłumacze mu, że wyraził się niestosownie.

I postąpiła parę kroków naprzód.

Monte Christo ogarnął ją wzrokiem tak dziwnym, przepojonym takim rozmarzeniem, a zarazem tak serdeczną admiracją, że hrabina zawróciła. Ujęła jego rękę, a jednocześnie tuląc rękę syna, połączyła je i rzekła:

— Jesteśmy przyjaciółmi, nieprawdaż?

— O, nigdy nie ośmieliłbym się ubiegać o zaszczyt tak wielki jak przyjaźń pani hrabiny — odparł Monte Christo — ale w każdym wypadku będę pani uległym sługą.

Hrabina odeszła. Serce ścisnęło jej się tak okropnie, że po chwili musiała przyłożyć chusteczkę do oczu. Monte Christo zauważył to.

— Czyżby pan się poróżnił z moją matką? — zdziwił się Albert.

— Przeciwnie. Toż powiedziała mi w pańskiej obecności, że jesteście przyjaciółmi.

I wrócił do salonu, który opuściła właśnie Walentyna i państwo de Villefort.

Morrel oczywiście podążył za nimi.

34. PANI DE SAINT-MÉRAN

Dom państwa de Villefort nawiedziła tymczasem żałoba.

Obie panie pojechały na bal same, chociaż pani de Villefort długo i cierpliwie nakłaniała męża, aby im towarzyszył. Wszelkie perswazje speliły na niczym — i prokurator królewski zamknął się swoim zwyczajem w gabinecie, gdzie czekał nań olbrzymi stos akt. Ilość ich przeraziłaby każdego, lecz nie pana de Villefort: była to w normalnych warunkach porcja zaledwie wystarczająca dla tego tytana pracy.

Dziś jednak akta były tylko pretekstem — Villefort nie zamierzał pracować, ale rozmyślać; zapowiedziawszy, że wolno mu przeszkodzić jedynie w poważnym wypadku, zamknął drzwi, usadowił się w fotelu i jął roztrząsać ponownie wydarzenia, jakie zaszły w ostatnim tygodniu, pojąc go smutkiem i goryczą wspomnień.

Zamiast więc przeglądać piętrzące się przed nim akta, otworzył biurko, nacisnął sprężynę skrytki i wydobył plik swoich osobistych notatek — były to cenne dokumenty: poklasyfikowane starannie, opatrzone nalepkami, gdzie widniały — szyfrem — nazwiska ludzi, których Villefort uważał za swoich wrogów, usiłowali bowiem ongi przeszkadzać mu bądź w karierze politycznej i sądowej, bądź w interesach pieniężnych albo w kryjomych amorach. Klucz od owego szyfru znał jedynie Villefort.

Liczba nieprzyjaciół wciąż rosła — w owym zaś dniu, kiedy prokurator tak bardzo zląkł się o siebie, był ich już legion. A jednak, ileż razy, choć potężni byli i groźni, uśmiechał się, myśląc o nich, jak uśmiecha się wędrowiec spoglądający z najwyższego szczytu na spiczaste turnie, na niedostępne ścieżki i na głębokie przepaście; miał już to wszystko za sobą; osiągnął cel podróży, wspinając się długo i z mozolem.

Wspomniał po kolei każde z owych nazwisk, przeczytał raz jeszcze i przestudiował skrupulatnie wszystkie dokumenty, a zadumawszy się nad nimi, potrząsnął głową.

— Nie — szepnął — żaden z moich wrogów nie byłby tak cierpliwy i wytrwały, aby odczekawszy do dziś, zmiażdżyć mnie teraz owym sekretem. Czasem, jak powiada Hamlet, sprawa najgłębiej pogrzebana wydobędzie się z ziemi i rozbłyśnie w powietrzu niby błędny ogień; ale ogniki te błyszczą tylko moment, aby nas omamić. Korsykańczyk opowiedział zapewne całą historię jakiemuś księdzu, który powtórzył ją panu de Monte Christo, hrabia zaś przez ciekawość... Ale skądże, u licha, ta ciekawość — podjął Villefort namyśliwszy się chwilę — czym kierował się pan de Monte Christo, alias Zaccone, syn armatora z Malty, właściciel kopalni srebra w Tesalii, bawiący we Francji po raz pierwszy, czym powodował się, próbując wyświecić ten fakt ponury, tajemniczy i na nic nikomu nieprzydatny? Z tych luźnych informacji, jakich udzielił mi ksiądz Busoni — przyjaciel, i lord Wilmore — nieprzyjaciel hrabiego, wynika rzecz jedna, moim zdaniem jasna, niewątpliwa i oczywista: nigdy w żadnych okolicznościach nie zetknąłem się z tym panem.

Ale Villefort nie wierzył we własne słowa.

Nie to było dla niego najokropniejsze, że sekret się wydał — mógł przecież zaprzeczyć albo nawet wytłumaczyć się jakoś.

Nie przejmowało go trwogą owo Mane-Tekel-Fares, co pojawiło się raptem na murze, wypisane krwawymi głoskami; przejmowało go trwogą to, że znał rękę, która je skreśliła.

Kiedy próbował uspokoić sam siebie, snując rozmaite marzenia i projekty, w których przyszłość ukazywała mu się jako przystań spokojna i bezpieczna, a on, wolny od ambicji politycznych (bo po cóż budzić z dawna uspiętego wroga?), zażywający pogodnych uciech w zaciszu domowym — na dziedzińcu zaturkotał powóz. Po chwili zaś usłyszał czyjeś kroki, płacz i lament; ktoś, widać już leciwy, z trudnością piął się po schodach, a zawodzili słudzy — jak to oni, kiedy pragną okazać państwu współczucie.

Villefort odsunął rygielek u drzwi — i zaraz, nie zapowiedziana przez nikogo, wkroczyła stara dama; szal miała przewieszony przez ramię, a kapelusz trzymała w ręce.

Siwe włosy, szesane do tyłu, odsłaniały czoło żółtawe niby kość słoniowa, w kącikach oczu, tak zapuchniętych od łez, że prawie niewidocznych, rysowały się głębokie zmarszczki.

— O, panie zięciu! — zawołała — co za nieszczęście! Ja tego nie przeżyję! Na pewno nie przeżyję!

Padła na fotel stojący najbliżej drzwi i wybuchnęła szlochaniem. Lokaje zatrzymali się w progu, nie ośmieliwszy się wejść dalej. Nadbiegł też i Barrois, wrzawa bowiem dotarła do pokoju pana Noirtier. Villefort zerwał się i podskoczył ku teściowej.

— Na miły Bóg, co się mamie stało? — zapytał. — Dlaczego mama tak rozpacza? Gdzież pan margrabia?

— Mój mąż umarł — odrzekła bez żadnych wstępów, martwo, jakby pogrążona w otępieniu.

Villefort cofnął się o krok i plasnął dłońmi w dłoń.

— Umarł?... Jak to?... Nagle?... — wybełkotał.

— Tydzień temu, po obiedzie, wsiedliśmy oboje do karety. Mąż mój czuł się źle już od paru dni; ale myśl, że zobaczy naszą ukochaną Walentynę, dodawała mu sił, i nie bacząc na cierpienia wybrał się w podróż! Sześć mil za Marsylią zażył pastylki — te, co zawsze — po czym zasnął tak głęboko, że wydało mi się to podejrzanym; nie budziłam go jednak, chociaż twarz mu poczerwieśniała, a żyły na skroniach nabrzmiały nadmiernie. Potem noc zapadła, nie widziałam go w mroku, pozwalałam mu spać; ale niebawem krzyknął rozdzierająco, jakby dusiła go zmora, a głowa opadła mu nagle w tył. Obudziłam kamerdynera, kazałam zatrzymać się stangretowi, zaczęłam cucić męża solami trzeźwiącymi, ale było za późno. Kiedy zajechałam do Aix, był już zimny.

Villefort osłupiał, otworzył szeroko usta.

— A wezwała mama lekarza?

— Natychmiast; ale jak powiedziałam panu, było już za późno.

— Tak, ale czy chociaż postawił diagnozę, na co biedny margrabia umarł?

— Oczywiście. Była to apopleksja piorunująca.

— I cóż Wtedy mama zrobiła?

— Mąż mój powiadał zawsze, żeby pochowano go w grobie rodzinnym, choćby umarł z dala od Paryża. Kazałam więc włożyć ciało do metalowej trumny — przywiozą je za parę dni.

— O, jakże ja mamie współczuję! Po takim ciosie jeszcze tyle kłopotów, i to w mamy wieku!

— Bóg użyczył mi sił, aż do ostatniej chwili; a zresztą, gdybym umarła pierwsza, mój biedak zrobiłby dla mnie to samo. Co prawda od momentu, kiedy się z nim rozstałam, wydaje mi się, że jestem bliska szaleństwa. Płakać już nie mogę; mówią, że w moim wieku człowiek nie ma już łez, widać to prawda; ale chyba dopóki cierpimy, powinniśmy płakać. Ale gdzież Walentyna? Dla niej wybraliśmy się tutaj, chcę się z nią zobaczyć.

Villefort myślał, iż oznajmić, że Walentyna jest na balu, byłoby okrucieństwem.

Powiedział więc, że obie jego panie wyszły i że zaraz po nie pośle.

— Niech pan posyła niezwłocznie, niezwłocznie, błagam — rzekła stara dama.

Villefort ujął panią de Saint-Méran pod ramię i zaprowadził do jej pokojów.

— Niechże droga mama teraz wypocznie — doradził.

Margrabina uniosła wtedy głowę. Sam widok Villeforta przypominał jej nieodżałowaną córkę, uczucie zaś, którym ją darzyła, przeniosła na Walentynę — toteż ciepły ton zięcia rozrzewnił biedaczkę, iż osunęła się na fotel, wtuliła twarz w poduszki i wybuchnęła płaczem.

Villefort polecił margrabinę opiece pokojowych, a tymczasem stary Barrois podążył wystraszony do swojego pana; nic tak bowiem nie przeraża starców jak to, kiedy śmierć przestanie na chwilę krzątać się wokół jednego z nich, ażeby ugodzić drugiego.

Kiedy pani de Saint-Méran klęcząc na fotelu modliła się gorąco, Villefort kazał sprowadzić dorożkę i pojechał do państwa de Morcerf po żonę i córkę.

Był taki blady, że kiedy stanął w drzwiach salonu, Walentyna podbiegła doń, wołając:

— O, mój ojciec! Czyżby stało się jakie nieszczęście?

— Babunia przyjechała — odparł Villefort.

— A dziadek? — spytała drżąc Walentyna.

Pan de Villefort nic nie odpowiedział, a tylko podał córce ramię. Uczynił to w porę.

Walentyna doznała zawrotu głowy i zachwiała się.

Pani de Villefort podbiegła, aby ją wesprzeć — i tak wspólnie z mężem zaprowadzili Walentynę do karety.

— Osobliwa historia! Któż by mógł się tego spodziewać! Tak, to bardzo osobliwe! — mówiła pani de Villefort.

I zrozpaczona rodzina opuściła dyskretnie zabawę, zostawiając jednak za sobą smutek podobny czarnej krepie.

Barrois czekał na Walentynę przy schodach.

— Pan Noirtier chciałby się widzieć z panią dziś jeszcze — szepnął jej.

— Przyjdę, ale najpierw muszę zobaczyć się z babunią — obiecała Walentyna.

Wrażliwe dziewczę pojęło, iż w owej godzinie potrzebne jest nade wszystko pani de Saint-Méran.

Walentyna zastała babkę w łóżku.

Nieme uściski, dwa serca nabrzmiałe boleścią, urywane westchnienia, łzy gorące — cóż więcej można powiedzieć o tych odwiedzinach, przy których asystowała, wsparta na ramieniu męża, pani de Villefort, okazując — przynajmniej na pozór głęboki szacunek biednej wdowie.

Po chwili szepnęła:

— Jeśli pozwolisz, odejdę, bo tak będzie lepiej: zdaje mi się, że moja obecność drażni tylko twoją teściową.

Pani de Saint-Méran, usłyszawszy to jednak, szepnęła Walentynie:

— O tak, tak, niech lepiej odejdzie, ale ty zostań, zostań...

Pani de Villefort oddaliła się, Walentyną pozostała u wezglowia babki, prokurator zaś wytracony z równowagi nagłym ciosem, podążył za żoną.

Zajrzyjmy z kolei do starego pana Noirtier.

Noirtier, posłyszawszy, jakieś to rzekli, zgiełk w domu, wysłał swego sługę na zwiady.

Kiedy Barrois wrócił, Noirtier spojrział nań pytająco — oko zaś miał żywe, a przede wszystkim inteligentne.

— Stało się, proszę pana, nieszczęście, wielkie nieszczęście — oznajmił Barrois — przyjechała pani de Saint-Méran, a mąż jej umarł.

Pan de Saint-Méran i pan Noirtier nigdy za sobą zbytnio nie przepadali — ale wiadomo, jakie wrażenie robi na każdym starcu śmierć rówieśnika.

Głowa pana Noirtiera opadła na pierś, jakby strapił się albo zadumał; po chwili zamknął jedno oko.

— Panna Walentyna? — spytał Barrois. Noirtier przytaknął na swój sposób.

— Jest na balu, o czym pan wie. Wstąpiła tu przecież wystrojona, żeby się pożegnać z panem.

Noirtier znów zamknął lewe oko.

— Chce się pan z nią widzieć?

— Tak.

— Zaraz pošlę po nią do państwa de Morcerf; będę czekał, a jak tylko wróci, powiem, żeby przyszła do pana; dobrze?

— Tak.

Barrois czatował tedy na Walentynę, a kiedy wróciła, oznajmił jej, jak już wiemy, o życzeniu starca.

Dlatego Walentyna wyszedłszy od pani de Saint-Méran, którą mimo rozpaczliwych zmorzył sen gorączkowy, udała się do dziadka.

Ale przedtem przysunęła tak, żeby babka mogła go dosięgnąć, stolik, na którym stała karafka z oranżadą, ulubionym napojem pani de Saint-Méran, i szklanka.

I, jak się rzekło, poszła do pana Noirtier.

Ucałowała staruszkę, on zaś spojrział na nią tak czule, że łzy zakręciły się w jej oczach, choć była pewna, że wszystkie łzy już wypłakała. Starzec patrzył na nią znacząco.

— Rozumiem — ozwała się Walentyna — chcesz dziadziu, powiedzieć, że dbasz nadal o moje dobro, tak?

— Tak.

— To szczęście! Bo inaczej, mój Boże, cóż by się ze mną stało! Była pierwsza nad ranem.

Barrois miał ochotę się położyć — ozwał się więc, że po tak bolesnym wypadku każdy pragnąłby wycząć.

Dla starca najmilszym wycoczynkiem był widok wnuczki — ale nie powiedział tego.

Odprawił Walentynę, bo znużona wielce, wyglądała rzeczywiście na cierpiącą.

Nazajutrz, kiedy weszła do babki, zastała ją w łóżku.

Gorączka nie spadała. W oczach starej margrabiny płonął posępny ogień i zdawała się nie panować nad wzburzonymi nerwami.

— O Boże! Czyżby ci się, babuniu, pogorszyło? — zawołała Walentyna, widząc to chorobliwe podniecenie.

— Nie, moje dziecko. Niecierpliwiałam się tylko czekając na ciebie, bo chciałam cię posłać po twojego ojca.

— Po ojca? — zaniepokoiła się Walentyna.

— Tak. Pragnę z nim pomówić.

Walentyna nie ośmieliła się sprzeciwić temu życzeniu, choć nie знаła jego przyczyny — i po chwili zjawił się pan de Villefort.

— Mój zięciu — pani de Saint-Méran przystąpiła od razu do rzeczy, jakby w obawie, iż nie zdąży powiedzieć wszystkiego — pisał mi zięć o projektowanym mariażu tej małej, prawda?

— Tak — odparł Villefort — i to już więcej niż projekt: postanowienie zapadło.

— Walentyna wychodzi za pana Franza d'Epinay, tak?

— Tak.

— Czy to syn generała d'Epinay, jednego z naszych, zamordowanego na kilka dni przed powrotem uzurpatora z Elby?

— Nie inaczej.

— A nie wzdraga się przed małżeństwem z wnuczką jakobina.

— Dawne nieporozumienia natury politycznej wygasły już na szczęście, proszę mamy; kiedy generał zginął, pan Franz był jeszcze niemal dzieckiem; nie zna prawie mojego ojca, toteż będzie odnosił się do niego jeśli nie przyjaźnie, to w każdym razie obojętnie.

— Dobra to partia?

— Trudno o lepszą.

— A jakiż on jest?

— Cieszy się ogólnym szacunkiem.

— Pytam o wychowanie.

— Wyjątkowo dystyngowany. Walentyna milczała podczas tej rozmowy.

— A więc, mój zięciu — ozwała się pani de Saint-Méran po chwili namysłu — trzeba się spieszyć, bo niewiele mi już pozostaje życia.

— Ależ proszę mamy! Babuniu najdroższa! — zawołali razem pan de Villefort i Walentyna.

— Wiem, co mówię — odrzekła margrabina — musicie więc się śpieszyć: Walentyna nie ma matki, niechże choć babka pobłogosławi ten związek. Jam tylko jej została ze strony matki po śmierci mojej biednej Renaty, o której zbyt prędko zapomniełeś, mój panie zięciu.

— A mama zapomina, że chciałem dać matkę temu biednemu dziecku.

— Macocha, mój panie, nigdy matki nie zastąpi. Ale nie w tym rzecz: chodzi o Walentynę, a zmarłych zostawmy w spokoju.

Mówiła tak szybko i tak nerwowo, jak gdyby zapadała w malignę.

— Stanie się według mamy życzenia — zapewnił Villefort — sprawa zaś układa się tym pomyślniej, że nasze życzenia są zgodne; jak tylko pan d'Epinay przyjedzie do Paryża...

— Babuniu — przerwała Walentyna — żałoba nazbyt przecie świeża... Czy chciałabyś, żeby mojemu zamęściu towarzyszyła tak smutna wróżba?

— Moje dziecko — zachnęła się margrabina — nie wytaczaj argumentów, które stają na zawadzie, ludziom słabym, nie dając im budować solidnie przyszłości. Ślub mój odbył się niemal równocześnie ze śmiercią mojej matki, a nie zaszkodziło to w niczym, bądź pewna, mojemu szczęściu.

— Znowuż mama myśli o śmierci! — obruszył się Villefort.

— Znowu? Ależ ja myślę o niej bez przerwy! Powiadam ci, mój zięciu, że umrę niebawem, rozumiesz? Chciałabym tedy przed śmiercią zobaczyć tego chłopca; nakazać mu, żeby uczynił moją wnuczkę szczęśliwą. Chcę wyczytać z jego oczu, czy okaże mi posłuszeństwo, chcę go zgłębić! A jeśli — tu głos margrabiny zabrzmiał straszliwą groźbą — nie będzie dobrym mężem, wstanę z grobu i porachuję się z nim.

— Niechże się mama uspokoi — powiedział Villefort — boć ta egzaltacja graniczy niemal z szaleństwem. Kogo raz ułożą w grobie, ten już się nigdy nie zbudzi.

— Tak, tak, uspokój się, babuniu — prosiła Walentyna.

— A ja ci mówię, panie zięciu, że się grubo mylisz. Miałam dziś sen okropny: widziałam siebie samą we śnie — a dusza moja unosiła się już nad moim ciałem; starałam się otworzyć oczy, ale one kleiły mi się same; a jednak wiem, że wyda wam się to niemożliwe, a zwłaszcza tobie, mój panie zięciu, widziałam, mimo zamkniętych oczu, jak stamtąd, z drzwi wiodących do gotowalni pani de Villefort, wynurzyło się bezszelestnie białe widmo. Walentyna krzyknęła.

— Była mama w malignie — ozwał się Villefort.

— Możesz pan wątpić, skoro ci się podoba, ale jestem pewna tego, co mówię; zobaczyłam białe widmo. A Bóg obawiał się jakby, żebym nie zaprzeczyła świadectwu tylko jednego z moich zmysłów, posłyszałam bowiem jeszcze, jak przesunęła się szklanka, o, ta, na stoliku.

— Babuniu, ależ to był tylko sen.

— Wcale nie, bo kiedy szarpnęła sznur dzwonka, widmo znikło, a pokojowa weszła ze światłem.

— I nie widziała babcia nikogo?

— Widma pokazują się tylko tym, którym ukazać się winny: był to cień mojego męża. Owóż, jeśli dusza mojego męża przyszła, żeby mnie wezwać, czemuż moja dusza nie miałaby tutaj powrócić,

gdybym zechciała bronić wnuczki? Wydaje mi się, że między mną a Walentyną istnieje więź jeszcze bardziej bezpośrednia.

— Niechże mama nie daje się ponosić takim cmentarnym myślom — rzekł Villefort, poruszony mimo woli do głębi. — Zamieszka mama u nas i długo jeszcze będzie mama szczęśliwa, szanowana, kochana; postaramy się, żeby mama zapomniała...

— Przenigdy! — zawołała margrabina. — Kiedy wraca pan d'Epinay?

— Spodziewamy się go lada chwila.

— To dobrze, proszę uwiadomić mnie, jak tylko przybędzie. Spieszmy się, spieszmy! Ponadto chciałabym się zobaczyć z rejentem, aby upewnić się, czy cała nasza fortuna przypadnie Walentynie.

— O, babuniu — szepnęła Walentyna, całując panią de Saint-Méran w rozpalone czoło — czyżbyś chciała mnie zabić? Toć ty masz gorączkę! Nie rejenta trzeba wezwać, ale doktora!

— Doktora? — tu staruszka wzruszyła ramionami. — Przecież nic mi nie jest. Chce mi się pić, i basta.

— A co masz, babciu, do picia?

— Oranżadę, jak zawsze, wiesz przecież. Szklanka jest tam, na stoliku; podaj mi, ją Walentyńko.

Walentyna nalała lemoniady z karafki do szklanki i podała ją babce z niejakim' lękiem, gdyż była to ta sama szklanka, której — jak utrzymywała pani de Saint-Méran — dotknęło widmo.

Margrabina wypila duszkiem całą szklankę.

I przewróciwszy się na drugi bok, powtarzała:

— Wezwijcie rejenta... Wezwijcie rejenta...

Pan de Villefort wyszedł, Walentyna usiadła przy łóżku. Biedactwo namawiało babkę na doktora, a potrzebowało go samo.

Miała silne wypieki, oddech przyspieszony i urywany, a puls jej bił jak w gorączce.

Myślała bowiem, w jaką rozpacz wpadnie Maksymilian, dowiedziawszy się, że pani de Saint-Méran, zamiast mu sprzyjać, działa na jego szkodę.

Walentyna nieraz już chciała wyznać wszystko babce, a nie wahałaby się ani przez moment, gdyby Maksymilian nazywał się nie Morrel, ale de Château-Renaud czy de Morcerf; lecz Morrelowie pochodzili z ludu, Walentyna zaś wiedziała, jak pyszna margrabina de Saint-Méran gardziła każdym, kto nie miał szlacheckiego klejnotu.

Miłosny sekret Walentyny spoczywał tedy od początku na dnie jej serca, miała bowiem smutną pewność, że i tak wyjawiliby go bez potrzeby, gdyby wyjawić zechciała, jeśli zaś dowiedzieliby się o nim państwo de Villefort, wszystko byłoby stracone.

Minęły tak dwie godziny.

Pani de Saint-Méran spała snem gorączkowym, niespokojnym.

Lokaj oznajmił rejenta.

Chociaż uczynił to szeptem, pani de Saint-Méran uniosła się na wezglowiu.

— Rejent? — rzekła. — Niech wejdzie! Niech wejdzie! Rejent czekał u drzwi — wszedł.

— Zostaw nas samych, Walentyńko — powiedziała pani de Saint-Méran.

— Ależ, babciu...

— Idź już, idź.

Pocałowała babkę w czoło i wyszła, przyciskając chusteczkę do oczu.

W drzwiach spotkała lokaja, który oznajmił jej, że doktor czeka w salonie.

Walentyna zbiegła szybko po schodach.

Ów lekarz, od dawna zaprzyjaźniony z Villefortami, liczył się do medycznych sław epoki; Walentynę kochał jak córkę — był przy jej urodzeniu.

Miał też córkę, równolatkę Walentyny. Ale że doktorowa była suchotnicą, lękał się wciąż o życie swojego dziecka.

— O! — rzekła Walentyna — czekaliśmy na pana doktora z wielką niecierpliwością. Ale przede wszystkim, jak się miewają Magdusia i Antosia?

Magdusia była córką doktora d'Avrigny, Antosia zaś — synowicą. Doktor uśmiechnął się smętnie.

— Antosia jak najlepiej — odparł — Magdusia wcale dobrze. Ale czemuż to wezwałaś mnie, moja droga? Chyba państwo de Villefort czują się doskonale... A ty, choć, jak widzę, nie umiesz się uładzić

z nerwami, też właściwie nie potrzebujesz mojej rady. Powiem ci najwyżej, abyś nie folgowała zbyt imaginacji.

Walentyna zaczerwieniła się.

Pan d'Avrigny miał niemal cudowny dar odgadywania — jak i wszyscy lekarze, którzy kurując ciało, zabierają się najpierw do duszy pacjenta.

— Wezwałam pana doktora do mojej biednej babci. Wie pan już o nieszczęściu, jakie ją spotkało?

— Nic nie wiem.

— Dziadek zmarł — rzekła Walentyna — tłumiąc łzy:

— Pan de Saint-Méran?

— Tak.

— Nagle?

— Na piorunującą apopleksję.

— Apopleksję? — powtórzył doktor.

— Tak, a biedna babcia jest przekonana, że zaraz połączy się z mężem, bo nigdy się z nim nie rozstawała. Utrzymuje, że ją wzywa. Niechże się pan doktor zaopiekuje biedaczką!

— A gdzież ona?

— U siebie w pokoju; z rejentem.

— A jak się miewa pan Noirtier?

— Nic się nie zmieniło: wyborna jasność umysłu, ale wciąż ten sam bezwład i ta sama niemota.

— I ta sama miłość do ciebie, nieprawdaż, moja duszko?

— A tak — westchnęła Walentyna — dziadzio bardzo mnie kocha.

— A któż by ciebie nie kochał? Walentyna uśmiechnęła się smutno.

— Cóż dolega twojej babci?

— Jest jakoś dziwnie podniecona, spała źle, miała osobliwy sen: utrzymywała rano, że we śnie dusza jej unosiła się nad ciałem, że widziała samą siebie uśpioną — oczywiście mając przy sobie gorączkę; utrzymuje, że widmo wsunęło się do jej pokoju i że hałasowało trącając szklanke.

— Osobliwe. Nie wiedziałem, że pani de Saint-Méran ulega halucynacjom.

— Zdarzyło jej się to chyba po raz pierwszy; bardzo się o nią wylękałam, myślałam, że jest niespełna rozumu; przecież pan doktor zna mojego ojca: umysł ma niezwykle trzeźwy, a i na nim wywarło to silne wrażenie.

— Zobaczmy; to, co mi opowiesz, wydaje się dziwne. Rejent wychodził właśnie od pani de Saint-Méran. Oznajmiono Walentynie, że u jej babki nie ma już nikogo.

— Niech pan doktor idzie na górę — rzekła.

— A ty?

— Ja się boję. Zabroniła mi posłać po pana. A zresztą, jak pan powiedział, sama jestem zdenerwowana, rozgorączkowana, nieswoja — przejdę się więc po ogrodzie: to mi dobrze zrobi.

Doktor uściskał dłoń Walentyny i poszedł do pani de Saint-Méran. Walentyna tymczasem zbiegła po stopniach ganku.

Wiedząc już, którą część ogrodu ulubiła sobie.

Zazwyczaj kręciła się przy klombach otaczających dom, a potem, zerwawszy różę, którą zatykała sobie za pasek albo wpinała we włosy, zapuszczała się w cieniłą aleję zdążając do ławki, a następnie do bramy.

I tym razem Walentyna pokręciła się wśród kwiatów, lecz nie zerwała ani jednego.

Nosiła żałobę w sercu, choć nie miała jeszcze na sobie żałobnej sukienki — dlatego nie chciała się niczym przystroić.

Skierowała się ku swojej alei.

Gdy się w nią zapuściła, wydało jej się, że ktoś ją woła po imieniu.

Przystanąła zdziwiona.

Usłyszała tedy głos ów wyraźnie: to wzywał ją Maksymilian.

35. OBIETNICA

Był to rzeczywiście Morrel. Przechodził od wczoraj katusze.

Instynkt, właściwy matkom i zakochanym, szepnął mu, że powrót pani de Saint-Méran i śmierć margrabiego pociągną za sobą skutki ważne dla miłości, jaką darzył Walentynę.

Przekonamy się, że nie myliły go przeczucia. Co innego tedy, a nie zwykły niepokój, wiodło go pod bramę ocienioną kasztanami; siedł tam wylękniony i drżący.

Walentyna nie wiedziała, że Morrel będzie na nią czekał, bo i nigdy nie zjawiał się o tej porze. Prostny więc przypadek, a jeśli wolicie — sympatia, poprowadził ją do ogrodu.

Kiedy ukazała się, Morrel zawołał, a ona podbiegła do bramy.

— Nie spodziewałam się, że przyjdiesz teraz — rzekła.

— Ano cóż, moje biedactwo, mam złe nowiny i przynoszę ci je.

— Posypały się nieszczęścia! Mów, Maksymilianie. Ale, co prawda, dość już napiłam się goryczy.

— Droga Walentyno — powiedział Morrel, usiłując panować nad wzburzeniem. — Słuchaj uważnie, proszę, bo każde twoje słowo będzie miało swój doniosły sens. Kiedy chcą cię wydać za mąż?

— Nic, Maksymilianie, ukrywać przed tobą nie będę. Dziś rano była mowa o moim mariażu, a babka, na którą liczyłam jak na samą siebie, nie tylko opowiedziała się za nim, ale pragnie go tak dalece, że całą rzecz opóźnia już tylko nieobecność pana d'Epinay. Kontrakt ma być podpisany na drugi dzień po jego przyjeździe.

Maksymilian westchnął ciężko i z głębokim smutkiem popatrzył na Walentynę.

— A tak — podjął cicho — to straszne, kiedy ukochana kobieta mówi spokojnie: „Wyznaczono już termin twojej kaźni, odbędzie się ona za parę godzin; ale trudno, tak być musi, nie zamierzam się tedy sprzeciwić”. No tak; dowiedz się więc, że już nikt nie czeka na pana d'Epinay — dziś rano przyjechał do Paryża; jutro podpiszecie kontrakt i już będziesz po słowie. Walentyna krzyknęła.

— Godzinę temu byłem u hrabiego de Monte Christo; rozmawialiśmy: on mówił o żałobie, jaka nawiedziła wasz dom, a ja o twoim strapieniu, gdy nagle zajechała karetą. Nie wierzyłem dotąd w przeczucia, ale od dziś uwierzyć muszę. Kiedy bowiem zaturkotała, przebiegł mnie dreszcz; po chwili usłyszałem kroki na schodach. Przeraziłem się ich bardziej, niżli don Juan zląkł się dudniących kroków komandora. Drzwi się otwierają wreszcie; wchodzi Albert de Morcerf — myślałem przeto, żem się pomylił, że coś mi się uroiło; ale za Albertem wchodzi drugi młodzieniec, a hrabia woła: — „A! Baron Franz d'Epinay!” Zebrałem wszystkie siły, całą odwagę, żeby nie stracić kontenansu. Może zbladłem, może zdrząłem; alem na pewno się uśmiechał. A jednak przez pięć minut nie rozumiałem o czym w ogóle mówiono, a po pięciu minutach wyszedłem zdruzgotany.

— Biedaku! — szepnęła Walentyna.

— I przyszedłem tutaj. Odpowiedz mi teraz, pamiętając, że od twojej odpowiedzi zależy moje życie. Co myślisz uczynić?

Walentyna spuściła głowę; była przygnębiona.

— Toż — ozwał się znów Morrel — nie po raz pierwszy zastanawiasz się nad naszym położeniem; jest poważne, ciężkie, a teraz nadszedł moment ostatecznej decyzji. W tej chwili nie wolno nam się pograżać w jałowej boleści; to dobre dla tych, co lubią cierpieć i poić się własnymi łzami. Bo istnieją i tacy, a Bóg z pewnością nagrodzi im w niebie wszelkie wyrzeczenia na ziemi; ktokolwiek jednak walczyć pragnie, nie traci cennego czasu i paruje z miejsca wszelkie ciosy, jakie zadaje mu los. Czy wola twoją, Walentyno, jest walczyć ze złym losem? Odpowiedz, bo po tom przyszedł.

Walentyna zdrząła. Spojrzała na Morrela z przerażeniem.

Nie przyszło jej na myśl, żeby stawić opór ojcu, babce, słowem — rodzinie.

— Nie rozumiem cię, Maksymilianie — rzekła. — Co właściwie nazywasz walką? Och! Walka byłaby to świętokradcza! Jakże mogłabym się sprzeciwić rozkazowi ojca i życzeniu umierającej babki? To niemożliwe!

Morrel uczynił nieokreślony gest.

— Masz serce nazbyt szlachetne, drogi Maksymilianie, abyś mnie nie rozumiał. Rozumiesz mnie tak dobrze, że pozostało ci tylko milczenie. Ja miałabym walczyć? Zachowaj Boże! Nie, nie; zbiorę wszystkie siły, aby walczyć z sobą i aby, jak mówisz, poić się własnymi łzami. Nigdy nie sprawię ojcu przykrości i nie zamączę ostatnich chwil mojej babki!

— Masz oczywiście rację — odparł z flegmą Morrel.

— Jakimż ty to powiedziałaś tonem! — zawołała zraniona do żywego.

— Tonem, jakim winien przemawiać ktoś, kto panią uwielbia.

— Panią! Panią! — rozeźliła się Walentyna. — Egoista! Widzi moją rozpacz, a udaje, że mnie nie rozumie!

— Przeciwnie; myli się pani, rozumiem ją doskonale. Nie chce pani sprzeciwiać się ojcu, chce pani okazać posłuszeństwo margrabinie i jutro podpisze pani swój kontrakt ślubny.

— O Boże! A cóż ja mogę zrobić innego?

— Zapytaj pani o to kogo innego, bo ja jestem złym sędzią tej sprawy i zaślepia mnie egoizm — odparł Morrel; głos jego brzmiał głucho; zacisnął pięści. Świadczyło to, iż ogarnia go coraz większa desperacja.

— A co byś mi zaproponował, Maksymilianie, gdybyś sądził, że jestem skłonna cię usłuchać? Odpowiedz mi, proszę. Nie sztuka powiedzieć: „złe robisz”. Trzeba dać radę.

— Czy mówisz poważnie, Walentyno, i czy naprawdę mam ci dać radę?

— Oczywiście, drogi Maksymilianie, a jeśli rada będzie dobra, zastosuję się do niej; wiesz doskonale, że jestem wierna swoim uczuciom.

— Walentyno — odrzekł Morrel, wrywając obłuzowaną deskę — daj mi rękę na znak, żeś wybaczyła mi mój gniew; w głowie mi się maści, od godziny kłębią się w niej najniedorzeczniejsze pomysły. Ach! Bo jeśli odrzucisz moją radę...

— Ale co mi radzisz?

— Posłuchaj, Walentyno...

Walentyna westchnęła, wznosząc ręce do nieba.

— Jestem niezależny i bogaty za nas dwoje; przysięgam ci, że zostaniesz moją żoną, nim ośmielę się pocałować cię w czoło. Chodź ze mną, zaprowadzę cię do mojej siostry: jest ona godna zostać twoją szwagierką; uciekniemy do Algieru, do Anglii albo do Ameryki. A może, gdybyś wolała, schronimy się gdzieś na prowincji i będziemy tam czekać, póki twoja rodzina nie zgodzi się na nasz związek. Wtedy wrócimy do Paryża..

Walentyna potrząsnęła przecząco głową.

— Spodziewałam się takiej propozycji; to rada szaleńca, a ja byłabym jeszcze bardziej szalona niż ty, gdybym nie odrzuciła jej natychmiast, mówiąc: niemożliwe.

— Pogodzisz się więc z losem, nie próbując nawet z nim walczyć? — zapytał posępnie Morrel.

— Tak, choćbym miała to przyplacić życiem.

— Ano cóż, Walentyno, powiem raz jeszcze, że masz rację. Tak, jestem szaleńcem, a ty mi dowiodłaś, że miłość zaślepia ludzi najbardziej zrównoważonych. Dziękuję ci — tobie, która rozumiesz beznamiętnie. Niech i tak będzie. Sprawa jest jasna: jutro zwiążesz się na całe życie z panem d'Epinay, a nie będzie to formalność wynaleziona przez autorów dramatycznych (trzeba przecież zawsze jakoś zakończyć komedię), formalność zwana podpisaniem intercyzy ślubnej, ale fakt, na który zgodzisz się z własnej i nieprzymuszonej woli.

— Znowu przywodziś mnie do rozpacz, znów obracasz mi nóż w ranie. A co byś zrobił, gdyby twoja siostra zastosowała się do podobnej rady?

— Panno Walentyno — odparł Morrel z gorzkim uśmiechem — jestem egoistą, a jako egoista nie zastanawiam się, co w moim położeniu robiliby inni, obchodzi mnie tylko to, co ja mam zrobić. Posłuchaj tedy, pani, co myślę: znam cię od roku; w dzień naszego poznania uzależniłem całe moje szczęście od twojej miłości; nadszedł taki dzień, kiedy powiedziałaś mi pani, że mnie kochasz; tego dnia uzależniłem całe swoje życie od naszego małżeństwa — stało się ono dla mnie życiem. A teraz o niczym już nie myślę. Powiadam sobie tylko, że odwróciła się karta; zdawało mi się, że dostałem się do nieba — a teraz mnie stamtąd wypędzono. Często się zdarza, że gracz traci nie tylko to, co ma, lecz i to, czego nie posiada.

Morrel wypowiedział te słowa z absolutnym spokojem.

Walentyna spojrzała nań badawczo i spuściła oczy — nie chciała dopuścić, aby Morrel wyczytał z nich, jak wielka niepewność nurtowała ją w głębi serca.

— Ależ cóż uczynić zamierzasz? — spytała.

— Będę miał zaszczyt pożegnać panią. Bóg mi świadkiem, a słyszy on moje słowa i czyta w moim sercu, że pragnę, abyś miała życie spokojne, szczęśliwe i pełne, czyli takie, w którym nigdy nie potrzebowałabyś mnie wspominać.

— Och! — westchnęła cicho Walentyna.

— Żegnaj, Walentyno, żegnaj! — powiedział Morrel kłaniając się.

— Dokąd idziesz? — zawołała i wysunawszy rękę przez okratowanie, chwyciła Maksymiliana za połę. Zrozumiała, że spokój ukochanego był tylko pozorny. — Dokąd idziesz?

— Odchodzę, nie chcąc przyprawiać o dalsze kłopoty twojej rodziny, odchodzę, aby dać przykład wszystkim ludziom uczciwym i wiernym, którzy mogliby się znaleźć w moim położeniu.

— Zanim opuścisz mnie, powiedz mi, co uczynić zamierzasz. Młodzieniec uśmiechnął się smutno.

— O, powiedz, powiedz, błagam! — zawołała Walentyna.

— Czyżbyś odmieniła postanowienie?

— Nie mogę, mój biedaku, wiesz o tym doskonale!

— A więc żegnaj, Walentyno!

Walentyna wstrząsnęła bramą tak mocno, że nikt nie posądziłby tej dziewczyny o tyle siły, a przesunawszy ręce przez kratę, splotła je i załamała.

— Co zamierzasz uczynić? — zawołała. — Muszę to wiedzieć! Dokąd idziesz?

— O, bądź spokojna — odparł Maksymilian, zatrzymując się o trzy kroki od bramy — nie zamierzam uczynić nikogo odpowiedzialnym za okrucieństwo, jakie los mi okazał. Kto inny zagroziłby ci, że wyzwie pana Franza na pojedynek; ale byłoby to niedorzecznością. Cóż pan Franz zawinił temu wszystkiemu? Ujrzał mnie dziś po raz pierwszy i już zapomniał o tym, nie wiedział nawet o moim

istnieniu, kiedy wasze dwa rody porozumiewały się w sprawie waszego małżeństwa. Nie mam tedy pretensji do pana Franza i przysięgam ci, że nie będę szukał z nim zaczepki.

— Do kogóż więc będziesz miał pretensje? Do mnie?

— Do ciebie? A niechże mnie Bóg bron! Kobieta, którą kocham, jest dla mnie świętością!

— A więc do siebie... O, biedaku!... — westchnęła.

— Zawiniłem, nieprawdaż?

— Maksymilianie, podejdź tu, żądam tego.

Morrel zbliżył się, uśmiechnięty łagodnie. Gdyby nie bladość, nikt by się nie domyślił, jak bardzo jest wzburzony.

— Posłuchaj mnie, moja najdroższa, ubóstwiana Walentyno — ozwał się głosem poważnym i jak zwykle melodyjnym — ludzie tacy jak my, ludzie, co nigdy dotąd nie powzięli myśli, za którą musieliby się rumienić przed światem, rodziną i Bogiem, ludzie tacy mogą czytać wzajemnie w swoich sercach. Nie wpadałem nigdy w egzaltację miłosną, nie jestem melancholijnym kochankiem, nie pozuję ani na Manfreda, ani na Anthony'ego; nie mówiąc wiele, nie składając zapewnień i przysięg, oddałem ci życie; opuszczasz mnie — i słusznie czynisz: powiedziałem ci to i powtarzam, ale tak czy inaczej, porzucasz mnie, a życie traci dla mnie wszelką wartość. Z chwilą, kiedy odejdziesz, zostanę sam na tym świecie. Moja siostra żyje szczęśliwie przy boku męża; ów mąż jest dla mnie tylko szwagrem, to znaczy łączy nas jedynie konwenans towarzyski. Nikomu więc na świecie nie jestem potrzebny, moje istnienie staje się bezużyteczne. Oto, Walentyno, co zamierzam uczynić: będę czekał do ostatniej chwili, póki nie wyjdiesz za mąż, nie chcę bowiem tracić cienia owej niespodzianej szansy, którą czasami zachowuje dla nas przypadek — może pan d'Epinay umrze nagle; w momencie, gdy będziesz podchodzić do ołtarza, kto wie, czy piorun nie trzaśnie w ołtarz; skazanemu na śmierć wszystko wydaje się możliwe — zaczynamy wierzyć w cuda, kiedy idzie o nasze zagrożone życie. Zaczekam więc, jak ci powiedziałem, do ostatniej chwili, a kiedy klamka zapadnie, napiszę dwa poufne listy, jeden do szwagra, a drugi do prefekta policji, listy, w których uwiadomię ich o moim zamiarze, i gdzieś w głębi lasu, nad rowem lub nad rzeką, palnę sobie w łeb, jakem syn najuczciwszego człowieka we Francji.

Walentyną wstrząsnął konwulsyjny dreszcz.

Puściła kratę, ręce opadły jej bezwładnie, z policzków stoczyły się dwie grube łzy.

Maksymilian stał posępny i pełen zdecydowania.

— O, litości! Litości! — zawołała. — Nie uczynisz tego, prawda?

— Uczynię. Klnę się honorem. Ale cóż cię to właściwie obchodzi? Spełnisz swój obowiązek, będziesz miała spokojne sumienie.

Walentyna padła na kolana i chwyciła się za serce, jakby miało jej pęknąć.

— Maksymilianie — rzekła — mój przyjacielu, mój bracie tu na ziemi, a przed Bogiem małżonku, błagam, weź przykład ze mnie: żyj cierpiąc, a może połączymy się kiedyś.

— Żegnaj, Walentyno — powtórzył Morrel.

— Jesteś, mój Boże, świadkiem — zawołała Walentyna, wznosząc przepięknym gestem ręce do nieba — żem uczyniła wszystko, co uczynić winnam, aby pozostać posłuszną córką: prosiłam, błagałam, zaklinałam; nie wysłuchał ani moich próśb, ani błagań; nie baczył na łzy. A więc — mówiła otarliśy łzy i całkiem już opanowana — wolę umrzeć ze wstydu niżli ze zgryzoty. Będziesz żył, Maksymilianie, a ja będę tylko twoja: Kiedy ma się to stać? W jakim momencie? Czy zaraz? Powiedz. Rozkazuj. Jestem gotowa.

Morrel, który oddalił był się znów o kilka kroków, zawrócił — i poblądwszy ze szczęścia, z sercem bijącym radością wyciągnął ręce przez kraty.

— Nie tak do mnie mówić trzeba, Walentyno najdroższa — rzekł — albo pozwól mi umrzeć. Czemuż miałbym cię zawdzięczać porwaniu, jeśli kochasz mnie miłością równą mojej? Chcesz, powodowana ludzkim uczuciem, abym żył, ot i wszystko. A w takim razie wolę umrzeć.

— Ale właściwie, któż mnie kocha na tym świecie? — szepnęła Walentyna. — On. Kto mnie pocieszał w każdej boleści? On. W kim cała moja nadzieja? W nim. Na kim spoczął mój zbłąkany wzrok? Na nim. Gdzie ucieczka dla mojego skrwawionego serca? W nim, zawsze w nim. Tak, teraz ty z kolei masz rację, Maksymilianie, pójdę za tobą, porzucę dom rodzinny, porzucę wszystko. Och, jakaż ze mnie niewdzięcznica! — rozszlochała się. — Zapomniałam o wszystkim, nawet o moim dobrym dziadzi!

— Nie opuścisz go. Mówiłaś mi kiedyś, że pan Noirtier darzy mnie jakby sympatią. A więc, nim uciekniesz, wyznasz mu wszystko; zgoda dziadka będzie ci usprawiedliwieniem wobec Boga; a kiedy się pobierzemy, zamieszka u nas: będzie miał dwoje wnucząt, a nie jedno. Opowiadałaś mi, w jaki sposób się porozumiewacie, nauczę się tego wzruszającego języka. O, Walentynko, przysięgam ci, że czeka nas nie rozpacz, ale szczęście.

— O widzisz, widzisz, Maksymilianie, jak wielką masz nade mną władzę: uwierzyłam już niemal w to, coś powiedział, choć mówiłeś mi rzeczy szalone, bo mój ojciec mnie wyklnie; znam go, nieugięte ma serce, nigdy mi nie przebaczy. Posłuchaj więc; jeśli fortelem, prośbą albo spowodowawszy jakiś wypadek, czy ja wiem zresztą... no, jeśli jakimkolwiek sposobem zdołam opóźnić to małżeństwo, zaczekasz na mnie?

— Tak. Przysięgam ci, jak i ty przysięgasz, że to fatalne małżeństwo nigdy nie dojdzie do skutku. Choćby cię powleczono przed urzędnika albo księdza, powiesz: Nie!

— Przysięgam, Maksymilianie, na największą świętość: na pamięć mojej matki.

— A więc zaczekamy.

— Tak, zaczekamy — rzekła Walentyna, odetchnąwszy lżej na te słowa. — Niejedna nadarzy się nam okazja, która ocali nas, nieszczęśliwych.

— Polegam na tobie, Walentyno: cokolwiek byś uczyniła, słuszne będzie; ale jeśli nic nie wskórasz prośbami, jeśli twój ojciec i pani de Saint-Méran zażądają, aby pan d'Epinay przybył jutro i podpisał intercyzę...

— Dałam ci słowo.

— Zamiast więc podpisać...

— Zamiast więc podpisać, schronię się do ciebie i uciekniemy razem. Ale teraz jeszcze nie kuśmy losu; przestańmy się na jakiś czas widywać: to cud albo zrządzenie Opatrzności, że nas dotąd nie przyłapano; bo gdyby nas przyłapano, gdyby poznano tajemnicę naszych spotkań wszystko byłoby stracone.

— Masz rację, ale jak się dowiem?...

— Od reagenta Deschamps.

— To mój znajomy.

— I ode mnie, napiszę do ciebie. Wierz mi, Maksymilianie, na Boga, że małżeństwo to byłoby okropne tak dla mnie, jak i dla ciebie.

— Dobrze już, dobrze; dziękuję, Walentynko ukochana! A więc umowa stanęła: na twój znak przybiegam o oznaczonej godzinie, wejdiesz na mur i skoczysz w moje ramiona — nic łatwiejszego; powóz będzie czekał u bramy ogrodu, wsiądziemy razem, zawiozę cię do mojej siostry; tam, jeśli ci się spodoba, pozostaniemy w ukryciu albo, świadomi naszej siły i zamiarów, zrobimy skandal; nie damy się zarznąć niby jagnięta, które beczą tylko za całą obronę.

— Niech tak będzie. Teraz ja z kolei powiem ci, Maksymilianie: cokolwiek byś uczynił, uczynisz dobrze.

- Och!
- No i cóż, kontent jesteś ze swojej żony? — zagadnęła smętnie.
- Walentyńko najdroższa, to mało powiedzieć, zem kontent.
- Powiedz, powiedz!...

Walentyńka zbliżyła usta do kraty, a wonne tchnienie przekazało słowa ustom Maksymiliana, który przywarł wargami do zimnej nieubłaganej przegrody.

- Do widzenia — rzekła Walentyńka, wrywając się swojemu szczęściu.
- Napiszesz?
- Tak.
- Dziękuję, ukochana żono. Do widzenia.

Niewinny leciutki pocałunek — i Walentyńka uciekła biegnąc pod lipami.

Morrel słuchał, jak przez chwilę jeszcze szeleściła jej suknia, ocierając się o grabowy szpaler, a trzewiczki skrzypiały na piasku alei. Potem wznosił oczy do nieba i uśmiechnął się promiennie, dziękując Bogu, iż Walentyńka obdarowała go tak wielką miłością. Oddał się zaraz.

Wróciwszy do domu, czekał do wieczora, czekał cały dzień następny — lecz nie otrzymał żadnej wiadomości.

Trzeciego dnia, około dziesiątej rano, kiedy wybierał się już do rejenta Deschamps, listonosz doręczył mu jakiś bilecik. Odgadł, że napisała go Walentyńka, choć nie znał charakteru jej pisma. A oto, co mu donosiła:

*Łzy, prośby, błagania nie odniosły żadnego skutku.
Spędziłam wczoraj dwie godziny w kościele Saint-Philippe du
Roule, zanosząc gorące modły do Boga.
Ale Bóg jest bezlitosny, tak samo jak i ludzie: intercyza ma być
podpisana dziś o dziewiątej wieczór.
Nie łamię nigdy słowa, nie odmieniam nigdy uczuć: dałam Ci słowo
i oddałam serce.
Dziś więc, za kwadrans dziewiąta, u bramy.
Twoja żona Walentyńka
P.S. Moja biedna, babcia czuje się coraz gorzej. Wczoraj
rozgorączkowanie jej przeszło w malignę, a dziś owa maligna granicy
z szaleństwem.
Spodziewam się, że dzięki Twojej gorącej miłości zapomnę, iż
opuściłam ciężko chorą staruszkę, prawda?
Zdaje się, że ukrywają przed dziadkiem, iż intercyza ma być
podpisana dziś wieczór.*

Morrel nie zadowolił się wieściami od Walentyńki.

Poszedł do rejenta. Deschamps potwierdził słowa listu Walentyńki: intercyzę miano podpisać o dziewiątej wieczór.

Za czym odwiedził Monte Christa.

I tutaj dowiedział się najwięcej.

Franz był u hrabiego, aby oznajmić mu o tym uroczystym fakcie.

Ze swej strony pani de Villefort napisała do Monte Christa tłumacząc się, iż go zaprosić nie może — ale żaloba po panu de Saint-Méran i stan zdrowia margrabiny spowijają to zebranie atmosferą smutku, który mógłby udzielić się hrabiemu. Prokuratorowa zaś życzy mu jedynie szczęścia i chwil radosnych.

Poprzedniego dnia Franz został przedstawiony pani de Saint-Méran. Margrabina wstała z łóżka, wyszła, by powitać pana d'Epina, i położyła się znowu zaraz po prezentacji.

Zrozumiały niepokój Morrela nie uszedł oczywiście bystremu oku hrabiego — toteż Monte Christo okazywał młodzieńcowi większą serdeczność niż zazwyczaj, czym Maksymilian tak się rozczulił, iż o mało nie opowiedział hrabiemu wszystkiego.

Ale przypomniał sobie, iż złożył kiedyś Walentyńce w tym względzie solenną obietnicę — i sekretu swojego nie wyjawiał.

Odczytał w ciągu dnia ze dwadzieścia razy list od Walentyńki.

Napisała doń po raz pierwszy, i to w takich okolicznościach!

Za każdym razem, kiedy odczytywał ów list, ponawiał przysięgę, że uczyni Walentynę szczęśliwą.

Bo dziewczyna, która poweźmie decyzję tak odważną, zyskuje tym samym bezgraniczną władzę; a ten, dla którego się poświęciła, winien jej bezgraniczne oddanie!

Kochanek winien otaczać ją póki życia czcią niemal boską.

Jest kobietą i królową zarazem — jakże jej dziękować i jakże kochać ją trzeba.

Morrel myślał wzruszony do głębi o tym momencie, kiedy Walentyna zjawi się mówiąc:

— Jestem twoja.

Przygotował wszystko do ucieczki.

Ukrył w lucernie dwie drabiny. Kabriolet, którym miał sam powozić na miejsce, czekał już gotów. Nie zamierzał brać ze sobą lokaja ani zaświecić latarni. Umyślił zapalić je później, na zakręcie najbliższej ulicy, aby — z nadmiaru ostrożności — nie wpaść w ręce policji.

Chwilami przebiegał go nerwowy dreszcz.

Myślał o tej chwili, kiedy będzie pomagał Walentynie zejść z muru. Będzie tulił ją w ramionach drżącą i ufną — ją, której dłoń ścisnął tylko czasem i całował końce paluszków.

Po południu, kiedy zbliżała się krytyczna godzina, odczuł potrzebę samotności; krew mu kipiała, drażniły go zwykłe pytania, a nawet głos przyjaciela; zamknąwszy się u siebie, próbował czytać; ale nic nie rozumiał — wzrok jego prześlizgiwał się tylko po kartkach. Rzucił tedy książkę i jął rysować. po raz dziesiąty mur ogrodu, pole lucerny i dwie drabiny.

Zbliżyła się upragniona godzina.

Człowiek zakochany na zabój nie daje nigdy spokoju swoim zegarom.

Jakoż i Morrel dopóty je dręczył, dopóki o szóstej nie wskazywały pół do dziewiątej.

Uznał wtedy, że czas wyruszyć; co prawda intercyzę miano podpisać o dziewiątej, ale przypuszczalnie Walentyna nie zechce czekać, bo i po co?

Wyjechał więc z ulicy Meslay, gdy zegar jego wskazywał pół do dziewiątej — ale kiedy stanął u celu, zegar na wieży kościoła Saint-Philippe du Roule wydzwonił ósmą.

Kabriolet i konia zostawił za zrujnowanym domkiem, gdzie sam zwykł był się skrywać.

Zmrok zapadł wreszcie, gałęzie ogrodu zbiły się w masę nieprzeniknionej czerni, tu i ówdzie przeświecająca.

Wtedy Morrel opuścił kryjówkę i z bijącym sercem zajrzał przez szparę do ogrodu; nie było tam jeszcze nikogo.

Wybiło wpół do dziewiątej.

Pół godziny zeszło na czekaniu.

Morrel przechadzał się tam i z powrotem — i coraz częściej przytykał oko do szpary.

Mrok gęstniał w ogrodzie — Morrel daremnie wypatrywał białej sukienki, widocznej wśród ciemności, daremnie nasłuchiwał, czy nie rozlegną się kroki.

W domu, co przezierał spośród listowia, było ciemno. Nic nie wskazywało, aby miał zająć tu wypadek tak ważny jak podpisanie intercyzy ślubnej.

Dobyl zegarek i pocisnął sprężynę — zegarek wydzwonił trzy kwadranse po dziewiątej; ale w tejsze chwili zegar wieżowy naprawił błąd zegarka, bijąc pół do dziesiątej.

A więc Walentyna spóźniła się już przeszło pół godziny, zapowiedziała bowiem, że będzie raczej przed dziewiątą niż po dziewiątej.

Był to moment, w którym serce Maksymiliana ścisnęło się najboleśniej. Każda sekunda waliła w nie ołowianym młotem.

Szelest liści, szmer wiatru łudziły go co chwila — pot spływał mu z czoła; wreszcie drżąc ustawił drabinę i wsparł nogę na pierwszym jej stopniu.

I kiedy tak ogarniało go to zwątpienie, to znów powracała nadzieja, kiedy serce biło mu zbyt szybko, to znów się ścisnęło, zegar na kościele wydzwonił dziesiątą.

— O — szepnął zatrwożony — to niemożliwe, by podpisywanie kontraktu przeciągało się aż do tej pory, chyba że zaszły jakieś nieprzewidziane wypadki; zważyłem wszelkie szanse, obliczyłem czas, jaki winny trwać formalności: musiało się coś stać.

I teraz krążył niespokojnie pod bramą albo przykładał rozpalone czoło do zimnej kraty.

Czy Walentyna zemdląca, kiedy podpisywano kontrakt, czy też przeszkodzono jej w ucieczce?

Oba te przypuszczenia — jednakowo słuszne — mogły przywieść do rozpacz.

Pomyślał, że uciekająca Walentyna zemdląca gdzieś w alei, zbrakło jej bowiem sił.

— Jeśli tak — zawołał, wspinając się szybko na drabinę — utraciłbym ją przez własne niedbalstwo.

Demon, co podszeptał mu tę myśl, nie opuścił go już i brzęczał mu z uporem nad uszami. Upór ten sprawia, że po chwili niektóre nasze domniemania, wsparte logicznym argumentem, przechodzą w pewność.

Starał się przeniknąć wzrokiem ciemności coraz gęstsze — i wydało mu się, że ktoś leży w mrocznej alei.

Zawołał — nie bacząc na niebezpieczeństwo. W odpowiedzi wiatr przyniósł mu jakby niewyraźny jęk.

Na wieży wydzwoniło pól do jedenastej.

— Nie sposób czekać dłużej — wszystko już można było przypuszczać.

Krew pulsowała mu w skroniach, oczy co chwila zasnuwały się mgłą.

Stanąwszy na murze, zeskoczył do ogrodu.

Był u Villefortów — dostał się tu jak złodziej.

Pomyślał o skutkach, jakie mogła pociągnąć wyprawa tego rodzaju — ale się nie cofnął.

Skradał się jakiś czas pod murem i przesadziwszy aleję jednym susem, wśliznął się w kępę drzew.

Po chwili wynurzył się z przeciwnej ich strony.

Było stąd widać dom.

Upewnił się wtedy w swoich domniemaniach, które powziął był, gdy usiłował przeniknąć gąszcz wzrokiem. Okna nie jarzyły się światłami, jak to bywa w dni uroczystości rodzinnych: ujrzał jedynie szary masyw ginący w cieniu, bo księżyc, zniknął za potężną chmurą.

Światło to pojawiało się nagle, to gasło. W trzech oknach pierwszego piętra przesuwano się stale.

Był tam apartament pani de Saint-Méran.

Inne światło widniało nieruchomo za czerwonymi zasłonami.

Była tam sypialnia pani de Villefort.

Morrel domyślił się tego wszystkiego.

Co dzień, o każdej porze, towarzyszył myślą Walentynie. Walentyna tyle razy musiała rysować mu rozkład mieszkania, że znał ten dom, choć nie był w nim nigdy.

Półprzetymny, oszalały z bóleści, gotów porwać się na wszystko, żeby ujrzeć Walentynę i przekonać się o istotnym stanie rzeczy, Morrel wyszedł spośród zarośli i już miał przebiegnąć możliwie jak najszybciej trawnik całkowicie odsłonięty, kiedy nagle doleciały go z dala czyjeś głosy. Przyniósł je wiatr.

Cofnął się tedy o krok.

Wynurzył się już był na połę z listowia, a teraz ukrył się znowu i czekał nieruchomo, pogrążony w ciemności.

Powziął decyzję.

Jeśli to nadejdzie Walentyna, Morrel da znać jej o sobie, kiedy się zbliży; jeśli Walentynie będzie ktoś towarzyszył, zobaczy ją chociaż i przekona się, że nie spotkało jej żadne nieszczęście; jeśli to będą obcy, podsłucha może ich rozmowę i zrozumie coś z owej tajemnicy.

Księżyc wychylił się zza chmury. W drzwiach ganku stał Villefort z jakimś czarno ubranym mężczyzną.

Zeszli po schodach i skierowali się ku drzewom.

Nie uczynili jeszcze kilku kroków, kiedy w czarno odzianym mężczyźnie Morrel poznał doktora d'Avrigny.

Gdy się zbliżali, młodzieniec cofał się machinalnie, aż oparł się o pień sykomoru rosnącego pośrodku kępy drzew; musiał się tedy zatrzymać.

Po chwili piasek przestał skrzypiec pod stopami obu panów.

— Tak, tak, drogi doktorze — ozwał się Villefort — niebo na pewno przestało sprzyjać naszemu domowi. Co za straszna śmierć! Cios niespodziany! Nie staraj się pan mnie pocieszać. Nie ma pocieszenia w takim nieszczęściu: rana to zbyt bolesna i głęboka. Umarła! Umarła!

Maksymilian oblał się zimnym potem i zaszczękał zębami. Któż umarł w tym domu, który sam Villefort nazwał przeklętym?

— Drogi panie prokuratorze — odpowiedział doktor, a ton jego głosu przejął młodzieńca jeszcze większą trwogą — nie przyprowadziłem cię tutaj, żeby pocieszać: przeciwnie.

— Nie rozumiem — zląkł się Villefort.

— Widzi pan, za tym nieszczęściem kryje się inne, kto wie, czy nie gorsze.

— O Boże! — wyszeptał Villefort składając ręce — cóż mi pan powiesz jeszcze?

— Czy tu naprawdę nikt nas nie słyszy, drogi przyjacielu?

— Ależ oczywiście. Cóż mają znaczyć te środki ostrożności?

— To, że muszę panu zawierzyć rzecz straszną. Siądźmy. Villefort osunął się na ławkę.

Doktor stanąwszy przed nim oparł mu dłoń na ramieniu. Morrel, zmartwiały z przerażenia, przyciskał jedną ręką czoło, a drugą serce, aby stłumić jego bicie.

„Umarła, umarła” — powtarzał w myśli, a serce o mało mu nie pękło. Myślał, że i jego chwile są policzone.

— Niechże doktor mówi, słucham — powiedział Villefort. — Jestem gotów na każdy cios.

— Pani de Saint-Méran była już leciwa, ale cieszyła się wybornym zdrowiem. Morrel odetchnął po raz pierwszy od kilku minut.

— Zgryzota ją zabiła — odparł Villefort — na pewno, doktorze. Nie rozstawała się z mężem prawie od lat czterdziestu!...

— Nie zgadzam się z drogim panem. Zgryzota może zabić, choć to wypadek rzadki; ale nie zabija ani w dzień jeden, ani w godzinę, ani w dziesięć minut.

Villefort nic nie odrzekł. Podniósł tylko głowę, którą dotychczas miał spuszczoną, i spojrzał z przerażeniem na doktora.

— Byłeś pan przy agonii? — spytał doktor.

— Oczywiście; szepnąłeś mi pan przecie, żebym się nie oddalał.

— Zauważyłeś pan objawy choroby, która zabiła panią de Saint-Méran?

— Margrabina miała trzy ataki w odstępach kilkuminutowych, coraz silniejsze, przy czym przerwa między pierwszym a drugim atakiem była dłuższa niż między drugim a trzecim. Kiedy pan przyjechał, pani de Saint-Méran od paru już minut dyszała ciężko; miała wtedy atak, który wziąłem za zwykły atak nerwowy; przeraziłem się na serio dopiero w tym momencie, gdy siadła na łóżku wyprężona, z szyją zeszywniałą. Pojąłem wtedy z pańskiego wyrazu twarzy, że sprawa jest poważniejsza, niżbym przypuszczał. Kiedy atak minął, chciałem wyczytać coś z pańskich oczu, ale unikałeś pan mojego spojrzenia. Badałeś pan puls, liczyłeś tętno, nadszedł drugi atak, a pan nie zwróciłeś się w moją stronę. Ów atak był gwałtowniejszy od poprzedniego; powtórzyły się konwulsje, usta zsiniały i zacisnęły się. Skonała przy trzecim ataku. Podczas pierwszego ataku wniosłem, że to musi być tężec, a pan potwierdziłeś moje zdanie.

— Tak, bo mieliśmy świadków, a teraz jesteśmy sami.

— Na Boga! Co pan chcesz powiedzieć?

— To, że objawy tężca i zatrucia substancjami roślinnymi są identyczne. Pan de Villefort zerwał się na równe nogi; stał chwilę nieruchomy i milczący — i znów padł na ławkę.

— Na miły Bóg! Czy doktor zastanowił się nad swoimi słowami? — ozwał się. Morrel nie wiedział, czy to sen, czy jawa.

— Niech pan posłucha: wiem, jak ważne jest moje oświadczenie, i orientuję się dobrze, komu je składam — odparł lekarz.

— Sądownikowi czy przyjacielowi? — zapytał Villefort.

— W tej chwili przyjacielowi, wyłącznie przyjacielowi. Tężec i zatrucie substancjami roślinnymi dają objawy tak łudząco podobne, że — podkreślam to — zawahałbym się, gdybym miał podpisać oświadczenie. Powtarzam więc, że zwracam się do przyjaciela, a nie do sądownika. Otóż mówię przyjacielowi: agonია pani de Saint-Méran trwała trzy kwadransy, a ja przez ten czas obserwowałem wszystko: konwulsje... i sam moment śmierci. Toteż mogę powiedzieć nie tylko to, że pani de Saint-Méran została otruta; mogę określić również, jaka trucizna ją zabiła.

— Miarkuj się pan!

— Mój panie, stwierdziłem wszystkie symptomy: senność przerywana atakami nerwowymi, nadmierna ekscytacja czynności mózgu, a jednocześnie drętwota ośrodków nerwowych. Panią de Saint-Méran zabiła zbyt wielka doza brucyny albo strychniny, którą podano jej oczywiście przypadkiem albo przez pomyłkę.

Villefort chwycił dłoń doktora.

— To niemożliwe! O Boże! To sen! Zły sen! To straszne usłyszeć coś podobnego od takiego człowieka jak pan. Na miłość boską błagam, powiedz pan, drogi doktorze, że się chyba mylisz!

— Naturalnie, że mogę się mylić, ale...

— Ale?

— Ale nie sądzę, żebym się mylił.

— Niech doktor zlituje się nade mną; od paru dni spotykają mnie rzeczy tak niesłychane, że chyba zwariuję.

— Czy kto inny badał panią de Saint-Méran?

— Nie.

— Czy posłano do apteki jaką receptę, której bym nie zatwierdził?

— Nie.

— Czy margrabina miała wrogów?

— O ile wiem, to nie.

— Czy śmierć jej przyniosłaby komuś korzyść?

— Ależ nie! Z pewnością nie! Jediną jej spadkobierczynią jest Walentyna... O, gdyby tylko nawiedziła mnie taka myśl, pchnąłbym się sztyletem, aby ukarać moje serce, że w nim gościć mogła!

— Ależ, drogi przyjacielu, niechże mnie Bóg broni, bym oskarżał kogokolwiek, mówię tylko o przypadku, zechciej to zrozumieć, o pomyłce. Ale przypadek czy omyłka, mniejsza o to: faktem jest, że sumienie szepce mi o tej sprawie, domagając się, abym powiedział panu o niej głośno. Zbierz informacje.

— U kogo? W jaki sposób? O czym?

— No na przykład, czy stary Barrois nie pomylił się i nie zaniósł pani de Saint-Méran jakiegoś lekarstwa, które było przeznaczone dla jego pana.

— Dla mojego ojca?

— Tak.

— Ale jakże lek sporządzony dla mojego ojca mógłby otruć margrabinę?

— Nic łatwiejszego. Jak panu wiadomo, przy niektórych chorobach trucizna staje się lekarstwem; zalicza się do nich paraliż. I tak wypróbowałem wszelkie środki, aby panu Noirtierowi przywrócić mowę i zdolność poruszeń, zdecydowałem się jakie trzy miesiące temu na środek ostateczny; od trzech miesięcy kuruję go brucyną; a w skład ostatniego leku, jaki przepisałem, wchodziło jej sześć centygramów; sześć centygramów brucyny nie podziało na sparaliżowane członki pana Noirtier — przyzwyczał się zresztą do trucizny dozowanej ostrożnie — ale porcja ta wystarczyłaby, żeby zabić kogo innego.

— Drogi doktorze, żadne drzwi nie łączą apartamentu mojego ojca z apartamentem mojej teściowej, a poza tym Barrois nigdy do niej nie wchodził. I jeszcze jedno: poczytuję pana za najmędrszego i najuczciwszego z lekarzy, słowo pańskie jest dla mnie w każdym wypadku przewodnikiem tak ważnym jak światło słoneczne, tu jednak, no cóż... — muszę kierować się tym oto pewnikiem: Errare humanum est .

— Drogi panie prokuratorze, czy ufa pan któremuś z moich kolegów tak samo jak mnie?

— Co pan masz na myśli? Dokąd zmierzasz?

— Wezwij go. Podzielę się z nim moimi spostrzeżeniami i dokonamy sekcji.

— I sądzisz pan, że znajdziecie ślady trucizny?

— Tego nie mówię. Stwierdzimy podrażnienie układu nerwowego, stwierdzimy, że margrabina cierpiała na dusznicę bolesną, a wtedy powiemy: drogi prokuratorze, jeśli ponosi tu winę czyjeś niedbalstwo, pilnuj swoich służących; jeśli nienawiść, strzeż się wrogów.

— O Boże! I to mi pan proponuje? — odpowiedział Villefort mocno przygnębiony. Jeśli przypuścimy do sekretu osobę trzecią, trzeba będzie wdrożyć śledztwo, a śledztwo w moim domu to rzecz nie do pomyślenia! A jednak — ciągnął prokurator, starając się opanować i popatrzyć z niepokojem na

lekarza — a jednak, jeśli pan sobie tego życzysz, jeśli żądasz absolutnie, zgadzam się. Kto wie, czy nie powinienem pchnąć tej sprawy właściwym torem; nakazuje mi to mój urząd. Ale, jak pan widzisz, zmartwiłem się okropnie: tak okrutna żaloba w domu, a po niej — skandal! Żona i córka nie przeżyją tego; a co do mnie, to, jak pan wiesz, nie mogłem osiągnąć swojego stanowiska i nie mogłem przez dwadzieścia pięć lat sprawować urzędu prokuratora królewskiego, nie narobiwszy sobie wrogów; jest ich wielu. Jeśli rzecz się rozejdzie, zatryumfują, będą skakać z radości, a mnie okryje hańba. Daruj mi, doktorze, te myśli światowe. Gdybyś pan był księdzem, nie odważyłbym się ich wyjawić; ale jesteś człowiekiem świeckim, znasz ludzi. Doktorze, doktorze, nic mi pan nie mówiłeś, prawda?

— Drogi panie — odparł doktor wstrząśnięty — przede wszystkim winienem postępować po ludzku. Uratowałbym panią de Saint-Méran, gdyby leżała to w możliwościach wiedzy; ale margrabina umarła, a ja mam obowiązki wobec żyjących. Pogrzebiemy więc ten sekret na dnię serc naszych. Zgodzę się, jeśli ktokolwiek odkryłby tajemnicę, żeby pomówiono mnie o nieuctwo. Ale szukaj pan niestrudzenie i z energią, bo kto wie, czy na tym się skończy... A kiedy znajdziesz winowajcę, powiem panu: jesteś sędownikiem, czyń, co zechcesz.

— O dzięki, dzięki, doktorze! — zawołał Villefort z niewystłowaną radością. — Nigdy nie miał lepszego przyjaciela.

I jakby w obawie, żeby d'Avrigny się nie rozmyślił, wstał i pociągnął go w stronę domu.

Oddalili się.

Morrel wytknął głowę spomiędzy krzaków, jak gdyby łaknął świeżego powietrza. Światło księżyca padło na jego twarz: był blady jak widmo.

— Bóg czuwa nade mną w sposób oczywisty, choć okrutny — rzekł do siebie — ale Walentyna? Czy biedactwo wytrzyma tyle cierpień?

To mówiąc spoglądał na okno o czerwonych zasłonach i na trzy okna o zasłonach białych.

W oknie o czerwonych zasłonach światło przygasło prawie całkiem.

Pani de Villefort zgasła lampę i na szyby padał jedynie blask lampki nocnej.

Ale za to ktoś otworzył trzy okna o białych zasłonach.

Na kominku paliła się świeca, słaby jej blask przeniknął na zewnątrz. Na balkonie ukazał się cień i oparł o balustradę. Po chwili znikł.

Morrel zadrżał.

Wydało mu się, że ktoś szlocha.

Nie byłoby nic dziwnego, gdyby ten człowiek odważny i silny uległ dziś, pod wpływem miłości i lęku — dwa to najmocniejsze z ludzkich uczuć — przywidzieniom.

Choć Walentyna nie mogła wypatrzeć Morrela w jego kryjówce, wydało mu się, iż ona to przyzywa go z okna.

Tak powiadał mu zmacony umysł, a powtarzało zakochane serce.

Biorąc za rzeczywistość to, co było omyłką, kierując się jednym z owych niezrozumiałych porywów młodości, wyskoczył z ukrycia i paroma susami — nie baczył, że przestraszy Walentynę, że ktoś go zobaczy albo Walentyna krzyknąwszy mimo woli zaalarmuje cały dom — przebieł trawnik, zalany światłem księżyca i podobny teraz do wielkiego białego jeziora, minął rząd skrzynek z drzewkami pomarańczowymi ustawiony wzdłuż domu, dotarł do stopni ganku, szybko wbiegł na nie i pchnął drzwi, które ustąpiły bez oporu.

Walentyna nie dostrzegła go.

Śledziła oczyma srebrny obłok sunący po lazurze. Obłok ów przypominał cień ludzki wznoszący się w niebo.

Poetyczna i egzaltowana, wyobraziła sobie, że to ulatuje dusza jej babki.

A tymczasem Morrel wszedł do sieni i namacał w ciemności poręcz schodów.

Dywany na schodach stłumiły odgłos kroków.

A zresztą Morrel był tak podniecony, że nie przeraziłby się, gdyby wyrósł przed nim pan de Villefort. Zdecydował już, co czynić i w takim wypadku.

Podszedłby do prokuratora, wyznał wszystko i poprosił, aby Villefort zechciał uznać miłość jego i Walentyny.

Morrel oszalał.

Szczęściem, nie napotkał nikogo.

Wtedy właśnie przydało mu się najbardziej to, że dzięki Walentynie znał plan domu.

Dotarł bez wypadku na piętro, a znajome szlochanie wskazywało mu dalszą drogę.

Światło padało przez szparę w uchylonych drzwiach, za drzwiami ktoś zawodził.

Pchnął te drzwi i wszedł.

W alkowie, pod białym całunem, który spowijał głowę i okrywał całe ciało, leżała nieboszczka, tym bardziej przerażająca dla Morrela, iż podsłuchiwał był sekretną rozmowę.

Przy łóżku klęczała Walentyna, wtuliwszy głowę w poduszki obszernej berzery. Drżała; co chwila wstrząsało nią szlochanie.. Nad głową zaplotła zeszywniałe ręce.

Odszedłszy od otwartego okna, modliła się głośno i tak serdecznie, że wzruszyłoby się serce z kamienia.

Z warg jej ulatywały szybko nie powiązane ze sobą i niezrozumiałe słowa, gdyż boleść rozpalonymi kleszczami ścisnęła ją za gardło.

Światło księżycy wślizgiwało się szparami w żaluzjach — bladł w nim płomień świecy, a cały ten obraz symbolizujący rozpacz nabierał żalobnych tonów.

Widok ten wstrząsnął Morrelem.

Nie odznaczał się przykładną nabożnością i niełatwo ulegał wrażeniom — ale Walentyna cierpiąca, zapłakana i załamująca ręce musiała wzruszyć go bardziej niż do głębi.

Westchnął i wyszeptał jej imię — a wtedy uniosła lico mokre od łez (lico „Magdaleny” Corregia) i zwróciła je ku niemu.

Nie okazała bynajmniej zdziwienia.

W sercu, które nabrzmiało straszliwym bólem, nie ma miejsca dla uczuć pośrednich.

Morrel wyciągnął rękę do ukochanej.

Walentyna nie tłumaczyła się, iż nie przyszła do ogrodu, a tylko wskazała babkę okrytą żalobnym całunem i rozszlochała się znowu.

Nie odważyli się przemówić w tym pokoju.

Wahali się, czy przerwać milczenie, które nakazywała tu śmierć, stojąca jakby w rogu, z palcem przyciśniętym do warg.

Na koniec Walentyna ośmieliła się przemówić.

— Kochany — rzekła — jakim cudem dostałeś się tutaj? Powitałabym cię z radością, gdyby to nie śmierć otworzyła ci drzwi tego domu.

— Walentyno — odpowiedział Morrel głosem drżącym i złożony ręce — czekałem od pół do dziewiątej; nie przyszłaś; zaniepokoiłem się, przesadziłem mur, zakradłem się do ogrodu, gdzie usłyszałem, jak rozmawiano o tym tragicznym wypadku...

— Kto rozmawiał? — przerwała mu Walentyna.

Morrel zadrżał, przypomniawszy sobie całą rozmowę, jaką doktor odbył z panem de Villefort. Wydało mu się, że widzi poprzez całun powykrzywiane członki, zeszywniałą szyję i zsiniałe wargi.

— Służba — odparł. — Podsłuchawszy rozmowę, dowiedziałem się wszystkiego.

— Ale przyjsć aż tutaj, to znaczy zgubić nas oboje, mój ukochany — rzekła Walentyna, nie okazując ani lęku, ani gniewu.

— Przebacz mi, zaraz odejdę.

— Nie odchodź. Mógłbyś kogoś spotkać. Zostań.

— A gdyby ktoś nadszedł?

Walentyna wstrząsnęła głową.

— Nikt nie przyjdzie, bądź spokojny. To ona nas chroni. I wskazała nieboszczkę spowitą w całun.

— Ale jak było z panem d'Epinay, powiedz, błagam!

— Przyjechał, żeby podpisać kontrakt, w momencie gdy babunia wydała ostatnie tchnienie.

— Niestety! — rzekł Morrel, pełen samolubnej radości, pomyślał bowiem, że ta śmierć opóźni mocno mariaż Walentyny.

— Ale to mnie przyprawia o jeszcze większą boleść — ciągnęła Walentyna, karząc jakby Morrela za jego słowa — że biedna babunia nakazała przed samą śmiercią, aby mariaż mój doszedł do niezwłocznego skutku. Ona też, miły Boże, szkodziła mi, sądząc, że działa na moją korzyść.

— Posłuchaj! — szepnął Morrel. Zamilkli oboje.

Usłyszeli, jak otwały się drzwi i jak posadzka korytarza, a potem schody zaskrzypiały pod czyimiś stopami.

— To ojciec wyszedł z gabinetu — rzekła Walentyna.

— I odprowadza doktora — dorzucił Morrel.

— Skąd wiesz? — zdziwiła się.

— E, tak tylko przypuszczam. Walentyna spojrzała na niego. Usłyszeli, jak zamknięto drzwi od ulicy.

Pan de Villefort, zamknąwszy jeszcze na klucz drzwi od ogrodu, podążył na górę.

Na piętrze zawahał się chwilę, czy wrócić do siebie, czy też wstąpić do pokoju zmarłej.

Morrel ukrył się czym prędzej za portierą.

Walentyna nie drgnęła. Powiedziałałbyś, że w boleści swojej zapomniała o zwykłych obawach.

Pan de Villefort wrócił do swojego pokoju.

— A teraz — ozwała się Walentyna — nie będziesz mógł wyjść ani drzwiami ogrodowymi, ani drzwiami od ulicy.

Morrel spojrzał na nią zdziwiony.

— Masz — dodała — tylko jedną drogę dozwoloną i pewną: przez apartament mojego dziadka.

Wstała.

— Chodź — rzekła.

— Dokąd?

— Do mojego dziadka.

— Ja miałbym iść do pana Noirtiera?

— Tak.

— Czyś ty się nad tym zastanowiła?

— Zastanawiałam się już od dawna. On jeden sprzyja mi na tym świecie, oboje potrzebujemy jego pomocy... Chodź.

— A jednak zastanów się raz jeszcze, Walentyno — odrzekł, wahając się, czy spełnić jej rozkaz — bom ja już otrzeźwiał, opaska spadła mi z oczu: przychodząc tutaj popełniłem czyn szalony. Może i tobie, najdroższa, trochę maści się w głowie?

— Nie. To mnie tylko gnębi, że odejdę od biednej babki, przy której powinnam czuwać.

— Walentyno, śmierć jest uświęcona sama w sobie.

— Tak, a zresztą nie zabawimy tam długo. Chodź.

Walentyna minęła korytarz i zeszła schodkami, które wiodły do pana Noirtiera.

Morrel podążył za nią na palcach.

Przy drzwiach natknęli się na starego sługę.

— Barrois — rzekła Walentyna — zamknijcie drzwi i nie wpuszczajcie nikogo.

Poszła przodem.

Noirtier siedział jeszcze w fotelu. Sługa powiadomił go już był o wszystkim, co się stało. Stary pan łowił uchem najłżejszy szelest i tęsknie spoglądał na drzwi. Kiedy ukazała się Walentyna, oko jego błysnęło.

Dziewczyna weszła tak uroczyście i z taką powagą, że zastanowiło to starca. Spojrzał więc na nią pytająco.

— Drogi dziadziu — rzekła z prostotą — posłuchaj mnie: wiadomo ci, że babunia umarła godzinę temu; a więc z wyjątkiem ciebie nie mam już nikogo na świecie, kto by mnie kochał.

W oczach starca pojawił się wyraz niezmierniej czułości.

— Tobie więc tylko winnam zawierzać smutki i nadzieje.

— Tak — odpowiedział paralityk. Walentyna ujęła dłoń Morrela.

— A więc — rzekła — przypatrz się dobrze temu panu.

Starzec utkwiał w Morrelu wzrok badawczy i wyrażający zarazem lekkie zdziwienie.

— To pan Maksymilian Morrel, syn owego zacnego kupca z Marsylii, o którym słyzałeś na pewno.

— Tak.

— Nazwisko to nieskazitelne Maksymilian okrył sławą, bo w trzydziestym roku życia jest kapitanem spahisów i oficerem Legii Honorowej.

Starzec dał znak, że przypomina sobie to wszystko.

— Tedy — rzekła Walentyna, klękając przed starcem i wskazując Maksymiliana — kocham go i do niego tylko należeć będę! Jeśli zmuszą mnie, abym poślubiła kogo innego, umrę ze zgrzyoty albo się zabiję.

W oczach paralityka błysnął niepokój.

— Polubiłeś już pana Maksymiliana, prawda?

— Tak.

— I będziesz bronił nas, dzieci swoje, przed zamysłami mojego ojca? Starzec utkwił w Morrelu bystre spojrzenie, jak gdyby chciał powiedzieć:

— To zależy. Maksymilian zrozumiał.

— Musisz pani — rzekł — wypełnić święty obowiązek przy zwłokach babki; czy godzi się pani, aby pan Noirtier zaszczycił mnie chwilą rozmowy?

— Tak, tak, otóż i to — dał znak starzec.

I spojrzał niespokojnie na Walentynę.

— Nie wiesz, jak się porozumiecie. Czy to miałeś na myśli, dziadziu?

— Tak.

— O, bądź spokojny. Tak często mówiliśmy o tobie, że pan Maksymilian wie, jak się porozumiewamy.

Po czym, zwracając się do Maksymiliana z prześlicznym uśmiechem, chociaż uśmiech ów był owiany głębokim smutkiem, rzekła:

— Nie mamy przed sobą żadnych tajemnic.

Wstała, przysunęła krzesło dla Maksymiliana, zapowiedziała służbę, żeby nie wpuszczał nikogo, ucałowała czule dziadka i pożegnawszy się smętnie z Morrelem, odeszła.

Wtedy Morrel, aby dowieść Noirtierowi, że Walentyna darzy go zaufaniem i wyjawiała mu wszystkie ich sekrety, wziął słownik, pióro i papier i umieścił je na stole, gdzie stała lampa.

— Ale najpierw — ozwał się — pozwól pan, żebym powiedział, kim jestem, kiedy pokochałem pannę Walentynę i jakie żywię wobec niej zamiary.

— Słucham — dał znak Noirtier.

Jakże imponował ów starzec — z pozoru będący tylko żywym trupem — który stał się jedynym obrońcą, jedyną podporą i jedynym sędzią dwojga ludzi młodych, zakochanych, pięknych i silnych, stojących u progu życia.

Twarz jego, nad wyraz szlachetna i surowa, budziła w Morrelu taki respekt, że drżał rozpoczynając opowieść.

Opowiedział, jak poznał i pokochał Walentynę i jak Walentyna osamotniona i nieszczęśliwa przyjęła jego oświadczenia.

Opowiedział o swoim urodzeniu, pozycji towarzyskiej i majątku; co jakiś czas pytał starca wzrokiem, a wzrok ów mówił:

— Dobrze. Co dalej?

— A teraz — rzekł Morrel, zakończywszy pierwszą część tych wynurzeń — skorom opowiedział panu o swojej miłości i nadziejach, czy mogę przedstawić moje projekty?

— Tak.

— A więc posłuchaj pan, cośmy zdecydowali...

I opowiedział Noirtierowi wszystko: o tym, jak na polu lucerny miał czekać kabriolet, którym miał uwieźć Walentynę, by umieścić ją u swojej siostry i o tym jak zaślubiwszy ukochaną miał czekać z szacunkiem na przebaczenie pana de Villefort.

— Nie — dał znak Noirtier.

— Nie? To nie tak postąpić należy? — zdziwił się Morrel.

— Nie.

— Nie zgadzasz się pan na mój projekt?

— Nie.

— Ale mam jeszcze inny sposób.

— Jaki? — zapytał wzrokiem starzec.

— Pójdę do pana d'Epinau. Jestem rad, że mogę to panu powiedzieć pod nieobecność panny Walentyny. I zmuszę go, by postąpił ze mną jak człowiek honoru.

Noirtier nadal pytał wzrokiem.

— Ciekawi pana, co uczynię?

— Tak.

— Pójdę do niego, opowiem mu o więzach, jakie łączą mnie z panną Walentyną; jeśli to człowiek delikatny, dowiedzie swojej delikatności rezygnując z ożenku, a w zamian zyska moją przyjaźń do grobowej deski; jeśli odmówi powodowany bądź interesem, bądź śmieszną dumą, dowiodę mu, że wychodząc za niego Walentyna działałaby pod przymusem, gdyż Walentyna kocha tylko mnie i zawsze kochać mnie będzie; następnie wyzwę go na pojedynek, dając mu wszelką przewagę — i zabiję go albo on mnie zabije; jeśli zabiję, nie poślubi Walentyny; jeśli zginę, to i tak, umierając, będę miał pewność, że Walentyna go nie poślubi.

Noirtier przyglądał się z niewysłowioną sympatią tej szlachetnej i uczciwej fizjonomii; odzwierciedlała ona, w miarę jak Maksymilian opowiadał — Jego uczucia; były one dla tej urodziwej twarzy tym, czym kolor jest w rzetelnym i prawdziwym rysunku.

A jednak, kiedy Morrel skończył, Noirtier zamrugał oczami, co jak wiemy miało oznaczać: nie.

— Nie? — zagadnął Morrel. — A więc odrzucasz pan drugi projekt, jak odrzuciłeś pierwszy?

— Tak.

— Ależ cóż w takim razie robić, proszę pana? Pani de Saint-Méran nagliła przed samą śmiercią do tego mariażu. Czyż mam pozostawić rzeczy ich biegowi?

Noirtier ani drgnął.

— Rozumiem. Mam zaczekać.

— Tak.

— Ależ ta zwłoka zgubi nas, proszę pana. Walentyna nie ma już sił, zmuszą ją, jak się zmusza dziecko. Dostałem się cudem do tego domu, pragnąc się dowiedzieć, co się tu stało, cudem również dotarłem do pana, ale nie mogę liczyć na to, że będzie szczęścić mi się dalej. Wierzaj mi pan, że jeden z dwóch moich projektów jest dobry. Jeśli przemawia przeze mnie zarozumiałstwo młodzieńcze, wybacz, ale powiedz, który z projektów wybrałbyś pan? Czy zgadzasz się, aby panna Walentyna uciekła ze mną?

— Nie.

— Wolisz pan, bym poszedł do pana d'Epinau?

— Nie.

— O Boże! Skądże więc nadejdzie pomoc, której spodziewamy się od nieba?

W oczach starca zaigrał uśmiech — jak zawsze, kiedy wspomniano przy nim o Bogu. Trochę ateizmu przetrwało jeszcze w poglądach sędziwego jakobina.

— Mamy się zdać na przypadek? — podjął Morrel.

— Nie.

— Na pana?

— Tak.

— Na pana? — powtórzył Morrel.

— Tak — potwierdził starzec.

— Czy zrozumiałeś pan dobrze, o co pytam? Niech mi pan wybaczy, że tak nalegam, ale od pańskiej odpowiedzi zależy moje życie. Czy pan nas uratuje?

— Tak.

— Jesteś pan tego pewien?

— Tak.

— Ręczysz pan za to?

— Tak.

Noirtier zapewnił Morrela spojrzeniem tak stanowczym, iż niepodobna było wątpić zarówno o dobrej woli, jak i potędze starca.

— O, dzięki, stokrotne dzięki! Ale jakże zdoła się pan sprzeciwić temu małżeństwu? Pan, niemy i nieruchomy, przykuty do fotela? Chyba że Bóg przywróci panu mowę i zdolność poruszeń.

W oku starca zabłysnął uśmiech, przedziwnie rozświetlając jego skamieniałe lico.

— Mam czekać? — spytał Maksymilian.

— Tak.

— A intercyza?

Noirtier odpowiedział podobnym uśmiechem.

— Czy chcesz pan przez to powiedzieć, że nie zostanie podpisana?

— Tak.

— Nawet nie zostanie podpisana? Ale usłyszawszy o tak wielkim szczęściu, wolno wątpić. A więc intercyza nie będzie podpisana?

— Nie.

Mimo tego zapewnienia Morrel wahał się nadal, czy uwierzyć.

Obietnica, którą złożył bezsilny starzec, była tak dziwaczna, że podyktowała ją chyba nie świadoma wola, ale zdziennienie.

Czyż nie bywa, że dement, ani domyślający się swojej słabości, stara się urzeczywistnić zamiar, który przechodzi jego siły?

Bajka mówi o słabym, który podnosi ciężary, o nieśmiałym, co stawia czoło olbrzymom, i o biedaku, który sypie złotem; najnędnniejszy z wieśniaków, poniesiony pychą, mieni się Jowiszem.

Noirtier spojrzał bacznie na młodzieńca — może odgadł jego wątpliwości, a może nie dowierzał, że Maksymilian okaże mu posłuszeństwo.

— Czego pan sobie życzy? — zagadnął Maksymilian. — Czy mam ponowić obietnicę, że nie przedsięwezmę żadnych kroków?

Noirtier spoglądał nadal bacznie i surowo, jakby chciał powiedzieć, iż obietnica mu nie wystarczy; spojrzenie przeniosło się po chwili z twarzy Maksymiliana na rękę.

— Czy mam przysięgnąć? — spytał Maksymilian.

— Tak.

Paralityk spoglądał wciąż surowo i z namaszczeniem.

Morrel pojął, że starzec przywiązuje do tej przysięgi wielką wagę.

Wzniósł rękę.

— Przysięgam na honor — rzekł — że zaczekam na pańską decyzję, nim wystąpię przeciw panu d'Epinay.

Starzec pochwalił go wzrokiem.

— A teraz, czy życzysz sobie, żebym odszedł? — zapytał Morrel.

— Tak.

— Czy mogę przedtem zobaczyć się panną z Walentyną?

— Nie.

Morrel kiwnął głową na znak, że usłucha.

— A teraz — ozwał się znowu — czy pozwolisz pan, żeby wnuk ucałował pana, tak samo jak przed chwilą ucałowała cię wnuczka?

Spojrzenie pana Noirtiera nie budziło żadnych wątpliwości.

Morrel pocałował starca w czoło — w to samo miejsce, na którym spoczęły wargi Walentyny.

I skłoniwszy się po raz wtóry, wyszedł.

Za drzwiami czekał nań Barrois, uprzedzony przez Walentynę.

Poprowadził go krętym i ciemnym korytarzem do drzwi wychodzących na ogród.

Morrel przemknął się do bramy.

Po gałęziach grabu wdrapał się na mur, zsunął się na drugą stronę po drabinie i za chwilę siedział już w kabrioecie.

Ledwie żył po tylu wzruszeniach, ale serca nie przytłaczał mu już tak wielki ciężar. Około północy zajechał do domu, rzucił się na łóżko i zasnął jak pijany.

36. GRÓB RODZINY DE VILLEFORT

Trzeciego dnia po opisanych wypadkach tłum dość znaczny zebrał się przed domem państwa de Villefort, a długi sznur powozów, karet dorożek nadciągał Przedmieściem Świętego Honoriusza i ulicą de la Pépinière.

Wśród owych pojazdów zwracał uwagę ekwipaż osobliwego kształtu, ekwipaż, co, jak się zdawało, miał za sobą długą drogę.

Był to czarny kryty furgon — a stawił się jako jeden z pierwszych na żałobnym spotkaniu.

Rozeszła się wtedy wieść, że furgonem tym przywieziono zwłoki margrabiego de Saint-Méran i że miano pochować nie jedną, ale dwie osoby. Dziwny zbieg okoliczności.

Kondukt zapowiadał się liczny.

Margrabia de Saint-Méran, wysoki dygnitarz Restauracji, jeden z najgorliwszych i najwierniejszych sług Ludwika XVIII i Karola X, był otoczony przyjaźnią. Przyjaciele zmarłego, a także ci, których konwenans towarzyski łączył z panem de Villefort, tworzyli sporą gromadę.

Władze zezwoliły, aby dwa pogrzeby odbyły się jednocześnie.

Zajechał więc drugi karawan, przystrojony bogato, wtedy umieszczono na nim trumnę ze zwłokami margrabiego.

Małżonków miano pochować na cmentarzu Père-Lachaise, w grobowcu rodzinnym, który z dawna już wystawił pan de Villefort.

Spczywała tam biedna Renata, a dziś, po dziesięcioletnim rozstaniu, miała połączyć się z rodzicami.

Paryżanie, zawsze ciekawi i zawsze wzruszający się pogrzebami, obserwowali w nabożnym milczeniu, jak przeciągał wspaniały kondukt. Państwo de Saint-Méran, należący do starej arystokracji, słynęli za życia jako ludzie, którzy hołowali tradycjom, wiernej przyjaźni i niezłomnym zasadom.

W karecie przybranej krepą Beauchamp, Albert i Château-Renaud rozmawiali o zgonie margrabiny, niemal nagłym.

— Wstąpiłem do pani de Saint-Méran — ozwał się Château-Renaud — nie dalej jak zeszłego roku, kiedym przez Marsylię powracał z Algieru. Myślałem, że przeżyje ze sto lat: dopisywało jej wyborne zdrowie, odznaczała się trzeźwością umysłu i nadzwyczajną, nigdy nie słabnącą energią. Ile lat miała?

— Siedemdziesiąt — odpowiedział Albert — jak zapewnia Franz. Nie wiek ją zabił, ale rozpacz, w jaką wpadła po śmierci męża. Zdaje się, że doznała wtedy gwałtownego wstrząsu, który odbił się ujemnie na jej władzach umysłowych. Nie odzyskała ich całkiem.

— A na co właściwie umarła? — spytał Beauchamp.

— Podobno na kongestię mózgu; a może na apopleksję piorunującą. Czy to nie jedno i to samo?

— Mniej więcej.

— Na apopleksję? — zdziwił się Beauchamp. — Trudno mi w to uwierzyć. Widziałem ją ze dwa razy w życiu: drobna, szczupła, nerwowa, nie była sangwiniczką. Boleść może wywołać apopleksję, trafia się to jednak rzadko u ludzi tej postury.

— Wszystko jedno — powiedział Albert — kto ją zabił: lekarz czy choroba; ważniejsze, że pan de Villefort, a raczej panna Walentyna, chociaż nie — nasz przyjaciel Franz, otrzymuje wspaniałą schedę; podobno osiemdziesiąt tysięcy liwów renty.

— A fortuna podwoi się niemal, gdy umrze ten stary jakobin, Noirtier.

— O, to twardy staruch! — zawołał Beauchamp. — Tenacem propositi virum.

Założył się z kostuchą, że pogrzebie wszystkich swoich spadkobierców. Uda mu się, ręczę. On to przecie, dawny członek konwentu, wygarnął Napoleonowi w roku 1814:

„Upadasz, bo twoje cesarstwo to młoda roślina nadwątlona wzrostem; weź sobie Republikę za opiekuna, wracajmy — ze sprawiedliwą konstytucją — na plac bitwy, a przyrzekam ci pół miliona żołnierzy, nowe Marengo i drugie Austerlitz.

Idee nie umierają, sire; drzeмиą czasem, ale budzą się jeszcze silniejsze”.

— Zdaje się — rzekł Albert — że nie rozróżnia człowieka od idei; o jedno tylko się niepokoję: jak Franz uładzi się z tym starcem, który nie potrafi się obejść bez jego przyszłej żony. Ale gdzież jest Franz?

— Jedzie w pierwszej karecie z panem de Villefort, który uważa go już za członka rodziny.

Podobne rozmowy toczyły się prawie we wszystkich karetach tworzących kondukt; dziwiono się, że państwo de Saint-Méran zmarli nagle i niemal w tym samym czasie — ale nikt nie domyślał się straszliwej tajemnicy, którą doktor d'Avrigny wyjawiał panu de Villefort, zawiódłszy go nocą do ogrodu.

Po godzinie orszak żałobny stanął u wrót cmentarza.

Było pogodnie, choć mgliście — dzień ten posępny nadawał się na pogrzeb.

Przyjaciele i znajomi zdążali grupami w stronę grobu. Château-Renaud dostrzegł pośród nich Morrela. Maksymilian przyjechał samotnie kabrioletem.

Szedł sam, milczący i bladej, cisową aleją.

— Pan tu? — ozwał się Château-Renaud, biorąc kapitana pod rękę. — To znacie się z panem de Villefort? Jakimże cudem nigdyśmy się u niego nie spotkali?

— Nie znam pana de Villefort, ale znałem panią de Saint-Méran. W tymże momencie Albert i Franz podeszli do nich.

— Nieodpowiednie to miejsce na prezentację — rzekł Albert — ale mniejsza z tym, nie jesteśmy przesądni. Pozwoli kapitan, że przedstawię mu pana Franza d'Epinay. Znakomity towarzysz podróży, objechaliśmy razem Włochy. Wiedz, Franiu, że zaprzyjaźniłem się serdecznie z panem Morrelem w czasie twojej nieobecności. Usłyszysz o kapitanie, ilekroć będziemy gwarzyć na temat odwagi, dowcipu i pięknych manier.

Morrel zawahał się chwilę.

Wydało mu się karygodną obłudą złożyć ukłon, niemal przyjazny, człowiekowi, którego zwalczał skrycie; ale przypomniał sobie zarówno przysięgę, jak i poważne okoliczności.

Usiłując nic nie pokazać po sobie, skłonił się Franzowi.

— Panna Walentyna smuci się bardzo, nieprawdaż? — zwrócił się Debray do Franza.

— O, smutek to niewypowiedziany. Taka dziś mizerna, żem zaledwie ją poznał.

Słowa te, proste na pozór, ugodziły Morrela w serce.

Ten człowiek widział się z Walentyną i zapewne rozmawiali!

Młody i krewki oficer musiał panować nad sobą ze wszystkich sił, by nie złamać przysięgi.

Wziąwszy Château-Renauda pod ramię pociągnął go szybko w kierunku grobowca, przed którym żałobnicy ustawili już obie trumny.

— Wspaniałe mieszkanie — ozwał się Beauchamp, obrzuciwszy wzrokiem mauzoleum — pałac letni a zarazem zimowy. Sprowadzisz się tam i ty, kochany Franiu, boś niemal już członkiem rodziny. A ja, filozof, chciałbym mieć tylko wiejski domek, zaświatową chałupkę, ocienioną drzewami. Męczyłbym się pod taką stertą kamienia. Umierając, powiem znajomym, którzy otoczą moje łożo, to, co Wolter napisał do Pirona: Eo rus ... i zamknę oczy. No, Franiu, odwagi, do diabła! Twoja żona bierze schedę.

— Nieznośny jesteś jak rzadko — odparł Franz. — Polityka przyuczyła cię kpić ze wszystkiego, a politycy zazwyczaj w nic nie wierzą. Ale, mój drogi, w zaszczytnej kompanii ludzi zwykłych, bo na twoje szczęście rozstajesz się chwilami z polityką, nie zapominaj o sercu, które tak lubisz zostawiać w szatni Izby Deputowanych albo Izby Parów.

— E, miły Boże — odparł Beauchamp — czym jest życie? Przedsionkiem śmierci.

— Dość mam twojej gadaniny — rzekł Albert.

I podążył za Franzem zostawiając Beauchampa, by nadal filozofował z Debrayem.

Grobowiec yillefortów była to budowla z białego kamienia, czworokątna i na dwadzieścia stóp wysoka.

Dzielił się wewnątrz na dwie sale — jedna należała do Villefortów, a druga do Saint-Méranów. Każda z nich miała osobne wejście.

Nie było tu, jak w innych grobach, owych ohydnych szuflad, tworzących warstwy, szuflad, w których oszczędność zamyka umarłych, opatrując każdego napisem podobnym do etykiety; za wrotami z brązu widniał posępny, surowy przedsionek — a za nim mieścił się właściwy grobowiec.

Dwoje wspomnianych drzwi wiodło z przedsionka do komory grobowej Villefortów i do komory grobowej Saint-Méranów.

Można tu było pomodlić się, wyplakać i wyżalić, nie będąc narażonym na spotkanie z lekkomyślnymi spacerowiczami, którzy poczytując Pére-Lachaise za wyborne miejsce dla wycieczek lub schadzek miłosnych, nawołują się, gonią i śpiewają!

Obie trumny wniesiono do komory po prawej stronie, należącej do rodziny de Saint-Méran, i ustawiono na krzyżakach.

Do sanktuarium wszedł jedynie Villefort, Franz i paru najbliższych krewnych.

Requiem odśpiewano już wcześniej, u wrót, nikt nie wygłaszał przemówienia, wszyscy jęli tedy się rozchodzić.

Château-Renaud, Albert i Morrel podążyli w swoją stronę, a Debray z Beauchampem — w swoją.

Franz pozostał z panem de Villefort.

U bram cementarnych Morrel, zmyśliwszy lada jaki pretekst, przystanął na chwilę.

Zobaczył, jak Franz i pan de Villefort jechali razem w jednej karecie — wysnuł z tego złą wróżbę.

Wrócił więc do Paryża, a choć jechał z Château-Renaudem i z Albertem, nie słyszał ani słowa z ich rozmowy.

Istotnie, gdy Franz chciał pożegnać pana de Villefort, padło pytanie:

— Kiedy pana barona ujrzę znowu?

— Kiedy pan prokurator sobie życzy — odpowiedział Franz.

— Możliwie najrychlej.

— W takim razie, jeśli pan pozwoli, może pojedziemy razem.

— Jeśli tylko to panu dogadza.

— Ależ naturalnie.

Tak przyszły teść i przyszły zięć wsiedli razem do powozu, co napełniło Morrela poważną obawą.

Villefort i Franz wrócili na Przedmieście Świętego Honoriusza.

Prokurator nie wstąpił do nikogo, nie przemówił do żony ani do córki. Zaprowadził młodzieńca do gabinetu i wskazał mu krzesło.

— Panie baronie — rzekł — moment nie jest tak niestosowny, jak by się mogło zrazu wydawać, gdyż posłuszeństwo zmarłemu to pierwszy hołd, jaki należy złożyć u trumny; chciałbym więc przypomnieć panu życzenie, jakie pani de Saint-Méran wyraziła onegdaj na łożu śmierci: małżeństwo Walentyny nie może ulec zwłoce. Wiadomo panu, że sprawy pieniężne nieboszczki są w całkowitym porządku; testamentem zapewniła Walentynie cały majątek Saint-Méranów; rejent pokazał mi wczoraj akta, na mocy których można, nie żywiąc jakichkolwiek zastrzeżeń, spisać intercyzę ślubną. Niech pan odwiedzi rejenta i powoła się na mnie, a przedstawi on panu owe akta. Rejent nazywa się Deschamps i mieszka na placu Beauveau.

— Panie prokuratorze, nie jestem tylko pewien, czy panna Walentyna; pogrążona obecnie w boleści, zechce myśleć o mariażu; obawiałbym się doprawdy...

— Walentyna — przerwał pan de Villefort — pragnie z całego serca spełnić ostatnie życzenie babki; ręczę tedy, że stawiać przeszkód nie będzie.

— W takim razie rozwiąły się moje wątpliwości, niech pan postępuje wedle własnego uznania; dałem słowo, a wywiązywać się z niego będzie dla mnie mało przyjemnością; będzie szczęściem.

— A więc nic już nas nie zatrzymuje. Mieliśmy podpisać intercyzę trzy dni temu, tedy czeka gotowa. Możemy ją podpisać choćby i dziś.

— No a żałoba? — zawahał się Franz.

— Niech pan będzie spokojny. W moim domu na pewno dba się o konwenanse. Walentyna wyjedzie na wieś, do swojego majątku Saint-Méran. W Saint-Méran odbędzie się, jeśli pan pozwoli, bez rozgłosu i skromnie ślub cywilny. Margrabina życzyła sobie, aby ślub jej wnuczki odbył się w majątku rodzowym. Po ślubie będziesz pan mógł wrócić do Paryża, a Walentyna pozostanie z moją żoną w Saint-Méran, póki nie skończy się żałoba.

— Doskonale pan to obmyślił.

— W takim razie niechże pan będzie łaskaw zaczekać pół godziny. Walentyna przyjdzie do salonu. Poślę po pana Deschamps, niezwłocznie odczytamy i podpiszemy intercyzę, wieczorem moja małżonka zabierze Walentynę na wieś, a za tydzień my tam pojedziemy.

— Chciałbym tylko poprosić o jedno.

— Słucham.

— Pragnę, żeby świadkami przy tej ceremonii byli dwaj moi przyjaciele: Albert de Morcerf i Raul de Château-Renaud. Jak panu wiadomo, prosiłem ich już o to.

— Pół godziny wystarczy, żeby ich uwiadomić; czy chcesz pan po nich sam pojechać, czy też posłać kogoś?

— Wolałbym pojechać.

— A więc oczekuję panów za pół godziny. Za pół godziny Walentyna będzie gotowa.

Franz skłonił się i wyszedł.

Ledwie brama zamknęła się za nim, Villefort kazał powiedzieć Walentynie, żeby za pół godziny zeszła do salonu, gdzie będzie czekał rejent i świadkowie pana d'Epinau.

Niespodziana wieść zrobiła w całym domu ogromne wrażenie.

Pani de Villefort nie wierzyła własnym uszom, a w Walentynę jakby grom uderzył.

Rozejrzała się wokół, jakby szukając pomocy.

Chciała pobiec do dziadka, ale spotkała na schodach pana de Villefort, który wziął ją pod rękę i wprowadził do salonu.

Ale w przedpokoju natknęła się na Barrois i przesłała staremu słudze rozpaczliwe spojrzenie.

Po chwili zjawiała się w salonie pani de Villefort z Edwardkiem.

Widać było po niej, iż odczuła boleść rodziny.

Była blada i straszliwie zmęczona.

Usiadła, wzięła Edwardka na kolana i od czasu do czasu tuliła — ruchem niemal konwulsyjnym — to dziecko, na którym skupiały się jej najgorętsze uczucia.

Niebawem zaturkotały dwa powozy i wjechały na dziedziniec.

Jednym przyjechał rejent, a drugim Franz z przyjaciółmi.

Zaraz też wszyscy zebrali się w salonie.

Walentyna była tak blada, że na jej skroniach i na policzkach prześwitywały błękitne żyłki.

Franz nie zdołał opanować dość silnego wzruszenia.

Château-Renaud i Albert spoglądali po sobie zdziwieni. Wydawało im się, że będą świadkami ceremonii nie weselszej niż dzisiejszy pogrzeb.

Pani de Villefort usiadła w półmroku aksamitnej kotary. A że wciąż się pochylała nad synkiem, trudno było wyczytać, co się dzieje w jej sercu.

Pan de Villefort był nieprzenikniony jak zwykle.

Rejent ruchem charakterystycznym dla prawników rozłożył papiery na stole, usadowił się w fotelu, zsunął okulary na czoło i zwrócił się ku Franzowi.

— Czy pan Franz de Quesnel, baron d'Epinau? — spytał Franza, choć znał go doskonale.

— Tak, proszę pana — zgodził się Franz. Rejent skłonił się.

— Muszę uwiadomić pana w imieniu pana de Villefort — powiedział — że w związku z pańskim projektowanym mariażem z panną de Villefort pan Noirtier zmienił zamiary, jakie powziął był w stosunku do wnuczki, wydziedziczył ją całkowicie. Dodajmy jednak, że testator miał prawo wydziedziczyć pannę Walentynę tylko częściowo. Po śmierci pana Noirtier testament jego może być z łatwością obalony i unieważniony.

— Tak — ozwał się Villefort — ale uprzedzam, że póki życia nie dopuszczę do tego. Zajmuję taką pozycję, iż nie może paść na mnie choćby cień skandalu.

— Przykro mi — rzekł Franz — że przy panie Walentynie poruszył pan kwestię tego rodzaju. Nigdy się nie dowiadywałem o majątek panny de Villefort, a choćby uległ on uszczupleniu, i tak będzie znacznie większy od mojego. Rodzina moja zabiegała o alians z państwem de Villefort, mając na uwadze splendor, a ja zabiegałem z myślą o szczęściu.

Walentyna, roniąc ciche łzy, podziękowała Franzowi ledwie dostrzegalnym gestem.

— A zresztą, łaskawy panie — zwrócił się Villefort do przyszłego zięcia — ów nieoczekiwany testament zawodzi tylko poniekąd pańskie nadzieje natury materialnej, nie zawierając nic takiego, co mogłoby pana urazić osobiście; pisząc ostatnią wolę, mój ojciec dał jedynie dowód dziedziczenia. Mój ojciec nie ma pretensji o to, że Walentyna wychodzi za pana, lecz o to, że poślubia kogoś w ogóle; mariaż Walentyny w każdym wypadku zmartwiłby mojego ojca. Starcy są z reguły egoistami: panna de Villefort dotrzymywała mojemu ojcu wiernie towarzystwa, a pani baronowa d'Epinau nie będzie mogła tego robić. Ojciec mój to człowiek chory, umysł jego osłabł, rzadko więc mówimy przy nim o sprawach

poważnych, bo i tak zrozumiąłby niewiele. Pamięta, że jego wnuczka wychodzi za męża, ale z pewnością, ręczę, zapomniał nawet, jak nazywa się jej przyszły.

Ledwie Villefort przestał mówić — Franz odpowiedział na te słowa ukłonem — gdy otworzyły się drzwi i stanął w nich Barrois.

— Proszę wielmożnych państwa — rzekł tonem dziwnie stanowczym jak na sługę, kiedy zwraca się do chlebobdawców w okolicznościach tak uroczystych — pan Noirtier de Villefort pragnie mówić natychmiast z panem Franzem de Quesnel, baronem d'Epinay.

Barrois, jak i rejent, wymienił pełne nazwisko i tytuł Franza, aby nie zaszła pomyłka co do osoby.

Villefort zdrzął, pani de Villefort wypuściła z objęć Edwardka, toteż chłopczyzna zsunął się z jej kolan, Walentyna powstała blada i niema jak posąg.

Albert i Château-Renaud spojrzeli po sobie z jeszcze większym zdziwieniem niż poprzednio.

Rejent spojrzął na Villeforta.

— To niemożliwe — powiedział prokurator — a zresztą pan d'Epinay nie może w tym momencie opuścić salonu.

— Właśnie w tym momencie — odparł Barrois z tą samą stanowczością — pan Noirtier pragnie pomówić z panem d'Epinay o ważnych sprawach.

— To dziadunio już mówi? — wtrącił Edwardek ze zwykłą sobie czelnością. Ale ten żarcik nie ubawił nawet pani de Villefort — tacy byli zaaferowani, a sytuacja naprężona.

— Powiedzcie panu Noirtier — odparł Villefort — że to, czego żąda, jest niemożliwe.

— Pan Noirtier uprzedza panów, że każe się przynieść do salonu — oświadczył Barrois.

Zdumienie sięgnęło szczytu.

Na wargach pani de Villefort zaigrał blady uśmiech. Walentyna jakby bezwiednie wzniosła oczy, by podziękować Bogu.

— Walentyno — rzekł pan de Villefort — idź i dowiedz się, co nowego dziadkowi strzeliło do głowy.

Walentyna skierowała się szybko ku drzwiom — lecz Villefort rozmyślił się.

— Zaczekaj — rzekł. — Pójdę z tobą.

— Przepraszam pana — powstrzymał go Franz — ale skoro pan Noirtier mnie wzywa, ja przede wszystkim winienem udać się do niego; a zresztą rad będę złożyć mu uszanowanie, bom dotąd nie miał okazji prosić o ten zaszczyt.

— Ależ — zaniepokoił się wyraźnie Villefort — niech się pan nie fatyguje.

— Wybacz pan — odrzekł Franz tonem zdecydowanym — ale nie mogę przepuścić sposobności, dzięki której dowiodę panu Noirtierowi, jak niesłusznie powziął do mnie niechęć. Postanowiłem ową niechęć przezwyciężyć, jakiegokolwiek byłaby natury, okazując oddanie.

I nie zważając na dalsze perswazje Villeforta, wstał i podążył za Walentyną. Walentyna zbiegła po schodach, radując się niby tonący, który dotknął ręką skały.

Pan de Villefort poszedł za nimi.

Château-Renaud i Morcerf wymienili spojrzenia po raz trzeci — zdumienie ich nie miało już granic.

37. PROTOKÓŁ

Noirtier czekał siedząc w fotelu, ubrany na czarno.

Kiedy weszły trzy osoby, których się spodziewał, popatrzył na drzwi, a lokaj zamknął je natychmiast.

— Zapamiętaj sobie — szepnęła Villefort Walentynie, która nie zdołała zataić radości — że gdyby dziadek próbował w jakikolwiek sposób przeszkodzić twojemu mariażowi, nie wolno ci się zdradzić, że pojmujesz jego intencje.

Walentyna zaczerwieniła się i nic nie odrzekła. Villefort podszedł do pana Noirtiera.

— Oto pan Franz d'Epinay — ozwał się — chciał się ojciec z nim widzieć, spełnił więc to życzenie. Od dawna pragnęliśmy, żeby złożył ojcu wizytę, i rad będę, jeśli teraz ojciec się przekona, jak niesłusznie sprzeciwiał się ojciec mariażowi Walentyny.

Noirtier odpowiedział takim spojrzeniem, iż Villeforta przejął dreszcz.

Dał znak Walentynie, aby się zbliżyła.

Nawykła od lat porozumiewać się z dziadkiem, znalazła, od razu słowo: klucz.

Zapytała dziadka- wzrokiem. Spojrzenie paralytyka spoczęło na szufladzie konsolki stojącej między oknami.

Otworzywszy szufladę znalazła w niej klucz.

Noirtier dał znak, że o ten właśnie klucz chodziło, a potem spojrzął na stary zapomniany kantorek, w którym — wedle ogólnego mniemania — były tylko bezużyteczne szpargały.

— Mam otworzyć kantorek? — spytała Walentyna.

— Tak.

— Szuflady?

— Tak.

— Boczne?

— Nie.

— Środkową?

— Tak.

Walentyna otworzyła środkową szufladę i wydobyła plik papierów.

— To ci potrzebne, dziadziu?

— Nie.

Wydobywała więc kolejno plik po pliku, pakiet po pakiecie, aż opróżniła szufladę.

— Nie ma już nic więcej — rzekła wtedy. Noirtier utkwiał spojrzeniem w słowniku.

— Rozumiem, dziadziu — rzekła Walentyna. I jęła recytować alfabet.

Przy literze S Noirtier dał znak, by przestała.

Otworzyła słownik i wodziła palcem aż do wyrazu skrytka.

— Aha! W kantorku jest skrytka.

— Tak — potwierdził Noirtier.

— A kto zna jej sekret? — spytała.

Noirtier spojrzął na drzwi, którymi wyszedł był lokaj.

— Barrois?

— Tak.

— Mam go wezwać?

— Tak.

Walentyna podeszła do drzwi i zawołała sługę.

Villefort był tak zdenerwowany, że pot spływał mu po czole, a Franz nie posiadał się ze zdumienia. Zjawił się stary sługa.

— Barrois — rzekła Walentyna — dziadzio kazał mi wyjąć klucz z konsolki, otworzyć kantorek i wyciągnąć tę szufladę; ale jest tam skrytka. Podobno ją znacie, otwórzcie więc.

Barrois popatrzył na starca. Noirtier potwierdził wzrokiem słowa Walentyny. Barrois spełnił rozkaz.

Szuflada miała podwójne dno — leżała tam gruba koperta owiązana czarną wstążką.

— Czy tego pan sobie życzył? — spytał Barrois.

— Tak.

— Komu mam wręczyć te papiery? Czy panu de Villefort?

— Nie.

— Pannie Walentynie?

— Nie.

— Panu d'Epinais?

— Tak.

Franz, zdziwiony, zrobił krok naprzód.

— Mnie, proszę pana?

— Tak.

Barrois podał papiery Franzowi. Rzuciwszy okiem na kopertę, młodzieniec odczytał:

Doręczyć po mojej śmierci mojemu przyjacielowi, generałowi Durand. General Durand, umierając, przekaże tę kopertę swojemu synowi, zapowiadając mu, by przechował ją, zawiera bowiem dokument szczególnej wagi.

— I co mam zrobić z tą kopertą, proszę pana? — zapytał Franz.

— Masz ją pan zapewne przechować zapieczętowaną — wtrącił Villefort.

— Nie, nie! — zaprzeczył żywo Noirtier.

— Czy chcesz, dziadziu, żeby pan to przeczytał? — zagadnęła Walentyna.

— Tak.

— Mój dziadek prosi, żeby pan baron odczytał ten dokument — rzekła Walentyna.

— W takim razie usiądźmy — powiedział niecierpliwie Villefort — bo to potrwa czas jakiś.

— Siadajcie — mówiły oczy starca.

Villefort usiadł, ale Walentyna stała nadal obok ojca, oparłszy się o jego fotel. Franz stał także. Trzymał tajemniczy dokument.

— Czytaj pan — mówiły oczy starca.

Franz rozpieczętował kopertę — w pokoju zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

I jął czytać wśród ogólnego milczenia:

Wyciąg z protokołu posiedzenia Klubu Bonapartystów, które odbyło się dnia 5 lutego 1815 roku, w lokalu przy ulicy Świętego Jakuba.

Franz przerwał lekturę.

— 5 lutego 1815 roku został zamordowany mój ojciec! Walentyna i Villefort milczeli.

Oko starca mówiło wyraźnie:

— Czytaj pan dalej.

— Ojciec mój wyszedłszy z klubu przepadł bez wieści — powiedział jeszcze Franz.

Oko starca wciąż mówiło:

— Czytaj! Podjął więc lekturę:

„My niżej podpisani, Ludwik Jakub Beauregard — podpułkownik artylerii, Stefan Duckampy — generał brygady, i Klaudiusz Lecharpal — dyrektor Urzędu Gospodarki Wodnej i Leśnej oświadczamy, iż 4 lutego 1815 roku otrzymaliśmy list z Elby. W liście tym zalecono członkom Klubu Bonapartystów, aby okazywali generałowi Flawianowi de Quesnel zyczliwość i zaufanie. Generał ów służył cesarzowi w latach 1804-1815, a więc musi być sercem oddany dynastii Napoleońskiej, aczkolwiek Ludwik XVIII obdarzył go tytułem barona d'Epinay — od nazwy majątku.

Napisano więc do generała Quesnela z prośbą, by zechciał uczestniczyć w zebraniu, które miało się odbyć nazajutrz — 5 lutego.

W liście nie wymieniono ani ulicy, ani numeru domu, gdzie miało się odbyć zebranie; list nie był też podpisany — oznajmiono jedynie generałowi, że jeśli się Zgadza — ma być gotów na dziewiątą wieczór. O tej bowiem godzinie ktoś wstąpi po niego.

Posiedzenia odbywały się od dziewiątej wieczór do północy.

O dziewiątej prezydent klubu stawiał się u generała. Generał był gotów.

Prezydent postawił warunki: generał nie może dowiedzieć się o miejscu zebrania — musi zatem zgodzić się, aby zawiązano mu oczy, i dać słowo honoru, iż nie będzie starał się zsunąć opaski. W przeciwnym razie nie będzie wprowadzony do klubu.

Generał Quesnel przyjął warunki i zaręczył honorem, że nie będzie się starał zobaczyć, którądy prowadzi droga.

Generał kazał zaprzęgać, ale prezydent powiedział mu, że nie mogą udać się do klubu jego końmi. Stangret generała bowiem poznałby drogę.

— Cóż więc zrobić? — zapytał generał.

— Przyjechałem po pana moją karetą — odpowiedział prezydent.

— Skoro jesteś pan aż tak pewien swojego stangreta, że zawierasz mu sekret, czemuż nie ufasz mojemu?

— Bo nasz stangret jest członkiem klubu; będzie powoził radca stanu.

— Wobec tego — roześmiał się generał — ryzykujemy co innego: może nas wyrzucić.

Przytaczamy ten żart na dowód, iż generał pojechał na zebranie z własnej i nieprzymuszonej woli.

W karecie prezydent przypomniał generałowi o obietnicy.

Generał nie sprzeciwiał się tej formalności i dał sobie zawiązać oczy chustką, która była przygotowana w karecie.

W drodze prezydentowi wydało się, iż generał usiłuje spoglądać spod opaski.

Przypomniał mu o danym słowie.

— A, prawda — powiedział generał.

Kareta stanęła na ulicy Świętego Jakuba przed długą sklepioną sienią.

Generał wysiadł, wspierając się na ramieniu prezydenta. Me wiedział zresztą o jego godności, brał go za zwykłego członka klubu.

Z sieni weszli na piętro, a następnie do pokoju obrad.

zebranie już się zaczęło.

Członkowie klubu uwiadomieni, iż tego wieczora odbędzie się coś na kształt prezentacji, przybyli gremialnie.

Kiedy generał stanął pośrodku sali, powiedziano mu, by zdjąć opaskę.

Uczyniwszy to, zdziwił się, zobaczywszy wielu znajomych. Zaskoczyło go, iż należą do stowarzyszenia, o którego istnieniu nie miał pojęcia.

Zapytany o przekonania odparł, że listy z Elby są dostateczną rekomendacją...

Franz przerwał lekturę.

— Mój ojciec był rojalistą — rzekł — niepotrzebnie pytano go o przekonania; były znane.

— Dlatego tak przyjaźniliśmy się z pańskim ojcem, drogi baronie — wtrącił Villefort. — Wspólne poglądy łatwo łączą ludzi.

— Czytaj — mówiło oko starca. Franz ją czytać dalej.

Prezydent począł tedy nalegać, aby generał wypowiedział się jaśniej; lecz pan de Quesnel odparł, iż pragnąłby przede wszystkim dowiedzieć się, czego chcą od niego.

Oznajmiono tedy generałowi, iż ów list z Elby zalecał go członkom klubu jako człowieka, na którego pomoc liczyć mogą.

Ponadto cały osobny ustęp listu traktował o przypuszczalnym powrocie z Elby. Bliższe szczegóły miano podać po przybyciu „Faraona”, statku będącego własnością pana Morrela, armatora z Marsylii. Kapitan owego statku był duszą oddany cesarzowi.

Kiedy list odczytywano, generał, na którego — jak nam się zdawało — mogliśmy liczyć jak na brata, nie taił niezadowolonia, a nawet odrazy.

Gdy zakończono lekturę, milczał zmarszczywszy brew.

— No i cóż pan generał powie na ten list? — zagadnął prezydent.

— Nie po tom złożył niedawno przysięgę Ludwikowi XVIII, żeby teraz łamać ją dla eks-cesarza — padła odpowiedź-

Tym razem niepodobna już było mylić się co do przekonania generała.

— Generale — odparł prezydent — nie ma dla nas Ludwika XVIII, tak samo jak nie ma eks-cesarza. Jest tylko Jego Cesarska i Królewska Mość, wygnany dziesięć miesięcy temu zdradą i podstępem z Francji, kraju, nad którym sprawuje władzę.

— Panowie wybaczą — odrzekł generał— możliwe, że dla panów król Ludwik XVIII nie istnieje, ale istnieje dla mnie. Mianował mnie baronem i generałem kwatermistrzem, nigdy nie zapomnę, że tytuł i wysoką rangę zawdzięczam jego szczęśliwemu powrotowi.

— Uważaj pan na to, co mówisz — powiedział prezydent bardzo surowo i podniósł się z krzesła — gdyż pańskie słowa świadczą, że na Elbie pomyłono się co do pana, a nas wprowadzono w błąd! Podzieliliśmy się z panem pewnymi wiadomościami, mając do pana zaufanie, a uczucie to przynosi panu zaszczyt. Okazało się, że byliśmy w błędzie. Tytuł i ranga uczyniły pana stronnikiem nowego rządu, który my zamierzamy obalić. Nie będziemy wywierać nacisku, abys nam pan pomagał; nie werbujemy nikogo wbrew jego sumieniu i woli; ale będziemy wywierać nacisk, abys postąpił pan jak człowiek honoru, choćby to nawet kolidowało z twoimi poglądami.

— Nazywacie więc człowiekiem honoru kogoś, kto nie wydałby waszego spisku, wiedząc o nim! A ja nazwę takiego waszym wspólnikiem. Jak widzicie, jestem od was szerszy...

— O, mój ojciec! — zawołał Franz. — Rozumiem teraz, dlaczego cię zamordowali!

Walentyna mimo woli spojrzała na Franza.

Młodzieniec, w uniesieniu miłości synowskiej, był naprawdę piękny.

Villefort przechadzał się wzdłuż i wszerz pokoju, za plecami Franza.

Noirtier, surowy i pełen godności, śledził bacznie wyraz twarzy każdego z obecnych.

Franz ją czytać dalej.

Mój panie — ozwał się prezydent — zaprosiliśmy pana do naszego klubu, a nie sprowadzili tutaj siłą; zaproponowaliśmy, że zawiążemy panu oczy — przystałeś pan. Zgadając się na obie nasze propozycje, wiedziałeś pan doskonale, że nie zamierzamy umacniać władzy Ludwika XVIII— inaczej nie krylibyśmy się tak starannie przed policją. Byłoby zbyt wygodne włożyć maskę i dzięki niej poznać tajemnice pewnych ludzi, a potem zrzucić ją, by zgubić tych, którzy panu zaufali. Musisz pan przede wszystkim powiedzieć nam otwarcie, czy jesteś za królem rządzącym z przypadku, czy też za Jego Cesarską Mością.

— Jestem rojalistą — oznajmił generał — złożyłem Ludwikowi XVIII przysięgę i jej nie złamię.

Po tych słowach rozległo się szemranie. Spojrzenia, jakie wymieniali między sobą członkowie klubu, mówiły, że chcą ukarać pana d'Epinay za tę nieopatrzoną wypowiedź-

Prezydent wstał znowu i uciszył zebranych.

— Jesteś pan człowiekiem nazbyt rozsądnym i poważnym — rzekł— aby nie przewidzieć, jakie skutki mogłyby wynikać z naszego wzajemnego położenia, a zresztą sama szczerść pańska dyktuje nam warunki, które musimy panu postawić: owóż przysięgniesz pan na honor, że nie wyjawisz nic z tego, coś tu usłyszał.

Generał dotknął szpady i zawołał:

— Jeśli mówicie o honorze, nie uchybiajcie jego prawom i nie zmuszajcie mnie gwałtem!

— A pan — odparował prezydent ze spokojem groźniejszym aniżeli gniew generała — nie dotykaj szpady, radzę.

Generał rozejrzał się wokół, a wzrok jego świadczył, że zaczyna się niepokoić.

Ale nie ugiął się jeszcze; przeciwnie — zebrał wszystkie siły do walki.

— Nie złożę przysięgi — rzekł.

— W takim razie umrzesz pan — oznajmił spokojnie prezydent.

Pan d'Epina'y zbladł mocno; rozejrzał się po raz wtóry; wielu szeptało między sobą, niejeden sięgał po broń ukrytą pod płaszczem.

— Niech się pan uspokoi, generale — ozwał się prezydent. — Jesteś pan między ludźmi honoru: zanim chwycimy się ostatecznych środków, dołożymy wszelkich starań, aby cię przekonać; ale, jak sam, rzekłeś, jesteś między spiskowcami — posiadłeś naszą tajemnicę, trzeba nam, jej dochować.

Po słowach tych nastąpiła wymowna cisza, że zaś generał nie odpowiadał, prezydent rzekł do odzwiernych:

— Zamknijcie drzwi.

I znów zaległa śmiertelna cisza.

Wtedy generał wystąpił naprzód, a przemógłszy się z trudem, powiedział:

— Mam syna, muszę pomyśleć o nim, znalazłszy się pośród morderców.

— Generale — odparł z godnością prezydent — jeden człowiek ma zawsze prawo żyć pięćdziesięciu; to przywilej słabości. Ale niepięknie czyni, kto korzysta z tego prawa. Usłuchaj mojej rady, generale: przysięgnij i nie obrażaj nas.

Generał, jeszcze raz pokonany dzięki wyższości prezydenta, zawahał się jednak; lecz po chwili, zbliżywszy się do stołu prezydialnego, spytał:

— Jaka jest formuła przysięgi?

— Oto ona:

„Przysięgam na honor, że nigdy nikomu nie wyjawię tego, com widział i słyszał 5 lutego 1815 roku między dziewiątą a dziesiątą wieczór. Oświadczam, iż jeśli złamię przysięgę, zasłużę na śmierć”.

Generał zaniemówił na kilka sekund — taki gniew nim owładnął; w końcu, przewyciężywszy niewątpliwą odrazę, wyrecytował słowa przysięgi, ale tak cicho, że zaledwie dosłyszeć je było można; jakoż ten i ów jął się domagać, aby generał powtórzył przysięgę głośniejszymi wyrażeniami; żądaniu temu stało się zadość.

— A teraz chciałbym stąd odejść — oświadczył generał. — Czy jestem już wolny?

Prezydent wstał, wyznaczył spomiędzy zgromadzonych trzech ludzi, którzy mieli mu towarzyszyć, a zawiąawszy generałowi oczy, wsiadł z nim do karety.

Wśród owych trzech ludzi był i ten, który przywiózł tu generała i prezydenta.

Inni rozeszli się w milczeniu.

— Gdzie pan chce wysiąść? — spytał prezydent.

— Gdziekolwiek, byleby jak najprędzej uwolnić się od waszego towarzystwa — odparł pan d'Epina'y.

— Weź pan pod uwagę — odrzekł prezydent — że nie jesteś już na zebraniu, ale znalazłeś się wśród prywatnych osób; nie obrażaj pan ich, jeśli nie chcesz odpowiadać za zniewagę.

Ale zamiast przyjąć do wiadomości te rozsądne słowa, pan d'Epina'y odparł:

— Taki z pana zuch w karecie, jakim byłeś w klubie, bo czterech ludzi to więcej niż jeden.

Prezydent rozkazał przystanąć.

Było to na quai des Ormes, akurat przy schodach wiodących do rzeki.

— Czemu zatrzymałeś pan konie? — spytał pan d'Epina'y.

— Gdyż obraziłeś pan mnie i nie ruszę się stąd, dopóki nie dasz mi satysfakcji.

— Aha! To w taki sposób chcecie mnie zamordować — powiedział generał wzruszając ramionami.

— Nie staraj się pan wywołać awantury — odrzekł prezydent — chyba że chcesz, abym cię uważał za jednego z tych, których wymieniał przed chwilą: za tchórza, co robi sobie tarczę ze swojej słabości. Jesteś pan sam i będziesz miał jednego przeciwnika; jesteś przy szpadzie, a ja mam szpadę ukrytą w lasce; nie masz świadków, wybierz zatem któregoś z tych panów. A teraz, jeśli się panu spodoba, możesz zdjąć opaskę.

Generał zerwał ją natychmiast.

— Dowień się nareszcie — rzekł — z kim mam do czynienia. Otwarto drzwiczki karety; czterej panowie zesзли...

Franz przerwał znowu lekturę. Otarł kroplisty pot z czoła.

Serce się krajało, kiedy ten syn, blady i drżący, czytał głośno o nieznanym dotąd szczegółach śmierci swojego ojca.

Walentyna złożyła ręce jak do modlitwy.

Noirtier spoglądał na syna ze wspaniałą dumą i wzgardą.

Franz czytał dalej:

Działo się to, jak powiedzieliśmy, 5 lutego.

Od trzech dni były mrozy sześciostopniowe, schody więc obmarzły grubo; generał był rośli i tęgi, przeto prezydent usunął się, by generał mógł trzymać się poręczy.

Za nimi szło dwóch świadków.

Noc była ciemna, brzeg rzeki okryty śniegiem i lodem, czarnymi wodami Sekwany płynęła tu i ówdzie kra.

Jeden ze świadków przyniósł latarnię z barki naładowanej węglem. W świetle latarni obejrzano broń.

Szpada, którą prezydent nosił w wydrążonej lasce, była o pięć cali krótsza od szpady pana d'Epina i nie miała gardy.

Generał zaproponował losowanie o broń, ale prezydent odpowiedział, że wyzywając generała zastrzegł, iż każdy posłuży się własną bronią.

Świadkowie próbowali protestować, ale prezydent nakazał milczenie.

Postawiono latarnię na ziemi, przeciwnicy zajęli miejsca i rozpoczęła się walka.

W świetle latarni szpady migotały niby błyskawice. Przeciwników nie sposób było dostrzec w gęstych ciemnościach.

Generał uchodził w armii za jednego z najtęższych szermierzy. Lecz adwersarz natarł nań tak ostro, iż musiał uskoczyć, a wtedy pośliznął się i upadł.

Świadkowie myśleli, że nie żyje; ale przeciwnik, wiedząc, że nie drasnął go nawet, podał mu rękę i dopomógł wstać.

Generał, zamiast ochłonać, rozsierdził się jeszcze bardziej — i teraz on z kolei natarł ostro.

Ale przeciwnik nie ustąpił o cal. Parował ciosy, a generał musiał cofnąć się trzy razy z rzędu i znów powracał do natarcia:

Po trzecim natarciu znów upadł.

Myślano, iż pośliznął się i teraz.

Widząc jednak, że nie wstaje, świadkowie jęli mu pomagać; ale ten, który objął go wpół, uczył pod ręką płynącą krew.

Generał, na wpół omdlały, odzyskał przytomność.

— A tak — ozwał się — nasłali na mnie jakiegoś zabijakę, jakiegoś pułkownika fehmistrza.

Prezydent zmilczał, wziął latarnię od jednego ze świadków, odwinął rękaw i ukazał ramię przebite w dwóch miejscach; następnie rozpiął surdut i kamizelkę, ukazując zraniony bok.

I nie jęknął nawet.

Generał d'Epinay był już w agonii, a skończył po pięciu minutach...

Franz czytał te ostatnie słowa głosem tak zdławionym, że ledwie dosłyszalnym. Przerwawszy czytanie, przeciągnął dłonią po oczach, jak gdyby chciał odpędzić chmurę.

Po chwili jednak czytał dalej:

Prezydent ukrył szpadę w futerale i skierował się ku schodom; idąc, znaczył krwią śnieg.

Będąc na schodach usłyszał, jak woda plusnęła.

Świadkowie, skonstatowawszy śmierć, wrzucili ciało generała do rzeki.

Generał zginął więc w lojalnym pojedynku, a nie — jak by pomyśleć można — w zasadzce.

Podpisujemy niniejszy protokół, stwierdzając prawdziwość podanych w nim faktów. Sporządzono go, aby żadnej z osób, które wzięły udział w dramacie, nie oskarżono kiedyś o morderstwo z premedytacją i o uchybienie prawom honoru.

Podpisani: Beauregard, Duchampy i Lecharpal.

Franz ukończył tę lekturę, straszliwą dla syna. Walentyna, blada z wrażenia, otarła łzę. Villefort drżał skulony w kącie i pragnąc zażegnać burzę, spoglądał błagalnie na bezlitosnego starca.

— Skoro pan zna szczegółowo — zwrócił się d'Epinay do Noirtiera — tę straszliwą historię, skoro kazałeś, by protokół podpisało trzech wiarogodnych świadków, skoro wreszcie, jak się zdaje, sprzyjasz mi pan, choć na razie zadałeś mi tylko ból, postaw kropkę nad i, wyjawiając nazwisko owego prezydenta. Niechże dowiem się nareszcie, kto zabił mojego ojca.

Villefort szukał po omacku klamki, jakby ćmiło mu się przed oczami. Walentyna cofnęła się krok, odgadując odpowiedź starca: widziała nieraz na jego przedramieniu dwie blizny.

— Na miłość boską! — zawołał Franz. — Niechże pani przemówi za mną. Niechże dowiem się, przez kogo zostałem sierotą mając dwa lata!

Walentyna stała milcząca i niema.

— O, uspokój się pan, nie przedłużaj tej dramatycznej sceny — powiedział Villefort. — Nazwisko ukryto w dokumentach z rozmysłem. Ojciec mój nie wie, kim był ów prezydent, a gdyby wiedział, nie zdołałby panu wyjawić: przecież nazwiska nie figurują w słowniku.

— Co za nieszczęście! — zawołał Franz. — Tylko dlatego zdołałem doczytać do końca ten dokument, że spodziewałem się znaleźć w nim nazwisko zabójcy mojego ojca! Na miłość boską! — zwrócił się do Noirtiera — uczyni pan, co w twojej mocy... błagam... dołoż starań, abym mógł się dowiedzieć...

— Tak — dał znak Noirtier.

— O, panno Walentyno, dziadek pani dał znak, że potrafi wskazać mi tego człowieka... Niech pani dopomoże...

Noirtier spojrzał na słownik.

Franz nerwowo, jął recytować alfabet. Starzec zatrzymał się przy literze J.

— J? — spytał Franz.

Walentyna ukryła twarz w dłoniach.

Palec młodzieńca niedługo przesunął się po karcie słownika.

Zatrzymał się na zaimku: JA.

— Tak — potwierdził starzec.

— Pan? — krzyknął Franz i włosy zjeżyły mu się na głowie. — Pan zabiłeś mojego ojca?

— Tak — i Noirtier utkwiał w młodzieńcu spojrzenie pełne godności. Franz osunął się bezwładnie na fotel.

Villefort otworzył drzwi i uciekł — przyszło mu bowiem na myśl, żeby zdławić iskrę życia, która tliła się jeszcze w sercu groźnego starca.

TOM III

1. POSTĘPY MŁODSZEGO PANA CAVALCANTIEGO

W tym czasie odjechał major Cavalcanti, wracając nie tyle pod sztandary jaśnie oświeconego cesarza austriackiego, ile do Lukki, miejscowości kuracyjnej, stęskniony za tameczną ruletką poza którą nie widział świata.

Oczywiście, jako człek wzorowej skrupulatności, zabrał całą sumę, którą otrzymał na podróż do Paryża i w nagrodę za to, że z nadwyzajnym taktem i powagą odegrał był rolę ojca.

Na odjeźdny wręczył Andrei wszelkie dokumenty stwierdzające, iż młodzieniec ma zaszczyt być synem margrabiego Bartolomea Cavalcanti i margrabianki Leonory Corsinari.

Andrea zadomowił się tedy mniej więcej w owych paryskich salonach, gdzie chętnie witają i podejmują cudzoziemców. Nikt nie interesuje się tam, kim właściwie jest przybysz, każdy zadowala się pozorami.

Bo i zresztą, jakie wymagania stawia Paryż młodemu człowiekowi? Żeby znośnie mówić tutejszym akcentem, ubierał się przyzwoicie, grał namiętnie w karty i płacił dukatami.

Nie trzeba mówić, że mniej się w tym przypadku żąda od cudzoziemca niż od paryżanina.

Przeto już po dwóch tygodniach Andrea zdobył wcale piękną pozycję: tytułowano go hrabią; mówiono, że posiada pięćdziesiąt tysięcy liwrow renty; opowiadano, iż ojciec jego ma bajeczne skarby, ukryte — podobno — w kamieniołomach Saravezza.

Pewien uczony, przy którym wspomniano o tym skarbie, zapewnił, że zna rzeczony kamieniołom. Przydało to ogromnej wagi twierdzeniom dotychczas nie sprawdzonym: nabrały wszelkich cech rzeczywistości.

Tak przedstawiały się sprawy w owym kręgu paryskiej socjety, do którego wprowadziliśmy czytelnika — gdy jednego wieczoru Monte Christo złożył wizytę baronowi Danglars.

Pana Danglarsa nie było w domu, hrabia odwiedził więc jego małżonkę, dowiedziawszy się od służby, że przyjmuje właśnie.

Od owego obiadu w Auteuil i wypadków, jakie po nim nastąpiły, panią Danglars ogarniało nerwowe drżenie, ilekroć wspomniano o hrabi de Monte Christo.

Przykre to uczucie wzmagало się jeszcze, gdy mówiono o hrabi, on zaś nie nadchodził; ale jeśli Monte Christo zjawił się przypadkiem, baronowa uspokajała się zupełnie i pierzchały wszelkie jej obawy. Wydawało się pani Danglars, że człowiek o twarzy tak otwartej, traktujący ją tak uprzejmie, a nawet z pewną zalotnością, nie może żywić wobec niej złych zamiarów. A zresztą, serca i najbardziej zepsute nie wierzą w zło, jeśli nie potrafią wytłumaczyć go jakimkolwiek interesem. Zło nieużyteczne i bezzasadne budzi wstręt, jako coś nienormalnego.

Kiedy Monte Christo wszedł do buduaru, dokąd już raz wprowadziliśmy czytelnika, pani Danglars popatrywała dość niespokojnie na rysunki, które podawała jej Eugenia, oglądając je wespół z młodym panem Cavalcanti. Stało się, jak zwykle: baronowa zdenerwowała się, gdy lokaj oznajmił Monte Christa, ale powitała go z uśmiechem.

Hrabia ogarnął jednym rzutem oka całą scenę.

Baronowa niemal leżała na kozetce, Eugenia siedziała obok matki, a Cavalcanti stał.

Cavalcanti był odziany czarno, niby bohater Goethego. Na nogach miał lakierki i białe jedwabne ażurowe pończochy. Białą dłonią, niezgorzej wypielęgowaną, gładził się po jasnych włosach, wśród których błyskał diament: próżny młodzieniec nie oparł się bowiem pokusie i — wbrew radom Monte Christa — ozdobił mały palec pierścieniem.

Ruchowi temu towarzyszyły zabójcze spojrzenia przeznaczone dla panny Eugenii. A jednocześnie wzdychał — z podobną dyskrecją i w tym samym celu.

A panna Danglars nie zmieniła się ani na jotę: była piękna, oziębła i drwiąca.

Zaloty Cavalcantiego nie uchodziły jej uwagi — tylko rzekłbyś, ześlizgiwały się niby po pancerzu Minerwy. Kilku filozofów odziało — słusznie czy nie — w ów pancerz pierś Safony.

Eugenia, skłoniwszy się chłodno hrabiemu, skorzystała z pierwszych banalnych słów rozmowy, aby uciec do pokoju muzycznego. Zaraz też doleciały stamtąd wesole głosy połączone z akordami fortepianu. Monte Christo domyślił się, że panna Danglars przełożyła kompanię panny Ludwiki d'Armilly, swojej nauczycielki śpiewu, nad towarzystwo jego i pana Cavalcanti.

Gawędząc z panią Danglars i udając zachwyconego czarem tej rozmowy, obserwował zachowanie pana Andrei. Młodzieniec stanął pode drzwiami i słuchał z nabożeństwem muzyki, nie ośmielając się przekroczyć progu.

Bankier wrócił niebawem.

Spojrzał najpierw na Monte Christa, ale drugim spojrzeniem zaszczycił Andreę.

Małżonce skłonił się na sposób niektórych mężów. Trudno określić ten ukłon — bezzenni nabiorą o nim wyobrażenia, gdy wyjdzie nader obszerny kodeks pożycia małżeńskiego.

— To panienki nie zaprosiły pana, żebyś z nimi pograł albo zaśpiewał? — zwrócił się Danglars do Cavalcantiego.

— Niestety nie! — i Andrea westchnął jeszcze wymowniej niż poprzednio. Danglars co prędzej otworzył drzwi.

Obie panny siedziały przy fortepianie na jednym krześle.

Grały razem akompaniament na lewą i prawą rękę. Lubiły go, więc grywały często i z niezwykłą wprawą.

Ludwika i Eugenia tworzyły razem jak gdyby obraz, piękny i pełen uroku: podobne sceny rodzajowe oglądamy często w Niemczech.

Ludwika była drobna i szczupła. Bujne złote włosy opadały lokami na szyję cokolwiek za długą, jak u madonn Peruginiego. Oczy przysłaniała mgłą zmęczenia. Przypominała wróżkę.

Mówiono, że ma wątle płuca i że kto wie, czy nie umrze śpiewając, niby Antonia ze „Skrzypiec z Cremony”.

Monte Christo zapuścił do tego gyneceum wzrok bystry i ciekawy.

Ujrzał pannę d'Armilly po raz pierwszy, chociaż często słyszał o niej w tym domu.

— Cóż to, zabroniłaś nam tu wstępu? — rzekł baron do córki.

I wprowadził młodzieńca do przyległego saloniku. Przymknął drzwi tak zręcznie — a może był to przypadek — iż baronowa i Monte Christo nie widzieli ze swoich miejsc, co się dzieje przy fortepianie.

Ale że za Andreą poszedł bankier, pani Danglars nie raczyła tego zauważyć.

Po chwili zabrzmiał głos Andrei. Przy dźwiękach fortepianu młodzieniec śpiewał korsykańską piosenkę.

Hrabia słuchał z uśmiechem — zapomniał o Andrei, a przypomniał mu się Benedetto — tymczasem zaś baronowa zachwalała opanowanie swojego męża. Baron stracił dziś w bankructwie mediolańskim do czterystu tysięcy franków.

Pochwała była zasłużona. Gdyby hrabia nie dowiedział się o tym od baronowej, a może za pomocą jednego ze środków, dzięki którym wszystko wiedział, nie wyczytałby nic z twarzy Danglarsa.

Doskonale, pomyślał. Nie przyznaje się już do strat, a miesiąc temu chełpił się nimi.

Następnie rzekł:

— E, łaskawa pani, baron jest tak wytrawnym znawcą giełdy, że zawsze sobie odbije.

— Widzę, że podzielasz pan ogólne, acz błędne mniemanie.

— Jakież to?

— Że mój mąż gra na giełdzie; a on nigdy tego nie robi.

— Doprawdy? A przecież pan Debray mówił mi... O właśnie, co słyhać u niego? Nie widziałem się z nim chyba cztery dni.

— I ja też — odparła baronowa z cudowną przytomnością umysłu. Ale zacząłeś pan zdanie i nie skończyłeś.

— Nie zauważyłem...

— Że pan Debray mówił coś panu.

— A tak, tak, powiadał mi, że hołdujesz pani demonowi gry.

— Przyznam się, że bawiło mnie to czas jakiś, ale się tym znudziłam.

— Niestusznie, niestusznie, łaskawa pani. Miły Boże, fortuna kołem się toczy!... Gdybym był kobietą, żoną bankiera, ufałbym oczywiście szczęściu męża — ale w spekulacji, jak pani dobrze wie, raz się jest na wozie, a raz pod wozem. Jakkolwiek tedy, powtarzam, ufałbym szczęściu męża, starałbym się zdobyć własną fortunę, nawet gdyby trzeba było powierzyć swoje interesy komuś nie znanemu mężowi.

Pani Danglars nie zapanowała nad rumieńcem.

— Ot na przykład — ciągnął Monte Christo, udając, iż nie dostrzegł jej pomieszczenia — słyszałem, że wczoraj akcje neapolitańskie przyniosły niektórym piękne zyski.

— Nie mam ich — przerwała baronowa — i nigdy nie miałam. Ale, mój hrabio, rozprawiamy o giełdzie jak dwoje maklerów. Pomówmyż lepiej o tych biednych Villefortach, tak ciężko doświadczonych przez los.

— A cóż im się stało? — zagadnął Monte Christo, jak gdyby nie wiedział o niczym.

— Ależ musiałeś pan słyszeć o tym. Umarł pan de Saint-Meran, a niedługo po nim jego małżonka.

— Tak, tak, słyszałem. Ale, jak powiada Klodiusz w Hamlecie, to prawo natury: rodzice umierają jak świat światem, a dzieci ich oplakują.

— To jeszcze nie wszystko.

— Jak to nie wszystko?

— Wiadomo panu, że mieli wydać córkę za męża...

— A tak, za pana d'Epinay. No i co, z mariażu nici?

— Jakoby wczoraj przed południem pan d'Epinay zwrócił im słowo.

— Doprawdy?... I nie wie pani, dlaczego?

— Nie.

— Okropność!... A jakże pan de Villefort wytrzymał te wszystkie ciosy?

— Jak to on: ze spokojem filozofa. W tym momencie wszedł Danglars.

— Cóż to — zagadnęła baronowa — zostawiłeś Eugenię sam na sam z panem Cavalcanti?

— I z panną d'Armilly. Za kogóż ją masz? Po czym zwracając się do Monte Christa:

— Uroczy chłopak z tego księcia Cavalcanti, prawda, panie hrabio?... Czy aby tylko jest księciem?...

— Za to nie dałbym sobie uciąć głowy — odparł Monte Christo. — Przedstawiono mi jego ojca jako margrabiego, a więc pan Andrea jest zapewne hrabią, nie wydaje mi się jednak, aby zależało mu specjalnie na tytule.

— A to czemu? — obruszył się Danglars. — Jeśli jest księciem, źle czyni nie podkreślając tego. Każdy winien cenić swoją godność. Nie lubię, jeśli ktoś wypiera się swojego pochodzenia, bardzo nie lubię.

— O, bo pan jesteś demokratą czystej wody — uśmiechnął się hrabia.

— Ale, mój mężu — ozwała się baronowa — czyż ty nie widzisz, na co się narażasz? Gdyby pan de Morcerf zjawił się przypadkiem, zastałby pana Cavalcanti w pokoju, do którego jemu, narzeczonemu Eugenii, nigdy wejść nie dozwolono.

— Słusznie powiedziałeś o przypadku. Tak rzadko widzimy pana Alberta, że chyba tylko przypadek sprowadza go do nas.

— Mniejsza z tym. Gdyby przyszedł i zastał tego młodego człowieka z Eugenią, byłby raczej niekontent.

— O, mylisz się, moja pani. Pan Albert nie raczy być zazdrosny o narzeczoną, nie kocha jej na tyle. A zresztą, może się dąsać.

— A jednak sprawy są w takim punkcie...

— Otóż i to! Zaraz ci powiem, w jakim: na balu u hrabiny de Morcerf pan Albert zatańczył z Eugenią tylko raz jeden, a pan Cavalcanti — trzy; i Morcerf nawet tego nie zauważył.

— Pan wicehrabia de Morcerf! — oznajmił lokaj. Baronowa zerwała się.

Ale kiedy podążała do saloniku, by uwiadomić córkę, baron przytrzymał żonę za ramię.

— Daj spokój — rzekł. Spojrzała nań zdziwiona.

Monte Christo udał, że nie widzi tej sytuacji niemal teatralnej. Wszedł Albert.

Wesół był dziś i wyglądał pięknie.

Skłonił się baronowej szarmancko, baronowi — familiarnie, a hrabiemu przyjaźnie.

I zwracając się do pani domu:

— Czy pozwoli pani baronowa, bym spytał o zdrowie panny Eugenii?

— Córka nasza czuje się wybornie — odpowiedział szybko Danglars. — Śpiewa akurat w saloniku z panem Cavalcanti.

Albert nie stracił kontenansu. Może i rozeźlił się w duchu, ale czuł na sobie bacznego wzrok Monte Christa.

— Pan Cavalcanti — odparł — śpiewa bardzo pięknym tenorem, a panna Eugenia wspaniałym sopranem, nie mówiąc już o tym, że gra na fortepianie jak sam Thalberg. Prześlicznymi to musi być koncert.

— Faktem jest, że zgadzają się znakomicie — oświadczył Danglars. Albert udał, że nie zrozumiał tego dwuznacznika, tak ordynarnego, iż pani

Danglars oblała się pąsem.

— I ja też — powiedział — mam talenty muzyczne, tak przynajmniej zapewniali moi nauczyciele; dziwne to jednak, że dotąd nie zdołał pogodzić mojego głosu z niczym głosem, a zwłaszcza z sopranem.

Danglars uśmiechnął się nieznacznie, jakby chciał powiedzieć: „A złość się, złość!”

— Toteż — ozwał się, licząc zapewne, że teraz osiągnie pożądany cel — Eugenia i książę wzbudzili wczoraj ogólny zachwyt. Nie było pana wczoraj u nas, panie Albercie?

— Jaki książę? — spytał Albert.

— Książę Cavalcanti — objaśnił Danglars, uparłszy się, by darzyć młodzieńca owym tytułem.

— O, przepraszam — odrzekł Albert — nie wiedziałem, że to książę. Aha, to książę Cavalcanti śpiewał wczoraj z panną Eugenią. Musiało to być doprawdy zachwycające i mocno żałuję, że nie słyszałem. Nie mogłem skorzystać z zaproszenia i zjawić się wczoraj u państwa: musiałem towarzyszyć matce. Byliśmy u pani baronowej de Château-Renaud, popisywali się u niej śpiewacy niemieccy.

Zaległa cisza, po chwili zaś Albert spytał jakby nigdy nic:

— Czy pozwolicie państwo, bym złożył uszanowanie pannie Eugenii?

— Momencik, momencik, błagam — zatrzymał go bankier — nie słyszysz pan tej prześlicznej cavatiny? Ta, ta, ta, ti, ta, ta... zachwycające... skończą za sekundę. Wspaniale! Bravo! Bravi! Brava!

I Danglars ją frenetycznie klaskać.

— Nieporównane — rzekł Albert. — Niepodobna głębiej odczuć muzyki swojego kraju, niż odczuwa ją książę Cavalcanti. Bo mienisz pan go księciem, prawda? A zresztą, jeśli nie jest księciem — księciem będzie: we Włoszech to nic trudnego. Ale, wracając do naszej uroczej pary śpiewaków, mógłbyś pan, drogi baronie, zrobić mi przyjemność: nie uwiadamiając panny Eugenii i pana Cavalcantiego, że słucha ktoś obcy, poprosić ich, aby odśpiewali nowy kawałek. To rozkosz radować się muzyką z niejakiego oddalenia, pozostając w półmroku, nie widząc i nie będąc widzianym. Nie krępujemy wtedy artyści, może więc iść za porywem tak serca, jak i geniuszu.

Tym razem Danglars stropił się flegmą Alberta. Odciągnął Monte Christa na bok.

— No i cóż hrabia powie o naszym zakochanym? — zagadnął.

— Do licha... wydaje mi się obojętny, trudno zaprzeczyć; ale cóż pan poradzisz? Słowo się rzekło!

— Owszem, dałem słowo człowiekowi, który kocha moją córkę, a nie człowiekowi, który jej nie kocha. Spójrz pan tylko na niego: zimny jak marmur, a puszy się jak paw; żeby choć był bogaty, miał fortunę Cavalcantich, machnąłbym ręką. Żle, że nie poradziłem się córki, ale jeśli ma dobry gust...

— Nie wiem — odparł Monte Christo — czy w tym wypadku nie zaślepią mnie przyjaźń, ale zapewniam pana, że Albert jest przemiłym młodzieńcem, że uszczęśliwi pańską córkę i że prędzej czy później dojdzie do czegoś; przecież jego ojciec ma znakomitą pozycję.

— Hum! — chrząknął Danglars.

— Skądże te wątpliwości?

— Chodzi mi o tę przeszłość... ciemną przeszłość.

— Ale przeszłość ojca nie dotyczy syna. — Zapewne... zapewne...

— E, nie wybrzydzałbyś pan. Miesiąc temu byłeś pan pełen uznania dla tego małżeństwa... I jeszcze jedno: martwię się, że to u mnie poznałeś pan tego młodego Cavalcanti; a ja go właściwie nie znam, powtarzam panu.

— Ale ja go znam — i to wystarczy.

— Ach tak? Zebrałeś pan o nim informacje?

— Czyż to konieczne? Wiedziałem od razu, że mam do czynienia z nie byle kim. Przede wszystkim jest bogaty.

— Tego nie twierdzę.

— A jednak ręczysz pan za niego.

— W granicach pięćdziesięciu tysięcy liwrów, a to fraszka.

— Jest wykształcony, dystyngowany.

— Hum! — chrząknął z kolei Monte Christo.

— Ma talenty muzyczne.

— Jak każdy Włoch.

— E; krzywdzisz pan tego młodzieńca.

— Może i tak, ale z przykrością patrzę, jak ten młodzieniec stara się pokrzyżować plany dwóch rodzin i chwali się swoim wątpliwym majątkiem, mimo że zna pańskie zobowiązania wobec Morcerfów.

Danglars wybuchnął śmiechem.

— Ależ purytanin z pana! — zawołał. — Przecież takie wypadki zdarzają się na co dzień.

— Nie może pan jednak zrywać ot tak, dla fantazji, mój kochany panie baronie; Morcerfowie liczą na ten mariaż.

— Liczą?

— Liczą poważnie.

— No to niech wyłożą karty. Mógłbyś pan szepnąć o tym słówko generałowi, drogi hrabio. Toż jesteś pan u nich zadomowiony.

— Ja! A któż to, u diabła, wymyślił?

— Wymyślił! Sam widziałem, jak na balu dumna Mercedes, pyszna Katalonka, która ledwie raczy otwierać usta do najdawniejszych znajomych, wzięła pana pod rękę, wyszła z panem do ogrodu i przez półgodziny spacerowaliście państwo po bocznych alejkach.

— O, baronie, baronie — ozwał się Albert — przeszkadzasz nam pan słuchać. To barbarzyństwo, jak na takiego melomana!

— Cóż robić, panie dowcipnisiu! — odparł Danglars. I zwracając się do Monte Christa:

— No co, napomkniesz pan generałowi?

— Chętnie, skoro pan sobie tego życzysz.

— Ale tym razem niech postawi sprawę jasno i zdecydowanie; a zwłaszcza niech poprosi mnie o rękę córki dla swojego syna, wyznaczy termin, określi warunki pieniężne: słowem, wóz albo przewóz; i nie zgadzam się już na żadną zwłokę.

— Dobrze. Podejmuję się misji.

— Nie powiem panu, że miło mi czekać, ale cóż — czekam; bankier winien być niewolnikiem swojego słowa.

I Danglars westchnął nie mniej wymownie niż młody pan Cavalcanti.

— Bravo! Bravi! Brava! — wykrzyknął Albert, przedrzeźniając bankiera i oklaskując zakończenie „kawałka”.

Danglars spojrzał koso na Alberta — w tejże jednak chwili wszedł lokaj i szepnął panu kilka słów.

— Zaraz wrócę — powiedział Danglars do Monte Christa — zaczekaj pan, jeśli łaska, może będę miał dla pana jaką nowinę.

I wyszedł.

Baronowa, korzystając z nieobecności męża, otworzyła szerzej drzwi saloniku. Imć Andrea, siedzący z panną Eugenią przy fortepianie, zerwał się na równe nogi.

Albert skłonił się z uśmiechem pannie Eugenii, ona zaś nie okazując żadnego pomieszania odpowiedziała ukłonem jak zawsze chłodnym.

Cavalcanti był wyraźnie zakłopotany.

Skłonił się Morcerfowi, ten zaś odpowiedział ukłonem niezrównanie impertynenckim.

Po czym, rozplywając się z zachwytu nad głosem panny Eugeniei, wyraził żal, iż nie mógł być na wczorajszym koncercie.

Gavalcanti, pozostawiony samemu sobie, odciągnął na bok Monte Christa.

— A teraz — ozwała się pani Danglars — dość już tej muzyki i komplementów, chodźmy na herbatę.

Herbata czekała w sąsiednim salonie.

— Chodź, Ludwisiu — rzekła panna Danglars do przyjaciółki.

Wszyscy już kończyli pić herbatę, kiedy otworzyły się drzwi i zjawił się Danglars, wyraźnie czymś podekscytowany.

Zauważył to przede wszystkim Monte Christo. Spojrzał pytająco na bankiera.

— No — rzekł Danglars — otrzymałem korespondencję z Grecji.

— Aha! — ozwał się hrabia. — To dlatego pana wywołano?

— Tak.

— I jakże się miewa król Otton? — spytał wesoło Albert.

Danglars spojrzał nań spod oka i nic nie odpowiedział. Monte Christo odwrócił się, aby ukryć wyraz litości, który ukazał się na jego twarzy, ale znikł natychmiast.

— Wyjdziemy razem, prawda? — zagadnął Albert hrabiego.

— Bardzo chętnie.

Albert nie mógł pojąć, czemu bankier spojrzał nań tak nieżyczliwie. Zwrócił się więc do Monte Christa — hrabia znał wybornie przyczynę owego spojrzenia — i spytał: — Widziałeś pan, jak on spojrzał na mnie?

— Owszem, ale czyś dostrzegł pan w tym spojrzeniu coś szczególnego?

— Z pewnością. Ale po cóż on się chwalił tymi wiadomościami z Grecji?

— A skądże ja mogę wiedzieć?

— Słyszałem, że masz pan tam stosunki.

Monte Christo uśmiechnął się tak, jak uśmiechał się zawsze, gdy odpowiedzieć nie chciał.

— Oho — rzekł Albert — zbliża się do pana; podejdę do panny Eugeniei, zacznę się zachwycać jej kameą, a on tymczasem będzie mógł z panem pogadać.

— Skoro pan chcesz zrobić pannie Eugeniei przyjemność, pochwal choć raz jej głos — doradził hrabia.

— Nie. To każdy chwali.

— Kochany panie Albercie, jesteś nie tylko impertynentem, lecz i pyszałkiem. Albert uśmiechając się podążył do Eugeniei.

Zaraz też Danglars szepnął hrabiemu na ucho:

— Daleś mi pan znakomitą radę. Dwa słowa: Fernand i Janina streszczają potworną historię.

— No, no — zdziwił się hrabia.

— Tak, opowiem ją panu; ale zabierz pan tego młodego człowieka. Nazbyt krępuje mnie jego obecność.

— Tak, tak, wychodzimy razem. Aha, czy mam przysłać panu jego ojca?

— Zgoda.

Hrabia dał znak Albertowi.

Obydwaj skłonili się damom i wyszli: Albert okazując absolutną obojętność dla wzgardy, z jaką pożegnała go Eugenia, Monte Christo doradziwszy pani Danglars raz jeszcze środki ostrożności, jakie winna przedsięwziąć żona bankiera dbała o swoją przyszłość.

Na placu bitwy zatriumfował pan Cavalcanti.

2. HAYDE

Pojechali kareta Monte Christa. Ledwie konie skręciły za róg bulwaru, Albert obrócił się ku hrabiemu i wybuchnął śmiechem tak donośnym, że aż nieco sztucznym.

— Zadam panu pytanie — rzekł — które Karol IX zadał Katarzynie Medycejskiej po Nocy Świętego Bartłomieja: No i jakżeż odegrałem swoją rolę?

— W związku z czym?

— W związku z instalacją mojego rywala u państwa Danglars...

— Jakiego znowuż rywala?

— Jak to jakiego? Pańskiego pupila, pana Andrei Cavalcanti.

— Nie lubię niemądrych żartów, mój hrabio. Pan Andrea nie jest moim pupilem, a w każdym razie nie proteguję go panu Danglars.

— Postawiłbym panu ten zarzut, gdyby ów młodzieniec potrzebował protekcji, ale, szczęściem dla mnie, może się bez niej obejść.

— Jak to? Czyżby według pana uderzał już w konkury?

— Ręczę za to. Wzdycha, przewraca oczami, tokuje i grucha miłośnie. Zabiega o rękę dumnej Eugonii.

— To nie ma znaczenia, skoro i tak myślą jedynie o panu.

— E, nie żartowałbyś, drogi hrabio. Dwa razy dostałem po nosie.

— Jak to dwa razy?

— Ano tak: panna Eugenia odpowiadała mi półgębkiem, a panna Ludwika, jej przyjaciółka od serca, nie raczyła odpowiedzieć mi wcale.

— Tak, ale papa uwielbia pana.

— On? Przeciwnie. Wbijał mi sztylet po sztylcie — tylko że trafiły w próżnię.

— Zazdrość świadczy o uczuciu.

— Owszem, ale ja nie jestem zazdrosny.

— Za to on jest.

— O kogo? O Debraya?

— Nie, o pana.

— O mnie? Założę się, że gdy pójdę tam za niecały tydzień, pocałuję klamkę.

— Myli się pan, drogi panie Albercie.

— Daj mi pan na to dowód

— Chcesz pan dowodu?

— Tak.

— Mam się zwrócić do pańskiego ojca (proszono mnie o to), żeby pan generał odbył decydującą rozmowę z baronem.

— Kto pana prosił?

— Sam baron.

— O — rzekł Albert najprzymilniej, jak umiał — nie uczynisz tego, hrabio kochany, prawda?

— Mylisz się, panie Albercie: uczynię, bom obiecał.

— Ano cóż — westchnął Albert — zdaje się, że chce pan mnie ożenić za wszelką cenę.

— Lubię dogodzić każdemu. Ale — tu hrabia zmieniał temat — co się stało z Debrayem? Nie widuję go jakoś u baronowej.

— Pożarł się.

— Z kim? Z baronową?

— Nie. Z baronem.

— Czyżby baron się spostrzegł?

— Świetny żart!

— Sądzisz pan, że domyśla się czegoś? — zagadnął Monte Christo z rozbrajającą naiwnością.

— O Boże! Czy pan spadł z księżycy, drogi hrabio?

— Nie; przyjechałem z Kongo.

— To jeszcze nie z tak daleka.

— Ale o tych pańskich paryżanach wiem niewiele.

— E, drogi hrabio, mężowie są wszędzie tacy sami; poznawszy do głębi jednostkę, poznasz pan cały naród.

— O cóż więc poważnił się Danglars z Debrayem? — zapytał hrabia z podobną naiwnością. — Miałem ich za dobrych przyjaciół.

— O, tu zaczynają się misteria lzydy, a ja nie należę do wtajemniczonych. Kiedy pan Cavalcanti zostanie zięciem, zapytasz go pan o to.

Kareta zatrzymała się.

— Przyjechaliśmy — rzekł Monte Christo. — Dopiero wpół do jedenastej, zajdź pan do mnie.

— Bardzo chętnie.

— Odeślę pana potem końmi.

— Dziękuję, mój powozik na pewno jedzie tuż za nami.

— A tak, już jest — powiedział Monte Christo wysiadając z karety. Obaj weszli do domu. Salon był oświetlony.

— Zaparz nam herbaty, Baptysto — ozwał się hrabia. Baptysta wyszedł bez słowa.

Po dwóch sekundach zjawił się znowu, niosąc zastawioną tacę. Przypominało to bajkę „Stoliczku, nakryj się.”

— Nie imponują mi bogactwa drogiego hrabiego — powiedział Morcerf — bo są pewnie bogatsi od pana; nie imponuje mi też pański dowcip: Beaumarchais nie miał go więcej, ale dorównywał panu; imponuje mi pańska służba: w minutę, w sekundę odgaduje pańskie życzenia z pańskich dzwoneczków, milczy i zawsze ma wszystko dla pana gotowe.

— Jest w tym coś z prawdy. Znają moje nawyki. Dam panu przykład. Nie życzyłbyś pan sobie czego, popijając herbatę?

— Chętnie bym zapalił.

Monte Christo wstał i uderzył w gong.

W drzwiach stanął Ali dierząc dwie fajki tureckie, nabite wybornym tytoniem syryjskim.

— Cudowne! — zawołał Morcerf.

— Skądże znowu, całkiem proste. Ali wie, że palę zawsze przy kawie czy herbacie; wie, że zawołał o herbatę; wie, że wróciłem z panem; usłyszał, że go wzywam, domyślił się, czego mi trzeba, a że w jego ojczyźnie dowodem gościnności jest przede wszystkim nabita fajka, przyniósł dwie fajki zamiast jednej.

— Oczywiście, ale tak wszystko wytłumaczyć można; niemniej tylko u pana... O, ale co to?

I Morcerf pochylił się ku drzwiom, przez które dolatywały tony podobne do dźwięków gitary.

— No cóż, drogi panie Albercie, uciekłeś od fortepianu panny Danglars, wpadłeś z deszczu pod rynnę: to Hayde gra na guzli.

— Hayde! Prześliczne imię. Ale myślałem dotąd, że lord Byron zmyślił je tylko w swoich poematach.

— E, nie; imię to, nader rzadkie we Francji, jest pospolite w Albanii i w Epirze. Oznacza ono, powiedzmy, czystość, wstydlivość, niewinność.

— To urocze! Nic bym nie miał przeciwko temu, żeby Francuzki nosiły podobne imiona: panna Dobroć, panna Milczenie, panna Miłosierdzie Chrześcijańskie! Gdyby pannie Danglars było na imię nie Klara Maria Eugenia, ale Czystość Wstydlivość Niewinność! Czystość Wstydlivość Niewinność Danglars, do diabła, co za efekt przy zapowiedziach!

— Szaleńcze! Nie gadaj tak głośno, Hayde mogłaby usłyszeć.

— I rozgniewałaby się?

— O nie — odrzekł wyniośle hrabia.

— To zapewne dobra osoba?

— Jest wcieleniem nie tyle dobroci, ile obowiązku. Niewolnica nie gniewa się na swojego pana.

— E, dałbyś pan pokój żartom. Czyż istnieją jeszcze niewolnice?

— Naturalnie, skoro Hayde jest moją niewolnicą.

— Nie widziałem jeszcze takiego oryginała, jak pan! Niewolnica hrabiego de Monte Christo! We Francji taka propozycja — owszem, owszem. Sądząc z tego, jak pan sypiesz złotem, pańska niewolnica dostaje ze sto tysięcy dukatów rocznie.

— Sto tysięcy dukatów? Biedaczka miała bez porównania więcej. Przyszła na świat wśród skarbów, wobec których skarby z „Tysiąca i Jednej Nocy” są prawie niczym.

— I to naprawdę księżniczka?

— Rzekłeś pan. W swoim kraju należała do najznakomitszych.

— Domyślałem się. Ale jakże taka wielka księżniczka popadła w niewolę?

— A jak Dionizy Tyran został nauczycielem? Wojna, drogi panie Albercie, kaprys losu...

— Czy jej nazwisko jest tajemnicą?

— Dla wszystkich tak, ale nie dla pana, drogi panie Albercie, którego zaliczam do przyjaciół. Będziesz pan milczał, przyrzekasz?

— Ręczę honorem.

— Znasz pan dzieje paszy z Janiny?

— Alego Tebelina? W jego służbach mój ojciec zrobił fortunę. — A prawda! Zapomniałem.

— No i cóż wiąże Hayde z Alim Tebelinem?

— To samo, co wiąże ojca z córką

— To ona jest córką Ali Paszy?

— Tak. I pięknej Wasiliki. — I jest pańską niewolnicą?

— A jakże. Kupiłem ją na targu w Konstantynopolu.

— Wspaniale! Z panem się nie obcuje, drogi hrabio, z panem człowiek śni! Chciałbym o coś poprosić, ale boję się popełnić nietakt.

— Niechże pan mówi.

— Bo skoro pan z nią wychodzi, zawozi ją do Opery...

— I co dalej?

— To chyba mógłbym zaryzykować tę prośbę.

— Możesz mnie pan prosić o wszystko.

— W takim razie, drogi hrabio, przedstaw mnie swojej księżniczce.

— Chętnie, jeśli spełnisz pan dwa warunki.

— Przyjmuję z góry. .

— Po pierwsze: nie zdradzisz pan nikomu, żem cię przedstawił.

— Zgoda! — tu Morcerf wzniosł rękę — przysięgam!

— Po drugie: nie wspomnisz jej pan ani słowem o swoim ojcu.

— Przysięgam.

— Doskonale. Nie zapomnisz pan o tej dwojakiej przysiędze, prawda? — Och! — oburzył się Albert.

— Ależ wiem, wiem, że jesteś pan człowiekiem honoru. Hrabia uderzył w gong. Zjawił się Ali.

— Powiedz Hayde, że wypiję u niej kawę. Daj jej do zrozumienia, że pytam, czy mogę przedstawić jej jednego z moich przyjaciół.

Ali skłonił się i wyszedł.

— I jeszcze jedno: proszę, abyś nie zadawał jej pan żadnych pytań. Jeśli będziesz chciał czegoś się dowiedzieć, pytaj mnie, a ja powtórzę pytanie.

— Dobrze.

Ali stanął w drzwiach i uniósł portierę na znak, że obaj panowie mogą wejść.

— Chodźmy — rzekł Monte Christo.

Albert przygładził ręką włosy i podkręcił wąsa.

Hrabia wziął cylinder, włożył rękawiczki i powiódł Alberta do owego apartamentu, którego strzegł Ali niby wartownik, a broniły trzy pokojowe, Francuzki, pod kierunkiem Myrto.

Hayde czekała w pierwszym pokoju, który służył za salon. Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, nigdy jeszcze bowiem Monte Christo nie wprowadził tu żadnego mężczyzny.

Siedziała po turecku w rogu sofy. Uwiła sobie tu — by rzec — gniazdo z najkosztowniejszych tkanin wschodnich, z jedwabi pasiastych i haftowanych.

Leżał przy niej ów instrument, którego dźwięki zdradziły jej obecność.

Uroczą była.

Na widok Monte Christa podniosła się z owym uśmiechem, w którym tało się oddanie i kochanki, i córki.

Monte Christo podał jej dłoń, do której jak zwykle przylgnęła wargami.

Albert zatrzymał się w drzwiach. Oszłomiła go ta dziwna piękność, tak różna od naszych, iż nie możemy mieć p niej we Francji żadnego wyobrażenia.

— Kogo mi przyprowadzasz? — spytała po nowogrecku. — Brata, przyjaciela, zwykłego znajomego czy wroga?

— Przyjaciela — odparł w tymże języku Monte Christo.

— Kto on?

— Wicehrabia Albert. Ten sam, którego w Rzymie wybawiłem z niewoli bandytów.

— W jakim języku mam mówić do niego? Monte Christo zwrócił się do Alberta:

— Znasz pan współczesną greczyznę?

— Niestety, drogi hrabio, nie znam nawet starożytnej; Homer i Platon mieli we mnie leniwego i, wyznać muszę, krnąbrnego ucznia.

— Zatem — odrzekła Hayde, a dowiodła tym pytaniem, że zrozumiała i Monte Christa, i Alberta — czy mam mówić po włosku, czy też po francusku, o ile, mój panie, zechcesz, bym mówiła?

Monte Christo namyślał się chwilę.

— Będiesz mówić po włosku — zdecydował. A zwracając się do Alberta:

— Szkoda, że pan nie znasz ani greczyzny współczesnej, ani starożytnej, bo Hayde mówi prześlicznie jedną i drugą; biedaczka będzie musiała mówić po włosku, skutkiem czego wyrobisz pan sobie o niej może fałszywe pojęcie.

Dał znak Hayde.

— Bądź pozdrowiony, przyjacielu, którego przyprowadził mój pan i władca — ozwała się w najczystszy narzeczu tokańskim, ale akcentując z rzymska. Miękki ów akcent czyni język Dantego równie dźwięcznym jak język Homera, — Ali! Kawę i fajki.

Skinęła na Alberta, żeby się zbliżył: Ali wyszedł, by spełnić rozkazy młodej pani.

Monte Christo wskazał Albertowi dwa składane stołki. Przyniesli je do stolika pełnego kwiatów, rysunków i nut. Pośrodku pyszniły się nargile.

Wszedł Ali niosąc kawę i fajki. Bąpćyście wzbroniono bowiem przekraczać progów tego apartamentu.

Albert odsunął fajkę, którą podał mu Nubijczyk.

— O, może pan wziąć śmiało — ozwał się hrabia. — Hayde jest wychowana prawie tak samo jak paryżanka, nie lubi hawan, bo nie lubi przykrych zapachów. Ale tytoń wschodni pachnie pięknie, o czym pan wiesz.

Ali wyszedł.

Filiżanki do kawy stały gotowe; jedynie Albertowi podano cukiernicę.

Monte Christo i Hayde pili likwor arabski na modłę Arabów — to znaczy bez cukru.

Hayde, trzymając w różowych i smukłych paluszkach filiżankę z japońskiej porcelany, rozkoszowała się naiwnie kawą, jak dziecko rozkoszuje się łakociami.

Dwie służebne wniosły tace pełne lodów i sorbetów i ustawiły je na niskich stolikach.

— Drogi gospodarz i signora wybaczą mi moje zdumienie — ozwał się Albert. — Osłupiałem, i to całkiem naturalne. Znalazłem się na Wschodzie. Wschodzie prawdziwym, nie takim, jaki widziałem, ale takim, o jakim śniłem — a znalazłem ową krainę w sercu Paryża. Przed chwilą jeszcze słyszałem turkot omnibusów i dzwonki przekupniów lemoniady. O, signora! Czemuż nie umiem po grecku! Rozmowa z panią uświetniłaby jeszcze ten wieczór z baśni, o którym nigdy nie zapomnę!

— Mówię niezłe po włosku — odparła spokojnie Hayde — a więc zdołam porozumieć się z panem. Skoro zaś pan lubisz Wschód, dołożę starań, abyś odnalazł go tutaj.

— O czym mogę mówić? — szepnął Albert do Monte Christa.

— O czym się panu spodoba. O jej kraju, dzieciństwie, wspomnieniach; albo jeśli pan wolisz — o Rzymie, Neapolu, Florencji.

— E, nie po to mam Greczynkę przed sobą, żeby mówić do niej jak do paryżanki. Jeśli pan pozwoli, będę mówił o Wschodzie.

— Wybornie, drogi Albercie, gdyż ona przepada za taką rozmową. Albert obrócił się ku Hayde.

— W jakim wieku signora opuściła Grecję?

— Miałam wtedy pięć lat.

— A pamięta pani ojczyznę?

— Gdy zamknę oczy, widzę to wszystko, co niegdyś widziałam. Istnieją dwa rodzaje wzroku: cielesny i duchowy. Wzrok cielesny zapomina czasem, ale duchowy zawsze pamięta.

— Jakie jest pani najdawniejsze wspomnienie?

— Chodziłam dopiero z ledwością; moja matka, na imię jej było Wasilika; Wasilika to znaczy królewska — dodała Hayde, podnosząc dumnie głowę — brała mnie za rękę i włożywszy na dno sakiewki całe nasze złoto, szliśmy, zawoalowane, prosić o jałmużnę dla więźniów. Powiadałyśmy wtedy: „Na lichwę daje Panu, kto ma litość nad ubogim i nagrodę jego odda mu”. Napelniwszy sakiewkę wracałyśmy do pałacu i nie zdradzając się przed ojcem, wszystkie te pieniądze, które nam dawano jako ubogim kobietom, posyłałyśmy mnichom, a mnisi rozdzielali je między więźniów.

— Ile pani miała wtedy lat?

— Trzy.

— I pamiętasz pani wszystko, co widziałaś w trzecim roku życia?

— Wszystko.

— Czy hrabia pozwoli — szepnął Albert do Monte Christa — by signora opowiedziała nam coś ze swojego życia? Zabroniłeś mi pan wspominać o moim ojcu, ale może ona o nim coś powie. Nie wyobrażasz pan sobie, jaki byłbym szczęśliwy, gdyby jego nazwisko padło z tych ślicznych ust.

Hrabia spojrzął na Hayde i zmarszczywszy brwi, dał jej tym znak, że zakomunikuje rzecz wielkiej wagi. Następnie ozwał się po grecku:

— Opowiedz o losach swojego ojca, ale nie wymieniaj nazwiska zdrajcy i nie wspominaj nic o zdradzie.

Hayde westchnęła ciężko, zasępiło się jej alabastrowe czoło.

— Coś jej pan powiedział? — szepnął Albert.

— Zapewniłem ją raz jeszcze, że jesteś pan przyjacielem, i powiedziałem, że nie potrzebuje przed panem nic ukrywać.

— A więc te zbożne wyprawy po jałmużnę dla więźniów są pani najdawniejszym wspomnieniem — ozwał się Albert. — I co pani pamięta jeszcze z tych czasów?

— Co jeszcze? Widzę siebie w cieniu sykomorów, nad jeziorem, którego zwierciadło prześwitując pośród listowia migoce mi przed oczyma; pod najstarszym i najgęstszym z drzew siedzi na poduszkach mój ojciec, matka leży u jego stóp, a ja, słabe dziecko, głaszczę siwą brodę, która opada mu na piersi, albo bawię się kindząłem o rękojeści wysadzonej diamentami, który tkwi ojcu za pasem; od czasu do czasu podchodzi Albańczyk i mówi ojcu jakieś słowa, na które nie zwracam uwagi, ojciec zaś odpowiada: „Zabij” albo: „Daruj życie!”

— To dziwne — ozwał się Albert — że pani, taka młoda, mówisz rzeczy, które słyszałem dotąd tylko w teatrze. I to nie bajka. Jakże, przywykłej do cudowności i poetycznych krajobrazów, podoba się pani Francja?

— To chyba kraj piękny, Ale widzę Francję oczyma dojrzałej osoby, a więc taką, jaką jest, moją zaś ojczyznę oglądam oczami dziecka — we mgle to świetlistej, to szarej, zależnie od tego, czy byłam szczęśliwa, czy cierpiałam gorzko.

— Taka młoda — rzekł Albert, wpadając mimo woli w banał — a już pani cierpiałaś?

Hayde spojrziała na Monte Christa, on zaś dał jej prawie niedostrzegalny znak i szepnął po grecku:

— Opowiadaj.

— Nic tak nie kształtuje ludzi jak pierwsze wspomnienia, a wszystkie wspomnienia mojej młodości są smutne.

— Mów, mów, signora — rzekł Albert — zaklinam! Będę słuchał, nie posiadając się ze szczęścia.

Hayde uśmiechnęła się smutno.

— Chcesz więc pan, abym snuła dalej wspomnienia?

— Błagam! — zawołał Albert.

— Owóz jednego razu, kiedy miałam cztery lata, matka zbudziła mnie wieczorem. Było to w pałacu, w Janinie; uniosła mnie z poduszek, a otwierając oczy zobaczyłam, że płacze rzewnymi łzami.

Wzięła mnie na ręce nic nie mówiąc i wyszła.

Widząc, że płacze, zapłakałam i ja. — Cicho, dziecinko — rzekła.

Kapryśna jak wszystkie dzieci, płakałam często, nie zwracając uwagi na macierzyńskie prośby i groźby; tym razem jednak głos mojej matki brzmiał taką trwogą, żem ucichła.

Matka szła szybko.

Schodziłyśmy po szerokich schodach.

Przed nami szły służebne matki, niosąc skrzynie, worki, suknie, woreczki z klejnotami i złotem.

Za służebnymi postępowało dwudziestu strażników, uzbrojonych w długie fuzje i pistolety, odzianych zaś w ów strój, który znacie we Francji od czasu, jak Grecja odzyskała niepodległość.

Było coś złowróbnego, wierz mi pan — ciągnęła Hayde, potrząsając głową i blednąc na samo to wspomnienie — w owym długim sznurze niewolnic i służebnych, zaspanych jeszcze, jak sobie wyobrażałam, sama nie rozbudziwszy się całkiem.

Na schodach migotały ogromne cienie, zapalono bowiem sosnowe pochodnie. Cienie chygotały też na sklepieniach.

— Prędeż, prędeż! — wołał ktoś z głębi galerii.

Na brzmienie tego głosu wszyscy pochylili się niby kłosa, nad którymi przejdzie wiatr.

I ja też zadrżałam.

Był to głos mojego ojca.

Ojciec zamykał pochód. Miał na sobie wspaniałe szaty, a w ręce dzierżył karabin — dar od waszego cesarza; i wsparty na ramieniu faworyta swojego, Selima, poganiał nas przed sobą, jak pasterz popędza wystraszoną trzodę.

Mój ojciec — tu Hayde podniosła dumnie głowę — słynął w Europie jako Ali Tebelin, pasza Janiny, przed którym drżała Turcja.

Alberta przejął dreszcz, z taką dumą i godnością Hayde wypowiedziała te słowa. Wydawało mu się, że z oczu dziewczęcia wytrysnął posępny i groźny płomień, kiedy podobna Pytii wspomniła o tym krwawym władcy; który zginąwszy straszną śmiercią, wydał się Europie olbrzymem.

— Zatrzymaliśmy się niebawem — ciągnęła Hayde. — Staliśmy nad brzegiem jeziora. Matka tuliła mnie do piersi, ujrzałam ojca tuż za nami. Rozglądał się niespokojnie.

Przed nami widniały cztery marmurowe stopnie i kołysała się łódź. Pośrodku jeziora majaczył czarny kształt. Był to kiosk, do którego mieliśmy się udać.

W ciemnościach wydawał się bardzo odległy.

Zeszliśmy do łodzi.

Pamiętam, że wiosła ślizgały się bezszelestnie po wodzie i że wychylałam się, żeby patrzeć na nie.

Owinięte były pasami naszych palikarów.

Poza wioślarzami, służebnymi, moją matką i mną był w łodzi mój ojciec i Selim.

Palikarowie pozostali na brzegu jeziora, a klęcząc na najniższym z murowanych stopni — z wyższych uczynili sobie szaniec.

Łódź nasza mknęła jak wicher.

— Czemu tak szybko jedziemy? — zapytałam matkę.

— Cicho, moje dziecię, uciekamy — odrzekła. Nie zrozumiałam.

Dlaczego uciekał mój ojciec? On, wszechpotężny, przed którym zazwyczaj uciekali inni; on, który obrał sobie za dewizę:

„Nienawidzą mnie, albowiem budzę postrach”.

A teraz ojciec mój uciekał na jezioro.

Powiedział mi potem, że garnizon zamku w Janinie, sprykrzywszy sobie za długą służbę...

Tu Hayde przerwała opowieść, spoglądając wymownie na Monte Christa. Hrabia nie odrywał teraz wzroku od jej oczu.

Dziewczyna podjęła opowieść, robiąc pauzy, jak ktoś, kto zmyśla albo pomija to i owo.

— Mówiłaś, pani — ozwał się Albert, który słuchał z natężoną uwagą — że garnizon Janiny, sprykrzywszy sobie za długą służbę...

— Zaczął pertraktować z seraskierem Kurszydem. Kurszyd, wysłannik sułtana, miał rozkaz pojmać mojego ojca. Ojciec, wysławszy do sułtana pewnego oficera, Francuza, do którego miał bezgraniczne zaufanie, schronił się do owej kryjówki, przygotowanej już z dawna. Nazywał ją kataphygon, to znaczy schronienie.

— Nie pamięta pani, jak się ten oficer nazywał? — zapytał Albert.

Monte Christo i Hayde wymienili błyskawiczne spojrzenie, którego Albert nie zauważył.

— Nie — odrzekła — nie pamiętam; ale jeśli później przypomnę sobie, to je wymienię.

Albert miał już wymówić nazwisko swojego ojca, ale Monte Christo, wzniosłszy łagodnie palec, nakazał mu milczenie. Albert przypomniał sobie o przysiędze.

— Płynęliśmy w stronę kiosku.

Z zewnątrz był to pałacyk jednopiętrowy, ozdobiony arabeskami. Okna pierwszego piętra wychodziły na jezioro, woda oblewała tarasy.

Ale miał on obszerne piwnice, przerobione z jaskiń; tutaj piętrzyły się worki i stały beczki; worki zawierały dwadzieścia pięć milionów złotych, w beczkach mieściło się trzydzieści tysięcy funtów prochu.

Nie opodal beczek stał Selim, wspomniany faworyt mojego ojca. Czuwał dniem i nocą, trzymając dzidę, na której ostrzu płonął knot nasycony oliwą.

Na znak mojego ojca miał wysadzić w powietrze pałacyk, a z nim strażników, kobiety, złoto i samego paszę.

Niewolnice, wiedząc, czym są napełnione beczki, modliły się i płakały i zawodziły dzień i noc.

Widzę wciąż młodego żołnierza, bladoliczego i czarnookiego. Kiedy zstąpi po mnie anioł śmierci, wiem, że będzie to Selim.

Nie umiem powiedzieć, jak długo przebywałyśmy w podziemiu. Podówczas nie wiedziałam jeszcze, jak obliczać dni.

Niekiedy, ale trafiało się to rzadko, ojciec wzywał matkę i mnie na taras pałacu.

Były to chwile radości, w lochu bowiem słyszałam tylko lamenty niewolnic i widziałam ognistą włóczęgię Selima.

Ojciec, siedząc przy ogromnym oknie, badał widnokrąg posępnym spojrzeniem, przypatrywał się każdemu ciemnemu punktowi, jaki tylko pojawił się na powierzchni jeziora. Matka, na pół leżąc obok ojca, wspierała głowę na jego ramieniu, a ja igrałam u ich stóp, podziwiając, bo dziecku każdy przedmiot wydaje się większy, poszarpane łańcuchy gór Pindu rysujące się na horyzoncie, białe zamki Janiny wynurzające się z błękitnych wód jeziora, olbrzymie kępy ciemnej zieleni przyklepionej do skał. Z dala brałam je za mchy, a z bliska były to niebotyczne sosny i ogromne mirty.

Któregoś ranka ojciec wezwał nas na taras; był spokojny, ale bledszy niż zwykle.

— Dziś, Wasiliko — rzekł — przybywa firman od sułtana i zdecyduje się mój los. Jeśli okażą mi całkowitą łaskę, wrócimy tryumfalnie do Janiny; jeśli wiadomość będzie niepomyślna, uciekniemy jeszcze tej nocy.

— Ale czyż oni dopuszczą do naszej ucieczki? — rzekła moja matka.

— O, bądź spokojna — uśmiechnął się Ali. — Selim i jego włóczęgia dają mi rękojmię. Jeśli tamci zechcą, bym umarł, nie zechcą umrzeć ze mną.

Matka westchnęła tylko. Ojciec starał się ją pocieszyć, sam w swoje słowa nie wierząc.

Podawała mu zimną wodę, którą wciąż popijał, trawiła go tutaj bowiem gwałtowna gorączka.

Skropiła wonnościami jego siwą brodę i zapaliła mu fajkę. Całymi godzinami patrzył z roztargnieniem w kłęby dymu, które rozpływały się w powietrzu.

Raptem zerwał się tak szybko, że się przestraszyłam.

I nie odrywając oka od jakiegoś punktu, zawołał o lunetę.

Matka podała mu ją, okropnie zbladłszy.

Ręka ojca drżała.

— Łódź... jedna!... dwie!... trzy!... — wyszeptał ojciec — cztery!... Wstał, chwycił broń i podsypał prochu na panewkę pistoletów.

— Wasyliko — mówił, drżąc, do matki — nadeszła chwila, która zdecyduje o naszym losie; za pół godziny będziemy mieć odpowiedź od prześwieconego sułtana. Wracaj z Hayde do lochu.

— Nie opuszczę cię, mój panie — odrzekła Wasylika. — Jeśli umrzesz, umrę z tobą.

— Wracaj do Selima — huknął na nią ojciec.

— Żegnaj mi, panie — wyszeptła posłusznie matka. Zgarbiła się, jakby czekając na śmierć.

— Wyprowadzić Wasilikę! — powiedział ojciec do palikarów.

Ale ja, o której zapomniano, podbiegłam doń wyciągając ręce. Pochylił się nade mną i pocałował mnie w czoło.

Był to pocałunek ostatni, czuję go jeszcze na czole.

Schodząc, widziałyśmy poprzez okratowania tarasu łodzie, co wciąż rosły na jeziorze. Podobne niedawno do czarnych punkcików, przypominały teraz ptactwo mknące po fali.

Na tarasie dwudziestu palikarów, siedzących u stóp ojca albo ukrytych za drewnianą balustradą, śledziło okiem krwią nabiegłym owe nadciągające statki. Trzymali w pogotowiu długie fuzje o kolbach inkrustowanych srebrem i macicą perłową.

Na podłodze leżało mnóstwo amunicji.

Ojciec przechadzał się, dławiony niepokojem, spoglądając na zegarek.

Oto, co zapamiętałam, rozstając się z ojcem.

Weszliśmy z matką do lochu.

Selim, jak zawsze na posterunku, uśmiechnął się do nas smutno.

Przyniosłyśmy poduszki, leżące w innej części lochu, i usiadłyśmy w pobliżu Selima.

W wielkim niebezpieczeństwie serca pałające tym samym uczuciem odnajdują się zawsze. Choć byłam dzieckiem, instynkt mówił mi, że straszne nieszczęście zawisło nad naszymi głowami.

Albert słyszał często, nie z ust ojca — gdyż generał nigdy nie wspominał o tym — ale od znajomych, opowieść o ostatnich chwilach wezyra Janiny.

Czytał też rozmaite relacje o jego śmierci. Ale teraz historia ta ożyła w ustach dziewczyny, przybierając barwę smętnej elegii. Słowa Hayde przejmowały go niewysłowionym zachwytem, lecz i grozą.

Hayde pogrążona w tragicznych wspomnieniach przerwała na chwilę; głowa jej niby kwiat, co pochyła się w dzień burzy, wsparła się na ręce, oczy jej pełne zadumy zdawały się błądzić po zboczach zielonego Pindu i po błękitnych wodach jeziora — magicznym zwierciadle, które odbijało cały ten posępny obraz.

Monte Christo spoglądał na Hayde z nieokreślonym bliżej zaciekawieniem i litością.

— Opowiadaj dalej, moja córko — rzekł po grecku.

Hayde uniosła głowę, jakby dźwięczne słowa hrabiego zbudziły ją ze snu, i podjęła opowieść:

— Była czwarta po południu, ale choć na dworze świeciło słońce, do lochu nie docierał żaden jego promień.

Jedno tylko światelko błyszczało w piwnicy, podobne gwiazdzie migocącej na czarnym niebie. Była to pochodnia Selima.

Matka moja, chrześcijanka, odmawiała pacierze. Selim powtarzał od czasu do czasu uświęcone słowa:

— Bóg jest wielki.

Ale matka nie straciła całkiem nadziei.

Schodząc zobaczyła, jak jej się wydało, Francuza. Wrócił snadź z Konstantynopola. Ojciec darzył go nieograniczonym zaufaniem, wiedząc, że żołnierze sułtana francuskiego są wspaniałomyślni i szlachetni.

Skierowała się ku schodom i jęła nasłuchiwać.

— Są już blisko — rzekła. — Oby przynieśli nam pokój i życie.

— Czego się lękasz, Wasiliko — powiedział Selim, a głos jego miał brzmienie łagodne i dumne zarazem. — Jeśli nie przyniosą pokoju, zginą z naszej ręki. A podsycając płomień przypominał Dionizosa z antycznej Krety.

Ja — taka jeszcze mała i niemądra — lękałam się jego odwagi, uważając ją za niedorzeczną i okrutną. Bałam się śmierci wśród ognia i walących się murów. Matka odczuwała to samo, drżała bowiem.

— O Boże — zawołałam — mamo, czy zginiemy?

Wtedy niewolnice poczęły się modlić i lamentować jeszcze głośniejsze.

— Moje dziecko — odparła Wasilika — niech Bóg cię ma w swej opiece: obyś nie pragnęła jeszcze tej śmierci, której się dziś lękasz!

I spytała szeptem:

— Selimie, co ci pan rozkazał?

— Jeśli przyśle mi swój sztylet, oznaczać to będzie, że sułtan odmówił łaski, a wtedy podpale prochy; jeśli przyśle mi pierścień, to znak, że sułtan przebaczył, wtedy wpuszczę jego wysłanników do prochowni.

— Przyjacielu — odparła moja matka — jeśli pan przyśle sztylet, zatopisz nam go w piersi, albowiem ja i Hayde nie chcemy zginąć tą śmiercią, która nas przeraża.

— Dobrze, Wasiliko — odpowiedział spokojnie Selim. Usłyszałyśmy nagle jakąś wrzawę. Nadstawiliśmy ucha: były to okrzyki radości.

Palikarowie powtarzali nazwisko Francuza wysłanego do Konstantynopola. Nie było wątpliwości, że przywiózł od prześwietnego sułtana łaskawą odpowiedź.

— I nie pamiętasz — pani, jak się nazywał ten Francuz? — zagadnął Albert, gotów dopomóc opowiadającej.

Monte Christo dał mu znak.

— Nie pamiętam — odparła Hayde.

Gwar się zbliżał, rozlegały się czyjeś kroki, ktoś zbiegał do lochu. Selim przygotował włócznię.

Po chwili w błękitnej mgłę, jaką tworzyło światło dnia przenikając do wejścia lochu, ukazał się cień.

— Kto jesteś? — zawołał Selim. — Ale kimkolwiek jesteś, ani kroku dalej!

— Chwała sułtanowi! — odpowiedział przybysz. — Sułtan ułaskawił wezyra Alego, darował mu życie i zostawił majątek.

Matka, krzyknąwszy z radości, przycisnęła mnie do serca.

— Stój! — zawołał Selim widząc, że matka moja rzuciła się ku wyjściu. — Wiesz, że muszę mieć pierścień.

— Masz rację — rzekła moja matka.

Padła na kolana, a wzięwszy mnie na ręce, podniosła do góry, jak gdyby modląc się, chciała ofiarować mnie Bogu.

Hayde po raz wtóry ogarnęło takie wzruszenie, że umilkła, a pot zrosił jej poblądle lico. Słowa więzły jej w wyschłym gardle.

Monte Christo podał jej trochę wody w szklance, mówiąc łagodnie, lecz i z lekkim naciskiem:

— Odwagi, moja córko.

Hayde otarła oczy i czoło — i podjęła opowieść.

— Tymczasem wzrok nasz przywykł do ciemności i poznałyśmy wysłannika paszy: był to przyjaciel.

Selim też go poznał, ale dzielny młodzieniec umiał tylko jedno: słuchać! — Kto cię przysyła? — zapytał.

— Nasz pan, Ali Tebelin.

— Jeśli tak, to wiesz, co powinienes mi doręczyć.

— Przynoszę ci pierścień — oznajmił wysłannik.

I unióś rękę nad głowę; ale był nazbyt daleko, a i panujący tu półmrok nie pozwolił Selimowi dojrzeć, co trzymał w dłoni.

— Nie widzę, coś przyniósł — rzekł Selim.

— To zbliż się albo ja się zbliżę do ciebie.

— Nie zbliżysz się i ja też nie podejść do ciebie. Zostań na miejscu, połóż tam, gdzie pada światło, ów przedmiot, który mi pokazujesz, i odejdz, a ja tymczasem zobaczę, coś tam zostawił.

— Dobrze — zgodził się wysłannik.

I wycofał się, zostawiwszy umówiony przedmiot.

Biły nam serca, bo przedmiot ów wydawał się rzeczywiście pierścieniem. Tylko czy był to pierścień mojego ojca?

Selim, nie wypuściwszy swojej pochodni, podszedł do wyjścia, pochylił się z radością nad oświetlonym miejscem i podniósł ów przedmiot.

— Pierścień pana — rzekł i pocałował go. — Dobra nowina. Cisnął włócznię i zdeptał płomień. Wysłannik wydał okrzyk radości i klasnął w ręce.

Na taki znak wbiegło czterech żołnierzy seraskiera Kurszyda i Selim padł przeszyty czterema sztyletami.

Żołnierze upojeni zbrodnią, chociaż jeszcze bladzi ze strachu, wpadli do podziemia — jęli szukać ognia i rabować złoto.

Matka chwyciła mnie na ręce i pędząc krętymi korytarzami, tylko nam znanymi, dotarła do ukrytych schodów, a stamtąd do kiosku. Był tu przeraźliwy tumult.

Salę dolną zajęli już czodoarowie Kurszyda, czyli nasi nieprzyjaciele.

Matka miała właśnie otworzyć drzwiczki, gdy zabrzmiał groźny głos paszy.

Matka przywarła okiem do szpary, a ja znalazłam dla siebie dziurę po sęku.

— Czego chcecie? — zapytał ojciec dwóch ludzi trzymających papier zapisany złotymi charakterami.

— Chcemy oznajmić ci wolę sułtana — odrzekł jeden z nich. — Czy widzisz ten firman?

— Widzę.

— No to przeczytaj. Sułtan żąda twojej głowy.

Ojciec wybuchnął śmiechem straszniejszym aniżeli groźba — i śmiech ten jeszcze nie umilkł, kiedy huknęły dwa pistolety: ojciec położył trupem obu tych ludzi.

Wtedy palikarowie, którzy leżeli wokół mojego ojca twarzą do ziemi, zerwali się i dali ognia.

W komnacie zrobiło się ciemno od dymu.

W tejże chwili z drugiej strony huknęła salwa i kule podziurawiły deski wokół nas.

O, jakież był piękny i jakież wspaniałe wezryr Ali Tebelin, mój ojciec! Stał, nie zważając na kule, dzierżył bułat, twarz miał okopconą prochowym dymem! I jak uciekali jego wrogowie!

— Selimie, Selimie, strażniku, ognia! — zawołał. — Spełnij swój obowiązek!

— Selim nie żyje — ozwał się głos, dobywający się jakby z lochów pałacu — a i ty, mój panie, jesteś zgubiony!

W tejże chwili rozległa się głucha detonacja, a podłoga wokół mojego ojca rozsypała się w kawałki.

To czodoarowie strzelali z dołu.

Kilku palikarów padło przeszytych na wskroś.

Ojciec mój ryknął, a wsadziwszy palce w otwory po kulach, wyrwał deskę z podłogi.

W tymże jednak momencie przez ową lukę posypały się kule, a płomień, buchnąwszy niby z krateru, zapalił "obicia.

Wśród okropnego zgiełku i straszliwych krzyków rozległy się dwa wyraźniejsze strzały, ktoś krzyknął dwakroć bardziej rozdzierająco niż inni. Zamarłam z trwogi.

Od tych dwóch strzałów zginął mój ojciec i on to krzyknął tak rozdzierająco.

Stał jeszcze, trzymając się konwulsyjnie framugi okna.

Matka szarpała drzwi, pragnąc dostać się do ojca i umrzeć z nim razem.

Ale drzwi były zamknięte od wewnątrz.

Wokół ojca palikarowie wili się w agonii; kilku, którzy zdołali uniknąć śmierci, wyskoczyło oknami.

W tejże chwili podłoga zatrzęszczała, wysadzona od spodu.

Ojciec osunął się na kolana.

Zaraz też ukazało się dwadzieścia rąk zbrojnych w szable, pugiwały i pistolety, dwadzieścia ciosów ugodziło jednego człowieka i ojciec mój znikł w płomieniach, roznieconych przez bandę wrzeszczących diabłów; jakby piekło otwarło się pod nim.

Matka zemdląła, trzymając mnie w ramionach.

Hayde opuściła ręce, westchnęła i spojrzała na hrabiego, jakby pytając, czy jest kontent, że spełniła jego rozkaz.

Hrabia wstał, a podszedłszy do niej, wziął ją za rękę i rzekł po grecku:

— Odpocznij, drogie dziecko. Pokrzepi cię myśl, że Bóg karze zdrajców.

— Straszliwa historia, mój hrabio — ozwał się Albert przerażony bladością Hayde — i wyrzucam sobie teraz moją, jakże okrutną, ciekawość.

— To fraszka — odparł Monte Christo.

I położywszy dłoń na głowie dziewczyny, rzekł jeszcze:

— Hayde jest kobietą odważną; a czasem opowiadając o swoich przeżyciach, jakże bolesnych, doznaje ulgi.

— Bowiem, panie mój — dodała z przekonaniem dziewczyna — przypominają mi o twojej dobroci.

Albert spojrział na nią z zaciekawieniem, gdyż nie opowiedziała jeszcze, w jaki sposób została niewolnicą hrabiego — a tym właśnie Morcerf interesował się najbardziej.

Hayde wyczytała z oczu Alberta i Monte Christa jedno i to samo życzenie.

Ciągnęła więc dalej.

Kiedy matka odzyskała zmysły, stał nad nami seraskier.

— Zabij wdowę po Alim — powiedziała — aby jej nie zhańbiono.

— Nie do mnie powinnaś się zwrócić — odrzekł Kurszyd.

— Do kogóż więc?

— Do nowego pana.

— Gdzież on?

— Spójrz.

I Kurszyd wskazał jednego z tych, którzy najbardziej przyczynili się do śmierci mojego ojca — mówiła Hayde płonąć posępnym gniewem.

— A więc — zagadnął Albert — stałyście się panie własnością tego człowieka?

— Nie, nie ośmielił się nas zatrzymać. Sprzedał nas handlarzom niewolników zdążającym właśnie do Konstantynopola. Przebywszy Grecję, stanęliśmy, padając ze znużenia, przed sułtańską bramą. Zebrany tutaj tłum gapiów rozstał się, żeby nas przepuścić; nagle matka spojrzawszy tam, gdzie spoglądali wszyscy, krzyknęła i upadła pokazując mi głowę, która wisiała nad bramą.

Poniżej głowy widniał napis: Głowa Alego Tebelina, paszy Janiny. Usiłowałam płacząc podnieść matkę; nie żyła! Poprowadzono mnie na bazar.

Kupił mnie bogaty Ormianin. Dał mi nauczycieli, wykształcił, a kiedy miałam trzynaście lat, sprzedał sułtanowi Mahmudowi.

— Od którego odkupiłem ją — dodał Monte Christo — jak panu wiadomo, panie Albercie, za szmaragd podobny do szmaragdu, gdzie trzymam pastylki haszyszu.

— O, dobry jesteś, mój panie, i wielki — rzekła Hayde, całując Monte Christa w rękę — i szczęśliwa jestem, że do ciebie należę.

Albert był oszołomiony tym wszystkim, co usłyszał.

— Dokończ pan kawy, bo i historia skończona — powiedział Monte Christo.

3. DONOSZĄ Z JANINY

Franz wyszedł od pana Noirtiera, chwiejąc się na nogach i tak wstrząśnięty, że Walentyna litowała się nad nim.

Villefort, wybełkotawszy kilka słów bez związku, zaszył się w swoim gabinecie, a po dwóch godzinach otrzymał następujący list:

Wobec tego, co oświadczono mi dzisiaj rana, pan Noirtier de Villefort nie spodziewa się chyba, aby alians między jego rodziną a rodziną pana d'Epinay mógł przyjść do skutku.

Pan d'Epinay myśli ze zgrozą, że pan Villefort wiedząc, jak się zdaje, o pewnych faktach, nie uprzedził go wcześniej.

Prokuratora zmiażdżył ten cios nieprzewidziany.

Nigdy nie przyszłoby mu na myśl, żeby ojciec jego posunął się tak dalece w swojej otwartości, a raczej bezwzględności, wyjawiając tę straszliwą sprawę.

Co prawda, pan Noirtier gardząc po trosze poglądami syna, nie raczył wyświecić mu tych faktów — toteż prokurator żywił zawsze przekonanie, że generał de Quesnel albo — jeśli wolicie — baron d'Épinay został zamordowany, a nie zginął w pojedynku.

Powyższy list, jakże bezwzględny, a pisany ręką młodzieńca, który okazywał dotychczas Villefortowi tyle szacunku, zranił śmiertelnie dumę człowieka tak pysznego jak nasz prokurator.

Zaledwie znalazł się w swoim gabinecie, weszła jego żona.

Wszyscy zdumieli się niezmiernie, kiedy wyszedł Franz, wezwany przez pana Noirtiera. Pani de Villefort pozostała więc sama z rejentem i świadkami, jakoż sytuacja jej stawała się z momentu na moment coraz kłopotliwsza.

Pani de Villefort powzięła tedy decyzję: wyszła oznajmiwszy, że pragnie dowiedzieć się, w czym rzecz.

Pan de Villefort oświadczył jej tylko, iż narzeczeństwo Walentyny i Franza zostało zerwane na skutek zasadniczej rozmowy, jaką odbył z ojcem i z panem d'Épinay.

Trudno było to powtórzyć oczekującym; pani de Villefort wróciwszy do salonu, oznajmiła więc, iż podpisanie intercyzy musi ulec parodniowej zwłoce, gdyż na początku rozmowy pan Noirtier dostał lekkiego ataku apoplektycznego.

Wiadomość ta, aczkolwiek zmyślona, tak osobliwie pasowała do dwóch poprzednich nieszczęść, że rejent i świadkowie spojrzeli po sobie zdumieni i wyszli bez słowa.

Tymczasem Walentyna, przerażona — lecz jakże szczęśliwa, podziękowała słabowitemu starcowi, co szarpnąwszy tylko raz jeden, skruszył łańcuch, który ona uważała za niemożliwy do rozerwania. Następnie ucałowała dziadka, pytając, czy może iść do siebie, by odpocząć nieco. Noirtier przyzwolił.

Nie poszła jednak do swojego pokoju, ale skierowawszy się korytarzem, czmychnęła bocznymi drzwiami do ogrodu.

Wśród tych wypadków, które z błyskawiczną szybkością następowały po sobie, serce Walentyny ścisnęła tajony lęk.

Bała się, że lada chwila zjawi się Morrel, blady i groźny — niby laird Ravenswood w „Łucji z Lammermooru”.

Bo i czas był, żeby pobiegła na schadzki.

Maksymilian domyślał się, co się święci: widział był, jak Franz opuścił cmentarz w towarzystwie pana de Villefort, widział, jak potem wyszedł i wkrótce powrócił z Albertem i Château-Renaudem.

Przestał się ludzić.

Czatował więc pod bramą gotów na wszystko i pewien, że Walentyna skorzysta z pierwszej sposobnej chwili, by przybiec do niego.

Nie omylił się.

Nie odrywał oczu od szpary. Dziewczyna przybiegła nie stosując zwykłych środków ostrożności.

Spojrząwszy na nią, uspokoił się od razu.

Podskoczył z radości, gdy wymówiła pierwsze słowo:

— Ocaleni!

— Ocaleni! — powtórzył Morrel, nie dowierając własnemu szczęściu. — I któż nas ocalił?

— Dziadunio. O, musisz pokochać go serdecznie.

Morrel poprzysiągł, że będzie kochał starca z całej duszy. Przysięga ta przyszła mu łatwo, nie żywił już bowiem w tej chwili dla starca uczuć przyjaznych czy synowskich — więcej: czcił go jak samego Boga.

— Ale jak to się stało? — zagadnął Morrel. — Musiał wykoncypować coś nadzwyczajnego.

Walentyna otworzyła już usta, by opowiedzieć wszystko. Przypomniawszy sobie jednak, że na dnie tej sprawy kryje się straszliwa tajemnica, nie będąca wyłączną własnością jej dziada, odrzekła tylko:

— Opowiem ci to wszystko, ale nie teraz.

— Kiedy więc?

— Jak będę twoją żoną.

Odmieniwszy w ten sposób temat rozmowy, mogła sobie owinąć Morrela wokół palca; zgodził się więc, że ma zadowolić się tym, co usłyszał, i że na dziś dość rozmowy.

Walentyna musiała mu jednak obiecać, że przyjdzie na schadzki następnego popołudnia.

Walentyna obiecała to, czego sobie życzył Morrel.

Świat przedstawiał się jej całkiem inaczej. Łacniej uwierzyłaby teraz, że poślubi Maksymiliana, aniżeli przed godziną wierzyła, iż małżeństwo jej z Francuzem nie przyjdzie do skutku.

A tymczasem pani de Villefort udała się do pana Noirtiera.

Noirtier rzucił na nią surowe i posępne spojrzenie, jakim zwykł był ją witać.

— Nie potrzebuję ojcu mówić — ozwała się z miejsca — że narzeczeństwo Walentyny zostało zerwane, boć przecie stało się to tutaj, w tym pokoju.

Noirtier pozostał nieprzenikniony.

— Ale ojciec nie wie, że byłam zawsze przeciwna temu małżeństwu i że projektowano je zawsze wbrew mojej woli.

Noirtier spojrzał na synową, oczekując dalszego ciągu.

— Otóż teraz, kiedy to małżeństwo, które budziło w ojcu taką odrazę, nie przyjdzie do skutku, zjawiam się z pewną prośbą, bo nie może z nią wystąpić ani mój mąż, ani Walentyna.

Noirtier zapytał wzrokiem, co to za prośba.

— Chciałam więc prosić ojca, bo mnie jednej to wypada jako osobie nie zainteresowanej, aby ojciec przywrócił wnuczkę nie tylko do łask, bo tych nigdy nie utraciła, ale przywrócił jej swój majątek.

W oczach Noirtiera pojawiło się na chwilę wahanie; zastanawiał się nad przyczyną, jaka skłoniła panią de Villefort do tego kroku — ale nic wykombinować nie zdołał.

— Czy mogę liczyć na to, że obecne zamiary ojca są zgodne z moją prośbą?

— Tak.

— Wobec tego odchodzę wdzięczna i uszczęśliwiona. Skłoniła się i wyszła.

A nazajutrz pan Noirtier kazał wezwać rejenta.

Pierwszy testament podarto i sporządzono drugi, na mocy którego starzec pozostawił całą swoją fortunę Walentynie, pod warunkiem, że wnuczka nie opuści go do końca życia.

Kilka osób obliczyło, iż panna Walentyna de Villefort, dziedzicząc również po margrabiostwie de Saint-Meran, będzie miała w przyszłości do trzystu tysięcy liwrów renty.

W czasie tych wypadków Monte Christo odwiedził hrabiego de Morcerf. Morcerf, by uczcić Danglarsa, wdział paradny mundur generalski, przypiął wszystkie orderki i pojechał najlepszymi końmi.

Tak wystrojony zjawił się na Chaussée d'Antin i kazał oznajmić się Danglarsowi. Był koniec miesiąca. Danglars sporządzał akurat rachunek.

Morcerf nie wybrał szczęśliwego momentu: od pewnego czasu obliczenia miesięczne wprawiały bankiera w zły humor.

Toteż na widok starego przyjaciela Danglars odął się i rozparł arogancko w fotelu.

Za to Morcerf, zwykle sztywny jakby kij połknął, był dziś uśmiechnięty i serdeczny.

Mniemając, że propozycja jego spotka się z miłym przyjęciem, nie owijał w bawełnę:

— Otom jest, baronie — rzekł. — Od dawna już robimy aluzje do pewnej dawnej rozmowy...

Morcerf spodziewał się, iż bankier rozpromieni się na same te słowa, gdyż oziębłość Danglarsa tłumaczył sobie swoim milczeniem — ale, rzecz nie do wiary, twarz barona przyobłół jeszcze większy chłód.

Dlatego Morcerf urwał w połowie zdania.

— O jakich to aluzjach wspomina pan, drogi hrabio? — zagadnął bankier, udając, iż na próżno stara się zrozumieć generała.

— O, jakże drogi pan dba o formy! Przypomniał mi pan, że ceremonia winna się odbyć wedle wszelkich przepisów. Doskonale. Niechże mi więc pan daruje, ale mam syna, jedynaka, pierwszy raz w życiu myślę, aby go ożenić, i stąd ten brak wprawy; przystępuję tedy do rzeczy.

Morcerf uśmiechnął się sztucznie, wstał, skłonił się głęboko i rzekł:

— Mam zaszczyt prosić pana barona o rękę pańskiej córki, panny Eugonii Danglars, dla syna mojego, wicehrabiego Alberta de Morcerf.

Ale Danglars, zamiast przyjąć te słowa z radością, czego spodziewał się Morcerf, zmarszczył brwi i nie zachęcił generała, by usiadł znowu.

— Panie hrabio — odparł — odpowiedź moja wymaga dłuższego namysłu.

— Namysłu! — zawołał Morcerf, dziwiąc się coraz bardziej. — Toś nie namyślił się pan przez osiem lat, boć osiem lat temu poruszyliśmy po raz pierwszy tę kwestię.

— Panie hrabio, co dzień zdarza się coś takiego, co przywodzi nam na myśl, że każdą rzecz trzeba rozważyć powtórnie.

— Nie rozumiem pana, panie baronie.

— Dwa tygodnie temu, proszę pana, nowe okoliczności...

— Daruj pan — przerwał Morcerf— ale czy my aby nie gramy komedii?

— Jak to komedii?

— Dobrze. A więc wyłóżmy karty na stół.

— O nic innego mi nie chodzi.

— Widziałeś się pan z hrabią de Monte Christo?

— Widuję go za bardzo często — odpowiedział Danglars, strącając pyłek z żabota — to mój przyjaciel.

— Owóż mówiłeś mi pan ostatnim razem, że wobec wspomnianego małżeństwa wykazują jakieś niezdecydowanie, jakbym o nim zapomniał.

— To prawda.

— A więc przyszedłem. Nie zapomniałem i nie okazuję niezdecydowania. Pragnę skłonić pana, abys dotrzymał obietnicy.

Danglars nic nie odpowiedział.

— Czyżbyś pan niedawno zmienił zamiar? — spytał Morcerf. — Albo może doprowadziłeś do tej wizyty w tym jedynie celu, aby upokorzyć mnie dla własnej przyjemności?

Danglars pojął, że jeśli dalej będzie prowadził rozmowę w tym tonie, może tego pożałować.

— Panie hrabio — rzekł — słusznie jesteś pan zaskoczony moją rezerwą, rozumiem to. Toteż wierzaj mi pan, że bardziej mnie ona martwi niż pana, ale bądź pan pewien, że nakazały mi ją wyższe względy.

— To puste słowa, drogi panie, i zadowoliliby się może nimi jakiś ladaco. Ale ja ladaco nie jestem i gdy przychodzę do kogoś, aby przypomnieć mu o danym słowie, a ten ktoś wycofuje się z obietnicy, mam prawo żądać przynajmniej wyjaśnienia.

Danglars był tchórzem, lecz nie chciał tego okazać.

Ponadto uraził go ton, jakim ozwał się Morcerf.

— Wyjaśnień mógłbym dostarczyć — odparł — ale...

— Co pan chcesz przez to powiedzieć?

— Ale sformułować je byłoby rzeczą trudną.

— Rozumiesz pan, że nie zadowolę się ogólnikami. Tymczasem jedno dla mnie jest jasne: odmawiasz mi pan.

— Nie, proszę pana, wstrzymuję się tylko z decyzją.

— Nie sądę jednak, abys pan się łudził, że w zrozumieniu dla pańskich kaprysów będę czekał spokojnie i z pokorą, dopóki nie przywrócisz mi pan do łask.

— Skoro pan hrabia czekać nie może, zrezygnujemy z naszych projektów. Hrabia przygryzł wargi do krwi, aby nie wybuchnąć. Opanował się jednak,

choć był z natury pyszny i porywczy.

A zrozumiałwszy, że w tym wypadku ośmieszylby się nie Danglars, lecz on, zabierał się do odejścia. Rozmyślił się jednak i zawrócił od drzwi.

Zasepił się; niejasny jakiś niepokój zaczął z wolna brać górę nad obrażoną dumą.

— Drogi panie — rzekł — znamy się od lat wielu, winniśmy więc okazywać sobie pewne względy. Należy mi się od pana wyjaśnienie. Niechże choć wiem z jakiej nieszczęsnej przyczyny syn mój utracił pańską przyjaźń.

— Osobiście nie mam wicehrabiemu nic do zarzucenia, tylko to powiedzieć mogę — odrzekł Danglars, znów impertynencko, widząc, iż Morcerf pokornieje.

— Kogóż w takim razie dotyczą pańskie zarzuty osobiste? — zapytał Morcerf, a głos mu się łamał i bladeść okryła czoło.

Danglars, baczny na każdą zmianę w fizjonomii generała, spojrział nań bystro i z niezwykłą pewnością siebie.

— Winienesz mi pan wdzięczność, że ograniczyłem się do ogólników — rzekł. Morcerf zatrząsnął się z tłumionej wściekłości.

— Mam prawo — powiedział, opanowując się z trudem — żądać wyjaśnień. Czy może ma pan coś do zarzucenia mojej żonie? Może mój majątek wydaje się panu za mały? A może nie dzielisz pan moich poglądów politycznych?...

— Ależ nie, proszę pana. W takim wypadku nie miałbym usprawiedliwienia, bo przyrzekłem, znając pańską małżonkę, fortunę i poglądy. Nie dopytuj się pan, proszę; wstyd mi doprawdy, że przeze mnie robisz pan jakiś rachunek sumienia, dajmy już temu pokój. Nie stawiamy sprawy na ostrzu noża: zgódźmy się na zwłokę, kto zwleka, nie zrywa ani nie zaciąga zobowiązań. Miły Boże, toć nic nas nie nagli! Moja córka ma dopiero siedemnaście lat, a pański syn dwadzieścia jeden. Zaczekajmy, a czas i tak zrobi swoje; sprawy dziś ciemne mogą wyjaśnić się nazajutrz, i to jak! Czasami w jeden dzień rozwiewają się najokrutniejsze kalumnie.

— Co takiego? Kalumnie? — zawołał Morcerf siniejąc. — Krążą kalumnie? O mnie?

— Panie hrabio, unikajmy szczegółowych wyjaśnień, powtarzam.

— A więc mam znieść spokojnie tę odmowę?

— Jest ona przykra nade wszystko dla mnie. Tak, przykrzejsza dla mnie niż dla pana. Liczyłem na zaszczytny alians z państwem, a ponadto zerwane zaręczyny przynoszą zawsze więcej szkody narzeczonej niżli narzeczonemu.

— Dobrze, mój panie, nie poruszajmy tej kwestii. I generał wyszedł, mnąc rękawiczki z wściekłością.

Danglars spostrzegł, iż Morcerf nie pytał ani razu, czy nie on właśnie jest przyczyną zerwania.

Wieczorem odbył długą naradę z kilkoma przyjaciółmi, a tymczasem pan Cavalcanti zabawiał damy w salonie i wyszedł ostatni.

Nazajutrz, obudziwszy się, bankier zawołał o gazety.

Przyniesiono mu je natychmiast.

Odsunął parę z nich i sięgnął po „Impartial.”

Naczelnym redaktorem tego dziennika był Beauchamp.

Rozewał szybko opaskę, rozłożył gazetę z nerwowym pośpiechem, spojrział z pogardą na rubrykę Premier Paris, a popatrzwszy na „różne” zatrzymał się i uśmiechnął złośliwie; któraś bowiem wzmianka zaczynała się od słów:

„Donoszą z Janiny...”

— Doskonale — rzekł do siebie — dzięki tej notatce na temat pułkownika Fernanda, będę mógł nie składać wyjaśnień panu hrabiemu de Morcerf.

W tejże chwili, to znaczy z uderzeniem dziewiętej, Albert de Morcerf ubrany czarno, zapięty na wszystkie guziki, podniecony i milczący zająchał przed dom na Polach Elizejskich.

— Pan hrabia wyszedł z pół godziny temu — oznajmił odźwierny.

— Czy zabrał Baptystę? — zapytał Morcerf.

— Nie, panie hrabio.

— Zawołajcie go w takim razie, mam do niego interes. Odźwierny poszedł po kamerdynera i po chwili wrócili razem.

— Mój Baptysto — rzekł Albert — przepraszam, że cię fatyguję, ale chciałem się dowiedzieć z twoich ust, czy pana hrabiego rzeczywiście nie ma w domu.

— Nie ma, proszę jaśnie pana — zapewnił Baptysta.

— Nawet dla mnie?

— Wiem, z jaką radością pan hrabia zawsze wita pana, nie ośmieliłbym się więc potraktować pana tak jak wszystkich.

— I słusznie, bo przyjechałem w bardzo ważnej sprawie. Jak ci się zdaje, długo musiałbym czekać?

— Nie. Pan hrabia kazał przygotować śniadanie na dziesiątą.

— W takim razie przejdę się trochę, a o dziesiątej tu wrócę. A na wszelki wypadek poproś pana hrabiego, żeby raczył na mnie zaczekać.

— Jaśnie pan może liczyć na mnie.

Zostawiwszy dorożkę u bramy hrabiego, Albert poszedł na spacer. Mijając Aleję Wdów, zobaczył, że konie hrabiego czekają przed strzelnicą Gosseta.

Podszedł bliżej, aby się upewnić, a wtedy poznał i stangreta.

— Czy pan hrabia jest na strzelnicy? — zapytał Albert.

— Tak, proszę jaśnie pana — odpowiedział stangret.

Bo i zresztą Morcerf, zbliżając się tam, usłyszał kilka regularnych strzałów.

Wszedł.

W ogródku siedział służący.

— Bardzo przepraszam, ale czy pan hrabia nie zechciałby zaczekać chwilę?

— A czemuż to, Filipie? — spytał Albert, gdyż jako bywalec zdziwił się, że go zatrzymano.

— Bo ktoś, kto ćwicz się teraz w strzelaniu, nie znosi niczyjej obecności.

— Nawet i twojej?

— Przecież pan widzi, że tu siedzę.

— A któż mu nabija pistolety? .

— Jego służący.

— Nubijczyk?

— Nie, Murzyn.

— No tak.

— To pan zna tego pana?

— Szukam go właśnie. To mój przyjaciel.

— A, to insza sprawa, zaraz mu powiem.

I Filip powodowany ciekawością zniknął w szopie. Po chwili Monte Christo ukazał się w prog.

— Przepraszam, drogi hrabio, że nachodzę pana aż tutaj — rzekł Albert. — Powiedzieć jednak najpierw muszę, że nie zawiniła tu pańska służba. Wstąpiłem do pana, powiedzieli mi, że jesteś na przechadzce, ale że o dziesiątej wrócisz pan na śniadanie. Wybrałem się więc na spacer i ja, aby poczekać do dziesiątej, a przechadzając się, zauważyłem pańskie konie.

— Wnoszę tedy z pańskich słów, że masz ochotę śniadać ze mną.

— Dziękuję, ale nie w tym rzecz. Może zjemy śniadanie później, ale, do licha, w niemiłej kompanii.

— Cóż pan opowiadasz u diabła?

— Drogi panie, mam dziś pojedynek.

— Pan? A to po co?

— Jak to po co? Żeby się bić.

— Rozumiem, ale z jakiej przyczyny? Toć można pojedynkować się o różne drobnostki.

— W tym wypadku chodzi o honor.

— A, to sprawa poważna.

— Tak poważna, że chciałem pana prosić o pewną przysługę.

— Jakaż to przysługa?

— Żebyś pan był moim sekundantem.

— A, w takim razie rzecz istotnie jest poważna. Nie tu miejsce, żeby mówić o niej; chodźmy do mnie. Ali, podaj mi wody.

Hrabia zawiąnął rękawy i wszedł do sionki, gdzie amatorzy strzelania zwykli myć ręce.

— Niech jaśnie pan wejdzie — szepnął Filip — pokażę panu coś ciekawego. Albert wszedł.

Do tarczy były przytwierdzone karty do gry, od asa do dziesiątki — jak się Morcerfowi wydało z daleka.

— Cóż to — zdziwił się Albert — grałeś pan w pikietę?

— Nie — odrzekł hrabia. — Fabrykowałem właśnie karty do gry.

— Jak to?

— Tak. Widzisz tam pan asy i dwójki; resztę zaś zrobiłem kulami, od trójek aż do dziesiątek.

Albert podszedł bliżej.

Rzeczywiście, w kartonikach zamiast pików czy kierów widniały otworki powybijane równiutko, symetrycznie.

Zmierzając do tarczy, Albert podniósł kilka jaskółek, które nieopatrznie nawinęły się hrabiemu pod pistolet.

— Do diabła! — zdumiał się Morcerf.

— Ano cóż, drogi panie — rzekł Monte Christo wycierając ręce — trzeba coś robić w wolnych chwilach. Ale chodźmy już.

Wsiedli do karetki Monte Christa i niebawem stanęli na miejscu. Monte Christo zaprowadził Alberta do gabinetu i wskazał mu fotel. Obaj siedli.

— A teraz pogadamy spokojnie — rzekł hrabia.

— Toć pan widzi, że jestem całkiem spokojny.

— Z kim pan zamierzasz się pojedynkować?

— Z Beauchampem.

— Przecież to pański przyjaciel.

— Bo i zawsze pojedynkujemy się z przyjaciółmi.

— Ale musi być jakiś powód?

— Toteż i mam go.

— Cóż panu zrobił?

— Wydrukował w swojej wczorajszej gazecie... ale niech pan sam przeczyta. I Albert podał hrabiemu gazetę z taką oto notatką:

Donoszą z Janiny:

Dowiedzieliśmy się o fakcie dotąd nie znanym, a przynajmniej dotąd nie opublikowanym.

Twierdzą, która broniła miasta, wydał Turkom oficer francuski, nazwiskiem Fernand. Wezyr Ali Tebelin pokładał w nim bezgraniczne zaufanie.

— No i cóż właściwie pana w tym razi? — zagadnął Monte Christo.

— Jak to? Cała treść notatki!

— Cóż pana obchodzi, że twierdzą w Janinie wydał jakiś tam Fernand?

— Przecież ojcu mojemu na imię Fernand.

— A to pański ojciec służył Ali Paszy?

— To znaczy walczył o wolność Grecji. W tym właśnie oszczerstwo.

— E, mój drogi panie, pogadajmy rozsądnie.

— O to właśnie mi chodzi.

— Powiedzże mi pan, czy ktokolwiek, u diabła, wie dzisiaj we Francji, że ten oficer Fernand i pański ojciec to jedna i ta sama osoba? Kto się dziś zajmuje Janiną, która padła chyba w roku 1822 albo 1823?

— Otóż właśnie na tym polega perfidia: odczekano, a teraz, by wywołać skandal, zhańbić znakomite nazwisko, wywleka się zapomniane wypadki. Otóż ja, dziedzic tego nazwiska, nie dopuszczę, aby padł na nie jakikolwiek cień. Poślę Beauchampowi, bo to jego dziennik opublikował tę wzmiankę, dwóch sekundantów. Niech odwoła.

— Nie odwoła.

— W takim razie będziemy się bić;

— Nie, nie będziecie, gdyż Beauchamp odpowie panu, że w armii greckiej mogło istnieć pięćdziesięciu Fernandów.

— Będziemy się bić, choćby tak odpowiedział. Muszę zetrzeć tę plamę!... Mój "ojciec, taki szlachetny żołnierz! Taka świetna kariera wojskowa...

— Albo napisze: „Sądzimy nie bez podstaw, iż niejaki Fernand nie ma nic wspólnego z panem hrabią de Morcerf, któremu również na imię Fernand”.

— Zażądam absolutnego odwołania. Nie zadowolę się taką formułką.

- I pošlesz mu pan świadków?
- Tak.
- Nie masz pan racji.
- To znaczy odmawiasz mi pan przysługi, o którą prosiłem?
- Znasz pan przecie moją teorię pojedynku, wyłożyłem ci ją w Rzymie, nie pamiętasz pan?
- Mimo to, mój hrabio, zastałem pana dziś przy zajęciu kolidującym potrosze z ową teorią.
- Bo, zrozumże to, drogi przyjacielu, nie trzeba nigdy ograniczać się do jednego. Kto żyje w świecie wariatów, musi nauczyć się być wariatem; w każdej chwili może mnie zaczepić jakiś postrzelaniec, mając po temu tyleż powodów co i pan, panie Albercie, któremu zachciało się wyzwać Beauchampa; przyczepi się do mnie o lada głupstwo, przyśle mi świadków albo znieważy mnie w miejscu publicznym. Owóż takiego postrzeleńca winienem zabić.
- A więc dopuszczasz pan myśl, że mógłbyś się pojedynkować?
- Oczywiście!
- Dlaczegoż więc odwodzisz mnie pan od pojedynku?
- Nie mówię, żeś nie powinien się pojedynkować; powiadam tylko, że pojedynek to rzecz poważna, nad którą trzeba się zastanowić.
- A czy on zastanowił się, znieważając mojego ojca?
- Jeśli się nie zastanowił i jeśli przyzna się do tego, trzeba będzie mu darować.
- O, jesteś pan nazbyt pobłażliwy, drogi hrabio!
- A pan nazbyt formalizujesz. No, przypuśćmy... tylko nie obraż się pan za to, co powiem!
- Niech pan mówi!
- Przypuśćmy, że wzmianka jest prawdziwa...
- Synowi nie wolno darować podobnej supozycji, gdyż dotyczy ona honoru jego ojca.
- E, miły Boże, żyjemy w czasach, kiedy nikt nie obraża się o supozycje.
- I dlatego właśnie nasza epoka jest niemoralna. — Zamierzasz pan przeprowadzić reformy?
- Tak, jeśli idzie o rzeczy, które mnie obchodzą.
- Ależ z pana rygorysta, mój drogi przyjacielu.
- Taki już jestem.
- I nie można trafić do pana dobrą radą?
- Owszem, jeśli radzi przyjaciel.
- A uważasz mnie pan za swojego przyjaciela?
- Tak.
- A więc nim pošlesz Beauchampowi sekundantów, zbierz pan informacje.
- U kogo?
- No, na przykład u Hayde.
- Mieszać w to wszystko kobietę? I cóż ona tu może?
- Może na przykład oświadczyć, że pański ojciec nie ponosi żadnej winy za klęskę czy śmierć jej ojca, albo jeśli pański ojciec nieszczęściem...
- Powiedziałem już drogiemu hrabiemu, że do takiej supozycji nie dopuszczę.
- A więc odrzucasz pan moją propozycję?
- Odrzucam.
- Bezwzględnie?
- Bezwzględnie!
- A więc ostatnia rada.
- Dobrze, ale pod warunkiem, że ostatnia.
- Nie życzysz pan jej sobie? — Przeciwnie, proszę o nią.
- Nie posyłaj pan świadków Beauchampowi.
- Jak to?
- Rozmów się pan z nim osobiście.

— To byłoby wbrew zwyczajom.

— Ale i pańska sprawa nie należy do spraw zwykłych.

— A czemuż to mam iść do niego? Wyłumacz mi pan.

— Dlatego, żeby sprawa pozostała między wami.

— Mów pan jaśniej.

— Jeśli Beauchamp skłaniałby się, żeby odwołać, wesprzyjmy go w jego dobrej woli, a i tak stanie się zadość pańskiemu życzeniu. Jeśli natomiast odmówi, wtedy dopiero trzeba będzie przypuścić dwóch obcych ludzi do pańskiego sekretu.

— To nie obcy ludzie, to przyjaciele.

— Dziś przyjaciel — jutro wróg.

— E, nie gadałbyś pan!

— Choćby taki Beauchamp.

— Toteż...

— Toteż zalecam ostrożność.

— Sądzisz więc pan, że powinienem pójść do Beauchampa?

— Tak.

— Sam?

— Sam. Jeśli chce się przełamać opór wynikły z czyjejś miłości własnej, trzeba ją oszczędzać, choćby się miało nad tym cierpieć.

— Chyba pan masz rację.

— A to bardzo szczęśliwie!

— Pójdę więc sam.

— Idź pan, ale zrobiłbyś lepiej, gdybyś nie poszedł wcale.

— To niemożliwe.

— Idź więc pan. To zawsze lepsze niż pański pierwszy projekt.

— Dobrze, ale jeśli mimo wszystko wypadnie mi się pojedynkować, czy będziesz pan moim świadkiem?

— Drogi panie Albercie — odrzekł Monte Christo z najszczerzą powagą — dałem ci już niejedną dowód uczynności, ale ta przysługa nie należy do tych, które panu wyświadczyć mogę.

— A czemuż to?

— Może dowiesz się pan kiedyś.

— A nie mógłbym teraz?

— Proszę, abys pan uszanował mój sekret.

— Dobrze. Wezmę Franza i Château-Renauda.

— Nie mógłbyś pan wybrać lepiej.

— Ale gdybym miał się pojedynkować, czy mógłbyś mi pan dać lekcijkę fechtunku i strzelania?

— Nie, to też niemożliwe.

— No, ale oryginał z pana! A więc nie chcesz się pan mieszać do niczego.

— Absolutnie do niczego.

— No ta nie mówmy już na ten temat. Do widzenia, hrabio.

— Do widzenia.

Morcerf wziął cylinder i wyszedł.

Dorożka czekała. Albert, tłumiąc gniew ze wszystkich sił, kazał się wieźć do Beauchampa.

Beauchamp był w redakcji.

Albert kazał się wieźć do redakcji.

Beauchamp siedział w swoim gabinecie, mrocznym i pełnym kurzu, jak to każdy lokal redakcyjny.

Oznajmiono mu Alberta de Morcerf.

Kazał sobie to powtórzyć dwa razy.

I nie dowierzając jeszcze, zawołał:

— Proszę! Albert wszedł.

Beauchamp krzyknął ze zdziwienia, widząc, jak przyjaciel przeciska się między stosami papieru i depta niewprawną stopą gazety wszelkiego formatu zaścielając podłogę.

— Tędy, tędy, Albertku — rzekł wyciągając rękę. — Ki diabeł cię tu przyniósł? Zabłądziłeś jak Tomcio Paluch w lesie. Czyś może wstąpił, żeby mnie zabrać na śniadanie? Poszukaj krzesła, a może je znajdziesz, o, tam, tam, obok tej pelargonii. Ona jedna tu reprezentuje przyrodę.

— Mój drogi — rzekł Albert — przyszedłem pomówić z tobą o twojej gazecie.

— A czegoś chcesz od niej?

— Chcę, abyście umieścili sprostowanie.

— Sprostowanie? W związku z czym? Ale siadajże, u licha.

— Dziękuję — odparł Albert, kiwnąwszy lekko głową.

— Jakież to sprostowanie?

— Chodzi o wzmiankę, która obraża czyjś honor.

— Niebawem! — zdziwił się Beauchamp. — Cóż to za wzmianka? Wierzyć mi się nie chce.

— Dotycząca czegoś, co zaszło w Janinie.

— W Janinie?

— Tak, w Janinie. Ale ty doprawdy masz taką minę, jakbyś nie wiedział, co mnie tu sprowadza.

— Daję słowo, że nie wiem... Baptysto! Dawaj wczorajszą gazetę — zawołał Beauchamp.

— To zbyt cenne. Przyniosłem ci ją. Beauchamp przeczytał mamrocząc:

— „Donoszą z Janiny, etc, eta, eta”

— Rozumiesz teraz, że sprawa jest poważna — ozwał się Albert, kiedy Beauchamp skończył.

— Ten oficer to jakiś twój krewniak?

— Tak — odpowiedział Albert czerwieniąc się.

— I coż mogę dla ciebie uczynić, kochasiu? — zapytał łagodnie Beauchamp.

— Chciałbym, mój drogi, żebyś to odwołał.

Beauchamp spojrział na Alberta z uwagą świadczącą na pewno o wielkiej życzliwości.

— Słuchaj — rzekł — musimy to obgadać dokładnie, bo odwołanie to rzecz zawsze bardzo poważna! Siadajże, przeczytam raz jeszcze tę wzmiankę.

Albert usiadł, a Beauchamp przeczytał znowu notatkę, ale tym razem uważniej.

— Jak widzisz — powiedział Albert stanowczo, brutalnie nawet — notatka umieszczona w twojej gazecie obraża kogoś z mojej rodziny, domagam się więc odwołania.

— Domagasz się więc...

— Tak, domagam się.

— Pozwól sobie powiedzieć, drogi hrabio, że dyplomata to ty nie jesteś.

— I być nim nie zamierzam — odparł młodzieniec wstając. — Żądam odwołania wiadomości, którą podaliście wczoraj i dopnę swego. Jesteś na tyle moim przyjacielem — tu Albert jął cedzić słowa, widząc, że Beauchamp zaczyna popatrywać nań z góry i wzgardliwie — jesteś na tyle moim przyjacielem, powtarzam, że znasz mnie, a znając zrozumiesz, spodziewam się, mój upór w tej kwestii.

— Jestem, Albercie, twoim przyjacielem, ale bacz, żebym nim być nie przestał, a mogą doprowadzić do tego takie słowa... Ale nie kłóćmy się, a przynajmniej nie kłóćmy się jeszcze... jesteś podekscytowany, zirytowany, urażony... Powiedzże mi, któż to taki ten twój krewniak imieniem Fernand?

— To, krótko mówiąc, mój ojciec, Fernand Mondego, hrabia de Morcerf, stary żołnierz, który brał udział w dwudziestu pięciu bitwach. Jego to szlachetne blizny chcą obrzucić cuchnącym błotem wygarniętym z rynsztoka.

— A, twój ojciec! No, to inna sprawa. Rozumiem, kochany Albercie, twoje wzburzenie... Przeczytajmyż jeszcze.

I czytając notatkę rozważał każde słowo.

— Ale z czegoś ty wnosisz — spytał Beauchamp — że ten Fernand z gazety to twój ojciec?

— Wiem, że to nie on. Ale inni tak pomyślą i dlatego domagam się odwołania.

Kiedy padły słowa „domagam się”, Beauchamp spojrział na Alberta, ale spuścił zaraz oczy i zamyślił się na chwilę.

— Odwołasz to, prawda? — zagadnął Morcerf ze złością rosnącą, chociaż nadal tłumioną.

— Tak.

— No to świetnie — ucieszył się Albert.

— Ale najpierw muszę się upewnić, że wiadomość jest fałszywa.

— Jak to?

— A tak. Bo rzecz jest warta wyświecenia i wyświecę ją.

— Ale cóż pan zamierzasz tu wyświecać? — wybuchnął Albert. — Jeśli nie sądzisz pan, że był to mój ojciec, powiedz od razu; jeśli sądzisz, że o nim to mowa, wytłumacz się.

Beauchamp spojrział na Alberta ze swoim szczególnym uśmiechem, którym umiał wyrażać wszelkie odcienie uczuć.

— Mój panie — podjął — skoro już nie jesteśmy na ty, jeżeli pan przyszedłeś tu po to, aby mnie wyzwąć na pojedynek, trzeba mi to było od razu. powiedzieć, a nie mówić o przyjaźni oraz innych głupstwach, których słucham cierpliwie już pół godziny. A więc mamy wstąpić na taki teren, czy tak?

— Tak, jeśli nie odwołasz pan tej haniebnej kalumnii

— Chwileczkę! Tylko bez pogrózek, jeśli pan łaskaw, panie Albercie de Mondego, wicehrabio de Morcerf. Nie znoszę pogrózek ze strony wrogów, a tym bardziej ze strony przyjaciół, życzysz więc pan sobie, abym zdementował notatkę dotyczącą pułkownika Fernanda, notatkę, która, dając słowo honoru, nie za moją sprawą została zamieszczona.

— Tak, życzę sobie! — powtórzył Albert. Zaczynało już mu się mącić w głowie.

— A w przeciwnym razie pojedynek, czy tak? — zagadnął Beauchamp z niezmiennym spokojem.

— Tak — odparł Albert podnosząc głos.

— A więc oto moja odpowiedź, drogi panie: nie ja zamieściłem tę notatkę i nawet o niej nie wiedziałem; ale pan swoim wystąpieniem zwróciłeś moją uwagę na ten fakt — i teraz już nie oderwę jej od niego. Notatka ta pozostanie, póki nie znajdę sposobu, aby ją odwołać albo potwierdzić.

— W takim razie, mój panie — powiedział Albert wstając — będę miał honor przysłać panu świadków; omówisz pan z nimi warunki.

— Wybornie, drogi panie.

— Spotkamy się więc, jeśli pan łaskaw, dziś pod wieczór albo najpóźniej jutro rano.

— O, co to, to nie! Stawię się na spotkanie, kiedy zajdzie potrzeba, ale według mnie, a wolno mi wyrazić swój pogląd, bo to ja jestem wyzwany, jeszcze nie pora. Wiem, że jesteś pan tęgim szermierzem, a ja miernym; wiem, że strzelasz pan znakomicie, ale i mnie też tutaj nie zbywa na zręczności; wiem, że pojedynek między nami będzie poważny, bo panu nie zbywa na odwadze... no i mnie też. Otóż nie chciałbym zabić pana, tak samo jak bym nie chciał zginąć bez przyczyny. Teraz ja z kolei postawię pytanie, i to kategoryczne: Czy aż tak zależy panu na tym odwołaniu, że zabijesz mnie, jeśli go nie umieszczę, chociaż powiedziałem panu, powtarzam i zapewniani na honor, że o tym fakcie nie wiedział? I że nikt na tym świecie nie odgadłby, jak pan odgadłeś, że pan hrabia de Morcerf i pułkownik Fernand to jedna i ta sama osoba?

— Zależy mi na nim absolutnie.

— A więc dobrze, drogi panie. Będziemy się strzelać czy rąbać, ale za trzy tygodnie; za trzy tygodnie odwiedziś mnie pan, a ja powiem: „Tak, wiadomość była fałszywa, odwołuję”. Albo: „Tak, wiadomość była prawdziwa”. I dobywam szpady albo wyciągam pistolet — co pan wolisz.

— Trzy tygodnie! — zawałał Albert. — Ależ te trzy tygodnie to dla mnie trzy wieki hańby.

— Gdybyś pan był nadal moim przyjacielem, powiedziałbym: cierpliwości. Ale żeś przeszedł do moich wrogów, powiadam: nic mnie to nie obchodzi!

— A więc niechże będzie trzy tygodnie, ale zapamiętaj pan, że za trzy tygodnie żadna zwłoka ani żaden wykręt nie zdoła uwolnić pana...

— Panie Albercie — powiedział Beauchamp wstając — będę mógł wyrzucić pana za drzwi dopiero za trzy tygodnie, czyli za dwadzieścia jeden dni, a pan będziesz mógł mnie porąbać dopiero po upływie tego czasu. Mamy dziś dwudziestego dziewiątego sierpnia, a więc zobaczymy się dwudziestego pierwszego września. A tymczasem przestańmy szcekać na siebie jak dwa uwiązane brytany.

I Beauchamp, skłoniwszy się poważnie Albertowi, odwrócił się doń plecami i wszedł do drukarni.

Albert zemścił się na stosie gazet. Rozrzucił je, siekąc zamasyżycie szpicrutą, po czym wyszedł, ale odwracał się jeszcze kilkakrotnie ku drzwiom drukarni.

Osmagawszy niewinne papiery, które nic nie zawiniły jego porażce, jął smagać konia. Przecinając bulwar spostrzegł Morrela. Kapitan biegł z zadartą głową, okiem błyszczącym i wymachując rękami. Mijał chińską łaźnię, zdażając od bramy Saint-Martin w stronę kościoła Świętej Magdaleny.

— Oto człowiek szczęśliwy — westchnął Albert. I nie mylił się przypadkiem.

4. LEMONIADA

Morrel nie posiadał się ze szczęścia.

Pan Noirtier przysłał był po niego, Morrel zaś tak był ciekaw, czego starzec sobie życzy, iż nie wziął dorożki, ufając bardziej własnym nogom. Wybiegł tedy z ulicy Meslay i podążył na Przedmieście Świętego Honoriusza.

Morrel szedł krokiem sprężystym i szybkim, toteż biedny Barrois ledwie mógł za nim nadążyć.

Morrel miał trzydzieści jeden lat, a Barrois sześćdziesiąt.

Morrel był upojony miłością, a Barrois w ten dzień upalny umierał z pragnienia.

Obaj tak różni wiekiem i mający w życiu cel tak różny, przypominali dwa ramiona trójkąta — rozchylone u podstawy, a zbiegające się u wierzchołka.

Wierzchołkiem był pan Noirtier. Barrois powtórzył Morrelowi rozkaz pana, aby kapitan się spieszył, i Morrel wypełniał dokładnie to zalecenie ku rozpaczy starego sługi.

Przybywszy na miejsce, Morrel nie zasapał się nawet; miłość użycza skrzydeł.

Ale Barrois, który nie kochał się już od dawna, ociekał potem.

Stary sługa wpuścił Morrela bocznymi drzwiami i zamknął drzwi od gabinetu. Niebawem szelest sukni zapowiedział nadejście Walentyny.

Prześlicznie jej było w żałobie.

Gruchali tak słodko, że Morrel obszedłby się doskonale bez rozmowy ze starcem, ale wózek paralytyka zaskrzypiał sunąc po posadzce.

Noirtier spoglądał zycziwie, gdy Morrel rozplątywał się w podziękowaniach, wyrażając wdzięczność za cudowną interwencję, która wybawiła jego i Walentynę z desperacji.

Następnie Morrel spojrział na Walentynę, pytając wzrokiem, czemu ma przypisać ten nowy dowód zyczliwości. Dziewczyna siedziała onieśmieszona z dala od młodzieńca, czekając, aż dziadek mówić jej każe.

Noirtier spojrział na nią.

— Czy mam powtórzyć, dziadziu, co mi zaleciłeś? — spytała.

— Tak.

— Panie Maksymilianie — rzekła tedy do młodzieńca, który pożerał ją oczyma — dziadzio ma panu do zakomunikowania mnóstwo rzeczy, które powiedział mi już trzy dni temu. Przysłał dziś po pana, żebym je panu powtórzyła; powtórzę je więc, oddając wiernie jego myśl.

— O, słucham z niecierpliwością, niechże pani mówi. Walentyna spuściła oczy — słodka to była wróżba dla młodzieńca. Walentynie brakowało sił tylko w momentach szczęścia.

— Dziadek zamierza się stąd wyprowadzić — oznajmiła. — Barrois szuka mu właśnie przyzwoitego mieszkania.

— A pani — spytał Morrel — tak droga i potrzebna panu Noirtier?

— Nie rozstanę się z dziadkiem, to już między nami rzecz postanowiona. Zamieszkać obok. Ojciec zgodzi się na to albo odmówi. W pierwszym wypadku wyprowadzę się zaraz, w drugim zaczekam do pełnoletności, a będę pełnoletnia za dziesięć miesięcy. Będę wtedy wolna, niezależna materialnie i...

— I?... — zapytał Morrel.

— I jeśli dziadzio pozwoli, dotrzymam tego, com panu przyrzekła. Walentyna, powiedziała te ostatnie słowa tak cicho, iż Maksymilian nie dosłyszałby ich będąc mniej zakochany.

— Czym dobrze wyraziła twoją myśl, dziadziu? — zagadnęła starca.

— Tak.

— Kiedy przeprowadzę się do dziadka, będziesz pan mógł mnie widywać w obecności tego zacnego i godnego protektora. Jeśli więź, co zrodziła się między naszymi sercami, naiwnymi może albo kapryśnymi, okaże się mocna i zagwarantuje nam szczęście, bo niestety, jak mówią, serca które zapłonęły wśród przeszkód, ziębną w cichej przystani — wtedy poprosi pan o moją rękę; ja czekać będę.

— O! — zawołał Morrel, a miał ochotę paść na kolana przed starcem, jak przed Bogiem, i przed Walentyną, jak przed aniołem — o, cóżem ja w życiu uczynił takiego, że zasłużyłem na tyle szczęścia!

— Do ślubu — mówiła dziewczyna głosem dźwięcznym i surowym — będziemy szanować konwenanse i wolę rodziców, jeśli ona nie zamierzy rozdzielić nas na zawsze. Słowem, powtarzam, zaczekamy.

— Ofiary — ozwał się Morrel — jakie przypadnie mi złożyć czekając, złożę, przysięgam to panu, nie z rezygnacją, ale z radością.

— Jakoż — ciągnęła Walentyna, spoglądając na Maksymiliana tak, że topniało mu serce — nie popełnimy, mój drogi, żadnej nieostrożności. Nie narażaj honoru tej, która uważa się za przeznaczoną, aby godnie nosić twoje nazwisko.

Morrel położył rękę na sercu.

Noirtier spoglądał na nich czule.

Barrois, który jako powiernik pozostał w pokoju, uśmiechał się, ocierając perlisty pot z czoła.

— O Boże! Jak temu biednemu Barrois jest gorąco — zmartwiła się Walentyna.

— A bo się leciało, proszę panienki; ale, co prawda, pan Morre! leciał jeszcze prędzej.

Noirtier wskazał wzrokiem tacę, na której była karafka z lemoniadą i szklanka.

Noirtier wypił tylko trochę lemoniady pół godziny temu.

— Napijże się, mój pocziwy Barrois — rzekła Walentyna — bo wam język ucieknie do tej karafki.

— Bo i prawda, proszę panienki, że umieram z pragnienia i chętnie bym się napił lemoniady za panienki zdrowie.

— No więc się napijcie i wracajcie zaraz.

Barrois wziął tacę, a że nie domknął drzwi, widać było, jak na korytarzu wychylił duszkiem szklankę, którą napełniła Walentyna.

Walentyna i Morrel żegnali się, kiedy na schodach od apartamentów pana de Villefort zadźwięczał dzwonek. Zwiastował on zawsze wizytę. Walentyna spojrzała na zegar.

— Południe — rzekła — a dziś, dziadziu, sobota. To z pewnością doktor. Noirtier dał znak, że Walentyna się nie myli.

— Przyjdzie tu, trzeba więc, żeby pan Morrel odszedł, prawda, dziadziu?

— Tak.

— Barrois! — zawołała Walentyna. — Chodźcie tutaj! Stary sługa odpowiedział:

— Idę, panienko.

— Barrois odprowadzi pana do drzwi. A pamiętaj o jednym, panie oficerze, co zalecił ci dziadziu: nie wolno panu przedsięwziąć nic takiego, co mogłoby skompromitować nas oboje.

— Obiecałem czekać i będę czekał! Wszedł Barrois.

— Kto to dzwonił? — spytała Walentyna.

— Pan doktor d'Avrigny — oznajmił Barrois chwając się.

— Co wam jest, Barrois? — spytała Walentyna.

Stary nie odpowiedział.

Wpatrywał się z przerażeniem w swojego pana i szukał jednocześnie zaciskającą się kurczowo dłonią jakiegoś oparcia.

— Ależ on się zaraz przewróci! — krzyknął Morrel. Bo i rzeczywiście Barrois drżał coraz bardziej.

Twarz, ściągnięta konwulsyjnie, wskazywała na gwałtowny atak nerwowy. Noirtier, widząc sługę w takim stanie, wyrażał wzrokiem najserdeczniejszy niepokój.

Barrois postąpił kilka kroków w stronę pana.

— Jezu miłosierny, co się stało?... Czuję się źle... Nic nie widzę. W głowie, pod czaszką jakby piekł mnie żywy ogień. Nie dotykać mnie! Nie dotykać!

Oczy wyszły mu z orbit, wzrok miał nieprzytomny, głowa przechyliła się w tył i cały sztywniał.

Walentyna krzyknęła z przerażenia.

Morrel wziął ją w ramiona, jak gdyby broniąc przed nieznanym niebezpieczeństwem.

— Panie doktorze! Panie doktorze! — zawołała Walentyna stłumionym głosem. — Tu, do nas, na pomoc!

Barrois obrócił się, cofnął trzy kroki, potknął się i runął u stóp Noirtiera. Chwycił go ręką za kolana i wołał:

— O mój panie, mój dobry panie!

W tejże chwili pan de Villefort zwabiony krzykiem stanął w progu.

Morrel, zostawiwszy Walentynę na pół omdlałą, cofnął się w kąt i schował za portierą.

Blady, jakby zobaczył jadowitego węża, wpatrywał się szklistym wzrokiem w konającego.

Noirtier wrzał ze zniecierpliwienia. Ileż by dał, żeby skoczyć na pomoc biednemu starcowi — przyjacielowi raczej, a nie słudze.

Na twarzy jego odmalowała się okrutna walka życia ze śmiercią. Żył na czole mu nabrzmiały, mięśnie twarzy nie objęte dotąd paraliżem kurczyły się jeszcze.

Barrois leżał na podłodze, głowę miał przechyloną do tyłu, oko krwią nabiegłe. Twarz przebiegał ustawiczny skurcz, ręce waliły o ziemię, nogi tak zeszytywniały, że zdawały się jak z drewna.

Na usta wystąpiło trochę piany, rzęził.

Villefort osłupiał na ten widok.

Nic dostrzegł Morrela.

Patrzył w milczeniu, blednąc coraz bardziej.

— Doktorze! Doktorze! — zawołał, poskoczywszy ku drzwiom. — Prędziej! Prędziej!

— Proszę mamy! Proszę mamy! — wołała Walentyna wypadwszy na schody. — Niech mama przyniesie sole trzeźwiące!

— Co się stało? — zabrzmiał metaliczny i opanowany głos pani de Villefort.

— Niech mama tu przyjdzie!

— Ale gdzie doktor, gdzie doktor? — wołał Villefort. Tymczasem pani de Villefort schodziła powoli. Słysząc było, jak schody skrzypią pod jej stopami.

W jednej ręce trzymała chusteczkę ocierając twarz — a w drugiej flakon soli angielskich.

Wchodząc popatrzyła najpierw na Noirtiera, którego twarz oprócz naturalnego w takich razach poruszenia nie zdradzała jakichkolwiek objawów choroby; po chwili dopiero zoczyła umierającego.

Zbladła i spojrzenie jej przeniosło się błyskawicznie ze sługi na pana.

— Na miłość boską, moja żono, gdzie doktor? Był przecież u ciebie. To, jak widzisz, apopleksja. Trzeba mu puścić krew, to go uratuje.

— A dawno jadł? — zapytała wymijająco pani de Villefort.

— Nie jadł śniadania, ale nabiegał się dziś rano, bo dziadzio go wysłał za interesami — odpowiedziała Walentyna. — Wróciwszy napił się tylko lemoniady.

— O! — zdziwiła się pani de Villefort — a dlaczegóż nie wina? Lemoniada to napój bardzo niezdrowy.

— Bo lemoniada była pod ręką w karafce dziadzi. Barrois był ogromnie spragniony, wypił więc duszkiem całą szklankę.

Pani de Villefort zadrżała; teść spojrzał na nią przenikliwie.

— Ma taką krótką szyję — rzekła.

— Moja żono, pytałem cię, gdzie doktor. Odpowiedzże na miłość boską!

— Jest u Edwardka, bo go brzusek boli — odrzekła pani de Villefort, nie mogąc dłużej uchylać się od odpowiedzi.

Villefort pomknął po doktora.

— Weź to — rzekła prokuratorowa, wręczając flaszkę Walentynie — na pewno puści się biedakowi krew. Wracam więc do siebie, bo widoku krwi nie znoszę.

Wyszła.

Morrel wysunął się z kąta — nie zauważony wśród ogólnego poruszenia.

— Odejdź co prędzej, Maksymilianie, i czekaj, aż cię wezwę. No, idź już. Morrel zapytał Noirtiera wzrokiem.

Starzec, który wśród tych wypadków zachował zimną krew, potwierdził słowa wnuczki.

Morrel przycisnął dłoń Walentyny do serca i wymknął się bocznym korytarzem.

W tejże chwili doktor i Villefort weszli drugimi drzwiami.

Barrois zaczął odzyskiwać przytomność.

Atak minął. Stary mógł już wybełkotać parę słów, próbował się podnieść przykląkwszy na jedno kolano.

Obaj panowie ułożyli go na szezlongu.

— Co pan doktor zaleci? — spytał Villefort.

— Potrzebna mi woda i eter. Macie państwo eter?

— Tak.

— Niech ktoś pobiegnie po terpentynę i emetyk.

— Dobrze.

— I niech wszyscy stąd wyjdą.

— Ja też? — zapytała nieśmiało Walentyna.

— Ty pierwsza — odparł szorstko doktor.

Walentyna spojrzała ze zdziwieniem na doktora, pocałowała dziadka w czoło i wyszła.

Doktor, mocno zasepiony, zamknął za nią drzwi.

— Widzi pan doktor, już mu lepiej. To był tylko lekki ataczek. D'Avrigny uśmiechnął się posępnie.

— Jak się czujecie? — zagadnął sługę. — Trochę lepiej, panie doktorze.

— Wypijcie tę wodę z eterem.

— Spróbuję, ale niech pan mnie nie dotyka.

— Dlaczego?

— Bo zdaje mi się, że jak mnie pan dotknie choćby palcem, atak powróci.

— Wypijcie to.

Barrois wziął szklanekę, przytknął ją do zsiniałych warg i wychylił prawie do połowy.

— Gdzie was boli? — zapytał doktor.

— Wszędzie; mam jakby okropne kurcze.

— Ómi wam się w oczach?

— Tak.

— W uszach wam szumi?

— Bardzo.

— Kiedy was to chwyciło?

— Przed chwilą.

— Nagle?

— Od razu.

— A wczoraj nie czuliście się gorzej? A onegdaj?...

— Nie.

— Nie byliście jacyś senni, ociężali?

— Nie.

— Coście dziś jedli?

— Nic nie jadłem. Wypiłem tylko szklanekę lemoniady, przygotowanej dla mojego pana.

I Barrois potrząsnął głową, wskazując jakby pana Noirtiera, który, nieruchomy w swoim fotelu, obserwował tę straszną scenę, nie tracąc ani jednego ruchu i ani jednego słowa.

— Gdzie ta lemoniada? — spytał szybko doktor.

— Tam, w karafce.

— Co to znaczy „tam”?

— W kuchni.

- Czy mam iść po nią, doktorze? — spytał szybko Villefort.
— Nie. Zostań pan tutaj i postaraj się, żeby chory wypił tę wodę do reszty.
— Ale ta lemoniada...
— Sam ją przyniosę.

D'Avrigny podskoczył do drzwi, a zbiegając schodami dla służby, o mało nie przewrócił pani de Villefort, która także podążała do kuchni.

Prokuratorowa krzyknęła.

D'Avrigny nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

Kierując się jedną myślą, która użyczała mu jakby skrzydeł, zeskokczył z paru ostatnich stopni i wpadł do kuchni. Karafka, w trzech czwartych opróżniona, stała na tacy.

Rzucił się na nią, niby orzeł na zdobycz.

Wrócił zadyszany do pokoju.

Pani de Villefort pięła się wolno po schodach do swego apartamentu.

— Czy to ta karafka? — spytał d'Avrigny.

— Tak, panie doktorze.

— Czy piliście tę lemoniadę?

— Chyba tak.

— Jaki smak miała?

— Była gorzka.

Doktor nalał sobie na dłoń trochę lemoniady, dotknął płynu wargami i rozprowadził go językiem w ustach, jakby kosztował wina, po czym wypluł wszystko do kominka.

— Z pewnością ta sama — rzekł. — Czy i pan pił ją także? — zwrócił się do Noirtiera.

— Tak.

— O, panie doktorze! — wykrzyknął Barrois. — Znowu mną trzęsie! Boże, zmiłuj się nade mną.

Doktor podbiegł do chorego.

— Niech pan zobaczy — rzekł do prokuratora — czy nie przyniesiono emetyku.

Villefort wybiegł wołając:

— Nie przyniesiono tam emetyku? Nikt nie odpowiedział.

Cały dom ogarnęła głęboka groza.

— Gdybym znalazł sposób, żeby wprowadzić mu do płuc powietrze, może uratowałbym go przed uduszeniem. Ale nic się nie da zrobić.

— O, panie doktorze! — zawołał Barrois. — Czy dopuścisz pan, bym umarł? Umieram, Boże miłosierny, umieram!...

— Piórko! Dawać piórko! — zawołał doktor. Spozrzegł pióro na stole.

Spróbował wsunąć je w usta chorego, który wśród daremnych wysiłków starał się zwymiotować; szczęki tak mu się zacisnęły, że piórko nie weszło.

Tym razem atak był bez porównania silniejszy.

Barrois zsunął się z szeslongu na podłogę i zeszywniał.

Doktor pozostawił go w spokoju, widząc, że nic nie poradzi, i podszedł do Noirtiera.

— A jak pan się czuje? — spytał szybko, zniżywszy głos. — Dobrze?

— Tak.

— W żołądku ucisk? Czy żołądek lekki?

— Tak.

— Jak po pigułce, którą z mojego zalecenia bierzesz pan każdej niedzieli?

— Tak.

— Czy to Barrois przyrządził panu lemoniadę?

— Tak.

— A czy pan zachęciłeś go, żeby jej się napił?

— Nie.

— A kto? Pan de Villefort?

— Nie.

— Jego żona?

— Nie.

— A więc Walentyna?

— Tak.

Barrois westchnął, szczęki rozwarły mu się głośno — odwróciło to uwagę doktora.

Podbiegł do chorego.

— Możecie mówić, Barrois? — zapytał.

Barrois wybełkotał jakieś niezrozumiałe słowa.

— No, postarajcież się.

Barrois otworzył przekrwione oczy.

— Kto przyrządził lemoniadę? — Ja.

— Czyście ją zanieśli bezpośrednio do pana?

— Nie.

— Toście zostawili ją gdzieś po drodze?

— Tak. W kredensowym. Bo mnie zawołano.

— Kto więc przyniósł lemoniadę?

— Panna Walentyna. D'Avrigny stuknął się w czoło.

— O Boże, Boże — szepnął.

— Panie doktorze, panie doktorze! — zawołał Barrois czując, że trzeci atak się zbliża.

— Przyniosą wreszcie ten emetyk czy nie?! — krzyknął doktor.

— Niosę właśnie całą szklankę — powiedział Villefort wchodząc.

— Kto go przygotował?

— Aptekarczyk, który przyszedł tu ze mną.

— Wypijcie to.

— Nie poradzę już, doktorze, za późno. Gardło mi się zaciska, duszę się! Serce boli mnie strasznie... i głowa. Och, co za piekło... Czy długo jeszcze będę się tak męczył?

— Nie, nie, mój stary, uspokój się. Niebawem wszystko minie.

— Ach, zrozumiałem — zawołał nieszczęśnik. — Boże, zlituj się nade mną! Krzyknął i padł na wznak, niby gromem rażony.

D'Avrigny położył mu rękę na sercu i zbliżył lusterko do warg.

— No i co? — zapytał Villefort.

— Każ pan, żeby mi przyniesiono z kuchni syropu fiołkowego. Villefort wyszedł natychmiast.

— Niech się pan nie obawia — rzekł doktor do pana Noirtiera — przeniosę chorego do drugiego pokoju, żeby puścić mu krew. Straszny to widok ataki tego rodzaju.

I wzięwszy sługę pod ramiona, przeciągnął go do sąsiedniego pokoju; ale wrócił zaraz, żeby wziąć lemoniadę. Noirtier przymknął prawe oko.

— Chcesz pan, żeby Walentyna tu przyszła, prawda? Zaraz każę ją zawołać. Villefort nadchodził.

D'Avrigny spotkał go na korytarzu.

— No i jak tam? — zagadnął Villefort.

— Chodź pan — rzekł d'Avrigny. I wprowadził go do pokoju.

— Omdlenie trwa nadal? — zapytał Villefort.

— Umarł.

Villefort cofnął się o trzy kroki, złapał się za głowę i powiedział ze szczerym żalem, patrząc na zmarłego:

— Skonał tak prędko...

— A prędko, prawda? Ale to nie powinno pana dziwić: państwo de Saint-Meran nie umierali wolniej. Prędko się umiera w pańskim domu, panie prokuratorze.

— Co takiego? — zawołał sędownik przerażony i pomieszany zarazem. Znowu pan powracasz do swoich straszliwych domniemań?

— Ani na moment nie odstępiałem od nich — oznajmił uroczyście d'Avrigny. — Myśl ta dręczyła mnie bez ustanku. Aby zaś przekonał się pan wreszcie, że się nie mylę, niech pan posłucha, panie prokuratorze.

Villefort dygotał.

— Istnieje trucizna, która zabija nie pozostawiając prawie śladów. Znam ją dobrze. Przystudiowałem jej działanie, nie pomijając żadnego symptomu. Stwierdziłem przed chwilą, że umarł od niej biedny Barrois, tak samo jak i pani de Saint-Meran. Znam sposób, aby wykryć ową truciznę: papierek lakmusowy, co zaróżowił się od kwasu, zabarwia się w niej znów na niebiesko; kropla jej, wpuszczona do syropu fiołkowego, barwi ów syrop na zielono. Nie mamy papierka lakmusowego, ale właśnie przynoszą mi syrop fiołkowy, o który prosiłem.

Na korytarzu rozległy się kroki.

Doktor uchylił drzwi, wziął z rąk pokojowej czarkę z paroma łyżkami syropu i zamknął drzwi.

— Niech pan patrzy — ozwał się do prokuratora, któremu serce biło jak młotem — mamy w tej czarce syrop fiołkowy, a w karafce resztę lemoniady. Była przygotowana dla pana Noirtier. Barrois wypił część. Jeśli w lemoniadzie nie ma żadnych szkodliwych składników, syrop nie zmieni koloru. Jeśli lemoniada jest zatruta, syrop zzielenieje. Niech pan patrzy!

Doktor wlał powoli parę kropel lemoniady do czaraki — w tejże chwili na dnie uformował się obłoczek, zrazu błękitny, następnie ściemniał, jał opalizować i stał się szmaragdowozielony.

Po czym płyn koloru już nie zmienił — pozostał szmaragdowy.

Doświadczenie nie pozostawiało żadnych wątpliwości.

— Biednego Barrois otruto fałszywą angosturą, czyli orzechem Świętego Ignacego — oznajmił d'Avrigny. — Przysięgłbym teraz na to przed ludźmi i przed Bogiem.

Villefort, nic nie odrzekłszy, wznosił ręce do nieba, potoczył błędnym spojrzeniem i niby gromem rażony padł na fotel.

5. OSKARŻENIE

Pan d'Avrigny ocucił wprędce Villeforta, który w tym żałobnym pokoju wyglądał niby drugi trup.

— Śmierć jest w domu! — zawołał prokurator.

— Powiedz pan raczej: zbrodnia — ozwał się doktor.

— Nie umiem wyrazić tego, co we mnie w tej chwili się dzieje! — wykrzyknął Villefort. — Ogarnia mnie przerażenie, boleść i szaleństwo.

— Rozumiem pana — odpowiedział d'Avrigny z imponującym spokojem — ale zdaje mi się, że czas, byśmy przystąpili do działania i zniweczyli ten strumień śmierci. Nie potrafię utrzymać dłużej podobnego sekretu, nie mając nadziei, że społeczeństwo wymierzy wkrótce sprawiedliwość, że ktoś pomści śmierć ofiar.

Villefort rozejrzał się posępnie.

— I to w moim domu! — wyszeptał. — W moim domu!

— No, panie prokuratorze — rzekł d'Avrigny — niech pan będzie człowiekiem. Jako uosobienie prawa, musisz pan zdobyć się na bezwzględność ofiarę; przyniesie ci ona zaszczyt.

— Przeraża, mnie doktor. Ofiara!...

— Rzekłem.

— Czy pan kogoś podejrzewa?

— Nie podejrzewam nikogo; śmierć zastukała do pańskich drzwi, weszła i wędruje z pokoju do pokoju, z rozmysłem, a nie na ślepo, jak to ona. Śledzę ją, poznaję jej ślady. Wierny mądrości starożytnych, błędę po omacku; gdyż moja przyjaźń dla pańskiej rodziny, szacunek dla pana, to dwie opaski na moich oczach. Owóż...

— O, niech doktor mówi, nie brak mi odwagi.

— Owóż w pańskim domu, w pańskiej rodzinie może, pojawił się fenomen, znany zresztą historii. Każde stulecie znało te okropności. Lokusta i Agrypina, które żyły w tym samym czasie, stanowiły wyjątek, ale dowodzi on, że Opatrzność uwzięła się, by zniszczyć cesarstwo rzymskie zbrukane

tyłoma zbrodniami. Brunhildę i Fredegondę wydały wieki z trudem formującej się cywilizacji, dzięki której człowiek uczył się ujarzmić ducha, uciekając się choćby do ciemnych mocy. Owóż wszystkie te kobiety były jeszcze młode i piękne. Na czole ich kwitła jeszcze ta sama niewinność, którą znajdziesz pan na czole winowajczyni przebywającej w pańskim domu.

Villefort krzyknął, złożył ręce i spojrzał błagalnie na doktora. Ale doktor ciągnął bez litości:

— Szukaj tego, komu zbrodnia przynosi korzyść, powiada zasada prawa.

— Doktorze! Ileż razy sprawiedliwość ludzką zwiodły te fatalne słowa! Nie wiem, ale zdaje mi się, że ta zbrodnia...

— A, przynajmniej pan wreszcie, że zbrodnię popełniono?

— Tak, przynajmniej, cóż robić. Ale niech mi pan nie przerywa. Zdaje mi się, że ta zbrodnia spada tylko na moją głowę. Za tymi osobliwymi klęskami czai się zapewne klęska, która spadnie na mnie.

— O, człowiecze — wyszeptał d'Avrigny — przenosisz egoizmem wszystkie zwierzęta. Jesteś najbardziej egocentrycznym ze wszystkich stworzeń: sądzisz, że ziemia się kręci, słońce świeci, a śmierć kosi tylko dla ciebie. Mrówko, złorzecząca Bogu z wierchołka trawy! A czy ci, którzy stracili życie, nic nie stracili? Państwo de Saint-Méran, pan Noirtier...

— Jak to, mój ojciec?

— A tak. Czy pan sobie wyobraża, że ktoś chciał zabić tego nieszczęsnego sługę? O nie, jak Poloniusz u Szekspira, poniósł on śmierć zamiast kogo innego. To Noirtier miał wypić lemoniadę i zgodnie z logicznym porządkiem rzeczy, wypił ją Noirtier. Sługa napił się przypadkiem i choć umarł Barrois, winien był umrzeć Noirtier.

— Ale w takim razie, jak się stało, że mój ojciec nie umarł?

— Mówiłem panu wieczorem w ogrodzie, zaraz po śmierci pani de Saint-Méran, że jego organizm jest uodporniony na tę właśnie truciznę. Doza, nieszkodliwa dla pana Noirtiera, zabiła kogo innego; bo nikt, nawet i morderca, nie wie, że od roku kuruję pana Noirtiera brucyną. Natomiast mordercy było wiadome, a upewnił się jeszcze dzięki doświadczeniu, że brucyna jest trucizną gwałtowną.

— O Boże! O Boże! — szeptał Villefort załamując ręce.

— Chodźmy krok w krok za mordercą. Zabija pana de Saint-Méran.

— Doktorze!

— Przysięgam, że tak było. Opowiadano mi o symptomach choroby, a relację potwierdza w pełni to, com widział na własne oczy.

Villefort jęknął i nie protestował więcej.

— Zabija pana de Saint-Méran — powtórzył doktor — zabija panią de Saint-Méran: ma więc już spadek po dwóch osobach.

Villefort otarł obfity pot z czoła.

— Niech pan słucha uważnie.

— No cóż — wybelkotał Villefort — nie przepuściłem dotąd ani słowa, ani jednego słowa.

— Pan Noirtier — ciągnął bezlitośnie doktor — sporządził kiedyś testament na niekorzyść pańską i pańskiej rodziny, ale za to na rzecz biednych. Pana Noirtier oszczędza się tedy, bo nikt już nie wzbogaci się na jego śmierci. Ale jak tylko unieważnił swój poprzedni testament i sporządził drugi, zadaje mu się cios, by przypadkiem nie sporządził trzeciego. Drugi testament był, o ile wiem, spisany onegdaj, jak pan widzisz, nie traci się czasu.

— O! Zlituj się, doktorze!

Litował się nie będąc! Posłannictwo lekarza tu na ziemi jest uświęcone; aby mu sprostać, lekarz bada źródła życia i zapuszcza się w tajemnicze mroki śmierci. Gdy popełniono zbrodnię, a Bóg, przerażony zapewne, odwraca wzrok od zbrodniarza, lekarz "musi powiedzieć: Oto on!

— Ulituj się nad moją córką! — wyszeptał Villefort.

— Sam pan wymieniłeś ją tedy, pan, jej ojciec!

— Ulituj się nad Walentyną! Posłuchaj pan, to niemożliwe. Wolałbym już oskarżyć samego siebie! Walentyna, ten charakter kryształowy, lilia niewinności!

— Nie wolno się panu litować, panie prokuratorze królewski! Schwytaliśmy ją na gorącym uczynku. Panna de Villefort sama zapakowała lekarstwa, które wysłano panu de Saint-Méran, i pan de Saint-Méran umarł. Panna de Villefort naparzała ziółka dla pani de Saint-Méran i pani de Saint-Méran umarła. Panna de Villefort wzięła z rąk Barrois, którego wysłano do miasta, karafkę z lemoniadą. I

stary pan ocalał tylko cudem. To panna de Villefort jest winowajczynią! To trucicielka! Panie prokuratorze królewski, oskarżam pannę de Villefort! Spełnij swój obowiązek!

— Nie sprzeciwiam się już, doktorze, i już się nie bronię. Wierzę panu. Ale, na miłość boską, oszczędź pan moje życie, mój honor!

— Panie prokuratorze — mówił doktor coraz dobitniej — istnieją wypadki, w których nie oglądam się na zwykłą przezorność ludzką. Gdyby pańska córka popełniła tylko pierwszą zbrodnię i gdybym dostrzegł, że obmyśla drugą, powiedziałbym panu: „Rozmów się pan z nią, ukarż ją, zamknij na całe życie w klasztorze, niech modli się i oplakuje swoją winę”. Gdyby popełniła dwie zbrodnie, powiedziałbym: „Masz pan tu truciznę, na którą antidotum nie istnieje; zabija błyskawicznie. Rozkaż córce, aby, poleciwszy duszę Bogu, zażyła tę truciznę. Ocalisz pan tym sposobem swój honor i życie, bo Walentyna umyśliła zabić i pana, widzę już, jak zbliża się do pańskiego łóżka, uśmiechając się obłudnie, z czułymi słowami na wargach. Biada panu, jeśli nie uderzysz pierwszy!” Oto, co bym panu powiedział, gdyby zabiła tylko dwie osoby. Ale ona była już świadkiem trzech agonii, klęczała przy trzech trupach; oddać trucicielkę w ręce kata! Wspomniałeś pan o swoim honorze: uczyni, co radzę, a okryjesz się nieśmiertelną sławą...

Villefort padł na kolana.

— Posłuchaj pan — rzekł. — Nie jestem tak silny jak pan. Ale czy okazałbyś pan tę samą siłę ducha, gdyby chodziło nie o Walentyne, ale o pańską córkę, Magdalenę?

Doktor zbladł.

— Doktorze, każdy człowiek zrodzony z niewiasty istnieje po to, żeby cierpieć i umrzeć. Będę cierpiał, oczekując śmierci.

— Zważ pan, że będzie to śmierć powolna... Będzie się zbliżać do pana ugodziwszy przedtem pańskiego ojca, żonę, a może i syna.

Villefort, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, chwycił rękę doktora.

— Posłuchaj pan — zawołał — ulituj się nade mną, dopomóż mi!... Nie, moja córka nie zawiniła... W moim domu nie popełniono zbrodni... Nie dopuszczę do siebie myśli, zrozum pan, że w moim domu popełniono zbrodnię; bo jeśli gdziekolwiek pojawi się zbrodnia, pojawia się ona jak śmierć, nie wchodzi samotnie. Posłuchaj pan. Co właściwie pana obchodzi, czy mnie zamordują, czy nie? Czy jesteś pan moim przyjacielem? Mężczyzną? Człowiekiem zacnym?... Nie. Jesteś pan lekarzem!... Otóż oświadczam panu: nie ja wydam moją córkę w ręce kata!... Ach, to myśl straszna, zdolna doprowadzić mnie do tego, żebym jak szalenciec darł sobie pierś paznokciami!... A jeśli pomyliłeś się, doktorze, jeśli moja córka jest niewinna? Jeślibym pewnego dnia stanął przed panem błąd jak widmo i rzekł: „Morderco! Zabiłeś mi córkę!” Gdyby tak się stało, to choć jestem chrześcijaninem, odebrałbym sobie, na pańskim miejscu, życie.

— A więc dobrze — odpowiedział doktor po chwili milczenia. — Zaczekam jeszcze.

Villefort spojrział na niego tak, jakby nie wierzył własnym uszom.

— Tylko — ciągnął d'Avrigny uroczyście i powoli — jeśli ktokolwiek zachoruje w pańskim domu, jeśli pana samego dosięgnie cios, nie wzywaj mnie pan, bo nie przyjdę. Mogę dzielić z panem tę straszliwą tajemnicę, ale nie chcę, aby poczucie hańby i wyrzuty wzrosły w moim sercu i wydały takie owoce, jakie wydadzą zbrodnia i nieszczęście w pańskim domu.

— A więc opuszcza mnie pan?

— Tak, ponieważ nie zamierzam stąpać dalej pańskim śladem i zatrzymuję się u stóp szafotu. Dalsze wypadki położą kres tej straszliwej tragedii. Żegnaj.

— Doktorze, błagam pana!...

— Wszystkie te potworności skaziły moją myśl, a dom pański uczyniły mi wstrętnym. Żegnaj pana.

— Jedno słowo, jeszcze tylko jedno słowo!... Wycofujesz się pan, zostawiając mnie w położeniu tym straszliwszym, że wyjawileś mi przed chwilą okropną prawdę. Ale jeżeli będą komentować nagłą śmierć wiernego, przywiązanego sługi?

— Słuszna uwaga — rzekł d'Avrigny. — Odprowadź mnie pan. I wyszedł pierwszy, a Villefort podążył za nim.

Zaniepokojona służba kręciła się po korytarzach i schodach, którędy miał przechodzić doktor.

— Proszę pana — oznajmił d'Avrigny Villefortowi tak głośno, aby usłyszeli wszyscy — biedny Barrois już od paru lat nie lubił się ruszać. On, który dawniej ze swoim panem jeździł konno czy karetą z jednego krańca Europy na drugi, zabił się sam tą ustawiczną krętaniną wokół fotela. Krew mu zgęstniała. Był otyły, szyję miał krótką i grubą, razila go więc apopleksja piorunująca, a mnie za późno

wezvano. A prawda — szepnął — niech pan nie zapomni wylać syropu fiołkowego z czarki do kominka, w popiół.

I doktor nie podawszy Villefortowi ręki i nie wspomniawszy już o tym, co mówili, wyszedł. Służba tymczasem płakała i zawodziła.

Tegoż wieczora cała czeladź zebrawszy się w kuchni postanowiła po długiej naradzie opuścić dom Villeforta.

Nie pomogły żadne perswazje ani też obietnice podwyższenia pensji.

Ludzie ci mieli tylko jedną odpowiedź:

— Dziękujemy za służbę. Śmierć jest w tym domu.

Nie pomogły prośby. Odeszli oznajmiwszy, że bardzo żałują tak dobrych państwa, a zwłaszcza panny Walentyny, jakże dobrej, łagodnej i ludzkiej.

Kiedy padły te słowa, Villefort spojrzął na Walentynę.

Płakała.

Rzecz dziwna! Villefort wzruszony jej łzami spojrzął na żonę. Wydało mu się, że przez wargi jej przemknął lekki uśmiezek, podobny owym złowróbnym meteorom, które na tle burzliwego nieba przemykają się w szczelinach między chmurami.

6. POKÓJ BYŁEGO PIEKARZA

Wieczorem tego dnia, kiedy Morcerf wyszedł od Danglarsa zawstydzony i rozwścieczony — rzecz to całkiem zrozumiała — chłodnym przyjęciem, jakie zgotował mu bankier, imć Andrea Cavalcanti, ufryzowany i wypomadowany, z wąsikiem zakręconym, w białych rękawiczkach, tak cienkich, że rysowały się pod nimi paznokcie, zajechał z paradą na dziedziniec pałacu państwa Danglars, stojąc niemal w swoim faetonie.

Po dziesięciu minutach rozmowy udało mu się zaciągnąć Danglarsa we framugę okna salonu. Tutaj, zagaiwszy zręcznie, wyłożył bankierowi, jakie kłopoty cierpieć musi po odjeździe swojego przezacnego ojca.

Po rzeczonym odjeździe znalazł — jak powiedział — w rodzinie bankiera najbliższych, albowiem traktują go jak syna. Znalazł tu również i zapowiedź szczęścia, jakiego każdy mężczyzna szuka, nim ulegnie kaprysom uczucia; co zaś do samego uczucia, miał szczęście ujrzeć je w pięknych oczach panny Eugonii.

Danglars słuchał z najgłębszą uwagą.

Od paru dni czekał na to wynurzenie, a kiedy wreszcie Andrea zaczął mówić, rozpromienił się o tyle, o ile Morcerfa słuchał z miną ponurą.

— Kochany panie — odrzekł — czy nie jesteś za młody, aby myśleć o ożenku?

— Ależ nie, proszę pana. We Włoszech wielcy panowie żenią się na ogół młodo. Obyczaj to uzasadniony. Fortuna jest tak zmienna, że trzeba chwytać szczęście, skoro tylko znajdzie się w pobliżu.

— Drogie panie, przypuśćmy, że pańską ofertę, przynoszącą mi zaszczyt, przyjmie zarówno moja żona, jak i córka — ale z kim będziemy rozmawiać

o interesach? Bo wydaje mi się, że w sprawie tak poważnej winni rozmawiać tylko ojcowie, aby zapewnić dzieciom szczęście.

— Panie baronie, mój ojciec, człowiek mądry, rozsądny i miłujący obyczaj, przewidział, że kto wie, czy nie przyjdzie mi ochota ożenić się we Francji. Zostawił mi przeto na odjeźdźnym nie tylko papiery, stwierdzające, kim jestem, lecz i list, w którym zapewnia, że jeśli mój wybór będzie mu odpowiadał, wyznacza mi w dzień mojego ślubu sto pięćdziesiąt tysięcy renty. Jest to, o ile mi wiadomo, czwarta część jego majątku.

— A ja umyśliłem już od dawna dać córce pół miliona franków posagu; a ponadto jest ona jedyną moją spadkobierczynią.

— Jak pan widzisz, sprawa układa się znakomicie, bo nie sędzę, aby pani baronowa i panna Eugonia odrzuciły moją ofertę. Mamy więc sto siedemdziesiąt pięć tysięcy liwrow renty. Przypuśćmy jeszcze jedno. Poproszę ojca, by zamiast wypłacać mi rentę, dał mi kapitał. Będzie się opierał, wiem dobrze, ale może jakoś go skłonię. Owóż pan będziesz obracał tymi dwoma czy trzema milionami, a dwa czy trzy miliony w rękach zręcznego człowieka mogą przynieść dziesięć od sta.

— Daję zawsze tylko cztery procent, a czasem nawet półczwarta. Ale obracając kapitałami mojego zięcia dawałbym pięć i dzielilibyśmy zyski.

— Znakomicie, kochany teściu! — zawołał Cavalcanti; nie zawsze, mimo wysiłków, umiał zapanować nad grubiaństwem, które przezierало spod jego arystokratycznych manier.

Zreflektował się jednak:

— Najmocniej pana przepraszam — rzekł — ale sama nadzieja czyni mnie szalonym; cóż to będzie, jeżeli się ziści.

— Ale — rzekł Danglars, nie spostrzegłszy, jak szybko ta rozmowa zrazu bezinteresowna zwróciła się ku sprawom pieniężnym — istnieje zapewne część pańskiej fortuny, którą ojciec panu wypłacić musi.

— Jakaż to?

— Scheda po pańskiej matce.

— A rzeczywiście. Scheda po mojej matce, Leonorze Corsinari.

— Ileż tego może być?

— Daję panu słowo, że nigdy się nad tym nie zastanawiał, ale powinno być ze dwa miliony.

Danglarsa zatkało z radości. Uczucia takiego doznaje skąpiec odnalazłszy swój skarb, a znane jest ono i tonącemu, który dotknie nagle stopami ziemi.

— A więc, panie baronie — ozwał się Andrea, skłoniwszy się bankierowi z szacunkiem i serdecznością zarazem — czy mogę liczyć?...

— Kochany panie, możesz pan mieć nadzieję, i wierz mi, że zgadzam się. Sprawa ułoży się jak najlepiej, jeśli to pan nie wysuniesz żadnych zastrzeżeń.

— Ach, ileż ja panu zawdzięczam radości! — zawołał Andrea.

— Ale — zagadnął Danglars po chwili namysłu — jakże się to stało, że pan hrabia de Monte Christo, pański protektor w tutejszym świecie, nie przyszedł z panem, aby w twoim imieniu złożyć nam ofertę?

Andrea zarumienił się z lekka.

— Byłem właśnie u hrabiego — odparł. — To człowiek przemyły, ale dziwak niepojęty. Pochwalił mnie bardzo, zapewnił nawet, że mój ojciec da mi bez wahania kapitał zamiast renty; obiecał, że użyje swoich wpływów, aby mi w tym pomóc; ale oświadczył, że nigdy w niczyim imieniu nie prosił i prosić nie będzie o rękę. Takiej odpowiedzialności nie może brać na siebie. Ale, muszę oddać mu sprawiedliwość, raczej dorzucić, że w tym jednym wypadku ogromnie mu przykro, spodziewa się bowiem, że związek będzie szczęśliwy, a stadło dobrane. I chociaż nie chce wystąpić oficjalnie, oznajmił, że z panem baronem pomówi, jeśli napomkniesz mu pan coś na ten temat.

— A, to doskonale.

— A teraz — powiedział Andrea ze swoim najprzymilniejszym uśmiechem — chciałbym się zwrócić do bankiera, zakończywszy rozmowę z teściem.

— Proszę, proszę, cóż to za sprawa? — roześmiał się Danglars.

— Pojutrze mam podjąć u pana jakieś cztery tysiące franków; ale hrabia pojął, że w przyszłym miesiącu będę miał może większe wydatki, na które nie starczy mego kawalerskiego dochodziku, oto więc bon na dwadzieścia tysięcy franków. Nie zaliczka to, ale jak powiedział, prezent. Podpisany ręką hrabiego, jak pan widzisz. Nie masz pan chyba żadnych zastrzeżeń.

— Niech mi pan przyniesie taki kwitek choćby na milion, a wezmę — odpowiedział Danglars, chowając bon do kieszeni. — Oznacz pan godzinę, a woźny wstąpi jutro do pana i przyniesie dwadzieścia cztery tysiące franków.

— W takim razie o dziesiątej rano, jeśli pan łaskaw. Im wcześniej, tym lepiej, bo chciałbym jutro wyjechać na wieś.

— Dobrze, więc o dziesiątej. Czy do Hotelu Książęcego, jak dawniej?

— Tak.

Nazajutrz przyniesiono młodzieńcowi dwadzieścia cztery tysiące franków z punktualnością, która świadczyła chlubnie o akuratności Danglarsa. Andrea wychodził właśnie z domu, zostawiwszy dwieście franków dla Caderousse'a.

Ułatniał się głównie, dlatego, by uniknąć spotkania z niebezpiecznym przyjacielem — wrócił więc dopiero nocą.

Ledwie jednak znalazł się na dziedzińcu hotelowym, wyrósł przed nim portier z kaszkietem w ręce. Czekał na Andreeę.

— Proszę jaśnie pana — ozwał się — ten człowiek tu był.

— Jaki człowiek? — spytał niedbale Andrea, udając, iż nie przypomina sobie, o kim mowa, choć pamiętał aż nazbyt dobrze.

— Ten, któremu ekscelencja wyznaczył pensyjkę.

— A tak, tak, to dawny sługa mojego ojca. No i cóż, daliście mu tych dwieście franków, które zostawiłem dla niego?

— Oczywiście, ekscelencjo.

Andrea kazał tytułować się ekscelencją.

— Ale — dorzucił portier — nie chciał ich wziąć. Andrea zbladł.

Portier nie zauważył tego jedynie dzięki ciemnościom.

— Jak to nie chciał wziąć? — spytał głosem nieco zmienionym.

— Chciał mówić z ekscelencją. Odpowiedziałem, że jaśnie pan wyszedł; zaczął wtedy nalegać. Ale w końcu dał się przekonać i doręczył mi dla pana ten list; tak jak go oddaję zapieczętowany.

— Zobaczmyż, co to takiego — rzekł Andrea.

I przeczytał przy świetle latarni swojego faetonu:

Wiesz, gdzie mieszkam. Czekam na ciebie jutro o dziewiątej rano.

Andrea obejrzał uważnie pieczętkę, aby przekonać się, czy ktoś ciekawy nie zaglądał do listu. Ale kartkę złożono tak kunsztownie, iż ten, kto by chciał ją odczytać, musiałby złamać pieczętkę; a pieczętka była nie naruszona.

— Doskonale! — rzekł. — Biedaczysko! Pocziwy z kośćcami.

Słowa te tak zbudowały portiera, iż nie wiedział, kogo bardziej podziwiać — młodego pana czy starego sługę.

— Wyprzęgaj zaraz i przyjdź do mnie — rozkazał Andrea stajennemu. Popędziwszy na górę, spalił tam list od Caderousse'a i starannie rozmiótł popiół.

Kończył właśnie tę operację, kiedy wszedł stajenny.

— Jesteś, mój Piotrusiu, tego samego wzrostu co ja — powiedział do sługi.

— Tak, ekscelencjo, mam ten zaszczyt.

— Masz pod ręką tę nową liberię, którą wczoraj przyniósł ci krawiec?

— Tak, proszę jaśnie pana.

— Nawiązałem romansik z gryzetską, ale nie chciałbym jej zdradzić mojego nazwiska ani kondycji. Pożycz mi liberii i przynieś swoje papiery, abym w razie potrzeby mógł zanocować w oberży.

Sługa spełnił rozkaz.

Andrea przebrał się i po pięciu minutach wyszedł z hotelu, nie poznany przez nikogo. Wziął dorożkę i kazał się zawieźć do oberży Pod Czerwonym Koniem, nie opodal bramy Picpus.

Nazajutrz wyszedł nie zauważony z oberży, podążył Przedmieściem Świętego Antoniego, a następnie bulwarem aż do ulicy Ménilmontant. Tu zatrzymał się przed bramą trzeciego domu na lewo, a że nie było chwilowo stróża, rozejrzał się za kimś, u kogo mógłby się poinformować.

— Kogóż to szukasz, mój piękny chłopczyku? — zapytała handlarka owocami, mająca sklepik naprzeciwko.

— Nie wiesz, gruba mamciu, gdzie mieszka pan Pailletin?

— Były piekarz? — zastanowiła się sklepikarka.

— O właśnie.

— W głębi podwórza, po lewej, trzecie piętro.

Andrea udał się wskazaną drogą, a na trzecim piętrze pociągnął ze złością zajęczą łapę wiszącą u drzwi. Odezwał się dzwonek.

Po chwili w okratowanym okienku ukazała się twarz Caderousse'a.

— A, jesteś punktualny — powiedział gospodarz. Szczęknęły zasuw.

— Niech cię diabli! — rzekł Andrea wchodząc.

I cisnął kaszkiet. Kaszkiet nie trafiwszy na krzesło, upadł na ziemię i potoczył się naokoło pokoju.

— No, no — ozwał się Caderousse — nie żołądkuj się, syneczku. Pomyślałem przecież o tobie, spójrz tylko, jakie będziemy mieli śniadanko; twoje ulubione potrawy, pieska niebieska!

Andrea poczuł rzeczywiście zapachy dolatujące z kuchni — ordynarne, ale i nęcące dla czczego żołądka.

Była w nich mieszanina oliwy i czosnku — woń charakterystyczna dla последней kuchni prowansalskiej.

Był też i zapach zapiekanej ryby, ale nad wszystkim górował ostry zapach goździków i gałki muskatołowej.

Zapachy te unosiły się z dwóch nakrytych kamionek stojących na dwóch fajerkach i z rondla, który skwierczał w piecyku.

W sąsiednim pokoju na stole dość czystym widniały dwa nakrycia, dwie butelki wina, jedna zalakowana na żółto, a druga na zielono, karafka z wódką i sałatka owocowa ułożona na szerokim liściu kapusty, który spoczywał na talerzu fajansowym.

— No i cóż ty na to, synku? — zagadnął Caderousse. — Pachnie, co? Pamiętasz, byłem tam dobrym kucharzem. Lizales pałce. Tobie pierwszemu dawałem próbować moich sosów i nie gardziłeś mną wtedy, jak mi się zdaje.

I Caderousse jął obierać cebulę z łuski.

— Pięknie, pięknie! — rzekł Andrea mocno poirytowany. — Jeśliś fatygował mnie tylko po to, żebym zjadł z tobą śniadanie, to niech cię diabli wezmą!

— Mój synu — odparł sentencjonalnie Caderousse — przy jedzeniu pogawędzić miło. O, ty niewdzięczniku, to nie przyjemnie zobaczyć się ze starym przyjacielem? Bo ja płaczę z radości.

Bo i rzeczywiście Caderousse popłakiwał.

Trudno jednak powiedzieć, czy na gruczoły łzowe byłego oberżysty działało wzruszenie, czy też cebula.

— Zamknąbyś gębę, obłudniku — rzekł Andrea. — To ty mnie tak lubisz?

— Lubię cię, a jeśli łzę, niech mnie piorun trzaśnie! Mam słabość do ciebie. Cóż robić, to silniejsze ode mnie.

— Nie przeszkodziło ci to jednak ściągać mnie tutaj dla jakiegoś łotrostwa.

— E, nie gadałbyś — odrzekł Caderousse, wycierając szeroki nóż o fartuch. — Gdybym cię nie lubił, nie zgodziłbym się na to nędzne życie, które wiodę z twojej łuski. Spójrz na siebie: jesteś w liberii swojego sługi, a więc masz sługę. A ja nie mam i muszę sam obierać jarzyny. Masz gdzie swoją kuchnię, bo jadasz w Hotelu Książęcym albo w Cafe de Paris. Owóz i ja także mógłbym mieć lokaja i własne tibury; ja też mógłbym jadać, gdzie by mi się spodobało. I dlaczegóż odmawiam sobie tego wszystkiego? Żeby ci nie robić ambarasu, mój mały Benedetto. No, przynaj tylko, żebym mógł...

I Caderousse spojrział aż nadto wymownie.

— No, powiedzmy, że mnie lubisz — odparł Andrea — to w takim razie po kiego licha było mnie ściągać na to śniadanie?

— Bo chciałem się z tobą, syneczku, zobaczyć.

— Po co? Przecież ustaliliśmy z góry wszelkie warunki.

— E, kochasiu, widziałeś ty testament bez kodycyłu? Ale przede wszystkim przyszedłeś tu na śniadanie, co? No to siadaj i zaczniemy od sardynek i maselka, które na twoją cześć, łobuzie, ułożyłem na liściach wina. Aha, rozglądasz się po pokoju. Ano cóż: cztery wypłatane krzesła, obrazki po trzy franki za sztukę. To nie Hotel Książęcy, o nie!

— E, cóżes tak okłapł? Nie jesteś już kontent? Mówiłeś, że chcesz wyglądać na byłego piekarza, i basta.

Caderousse westchnął.

— No i cóż masz jeszcze do gadania? Ziściło się twoje marzenie.

— A właśnie, mój miły Benedetto, marzenie. Były piekarz to bogacz, ma rentę.

— Masz ją przecie.

-Ja?

— No tak. Wypłacam ci dwieście franków. Caderousse wzruszył ramionami.

— To upokarzające otrzymywać pieniądze w taki sposób; pieniądze dawane niechętnie, pensję, która w każdej chwili urwać się może. Domyślasz się, że muszę robić oszczędności na wypadek, gdyby skończyły się twoje tłuste lata. Tak, mój przyjacielu, fortuna kołem się toczy, jak mawiał kapelan... pułkowy. Wiem, niecnoto, że powodzi ci się jak mało komu. Żenisz się z Danglarsówną.

— Co ty wygadujesz!

— Nie wygaduję, tylko prawda. A może miałem powiedzieć: z córką pana barona Danglarsa? To tak samo, jakbym powiedział: z córką pana hrabiego Benedetta. Danglars to mój kum i gdyby nie miał tak krótkiej pamięci, zaprosiłby mnie na twój ślub... należy mi się to, bo był na moim... Tak, tak, na moim! Do licha, nie zadierał wtedy nosa, był urzędniczyną u zacnego pana Morrela. Jadało się obiady z nim i z panem hrabią de Morcerf... wyobraź sobie. Jak widzisz, mam nieliczne znajomości i gdybym zechciał je podtrzymać, bywalibyśmy w tych samych salonach.

— E, nie wiesz już, co pleść z tej głupiej zazdrości.

— Dobrze, dobrze, Benedetto mio. Ale może któregoś dnia i ja włożę niedzielne ubranie, stanę przed bramą i zawołam: „Otwierać!” A tymczasem siadaj i jedzmy.

Caderousse dał przykład i począł zajadać z apetytem, zachwalając gościowi każdą potrawę.

Andrea przestał jakby się dąsać, odkorkował dzielnie butelki i zabrał się do zupy prowansalskiej i do zapiekanego wątlusza, pachnącego czosnkiem i podlanego oliwą.

— Widzę, brachu — ozwał się Caderousse — że już nie boczysz się na swojego dawnego ochmistra.

— A nie — odparł Andrea. Był chłopcem na schwał, apetyt więc kazał mu zapomnieć o wszystkim.

— Smakuje ci, obwiesiu?

— Tak bardzo, że nie rozumiem, dlaczego ktoś, kto pitrasi i jada tak dobrze, skarży się na życie.

— Bo widzisz, to moje szczęście mać jedną myśl.

— Jaka?

— Żyję na koszt przyjaciela, ja, który zawsze umiałem, i to jak zarobić na życie.

— E, nie przejmuj się, mam tyle, że starczy na nas dwóch. Możesz się nie krępować.

— Wierz mi albo nie wierz, ale pod koniec każdego miesiąca gryzie mnie sumienie.

— To pięknie!

— Gryzie tak, że wczoraj się wahałem, czy wziąć tych dwieście franków.

— I dlatego chciałeś ze mną pomówić. Ale czy to na pewno wyrzuty sumienia?

— Na pewno. A prócz tego wpadłem na pewien pomysł.

Andrea zadrżał. Pomysły Caderousse'a zawsze przejmowały go drżeniem.

— Paskudne to — powiedział Caderousse — tak wyczekiwać ustawicznie na koniec miesiąca.

— Ech — odparł Andrea tonem filozofa, pragnąc wybać, do czego zmierza Caderousse — czy życie nie upływa nam na czekaniu? A cóż ja, na przykład, robię innego? Biorę na cierpliwość, nieprawdaż?

— Tak, ale zamiast czekać na dwieście marnych franków, czekasz na jakieś sześć tysięcy, a może i dziesięć, a nawet i dwanaście tysięcy. Licho cię tam wie, boś ty, bratku, skryty; kiedy byliśmy razem, miałeś zawsze swoje sakieweczki, skarboneczki, próbowałeś nieraz ocyganić biednego przyjaciela Caderousse'a; ale na szczęście rzeczony przyjaciel zawsze miał niucha!

— Znów zaczynasz bredzić. Po cóż ciągle wspominać przeszłość? Po kiego licha, pytam, te bajdy?

— Bo ty mając lat dwadzieścia jeden możesz zapomnieć o przeszłości; a ja mam pięćdziesiąt, to i wspomnienia nasuwają mi się same. Ale co tam, wróćmy do interesów.

— Dobrze.

— Chciałem powiedzieć, że będąc na twoim miejscu...

— I co dalej?

— Zrealizowałbym...

— Jak to zrealizowałbyś?

— A tak: poprosiłbym, żeby wypłacono mi na pół roku z góry, pod pretekstem, że zamierzając kandydować przy wyborach chcę kupić folwark. Otrzymałbym gotówkę, ulotniłbym się.

— Proszę, proszę, może to i niezła myśl!

— Mój drogi, jadaj u mnie i słuchaj moich rad, a nie wyjdiesz na tym źle ani pod względem duchowym, ani fizycznym.

— Ale dlaczego ty sam nie miałbyś się zastosować do tej rady? Nie wzięłybyś tak ode mnie pieniędzy za pół roku, albo i za rok, i nie ulotniłbyś się do Brukseli? Wyglądałbyś wtedy nie na byłego piekarza, ale na świeżego bankruta, a to robi dobre wrażenie.

— Czyś ty zwariował? Wyjeżdżać mając tysiąc dwieście franków w kieszeni?

— E, jakież ty się robisz wymagający. Dwa miesiące temu umierałeś z głodu.

— Kto je, ten nabiera apetytu — odpowiedział Caderousse ukazując zęby, jak śmiejąca się małpa, albo jak tygrys, gdy mruczy. — Toteż — dodał, odgryzając olbrzymi kęs chleba owymi zębami, jakże mimo niemłodego wieku właściciela białymi i ostrymi — ułożyłem plan.

Plany Caderousse'a przerażały Andreę jeszcze bardziej niżli jego pomysły. Pomysł bowiem jest jedynie zarodzią. Plan jest już realizacją.

— Zobaczmyż ten plan — rzekł Andrea. — Śliczny on być musi!

— A dlaczego by nie? A któż obmyślił plan, dzięki któremu opuściliśmy pewien pensjonacik? O ile wiem, to ja. Nie był chyba najgorszy, skoro tu jesteśmy.

— No tak, masz i ty swoje zalety. Ale cóż to za plan?

— Czy mógłbyś nie wydając ani grosza sprokurować mi tak z piętnaście tysięcy franków?... Nie, to za mało; skoro mam zostać porządnym człowiekiem, będę potrzebował przynajmniej trzydziestu tysięcy.

— Nie — odparł sucho Andrea — nie mogę.

— Zdaje się, żeś nie zrozumiał, o co mi chodzi — odrzekł zimno Caderousse. — Powiedziałem ci: nie wydając ani grosza.

— Chyba nie chcesz, żebym kradł. Tym sposobem cały nasz interes wzięłyby w łeb, a my byśmy wrócili tam, dokąd wracać nie chcemy.

— Mnie tam wszystko jedno, niech mnie złapią. Taki już jestem dziwak, że czasem tęsknię za kolegami; nie tak jak ty, który nigdy już nie chciałbyś się z nimi zobaczyć!

Tym razem Andrea już nie zadrżał, ale pobladł.

— E, nie pleć głupstw — rzekł.

— Możesz być spokojny, mój mały Benedetto. Wskaż mi tylko, jak mógłbym zdobyć trzydzieści tysięcy franków i to w taki sposób, abyś nie miał z tym nic wspólnego. Doradź, a będę działał na własną rękę.

— Hm... zobaczę, zastanowię się.

— Ale w tym miesiącu dasz mi pięćset franków, prawda? Ubrdałem sobie, żeby wziąć służącą.

— Dobrze, ale niełatwo mi to przyjdzie, mój drogi... Nadużywasz...

— E, nie gadałbyś. Czerpiesz przecież z worów bez dna.

Zdawałoby się, że Andrea czekał na tę odpowiedź. W oku jego bowiem pojawił się błysk i zgasł od razu.

— Bo i prawda — odparł — że mam wymarzonego opiekuna.

— O, to kochany człowiek. Ileż on ci daje na miesiąc?...

— Pięć tysięcy.

— Tyle tysięcy, ile ty dałeś mi setek. To prawda, że tylko bękart ma szczęście. Pięć tysięcy na miesiąc!... I cóż ty, u diabła, z tym robisz?

— E, rozchodzi się w mig. Toteż jak i ty, chciałbym się postarać o kapitał.

— Kapitał... no pewno... każdy chciałby mieć kapitał.

— Ale widzisz, ja go miał będę.

— Jakim cudem? Od twojego księcia?

— Tak, tylko, na nieszczęście, muszę zaczekać.

— Na co zaczekać?

— Na jego śmierć.

— Na śmierć twojego księcia?

— Tak.

— Dlaczego?

— Bo zapisał mi coś w testamencie.

— Naprawdę?

— Słowo honoru.

— Ile?

— Tak z pół miliona.

— Tylko tyle! Piękna sumka.

— Mówię ci.

— E, to niemożliwe.

— Słuchaj, jesteś moim przyjacielem?

— Co za pytanie! Do grobowej deski!

— No to zawierzę ci tajemnicę.

— Gadaj.

— Tylko, że...

— Wiadomo, będę milczał jak ryba.

— Ja myślę... Andrea rozejrzał się.

— Nic się nie bój... Jesteśmy sami.

— Zdaje się, że odnalazł ojca.

— Twojego prawdziwego ojca?

— Tak.

— Ale to chyba nie Cavalcanti?

— Nie, Cavalcanti wyjechał. Odnalazłem prawdziwego ojca, jak powiadasz.

— I cóż to za jeden?

— Hrabia Monte Christo.

— Niemożliwe!

— Tak. Rozumiesz, teraz wszystko jasne. Nie może przyznać się do tego oficjalnie, ale podstawił pana Cavalcanti i płaci mu za to pięćdziesiąt tysięcy rocznie.

— Pięćdziesiąt tysięcy za to, żeby być twoim ojcem! Ależ ja zgodziłbym się za pół ceny, za dwadzieścia, a nawet za piętnaście tysięcy. Czemuś nie pomyślał o mnie, niewdzięczniku?

— A czy ja o tym wiedziałem? Wszystko to się stało, kiedy byliśmy tam.

— A prawda! I powiadasz, że w testamencie?...

— Zapisuje mi pół miliona.

— Jesteś pewien?

— Pokazał mi testament. Ale to jeszcze nie wszystko.

— Jest kodycył?

— Prawdopodobnie.

— A w tym kodycyłu?

— Uznaje mnie za syna.

— Pocziwe, zacne ojczyso! Najuczciwszy człowiek pod słońcem! — wołał Caderousse wywijając talerzem.

— No i czy powiesz jeszcze, że mam przed tobą sekrety?

— Nie, i to zaufanie przynosi ci zaszczyt. I ten twój książę-ojciec to krezus, tak?

— Ja myślę. Sam nawet nie wie, ile ma.

— Czy to możliwe?

— Do licha, przecież mam oczy i bywam tam, kiedy zechcę. Kiedyś woźny z banku przyniósł mu pół miliona w pugilaresie takim grubym, że aż pękał; wczoraj bankier przywiózł mu pół miliona franków w złocie.

Caderousse był oszołomiony.

Wydało mu się, że słowa Andrei dźwięczą niby metal, słyszał jak dzwonią kaskady dukatów.

— I ty masz wstęp do tego domu? — spytał naiwnie.

— Bywam tam, kiedy mi się spodoba.

Caderousse zadumał się na chwilę. Widać przetrwał jakąś chytrą myśl. Po czym ozwał się nagle:

— O, jakże ja bym chciał zobaczyć to wszystko! Jakież to musi być piękne!

— Trudno zaprzeczyć, wspaniałe — zgodził się Andrea.

— A nie mieszka on na Polach Elizejskich?

— Tak. Pod trzydziestym.

— Aha! Pod trzydziestym.

— Tak. Piękny dom, na uboczu, w ogrodzie. Tyleś widział.

— Owszem. Ale nie obchodzi mnie wygląd zewnętrzny. Ciekawi mnie wnętrze. Piękne tam meble, co?

— Byłeś kiedy w Tuileriach?

— Nie.

— No to u hrabiego jeszcze piękniej niż w Tuileriach.

— Przyjemnie się schylić, kiedy ten zacny pan Monte Christo upuści sakiewkę, prawda?

— E, nie warto wyczekiwać na taki moment. Pieniądze poniewierają się w tym domu jak owoce w sadzie.

— Słuchaj, a nie wzięłbyś mnie tam kiedy?

— Zastanów się! Z jakiej racji?

— Słuszna uwaga, ale zrobiłeś mi oskome; muszę to wszystko zobaczyć i znaleźć sposób.

— Wybij to sobie z głowy!

— Pójdę tam i zapytam, czy nie trzeba im frotera.

— Nie. Wszędzie dywany.

— A niech to diabli! W takim razie zadowolę się własną wyobraźnią.

— Tak będzie najlepiej, wierz mi.

— Opowiedz mi chociaż dokładnie, jak tam jest.

— Ale o co ci idzie?

— O rzeczy najprostsze. Duże to mieszkanie?

— Nie za duże i nie za małe.

— Ale jaki rozkład?

— Daj kawałek papieru, pióro i atrament, to narysuję ci plan.

— Masz, masz! — zawołał Caderousse.

I wyjął ze starego kantorka ćwiartkę papieru, kałamarz i pióro.

— Narysuj mi to wszystko, syneczku — rzekł.

Na ustach Andrei zaigrał leciutki uśmieszek. Wziął pióro i zaczął rysować.

— Dom, jak ci powiedziałem, stoi w ogrodzie. Ale z frontu jest dziedziniec. Tak to wygląda.

I Andrea naszkicował plan ogrodu, dziedzińca i domu.

— Mury wysokie?

— Nie wyższe niż na dziesięć łokci.

— Co za nieostrożność! — zgorszył się Caderousse.

— Na dziedzińcu skrzynki z drzewkami pomarańczowymi, trawniki, klomby.

— A nie ma tam paści na wilki?

— Nie.

— Gdzie stajnie?

— Po obu stronach bramy, o tu. I Andrea rysował dalej.

— Ciekaw jestem parteru — oznajmił Caderousse.

— Na parterze jadalnia... dwa salony... sala bilardowa... westybul... a z niego schody... tu paradne... a tu dla służby.

— A okna?

— Wspaniałe! Piękne i takie szerokie, że człowiek, zaręczam ci, człowiek wysoki, przejdzie z łatwością, usunąwszy jedną szybę.

— Po cóż, u diabła, takie wspaniałe okna?

— Nie słyszałeś o zbytku?

— A okiennice?

— Są, ale nikt nigdy ich nie zamyka. Hrabia Monte Christo to oryginał: lubi spoglądać w niebo, nawet nocą.

— A gdzie sypia służba?

— W osobnym domku. Ale wyobraź sobie, tu, w tym pięknym budyneczku, przypominającym wozownię, na prawo od wejścia, trzymają drabiny. Na piętrze są pokoje dla służby; w każdym pokoju dzwonek. Dzwonki te łączą się z dzwonekami pałacu.

— A niech to diabli! Są dzwonki!

— Co takiego?

— E, nic. Tak sobie pomyślałem, że założenie tych dzwonek musiałoby kosztować słono; i na cóż im one?

— Dawniej był pies. Pilnował nocą podwórza, ale teraz zawieźli go do Auteuil. Znasz przecie ten dom.

— Tak.

— A ja mówiłem, i to nawet wczoraj: „To nieostrożnie ze strony pana hrabiego, bo do Auteuil zabiera pan służbę, i dom zostaje bez opieki”. „No to co?” — zapytał. „Bo jeszcze któregoś dnia okradną pana”.

— A on co na to?

— Pytasz, co odpowiedział?

— Tak.

— Że choćby go nawet okradli, to cóż mu to szkodzi.

— A nie ma tam jakiego kantorka z mechanizmem?

— Nie rozumiem, o co ci chodzi?

— Jest w takim kantorku pułapka, która przytrzymuje złodzieja za rękę, a tymczasem pozytywka zaczyna grać. Widziałem to na ostatniej wystawie.

— Stoi tam zwyczajny kantorek mahoniowy, a i klucz jest zawsze na wierzchu.

— I nie okradają hrabiego?

— Nie. Służba jest mu oddana całą duszą.

— Chyba są w tym kantorku pieniądze, co?

— Możliwe... ale nie wiem właściwie, co tam jest.

— A gdzie ten kantorek?

— Na pierwszym piętrze.

— Narysujesz mi, kochanku, plan pierwszego piętra, jakieś narysował plan parteru?

— Nic łatwiejszego.

I Andrea wziął pióro.

— Na pierwszym... o, widzisz... tu przedpokój... tu salon... a na prawo od salonu biblioteka... i gabinet. Na lewo od salonu sypialnia... i gotowalnia. W gotowalni stoi ów znakomity kantorek.

— A jak z oknem gotowalni?

— Są dwa: tu... i tu.

I Andrea narysował dwa okna. Gotowalnia, mieszcząca się w rogu, stanowiła na planie prostokąt mniejszy, przyległy do prostokąta większego — sypialni. Caderousse rozmarzył się. —A często oni wyjeżdżają do Auteuil? — zapytał.

— Dwa albo i trzy razy na tydzień; jutro na przykład hrabia spędzi tam cały dzień i zanočuje.

— Jesteś pewien?

— Zaprosił mnie do Auteuil na obiad.

— A niech go! To mu się żyje! Dom w mieście, dom na wsi!

— A widzisz, co to znaczy być bogatym.

— Pojedziesz na ten obiad?

— Może.

— A kiedy tam jesteś na obiedzie, zostajesz i na noc?

— Jeśli mi się tylko spodoba. Jestem u hrabiego jak u siebie w domu. Caderousse przeszył młodzieńca wzrokiem, jak gdyby chciał wydrzeć mu prawdę utajoną na dnie serca. Lecz Andrea dobył z kieszeni pudełko cygar, wybrał hawanę, zapalił spokojnie i jął z miną wytrawnego palacza puszczać kłęby dymu.

— Kiedy chciałbyś otrzymać te pięćset franków? — zapytał.

— Zaraz, jeśli masz je przy sobie.

Andrea wyciągnął z kieszeni dwadzieścia pięć ludwików.

— Złoto? — powiedział Caderousse. — O, nie, ślicznie dziękuję!

— Cóż to? Gardzisz złotem?

— Przeciwnie, szacuję je wysoko, ale go nie chcę.

— Toś głupi. Zmieniwszy je, zarobisz, po pięć sous na sztuce.

— A właśnie. Pójdę do kantoru wymiany, po czym jego właściciel każe śledzić miłego pana Caderousse. Wsadzą mnie do ula i będę musiał wyśpiewać, co to za dzierżawcy płacą mi złotem. Nie, synku, bez kawałów. Dawaj srebrniaki z wizerunkiem monarchy. Pięciofrankówki każdy mieć może.

— Rozumiesz przecie, że nie mam przy sobie stu pięciofrankówek. Musiałbym wziąć tragarza.

— No to zostawisz mi pieniądze u portiera. Miły człowiek. Wstąpię po nie.

— Dziś?

— Nie, jutro. Dziś nie mam czasu.

— Niech będzie jutro. Zostawię ci gotówkę, wyjeżdżając do Auteuil.

— A nie zawiedziesz mnie?

— Ależ skąd!

— Bo chciałbym dziś nająć służącą, rozumiesz?

— Najmij. Ale i na tym koniec, nie będziesz już mi się naprzykrzał, prawda?

— Oczywiście!

Caderousse zachmurzył się tak bardzo, iż Andrea zląkł się, co jeszcze wyniknie z owej odmiany. Udając tedy, że nic nie spostrzegł, poweselał jeszcze bardziej i jął okazywać coraz większą bez troskę.

— Cóżżeś taki wesolutki? — zagadnął Caderousse. — Myślałby kto, żeś już wziął tę swoją schedę.

— W tym sęk, że jeszcze nie... Ale kiedy będę miał ją w ręku...

— To co wtedy?

— To, że będę pamiętał o przyjaciółach. Nie powiem ci więcej.

— No tak! Masz przecie wyborną pamięć.

— Co ty mówisz? A ja myślałem, że zechcesz na mnie nałożyć okup.

— E, gadanie. Chcę ci dać tylko przyjacielską radę.

— Jakąż to?

— Żebyś zostawił tutaj ten diament, który masz na palcu. Chcesz, żeby nas złapali? Chcesz, żebyśmy obaj wpadli przez takie głupstwo?

— O co ci chodzi?

— Kłudziesz liberię, przebierasz się za lokaja i zostawiasz na palcu diament wart do pięciu tysięcy franków?

— Do diabła. Nie pomyliłeś się. Powinieneś być taksatorem.

— E, znam się tylko na diamentach; miałem kiedyś jedną sztukę.

— Chwal się, chwal!... — i Andrea zamiast rozżłościć się o nowy szantaż, czego lękał się Caderousse, podał mu uprzejmie pierścionek.

Caderousse przyjrzał się diamentowi tak uważnie, iż Andrea domyślił się od razu, że bada, czy kanty szlifu zachowały powinna ostrość.

— Fałszywy —oznajmił Caderousse.

— E, nie żartowałbyś!

— No, nie gniewaj się, możemy sprawdzić.

Caderousse podszedł do okna i pociągnął diamentem po szybie.

Szkoło zazgrzytało.

— Przyszaję — powiedział Caderousse, wkładając pierścionek na mały palec. — Omyliłem się. Ale ci złodzieje jubilerzy tak świetnie taraz fałszują klejnoty, że nie warto ich okradać. Jeszcze jedna sparaliżowana gałąź przemysłu.

— A zatem — spytał Andrea — czy to już wszystko, czy chciałbyś czegoś więcej? Może podoba ci się moja kurtka? A może kaszkiet? No, nie krępujże się.

— Nie. Jestem w gruncie rzeczy dobrym kolegą. Nie będę zatrzymywał cię dłużej i postaram się wyleczyć ze swoich ambicji.

— Pamiętaj tylko, że gdybyś popróbowwał sprzedać diament, mogłoby cię spotkać to samo, co przy wymianie złota.

— Nie sprzedam, bądź spokojny.

Będę spokojny, ale chyba dopiero pojutrze, pomyślał młodzieniec.

— Masz, nicponiu, szczęście! — ozwał się Caderousse. — Wracasz do swojej służby, koni, karety, narzeczonej.

— Ano tak.

— Spodziewam się, że dasz mi ładny prezent ślubny w tym dniu, kiedy poprowadzisz do ołtarza córkę mojego przyjaciela Danglarsa, co?

— Mówiłem ci, żeś to sobie ubrdał, i basta.

— Ile posagu?

— Zrozum wreszcie...

— Milionik?

Andrea wzruszył ramionami.

— Niech będzie milionik. I tak nigdy nie nastarczysz na moje potrzeby — oświadczył Caderousse.

— Miła perspektywa.

— E, nie złościłbyś się — powiedział Caderousse i wybuchnął rubasznym śmiechem. — Zaczekaj, wyprowadzę cię.

— Możesz się nie fatygować.

— Muszę.

— Czemuż to?

— Bo przy drzwiach jest taki sobie sekrecik. Uważałem za stosowne zabezpieczyć je dobrze. Zamek firmy Huret i Fichet, udoskonalony przez Kacpra Caderousse. Zmajstruję ci podobny, kiedy zostaniesz kapitalistą.

— Dziękuję, zawiadomię cię na tydzień wcześniej. Rozstali się.

Caderousse odczekał na schodach, póki Andrea nie zniknął za bramą. Wtedy wrócił czym prędzej, zamknął starannie drzwi i niczym wytrawny architekt jął studiować plan, który narysował był Andrea.

— Kochany Benedetto — rzekł do siebie — nie obrazisz się chyba, jeśli otrzymasz krociowy spadek tego zaś, kto przyspieszy tę chwilę, nie nazwiesz najgorszym spomiędzy przyjaciół.

7. WŁAMANIE

Następnego dnia po przytoczonej rozmowie hrabia de Monte Christo wyjechał do Auteuil, zabierając Alego i kilkoro służby. Zabrał też i konie, które chciał wypróbować.

Co innego jednak było przyczyną wyprawy — przyczyną, której nie znał w przeddzień hrabia ani tym bardziej Andrea: Bertuccio wrócił z Normandii i miał zdać raport o domu, który nabył, i o korwecie.

Dom był gotów na przyjęcie gospodarza, a korweta, której załoga składała się z sześciu ludzi, stała już od tygodnia na kotwicy w maleńkiej zatoczce. Dopełniono wszelkich formalności, statek więc gotów był do drogi.

Hrabia, pochwaliwszy gorliwego Bertuccia, zalecił mu, by przygotował wszystko do podróży — mieli najwyżej miesiąc jeszcze zabawić we Francji.

— Kto wie — rzekł — czy nie będę musiał którejs nocy wyruszyć do Treport. W ośmiu miejscach mają czekać na drodze konie rozstawne. Dzięki temu przebędę pięćdziesiąt mil w dziesięć godzin.

— Ekscelencja wyraził już kiedyś to życzenie — odparł Bertuccio — toteż konie czekają. Kupiłem je sam i rozmieściłem w punktach najdogodniejszych, to znaczy po wsiach, gdzie nikt na ogół się nie zatrzymuje.

— Dobrze. Pozostanę tu ze dwa dni, a pan ze mną.

Kiedy Bertuccio odchodził, by wydać rozkazy dotyczące owego pobytu, Baptysta przyniósł list na złoconej tacy.

— A ty tu po co? — zapytał hrabia, widząc, że kamerdyner jest okryty kurzem — nie wzywałem cię, o ile wiem.

Baptysta nic nie mówiąc podał list hrabiemu.

— Ważny i pilny — rzekł dopiero po chwili. Hrabia otworzył list i przeczytał:

Uprzedzam Pana Hrabiego, że tej nocy pewien człowiek zakradnie się do Jego domu na Polach Elizejskich, aby wykraść papiery zamknięte w kantorku stojącym w gotowalni.

Wiadomo, że Pan Hrabia de Monte Christo, człowiek odważny, nie zawiadomi policji. Gdyby bowiem zawiadomił, naraziłby autora niniejszego listu na poważne przykrości.

Pan Hrabia, zaczałszy się w drzwiach sypialni albo w gabinecie, zdoła sam wymierzyć sprawiedliwość.

Obecność nazbyt wielu ludzi spłoszyłaby złoczyńcę tak samo, jak i zbyt jawne środki ostrożności — a Pan Hrabia nie poznałby, kim jest wróg, którego przypadkiem odkrył autor tego listu. Nie zdołałbym również ostrzec powtórnie Pana Hrabiego, gdyby złoczyńca, w razie niepowodzenia, podjął następną próbę.

Hrabia, myśląc w pierwszej chwili, że to tylko złodziejski podstęp, zlekceważył sprawę: ostrzegano go przed błahym niebezpieczeństwem, aby wciągnąć w pułapkę.

Miał już więc mimo zastrzeżeń autora, a może właśnie z racji owych zastrzeżeń, posłać list komisarzowi policji, gdy nagle wpadł na pomysł, iż może czyha na niego jakiś wróg osobisty, którego on jeden rozpoznać by zdołał, a rozpoznawszy wyciągnąć korzyść. Umyślił tedy postąpić jak Fiesko, gdy nasłano nań mordercę.

Znamy hrabiego.

Nie potrzebujemy więc mówić, że człowiek ten, odważny i energiczny, stawiał zawsze czoło najgorszemu niebezpieczeństwu. Cecha to wszystkich ludzi wyjątkowych.

Życie nauczyło go decyzji. Nie cofał się przed niczym, a w walkach, jakie podejmował czasami, przeciw naturze, która jest Bogiem, i przeciwko światu mogącemu uchodzić za diabła, zaznawał tajemnych rozkoszy.

— Nie chcą mi ukraść moich papierów — rzekł do siebie — chcą mnie zabić; to nie złodzieje, ale mordercy. Nie życzę więc sobie, aby pan prefekt policji wmieszał się do moich spraw osobistych. Jestem na tyle bogaty, aby w tym względzie odciążyć jego budżet. Zawołał tedy Baptystę.

— Pojedziesz do Paryża — ozwał się — i powrócisz tu z całą służbą, jaka tam została. Jesteście mi wszyscy potrzebni w Auteuil.

— To nikt nie będzie pilnował domu, panie hrabio? — zaniepokoił się Baptysta.

— Będzie pilnował odźwierny.

— Ale niech pan hrabia raczy się zastanowić, że z odźwierni do pałacu jest daleko.

— No to co?

— Będą mogli wynieść wszystko z domu, a odźwierny nic nie usłyszy.

— Kto miałby co wynieść?

— Złodzieje.

— Dureń z ciebie, mości Baptysto. Pamiętaj, że wolę, aby okradziono mnie do szczętu, niż aby spełniono źle jakkolwiek mój rozkaz.

Baptysta skłonił się.

— A więc przywieź tu wszystkich swoich kolegów na kuchciku skończywszy, ale w domu musi wszystko pozostać bez zmian, zamkniesz tylko okiennice na parterze.

— A na pierwszym piętrze?

— Wiadomo ci, że nigdy ich nie każę zamykać. Możesz odejść.

Ponadto zapowiedział, że zje obiad u siebie i że ma usługiwać mu jedynie Ali.

Zjadł więc obiad spokojnie i ze zwykłą sobie wstrzemięźliwością, po czym dał znak Alemu, żeby z nim poszedł. Skierował się ku furtce, podążył krokiem spacerowicza do Lasku Bulońskiego, a stamtąd, nie spiesząc się, do Paryża. O zmroku stanął naprzeciw domu, na Polach Elizejskich.

Ciemno tam było we wszystkich oknach.

Jedynie w odźwierni, odległej o czterdzieści kroków od pałacu, paliło się niktłe światelko.

Monte Christo oparł się o drzewo i okiem swoim, prawie nieomylnym, jał lustrować ciemną aleję, przechodniów i sąsiednie ulice, wypatrując, czy ktoś się nie czai?

Po dziesięciu minutach przekonał się, że nikt go nie śledzi.

Przemknął się z Alim przez furtkę i służbowymi schodami, od których miał klucz, dostał się do sypialni. W żadnym z okien nie poruszył firanki — toteż odźwierny domyślić się nie mógł, że gospodarz powrócił.

Pozostawiwszy Alego w sypialni, wszedł do alkowy i rozejrzał się bacznie.

Nie dostrzegł tu żadnych zmian. Szacowny kantorek stał na swoim miejscu, klucz tkwił w zamku.

Zamknął kantorek na dwa spusty, zabrał klucz, otworzył drzwi od sypialni, zamknięte dotąd na podwójny rygielek, i wrócił.

Ali tymczasem ułożył na stole broń, którą kazał mu przynieść hrabia. Krótki karabinek i dwie pary pistoletów o podwójnych lufach, pistoletów niezawodnych, jak pistolety pojedynkowe.

Uzbrojony w ten sposób, miał w ręce życie pięciu ludzi.

Było mniej więcej wpół do dziesiątej.

Hrabia i Ali zjedli spiesznie po kawałku chleba i popili go winem hiszpańskim. Następnie Monte Christo kazał rozchylić zsuwane drzwi, dzięki czemu mógł obserwować oba pokoje.

Miał pod ręką pistolety i karabinek, Ali zaś dzierżył arabską siekierkę. Broń ta nie zmieniła kształtu od czasu wypraw krzyżowych.

Przez jedno z okien sypialni hrabia mógł obserwować ulicę.

Minęły tak dwie godziny.

Zaległa najgłębsza ciemność — lecz Ali i hrabia widzieli wszystko — dostrzegali najdrobniejsze poruszenia gałązek drzew na dziedzińcu. Ali miał bowiem wzrok dzikiego, a hrabia wyrobił w sobie zdolność widzenia nocą.

Światelko w odźwierni zgasło już dawno.

Należało się spodziewać, iż napastnicy — jeśli w ogóle napad miał się odbyć wedrą się schodami, a nie przez okno.

Monte Christo przypuszczał, że bandyci dybią na jego życie, a nie na pieniądze.

Będą tedy starali się dostać do sypialni albo schodami dla służby, albo oknem gabinetu.

Kazał Alemu czuwać u drzwi wiodących na schody, a sam pilnował gabinetu.

Zegar Inwalidów wydzwonił kwadrans po jedenastej.

Wiatr zachodni przyniósł na swej wilgotnej fali trzy ponure dźwięki.

Kiedy milkło ostatnie uderzenie, hrabiemu wydało się, że słyszy nie opodal gabinetu jakiś szmer.

Było to raczej zgrzytnięcie — nastąpiło po nim drugie, a po chwili trzecie.

Przy czwartym hrabia wiedział już, co sądzić o tym.

Ręka silna i wprawna wykrawała szybę diamentem.

Serce hrabiego zabiło mocniej.

Najbardziej zahartowani w niebezpieczeństwie doznają, choćby nawet byli o nim uwiadomieni, owego skurczu serca i owego drżenia, które przenika im całe ciało. Dowód, jak wielka różnica istnieje między tworem wyobraźni a rzeczywistością, między projektem a jego wykonaniem.

A jednak uprzedził Alego tylko skinieniem ręki.

Ali, wiedząc, że niebezpieczeństwo nadciąga od strony gabinetu, zbliżył się o krok do swojego pana.

Monte Christa paliła ciekawość, kim są wrogowie i ilu ich się pojawi.

Okno, którego szybę wykrawano, znajdowało się naprzeciw rozsuniętych drzwi. Hrabia tedy mógł ogarnąć okiem gabinet.

Nie odrywał wzroku od owego okna.

W ciemności zamajaczyła czyjaś sylwetka.

Następnie jedna z szyb pociemniała całkiem, jakby ktoś zakleił ją papierem, trzasnęła, lecz nie wypadła.

Otworem wsunęła się ręka, szukając klamki.

Po chwili okno obróciło się na zawiasach — nieznajomy wszedł.

Był sam.

— Zuchwały łotr! — szepnął do siebie hrabia.

W tymże momencie Ali dotknął jego ramienia.

Hrabia obejrzał się.

Ali wskazywał mu okno wychodzące na ulicę.

Hrabia znał niezmiernie czuły wzrok i słuch wiernego sługi.

Na ulicy ktoś odsunął się od bramy, wszedł na kamienny słupek i usiłował jakby zobaczyć, co się dzieje u hrabiego.

Aha! Jest ich dwóch, pomyślał Monte Christo, jeden działa, a drugi pilnuje.

Dał znak Alemu, aby nie spuszczał z oka złodzieja pilnującego, sam zaś jął obserwować złodzieja, który zakradł się do domu.

Włamywacz posuwał się naprzód po omacku.

Wydawało się po chwili, że zorientował się już w sytuacji.

W gabinecie było dwoje drzwi — zamknął na zasuwkę jedno i drugie.

Kiedy zbliżał się do drzwi sypialni, Monte Christo, sądząc, iż złodziej tam wejdzie, przygotował oba pistolety; ale usłyszał tylko szcęk zasuwek.

Złodziej był ostrożny — ot i wszystko.

Nocny gość, nie wiedząc, iż Monte Christo kazał Alemu usunąć metalowe klamry, w które wchodzi zasuwka, czuł się jak u siebie w domu i uważał, iż może operować bezpiecznie.

Samotny, pewien własnego bezpieczeństwa, dobył z kieszeni jakiś przedmiot, położył go na stoliku, podszedł do kantorka i namacał zamek — ale wbrew oczekiwaniu, klucza nie znalazł.

Włamywacz był jednak człkiem przezornym — przewidział wszystko.

Hrabia usłyszał po chwili jakiś brzęk. To dzwoniły wytrychy.

E, pomyślał Monte Christo i uśmiech rozczarowania przemknął mu po wargach, to tylko złodziej.

Ale że było ciemno, złodziej nie mógł znaleźć odpowiedniego wytrycha.

Wrócił tedy po przedmiot, który zostawił na stoliku.

Nacisnął sprężynę — i zaraz światło, blade, lecz dość jasne, padło złotawym odbłaskiem na twarz i ręce złodzieja.

— No, no... — wyszeptał Monte Christo, cofając się w zdumieniu — przecież to...

Ali uniósł siekierkę.

— Nie ruszaj się — szepnął Monte Christo — odłóż siekierkę, nie będziemy potrzebować broni.

I dodał jeszcze parę słów, bardziej zniżywszy głos, albowiem gdy zdumiony szepnął po raz pierwszy, złodziej zadrżał i zastygł w pozie antycznego szlifierza.

Był to jakiś rozkaz, gdyż Ali odszedł na palcach i po chwili przyniósł z alkowy sutannę i trójgraniasty kapelusz.

Hrabia tymczasem zdjął szybko surdut, kamizelkę i koszulę. W promieniu światła, co sączyło się szparą, błysnęła teraz na piersi Monte Christa cieniutka koszulka stalowa. Ostatnią taką koszulkę nosił w owej Francji, gdzie nikt już dziś nie obawia się sztyletu, Ludwik XVI — choć i tak nie zabił go cios żelaza wymierzony w pierś, ale nóż gilotyny.

Koszulka znikła pod sutanną, a włosy hrabiego pod peruką, na której była tonsura.

Wreszcie trójgraniasty kapelusz odmienił hrabiego w księdza.

Złodziej, nie podejrzewając nic złego, wstał, kiedy przebierał się hrabia, i podszedł do kantorka. Wytrych zazgrzytał w zamku.

Doskonale, pomyślał hrabia, ufając snadź zamkowi opatrzonemu jakimś sekretem, którego nie przeniknąłby najzręczniejszy włamywacz, doskonale, masz roboty na parę minut.

I podszedł do okna.

Drugie indywiduum przechadzało się teraz po ulicy. Ale rzecz szczególna, człowiek ów nie troskał się, iż mógłby ktoś nadejść, a tylko wciąż spoglądał w okna gabinetu, głowiąc się jakby, co się za nimi dzieje.

Monte Christo stuknął się nagle w czoło i uśmiech zaigrał mu na wargach.

Podszedł do Alego.

— Zostań tu — szepnął — i nie ruszaj się, cokolwiek by zaszło — chyba że cię zawołam.

Ali skinął głową na znak posłuszeństwa.

Wtedy Monte Christo dobył z szafy świecę i w momencie, gdy złodziej biedził się nad zamkiem, otworzył cicho drzwi, światło świecy przysłonił zaś w taki sposób, aby padło mu na twarz.

Drzwi nie skrzyknęły nawet.

Złodziej zdumiał się więc, gdy w pokoju błysnęło światło.

Obejrzał się.

— A, dobry wieczór, drogi panie Caderousse — ozwał się Monte Christo. — Cóż to, u diabła, robisz pan tutaj o tak późnej porze?

— Ksiądz Busoni! — zawołał Caderousse.

I nie pojmując, skąd się wzięło to zjawisko — pozamykał był bowiem na rygielki wszystkie drzwi — tak osłupiał, iż upuścił pęk wytrychów.

Hrabia stanął nie opodal okna, odcinając złodziejowi drogę ucieczki. .

— Ksiądz Busoni! — powtórzył Caderousse wytrzeszczając oczy.

— A tak, ksiądz Busoni we własnej osobie. Bardzom kontent, że poznałeś mnie, mój drogi panie Caderousse. Dowód to, że masz dobrą pamięć, bo jeśli się nie mylę, widzieliśmy się ostatnio prawie przed dziesięciu laty.

Ten spokój, ironia i pewność siebie tak oszołomiły Caderousse'a, iż o mało nie dostał zawrotu głowy.

— Ksiądz! ksiądz! — wybełkotał, zaciskając pięści i dzwoniąc zębami.

— Chcieliśmy okraść hrabiego Monte Christo, czy tak? — zagadnął rzekomy ksiądz.

— Proszę księdza dobrodzieja... — mamrotał Caderousse usiłując zbliżyć się do okna, które ksiądz zagradzał mu bez litości — ja sam nie wiem... — niech mi ksiądz uwierzy... przysięgam...

— Wycięta szyba, ślepa latarka, pęk wytrychów, zamek kantorka na pół wyłamany — to chyba nie budzi żadnych wątpliwości.

Caderousse nie mógł złapać tchu, rad byłby się schować w mysią dziurę.

— Widzę, że nic się nie zmieniłeś, mój panie morderco — powiedział hrabia.

— Proszę księdza, skoro ksiądz wszystko wie, to i wie, żem nie ja to zrobił, ale Karkontka. Dowiodłem tego na procesie, boć skazano mnie tylko na galery.

— Aha. Odsiedziałeś więc już karę, skoro spotykam cię przy robocie, która znów pana tam zaprowadzi.

— Nie, proszę księdza, był taki, co mnie oswobodził.

— No to wyświadczył społeczeństwu śliczną przysługę.

— Ach — westchnął Caderousse. — Obiecałem solennie...

— A więc drapnąłeś pan po prostu...

— Ano cóż, tak — potwierdził Caderousse mocno zaniepokojony.

— Paskudna recydywa... Jeśli się nie mylę, zaprowadzi cię ona na plac Greve. Tym gorzej, tym gorzej, diavolo —jak powiadają moi wykwinni rodacy.

— Proszę księdza, dałem się wciągnąć.

— Tak mówią wszyscy przestępcy.

— Bieda...

— Nie zwracaj pan głowy — powiedział wzgardliwie Busoni — bieda doprowadza człowieka do tego, że prosi o jałmużnę albo że skradnie piekarzowi bochenek chleba; ale dobierać się do kantorka w domu na pozór pustym — to rzecz inna. A kiedy jubiler Joannes wypłacił panu czterdzieści pięć tysięcy franków za diament, który ci darowałem, czyś zamordował jubilera dlatego, żeby mieć i diament, i pieniądze, czy z biedy?

— Najmocniej księdza dobrodzieja przepraszam, ocalił mnie ksiądz już raz, to niech ksiądz ocali i drugi.

— Nie mam specjalnej ochoty.

— Gzy ksiądz dobrodziej jest sam? — zapytał Caderousse składając ręce. — A jeśli nie, to czy są tam żandarmi gotowi mnie pojmać?

— Jestem sam. Ulituję się nad tobą i pozwolę ci odejść — choć moja pobłażliwość sprowadzić może nowe nieszczęście —jeśli powiesz mi całą prawdę.

— O, proszę księdza dobrodzieja! — zawołał Caderousse i złożony ręce zbliżył się znów o krok do Monte Christa — mogę śmiało powiedzieć, że jest ksiądz moim zbawcą.

— Utrzymujesz więc, że ktoś cię wyciągnął z więzienia, tak? — Jakem Caderousse, proszę księdza!

— Któż to był?

— Pewien Anglik.

— Jak się nazywał?

— Lord Wilmore.

— Znam go; dowiem się więc, czy nie kłamiesz.

— Proszę księdza dobrodzieja, mówię szczerą prawdę.

— A więc ten Anglik zaopiekował się tobą, tak?

— Nie mną, ale młodym Korsykaninem, z którym byłem skuty.

— Jak się ten Korsykanin nazywał?

— Benedetto.

— Przecież to imię!

— Bo on nie ma nazwiska, to najduch.

— A więc ten młodzieniec uciekł z tobą?

— Tak.

— W jaki sposób?

— Pracowaliśmy w Saint-Mandrier pod Tulonem. Zna ksiądz Saint-Mandrier?

— Znam.

— O wpół do pierwszej w południe, kiedy wszyscy spali...

— Galernicy odbywają sjęstę? E, nie ma was co żałować, moje zuchy!

— Nie mogliśmy wciąż pracować, nie jesteśmy psami.

— Wielkie to szczęście dla psów.

— Kiedy więc koledzy drzemali, oddaliśmy się trochę, przepiłowaliśmy łańcuchy, bo Anglik dostarczył nam pilnika, i uciekliśmy wpław.

— I co się stało z Benedetto?

— Nie mam pojęcia.

— Ale powinienesz wiedzieć.

— Naprawdę, nie wiem. Rozstaliśmy się w Hyères.

I aby przydać temu zapewnieniu więcej wagi, Caderousse postąpił znowu krok w stronę księdza. Ksiądz stał spokojnie na tym samym miejscu i jakby zamierzał pytać dalej.

— Kłamiesz! — powiedział ze stanowczością, której niepodobna było się oprzeć.

— Proszę księdza!...

— Kłamiesz! Przyjaźnisz się nadal z Benedettem i kto wie, czy nie posługujesz się nim jako wspólnikiem!

— Ależ proszę księdza!

— Jak żyłeś opuściwszy Tulon? Odpowiadaj.

— Jak się dało.

— Kłamiesz! — powtórzył ksiądz po raz trzeci i z jeszcze większym naciskiem. Caderousse spojrzał nań przerażony.

— Żył z pieniędzy, które ci dał.

— No tak, to prawda — zgodził się Caderousse. — Benedetto okazał się synem wielkiego pana.

— Co takiego? Synem wielkiego pana?

— Tak, synem naturalnym.

— A któż to taki ten wielki pan?

— Hrabia de Monte Christo, właściciel tego domu.

— Benedetto synem naturalnym hrabiego?... — zdziwił się Monte Christo.

— Nie inaczej, skoro hrabia wynalazł mu rzekomego ojca, daje mu cztery tysiące franków miesięcznie, a w testamencie zapisuje mu pół miliona.

— No, no, no! — zawołał domniemany ksiądz, zaczynał już bowiem pojmować. — A tymczasem jakże się ów młodzieniec nazywa?

— Andrea Cavalcanti.

— A, więc to ten młody człowiek, którego mój przyjaciel hrabia Monte Christo przyjmuje u siebie w domu, a który ma ożenić się z panną Danglars... —

— No właśnie.

— I ty, łajdaku, możesz to ścierpieć, znając jego życie i jego łotrostwa?

— Cóż to, chciałby ksiądz, żebym podstawił koledze nogę?

— Masz rację. Nie ty ostrzeżesz pana Danglarsa, ale ja.

— O, niechże ksiądz tego nie robi!

— Dlaczego?

— Dlatego, że tym sposobem pozbawi nas ksiądz chleba.

— I ty myślisz, że pomogę waszemu szalbierstwu, żebyście mieli chleb? Wy, takie łotry.

— Proszę księdza!... — ozwał się Caderousse, podchodząc jeszcze bliżej.

— Powiem wszystko.

— Komu?

— Panu Danglarsowi.

— O, ty ścierwo! wrzasnął Caderousse i wydobywszy otwarty nóż z zanadru, ugodził księdza w pierś. — Nic już, klecho, nie powiesz.

Ale ku zdumieniu Caderousse'a nóż ześliznął się stępiony.

W tejże chwili hrabia chwycił rękę mordercy i wykręcił ją z taką siłą, że nóż wypadł mu z palców, a Caderousse krzyknął z bólu.

Nie zważając na ten krzyk, hrabia póty wykręcał rękę bandyty, aż opadła zwichnięta, a Caderousse zwał się najpierw na kolana, a potem osunął się twarzą do ziemi.

Hrabia oparł mu stopę na głowie i rzekł:

— Mógłbym, łajdaku, zmiażdżyć ci łeb i nie wiem doprawdy, co mnie wstrzymuje od tego.

— Litości! Litości — krzyczał Caderousse. Hrabia zdjął stopę z głowy zbrodniarza.

— Wstań — rzekł. Caderousse wstał.

— Do licha — rzekł — ale ksiądz dobrodziej ma rączkę. — I począł rozcierać ramię, posiniaczone od żelaznych kleszczy, które je ścisnęły. — Nie od parady ta rączka.

— Milcz! — Bóg dał mi siłę, abym ujarzmił taką dziką bestię jak ty. W imię boże działałam, zapamiętaj to, nędzniku! A jeśli oszczędzę cię teraz, to tylko dlatego, żeby służyć bożym zamiarom.

— Uf! — stęknął obolały Caderousse.
— Masz tam pióro i papier. I pisz, co podyktuję.
— Nie umiem pisać, proszę księdza.
— Kłamiesz! Bierz pióro i pisz!
Caderousse, ujarzmiony tą nadludzką potęgą, siadł i napisał:

*Człowiek, którego przyjmujesz Pan u siebie, narzeczony Pańskiej córki, jest byłym galernikiem. Uciekł razem ze mną z więzienia w Tulonie. Miał numer 59, a ja 58.
Na imię mu było Benedetto; nie zna swojego nazwiska, bo nigdy nie znał swoich rodziców.*

— Podpisz — rozkazał hrabia.
— Dlaczego ksiądz dobrodziej chce mnie zgubić?
— Gdybym chciał cię zgubić, durniu, zaciągnąłbym cię na najbliższą kordegardę. A zresztą w momencie, kiedy adresat otrzyma ten bilecik, może już nie będziesz potrzebował o nic się obawiać. Podpisuj.
Caderousse podpisał.
— Pisz adres: Jaśnie Wielmożny Pan Baron Danglars, bankier, ulica Chaussée-d'Antin.
Caderousse napisał adres. Ksiądz wziął bilet.
— A teraz już możesz odejść.
— Którędy?
— Tą drogą, którą przyszedłeś.
— Przez okno?
— Toć oknem wszedłeś.
— A czy ksiądz nie uknuł czegoś przeciwko mnie?
— Głupis. A cóż miałbym uknuć?
— To czemu ksiądz nie otworzy mi drzwi?
— A po cóż miałbym budzić odźwiernego?
— Ale czy ksiądz dobrodziej nie pragnie mojej śmierci?
— Pragnę tego, czego Bóg pragnie.
— Ale niech mi ksiądz przysięgnie, że nie ugodzi mnie ksiądz, kiedy będę zląził.
— Jesteś głupi i tchórzliwy!
— A jakie ksiądz ma wobec mnie zamiary?
— Sam się nad tym zastanawiam. Próbowałem cię uszczęśliwić, a wy kierowałem na mordercę!
— Niech ksiądz dobrodziej podejmie ostatnią próbę.
— No dobrze. Wiadomo ci, że jestem słowny, prawda?
— Tak.
— Jeśli więc wrócisz do domu zdrow i cały...
— Przecież jeśli mi cokolwiek grozi, to tylko ze strony księdza.
— Jeśli wrócisz zdrow i cały, wyjedź z Paryża i wyjedź z Francji, a gdziekolwiek byś się znalazł i zachowywał pocziwie, będę ci przysyłał pensyjkę, bo jeśli wrócisz do domu zdrow i cały, to...
— To? — zapytał drżąc Caderousse.
— To uwierzę, że Bóg ci przebaczył, a i ja ci wtedy przebaczę.
— Jakem chrześcijanin — wybełkotał Caderousse cofając się — drzę przed księdzem ze strachu!...
— No, wynoś się — powiedział hrabia wskazując okno.
Caderousse, nie dowierzając jeszcze całkiem, przełożył nogę przez parapet i postawił ją na drabinie. Zatrzymał się dygocąc.
— Złazże — powiedział ksiądz skrzyżowawszy ramiona.
Caderousse pojął, że ze strony księdza nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, i zszedł.

Hrabia, zbliżywszy się do okna ze świecą, oświetlił Caderousse'a w taki sposób, aby widać go było z ulicy.

— Co ksiądz robi? — ozwał się Caderousse. — Gdyby przechodził patrol... I zdmuchnął świecę.

Jął schodzić, ale poczuł się bezpieczny dopiero wtedy, gdy dotknął nogą ziemi.

Monte Christo, wróciwszy do sypialni, ogarnął szybkim spojrzeniem ogród i ulicę: Caderousse obszedł ogród i ustawił drabinę w rogu, aby zejść w innym miejscu.

Na ulicy człowiek jakiś pobiegł w tym kierunku, dokąd podążył Caderousse, i ukrył się za rogiem.

Caderousse wszedł wolno na drabinę i wetknął głowę za mur, by upewnić się, czy ulica jest pusta.

Nikt nie nadchodził, panowała absolutna cisza.

Na zegarze u Inwalidów wybiła pierwsza.

Caderousse siadł okrakiem na murze i przeciągnąwszy drabinę na drugą stronę, jął nie tyle schodzić, ile ześlizgiwać się po niej, a zręczność, z jaką to czynił, świadczyła, że ześlizguje się tak nie po raz pierwszy.

Ale zjeżdżając w dół, nie zdołał się już zatrzymać i zawrócić, gdy człowiek jakiś wyskoczył z ciemności. Nie zdołał też uchylić się przed czymś wzniesionym ramieniem, kiedy stopami dotykał ziemi.

Nim stanął w pozycji obronnej, czyjaś ręka ugodziła go z impetem w plecy. Wypuścił grabinę i krzyknął:

— Ratunku!

W tejże niemal chwili otrzymał drugi cios, pod żebro. Upadł wołając:

— Mordują.

I gdy runął na ziemię, przeciwnik chwycił go za włosy i trzecim ciosem przebił mu pierś.

Tym razem Caderousse zdołał już tylko jęknąć. Krew buchnęła z trzech ran.

Ponieważ już nie krzyczał, morderca chwycił go za włosy i przyjrzał się jego twarzy.

Caderousse miał oczy zamknięte i usta wykrzywione.

Morderca, sądząc, iż umarł, odepchnął głowę ofiary i znikł.

Zorientowawszy się, iż morderca się oddalił, Caderousse oparł się na łokciu i ostatkiem sił zawołał:

— Łapać mordercę! Umieram! Ratunku! Proszę księdza, ratunku! Rozpaczliwe to wołanie przebiło ciemności.

Otworzyły się drzwi, a następnie furka ogrodu i nadbiegli ze światłem Ali i jego pan.

8. PALEC BOŻY

Caderousse jęczał i zawodził bez przerwy:

— Księżę dobrodzieju! Ratunku! Ratunku!

— Co się stało? — zapytał Monte Christo.

— Ratunku! — jęknął Caderousse. — Jestem ranny!

— Już jesteśmy przy tobie! Odwagi!

— Ach! Już konam! Za późno przyszliście... Będziecie już tylko przy mojej śmierci... Straszne ciosy... Ile krwi!...

Stracił przytomność.

Ali i jego pan przenieśli rannego do sypialni.

Tutaj Monte Christo dał Alemu znak, aby rozebrał Caderousse'a: ukazały się trzy straszne rany.

— Mój Boże — powiedział Monte Christo — nie jesteś rychliwy, ale sprawiedliwy, a jeśli już dotkniesz kogoś swoją zemstą, wiem, że pochodzi ona z nieba i jest całkowita.

Ali spoglądał pytająco na pana — nie wiedział bowiem, co ma czynić dalej.

— Idź na Przedmieście Świętego Honoriusza, do pana de Villefort, prokuratora królewskiego, i sprowadź go tutaj. Po drodze obudzisz odźwiernego i pošlesz go po lekarza.

Ali wyszedł, zostawiając rannego, sam na sam z domniemanym księdzem. Caderousse wciąż był nieprzytomny.

Kiedy nieszczęśnik otworzył oczy, hrabia siedział nie opodal, przyglądając mu się z litością, a zarazem posępnie.

Wargi Monte Christa poruszały się, jak gdyby odmawiał modlitwę.

— Doktora, księżę dobrodzieju, doktora — jęknął Caderousse.

— Posłałem już po niego.

— Wiem, że nie uratuje mi życia, ale może doda mi sił, bym zdołał złożyć zeznania.

— Dotyczące czego?

— Mordercy.

— Znasz więc go?

— Jeszcze bym nie znał! To Benedetto.

— Ten młody Korsykanin?

— Tak.

— Twój towarzysz?

— Tak. Dał mi plan tego domu, spodziewając się zapewne, że sprzątnę hrabiego. Dzięki temu otrzymałby spadek. A zaczął się na mnie na ulicy, żeby mnie zabić i uwolnić się ode mnie raz na zawsze.

— Kazałem sprowadzić nie tylko lekarza, lecz i prokuratora.

— Za późno przyjdzie, za późno! Czuję, jak cała krew uchodzi ze mnie.

— Może się jakoś doczekasz — powiedział Monte Christo.

Wyszedł i wrócił po pięciu minutach, przynosząc flakonik. Umierający nie odrywał szklistego i nieruchomego wzroku od drzwi, jakby odgadywał instynktownie, że tędy nadejdzie ratunek.

— Niech się ksiądz spieszy, niech się ksiądz spieszy — bo czuję, że znów tracę przytomność.

Monte Christo wlał mu między zsiniałe wargi parę kropel płynu. Caderousse westchnął.

— O, to płyn życiodajny; jeszcze, jeszcze...

— Jeszcze dwie krople, a umarłbyś.

— O, niechże się zjawi ktoś, przed kim mógłbym oskarżyć tego łotra!

— Jeśli chcesz, zanotuję twoje zeznania, a ty je podpiszesz.

— Dobrze, dobrze... — i oczy Caderousse'a błysnęły, gdy pomyślał, że zdoła wyrzucić zemstę zza grobu.

Monte Christo napisał:

Umieram zamordowany przez Korsykanina Benedetto. Byliśmy w Tulonie, skuci jędnym łańcuchem. Benedetto miał numer 59.

— Niech się ksiądz spieszy, niech się ksiądz spieszy!... bo nie zdążę podpisać! Monte Christo podał mu pióro. Caderousse zebrał wszystkie siły, podpisał, opadł na wezgielnie i rzekł:

— A ksiądz opowie resztę: podawał się on za Andreę Cavalcantiego i mieszkał w Hotelu Książęcym... O Boże, mój Boże, umieram!

I Caderousse stracił przytomność po raz drugi.

Ksiądz zbliżył mu do nosa flakonik — ranny otworzył oczy.

Pragnienie zemsty nie opuściło go, choć stracił przytomność.

— Powie ksiądz to wszystko, prawda?

— Powiem to i wiele innych rzeczy.

— A cóż jeszcze?

— Powiem, że dał ci plan tego domu, licząc na to, że hrabia cię zabije. Powiem, że ostrzegł listownie hrabiego. Powiem, że otrzymawszy list pod nieobecność hrabiego, nie położyłem się spać i czekałem na ciebie.

— I utną mu łeb, nieprawdaż, proszę księdza? Zginie na szafocie — obiecuje mi to ksiądz? Lżej mi będzie umrzeć z taką nadzieją.

— Powiem — ciągnął hrabia — że przyszedł tu twoim śladem; że cię szpiegował; że kiedy wychodziłeś, ukrył się za węglem.

— To ksiądz wszystko widział?

— Przypomnij sobie moje słowa: jeśli wrócisz do domu zdrow i cały, uwierzę, że Bóg ci przebaczył, a wtedy i ja ci przebaczę.

— I nie ostrzegł mnie ksiądz?— zawołał Caderousse, usiłując podnieść się na łokciu. — Wiedział ksiądz, że kiedy stąd wyjdę, zostanę zabity, i nie ostrzegł mnie!

— Nie, bom poczytał Benedetta za narzędzie sprawiedliwości bożej. Gdybym sprzeciwił się zamiarom Opatrzności, popełniłbym czyn świętokradczy.

— Niech mi ksiądz nie gada o sprawiedliwości bożej! Sam ksiądz wie najlepiej, że gdyby Bóg był sprawiedliwy, tylu łotrów nie chodziłoby bezkarnie po świecie.

— Cierpliwości — powiedział ksiądz takim tonem, iż umierający zadrżał. — Cierpliwości.

Caderousse popatrzył nań ze zdziwieniem.

— A ponadto — dodał ksiądz — Bóg jest miłosierny i wyjątków nie czyni. Tak i tobie okazał miłosierdzie: jest przede wszystkim ojcem, a potem sędzią.

— To ksiądz wierzy w Boga?

— Gdybym miał nieszczęście nie wierzyć do tej chwili, uwierzyłbym patrząc teraz na ciebie.

Caderousse zacisnął pięści i wznosił je do nieba.

— Posłuchaj — ozwał się ksiądz, wyciągając ręce nad rannym, jak gdyby chciał natchnąć go wiarą — posłuchaj, co dla ciebie uczynił ten Bóg, którego się wypierasz w ostatniej chwili życia. Obdarzył cię zdrowiem i siłą, zapewnił ci chleb i nie poskąpił nawet ludzkiej przyjaźni. Dał ci życie spokojne, takie, jakie winien prowadzić człowiek o czystym sumieniu. A ty co zrobiłeś? Czy wykorzystałeś dary, które Bóg tak rzadko zsyła nam w całej ich pełni? Nie. Folgowaleś fantazjom, folgując im piłeś, a po pijanemu zdradziłeś jednego z najlepszych twoich przyjaciół.

— Ratunku! — zawołał Caderousse. — Nie trzeba mi księdza, trzeba mi lekarza! Może nie jestem śmiertelnie ranny, może jeszcze nie umrę, może dałoby się mnie uratować!

— Jesteś ranny śmiertelnie. Gdyby nie trzy krople likworu, które ci dałem przed chwilą, już byś nie żył. Posłuchaj więc.

— Dziwny ksiądz jesteś. Zamiast pocieszać umierających, przywodziś ich do rozpacz.

— Posłuchaj — mówił ksiądz. — Kiedy zdradziłeś przyjaciela, Bóg nie pokarał cię, ale ostrzegł; wpadłeś w nędzę, głodowałeś; żałowałeś, że połowa twojego życia poszła na marne, obmyślałeś już zbrodnię, tłumacząc to koniecznością — ale wtedy Bóg uczynił cud dla ciebie; upadłeś na dno nędzy, Bóg za moim pośrednictwem zesłał ci fortunę, olbrzymią jak dla ciebie, nędzarzu, który nigdy nic nie posiadałeś; ale nie zadowoliliś się tą fortuną nieoczekiwaną, niesłychaną, niespodziewaną; zapragnąłeś ją podwoić: w jaki sposób? morderstwem. Podwoiłeś ją, a wtedy Bóg cię jej pozbawił i postawił przed obliczem sprawiedliwości ludzkiej.

— To nie ja wpadłem na pomysł, żeby zabić tego Żyda, ale Karkontka.

— Tak. Toteż Bóg, nie powiem tym razem: sprawiedliwy, bo sprawiedliwość jego zgładziłaby cię, ale miłosierny, dopuścił, aby sędziowie, wzruszeni twoimi słowami, darowali ci życie.

— Tak. Żeby skazać mnie na dożywotnie więzienie. To ci łaska!

— A jednak, nędzniku, uważałeś ją za łaskę, kiedy cię ulaskawiono. Drżałeś, tchórze, na myśl o śmierci i podskoczyłeś z radości, dowiedziawszy się, że póki życia będziesz cierpieć hańbę. Powiedziałeś sobie jak wszyscy galernicy: „W więzieniu są bramy, a w grobie ich nie ma”. I miałeś rację, gdyż bramy więzienne otworzyły się niespodzianie przed tobą. Pewien Anglik zwiedzał Tulon. Postanowił był kiedyś uwolnić dwóch ludzi od hańby. Wybór jego padł na ciebie i twojego towarzysza. Los uśmiechnął się do ciebie po raz wtóry: otrzymałeś pieniądze i odzyskałeś spokój. Mogłeś zacząć życie od nową, ty, którego skazano na kompanię galerników; i wtedy, nędzniku, zaczynasz kusić Boga po raz trzeci. „Nie dość — powiadasz sobie — żem posiadał więcej, niżbym się kiedykolwiek spodziewał”. Popelniasz trzecią zbrodnię, niedorzeczną, niczym już nie usprawiedliwioną. A Bóg, znudzony tym, ukarał cię.

Caderousse słabł w oczach.

— Pić—jęknał. — Trawi mnie ogień...

Monte Christo podał mu szklanekę wody

— Ten łotr Benedetto — powiedział Caderousse, oddając szklanekę — wymiga się jednak! — Nikt się nie wymiga, zapowiadam ci to... Benedetto poniesie karę.

— To i ksiądz też poniesie karę, bo nie spełnił ksiądz swojego kapłańskiego obowiązku... Winien był ksiądz udaremnić plan Benedetta.

— Ja — odpowiedział hrabia z uśmiechem, który zmroził konającego — ja miałbym powstrzymać Benedetta, skoro ty wyszczerbiłeś nóż o stalową koszulkę na mojej piersi!... Owszem, gdybyś się ukorzył i skruszył, może bym wtedy powstrzymał Benedetta. Ale żeś był krwiożerczy i pyszny, dopuściłem, aby spełniła się wola boża!

— Nie wierzę w Boga — zawył Caderousse. — I ty też nie wierzysz! Łżesz! Łżesz!...

— Milcz, bo od tego wysiłku utracisz resztę krwi... Ha, nie wierzysz w Boga, ale umierasz od ciosu jego ręki!... Nie wierzysz w Boga; a Bóg, aby ci przebaczyć, żąda od ciebie tylko modlitwy, jednego słowa, jednej łzy... Bóg przecież mógł tak pokierować sztyletem mordercy, żebyś padł na miejscu... Bóg dał ci ten kwadrans, żebyś się pokajał... Zastanów się nad sobą, nieszczęsny, i okaż skruchę!

— O nie — oświadczył Caderousse — nie okażę. Nie ma Boga, nie ma Opatrzności, jest jedynie przypadek.

— Jest Opatrzność i jest Bóg. Najlepszy dowód, że leżysz tu pogrążony w desperacji i wypierasz się Boga — a ja stoję przed tobą, bogaty, szczęśliwy i zdrowy, i wznoszę ręce do tego Boga, w którego starasz się nie wierzyć, choć na dnie twojego serca tli się płomyk wiary.

— Ale kim ksiądz jest właściwie? — spytał umierający i jął wpatrywać się bacznie w hrabiego.

— Przyjrzyj mi się dobrze — odpowiedział Monte Christo i zbliżył świecę do twarzy.

— No, to przecież ksiądz... ksiądz Busoni...

Monte Christo zdjął perukę, a wtedy bujne czarne włosy okoliły mu piękną bladą twarz.

— O! — przeraził się Caderousse. — Gdyby nie te czarne włosy; powiedziałbym, że stoi przede mną ten Anglik, lord Wilmore.

— Nie jestem ani księdzem Busoni, ani lordem Wilmore. Przyjrzyj mi się lepiej, poszperaj we wspomnieniach, tych najdawniejszych.

Głos hrabiego wibrował niby fale magnetyczne. Orzeźwiły one nieszczęśnika po raz ostatni.

— O, tak, zdaje mi się — powiedział — że widziałem już kiedyś księdza, że go znam.

— A tak, widziałeś mnie i znałeś.

— Ale kim ksiądz był wtedy? I jeśli znał mnie ksiądz i widywał, czemu ksiądz mnie nie ratuje?

— Bo już nic cię uratować nie zdoła. Twoje rany są śmiertelne. Gdybym mógł cię uratować, widziałbym w tym ostatni dowód miłosierdzia bożego. W takim wypadku, klnę się na prochy mojego ojca, próbowałbym cię ratować, abyś mógł odpokutować za grzechy.

— Wspomniałeś o swoim ojcu! — zawołał Caderousse, ożywiony tymi słowami, jakby świętą iskrą. — Kimże on był?

Hrabia obserwował, jak postępuje agonია. Pojął, iż ranny ożywił się już po raz ostatni.

Podszedł do umierającego i ogarnawszy go spojrzeniem spokojnym, a zarazem smutnym, szepnął mu na ucho:

— Jestem...

Rozchylił zaledwie wargi i wyszeptał nazwisko tak cicho, jak gdyby sam lękał się je usłyszeć.

Ranny ukląkł na posłaniu i wyciągnął ramiona — próbował się cofnąć; a po chwili, złożwszy ręce, rzekł, czyniąc ostatni wysiłek:

— Przebacz mi, Panie Boże, że wyparłem się ciebie. Istniejesz. Sądziś ludzi tu na ziemi, a w niebie jesteś ich ojcem. Panie Boże, na długo zapomniałem o tobie! Boże, przebacz mi. Panie Boże, w ręce twoje oddaję duszę moją!

Zamknął oczy, opadł na wezglowie, westchnął i skonał. Krew przestała cieknąć z szeroko otwartych ran.

— Pierwszy! — powiedział tajemniczo hrabia, wpatrując się w wykrzywioną twarz umarłego.

Po dziesięciu minutach zjawił się prokurator i lekarz. Jednego przyprowadził Ali, a drugiego — odźwierny. Zastali księdza Busoniego modlącego się przy zmarłym.

9. BEAUCHAMP

Przez dwa tygodnie Paryż mówił tylko o zuchwałym włamaniu do domu hrabiego. Napastnik, umierając, podpisał zeznanie, w którym jako swojego mordercę wskazywał Benedetta. Policja rozesała wszystkich swoich agentów, aby szukali zbrodniarza. Nóż Caderousse'a, ślepa latarkę, pęk wytrychów i ubranie — z wyjątkiem kamizelki, która gdzieś zaginęła — złożono w kancelarii sądowej; ciało przewieziono do kostnicy.

Hrabia powiadał każdemu, że wypadki te zaszły, gdy bawił w Auteuil. Relację o wszystkim zdał mu ksiądz Busoni, który przedziwnym zbiegiem okoliczności spędził tę noc w jego domu, chciał bowiem przejrzeć parę rzadkich książek w bibliotece.

I tylko Bertuccio bladł, jeśli ktoś w jego obecności wspominał Benedetta, ale któż by spostrzegł, że Bertuccio blednie.

Villefort, wezwany na miejsce zbrodni, sporządził akt oskarżenia i wdrożył śledztwo, a prowadził je z zapalem, jak w każdej sprawie karnej, w której miał występować.

Ale trzy tygodnie najgorliwszych poszukiwań nie dały żadnego rezultatu. Zaczynano tedy zapominać już o włamaniu i morderstwie — wszyscy zajmowali się teraz niedalekim ślubem panny Danglars z panem Andreą Cavalcanti.

Sprawę postawiono już niemal oficjalnie, młodzieniec bywał w domu bankiera jako narzeczony.

Pan Cavalcanti ojciec wyraził listownie zgodę na mariaż, ubolewając mocno, iż nie będzie mógł opuścić Parmy, gdzie zatrzymuje go służba wojskowa. Oświadczył jednocześnie, że wypłaci synowi sumę przynoszącą sto pięćdziesiąt tysięcy liwrów renty.

Owe trzy miliony postanowiono umieścić u Danglarsa, który miał nimi obracać, podnosząc wartość kapitału. Kilka osób napomknęło Andrei, że pozycja jego przyszłego teścia jest zachwiana, Danglars bowiem ponosił od jakiegoś czasu ciągle straty na giełdzie — ale młodzieniec, bezinteresowny i pełen zaufania, nie dawał posłuchu tym pogłoskom, a w delikatności swojej nie wspominał o niczym baronowi.

Toteż baron uwielbiał hrabiego Andreą Cavalcanti.

Nie można było tego powiedzieć o pannie Eugenii.

Pałając instynktowną nienawiścią do małżeństwa, znosiła jednak obecność Cavalcantiego, gdyż uwolniła ją ona od Morcerfa, ale teraz, gdy Andrea zadomowił się u jej rodziców, powzięła do niego nie tajoną odrazę.

Kto wie, czy baron nie dostrzegł tego — ale przypisując ową odrazę jedynie kaprynowi, udawał, że nic nie widzi.

W tymże czasie upłynął już niemal termin, którego zażądał był Beauchamp.

Albert mógł tedy ocenić słowa Monte Christa, który doradził mu, by nie mącił biegu rzeczy.

Bo i nikt nie zwrócił specjalnej uwagi na wzmiankę o generale i nikomu nie zaświtało w głowie, by kojarzyć postać oficera, który wydał ongi zamek w Janinie, ze szlachetnym hrabią, zasiadającym w Izbie Parów.

Niemniej Albert poczytywał się za znieważonego. Autor wzmianki dziennikarskiej, którą młodzieniec odczuł tak boleśnie, na pewno chciał obrazić Morcerfów.

Prócz tego sposób, w jaki Beauchamp zakończył rozmowę, nappełnił serce Alberta goryczą.

Dumał więc. chętnie o pojedynku z Beauchampem. Liczył, że o istotnym powodzie spotkania nie dowiedzą się nawet sekundanci.

Beauchamp, przepadł gdzieś od owego dnia, kiedy Albert złożył mu wizytę. Ktokolwiek pytał o dziennikarza, dowiadywał się, iż Beauchamp wyjechał na parę dni.

Ale dokąd wyjechał — tego nikt nie wiedział.

Któregoś ranka lokaj obudził Alberta oznajmiając mu pana Beauchampa.

Albert przetaił oczy i powiedział lokajowi, żeby Beauchamp zaczekał na dole, w saloniku będącym zarazem palarnią. Ubrał się co prędzej i zszedł.

Beauchamp przechadzał się wzdłuż i wszerz pokoju.

Na widok Alberta zatrzymał się.

— Wizyta, którą złożyłeś mi pan pierwszy — ozwał się Albert — nie czekając na moją, którą dziś zamierzałem panu złożyć, wydaje mi się dobrą wróżbą. Mówże pan, czy mogę podać panu rękę,

powiadając: mój drogi, przyznaj się do winy i pozostajmy przyjaciółmi; czy też mam zapytać krótko: jaką pan broń wybierasz?

— Albercie — odpowiedział Beauchamp ze smutkiem, który mocno zaskoczył Morcerfa — siadźmy najpierw i pogadajmy.

— A mnie się wydaje, że nim usiądziemy, winienes mi pan odpowiedzieć.

— Mój kochany, w tym sęk, że odpowiedzieć trudno.

— Ułatwię tedy panu odpowiedź, ponawiając pytanie: odwołasz pan czy nie?

— Albercie, trudno odpowiadać tak lub nie, gdy w grę wchodzi honor, pozycja towarzyska i życie takiego człowieka jak generał lejtnant hrabia de Morcerf, par Francji.

— A cóż się robi w takim wypadku?

— To, co ja uczyniłem, Albercie, i mówi się: pieniądze, czas i trudy są niczym, gdy idzie o reputację oraz interesy całej rodziny. Mówi się: nie wystarczy prawdopodobieństwo, muszę mieć pewność, gdy idzie o śmiertelny pojedynek z przyjacielem. Mówi się: jeżeli mam skrzyżować szpady albo strzelać się z człowiekiem, któremu od trzech lat ściskam rękę, muszę wiedzieć, dlaczego to czynię, abym na miejsce spotkania stawiał się z sercem spokojnym i z czystym sumieniem, bo potrzebne to, skoro mam bronić swojego życia.

— Do rzeczy, do rzeczy... — zniecierpliwiał się Albert. — Co znaczą te słowa?

— Znaczą, że wróciłem właśnie z Janiny.

— Z Janiny? Ty?

— Tak, ja.

— Niemożliwe!

— Mój drogi, oto paszport, a na nim wize: Genewa, Mediolan, Wenecja, Triest, Dobrudża, Janina. Nie uwierzysz policji republikańskiej, cesarskiej i królewskiej?

Albert rzucił okiem na paszport — po czym spojrział zdumiony na Beauchampa-

— Byłeś więc w Janinie?

— Albercie, gdybyś był cudzoziemcem, kimś obcym, jak ów lordzina angielski, który wyzwiał mnie ze cztery miesiące temu, a ja go zabiłem dla świętego spokoju, rozumiesz, że nie zadałbym sobie takiego trudu. Według mnie jednak należał ci się z mojej strony ten dowód przyjaźni i szacunku. Dwa tygodnie

- podróży tam i z powrotem, cztery dni kwarantanny, dwa dni pobytu — masz więc akurat trzy tygodnie. Wróciłem dziś w nocy i przyszedłem do ciebie.

— O Boże, Boże, ileż omówień! Czemuż nie powiesz mi od razu tego, na co tak czekam?

— Bo po prawdzie...

— Cóż to, wahasz się?

— Tak, boję się...

— Boisz się wyznać, że twój korespondent cię oszukał! E, dałbyś spokój tym swoim ambicjom, przecież nikt nie może wątpić o twojej odwadze.

— Widzisz, chodzi całkiem o co innego — powiedział cicho dziennikarz.

Albert pobladał okropnie.

Chciał coś powiedzieć, ale słowa zamarły mu na wargach.

— Mój kochany — powiedział serdecznie Beauchamp — wierz mi, że wolałbym cię przeprosić, i to jak najszczerzej; ale...

— Ale co?

— Notatka, mój drogi, mówiła prawdę.

— Jak to? Więc ten oficer francuski?...

— Niestety.

— Ten Fernand?...

— Niestety

— Ten zdrajca, który wydał zamek?...

— Wybacz mi, mój drogi, ale to twój ojciec.

Albert rzuciłby się z wściekłością na Beauchampa, ale powstrzymała go nie tyle może jego wyciągnięta ręka, ile łagodne spojrzenie.

— Masz tu dowód, mój kochany — powiedział dobywając z kieszeni jakiś papier.

Albert rozłożył kartkę.

Było to oświadczenie czterech notablów Janiny, stwierdzające, że pułkownik Fernand Mondego, instruktor wojsk Alego Tebelina, wydał twierdzą za dwa tysiące worków złota.

Podpisy były poświadczane przez konsula.

Albert zachwiał się i padł zdruzgotany na fotel.

Tym razem nie było już żadnych wątpliwości: na dokumencie figurowało jego nazwisko rodowe.

Milczał chwilę, a potem serce rozparła mu żałość. Żył nabrzmiały mu na szyi, z oczu trysnęły łzy.

Beauchamp przyglądał się rozpaczającemu przyjacielowi z największym współczuciem. Podszedł do niego i rzekł:

— Albercie, teraz rozumiesz mnie, prawda? Chciałem wszystko zobaczyć na własne oczy i sam osądzić, spodziewając się, że wyjaśnienie obróci się z korzyścią dla twojego ojca i że będę mógł oddać mu w pełni sprawiedliwość. Stało się jednak inaczej. Skonstatowałem, że ów oficer, instruktor, Fernand Mondego, którego Ali Pasza mianował generalnym gubernatorem, i hrabia Fernand de Morcerf — to jedna i ta sama osoba. Wróciłem więc pamiętając o honorze, jaki wyświadczasz mi przyjaźniąc się ze mną, i przybiegłem do ciebie.

Albert siedział w fotelu zastaniając oczy, jakby raziło go światło dzienne.

— Przybiegłem do ciebie — ciągnął Beauchamp — żeby ci powiedzieć: Albercie, błędy, jakie w tych burzliwych czasach popełnili nasi ojcowie, nie dotyczą dzieci. Rewolucja, Albercie, w czasie której urodziliśmy się obaj, zbryzgała krwią albo błotem prawie każdy mundur i prawie każdą sędziowską togę. Teraz, Albercie, kiedy mam wszystkie dowody, kiedy ja jeden znam twoją tajemnicę, nikt nie zmusi mnie do walki, którą twoje sumienie, jestem tego pewien, wyrzucałoby ci jako zbrodnię; ale ofiarowuję ci to, czego już nie mógłbyś żądać ode mnie. Ja tylko jeden posiadam te dowody i dokumenty — znikną, jeśli zechcesz. Jeśli życzysz sobie, straszliwa tajemnica pozostanie między nami. Nikomu jej nie zdradzę — strażnikiem będzie mój honor. Zgadzasz się, Albercie, zgadzasz się, przyjacielu?

Albert rzucił, się Beauchampowi na szyję.

— O, serce szlachetne — zawołał.

— Weź to — powiedział Beauchamp i wręczył mu dokumenty.

Albert chwycił je kurczowo, ścisnął, zmiął i już miał je podrzeć — obawiając się jednak, aby najmniejszy skrawek uniesiony wiatrem nie powrócił któregoś dnia i nie ugodził go w czoło, podszedł do świecy, która paliła się stale, zapalano bowiem od niej cygara, i spalił wszystko jak najdokładniej.

— Kochany, najlepszy przyjacielu — szeptał Albert paląc papiery.

— Niech znikną jak zły sen — mówił Beauchamp — jak ostatnie iskry pelzające po tym zaczerwionym papierze, jak resztki dymu unoszące się z tych niemych popiołów.

— Tak — powiedział Albert — i niech tylko zostanie wieczysta przyjaźń, którą oświadczam mojemu zbawcy. Przyjaźń tę moje dzieci przekażą twoim. Przyjaźń ta będzie przypominać mi zawsze, że zawdzięczam ci honor i życie. Bo gdyby to wyszło na jaw, zapewniam cię, że palnąłbym sobie w łeb. Nie! Nie uczyniłbym tego ze względu na moją biedną matkę: umarłaby z bóleści. Wyjechałbym raczej z Francji.

— Drogi przyjacielu — rozczył się Beauchamp.

Ale ta radość nagła i by tak rzec, sztuczna, wprędce opuściła Alberta. Posmutniał jeszcze bardziej.

— Cóż to ci dolega, przyjacielu? — zagadnął Beauchamp.

— Widzisz, coś pękło mi w sercu. Trudno wyzbyć się w sekundę szacunku, zaufania i dumy, jakie budzi w synu nieskazitelne nazwisko ojca. O mój drogi, jakże ja teraz będę odnosił się do niego?... Czy cofnę się, kiedy zechce pocałować mnie w czoło, i czy nie podam mu ręki? Jestem najniezwyklejszy z ludzi. O moja biedna matko! — i Albert spojrzał poprzez łzy na portret hrabiny. — Jeśli wiedziałaś o tym, jakże musiałaś cierpieć!

— Odwagi, przyjacielu — powiedział Beauchamp, biorąc go za rękę.

— Ale skąd się wzięła ta pierwsza wzmianka w twojej gazecie? — zapytał niespokojnie Albert. — Kryje się za tym czyjaś nienawiść, jakiś nieznaną wróg.

— A więc jeszcze jeden powód, abyś zebrał się na odwagę. Nie wolno ci okazywać jakiegokolwiek niepokoju. Musisz nosić w sobie tę tajemnicę, jak chmura nosi zniszczenie i śmierć. Pojmujemy ten sekret fatalny dopiero w momencie, gdy rozszaleje się burza. Oszczędzaj siłę, przyjacielu, na wypadek, gdyby wróg miał się pojawić.

— Sądzisz, że to jeszcze nie koniec? — przeraził się Albert.

— Nic nie sądzę, mój drogi, ale wszystko jest możliwe. Słuchaj no...

— O co ci chodzi? — zapytał Albert, widząc, że Beauchamp się zawahał.

— Czy wciąż zamierzasz poślubić pannę Danglars?

— Czemu pytasz o to w tej chwili?

— Bo według mnie małżeństwo to wiąże się ze sprawą, która pochłania nas właśnie.

— Jak to? — spytał Albert zaczerwieniwszy się. — Myślisz, że pan Danglars?...

— Ciekawi mnie tylko, jak się ma rzecz z twoim małżeństwem. Nie dopatruj się u diabła, jakiegoś ukrytego znaczenia w moich słowach.

— Nie dopatruję się, a narzeczeństwo moje z panną Eugenią zostało zerwane.

— Aha — powiedział Beauchamp.

I widząc, że Albert znowu wpada w melancholię, rzekł:

— Wiesz co, pojedźmy na spacer; rozerwie cię przejażdżka konna albo faetonem. Potem zjemy gdzieś śniadanie, a po śniadaniu każdy z nas wróci do swoich spraw.

— Dobrze, ale przejdźmy się pieszo, zmęczenie powinno mnie uspokoić.

— Przejdźmy się pieszo — zgodził się Beauchamp.

I obaj przyjaciele, podążywszy bulwarem, dotarli do kościoła Świętej Magdaleny.

— Słuchaj — ozwał się Beauchamp — skoro już tu jesteśmy, nie wstąpilibyśmy do hrabiego de Monte Christo? Sprawi ci to na pewno przyjemność.

Towarzystwo tego człowieka krzepi w jakiś cudowny sposób. A poza tym hrabia nigdy o nic nie pyta. Otóż według mnie ludzie, którzy o nic nie pytają, najumiejtniej niosą pociechę.

— Dobrze — zgodził się Albert. — Chodźmy do hrabiego, ogromnie go lubię.

10. PODRÓŻ

Ujrawszy obu młodzieńców razem, Monte Christo wydał okrzyk radości.

— No, spodziewam się — rzekł — że cała sprawa zakończona i wyjaśniona, a panowie pogodziliście się.

— Tak — odpowiedział Beauchamp. — Plotki te niedorzeczne przycichły same, a gdyby znów zaczęły się szerzyć, ja pierwszy będę je tępił. Nie mówmy więc już na ten temat.

— Albert powie panu, że to ja mu dałem tę radę — odparł hrabia. — Dobrze, panowie, żeście przyszli, bo dawnom nie spędził równie paskudnego ranka.

— Ale co pan robi? — spytał Albert. — Zdaje się, że pan porządkuje swoje papiery.

— Chwalić Boga, nie moje. W moich papierach panuje zawsze wzorowy ład z tej prostej przyczyny, że ich nie mam. Porządkowałem papiery pana Cavalcanti.

— A któż to taki? — spytał Beauchamp.

— Nie wiesz? To ten młody człowiek, którego hrabia wprowadza w świat — objaśnił Albert.

— Co to, to nie — ozwał się Monte Christo — nigdy nie wprowadzam nikogo w świat, a tym bardziej pana Cavalcanti.

— Pan Cavalcanti żeni się, zamiast mnie, z panną Danglars — ciągnął Albert z bladym uśmiechem. — Domyślasz się więc, mój drogi, jak okrutnie nad tym cierpię.

— Co takiego? Cavalcanti żeni się z panną Danglars? — zdziwił się Beauchamp.

— Czyżbyś pan przybywał z dalekich krajów? — ozwał się Monte Christo. — Toć cały Paryż mówi tylko o tym, a pan, dziennikarz, nic o tym nie wie.

— Czy to pan hrabia skojarzył to małżeństwo? — spytał Beauchamp.

— E, mój panie wszędobylski, nie gadałbyś takich rzeczy. Ja miałbym skojarzyć czyjekolwiek małżeństwo! Nie znasz mnie pan. Sprzeciwiałem się w tym wypadku z całej mocy i odmówiłem pośrednictwa.

— Rozumiem — odpowiedział Beauchamp. — Ze względu na naszego wspólnego przyjaciela, Alberta.

— Ze względu na mnie? — ozwał się Albert. — Z pewnością nie! Hrabia zaświadczy, ile razy go prosiłem, żeby pomógł mi zerwać to narzeczeństwo, które, szczęściem, zostało zerwane. Hrabia utrzymuje, że nie jemu winienem dziękować; w takim razie wzniosę, jak starożytni, ołtarz deo ignoto.

— Moi panowie — rzekł Monte Christo — nie wtrącałem się zupełnie do tej sprawy, zresztą moje stosunki zarówno z teściem, jak i z zięciem są oziębłe; jedynie panna Eugenia, która, jak mi się zdaje, nie kwapi się zbyt do małżeństwa, nosi mnie jeszcze w sercu, widziała bowiem, że nie starałam się jej pozbawić ukochanej wolności. Miły Boże, mimo wszystko, co kiedykolwiek mówiłem o tym młodzieńcu, właściwie nie znam go — podobno jest bogaty i z dobrej rodziny; dla mnie jednak to tylko pogłoska. Powtarzałem to wszystko do znudzenia panu Danglars, ale on nie widzi świata poza tym Toskańczykiem. Podzieliłem się z baronem pewną wiadomością, według mnie dość ważną: pana Andreę, oddanego w dzieciństwie na garnuszek, jakoby zamienili czy może porwali Cyganie albo guwerner... lichy wie zresztą. Jestem natomiast pewien, że ojciec stracił go z oczu na lat przeszło dziesięć; przez ten czas chłopak włóczył się po świecie, a co robił wtedy, Bóg jeden wie. Ale ostrzegałem na próżno. Bo proszono mnie, żebym napisał do majora, aby przysłał papiery, otóż i one. Przesyłam je z kolei państwu Danglars i jak Piłat umyвам ręce.

— A cóż na to wszystko panna d'Armilly? — zapytał Beauchamp: — Jakże traktuje pana, który zabierasz jej uczennicę?

— A bo ja wiem. Zdaje się, że wyjeżdża do Włoch. Pani Danglars wspomniała mi o niej, prosząc, abym dał jej listy polecające do impresariów. Skreśliłem więc bilecik do dyrektora teatru Valle, który ma wobec mnie pewne obowiązki. Ale cóżes tak posmutniał, panie Albercie? Czyżbyś, nie domyślając się tego, kochał się w pannie Danglars?

— O ile wiem, to nie — odpowiedział Albert uśmiechając się smętnie. Beauchamp zaczął oglądać obrazy.

— Stanowczo — ciągnął Monte Christo — nie jesteś pan w swoim sosie. No, co panu dolega? Przyznaj się pan.

— Migrena.

— Drogi panie Albercie, mam w takim razie dla pana lekarstwo niezawodne; sam je stosuję, i zawsze z powodzeniem, jeśli doznam jakiej przeciwności.

— Cóż to takiego?

— Zmiana miejsca.

— Doprawdy?

— Tak. A teraz właśnie, doznawszy najrozmaitszych przykrości, wyjeżdżam. Nie pojechałbyś pan ze mną?

— Pan hrabia miał przykrości? — zdziwił się Beauchamp. — Nie do wiary! A jakież to?

— Lekko pan mówisz o tym. Ale chciałbym widzieć pańską minę, gdyby u pana w domu prowadzono śledztwo.

—Jakie znowu śledztwo?

— No przecież pan de Villefort bada sprawę mojego miłego mordercy. Był to podobno bandyta, zbiegły galernik.

— A prawda — powiedział Beauchamp — czytałem w gazecie. I któż to zacz ten Caderousse?

— Zdaje się, że to Prowansalczyk... Pan de Villefort słyszał o nim, kiedy mieszkał jeszcze w Marsylii, a i pan Danglars skądś go zna. W wyniku tego więc pan prokurator królewski ogromnie wziął całą sprawę do serca. Zaciekawiała też ona mocno pana prefekta policji, dzięki zaś owemu zainteresowaniu, za które nie posiadam się z wdzięczności, przyprowadzają mi od dwóch tygodni wszystkich bandytów, jakich tylko zdołają schwytać w Paryżu i w okolicy — pod pozorem, że między nimi może się trafić morderca pana Caderousse. A więc jeśli to potrwa dłużej, za trzy miesiące wszyscy bandyci i złodzieje z całego królestwa francuskiego będą znać nazbyt dokładnie plan mojego domu; wobec tego postanowiłem oddać im moją siedzibę i uciec gdzie pieprz rośnie, no co, nie da się pan skusić, panie Albercie?

— Jak najchętniej.

— A więc postanowione, tak?

— Dobrze. Ale dokąd się wybierzemy?

— Tam, gdzie powietrze jest czyste, gdzie milkną hałasy, gdzie człowiek pyszny staje się pokorny i mały. Lubię to upokorzenie, ja, o którym powiadają, że jestem panem świata, jak cesarz August.

— Pięknie, ale dokąd pan wyruszasz?

— Nad morze, mój drogi panie, nad morze. Widzi pan, jestem marynarzem. Wykołysały mnie ramiona sędziwego Okeanosa, wychowałem się na łonie pięknej Amfitryty; igrałem na jego zielonym płaszczu i na jej lazuruwej szacie. Kocham morze tak, jak się miłuje kochankę — a gdy nie widzę go długo, tęsknię za nim.

— Jedźmy, hrabio, jedźmy!

— Nad morze?

— Tak.

— Zgadzasz się pan?

— Zgadzam.

— A zatem, drogi panie Albercie, będzie dziś pod wieczór czekała na dziedzińcu moja podróżna bryka. Można w niej spać jak w łóżku. Będzie zaprzężona w czwórkę koni pocztowych. Jest dość miejsca na cztery osoby, może więc i pan zabrałyby się z nami? — zwrócił się do Beauchampa.

— Dziękuję, Wróciłem właśnie znad morza.

— Jak to znad morza?

— A raczej z morskiej wycieczki.

— No to co, jedź z nami! — zawołał Albert.

— Nie, mój drogi. Skoro odmawiam, rzecz jest absolutnie niemożliwa. Muszę pozostać w Paryżu — szepnął Albertowi — choćby dlatego, żeby pilnować listów, które wpływają do mojej gazety.

— Niezrównany z siebie przyjaciel! Tak, pozostań, pilnuj, masz rację. I staraj się wykryć wroga, który przesłał tę wiadomość.

Albert i Beauchamp rozstali się.

Ostatni uścisk dłoni zawarł to, czego usta nie mogły wypowiedzieć w obecności hrabiego.

— Wspaniały chłop ten Beauchamp, nieprawdaż, panie Albercie? — ozwał się Monte Christo, gdy dziennikarz odszedł.

— O tak, i odważny, ręczę za to. Nikogo chyba tak nie kocham. Ale skoro zostaliśmy sami, powiedzże mi pan, choć mi właściwie wszystko jedno, dokąd jedziemy.

— Do Normandii, jeśli pan się zgodzisz.

— Cudownie! Na szczerą wieś, prawda? Nie będzie towarzystwa i nie będzie sąsiadów...

— Tak. Będą tylko wierzchowce do przejażdżki, psy myśliwskie, jeśli zechcemy zapolować, i łódź rybacka, gdy przyjdzie nam ochota wybrać się na ryby. To wszystko.

— Tego właśnie mi trzeba. Dam znać matce — i jestem na pańskie rozkazy.

— Ale czy pozwoli panu?...

— Na co?

— Na wycieczkę do Normandii.

— Mnie? A czyż nie jestem samodzielny?

— Wiem, że wolno się panu włączyć po świecie, bom spotkał pana we Włoszech, ale...

— Ale?

— Ale nie wiem, czy wolno będzie panu odbyć wycieczkę w kompanii człowieka, zwanego hrabią de Monte Christo.

— Czyżby hrabia miał krótką pamięć?

— A cóż ma do tego moja pamięć?

— Toć mówiłem panu o sympatii, jaką darzy pana moja matka.

— „Kobieta zmienną jest” — powiedział Franciszek I. „Kobieta to fala” — powiedział Szekspir. Jeden był wielkim królem, drugi wielkim poetą, obaj zaś musieli znać kobiety.

— Owszem: kobiety; ale moja matka to kobieta wyjątkowa.

— Nie przeczę, ale mogła zmienić o mnie zdanie.

— Moja matka jest ogromnie powściągliwa w uczuciach, ale jeśli raz kogoś polubi, to już na zawsze.

— Ach! Doprawdy... — westchnął Monte Christo. — I sądzisz pan, że czyni mi zaszczyt darząc mnie innym uczuciem niż doskonała obojętność?

— Mówiłem już panu, a teraz powtarzam, że musisz pan być oryginałem i człowiekiem naprawdę nieprzeciętnym.

— No, no.

— Tak, bo moja matka nie ciekawi się panem, lecz interesuje. Kiedy jesteśmy we dwoje, mówimy tylko o panu.

— A nie ostrzegła pana przed owym Manfredem?

— Przeciwnie. Powiedziała mi: „Moim zdaniem, Albercie, hrabia to człowiek z gruntu szlachetny. Staraj się pozyskać jego przyjaźń”.

Monte Christo spuścił oczy i westchnął.

— Doprawdy! — rzekł po chwili.

— Ależ oczywiście. I nie tylko nie będzie sprzeciwiać się naszej wycieczce, ale zgodzi się na nią całym sercem. Podróż zacieśni naszą znajomość, a matka zaleca mi co dzień, bym zbliżył się do pana.

— A więc zobaczymy się o piątą. Staniemy na miejscu o północy, a najpóźniej o pierwszej.

— W Tréport? Jakim cudem?

— W Tréport albo nie opodal Tréport.

— W osiem godzin przejedziemy czterdzieści osiem mil?

— To i tak długo.

— Stanowczo, jesteś pan cudotwórcą. Prześcigniesz nie tylko kolej żelazną, co nie jest trudne, zwłaszcza we Francji, ale telegraf.

— Tak czy inaczej, bądź punktualny, kochany panie Albercie, bo mamy przed sobą z osiem godzin drogi.

— Niech się pan nie obawia, muszę się tylko spakować.

— A więc do piątej.

— Do piątej. Albert wyszedł.

Monte Christo uśmiechnął się kiwnąwszy mu głową, a po chwili zadumał się nad czymś głęboko.

Przesunąwszy ręką po czole, jak gdyby chciał odpędzić jakąś myśl, zadzwonił dwa razy.

Na odgłos dzwonka pojawił się Bertuccio.

— Panie Bertuccio — rzekł — nie jutro i nie pojutrze, jak zamierzałem najpierw, ale dziś po południu wyjeżdżam do Normandii. Masz pan do piątej czasu aż nadto; uprzedź koniuszych na pierwszym postoju. Towarzyszy mi pan hrabia de Morcerf. Możesz pan odejść.

Bertuccio spełnił rozkaz. Do Pontoise pomknął foryś z wiadomością, że kolasa nadjedzie punktualnie o szóstej.

Koniuszy z Pontoise wysłał umyślnego z wiadomością do następnego punktu — i tak po sześciu godzinach na każdym postoju czekały gotowe konie.

Przed odjazdem hrabia wstąpił do Hayde, zawiadomił ją o podróży i oddał jej zarząd domem.

Albert stawiał się punktualnie.

Podróż zrazu nudna, stała się zajmująca, a to dzięki szybkości.

Morcerf nie wyobrażał sobie dotąd, iż można tak pędzić.

— Nie sposób jeździć waszymi dyliżansami — powiedział Monte Christo. — Robią dwie mile na godzinę, a oprócz tego macie głupią ustawę, która zabrania, aby jeden podróżny wyprzedzał drugiego, chyba że ma na to specjalne zezwolenie. Toteż jegomość chory i zrzędny ma prawo zmusić podróżnych rześkich i zdrowych, aby wlekli się za nim. Unikam tej niedogodności, podróżując własnymi końmi i z własnym pocztylionem, nieprawdaż, Ali?

Hrabia wytknął głowę przez okienko i krzyknąwszy ostro, popędził konie. Ów okrzyk użyczył im skrzydeł.

Nie biegły już — leciały.

Powóz dudnił, niby grom po brukowanym gościńcu — przechodnie oglądali się za tym ognistym meteorem.

Ali przynaglał konie krzykiem i uśmiechał się łyskając białymi zębami. Dzierżył mocno lejce, po których ściekała piana, wiatr rozwiewał bujne grzywy rumaków. Ali, dziecię pustyni, był w swoim żywiole. Czarny, o płomiennych oczach, w śnieżnym burnusie, otoczony obłokiem pyłu, wydawał się geniuszem samumu, bogiem huraganu.

— Nie znałem dotąd rozkoszy, jaką daje błyskawiczny pęd — ozwał się Morcerf.

Rozpogodził się, jakby wichur zmiotł chmurę z jego czoła.

— Skądże, u diabła, bierzesz pan takie rumaki? — spytał. — Chyba hodują je specjalnie dla pana.

— Jakbyś pan zgadł — odparł hrabia. — Sześć lat temu znalazłem na Węgrzech wspaniałego ogiera, słynnego z szybkich nóg. Nabyłem go, nie pomnę za jaką cenę, bo i tak płacił Bertuccio. Tegoż roku spłodził trzydzieści dwa źrebięta. Obejrzymy całą tę progeniturę, wywodzącą się z jednego ojca; wszystkie one do siebie podobne, czarne od stóp do głów — i tylko każdy ma białą gwiazdkę na czole. Mój ogier był paszą stadniny: dobierano mu faworyty.

— Znakomite!... Ale cóż hrabia robi z tymi wszystkimi końmi?

— Przecież pan widzisz, że nimi jeżdżę.

— Ale nie podróżujesz pan bez przerwy...

— Kiedy nie będę ich potrzebował, Bertuccio je sprzedaje, zarabiając, jak twierdzi, do czterdziestu tysięcy franków.

— Nie znajdzie się w Europie król dość bogaty, by kupić je od pana.

— No to sprzedaje je pierwszemu lepszemu wezyrowi, który opróżni swój skarb, żeby je kupić, a potem napelni go znowu, bijąc poddanych kijami po piętach.

— Chciałbym się z panem podzielić pewną myślą.

— Proszę bardzo.

— Bertuccio jest chyba po panu największym bogaczem w Europie.

— Mylisz się, drogi panie Albercie. Jestem pewien, że opróżniwszy kieszenie Bertuccia nie doliczyłbyś się pięćdziesięciu centymów.

— Doprawdy? — zdziwił się Albert — ten Bertuccio to chyba fenomen.

E, hrabio, nic wprowadzaj mnie dalej w tę swoją krainę czarów, bo przestanę wierzyć, uprzedzam.

— Drogi panie Albercie, nigdy nikogo nie łudzę cudami: cyfry, rachunek i basta. Zastanówże się: intendent kradnie, ale dlaczego kradnie?

— Bo ma to chyba w krwi; kradnie, żeby kraść.

— Otóż mylisz się pan. Kradnie, bo ma żonę, dzieci i ambicje, zarówno w stosunku do siebie, jak i do rodziny. Kradnie przede wszystkim z uwagi na to, by zapewnić sobie przyszłość, spodziewa się bowiem, że pan go kiedyś wypędzi. A Bertuccio jest sam jak palec. Czerpie z mojej kasy nie zdając mi rachunku. I jest pewien, że nigdy go nie usunę.

— Skądże taka pewność?

— Stąd, że nie znalazłbym lepszego na jego miejsce.

— Obracasz się pan więc w błędnym kole przypuszczeń.

— O nie. Jestem absolutnie pewien swoich ludzi, dla mnie dobry sługa to taki, którego śmierć i życie mam w ręku.

— To jesteś hrabia panem życia i śmierci Bertuccia?

— Tak — odparł zimno hrabia.

Istnieją słowa, które zamykają rozmowę niby żelazne drzwi. Należało do nich owo „tak”, które wypowiedział hrabia.

Pędzili całą drogę, nie zwalniając ani na moment.

Było osiem postojów, a na każdym czekała czwórka koni. Przebyli czterdzieści siedem mil w osiem godzin.

Nocą wjechali w bramę pięknego parku.

Stała otworem, odźwierny czekał przy niej.

Foryś bowiem wyruszywszy z ostatniego postoju uwiadomił go o przybyciu pana.

Było wpół do trzeciej nad ranem.

Morcerf znalazł się w swoim apartamencie.

Czekała tu nań kąpiel i kolacja.

Lokaj, który przyjechał z nimi siedząc w tyle kolasy, był na usługi Alberta.

Baptysta siedział przez całą drogę na koźle — był na usługi hrabiego.

Albert wykapał się, zjadł kolację i poszedł spać.

Całą noc kołysał go melancholijny szum fal.

Zbudziwszy się, podbiegł do drzwi balkonu. Otworzył je znalazł się na niewielkim tarasie. U stóp Alberta rozpościerał się z jednej strony ocean, czyli bezmiar, a z drugiej piękny park, łączący się z laskiem.

W zatoczce kołysała się smukła korweta o strzelistych masztach. Na szczycie wielkiego masztu powiewała bandera z herbem Monte Christa. Była to lazurowa tarcza, a na jej tle widniała złota góra ze szkarłatnym krzyżem u wierzchołka. Mogła być w tym aluzja zarówno do nazwiska przypominającego Kalwarię, górę, którą męka Pana Naszego uczyniła cenniejszą od złota, i do krzyża, owego narzędzia haniebnej tortury uświęconego krwią bożą — jak i do jakiegoś

osobistego wspomnienia. Tajemniczy ten człowiek przecierpiał wiele, a potem odrodził się jakby, ale sprawy te spowiła swoim mrokiem noc przeszłości.

Wokół korwety uwijały się łodzie rybackie, należące do okolicznego chłopstwa. Przypominały one skromnych poddanych, którzy czekają na rozkazy królowej.

Tutaj, jak i wszędzie, gdzie Monte Christo miał zabawić choćby tylko dwa dni, wszystko urządzone było z nadzwyczajnym komfortem. Ktokolwiek przestąpił te progi, rozpoczynał życie łatwe.

Albert znalazł w przedpokoju dwie fuzje i wszelkie przybory myśliwskie.

W jednym z pokoi na parterze widniały w komplecie zmyślnie przybory, jakich używają Anglicy uprawiający rybołówstwo. Ludzie ci, leniwi i cierpliwi, nie przekazali jeszcze w tym względzie wszystkich swoich sposobów rybakom francuskim, zwolennikom utartych metod.

Cały dzień upłynął na rozrywkach, które hrabia wynajdywał z nieporównanym mistrzostwem.

Ustrzelili w parku dwanaście bażantów, złowili w strumieniach tyleż pstrągów, obiad zjedli w altanie z widokiem na morze, a herbatę wypili w bibliotece.

Pod wieczór trzeciego dnia Albert drzemał w fotelu zmęczony tym trybem życia, który dla hrabiego zdawał się być fraszką. Monte Christo tymczasem sporządzał wspólnie z architektem plan oranżerii, którą zamierzał zbudować. Nagle młodzieniec ocknął się i uniósł głowę, gdyż na kamienistej drodze rozległ się gwałtowny tętent.

Wyjrzał przez okno, a wtedy zdziwił się bardzo niemile, zobaczywszy na dziedzińcu swojego lokaja. Nie wziął go tutaj, żeby nie sprawić kłopotu hrabiemu.

— Cóż ty tu robisz, Florenty? — zawołał, podskoczywszy z irytacji. — A może moja matka zachorowała?

I wypadł z pokoju.

Monte Christo podążył za nim wzrokiem. Lokaj, zdyszany jeszcze, wyciągnął z kieszeni zalakowany pakiecik. Pakiecik zawierał gazetę i list.

— Od kogo ten list? — spytał Albert.

— Od pana Beauchamp — odpowiedział Florenty.

— To przysłał cię tu pan Beauchamp?

— Tak, proszę jaśnie pana. Wezwał mnie, dał mi pieniądze na podróż, najął dla mnie konia pocztowego i przykazał mi, żebym, nie zatrzymując się nigdzie, pojechał do jaśnie pana. Przebyłem drogę w piętnaście godzin.

Albertem wstrząsnął dreszcz. Otworzył list. Przeczytał pierwsze słowa, krzyknął i drżąc chwycił gazetę. Nagle pociemniało mu przed oczyma, nogi ugięły się pod nim i upadłby, gdyby Florenty nie podtrzymał go ramieniem.

— Biedny chłopak! — wyszeptał Monte Christo tak cicho, że sam nawet nie usłyszał tych miłosiernych słów. — Powiedziano bowiem, że za winy ojców cierpieć będą dzieci aż do czwartego pokolenia!

Tymczasem Albert, odzyskawszy siły, czytał dalej. Potrząsał głową, pot spływał mu z czoła; miał gazetę.

— Florenty — zapytał — czy twój koń mógłby zaraz odbyć drogę do Paryża?

— E, przecież to nędzny chabet pocztowy.

— A co w domu?

— Dość spokojnie. Ale kiedy wrócił od pana Beauchamp, pani hrabina była zapłakana. Wezwała mnie, żeby się dowiedzieć, kiedy pan wróci. Powiedziałem wtedy pani hrabinie, że jadę po jaśnie pana, bo mi kazał pan Beauchamp. Wyciągnęła najpierw rękę, jakby chciała mnie powstrzymać, ale po chwili namysłu rzekła: "Jedź, Florenty, niech mój syn wraca".

— Wracam, wracam, mam — powiedział Albert — bądź spokojna!... biada łotrowi!... Ale przede wszystkim muszę wyjechać.

Wrócił do pokoju, gdzie zostawił był Monte Christa.

Jakże okropnie zmienił się Albert w ciągu tych pięciu minut. Głos mu drżał, twarz pałała, oko błyszczało gorączkowo, a pojawiły się pod nim sińce, zataczał się jak pijany.

— Hrabio — rzekł — dziękuję za miłą gościnność i skorzystałbym z niej na pewno dłużej, ale muszę wracać do Paryża.

— Cóż to się stało?

— Wielkie nieszczęście. Nie zatrzymuj mnie pan więc. Chodzi o coś cenniejszego niżli moje życie. Nie dopytuj się, hrabio, błagam. Proszę tylko o konia.

— Moje stajnie są do pańskiej dyspozycji, zmęczysz się pan zbyt długo jadąc, konno, weź kolasę, karetę, którykolwiek z moich powozów.

— Nie, to przedłużyłoby sprawę. A następnie fatyga, której chciałbyś mi pan zaoszczędzić, dobrze mi zrobi.

Albert postąpił kilka kroków, zataczając się, jakby ugodziła go kula, i padł na krzesło obok drzwi.

Monte Christo nie zauważył tego, stał bowiem w oknie, wołając:

— Ali, konia dla pana hrabiego de Morcerf! Prędko, pan hrabia się spieszy. Słowa te ocuciły Alberta.

Wybiegł z pokoju, hrabia podążył za nim.

— Dziękuję — szepnął Albert wskakując na siodło. — Florenty, wracaj co koń wyskoczy! Czy mam dawać jakieś hasło pańskim ludziom na postojach?

— Zsiądziesz pan po prostu z tego konia, a oni w moment osiodłają ci następnego.

Albert miał już pocałować, ale zatrzymał się jeszcze i rzekł:

— Odjazd mój wyda się panu zapewne dziwny, niedorzeczny; nie wyobrażasz pan sobie, że kilka słów wydrukowanych w gazecie może przywieść do desperacji. A więc — dodał rzucając hrabiemu dziennik — przeczytaj pan to, ale kiedy odjadę, abyś nie widział mojego rumieńca.

I gdy hrabia podnosił gazetę, spał konia ostrogą.

Rumak, zdziwiony snadź, że ktoś ośmielił się dać mu podobną zachętę, pomknął jak strzała.

Hrabia popatrzył za Albertem. W oczach Monte Christa odmalowało się bezmierne współczucie. A kiedy młodzieniec zniknął, hrabia przeczytał:

Oficer francuski będący w służbach Ali Paszy, wezyra Janiny — o czym wspominał trzy tygodnie temu „Impartial” — nie tylko wydał twierdzą, lecz i sprzedał Turkom swojego dobroczyńcę. Oficer ów, imieniem Fernand, jak podali nasi czcigodni koledzy, ozdobił później swoje nazwisko klejnotem szlacheckim.

I oto straszliwa tajemnica, którą pogrzebał szlachetny Beauchamp, pojawiła się znowu, w innej gazecie, niby groźny upiór. Ktoś okrutny poinformował inny dziennik nazajutrz po wyjeździe Alberta do Normandii. Biedak przeczytawszy wzmiankę był bliski szaleństwa.

11. SĄD

O ósmej rano Albert wpadł jak bomba do Beauchampa. Lokaj był uprzedzony o wizycie.

Wprowadził Morcerfa — Beauchamp brał właśnie kąpiel.

— Okropność! — zawołał Albert.

— Dlatego czekam na ciebie, mój biedaku.

— Jestem więc. Nie pytam, nazbyt pewien twojej uczciwości i dobroci, czyś mówił komu o tej sprawie; nie, mój przyjacielu. To zresztą, żeś przysłał po mnie, świadczy o twojej przyjaźni. Nie traćmy więc czasu na próżne gadanie. Czy domyślasz się, kto wymierzył cios?

— Powiem ci to za chwilę w paru słowach.

— Tak, nim jednak przystąpisz do sedna, opowiedz mi szczegółowo historię tej ohydnej zdrady.

I Beauchamp przytoczył Albertowi, uginającemu się pod ciężarem hańby i boleści, fakty następujące:

Wzmianka ukazała się przedwczoraj nie w „Impartialu”, lecz w gazecie — jak to było ogólnie wiadome — rządowej, co przydawało sprawie ogromnej wagi.

Beauchamp spostrzegł ową notatkę przy śniadaniu.

Posłał natychmiast po dorożkę i nie dokończywszy śniadania, pojechał do redakcji dziennika rządowego.

Aczkolwiek należał do skrajnej opozycji, przyjaźnił się serdecznie z redaktorem naczelnym owej gazety. Zdarza się to czasem — by nie powiedzieć: często.

Redaktor przeglądał akurat własną gazetę, zachwycając się notatką o cukrze buraczanym. Sam ją widać ułożył.

— Mój drogi, skoro przeglądasz własną gazetę, nie potrzebuję ci mówić, co mnie sprowadza — rzekł Beauchamp.

— Czyżbyś przypadkiem należał do zwolenników trzciny cukrowej?

— Nic mnie to w ogóle nie obchodzi. Przyszedłem w innej sprawie.

— W jakiej to?

— Chodzi o Morcerfa.

— Co ty mówisz! Ciekawe, prawda?

— Tak ciekawe, żeś puścił się na oszczerstwo i zaryzykował proces, który przegrasz raczej.

— Wcale nie. Z notatką wpłynęły dokumenty, stwierdzające jej prawdziwość. Jesteśmy święcie przekonani, że pan de Morcerf będzie cicho siedział. A zresztą ten, kto wskaże fajdaka, niegodnego zaszczytów, jakimi go obsypano, wyświadcza krajowi przysługę.

Beauchamp zaniemówił na chwilę.

— Ale któż poinformował was tak dokładnie? — spytał. — Moja gazeta dała po temu hasło, ale musiała zamilknąć braku dowodów, choć nam bardziej zależy niż wam, aby zdemaskować pana de Morcerf: bo jest parem Francji — my zaś jesteśmy w opozycji.

— E, nie doszukuj się w tym nadzwyczajności. Nie goniliśmy za skandalem, to on nas dogonił. Odwiedził nas ktoś wczoraj: przyjechał prosto z Janiny i wręczył nam gruby plik akt, a ponieważ wahaliśmy się, czy oskarżyć Morcerfa, oświadczył, że artykuł i tak ukaże się w innej gazecie. Sam wiesz najlepiej, kochasiu, co to znaczy sensacyjna wiadomość. Czyż podobna było ją sobie darować? Zadaliśmy cios okrutny, w całej Europie podniosą wrzawę.

Beauchamp pojął, że nie pozostaje mu nic innego, jak spuścić głowę. Wyszedł zdesperowany i napisał do Morcerfa.

Nie mógł jednak mu donieść, bo stało się to później, że tegoż dnia w Izbie Parów, jakże zwykle spokojnej i godnej, zawrzało.

Prawie wszyscy zjawili się przed rozpoczęciem sesji. Ponury wypadek, który miał ściągnąć uwagę publiczną na jednego z najbardziej znanych członków przeświecanej Izby, był tematem ożywionych rozmów.

Czytano szeptem notatkę, komentowano ją, a wspomnienia uwypukliły dokładnie przytoczony w niej fakt.

Hrabia de Morcerf nie był lubiany wśród kolegów.

Jak wszyscy parweniuse, stronił od otoczenia, okazując nadmierną wyniosłość, by nadać sobie pozór arystokraty.

Toteż wielka arystokracja szydziła zeń.

Ludzie wybitni mieli go za hetkę pętelkę.

Ci zaś, którzy uczciwie zdobyli rozgłos, gardzili Morcerfem instynktownie.

Hrabia znalazł się tedy w niemiłej sytuacji kozła ofiarnego.

Palce boży wskazał, że on ma paść ofiarą, wszyscy więc gotowali się, aby krzyknąć: „Bij!”

Ale Morcerf nie wiedział o niczym.

Nie abonował dziennika, w którym ukazała się hańbiąca wzmianka. Rankiem tedy pisał spokojnie listy i ujeżdżał konia.

Przyjechał więc o zwykłej porze, wysiadł z karety i spoglądając dumnie, podążył pewien siebie korytarzami. Nie spostrzegł, że woźni przepuszczali go z pewnym wahaniem, a koledzy ledwie odpowiadali na jego ukłony.

Obrady trwały już pół godziny.

Aczkolwiek hrabia, jak się rzekło, o niczym nie wiedział, mina jego i zachowanie wydały się bardziej pyszne aniżeli zazwyczaj. Zgromadzenie, dbałe o swój honor, potraktowało więc obecność pana de Morcerf jako coś w najwyższym stopniu wyzywającego: wszyscy uznali ją za nietakt, niektórzy za czelność, a kilku nawet za obelgę.

Każdy oczywiście niecierpliwił się, że jeszcze nie przystąpiono do rzeczy.

Każdy trzymał w ręku gazetę, zawierającą oskarżenie.

Ale jak zawsze w takich razach, nikt nie chciał atakować pierwszy, bojąc się odpowiedzialności.

Na koniec jeden z czcigodnych parów, zjadły wróg hrabiego de Morcerf, wstąpił uroczyście na trybunę. Świadczyło to, iż nadszedł oczekiwany moment.

Zaległa złowroga cisza.

I tylko Morcerf nie wiedział, dlaczego tym razem wszyscy w takim skupieniu wpatrują się w mównicę, którego nie zawsze chętnie wysłuchiowano.

Hrabia nie okazał więc zaniepokojenia, gdy mówca oznajmił na wstępie, iż poruszy sprawę tak poważną, drażliwą i tak żywotną dla Izby, że prosi kolegów o najgłębszą uwagę.

Kiedy jednak padły pierwsze słowa dotyczące Janiny i pułkownika Fernanda, hrabia de Morcerf pobladł tak okropnie, że wśród zebranych, którzy wpatrywali się w niego, zapanowało poruszenie. Cierpienia natury moralnej są jak rany, które się zasklepiają, ale nie goją; zawsze bolesne, gotowe krwawić za lada dotknięciem, pozostają w sercu nie zabliznione.

Mówca odczytał wzmiankę wśród ciszy przerywanej szmerami, które ustały, gdy przystąpił do dalszego ciągu. Wyłożył teraz swoje skrupuły i oświadczył, że ma przed sobą trudne zadanie.

Utrzymywał, że podnosząc tę sprawę, osobistą i jakże przykrą, broni honoru pana de Morcerf i całej Izby.

Zażądał na koniec, aby wszczęto jak najszybsze dochodzenie, które położy kres kalumnii, zanim zdąży się ona rozpowszechnić. Tym sposobem pana de Morcerf przywróci się do czci i pomści w oczach ogółu.

Morcerf był tak przybity i zatrwożony tym nagłym ciosem, że zdołał wybełkotać jedynie kilka słów, spoglądając półprzytomnie na kolegów.

Onieśmienie to, które można było wziąć równie dobrze za dowód winy, jak i niewinności, zjednało mu pewną sympatię.

W ludziach szlachetnych współczucie dla wroga dotkniętego nieszczęściem bierze zawsze górę nad nienawiścią.

Prezydent zarządził głosowanie.

Głosowano przez powstanie; w wyniku zdecydowano wdrożyć śledztwo.

Zapytano hrabiego, w ile dni zdoła przygotować obronę.

Morcerf odzyskał rezon, uświadomiwszy sobie, że cios ten jeszcze go nie zdruzgotał.

— Wysoka Izbo — odpowiedział — nie będę zwlekał, bo czas nic tu nie pomoże, by odeprzeć atak, który skierowali na mnie wrogowie nieznani i ukryci w cieniu, gdyż lękają się widać światła. Na błyskawicę, która oślepiła mnie przez moment, odpowiem gromem. Czemuż, zamiast usprawiedliwiać się, nie mogę zmasać mojej hańby krwią, na dowód, że jestem was, koledzy, godzien.

Słowa te wywarły korzystne wrażenie.

— Proszę więc, aby śledztwo zostało wdrożone jak najprędzej, a ja dostarczę Wysokiej Izbie wszelkich koniecznych po temu dokumentów.

— Jaki termin pan wyznaczasz? — zapytał prezydent.

— Jestem od dziś do dyspozycji Wysokiej Izby. Prezydent potrząsnął dzwonkiem.

— Czy Wysoka Izba się zgadza — zapytał — aby dziś jeszcze rozpoczęto dochodzenie?

— Tak! — odpowiedzieli jednomyślnie zebrani.

Wyznaczono komisję do zbadania dokumentów, których miał dostarczyć Morcerf.

Komisja miała odbyć pierwszą naradę tegoż dnia o ósmej wieczorem w biurach Izby.

Jeśli trzeba będzie odbyć kilka posiedzeń, komisja zbierze się za każdym razem w tym samym lokalu i o tejże godzinie.

Gdy zapadła ta decyzja, Morcerf poprosił, aby pozwolono mu odejść.

Człowiek ten, szczwany i nieustępliwy, przewidując, iż burza taka spadnie kiedyś na jego głowę, zgromadził był już dawno dokumenty na swoją obronę.

Beauchamp opowiedział Albertowi wszystkie te szczegóły, które podaliśmy czytelnikowi. Opowiadanie dziennikarza miało tę wyższość nad naszym, iż podał swoją relację na gorąco.

Albert słuchał drżąc. Chwilami odyskiwał nadzieję, to znów ogarniał go gniew albo wstyd. Z poufnych bowiem wynurzeń Beauchampa wiedział, iż ojciec zawinił, a skoro zawinił, jakimże cudem mógłby wykazać swoją niewinność?

Wyłożywszy to wszystko Albertowi, Beauchamp zamilkł.

— I co dalej? — spytał Albert.

— Dalej? — powtórzył Beauchamp.

— Tak.

— Mój drogi, pytanie to pociąga za sobą przykrą odpowiedź. Chcesz więc dowiedzieć się dalszego ciągu?

— Muszę wszystko wiedzieć, a wolę, żebyś ty mnie poinformował, a nie kto inny.

— A więc, Albercie, przygotuj się na najgorsze.

Albert przesunął ręką po czole, aby upewnić się o swoich siłach. Podobnie ktoś, kto ma bronić życia, sprawdza swój pancerz i szablę.

Uczuł się silny, brał bowiem rozgorączkowanie za energię.

— No to gadaj — rzekł.

— Nadszedł wieczór — mówił Beauchamp. — Cały Paryż czekał na dalszy rozwój wypadków. Wielu sądziło, że twój ojciec, pojawiwszy się tylko, obali oskarżenie; inni znowuż mówili, że hrabia się nie stawi; ktoś nawet zapewniał, że wyjechał do Brukseli — kto inny więc zapytał policję, czy to prawda, że hrabia wziął paszport.

— Przyznam ci się — ciągnął Beauchamp — że uczyniłem wszystko, aby pewien młody par, mój przyjaciel, wchodzący w skład komisji, wprowadził mnie na rodzaj trybuny.

Wstąpił więc po mnie o siódmej i nim ktokolwiek się zjawił, polecił woźnemu opiekę nade mną. Woźny zamknął mnie w jakiejś łóżce.

Było ciemno i zasłonięty kolumną mogłem spodziewać się, że wysłucham do końca owej okropnej debaty.

Sesja zaczęła się punktualnie o ósmej.

Pan de Morcerf zjawił się z ostatnim uderzeniem zegara.

Trzymał w ręku jakieś papiery i był całkiem spokojny.

Wbrew zwyczajowi wszedł skromnie, ubrany z surową prostotą. Zapiął frak na wszystkie guziki, jak to zwykle czynią byli wojskowi.

Sprawił jak najlepsze wrażenie.

Komisja była usposobiona jak najprzychylniej — a nawet paru jej członków podeszło do hrabiego i podało mu rękę.

Albertowi serce pękało, kiedy słuchał tych wszystkich szczegółów. A jednak mimo zgrzyoty wdzięczny był tym ludziom.

Uściskałby chętnie tych, co okazali szacunek jego ojcu, którego honor tak bardzo ucierpiał.

W tymże momencie wszedł woźny i podał prezydentowi jakiś list.

— Oddaję panu głos, hrabio de Morcerf — powiedział prezydent otwierając kopertę.

Hrabia rozpoczął swoją apologię — ciągnął Beauchamp — a mówił przekonująco i bronił się nadzwyczaj zręcznie, zapewniam cię, Albercie.

Przedstawił dowody, stwierdzające, że wezyr Janiny do ostatniej chwili darzył go zaufaniem. Zlecił mu przecież u sułtana misję, od której zależało jego życie.

Pokazał pierścień — oznakę władzy, pierścień, którym Ali Pasza pieczętował zazwyczaj listy. Hrabia otrzymał ten pierścień od wezyra, aby mieć do niego wstęp o każdej porze dnia i nocy, nawet gdyby był w haremie.

Na nieszczęście, oznajmił, misja mu się nie powiodła. Kiedy powrócił, ażeby bronić swojego dobroczyńcy, Ali Pasza już dogorywał.

Ale mając do pułkownika bezgraniczne zaufanie, oddał mu pod opiekę pierwszą swoją faworytę i córkę.

Albert zadrżał, przypomniała mu się bowiem opowieść Hayde. Zapamiętał, co piękna Greczynka mówiła mu o misji, pierścieniu i o tym, w jaki sposób ją sprzedano.

— Jakie wrażenie zrobiły słowa mojego ojca? — zapytał niespokojnie Albert.

— Przyznam się, że wzruszyły mnie tak samo jak i całą komisję. Prezydent spojrział niedbale na list, który mu przyniesiono — ale przeczytawszy początek, ożywił się.

Przeczytał do końca, odczytał raz jeszcze — przez cały czas popatrując bacznie na hrabiego.

— Oświadczył nam pan hrabia — rzekł — że wezyr Janiny powierzył pańskiej opiece żonę i córkę...

— Tak — odpowiedział Morcerf — ale tutaj, jak i we wszystkim, prześladowało mnie nieszczęście. Kiedy wróciłem, nie zastałem już Hayde i Wasyliki.

— Znałeś je pan?

— Widywałem je dość często, dzięki zażyłości, jaka łączyła mnie z paszą. Darzył mnie on bezgranicznym zaufaniem.

— A nie wiesz pan aby, co się z nimi stało?

— Słyszałem, że zabiła je zgryzota, a może nędza. Nie jestem bogaty, wiedłem życie pełne niebezpieczeństw, nie mogłem więc, ku mojemu szczeremu żalowi, udać się na poszukiwanie tych kobiet.

Prezydent zmarszczył lekko brwi.

— Panowie — rzekł — słuchaliście uważnie wyjaśnień pana hrabiego de Morcerf. Czy pan hrabia mógłby, na poparcie swoich słów, przedstawić jakiegoś świadka?

— Boleję nad tym, ale nie. Ci, którzy otaczali wezyra, rozproszyli się po świecie albo umarli. Zdaje się, że ja jeden z moich rodaków ocalałem w tej strasznej wojnie. Mam tylko listy Alego Tebelin, które przedstawiłem panom; mam ten pierścień, dowód jego przyjaźni — oto on; mam wreszcie dowód najbardziej przekonujący, jakiego mógłbym dostarczyć: po tej anonimowej napaści nie zjawiał się nikt, kto zaprzeczyłby mojemu słowu uczciwego człowieka i kto miałby coś do zarzucenia mojemu życiu — surowemu, żołnierskiemu.

Rozległ się szmer pełen aprobaty.

Otóż, Albercie, twój ojciec wygrałby sprawę, gdyby nic w tym czasie nie zaszło.

Pozostawało już tylko głosowanie — ale prezydent powiedział jeszcze:

— Panowie, a także i pan, panie hrabio, nie będziecie chyba nic mieli przeciwko przesłuchaniu bardzo ważnego świadka, który stawiał się sam. Świadek ów — nie wątpimy wysłuchawszy hrabiego — wykaże jego całkowitą niewinność. Oto list, który otrzymałem w tym względzie. Czy mam go odczytać, czy też przejdziemy, panowie, nad tym wypadkiem do porządku dziennego?

Pan de Morcerf zbladł i tak zacisnął palce, że zachrząściły papiery, które trzymał w ręku.

Komisja opowiedziała się za odczytaniem listu. Hrabia zamyślił się i milczał. Prezydent odczytał następujący list:

Panie Prezydencie.

Dowiedziawszy się, że komisja rozpatruje działalność pana generała lejtnanta hrabiego de Morcerf w Epirze i Macedonii, oświadczam, że mogę udzielić w tej sprawie jak najściślejszych informacji.

Prezydent zrobił krótką pauzę.

Hrabia de Morcerf zbladł.

Prezydent powiódł po zebranych pytającym spojrzeniem.

— Niech pan czyta! Niech pan czyta! — zawołano zewsząd. Prezydent zaczął czytać dalej:

Byłam przy śmierci Ali Paszy. Wiem, co stało się z Wasyliką i z Hayde. Stawiam się więc do dyspozycji i domagam się nawet, żeby mnie wysłuchano.

Będę w westybulu, kiedy komisja otrzyma ten list.

— A któż to taki ten świadek, a raczej wróg? — spytał hrabia głosem wyraźnie zmienionym.

— Dowiemy się, proszę pana — odparł prezydent. — Czy koledzy życzą sobie przesłuchać tego świadka?

— Tak, tak — posypały się zewsząd głosy. Zawołano woźnego.

— Czy ktoś czeka w westybulu? — zapytał prezydent.

— Tak, proszę pana — odpowiedział woźny.

— I któż to taki?

— Jakaś dama ze służącym. Wszyscy spojrzeli po sobie.

— Wprowadźcie tę damę — rzekł prezydent. Po pięciu minutach ukazał się woźny.

Nikt nie odrywał oczu od drzwi, a i ja — mówił Beauchamp — czekałem i niepokoiłem się tak jak inni.

Za woźnym postępowwała kobieta, spowita od stóp do głów w powłóczysty szal.

Sposób, w jaki miała ów szal udrapowany, perfumy, którymi się skropiła — świadczyły, że jest elegancka i młoda.

Prezydent poprosił nieznajomą, aby zdjęła szal. Okazało się, że dama jest ubrana na grecką modłę; a ponadto olśniewała urodą.

— Ach! — rzekł Morcerf — to była ona.

— Co za ona?

— Hayde.

— Kto ci to powiedział?

— Odgadłem, niestety! Ale mów dalej, proszę cię. Widzisz, że jestem spokojny. I chyba już niedługo koniec.

— Pan de Morcerf — ciągnął Beauchamp — przeraził się i zdumiał zarazem, ujrawszy tę kobietę. Te prześliczne usta miały przywrócić mu życie albo wydać nań wyrok śmierci. A nas tak pochłonęła ta dziwna i jakże ciekawa historia, że zapomnieliśmy prawie o panu de Morcerf.

Prezydent wskazał fotel damie, lecz ona potrząsnęła głową na znak, że będzie stać.

Hrabia osunął się na fotel — nogi odmówiły mu snadź posłuszeństwa.

— Zwróciła się pani listownie do komisji — rzekł prezydent — oznajmiając, że pragnie pani udzielić nam informacji w sprawie Alego Tebelin. Twierdzi pani, że byłaś naocznym świadkiem wypadków, jakie zaszły ongi w Jamnie.

— Tak, byłam ich świadkiem — odpowiedziała nieznajoma głosem pełnym uroczego smutku. Był to głos osobliwie melodyjny, spotykany tylko na Wschodzie.

— Pozwolę sobie jednak zauważyć — ozwał się prezydent — że byłaś pani wtedy jeszcze dzieckiem.

— Miałam cztery lata; ale wypadki te były dla mnie tak ważne, że pozostał mi w pamięci każdy szczegół. Stoją mi jak żywe przed oczyma.

— Ale jakie znaczenie miały one dla pani i kim jesteś pani, że ta straszna katastrofa aż tak utkwiała pani w pamięci?

— Chodziło o śmierć lub życie mojego ojca: na imię mi Hayde, jestem córką Tebelin Alego, paszy Janiny, i Wasyliki, jego najukochańszej żony.

Rumieniec dumy i wstydu wykwił na policzkach młodej kobiety. Ogień tryskający z jej oka, niezwykła waga tego oświadczenia wywarły na zebranych nieopisane wrażenie.

W hrabiego jakby uderzył piorun i jakby ziemia otwarła mu się pod stopami.

— Pozwoli pani — ozwał się znowu prezydent, skłoniwszy jej się z szacunkiem — że zadam jeszcze jedno pytanie, a zadać je muszę z obowiązku i będzie ono ostatnie: czy możesz pani poprzeć swoje słowa jakimś dokumentem?

— Mogę, proszę pana — odparła Hayde, dobywając spod szala wonny atlasowy woreczek. — Oto moja metryka, którą zredagował mój ojciec, a podpisali jego najwyżsi urzędnicy. A tutaj świadectwo chrztu, gdyż ojciec zgodził się, aby chowano mnie w wierze matki, świadectwo opatrzone pieczęcią arcybiskupa Epiru i Macedonii. Oto wreszcie najważniejszy z dokumentów — akt sprzedaży. Oficer francuski sprzedał mnie i moją matkę El Kobbrowi, ormiańskiemu handlarzowi niewolników. Oficer ów, zawierając haniebny układ z Porta, zastrzegł sobie między innymi, że żona i córka jego dobroczyńcy będą stanowić część przypadającego mu łupu. Sprzedał nas za kwotę odpowiadającą czterystu tysiącom franków.

Hrabia de Morcerf zzieleniał i oczy nabiegły mu krwią, zebrani zaś milczeli złowieszczo.

Hayde nadal spokojna — ale spokój ten groźniejszy był od gniewu — podała prezydentowi akt sprzedaży, zredagowany w języku arabskim.

Komisja, spodziewając się, że niektóre dokumenty będą zapewne zredagowane po arabsku, grecku albo turecku, wezwała już wcześniej tłumacza; wprowadzono go teraz.

Jeden z dostojnych parów, który nauczył się był arabskiego w czasie świetnej kampanii egipskiej, śledził oczyma tekst odczytywany głośno przez tłumacza.

Ja, El Kobbir, handlarz niewolników, dostawca haremu Sułtana, otrzymałem dla Jego Cesarskiej Mości od pana hrabiego Monte Christo, magnata Franków, szmaragd wartości dwóch tysięcy cekinów jako zapłatę za niewolnicę chrześcijańską, mającą lat jedenaście, imieniem Hayde, córkę zmarłego Ali Tebelina, wezyra Janiny, i Wasyliki, jego faworyty. Hayde, a także jej matkę, zmarłą w Konstantynopolu, sprzedał mi francuski pułkownik . Fernand Mondego, będący w służbach rzeczzonego wezyra.

Kupna tego dokonano na zlecenie Jego Sułtańskiej Mości, który wypłacił mi raczył na ten cel tysiąc cekinów.

Sporządzono w Konstantynopolu za zezwoleniem Jego Sułtańskiej Mości 1247 roku Hegiry.

Podpisano: El Kobbir

Niniejszy akt, aby nikt nie mógł wątpić o jego autentyczności, zostaje opatrzony pieczęcią sułtańską na koszt sprzedawcy.

Obok podpisu kupca widniała pieczęć sułtańską.

Kiedy tłumacz zakończył lekturę i gdy wszyscy spojrzeli na pieczęć, zaległa straszliwa cisza. Oko hrabiego, nabiegłe krwią, płonęło; nie odrywał spojrzenia od Hayde.

— Czy nie można by, łaskawa pani — ozwał się prezydent — wezwać hrabiego de Monte Christo, który, o ile wiem, bawi z panią w Paryżu?

— Hrabia Monte Christo, mój przybrany ojciec, jest od trzech dni w Normandii.

— Ale któż w takim razie doradził pani ten krok, za który jesteśmy wdzięczni?

Bo i całkiem on naturalny, skoro, jako córkę Ali Paszy, dotknęło panią tyle nieszczęść.

— Krok ten — odparła Hayde — podjęłam sama, li tylko ze względu na pamięć po moim ojcu. Choć jestem chrześcijanką, marzyłam zawsze — niech mi Bóg przebaczy! — by pomścić mojego ojca. Kiedy noga moja stanęła na francuskiej ziemi, kiedy dowiedziałem się, że zdrajca mieszka w Paryżu, jęłam czuwać dniem i nocą. Mieszkam samotnie w domu mojego szlachetnego opiekuna, gdyż lubię mrok i ciszę, dzięki nim bowiem mogę dumać nie rozpraszając myśli. Ale pan hrabia de Monte Christo otacza mnie ojcowską opieką — tedy i życie światowe nic jest mi obce; wolę jednak przysłuchiwać się tylko jego dalekim odgłosom. Otrzymuję albumy z rycinami i najświeższe nuty, a także czytam gazety — w ten sposób obserwuję życie, nie biorąc w nim osobistego udziału. Dowiedziałam się dziś rano o tym, co zaszło w Izbie Parów, i o wieczornej naradzie. Napisałam więc.

— Wynika z tego — ozwał się prezydent — że hrabia de Monte Christo nie wie nic o pani kroku, czy tak?

— Absolutnie nic, i nawet obawiam się, że nie będzie kontent, dowiedziawszy się o nim. Tak czy inaczej, piękny to dzień dla mnie — mówiła Hayde wzniosłszy wzrok tryskający płomieniem — piękny to dzień, w którym mogę wreszcie pomścić mojego ojca!

Hrabia milczał przez cały ten czas. Koledzy popatrywali na niego, litując się zapewne tej karierze, którą unicestwiło wonne tchnienie kobiety; twarz hrabiego zmieniała się coraz bardziej pod wpływem nieszczęścia.

— Panie de Morcerf — zapytał prezydent — czy poznajesz pan w tej damie córkę Tebelin Alego, paszy Janiny?

— Nie — odpowiedział Morcerf podnosząc się z trudem. — Wrogowie uknuli przeciwko mnie jakąś intrygę.

Hayde, która przez ten czas patrzyła na drzwi, jakby oczekując kogoś, odwróciła się nagle, a ujrawszy hrabiego krzyknęła straszliwie:

— Nie poznajesz mnie? Ale ja cię, na szczęście, poznaję! Tyś jest Fernand Mondego, oficer francuski, instruktor armii mojego szlachetnego ojca! Tyś wydał twierdzę Janiny! Ty, wysłany przez mojego ojca do Konstantynopola, aby pertraktować z sułtanem o ułaskawienie twojego dobroczyńcy, przywoziłeś podstępny firman z rzekomym ułaskawieniem! Tyś, dzięki temu firmanowi wyłudził od paszy pierścień, aby okazał ci posłuszeństwo Selim, strażnik ojca! Tyś to zasztyletował Selima! To ty sprzedałeś moją matkę i mnie handlarzowi niewolników, El Kobbrowi! Morderco, morderco, morderco! Masz jeszcze na rękach krew twojego pana! Spójrzcie wszyscy!

Mówiła z takim ogniem, że wszyscy spojrzeli na hrabiego, a hrabia spuścił wzrok patrząc na rękę, jakby czuł na nich ciepłą jeszcze krew Alego.

— Twierdzisz więc pani z całą stanowczością, że poznajesz w hrabi de Morcerf oficera nazwiskiem Fernand Mondego?

— Czy poznaję? O matko moja, rzekłaś mi: „Byłaś wolna, miałaś kochającego ojca, przeznaczeniem twoim było zostać niemal królową! Przyjrzyj się dobrze temu człowiekowi: on to sprzedał cię w niewolę, on to nadział na włóczęgę głowę twojego ojca, on to nas zdradził! Przyjrzyj się dobrze jego prawej ręce: jest na niej głęboka blizna, gdybyś zapomniała jego twarzy, poznasz go po tej bliźnie. Tą ręką wyliczył złoto El Kobbir!” Czy go poznaję? Niechże on teraz ośmieli się powiedzieć, że mnie nie poznaje!

Każde słowo godziło w Morcerfa niby nóż. Tracił stopniowo energię.

Wsunął szybko i jakby mimo woli rękę, którą znaczyła szrama, za surdut i padł na fotel. Zawładnęła nim beznadziejna desperacja.

Wśród zebranych zapanowało gwałtowne wzburzenie. Jakby powiał potężny wichur północny i zakręcił suchymi liśćmi.

— Panie hrabio — ozwał się prezydent — niech pan nie rezygnuje z walki. Niech pan odpowie! Sprawiedliwość nasza nie wyróżnia nikogo, podobnie jak sprawiedliwość boża. Nie dopuści, aby pognębili pana wrogowie, da panu możliwość obrony. Czy życzysz pan sobie, abyśmy przeprowadzili dodatkowe śledztwo? Na pańskie żądanie dwóch członków naszej Izby pojedzie do Janiny. Niech pan odpowiada.

Ale Morcerf milczał.

Wtedy członkowie komisji popatrzyli na siebie ze zgrozą.

Porywcość i energia hrabiego były znane.

Skoro nie mógł się bronić, musiał ostatecznie upaść na duchu.

A może po tym milczeniu przypominającym drzemkę miał się przebudzić i rzucić grom.

— Cóż pan tedy zdecydował? — zapytał prezydent.

— Nic! — odpowiedział głucho Morcerf, podnosząc się z miejsca.

— Czyżby zeznanie córki Tebelin Alego było zgodne z prawdą? — zapytał znów prezydent. — Czyżby rzeczywiście należała do tych straszliwych świadków, którym oskarżony nie ośmiela się przeczyć? Czyżbyś przyznawał się pan do winy?

Morcerf spojrział z taką rozpaczą, że ułagodziłby tygrysa — nie sposób jednak ułagodzić sędziów.

Wstał spoglądając w sufit. Ale spuścił oczy, jakby w obawie, by nie otworzyło się sklepienie i nie ukazał się jaśniejący glorią inny trybunał — trybunał niebieski.

Nagłym ruchem rozpiął surdut, który snadź go dusił, i wypadł z sali niby ponury szaleniec.

Krok jego dudnił przez chwilę po korytarzach i schodach; konie ruszyły z kopyta — aż zadrżał portyk pałacu wybudowanego w stylu florenckim.

— Panowie — rzekł prezydent, kiedy zaległa cisza — czy waszym zdaniem pan hrabia de Morcerf dopuścił się zdrady oraz innych czynów hańbiących?

— Tak! Tak! — padła jednogłośnie odpowiedź. Hayde pozostała do końca obrad.

Wysłuchała wyroku nie objawiając ani litości, ani ukontentowania. Gdy wyrok odczytano, zasłoniła twarz, skłoniła się majestatycznie sędziom i wyszła krokiem, jaki Wergiliusz widywał u bogiń.

12. WYZWANIE

Wtedy — ciągnął Beauchamp — wymknąłem się, korzystając z ciemności zalegających salę. Wózny, który mnie wprowadził, czekał u drzwi. Powiodł mnie korytarzami aż do bocznego wejścia, którym wydostałem się na ulicę Vaugirard. Byłem złamany i, przebac mi, Albercie, zachwycony. Złamany, myślałem bowiem o tobie; zachwycony szlachetnością tej dziewczyny, która pragnęła pomścić ojca. Ktokolwiek, Albercie, podał tę wiadomość, był na pewno wrogiem, ale przysięgam ci, że działał jako ramię Opatrzności.

Przez cały ten czas Albert siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. A teraz, odsłoniwszy lico czerwone ze wstydu i zalane łzami, chwycił Beauchampa za rękę. — Przyjacielu — rzekł — życie moje skończone; nie powiem jak ty, że cios ten wymierzyła mi Opatrzność — ale będę szukał ukrytego wroga; a kiedy go poznam, zabiję go albo on mnie zabije. Liczę, że jako przyjaciel dopomożesz mi w poszukiwaniach, jeśli wzgarda nie zdławiła w twoim sercu przyjaźni.

— Wzgarda? A cóż to nieszczęście ma z tobą wspólnego? Nie żyjemy, Bogu dzięki, w czasach, kiedy zabobon czynił dzieci odpowiedzialnymi za postęпки rodziców. Przyjrzyj się swojemu życiu, Albercie: młode ono, ale jakże czyste. Jesteś, mój drogi, bogaty: wyjedź z Francji — w tym nowożytnym Babilonie, stolicy zmiennych gustów, o wszystkim prędko się zapomina. Wrócisz za jakie cztery lata, poślubisz może jakąś rosyjską księżniczkę, a więc tym bardziej nikt nie będzie przypominał tego, co stało się przed szesnastu laty.

— Dziękuję ci, mój drogi, dziękuję za te słowa wypływające z najszlachetniejszych pobudek, ale tak być nie może; powiedziałem ci, czego pragnę, a teraz pragnienie musi stać się wolą. Osobiście zainteresowany w tej sprawie, nie mogę, rozumiesz to, patrzeć na nią z twojego punktu widzenia. To, co według ciebie pochodzi z niebiańskiego źródła, mnie wydaje się raczej podejrzanym. Nie myślę też, aby Opatrzność przyłożyła do tego ręki — a to i dobrze, bo zamiast nieuchwytnego i niewidzialnego wysłanki, co rozdziela nagrody i kary niebieskie, znajdę jegomościa uchwytnego i widzialnego i zemszczę się na nim. A przysięgam ci, że wystawię rachunek za wszystko, co wycierpiałem od miesiąca. Powtarzam ci, że wracam między ludzi, ty zaś, jeżeli jesteś nadal moim przyjacielem, jak mówisz, pomożesz mi odnaleźć tego, kto zadał cios.

— Dobrze. A więc skoro ci absolutnie na tym zależy, schodzę na ziemię. Jeśli postanowiesz szukać wroga, dopomogę ci. I znajdę go, gdyż mój honor jest w tej kwestii niemal tak zainteresowany jak twój.

— W takim razie zabierajmy się do poszukiwań. Każda minuta opóźnienia wyda mi się wiecznością. Donosiciel jeszcze nie poniósł kary, spodziewa się więc zapewne, że ujdzie mu na sucho. A ja klnę się na honor, że się myli.

— Posłuchaj tedy.

— O mój drogi, widzę, że coś wiesz. Przywracasz mi życie.

— Nie twierdzę, Albercie, że to pewne, ale zawsze mamy światełko pośród ciemności. I może zaprowadzi nas ono do celu.

— Mówże prędszej, umieram z niecierpliwości.

— A więc opowiem ci to, czego opowiedzieć nie chciało powrocie z Janiny.

— Mówże, mów.

— Posłuchaj więc: w Janinie zebrałem, rzecz naturalna, najpierw informacje u najbogatszego bankiera. Kiedy tylko wspomniałem o sprawie, nim padło nazwisko twojego ojca...

— Tak, tak — powiedział mi — zdaje się, że wiem co pana sprowadza.

— Skądże byś pan mógł wiedzieć?

— Bo dwa tygodnie temu ktoś pytał mnie o tę sprawę.

— Kto taki?

— Pewien paryski bankier, mój korespondent.

— A jakżeż on się nazywa? — Danglars.

— On? — zawołał Albert. — No tak. Toć ten człowiek zawistny od dawna już prześladowuje mojego biednego ojca; on, jakoby zwolennik lewicy, nie może strawić, że hrabia de Morcerf jest parem. A weź pod uwagę to zerwanie narzeczeństwa bez istotnego powodu. Tak, tak, jesteście w domu.

— Zbierz informacje nie dając się ponosić temperamentowi... A jeśli to prawda...

— A jeśli to prawda — dokończył gwałtownie Albert — już on mi za wszystko zapłaci!...

— Miarkuj się, bo to człowiek stary.

— Tak się będę liczył z jego wiekiem, jak on się liczył z honorem mojego rodu. Jeśli miał pretensję do mojego ojca, czemuż nie wygarnął mu tego? Ale tchórz bał się znaleźć oko w oko z człowiekiem odważnym.

— Albercie, nie potępiam cię, ale chciałbym cię pohamować. Działaj oględnie.

— O, nie bój się. A zresztą, będziesz mi towarzyszył. Sprawy oficjalne wymagają świadków. Jeśli pan Danglars okaże się winnym, zginie dziś jeszcze albo zginę ja. Chcę, mój drogi, sprawić mojemu honorowi piękną pogrzeb.

— No cóż, skoro tak postanowiłeś, trzeba od razu przystąpić do rzeczy. Chcesz jechać do pana Danglars? To jedźmy.

Posłali po dorożkę.

Przed pałacem bankiera stał faeton pana Cavalcanti.

W drzwiach spotkali jego sługę.

— Do licha, wszystko świetnie się układa — rzekł Albert posępnie. — Jeśli pan Danglars nie przyjmie wyzwania, zabiję mu zięcia. Cavalcanti będzie się musiał bić. Paradne!

Oznajmiono Alberta. Danglars, wiedząc o wczorajszych wypadkach, zakazał go wpuścić.

Ale było już za późno — Albert wszedł za lokajem.

Usłyszawszy bowiem odpowiedź, jaką Danglars dał słudze, wtargnął aż do gabinetu, a za nim Beauchamp.

— Mój panie — zawołał Danglars — chyba wolno mi przyjmować albo nie przyjmować, kogo zechcę! Wydaje mi się, że się pan zapominasz.

— Myli się pan — odparł zimno Albert. — Istnieją okoliczności, kiedy zawsze dla pewnych osób jesteśmy w domu. Chyba żeś już pan stchórzył, a wtedy inna sprawa.

— Czegóż więc pan sobie życzy?

— Życzę sobie — odpowiedział Albert nie zwracając uwagi na Cavalcantiego, który stał wsparty o kominek — abyśmy się spotkali w ustronnym miejscu, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał przez dziesięć minut; jeden z nas zostanie na ziemi — więcej nie żądam.

Danglars zbladł.

Cavalcanti uczynił nieokreślony gest.

Albert zwrócił się tedy ku niemu:

— A może i pan hrabia pofatyguje się także, jest pan niemal członkiem rodziny? Spotkania tego rodzaju wyznaczam każdemu, kto tylko przyjmie moją propozycję.

Cavalcanti zbaraniał i spojrzał na Danglarsa. Bankier opanowawszy się podniósł się z fotela i stanął między młodymi ludźmi.

Albert zaczepił Andreę, a więc sprawa przybierała inny obrót. Danglars łudził się, że powód wizyty Alberta jest inny, niż przypuszczał na początku.

— A, to tak, mój panie — rzekł do Alberta — przyszedłeś pan tutaj szukać zwady z panem Andreą, ponieważ przedłożyłem go nad pana. Uprzedzam, że skieruję sprawę do prokuratora królewskiego.

— Mylisz się pan — odpowiedział Albert uśmiechając się posępnie. — Nie myślę o zerwanym narzeczeństwie, a zwróciłem się do pana Cavalcantiego, bo wydało mi się, że w pewnej chwili zapragnął wziąć udział w naszej rozmowie. A poza tym miałeś pan rację. Szukam zwady z każdym, ale pan baron Danglars ma pierwszeństwo.

— Trzeba panu wiedzieć — odparł Danglars błądzący ze strachu i ze złości — że kiedy spotykam na drodze wściekłego psa, zabijam go, nie czyniąc sobie wyrzutów, bo przecież wyświadczam społeczeństwu przysługę. Otóż jeżeli w przystępie wścieklizny spróbujesz mnie pan ugryźć, uprzedzam, że zabiję pana bez litości. Czyż to moja wina, że pański ojciec jest zhańbiony?

— Tak, łajdaku! — wykrzyknął Morcerf. — Twoja! Danglars cofnął się o krok.

— Co takiego? Moja? No to w takim razie pan zwariowałeś! Gzy ja znam historię Grecji? Czy to ja podróżowałem po Bałkanach? Czy to ja doradziłem pańskiemu ojcu, żeby sprzedał twierdzę Janiny? Żeby zdradził...

— Milczeć! — powiedział głucho Albert. — Nie pan narobiłeś nieszczęścia. Nie pan wywołałeś skandal, aleś go obłudnie sprowokował.

— Ja?

— A pan. Od kogóż pochodzi wiadomość?

— No chyba pan wyczytałeś w gazecie, że ktoś przysłał ją z Janiny.

— To któż w takim razie napisał do Janiny?

— Do Janiny?

— No tak. Kto informował się listownie o mojego ojca?

— Zdaje się, że każdemu wolno wysłać list do Janiny.

— A jednak wysłała go tylko pewna osoba.

— Tylko pewna osoba?

— A tak, i tą osobą jesteś pan!

— Owszem, pisałem. Wydając córkę za męża, miałem chyba prawo zebrać wiadomości o rodzinie jej przysięgo; nie tylko prawo, lecz i obowiązek.

— Pisał pan, wiedząc wybornie, jaką otrzymasz odpowiedź.

— Ależ skąd! Przysięgam panu — zawołał Danglars ze szczerością i przekonaniem, którymi natchnął go nie tyle strach, ile sympatia, jaką w gruncie rzeczy darzył nieszczęśliwego młodzieńca — przysięgam panu, że nigdy by mi nie przyszło do głowy pisać do Janiny. Toć ja nic nie wiedziałem o dramacie Ali Paszy!

— Czyżby więc nakłonił ktoś pana, żebyś napisał?

— Może.

— Tak czy nie?

— Tak.

— Kto taki? Powiedźże już pan wszystko!

— No cóż, to była całkiem prosta historia. Mówiąc o przeszłości pańskiego ojca, napomknąłem mu, że nikt nie wie, skąd właściwie wziął swoją fortunę. Rozmówca mój zapytał wtedy, czy nie wiem w takim razie, gdzie pański ojciec zrobił majątek. Odpowiedziałem: „w Grecji”. A wtedy doradzono mi: „Napisz więc pan do Janiny”.

— I któż to panu doradził?

— Hrabia Monte Christo, pański przyjaciel.

— Hrabia Monte Christo?!

— Tak. I napisałem. Chcesz pan zobaczyć moją korespondencję? Mogę ją panu pokazać.

Albert i Beauchamp spojrzeli na siebie.

— Zdaje mi się — ozwał się wtedy Beauchamp, który milczał do tej chwili — że łaskawy pan oskarża hrabiego, ponieważ hrabia wyjechał z Paryża i usprawiedliwić się nie może.

— Nie oskarżam nikogo, mój panie, i zapewniam panów, że powtórzę w obecności hrabiego Monte Christo to, com powiedział.

— A czy hrabia wie, jaką pan otrzymał odpowiedź?

— Pokazałem mu ją.

— A czy wiedział, że mojemu ojcu na imię Fernand i że jego nazwisko rodowe brzmi Mondego?

— Tak. Wiedział o tym ode mnie od dawna. Uczyniłem to, co każdy uczyniłby na moim miejscu, a może nawet mniej. Kiedy nazajutrz po nadejściu odpowiedzi z Janiny pański ojciec odwiedził mnie za namową hrabiego de Monte Christo, aby prosić oficjalnie o rękę Eugenii dla pana, odmówiłem, krótko co prawda, ale bez wyjaśnień i nie nadając sprawie rozgłosu. Bo i po co zresztą miałbym nadawać jej rozgłos? Co mnie obchodzi honor albo dyshonor pana de Morcerf? Od tego akcje ani spadają, ani nie idą w górę.

Albert uczuł, jak krew nabiega mu do twarzy. Nie było już wątpliwości. Danglars bronił się tchórzliwie, ale z pewnością siebie człowieka, który jeśli nie mówi całej prawdy, mówi jej część kierując się nie sumieniem, a tylko strachem.

I o co właściwie chodziło Albertowi?

Nie o winę Danglarsa czy Monte Christo. Szukał człowieka, który poniósłby odpowiedzialność za zniewagę przyjąwszy pojedynek, a było rzeczą oczywistą, że Danglars bić się nie będzie.

A zresztą, pewne fakty zapomniane odżyły teraz w jego pamięci, te zaś, których nie dostrzegł, stanęły mu żywo przed oczyma.

Monte Christo wiedział o wszystkim, ponieważ kupił córkę Ali Paszy.

Wiedząc o wszystkim, doradził Danglarsowi, aby napisał do Janiny.

Poznawszy treść odpowiedzi spełnił prośbę Alberta, przedstawiając go Hayde; następnie pokierował tak rozmową, aby Hayde wspomniała o śmierci ojca; dozwolił, by Greczynka opowiedziała swoje życie, ale dawał jej w toku opowiadania instrukcje po grecku; przedtem jeszcze zabronił Morcerfowi wymawiać w obecności Hayde nazwisko jego ojca.

Na koniec wziął Alberta do Normandii w momencie, kiedy miał wybuchnąć skandal.

Nie było więc wątpliwości. Wszystko to było ukartowane: Monte Christo porozumiewał się z wrogami hrabiego de Morcerf.

Albert wziął Beauchampa na stronę i podzielił się z nim tymi spostrzeżeniami.

— Masz rację — powiedział Beauchamp. — Panu Danglars powierzono tutaj tylko grubszą robotę. Wyjaśnień winieneś żądać od hrabiego de Monte Christo.

Albert odwrócił się i rzekł do Danglarsa:

— Sam pan rozumie, że nie mogę uważać naszej rozmowy za skończoną. Muszę dowiedzieć się, czy pańskie oświadczenia są prawdziwe. Porozmawiam więc z panem de Monte Christo.

I skłoniwszy się bankierowi wyszedł nie zwracając na Cavalcantiego najmniejszej uwagi. Beauchamp podążył za Albertem.

Danglars odprowadził obu do drzwi, zapewniając raz jeszcze Alberta, iż osobiście żadnych wrogich uczuć do pana Morcerfa nie żywi.

13. ZNIEWAGA

Za drzwiami bankiera Beauchamp zatrzymał Alberta.

— Chwileczkę — rzekł. — Radziłem ci przed chwilą, żebyś zażądał wyjaśnień od hrabiego, czy tak?

— Tak, i właśnie idziemy do niego.

— Poczekaj, musimy się przedtem zastanowić.

— Nad czym?

— Będzie to krok wielkiej wagi.

— Czy większej niż wizyta u pana Danglars?

— Naturalnie. Pan Danglars jest finansistą, a jak wiadomo, finansiści nazbyt szanują swój pieniądź, aby pochopnie godzić się na pojedynek. Z hrabią całkiem inna sprawa. Hrabia jest szlachcicem, przynajmniej na pozór, ale czy nie lękasz się, że w skórze szlachcica siedzi opryszek?

— Lękam się tylko tego, że nie będzie chciał się bić.

— O, bądź spokojny. Ten się będzie bił na pewno. Obawiam się nawet, czy nie będzie się bił za dobrze; uważaj.

— Mój kochany — odpowiedział Morcerf z dumnym uśmiechem — o to właśnie mi chodzi. Szczęśliwy umrę za ojca, uratuje to nas wszystkich.

— Ale zabije twoją matkę.

— Biedaczka! — odrzekł Albert przeciągając ręką po oczach. — Wiem o tym. Ale lepiej umrzeć z boleści niż w hańbie.

— Jesteś więc zdecydowany?

— Tak.

— Ha, trudno! Ale czy ci się zdaje, że go zastaniemy?

— Powinien był wrócić w parę godzin po mnie; i wrócił na pewno. Wsiedli do dorożki i kazali się wieźć na Pola Elizejskie.

Beauchamp chciał pójść sam do hrabiego, Albert wytłumaczył mu jednak, że w sprawie tak niezwykłej wolno uchylić się od zasad kodeksu honorowego.

Młodzieniec działał w sprawie tak świętej, iż Beauchamp musiał mu ustępować na każdym kroku.

Tedy, nie protestując dłużej, podążył za Morcerferem.

Albert minął szybko odźwiernię i wbiegł pędem na ganek. Powitał go Baptysta.

Hrabia wrócił; brał kąpiel i zapowiedział, że nie przyjmie samego papieża.

— A po kąpeli? — zapytał Morcerf.

— Jaśnie pan siądzie do obiadu. — A po obiedzie? — Będzie spał godzinę. — A potem ?

— Pójdzie do Opery.

— Jesteście tego pewni?

— Jak najbardziej. Jaśnie pan kazał podać konie punktualnie o ósmej.

— Doskonale—powiedział Albert. Tego się właśnie chciałem dowiedzieć.

I zwracając się do Beauchampa:

— Jeśli masz coś załatwić, zrób to zaraz, a jeżeli masz dziś wieczorem jakieś spotkanie, odłóż je na jutro. Liczę, że będziesz w Operze, rozumiesz to. I jeśli zdołasz, przyprowadź Château-Renauda.

Beauchamp rozstał się tedy z Albertem, przyrzekłszy, że wstąpi po niego za kwadrans ósma.

Wróciwszy do domu Albert napisał do Franza, Debraya i Morrela, wyznaczając im spotkanie w Operze.

Następnie odwiedził matkę. Pani de Morcerf nie przyjmowała od wczoraj nikogo i nie wychodziła ze swojego pokoju.

Leżała w łóżku, zrozpaczona ową publiczną hańbą.

Łatwo się domyślić, jakie wrażenie wywarł na niej widok syna.

Ścisnęła go za rękę i rozplakała się.

Ale łzy przyniosły jej ulgę..

Albert stał chwilę i milcząc wpatrywał się w twarz matki.

Ze zmarszczonych brwi Mercedes i wybladłego lica wyczytać było można, że w sercu jej wygasło już pragnienie zemsty.

— Czy pan de Morcerf— zagadnął Albert — ma jakich wrogów? Mercedes zdrząła.

Uderzyło ją, iż młodzieniec nie powiedział: „Mój ojciec”.

— Mój drogi — odrzekła — ludzie tak sytuowani jak ojciec mają wielu wrogów, których nie znają nawet. A zresztą, wrogowie nieznaną są, jak wiesz chyba, najniebezpieczniejsi.

— Wiem, toteż odwołuję się do twojej niezwykłej bystrości. Nic przecież, mam, nie ujdzie twojemu oku.

— Po co mi to wszystko mówisz?

— Bo zauważyłeś na przykład, że na balu, któryśmy wydali, pan de Monte Christo nie chciał nic zjeść ani wypić.

Mercedes uniosła się, wsparta na ramieniu rozpalonym gorączką. — Pan de Monte Christo! — zawołała. — A cóż on miałby wspólnego z twoim pytaniem?

— Toć wiesz, mam, że pan de Monte Christo hołduje wschodnim obyczajom, a ludzie Wschodu nigdy w domu wroga nie przyjmują poczęstunku, gdyż odebrałoby im to możliwość zemsty.

— Pan de Monte Christo naszym wrogiem, powiadasz, Albercie? — rzekła Mercedes blednąc jeszcze bardziej. — Kto ci naopowiadał takich rzeczy? Oszalałeś chyba. Pan de Monte Christo świadczył nam same uprzejmości. Pan de Monte Christo ocalił ci życie — i ty sam wprowadziłeś go do naszego domu. Wyperswaduj to sobie, moje dziecko. Dam ci jedną radę, a właściwie to nie rada, ta: prośba: bądź z nim w jak najlepszych stosunkach.

— Masz, mam, widać jakieś swoje racje — odpowiedział Albert spoglądając posępnie — doradzając mi, bym oszczędzał tego człowieka.

— Ja?! — wykrzyknęła Mercedes i zaczerwieniwszy się gwałtownie, gwałtownie zbladła.

— Tak, oczywiście. I domyślam się tych racji: obawiasz się chyba, że ten człowiek mógłby wyrządzić nam jakąś krzywdę.

Mercedes drżała, wpatrując się w syna badawczo.

— Dziwne rzeczy mówisz i jak mi się zdaje, powzięłeś jakieś osobliwe uprzedzenia. Cóż ci hrabia zrobił złego? Trzy dni temu byłeś z nim w Normandii; trzy dni temu uważałeś go za swojego najlepszego przyjaciela, a ja podzielałam twoje zdanie.

Po wargach Alberta przemknął ironiczny uśmiech.

Mercedes dostrzegła ów uśmiech — a instynktem kobiety i matki odgadła wszystko; ale roztropna i opanowana, ukryła pomieszenie.

Albert zamilkł. Po chwili Mercedes ozwała się więc:

— Pytałeś, jak się czuję. Nie będę kryła, że nie nadzwyczajnie. Powinieneś dotrzymywać mi towarzystwa, samotność mi dokucza, Albercie.

— Byłbym do dyspozycji, bo wie mama przecież, jak lubię jej towarzystwo, ale muszę wyjść na cały wieczór w ogromnie ważnej sprawie.

— Dobrze — westchnęła Mercedes. — Idź. Wiesz, że nie chcę cię czynić niewolnikiem synowskich uczuć.

Albert udał, że nie słyszy, skłonił się matce i wyszedł.

Ledwie drzwi zamknęły się za nim, Mercedes wezwała zaufanego sługę i kazała mu śledzić Alberta przez cały wieczór, dokądkolwiek by poszedł, i natychmiast zdać relację.

Po czym zadzwoniła na pokojową i choć była słaba, kazała się ubrać, aby na wszelki wypadek być gotową.

Lokaj miał nietrudną misję.

Wróciwszy do siebie, Albert ubrał się z surową elegancją.

Beauchamp przyjechał za dziesięć ósma. Widział się z Château-Renaudem, Château-Renaud obiecał zjawić się na parterze, nim podniosą kurtynę.

Obaj wsiedli do karety Alberta, że zaś młodzieniec nie potrzebował ukrywać, dokąd jedzie, zawołał:

— Do Opery!

Tak mu było spieszo, że wszedł na salę, nim podniesiono kurtynę.

Château-Renaud czekał już.

Wiedział wszystko od Beauchampa, a to uwolniło Alberta od wyjaśnień.

Syn pragnął pomścić ojca — Château-Renaudowi wydawało się to sprawą tak prostą, iż nie starał się odmawiać Alberta, a tylko zapewnił go, że jest do jego dyspozycji.

Debray nie stawił się jeszcze — lecz Albert wiedział, że sekretarz ministra rzadko kiedy opuszcza spektakl w Operze;

Albert błąkał się po korytarzach i fumoirach, dopóki nie podniesiono kurtyny.

Spodziewał się, że spotka Monte Christa.

Dzwonek wezwał Alberta na salę. Zasiadł w fotelach na parterze, między Château-Renaudem i Beauchampem.

Ale nie odrywał wzroku od łoża między kolumnami, która przez cały pierwszy akt była, jak na złość, zamknięta.

Wreszcie, z początkiem drugiego aktu, gdy Albert chyba po raz setny spojrzął na zegarek, otwały się drzwi łoża. Ukazał się Monte Christo, czarno ubrany; wsparł się rękami o parapet i rozejrzał się po sali.

Morrel, wszedłszy za nim, rozglądał się także, szukając siostry i szwagra. Hrabia obserwując salę dostrzegł twarz bladą i pałające oczy, które chciały przyciągnąć jego spojrzenie.

Poznał Alberta, ale widząc jego wzburzenie starał się, powodowany roztropnością, patrzeć w inną stronę:

Nie zdradziwszy się żadnym nierozważnym ruchem, siadł, wydobył lorgnon z futerału i począł obserwować drugą stronę sali.

I nie spuszczał z oczu Alberta, choć udawał, iż nie patrzy na niego. Zauważył więc — gdy z końcem drugiego aktu opadła kurtyna — jak młodzieniec wstał i wyszedł z dwoma przyjaciółmi.

Albert zjawił się po chwili w łoży pierwszego rzędu, naprzeciw.

Hrabia, choć spodziewał się burzy, rozmawiał wesoło z Morrelem — kiedy jednak usłyszał, jak w drzwiach łoża zazgrzytał klucz, był już na wszystko przygotowany.

Drzwi się otworzyły.

Monte Christo obejrzał się — Albert stał blady i zdenerwowany do najwyższego stopnia.

Za Albertem ukazali się Beauchamp i Château-Renaud.

— Witam, witam! — zawołał z ową miłą dystynkcją, która nie miała w sobie nic z banalnej uprzejmości. — Widzę, że przyjechał pan szczęśliwie. Dobry wieczór, panie Albercie.

I na twarzy tego człowieka, który tak mistrzowsko panował nad sobą, odmalowała się nieklamana serdeczność.

Morrel przypomniał sobie teraz o liście, jaki otrzymał od wicehrabiego.

Albert nie dając żadnych wyjaśnień prosił, aby kapitan przybył do Opery. Morrel domyślił się, że rozegra się tu jakaś straszliwa scena.

— Nie będziemy się bawić w obłudną grzeczność i wymieniać powitań rzekomo przyjacielskich — ozwał się Albert. — Przyszliśmy żądać wyjaśnień od pana hrabiego.

Głos Alberta drżał i z trudem dobywał się przez zaciśnięte zęby.

— Wyjaśnienia w Operze? — ozwał się hrabia z takim spokojem i spojrzał tak bystro, jak zwykł był mówić i patrzeć ten człowiek, nigdy nie tracący wewnętrznej równowagi. — Chociaż nie znam właściwie paryskich obyczajów, nie sądzę, mój panie, aby tu było miejsce na wyjaśnienia.

— Skoro ktoś się ukrywa — odparł Albert — skoro nie dopuszcza nikogo do siebie pod pretekstem, że jest w wannie, je obiad albo śpi, trzeba przystąpić do niego tam, gdzie go się spotka.

— Przecież nietrudno mnie spotkać, bo jeśli pamiętam, byleś pan wczoraj u mnie.

— Wczoraj, mój panie — odpowiedział Albert tracąc głowę — byłem u pana, bo nie wiedziałem, kim jesteś.

To mówiąc podniósł tak głos, że usłyszano go w łóżach sąsiednich i na korytarzu.

Tedy z łóż sąsiednich zaczęto spoglądać na łóżę hrabiego, osoby zaś przechadzające się po korytarzu zatrzymały się za Château-Renaudem i Beauchampem.

— Co się panu stało? — zapytał Monte Christo, nie objawiając jakiegokolwiek wzburzenia. — Zdaje mi się, że nie jesteś pan przy zdrowych zmysłach.

— Jestem przy zdrowych zmysłach na tyle, żeby zrozumieć pańskie podłe machinacje i oznajmić panu, że pragnę się zemścić! — krzyknął Albert rozjuszony.

— Nie rozumiem pana, a prócz tego bądź pan łaskaw mówić ciszej. Jestem tutaj u siebie, a więc ja jeden mam prawo podnosić głos. Niech pan wyjdzie!

I Monte Christo wskazał mu drzwi gestem rozkazującym i jakże wspaniałym.

— A, już ja pana potrafię stąd wypłoszyć! — zawołał Albert mnąc kurczowo rękawiczkę, której hrabia nie spuszczał z oczu.

— Dobrze, dobrze — odparł z flegmą Monte Christo. — Widzę, że pan szukasz ze mną zwady, ale przyjmij jedną radę i nie zlekceważ jej: źle czyni, kto zbyt głośno rzuca wyzwanie. Rozgłos nie każdemu służy, hrabio de Morcerf.

Kiedy padło to nazwisko, rozległ się szmer zdziwienia.

Nazwisko Alberta było od wczoraj na ustach wszystkich.

Albert najpierw i najlepiej zrozumiał aluzję — uczynił tedy gest, aby cisnąć rękawiczkę w twarz hrabiemu; ale Morrel chwycił go za rękę, a Beauchamp i Château-Renaud, lękając się burdy, przytrzymali porywczego młodzieńca.

Monte Christo nie wstał, a tylko przechylił się na krzesło, wyciągnął rękę i wyjął ze skurczonych palców Alberta zmiętą i wilgotną rękawiczkę.

— Uważam — powiedział ze straszliwą groźbą — żeś rzucił mi pan rękawiczkę, a odeślę ci ją owinąwszy w nią kulę. A teraz wyjdź pan, bo inaczej zawołam służbę i każę pana wyrzucić za drzwi.

Półprytomny, przerażony, z okiem krwią nabiegłym, Albert cofnął się o dwa kroki.

Morrel, korzystając z tego, zamknął drzwi.

A Monte Christo wziął lornetkę i jął przyglądać się sali, jakby nie zaszło nic osobliwego.

Człowiek ten miał serce ze spiżu, a twarz z marmuru.

Morrel nachylił się ku niemu:

— Coś pan mu zrobił? — szepnął.

— Nic. To znaczy jemu osobiście — nic.

— Ale przecież to dziwne zajście musi mieć jakąś przyczynę...

— Pana Alberta wytrąciło z równowagi niepowodzenie, jakiego doznał jego ojciec.

— Czyżbyś pan był w to zamieszany?

— Hayde poinformowała Izbę o zdradzie hrabiego.

— A tak, słyszałem o tym. Ale wierzyć mi się nie chciało, że ta niewolnica grecka, którą widywałem tu z panem, jest córką Ali Paszy. Niebawale!

— A jednak to prawda.

— No, teraz już wszystko rozumiem. Zaczepka była ukartowana.

— Jak to?

— Albert pisał dziś do mnie, żebym przyjechał wieczorem do Opéry; chciał mieć we mnie świadka zniewagi, którą zadał panu.

— Możliwe — odparł Monte Christo z niezmaconym spokojem.

— Ale co pan z nim uczynisz?

— Z kim?

— Z Albertem.

— Z Albertem? — odparł Monte Christo nie tracąc niezmaconego spokoju. Zabiję go jutro przed dziesiątą rano, i basta. Oto, co z nim uczynię.

Morrel ujął rękę Monte Christa i zadrżał — taka była spokojna i chłodna.

— O, hrabio — rzekł — ojciec go tak kocha!

— Przestań pan mówić na ten temat! — zachnął się Monte Christo, po raz pierwszy nie panując nad gniewem. — Będzie cierpiał za moją przyczyną!

Morrel osłupiał i puścił rękę hrabiego.

— Hrabio, hrabio!... — rzekł.

— Drogi panie Maksymilianie — przerwał hrabia — posłuchaj lepiej, jak prześlicznie Duprez śpiewa tę frazę;

O Matylde! Bóstwo mojej duszy...

Ja pierwszy poznałem się na nim w Neapolu i oklaskiwałem go pierwszy. Brawo! Brawo!

Morrel zrozumiał, że teraz nic nie wskóra, postanowił więc zaczekać.

Kurtyna opadła.

Ktoś zastukał do drzwi.

— Proszę — powiedział Monte Christo, a głos jego nie zdradzał najłżejszego wzruszenia.

Zjawił się Beauchamp.

— A witam, witam — ozwał się Monte Christo, jakby tego wieczoru zobaczył dziennikarza po raz pierwszy. — Niechże pan siada.

Beauchamp skłonił się, wszedł i usiadł.

— Panie hrabio — powiedział — towarzyszyłem przed chwilą, jak pan to pewnie zauważył, hrabiemu de Morcerf.

— To znaczy — roześmiał się Monte Christo — żeście panowie byli zapewne razem na obiedzie. Miło mi, że wypieś pan mniej wina niż pan Albert.

— Panie hrabio, przyznaję, że Albert zawił mnie nad nerwami; jeśli o mnie idzie, przeproszam najmocniej. Skoro zaś przeprosiłem — podkreślam, że jedynie w swoim imieniu — przystępuję do rzeczy: jesteś pan zbyt eleganckim człowiekiem, abys odmówił mi pewnych wyjaśnień, dotyczących pańskich stosunków z mieszkańcami Janiny. Następnie dorzucę parę słów w związku z ową młodą Greczynką.

Monte Christo poruszył wargami i spojrzął w taki sposób, że Beauchamp zamilkł.

— No cóż — ozwał się z uśmiechem — przepadły moje nadzieje.

— Jakie nadzieje? — spytał Beauchamp.

— Oczywiście rozpowiadasz pan, że jestem człowiekiem ekscentrycznym — według pana jakimś Lara, Manfredem albo lordem Ruthwenem; przyzwyczajwszy się do mojej ekscentryczności, twierdzisz pan, że jestem typem banalnym. Masz mnie pan za prostaka; wreszcie — żądasz wyjaśnień. No, no, drogi panie, chyba to żarty.

— A jednak — odparł wyniośle Beauchamp — istnieją okoliczności, w których uczciwość nakazuje...

— Mój panie, panu hrabiemu de Monte Christo rozkazuje jedynie pan hrabia de Monte Christo. A więc ani słowa więcej na ten temat, jeśli pan łaskaw. Robię, mój panie, to, co mi się podoba, i wierz mi, że zawsze mi się udaje.

— Panie hrabio, człowiek elegancki nie zadowolony się taką odpowiedzią; trzeba gwarancji honoru.

— Łaskawy panie, jestem żywą gwarancją — odparł zimno hrabia, lecz oczy jego ciskały groźne błyski. — Obaj mamy w żyłach krew i przelejem ją chętnie: oto nasza wzajemna gwarancja. Powtórz pan to wicehrabiemu i powiedz mu jeszcze, że jutro, przed dziesiątą rano, jego krew popłynie.

— Pozostaje mi już tylko oznaczyć warunki.

— To mi jest, proszę pana, całkiem obojętne. Niepotrzebnieś pan przeszkodził mi dla takiej błahostki oglądać spektakl. We Francji ludzie pojedynkują się na szpady albo na pistolety; w koloniach strzelają do siebie z karabinów; w Arabii walczą na sztylety. Powiedz pan swojemu klientowi, że choć mnie obraził, będę ekscentryczny do końca i zostawiam mu wybór broni; przyjmuję wszelkie warunki bez dyskusji i bez jakichkolwiek zastrzeżeń; wszelkie, zrozumiałeś pan? Wszelkie. Gotów jestem nawet ciągnąć losy, choć to zawsze idiotyzm. Bo widzi pan, jestem pewien wygranej.

— Pewien wygranej! — powtórzył Beauchamp, spoglądając z przerażeniem na hrabiego.

— Ależ oczywiście — odpowiedział Monte Christo, wzruszając lekko ramionami. — W przeciwnym wypadku nie potykałbym się z panem de Morcerf. Zabiję go, bo tak trzeba, więc tak będzie. Tylko napisz pan do mnie słówko dziś jeszcze, uwiadamiając o godzinie i rodzaju broni; nie lubię czekać.

— A więc na pistolety, o ósmej rano, w lasku Vincenries — oznajmił Beauchamp zbity z tropu, nie wiedział bowiem, czy ma do czynienia z nieumiarkowanym fanfaronem, czy z szatanem.

— Zgoda. Skoro wszystkośmy ustalili, nie przeszkadzaj mi pan, jeśli łaska, przyglądać się spektaklowi, a pański przyjaciel Albert niech mnie dziś już nie odwiedza. Zaszkoziłby sobie nowymi grubiaństwami. Niechże wróci do domu i niech się prześpi.

Beauchamp wyszedł nie posiadając się ze zdziwienia.

— Mogę liczyć na pana, prawda? — zwrócił się Monte Christo do Morela.

— Oczywiście, może hrabia mną dysponować, tylko...

— Cóż takiego?

— Chciałbym dla zasadniczych względów poznać istotną przyczynę...

— To znaczy, że mi kapitan odmawia.

— Ależ nie.

— Prawdziwej przyczyny nie zna i ten młodzieniec, posuwający się na ślepo. Prawdziwą przyczynę znam tylko ja i Bóg; ale ręczę panu honorem, że Bóg, znając przyczynę, będzie z nami.

— To mi wystarczy, hrabio. Kto będzie pańskim drugim sekundantem?

— Znam w Paryżu tylko dwóch ludzi godnych tego zaszczytu: pana i pańskiego szwagra. Czy sądzi pan, że Emanuel wyświadczy mi tę przysługę?

— Ręczę za niego.

— Doskonale, nie trzeba mi więcej. A więc jutro, u mnie, o siódmej rano, tak?

— Stawimy się obaj.

— A teraz posłuchajmy, kurtyna się podnosi. Nie tracę nigdy ani jednej nutki z tej opery. Trudno o piękniejszą muzykę niż w „Wilhelmie Tellu”!

14. MOC

Pan de Monte Christo zczekał, jak to było jego zwyczajem, aż Duprez odśpiewa słynną arię „Pójdź za mną!” — po czym wstał i wyszedł.

Morrel pożegnał się z nim u drzwi, ponawiając obietnicę, że stawi się nazajutrz z Emanuelem, punktualnie o siódmej.

Hrabia, uśmiechnięty i spokojny jak zawsze, wsiadł do karety.

Po pięciu minutach był w domu.

Ale kto znał hrabiego, domyśliłby się łącznie, jakie nurtują go uczucia, gdy zawołał w progu:

— Ali! Pistolety poprawne w kość słoniową!

Ali przyniósł panu szkatułkę. Hrabia ją oglądać broń ze skrupulatnością zrozumiałą u człowieka, który miał zdać się na łaskę żelaza i ołowiu.

Były to pistolety specjalne, z których Monte Christo strzelał do celu u siebie w mieszkaniu. Broń to była niemal bezgłówna — nikt by się nie domyślił, siedząc w przyległym pokoju, że hrabia się „wprawia”.

Wziąwszy pistolet obierał sobie punkt na metalowej płytce, która służyła mu za cel — kiedy otworzyły się drzwi i wszedł Baptysta.

Nim jednak przemówił, hrabia dostrzegł przez uchylone drzwi jakąś zawołowaną kobietę. Stała w półmroku wszedłszy za Baptystą.

Ujrzawszy pistolet w rękę hrabiego i dwie szpady na stole, wbiegła do gabinetu.

Baptysta spojrzał pytająco na pana.

Hrabia dał mu znak — lokaj wyszedł zamykając drzwi.

— Kim pani jesteś? — spytał hrabia.

Nieznajoma rozejrzała się wokół, pragnąc jakby upewnić się, czy są sami. Następnie pochyliła się, jakby miała paść na kolana, i złożony ręce rzekła z rozpaczą:

— Edmundzie, nie zabijaj mi syna!

Hrabia cofnął się, wydał stłumiony okrzyk, broń wypadła mu z ręki.

— Czyje imię wymówiła pani hrabina? — zapytał.

— Twoje! — zawołała, odrzucając welon. — Twoje, którego ja tylko chyba nie zapomniałam, Edmundzie; przyszła do ciebie nie hrabina de Morcerf, ale Mercedes.

— Mercedes umarła, pani hrabino. Nie znam nikogo innego o tym imieniu.

— Mercedes żyje i Mercedes pamięta! Ona jedna, Edmundzie, ujrzawszy cię wiedziała, kim jesteś, a nawet nie widząc cię poznała twój głos i od tego czasu idzie za tobą krok w krok, śledzi cię i boi się ciebie. Wiedziała od razu, czyja ręka ugodziła jej męża.

— Masz pani na myśli Fernanda? — podjął hrabia z gorzką ironią. — Skoro przypominamy sobie imiona, przypomnijmyż wszystkie.

... Monte Christo wymówił imię pana de Morcerf z taką nienawiścią, że Mercedes zdrząła:

— Jak widzisz, Edmundzie, nie pomyliłam się! Miałam rację mówiąc: oszczędź mi syna!

— A któż pani powiedział, że ja mam do niego pretensję?

— Nikt, przysięgam! Matki mają dar jasnowidzenia. Odgadłam wszystko, byłam dziś w Operze, widziałam całą scenę z ukrycia.

— A więc widziałaś pani, że syn Fernanda znieważył mnie publicznie! — powiedział ze straszliwym spokojem Monte Christo.

— Litości! — Widziałaś pani, że cisnąłby mi w twarz rękawiczkę, gdyby przyjaciel mój, pan Morrel, nie przytrzymał go za rękę.

— Posłuchaj. Mój syn domyślił się także. Obwinia cię o nieszczęścia, które spadły na mojego męża.

— Łaskawa pani jest w błędzie: to nie nieszczęścia, to kara. To nie ja ugodziłem pana de Morcerf, to ukarała go Opatrzność.

— I z jakiegoż to tytułu pełnisz rolę Opatrzności? Czemu pamiętasz o tym, o czym ona zapomniała? Cóż ciebie, Edmundzie, obchodzi Janina i jej wezyr? Czymże dotknął cię Fernand Mondego zdradzając Ali Paszę?

— Toteż, łaskawa pani, cała ta sprawa dotyczy oficera francuskiego i córki Wasyliki. Nic mnie to nie obchodzi, ma pani rację: przysięgam zemstę nie kapitanowi francuskiemu i nie hrabiemu de Morcerf, ale rybakowi Fernandowi, mężowi Katalonki Mercedes..

— Ach, cóż za okropna zemsta za błąd, który popełniłam, przywieziona do niego fatalnością! Bo winowajczynią ja jestem, Edmundzie, i jeśli chcesz wyrzucić na kogoś zemstę, zemścij się na mnie, że osamotniona, gdy zniknęłam, okazałam słabość.

— Ale dlaczego to zniknęłam, czemu byłaś pani osamotniona?

— Bo cię pojmano i wtrącono do więzienia.

— A czemu pojmano mnie i uwięziono?

— Nie wiem.

— O, nie wiesz, pani. Tego przynajmniej się spodziewam. No to ja pani powiem. Aresztowano mnie i wtrącono do lochu, ponieważ w altance „Ustronia”, w wilię naszego ślubu, pewien człowiek nazwiskiem Danglars napisał list, a rybak imieniem Fernand zaofiarował się, że wrzuci ów list do skrzynki.

I Monte Christo otworzył energicznym ruchem szufladę kantorka, wyjął pożółkłą kartkę, na której atrament zrudział już, i podsunął ją Mercedes pod oczy.

Był to list Danglarsa do prokuratora królewskiego. Pamiętacie, jak hrabia de Monte Christo, przebrany za mandatariusza firmy Thompson i French, wypłacił panu de Boville dwieście tysięcy franków i wykrał akta sprawy Edmunda Danétsa.

Mercedes przeczytała ze zgrozą, co następuje:

Oddany sługa tronu i ołtarza donosi panu prokuratorowi królewskiemu, że oficer ze statku „Faraon”, niejaki Edmund Dantés, który przybył dziś rano ze Smyrny, zatrzymawszy się po drodze w Neapolu i Portoferraio, przewiózł był list od Murata do uzurpatora, w następstwie czego uzurpator wręczył Dantésowi list do komitetu stronnictwa bonapartystów w Paryżu.

Dowód winy wyjdzie na jaw po aresztowaniu Dantésa, gdyż list ów znajduje się albo w jego kieszeni, albo w mieszkaniu jego ojca, albo też w kajucie Dantésa na statku „Faraon”.

— O Boże! — zawołała Mercedes, przeciągając dłonią po spotniałym czole. — I ten list...

— Kupiłem go, łaskawa pani, za dwieście tysięcy franków; ale to fraszka, skoro mogę dziś, dzięki niemu, oczyścić się w pani oczach.

— A co wynikło z tego listu?

— Wie pani przecie, że wtrącono mnie do więzienia, ale nie wie pani, jak długo tym byłem. Czternaście lat — o ćwierć mili od pani domu, w lochach zamku If. Nie wiesz, pani, że co dzień przez te czternaście lat ponawiałem przysięgę o zemście. A jednak nie wiedziałem, że poślubiłaś pani Fernanda, donosiciela, i że mój ojciec umarł z głodu!

— Sprawiedliwy Boże! — zawołała Mercedes ślaniając się.

— Dowiedziałem się o tym po czternastu latach, wydostawszy się z więzienia. Poprzysięgłem Fernandowi zemstę... i mszczę się.

— Ale czy jesteś pan pewien, że nieszczęsny Fernand jest sprawcą tego wszystkiego?

— Przysięgam pani na zbawienie, że tak. Ma też na sumieniu inne, nie mniej szkaradne postęпки: Francja jest jego przybraną ojczyzną, a on przeszedł na stronę Anglików. Rodowity Hiszpan — walczył z Hiszpanami; a będąc na żołdzie Alego, zdradził go i zamordował. Wobec tego wszystkiego cóż znaczy list, który przeczytałaś pani? Figiel kochanka, który winna wybaczyć, rozumiem to, każda kobieta. Psoty tej nie wybaczy jednak człowiek, który miał poślubić ową kobietę. Francuzi nie zemścili się na zdrajcy; Hiszpanie nie rozstrzelali zdrajcy; Ali leży w grobie. Ale ja, zdradzony, żywcem pogrzebany, wstałem z grobu, gdyż Bóg tak chciał, Bogu jestem winien tę zemstę, przysłał mnie bowiem jako mściciela.

Biedna kobieta opuściła głowę i ręce jej opadły; nogi ugięły się pod nią, klękała.

— Przebac, Edmundzie, przebac ze względu na mnie, bo kocham cię, jak kochałam.

Ale cnotliwa małżonka wzięła w niej górę nad porywem kochanki i matki.

Czoło jej dotknęło niemal kobierca.

Hrabia podbiegł do Mercedes i podniósł ją.

Usiadłszy w fotelu spoglądała przez łzy na twarz Monte Christa, którą boleść i nienawiść czyniły jeszcze groźniejszą.

— Muszę zniszczyć to przeklęte plemię! Muszę być posłuszny Bogu, który wskrzesił mnie, bym ukarał winnych. Niepodobna, pani, niepodobna!...

— Edmundzie — rzekła biedna matka próbując wszelkich środków — czemuż nie mówisz do mnie Mercedes, kiedy nazywam cię Edmundem?

— Mercedes! — powtórzył Monte Christo. — Mercedes! A tak, masz pani rację, z rozkoszą jeszcze wymawiam to imię i od bardzo dawna zadźwięczało ono po raz pierwszy tak wyraźnie w moich ustach. O, Mercedes! Wymawiałem twoje imię wzdychając smętnie, jęcząc z bólu i krzycząc z rozpacz;

wymawiałem je zziębnięty do szpiku kości, skulony na słomie w moim lochu; wymawiałem je trawiony gorączką, tarzając się po kamiennej podłodze więzienia. Mercedes, muszę się zemścić, bo czternaście lat cierpiałem, płakałem i złorzeczyłem; tak, Mercedes, muszę się zemścić!

I hrabia w obawie, by nie wzruszył się prośbami tej, którą tak ongi kochał, jął przywoływać wspomnienia na pomoc nienawiści.

— Mścij się, Edmundzie — zawołała nieszczęśliwa matka — ale mścij się na winnych; mścij się na nim, mścij się na mnie, ale nie mścij się na moim synu!

— Pismo Święte powiada: „Za winy ojców cierpieć będą dzieci aż do trzeciego i czwartego pokolenia”. A skoro Bóg natchnął tymi słowami swojego proroka, czemuż miałbym być lepszy od Boga?

— Dlatego że Bóg rządzi czasem i wiecznością, a człowiek nie. Monte Christo jęknął i chwycił się za głowę.

— Edmundzie — ciągnęła Mercedes, podając mu obie ręce — Edmundzie, odkąd cię znam, uwielbiam twoje imię, a wspomnienie o tobie zawsze było mi drogie. Edmundzie, nie dopuść, aby zamać się ten czysty i szlachetny obraz, jaśniejący w moim sercu. Edmundzie, gdybyś wiedział, ile modliłam się za ciebie, kiedy myślałam, że żyjesz jeszcze, i kiedy myślałam, żeś umarł! Tak, umarł, niestety! Myślałam, że pochowano cię w lochu, w jakiejś posępnej wieży; że dozorczy cisnęli twoje ciało w przepaść, gdzie spoczywają kości więźniów. Płakałam! Ale cóż ja mogłam dla ciebie uczynić? Mogłam tylko modlić się i płakać. Posłuchaj: przez dziesięć lat śniło mi się co noc to samo. Powiadano, że chciałeś uciec, że owinąłeś się w całun umarłego; że wtedy ciebie, żywego trupa, rzucono z murów zamku If i że krzyk twój, kiedy upadłeś na skały, uwiadomił twoich grabarzy, że stali się katami. Otóż, Edmundzie, przysięgam ci na życie mojego syna, o którego dziś zanoszę prośby do ciebie: przez dziesięć lat widziałam każdej nocy ludzi stojących na skale. Kołysali jakiś bezkształtny, tajemniczy przedmiot. Każdej nocy budził mnie, zmrożoną strachem, jakiś okropny krzyk. Wierz mi, Edmundzie, że ja też, choć zawiniłam, wycierpiałam wiele!

— A czy widziałaś oczyma wyobraźni, jak umierał twój ojciec? — zawołał Monte Christo szarpiąc się za włosy. — A ja widziałem, konając w lochu, jak moja ukochana podawała rękę mojemu rywalowi.

— Nie, ale teraz ujrzałam w moim dawnym kochanku mordercę mojego syna! Mercedes powiedziała to tak boleśnie i z taką rozpaczą, że hrabia załkał.

Lew został ujarzmiony, mściciel — zwyciężony.

— Czego żadasz, pani? — spytał. — Żeby syn twój żył? A więc żył będzie. Mercedes krzyknęła z radości — hrabiemu zakręciły się łzy w oczach; ale znikły zaraz — pewnie Bóg zesłał anioła, by zebrał te łzy, cenniejsze niżli najwspanialsze perły Guzaraty i Ofiru.

— Ach! — zawołała, chwytając rękę hrabiego i podnosząc ją do warg — dziękuję, dziękuję, Edmundzie! Jesteś taki, o jakim zawsze marzyłam, jakiego zawsze kochałam. O, teraz powiedzieć to mogę.

— Tym bardziej że już niedługo będziesz pani kochała biednego Edmunda. Umarły wróci do grobu, widmo rozplynie się w ciemności.

— Co znaczą te słowa, Edmundzie?

— Powiadam, że umrę, skoro kazałaś mi umrzeć, pani.

— Umrzeć! Ja ci umrzeć kazałam? Skądże myśl taka?

— Nie sądzisz chyba, pani, żebym miał ochotę żyć choć chwilę dłużej, obrażony publicznie, wobec całej sali, wobec przyjaciół pani i pani syna, młokosa, który będzie się chlubił moim przebaczeniem jako zwycięstwem. Po tobie, Mercedes, najwięcej kochałem siebie, czyli moją godność osobistą, ową siłę, która dawała mi wyższość nad innymi; siła ta była moim życiem. Złamałaś ją, pani, wyrzekłszy jedno słowo, więc umrę.

— Ależ pojedynek się nie odbędzie, skoroś przebaczył.

— Odbędzie się, łaskawa pani — rzekł uroczyście hrabia — ale poleje się nie krew twojego syna, lecz moja.

Mercedes krzyknęła i rzuciła się ku hrabiemu. Zatrzymała się jednak.

— Edmundzie — rzekła — Bóg czuwa nad nami, skoro żyjesz i skorom ujrzała cię znowu. Mam w Bogu ślepą ufność. Wiem, że mnie wesprze, a tymczasem polegam na twoim słowie. Powiedzieliś, że mój syn będzie żył. Powtórz mi to jeszcze.

— Będzie żył, łaskawa pani — ozwał się Monte Christo zdziwiony, iż Mercedes przyjęła bez protestu jego ofiarę.

Mercedes podała mu rękę.

— Edmundzie — mówiła patrząc ze łzami w oczach na hrabiego — jak to pięknie z twojej strony, jak wielkodusznie! Jak to szlachetnie, żeś ulitował się nad biedną kobietą, która zaufała ci, nie mając żadnych atutów, dzięki którym mogłaby wygrać sprawę. Niestety! Postarzała bardziej od zmartwień niż od wieku, nie mogę już przypomnieć mojemu Edmundowi uśmiechem czy spojrzeniem owej Mercedes, w którą ongi wpatrywał się godzinami. Ach, wierz mi, Edmundzie, powtarzam, że i ja wycierpiałam wiele; powtarzam, że smutny jest obraz mojego życia; nie pamiętam żadnej radości, nie zachowałam żadnej nadziei; ale to dowód, że nie wszystko się kończy tu, na ziemi. Nie, nie wszystko skończone, wiem o tym, bo w sercu moim tli się coś jeszcze. Powtarzam ci, Edmundzie, że to pięknie, wielkodusznie, szlachetnie tak przebaczyć, jakieś ty to uczynił!

— Mówisz tak, Mercedes, ale co powiedziałaśbyś znając ogrom mojej ofiary?

Wyobraź sobie, że Pan nad Pany, stworzywszy świat, zapłodniwszy chaos, dokonawszy dzieła w dwóch trzecich, zatrzymał się, by zaoszczędzić łez aniołowi, łez, które nasze zbrodnie miały wycisnąć z jego nieśmiertelnych oczu; wyobraź sobie, że przygotowawszy wszystko, wymiesiwszy i zapłodniwszy, Bóg, zamiast podziwiać swoje dzieło, zgasił słońce i zepchnął ziemię w wieczyste mroki; wyobraź to sobie, a zrozumiesz — nie, nie zrozumiesz! — ile tracę, tracąc życie w tym momencie.

Mercedes popatrzyła na hrabiego ze zdumieniem, uwielbieniem i wdzięcznością.

Monte Christo wsparł czoło na rozpalonych dłoniach, jak gdyby nie mógł już udźwignąć ciężaru własnych myśli.

— Edmundzie — ozwała się Mercedes — chciałam powiedzieć ci jeszcze tylko jedno słowo.

Hrabia uśmiechnął się gorzko.

— Edmundzie, choć lica moje utraciły rumieniec, oczy blask, a uroda moja minęła, chociaż dawną Mercedes przypominam już tylko z rysów twarzy, przekonasz się, że serce moje pozostało to samo!... Żegnaj więc, Edmundzie! O nic już Boga prosić nie będę... Spotkałam cię równie szlachetnego i wielkiego jak dawniej. Żegnaj, Edmundzie... Żegnaj... i dziękuję.

Ale hrabia nic nie odrzekł.

Mercedes otworzyła drzwi i znikła, nim hrabia otrząsnął się z bolesnej zadumy, w jakiej pograżyła go myśl o poniechanej zemście.

Zegar u Inwalidów wydzwonił pierwszą, gdy hrabia uniósł głowę, na bruku Pól Elizejskich zaturkotała bowiem karetą pani de Morcerf.

— Szalony jestem! — rzekł do siebie. — Tego dnia, kiedy powziąłem myśl o zemście, trzeba było sobie wyrwać serce.

15. POJEDYNEK

Po odjeździe Mercedes dusza Monte Christo pograżyła się w mroku. Myśl jego zamarła na chwilę, duch pełen energii zasnął niby znużone ciało.

— Tak to — powiadał sobie, gdy lampa i świece dopalały się posępnie, a służba czekała niecierpliwie w przedsionku — tak to budowla, wznoszona z namysłem, trudem i pieczołowitością, zawaliła się od razu — a wystarczyło jedno słowo, wystarczyło tchnienie! I ja wierzyłem w siebie, pyszniłem się samym sobą. Ja, który nic nie znaczyłem w lochach twierdzy If, ja, który umiałem wznieść się na wyżyny, jutro obrócę się w proch! Niestety! To nie śmierci fizycznej się lękam: toż owo zniszczenie źródła życia jest tylko odpoczynkiem, do którego wszystko zmierza, a za którym tęskni każda nieszczęśliwa istota. Idąc drogą bolesną, drogą głodu, tęskniłem i ja za tym odpoczynkiem, póki Faria nie zjawił się w mojej celi.

Czymże śmierć jest dla mnie? Trochę większym spokojem, trochę głębszą ciszą. Nie, nie żałuję istnienia, ale ruiny moich projektów, tak wolno i pracowicie obmyślonych. Sądziłem, że sprzyja im Opatrzność, a tymczasem była ona im przeciwna! A więc Bóg nie życzył sobie, bym je wykonał!

Ciężar, który podniosłem, ciężar ważący niemal tyle co świat, ciężar, który jak sądziłem, miałem donieść do celu, okazał się ponad moje siły. Będę go musiał zostawić, przebywszy tylko połowę drogi.

O, czyżbym znowu stał się fatalistą, ja, który po czternastu latach rozpacz i dziesięciu latach nadziei uwierzyłem w Opatrzność?

I wszystko, miły Boże, dlatego, że moje serce, które miałem za umarłe, było tylko odrętwiałe; dlatego że zbudziło się i zabiło boleśnie na głos kobiety!

A jednak — dumał dalej hrabia, rozmyślając, co mu przyniesie owo straszliwe jutro, na" które zgodziła się Mercedes — a jednak to niemożliwe, aby ta kobieta o sercu wyjątkowo szlachetnym godziła się, kierowana egoizmem, z tym, że jutro zginę, ja, w sile wieku! To niemożliwe, aby posunęła się do tego stopnia w miłości macierzyńskiej, a raczej w macierzyńskim obłądziej!

Niektóre cnoty doprowadzone do przesady są zbrodnią.

Nie. Ona pewnie zamierza urządzić jakąś patetyczną scenę, na przykład rzucić się między szpady. I to, co tutaj było wzniosłe, tam będzie śmieszne.

I rumieniec dumy zabarwił policzki hrabiego.

— Śmieszne! — powtórzył. — I tą śmiesznością ja się okryję... Ja ośmieszony! No, to już wolę umrzeć.

I z góry przejawiając jutrzejsze wypadki, na których bieg niepomyślny skazał się sam, obiecawszy Mercedes oszczędzić jej syna, powiedział sobie wreszcie:

— O, głupcze, głupcze, głupcze! Poniesiony szlachetnością będziesz czekał biernie na kulę tego młodzieńca! A on nigdy nie uwierzy, że moja śmierć była samobójstwem. A przecież ta śmierć to sprawa mojego honoru — nie mówię tego, mój Boże, przez próżność, ale powodując się uzasadnioną dumą — trzeba więc, aby świat się dowiedział, że z własnej i nieprzymuszonej woli wstrzymałem ramię, które wzniosłem już, by uderzyć, i że ramię to, potężnie przeciwko wrogom uzbrojone, skierowałem na własną pierś! Musi tak być i uczynię to.

I chwyciwszy pióro, wydobył ze skrytki biurka jakiś papier. Skreślił u dołu kilka wierszy. Papier ów był to testament, sporządzony przez hrabiego w Paryżu. A teraz dopisał parę słów, które oświeciłyby każdego, jaką śmierć poniósł.

— Czynię to, mój Boże — powiedział wzniosłszy oczy do nieba — zarówno dla twojej chwały, jak i mojej. Uważałem się od dziesięciu lat za mściciela, którego ty zesłałeś tu na ziemię. Nie trzeba więc, aby tacy nędznicy jak Morcerf, Danglars i Villefort wyobrażali sobie, że to przypadek uwolnił ich od wroga. Niech wiedzą, że Opatrzność, która podpisała już na nich wyrok, cofnęła go teraz dzięki mojej potężnej woli. Niech wiedzą, że kara, której uniknęli na tym świecie, czeka ich na tamtym. Niech wiedzą, że czas wymienili na wieczność.

Kiedy tak trawiony ponurym niepokojem dumał boleśnie, cierpienie bowiem spędziło mu sen z powiek, brzask rozświetlił szyby i wydobył z mroku niebieskawy papier, na którym hrabia uzasadnił wyrok Opatrzności.

Była piąta rano.

Usłyszał nagle szmer.

Wydało mu się również, że ktoś jakby westchnął cichutko.

Rozejrzył się — nie było nikogo.

Ale szmer powtórzył się — nie było to więc złudzenie.

Hrabia wstał i otworzył cicho drzwi salonu. Na fotelu spała Hayde. Ręce jej zwisały, śliczna główka opadła w tył. Przysunęła fotel do drzwi, aby hrabia wychodząc natknął się na nią, ale sen, jakże u młodych osób potężny, zmógł dziewczynę w czasie tego męczącego czuwania.

Nie obudziła się, gdy hrabia otworzył drzwi.

Monte Christo popatrzył na nią łagodnie i boleśnie zarazem.

— Ona pamiętała o swoim synu — rzekł — a ja zapomniałem o mojej córce. I potrząsnąwszy smutnie głową:

— Biedna Hayde, chciała się ze mną zobaczyć, pomówić, złękła się czegoś albo domyśliła... O, nie odejdę od niej bez pożegnania, nie umrę, nie powierzywszy jej komuś.

Wrócił na palcach do gabinetu i skreślił następujące słowa:

Zapisuję Maksymilianowi Morrelowi, kapitanowi spahisów, synowi Piotra Morrela, armatora w Marsylii, a mojego byłego chlebodawcy, dwadzieścia milionów franków, których część przekaże swojej siostrze Julii i swojemu szwagrowi Emanuelowi, jeśli nie będzie uważał, iż ten nadmiar fortuny zaszkodzi ich szczęściu.

Suma ta jest ukryta w grocie Monte Christo, a kryjówkę zna Bertuccio.

Jeśli serce Maksymiliana jest wolne, niech młodzieniec ten poślubi Hayde, córkę Alego, paszy Janiny. Wychowałem tę dziewczynę z

miłością ojcowską, ona zaś kocha mnie jak córka. Poślubiwszy ją, Maksymilian Morrel spełni nie tyle moją ostatnią wolę, ile moje ostatnie życzenie.

Niniejszym testamentem uczyniłem już Hayde dziedziczką mojej pozostałej fortuny — to znaczy kapitału ulokowanego w Anglii, Austrii i Holandii oraz umeblowania wielu moich pałaców i domów, a także dóbr ziemskich należących do mnie. Wartość całego tego majątku, po odjęciu owych dwudziestu milionów oraz zapisów dla służby, wynosi około sześćdziesięciu milionów.

Kiedy kończył pisać ostatnie słowa, ktoś krzyknął za nim tak głośno, że pióro wypadło mu z ręki.

— Hayde — rzekł — przeczytałaś?

Dziewczyna, zbudzona światłem poranka, wstała i podeszła na palcach do hrabiego. Nie słyszał jej lekkiego stapania, bo stłumił je kobierzec.

— O panie mój — ozwała się składając ręce — czemuż piszesz o tej porze? Czemu obdarzasz mnie całą swoją fortuną? Czyżbyś miał mnie opuścić?

— Wybieram się, mój aniele, w podróż — odpowiedział Monte Christo z niewysłowioną melancholią i czułością — i gdyby przytrafiło mi się coś złego...

Urwał w pół z dnia.

— I cóż dalej?... — zapytała dziewczyna tonem tak władczym i u niej niezwykłym, że hrabia zdrzął.

— Ano cóż, pragnę, żeby moja córka była szczęśliwa, gdyby stało się ze mną coś złego.

Hayde uśmiechnęła się smutno, potrząsając głową.

— Myślisz, mój panie, o śmierci, czy tak?

— To, moje dziecko, myśl zbawienna, jak utrzymuje pewien mędrzec.

— A więc zapisz fortunę komu innemu, bo jeśli umrzesz... ja nie będę potrzebować niczego.

Wzięła papier, rozdarła go na cztery części i rzuciła na ziemię.

I wyczerpana tym wysiłkiem, tak niezwykłym u niewolnicy, padła zemdlona.

Monte Christo pochylił się nad nią, wziął ją w ramiona, a widząc jej bladość i zamknięte oczy, pomyślał po raz pierwszy, że Hayde kocha go może nie tak, jak córka kocha ojca.

— Niestety! — wyszeptał z głęboką goryczą. — A więc mógłbym być jeszcze szczęśliwy.

Zaniósł Hayde do jej apartamentu i oddał zemdloną pod opiekę pokojowych. Wróciwszy do gabinetu zamknął energicznie drzwi i jął przepisywać testament. Kiedy kończył, na dziedzińcu zaturkotał kabriolet. Podeszedłszy do okna Monte Christo ujrzał Maksymiliana i Emanuela.

— Dobrze — powiedział do siebie — najwyższy czas.

I zalakował testament przyłożywszy pieczęć w trzech miejscach. Kiedy w salonie rozległy się kroki, otworzył drzwi gabinetu. Stał w nich Morrel. Przybył o dwadzieścia minut za wcześnie.

— Może pospieszyłem się zbyt, panie hrabio — rzekł — ale mówiąc szczerze, nie zmrużyłem dziś oka, tak samo jak i moi najbliżsi. I w tej chwili dopiero przyszedłem do siebie, widząc pański spokój i odwagę.

Monte Christo, wzruszony takim dowodem przyjaźni, wyciągnął rękę do kapitana.

— Panie Maksymilianie — rzekł, a głos mu drżał — piękny to dzień dla mnie, dzień, w którym dowiedziałem się o przyjaźni takiego człowieka jak pan. Dzień dobry, panie Emanuelu. A więc jedzie pan ze mną, panie Maksymilianie?

— Do licha! Czyżbyś pan wątpił?

— No, bo jeśli nie mam racji...

— Obserwowałem pana podczas całego zajścia, myślałem o pańskim spokoju przez całą noc i doszedłem do wniosku, że gdyby sprawiedliwość nie była po pańskiej stronie, twarz ludzka kłamałaby zawsze.

— Ale, panie Maksymilianie, przecież Albert jest pańskim przyjacielem.

— Nie, panie hrabio, zwykłym znajomym.

— Poznałeś go pan tego samego dnia co i mnie.

— I cóż z tego? Zapomniałem już o tym, dopiero pan mi przypomniał.

— Dziękuję, panie Maksymilianie. Uderzył w gong. Ali zjawił się zaraz.

— Zanieś to do mojego rejenta. To mój testament, panie Maksymilianie. Zapoznasz się pan z nim w razie mojej śmierci.

— Jak to, śmierci? — zachnął się Morrel.

— Mój przyjacielu, trzeba być gotowym na wszystko. Ale co pan robiłeś wczoraj, kiedyśmy się rozstali?

— Wstąpiłem do Tortoniego myśląc, że tam spotkam Beauchampa i Château--Renauda. Przyznam się panu, żem ich szukał.

— Po co, skoro warunki zostały ustalone?

— Panie hrabio, sprawa jest poważna, pojedynek nieunikniony.

— Czyżbyś pan wątpił o tym?

— Nie. Obrażono pana publicznie, wieść rozeszła się w lot.

— I co dalej?

— Myślałem, że uda mi się zamienić pistolety na szpady. Pistolet jest ślepy.

— I udało się panu? — zapytał żywo hrabia, a w oczach jego błysnęła nadzieja.

— Nie. Wszyscy wiedzą, że jesteś pan tęgim szermierzem.

— Nie przesadzajmy. A któż mnie wydał?

— Fechtmistrze, których pan pokonałeś.

— I nie powiodło się panu?

— Odmówili stanowczo.

— Gzy widział pan kiedy, kapitanie, jak strzelam z pistoletu?

— Nie.

— Mamy jeszcze trochę czasu. Zobacz pan.

Monte Christo umocował na metalowej płytce asa treflowego, wziął pistolety, które przyniesiono mu, zanim weszła Mercedes, i wypaliwszy cztery razy, trafił w każdą część treflowej figury z osobna.

Przy każdym strzale Morrel bladł bardziej.

Obejrawszy kule, którymi Monte Christo dokazał tej sztuki, przekonał się, że nie były większe od grubego śrutu.

— To straszne! — rzekł. — Widziałeś, Emanuelu, coś podobnego? I zwracając się do Monte Christa:

— Na miłość boską, hrabio, nie zabijaj Alberta. Pomyśl pan o jego nieszczęśliwej matce!

— Słuszna uwaga. Bo ja me mam matki.

Powiedział to takim tonem, że Morrel zadrżał.

— No tak, obrażono hrabiego.

— Wiem o tym. Cóż więc znaczą te słowa?

— To, że będziesz pan strzelał pierwszy.

— Tak? Nie wiedziałem.

— Uzyskałem to, a raczej wymogłem. Poszliśmy na takie ustępstwa, że i oni byli do czegoś zobowiązani.

— Na ile kroków mamy się strzelać?

— Na dwadzieścia.

Po wargach hrabiego przemknął straszliwy uśmiech.

— Niech pan pamięta, kapitanie, o tym, co pan widział przed chwilą.

— Toteż, aby uratować Alberta, liczę już tylko na pańskie serce.

— Na moje serce? — zdziwił się Monte Christo.

— Tak, drogi przyjacielu, na pańską szlachetność. Takiemu mistrzowi jak pan mogę powiedzieć to, co ośmieszzyłoby mnie w oczach kogo innego.

— Słucham.

— Niech mu pan zgruchocze rękę, niech go pan zrani, ale nie zabija.

— Panie Maksymilianie, nie potrzebuję zachęty, by oszczędzić pana de Morcerf. Oświadczam panu z góry, że okażę panu de Morcerf wyjątkowe względy: pan de Morcerf wróci spokojnie z przyjaciółmi do domu, podczas gdy ja...

— A pan?

— Mnie zaś odwiozą.

— Nie opowiadałbyś pan! — zawołał Morrel wytrącony z równowagi.

— Tak, drogi panie Maksymilianie, pan de Morcerf mnie zabije. Przekona się pan.

Morrel spojrział na hrabiego, nic zgoła nie rozumiejąc. — Go panu się stało, hrabio?

— To samo, co Brutusowi w przeddzień bitwy pod Filipinami: zobaczyłem widmo.

— I to widmo?

— I to widmo powiedziało mi, panie Maksymilianie, że dość już żyłem. Maksymilian i Emanuel spojrzeli po sobie. Hrabia wyciągnął zegarek.

— Jedźmy — rzekł. — Już pięć po siódmej, a pojedynek ma się odbyć punktualnie o ósmej.

Kareta czekała. Monte Christo i jego sekundanci zajęli miejsca.

Na korytarzu Monte Christo zatrzymał się przed drzwiami, nasłuchując jakby. Maksymilian i Emanuel powodowani dyskrecją oddalili się o kilka kroków — usłyszeli jednak szlochanie, na które hrabia odpowiedział westchnąwszy tylko.

O ósmej stanęli na miejscu.

— Przyjechaliśmy — ozwał się Morrel wyrzawszy z karety — i jesteśmy pierwsi.

— Przepraszam pana — rzekł Baptysta, który zdjęty nieopisaną grozą towarzyszył hrabiemu — ale zdaje się, że tam, pod drzewami, widzę powóz.

Monte Christo wyskoczył lekko z karety i pomógł wsiąść Maksymilianowi i Emanuelowi.

Maksymilian przytrzymał w dłoniach rękę hrabiego.

— Lubię ścisnąć rękę człowieka — rzekł — którego życie zależy od słusznej sprawy.

— A tak — powiedział Emanuel — przechadzają się tam jacyś dwaj panowie, jakby czekając na kogoś.

Monte Christo zatrzymał Maksymiliana na chwilę.

— Panie kapitanie — spytał — czy pańskie serce jest wolne? Morrel spojrział ze zdziwieniem na hrabiego.

— Nie chcę, drogi przyjacielu, wyciągać cię na zwierzenia. Odpowiedz mi po prostu „tak” albo „nie”. O to tylko proszę.

— Kocham pewną panienkę.

— I bardzo ją kochasz?

— Nad życie.

— No trudno. Jeszcze jedna moja nadzieja stracona. Dodał z westchnieniem:

— Biedna Hayde!

— Doprawdy, hrabio! — zawołał Morrel. — Gdybym nie znał pańskiej odwagi, pomyślałbym, że już cię opuszcza.

— Westchnąłem, wspomniawszy kogoś, z kim mam się rozłączyć. E, kapitanie, czyżby żołnierz aż tak nie znał się na odwadze? Nie żałuję życia. Życie czy śmierć, to dla mnie wszystko jedno, bom przez dwadzieścia lat znajdowałem się między życiem i śmiercią. A zresztą, niech pan będzie spokojny; jeśli to nawet z mojej strony słabość, okazałem ją tylko przy panu. Wiem, że świat to salon, który trzeba opuścić grzecznie i uczciwie, to znaczy kłaniając się i popłaciwszy długie karciane.

— No, nareszcie właściwe słowa. Aha, czy wzięłeś pan broń?

— A po co? Mam nadzieję, że wzięli ją nasi przeciwnicy. — Zapytam ich.

— Tak, ale żadnych rokowań, zastrzegam.

— O, bądź pan spokojny.

Morrel podążył w stronę Beauchampa i Château-Renauda. Wiedząc to, sekundanci Alberta skierowali się ku Morrelowi. Wszyscy trzej wymienili ukłony, jeśli nie przyjazne, to z pewnością nader uprzejme.

— Panowie wybaczą — ozwał się Morrel — ale nie widzę pana de Morcerf.

— Dał nam dziś znać, że przyjedzie sam na miejsce spotkania — odparł Château-Renaud.

— Aha.

Bcauchamp wyciągnął zegarek.

— Pięć po ósmej — rzekł. — Tyle spóźnić się wolno, panie kapitanie.

— O, nie powiedziałem tego w tej intencji — zapewnił Morrel.

— A zresztą nadjeżdża jakiś powóz — przerwał Château-Renaud. Rzeczywiście, aleją zbliżała się karetka. Konie szły tęgiego klusa.

— Panowie zaopatrzyliście się, jak sądzę, w pistolety? — ozwał się Morrel. — Pan Hrabia de Monte Christo ma prawo użyć swoich, ale z prawa tego rezygnuje.

— Przewidziawszy, panie kapitanie, ten krok świadczący o delikatności hrabiego — odrzekł Beauchamp — przywiozłem pistolety, które kupiłem przed jakimiś dziesięcioma dniami, spodziewając się, że posłużą mi w podobnej okazji. Są nowe, nikt nie używał ich jeszcze. Czy zechce pan je obejrzeć?

— Skoro zapewniasz pan — odpowiedział z ukłonem Morrel — że pan de Morcerf nie zna swojej broni, wystarczy mi pańskie słowo.

— Panowie — ozwał się Château-Renaud — to nie Morcerf, do diabła! przyjechał tym powozem, ale Franz i Debray.

Franz i Debray podeszli.

— Panowie tu? — rzekł Château-Renaud ściskając im dłonie. — A to jakim cudem?

— Dlatego, że Albert prosił nas dziś, żebyśmy przybyli na miejsce spotkania — objaśnił Debray.

Beauchamp i Château-Renaud spojrzeli po sobie zdziwieni.

— Zdaje mi się, że rozumiem, proszę panów, w czym rzecz — ozwał się Morrel.

— Słuchamy, słuchamy!

— Wczoraj po południu pan de Morcerf napisał do mnie, bym stawiał się w Operze.

— I do mnie też — powiedział Debray.

— I do mnie też — powiedział Franz.

— I do nas też — powiedzieli Château-Renaud i Beauchamp.

— Życzył sobie, abyście byli, panowie, świadkami wyzwania — rzekł Morrel — a teraz życzy sobie, żebyście byli świadkami pojedynku.

— Tak, tak, panie Maksymilianie, słusznie chyba rozumiesz — zgodzili się 'młodzi ludzie.

— Tak czy inaczej — mruknął Château-Renaud — Alberta nie widać. Spóźnił się już o dziesięć minut.

— Już jest! — zawołał Beauchamp. — Nadjeżdża konno, galopuje; a za nim lokaj.

— Co za nieroztropność — oburzył się Château-Renaud —jechać wierzchem przed walką na pistolety! Uczyłem go i wszystko na nic!

— Patrzcie! — zawołał Beauchamp. — Biały kołnierzyk wystaje mu spod halsztuka, frak i biała kamizelka! Czemuż jeszcze nie wyrzucił sobie kółka na brzuchu, żeby łatwiej było celować!

Tymczasem Albert był już o pięć kroków od młodych ludzi. Zeskoczył z konia i rzucił cugle lokajowi. Podeszedł do sekundantów.

Był blady, powieki miał zaczerwienione i opuchnięte. Widać przez całą noc nie zmrużył oka.

Na twarzy jego malowała się osobliwa powaga i smutek — jakże u Alberta rzadkie.

— Dziękuję panom — ozwał się — żeście raczyli przybyć. Nie umiem wyrazić, jak wam jestem wdzięczny za ten dowód przyjaźni.

Kiedy Albert się zbliżył, Morrel cofnął się o dziesięć kroków i stanął na uboczu.

— I panu też dziękuję, panie Maksymilianie — dodał Albert. — Niechże się pan zbliży, nie będzie pan zbyt cenny.

— Nic wie pan zapewne, że jestem świadkiem pana hrabiego de Monte Christo?

— Nie byłem pewien, ale domyślałem się. Tym lepiej! Im więcej będzie tu ludzi honoru, tym bardziej będę zadowolony.

— Panie kapitanie — ozwał się Château-Renaud — niech pan będzie łaskaw uwiadomić pana hrabiego de Monte Christo, że pan de Morcerf przybył i że jesteśmy do dyspozycji hrabiego.

Morrel oddał się już, by spełnić polecenie.

Beauchamp wydobyl szkatułkę z pistoletami z pudła powozu.

— Zaczekajcie, panowie — rzekł Albert. — Muszę najpierw powiedzieć kilka słów panu hrabiemu de Monte Christo.

— Czy na osobności? — zapytał Morrel.

— Nie, panie kapitanie. Wobec wszystkich. Sekundanci Alberta spojrzeli po sobie zdumieni.

Franz i Debray wymienili szeptem jakieś uwagi, a Morrel, rad z tego nieoczekiwanego obrotu sprawy, poszedł po hrabiego, który przechadzał się w bocznej alei z Emanuelem.

— Czegóż on chce ode mnie? — zdziwił się Monte Christo.

— Nie mam pojęcia, ale chce z panem pomówić.

— O! Byle tylko nie kusił Boga jakąś nową obelgą!

— Nie wydaje mi się, by miał ten zamiar — odpowiedział Morrel. Hrabia podążył naprzód w towarzystwie Maksymiliana i Emanuela. Spokój i pogoda hrabiego osobliwie kontrastowały ze wzburzeniem, jakie malowało się na twarzy Alberta. Morcerf i jego czterej sekundanci szli w kierunku Monte Christa.

Albert i hrabia zatrzymali się w odległości trzech kroków od siebie.

— Zbliżcie się, panowie — rzekł Albert. — Nie chciałbym, abyście uronili choć jedno słowo z tego, co zamierzam powiedzieć panu hrabiemu de Monte Christo. Proszę was, abyście rozczytali oświadczenie, które będę miał honor złożyć panu hrabiemu, choćby wydało się wam dziwaczne.

— Słucham pana — ozwał się hrabia.

— Panie hrabio — rozpoczął Albert głosem drżącym, który po chwili nabrał wyraźnego brzmienia — panie hrabio, postawiłem panu zarzut, żeś podał do wiadomości publicznej postępowanie mojego ojca w Epirze. Uczyniłem tak, bo choćby mój ojciec zawinił, nie sądziłem, abyś miał pan prawo go karać. Ale dziś już wiem, że miałeś pan to prawo. Przekonała mnie o tym nie zdrada, jakiej Fernand Mondego dopuścił się wobec Ali Paszy, ale zdrada, jakiej rybak Fernand dopuścił się wobec pana. Pociągnęła ona bowiem za sobą łańcuch straszliwych nieszczęść. Toteż powiadam i głoszę: słusznie zemściłeś się pan na moim ojcu, a ja, syn jego, dziękuję, że nie zemściłeś się pan srożej.

Grom z jasnego nieba nie zdumiałby bardziej świadków tej sceny niżli słowa Alberta.

Monte Christo wznosił oczy w górę, a odmalowała się w nich niewypowiedziana wdzięczność. Zdumiał się, że porywczy Albert, młodzieniec, który zachował się tak hardo w niewoli u bandytów rzymskich, ukorzył się nagle.

Domyślił się, że Mercedes wpłynęła na syna. Zrozumiał, że szlachetna kobieta przyjęła tak skwapliwie jego ofiarę, świadoma, iż nie będzie potrzebował jej złożyć.

— A teraz — ciągnął Albert — jeśli uznałeś pan, żeś przeprosił cię dostatecznie, podaj mi rękę, proszę o to. Odznaczasz się pan, jak mi się zdaje, jedną z nader rzadkich cnót, nieomylnością; ale ten, kto potrafi przyznać się do swoich błędów, nie jest moim zdaniem uboższy. To jednak, że się przyznałem, mnie tylko dotyczy. Działalem wedle praw ludzkich, a pan działałeś wedle praw bożych. Tylko anioł mógł ocalić jednego z nas od śmierci i anioł zstąpił znieba nie po to, niestety, żeby uczynić nas przyjaciółmi, fatalność bowiem stanęła na przeszkodzie, ale żebyśmy powzięli do siebie wzajemny szacunek.

Hrabiemu zakręciły się łzy w oczach, wzruszenie rozpierało mu pierś. Podał rękę Albertowi. Albert chwycił ją i uściśnął z szacunkiem, w którym było coś z twogi.

— Panowie — rzekł — pan hrabia de Monte Christo raczył przyjąć moje przeprosiny. Porywczosć jest złą doradczynią: postąpiłem źle. Teraz naprawiłem błąd. Spodziewam się, że świat nie pocztyta mnie za tchórza, boć postąpiłem zgodnie z nakazem sumienia. Ale gdyby ktoś pomylił się w tym względzie — dorzucił, dumnie podniósłszy głowę i jakby rzucając wyzwanie zarówno przyjacielom, jak i wrogom — postaram się sprostować to błędne mniemanie.

— Cóż się stało dziś w nocy? — zapytał Beauchamp Château-Renauda. — Zdaje się, że odegraliśmy tutaj przykrą rolę.

— Hm, tak. Czyn Alberta jest albo bardzo nędzny, albo bardzo piękny — odparł baron.

— Co to wszystko znaczy? — zwrócił się Debray do Franza. — Hrabia de Monte Christo zniesławił pana de Morcerf i według jego syna uczynił to słusznie! Choćby w mojej rodzinie wyszło na jaw dziesięć afer greckich, poczytywałbym sobie za obowiązek pojedynkować się dziesięć razy.

A Monte Christo pochyliwszy głowę i opuściwszy ręce giął się pod ciężarem wspomnień i nie myślał ani o Albercie, ani o żadnym z tutaj obecnych.

Myślał o tej odważnej kobiecie, co przyszła do niego, by darował życie jej synowi, a której złożył ofiarę z własnego życia. Ona zaś uratowała go, wyjawivszy młodzieńcowi straszliwy sekret rodzinny, zdolny zniweczyć w nim na zawsze uczucia synowskie.

— Wciąż ta Opatrzność! — westchnął. — Ach, dziś dopiero jestem pewien, że zesłał mnie Bóg!

16. MATKA I SYN

Hrabia skłonił się młodzieńcom z uśmiechem pełnym godności i melancholii, po czym wsiadł do karety w towarzystwie Maksymiliana i Emanuela.

Albert, Beauchamp i Château-Renaud pozostali sami.

Albert spojrział na sekundantów, pytając jakby, co sądzą o tej całej sprawie. Spojrzenie to, nie będąc nieśmiałym, było jednak niepewne.

— Do licha, mój drogi — ozwał się pierwszy Beauchamp, może wrażliwszy, a może szerszy od innych — niechże ci powinszuję. Któż by się spodziewał, że w taki sposób zakończysz tę bardzo niemiłą historię.

Albert milczał zadumany.

Château-Renaud uderzał tylko trzcinką po butach.

— Kiedy odjeżdżamy? — zapytał po chwili kłopotliwego milczenia.

— Kiedy zechcesz — odpowiedział Beauchamp. — Pozwól tylko, żebym powinszował panu de Morcerf. Dał dziś dowód rycerskiej wielkoduszności... nader rzadkiej!

— Hm, tak — rzekł Château-Renaud.

— To wspaniałe — ciągnął Beauchamp — okazać taki hart ducha.

— Oczywiście, ja bym tego nigdy nie potrafił — dorzucił ze znaczącym chłodem Château-Renaud.

— Jak sądzę, panowie — ozwał się Albert — zrozumieliście, że to, co zaszło między mną i hrabią de Monte Christo, miało doniosły charakter.

— Oczywiście, oczywiście — odparł bez wahania Beauchamp — ale nasi durnie nie zdołają zrozumieć twojego bohaterstwa i prędzej czy później będziesz musiał im tłumaczyć, na czym ono polega, tłumaczyć w sposób, który nie wyjdzie ci na zdrowie i skróci, być może, twoje życie. Pozwól, że ci dam przyjacielską radę: wyjedź do Neapolu, Hagi albo Petersburga. Spokojne to strony, ludzie rozumieją tam lepiej, na czym polega honor, niż ci nasi zapaleńcy, paryżanie. Zamieszkałszy tam, ucz się fechtunku i strzelania z pistoletu; kiedy o tobie za parę lat zapomną, wrócisz spokojnie do kraju, a wyćwiczonemu we władaniu bronią nikt w drogę wchodzić nie będzie. Czy nie mam racji, baronie?

— W zupełności podzielam pańskie zdanie. Nic tak nie pociąga za sobą pojedynków poważnych jak pojedynek nieudany.

— Dziękuję panom — odpowiedział Albert z zimnym uśmiechem. — Zastosuję się do waszej rady nie dlatego, że od was pochodzi, ale dlatego, że i tak zamierzam opuścić Francję. Dziękuję panom i za to, że byliście moimi sekundantami. Przysługa ta głęboko zapadła mi w serce, gdyż po waszych słowach będę mógł pamiętać tylko o niej.

Château-Renaud i Beauchamp spojrzeli po sobie.

Obaj odnieśli to samo wrażenie: w głosie Morcerfa brzmiało tyle decyzji, że sytuacja stałaby się kłopotliwa, gdyby przedłużać rozmowę.

— Żegnaj, Albercie — rzekł nagle Beauchamp podając mu niedbale rękę. Lecz Albert był nadal pogrążony w odrętwieniu.

Nie zauważył jakby wyciągniętej dłoni.

— Żegnaj — powiedział z kolei Château-Renaud trzymając w lewej ręce trzcinkę, prawą zaś kiwnąwszy Albertowi.

Albert wyszeptał tylko:

— Żegnajcie.

Ale wzrok jego mówił znacznie więcej.

Był w nim poemat hamowanego gniewu, dumnej wzgardy i szlachetnego oburzenia.

Dwaj sekundanci odjechali — Albert pozostał jeszcze, stojąc nieruchomo w melancholijnej pozie.

Lecz nagle, odwiązawszy cugle od drzewa, wokół którego oplatał je lokaj, skoczył lekko na siodło i pogalopował do Paryża.

Po kwadransie wjeżdżał już na dziedziniec pałacu przy ulicy Helderskiej.

Gdy zsiadł z konia, wydało mu się, iż ujrzał za firanką w oknie sypialni wybladłą twarz ojca.

Albert westchnął, odwrócił głowę i wszedł do swojego pałacyku.

Tutaj obrzucił ostatnim spojrzeniem wszystkie te bogactwa, którym zawdzięczał tak miłe dzieciństwo i młodość.

Spojrzał raz jeszcze na swoje obrazy. Z jednych uśmiechały się doń ludzkie twarze, na innych pejzaże tętniły życiem, łądząc wiernością koloru.

Wyjął z ram portret matki i zwinął go. Złote ramy pozostały puste i ponure.

Uporządkował piękną broń turecką, piękne fuzje angielskie, porcelanę japońską, puchary i brązy artystyczne; zajrzał do szaf, a w każdej zostawił klucz; wrzucił do szuflady kantorka wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie, dołączył do nich klejnoty i kosztowne cacka; sporządziwszy dokładny inwentarz zostawił go na stole, w miejscu najbardziej widocznym, usuwając leżące tam wszystkie papiery i książki.

Kiedy rozpoczynał te prace, wszedł lokaj, mimo surowego zakazu.

— Czego chcesz? — zapytał Albert bardziej ze smutkiem aniżeli ze złością.

— Przepraszam jaśnie pana, wiem, że zabronił pan wchodzić, ale przysłał mnie pan hrabia.

— No to co?

— Przyszedłem więc po rozkazy.

— A na cóż ci one?

— Pan hrabia wie, że towarzyszyłem jaśnie panu.

— Możliwe.

— Kazał mnie wezwać z pewnością dlatego, żeby zapytać o pojedynek. Co mam powiedzieć?

— Prawdę.

— Czy więc mam powiedzieć, że pojedynek się nie odbył?

— Oznajmisz, że przeprosiłem pana hrabiego de Monte Christo. Lokaj skłonił się i wyszedł.

Albert zabrał się znowu do pracy.

Kiedy skończył spisywać inwentarz, usłyszał, jak na bruku dziedzińca karetka zadudniła tak gwałtownie, że szyby zadrżały.

Wyjrzał przez okno: to hrabia de Morcerf wsiadł do karety i odjechał.

Ledwie zamknęła się brama, pobiegł do matki, a że nie było tu nikogo, kto mógłby oznajmić wizytę, dotarł do sypialni. Stał w progu — serce mu się ścisnęło.

Mercedes robiła to samo co Albert, jakby matkę i syna ożywiał ten sam duch.

Wszystko już było uporządkowane: koronki, stroje, klejnoty, bielizna i srebra leżały w szufladach, hrabina wiązała właśnie klucze.

Albert, pojawiwszy sens tych przygotowań, rzucił się matce na szyję.

Malarz, który oddałby wyraz twarzy tych dwojga, stworzyłby przepiękny obraz.

Istotnie, te wszystkie oznaki powziętej decyzji przerażały Alberta nie ze względu na siebie, ale ze względu na matkę.

— Co ty robisz? — zapytał.

— A ty co robiłeś?

— O, mamo! — zawołał Albert, a słowa ze wzruszenia więzły mu w gardle — Ty to co innego. Nie, ty nie możesz podjąć podobnej decyzji... Bo muszę ci powiedzieć, że rozstaję się z domem... i z tobą.

— Albercie, ja też wyjeżdżam. Liczyłam na to, przyznam się, że syn mój będzie mi towarzyszył. Czyżbym się pomyliła?

— Nie mogę żądać, abys dzieliła mój los — odparł stanowczo Albert — od tej chwili bowiem muszę żyć nieznanymi i w ubóstwie. Obrabiam twardą drogę życia: pożyczę od przyjaciela bochen chleba, który zjem dopiero wtedy, gdy sam zarobię na drugi. Tak to, kochana moja, wybieram się do Franza, aby pożyczyl mi sumkę konieczną na niezbędne potrzeby.

— Ty, moje biedne dziecko — zawołał Mercedes — ty masz cierpieć nędzę i przymierać głodem? O, nie mów tego, bo zniweczysz moje postanowienia!

— Ale ja się nie cofnę, mamó. Jestem młody i silny, i jak mi się zdaje, odważny. Wczoraj nauczyłem się, co można osiągnąć wolą. Istnieją ludzie, którzy przecierpieli wiele, a nie umarli; zbudowali gmach nowej fortuny na ruinach szczęścia, które obiecało im niebo, na ruinach nadziei, jaką Bóg im zesłał! Dowiedziałem się tego, poznałem tych ludzi; wiem, że podnieśli się z głębin przepaści, w którą strącił ich wróg — podnieśli się z taką siłą i w takiej chwale, że pokonali wroga i jego z kolei strącili w otchłań. Tak, mamó, zerwałem dziś z przeszłością, nie przyjmuję od niej nic, nawet nazwiska, bo, rozumiesz to, nosząc je, musiałbym się rumienić.

— Moje dziecko, gdybym miała serce silniejsze, taką właśnie dałabym ci radę. Sumienie twoje przemówiło, kiedy głos mój osłabł i zamilkł; idź, mój synu, za głosem sumienia. Miałeś, Albercie, przyjaciół — zerwij z nimi natychmiast, ale nie wpadaj w desperację, o to prosi cię matka. W twoim wieku, mój drogi, życie jest jeszcze piękne, bo masz zaledwie dwadzieścia dwa lata. A że człowiek o sercu tak czystym jak ty musi nosić nieskalane nazwisko, weź nazwisko mojego ojca: zwał się Herrera. Znam cię, Albercie. Jakąkolwiek obrałbyś karierę, nazwisko to wprędce okryje się sławą. A wtedy, mój drogi, znowu pojawisz się w salonach, otoczony glorią minionych nieszczęść. A jeśli, wbrew moim przewidywaniom, stanie się inaczej, niechże i tak łudzę się nadzieją, ja, którą ożywiać będzie ta jedynie myśl, ja, przed którą nie ma już przyszłości, ja, która przestąpiwszy progi tego domu, zejść do grobu.

— Spełnię twoje życzenie, mamó; twoja nadzieja jest moją. Niebo nie będzie mścić się na nas, bo ty jesteś uczciwa, a jam niewinny. Ale skoro zapadło postanowienie, działajmy szybko. Ojciec wyjechał pół godziny temu: pozwoli nam to uniknąć gwałtownej sceny i wyjaśnień.

— Czekam na ciebie, mój synu.

Albert pobiegł na bulwar, aby sprowadzić dorożkę.

Znał pensjonacik — przy ulicy des Saints-Peres — w którym jego matka mogłaby zamieszkać skromnie, ale przyzwoicie. Wrócił tedy po hrabinę.

Gdy wysiadł z dorożki, podszedł doń jakiś człowiek i wręczył mu list. Albert poznał intendenta.

— Od pana hrabiego — rzekł Bertuccio.

Albert wziął list, rozpieczętował go i jął czytać. Przeczytawszy, rozejrzał się za Bertucciem; ale gdy młodzieniec czytał, Bertuccio znikł.

Albert ze łzami w oczach, z piersią nabrzmiałą wzruszeniem, pobiegł do matki. Nie mógł wymówić ani słowa — i tylko podał jej list.

Mercedes przeczytała, co następuje:

Albercie!

Domyśliłem się projektów, które wprowadzisz niebawem w czyn. Pragnę, byś przekonał się jeszcze, iż nieobce mi są delikatne uczucia.

Zerwałeś więzy, opuszczasz pałac ojca, zabierasz do siebie matkę, która również zerwała więzy. Ale zastanów się, Albercie: masz wobec niej, biedny, szlachetny chłopcze, dług, któremu obecnie sprostać nie zdołasz.

Musisz mieć siłę do walki, nie wolno Ci unikać przeciwności — ale zaoszczędź matce nędzy, która towarzyszyć będzie, bo to nieuniknione — Twoim pierwszym wysiłkom. Na matkę Twoją nie powinien już paść nawet i cień nieszczęścia, które dotknęło ją dzisiaj: Opatrzność nie życzy sobie, aby niewinny płacił za winowajcę.

Wiem, że opuścicie oboje pałac przy ulicy Helderskiej, nie zabierając nic. Nie staraj się dowiedzieć, skąd wiem o tym; wiem — i basta!

Posłuchaj, Albercie.

Dwadzieścia cztery lata temu wracałem do ojczyzny, radosny i pełen dumy.

Miałem narzeczoną — cnotliwą dziewczynę, którą uwielbiałem. Przywiozłem wtedy dla niej sto pięćdziesiąt ludwików, uciulanych z trudem, dzięki niezmordowanej pracy.

Dla niej przeznaczyłem te pieniądze — a wiedząc, jak zdradliwe jest morze, zakopałem nasz skarb w ogródku kamieniczki przy Alejach Meilhańskich, gdzie mieszkał mój ojciec.

Twoja matka zna doskonale ten kochany, ubogi dom.

Jadąc ostatnio do Paryża, wstąpiłem do Marsylii.

Odwiedziłem ów dom, z którym łączy mnie tyle bolesnych wspomnień — a wieczorem wziąłem łopatę i jałem kopać w owym kącie ogródka, gdzie ukrył skarb.

Szkatułka żelazna była na miejscu — nie ruszył jej nikt.

Zostawiłem ją w owym kącie. Ocienia go piękny figowiec, który mój ojciec zasadził w dniu moich urodzin.

Owóz, Albercie, te pieniądze, które ongi miały ułatwić życie i zapewniać spokój mojej uwielbianej, wracają dziś do niej bolesnym i dziwnym zbiegiem okoliczności.

Nie chciałbym, abys zrozumiał fałszywie, mnie, który mógłby ofiarować jej miliony — a daje tylko kawałek czarnego chleba, zapomniany w dniu naszego wieczystego rozstania.

Jesteś, Albercie, człowiekiem szlachetnym — niemniej może zaślepić cię duma albo gorycz.

Jeśli mi odmówisz, jeśli poprosisz kogo innego o to, co mam prawo Ci ofiarować, będę uważał, żeś postąpił nieszlachetnie: ojciec Twój pogrzyżył mojego ojca w piekle rozpaczy i głodu — niechże mi będzie wolno dopomóc Twojej matce.

Gdy matka skończyła czytanie, Albert czekał wybladły i nieruchomy na jej decyzję.

Mercedes wzniosła oczy w niebo, z wyrazem, którego opisać nie sposób.

— Przyjmuję — rzekła. — Ma prawo zapłacić mój posag klasztorny.

I chwyciwszy się za serce, wzięła syna pod rękę.

Skierowała się ku schodom krokiem pewniejszym, niżby spodziewała się sama.

17. SAMOBÓJSTWO

A tymczasem i Monte Christo wracał do miasta, w kompanii Maksymiliana i Emanuela.

Wesoły to był powrót.

Emanuel nie taił radości: był świadkiem, jak wojna zakończyła się pokojem. Dawał głośno wyraz swoim upodobaniom filantropijnym.

Morrel, wcisnąwszy się w kątek karety, nie uciszał radości szwagra. Sam radował się szczerze, ale radość błyszczała jedynie w jego oczach.

Na rogatce du Tône spotkali Bertuccia.

Tkwiał nieruchomo, niby żołnierz na warcie.

Monte Christo wyrzął z karety i poszeptał z intendentem. Bertuccio znikł.

— Panie hrabio — rzekł Emanuel, gdy dojeżdżali do placu Royale — niech mnie pan podwiezie, jeśli łaska, do domu. Nie chciałbym, aby moja żona niepokoiła się dłużej zarówno o pana, jak i o mnie.

— Gdyby nie było śmieszne chwalić się tryumfem — powiedział Morrel — zaprosiłbym hrabiego do nas, ale pan hrabia musi z pewnością ukoić niejedno drżące serce. Jesteśmy na miejscu. Pożegnajmy się, Emanuelu — i niech nasz przyjaciel jedzie swoją drogą.

— Chwileczkę — odparł Monte Christo — nie chciałbym się rozstawać tak od razu z jednym i drugim moim towarzyszem; niech pan wraca, panie Emanuelu, do swojej uroczej żony, kłaniając się jej pięknie ode mnie, a pan, panie kapitanie, niech mnie odwiezie, jeśliś łaskaw, na Pola Elizejskie.

— Doskonale! — zgodził się Maksymilian. — Mam akurat coś w tej dzielnicy załatwić.

— Czekać na ciebie ze śniadaniem? — zapytał Emanuel.

— Nie. Nie czekajcie.

Drzwiczki zamknięto, kareta potoczyła się dalej.

— No i przyniosłem panu szczęście — ozwał się Morrel. — Nie pomyślał hrabia o tym?

— Owszem. I dlatego nie chciałbym się nigdy z panem rozstawać.

— To było cudowne! — zawołał Morrel, myśląc o czym innym.

— Co takiego?

— To, co się stało.

— Tak — uśmiechnął się hrabia — słusznie! pan to określił: cudowne.

— Boć tak czy inaczej, Albert jest odważny.

— Bardzo odważny. Widziałem kiedyś, jak spał, choć miecz wisiał nad jego głową.

— A ja wiem, że pojedynkował się dwa razy, nadzwyczaj dzielnie. Pogódź to pan z jego dzisiejszym zachowaniem.

— To przecież pański wpływ — uśmiechnął się znów Monte Christo.

— Szczęście to dla Alberta, że nie jest żołnierzem.

— Dlaczego?

— Przepraszać tuż przed pojedynkiem! — rzekł Morrel potrząsając głową.

— No, no, panie kapitanie — ozwał się łagodnie hrabia — nie hołduj pan przesądom ludzi pospolitych. Przyznaj pan, że skoro Albert jest odważny, nie może być tchórzem. Widać miał jakiś powód, aby zachować się tak właśnie, a więc postąpił bohatersko, nieprawdaż?

— Oczywiście, oczywiście, ale powiem jak pewien Hiszpan: nie był dziś tak odważny jak wczoraj.

— Zjesz pan ze mną śniadanie? — uciął hrabia.

— Nie. Muszę pożegnać pana o dziesiątej.

— A więc umówiłeś się pan z kimś na śniadanie? Morrel uśmiechnął się i potrząsnął przecząco głową

— Ale przecież musisz pan i tak coś przegryźć.

— A jeśli nie jestem głodny?

— O, znam tylko dwa uczucia, przy których tracimy apetyt: zgryzotę — ale pan dzięki Bogu jesteś wesół — i miłość. Otóż z tego, co rzekłeś mi pan o swoim sercu, pozwalam sobie wnosić...

— Nie zaprzeczam, hrabio, nie zaprzeczam.

— I nic mi pan o tym nie mówiłeś? — rzekł hrabia tak żywo, iż łatwo było poznać, jak mocno zaintrygował go ów sekret.

— Powiedziałem dziś hrabiemu, że mam serce zajęte, tak? Hrabia nic nie odpowiedział, a tylko ujął Maksymiliana za rękę.

— Owóż od chwili jak to serce nie jest z panem w parku Vincennes, jest gdzie indziej; i tam właśnie chcę się udać.

— Dobrze, dobrze, kochany przyjacielu — mówił z namysłem hrabia — i pamiętaj, że mam na tym świecie jakąś władzę i że z radością służę nią tym, których lubię serdecznie, a pan do nich należysz. Gdybyś więc doznał jakichś przeszkód, zwróć się do mnie.

— Przypomnę to panu, jak samolubne dzieci przypominają się w potrzebie rodzicom. Zwrócę się do pana, i to może niedługo.

— Trzymam pana za słowo. A więc do widzenia.

— Do widzenia.

Stanęli przed bramą pałacu na Polach Elizejskich.

Monte Christo otworzył drzwiczki.

Morrel wyskoczył z karety. Na podjeździe czekał Bertuccio. Morrel znikł w alei Marigny. Monte Christo skierował się szybko ku intendentowi.

— No i cóż tam? — zapytał.

— Ano — powiedział Bertuccio — wyprowadza się z domu.

— A jej syn?

— Florenty, jego lokaj, powiada, że syn także.

— Chodź pan ze mną.

Monte Christo napisał w gabinecie znany nam już list i wręczył go intendentowi.

— Idź pan — rzekł — i spiesz się. Aha, wstąp jeszcze do Hayde i powiedz jej, że wróciłem.

— Czekałam tu! — ozwała się Hayde. Zeszła, kiedy zaturkotał powóz. Twarz jej promieniowała radością.

Bertuccio wyszedł.

Hayde wyczekiwała z niecierpliwością na powrót hrabiego — a teraz radowała się jak córka, która po długiej rozłące ujrziała ojca, i radowała się jak kochanka na widok swojego uwielbianego.

Monte Christo cieszył się nie mniej niż Hayde, choć nie okazywał tego. Radość sływa na serca, które długo cierpiały, jak rosa opada na ziemię wysuszoną skwarem. Serce takie chłonie dobroczynny deszcz, podobnie jak wchłania go ziemia, z pozoru tylko pozostając nadal suchą.

Monte Christo pojął wreszcie — a długo nie śmiał dopuszczać do siebie tej myśli — że pojawiła się druga Mercedes, czyli że mógł zaznać jeszcze szczęścia.

Wzrok jego, rozpalony szczęściem, tonął w wilgotnych oczach Hayde — gdy nagle otwartą się drzwi.

Hrabia zmarszczył brwi.

— Pan de Morcerf. — oznajmił Baptysta, jakby te słowa były same w sobie usprawiedliwieniem.

Istotnie, hrabia rozpogodził się.

— Który? — zapytał. Ojciec czy syn?

— Ojciec.

— O Boże! — zawołała Hayde — to jeszcze nie skończone?

— Nie wiem, czy skończone, moja najmilsza — odpowiedział Monte Christo ujmując jej ręce — ale wiem, że już nie potrzebujesz żywić żadnych obaw.

— Och! Ale to przecież łotr...

— Nic on mi zrobić nie może. Należało się lękać tylko sprawy z jego synem.

— Toteż nigdy nie dowiesz się, ile wycierpiałam, o panie mój. Monte Christo uśmiechnął się.

— Przysięgam ci na prochy mojego ojca — rzekł wyciągając rękę nad głowę Hayde — że jeśli zdarzy się nieszczęście, nie mnie ono spotka.

— Wierzę ci, mój panie, jak samemu Bogu — rzekła podsuwając mu czoło do pocałunku.

Monte Christo złożył na tym czole, jakże czystym i pięknym, pocałunek, od którego zabiło dwoje serc — jedno gwałtownie, a drugie głucho.

— O mój Boże! — szepnął. — Czyżbyś zezwolił, abym pokochał jeszcze?

— Wprowadź pana hrabiego de Morcerf do salonu — rozkazał Baptyście, wiodąc piękną Greczynkę ku schodom.

Musimy wyjaśnić w paru słowach ową wizytę, której Monte Christo spodziewał się może, ale z pewnością nie spodziewali się czytelnicy.

Kiedy Mercedes spisywała u siebie inwentarz i gdy Albert spisał go także u siebie, kiedy porządkowała klejnoty, zamykała szuflady i wiązała klucze, by zostawić wszystko we wzorowym porządku — nie dostrzegła twarzy posępnej i bladej, która zajrzała przez oszklone drzwi korytarza.

Można stąd było nie tylko widzieć, lecz i słyszeć. .

Hrabia de Morcerf widział więc i słyszał wszystko co działo się u jego żony.

Poszedłszy następnie do swojej sypialni, podniósł, konwulsyjnie zaciskając palce, firankę w oknie, które wychodziło na dziedziniec.

Stał tak dziesięć minut, milczący, nieruchomy, wsłuchując się w bicie własnego serca.

Dłużyły mu się te minuty.

Wtedy to Albert, wracając ze spotkania, ujrzął, jak ojciec czatował w oknie — i odwrócił głowę.

Hrabiemu oczy wystąpiły z orbit.

Wiedział, że Albert znieważył ciężko Monte Christa i że taka zniewaga musiała w każdym kraju pociągnąć za sobą pojedynek na śmierć i życie.

Albert wracał zdrowy i cały — a więc pomścił ojca.

Błysk radości rozświetlił ponurą twarz Morcerfa — rozświetlił, niby ostatni promień słońca, które przed zachodem gaśnie w chmurach, podobniejszych do grobu niż do posłania.

Wiemy, że hrabia czekał nadaremnie, by syn zjawił się i opowiedział mu o swoim tryumfie.

Rozumiał, że syn jego przed pojedykiem nie chciał wstąpić do ojca, którego honor miał pomścić, ale czemuż, zemściwszy się, nie przybiegł, aby paść ojcu w ramiona.

Dlatego hrabia, nie mogąc doczekać się Alberta, posłał po jego sługę.

Wiadomo, że Albert kazał powiedzieć ojcu całą prawdę.

Po dziesięciu minutach generał de Morcerf zjawił się na ganku, odziany w czarny surdut z kołnierzem kroju wojskowego, w czarne pantalone i w czarne rękawiczki.

Wydał już wcześniej rozkazy — ledwie bowiem zszedł ze stopni ganku, z wozowni wyjechała karetka i zatrzymała się przed hrabią.

Lokaj umieścił w karecie dwie szpady owinięte w płaszcz wojskowy.

Po czym zamknął drzwiczki i usadowił się obok stangreta. Stangret wychylił się z kozła, aby zapytać o rozkaz.

— Na Pola Elizejskie, do pana hrabiego de Monte Christo! Co koń wyskoczy! — zawołał generał.

Konie ruszyły z kopyta, potężnie smagnięte biczem.

Po pięciu minutach stanęły przed pałacem hrabiego.

Pan de Morcerf sam otworzył drzwiczki, wyskoczył jeszcze w biegu, niby młodzik, zadzwonił i znikł za drzwiami, a za nim lokaj.

Po chwili Baptysta oznajmił hrabiego de Morcerf, a Monte Christo odprowadził Hayde i rozkazał, aby generała wprowadzono do salonu.

Generał przemierzał po raz trzeci salon wzdłuż i wszerz, gdy Monte Christo ukazał się w progu.

— A, to pan de Morcerf — powiedział spokojnie — zdawało mi się, że się przestyszałem.

— Tak, to ja we własnej osobie — odparł hrabia, a wargi ściągały mu się tak okropnie, że ledwie zdołał wydobyć z siebie głos.

— Pozostaje mi już tylko zapytać, czemu zawdzięczam miłą, ale jakże wczesną wizytę pana hrabiego de Morcerf?

— Miałeś pan dziś pojedykować się z moim synem, czy tak? — zagadnął Morcerf.

— A, to pan wiesz o tym?

— I wiem, że mój syn słusznie pragnął tego pojedynku, aby zabić pana.

— A jakże, miał po temu rację, ale mimo to, jak pan widzisz, nie zabił mnie, a nawet nie doszło do pojedynku.

— A jednak uważał, żeś to pan zhańbił jego ojca i że przez pana katastrofa dotknęła cały nasz dom.

— To prawda — odparł Monte Christo ze straszliwym spokojem — ale nie byłem tu główną przyczyną katastrofy.

— Zapewne przeprosiłeś go pan albo złożyłeś jakieś wyjaśnienie?

— Nic mu nie wyjaśniałem, on natomiast mnie przeprosił.

— Czym tłumaczysz pan sobie postępek Alberta?

— Chyba przekonaniem, że ktoś inny więcej zawinił w tej sprawie niż ja.

— A któż to taki?

— Jego ojciec.

— Być może — odparł hrabia błędąc — ale jak panu wiadomo, winowajca nie lubi, żeby wykazywano mu jego winę.

— Wiem... Toteż oczekiwałem takiego właśnie obrotu rzeczy.

— Spodziewałeś się pan, że mój syn stchórzy? — zawołał hrabia.

— Pan Albert nie stchórzył.

— Ten, kto trzyma w ręku szpadę, a spotka się oko w oko ze śmiertelnym wrogiem i nie użyje broni, jest tchórzem! Szkoda, że go tu nie ma, bobym mu to powiedział!

— Mój panie — ozwał się zimno Monte Christo — nie wydaje mi się, żebyś złożył mi pan wizytę w tym celu, aby opowiadać o swoich historyjkach rodzinnych. Niech pan to wszystko wyłoży panu Albertowi, a kto wie, czy pan Albert nic znajdzie odpowiedzi.

— O, nic, nic! — odrzekł generał z przelotnym uśmiechem. — Masz pan rację, nie po to przyszedłem. Przyszedłem panu powiedzieć, że i ja też uważam pana za wroga! Przyszedłem panu powiedzieć, że nienawidzę pana instynktownie! Że zdaje mi się, jakbym pana znał od wieków i od wieków pana nienawidził! I że skoro dzisiejsza młodzież bić się nie chce, my się bić będziemy... Czy podzielasz pan moje zdanie?

— Naturalnie. Mówiąc, że spodziewałem się takiego obrotu rzeczy, miałem na myśli pańską zaszczytną dla mnie wizytę.

— Tym lepiej... Jesteś pan gotów?

— Jestem zawsze gotów.

— A czy wiesz pan, że walka będzie na śmierć i życie? — spytał generał, zaciskając zęby z wściekłości.

— Na śmierć i życie — powtórzył Monte Christo kiwnąwszy niedbale głową.

— W takim razie jedźmy. Nie trzeba nam świadków.

— Słusznie. Znamy się przecież doskonale.

— Przeciwnie, wcale się nie znamy.

— Ejże — ozwał się Monte Christo z flegmą zdolną przywieść do rozpaczy — zastanówmy się chwilę. Czy nie jesteś pan aby szeregowcem Fernandem, który zdezerterował w przeddzień bitwy pod Waterloo? Czy nie jesteś pan porucznikiem Fernandem, który w Hiszpanii służył wojskom francuskim za przewodnika i szpiega? Czy nie jesteś pan pułkownikiem Fernandem, który zdradził, sprzedał i zamordował Alego, swojego dobroczyńcę? Połączywszy tych trzech Fernandów, otrzymamy generała lejtnanta hrabiego de Morcerf, para Francji, nieprawdaż?

— O, łotrze! — zawołał generał, którego te słowa zapiekły jak rozpalone żelazo. — O, łotrze! Wypominasz mi moją hańbę, gdy za chwilę może zginę z twojej ręki! Nie powiedziałem, że jestem ci nie znany. Wiem, demonie, że przeniknąłeś w noc przeszłości i żeś tam odczytał przy świetle nie znanej mi pochodni każdą stronicę mojego życia. Ale może i tak więcej zacności jest we mnie i w moim poharbieniu aniżeli w twoim szychu. Wiem, że mnie znasz, ale nie wiem, kim ty jesteś, awanturniku kapiący od klejnotów i złota! W Paryżu każesz się nazywać hrabią de Monte Christo, we Włoszech Sindbadem Żeglarzem, na Malcie już nie pomnę jak. Ale pytam cię o twoje prawdziwe nazwisko, ukryte wśród tysiąca zmyślonych. Chcę je poznać, aby wymówić je na miejscu spotkania w chwili, gdy zatopię szpadę w twoim sercu.

Hrabia Monte Christo pobladł straszliwie, a oko zaiskrzyło mu się płomieniem gniewu. Zniknął za drzwiami gabinetu, w sekundę zerwał halsztuk, surdut i kamizelkę — wdział marynarską bluzę włożył na głowę marynarski kapelusz, spod którego spłynęły jego długie, czarne włosy.

Ukazał się znów, straszliwy, nieubłagany. Skrzyżowawszy ramiona zmierzał ku generałowi, który nie pojmując jego zniknięcia, oczekiwał niespokojnie; spojrzawszy teraz na niego, zachwiał się zaszczekał zębami, po czym cofnął się o krok i cofał się dalej, aż ręka skurczona oparła się o stół.

— Fernandzie! Wystarczy, żebym ze stu swoich imion powiedział ci tylko jedno, a padłbyś jak rażony gromem! Ale tyś je odgadł już, a raczej przypomniał je sobie. Albowiem mimo udręk i zgryzoty ukazuję ci dziś twarz, którą odmłodziło szczęście, jakie daje zemsta. Twarz, którą musiałeś widywać często we śnie, od chwili... gdy poślubiłeś... Mercedes, moją narzeczoną!

Generał z głową odrzuconą w tył, rękami wyciągniętymi i wzrokiem nieruchomym chłonał w milczeniu ten straszliwy obraz.

I opierając się o ścianę, jał skradać się ku drzwiom, a gdy natrafił na nie, wyszedł nie odwracając wzroku od hrabiego. I z gardła wydobył mu się tylko krzyk ponury, żaloszny, rozdzierający:

— Edmund Dantés!

Jęcząc niby ranne zwierzę, powlókł się na ganek, przeszedł przez dziedziniec zataczając się jak pijany i osunął się w ręce swojego lokaja, bełkocąc:

— Do domu, do domu!

Świeże powietrze i baczne spojrzenia służby przywróciły mu przytomność umysłu.

Ale droga była krótka i hrabia zbliżając się do domu czuł, jak powraca boleść.

Nie opodal domu zatrzymał karetkę i wysiadł.

Brama była otwarta na ścieżaj.

Na środku dziedzińca stała dorożka. Dorożkarz dziwił się, że wezwano go do tak pięknej siedziby.

Hrabia popatrzył z przerażeniem na dorożkarza i nie śmiejąc pytać o nic, pobiegł do swoich apartamentów.

Dwie osoby schodziły ze schodów. Ledwie miał czas ukryć się w gabinecie.

Była to Mercedes wspartą na ramieniu syna. Oboje opuszczali pałac.

Otarli się niemal o nieszczęśnika, ukrytego za adamaszkową portierą. Jedwabna suknia Mercedes musnęła go prawie, uczył oddech syna, gdy Albert mówił:

— Odwagi, mamó. Chodź, chodź, nie jesteśmy tu już u siebie. Słowa rozplynęły się w powietrzu, oddaliły się kroki.

Generał wyprostował się, trzymając się kurczowo adamaszkowej portieri.

Tłumił bolesne szlochanie — opuszczali go najbliżsi.

Usłyszał po chwili, jak trzasnęły blaszane drzwiczki dorożki. Dorożkarz coś zawołał, a gdy ruszył ciężki ekwipaż, zadrżały szyby,

Pobiegł do sypialni, aby z jej okna ujrzeć raz jeszcze te dwie najukochańsze istoty. Dorożka odjechała, lecz Mercedes i Albert nie pożegnali ostatnim spojrzeniem ani opustoszałego domu, ani porzuconego ojca, dla którego byłoby ono pożegnaniem pełnym żalu, a więc i przebaczeniem.

Toteż gdy koła dorożki zadudniły pod sklepieniem bramy, rozległ się strzał. Ciemny dym buchnął z okna sypialni, które wysadził podmuch eksplozji.

18. WALENTYNA

Odgadnąć łatwo, w jakich interesach śpieszył Morrel i z kim miał się spotkać.

Pożegnawszy Monte Christa podążył wolno ku domowi Villefortów.

Powiedzieliśmy: wolno — gdyż miał jeszcze pół godziny czasu, a do przebycia pięćset kroków. Spieszno mu było jednak rozstać się z hrabią, chciał bowiem pozostać sam ze swoimi myślami.

Wiedział dobrze, o której godzinie ma się stawić. Była to godzina, w której śniadał pan Noirtier. Walentyna pomagała wtedy dziadkowi i nikt nie przeszkadzał jej w tym zbożnym zajęciu.

Noirtier i Walentyna pozwolili mu bywać dwa razy w tygodniu. Korzystał więc dziś ze swojego prawa.

Zjawił się. Walentyna czekała.

Zaniepokojona, niemal odchodząca od zmysłów, chwyciła go za rękę i zaprowadziła do dziadka.

Niepokoila się tak okropnie, gdyż rozeszła się już pogłoska o awanturze, jaką urządził Morcerf. Bo w wielkim świecie każda wieść rozchodzi się szybko.

Nikt u Villefortów nie wątpił, że z awantury wyniknie pojedynek.

Walentyna przeczuła, wiedzona instynktem kobiecym, iż Morrel będzie sekundantem Monte Christa. Znając odwagę młodzieńca, wiedząc o głębokiej przyjaźni, jaką darzył hrabiego, bała się, że Maksymilian, zmuszony okolicznościami, nie ograniczy się w rozprawie do roli biernej.

Rozumiecie więc, jak chciwie wypytywała o szczegóły. Morrel wyczytał w oczach ukochanej niewysłowioną radość, gdy dowiedziała się zarówno o szczęśliwym, jak niespodziewanym obrocie sprawy.

— A teraz — ozwała się Walentyna, wskazując Maksymilianowi miejsce obok starca i siadając u jego stóp, na podnóżku — pomówmy trochę z kolei o naszych sprawach. Wiadomo ci, Maksymilianie, że dziadzio zamierzał kiedyś wyprowadzić się stąd.

— Tak, przypominam sobie ten projekt, pochwalam go z całej duszy.

— A więc ciesz się; dziadzio powrócił do swoich zamysłów.

— Brawo! — zawołał Maksymilian.

— A wiesz, dlaczego dziadzio postanowił się wyprowadzić?

Noirtier spoglądał na wnuczkę w taki sposób, aby nakazać jej milczenie — ale Walentyna nie patrzyła na dziadka; spojrzenie jej i uśmiech były tylko dla Maksymiliana.

— Wszystko mi jedno! Skoro tak postanowił, z pewnością ma rację.

— I to jaką. Utrzymuje, że nie służy mi powietrze naszej dzielnicy.

— A tak, Walentynko, kto wie, czy pan Noirtier się nie myli. Zmizerniałaś w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

— Chyba tak. Dlatego dziadzio mnie leczy, a że wie wszystko, żadnemu doktorowi nie ufam tak jak jemu.

— Więc ty naprawdę źle się czujesz, Walentynko? — zatroskał się na serio Morrel.

— E, trudno to nazwać chorobą. Jestem osłabiona, i tje. Straciłam apetyt, nic jeść nie mogę.

Noirtier przysłuchiwał się bacznie słowom Walentyny.

— A czymże się kurujesz?

— O, to bardzo proste. Łykam co rano łyżkę mikstury, którą lekarz przepisał dziadzi; to znaczy zaczęłam od łyżki, a teraz już cztery. Dziadzio twierdzi, że to lek uniwersalny.

Walentyna uśmiechała się — ale był w tym uśmiechu jakiś smutek i cierpienie.

Maksymilian, upojony miłością, spoglądał na nią nic nie mówiąc.

Była śliczna jak zawsze, ale delikatny jej rumieniec przygasł i zmatowiał, oko lśniło gorączkowym blaskiem, dłonie stały się przezroczyste i żółtawe, niby z wosku.

Maksymilian popatrzył z kolei na Noirtiera.

Starzec z jakąś osobliwą bystrością obserwował wnuczkę, zajęta w tej chwili jedynie swoim ukochanym.

Przyglądał się, jak i Morrel, temu wymizerowaniu świadczącemu o tajemniczej chorobie — wymizerowaniu, którego nikt nie dostrzegł, oprócz tych dwóch kochających ludzi.

— Ale zdaje mi się, że tylko pan Noirtier winien zażywać to lekarstwo, którego ty wypijasz już po cztery łyżki...

— Bardzo ono gorzkie, tak gorzkie, że cokolwiek bym jadła., czuję gorycz. Noirtier spojrzał pytająco na wnuczkę.

— Tak, dziadziu, tak. Przed chwilą, nim przyszedłam do ciebie, napiłam się wody z cukrem zostawiłam pół szklanki, taka mi się wydała gorzka.

Noirtier zbladł. Dał znak, że chce mówić.

Walentyna wstała, żeby przynieść słownik.

Noirtier wodził za nią wzrokiem, w którym malowało się zatroskanie.

Walentynie krew uderzyła do głowy; policzki jej zabarwił rumieniec.

— To dziwne — zawołała, wesołą jak zawsze — coś mnie oślepiło! Czyżby słońce zaświeciło mi prosto w oczy?

Chwyciła się klamki u okna.

— Słońce dziś nie świeci — ozwał się Morrel, bardziej zaniepokojony wyrazem twarzy starca niżli niedyspozycją Walentyny.

I podbiegł do Walentyny. Dziewczę uśmiechnęło się.

— Nie lękaj się, dziadziu — rzekła — i ty też nie lękaj się, Maksymilianie; już mi przeszło. Ale zdaje się, że słyszę jakiś turkot na podwórzu.

Wybiegła na korytarz i wyrzawszy przez okno, wróciła co prędzej.

— Tak. To pani Danglars i Eugenia przyjechały z wizytą. Do widzenia, uciekam, bo przyślą tu po mnie. Zostań, panie Maksymilianie, z dziadzia. Obiecuję, że nie będę ich zatrzymywać.

Morrel odprowadził ją oczyma. Słyszał, jak wbiega na schodki wiodące do jej i pani de Villefort apartamentów.

Gdy znikła, Noirtier dał Morrelowi znak, by wziął słownik.

Morrel spełnił polecenie.

Dzięki wskazówkom Walentyny nauczył się łącznie porozumiewać ze starcem.

Ale że tym razem sprawa była dość skomplikowana, długo przewracał kartki słownika — i dopiero po dziesięciu minutach złożył następujące zdanie:

„Przynies z pokoju Walentyny szklankę i karafkę”.

Morrel zadzwonił i gdy wszedł lokaj — następca Barrois — powtórzył mu rozkaz.

Sługa wrócił po chwili.

Karafka i szklanka były puste.

Noirtier dał znak, że chce mówić.

— Czemu szklanka i karafka są puste? Walentyna przecież wypija pół szklanki.

Morrel składał to zdanie pięć minut.

— Nie wiem — odpowiedział lokaj. — Ale w pokoju panienki jest pokojowa. Może to ona wylała wodę.

— Zapytajcie o to — rzekł Morrel na znak, który starzec dał mu spojrzeniem. Sługa wyszedł i zaraz wrócił.

— Panienska — oznajmił — wstąpiła do swojego pokoju, idąc do jaśnie pani, a że chciało jej się pić, wypita wszystką wodę ze szklanki; a wodę z karafki wylał panicz Edward, robiąc staw dla swoich kaczuszek.

Noirtier wznosił oczy do nieba, niby gracz, który cały majątek postawił na jedną kartę.

Po chwili utkwiał wzrok w drzwiach i nie. odrywał go od nich.

Walentyna wypatrzyła rzeczywiście panią Danglars i jej córkę.

Pani de Villefort przyjęła je u siebie w pokoju.

Dlatego Walentyna wstąpiła do swojego pokoju — od apartamentów pani de Villefort dzielił go tylko pokój Edwardka.

Obie panie weszły do salonu z uroczystą miną, jaką zawsze przybiera ktoś zjawiający się z oficjalną wiadomością.

Ludzie z tej samej sfery rozumieją się wzajem, więc i pani de Villefort przybrała pozę pełną godności.

W teże chwili weszła Walentyna — dygi rozpoczęły się przeto od nowa.

— Droga przyjaciółko — ozwała się pani Danglars, gdy obie panny wzięły się za ręce — przyjechałyśmy, aby oznajmić tobie pierwszej, że Eugenia poślubi wkrótce księcia Cavalcanti.

Danglars obdarzył Cavalcantiego tytułem książęcym.

Bankier, zwolennik ludu, wolał mieć w rodzinie księcia aniżeli hrabiego.

— Niechże ci pogratuluję jak najserdeczniej, moja kochana — odrzekła pani de Villefort. — Księżę Cavalcanti wydaje mi się młodzieńcem rzadkich cnót.

— Mówiąc między nami, droga przyjaciółko — uśmiechnęła się baronowa — księżę nie zabłysnął jeszcze tak, jak zabłyśnie. Jest w nim trochę owej cudzoziemszczyzny, którą my, Francuzki, wykrywamy od pierwszego wejrzenia u szlachty niemieckiej czy włoskiej. A jednak zaleca się dobrym sercem, wielką subtelnością umysłu... co zaś do innych spraw, to mój małżonek utrzymuje, że fortuna jego jest kolosalna. Tak powiedział.

— No i niech mama doda jeszcze — rzekła Eugenia przeglądając album — że czuje mama do tego młodzieńca szczególną skłonność.

— Nie potrzebuję chyba pytać — ozwała się pani de Villefort — czy ty, Eugenio, skłonność tę dzielasz.

— Ja? Bynajmniej — odparła Eugenia ze zwykłą pewnością siebie. — Więzy małżeńskie i posłuszeństwo mężczyźnie, choćby najbardziej dystygowanemu, nie są moim powołaniem. Moim powołaniem jest sztuka, a zatem serce moje i osoba muszą być wolne.

Eugenia wypowiedziała te słowa tak ostro i dobitnie, że Walentyna oblała się rumieńcem.

Lękliwe dziewczę nie pojmowało tego silnego charakteru, pozbawionego jakby całkiem nieśmiałości kobiecej.

— A zresztą — ciągnęła Eugenia — skoro już muszę wyjść za mąż, winnam dziękować Opatrzności za wzgardę, jaką okazał mi pan de Morcerf. Gdyby nie wmieszała się Opatrzność, byłabym dziś żoną człowieka zhańbionego.

— Trudno zaprzeczyć — rzekła baronowa z ową szczególną naiwnością, jaka cechuje niekiedy wielkie damy; a nie tracą jej całkowicie, nawet gdy obcuja z gminem — trudno zaprzeczyć, że gdyby nie to. wahanie Morcerfów, moja córka poślubiłaby pana Alberta. Generałowi ogromnie na tym zależało, próbował nawet przyprzeć mojego męża do muru, aleśny się wykręcili.

— Ale — wtrąciła nieśmiało Walentyna — czyż hańba ojca okryła również i pana Alberta? Wydaje mi się, że pan Albert nie ponosi winy za zdradę generała.

— Wybacz, moja droga — odparła nieubłagana Eugenia — ale pan Albert zasługuje na hańbę i sam ją na siebie ściągnął. Wyzwał wczoraj w Operze pana de Monte Christo, a dziś przeprosił go na moment przed pojedynkiem.

— Nie do wiary! — zawołała pani de Villefort.

— Ależ to pewne — potwierdziła baronowa ze wspomnianą już naiwnością — pan Debray świadkiem.

Walentyna знаła istotę sprawy, lecz nic nie. odrzekła.

Rozmowa ta obudziła w niej wspomnienia. Była myślą w pokoju dziadka, gdzie czekał Maksymilian.

Zadumawszy się, przestała brać udział w konwersacji.

Nie. umiałaby już nawet powtórzyć, o czym od paru minut mówiono — gdy nagle pani Danglars, położywszy jej dłoń na ramieniu, wyrwała ją z zadumy.

— Co się stało, proszę pani? — zapytała wzdrygnąwszy się, jakby przebiegł ją prąd elektryczny."

Chciałabym cię zapytać Walentyńko, czy nie czujesz się źle?; — rzekła baronowa.

— Ja? — i Walentyńska przeciągnęła ręką po rozpalonym czole.

— Tak, Przejrzyj się w lustrze. W ciągu jednej sekundy czerwieniłaś się i bladłaś ze cztery razy.

— Rzeczywiście! — zawołała Eugenia. — Jesteś bardzo blada!

— E, nie kłopotz się. Wyglądam tak już od paru dni.

I Walentyńska, choć chytrą nie była, zrozumiała, że ma okazję, by się oddalić. A zresztą pani de Villefort ułatwiła jej to.

— Odejdź, jeśli chcesz — powiedziała. — Jesteś naprawdę chora, więc obie panie ci darują. Wypij szklankę wody, to ci pomoże.

Walentyńska ucałowała Eugenię, dygnęła pani Danglars i wyszła. . .

— Biedactwo! — westchnęła pani de Villefort, gdy za Walentyńką zamknęły się drzwi. Niepokoję się o nią na serio. Nie dziwiłabym się, gdyby zachorowała poważnie.

Walentyńska tymczasem, w rozgorączkowaniu i z którego nie zdawała sobie sprawy, przeszła przez pokój Edwarda, nie zwróciwszy uwagi na jakiś złośliwy przycinek chłopca, i znalazła się na schodach.

Zeszła z nich, lecz na przedostatnim stopniu zachwiała się.

Słyszała już głos Morrela, gdy nagle pociemniało jej w oczach, zeszywniałe nogi odmówiły posłuszeństwa, dłoń nie zdołała uchwycić poręczy — i Walentyńska ocierając się o ścianę zsunęła się w dół.

Morrel podskoczył ku drzwiom.

Otworzył je, ujrzał leżącą Walentyńkę.

Porwał ją w ramiona i posadził na fotelu.

Walentyńska otworzyła oczy.

— Ależ ze mnie niezdara! Przez takie głupstwo straciłam równowagę! Zapomniałam o trzech schodkach — mówiła szybko, jak w gorączce.

— Nie zrobiłaś sobie nic złego? — dopytywał się Morrel. — O Boże, Boże!

Spojrzawszy na dziadka, Walentyńska dostrzegła w jego oczach straszliwy lęk.

— Uspokój się, dziadku — rzekła i spróbowała uśmiechnąć się. — To nic, w głowie mi się zakręciło, i basta.

— Znowu zawrót głowy! — powiedział Morrel składając ręce. — Uważaj, Walentyńko, błagam!

— Ależ to głupstwo; mówię ci, że już po wszystkim. A teraz posłuchaj, bo przynoszę nowinę: za tydzień Eugenia wychodzi za mąż, a za trzy dni u nich wielka feta, przyjęcie zaręczynowe. Jesteśmy wszyscy zaproszeni... tak się przynajmniej domyślałam.

— A kiedyż my z kolei będziemy zajmować się tymi drobiazgami? O Walentyńko, ty, która masz taki wpływ na dziadka, nakłoń go, żeby odpowiedział: niebawem!

— To liczysz na mnie, że przyspieszę bieg sprawy i że przypomnę dziadzi, co trzeba?

— Tak. I nie zwlekaj, na miłość boską. Dopóki nie będziesz moją zawsze mi się będzie zdawało, że mi się wymkniesz.

— E — odrzekła Walentyńska wzdrygnąwszy się — nazbyt jesteś lękliwy jak na oficera, jak na żołnierza, który podobno nie zna, co to twoga. Ha, ha, ha!

Wybuchnęła piskliwym i bolesnym śmiechem. Ręce jej zeszywniały i wyprężyły się kurczowo, głowa przechyliła się w tył. Walentyńska znieruchomiała. W oczach Noirtiera odmalowała się straszliwa twoga.

Morrel zrozumiał. Trzeba było zawołać na pomoc.

Jął targać sznur dzwonka. Pokojowa, która była właśnie w pokoju Walentyńskiej, i lokaj, następca Barrois, wbiegli jednocześnie.

Walentyńska była tak blada i zimna, że oboje nie słuchając rozkazów, ogarnięci zgrozą, która zawisła nad tym przeklętym domem, wypadli na korytarz wołając o ratunek.

Pani Danglars i Eugenia wychodziły w tym momencie. Mogły się więc jeszcze dowiedzieć, co było przyczyną zamieszania.

—A nie mówiłam! — zawołała pani de Villefort. — Biedactwo!

19. WYZNANIE

W tejże chwili rozległ się głos pana de Villefort. Prokurator wychyliwszy się z gabinetu zawołał:

— Co się tu dzieje?

Morrel zapytał Noirtiera wzrokiem. Starzec, odzyskawszy już całkiem zimną krew, wskazał mu alkowę, gdzie Morrel ukrył się już raz w podobnych okolicznościach.

Schwycił kapelusz i zdyszany wpadł do alkowy.

Kroki prokuratora rozległy się na korytarzu.

Villefort wpadł do pokoju, podbiegł do Walentyny i wziął ją w ramiona.

— Lekarza, lekarza! — zawołał. — Sprowadzić pana d'Avrigny! Albo nic! Sam po niego pojedę.

I wypadł z pokoju.

Morrel wymknął się drugimi drzwiami.

Strasliwe wspomnienie zmroziło mu serce.

Przypomniał sobie rozmowę, jaką Villefort odbył z lekarzem tej nocy, kiedy umarła pani de Saint-Meran.

U Walentyny wystąpiły symptomy tej samej choroby, na którą umarł Barrois. Tylko forma ich była tym razem łagodniejsza.

Jednocześnie zabrzmiały mu w uszach słowa, które Monte Christo powiedział doń dwie godziny temu:

— Gdybyś pan znalazł się w potrzebie, przyjdź do mnie, gdyż mogę wiele. Pomkną więc przedmieściem Świętego Honoriusza, a potem ulicą Matignon, i dotarł szybko na Pola Elizejskie.

Tymczasem pan de Villefort zajechał dorożką przed dom pana d'Avrigny. Zadzwonił tak gwałtownie, iż odźwierny wybiegł przerażony. Villefort nie miał siły przemówić i tylko pomknął po schodach. Odźwierny przepuścił Villeforta, ponieważ go znał, i zawołał tylko:

— Doktor jest w gabinecie, panie prokuratorze! Villefort pchnął już drzwi.

— A, to pan — rzekł doktor.

— Tak, to ja — odpowiedział Villefort zamykając drzwi. — Teraz ja zapytam, doktorze, czy jesteśmy sami. Doktorze, mój dom jest przeklęty!

— Czyżby? — odpowiedział d'Avrigny z pozoru zimno, choć wstrząsnął nim niepokój. — Cóż tam, znowu ktoś zachorował?

— Tak! — zawołał Villefort rwąc sobie włosy. — Tak.

D'Avrigny spojrział tak, jakby chciał powiedzieć: „Przestrzegałem pana”. A następnie wycedził:

— Któż więc z kolei umrze u pana? Któż teraz oskarży nas przed Bogiem o słabość?

Villefort zaszlochał boleśnie. Podszedł do lekarza i rzekł chwytając go za ramię:

— Walentyna. Kolej na Walentynę.

— Pańska córka! — przeraził się i zdumiał d'Avrigny.

— Sam pan teraz widzisz, że się myliłeś. Przyjdź pan do mnie i proś ją o przebaczenie.

— Ilekroć mnie pan wzywałeś, było już późno. Mniejsza z tym: idę. Ale spieszmy się. Nieprzyjaciel, który zadaje ciosy w pańskim domu, działa błyskawicznie.

— O, tym razem nie będzie mi doktor wyrzucał słabości. Tym razem wytropię mordercę i ugodzę go.

— Spróbujmy najpierw uratować Walentynę, a potem pomyślimy o zemście. Jedźmy.

I gdy Morrel stukał do drzwi Monte Christa, Villefort i d'Avrigny jechali szybko dorożką do chorej.

Hrabia, mocno zafrasowany, siedział w gabinecie i czytał list, który Bertuccio przysłał mu spieszenie.

Uniósł głowę, gdy oznajmiono Morrela, z którym rozstał się zaledwie dwie godziny temu.

A jednak w czasie tych dwóch godzin jakieś doniosłe wypadki musiały zajść i w życiu Morrela, skoro pożegnał go wesół, a wracał wstrząśnięty.

Zerwał się i podbiegł do kapitana.

— Co się stało, panie Maksymilianie? — zapytał. — Jesteś pan blady, pot spływa panu z czoła.

Maksymilian osunął się na fotel.

— Przybiegłem tu — odrzekł. — Muszę z panem pomówić.

— Czy w domu wszyscy zdrowi? — zagadnął hrabia z nieklamana i serdeczną życzliwością.

— Dziękuję hrabio, dziękuję — odparł Maksymilian wyraźnie zakłopotany, nie wiedząc, od czego by tu zacząć. — W domu wszyscy zdrowi.

— To doskonale. Ale widzę, że i tak chcesz mi pan coś powiedzieć — odrzekł hrabia, niepokojąc się coraz bardziej.

— A tak. Wyszedłem z domu, do którego zastukała właśnie śmierć, i przybiegłem do pana.

— Czyżbyś pan był u państwa de Morcerf? — Nie. A czy tam ktoś umarł?

— Generał palnął sobie w łeb.

— Och! Co za straszne nieszczęście!

— Straszne, ale nie dla hrabiny i nie dla Alberta; lepiej, żeby ktoś umarł, aniżeli żył w hańbie; krew ją zmyje.

— Biedna hrabina, jej najbardziej mi żal. Taka szlachetna kobieta!

— Żałuj też i Alberta, panie Maksymilianie. Wierzaj mi, że to syn godny swojej matki. Ale wróćmy do pańskich spraw; przybiegłeś pan do mnie co tchu — czyżbym miał szczęście być panu potrzebny?

— Tak, to znaczy, pomyślałem jak szaleniec, że mógłbyś mi pan dopomóc w pewnych okolicznościach, w których może dopomóc mi tylko Bóg.

— Powiedz pan najpierw, o co chodzi.

— Nie wiem doprawdy, czy wolno mi wyjawić tak wielki sekret, ale, hrabio, fatalność zmusza mnie do tego...

Morrel urwał i zawahał się.

— A wierzysz pan w moją przyjaźń? — zagadnął Monte Christo, ujmując serdecznie Maksymiliana za rękę.

— Ośmielasz mnie pan, a następnie coś mi mówi — tu Morrel położył dłoń na sercu — że nie powinienem mieć przed tobą żadnych tajemnic.

— Ma pan rację. To Bóg podszeptał panu te słowa, płyną one prosto z twojego serca. I cóż to serce jeszcze powiada?

— Hrabio, czy mógłbyś posłać Baptystę, aby dowiedział się o kogoś, kogo pan znasz?

— Jestem do pańskiej dyspozycji, a tym bardziej moja służba.

— O, nie uspokoję się, póki nie będę miał pewności, że ona czuje się lepiej.

— Czy mam zadzwonić po Baptystę?

— Nie, sam z nim pomówię.

Morrel wyszedł, zawołał Baptystę i szepnął mu kilka słów. Lokaj wybiegł z pokoju.

— No i jak tam? — zagadnął Monte Christo, gdy Morrel wrócił. — Poszedł. Teraz będę trochę spokojniejszy.

— A ja czekam... — uśmiechnął się Monte Christo.

— Tak, przystępuję do rzeczy. Posłuchaj pan: jednego wieczoru znalazłem się w pewnym ogrodzie; byłem ukryty w kępie drzew i nikt nie domyślał się, że tam jestem. Dwie osoby przeszły koło mnie. Pozwól pan, że na razie pominę ich nazwiska. Rozmawiały cicho, a jednak rozmowa ta zaciekała mnie tak mocno, że nie przepuściłem z niej ani słowa.

— Ponura to będzie historia, a wnoszę to z pańskiej bladości. Drżysz pan.

— O tak, bardzo ponura, drogi przyjacielu! Umarł właśnie ktoś z rodziny pana domu. Pan domu rozmawiał z lekarzem; zwierzał mu się ze swoich obaw i zmartwień, tego bowiem miesiąca anioł śmierci nawiedził już po raz wtóry tę rodzinę, jak gdyby dotkniętą bożym gniewem.

— Hm — mruknął Monte Christo i obserwując bacznie młodzieńca, tak obrócił fotel, aby na twarz Maksymiliana padało światło. Sam pozostał w cieniu.

— Tak — ciągnął Morrel — podczas jednego miesiąca śmierć dwakroć zastukała do tego domu.

— I cóż odpowiedział doktor?

— Odpowiedział... odpowiedział, że to śmierć nienaturalna i że trzeba ją przypisać...

— Czemu?

— Truciźnie!

— Czy doprawdy, panie Maksymilianie, słyszałeś to wszystko? — zagadnął hrabia pokaszłując z lekka. Kaszlem tym maskował głębokie wzruszenie, rumieniec, bladość albo zaniepokojenie.

— Tak, drogi hrabio, słyszałem na pewno. Doktor powiedział jeszcze, że jeśli się to powtórzy, będzie musiał donieść władzom.

Monte Christo słuchał z największym spokojem — może szczerym, a może udanym.

— Owóż — mówił Maksymilian — śmierć ugodziła po raz trzeci, lecz ani doktor, ani pan domu władz nie zawiadomili. A teraz śmierć ugodzi może po raz czwarty... Jak myślisz, hrabio, do czego obowiązuje mnie znajomość tego sekretu?

— Drogi przyjacielu, opowiadasz mi historię ogólnie znaną. Wiem, co to za dom, a przynajmniej tak mi się zdaje. Słyszałem o tych trzech osobliwych i nagłych zgonach. Spójrz pan na mnie: chociaż nie podsłuchałem niechcący niczych zwierzeń, znam tę sprawę nie gorzej niż pan, ale nie mam żadnych wyrzutów sumienia. Nic mnie to nie obchodzi. Powiedziałeś pan, że anioł śmierci wskazał zagniewanemu Bogu ten dom... I nie pomyliłeś się może. Nie przyglądaj się temu, czemu przyglądać się nie chcą ci, których to dotyczy. Jeśli dom ten nawiedziła sprawiedliwość boża, a nie gniew boży, odwróć głowę, Maksymilianie, i sprawiedliwości bożej nie przeszkadzaj.

Morrel zadrżał.

Głos hrabiego brzmiał posępnie, uroczyście i groźnie.

— A zresztą — dodał hrabia zmienionym głosem, jak gdyby w tej chwili mówił kto inny — ktoś panu powiedział, że to zacznie się znowu?

— Zaczyna się już! — zawołał Morrel. — Dlatego przybiegł do pana.

— I cóż ja na to poradzę? A nie chciałbyś pan przypadkiem, żebym uwiadomił prokuratora królewskiego?

Hrabia wymówił te słowa z takim naciskiem, iż Morrel zerwał się i wykrzyknął:

— O, toć pan wiesz o kim mówię, prawda?

— Wiem jak najlepiej, drogi przyjacielu, a na dowód postawię kropkę nad i, a raczej wymienię nazwiska zainteresowanych. Przechadzałeś się pan wieczorem po ogrodzie pana de Villefort; sądząc z tego, co mi powiedziałeś, domyślałem się, że tego właśnie wieczoru umarła pani de Saint-Méran. Pan de Villefort rozprawił z doktorem o śmierci pana de Saint-Méran i o nie mniej osobliwej śmierci jego małżonki. Pan d'Avrigny oświadczył, że podejrzewa otrucie, a nawet dwa otrucia; a pan, człowiek uczciwości kryształowej, zastanawiasz się od tego momentu, zgłębiasz swoje sumienie i medytujesz, czy wyjawić tajemnicę, czy też ukryć ją pod kocem. Nie żyjemy już, drogi przyjacielu, w średniowieczu, nie ma już świętej Vehme i sądów kapturowych. Czegóż pan, u diabła, chcesz od tych ludzi? „Sumienie, czemuż mi się naprzykrzasz?” — jak powiada Sterne. E, kochasiu, daj im spokojnie spać, jeśli śpią, a jeśli nie — pozwól mizernieć im z bezsenności, a pan, na miły Bóg, wysypiaj się do woli, skoro masz spokojne sumienie.

Na twarzy Morrela odmalowała się straszliwa boleść.

Chwyił Monte Christa za rękę.

— Ależ to się znów zaczyna, słyszał pan?

— No to niech się zaczyna, a pan się nie przejmuj — odparł hrabia, nie pojmując tego uporu i patrząc coraz uważniej na Maksymiliana. — To ród Atrydów. Bóg ich potępił, spełnią się jego wyroki. Choćby ich było dwustu, znikną wszyscy pod tchnieniem Pana, rozsypią się niby domki z kart. Trzy miesiące temu zmarł pan de Saint-Méran, dwa miesiące temu — wdowa po nim; niedawno — Barrois; a dziś zemrze stary Noirtier albo panna Walentyńska.

— I pan wiedziałeś o tym? — zawołał Morrel z taką grozą, iż Monte Christo zadrżał, on, który zachowałby spokój, gdyby runęło sklepienie niebieskie — wiedząc o tym, pozostał pan obojętny?

— A cóż mnie to obchodzi? — odparł Monte Christo wzruszając ramionami. — Czyż ja znam bliżej tych państwa? Miałem ocalić jedno z nich, żeby zginęło drugie? Wszystko mi jedno, kto z tej rodziny umrze, a kto ocaleje — winien czy nie winien.

— Ale ja — wykrzyknął Morrel, półprzytomny z boleści, załamując ręce i wznosząc je do nieba — ale ja ją kocham!

— Kogo pan kochasz? — zawołał Monte Christo, zrywając się na równe nogi i chwytając Morrela za rękę.

— Kocham do szaleństwa, kocham tak, że dałbym sobie utoczyć wszystką krew, żeby zaoszczędzić jej choć jednej łyżki, kocham Walentynę! Chcą ją zamordować, rozumiesz pan, a ja zwracam się o ratunek do Boga i do pana!

Monte Christo ryknął niby zraniony lew.

— Nieszczęsny! — wykrzyknął załamując rękę. — Nieszczęsny, kochasz Walentynę! Kochasz córkę przeklętego rodu!

Morrel u nikogo jeszcze nie widział takiego wyrazu twarzy.

Nigdy jeszcze niczyje oko nie zapłonęło w jego obecności tak strasliwym blaskiem.

Nigdy jeszcze geniusz grozy, który pojawił mu się tylekroć na polach bitwy albo w czasie krwawych nocy w Algierze, nie rozsiał wokół niego równie złowróżbnych ogni.

Cofnął się przerażony.

A Monte Christo po tym nagłym wybuchu zamknął na chwilę oczy, jak gdyby olśniony wewnętrznym światłem.

Zmagał się ze sobą tak potężnie, iż pierś jego, smagana burzą uczuć, wznosiła się teraz coraz wolniej, niby spienione fale uspokajające się po nawałnicy.

Cisza ta, skupienie i walka trwały dłuższą chwilę.

Po czym hrabia podniósł wybladłe oblicze.

— Widzisz więc, drogi przyjacielu — rzekł, a głos nie załamał mu się prawie — jak Bóg umie karać najobojętniejszych fanfaronów, jeśli pozostają nadal obojętnymi na to, co im wskaże. Mnie, który chłodno i z ciekawością obserwowałem, jak rozwija się ta ponura tragedia, mnie, który niby szatan śmiałem się z ludzkich grzechów, mnie, który pozostawałem w ukryciu, a łatwo jest ukrywać się bogatemu i potężnemu, mnie teraz ugryzł ten wąż, i to ugryzł w samo serce! Morrel jęknął głucho.

— No, no — ciągnął hrabia — dość lamentów, bądź mężczyzną, bądź silnym i nie trać nadziei, bo jestem tu i czuwam nad tobą.

Morrel potrząsnął smutno głową.

— Mówię panu; żebyś nie tracił nadziei, rozumiesz pan! — zawołał Monte Christo. — Wiedz pan, że nigdy nie kłamię i że nigdy się nie mylę. Maksymilianie, jest południe, dziękuj Bogu, żeś przyszedł teraz, a nie wieczorem albo jutro rano. Posłuchaj uważnie: jest południe — i jeśli Walentyzna nie umarła do tej pory, nie umrze już.

— O Boże, Boże! — zawołał Morrel. — Kiedym odchodził, była umierająca. Monte Christo wsparł czoło na dłoń.

Co się działo w tej głowie, ciężkiej od strasliwych tajemnic? Co mówił temu człowiekowi nieubłaganemu, a jednak ludzkiemu, anioł dobrego lub anioł ciemności?

Bóg jeden to wie.

Monte Christo podniósł głowę, ale tym razem był pogodny jak budzące się dziecko.

— Maksymilianie — rzekł — wracaj spokojnie do domu. Nakazuję ci, abyś nie podejmował żadnych kroków i abyś nie pokazywał po sobie desperacji. Dam ci znać, a teraz do widzenia.

— Boże, Boże — powiedział Morrel — przeraża mnie, hrabio, ta twoja zimna krew. Czyżbyś, hrabio, umiał zwyciężyć śmierć? Czy jesteś nadczłowiekiem? A może aniołem? A może bogiem?

I młodzieniec, który nigdy nie cofnął się na krok przed niebezpieczeństwem, zadrżał przed hrabią, przejęty niewypowiedzianym lękiem.

Lecz Monte Christo spojrział nań, uśmiechając się tak melancholijnie i łagodnie zarazem, iż Maksymilianowi zakręciły się łyżki w oczach.

— Wiele mogę, mój przyjacielu. A teraz odejdz, muszę być sam.

Morrel, ulegając fascynacji, jaką roztaczał wokół siebie ten człowiek, nie próbował nawet zaprotestować.

Uścisnął dłoń hrabiego i wyszedł.

Ale zatrzymał się w drzwiach, widząc, że Baptysta, powracający pędem, wynurzył się zza rogu ulicy Matignon.

Tymczasem Villefort i d'Avrigny przyjechali do chorej.

Walentyna była jeszcze nieprzytomna. Doktor zbadał ją tym sumienniej, że nakazywały mu to zarówno okoliczności, jak i znajomość sekretu.

Villefort wpatrzony w niego oczekiwał diagnozy.

Noirtier, bledszy niż wnuczka, wyczekiwał trawiony jeszcze większym niepokojem niż Villefort.

Na koniec d'Avrigny powiedział wolno:

— Jak dotąd, żyje.

— Jak dotąd! — zawołał Villefort. — O doktorze, co za straszne słowa!

— Tak — potwierdził doktor — jak dotąd, żyje i nawet bardzo mnie to dziwi.

— Ale czy da się ją uratować?

— Owszem, skoro żyje.

I w tym momencie Noirtier i d'Avrigny skrzyżowali spojrzenia.

W oku starca błyszczała tak niezwykła radość, tryskało ono myślą tak bogatą i płodną, że doktor zastanowił się.

Ułożył na fotelu bezwładne ciało dziewczyny, której zbiele usta ledwie można było dojrzeć, nie różniły się bowiem barwą od jej bladych lic — i znieruchomiał. Spoglądał tylko na starca, który śledził każdy jego ruch.

— Niech pan wezwie pokojową panny Walentyny, jeśli łaska — rzekł do Villeforta.

Villefort oparł głowę Walentyny o poręcz fotela i wybiegł, aby wezwać pokojową.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nim, d'Avrigny podszedł do Noirtiera.

— Chciałeś mi pan coś zakomunikować? — spytał. Starzec potwierdził gorliwie.

— Czy tylko mnie?

— Tak.

— Dobrze. Zostanę dłużej.

W tymże momencie wrócił Villefort, a za nim weszła pokojowa. Za pokojową wkroczyła pani de Villefort.

— I cóż się stało tej biednej dziecinie? — zapytała. — Wyszła ode mnie, skarżąc się, że jej niedobrze, ale nie przypuszczałam, że to coś aż tak poważnego.

I prokuratorowa, popłakując niby rodzona matka Walentyny, wzięła ją czule za rękę.

D'Avrigny spoglądał wciąż na Noirtiera: źrenice starca rozszerzyły się, zsiniał, policzki mu drgnęły i pot wystąpił na czoło.

— Ach! — westchnął mimo woli. Podążywszy wzrokiem za spojrzeniem Noirtiera utkwił oczy w pani de Villefort, która powtarzała:

— Biednej dziecinie będzie najlepiej w łóżku. Chodź, Fanny, położymy ją. D'Avrigny, widząc, że dzięki temu pozostanie sam z Noirtierem, kiwnął potakująco głową — bo zresztą Walentynę położyć było trzeba. Zapowiedział tylko, żeby nie brała nic do ust bez jego pozwolenia.

Walentyna odzyskała przytomność. Nie mogła jednak ani poruszać się, ani przemówić, tak silnego wstrząsu doznał jej organizm. Wyniesiono ją z pokoju.

Ale pożegnała dziadka spojrzeniem. Starcowi zdawało się, że wydzierają mu duszę.

D'Avrigny poszedł za chorą. Dał ostatnie wskazówki i zażądał, by Villefort wziął dorożkę i pojechał do apteki, gdzie w jego obecności przygotowano by lekarstwa. Miał je przywieźć sam i czekać w pokoju córki na doktora.

Zapowiedziawszy Walentynie raz jeszcze, aby nic nie brała do ust, wrócił do Noirtiera, zamknął starannie drzwi, upewnił się, że nikt nie podsłuchuje, a wtedy spytał:

— Czy wiesz pan coś o chorobie wnuczki?

— Tak.

— Nie mamy czasu do stracenia, będę więc indagował, a pan będziesz odpowiadał.

Noirtier dał znak, iż odpowiadać jest gotów.

— Czy przewidziałeś pan chorobę Walentyny?

— Tak.

D'Avrigny zastanowił się chwilę; a podszedłszy bliżej do starca, rzekł:

— Wybacz mi pan to, co powiem, ale w tej okropnej sytuacji nie wolno nam pominąć niczego. Widziałeś pan, jak umierał biedny Barrois?

Noirtier wznosił oczy do nieba.

— Wiesz pan, na co umarł? — zagadnął d'Avrigny, kładąc dłoń na ramieniu, starca.

— Tak.

— Czy sądzisz pan, że była to śmierć naturalna

Na wargach Noirtiera zarysowało się coś, co można by nazwać uśmiechem.

— Przyszło panu na myśl, że Barrois został otruty?

— Tak.

— Więc i ona też padnie ofiarą? — tu d'Avrigny spojrział przenikliwie na Noirtiera.

Ciekaw był, jakie wrażenie słowa te wywrą na starcu.

— Nie! — oko Noirtiera zabłysło tryumfalnie, a tego najbystrzejszy z ludzi przewidzieć by nie mógł.

— A więc nie utraciłeś pan nadziei? — zdumiał się d'Avrigny. — Nie.

— Czegóż się pan w takim razie spodziewasz? Starzec dał znak, iż odpowiedzieć nie może.

— A tak, prawda... — mruknął d'Avrigny.

I zwracając się do Noirtiera:

— Spodziewasz się pan tedy, że morderca da pokój?

— Nie. Czyżby w takim razie trucizna nie działała na Walentyne?

— Nie.

— Bo chyba to dla pana nie nowina, że ktoś popróbował ją otruć... Starzec dał znak, iż nie żywi w tym względzie jakichkolwiek wątpliwości.

— A więc jakim cudem Walentyne ujdzie cała?

Noirtier ją z takim uporem spoglądał w jednym kierunku, że doktor spojrzął w tę stronę. Stała tam butelka z lekarstwem, które zażywał co rano.

— Aha — rzekł d'Avrigny pojąwszy nagle — przyszło więc panu na myśl... Noirtier nie dał mu skończyć:

— Tak.

— Żeby uodpornić ją na truciznę...

— Tak.

— Dając jej niewielkie ilości...

— Tak, tak, tak — Noirtier był zachwycony, że lekarz go zrozumiał.

— Bo słyszałeś pan zapewne, że w skład mikstury, którą panu zapisałem, wchodzi brucyna!

— Tak.

— Przyzwyczaiłeś pan wnuczkę do trucizny, zneutralizowawszy tym sposobem jej działanie, tak?

Radosny i tryumfalny błysk w oczach Noirtiera.

— I rzeczywiście udało się panu! — zawołał d'Avrigny. — Gdyby nie te środki ostrożności, Walentyne już by nie żyła. Wszelki ratunek byłby daremny, zmarłaby, tak silny był wstrząs. Ale nastąpiło tylko zachwianie równowagi i Walentyne nie umrze, przynajmniej tym razem.

W oku starca odmalowała się niewysłowiona radość. Spojrzął z wdzięcznością w niebo.

W tymże momencie wrócił Villefort.

— Przyniosłem lekarstwo, które doktor zapisał — rzekł.

— Czy sporządzono je w pańskiej obecności?

— Tak.

— A nie dawałeś go pan nikomu do rąk?

— Nie.

D'Avrigny wylał sobie kilka kropel mikstury na dłoń i zlizął je.

— Doskonale — powiedział — chodźmy do Walentyne. Dam tam wszystkim instrukcje, a pan, panie prokuratorze, będziesz czuwał, aby wykonywano je jak najściślej.

Gdy d'Avrigny i Villefort szli do pokoju Walentyny, jakiś ksiądz włoski o wyglądzie surowym, a głose stanowczym i spokojnym, wynajmował na swój wyłączny użytek kamieniczkę przyległą do pałacu Villefortów.

Nikt nie zdołał się dowiedzieć, na skutek jakiej to transakcji trzech lokatorów wyprowadziło się z owego domu już po dwóch godzinach. Powiadano w dzielnicy, że dom ten osunąwszy się z fundamentów groził zawaleniem. Nowy lokator nie zważając na to wprowadził się, zwiózłszy skromny dobytek, około piątej po południu.

Nowy lokator podpisał kontrakt na parę lat, a zapłacił, jak to jest w zwyczaju, za pół roku z góry.

Był to, jak się rzekło, ksiądz włoski: signor Giacomo Busoni.

Wezwano natychmiast robotników — i zapóźnieni przechodnie patrzyli ze zdziwieniem, jak cieśle i murarze zaczęli remontować wałącą się budowlę.

20. OJCIEC I CÓRKA

Widzieliśmy w poprzednim rozdziale, jak pani Danglars przybyła do pani de Villefort, aby zapowiedzieć oficjalnie małżeństwo Eugenii z panem Andrea Cavalcantim.

Zapowiedź tę, wskazującą — tak by się przynajmniej zdawało — że wszyscy zainteresowani doszli do porozumienia w tej doniosłej sprawie, poprzedziła scena, którą winniśmy odmalować czytelnikom.

Niechże więc czytelnik wróci myślą do fatalnego poranka i wyobrazi sobie salon, kapiący od złoceń, którym tak chlubił się jego właściciel, pan baron Danglars.

Około dziesiątej rano przechadzał się po owym salonie już od paru minut, zadumany i wyraźnie czymś zaniepokojony. Popatrywał wciąż na drzwi i przystawał za lada szmerem.

Wyczerpała się w końcu cierpliwość barona. Zawołał lokaja.

— Stefanie — rzekł — dowiedz się, dlaczego panna Eugenia prosiła mnie, bym czekał na nią w salonie, i dlaczego nie zjawia się tak długo.

Wyładowawszy zły humor baron uspokoił się trochę.

Panna Danglars zbudziwszy się uwiadomiła ojca, że chce z nim porozmawiać w złotym salonie.

Barona zdziwiło to szczególne życzenie, a zwłaszcza jego oficjalny charakter. Zgodził się jednak od razu i stawił się pierwszy.

Stefan wrócił po chwili.

— Pokojowa jaśnie panienki — rzekł — oznajmiła mi, że jaśnie panienka kończy toaletę i że przyjdzie niebawem.

Danglars kiwnął głową na znak zadowolenia.

Wobec znajomych, a nawet wobec służby Danglars udawał ojca dobrodusznego i słabego.

Taką bowiem rolę obrał sobie w ludowej komedii, którą odgrywał. Nałożył na swoją fizys jakby maskę, którą w antycznym teatrze nosili ojcowie. Maskę taką cechują dwie strony: wesola i smutna — z prawej strony usta się uśmiechają, a z lewej są opuszczone i płaskie.

Zaznaczmy od razu, że w gronie rodzinnym uśmiechnięta część opuszczała mu się płaskie — i w większości wypadków zniknął pocziwiec, a miejsce jego zabierał brutal i despota.

Czemuż ta wariatka, pomyślał Danglars, nie przyjdzie po prostu do mojego gabinetu, skoro chce się ze mną zobaczyć? I po co, u diabła, chce ze mną gadać?

Kiedy przetrwał po raz dwudziesty tę myśl niepokojącą, otworzyły się drzwi i ukazała się Eugenia, odziana w czarną, aksamitną suknię, haftowaną w matowe kwiaty tegoż koloru, starannie uczesana i w rękawiczkach — jakby miała właśnie zasiąść w swoim fotelu w teatrze włoskim.

— No i cóż tam, Geniu? — zawołał Danglars. — I czemuż wybrałaś ten uroczysty salon? Byłoby nam lepiej u mnie, w gabinecie.

— Ma ojciec rację — odrzekła Eugenia wskazując mu krzesło. — A w tych dwóch pytaniach streścił ojciec całą rozmowę, którą zamierzam z ojcem przeprowadzić. Odpowiem tedy na obydwa, ale choć, to wbrew zwyczajowi, najpierw na drugie, gdyż mniej ono skomplikowane. Wybrałam, proszę ojca ten salon, aby uniknąć niemiłego wrażenia, jakiego doznajemy w gabinecie bankiera; a ponadto unoszą się tam jakieś szkodliwe fluidy. Te księgi kasowe, grubo złożone, szuflady zamknięte niby bramy fortecy, stopy banknotów pochodzących nie wiadomo skąd, stopy listów z Anglii, Holandii, Hiszpanii, Indii, Chin i Peru oddziałują na ogół osobiwie na duszę ojca i każą mu zapominać, że istnieje na

świecie coś większego i świętszego niżli pozycja towarzyska i uznanie wśród kolegów. Wybrałam tedy ten salon, bo wisi w nim w bogatych ramach portret, na którym ojciec jest uśmiechnięty i szczęśliwy; jest tu także portret mój i matki i są wzruszające obrazy pasterskie. Ufam wpływowi otoczenia. Może, zwłaszcza jeśli idzie o ojca, to błąd. Ale cóż, nie byłabym artystką, gdybym nie pozostawiła sobie żadnych iluzji.

— Wybornie — odrzekł Danglars, który wysłuchał tej tyrady z niezmaconą zimną krwią, choć nie zrozumiał ani słowa, pochłaniało go bowiem, jak i wszystkich ludzi szczypanych, doszukiwanie się własnych zamysłów w myślach rozmówcy:

— To, jeśli idzie o drugi punkt, mniej więcej wystarczy — rzekła Eugenia z pewnością siebie zgoła męską, tak charakterystyczną dla jej słów i czynów — a ojciec wydaje mi się kontent z wyjaśnienia. Wróćmy więc do punktu pierwszego. Pytał ojciec, dlaczego zażądałam tej rozmowy. Odpowiem krótko: nie zamierzam poślubić pana Cavalcanti.

Danglars podskoczył na fotelu, wznosząc ramiona i oczy do nieba.

— Tak, mój ojciec — ciągnęła Eugenia, nie tracąc wewnętrznej równowagi. — Dziwisz się, widzę, gdyż od momentu, jak uruchomił ojciec ten interesik, nic sprzeciwiłam się ani razu, pewna, że w sposobnej chwili stawię zdecydowany opór ludziom, którzy nie zapytali mnie o zdanie, okoliczności zaś pokonam siłą niezłomnej woli. Tym razem jednak ten spokój, ta bierność, jak powiadają filozofowie, miały inne źródło. Jako przywiązana i uległa córka — tu po szkarłatnych wargach Eugenii przemknął uśmiech — ćwiczyłam się w posłuszeństwie.

— I co dalej?

— Robiłam, co mogłam, ale teraz, gdy nadszedł moment decydujący, niepodobna mi okazać posłuszeństwa, choć usilnie starałam się przemóc.

— Ale jakże jest wreszcie przyczyna tej odmowy? — zapytał Danglars, którego pośledni umysł ugiął się jakby pod ciężarem tej logiki bezlitosnej, spokojnej i nieustępliwej. — Wyjaw mi przyczynę.

— Przyczyna nie leży w tym, aby pan Cavalcanti był brzydszy, głupszy i mniej sympatyczny niż inni; pan Andrea może nawet podobać się tym, którzy sądzą mężczyzn po wzroście i urodzie. Przyczyna nie leży i w tym, że nie wzbudził w moim sercu jakiegoś szczególnego uczucia: byłby to argument godny pensjonarki, ale niegodny mnie. Mój ojciec, nie kocham nikogo, wiesz o tym doskonale, prawda? Nie rozumiem więc, dlaczego, nie będąc zmuszona absolutną koniecznością, miałabym zatruć sobie życie, biorąc wieczystego towarzysza. Czyż któryś mędrzec nie powiedział: „We wszystkim zachowuj umiar.” A inny powiada: „Bierz tyle, ile zdołasz unieść”. Nauczono mnie nawet tych aforyzmów po łacinie i po grecku. Jeden jest, zdaje się, Phedrusa, a drugi Biasa. A więc, mój ojciec w tej katastrofie życiowej, bo życie jest zawsze niby katastrofa okrętu, podczas której toną nasze nadzieje, rzucam zbyteczny bagaż w morze, i basta. Pozostaję panią wolnej woli: będą wieść życie samotne, a więc wolne.

— Nieszczęsna! Nieszczęsna! — wyszeptał Danglars blednąc, wiedział bowiem, nauczony doświadczeniem, na jak twarde trafili opór.

— Nieszczęsna, powiada ojciec. Wcale nie. I doprawdy słowo to wydaje mi się aż nazbyt teatralne i przesadne. Przeciwnie: szczęśliwa. Bo i czegoż mi brak? Świat uważa mnie za piękną, a to już coś znaczy: powita mnie przychylnie. A ja lubię spotykać się z miłym przyjęciem: twarze rozjaśniają się, ludzie nie wydają mi się wtedy tacy brzydcy. Nie zbywa mi na pewnych zdolnościach, dzięki którym wydobędę z życia to, czego mi trzeba, jak małpa rozłupuje orzech, ażeby wydobyć jego zawartość. Jestem bogata, gdyż zalicza się ojciec do najbogatszych ludzi we Francji; jestem jedynaczką, ojciec zaś nie jest aż tak odważny jak owi ojcowie z teatrów Porte-Saint-Martin i Gaité, którzy wydziedziczają swoje córki, ponieważ nie chcą ich obdarzyć wnucętami. A zresztą przewidujące prawo zabrania ojcu wydziedziczyć mnie całkiem, tak samo jak nie może mnie ojciec zmusić, bym poślubiła pana X lub Y. A więc jestem bogata, piękna, inteligentna i zdołałam mieć pewien talent, jak powiadają w operach komicznych. Ależ to szczęście, mój ojciec! Czemuż więc nazywasz mnie nieszczęsna?

Na widok córki uśmiechniętej i tak dumnej, iż graniczyło to z bezczelnością, Danglars nie zdołał powściągnąć brutalnego odruchu, który wyraził się w jednym okrzyku.

Napotkawszy zdziwiony wzrok córki, która zmarszczyła lekko czarną, piękną brew, odwrócił się z nakazu ostrożności i opanował się natychmiast, ujarzmiony żelazną ręką rozwagi.

— Owszem, moja córko — uśmiechnął się. — Masz te wszystkie przymioty, którymi się chwalisz, z wyjątkiem jednego; ale nie chcę go tak bez ogródek wymieniać, wolę, żebyś odgadła sama.

Eugenia zdumiała się. Ojciec kwestionował jeden z kwiatów wieńca, którym z taką pychą przystroiła sobie głowę.

— Moja droga — ciągnął bankier — wyłożyłaś mi doskonale, czym się kieruje taka dziewczyna jak ty, decydując, że nie wyjdzie za męża. A teraz ja ci powiem, czym się kieruje taki ojciec jak ja, decydując, że córkę za męża wyda.

Eugenia skłoniła głowę, ale nie jak uległa córka, lecz jak ktoś, gotów do dysputy w oczekiwaniu na argumenty przeciwnika.

— Moja córko, kiedy ojciec życzy sobie wydać córkę za męża, ma zawsze po temu jakieś powody. Jeden, dotknięty manią, pragnie, jak to przed chwilą powiedziałaś, przedłużyć swój gatunek, dochowawszy się wnuków. Ale mnie ta słabość jest obca i powiem ci, że rozkosze ogniska domowego są mi niemal obojętne. Mogę się przyznać do tego córce, która odznaczając się umysłem filozoficznym, zrozumie tę obojętność i nie weźmie mi jej za złe.

— No, nareszcie zaczynamy mówić otwarcie. Lubię to.

— O, nie lubię na ogół tej otwartości tak jak ty, ale umiem się na nią zdobyć, gdy wymaga tego określona sprawa. Posłuchaj więc: wynalazłem ci męża nie ze względu na ciebie, bom, cię w tym momencie wcale nie miał na uwadze — lubisz otwartość, więc proszę — ale wybrałem dlatego, że zależy mi na tym, abyś jak najwcześniej wyszła za męża. Chodzi tu o pewne spekulacje handlowe, którym daję właśnie podwalinę.

Eugenia drgnęła.

— Nic miej do mnie żalu za te słowa, bo zmusiłaś mnie, abym je powiedział. Nie w smak mi, rozumiesz to, wykladać wszystko w cyfrach takiej artystce jak ty, która lęka się wejść do gabinetu bankiera, gdyż — filozofowie powiadają to samo — krążą tam niebezpieczne, niemiłe i antypoetyczne fluidy.

Ale wiedz, moja panno, że w tym gabinecie bankiera, dokąd byłaś łaskawa wejść przedwczoraj, aby poprosić o tysiąc franków, które daję ci co miesiąc na szpilki, może nauczyć się wiele nawet i młoda osoba, tak jak ty gardząca małżeństwem. Można tam nauczyć się, na przykład — ze względu na twoje delikatne nerwy powiem ci to tutaj, w tym salonie — można nauczyć się czegoś o życiu fizycznym i duchowym bankiera: kredyt ożywia go, podobnie jak dusza ożywia ciało. Pan hrabia de Monte Christo wyłożył mi to kiedyś i nigdy słów jego nie zapomnę. Można się nauczyć tedy, że w miarę jak cofają kredyt, ciało zamiera: a to przydarzy się wkrótce pewnemu bankierowi, który ma zaszczyt być ojcem tak logicznie myślącej córki.

Lecz Eugenia, zamiast się ugiąć pod ciosem, wyprostowała się nagle.

— Bankrut! — rzekła.

— Znalazłaś, moja córko, słuszne określenie — odparł Danglars wpijając sobie paznokcie w pierś; ale na jego ordynarnej twarzy gościł nadal uśmiech, świadczący nie o braku inteligencji lecz serca — tak, bankrut, w tym rzecz.

— Ach! — westchnęła Eugenia.

— Tak, bankrut. A więc znasz już tę straszliwą tajemnicę, jak powiada pewien poeta tragiczny.

A teraz, moja córko, dowiesz się, jak mogłabyś umniejszyć to nieszczęście, nie ze względu na mnie, ale ze względu na siebie.

— O — zawołała Eugenia — jest ojciec złym fizjonomistą, jeśli ojciec sobie wyobraża, że boleję nad nieszczęściem, w które wpadłam z winy ojca.

A cóż mnie to obchodzi, zem zrujnowana? Czyż nie pozostaje mi talent? Czyż nie zdołam jak pani Malibran, Pasta albo Grisi zdobyć tego, czego ojciec nigdy nie potrafiłby mi dać: to znaczy stu albo i stu pięćdziesięciu tysięcy liwrow renty, które będę zawdzięczać tylko sobie? A fortuna ta przyjdzie do mnie wśród oklasków, entuzjazmu i kwiatów, a nie tak, jak te nędzne dwanaście tysięcy franków, które ojciec mi daje, krzywiąc się i wyrzucając mi moją rozrzutność. A jeśli nawet nie mam tego talentu, o którym ojciec wątpi, bo widzę to z uśmiechu ojca, czyż nie pozostanie mi ta szalona miłość niezależności? Zastąpi mi ona wszystkie skarby, a silniejsza jest we mnie niżli instynkt samozachowawczy.

Nie, to nie ze względu na siebie się smucę, bo ja zawsze dam sobie radę. Książki, ołówki, fortepian to rzeczy niedrogie, zawsze potrafię je sobie sprokurować i nigdy mi ich nie zabraknie. Myśli ojciec pewnie, że martwię się o matkę — niech się ojciec nie łudzi. O ile się nie mylę, matka przedsięwzięła wszelkie środki ostrożności przewidując tę katastrofę — ominie ją ona i nie dotknie jej wcale; zabezpieczyła się, jestem tego pewna; nie zajmując się mną, mogła gromadzić majątek, a mnie, Bogu dzięki, zostawiła swobodę pod pretekstem, że lubię wolność.

Tak, mój ojczu, od dzieciństwa widziałam zbyt wiele rzeczy wokół siebie; pojęłam je aż nadto dobrze, aby nieszczęście wywarło na mnie większe wrażenie, niż powinno. O ile wiem, nikt mnie nie

kochał — tym gorzej! — i oczywiście z tej przyczyny ja nikogo nie kocham, tym lepiej! Oto moje wyznanie wiary.

— A więc, moja panno — zagadnął Danglars blady ze złości, która nie wynikała bynajmniej z ojcowskich uczuć — uparłaś się, żeby pchnąć mnie w ostateczną ruinę, czy tak?

— Ja? Nie rozumiem, o co ojcu chodzi.

— To i dobrze. Mam dzięki temu jeszcze promień nadziei. Posłuchaj.

— Słucham — odparła Eugenia, spoglądając na ojca tak przenikliwie i z taką mocą, że musiał uczynić wysiłek, by nie spuścić oczu.

— Pan Cavalcanti żeniąc się z tobą wniesie trzy miliony, które ulokuje u mnie.

— Bardzo mnie to cieszy — rzekła Eugenia ze wspaniałą pogardą i jęła wygładzać sobie rękawiczki.

— Czy myślisz, że źle wyjdiesz na tych trzech milionach? Wcale nie. Zrobię z nich co najmniej dziesięć. Uzyskałem pospołu z innym bankierem koncesję na budowę dróg żelaznych. To jedyny interes, który dziś daje szansę bajecznego i rychłego zarobku. Przypomina się Law, który sprzedał ongi paryżanom, tym wieczystym gapiom spekulacji, tereny nad Missisipi. Wylczyłem, że wystarczy nabyć milionową część szyny, jak nabywało się niegdyś morgę nieuprawnej ziemi nad Ohio. To lokata hipoteczna — tylko że pieniąż lokuje się tu nie w ziemi, ale w kilkunastu czy kilkudziesięciu funtach żelaza.. Otóż za tydzień mam złożyć, w charakterze udziału, cztery miliony; a z tych czterech milionów zrobię, jak powiedziałem, dziesięć albo i dwanaście.

— Ale w czasie tej ostatniej wizyty, którą onegdaj, jak ojciec był łaskaw zapamiętać, złożyłam ojcu, widziałam, że ojciec zainkasował — tak się to nazywa, prawda? — pięć i pół miliona. Pokazał mi ojciec dwa bony skarbowe opiewające na tę olbrzymią sumę i dziwił się ojciec, że nie oślepiłam na ich widok.

— Owszem, ale te pięć i pół miliona to nie moja własność — to jedynie dowód zaufania. Jako bankier ludowy, zdobyłem zaufanie szpitali, do których właśnie należy rzeczona suma. W innych czasach nie wahałbym się nią obracać, ale dziś wszyscy już wiedzą o wielkich stratach, jakie poniosłem, i, jak ci powiedziałem, zaczynają cofać mi kredyt. Administracja w każdej chwili może poprosić mnie o zwrot depozytu, a jeśli pieniądze te nie będą u mnie leżały w kasie, będę musiał ogłosić haniebne bankructwo. Nie gardzę bankructwami, wierz mi, ale takimi, które nie rujnują, a tylko wzbogacają. Jeśli poślubisz pana Gavalcanti, otrzymam trzy miliony, a zresztą wystarczy, by tylko myślano, że otrzymał: kredyt wtedy powróci do mnie i odzyskam majątek, który zrzędzeniem jakiejś niepojętej fatalności tracę stopniowo od niespełna dwóch miesięcy. Zrozumiałaś mnie?

— Doskonale. Zastawia mnie ojciec za trzy miliony, tak?

— Im większa suma, tym pochlebniejsza: daje ci wyobrażenie, ile jesteś warta.

— Dziękuję. I jeszcze jedno słowo: czy przyrzeka mi ojciec, że będzie ojciec obracał pieniędzmi pana Cavalcanti, nie naruszywszy tej sumy? To nie egoizm przemawia przeze mnie, lecz delikatność. Zgadzam się, aby przy mojej pomocy odbudował ojciec swoją fortunę, ale nie będę współdziałać, gdy zechce ojciec rujnować innych.

— Ale skoro ci mówię, że dzięki tym trzem milionom... — Czy myśli ojciec, że wydobędzie się z tarapatów, nie naruszywszy owej sumy?

— Chyba tak, dzięki twojemu małżeństwu otrzymam kredyty.

— A czy będzie ojciec mógł wypłacić panu Cavalcanti pół miliona, które gwarantuje mu ojciec w kontrakcie ślubnym?

— Jak tylko wrócimy z merostwa.

— Dobrze!

— Wypowiedz się jaśniej.

— Żąda ojciec mojego podpisu, ale czy w zamian za to zostawia mi ojciec absolutną wolność?

— Tak.

— A więc dobrze. Jak ojcu powiedziałam, jestem gotowa poślubić pana Cavalcanti.

— A co zamierzasz uczynić dalej?

— To moja tajemnica. Gdzież byłaby moja wyższość, gdybym posiadałszy tajemnicę ojca, wydała ojcu swoją?

Danglars przygryzł wargi.

— A więc jesteś gotowa — spytał — złożyć parę oficjalnych i niezbędnych wizyt?

— Tak.

— I podpisać kontrakt za trzy dni?

— Tak.

— W takim razie i ja powiadam: dobrze. I Danglars ujął w dłonie dłoń córki.

Ale dziwna rzecz, ojciec nie ośmielił się powiedzieć córce: „Dziękuję ci, moje dziecko”. A córka nie raczyła nawet uśmiechnąć się do ojca.

— Konferencja skończona? — zapytała wstając.

Danglars kiwał głową na znak, że nie ma już nic do powiedzenia.

Po pięciu minutach fortepian zadźwięczał pod palcami panny d'Armilly — panna Danglars śpiewała arię Brabancja przeklinającego Desdemonę.

Kiedy kończyły, wszedł lokaj Stefan; oznajmił Eugenii, że kareta zajechała i że pani baronowa czeka.

Udały się z wizytami.

Spotkaliśmy obie damy u państwa de Villefort. Wyszedszy od nich, pojechały dalej.

21. INTERCYZA

W trzy dni po opisanych wypadkach, około piątej po południu, chłodny wietrzyk kołysał liśćmi niewielkiego ogrodu przed domem hrabiego de Monte Christo. Hrabia gotował się do wyjścia, stangret siedział na koźle, a konie grzebały niecierpliwie kopytem — gdy nagle wykwinny powozik, znany nam już, osobliwie zaś od pewnego wieczora w Auteuil — wynurzył się pędem zza bramy. Pan Andrea Cavalcanti, wyelegantowany, promienny, jak gdyby miał poślubić księżniczkę, wyskoczył jednym susem na stopnie ganku.

Zapytawszy z właściwą sobie bezceremonialnością o zdrowie hrabiego, pomknął na pierwsze piętro — tu spotkał gospodarza

Hrabia zatrzymał się.

Kiedy Andrea Cavalcanti raz się rozpędził, nic już nie zdołało go ostudzić. — Witam kochanego hrabiego! — zawołał.

— A, to pan Andrea — odrzekł hrabia na pół drwiąco. — Jakże się mamy? — Wybornie, jak pan widzisz. Przyszedłem, bo mam mnóstwo spraw do obgadania. Ale czy pan wychodzi, czy wrócił właśnie?

— Właśnie wychodziłem.

— No to nie będę pana zatrzymywał. Wsiądę, jeśli pan pozwoli, do pańskiej karety, a mój Tom pojedzie w ślad za nami.

— O nie — tu Monte Christo uśmiechnął się z lekką wzgardą; nie zależało mu na towarzystwie młodzieńca — wolę już przyjąć pana tutaj. W pokoju gawędzi się swobodniej; stangret lubi podsłuchiwać.

Hrabia wrócił więc do saloniku na pierwszym piętrze, siadł i zakładając nogę na nogę, wskazał krzesło młodzieńcowi.

Andrca promieniał.

— Jak wiadomo drogiemu hrabiemu — rzekł — uroczystość odbędzie się dziś wieczorem; o dziewiątej podpisujemy u teścia kontrakcik.

— Ach tak?

— Czyżby dowiadywał się pan o tym dopiero ode mnie? Pan Danglars nie napisał do pana o tej uroczystości?

— Owszem, dostałem list wczoraj, ale godziny, zdaje się, w nim nie oznaczono.

— Możliwe. Teściunio myśli, że i tak wszyscy wiedzą.

— A więc poszczęściło się panu, panie Cavalcanti: trudno o korzystniejszą partię. A prócz tego panna Danglars jest ładna.

— Niebrzydka — odrzekł skromnie Cavalcanti.

— A przede wszystkim, jak słyszałem, bardzo bogata.

— Myślisz pan, że bardzo?

— Nic wątpię. Podobno pan Danglars przyznaje się tylko do połowy swojego majątku.

— Powiada, że ma piętnaście czy dwadzieścia milionów — oko Andrei zaiskrzyło się radością.

— Nie mówiąc o tym, że wczoraj przystąpił do spekulacji nieco już przestarzałej w Ameryce i w Anglii, ale we Francji całkiem nowej.

— Tak, wiem, o czym pan mówi. Otrzymał koncesję na budowę kolei żelaznej.

— Właśnie. Według ogólnego mniemania zarobi na tym do dziesięciu milionów.

— Dziesięć milionów! Naprawdę? To wspaniałe! — zawołał Cavalcanti, upojony metalicznym dźwiękiem złożonych słów.

— Nie mówiąc o tym, że cała ta fortuna przypadnie kiedyś panu, gdyż panna Eugenia jest jedynaczką. A zresztą, jak zapewniał mnie pański ojciec, i pan masz fortunę niewiele mniejszą. Ale dość już o sprawach pieniężnych; Zręcznie pan doszedłeś do celu.

— Owszem, owszem. Bo jestem urodzonym dyplomata.

— Toteż dołoży się starań, abyś wstąpił do dyplomacji, bo, jak panu wiadomo, rzemiosła dyplomatycznego wyuczyć się nie można: to rzecz instynktu... A zdobyłeś pan serce?

— Obawiam się, że tak — odparł Andrea tonem, jaki słyszał w Komedii Francuskiej u Doranta odpowiadającego Alcestowi.

— Toś pan ją rozkochał w sobie?

— Ja myślę — odparł Andrea z tryumfującym uśmiechem — skoro wychodzi za mnie. Ale nie zapominajmy o jednym bardzo ważnym punkcie.

— O jakim?

— Dopomogłeś mi pan znakomicie.

— E, nie przesadzaj pan.

— Ależ na pewno.

— Dopomogły panu okoliczności.

— Nie, to pan mi dopomogłeś.

— Ja? Dałbyś pokój, książę — odparł Monte Christo, podkreślając ironicznie ów tytuł. — Cóż ja mogłem zrobić dla pana? Czyż nie wystarczyło pańskie nazwisko, pozycja towarzyska, zalety?

— Ależ nie. Niech pan hrabia mówi sobie, co chce, a ja i tak utrzymywał będę, że pańska pozycja znaczyła w tym wypadku więcej niż moje nazwisko, stosunki i przymioty.

— Jesteś pan w absolutnym błędzie — odrzekł Monte Christo, wyczuwszy perfidny zamysł młodzieńca i pojawiwszy, do czego zmierzają jego słowa. — Zaopiekowałem się panem, poznawszy majątek i stosunki pańskiego szanownego ojca; boć komuż zawdzięczam szczęście, że zawarłem znajomość z pańskim ojcem i z panem? Dwóm moim starym przyjaciółom — lordowi Wilmore i księdzu Busoni. Co mnie zachęciło, żebym za pana nie tyle ręczył, ile panu patronował? Nazwisko pańskiego ojca, jakże we Włoszech znane i czczone; bom osobiście nie znał pana.

Ten spokój i ta całkowita swoboda przekonały Andreę, że chwyciła go za kark silną ręką, z której uścisku nie wydobędzie się tak łatwo.

— A, tak — rzekł. — To mój ojciec, panie hrabio, jest rzeczywiście taki bogaty?

— Podobno, podobno, mój panie.

— A nie wie pan, czy przesłał mi już wiano, które obiecał?

— Otrzymałem już list awizowy.

— A te trzy miliony? — Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa są w drodze.

— I dostanę je rzeczywiście?

— Do licha! Jak mi się zdaje, nie spotkał pana jeszcze żaden zawód natury pieniężnej.

Andrea tak się zdziwił, że zamyślił się na chwilę.

— A zatem — rzekł po krótkiej pauzie — pozostaje mi już tylko zwrócić się do pana z prośbą, którą pan zrozumiesz, choćby nie sprawiła panu przyjemności.

— Mów pan.

— Dzięki mojej fortunie zawarłem znajomość z wieloma dystyngowanymi ludźmi, a w tej chwili mam nawet mnóstwo przyjaciół. Ale kto żeni się tak jak ja, mając za świadków śmietankę towarzyską, tego musi wesprzeć w braku ojcowskiego ramienia czyjeś znakomite nazwisko — będzie mi ono potężną rękojmnią, dzięki której stanę przed ołtarzem; bo ojciec mój nie przyjedzie do Paryża, prawda?

— To człowiek sędziwy, okryty bliznami. Powiada, że każda podróż przyprawia go o straszliwe cierpienia.

— Rozumiem. A więc poproszę o coś pana.

— Mnie?

— Tak, pana.

— O cóż to, na Boga?

— O to, żebyś go pan zastąpił.

— O, mój drogi panie! Stykając się ze mną często, nie poznałeś mnie widać, skoro występujesz pan z podobną propozycją.

Poproś mnie, żebym pożyczył panu pół miliona, a choć taką sumę pożyczają się rzadko, dam słowo honoru, mniejszy byś mi pan sprawił kłopot.

Wiedz pan — zdaje się, że już ci to kiedyś mówiłem — hrabia de Monte Christo nigdy nie przykłada ręki do spraw tego świata i ma w tym względzie skrupuły, żeby nie powiedzieć przesady człowieka Wschodu.

Ja, który mam jeden harem w Kairze, drugi w Smyrnie, a trzeci w Konstantynopolu, miałbym patronować małżeństwu? Za nic!

— A więc pan odmawiasz?

— Odmawiam kategorycznie i odmówiłbym, gdybyś pan był moim synem . czy bratem.

— A to ci historia! — wykrzyknął zawiedziony Andrea. — I cóż teraz począć?

— Powiedziałeś pan sam, że masz mnóstwo przyjaciół.

— Owszem, ale to pan wprowadziłeś mnie do państwa Danglars.

— Wcale nie! Przypomnij pan sobie: zaprosiłem pana na obiad do Auteuil, a potem sam pan złożyłeś wizytę państwu Danglars. To, u diabła, zasadnicza różnica.

— Tak, ale dopomogłeś mi pan, by skojarzyło się moje małżeństwo...

— Nie dopomogłem w niczym, wierzaj mi pan. Pamiętasz pan, com odpowiedział, kiedyś przyszedł pan prosić, żebym oświadczył się w twoim imieniu? Odpowiedziałem: mój drogi księżę, małżeństw nie kojarzę i nigdy nie odstępuję od tej zasady.

Andrea przygryzł wargi.

— Ale chyba pan tam będziesz?

— A czy będzie tam cały elegancki Paryż?

— Z pewnością.

— A, skoro tak, to i ja będę.

— I podpiszesz pan intercyzę?

— No cóż, nie widziałbym w tym nic niestosownego. Tak głęboko moje skrupuły nie sięgają.

— Ha, cóż, muszę się tym zadowolić, jeśli nie chcesz pan dać więcej. Ale, hrabio, słóweczko jeszcze.

— Proszę, proszę.

— Chciałbym zasięgnąć rady.

— Uważaj pan, rada to gorsze aniżeli przysługa.

— O, tej rady możesz mi pan udzielić nie ryzykując niczym.

— Mówże pan.

— Moja przyszła żona otrzyma pół miliona liwrow posagu.

— Tak i mnie mówił pan Danglars.

— Czy mam tę sumę podjąć, czy zostawić u reagenta?

— Posłuchaj pan, jak na ogół rzecz się odbywa, jeśli ma odbyć się elegancko: dwaj rejenci spotkają się jutro albo pojutrze; jutro albo pojutrze wręczą sobie wzajem posagi i pokwitowania. Następnie, po ślubie, oddadzą miliony do dyspozycji panu jako zawiadującemu wspólnym majątkiem.

— Bo zdawało mi się, że słyszałem — odrzekł Andrea, niezręcznie tając niepokój — jakoby mój teść miał zamiar umieścić nasze kapitały w owej słynnej koncesji, o której wspominałeś pan przed chwilą.

— Ależ każdy zapewnia, że dzięki tej lokacie kapitał potroi się jeszcze w tym roku. Pan baron Danglars jest dobrym ojcem i liczyć umie.

— A więc wszystko układa się jak najlepiej i tylko pańska odmowa rani mi serce.

— Winienesz pan ją przypisać li tylko skrupułom, całkiem w takich okolicznościach naturalnym.

— No cóż, niech i tak będzie. A więc zobaczymy się o dziewiątej wieczór,

— Tak.

I mimo lekkiego oporu ze strony hrabiego, któremu wargi zbladły, ale nie przestały się uśmiechać konwencjonalnie, Andrea chwycił jego dłoń, uścisnął ją, skoczył do faetonu i znikł.

Do dziewiątej pozostało mu jeszcze parę godzin. Pozalałtwał przez ten czas różne interesy, a także poskładał wizyty owym przyjaciółom, o których wspomniał, i nakłonił ich, aby świetnie wystąpili u bankiera. Roztoczył przed nimi wspaniałe widoki, które i tak już przyprawiały wszystkich o zawrót głowy, gdyż Danglars zaczął działać.

O wpół do dziewiątej paradny salon Danglarsów, przyległa do niego galeria i trzy pomniejsze salony wypełnił uperfumowany tłum gości. Niewielu przywiodła tu sympatia, wielu natomiast przynęcił przemożny głód wszelkiej nowości.

Szanujący się pisarz, członek Akademii, powiedziałby, że wieczory w wielkim świecie są niby kwiaty, do których zlatują się niestałe motyle, chciwe pszczoły i brzęczące trutnie.

Oczywiście salony jarzyły się światłem, które sływało falami po złożonych sztukateriach i jedwabnych obiciach — i cała brzydota tego umeblowania, odznaczającego się tylko bogactwem, jaśniała pełnym blaskiem.

Panna Eugenia była ubrana z najwyszukańszą prostotą; biała atlasowa suknia ozdobiona białym haftem, biała róża ginąca w kruczych włosach — składały się na strój, którego nie uświetniła żadnym klejnotem.

W oczach Eugenii można było wyczytać, jak bardzo lekceważyła tę dziewczicą toaletę.

Pani Danglars, stojąc o trzydzieści kroków od córki, gwarzyła z Debrayem, Beauchampem i Château-Renaudem.

Debraya zaproszono na tak wielką uroczystość — ale był na prawach zwyczajnego gościa i nie korzystał z żadnych szczególnych przywilejów.

Pan Danglars, otoczony deputowanymi i finansistami, wykladał nową teorię podatków. Zamierzał ją wprowadzić w czyn, kiedy rząd zmuszony okolicznościami odda mu tekę ministra.

Andrea trzymając pod rękę jednego z najbardziej błyskotliwych dandysów, bywalców Opery, zwierzał mu się w sposób dość bezczelny — musiał bowiem pokazać, że czuje się swobodnie — jakie życie zamierza prowadzić i czym jeszcze olśni elegancki świat paryski, mając do dyspozycji sto siedemdziesiąt pięć tysięcy renty.

Po salonach krążył tłum podobny fali turkusów, rubinów, szmaragdów, opali i diamentów.

Kobiety najstarsze były najbardziej wystrojone, a najbrzydsze najbardziej wydekoltowane. Zjawisko to pospolite.

Kto chciałby znaleźć białą lilie, różę delikatną i wonną, musiałby jej szukać w kącie, gdzie ukryła ją matka w turbanie albo ciotka w rajkach.

Go chwila wśród gwaru, szumu i śmiechów rozbrzmiewał głos odzwrotnych, rzucając jakieś nazwisko znane na giełdzie, szanowane w armii albo wstawione w literaturze. Tłum kołysał się wtedy z lekka.

Niewielu jednak zdołało poruszyć ten ludzki ocean — iluż natomiast witano obojętnością albo drwiną!

W momencie, gdy masywny zegar wyobrażający uśpionego Endymiona, zegar o szczerozłotej tarczy, wydzwonił dziewiątą, zabrzmiało nazwisko hrabiego de Monte Christo — i wszyscy, jak gdyby przebiegł przez nich prąd elektryczny, zwrócili się ku drzwiom.

Hrabia był ubrany czarno, ze zwykłą sobie prostotą; biała kamizelka modelowała szeroką i kształtną pierś, a matowa cera podkreślała głęboki ton czerni kołnierza.

Nie miał na sobie żadnych klejnotów — i tylko na białej pice kamizelki rysowała się cieniutka złota dewizka.

W jednej chwili naprzeciwko drzwi utworzył się krąg.

Hrabia ogarnął salon jednym spojrzeniem: baronowa stała w głębi, baron w przeciwległym rogu, a panna Eugenia bliżej, pośrodku.

Podszedł najpierw do baronowej, która gawędziła z panią de Villefort. Prokuratorowa przyszła sama, nie polepszył się bowiem stan Walentyny. Następnie hrabia, a wszyscy rozstępowali się przed nim, powitał Eugenię, składając jej gratulacje w słowach tak chłodnych i zwięzłych, że zaskoczyło to dumną artystkę.

Panna Ludwika d'Armilly, stojąca obok Eugenii, podziękowała hrabiemu za listy polecające, które w uprzejmości swojej dał jej do Włoch. Zamierzała wykorzystać je niebawem.

Przywitawszy się z damami, odwrócił się i stanął oko w oko z Danglarsem — Danglars pospieszył bowiem, by uścisnąć mu dłoń.

Uczyniwszy zadość powinnościom towarzyskim, Monte Christo rozejrzał się wokół, a wzrok jego, pełen dumy i pewności siebie, mówił jakby:

„Spełniłem obowiązek, a teraz kolej na was”.

Andrea będąc w przyległym salonie dostrzegł ożywienie, jakie wywoływało zawsze pojawienie się Monte Christa. Przybiegł więc, aby powitać hrabiego.

Hrabia był otoczony. Tłum cisnął się chłonąc jego słowa — spotyka to zwykle ludzi małomównych, ale rzeczowych.

Weszli obaj rejenci. Rozłożyli akta na złożonym stole, przykrytym aksamitną serwetą haftowaną złotem.

Jeden z nich usiadł, a drugi stał.

Przystępowali do odczytania intercyzy, którą miał podpisać elegancki świat Paryża.

Lektury słuchały głównie damy. Panowie, bardziej obojętni na styl urzędowy, komentowali rozgorączkowanie Andrei, skupienie Danglarsa, nieprzeniknioną minę Eugenii i żartobliwe lekceważenie, z jakim baronowa traktowała tę doniosłą sprawę.

W czasie czytania zaległa głęboka cisza.

Ale gdy rejent czytać skończył, w salonach zapanował tym żywszy gwar.

Zazdrosny tłum aż kipiał, mówiąc o tych ogromnych sumach i o milionach, które miały wypełnić życie dwojga młodych; obecnie zaś miliony te stanowiły jakby ramę okalającą wyprawę i diamenty panny młodej, rozłożone w pokoju specjalnie przeznaczonym na ten cel.

W tym momencie wdzięki panny Eugenii zaćmiewały młodym ludziom blask słońca.

A kobiety, choć zazdrościły tych milionów, uważały, że i bez nich są piękne.

Andrea stał w kręgu przyjaciół. Winszowali mu i schlebiali, on zaś zaczynał już wierzyć, że nie śni — i tracił głowę.

Rejent ujął uroczyście pióro, wznosił je nad głową i rzekł:

— Szanowni państwo, przystępujemy do składania podpisów.

Pierwszy miał podpisać baron, następnie pełnomocnik starszego pana Cavalcanti, a za nimi baronowa i przyszli małżonkowie.

Podpisał baron i podpisał pełnomocnik. Podeszła baronowa wspierając się na ramieniu pani de Villefort.

— Mój mężu — ozwała się biorąc za pióro — czyż to nie okropne? Pan de Villefort zaszczyć nas nie mógł, ponieważ musiał się zająć sprawą kradzieży i zabójstwa, którego ofiarą o mało nie padł pan hrabia de Monte Christo. Są nowe rewelacje.

— O mój Boże! — powiedział Danglars takim tonem, jakby mówił: „E, do diabła, a cóż mnie to obchodzi!”

— Niewymownie mi przykro — powiedział Monte Christo zbliżając się. — Obawiam się, że to przeze mnie, choć doprawdy nie zawiniłem.

— Jak to przez pana, hrabio? — zapytała pani Danglars podpisując intercyzę.

— A gdyby tak było, strzeż się pan, bo nigdy tego panu nie przebaczę. Andrea nastawił ucha.

— A jednak nie zawiniłem wcale — rzekł hrabia. — Pragnę więc to udowodnić.

Słuchano chciwie.

Monte Christo, który tak rzadko otwierał usta, zamierzał mówić.

— Przypominacie sobie państwo — powiedział hrabia wśród głębokiej ciszy — że w moim domu umarł ów nieszczęśnik, który zamierzał mnie okraść. Kiedy ode mnie wychodził, otrzymał śmiertelną ranę, podobno z ręki swojego współnika.

— A tak, tak — przerwał Danglars.

— Owóz aby go opatrzeć, rozebrano go, a ubranie rzucono w ką — zabrała je stamtąd policja; ale wzięwszy surdut i pantalony, aby złożyć je w kancelarii sądowej, zapomniała o kamizelce.

Andrea zbladł i ją z wolna przemykać się ku drzwiom. Przeczuł nadciągającą burzę.

— A dziś znaleziono tę nieszczęsną kamizelkę zakrwawioną i przedziurawioną nożem, który uderzył w serce.

Parę dam krzyknęło, parę innych postanowiło zemdleć.

— Przyniesiono mi kamizelkę. Nikt nie mógł dociec, czyj to łachman — ja jeden domyśliłem się, że zapewne należała, ona do zamordowanego. Nagle mój kamerdyner, przeszukując ją z obrzydzeniem i bardzo ostrożnie, wyciąga z kieszeni jakiś papier. Był to list zaadresowany... a do kogo? Do pana, panie baronie.

— Do mnie? — zawołał Danglars.

— A tak, do pana. Zdołałem odczytać pańskie nazwisko, choć zamazała je krew — oświadczył Monte Christo wśród ogólnego zdumienia.

— Ale — spytała pani Danglars popatrując niespokojnie na męża — w jaki sposób przeszkodziło to panu de Villefort?...

— Nic prostszego, łaskawa pani. Kamizelka i list są tak zwanymi dowodami rzeczowymi, przesłałem więc jedno i drugie panu prokuratorowi królewskiemu. Rozumie drogi baron, że w śledztwie najlepszą drogą jest droga legalna; może była tam jaka machinacja skierowana przeciw panu.

Andrea spojrział bacznie na Monte Christa i zniknął w sąsiednim salonie.

— To możliwe — odparł Danglars. — A czy zamordowany nie był kiedyś galernikiem?

— Tak — oznajmił hrabia — był to zbiegły galernik, a nazywał się Caderousse.

Danglars pobladł nieco — Andrea wysunął się do westybulu.

— Ależ podpisujcie, podpisujcie, moi państwo. Wywołałem niechcący zamieszanie opowiadając tę historię — rzekł Monte Christo. — Najpokorniej miłych gospodarzy przepraszam.

Baronowa podpisała i oddała pióro rejentowi.

— Prosimy jaśnie oświeconego księcia Andreę de Cavalcanti! — zawołał rejent. — Prosimy jaśnie...

— Andrea! Andrea! — zawołało paru młodzieńców poufale zaprzyjaźnionych ze szlachetnym Włochem.

— Poszukaj księcia pana! Powiedz księciu, że ma teraz podpisać! — rozkazał Danglars jednemu z odźwiernych.

Ale w tejże chwili przerażony tłum gości wpadł do paradnego salonu, jak gdyby pojawił się straszliwy potwór — *guaerens guem deuoret*.

Panika ta miała swoje uzasadnienie.

Oficer żandarmerii, ustawivszy we wszystkich drzwiach po dwóch żandarmów, podążył do barona Danglarsa za komisarzem policji opasanym przepisową szarfą.

Pani Danglars krzyknęła i zemdląła.

Danglars pobladł śmiertelnie — boć niektóre sumienia nigdy czyste nie bywają.

— Cóż to się stało, mój panie? — zagadnął Monte Christo podchodząc do komisarza.

— Który z panów — ozwał się komisarz nie odpowiadając hrabiemu — nazywa się Andrea Cavalcanti?

Ostąpieli wszyscy.

Zaczęto szukać i pytać.

— Ale któż to zacz ten Andrea Cavalcanti? — zapytał Danglars.

— Galernik, zbiegły z Tulonu.

— A jakiej dopuścił się zbrodni?

— Oskarżony jest — objaśnił obojętnie komisarz — o morderstwo, które popełnił na osobie niejakiego Caderousse'a w momencie, gdy Caderousse wychodził od hrabiego de Monte Christo.

Monte Christo rozejrzał się szybko.

Andrea znikł.

22. UCIECZKA DO BELGII

W salonach państwa Danglars powstał najpierw nieopisany zamęt — a po chwili wielki pałac wyludnił się, jakby ktoś z gości zachorował nagle na dżumę.

Drzwi, schody i wyjścia napełniły się tłumem — każdy chciał czmychnąć jak najprędzej. W takich okolicznościach nie należy nawet spieszyć z pociechą, która czyni — objaw pospolity przy każdej klęsce — najlepszych przyjaciół natrętami.

Danglars zamknął drzwi gabinetu i składał zeznanie oficerowi żandarmerii.

Pani Danglars schroniła się do znanego nam buduaru. Eugenia, spoglądając wyniośle i wydymając wzdargliwie wargi, poszła do swojego pokoju, a nieodłączna jej towarzyszka panna d'Armilly, podążyła za nią.

Służba, tego wieczoru liczniejsza, wezwano bowiem do pomocy cukierników, kucharzy i garsonów z Cafe de Paris, zgromadziła się nachmurzona w kredensie, w kuchni i w swoich pokojach, nie troszcząc się o spełnianie obowiązków — zbędnych zresztą w tym momencie.

Ale wśród tego zamieszania dwie tylko osoby zasługują na naszą uwagę: panna Eugenia Danglars i panna Ludwika d'Armilly.

Eugenia wyszła — jakeśmy to powiedzieli — z miną Wyniosłą, ustami wzdargliwie wydętymi i krokiem królowej. Ludwika dotrzymywała jej kompanii, wybladła i bardziej przejęta niż ona.

Eugenia zamknęła się na klucz w swoim pokoju, a Ludwika osunęła się na krzesło.

— O Boże, Boże, co za straszna historia! — rzekła Ludwika. — Któż by mógł się spodziewać czegoś podobnego! Pan Andrea Cavalcanti... mordercą!... zbiegłym galernikiem!...

Ironiczny uśmiech wykrzywił usta Eugenii.

— Taki już mój los — powiedziała — wymknęłam się Morcerfowi, żeby trafić na Cavalcantiego.

— E, przecież tu nie ma żadnego porównania.

— Cicho bądź. Każdy mężczyzna jest łotrem. Cieszę się, że teraz oprócz nienawiści mogę ich darzyć wzdargą.

— I cóż teraz? — zapytała Ludwika. — Cóż teraz?

— Tak.

— Zrobimy to, co miałyśmy zrobić za trzy dni... Wyjedziemy. — Wyjedziemy, choć nie grozi ci już zamęście?

— Posłuchaj, Ludwiko: zbrzydziłam już sobie ostatecznie to życie światowe, pełne sztucznych uprzejmości, uporządkowane, pokratkowane. Pragnęłam zawsze życia artystki, życia wolnego, niezależnego życia, w którym człowiek zdaje rachunek tylko przed samym sobą — było ono zawsze moją ambicją. Po cóż tu zostać? Żeby za miesiąc znowu szukano mi męża? I to jakiego? Może pana Debray, bo była o tym przez krótki czas mowa. Nie, Ludwiko, dzisiejsza historia usprawiedliwia mnie całkiem. Nie starałam się jej wywołać, sam Bóg mi ją zesłał.

— Jakaś ty odważna i silna! — zachwyciło się jasnowłose wątle dziewczę swoją czarnowłosa przyjaciółką.

— Toś mnie jeszcze nie znała? No, Ludwisiu, pogadajmy teraz o naszych sprawach. Karetka pocztowa...

— Zakupiona szczęśliwie już przed trzema dniami.

— Kazałaś jej zajechać tam, gdzie czekać będziemy?

— Tak.

— A paszport?

— O proszę, zobacz.

Eugenia rozłożyła papier ze zwykłą pewnością siebie i przeczytała:

Pan Leon d'Armilly, lat dwudziestu, z profesji artysta, włosy czarne, oczy czarne, podróżuje w towarzystwie swojej siostry.

— Cudowne! Jakim sposobem zdobyłaś ten paszport?

— Prosząc hrabiego de Monte Christo o listy polecające do dyrektorów teatrów w Neapolu i w Rzymie, powiedziałam, że boję się podróżować jako kobieta. Zrozumiał mnie i wystarał mi się o

paszport na nazwisko mężczyzny. Otrzymałam ten paszport po dwóch dniach, a „podróżuje w towarzystwie swojej siostry” dopisałam sama.

— A więc — rzekła wesoło Eugenia — spakujmy się i w drogę. Wyjedziemy w dzień podpisania kontraktu, a nie w dzień ślubu, ot i wszystko.

— Zastanów się dobrze, Geniu.

— O, zastanowiłam się i już się nie cofnę. Dość się nasłuchiwałam o przelewach, o miesięcznych obrachunkach, o hossach i bessach, o pożyczce hiszpańskiej i akcjach haitańskich. Zamiast tego — pojmujesz Ludwisiu? — wolność, śpiew ptaków, równiny Lombardii, kanały weneckie, pałace Rzymu, morze w Neapolu! Ile mamy, Ludwisiu?

Ludwisia wydobyła z inkrustowanego kantorka pugilares zamykany na kluczyk. Otworzyła go i przeliczyła banknoty.

— Dwadzieścia trzy tysiące — rzekła.

— A przynajmniej drugie tyle w kosztownościach — dodała Eugenia. — Jesteśmy bogate. Za czterdzieści pięć tysięcy franków będziemy żyć przez dwa lata jak księżne, a przez cztery lata — całkiem przyzwoicie. Ale nim pół roku minie, podwoimy nasz kapitał: ty dzięki muzyce, a ja dzięki mojemu głosowi. Weź pieniądze, a ja wezmę szkatułkę z biżuterią; dzięki temu, gdyby któraś z nas zgubiła swój skarb, połowa i tak ocaleje. A teraz pakujmy walizę! Spieszmy się!

— Zaczekaj — rzekła Ludwika i przystawiła ucho do drzwi apartamentów pani Danglars.

— Czego się boisz?

— Żeby nas nie przyłapano.

— Drzwi zamknięte.

— A jeśli ktoś będzie się domagał, żeby otworzyć?

— Może się domagać — i tak nie otworzymy. — Istna z ciebie amazonka, moja Geniu!

I obie panny jęły z nadzwyczajnym pośpiechem układać w kufierku wszelkie przedmioty, jakie wydawały im się potrzebne w podróży.

— Teraz — powiedziała Eugenia — zamykaj walizę, a ja się przebiorę. Ludwika wparła się z całej siły drobnymi białymi dłońmi w wieko kufierka.

— Nic dam-sobie rady — rzekła — nie mam na tyle sił. Zamknij ty.

— Słusznie — roześmiała się Eugenia — toć jestem Herkulesem, a ty jedynie bladą Omfalą

I Eugenia, wparwszy się kolanem i białymi muskularnymi ramionami w walizę, docisnęła wieko, a panna d'Armilly założyła kłódkę.

Następnie Eugenia otworzyła komodę — klucz od niej miała przy sobie — i wydobyła wатовany płaszcz podróżny z fioletowego jedwabiu.

— Widzisz, Ludwisiu, pomyślałam o wszystkim. Nie zmarzniesz w tym płaszczu.

— A ty?

— Wiesz przecie, że mi zawsze ciepło. A zresztą przebrana za mężczyznę... — Przebierzesz się tutaj?

— Oczywiście.

— A zdążysz?

— Nie bój się o nic, tchórze, cała służba gada tylko o tej historii. A zresztą, cóż w tym dziwnego, że się tu zamknęłam? Uczyniłam to z rozpaczy.

— No tak, uspokoiłaś mnie.

— A teraz mi pomagaj.

I z tej samej szuflady, skąd wydobyła płaszcz, który panną d'Armilly narzuciła sobie na ramiona, wyjęła męskie ubranie, a także niezbyt bogaty, ale wystarczający zapas męskiej bielizny.

Ze zręcznością, wskazującą, że czyni to nie po raz pierwszy — widać dla zabawy nosiła czasem męskie ubranie — włożyła buty, wciągnęła spodnie, zawiązała halsztuk i zapięła kamizelkę. Na koniec włożyła surdut, który podkreślił kobiecą linię jej kształtów.

— A doskonale, naprawdę doskonale — zachwyciła się Ludwiką — ale co zrobisz z tymi wspaniałymi warkoczami, które budziły laską zazdrość wśród kobiet? Czy zmieszczą się pod cylindrem?

— Zobaczysz.

I przytrzymując prawą ręką warkocz tak gruby, że nie zdołały go objąć jej cienkie palce, wzięła długie nożyczki — przechyliła się w tył, aby uchronić surdut, stał zgrzytnęła i bujne włosy spadły do stóp Eugenii.

Ściąwszy warkocz, Eugenia nie okazując bynajmniej żalu przystrzygła włosy na skroniach. Oczy jej błyskały spod hebanowych brwi niewypowiedzianą radością.

— O, takie wspaniałe włosy — powiedziała z żalem Ludwika.

— Przecież tak jestem sto razy piękniejsza — zawołała Eugenia gładząc bujne kędziory. — Nie uważasz?

— Ależ ty zawsze jesteś prześliczna. Powiedz teraz, dokąd jedziemy?

— Do Brukseli, bo w tym kierunku granica najbliżej. Z Brukseli pojedziemy do Leodium, z Leodium do Akwizgrany a stamtąd Renem do Strasburga. Następnie przeprawimy się przez Szwajcarię i przez Przełęcz Świętego Gotarda do Włoch. Podoba ci się ten plan?

— Ależ naturalnie.

— Na co tak patrzysz?

— Na ciebie. Doprawdy, zakochać się w tobie można. Mógłby kto pomyśleć, że mnie porywasz.

— I, do licha, miałby rację.

— Zdaje się, Geniu, żeś zakłęła.

I te dwie panny, o których każdy myślał zapewne, że toną we łzach — jedna doznawszy zawodu, a druga współczując przyjaciółce — naśmiewały się porządkując pokój, gdzie oczywiście panował nieład, zwyczajny w momencie ucieczki.

Pogasiły światła, a następnie nasłuchując i wyężając wzrok, otwały drzwi gotowalni, która Wychodziła na schody przeznaczone dla służby, a Wiodące na dziedziniec. Eugenia skradała się pierwsza, trzymając jedno ucho walizy. Panna d'Armilly trzymała oburącz drugie.

Dziedziniec był pusty.

Dzwoniła północ.

Odźwierny czuwał jeszcze.

Eugenia, podszedłszy na palcach do okienka, stwierdziła, że zacny szwajcar drzemie wyciągnięty w fotelu.

Wróciła do Ludwika i obie, podniósłszy walizę z ziemi, przemknęły się pod murem aż do bramy.

Eugenia kazała Ludwice ukryć się w ciemnym kącie, aby odźwierny nie dostrzegł jej; gdyby zbudził się przypadkiem.

I stanąwszy w świetle latarni dziedzińca:

— Otwierać! — zawołała najpiękniejszym kontraltem, stukając w szybę. Odźwierny wstał i, jak przewidziała Eugenia, postąpił nawet kilka kroków,

żeby zobaczyć, kto wychodzi; ale ujrzawszy młodzieńca, który niecierpliwie śmigał trzcinką, otworzył bez namysłu.

Ludwika wyśliznęła się cicho niby wąż.

Eugenia na pozór spokojna, choć serce biło jej jak młotem, wyszła za przyjaciółką.

Posłaniec akurat napotkany wziął walizę. Obie panny kazały mu iść na ulicę Zwycięstwa pod numer 36 i podążyły za nim. Obecność mężczyzny krzepiła Ludwikę na duchu.

Gdyż Eugenia była odważna niczym Judyta albo Dalila.

Przybyły na miejsce.

Eugenia kazała posłańcowi zostawić kufer, zapłaciła i zastukawszy w okiennicę, pozwoliła mu odejść.

Mieszkała tu uboga szwaczka, wtajemniczona w eskapadę Eugenii. Nie spała — otworzyła.

— Moja panno — rzekła Eugenia — niech stróż wyciągnie karetkę z wozowni, a następnie pošlesz go po konie pocztowe. Masz tu pięć franków, dasz mu je za fatygę.

— Wierz mi, Geniu, że podziwiam cię, a nawet budzisz we mnie niemal respekt — rzekła Ludwika.

Szwaczka przyglądała im się ze zdziwieniem.

Ale że obiecano jej dwadzieścia ludwików, nie pozwoliła sobie na jakąkolwiek uwagę.

Stróż wrócił po kwadransie, prowadząc pocztyliona i konie. Zaprzężono w okamgnieniu. Stróż umocował kufer na dachu karetki, przywiązawszy go sznurem.

— Papiery mam w porządku — oznajmił pocztylion. — Jaką drogą każecie jechać, mój paniczu?
— Do Fontainebleau — odparła Eugenia głosem niemal męskim. — Coś ty powiedziała? — spytała Ludwika.
— To tylko fortel. Ta kobieta, której dałyśmy dwadzieścia ludwików, zdradzi nas za czterdzieści. Powiem mu na bulwarze, żeby jechał w innym kierunku.
I Eugenia jednym susem wskoczyła do karetki, w której urządzono doskonałe pośłania.
— Jakaś ty przewidująca, Geniu — rzekła Ludwika lokując się obok przyjaciółki.
Pocztylion zmienił kierunek i po kwadransie, trzaskając z bicia, przebył rogatkę Saint-Martin.
— Ach — odetchnęła z ulgą Ludwika — jesteśmy nareszcie za miastem.
— Tak, moja droga, porwanie poszło jak z płatka. — Tak, i obyło się bez gwałtu.
— W razie procesu będę tym się bronić.
Słowa te zagłuszył turkot kół toczących się po bruku Villette.
Pan Danglars nie miał już córki.

23. OBERŻA POD FLASZĄ I DZWONEM

Panna Danglars i jej przyjaciółka jadą więc do Brukseli, a my tymczasem opowiemy, co stało się z nieszczęsnym Andrea Cavalcanti, któremu los podciął skrzydła w momencie, gdy wzbijał się na wyżyny.

Był to, mimo młodego wieku, frant nad franty.

Toteż widzieliśmy, jak przy pierwszych słowach Monte Christa Cavalcanti jął przemukać się ku drzwiom. Minał kilka pokoi — i znikł.

Zapomnieliśmy o pewnym ważnym szczególe: w jednym z owych, pokoi leżała wyprawa panny młodej — diamenty, szale kaszmirowe, koronki walansjeńskie, hafty angielskie; słowem — mnóstwo kuszących przedmiotów, których widok raduje dziewczęce serca.

Andrea, chłopiec nie tylko szczwany, lecz i przewidujący, zagarnął po drodze najcenniejsze z klejnotów.

Opatrzony takim wiatykiem, czuł się tak lekki, że wyskoczył przez okno i wyśliznął się żandarmom.

Rosły, zbudowany niby gladiator, muskularny jak Spartanin, puścił się biegiem i pędził na osłep przez kwadrans — byle tylko oddalić się od niebezpiecznego miejsca.

Wiedziony złodziejskim instynktem biegł z ulicy du Mont-Blanc ku rogatkom. Znalazł się tedy u wylotu ulicy Lafayette'a.

Tu przystanął dysząc ciężko.

Był sam. Na lewo miał wyludnioną przestrzeń ogrodu Świętego Łazarza, na prawo — czeluść Paryża.

Czy jestem zgubiony? — zastanowił się. — Nie, jeśli wykażę większą energię aniżeli moi prześladowcy. Ratunek mój więc — to wyjść do mety.'

W tymże momencie od strony przedmieścia Poissonnière nadjechała drynda. Posępny dorożkarz, kurząc fajkę, zmierzał zapewne na kraniec Przedmieścia Świętego Dionizego, gdzie miał lokum.

— Hej, dobry człowieku! — zawołał Benedetto.

— A co tam, mój paniczu?

— Koń wasz bardzo zmęczony?

— Zmęczony? E, tam! Przez cały boży dzień miałem cztery liche kursy, dwadzieścia sous napiwku, siedem franków całego zarobku, a pryncypałowi muszę oddać dziesięć!

— A nie chcielibyście dołożyć do tych siedmiu franków tej oto dwudziestofrankówki, co?

— Z przyjemnością, mój paniczu; dwadzieścia franków piechotą nie chodzi. Ale gdzie pan chce jechać?

— Niedaleko, jeśli wasz koń nie jest zmęczony.

— Poleci jak ten zefirek, tylko mów pan, gdzie...

— W stronę Louvres.

— A znam, znam, ojczyzna ratafii.

— Właśnie. Muszę dopędzić przyjaciela, z którym mam jutro zapolować w Ghapelle-en-Serval. Umówiliśmy się, że będzie czekał na mnie w swoim kabrioletcie do wpół do dwunastej. Ale już północ, zniecierpliwiał się więc i odjechał.

— A pewnie.

— No to jak? Spróbujecie go dogonić?

— I owszem.

— Jeśli dopędzicie go w Bourget, dostaniecie dwadzieścia franków, a jeśli w Louvres — trzydzieści.

— A jeśli dopędzimy go wcześniej?

— Daję czterdzieści — odrzekł Andrea po chwili wahania; pomyślawszy jednak, że niczym nie ryzykuje, obiecał.

— Dobra! — zgodził się dorożkarz. — Siadaj pan i jadziem. Prrr!... Andrea wsiadł. Dorożka potoczyła się szybko Przedmieściem Świętego

Marcina i minęła rogatkę. Tu zaczęły się długie jak nieszczęście uliczki Villette.

Przyjaciel nie istniał — lecz Andrea i dorożkarz pytali wciąż przechodniów o zielony kabriolet zaprzężony w karogniadego konia. A że po holenderskim trakcie kursują setki zielonych kabrioletów, odpowiedzi się sypały.

Każdy widział taki zaprzęg — wyprzedził ich może o pięćset, może o dwieście, a może tylko o sto kroków; dorożka mijając wskazywał zielony kabriolet, ale zawsze był to inny.

Lecz i dorożkę minął w końcu jakiś pojazd: była to karetka, konie pocztowe gnały galopem.

— Ach! — westchnął Andrea — gdybym miał tę karetkę, tę parę dobrych koni, a zwłaszcza paszport, bo bez paszportu ani rusz!

Ową karetką jechała panna Danglars z panną d'Armillly.

— Prędkiej, prędkiej! — zawołał Andrea — z pewnością zaraz go dogonimy!

I biedna szkapka puściła się tęgim klusem — dymiło z niej tedy, gdy docierała do rogatki w Louvres.

— Widzę — ozwał się Andrea — że przyjaciela nie dogonię, a wasz koń padnie. Zatrzymam się tutaj, nie ma innej rady. Macie tu trzydzieści franków; prześpię się Pod Czerwonym Koniem i pojedę dalej pierwszym dyliżansem, w jakim znajdę miejsce. Dobranoc, mój dobry człowieku.

I Andrea, wyliczywszy dorożkarzowi sześć pięciofrankówek, wyskoczył lekko na drogę.

Dorożkarz, ucieszony zapłatą, zawrócił do Paryża jadąc stępa.

Andrea udał, że kieruje się Pod Czerwonego Konia, ale zczekawszy pod drzwiami, aż dorożka zniknie i ucichnie jej turkot, cofnął się i sprężystym krokiem przebiegł jeszcze dwie mile.

Wtedy odpoczął.

Musiał być nie opodal Chappelle-en-Serval, gdzie jak oświadczył dorożkarzowi, miał zapolować.

Przystanął nie dlatego, by się zmęczył. Trzeba było coś zdecydować i ułożyć dalszy plan działania.

Nie mógł ani wsiąść do dyliżansu, ani najać karetki pocztowej.

W jednym bowiem i drugim wypadku konieczny był paszport.

Nie mógł także pozostać w departamencie Oise. Nie było tu prawic lasów, a zresztą nad owym departamentem policja roztaczała osobliwą pieczę. Andrea, doświadczony kryminalista, wiedział o tym dobrze.

Siedząc nad rowem ukrył twarz w dłoniach i rozmyślał.

Po dziesięciu minutach podniósł głowę — decyzja zapadła.

Wybrudził z jednej strony, szorując nim po drodze, paltot, który zdążył być zwędzić z przedpokoju, aby ukryć strój wieczorowy, podążył do Chappelle-en-Serval i zastukał śmiało do jedynej tutaj oberży.

Oberżysta otworzył.

— Mój dobry człowieku — rzekł Andrea — jechałem z Mortefontaine do Senlis. Koń mój, bydlę płochliwe, uskoczył w bok, a ja wyleciałem z siodła jak z procy. Muszę dotrzeć przed świtem do Compiègne, inaczej moja rodzina będzie się mocno niepokoić; nie wynajęlibyście mi konia?

Każdy oberżysta ma zawsze lepszego albo gorszego konia.

Oberżysta z Chappelle-en-Serval zawołał parobka i kazał mu osiodłać Siwego. Następnie zbudził siedmioletniego synka. Chłopiec miał pojechać z Andrea, siedząc z tyłu, i przyprowadzić konia z powrotem.

Andrea wręczył oberżyscie dwadzieścia franków. Kiedy wyciągał je z kieszeni, wypadł mu, niby przypadkiem, bilet wizytowy.

Był to bilet któregoś z kawiarnianych przyjaciół Andrei. Kiedy młodzieniec odjechał, oberżysta podniósł bilet i dowiedział się, że wynajął konia panu hrabiemu de Mauléon, zamieszkałemu przy ulicy Świętego Dominika pod numerem 25.

Siwek nie śpieszył się — ale chód miał równy i pewny.

W trzy i pół godziny Andrea przebył dziewięć mil, które dzieliły go od Compiègne.

Na ratuszu biła czwarta, gdy stanął na placu, gdzie mieści się stacja dylizansów.

Istnieje w Compiègne znakomity hotel — każdy go pamięta, choćby zatrzymał się w nim tylko raz.

Andrea zapamiętał również hotel Pod Flaszą i Dzwonem, kręcąc się bowiem po okolicach Paryża, zatrzymał się tam kiedyś.

Rozejrzawszy się, zobaczył szyld oświetlony latarnią. Dał chłopcu wszystkie drobne, jakie miał przy sobie, pozwolił mu odjechać i zastukał do drzwi. Pomyślał — i słusznie — że skoro ma kilka godzin czasu, winien, z uwagi na czekające go trudy, pokrzepić się snem i jadłem.

Otworzył mu garson.

— Mój przyjacielu — rzekł — przybyłem z Saint-Jean-au-Bois, gdzie byłem na obiedzie. Myślałem, że zdążę na dylizans, który przyjeżdża o północy, ale jak dureń zgubiłem drogę i przez cztery godziny błądziłem po lesie. Dajcież mi któryś z tych ślicznych pokoików od podwórza i przyslijcie mi tam kurczaka na zimno i butelkę wina Bordeaux.

Garson nic powziął żadnych podejrzeń.

Andrea mówił najspokojniej w świecie. Miał cygaro w ustach, a ręce trzymał w kieszeniach paltota. Ubrany był elegancko, ogolony, buty lśniły; wyglądał na ziemianina, który zmarudził gdzieś za długo.

Kiedy garson przygotowywał mu pokój, weszła gospodyni.

Andrea powitał ją najmielszym uśmiechem, pytając, czy nie mógłby dostać trójki, pod którą mieszkał za ostatnim tutaj pobylem.

Na nieszczęście pod trójką zatrzymał się jakiś młodzieniec podróżujący w towarzystwie siostry.

Andrea był zrozpaczony.

Ale pocieszył się, gdy gospodyni zapewniła go, że „siódemka”, którą przygotowują mu właśnie, jest położona absolutnie tak samo. Grzejąc tedy sobie nogi i rozprawiając o wyścigach w Chantilly, czekał, aż oznajmią, że pokój gotów.

Andrea nie bez racji wspominał o ślicznych pokojach od podwórza; podwórze hotelu Pod Dzwonem otacza potrójna pergola, nadając mu wygląd sali widowiskowej; kolumnienki owija powoik, pełno tu jaśminu — trudno o piękniejszy dziedzińczyk.

Kurczak był świeży, wino stare, na kominku trzaskał suchy ogień.

Andrea jadł z takim apetytem — zauważył to — jakby nie spotkała go żadna zła przygoda.

Następnie położył się i zapadł w sen twardy, jaki nawiedza zawsze człowieka, mającego dwadzieścia lat, choćby dręczyły go wyrzuty.

Powiedzmy od razu, że Andrea mógł mieć wyrzuty — ale ich nie miał.

Oto jaki ułożył plan — plan, który zapewniał mu do pewnego stopnia bezpieczeństwo.

Wstanie do dnia, opuści hotel zapłaciwszy skrupulatnie rachunek, pójdzie do lasu, podając się za malarza, wynajmie sobie izbę u chłopca, wystara się o strój drwala i o siekierę — czyli zrzuci skórę lwa salonowego i przedzierzgnie się w robotnika.

Usmaruje sobie ręce, przyciemni włosy czesząc się ołowianym grzebieniem, postara się o cerę ogorzałą — dawni koledzy dali mu kiedyś na to receptę — i lasami przemknie się do najbliższego punktu granicy. Będzie wędrował nocą, w dzień sypiał w lesie albo w opuszczonych kamieniołomach. Od czasu do czasu wstąpi do jakiejś osady — po chleb.

Ażeby więc obudzić się wcześniej, nie pozamykał okiennic. Zaryglował tylko drzwi, a na stoliku nocnym położył pewien nóż, bardzo ostry, którego wyborna stal była mu znana; nie rozstawał się z nim nigdy.

Mniej więcej o siódmej zbudził Andreę ciepły i jasny promień słońca, zaigrawszy na jego twarzy.

Kto ma umysł trzeźwy i solidny, budzi się zawsze z tą samą ważną myślą, z którą zasnął.

Andrea jeszcze nie otworzył całkiem oczu, gdy owa myśl ważna szepnęła mu, że spał za długo.

Wyskoczył z łóżka i podbiegł do okna.

Przez podwórze szedł żandarm.

Żandarma dostrzeże każdy — nawet człowiek o najczystszej sumieniu. Ale dla kogoś, kto z tej czy owej przyczyny ma z prawem na pieńku, barwy żółta, błękitna i biała, składające się na uniform żandarmski, nabierają groźnych odcieni.

Co tu robi żandarm? — zastanowił się Andrea.

I zaraz odpowiedział sam sobie z ową logiką, którą czytelnik zauważył już u niego:

„Żandarmi często zachodzą do oberży; ale ubierajmy się”.

I młodzieniec ubrał się z szybkością, od której nie odoczyło go parę miesięcy komfortowego życia w Paryżu — i lokaj.

— Ha cóż — mruknął ubierając się — zaczekam, aż sobie pójdzie, a jak sobie pójdzie — zwieję.

To rzekłszy zbliżył się — a miał już na sobie buty i halsztuk — do okna i uniósł po raz wtóry muślinową firankę.

Ale żandarm nie był już sam. Przy schodach, jedynych, którymi Andrea mógł wyjść, czuwał drugi kolorowy mundur, a trzeci żandarm, konny, pilnował bramy, dzierżąc krótki karabinek.

Widok tego żandarma, nie budził jakichkolwiek wątpliwości. A prócz tego tłum gapiów stojących na ulicy uniemożliwiły każdą próbę ucieczki.

Szukają mnie! pomyślał Andrea. A niech to diabli!

Poblądł śmiertelnie.

Rozejrzał się z niepokojem.

Do wszystkich pokoi na tym piętrze wchodziło się przez krużganek, widoczny z podwórza.

Jestem zgubiony, nawiedziła go złowróżbna myśl.

Bo i rzeczywiście Andrei groził sąd przysięgłych — i wyrok śmierci nieodwołalny, niechybny.

Ścisnął konwulsyjnie głowę dłońmi.

W tym momencie o mało nie oszalał ze strachu.

Ale wśród myśli, kłębiących się pod jego czaszką, pojawiła się nadzieja. Uśmiech przemknął mu po zbiegających wargach i policzkach ściągniętych grymasem.

Rozejrzał się znowu.

Przedmioty, których szukał, znajdowały się na marmurze kantorka: pióro, atrament i papier.

Umaczał pióro i zapanowawszy nad drżeniem ręki napisał taki oto list:

Nie mam czym zapłacić, ale jako człowiek uczciwy, zostawiam, na zastaw tę szpilkę, dziesięć razy więcej wartą niż to, com winien. Przepraszam, że wymknąłem się o świcie, ale powodował mną wstyd.

Wyciągnął szpilkę z halsztuka i położył ją na ćwiartce papieru.

Co uczyniwszy, otworzył drzwi i zostawił je uchylone, jak gdyby przez zapomnienie. Następnie wśliznął się w kominek, a wprawny w ćwiczeniach gimnastycznych tego rodzaju, zasłonił go kartonowym ekranem przedstawiającym Achillesa u Deidamii. Zatarłszy stopami swoje ślady w popiele, jął wspinać się przewodem kominka. Była to dlań jedyna droga ratunku.

W tymże momencie na schodach ukazał się komisarz policji, a za nim pierwszy żandarm, którego dostrzegł był Andrea; drugi żandarm strzegł dostępu na schody, trzeci zaś czuwał dalej, aby w potrzebie przyjść im z pomocą.

Oto czemu Andrea zawdzięczał tę wizytę, której z takim trudem starał się uniknąć.

O świcie telegraf nadał we wszystkich kierunkach i do każdej niemal miejscowości wiadomość, że zbiegł morderca Caderousse'a. Zbudzeni urzędnicy przystąpili tedy do gorliwych poszukiwań.

Compiegne — rezydencja królewska; Compiegne — miasto polowań; siedziba garnizonu, roi się od urzędników, żandarmów i policji.

Gdy tylko nadeszła depesza, wszczęto poszukiwania, a że hotel Pod Flaszą i Dzwonem jest najpierwszym w mieście, tam oczywiście najpierw zajrzano.

Ponadto wartownicy strzegący ratusza, z którym sąsiaduje rzeczony hotel, złożyli raport, że nocą zajechało tam kilku podróżnych.

Wartownik, który skończył służbę o szóstej rano, a zaczął o czwartej, zauważył, iż parę minut po czwartej jakiś młodzieniec przyjechał na białym koniu, mając za sobą na siodle chłopaka wiejskiego. Podróżny zsiadł na rynku, pozwolił chłopcu odjechać, zastukał do hotelu i zniknął za drzwiami.

Na tym to młodzieńcu, który zjawił się o tak późnej porze, skupiło się najwięcej podejrzeń.

A był nim oczywiście Andrea.

Opierając się na tych poszlakach, komisarz policji i kapral żandarmerii podążyli do pokoju Andrei. .

Drzwi były uchylone.

— Ho! ho! — ozwał się kapral, stary lis wyćwiczony w tajnej policji — drzwi otwarte to zły znak. Wolałbym zamknięte na dziesięć spustów.

List i szpilka pozostawione na stole potwierdziły tę smutną prawdę.

Andrea umknął.

Potwierdziły — lecz kapral nie należał do ludzi, którzy dają łatwo za wygraną.

Rozejrzał się, zajrzał pod łóżko, za firanki i do szafy, a w końcu zatrzymał się przed kominkiem.

Na popiele nie widniał żaden ślad.

A jednak było to jedyne wyjście, w tym zaś wypadku nie należało niczego lekceważyć.

Kapral zawołał więc o wiązkę chrustu i wiecheć słomy, wepchnął je w kominek i podpalił.

Cegły kominka jęły trzaskać od żaru.

Dym buchnął z komina, gęsty i ciemny, jak gdyby z wulkanu, ale wbrew spodziewaniu uciekinier nie spadł na dół.

Gdyż Andrea, od wczesnej młodości zaprawiony w walce ze społeczeństwem, nie był mniej chytry od samego kaprała żandarmerii. Przewidziawszy, że będą próbowali go wykurzyć, wylazł na dach i przyczał się za kominem.

Łudził się przed chwilą, że już ocalał — usłyszawszy, jak kapral oznajmił żandarmom:

— Zwiął!

Wytknąwszy ostrożnie głowę, zobaczył, że żandarmi zamiast odejść, jęli rozglądać się ze wzmożoną uwagą.

Tedy i on się rozejrzał.

Ratusz, olbrzymia budowla z szesnastego wieku, górował nad nim, podobny warownym murom.

Z górnych okien ratusza można było ogarnąć wzrokiem dach oberży i wszystkie jego zakamarki, jak ze szczytu góry widać dolinę.

Andrea spodziewał się, że kapral zaraz wytknie głowę którymś z tych okien.

Gdyby go wykryto, byłby zgubiony.

Pościg po dachach na pewno skończyłby się dla niego źle.

Postanowił więc zawrócić podobną drogą.

Poszukał wzrokiem komina, z którego nie wydobywał się dym, dotarł do niego pełznąc po dachu i nie zauważony przez nikogo zniknął w otworze.

W tejże chwili uchyliło się jedno z okienek ratusza i kapral wytknął głowę.

Głowa przez chwilę tkwiła nieruchomo, podobna do maszkar zdobiących budynek, po czym kapral, nic nie spostrzegłszy, zasapał z irytacji. Głowa znikła.

Spokojny i godny niczym prawo, którego był przedstawicielem, precyzyjnie się, nie odpowiadając na grad pytań, przez tłum i wrócił do hotelu.

— No i co tam? — zagadnęli z kolei dwaj żandarmi.

— Ano cóż, moje dzieci, zdaje się, że bandyta rzeczywiście czmychnął nam wczesnym rankiem; ale rozstawimy strażę na drodze do Villers-Coterets i Noyon, przeszukamy las i złapiemy go tam bez ochyby.

Ledwie czcigodny funkcjonariusz domówił tych słów tonem właściwym kapralom żandarmerii, gdy rozległ się krzyk przerażenia i w tejże chwili na podwórzu hotelowym zadźwięczał dzwonek.

— A cóż tam znowu? — zawołał kapral.

— To chyba któryś podróżny bardzo się spieszy — odparł hotelarz. — Spod którego numeru dzwonią?

— Spod trójki — odpowiedział garson.

— Leć tam!

W tymże momencie ktoś krzyknął znowu i dzwonek zadźwięczał ze zdwojoną siłą.

Garson pomknął na górę.

— Stój! — zawołał brygadier zatrzymując służę. — Chyba nie o ciebie tam chodzi. Żandarm obsłuży go lepiej. Kto mieszka pod trójką?

— Jakiś młodzieniaszek z siostrą. Przybyli w nocy kareta pocztową i zażądali pokoju o dwóch łóżkach.

Dzwonek zadźwięczał po raz trzeci, szarpany niespokojną ręką.

— Do mnie, panie komisarzu! — zawołał kapral. — Idziemy razem.

— Chwileczkę — powiedział gospodarz. — Pod trójkę można dostać się schodami zewnętrznymi albo od środka.

— A więc ja idę schodami wewnętrznymi, bo sprawy wewnętrzne to mój resort. Karabiny macie naładowane?

— Tak jest, panie kapralu.

— Pilnować tutaj od podwórza, a gdyby wiał, ognia! Telegraf doniósł, że to wielki zbrodniarz.

Kapral, a za nim komisarz policji zniknęli w hotelu; a tłum tymczasem, dowiedziawszy się tego i owego o Andrei, komentował wypadki.

Oto co się stało:

Andrea, ześliznąwszy się z ręcznie po dwóch trzecich przewodu komina, stracił nagle grunt pod nogami — i choć opierał się, zjechał szybciej i z większym hałasem, niżby sobie tego życzył.

Nic by to nie szkodziło, gdyby pokój był pusty; ale, nieszczęściem, ktoś tam mieszkał.

W łóżku spały dwie kobiety.

Zbudził je hałas.

Spojrzały w tę stronę, gdzie rozległ się hałas — i w otworze kominka zobaczyły mężczyznę.

Blondynka krzyknęła przeraźliwie, alarmując cały dom, a brunetka jęła szarpać z całych sił sznur dzwonka.

Jak widzimy, Andrea nie miał szczęścia.

— Litości! — zawołał błądy i półprzytomny, nie widząc, do kogo się zwraca. — Litości! Ratujcie mnie, nie zrobicie wam nic złego!

— Andrea, morderca! — wykrzyknęła jedna z kobiet.

— Eugenia! Panna Danglars! — wyszeptał Cavalcanti, zdumiawszy do reszty.

— Na pomoc! Na pomoc! — krzyknęła panna d'Armilli i wyrwawszy ze znieruchomiałych rąk Eugonii sznur dzwonka, jęła szarpać go z tym większą energią.

— Ratuj mnie, pani! Ściągają mnie! — rzekł Andrea składając ręce. — Litości! Łaski...

— Za późno, już idą — odpowiedziała Eugenia.

— A więc ukryjcie mnie panie. Powiedzcie, że przestraszyłyście się bez powodu i w ten sposób zmylicie pościg, a ja będę ocalony.

Eugenia i Ludwika przytuliły się do siebie, okryły się kołdrą i pozostały głuche na te błagania.

Nie wiedziały, co robić: były przerażone, a jednocześnie czuły do Andrei odrazę.

— A więc wracaj, nieszczęsny, tą drogą, którą przyszedłeś. Uciekaj, a my nic nie powiemy — rzekła Eugenia.

— To tu! To tu! — rozległ się głos za drzwiami. — Widzę go.

Kapral bowiem, zajrzawszy przez dziurkę od klucza, zobaczył Andreę stojącego w błagalnej pozie.

Zamek wyskoczył od gwałtownego uderzenia kolby. Rygle ustąpiły skutkiem dwóch następnych uderzeń.

Drzwi runęły na podłogę.

Andrea podskoczył ku drugim drzwiom, wychodzącym na krużganek. Otworzył je, gotów skoczyć z piętra na podwórze.

Ale dwaj żandarmi wymierzyli doń z karabinów.

Andrea zatrzymał się.

Błądy, przechyliwszy się lekko w tył, trzymał w zaciśniętej dłoni bezużyteczny nóż.

— Uciekajże pan! — zawołała panna d'Armilly, ochłonawszy bowiem z lęku uczuła litość. — Uciekaj!

— Albo zabij się! — rzekła Eugenia przybrawszy ton i pozę westalki, która w cyrku daje znak zwycięskiemu gladiatorowi, ażeby dobił powalonego przeciwnika.

Andrea zadrżał i wzgardliwie popatrzył na Eugenię. W zepsuciu swoim nie pojmował tego szlachetnego okrucieństwa, jakie popełniamy idąc za głosem honoru.

— Mam się zabić? — powiedział rzucając nóż. — A to po co?

— Toć mówiłeś pan, że skażą cię na śmierć i zetną jak pospolitego zbrodniarza! — zawołała panna Danglars.

— E — odparł Cavalcanti zaplatając ramiona. — Ma się przyjaciół. Kapral podszedł doń z obnażoną szablą.

— Schowałbyś to lepiej, mój dzielny człowieku — ozwał się Cavalcanti. — Po cóż tyle hałasu, skoro się poddaję.

I wyciągnął ręce, żeby nałożono mu kajdanki.

Obie panny obserwowały ze zgrozą tę ohydłą przemianę, jaka dokonywała się w ich oczach: światowy młodzieniec zrzucał skórę i stawał się na powrót galernikiem.

Andrea popatrzył na nie z bezczelnym uśmiechem.

— Czy może mam powtórzyć coś szanownemu ojczulkowi, panno Geniu? — zapytał. — Bo wszystko wskazuje na to, że wrócę do Paryża.

Eugenia ukryła twarz w dłoniach.

— No, no, nie ma czego się wstydzić — dodał Andrea. — Nie mam pani za złe, żeś najęła konie i pogoniła za mną... Czyż nie jesteśmy prawie małżeństwem?

Rzuciwszy to szyderstwo Andrea wyszedł, pozostawiając Eugenię i Ludwikę na pastwę hańby i ludzkich komentarzy.

Po godzinie, obie już w strojach kobiecych, wsiadły do swojej podróźnej kolasy.

Zamknięto drzwi w hotelu, aby uchronić obie panny przed spojrzeniem ciekawych. Niemniej musiały przejść szpalerem gapiów, których oczy płonęły, a wargi szeptały.

Eugenia zasłoniła okna karety — ale wrzawa drwiących głosów ścigała je daleko.

— Ach, czemuż świat nie jest pustynią! — zawołała padając w objęcia Ludwiki.

W oczach panny Danglars płonęła owa wściekłość Kaliguli, co pragnął, żeby świat rzymski miał jedną głowę, aby można ją było ściąć jednym zamachem topora.

Nazajutrz obie panny wysiadły przed Hotelem Flamandzkim w Brukseli.

Dnia poprzedniego Andreę zamknięto w Conciergerie.

24. PRAWO

Byliśmy świadkami, jak łatwo się udało obu pannom przygotować wszystko do drogi i uciec — każdego bowiem zbytnio pochłaniały własne sprawy, aby interesował się, co robią w danej chwili Eugenia i Ludwika.

Zostawmy barona, który drżąc przed widmem bankructwa sumuje w pocie czoła olbrzymie kolumny swoich pasywów, i pójdźmy za baronową. Pani Danglars otrząsnawszy się szybko po gwałtownym ciosie, udała się jak zwykle po radę do pana Lucjana Debray.

Baronowa pragnęła tego mariażu, aby wreszcie wyzbyć się kłopotliwej opieki nad Eugenią, dziewczyną o charakterze trudnym.

Owa bowiem milcząca umowa, która podtrzymuje więzy hierarchiczne w rodzinie, wymaga, aby matka była dla córki ideałem, wzorem mądrości i cnót.

A pani Danglars lękała się bystrego oka Eugenii, a także rad, jakich udzielała jej panna d'Armilly.

Spostrzegła wzgardliwe spojrzenia, jakimi Eugenia obrzucała pana Lucjana — spojrzenia mówiące jakby, że córka zna stosunki miłosne i pieniężne łączące matkę z sekretarzem osobistym ministra. Gdyby jednak baronowa zbadła rzecz chytrzejsz i dokładniej, przekonałaby się, iż Eugenia nienawidzi Debraya nie dlatego, iż sieje on zamęt i zgorszenie w rodzicielskim domu. Zaliczała po prostu pana Lucjana do owego gatunku dwunogów, które Diogenes wahał się nazywać ludźmi, a Platon określał jako zwierzęta dwunożne nie opierzone.

Każdy ma niestety własny punkt widzenia, który przeszkadza mu dostrzegać punkt widzenia innych. Owóż ze swojego punktu widzenia pani Danglars żałowała niewypowiedzianie, iż małżeństwo Eugenii nie przyszło do skutku — a żałowała nie dlatego, że ten związek dobrany miał zapewnić szczęście jej córce, ale z tej racji, że nie odzyskała wolności.

Pobiegła więc do Debraya. Pan Lucjan asystował, jak i cały elegancki świat paryski, przy podpisywaniu intercyzy, a gdy wybuchł skandal, drapnął czym prędzej do swojego klubu i teraz w gronie przyjaciół omawiał wypadki. A zresztą rozprawiał już o nich niemal cały Paryż, miasto niebywale plotkarskie — zwane stolicą świata.

Gdy pani Danglars, ubrana czarno i zawoalowana, wchodziła na schody wiodące do apartamentu Lucjana — choć odźwierny zapewnił ją, że pana sekretarza nie ma w domu — Lucjan zbijał akurat zjadliwe argumenty przyjaciela, który dowodził mu, iż po tym okropnym skandalu winien, jako przyjaciel domu, poślubić pannę Eugenię oraz jej dwa miliony.

Debray bronił się miękko — jak gdyby tylko marzył, aby go pokonano, często bowiem rozmyślał o tym.

Ale że znał Eugenię, a także jej naturę, wyniosłą i niezależną, przybierał od czasu do czasu obronną postawę, mówiąc, iż związek ten jest niepodobieństwem. A jednak hołubił na dnie duszy ów niemoralny pomysł. Ale podobno w najuczciwszym człowieku tkwi diabeł.

Herbata, karty, rozmowa — nader frapująca, dyskutowano bowiem o doniosłych interesach — przeciągnęły się do pierwszej nad ranem.

Tymczasem pani Danglars, którą wprowadził lokaj Lucjana, czekała zawoalowana i drżąca w zielonym saloniku, siedząc między dwoma koszami kwiatów. Przysłała je poprzedniego dnia rano, a Lucjan, przyznać mu to trzeba, ustawił je sam i starannie oberwał przywiedłe listki. Osłodziło to biednej kobiecie jego nieobecność.

Dwadzieścia przed dwunastą pani Danglars, znudzona daremnym czekaniem, wsiadła do dorożki i wróciła do domu.

Kobiety z wielkiego świata mają tę wspólną cechę z zakochanymi gryzetskami, że rzadko kiedy wracają do domu przed północą.

Baronowa wśliznęła się do pałacu tak ostrożnie, jak wymknęła, się stamtąd Eugenia.

Wbiegła lekko, ze ściśniętym sercem, na schody swojego apartamentu, sąsiadującego, jak wiadomo, z apartamentem Eugenii.

Bała się jak ognia jakichkolwiek komentarzy. Biedna kobieta wierzyła tak mocno -i w tym chociaż wypadku szanować ją trzeba — w naiwność córki i w wierność jej dla ogniska domowego!

Będąc już u siebie, jęła nasłuchiwać pod drzwiami córki, a nie usłyszawszy żadnego szmeru, spróbowała wejść do niej. Ale drzwi były zamknięte na klucz.

Pani Danglars pomyślała, iż Eugenia znużona straszliwymi przeżyciami wieczoru położyła się do łóżka i śpi.

Jednak, aby się upewnić, zawołała pokojową.

— Panienska — odrzekła — wróciła do swojego pokoju z panną d'Armilly. Wypiły herbatę i pozwoliły mi odejść, mówiąc, że już nie będę im potrzebna.

Od tej chwili pokojowa przebywała w kredensie, sądząc jak i wszyscy, że obie panny są w domu.

Pani Danglars położyła się więc, nie żywiąc cienia podejrzeń. Uspokoiwszy się co do córki, poczęła medytować nad wypadkami.

W miarę jak jej myśl stawała się coraz klarowniejszą, olbrzymiały wypadki: nie była to awantura — był to skandal publiczny; nie był to wstyd — była to hańba.

I baronowa przypomniała sobie mimo woli, jak bezlitosną była dla biednej Mercedes, na którą spadło nie mniejsze nieszczęście.

— Eugenia — rzekła sobie — jest raz na zawsze skompromitowana i my także. Oszkalują nas, nie zostawią suchej nitki. W naszym świecie śmieszność jest raną jątrzącą, krwawą, która nie goi się nigdy.

Co za szczęście — westchnęła — że Bóg obdarzył Eugenię tym dziwacznym charakterem, którego lękałam się tak często!

I wzniosła dziękczynne spojrzenie do nieba, skąd tajemnicza Opatrzność rządzi wszystkim, a czasami z wady czy mankamentu czyni załączek szczęścia.

A potem myśl jej, szybując niby ptak nad przepaścią, zatrzymała się nad Cavalcantim.

Andrea, ten łajdak, złodziej i morderca, miał jednak dobre maniery, wskazujące, iż odebrał edukację połowiczną, a może nawet całkowitą.

Pojawił się w świecie ludząc wielką fortuną, protegowany przez ludzi zacnych.

Jakże rozeznac się w tym labiryncie? Do kogo się zwrócić, aby wyplątać się z tej okrutnej sytuacji?

Debray — do którego pobiegła najpierw, gdyż kobieta zakochana szuka pomocy u mężczyzny, co często ją gubi — mógł służyć tylko radą; trzeba było szukać kogoś potężniejszego.

Pomyślała więc o panu de Villefort.

Przecież to pan de Villefort żądał, aby aresztowano Cavalcantiego, przecież to bezlitosny pan de Villefort posiał zamęt w jej rodzinie, jak gdyby miał do czynienia z obcymi.

Ale nie. Jeśli się zastanowić — prokurator królewski nie jest bezlitosnym człowiekiem; to sadownik, niewolnik swoich obowiązków, ale przyjaciel niezachwiany i wierny, który brutalnie, lecz ręką pewną zadał cios lancetem, tępiąc zepsucie. To nie kat, to chirurg, który chciał ocalić przed światem honoru rodu Danglarsów — bo zhańbiłby go ten zdemoralizowany młodzieniec, występując w roli ich zięcia.

Skoro pan de Villefort, przyjaciel Danglarsów, tak postąpił, nie należy przypuszczać, by wiedział coś z góry i przykładał ręki do sprawek Andrei.

Zastanowiwszy się, baronowa uznała, że Villefort działał w imię ich wspólnego dobra.

Należało jednak przełamać jego nieugiętość prokuratorowską.

Odwiedzi go więc jutro i wyjedna jeśli nie całkowitą — bo wtedy Villefort uchybiłby swoim obowiązkom — to przynajmniej częściową pobłażliwość.

Powoła się na przeszłość, odświeży wspomnienia, będzie błagać w imię owych czasów grzesznych, ale szczęśliwych.

Pan de Villefort albo całkiem zatuszuje sprawę, albo, w ostateczności, pozwoli uciec Cavalcantiemu i wyda wyrok nie na zbrodniarza, lecz na jego cień: wyrok zaoczny.

Wtedy dopiero pani Danglars zaśnie spokojnie.

Wstała nazajutrz o dziewiątej, nie zadzwoniła na pokojową i ubrała się sama. Odziana jak i dnia poprzedniego — z ową elegancją pełną prostoty — wyszła z domu, wzięła dorożkę na ulicy Prowanckiej i pojechała do państwa de Villefort.

Dom ich od miesiąca wyglądał ponuro, przypominając szpital, w którym wybuchła dżuma.

Część pomieszczenia odizolowano od wewnątrz i od zewnątrz; okiennice, stałe zamknięte, otwierano tylko na chwilę, by wpuścić trochę świeżego powietrza.

Ukazywała się wtedy w oknie wystraszona twarz lokaja, po czym okno zamykało się jak płyta grobowa, sąsiedzi zaś powiadali:

— Czy to znowu od Villefortów wynoszą trumnę?

Na widok tego posępnego domu panią Danglars przejął dreszcz.

Gdy wysiadła z fiakra, nogi ugięły się pod nią. Zadzwoniła do zamkniętej bramy.

Lecz odźwierny pokazał się, gdy dzwonek zabrzmiał po raz trzeci — żałobnie, jakby dzielił smutek domowników. Uchylił drzwi, pozostawiając tylko szparę.

Ujrzał kobietę światową, elegancką — ale jej nie wpuścił.

— Otwierajcież — powiedziała baronowa.

— Muszę najpierw dowiedzieć się, kim jest łaskawa pani.

— Kim jestem? Toć znacie mnie doskonale.

— Nie znamy nikogo, proszę pani.

— Zwariowaliście, mój dobry człowieku?! — zawołała baronowa.

— Kto panią tu przysłał?

— O, tego już za wiele!

— Jaśnie pani wybaczy, ale takim otrzymał rozkaz; jak godność?

— Jestem baronowa Danglars; widzieliście mnie ze dwadzieścia razy.

— To możliwe, proszę jaśnie pani. Czego sobie jaśnie pani życzy?

— Dziwaczni jesteście, mój dobry człowieku. Poskarżę panu de Villefort, że ma nieuprzejmą służbę.

— Proszę jaśnie pani, to nie przez nieuprzejmość, ale zastosowaliśmy środki ostrożności: nikomu nie wolno tu wejść, chyba że ma bilecik od pana d'Avrigny albo porozumiał się uprzednio z panem Villefort.

— A ja mam właśnie sprawę do pana prokuratora.

— Pilna to sprawa?

— Chyba sami widzicie, skoro nie odjechałam jeszcze. Ale dość: macie tu mój bilet wizytowy, zanieście go panu.

— A wielmożna pani zaczeka?

— Tak. Idźcie już.

Odźwierny zamknął bramę, pozostawiając panią Danglars na ulicy.

Baronowa nie czekała długo.

Po chwili drzwi otworzyły się na tyle, by ją przepuścić — a gdy przeszła, zamknęły się zaraz.

Na dziedzińcu odźwierny, nie spuszczać drzwi z oczu, wyjął z kieszeni gwizdek i zaświstał.

Lokaj pana de Villefort ukazał się na ganku.

— Jaśnie pani wybaczy temu zacnemu człowiekowi — powiedział biegnąc ku baronowej — ale musimy stosować się ściśle do rozkazów. Pan prokurator kazał powiedzieć, że nie mógł postąpić inaczej.

Na dziedzińcu stał dostawca, wpuszczony po zastosowaniu tychże środków ostrożności — badano jego towar.

Baronowa weszła na ganek.

Smutek panujący w tym domu przygnębił ją jeszcze bardziej. Lokaj, nie spuszczać z niej oka, wprowadził ją do gabinetu pana.

Aczkolwiek panią Danglars pochłaniał cel wizyty, zachowanie służby wydało jej się tak dalece niestosowne, iż poskarżyła się.

Lecz Villefort podniósł głowę schyloną brzemieniem bólesci i spojrzał na panią Danglars z uśmiechem tak smutnym, iż urwała w pół słowa.

— Niechże pani wybaczy mojej służbie — powiedział. — Są przerażeni, a ja im tego nie mogę mieć za złe. Podejrzewani — stali się podejrzliwymi.

Pani Danglars słyszała już nieraz o trwodze, jaka ogarnęła służbę Villeforta, nie wierzyła jednak, aby uczucie to mogło przybrać aż tak wielkie rozmiary; ale teraz przekonała się na własne oczy.

— A więc i pan jesteś nieszczęśliwy? — zagadnęła.

— Tak, pani.

— I współczujesz mi pan?

— Jak najszczerzej.

— A domyślasz się pan, co mnie tu sprowadza?

— Chcesz pani pomówić ze mną o tym, co cię spotkało, czy tak?

— Tak, o tym strasznym nieszczęściu. — Raczej o niepowodzeniu.

— Niepowodzeniu! — oburzyła się baronowa.

— Tak to niestety nazwać muszę — odrzekł Villefort z niezmaconym spokojem. — Nieszczęściem nazywamy już tylko to, czego naprawić się nie da.

— Ejże, czyżbyś pan. sądził, że zapomnę?

— O wszystkim się zapomina. Nie dziś, to jutro panna Eugenia wyjdzie za mąż. Nie wydaje mi się zaś, aby żałowała pani swojego niedoszłego zięcia.

Panią Danglars zdumiał ten spokój, niemal drwiący.

— Czy przyszłam do przyjaciela? — zagadnęła tonem pełnym zbolalej godności.

— Oczywiście, pani, i wiesz o tym dobrze — odparł Villefort zarumieniwszy się z lekka.

Składając bowiem to zapewnienie, zrobił aluzję do innych spraw, a nie do tych, które miał omówić z baronową.

— A więc okaż mi pan trochę serca — rzekła baronowa! — Mów pan do mnie jak przyjaciel, a nie jak sadownik, a skórom jest bardzo nieszczęśliwa, nie tłumacz mi, że powinnam być wesoła.

Villefort skłonił się.

— Od trzech miesięcy, kiedy słyszę o cudzych nieszczęściach, porównuję je z moimi. Zły to sposób postępowania, ale dokonuję tego egoistycznego porównania mimowiednie. Oto dlaczego wobec

moich nieszczęść to, co panią spotkało, uznałem tylko za niepowodzenie. Oto dlaczego, będąc w położeniu żalonym, zazdroszczę pani niemal, ale drażni to panią, więc dajmy pokój. Mówiłaś pani?...

— Chciałam się dowiedzieć, drogi przyjacielu, jak wygląda sprawa tego oszusta...

— Oszusta! — zachnął się Villefort. — Stanowczo, uparłaś się pani, aby jedne rzeczy łagodzić, drugie zaś przejawiać. To pan Andrea Cavalcanti, a raczej pan Benedetto, jest oszustem? Myli się pani. Pan Benedetto jest ni mniej, ni więcej, tylko mordercą.

— Nie zaprzeczam słuszności tego sprostowania, ale im bardziej będziesz się pan srożył na tego nieszczęśnika, tym dotkliwiej ugodzisz naszą rodzinę. Zapomnij pan o nim na chwilę, przestań go tropić, pozwól mu uciec.

— Spóźniłaś się pani, wydałem już rozkazy.

— A więc jeśli go schwytają... Czy sądzisz pan, że go schwytają?

— Mam nadzieję.

— A więc jeśli go schwytają, to choć, jak słyszałam, więzienia są przepełnione, pozostaw go pan w więzieniu...

Prokurator pokręcił głową na znak, że się nie zgadza.

— Dopóki moja córka nie wyjdzie za mąż — dodała baronowa.

— To niemożliwe, łaskawa pani. Sprawa musi potoczyć się swoim torem.

— Nawet i w moim wypadku? — zapytała baronowa półzartobliwie, lecz i na pół serio.

— W każdym wypadku. Nawet i w tym, gdyby chodziło o mnie.

— Ach! — zawołała baronowa. I choć nie dodała nic więcej, zdradziła swoją myśl.

Villefort spojrział na nią przenikliwie.

— Tak, domyślam się, co chciałaś pani powiedzieć. Zrobiłaś pani aluzję do tych straszliwych plotek, krążących na temat mojej żaloby. Myślałaś pani i o tym, że Walentyna cudem tylko uniknęła śmierci i że nikt ostatnio w moim domu nie umarł śmiercią naturalną.

— Wcale tego nie miałam na myśli.— zaprzeczyła żywo baronowa.

— Niechże pani nie przeczy, myślałaś o tym i miałaś rację. Cóż innego możesz pani pomyśleć, cóż innego powiedzieć sobie w duchu: „Ty, który tropisz zbrodniarzy, odpowiadaj, dlaczego wokół ciebie popełniono bezkarnie tyle zbrodni?”

Baronowa zbladła.

— Powiedziałaś sobie to pani w duchu, nieprawdaż?

— No cóż, przyznam się, że tak.

— A ja odpowiem na to.

Villefort przysunął swój fotel do krzesła pani Danglars. I oparłszy się rękami o biurko, jął mówić zniższy głos.

— Niektóre zbrodnie pozostają bezkarne, gdyż niepodobna wykryć zbrodniarza, a ponadto lękamy się skazać niewinnego. Ale gdy zbrodniarza wykryjemy — tu Villefort wskazał krucyfiks zawieszony naprzeciw biurka — gdy wykryjemy zbrodniarza — powtórzył — przysięgam pani na Boga, że zbrodniarz, kimkolwiek byłby, umrze. A teraz, po tej przysiędze, którą złożyłem i której dotrzymam, proszę pani, jeśli się odważysz, o łaskę dla tego nędznika!

— Ejże, czy pan jesteś pewien, że on tak zawinił, jak powiadają?

— No to niech pani posłucha. Oto akta jego sprawy: szesnastoletniego Benedetto skazano za fałszerstwa na pięć lat galery; obiecujący młody człowiek, jak pani widzisz; uciekł, a następnie zamordował.

— Ale kimże ten nieszczęśnik jest właściwie?

— Bóg raczy wiedzieć. To jakiś włóczęga, Korsykanin.

— I nikt nie upomniał się o niego?

— Nikt. Rodzice jego są nieznani.

— No a ten pan, który przyjechał z Lucca?

— To taki sam łapserdak jak i on. Pewnie jego współnik. Baronowa złożyła ręce.

— Gerardzie — rzekła najczulej, jak umiała.

— Na Boga! Nigdy, pani, nie żądaj ode mnie, abym ułaskawił winowajcę — odparł Villefort tonem stanowczym i nie pozbawionym oschłości. — Kimże ja

jestem? Prawem. Czyż Temida ma oczy, aby widzieć pani zmartwienie? Czy ma uszy, aby słyszeć pani słodki głos? Czyż jako jej uosobienie, mogę dać posłuch pani delikatnym aluzjom? Nie, pani. Prawo wydaje rozkaz, a kiedy wydaje rozkaz, uderza. Powiesz mi pani, że jestem żywym człowiekiem, a nie kodeksem. Spójrz na mnie i spójrz na moje otoczenie: czy ludzie traktowali mnie jak brata? Czy mnie kochali? Czy okazywali mi względy? Czy mnie oszczędzili? Czy gdyby ktoś poprosił o łaskę dla pana de Villefort, ulaskawiono by mnie? Nie! Nie! Nie! Bity, zawsze bity! Kuisz mnie pani, jak kobieta i jak syrena, mówisz do mnie patrząc słodko, a ja się rumienię, bo przypomina mi to pewne sprawy. Ano cóż, muszę się rumienić za to i może za coś jeszcze. Ale od tego czasu, kiedy sam upadłem, i bardziej może niż inni, od tego czasu zdzieram innym szaty, aby znaleźć wrzód, i znajduję go zawsze. Powiem więcej: z radością znajduję to piętno słabości i przewrotności ludzkiej. Albowiem każdy człowiek, któremu dowiodłem winy i którego ukarałem, stanowił dla mnie nowy i żywy dowód, że nie byłem ohydny wyjątkiem. Niestety, niestety, wszyscy ludzie są źli! Dowiedzmy tego i karzmy złych!

Villefort wymówił te ostatnie słowa z gorączkową wściekłością, która przydała im okrutnego patosu.

— Ale — odrzekła pani Danglars, po raz ostatni próbując go przekonać — powiedziałaś pan, że ten młodzieniec jest włóczęgą, sierotą, którego opuścili wszyscy.

— Tym gorzej, tym gorzej albo właśnie tym lepiej. Opatrzność sprawiła to, żeby nikt nie płakał po nim.

— Pastwisz się pan nad słabym.

— Słaby, który zabija!

— Jego hańba okryje mój dom.

— A czyż śmierć nie nawiedza wciąż mojego domu?

— Jesteś pan człowiekiem bezlitosnym! — zawołała baronowa. — Ale i nad panem nikt się nie ulituje, zapamiętaj pan moje słowa!

— Niech i tak będzie — odparł Villefort, wznosząc groźnie rękę do nieba.

— Niechże, pan chociaż, jeśli tego nieszczęśnika aresztowano, odroczy jego sprawę do następnej sesji sądu przysięgłych. Dzięki półrocznej zwłoce zapomną o nim.

— O nie. Mam jeszcze pięć dni, śledztwo już ukończone; pięć dni to więcej czasu, niż mi trzeba. A zresztą, czyż pani nie rozumie, że i ja też chciałbym zapomnieć? Owóż jeśli pracuję, pracuję dniami i nocami i dzięki temu zapominam, a kiedy zapominam, jestem szczęśliwy tak, jak szczęśliwi są umarli! A to i tak lepsze od cierpienia.

— Jeśli uciekł, nie ścigaj go pan. Machnąć na coś ręką to łatwa forma pobłażania.

— Ależ mówiłem pani, że już za późno. Telegraf nadał wiadomość o świcie, a teraz...

— Proszę jaśnie pana — powiedział lokaj wchodząc — goniec z ministerium spraw wewnętrznych przywiózł tę depeszę.

Villefort rozpieczętował szybko kopertę.

Pani Danglars zadrżała z trwogi, a Villefort zadrżał z radości.

— Aresztowany! — zawołał. — Ujęto go w Compiègne. Nie ma już o czym mówić.

Pani Danglars wstała wyniosła i blada.

— Żegnam pana — rzekła.

— Żegnam panią — odpowiedział niemal radośnie Villefort i odprowadził ją do drzwi.

A wróciwszy do gabinetu

— Doskonale — powiedział stukając ręką w depeszę — mam jedno fałszerstwo, trzy kradzieże, dwa podpalenia, brakowało mi tylko morderstwa. Otóż i ono! Piękna będzie sesja.

25. ZJAWA

Jak oznajmił prokurator pani Danglars, Walentyna wciąż jeszcze była chora.

Nie ruszała się z łóżka. O ucieczce Eugenii i aresztowaniu Cavalcantiego — a raczej Benedetta — któremu zarzucono morderstwo, dowiedziała się od pani de Villefort.

Ale Walentyna była tak Osłabiona, iż opowieść macochy nie zaciekała jej prawie wcale.

Docierały do niej poszczególne słowa, tworząc dziwne, szybko niknące obrazy — lecz od razu zapominała o nich; zaczynała majaczyć.

W dzień łączyła ją jeszcze ze światem rzeczywistym obecność Noirtiera. Wnoszono bowiem starca do pokoju wnuczki, on zaś nie odrywał od niej troskliwego, iście ojcowskiego spojrzenia.

Następnie, wróciwszy z sądu, odwiedzał ją Villefort — i spędzał z ojcem i z córką dwie godziny.

O szóstej zamykał się w swoim gabinecie.

O ósmej przychodził d'Avrigny, przynosząc dla Walentyny lekarstwo, które zażywała przed spaniem.

Potem wynoszono Noirtiera.

Zjawiała się pielęgniarka, którą wyznaczył d'Avrigny, i czuwała, póki Walentyna nie zasnęła — to znaczy do dziesiątej albo do jedenastej.

Wychodząc oddawała klucz od pokoju Walentyny panu de Villefort. Dzięki temu do chorej można było dostać się tylko przez apartament pani de Villefort i pokój Edwardka.

Morrel odwiedzał Noirtiera co rano, dowiadując się o zdrowie Walentyny— i, rzecz osobliwa, co dzień wydawał się spokojniejszy.

Bo i Walentyna, chociaż nie dopisywały jej nerwy, czuła się z każdym dniem lepiej.

I czyż Monte Christo nie zapewnił go, gdy przybiegł doń zrozpaczony, że jeśli Walentyna nie umrze w ciągu dwóch godzin, będzie uratowana?

Podniecenie nerwowe, o którym wspomnieliśmy właśnie, trwało przez, cały . dzień i nie opuszczało chorej, nawet gdy zasypiała, a rącej zapadała w drzemkę.

Wtedy to, wśród półmroku i ciszy — pokój oświetlała jedynie lampka nocna z alabastrowym kloszem, płonąca na kominku — pojawiały się tłumnie widma, nadlatując na drżących skrzydłach gorączki.

Zdawało jej się, że staje przed nią groźna postać macochy, że Morrel wyciąga, do niej ręce — czasami znowu zjawiały się osoby prawie obce, na przykład hrabia de Monte Christo; gdy gorączka sięgała szczytu, zaczynały poruszać się meble — i maligna ta trwała do drugiej albo trzeciej nad ranem; o tej godzinie chora zapadała w kamienny sen, który trwał aż do białego dnia.

Kiedy więc Walentyna dowiedziała się o ucieczce Eugonii i o aresztowaniu Benedetta, zapamiętała na krótki czas oba te wydarzenia, ale już wieczorem, gdy odszedł Villefort a po nim d'Avrigny, i kiedy zabrano Noirtiera, umknęły i one z jej pamięci. Na kościele Saint-Philippe-du-Roule wybiła jedenasta. Pielęgniarka zostawiła miksturę, sporządzoną przez doktora, w takim miejscu, aby Walentyna mogła po nią sięgnąć, i poszła do kredensu, gdzie służba komentowała wypadki i opowiadała ponure historie. Od trzech miesięcy innymi historiami nie zajmowano się w przedpokoju i kredensie pana prokuratora królewskiego. I choć pielęgniarka zamknęła starannie drzwi, a pokój chorej był pilnie strzeżony, rozegrała się w nim osobliwa scena.

Pielęgniarka odeszła przed dziesięcioma minutami.

Walentyna, już od godziny trawiona gorączką, która powracała co noc, majaczyła. Mózg chorej, niezależny od jej woli, pracował nieutrudzenie i monotennie, płodząc wciąż te same myśli i te same obrazy.

Lampka nocna jarzyła się, podniecając jeszcze mimowiedną imaginację chorej — gdy nagle Walentynie wydało się, że widzi, jak w chybotliwym jej blasku otwiera się wolno biblioteka, stojąca w nyży obok kominka. Zawiasy, na których szafa poruszała się jakby, nie skrzyknęły nawet.

W innej godzinie Walentyna szarpnęłaby jedwabny sznur dzwonka i zaalarmowała otoczenie, wołając o pomoc, ale teraz nic jej nie dziwiło.

Wiedziała, że wszystkie te zjawy rodzi maligna. Rankiem przecie nie pozostawał po nich żaden ślad.

W drzwiach ukazała się postać ludzka.

Walentyna była zbyt oswojona ze zjawami nawiedzającymi ją w gorączce, aby się przerazić.

Otworzyła tylko szeroko oczy, myśląc, że ukazał jej się Morrel. Postać sunęła w stronę łóżka — po chwili zatrzymała się nasłuchując bacznie. Wtedy blask lampki padł na twarz owego nocnego gościa.

— To nie on — szepnęła chora.

I czekała — sądząc, iż majaczy — kiedy zjawa zniknie albo zamieni się w kogo innego.

Dotknęła pulsu — bił gwałtownie; doświadczenie nauczyło ją, że wystarczy przełknąć łyk lekarstwa, by zniknęły widma: chłodny napój kołi nerwy i obniżał gorączkę, przynosząc na pewien czas ulgę.

Walentyna sięgnęła więc po szklankę stojącą na kryształowym spodku.

Ale gdy wyciągnęła drżącą rękę, widmo zbliżyło się szybko do łóżka; poczuła jakby oddech i dotknięcie palców.

Widmo zatrzymało jej rękę.

Walentyna cofnęła ją z wolna.

Tym razem złudzenie, a raczej rzeczywistość przekraczała wszystko, czego Walentyna dotychczas doświadczyła.

Pomyślała, że nie śpi i że jest całkiem przytomna — a wtedy przeraziła się.

Zjawa, od której nie mogła oderwać wzroku — zjawa raczej przyjazna niż groźna — wzięła szklankę, podeszła do lampki i obejrzała płyn pod światło, badając jakby jego klarowność.

Nie zadowolilo jej to jednak.

Ów człowiek czy widmo — stapał bowiem bezszelestnie — przełknął łyżeczkę płynu.

Walentyna spozierała zdumiona.

Była pewna, że widmo zniknie i pojawi się nowy obraz. Ale człowiek ów nie rozpląnął się jak senna mara. Zbliżył się do łóżka, podał chorej szklankę i rzekł ze wzruszeniem:

— A teraz wypij. Walentyna zadrżała.

Spośród zjaw, które jej się pokazywały, ta pierwsza bowiem przemówiła. Walentyna o mało nie krzyknęła. Nieznajomy położył palec na wargach.

— Hrabia de Monte Christo... — szepnęła chora.

Drżała, trzęsły się jej ręce, kulila się pod kołdrą — nie mogła jeszcze uwierzyć w realność swojej wizji.

A jednak obecność hrabiego o tej porze, tajemniczy, fantastyczny, niewytłumaczony sposób, w jaki wszedł, były czymś całkiem niepojętym.

— Nie wzywaj, pani, ratunku i nie bój się — powiedział hrabia — niech w sercu twoim nie pojawi się cień podejrzenia i niepokoju. Nie jestem, Walentyno, zjawą, ale człowiekiem z krwi i kości, a dla ciebie najczulszym ojcem i najbardziej oddanym przyjacielem.

Walentyna nie wiedziała, co odrzec.

Zbyttno zresztą złąkała się tego głosu, by móc przemówić; ale zatrwożone jej spojrzenie mówiło: „Skoro uczciwe są twoje intencje, po coś tu przyszedł?”

Hrabia, wiedziony swoją cudowną przenikliwością, odgadł, co się dzieje w sercu dziewczęcym.

— Posłuchaj mnie — ozwał się — albo raczej popatrz na mnie: spójrz na moje zaczerwienione oczy i twarz jeszcze bledszą niż zwykle. Od czterech nocy na chwilę nie zmrużyłem oka; od czterech nocy czuwam nad tobą, chronię cię, ratuję dla naszego kochanego Maksymiliana.

Chora zarumieniła się z ukontentowaniem. Imię Maksymiliana rozwiało w niej resztki podejrzeń.

— Maksymilian!... — powtórzyła, tak słodki był dla niej dźwięk tego imienia. — A więc Maksymilian przyznał się panu do wszystkiego?

— Do wszystkiego. Powiedział mi, że bez pani żyć nie może, obiecałem mu tedy, że pani żyć będziesz.

— Obiecał mu pan to?

— Tak.

— Wspomniałeś pan rzeczywiście o czuwaniu i opiece. Czyżbyś był lekarzem?

— Tak. I wierz mi, pani, że w tym momencie niebiosy nie zesłałyby ci lepszego.

— Ale gdzie pan czuwał? — zaniepokoiła się nagle Walentyna. — Bom przecież nigdy pana nie widziała.

Hrabia wskazał ręką bibliotekę.

— Byłem ukryty za tymi drzwiami — oznajmił — a łączą one ten dom z domem sąsiednim, który wynajęłem.

Walentyna zawstydzona, spuściła oczy i odrzekła wylakłszy się:

— Trudno o czyn bardziej szalony i opieka ta zakrawa na zniewagę.

— Walentyno, posłuchaj, na co zwracałem uwagę czuwając nad tobą: obserwowałem ludzi, którzy wchodzili do tego pokoju, przyglądałem się, co podają ci do jedzenia i do picia. Kiedy napój wydawał mi się podejrzanym, wchodziłem, wylewałem truciznę i napełniałem szklankę napojem o właściwościach dobroczynnych. Chciał cię tu zabić, a ja przynosiłem ci napój życiodajny.

— Trucizna! Śmierć! — wykrzyknęła Walentyna, sądząc, że znowu w gorączce nawiedził ją jakiś koszmar. — Cóż pan opowiadasz?

— Uspokój się, moje dziecko — odrzekł Monte Christo, kładąc znowu palec na wargach — powiedziałem trucizna, tak, i powtarzam, że chcą cię zabić. Ale najpierw wypij to.

Dobył z kieszeni flakon z czerwonym płynem i wlał kilka kropel do szklanki.

— A kiedy wypijesz, nic już w nocy nie bierz do ust. Walentyna sięgnęła po szklankę.

Ledwie jednak jej dotknęła, odstawiła ją przerażona.

Hrabia wypił więc połowę i podał szklankę Walentynie, która wtedy z uśmiechem wypila resztę.

— A tak — rzekła — poznaję teraz to, co pijałam w nocy rzeźwi mnie ten napój i uspokaja. Dziękuję panu, dziękuję.

— Takim sposobem przeżyłaś, Walentyno, cztery noce. Ale co się ze mną wtedy działo? Okrutne godziny! Straszliwe męki, gdym widział, jak do twojej szklanki wlewano śmiertelną truciznę, kiedy drżałem, byś jej nie wypila, nim wylałbym ją do kominka.

— Powiedziałeś pan — odparła Walentyna przerażona śmiertelnie — żeś przeżywał straszliwe męki, kiedy wlewano do mojej szklanki truciznę... Ale skoroś pan to widział, widziałeś również i osobę, która wlewała, czy tak?

— Tak. Walentyna uniosła się na wezgłowie i zasłaniając śnieżną pierś haftowanym batysem, zapytała oblana zimnym potem:

— Widziałeś ją pan naprawdę? — Straszne, rzeczy pan mówi, gotowam pomyśleć, że dzieją się tu jakieś piekielne historie. Jak to, chcą mnie zamordować w domu mojego ojca, na moim łóżku, mnie, chorą?! O, wyjdź pan stąd, wzdragam się przed tym, co mówisz, to niemożliwe, bluźnisz pan dobroci bożej, te niemożliwe, niemożliwe!

— Czyżbyś, Walentyno, była pierwszą ofiarą? Czyżbyś nie wiedziała o śmierci twoich dziadków i o śmierci Barrbis? Umarłby też i pan Noirtier, gdyby kuracja, którą prowadzi od trzech lat, nie uodporniła go na truciznę.

— O Boże! Czy to dlatego prawie od miesiąca dziadzio każe mi pić wszystkie swoje mikstury?

— A czy nie mają one smaku gorzkawego, smaku podsuszanej skórki pomarańczowej?

— Mają.

— Teraz już wszystko rozumiem! — zawołał Monte Christo. — Pan Noirtier także wie, że ktoś tu truje, a może nawet wie, kto. Uodpornił panią, kochając cię nad życie, przeciwko tej śmiertelnej substancji, i dlatego nie podzielała ona po raz pierwszy; wiem już, dlaczego jeszcze żyjesz, bom przedtem nie mógł sobie tego wytłumaczyć. Niechybna to trucizna.

— Ale któż jest mordercą?

— O to właśnie chciałem panią zapytać. Czy nie wchodzi tu kto w nocy? — Owszem. Czasami wydawało mi się, że snują się tu jakieś cienie, zbliżają się, oddalają i nikną, ale brałam je za gorączkowe majaki. Przed chwilą i pana wzięłam za widmo. Myślałam, że mam gorączkę i że coś mi się zwidziało.

— A więc nie wiesz pani, kto czyha na twoje życie?

— Nie. A któż by pragnał mojej śmierci?

— Zaraz się pani o tym dowie — odpowiedział Monte Christo nasłuchując bacznie.

— Jakim sposobem? — zapytała Walentyna i rozejrzała się przerażona.

— Albowiem dziś już nie masz gorączki i nie jesteś w malignie, albowiem dziś już jesteś przytomna, albowiem bije północ — północ, godzina morderców.

— O Boże, Boże! — zawołała Walentyna, ocierając dłonią pot z czoła.

A północ tymczasem dzwoniła z wolna i posępnie; każde uderzenie spiżowego młoteczka godziło jakby w serce dziewczyny.

— Walentyno — ciągnął hrabia — zbierz wszystkie siły, wstrzymaj bicie serca, niech usta twoje zamilkną, udawaj, że śpisz, a wtedy zobaczysz, zobaczysz...

Walentyna schwyciła rękę hrabiego.

— Zdaje mi się, że słyszę jakiś szmer — rzekła. — Odejdź pan.

— Tymczasem do widzenia — powiedział hrabia.

I z uśmiechem tak smutnym i serdecznym, że serce dziewczyny zabiło wdzięcznością, skierował się na palcach ku drzwiom biblioteki. Ale nim zamknął je, odwrócił się i rzekł jeszcze:

— Nie wolno ci się poruszać i nie wolno ci wymówić ani słowa: udawaj, że śpisz; inaczej może by cię zamordowano, zanim zdążyłbym przybiec.

I rzuciwszy straszliwe ostrzeżenie, zniknął, a drzwi zamknęły się bezszelestnie. Walentyna pozostała sama.

26. LOKUSTA

Po chwili północ wydzwoniła jeszcze na dwóch innych zegarach, w innej stronie miasta.

Gdzieś w oddali zaturkotały koła — i cisza znów zaległa.

Walentyna skoncentrowała wtedy uwagę na swoim zegarze, którego wahadło znaczyło sekundy.

Jęła liczyć sekundy — zauważyła, że serce jej bije dwa razy szybciej.

Wątpiła jeszcze.

Nie życząc źle nikomu, nie wyobrażała sobie, aby ktokolwiek mógł pragnąć jej śmierci. Po co? W jakim celu? Czyżby wyrządziła komu krzywdę?

Mogła więc zasnąć spokojnie.

Ale gnębiła ją jedna myśl okropna: istnieje ktoś, kto usiłował ją zabić i nie daje za wygraną.

A gdyby teraz ów nieznaną wróg, widząc, że nie działa trucizna, uciekł się do sztyletu! Gdyby hrabia nie zdążył nadbiec... Nie ujrzaliby już Maksymiliana.

Na tę myśl pobladała śmiertelnie i oblała się zimnym potem. Była już gotowa szarpnąć sznur dzwonnka i zaalarmować cały dom.

Ale wydało jej się, że spoza drzwi biblioteki błyszczy oko hrabiego — oko, o którym się nie zapomina. A wtedy zdjął ją taki wstyd, że poczęła się zastanawiać, czy uczucie wdzięczności stłumi w niej urazę za pomoc tak bezceremonialną.

Upłynęło dwadzieścia minut, a każda z nich była długa jak wieczność. Upłynęło jeszcze dziesięć.

Zegar wydzwonił w pół do pierwszej.

I w tejże chwili leciutkie drapanie w drzwi biblioteki przypomniało Walentynie, że hrabia czuwa i jej czuwać zaleca.

Walentyna usłyszała, że z przeciwnej strony, jakby w pokoju Edwardka, zaskrzypiała posadzka.

Nastawiła ucha, tłumiąc oddech. Klamka zaskrzypiała, drzwi obróciły się na zawiasach.

Uniósłszy się na łokciu, ledwie zdążyła opaść na poduszki i zakryć twarz rękami.

I drżąca, z sercem ściśniętym niewypowiedzianą trwogą, czekała.

Ktoś zbliżył się do łóżka i musnął firanki.

Walentyna zebrawszy wszystkie siły jęła oddychać miarowo, niby osoba śpiąca.

— Walentyno — szepnął ktoś. Walentyna drgnęła, lecz nie odpowiedziała.

— Walentyno — szepnął ktoś znów. Milczenie.

Walentyna obiecała, że nie da znaku życia.

W pokoju zapanowała znów absolutna cisza.

I Walentyna słyszała tylko, jak płyn ścieka do pustej szklanki. Wtedy odważyła się unieść powiekę i spojrzeć spod ramienia.

Kobieta w białym peniuarze przelewała płyn z flakonika do szklanki.

Może w tym momencie Walentyna wstrzymała oddech, a może poruszyła się — dość, że kobieta, snadź zaniepokojona, nachyliła się nad łóżkiem, aby przekonać się, czy Walentyna rzeczywiście śpi.

Była to pani de Villefort.

Poznawszy macochę Walentyna zadygotała tak okropnie, że zatrzęśło się łóżko.

Pani de Villefort cofnęła się pod ścianę i tu, niewidoczna dzięki firance łóżka, stanęła milcząca, śledząc bacznie Walentynę.

Walentyna przypomniała sobie straszliwe słowa Monte Christa.

Wydało jej się, że w ręku macochy błyszczy nie flakonik, lecz ostry i długi nóż.

Wtedy, opanowawszy się całą siłą woli, przymknęła oczy. Ale najdelikatniejszy z naszych zmysłów — o, jakże łatwo jest mu zwykle nakazać posłuszeństwo — stawiał zacięty opór, ciekawość łaknąca prawdy podnosiła jakby sama powiekę.

Lecz pani de Villefort, uspokojona ciszą, wśród której znów posłyszała miarowy oddech Walentyny, wyciągnęła rękę i w cieniu kotary łóżka wylała resztę płynu do szklanki.

I oddaliła się tak cicho, że Walentyna nie wiedziała nawet, kiedy się to stało.

Spostrzegła tylko, że ramię znikło. Prześliczne, toczony ramię dwudziestopięcioletniej kobiety zbrodniarki.

Nie sposób wyrazić, co Walentyna przeżyła przez półtorej minuty, kiedy pani de Villefort była w jej pokoju.

Leciutkie skrobanie do drzwi bibliotecznych ocuciło ją.

Uniosła z wysiłkiem głowę.

Hrabia Monte Christo ukazał się po raz wtóry.

— No i co, wątpisz pani jeszcze? — zapytał.

— O Boże! — wyszeptała Walentyna.

— Widziałaś?

— Niestety!

— Poznałaś? Walentyna jęknęła.

— Tak — odparła. — Ale uwierzyć nie mogę.

— A więc wolisz umrzeć i zabić Maksymiliana?...

— O Boże, Boże — powiedziała niemal bliska szaleństwa — czy nie mogłabym uciec z tego domu?...

— Walentyno, ręka, która zamierza cię zabić, dosięgnie cię wszędzie; przekupi złotem twoich służących — i śmierć zamaskowana będzie cię ścigać pod wszelkimi postaciami: w wodzie, którą wypijesz ze źródła, i w owocu, który zerwiesz sama z drzewa.

— Ależ mówił pan przecie, że dziadunio uodpornił mnie na truciznę.

— Tak, ale uodpornił cię na niewielkie dozy; można więc zwiększyć dozę albo zmienić truciznę.

Wziął szklankę i umoczył w niej wargi.

— A i właśnie tak się stało — rzekł. — Już nie brucyną cię truje, ale narkotykiem rozpuszczonym w alkoholu. Gdybyś wypiała to, czym utraktowała cię właśnie pani de Villefort, byłabyś, Walentyno, zgubiona.

— Ale czemuż mnie ona, na miłość boską, tak prześladowuje?

— Jak to, czyżbyś w naiwności swojej i dobroci nie wiedziała?

— Nie wiem. Nigdy nie zrobiłam jej nic złego.

— Jesteś bogata, Walentyno, masz dwieście tysięcy liwrow renty, a twoja macocha pragnie tych pieniędzy dla Edwardka.

— Nie rozumiem. Przecież to mój majątek rodowy.

— I właśnie dlatego umarli państwo de Saint-Meran: odziedziczyłaś po nich; pan Noirtier został skazany w tym dniu, kiedy zapisał ci swoją fortunę; a teraz ty z kolei, Walentyno, masz umrzeć: wtedy twój ojciec odziedziczy po tobie, a Edwardek zostanie jedynakiem i odziedziczy po ojcu.

— Edwardek! O biedactwo! To dla niego popełniono tyle zbrodni!

— No, zrozumiałaś wreszcie.

— O Boże, nie karz go za to!

— Jesteś, Walentyno, aniołem;

— Ale czyż w takim razie postanowiła nie zabijać dziadzi?

— Zreflektowała się. Po twojej śmierci — chyba że dziadek by cię wydziedziczył — fortuna jego i tak przypadłaby Edziowi. Pomyślała więc, że koniec końców zbrodnia ta byłaby zbyt cenna, a przy tym bardzo ryzykowna.

— I kobieta jest zdolna do takiej przewrotności! O Boże, Boże!

— Przypomnij sobie Peruzę. W altanie oberży pocztowej twoja macocha wypytywała pewnego człowieka w brunatnym płaszczu o działanie aqua tofana, a więc już w tym czasie ów piekielny pomysł dojrzywał w jej głowie.

— O! — zawołała Walentyna wybuchając płaczem — widzę, że jestem skazana na śmierć.

— Nie, moje dziecko, bo przewidziałem całą tę intrygę, a tym sposobem pokonałem już naszego wroga; będziesz żyć, żeby kochać i być kochaną; będziesz żyć, żeby być szczęśliwą i uszczęśliwić szlachetne serce; ale Walentyno, jeden warunek: musisz mi okazać bezwzględne zaufanie.

— Niech pan rozkazuje. Co mam uczynić?

— Musisz zażywać to wszystko, co ci podam.

— Bóg mi świadkiem — zawołała Walentyzna — że gdybym była sama na świecie, wolałabym umrzeć.

— Nie zaufasz nikomu, nawet rodzonemu ojcu.

— Ale mój ojciec nie bierze udziału w tej potwornej intrydze, prawda? — zapytała składając ręce.

— Nie, a jednak winien był coś spostrzec, skoro na dom jego spadło tyle nieszczęścia. Wszystkie te zgony były nienaturalne, a on przecie jest wytrawnym kryminologiem. On też winien czuwać nad tobą, on w tej chwili winien być tutaj zamiast mnie; on powinien był wylać truciznę z tej szklanki; on powinien być już stanąć oko w oko z mordercą. Widmo oko w oko z widmem — dokończył cicho.

— Uczynię wszystko, żeby żyć, istnieją bowiem dwie istoty na świecie, które mnie kochają i umarłyby, gdybym ja umarła: dziadzio i Maksymilian.

— Będę czuwał nad nimi, tak jak czuwam nad tobą.

— A więc zgadzam się. I szepnęła:

— O Boże, Boże, cóż się ze mną stanie?

— Cokolwiek by się stało, nie trwóż się; nie lękaj się, jeśli zaczniesz cierpieć, oślepniesz, ogłuchniesz i stracisz czucie; jeśli zbudzisz się nie wiedząc, gdzie jesteś; nie lękaj się, choćbyś obudziła się w grobie, leżąc w trumnie; opanuj się wtedy i powiedz sobie: w tym momencie przyjaciel, ojciec, człowiek, który pragnie mojego szczęścia i szczęścia Maksymiliana, czuwa nade mną.

— O Boże, Boże, cóż za straszliwa ostateczność!

— Czy wolisz w takim razie oskarżyć macochę?

— Wolę umrzeć, niż to uczynić!

— Nie umrzesz i przyrzeknij mi, że cokolwiek by się stało, nie będziesz się skarżyć i nie stracisz nadziei.

— Będę myśleć o Maksymilianie.

— Jesteś, Walentyno, moją ukochaną córką. Ja jeden uratować cię mogę i uratuję cię.

Walentyzna, ogarnięta śmiertelnym strachem, złożyła ręce, czuła bowiem, że teraz trzeba prosić Boga o odwagę, i wyprostowawszy się jęła się modlić, szepcząc jakieś urywane słowa. Zapomniała, że włosy były jedyną osłoną dla jej białych ramion i że widać było, jak pod cieniutką koronką nocnego kaftanika bije jej serce. Hrabia oparł łagodnie rękę na ramieniu dziewczęcia, okrył Walentynę aksamitną kapą i rzekł uśmiechając się ojcowsko:

— Moja córko, wierz w moją przyjaźń tak, jak wierzysz w dobroć bożą i w miłość Maksymiliana.

Walentyzna spojrzała na niego z wdzięcznością i uspokoiła się całkiem.

Hrabia wyciągnął z kieszeni, kamizelki szmaragdowe pudrko, ptwarł złote wieczko, i wytrząsnął na dłoń Walentyzny zieloną pastylkę, nie większą od grochu.

Walentyzna wzięła pastylkę, w palce i popatrzyła uważnie na hrabiego.

W twarzy tego nieustraszonego opiekuna błysnął boski majestat i boska potęga.

Walentyzną pytała hrabiego wzrokiem.

— Tak — powiedział.

Walentyzna połknęła pastylkę.

— A teraz do widzenia, moje dziecię. Spróbuję się przespać, boś już ocalona. I — A ja przyrzekam, że nie będę się bała, cokolwiek by mi się zdarzyło! Monte Christo wpatrywał się w dziewczynę, która zasypiała z wolną pod

wpływem silnego narkotyku.

Następnie wylał trzy czwarte ze szklanki do kominka, aby myślano, że Walentyzna wypila trochę, i postawił szklankę na stoliku nocnym.

Po chwili znikł w drzwiach biblioteki, obrzuciwszy jeszcze spojrzeniem Walentynę, która zasypiała ufnie i słodko, niby anioł u stóp Pana.

27. WALENTYNA

Lampa nocna dopalała się na kominku — ostatnie krople oliwy pływały jeszcze po wodzie.

Czerwonawy krąg rysował się już na alabastrowym kloszu, płomień skwierczał jak gdyby w agonii, rzucając ostatnie blaski.

Wstawał szary, posępny ranek. Żółtawy refleks padł na białe kotary łóżka i pościel.

Na ulicy panowała głęboka cisza — w domu panowała cisza przerażająca.

Uchyliły się drzwi pokoju Edwardka — lustro naprzeciw drzwi odbiło znane nam lica.

Pani de Villefort zjawiała się, by zobaczyć, czy napój podziałał.

Zatrzymała się w progu, słuchając skwierczenia lampy — tylko je było słyhać w tym jakby pustym pokoju; po chwili jęła się skradać na palcach do stolika nocnego, by przekonać się, czy szklanka jest już pusta.

Powiedzieliśmy, że została w niej jedyna czwarta płynu.

Pani de Villefort wylała płyn zraszając nim popiół kominka, poruszyła popiół, by zatrzeć ślady, wycierała i wytarła starannie szklankę i umieściła ją znowu na stoliku nocnym.

Gdyby ktoś mógł zajrzeć do pokoju, zobaczyłby, jak pani de Villefort, utkwivszy niepewny wzrok w chorej, z wahaniem zbliżyła się do łóżka.

Posępne światło, cisza, straszliwa poezja nocy skojarzyły się na pewno z przerażającą poezją jej duszy: trucicielka złąła się swojego dzieła.

Ośmielona wreszcie, uchyliła kotary, wsparła się o wezglowie i spojrzała na Walentynę.

Walentyna już nie oddychała, z rozchylonych warg nie ulatywało choćby najlżejsze tchnienie.

Zbielałe usta były nieruchome.

Spod zamkniętych powiek przebijała jakby błękitnawa mgiełka, bielejąc ku środkowi, długie czarne rzęsy rysowały się ostrym konturem na policzkach matowych jak z wosku.

Pani de Villefort wpatrywała się w to lico, jakże w swojej martwocie wymowne.

Ośmieliwszy się jeszcze bardziej, podniosła kódrę i położyła dłoń na sercu dziewczęcia.

Było lodowate i nieme.

Pani de Villefort, ujawszy dłoń Walentyny, wyczuła jednak bicie tętna.

Zadrżała i cofnęła rękę.

Ramię Walentyny zwisało poza krawędź łóżka.

Ramię prześliczne, toczone, jak u którejś z Gracyj Germaina Pilon.

Paznokcie zsiniały tuż u nasady.

Pani de Villefort przekonała się wreszcie, że straszliwe jej dzieło zostało zakończone.

Trucicielka nie miała już nic do roboty w tym pokoju.

Jęła więc zawracać tak ostrożnie, jakby lękała się, by posadzka przykryta kobiercem nie zaskrzypiała pod jej stopami, przez chwilę jednak trzymała jeszcze uniesioną kotarę, sycąc się obrazem śmierci, przyciąga on bowiem z przemożną siłą nasze oko, póki cechuje go tylko tajemniczy bezruch i nie rozpocznie się rozkład, budzący obrzydzenie.

Minuty płynęły, pani de Villefort nie wypuszczała z rąk kotary, trzymając ją niby całun nad głową Walentyny.

Dumała.

Dumała o zbrodni, a więc nękały ją wyrzuty.

Lampka zaskwierczała mocniej.

Pani de Villefort zadrżała wtedy i wypuściła z dłoni kotarę.

W tymże momencie lampka zgasła i pokój pogrążył się w straszliwych ciemnościach.

W ciemności zbudził się zegar i wydzwonił pół do piątej.

Trucicielka, przerażona tymi trzema złowróżbnymi znakami, dotarła po omacku do drzwi i wróciła do siebie spotniała ze strachu dławiącego gardło.

Rozwidniło się dopiero po dwóch godzinach.

Szarawe światło przeniknęło do pokoju, sącząc się szparami w żaluzjach.

Przedmioty wystąpiły z mroku, nabrały kształtu i barwy.

Wtedy to na schodach rozległ się kaszel pielęgniarki. Weszła do pokoju Walentyny niosąc filiżankę. Ojciec czy kochanek dostrzegłby od razu, iż Walentyna nie żyje, ale dla pielęgniarki, osoby obcej, Walentyna tylko spała.

— Doskonale — mruknęła podchodząc do stolika nocnego — wypła trochę mikstury, prawie trzecią część.

Zapaliwszy ogień na kominku, usadowiła się w fotelu i choć przed chwilą wstała z łóżka, skorzystała ze snu Walentyny, by zdrzemnąć się jeszcze.

Obudził ją zegar, wydzwaniając ósmą.

Zdziwiła się wtedy twardym snem chorej. Przeraziło ją, że ramię zwisało wciąż poza krawędź łóżka. Podbiegła do łóżka: Walentyna była zimna.

Spróbowała ułożyć ramię — ale zeszywniało już ono w sposób, który nie mógł mylić pielęgniarki. — Krzyknęła wniebogłosy. Podbiegła do drzwi wołając:

— Ratunku! Na pomoc!

— Co się stało? — zapytał z dołu d'Avrigny.

W tej bowiem godzinie doktor zwykle przychodził.

— Co się stało? — zawołał Villefort wypadając z gabinetu. — Doktorze, czy ktoś nie wołał o pomoc?

— Tak, tak, biegnijmy na górę — odpowiedział — d'Avrigny. — To wołała pielęgniarka.

Ale nim ojciec i lekarz weszli do pokoju Walentyny, wpadła tutaj służba, a widząc panienkę martwą, ludzie ci wzniesli ręce do nieba i chwiali się przejęci grozą.

— Prosić jaśnie panią! Obudzić jaśnie panią! — krzyknął Villefort zatrzymawszy się w drzwiach.

Ale służący spojrzeli tylko na pana d'Avrigny. Doktor zaś podbiegł do Walentyny i uniół ją na wezgłowie.

— Jeszcze ona!... — szepnął układając ją na poduszkach. — O Boże, Boże, kiedyż przestaniesz ciskać pioruny?...

Villefort przyskoczył do niego.

— Co pan powiedziałeś? O Boże! — wykrzyknął wznosząc ręce. — Doktorze!... Doktorze!...

— Powiedziałem, że Walentyna umarła — odparł d'Avrigny uroczyście i z groźbą w głosie.

Panu de Villefort nogi odmówiły posłuszeństwa. Runął na łóżko.. Służba uciekła, lamentując i złorzecząc.

Słysząc było, jak uwija się po schodach i korytarzach, a potem z dziedzińca, doleciał jakiś zgiełk.

I to wszystko. Uciszyło się. Służba opuściła gremialnie przeklęty dom.

W tym momencie pani de Villefort, przytrzymując rozchylony peniuar, uniosła portierę.

Stała chwilę w progu, spoglądając pytająco, i jakby starała się wycisnąć kilka łez.

... Nagle wyciągnawszy ręce, uczyniła krok, a raczej poskoczyła w kierunku stolika.

W tej samej bowiem chwili doktor nachylił się ciekawie nad szklanką, którą pani de Villefort — była tego pewna — opróżniła w nocy.

W szklance był płyn — akurat tyle, ile wylała do kominka Trucicielka mniej by się przeraziła, gdyby wyrosło przed nią widmo Walentyny.

Płyn był dokładnie tego samego koloru.

I była to trucizna: pan d'Avrigny miał oko niezawodne — a przyglądał się właśnie owemu płynowi.

A więc Bóg uczynił cud, aby —choć morderca nie pominął żadnych środków ostrożności — po zbrodni pozostał ślad widomy, ślad będący oskarżeniem.

Gdy pani de Villefort stała nieruchomo niby posąg wyobrażający Grozę, gdy Villefort ukrywając twarz w pościeli nie widział nic, d'Avrigny podszedł do okna, by dokładniej przyjrzeć się płynowi. Po chwili umoczył palec i spuścił sobie kroplę na język.

— Aha! — mruknął. — To już nie brucyna. Przekonajmyż się, co to takiego Podbiegł do szafy, gdzie urządzono podręczną apteczkę, wydobyl ze srebrnej kasetki flakonik kwasu azotowego, wpuścił kilka kropel do szklanki z opalizującym płynem — i płyn nabrał od razu szkarłatu krwi.

— A! — zawołał d'Avrigny, wzburzony niby sędzią, który odkrył prawdę, i wesół niby uczoney, co rozwiązał problem.

Pani de Villefort odwróciła się.

W oczach jej błysnął płomień — i zgasł.
Chwiejąc się namacała drzwi i znikła.
Po chwili rozległ się głuchy łoskot — ktoś runął na podłogę.
Ale nikt nie zwrócił na to uwagi.
Pielęgniarka przyglądała się z zaciekawieniem analizie chemicznej.
Villefort był nadal półprzytomny.
I tylko pan d'Avrigny, śledząc wzrokiem panią de Villefort, zauważył, jak szybko wyszła.
Uniósł portierę, za którą był pokój Edwardka, a dalej apartament pani de Villefort. Prokuratorowa leżała jak martwa na posadzce.
— Niech się pani zajmie panią de Villefort — rzekł do pielęgniarki. — Pani de Villefort zrobiło się słabo.
— A co z panną Walentyną? — wybełkotała pielęgniarka.
— Panna Walentyna umarła, nie potrzebuje więc już niczyjej pomocy.
— Umarła, umarła!... — westchnął Villefort w paroksyzmie bóleści tym straszliwszej, że boleść taka dotknęła po raz pierwszy to kamienne serce.
— Umarła? — ozwał się ktoś nagle. — Kto powiedział, że Walentyna umarła?
Obaj panowie obejrzeni się. W drzwiach stał Morrel, blady, wstrząśnięty, groźny.
Oto co zaszło:
Morrel zjawił się u Noirtiera o zwykłej porze, wszedłszy bocznymi drzwiami.
Rzecz dziwna — drzwi były otwarte.
Nie zadzwonił więc.
Wszedł.
W przedpokoju czekał chwilę, żeby któryś ze służących wprowadził go do Noirtiera. Ale nikt nie zjawił się na wołanie.
Nikt.
Bo jak wiemy, służba uciekła z tego domu.
Tego dnia Morrel nie miał żadnych specjalnych powodów do niepokoju. Monte Christo obiecał mu, że Walentyna żyć będzie — i jak dotąd, wywiązywał się z obietnicy.
Co wieczór hrabia przynosił mu dobre nowiny, które z rana potwierdzał Noirtier.
A jednak zastanowiła go pustka panująca w tym domu.
Zawołał po raz wtóry, po raz trzeci...
Nikt nie odpowiedział.
Zdecydował się tedy pójść na górę.
Drzwi Noirtiera były otwarte — jak i wszystkie drzwi.
Starzec siedział na zwykłym miejscu, w fotelu.
W oczach Noirtiera, rozszerzonych, czaiło się przerażenie. Był przy tym dziwnie blady.
— Jak się łaskawy pan miewa? — zagadnął ze ściśniętym sercem Morrel.
— Dobrze — odpowiedział starzec oczyma. Ale widać było, że niepokój w nim wzrasta.
— Jest pan jakiś nieswój. Może czegoś panu trzeba? Czy mam zawołać kogoś ze służby?
— Tak.
Morrel szarpnął sznur dzwonka — ale choć szarpał zawzięcie, nikt nie nadszedł.
Spojrzał na Noirtiera. Lico jego, coraz bledsze, zdradzało wzrastający niepokój.
— O Boże! Boże! — wykrzyknął Morrel. — Czemuż nikt się nie zjawia? Czyżby znowu kto zachorował?
Oczy Noirtiera występowały niemal z orbit.
— Ale co panu jest? — dopytywał się Morrel. — Przerażasz pan mnie... Walentyna!... Walentyna!...
— Tak! Tak! — powiedziały oczy starca.
Maksymilian otworzył usta, by coś powiedzieć, ale nie zdołał wydobyć z siebie głosu.
Zachwiał się, przytrzymał się boazerii. Po czym wskazał ręką drzwi.

— Tak! Tak! — mówiły oczy starca.

Maksymilian pomknął schodami — oczy starca zdawały się wołać:

— Prędszej! Prędszej!

Przemknął przez kilka pokoi, opustoszałych jak i cały dom, i znalazł się w pokoju Walentyny.

Drzwi stały otworem.

Usłyszał najpierw szlochanie.

Ujrzał jakby przez mgłę czyjąś postać, odzianą czarno, ginącą wśród białych kotar. Postać klęczała przy łóżku.

Stanął przykuty trwogą, niewypowiedzianą trwogą.

Wtedy to usłyszał, jak ktoś rzekł: „Walentyna umarła” i jak ktoś drugi powtórzył niby echo:

— Umarła! Umarła!

28. MAKSYMILIAN

Villefort podniósł się niemal zawstydzony, że ktoś obcy stał się mimowolnym świadkiem jego boleści.

Strasliwa godność, jaką piastował od lat dwudziestu pięciu, uczyniła go nadczłowiekiem, a może podczłowiekiem.

Oprzytomniał i utkwiał wzrok w Morrelu.

— Kim pan jesteś? — zapytał. — Jak możesz wchodzić tak bezceremonialnie do domu żałoby? Wyjdź pan stąd! Wyjdź natychmiast!

Lecz Morrel nie ruszał się z miejsca.

Nie mógł oderwać oczu od tej strasznej sceny — od tego łóżka w nieładzie i od tej wybladłej twarzy spoczywającej na wezglowiu.

— Wyjdź pan! Słyszałeś?! — krzyknął znowu Villefort, a tymczasem d'Avri-gny postąpił już kilka kroków, by wyprowadzić Morrela.

Maksymilian ogarnął nieprzytomnym wzrokiem umarłą, obu panów, cały pokój, zawahał się jakby przez chwilę i otworzył usta.

Ale nie znajdując ani słowa odpowiedzi, chociaż tłum rozpaczliwych myśli kłębił mu się pod czaszką, zawrócił, chwyciwszy się za głowę w taki sposób, iż Villefort i d'Avrigny zapomnieli na moment o sytuacji i popatrzywszy za Morrelem wymienili spojrzenie, które mówiło:

— To jakiś wariat!

Nim jednak upłynęło pięć minut, schody zatrzęszczały, jakby ktoś niósł ogromny ciężar — to Morrel z nadludzkim wysiłkiem dźwigał fotel, a na nim Noirtiera.

Wszedłszy na pierwsze piętro, kapitan postawił fotel na podłodze i wtoczył go szybko do pokoju Walentyny.

Czynu tego dokonał dzięki sile, jakiej użyczyła mu desperacja.

Straszny był wyraz twarzy Noirtiera, gdy Morrel przysuwał fotel starca do łóżka Walentyny. W oku Noirtiera zogniskowała się cała jego inteligencja i wszystkie siły żywotne, nie znajdujące innego ujścia.

Toteż Villefort przeraził się: straszna była ta twarz, blada, o płomiennym spojrzeniu. Ilekroć miał do czynienia z ojcem, zachodziły jakieś fatalne wypadki.

— Patrz pan! Oto ich dzieło! — zawołał Morrel oparłszy jedną rękę o poręcz fotela, a drugą wskazując Walentynę. — Spójrz, mój ojcze, spójrz!

Villefort cofnął się o krok i popatrzył zdziwiony na młodzieńca nie znanego mu prawie, który nazywał Noirtiera swoim ojcem.

W tymże momencie cała dusza starca skupiła się jakby w jego oczach nabiegłych krwią.

Żyły na szyi nabrzmiały; twarz, policzki i skronie pokryła siność — podobnie jak u epileptyków.

Temu wybuchowi całego jestestwa towarzyszył krzyk.

Krzyk rozzierający, straszliwy w swojej niemocie.

D'Avrigny poskoczył ku Noirtierowi i dał mu do powąchania silny lek uspokajający.

— Proszę pana — zawołał Morrel chwytając rękę paralytyka — pytają, kim jestem i jakim prawem tu wszedłem. Och, powiedz im pan, powiedz!

I Morrel załkał.

Starzec dyszał ciężko. Myślałbyś, że jest bliski agonii.

Wreszcie łzy trysnęły mu z oczu — szczęśliwszy był od Morrela, który płakać nie mógł, a szlochał tylko.

Nie mogąc pochylić głowy, przymknął oczy.

— Powiedz pan — rzekł Morrel zdławionym głosem — powiedz, że byłem jej narzeczoną. Powiedz, że była moją narzeczoną, moim jedynym skarbem na ziemi. Powiedz pan im, że umarła do mnie należy!

I młodzieniec, niby tragiczne uosobienie złamanej siły, padł ciężko na kolana i kurczowo objął łóżko ramionami, wpijając w nie palce.

Był to ból tak przejmujący, iż d'Avrigny odwrócił się, aby ukryć wzruszenie, a Villefort o nic już nie pytając, powodowany owym magnetyzmem, który łączy zbolące serca, wyciągnął rękę do Maksymiliana.

Ale Morrel nic nie widział; chwycił lodowatą dłoń Walentyny, a że zapłakać nie był w stanie, gryzł jęcząc prześcieradło.

Przez jakiś czas było słycać w tym pokoju tylko łkanie, lamenty i modlitwy.

Ale głos jeden dominował nad tym wszystkim: chrapliwy oddech, który zdawał się drzeć płuca Noirtiera w kawały.

Wreszcie Villefort, najbardziej z tu obecnych opanowany, ozwał się:

— Kochałeś, jak pan powiadasz, Walentynę; byłeś jej narzeczoną. Nic nie wiedziałem o tej miłości, nie wiedziałem, że byliście po słowie, ale ja, jej ojciec, przebaczam panu; widzę bowiem, że boleść twoja jest ogromna i szczerą. A zresztą, nazbyt boleję, aby w sercu moim znalazło się miejsce dla gniewu.

Ale anioł, którego zamierzałeś pan poślubić, opuścił ziemię; nic mu już po ludzkim uwielbieniu: Walentyna wielbi w tym momencie Boga. Pożegnaj więc pan te smutne szczątki, które zostawiła wśród nas, dotknij po raz ostatni tej ręki, o którą się ubiegałeś, i rozstańcie się na zawsze. Walentyna potrzebuje już tylko księdza, który by pokropił jej zwłoki.

— Myli się pan — zawołał Morrel, przyklękając na jednym kolanie; serce młodzieńca przejął w tej chwili ból okrutniejszy niż poprzednio — mylisz się pan: Walentynie potrzebny nie tylko ksiądz. Kto zmarł taką śmiercią, temu potrzebny mściciel! Panie prokuratorze, niech pan pošle po księdza, a ja będę mścicielem!

— Co pan chce przez to powiedzieć? — wybełkotał Villefort, wystraszony tym nowym przyływym rozpaczy.

— To, że jest w panu dwóch ludzi: ojciec już się wyplakał, a teraz prokurator królewski niech przystąpi do obowiązków!

Oczy Noirtiera zabłyśły. Zbliżył się d'Avrigny.

— Panie prokuratorze — ciągnął Morrel, śledząc bacznie wyraz twarzy obecnych — wiem, co mówię, a pan wiesz doskonale, co powiem: Walentynę zamordowano.

Villefort spuścił głowę; d'Avrigny postąpił jeszcze jeden krok naprzód; oczy Noirtiera potwierdzały to, co rzekł Morrel.

— W naszych czasach — mówił Morrel — nikt nie ginie gwałtowną śmiercią — choćby nie był tak młody, piękny i uroczy jak Walentyna — aby w sprawie tej śmierci nie wszczęto dochodzenia. A więc, panie prokuratorze królewski — ciągnął coraz gwałtowniej — zapomnij pan o litości! Oświadczam, że popełniono tu morderstwo, szukaj pań mordercy!

I bezlitosnym okiem mierzył Villeforta. — a Villefort szukał rady w oczach d'Avrigny'ego i Noirtiera.

Lecz oni, zamiast przyjść mu z pomocą spojrzeli nań wzrokiem nieugiętym jak wzrok Morrela.

— Tak — mówiły oczy starca.

— Oczywiście — potwierdził d'Avrigny. — Myli się pan — odparł Villefort usiłując walczyć zarówno z wolą tych trzech ludzi, jak i z własnym wzruszeniem — w moim domu nikt nie popełnia zbrodni: Los na mnie się zawziął, Bóg mnie doświadcza: straszno, pomyśleć o tym. Ale nikt nikogo tutaj nie zamordował!

Oko Noirtiera płonęło, d'Avrigny otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Morrel wyciągnął rękę, nakazując milczenie.

— A ja powiadam panu, że tutaj mordują! — zawołał, a głos jego brzmiał straszliwą groźbą. — W ciągu czterech miesięcy zamordowano tutaj cztery osoby. Cztery dni temu spróbowano otruć Walentynę — ale ocalała dzięki środkom ostrożności, jakie przedsięwziął pan Noirtier! Podwojono więc dawkę albo zmieniono truciznę — i teraz mordercy się udało!

Wiesz pan o tym równie dobrze jak ja, gdyż doktor d'Avrigny ostrzegał pana jako lekarz i jako przyjaciel.

— Ależ pan bredzisz jak w malignie — przerwał mu Villefort, daremnie usiłując wydobyć się z matni.

— Skoro bredzę — zawołał Morrel — niechże mówi pan doktor. Wzywam pana! Niech pan go zapyta, czy pamięta słowa, jakie wypowiedział do pana tu, w ogrodzie, tego wieczoru, kiedy umarła pani de Saint-Meran? Obaj panowie, myśląc, że jesteście sami, omawialiście tę śmierć tragiczną: los, o którym pan wspominałeś, i Bóg, którego oskarżasz pan niesłusznie, mają w tym udział tylko jeden — stworzyli mordercę Walentyny!

Villefort i d'Avrigny spojrzeli po sobie.

— Tak, musisz pan to pamiętać — dodał Morrel. — Spodziewałeś się pan, że otacza cię tylko pustkowie i cisza, a tymczasem słowa te doleciały moich uszu.

Czemuż tego wieczora, widząc karygodną pobłażliwość, jaką pan de Villefort okazuje swojemu najbliższemu otoczeniu, nie doniosłem o wszystkim władzom! Nie przyłożyłbym w takim wypadku ręki do twojej śmierci, moja ukochana Walentyno! Ale teraz cię pomśczone! To czwarte morderstwo nie budzi wątpliwości — i jeśli rodzony ojciec cię zdradzi, ja, przysięgam ci to, będę ścigał zbrodniarza.

Ostatnie słowa uwięzły mu w gardle. Natura ulitowała się jakby nad tym silnym człowiekiem, którego mogłaby zabić własna żywotność: zaszlochał, zapłakał, z oczu trysnęły mu łzy, skulił się i padł na kolana u łóżka Walentyny.

Przyszła teraz kolej na doktora d'Avrigny.

— I ja też — oznajmił dobitnie — i ja też przyłączam się do żądania pana Morrel: sprawiedliwości musi stać się zadość. Wrę z oburzenia na samego siebie: moja tchórzliwa pobłażliwość rozzuchwaliła mordercę!

— O Boże! Boże! — szepnął Villefort zdruzgotany.

Morrel uniósł głowę i czytając w oczach starca tryskających nadnaturalnym płomieniem, rzekł:

— Pan Noirtier chce mówić.

— Tak — potwierdził Noirtier, a oko jego błyszczało tym groźniej, że biedny paralytyk skupił w owym spojrzeniu wszystkie swoje siły.

— Czy wiesz pan, kto jest mordercą? — zapytał Morrel.

— Tak.

— I pomożesz nam pan? — zawołał. — Słuchajmy, panie doktorze, słuchajmy!

Noirtier przesłał nieszczęsnemu młodzieńcowi spojrzenie, w którym czał się melancholijny uśmiech — ów uśmiech łagodny, który tak zawsze radował Walentynę. Morrel jął nań spoglądać ze szczególną bacznością.

Starzec, utkwivszy wzrok w oczach Maksymiliana, spojrzął po chwili na drzwi.

— Czy pragniesz pan, abym wyszedł? — zawołał boleśnie Morrel.

— Tak.

— Niestety, Niestety! Nie masz pan litości nade mną! Nieugięty starzec spoglądał wciąż na drzwi.

— A czy będę mógł powrócić?

— Tak.

— Czy mam wyjść sam?

— Nie.

— Czy mam wyjść razem z panem prokuratorem?

— Nie.

— Z doktorem?

— Tak.

— Chcesz pan pozostać sam z panem de Villefort.

— Tak.

— Ale czyż on zdoła pana zrozumieć?

— Tak.

— O — rzekł Villefort, ucieszony niemal, że rozmowa odbędzie się w cztery oczy — bądź pan spokojny, porozumiewam się z ojcem doskonale.

Ale choć rzekł to, jak powiedzieliśmy, niemal wesoło, dzwonił zębami.

D'Avrigny wziął Morrela pod rękę i zaciągnął do przyległego pokoju.

W domu zapanowała cisza śmiertelna.

Wreszcie po kwadransie rozległy się chwiejne kroki. W drzwiach salonu, gdzie czekał d'Avrigny z Morrelem — jeden zadumany, a drugi szlochając — ukazał się Villefort.

— Chodźcie, panowie — rzekł. I zaprowadził ich do Noirtiera. Morrel spojrzał bacznie na Villeforta.

Prokurator był sinoblady; na czoło wystąpiły mu czerwone plamy. Miętosił w palcach pióro, dął je w strzępy.

— Czy panowie — ozwał się głosem więznącym w gardle — dacie mi słowo honoru, że ta straszliwa tajemnica pozostanie między nami? Morrel i d'Avrigny kiwnęli głowami.

— Zaklinam panów!... — ciągnął Villefort.

— Ale — przerwał Morrel — gdzież morderca?...

— Niech się pan uspokoi. Sprawiedliwości stanie się zadość — odparł Villefort. — Ojciec wyjawiał mi nazwisko winowajcy. Ale choć łaknie zemsty tak samo jak i wy, zaklina was, abyście dochowali tajemnicy. Nieprawdaż, ojcze?

— Tak.

Morrel drgnął, przejęty grozą i niedowierzaniem.

— O — zawołał Villefort chwytając Maksymiliana za ramię — jeśli mój ojciec, człowiek nieugięty, znasz go pan przecie, prosi o to, snadź wie, że Walentyna będzie srogo pomszczona. Nieprawdaż ojcze?

— Tak. Villefort dodał:

— Zna mnie. Przysięgłem mu to na honor.

Uspokójcie się więc, panowie; za trzy dni — proszę was o trzy dni, a to mniej, niż domagałaby się sprawiedliwość — za trzy dni pomśczone śmierć mojej córki tak okrutnie, że zadrzy serce najtwardszego z ludzi. Nieprawdaż, ojcze?

Mówiąc to potrząsała sparaliżowaną ręką starca i zgrzytał zębami.

— A czy dotrzyma pan tej obietnicy, panie Noirtier? — zagadnął Morrel, a d'Avrigny spojrzał badawczo na starca.

— Tak — i w oku Noirtiera rozbliły się posępna radość.

— Przysięgnijcie więc, panowie — rzekł Villefort, łącząc ręce d'Avrigny'e-go i Morrela — przysięgnijcie, że litując się nad honorem mojego domu, pozostawicie zemstę mnie...

D'Avrigny odwrócił się i bąknął coś, co miało oznaczać zgodę; lecz Morrel wyrwał rękę z rąk Villeforta, przyskoczył do łóżka, ucałował lodowate usta Walentyny i uciekł jęcząc z rozpacz.

Jak się rzekło, służba opuściła ten dom.

Pan de Villefort musiał więc poprosić pana d'Avrigny, by załatwić mnóstwo delikatnych spraw związanych w wielkim mieście z czyjąś śmiercią — spraw tym trudniejszych do załatwienia, że owej śmierci towarzyszyły tajemnicze okoliczności.

Noirtier budził głębokie współczucie — starzec desperowai nie mogąc się poruszyć i wydać głosu; ronił tylko ciche łzy.

Villefort wrócił do gabinetu. D'Avrigny poszedł do merostwa po lekarza urzędowego, zwanego przez lud lekarzem umarłych.

Noirtier nie chciał rozstać się z wnuczką.

D'Avrigny wrócił w pół godziny, przyprowadziwszy kolegę.

Zamknięto bramę — a że odźwierny uciekł również, musiał otworzyć Villefort.

Ale pozostał na schodach, nie mając odwagi wejść do pokoju zmarłej.

Obaj lekarze weszli więc sami do Walentyny.

Starzec siedział przy łóżku — blady, nieruchomy i milczący jak Walentyna.

Lekarz umarłych podszedł obojętnie, pół życia bowiem miał do czynienia z trupami, podniósł prześcieradło okrywające Walentynę i rozchylił jej wargi.

— Nie żyje biedactwo — westchnął d'Avrigny.

— Tak — odparł sucho lekarz miejski i opuścił prześcieradło na twarz zmarłej.

Z piersi Noirtiera wydobyło się głuche rżęzenie.

D'Avrigny obejrzał się — oczy starca błyszczwały.

Zacny doktor odgadł, że Noirtier pragnie patrzeć na ukochaną wnuczkę.

Podszedł do łóżka i gdy lekarz umarłych pukał palce w chlorowanej wodzie, odkrył spokojną i bladą twarz — twarz uśpionego anioła.

W oku Noirtiera zaszklila się łza.

Lekarz umarłych spisał pośpiesznie protokół i dopełniwszy tej ostatniej formalności, wyszedł. Odprowadził go d'Avrigny.

Villefort, usłyszawszy, jak schodzą, stanął w drzwiach gabinetu.

Podziękował krótko lekarzowi miejskiemu i zwracając się do d'Avrigny'ego:

— A teraz trzeba wezwać księdza, tak?

— Czy chciałbyś pan, aby któryś z pańskich znajomych księży modlił się przy Walentynie? — zapytał d'Avrigny.

— Nie. Wezwijcie, panowie, księdza, który mieszka najbliżej..

— Najbliżej, bo w pańskim sąsiedztwie — odparł lekarz miejski — mieszka jakiś poczciwy ksiądz włoski. Mam wstąpić do niego?

— Drogi doktorze — zwrócił się Villefort do d'Avrigny'ego — wstąp z panem, jeśli łaska. Dam panu klucz, żebyś nie był niczym skrępowany. Przyrowadź pan księdza, niech czuwa przy moim biedactwie.

— Chciałby z nim drogi pan pomówić?

— Chcę być sam. Wybaczycie mi to, prawda? Ksiądz winien rozumieć każdą boleść, nawet boleść ojcowską.

I pan de Villefort dał klucz panu d'Avrigny, skłonił się lekarzowi miejskiemu, zamknął się w gabinecie i zabrał się do pracy.

Praca jest u pewnych natur lekarstwem na każdą boleść.

Gdy wyszli na ulicę, ksiądz stał akurat w drzwiach sąsiedniego domu.

— To właśnie ten ksiądz, o którym panom mówiłem — ozwał się lekarz miejski.

D'Avrigny podszedł do księdza.

— Czy ksiądz — zapytał — nie raczyłby wyświadczyć ogromnej przysługi nieszczęśliwemu ojcu, który właśnie stracił córkę? Mówię o panu de Villefort, prokuratorze królewskim.

— Tak, tak, wiem, proszę pana — odparł ksiądz z wyraźnym akcentem włoskim — śmierć nawiedza wciąż jego dom.

— A więc nie potrzebuję księdzu objaśniać, o jaką chodzi przysługę.

— Miałem właśnie tam iść i sam się zaofiarować, proszę pana. To moje posłannictwo, obowiązek.

— Umarła córka pana prokuratora.

— Wiem i to. Poinformowali mnie słudzy uciekając z tego domu. Na imię jej było Walentyna, pomodliłem się już za nią.

— Dziękuję księdzu dobrodziejowi. A skoro przystąpił ksiądz do swoich świętych obowiązków, niechże ksiądz teraz usiądzie przy zmarłej, a cała rodzina, pogrążona w żałobie, będzie księdzu niewymownie wdzięczna.

— Już tam idę, proszę pana. I śmiem powiedzieć, że będę modlił się najgoręcej.

D'Avrigny wziął księdza pod rękę i zaprowadził (Villefort nie wyjrzał z gabinetu) do pokoju Walentyny. Żałobnicy mieli przyjść dopiero nazajutrz, pod wieczór.

Gdy ksiądz wszedł do pokoju, Noirtier spojrzął nań bacznie i snadź wyczytał w oczach księdza coś szczególnego, gdyż od tej chwili nie spuszczał zeń wzroku.

D'Avrigny polecił opiece kapłana nie tylko zmarłą, lecz i starca, a ksiądz obiecał, że modląc się za Walentynę będzie opiekował się paralitykiem.

Obiecał solennie — aby zaś nie przeszkadzano mu w modłach i aby nic. macono Noirtierowi bolesnej kontemplacji, zarygłował drzwi nie tylko za d'Avrigny'm, lecz i drzwi wiodące do apartamentów pani de Villefort.

29. PODPIS PANA DANGLARSA

Ranek wstał pochmurny i smutny. Żałobnicy spełnili nocą swój smutny obowiązek, owinąwszy Walentynę w całun. Całun, to ostatnie nasze odzienie na tej ziemi, świadczy jeszcze o zbytku, który miłowaliśmy za życia, chociaż, zdaniem ogółu, wszyscy są sobie równi wobec śmierci.

Walentynę spowito w sztukę przepysznego batystu, który kupiła przed dwoma tygodniami.

Wieczorem ludzie najęci w tym celu, przenieśli pana Noirtier do jego pokoju — a starzec, wbrew spodziewaniam, pozwolił, aby zabrano go od ciała wnuczki.

Ksiądz Busoni czuwał od świtu, a potem wyszedł nie zawiadomiwszy nikogo.

D'Avrigny pojawił się około ósmej rano.

Spotkał Villeforta, który właśnie szedł do ojca. Udali się więc razem, gdyż doktor pragnął dowiedzieć się, jak starzec spędził noc.

Noirtier spał smacznie, uśmiechając się niemal, w ogromnym fotelu, który służył mu za łóżko.

Stanęli w progu zdziwieni.

— Oto — ozwał się doktor — jak natura koi najserdeczniejszą boleść. Nikt nie zaprzeczy, że pan Noirtier kochał wnuczkę, a jednak śpi.

— Ma pan rację — odpowiedział Villefort zaskoczony — śpi, to nader osobliwe. Najdrobniejsza przykrość spędzała mu zawsze sen z powiek.

— Boleść go zmgła.

I obaj wrócili zamyśleni do gabinetu.

— A ja nie spałem — ozwał się Villefort, pokazując d'Avrigny'emu nie tknięte łożo — boleść nie zmgła mnie, dwie noce się nie kładłem! Ale spójrz pan na moje biurko. Ileż ja napisałem przez te dwie doby!... Przejrzałem akta i opatrzyłem uwagami akt oskarżenia, wymierzony przeciwko temu zbrodniarzowi, Benedettowi!... O pracy, pracy! Tyś moją namiętnością i radością, dzięki tobie zdławię wszelką boleść.

I ścisnął kurczowo rękę doktora.

— Potrzebuje mnie pan? — zapytał d'Avrigny.

— Nie, prosilibym tylko, żebyś pan przyszedł o jedenastej; bo w południe wyrusza... kondukt... O Boże! Moje biedne dziecko, biedne dziecko!...

I prokurator królewski stał się nagle człowiekiem: wznosił oczy do nieba i westchnął.

— Gzy będzie pan w paradnym salonie? — zapytał doktor.

— Nie. Kuzyn wyreńczy mnie w tych smutnych obowiązkach. A ja, doktorze będę pracował, bo kiedy pracuję, zapominam o wszystkim.

I Villefort, nie czekając, aż za doktorem zamkną się drzwi, pograżył się w aktach.

Na ganku d'Avrigny minął się z owym krewniakiem. Osobistość ta, bez znaczenia w naszej opowieści, jak również i w rodzinie Villefortów, liczyła się do ludzi oddanych i użytecznych — innej misji życiowej nie mając.

Krewniak stawiał się punktualnie, odziany czarno, z krepową opaską na ramieniu. Minę miał żalobną — ale przybrał ją tylko na czas żalobnej uroczystości.

O jedenastej karawan zaturkotał na dziedzińcu, a na Przedmieściu Świętego Honoriusza pojawił się sznur żalobnych karet. Ulicę wypełnił tłum ciekawy zarówno wielkopańskich zabaw, jak i pogrzebów, tłum hałaśliwy, który podąża tak samo za wspaniałym konduktem, jak i za orszakiem ślubnym księżniczki.

Salon żalobny zapełniał się z wolna. Przybyli nasi starzy znajomi: Debray, Château-Renaud i Beauchamp. Przybyły sławy sądownictwa, literatury i armii — gdyż pan de Villefort należał do najpierwszych osobistości paryskiego świata, nie tyle dzięki pozycji towarzyskiej, ile dzięki osobistym zaletom.

Kuzyn stał w progu i witał wszystkich. Sprawiało to wielką ulgę obojętnym — widząc obojętną twarz, nie silili się na fałszywe łyzy i kondolencje, które musieliby składać ojcu, bratu czy narzeczonemu.

Znajomi przyzywali się wzrokiem i tworzyli grupy.

Jedna z nich składała się z Beauchampa, Château-Renauda i Debraya.

— Biedna dziewczyna! — ozwał się Debray, użalając się, jak i większość, z obowiązku. — Taka bogata i piękna! Czyżbyś pomyślał, baronie, kiedy widzieliśmy ją po raz ostatni... kiedyż to było? Ze trzy tygodnie albo miesiąc temu, w czasie podpisywania tego kontraktu, który nie został podpisany...

— Daję słowo, że anibyśmy się spodziewali — odrzekł Château-Renauda.

— Znałeś ją dobrze?

— Rozmawiałem z nią ze dwa razy na balu u pani de Morcerf. Wydała mi się urocza, choć nieco melancholijna. A gdzie jej macocha, nie wiecie?

— Zamknęła się z małżonką tego godnego pana, który nas powitał.

— A cóż to za jeden?

— Niby kto?

— No, ten jegomość, który nas przyjął. Deputowany?

— Nie — ozwał się Beauchamp — znam ich wszystkich, ale jego nigdy nie widziałem.

— Napisałeś o jej śmierci w swojej gazecie?

— Tak, ale to nie mój artykuł. I wątpię, czy zachwyci pana de Villefort. Napisano, zdaje się, że gdyby w innym domu zmarły kolejno cztery osoby, pan prokurator królewski na pewno gorliwiej by się tym zajął.

— Doktor d'Avrigny, lekarz mojej matki — powiedział Château-Renaud — rozpowiada, że pan de Villefort bardzo desperuje.

— Ale kogóż to wypatrujesz, Lucjanie?

— Hrabiego de Monte Christo — odrzekł Debray.

— Jadąc tutaj spotkałem go na bulwarze — odpowiedział Beauchamp. — Zdaje się, że hrabia nas opuszcza, bo jechał do swojego bankiera.

— A czy ten bankier to nie Danglars? — spytał Château-Renauda Debraya.

— Chyba tak — odpowiedział sekretarz lekko zmieszany. — Ale nie tylko pana de Monte Christo brak tutaj. Nie widzę i Morrela.

— A czy Morrel to znajomy Villefortów? — rzekł Château-Renauda. — Zdaje mi się, że przedstawiono go tylko prokuratorowej.

— To nic nie szkodzi. Powinien był przyjść — ozwał się Debray. O czymż będzie gadał wieczorem? Ten pogrzeb to wydarzenie dnia! Ale cicho, przyszedł pan minister sprawiedliwości i wyznań religijnych. Będzie sobie poczytywał za obowiązek wygłosić krótki speech do płaskiego kuzyna.

I trzej panowie skierowali się ku drzwiom, aby wysłuchać krótkiego speechu pana ministra sprawiedliwości i wyznań religijnych.

Beauchamp nie mylił się.

Hrabia de Monte Christo pojechał rzeczywiście do Danglarsa. Bankier zobaczył karetę wjeżdżającą na dziedziniec. Wybiegł więc na spotkanie zasmucony, ale uprzejmy.

— Wiem, że hrabia przyjechał, żeby mi złożyć kondolencje — powiedział ściskając dłoń gościa. — Bo i to prawda, że nieszczęście spadło na mój dom. Kiedym zobaczył pana, zastanawiałem się akurat, czy nie życzyłem źle tym biednym Morcerfom, bo wtedy sprawdziłoby się przysłowie: „Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada”. Ale na honor, nie życzyłem Morcerfom nic złego; Morcerf może zanadto się dął, jak na człowieka, który jak ja zaczął od niczego i wszystko zawdzięczał samemu sobie; ale każdy ma swoje wady. No bo, widzi hrabia, ludzie z naszego pokolenia... ach, przepraszam, przecież pan jesteś jeszcze młody... Owóż ludziom naszego pokolenia nie szczęści się tego roku. Na przykład nasz purytanin, Villefort, stracił właśnie córkę. Zsumujmy. Villefort ponosi w dziwnych okolicznościach trzecią stratę rodzinną; Morcerf zhańbiony palnął sobie w łeb, a mnie ośmieszył ten łajdak Benedetto... Następnie...

— Cóż następnie?

— Okropności! To pan nie wiesz?

— Czyżby jakieś nowe nieszczęście?

— Moja córka...

— Panna Eugenia?

— Tak. Opuszcza nas.

— O Boże, a cóż się stało?

— Doprawdy, jakież hrabia szczęśliwy, że nie ma żony ani dzieci!

— Tak pan sądzi?

— Dalibóg.

— Ale zaczął pan mówić o panie Eugonii...

— Nie mogła znieść kompromitacji, jaką okrył ją ten nędznik, i poprosiła, żebym pozwolił jej wyjechać.

— I wyjechała?

— Wczorajszej nocy.

— Z panią baronową?

— Nie. Z kuzynką... Ale i tak tracimy to kochane dziecię, znam bowiem charakter Eugonii, wątpię tedy, czy kiedykolwiek córka moja wróci do Francji.

— Cóż robić, drogi baronie... Kłopoty rodzinne. Zabiłyby one biedaka, którego skarbem jedynym jest syn czy córka, ale milioner zawsze sobie jakoś poradzi. Niech tam filozofowie mówią, co chcą, ale człowiek praktyczny wie doskonale, że pieniądz pociesza w niejednym wypadku. Toteż i pan, jeśli uznasz skuteczność

owego znakomitego balsamu, pocieszysz się wprędce: pan król finansów, który trzęsie Francją.

Danglars spojrział spod oka, aby przekonać się, czy Monte Christo żartuje, czy mówi serio.

— Ta — powiedział — jeśli tortuna pociesza, chyba już nic mi nie brak. Jestem bogaty.

— Taki bogaty, że pańska fortuna, drogi baronie, przypomina piramidy egipskie: gdyby ktoś chciał je zburzyć, nie ośmieli się, a gdyby się ośmielił — nie zdoła.

Danglars uśmiechnął się, połączony tą dobroną uwagą, świadczącą o zaufaniu hrabiego.

— Przypomniało mi się właśnie — powiedział — że kiedyś pan wszedł, wypisywałem pięć rewersików. Podpisałem już dwa, a, jeśli pan pozwoli, wypełnię jeszcze trzy.

— Ależ proszę bardzo, drogi baronie, proszę bardzo.

Nastąpiła cisza, skrzypiało pióro barona, a Monte Christo przyglądał się złoceniom sufitu.

— Hiszpania, Haiti czy Neapol? — zapytał.

— Nie — tu Danglars roześmiał się swoim śmiechem zarozumiałca — bony na okaziciela, płatne w Banku Francuskim. Jeśli hrabia jest cesarzem finansów, to ja jestem ich królem. Czy widział pan wiele takich świstków, z których każdy wart milion?

Monte Christo zważył jakby na dłoni pięć kartek, które z dumą podał mu Danglars, i przeczytał:

Pan dyrektor Banku Francuskiego zechce wypłacić z mojego rachunku milion. Baron Danglars

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć — liczył Monte Christo. — Do licha, krezus z pana, mój baronie!

— Mam głowę do interesów, co?

— Wspaniała. Bo nie wątpię, że te miliony płatne są w gotowiznie.

— Naturalnie.

— Przyjemnie mieć taki kredyt. I, doprawdy, jedynie we Francji można zobaczyć coś podobnego: pięć świstków wartości pięciu milionów. Trzeba samemu zobaczyć, żeby uwierzyć.

— Wątpisz pan?

— Ależ skąd.

— Powiedziałeś pan to jakoś dziwnie... Wie pan co, pojedź z moim komisantem do banku, a będziesz świadkiem, jak zamienią mu tam moje bony na bony skarbowe. Sprawi to panu przyjemność.

— Nie — odpowiedział Monte Christo składając papierki. — To nazbyt ciekawe, sam zrobię to doświadczenie. Mam u pana sześć milionów kredytu, wzięłem dziewięćset tysięcy franków, zostaje więc pięć milionów i sto tysięcy. Biorę pięć świstków, które pański podpis czyni bonami, daję panu kwit na sześć milionów i rachunek nasz wyrównany. Kwit mam przy sobie, bo miałem właśnie powiedzieć, że trzeba mi dziś pieniędzy.

I Monte Christo jedną ręką wsunął papiery do kieszeni, a drugą podał kwit bankierowi.

W Danglarsa jakby grom uderzył.

— To pan hrabia — wybełkotał — zabiera te pieniądze? Najmocniej przepraszam, ale to suma, którą winien jestem ochronkom i przytułkom, depozyt, mam go oddać dziś jeszcze.

— A, to co innego. Nie zależy mi na tych papierkach, wypłacisz mi pan w innych walorach. Wziąłem je przez ciekawość i dlatego, by ogłosić światu, że bank Danglarsa wypłacił mi w sekundę, bez uprzedzenia, pięć milionów gotowizną! Byłaby to rzecz godna uwagi! Ale weź pan z powrotem swoje bony, proszę o inne;

I podał Danglarsowi pięć rewersów. Danglars zsiniał, wyciągnął rękę ruchem sępa, który poprzez pręty klatki chce przyciągnąć kawałek mięsa.

Lecz nagle rozmyślił się, z wysiłkiem zapanowawszy nad sobą.

Uśmiech rozjaśnił powoli tę twarz, na której przed chwilą malował się niepokój.

— Przecież — ozwał się — pański kwit to pieniądz.

— Ależ tak. Gdybyś pan był w Rzymie, Thomson i French wypłaciliby panu gotówkę bez mrugnięcia okiem.

— O, niechże mi pan hrabia wybaczy!

— A więc mogę zatrzymać te pieniądze?

— Oczywiście! — i Danglars otarł pot z czoła. — Niech pan będzie łaskaw je zatrzymać.

Monte Christo wsunął pięć bonów do kieszeni, ale spojrzał na Danglarsa tak, jakby mówił: „Zastanów się pan, do diabła! Za chwilę będziesz żałował!”

— Tak, tak — mówił Danglars — niech pan koniecznie zatrzyma moje bony. Ale, jak panu wiadomo, finansiści są ogromnie skrupulatni. Przeznaczyłem te pieniądze dla przytułków i wydawałoby mi się, że je okradam nie dając im tej właśnie sumy; jakby talar nie wart był talara. Przepraszam raz jeszcze!

I wybuchnął głośnym śmiechem — lecz był to śmiech nerwowy.

— Nie mam do pana najmniejszej pretensji — odrzekł uprzejmie Monte Christo — toteż bony zabieram.

I włożył je do pugilaresu.

— Ale — ozwał się Danglars — pozostało jeszcze sto tysięcy franków.

— E, to bagatelka. Tyle właśnie powinno wynosić agio. Niech pan je zatrzyma i jesteśmy skwitowani.

— Czy hrabia mówi serio?

— Nigdy z bankierami nie żartuję.

I Monte Christo podążył ku drzwiom, w momencie gdy lokaj oznajmił:

— Pan de Boville, generalny skarbnik Towarzystwa Dobroczyńności.

— Do licha — rzekł Monte Christo — zdaje się, że zgłosiłem się w porę: ludzie wrywają sobie pańskie bony.

Danglars zbłądł po raz wtóry i czym prędzej pożegnał się z hrabią.

Hrabia de Monte Christo i pan de Boville wymienili ceremonialne ukłony w salonie służącym za poczekalnię. Gdy hrabia wyszedł, pana de Boville wprowadzono natychmiast do gabinetu bankiera.

Hrabia uśmiechnął się radośnie, ujrawszy tekę pod pachą generalnego skarbnika.

Wsiadł do karety i pojechał prosto do banku.

A tymczasem Danglars tłumiąc niepokój szedł na spotkanie pana de Boville.

Na wargach miał — jak zwykle — uśmiech uprzejmy i zdawkowy.

— Witam, witam — ozwał się — kochanego wierzyciela, bo założyłbym się, że to wierzyciel przychodzi.

— Zgadł pan baron. Ochronki przyszły do pana w mojej osobie. Wdowy i sieroty proszą w moim imieniu o pięć milionów jałmużny.

— I lituj się tu nad sierotami! — zażartował z kolei Danglars. — Biedactwa!

— Przyszedłem w ich imieniu. Dostałeś pan wczoraj mój list?

— Tak.

— A dziś przyniosłem pokwitowanie.

— Kochany panie, wdowy i sierotki zechcą zaczekać, jeśli pan łaskaw, do jutra, gdyż hrabia de Monte Christo, którego pan widziałeś, jak wychodził ode mnie... widziałeś go pan, prawda?

— Widziałem. I cóż z tego?

— Hrabia zabrał mi pięć milionów.

— Jakim cudem?

— Hrabia ma u mnie kredyt nieograniczony, otwarty przez bank Thomsona i Frencha w Rzymie. Poprosił mnie o pięć milionów, dałem mu przekaz do Banku Francuskiego, bo tam ulokowałem swój kapitał. Rozumiesz pan, że nie mam ochoty wybierać dziesięciu milionów jednego i tego samego dnia. Zdziwiłoby to dyrekcję. Ale jutro — tu Danglars uśmiechnął się — to rzecz inna.

— Nie żartuj pan! — zawołał Boville nie wierząc wcale. — Ten jegomość, który wychodził stąd przed chwilą, zabrał od razu pięć milionów? Ukłonił mi się jak dobremu znajomemu.

— Może zna pana, choć pan go nie znasz. Hrabia de Monte Christo zna wszystkich na świecie.

— I wziął pięć milionów?

— Oto jego kwit. Dotknijże, dotknij, niewierny Tomasz! Pan de Boville wziął papier i przeczytał:

Otrzymałem od Pana barona Danglars pięć milionów sto tysięcy franków, które na każde żądanie wypłaci mu bank Thomsona i Frencha w Rzymie.

— Do diabła! To prawda — zawołał Boville.

— Słyszałeś pan o banku Thomsona i Frencha?

— Tak, zrobiłem nawet kiedyś z nimi interes na dwieście tysięcy franków, ale potem nie miałem już z nimi do czynienia.

— To jedna z najsolidniejszych firm w Europie — powiedział Danglars rzucając niedbale na biurko kwit, który oddał mu pan de Boville.

— I u pana jednego miał pięć milionów? Ależ to jakiś nabab ten pan de Monte Christo!

— Nie wiem właściwie, co to za jeden, ale ma kredyt nieograniczony w trzech bankach: u mnie, u Rotszylda i u Laffitte'a — dodał od niechcenia Danglars — jednak darzy mnie specjalnymi względami, skoro zostawił mi sto tysięcy agia.

Pan de Boville nie mógł się nadziwić.

— Muszę mu złożyć wizytę — powiedział — może uzyskam od niego jaką nabożną fundację.

— No to tak, jakbyś pan ją miał już w kieszeni; hrabia rozdziela co miesiąc przeszło dwadzieścia tysięcy franków jałmużny.

— Wspaniale! A zresztą podam mu za przykład panią de Morcerf i jej syna.

— A cóż to może być za przykład?

— Oddali biednym całą swoją fortunę.

— Jakaż to znowu fortuna?

— Po nieboszczyku hrabi, a także ich własna.

— I cóż ich do tego skłoniło?

— Nie chcieli mieć majątku, nabytego w sposób tak haniebny.

— Iz czego będą żyli?

— Matka wyjeżdża na prowincję, a syn wstępuje do wojska.

— No, no, to ci skrupuły!

— Wczoraj zarejestrowałem akt darowizny.

— Ileż oni mieli?

— Nic tak wicie. Z milion trzysta tysięcy. Ale wróćmy do naszych milionów.

— Chętnie — odpowiedział Danglars najnaturalniejszym tonem. — Bardzo panu spieszo do tych pieniędzy, tak?

— Tak, jutro rewizja kasy.

— Jutro! Czemuż pan nie mówił od razu? Do jutra mamy masę czasu. A o której?

— O drugiej.

— To przyślij pan w południe — rzekł Danglars z uśmiechem. Boville nie był nazbyt wymowny.

Kiwnął głową i teczką na znak zgody.

— Zaczekaj pan —. ozwał się Danglars — poradzę panu coś lepszego.

— Cóż takiego?

— Pokwitowanie hrabiego de Monte Christo jest tyle warte co pieniądze. Bierz pan ten kwit, wstąp do Rotszylda albo do Laffitte'a, a wezmą go z zamkniętymi oczami.

— Choć płatny w Rzymie?

— No to co z tego? Zapłacisz pan najwyżej pięć do sześciu tysięcy eskonta. Skarbnik cofnął się gwałtownie.

— O nie! To już wolę poczekać do jutra. To tylko panu wydaje się takie łatwe.

— Zdawało mi się — rzekł Danglars najbezcelniej pod słońcem — wybac mi pan szczerłość, zdawało mi się, że masz jakiś deficycik do wyrównania.

— Ach — obruszył się Boville.

— No, przecież to się zdarza, a w takim wypadku trzeba ponieść stratę.

— Nie zdarzyło mi się to, Bogu dzięki.

— A więc zobaczymy się jutro, czy tak, drogi panie?

— Tak. Ale nie zrobisz mi pan zawodu?

— Chyba pan żartujesz. Przyślij pan kogoś o dwunastej, a ja uprzedzę bank. — Przyjdę sam.

— Tym lepiej, bo będę miał przyjemność ujrzeć pana. Uścisnęli sobie dłonie.

— Nie wybierasz się pan na pogrzeb tej biednej panny de Villefort? — zapytał jeszcze Boville. Widziałem, jak kondukt przeciągał bulwarem.

— Nie. Ośmieszyła mnie trochę ta historia z Benedetem. Nie pokazuję się nigdzie.

— Przesada! Cóż pan tu zawiniłeś?

— Widzi pan, drogi przyjacielu, człowiek o tak nieskazitelnym nazwisku, jak moje, jest bardzo drażliwy.

— Wszyscy użalają się nad panem, możesz mi pan wierzyć, a zwłaszcza nad pańską córką.

— Biedna Genia — powiedział Danglars wzdychając rzewnie. — Słyszałeś już pan, że wstępuje do klasztoru?

— Pierwsze słyszę!

— Niestety, to aż nazbyt smutna prawda. Nazajutrz po tym wypadku zdecydowała się wyjechać ze swoją przyjaciółką, zakonnicą. Szuka klasztoru o bardzo surowej regule, gdzieś w Hiszpanii albo we Włoszech.

— O, to straszne!

Po tych słowach pan de Boville odszedł, złożyłwszy zbolełemu ojcu serdeczne wyrazy współczucia. Ledwie drzwi się za nim zamknęły, Danglars zerwał się z energią i zawołał:

— Dureń!!!

Wsunął kwit od Monte Christa do pugilaresiku mówiąc:

— Przychodź sobie w południe, a ja już będę daleko.

Zamknął drzwi na dwa spusty, opróżnił doszczętnie kasę — a było tam około pięćdziesięciu tysięcy franków w banknotach — spalił różne papiery, inne pozostawił na widocznym miejscu, napisał list, zapieczętował, a na kopercie wykaligrafował:

„Do pani baronowej Danglars”.

— Dziś wieczorem — mruknął — sam jej położę ten liścik na toalecie. I rzekł, wyciągnąwszy z szuflady paszport:

— Doskonale. Ważny jeszcze na dwa miesiące.

30. CMENTARZ PERE-LACHAISE

Pan de Boville spotkał po drodze pogrzeb Walentyny.

Dzień był pochmurny i mglisty; wiatr, ciepły jeszcze, ale niosący śmierć pożółkłym liściom, strącał je z gałęzi prawie nagich i miótł pod nogi olbrzymiego tłumu, który zalegał bulwary.

Pan de Villefort, urodzony paryżanin, uważał cmentarz Père-Lachaise- za jedyną przystań godną przyjęć zwłoki paryżanki. Inne cmentarze poczytywał za cmentarze wiejskie, nieeleganckie. Człowiekowi z dobrego towarzystwa przystało spocząć tylko na cmentarzu Père-Lachaise.

Kupił więc, jak to wiemy, miejsce na grób rodzinny i wznosił mauzoleum, gdzie spoczywały już zwłoki jego pierwszej żony i jej rodziców.

Na frontonie widniał napis — tak sobie bowiem życzyła biedna Renata, matka Walentyny:

GRÓB RODZINY DE SAINT-MÉERAN I DE VILLEFORT.

Tedy to na cmentarz Père-Lachaise zdążył wspaniały kondukt, wyruszywszy z Przedmieścia Świętego Honoriusza.

Przeciągał przez cały Paryż.

Za karawanem jechało z górą pięćdziesiąt karet, za karetami dwadzieścia dorożek, a ponad pięćset osób szło pieszo.

Szli młodzieńcy, których śmierć Walentyny raziła niby grom. Młodzieńcy ci wielbili, mimo naszej lodowatej i prozaicznej epoki, tę dziewczynę poetyczną, piękną, czystą i uroczą, którą śmierć skosiła niby świeży kwiat.

Na krańcach miasta dogoniła kondukt kareta zaprzężona w czwórkę ognistych koni. Pędzące konie zatrzymały się w miejscu, naprężając stalowe pęciny: to przyjechał hrabia de Monte Christo.

Hrabia wysiadł, wmieszał się w tłum i poszedł za karawanem.

Château-Renaud dostrzegłszy hrabiego wysiadł ze swojej karetki i podszedł doń.

Beauchamp wysiadł z dorożki.

Hrabia rozglądał się wśród tłumu: najwyraźniej szukał kogoś.

Nie wytrzymał wreszcie.

— A gdzie Morrel? — zapytał. — Nie widział go który z panów?

— Zastanawialiśmy się nad tym w domu państwa de Villefort — odrzekł — Château-Renaud. — Ale żaden z nas go nie zauważył.

Hrabia nie pytał więcej i tylko wciąż rozglądał się bacznie.

Przybyli w końcu na cmentarz.

Bystre oko Monte Christa przeszukało szybko kępy cisów i sosen. Po chwili hrabia uspokoił się: cień jakiś prześliznął się mroczną grabową aleją.

Wiadomo, jak wygląda pogrzeb w tym wspaniałym mieście umarłych: postacie czerniące się grupami na białych alejach, milczące niebo i milcząca ziemia, ciszę maści tylko trzask łamanej gałęzi albo żywopłotu, przez który ktoś się przedziera, smętny śpiew księży, łkanie dolatujące sponad kępy kwiatów, przy której klęczy kobieta złożony dłońce.

Cień przemknął szybko za nagrobkiem Heloizy i Abelarda, przyłączył się do grabarzy, którzy szli przy koniach ciągnących karawan, i tak dotarł do grobowca.

Każdy coś albo kogoś obserwował.

Monte Christo obserwował ów cień, przez nikogo niemal nie zauważony.

Hrabia wychylił się dwa razy z szeregu, aby upewnić się, czy ręka tego człowieka nie sięga po broń ukrytą pod surdudem.

Kiedy kondukt zatrzymał się, Morrel — gdyż on to był owym cieniem — stanął oparty o drzewo na wzgórk, skąd widniał grobowiec, i przyglądał się ceremonii. Był trupio blady, policzki mu zapadły. Odziany w czarny surdut zapięty wysoko pod szyję, miał nerwowo cylinder.

Wszystko odbyło się według zwyczaju.

Kilku panów — oczywista najbardziej obojętnych — wygłosiło mowy.

Jedni użalali się nad „zmarłą w kwiecie wieku”, drudzy rozptylali się nad bólem ojca.

Ktoś wcale pomysłowy oznajmił, iż dziewczę nieraz powstrzymało karzącą rękę pana de Villefort — gdy miecz zawisł już nad głową winowajcy.

Wyczerpał się w końcu zasób kwiecistych metafor i żalobnych frazesów, którego dostarczyły nam stances Malherbe'a do Dupèriera.

Monte Christo wpatrzony w Morrela nie zwracał na to wszystko najmniejszej uwagi. Spokój młodego oficera przeraził hrabiego, co jedyny wśród tłumu czytał w jego duszy.

— Patrz — ozwał się nagle Beauchamp do Debraya — Morrel jest tam! Ale po kiego licha tam włązł?

I pokazali Morrela Château-Renaudowi.

— Jaki błąd! — zauważył Château-Renaud i zaniepokoił się mocno.

— Bo zmarł — wyjaśnił Debray.

— O nie — powiedział z wolna Château-Renaud — zdaje mi się, że jest wstrząśnięty. Maksymilian to natura ogromnie wrażliwa.

— Nie przesadzajmy — odparł Debray. — Toć prawie nie znał panny Walentyny... Sam mi to mówiłeś.

— Tak, ale przypomniałem sobie, że na balu u pani de Morcerf tańczył z Walentyną trzy razy. A wie hrabia, że na tym balu wywołał pan ogromną sensację?

— Nic o tym nie wiem — odparł Monte Christo, nie zdając sobie sprawy, z kim rozmawia, tak bacznie obserwował Morrela. Kapitan poczerwieniał, jak gdyby zatrzymał oddech.

— Przemówienia skończone, do widzenia panom — rzekł szorstko hrabia.

I zawracając, dał zebrany znak do odejścia; po chwili zniknął — jakby zapadł w ziemię.

Ceremonia była skończona, przyjaciele i znajomi podążyli w stronę miasta.

Tylko Château-Renaud rozglądał się chwilę, szukając Morrela. Ale gdy spojrzął za oddalającym się hrabią, Morrel przepadł gdzieś — i Château-Renaud, nie znalazłszy go już, poszedł za Beauchampem i Debrayem.

Monte Christo ukrył się w krzakach i stąd, osłonięty jeszcze szeroką płytą grobową, śledził Morrela. Kapitan zmierzał powoli ku mauzoleum, które opuścili już gapie i grabarze.

Morrel rozejrzał się z wolna i niezbyt przytomnie; a gdy skierował wzrok w inną stronę, Monte Christo zbliżył się jeszcze o dziesięć kroków.

Morrel ukląkł.

Hrabia, wyciągnąwszy szyję i jakby gotów do skoku, podkradł się do kapitana.

Morrel oparł czoło o kamień, objął kratę i wyszeptał:

— Walentyno...

Hrabiemu o mało serce nie pękło.

Postąpił jeszcze krok i ujął łagodnie Morrela za ramię.

— Szukam cię, drogi przyjacielu — rzekł.

Monte Christo spodziewał się wybuchu, wyrzutów, oskarżenia; pomylił się. Morrel spojrzął nań z pozornym spokojem i rzekł:

— Modliłem się.

Hrabia obrzucił młodzieńca badawczym spojrzeniem. I wtedy uspokoił się nieco.

— Może odwieźć pana? — spytał.

— Nic. Dziękuję.

— Nic trzeba panu czego?

— Niech mi pan nie przeszkadza się modlić.

Hrabia oddalił się bez słowa i ukrył w innym miejscu, obserwując Morrela bez przerwy. Maksymilian wstał wreszcie, otrząsał spodnie i podążył w kierunku miasta, nic obejrzawszy się ani razu.

Szedł wolno ulicą de la Roquette.

Hrabia, odesławszy karetę, która czekała u bram cmentarza, udał się za Morrelem, postępując za nim w odległości stu kroków.

Maksymilian przeszedł most na kanale i dotarł bulwarami do ulicy Meslay.

Po pięciu minutach drzwi Morrelów otwały się przed Monte Christem.

U wejścia do ogrodu Julia przyglądała się z najgłębszą uwagą, jak imć Penelon, biorący swoje rzemiosło ogrodnika na serio, szczepił róże bengalskie.

— A, to pan hrabia! — zawołała radośnie Julia. Wszyscy w tym domu cieszyli się, ilekroć Monte Christo przyjechał z wizytą.

— Maksymilian wrócił już, prawda? — zapytał hrabia.

— Zdaje się, że właśnie tędy przechodził — odrzekła Julia. — Ale niech pan hrabia zawoła, z łaski swojej, Emanuela.

— Najmocniej przepraszam, ale spieszno mi do Maksymiliana. Mam dla niego wiadomość ogromnej wagi.

— A więc nie zatrzymuję — odrzekła z najwdzięczniejszym uśmiechem i odprowadziła hrabiego do drzwi.

Monte Christo wbiegł na drugie piętro.

Znalazłszy się tu, jął nasłuchiwać. Nic nie mąciło ciszy.

Jak w większości starych domów, które zajmuje tylko jedna rodzina, schody były oddzielone od korytarza jedynie oszklonymi drzwiami.

Ale drzwi zamknięto na klucz.

Maksymilian zamknął się — od wewnątrz zaś szyby były zasłonięte czerwonymi jedwabnymi zazdrostkami.

Hrabia tak się zaniepokoił, że na policzki jego wystąpił rumieniec — był to u tego żelaznego człowieka znak niezwyčajnego wzruszenia.

— Co robić? — mruknął. Zastanowił się chwilę.

— Zadzwoń — rzekł do siebie. — O nie. Dzwonek zwiastuje czyjąś wizytę, wizyta zaś przyspiesza decyzję u kogoś, będącego w położeniu Maksymiliana; a wtedy często dźwiękowi dzwonka odpowiada strzał.

Monte Christo zadrżał — ale że zdecydował się zawsze błyskawicznie, uderzył łokciem o szybę i szyba rozprysła się w kawałki. Podniósł firankę i ujrzał, jak Morrel, siedzący przy biurku z piórem w ręku, podskoczył, gdy posypało się stłuczone szkło.

— To głupstwo — powiedział hrabia — przepraszam najmocniej, drogi przyjacielu! Pośliznąłem się i wybiłem szybę, a skoro wybiłem, to i wejść do pana; niech pan sobie nie przeszkadza, błagam.

I wsunąwszy rękę w otwór po wybitej szybie, przekręcił klucz w zamku. Morrel wstał nie kryjąc irytacji. Postąpił kilka kroków, żeby raczej zagrozić drogę hrabiemu, niż go powitać.

— Do licha, to wina pańskiej służby — rzekł Monte Christo rozcierając sobie łokieć — posadzka u pana lśni jak lustro.

— Nie skaleczył się pan aby? — spytał zimno Morrel.

— A bo ja wiem? Ale co pan robił? Pisałeś pan?

— Ja?

— Masz pan palce zawałane atramentem.

— A, tak, pisałem. Zdarza się to czasem i wojskowemu. Monte Christo postąpił parę kroków naprzód. Maksymilian przepuścił go rad nierad, ale podążył za nim.

— Pisałeś pan? — powtórzył Monte Christo, wpatrując się weń tak baczenie, że aż nużąco.

— Miałem już honor oznajmić panu, że m pisał. Hrabia rozejrzył się.

— Pistolety obok ekrytuaru! — zdziwił się niby i wskazał palcem broń leżącą na biurku.

— Wybieram się w podróż.

— Kochany przyjacielu — rzekł hrabia z niewysłowioną łagodnością.

— Daj mi pan spokój!

— Kochany Maksymilianie, wstrzymaj się z ostateczną decyzją, błagam!

— Co za pomysł? — wzruszył ramionami Morrel. — Odkądże to podróż jest ostateczną decyzją?

— Maksymilianie, zdejmijmy maski. Maksymilianie, nie złudzisz mnie sztucznym spokojem, tak samo jak ja cię nie złudzę niby błahą troskliwością. Rozumiesz, że skórom wybił szybę i wtargnął do pokoju przyjaciela nie zważając na dyskrecję, musiałem zaniepokoić się naprawdę albo raczej powziąć straszliwe przekonanie. Maksymilianie, zamierzasz popełnić samobójstwo.

— Co też panu hrabiemu przychodzi do głowy! — odpowiedział Morrel drżąc.

— Mówię panu, że zamierzałeś popełnić samobójstwo — odparł łagodnie hrabia — a oto dowód.

Podszedłszy do biurka, uniósł ćwiartkę papieru, pod którą Morrel schował rozpoczęty list, i wziął go.

Morrel rzucił się, aby wyrwać mu list.

Ale Monte Christo, przewidziawszy to, chwycił Maksymiliana za rękę i zamknął ją w uścisku stalowych palców.

— Nie myliłem się, Maksymilianie — powiedział hrabia. — Zamierzałeś odebrać sobie życie: napisałeś to!

— A tak! — wybuchnął wreszcie Morrel. — Któż by mógł mnie powstrzymać, gdybym zechciał palnąć sobie w łeb? Kto zdobyłby się na to? Posłuchaj pan: Runęły moje nadzieje, serce mam złamane, skończyło się dla mnie życie, wokół mnie tylko śmierć i ohyda, ziemia obróciła się w popiół, nie mogę słuchać głosu ludzkiego.

Posłuchaj pan: Jeśli pozwolisz mi umrzeć, ulitujesz się tylko nade mną — bo inaczej postradam rozum i zwariuję.

Czy ktoś, kto zna moje ły i cierpienia, odpowie mi: „Nie masz racji”? Czy nie mam prawa ulżyć swojemu nieszczęściu? Odpowiedz pan: czy zdobędziesz się na to?

— Tak — odparł hrabia tonem, którego spokój osobliwie kontrastował ze wzruszeniem młodzieńca — tak, ja się na to zdobędę.

— Pan! — zawołał Morrel, a w głosie jego wzbierał gniew i wyrzuty — pan, który łudziłeś mnie niedorzeczną nadzieją? Który powstrzymywałeś mnie kołyszając i usypiając czczymi obietnicami, gdy mogłem jeszcze jakąś szaleńczą decyzją ocalić Walentynę; a gdybym nawet jej nie uratował — umarłaby w moich ramionach; pan, który władasz duchem i materią, pan, który odgrywasz tutaj rolę Opatrzności — a przynajmniej nadajesz sobie takie pozory, nie zdołałeś ocalić otrutej dziewczyny! Doprawdy, budziłbyś pan we mnie litość, gdybyś nie budził odrazy!

— Maksymilianie!...

— Powiedziałeś mi pan, żebym zdjął maskę, a więc ją zdjąłem! Rad jesteś? Kiedy zaczęłeś mnie pan na cmentarzu, odpowiedziałem, bo mam dobre serce. Kiedyś pan tu wtargnął, wpuściłem pana dalej... Ale skoro nadużywasz pan mojej cierpliwości, skoro nagabujesz mnie aż w tym pokoju, dokąd schroniłem się jak do grobu... Skoro znów mnie dręczysz, choć myślałem, że nie sposób już zadać mi żadnej tortury — to, hrabio de Monte Christo, mój rzekomy dobroczyńco, hrabio de Monte Christo, zbawco całego świata, będziesz miał, czegoś sobie życzył: zobaczysz, jak umiera przyjaciel!...

I Morrel, wybuchnąwszy śmiechem szaleńca, rzucił się ku pistoletom.

Monte Christo zbladł jak widmo, oko jego ciskało błyskawice. Położył rękę na pistoletach i rzekł:

— A ja ci powtarzam, że samobójstwa nie popełnisz!

— Spróbuj mi pan przeszkodzić! — ale wysiłek Maksymiliana zniweczyło znów stalowe ramię hrabiego.

— Przeszkodzę panu!

— Ale kimże pan jesteś właściwie? Pan, co rościsz sobie prawa do tyrańskiej władzy nad istotami wolnymi i myślącymi?

— Kim jestem? — powtórzył Monte Christo. — Posłuchaj: jestem jedynym człowiekiem na świecie — ciągnął — który ma prawo ci powiedzieć:

Maksymilianie, w imieniu twojego ojca zakazuję ci dziś umierać.

I Monte Christo, majestatyczny, wspaniały, skrzyżował ramiona i zbliżył się do zrozpaczonego młodzieńca, który cofnął się zwyciężony potęgą tego człowieka — potęgą niemal boską.

— Czemu pan mówisz o moim ojcu? — wybełkotał. — Czemuż mieszać jego pamięć z moim osobistym dramatem?

— Gdyż ja uratowałem życie twojemu ojcu, kiedy, tak jak dziś ty, zamierzał targnąć się na nie; gdyż jestem tym, który przysłał twojej siostrze sakiewkę, a staremu Morrelowi „Faraona.” Bom jest Edmund Dantès, na którego kolanach bawiłeś się w dzieciństwie.

Morrel cofnął się jeszcze o krok, chwiejąc się i dysząc — był zdruzgotany.

Nagle sił mu nie stało — krzyknął i padł u stóp Monte Christa.

Lecz po chwili otrząsnął się, bowiem zadziwiająco silna natura doszła w nim do głosu.

Zerwał się, wypadł z pokoju na schody, wołając:

— Julio! Julio! Emanuelu! Emanuelu!

Monte Christo chciał wypaść za nim, ale Maksymilian trzymał drzwi z całych sił i nie wypuszczał hrabiego.

Julia, Emanuel, Penelon i kilkoro służby nadbiegli przerażeni. Morrel wziął ich za ręce, otworzył drzwi i zawołał:

— Na kolana! — głos, przerywany łkaniem, wiązał mu w gardle. — Na kolana! To nasz dobroczyńca! To on ocalił naszego ojca! To...

Miał już zawołać:

To Edmund Dantès!

Ale hrabia ścisnął mu znacząco rękę.

Julia chwyciła rękę hrabiego, Emanuel ścisnął go niby bóstwo opiekuńcze. Morrel padł znowu na kolana.

Wtedy ten człowiek spiżowy uczył, jak rośnie mu serce, płomień piekący trysnął mu z gardła do oczu — skłonił głowę i zapłakał.

Przez dłuższą chwilę w pokoju tym wszyscy płakali i wzdychali tak serdecznie, że radowało to najukochańszych aniołów Pana!

Julia ochłonawszy podbiegła, ciesząc się jak dziecko, do salonu i wyjęła spod kryształowego klosza sakiewkę, którą nieznajomy dał jej w Alejach Meilhańskich.

A w tym czasie Emanuel mówił zdławionym głosem do Monte Christa:

— Czemuż pan hrabia czekał aż do dziś, by wyjawić, kim jest? Pan, przy którym tylekroć mówiliśmy o nieznanym dobroczyńcy? Widział pan przecież, jaką żywimy dla niego wdzięczność, jakim otaczamy go uwielbieniem. O, było to okrucieństwo nie tylko wobec nas, ale, śmiem to powiedzieć, i wobec siebie.

— Posłuchaj, mój przyjacielu — odparł hrabia — a mogę nazywać tak pana, gdyż nie domyślając się tego, jesteś moim przyjacielem od lat jedenastu. Tajemnica ta wydała się, zaszły bowiem ważne wypadki, o których dowiedzieć się nie możesz. Bóg mi świadkiem, że chciałem ją na zawsze zagrzebać w duszy, ale pański szwagier wydarł mi ją gwałtem, czego żałuję, to pewne.

A widząc, że Maksymilian osunął się na fotel, dodał szeptem, ściskając znacząco dłoń Emanuela:

— Czuwaj pan nad nim.

— A po co? — zdziwił się Emanuel.

— Nie mogę panu tego powiedzieć, ale czuwaj. Emanuel rozejrzał się po pokoju i spostrzegł pistolety.

W oczach jego odmalowało się przerażenie. Wskazał broń palcem.

Hrabia kiwnął głową. Emanuel sięgnął po broń.

— Nie ruszaj pan tego — powiedział hrabia. Podeszedł do Morrela i wziął go za rękę.

Desperacja młodzieńca przeszła teraz w głębokie odrętwienie. Wróciła Julia niosąc jedwabną sakiewkę. Na policzkach młodej kobiety błyszczały łzy radości, niby krople rosy porannej.

— Oto nasza relikwia — rzekła. — Nie myśl pan, że straciła dla mnie na wartości od momentu, gdyśmy poznali naszego zbawcę.

— Moje dziecię — odrzekł Monte Christo rumieniąc się — oddaj mi z łaski swojej tę sakiewkę; skoro poznałaś rysy mojej twarzy, pragnąłbym, żebyś zachowała mnie w pamięci tylko ze względu na przyjaźń, o którą cię proszę.

— O — rzekła Julia tuląc sakiewkę do serca — błagam, zostaw mi ją pan. Bo co będzie, jeśli nas opuścisz? Bo opuścisz nas kiedyś, prawda?

— Ogdadłaś pani — uśmiechnął się Monte Christo. — Za tydzień opuszczę

ten kraj, gdzie tyle ludzi, którzy zasługiwali na zemstę niebios, żyło szczęśliwie, podczas gdy ojciec mój umierał z głodu i rozpacz.

Zapowiadając rychły odjazd, Monte Christo przyglądał się bacznie Morrelowi i zauważył, że słowa: „opuszczę ten kraj” nie wyrwały młodzieńca z letargu.

Pojął tedy, że musi stoczyć z desperacją przyjaciela ostatnią walkę. Uścisnął dłonie Julii i Emanuelowi i rzekł łagodnie, z ojcowska:

— Moi drodzy, chciałbym zostać sam z Maksymilianem. Dzięki temu Julia mogła zabrać niepostrzeżenie cenną sakiewkę. Pociągnęła żywo męża.

— Zostawmy ich — rzekła.

Hrabia pozostał z Morrelem, nieruchomym niby posąg.

— No i cóż, Maksymilianie — zagadnął, dotykając jego ramienia palcem, z którego jakby tryskał ogień — jesteś znowu mężczyzną?

— Tak, zaczynam znów cierpieć.

Hrabia zmarszczył czoło, nachmurzył się i jakby zawahał.

— Maksymilianie, Maksymilianie — rzekł — twoje myśli nie są godne chrześcijanina!

— Uspokój się, przyjacielu — odparł Morrel, podnosząc głowę i uśmiechając się z niewystawionym smutkiem — śmierci już teraz szukał nie będę.

— A więc odłożysz broń i przestaniesz rozpaczać?

— Nie. Mam lepsze lekarstwo na rozpacz niż lufa pistoletu i sztylet.

— Biedny szaleńcze!... I cóż to takiego?

— Boleść. Ona i tak mnie zabije.

— Przyjacielu — rzekł Monte Christo z taką samą melancholią — posłuchaj mnie:

Jednego dnia w przystępie podobnej rozpaczyci także chciałem popełnić samobójstwo.

Jednego dnia twój ojciec pogrążony w rozpaczyci chciał się zabić.

Gdyby powiedziano twojemu ojcu w chwili, gdy przystawiał sobie lufę do czoła...

Gdyby powiedziano mi w momencie, gdy przez trzy dni wyrzucał chleb więzienny...

Gdyby powiedziano nam obu w tej decydującej chwili...

„Żyjcie! Pewnego dnia, szczęśliwi, będziecie błogosławić życie!”

Uśmiechnęlibyśmy się z niedowierzaniem i boleścią, skądkolwiek dochodziłby ów głos; a jednak ile razy twój ojciec całował cię błogosławiąc życie, ile razy ja sam...

— O! — przerwał Morrel hrabiemu — pan straciłeś tylko wolność, mój ojciec utracił jedynie majątek, a ja straciłem Walentynę!

— Spójrz na mnie, Maksymilianie — odparł hrabia owym uroczystym, a w pewnych okolicznościach jakże imponującym i szlachetnym tonem — spójrz na mnie: nie płaczę, krwi mojej nie trawi ogień, serce moje nie bije żałobnie. A przecież patrzę, Maksymilianie, jak cierpisz ty, którego kocham jak syna; czyż ci to nie mówi, że boleść jest podobna życiu: zawsze zostawia nam jeszcze coś nieznanego. Otóż jeśli cię proszę, jeśli ci rozkazuję, byś żył, to w przekonaniu, że kiedyś podziękujesz mi za to.

— O Boże! Cóż pan mi mówisz? Czyż się pan zastanowił? A może pan nigdy nie kochałeś?

— Gadasz jak dziecko!

— To znaczy prawdziwą miłością.

Bo ja, widzi pan, dojrzałem jako żołnierz; nie kochałem do dwudziestego dziewiątego roku życia, gdyż uczucia, których doświadczałem wcześniej, nie zasługiwały na miano miłości. Owóż mając lat dwadzieścia dziewięć ujrzałem Walentynę: kocham ją prawie dwa lata i od dwóch lat czytałem w jej sercu cnoty dziewicy i małżonki wypisane ręką Pana. Bo to serce otworzyło się przede mną niby księga.

Hrabio, zaznałem dzięki Walentynie szczęścia niezmiernego, nieskończonego, tajemniczego, szczęścia boskiego i zbyt wielkiego jak na ten świat; ale skoro było to szczęście ziemskie, nie ma dla mnie na tej ziemi bez Walentyny nic oprócz łez i rozpaczyci.

— Powiedziałem ci, byś nie tracił nadziei.

— A więc powtórzę: zastanów się pan. Starsz się pan mnie przekonać, a jeśli mnie przekonasz, postradam rozum, gdyż uwierzę za twoją sprawą, że ujrzę jeszcze Walentynę.

Hrabia uśmiechnął się.

— O przyjacielu i ojczule! — zawołał Morrel w uniesieniu. — Zastanów się, powtarzam po raz trzeci, bo zaczynasz mieć na mnie taki wpływ, że mnie to przeraża!

Zastanów się nad sensem własnych słów, gdyż oczy moje znów zaczynają widzieć, a serce odżywa i zapala się w nim ogień.

Zastanów się, bo za twoją sprawą zacznę wierzyć w świat nadprzyrodzony.

Uśluśałbym, gdybyś rozkazał mi podnieść kamień grobowy przykrywający córkę Jaira; gdybyś mi kazał chodzić po falach, jak kazano apostołowi, poszedłbym na jeden znak twojej ręki.

Zastanów się — bo słuchać zacznę.

— Nie trać, przyjacielu, nadziei — powtórzył hrabia.

— Ach! — odrzekł Morrel, spadając z wyżyn egzaltacji w otchłań smutku — ach, naigrawasz się pan ze mnie; niby dobra albo raczej samolubna matka koisza miódowymi słowami mój ból, jak się koi ból dziecka, którego płacz nuży. Nie, drogi przyjacielu, omyliłem się powiadając ci, żebyś się zastanowił. Nic się nie bój — zagrzebię mój ból na dnie serca z takim staraniem, utaję go tak głęboko, że nie będziesz nawet musiał mi współczuć. Żegnaj, przyjacielu, żegnaj!

— Nie, Maksymilianie — odrzekł hrabia — od tej chwili zamieszkaś ze mną i nie będziemy się rozstawać, a za tydzień obaj wyjedziemy z Francji.

— Powiesz pan znowu, bym nie tracił nadziei?

— Mówię ci, byś nie tracił nadziei, ponieważ mam dla ciebie lekarstwo.

— Hrabio, przyprowadzasz mnie o jeszcze większy smutek, jeśli to w ogóle możliwe. Sądzisz, że po tym ciosie odczuwam ból zwyczajny, i chcesz mnie leczyć zwyczajnym w takich razach środkiem — podróżą.

I Morrel potrząsnął głową, okazując wzgardliwe niedowierzenie.

— I cóż ci mam jeszcze powiedzieć? Wierzę w moje obietnice, zgódź się, bym dokonał doświadczenia.

— Hrabio, przedłużysz tylko moją agonię.

— A więc, o słabe serce, nie masz już sił, by użyczyć paru dni przyjacielowi, który pragnie dokonać próby?

A wiesz ty, co potrafi hrabia de Monte Christo? Wiesz ty, że rozkazuje on niejednej ziemskiej potędze?

Wiesz ty, że ma dość wiary w Boga, by uzyskać cud u tego, który powiedział, że wiara góry przenosi?

A ja spodziewam się tego cudu, więc i ty oczekuj go, Maksymilianie, albo...

— Albo... — powtórzył Morrel.

— Albo zastanów się, bo nazwę cię niewdzięcznikiem.

— Ulituj się nade mną, hrabio.

— Posłuchaj, Maksymilianie: mam dla ciebie tyle litości, że jeśli za miesiąc, dokładnie za miesiąc o tej samej godzinie cię nie ulecę, to, zapamiętaj moje słowa, dam ci te pistolety naładowane i kielich włoskiej trucizny piorunującej i pewniejszej niż ta, która zabiła Walentynę.

— Przrzekasz mi to pan?

— Tak, bo i ja jestem człowiekiem; i ja pragnąłem śmierci — i często, choć nieszczęście oddaliło się ode mnie, marzę o rozkoszach wieczystego snu.

— I szczerze przrzekasz mi to, hrabio?

— Nie przrzekam, ale przysięgam — odrzekł Monte Christo wznosząc rękę.

— A więc przysięgasz pan na honor, że jeśli za miesiąc nie zaznam pociechy, pozwolisz mi rozporządzać moim życiem i nie nazwiesz mnie niewdzięcznikiem?

— Dokładnie za miesiąc, o tej samej godzinie, termin to święty. Czy wiesz, że mamy dziś piątego września? Dziesięć lat temu, tegoż dnia, uratowałem twojego ojca.

Morrel ucałował rękę hrabiego. Hrabia nie zaprotestował.

— Za miesiąc — powiedział hrabia — siądziemy razem przy stole, na którym położę broń i postawię kielich z trucizną; ale czy w zamian za to obiecujesz zaczekać?

— Teraz ja przysięgam! — zawołał Morrel.

Monte Christo przytulił go do piersi i długo trzymał w objęciach.

— Od dziś — ozwał się — będziesz mieszkał u mnie. Zajmiesz apartament Hayde: syn zastąpi mi córkę.

— A Hayde? Cóż się z nią stało?

— Wyjechała dziś w nocy.

— Opuściła cię?

— Będzie czekać na mnie. Spakuj się i przyjedź do mnie, a tymczasem wyprowadź mnie tak, by nikt nie widział.

Maksymilian spuścił głowę i usłuchał, jak dziecię słucha ojca.

31. PODZIAŁ

Pierwsze piętro owego hoteliku przy ulicy Saint-Germain-des-Prés, hoteliku, który Albert wybrał na mieszkanie dla matki i dla siebie, zajmowała w całości jakaś tajemnicza osobistość.

Sam . odźwierny nie widział nigdy twarzy owego lokatora, zimą bowiem tajemniczy osobnik chodził okutany po sam nos w czerwony szal — niczym stangret z dobrego domu czekający na swoich państwa przed teatrem, w lecie zaś, mijając portiernię, wycierał zawsze nos ogromną chustką.

Zaznaczyć trzeba, że wbrew utartym zwyczajom nikt w hotelu nie śledził owego lokatora. Przyczyną tu były pogłoski, że osobnik ów to dygnitarz o długiej ręce, któremu lepiej się nie narażać.

Zjawiał się na ogół regularnie — czasami tylko o wcześniejszej albo późniejszej godzinie; ale prawie zawsze, zimą czy latem, przychodził około czwartej i nigdy nie zostawał na noc.

Zimą, o wpół do czwartej, dyskretna służąca, która opiekowała się mieszkaniem, rozpalala ogień na kominku.

Latem o wpół do czwartej przynosiła lody.

O czwartej zjawiał się, jakeśmy powiedzieli, tajemniczy osobnik. Po dwudziestu minutach przed hotelikiem zatrzymywał się powóz.

Dama, w sukniach czarnych albo granatowych i zawsze zawoalowana, wysiadała z powozu, przemykała się jak cień obok portierni i wbiegała na schody — stopnie nigdy nie zatrzeszczały pod jej lekką stopą.

I nigdy nikt nie zapytał, do kogo idzie.

Obaj odźwierni nie wiedzieli więc, jak wygląda twarz nieznanemu. Byli to jednak odźwierni wzorowi, unikat może wśród ogromnego zrzeszenia odźwiernych stolicy: dlatego odznaczali się tą zadziwiającą dyskrecją.

Dama zatrzymywała się oczywiście na pierwszym piętrze.

Stukała w umówiony sposób do drzwi.

Drzwi otwierały się i zamykały zaraz — więcej wam mówić nie trzeba.

Podobnie oboje wychodzili z hotelu.

Najpierw zawoalowana dama wsiadała do powozu, który zniknął za rogiem tej lub owej ulicy; po dwudziestu minutach wychodził nieznanemu, okutany czerwonym szalem albo zasłaniając twarz chustką do nosa — i zniknął także.

Nazajutrz po wizycie hrabiego de Monte Christo u Danglarsa tajemniczy lokator zjawił się o dziesiątej rano. Rzecz wyjątkowa.

Po chwili, a nie po zwykłych dwudziestu minutach, zajechała dorożka i zawoalowana dama wbiegła pędem na schody.

Drzwi otworzyły się i zamknęły.

Ale nim się zamknęły, dama zawołała:

— O mój najdroższy Lucjanie!

Odźwierny, usłyszawszy to, niechcący dowiedział się, że lokatorowi na imię Lucjan. Ale że był odźwiernym wzorowym, postanowił nie wygadać się nikomu, nawet żonie.

— No i cóż się stało, moja droga? — zapytał ten, którego imię wydało się na skutek pośpiechu i pomieszania damy. — Mówże.

— Mój drogi, czy mogę liczyć na ciebie?

— Oczywiście, wiesz o tym dobrze. Ale co się stało? Twój bilet, który otrzymałem z rana, zaniepokoił mnie straszliwie. Pismo nerwowe, świadczące, o pośpiechu... uspokój się, nie przerażaj mnie jeszcze bardziej.

— Lucjanie, wielkie wydarzenia! — rzekła dama spoglądając niepewnie. — Mój mąż wyjechał tej nocy.

— Wyjechał? A dokąd?

— Nie wiem.

— Jak to nie wiesz? Wyjechał na zawsze?

— Tak! O dziesiątej wieczór kazał się odwieźć na rogatkę Charenton; czekała tam na niego podróżna kolasa; wsiadł ze swoim kamerdynerem i kazał jechać do Fontainebleau.

— I cóż ty na to?

— Zaraz, zaraz, kochanie. Zostawił mi list.

— List?

— Tak, przeczytaj.

Baronowa wydobyła z kieszeni odpieczętowany list i podała go Debrayowi.

Debray, nim zabrał się do czytania, namyślał się dłuższą chwilę: starał się odgadnąć treść listu — a raczej bez względu na to, co by list zawierał, powziąć z góry decyzję.

Namyśliwszy się, jął czytać; oto co zawierał ów list, który zasiał aż tyle niepokoju w sercu pani Danglars:

Małzonko i wzorze cnoty!

Debray spojrział mimo woli na baronową, ona zaś zaczerwieniła się po same białka.

— Czytaj — rzekła. Debray czytał więc dalej:

Kiedy otrzymasz ten list, nie będziesz miała już męża.

O, nie alarmuj są zbyt; nie będziesz miała męża, tak jak nie masz córki — a ja będę na jednym z gościńców wiodących ku granicy.

Winienem Ci wyjaśnienia, a że jesteś kobietą, która zrozumie je wybornie, udzielię ich.

Posłuchaj:

Dziś przed południem musiałem wypłacić pięć milionów; po chwili zjawiał się następny interesant żądając tej samej sumy; powiedziałem mu, żeby przyszedł jutro.

Dziś więc wyjeżdżam, aby uniknąć owego jutra, które byłoby dla mnie bardzo niemiłe.

Rozumiesz to, nieprawdaż, perło wśród małżonek?

Powiadam: rozumiesz, bo znasz moje interesy równie dobrze jak ja; a znasz je nawet lepiej; bo nie mam pojęcia, gdzie przepadło więcej niż pół mojej fortuny, wcale niegdyś pięknej, a ty, jestem tego pewien, mogłabyś udzielić mi w tym względzie jak najdokładniejszych informacji.

Kobiety posiadają niezawodny instynkt chroniący je przed niebezpieczeństwem, a za pomocą algebry, którą wykoncypowały same, objaśnią nawet cud.

Ale ja, który znam tylko cyfry, nie wiem już nic od chwili, gdy oszukały mnie one.

Czyś podziwiła, jak szybko upadłem?

Czy nie oślepił Cię blask moich topniejących sztab złota?

Bo ja, przyznam się, widziałem tylko ogień; miejmy nadzieję, że z popiołów wygrzebałaś jeszcze trochę złota.

Odjeżdżam krzepiony tą nadzieją, małzonko nad wyraz roztropna, toteż sumienie bynajmniej nie wyrzuci mi, że Cię opuszczam.

Pozostają Ci przyjaciele i pozostają rzeczony popioły — i, to już nadmiar szczęścia, wolność, którą Ci zwracam.

A jednak, łaskawa Pani, musze w tych wyjaśnieniach umieścić teraz pewien punkt natury osobistej.

Przymykałem filozoficznie oczy, dopóki sądziłem, że pracujesz dla dobra naszego domu i dla szczęścia córki; ale żeś obróciła nasz dom w ruinę, nie zamierzam kłaść fundamentów pod cudzy majątek.

Wziąłem Cię bogatą, aczkolwiek niezbyt godną szacunku. Wybacz mi tę otwartość, ale że — jak mam nadzieję — Ty jedynie będziesz czytała te słowa, po cóż je owijać w bawełnę. Powiększałem naszą fortunę przez lat piętnaście, aż do momentu, kiedy obaliło ją parę tajemniczych dla mnie katastrof. Powiedzieć mogę, że nie stało się to z mojej winy. Ty zaś pracowałaś jedynie po to, aby powiększyć swoją fortunę — i udało Ci się, jestem głęboko przekonany.

Zostawiam Ci taką, jaką wziąłem: bogatą, aczkolwiek niezbyt godną szacunku.

Zegnaj.

Bo i ja od dzisiaj zaczynam pracować li tylko dla własnej korzyści. Wdzięczny jestem za przykład, który mi dałaś, i wiernie pójdę w Twoje ślady.

*Twój oddany mąż
Danglars*

Podczas tej długiej i przykrew lektury baronowa nie odrywała wzroku od Lucjana.

Młody człowiek, choć ogromnie opanowany, czytając to czerwieniał, to bladł. Skończywszy złożył starannie papier i znów się zadumał.

— No i co? — zapytała pani Danglars z łatwo zrozumiałym niepokojem.

— Jak to „co”, łaskawa pani?

— Co pomyślałeś, przeczytawszy ten list?

— To całkiem proste, łaskawa pani: pomyślałem, że pan Danglars odjechał żywiąc jakieś podejrzenia.

— Oczywiście, ale czy tylko to masz mi do powiedzenia?

— Nie rozumiem, o co pani chodzi — odparł lodowato Debray.

— Odjechał na zawsze i nigdy już nie wróci!

— E, niech pani baronowa w to nie wierzy.

— Ależ nie wróci, znam go. To człowiek nieugięty, jeśli tylko decyzja kojarzy się u niego z interesem. Gdyby myślał, że przydam mu się na coś, zabrałby mnie. Zostawił mnie w Paryżu, ponieważ nasza separacja przyda się może jego projektom: a więc to separacja nieodwołalna, a ja jestem wolna — mówiła prosząco pani Danglars.

Lecz Debray nie zważał ani na niespokojne, pytające spojrzenie, ani na słowa pełne utajonej prośby.

— I pan nic na to? — zagadnęła wreszcie.

— Chciałem tylko zapytać, co pani zamierzasz uczynić.

— To ja miałam zapytać cię o to — odrzekła baronowa z bijącym sercem.

— Aha, prosisz więc pani o radę.

— Tak, proszę o radę — odrzekła baronowa, a serce jej się ścisnęło.

— Skoro tak — odparł chłodno — radzę udać się w podróż.

— W podróż... — wyszeptała pani Danglars.

— Naturalnie. Pan Danglars napisał przecie, że jesteś pani bogata i wolna. Moim zdaniem, musisz pani opuścić Paryż, zwłaszcza po skandalu z małżeństwem panny Eugenii i po wyjeździe pani barona. Ważne jest tylko, aby wszyscy myśleli, że jesteś pani porzucona i biedna; gdyż nikt nie wybaczy żonie bankruta, która żyłaby zbyt kownie i prowadziła dom otwarty. Winnaś więc pani zabawić jeszcze dwa tygodnie w Paryżu, żaląc się wszystkim, że mąż cię opuścił, i opowiadając najlepszym przyjaciółkom, w jaki sposób się to odbyło. One zaś powtórzą to dalej. Następnie wyprowadzisz się pani; ze swojego pałacu, zostawiając tam klejnoty; zrzekniesz się dożywocia, a wtedy zaczną chwalać twoją bezinteresowność. Wszystkim więc będzie wiadomo, że jesteś pani opuszczona i biedna — gdyż tylko ja jeden znam pani sytuację majątkową i jestem gotów, jako lojalny współnik, zdać rachunek.

Baronowa, blada, przybita, słuchała z rozpaczą i przerażeniem owego spokojnego i rzeczowego dyskursu.

— Porzucona! — rzekła. — A tak, porzucona, ma pan rację, teraz już nikt nie będzie wątpił o tym.

Była to jedyna odpowiedź, jaką mogła dać Debrayowi ta kobieta tak dumna i tak namiętnie zakochana.

— Ale bogata, a nawet bardzo bogata — ciągnął Debray wyjmując z pugilaesu jakieś papiery i rozkładając je na stole.

Pani Danglars nie zwracała na to uwagi, usiłując stłumić boleść i powstrzymać łzy. Zwyciężyło w końcu poczucie godności — jeśli nie zdołała nakazać sercu milczenia, powstrzymywała łzy.

— Łaskawa pani — ozwał się Debray — minęło mniej więcej pół roku, jak zawarliśmy spółkę. Wniosłaś pani sto tysięcy franków kapitału. Rozpoczęliśmy operację w maju. W maju zarobiliśmy czterysta pięćdziesiąt tysięcy franków. W czerwcu zarobek wzrósł do dziewięciuset tysięcy. W lipcu dodaliśmy jeszcze do niego sto siedemdziesiąt tysięcy franków. Był to, jak pani wiadomo, miesiąc pożyczki hiszpańskiej. Na początku sierpnia straciliśmy trzysta tysięcy franków; ale piętnastego tegoż miesiąca powetowaliśmy stratę, pod koniec zaś mieliśmy nowy zarobek; w obecnej bowiem chwili nasze aktywa wynoszą dwa miliony czterysta tysięcy franków — czyli na każde z nas przypada milion

dwieście tysięcy. A teraz — ciągnął Debray, spoglądając wciąż do notatnika ze spokojem i systematycznością agenta giełdowego — trzeba jeszcze dodać osiemdziesiąt tysięcy franków procentu.

— Skądże procent — przerwała baronowa — jeśli nigdzie pan tej sumy nie ulokowałeś?

— Wybacz łaskawa pani — odparł zimno Debray — ale miałem upoważnienie na lokatę i skorzystałem z tego upoważnienia. Tak więc przypada jeszcze na panią czterdzieści tysięcy franków procentu plus sto tysięcy franków kapitału wniesionego: razem sto czterdzieści tysięcy franków. Owóż, powodowany przezornością, zgromadziłem onegdaj pani pieniądze; mógłby kto powiedzieć, że domyślałem się, iż wkrótce będę musiał pani zdać rachunki. Pieniądze pani są tutaj, w połowie w banknotach, a w połowie w czekach na okaziciela. Uważałem, że dom mój nie jest nazbyt pewny, z drugiej zaś strony nie wierzę w dyskrecję rejentów. A zresztą własność jest jeszcze bardziej gadatliwa niż rejent; następnie, cokolwiek nabyłabyś pani albo posiadała, musiałoby wejść do wspólnoty małżeńskiej; przechowałem więc tę sumę — jedyną dziś pani fortunę — w szkatułce, którą sam ukryłem w tej szafie. A teraz — tu Debray otworzył szafę, a potem szkatułkę — oto osiemset tysięcy w banknotach tysiãcfrankowych, oprawionych jak pani widzi, w skórę okutą żelazem. Dołączam obligacje na dwadzieścia pięć tysięcy franków renty. Porękawicze wynosi jakieś sto dziesięć tysięcy. Oto bon płatny u mojego bankiera — a że moim bankierem nie jest pan Danglars, bon ma pokrycie, niech pani będzie spokojna.

Pani Danglars spojrzała machinalnie na bon, obligacje i plik banknotów.

Ogromna ta fortuna leżąc na stole wyglądała z pozoru skromnie.

Nie uroniwszy ani jednej łzy i tłumiąc łkanie, baronowa włożyła banknoty do torebki, obligacje i bon wsunęła w pugilaresik. Stała blada, milcząca — czekała na serdeczne słowo, które pocieszyłoby ją w bogactwie.

Czekała jednak daremnie.

— Będziesz pani mogła — powiedział Debray — otoczyć się zbytkiem, posiadając około sześćdziesięciu tysięcy liwrow renty. To suma olbrzymia, zwłaszcza że musisz pani na rok usunąć się od świata. Dzięki tym pieniądzom zaspokoisz pani wszelkie swoje fantazje. Oczywiście, gdyby to pani nie wystarczyło, boć przywykłaś do największego zbytku, możesz pani czerpać z mojej kasy; jestem skłonny zaofiarować pani, naturalnie tytułem pożyczki, cały swój majątek, to znaczy milion sześćset tysięcy franków.

— Dziękuję panu. Toć zwracasz mi pan o wiele więcej, niż potrzeba biednej kobiecie, która nieprędko powróci do życia towarzyskiego.

Debray zdziwił się, lecz opanował szybko zdziwienie, uczynił gest, który mógł wyrażać takie oto słowa wypowiedziane tonem jak najuprzejmiejszym: „Czyń pani, co zechcesz”.

Do tej chwili pani Danglars liczyła pewnie na coś jeszcze; ale widząc ów gest niefrasobliwy, obłudne spojrzenie, które mu towarzyszyło, i głęboki ukłon złożony w jakże znaczącym milczeniu, uniosła głowę, otworzyła drzwi i spokojnie, bez scen, lecz i bez wahania zbiegła ze schodów; nie raczyła skłonić się temu człowiekowi, który pozwolił jej odejść w ten sposób.

— Phi! — zawołał Debray, kiedy odeszła. — Na pewno nie zastosuje się do moich rad; zostanie w swoim pałacu, będzie czytać romanse i grać w lancknechta, nie mogąc już grać na giełdzie.

I wykreślił starannie z notesu te wszystkie sumy, które jej wypłacił.

— Pozostaje mi przeszło półtora miliona — rzekł. — Szkoda, że panna de Villefort umarła! Poślubiłbym ją, bo taka żona odpowiadałaby mi pod każdym względem.

I jak zwykle, odczekał z flegmą dwadzieścia minut, aby wyjść wreszcie.

Przez tych dwadzieścia minut liczył popatrując na zegarek, który położył przed sobą.

Asmodeusz, diabeł, który w arcydziele Lesage'a zaglądał do wnętrza domów zerwawszy z nich dachy, uradowałby się zajrzawszy do hoteliku przy ulicy Saint-Germain-des-Pres, w momencie, gdy Debray zajęty był liczeniem.

Nad pokojem, gdzie Debray podzielił się milionami z panią Danglars, mieszkali również nasi znajomi, którzy odegrali w tej opowieści ważną rolę. Czytelnik tedy chętnie spotka się z nimi.

Był tam pokój Mercedes i Alberta.

Mercedes zmieniła się bardzo — nie odmienił jej skromny strój, ponieważ nigdy nie ubierała się z nadmiernym przepychem: nie zmieniła się też dlatego, aby ubóstwo wywołało u niej depresję, zmieniła się, gdyż oko jej straciło blask i nie uśmiechały się usta; zmieniła się, ponieważ słowa zamierały jej na

wargach skutkiem ustawicznego zakłopotania. Dowcip, niedawno jeszcze błyskotliwy, przygasał zupełnie.

Ale nie ubóstwo zgasiło ów dowcip, a nędza ciążyła jej nie dlatego, by Mercedes nie miała odwagi.

Choć zagubiona w sferze, którą sama wybrała, wydawała się królową co z pałacu przeniosła się do chaty. Sama nie poznawała się w tym otoczeniu: musiała nakrywać do stołu stawiając grube, fajansowe talerze, a puchowe łoża zamienić na tapczan.

Piękna Katalonka — albo jeśli wolicie, szlachetna hrabina — utraciła dumne spojrzenie i czarujący uśmiech, ponieważ oko jej spoczywało na szkaradnych przedmiotach.

Pokój wyklejony był szarą tapetą, którą oszczędny kamienicznik uważa za najpraktyczniejszą, niełatwo się bowiem brudzi.

Na podłodze nie było kobierca.

Meble zwracały uwagę fałszywym zbytkiem, a jaskrawymi kolorami raziły oko nawykłe do wykwiutnego otoczenia.

Oto w jakich warunkach żyła pani de Morcerf opuściwszy swój pałac.

Cisza przyprawiała ją tu o zawrót głowy, jak podróżnemu kręci się w głowie, gdy stanie nad przepaścią.

Wiedząc, że Albert obserwuje ją wciąż ukradkiem, zmuszała się do bladego uśmiechu, a w oczach jej błyszczała sztuczna wesołość.

Albert nie czuł się dobrze, nie mógł bowiem zapomnieć o dawnym zbytku.

Chciał chodzić bez rękawiczek, uważał jednak, że ręce ma nazbyt białe.

Chciał chodzić pieszo, uważał jednak, że buty ma nazbyt wylakierowane.

Tak czy inaczej, tych dwoje szlachetnych, inteligentnych i kochających się ludzi rozumiało się bez słów, toteż mogli sobie powiedzieć bez osłonek, że kończą się ich zasoby materialne.

Mercedes nie zbladła tedy, gdy syn rzekł do niej:

— Mamo, nie mamy już pieniędzy.

Mercedes nigdy dotąd nie zaznała prawdziwej nędzy.

Sama często za młodu mówiła o swoim ubóstwie, ale nędzę od ubóstwa dzieli przepaść.

U Katalończyków brakowało jej mnóstwa rzeczy, lecz nie brakowało wielu innych. Gdy sieci były dobre, były i pełne. Kiedy zaś sprzedawano ryby, nie brakło sznurka na reperację sieci. Żyjąc samotnie, zajmowała się tylko sobą i swoją miłością, ale miłość nie wiązała się z jej położeniem materialnym. Tym zaś, co posiadała, dzieliła się zawsze jak najhojniej.

A dziś musiała się dzielić, ale nie miała czym.

Nadchodziła zima.

Mercedes nie mogła napalić w tym pokoju nagim i zimnym — ona, która mieszkała w pałacu ogrzewanym kaloryferami od piwnic do strychu.

Nie miała ani jednego kwiatuszka — ona, której mieszkanie było jedną wielką cieplarnią napełnioną najkosztowniejszymi roślinami!

Ale miała syna...

Oboje z jednakową egzaltacją pojmwali swój obowiązek. Egzaltacja to niemal entuzjazm, a entuzjazm czyni nas obojętnymi na rzeczywistość. Ale gdy entuzjazm przygasał, trzeba było z krainy marzenia zstąpić powoli na ziemię.

Trzeba było wreszcie pomówić o rzeczach realnych.

— Moja mamó — mówił Albert w momencie, gdy pani Danglars zbiegała ze schodów — obliczmy nasze bogactwa, muszę wiedzieć, ile mamy, żeby ułożyć plan.

— Nic nie mamy — odpowiedziała Mercedes ze smutnym uśmiechem.

— No, nie przesadzaj, mamy przecież trzy tysiące franków, a za tę sumę możemy we dwoje żyć nader przyjemnie.

— Dziecko z ciebie — westchnęła Mercedes.

— Niestety, mamó, wydałem w życiu tyle, że wiem, jaką wartość ma pieniądz. Trzy tysiące franków to suma olbrzymia, buduję na niej przyszłość cudowną i bezpieczną.

— Łatwo ci to powiedzieć, moje dziecko, ale zastanów się, czy my te trzy tysiące franków przyjmujemy — rzekła Mercedes czerwieniąc się.

— Ależ to postanowione, jak mi się zdaje — odparł stanowczo Albert. Przyjmujemy je tym bardziej, że ich jeszcze nie mamy, boć są zakopane w Marsylii. A za dwieście franków pojedziemy oboje do Marsylii.

— Za dwieście franków? Czy ty wiesz, Albercie, co mówisz?

— Poinformowałem się już na stacji dylizansów i w przedsiębiorstwie statków parowych. Obliczyłem już wszystko. Do Châalons pojedziesz dylizansem. Jak widzisz, mam, traktuję cię jak królową, bo to będzie kosztować trzydzieści pięć franków.

Albert wziął pióro i zaczął pisać:

*Dylizans 35 fr.
Statek parowy z Châalons do Lyonu 6
Statek parowy z Lyonu do Avignonu 16
Z Avignonu do Marsylii 7
Inne koszta 50
Razem 114 fr.*

— Powiedzmy, sto dwadzieścia franków — dodał Albert z uśmiechem. — Widzisz, mam, jaki jestem hojny?

— A ty, mój biedaku?

— To nie widzisz, żem zachował dla siebie osiemdziesiąt franków? Młody człowiek, droga mam, nie potrzebuje tych wszystkich wygod; zresztą, podróżować umiem.

— Tak, własnym powozem i w towarzystwie lokaja.

— Inaczej też, droga mam.

— Ale skądże wziąć dwieście franków?

— Oto one, a tu jeszcze dwieście. Sprzedałem zegarek za sto franków, a breloki za trzysta. Co za szczęście! Breloki były trzy razy więcej warte niż zegarek! Zawsze ta sama historia ze zbyt drożymi przedmiotami. Jesteśmy więc bogaci, skoro zamiast stu czterdziestu franków, które były ci potrzebne na drogę, masz dwieście pięćdziesiąt.

— A w hotelu nic nie jesteśmy winni?

— Trzydzieści franków, ale zapłacę je z moich stu pięćdziesięciu. To już postanowione; a skoro na podróż potrzeba mi tylko osiemdziesiąt franków, widzisz, że opływam w dostatki. Ale to jeszcze nie wszystko. Co sądzisz o tym, moja mam?

I Albert wyciągnął karnecik ze złotym zamkiem; było to jedno z jego cacek, a może pamiątka od którejś z tajemniczych, zawoalowanych dam, co stuknęły do drzwi pawilonu; z karnecika tego Albert wyciągnął tysiącfrankówkę.

— A cóż to takiego? — zapytała Mercedes.

— Tysiąc franków, moja mam. Patrz, jakie nowiutkie.

— Ale skąd je masz?

— Posłuchaj i nie przejmuj się zbytnio.

Albert wstał, pocałował matkę w oba policzki i jął się jej przypatrywać.

— Nie masz pojęcia, moja mam, jakaś ty ładna — powiedział głosem nabrzmiałym miłością synowską. — Wierz mi, że nigdy nie widziałem piękniejszej, szlachetniejszej kobiety.

— Drogie dziecko! — rozczuliła się do łez.

— A nieszczęście twoje zmieniło moją miłość w uwielbienie.

— Nie jestem nieszczęśliwa, bo mam syna, i nie będę nieszczęśliwa, póki będę go miała.

— Otóż, mam, tu właśnie zaczyna się próba. Wiesz, co postanowiono?

— A cóżemy takiego postanowili?

— Zamieszkaż w Marsylii, a ja wyjadę do Afryki pod nowym nazwiskiem, które wsławię.

Mercedes westchnęła.

— Tak, moja mam, wczoraj zaciągnąłem się do spahisów — dodał młodzieniec spuściwszy oczy; zawstydzony z lekka, nie zdawał sobie bowiem sprawy, na jak szlachetnie zdecydował się upokorzenie. — A nie tyle zaciągnąłem się, ile sprzedałem, sądząc, że mogę sobą rozporządzać; od wczoraj zastępuję kogoś.

Sprzedalem się, jak to mówią — ciągnął ze sztucznym uśmiechem — i to drożej, niżbym sam siebie ocenił, bo za dwa tysiące franków.

— A więc ów tysiąc franków... — powiedziała drżąc Mercedes.

— To połowa sumy, resztę zapłacą za rok.

Mercedes wzniosła oczy do nieba i dwie łzy stoczyły się po jej policzkach.

— Cena jęgo krwi — szepnęła.

— Tak, jeśli mnie zabiją — roześmiał się Albert. — Ale zapewniam cię, moja droga mamó, że mam zamiar twardo bronić własnej skóry; nigdy jeszcze nie miałem takiej ochoty do życia.

— O Boże, Boże! — zawołała Mercedes.

— Ale dlaczego właściwie mieliby mnie zabić? Czy zginął Lamoricière, ten Ney Południa? Czy zginął Bedeau?

Czy zginął Changarhier?

Czy zginął nasz znajomy Morrel?

Pomyśl, mamó — jak się radować będziesz, gdy wrócę w szamerowanym mundurze! Zapewniam cię, że dokażę tam cudów waleczności. Przez próżność przecie wybrałem tę formację wojskową.

Mercedes westchnęła, choć usiłowała uśmiechnąć się.

Bolało ją, że syn ponosi cały ciężar ofiary.

— A więc zapewnilem ci, mamó — ozwał się Albert — cztery tysiące franków, a nawet więcej; dzięki nim przeżyjesz beztrósko dwa lata.

— Tak sądzisz?

W dwóch tych słowach było tyle bólesci, iż Albert pojał ich istotny sens. Serce mu się ścisnęło, jał tulić ręce matki.

— Tak, przeżyjesz — powtórzył. .

— Przeżyję, ale ty nie wyjedziesz, prawda?

— Wyjadę, mamó — odparł Albert stanowczo i spokojnie. — Nazbyt mnie kochasz, nie dopuść więc, bym próżniaczył się tutaj; a zresztą już podpisałem.

— Uczynisz wedle własnej woli, mój synu, a ja zastosuję się do woli bożej.

— To nie kwestia mojej woli, mamó: muszę postąpić tak, jak nakazuje mi rozum i konieczność. Jesteśmy oboje w rozpaczliwym położeniu, prawda? Czymże dziś dla ciebie jest życie? Niczym. A dla mnie? Znaczyłoby niewiele, gdyby nie ty, mamó, wierz mi. Bo gdyby nie ty, przysięgam ci, że popelnilbym samobójstwo tego dnia, kiedy zwątpilem o moim ojcu i wyparłem się jego nazwiska. No, ale żyję; a jeśli obiecasz mi, że nie stracisz nadziei, jeśli pozwolisz, abym się zajał twoim przyszłym szczęściem, dodasz mi sił. W takim razie przyjechawszy do Algieru zložę wizytę gubernatorowi: to człowiek o sercu szlachetnym, a nade wszystko żołnierskim; opowiem mu swoją smutną historię; poproszę, ażeby od czasu do czasu spojrział w tę stronę, gdzie będę — a jeśli się zgodzi, jeśli zwróci na mnie uwagę, nim pół roku minie, zostanie oficerem albo polegnę. Jeśli zostanie, oficerem, twój los, mamó, jest zabezpieczony: będę miał dość pieniędzy na nas dwoje i zdobędę nowe nazwisko, którym oboje będziemy się chlubić: wezmę bowiem twoje nazwisko panieńskie. A jeśli zginę... no cóż, wtedy i ty umrzesz, a naszym nieszczęściom będzie koniec.

— Ha, cóż — odpowiedziała Mercedes, spoglądając wymownie i szlachetnie — masz rację, mój synu: dowiedzmyż pewnym ludziom, którzy patrzą na nas i oczekują naszych czynów, by nas osądzić, dowiedzmy, że zasługujemy przynajmniej na współczucie.

— Po cóż, mamó, ten pesymizm? — zachnął się Albert. — Przysięgam ci, że jeśli już nie jesteśmy, to będziemy szczęśliwi! Jesteś kobietą rozumną i zdolną do rezygnacji, ja zaś ograniczyłem swoje upodobania i, mam nadzieję, temperament. Wzbogacę się, służąc w wojsku, ty zaś, wprowadziwszy się do domu pana Dantèsa, zaznasz spokoju. Spróbujmy, bardzo cię o to proszę, spróbujmy!

— Tak, spróbujmy, bo ty musisz żyć i być szczęśliwy.

— A więc podzieliliśmy się, mamó — dodał Albert z udaną swobodą — i dziś już możemy wyjechać. Chodźmy, twoje miejsce zamówione.

— A twoje?

— Muszę tu pozostać jeszcze parę dni; to początek rozstania, trzeba, żebyśmy się po trochu do niego przyzwyczaili. Chcę zdobyć kilka listów polecających, wywiedzieć się, jakie stosunki panują w Afryce. Zobaczymy się w Marsylii.

— A więc dobrze, jedźmy — rzekła Mercedes, owijając się w jedyny szal kaszmirowy, jaki zabrała, a był on przypadkiem czarny i kosztowny. — Jedźmy.

Albert zebrał pospiesznie papiery, zadzwonił na służbę hotelowego, aby zapłacić trzydzieści franków, podał matce ramię i wyszli na schody.

Ktoś schodził przed nimi, usłyszawszy zaś szelest jedwabnej sukni ocierającej się o poręcz, obejrzał się.

— Debray! — szepnął Albert.

— A, to ty, Albercie! — zawołał sekretarz ministra zatrzymując się. Ciekawość przemogła — Debray zdradził swoje incognito, a zresztą Albert go poznał.

Istotnie, było czymś nader interesującym spotkać w nieznanym hoteliku młodzieńca, którego dramat narobił tyle hałasu.

— Jak się masz, Albercie — rzekł znowu Debray.

Ale spostrzegłszy kobietę zawoalowaną czarno, ukrytą w półmroku, dodał z uśmiechem:

— O, przepraszam cię. Do widzenia. Albert odgadł, co Debray miał na myśli.

— Mamo — zwrócił się więc do Mercedes — to pan Debray, sekretarz ministra, mój dawny przyjaciel.

— Jak to dawny? — zmieształ się Debray. — Cóż ty wygadujesz?

— Powiedziałem tak, proszę pana, gdyż od dziś nie mam przyjaciół i mieć ich nie powinienem. Dziękuję, że raczyłeś mnie pan poznać.

Debray podszedł do Alberta i serdecznie uściśnął mu dłoń.

— Wierz mi — odezwał się ze wzruszeniem, do którego jednak był zdolny — że głęboko współczuję twojemu nieszczęściu i że jestem do twojej dyspozycji.

— Dziękuję panu — uśmiechnął się Albert — ale wśród nieszczęścia pozostało nam jedno bogactwo: nie potrzebujemy niczyjej pomocy; wyjeżdżamy z Paryża, podróż mamy zapłaconą i pięć tysięcy franków przy sobie.

Debray zaczerwienił się ze wstydu: miał milion w pugilaresie; a chociaż trzeźwy i nieskory do poetycznych wzlotów, pomyślał, że pod dachem tego domu przebywały dwie kobiety: jedna, słusznie zhańbiona, odchodziła z krociowym majątkiem — była biedna; druga, dotknięta niesprawiedliwością losu, odchodziła jakże wzniosła w swoim nieszczęściu, z mizerną fortunką — i była bogata.

Porównanie to zachwiało poglądami Debraya na życie ludzkie i przytłoczyło go. Bąknął na pożegnanie jakieś banalnie uprzejme słowa i zbiegł ze schodów.

Tego dnia dał się podwładnym we znaki.

Ale wieczorem nabył piękną kamienicę — przy bulwarze Magdaleny — a przynoszącą pięćdziesiąt tysięcy liwrow dochodu.

Nazajutrz o piątej po południu, gdy Debray podpisywał akt kupna, pani de Morcerf ucałowała Alberta i wsiadła do dylizansu.

W jednym z okien stacji dylizansów Laffitte'a, w oknie od podwórza, sklepionym okrągło, na antresoli znajdującej się nad biurami stał jakiś mężczyzna. Widział, jak Mercedes odjechała dylizansem i jak Albert odszedł w swoją stronę.

Ogarnięty wątpliwościami, przeciągnął rękę po czole, mówiąc:

— Pozbawiłem szczęścia tych dwoje niewinnych ludzi, jakże im teraz je zwrócić?

Bóg mi dopomoże!

32. JASKINIA LWÓW

Dziedzińcem Świętego Bernarda zowie się ta część więzienia de la Force, w której zamykają najniebezpieczniejszych i najsłynniejszych przestępców.

Więźniowie nazwali ją w swoim obrazowym języku Jaskinią Lwów — zapewne dlatego, że ci, którzy tu przebywają, gryzą często kraty, a czasami nawet dozorców.

To więzienie w więzieniu.

Mury mają tutaj podwójną grubość.

Klucznik bada tu co dzień starannie masywne kraty. Dozorcy, specjalnie dobrani, o posturze herkulesowej, spojrzeniu zimnym i przenikliwym, utrzymują ten lud w ryzach postrachu energią i sprytem.

Nad podwórzem góruje niebotyczny mur. Słońce prześlizguje się nad nim, rzucając z ukosa promienie — jeśli zdecyduje się zajrzeć do tej otchłani upadku moralnego i brzydoty fizycznej.

Snują się tu też od świtu ludzie zatroskani, błędni, bladzi jak widma — ludzie garbiący się już jakby na widok topora, który sprawiedliwość ostrzy dla nich.

Stoją oparci o mur albo siedzą pod nim w kucki, mur bowiem wchłania najwięcej ciepła słonecznego, zatrzymując je najdłużej.

Niekiedy gwarzą po dwóch, ale najczęściej, samotni, nie odrywają wzroku od furty. Furta otwiera się niby gęba, by zawołać jednego z nich albo wyrzygać nowego aresztanta — żużel wyrzucony w tę otchłań z pieca społeczności.

Dziedziniec Świętego Bernarda ma swoją osobną rozmównicę.

To sala podłużna, przedzielona dwiema kratami odległymi od siebie o trzy stopy — niepodobna więc ucisnąć ręki więźniowi albo podać mu coś.

Rozmównica to wilgotna, mroczna i budząca grozę, zwłaszcza jeśli pomyśleć, ile okropnych zwierzeń prześliznęło się przez te zardzewiałe kraty.

A jednak to miejsce ohydne jest rajem dla ludzi, których dni już policzono: krzepią się tu bowiem w zetknięciu z jakże utęsknioną społecznością.

Kto dostanie się do Jaskini Lwów, ten najczęściej odjeżdża na roгатkę Świętego Jakuba, na galery lub do innego więzienia.

Po opisanym podwórku, ociekającym wilgocią i chłodnym, przechadzał się, z rękami w kieszeniach, jakiś młodzieniec. Inni więźniowie obserwowali go z wielką ciekawością.

Mógłby, dzięki wykwiutnemu krojowi ubrania, uchodzić za eleganta, gdyby ubranie to nie było w strzępach; ale też i nie było ono znoszone: sukno cienkie i jedwabiste nabrało połysku, gdyż więzień starannie syczył je ręką, pragnąc, by strój jego wyglądał jak nowy.

Zapiął starannie batystową koszulę, niegdyś białą, a lakierowane buty wyczyścił różkiem chusteczki, zdobnej w monogram i hrabiowską koronę.

Kilku „pensjonariuszy” przyglądało się tej toalecie z nie tajoną życzliwością.

— Widzicie, jak się ten książę muska — ozwał się jakiś przestępca.

Ładny chłopak — rzekł drugi — a gdyby miał tylko grzebień i pomadę, zaćmiłby panów policjantów.

— Ubranie jego musiało być nowe, a buty błyszczą się ładnie. To pochlebne dla nas, że mamy takich eleganckich kolegów, a żandarmi to bandyci i chamy. I zazdrośnicy! Podrzec takie piękne ubranie.

— O, to chyba gagatek jak się patrzy... Wszystko robił, i na wielką skalę... I przybył stamtąd taki młody. Wspaniały chłopak!

A młodzieniec, będący przedmiotem tego ohydnego podziwu, upajał się pochwałami albo raczej ich dźwiękiem, gdyż nie słyszał słów.

Skończywszy toaletę, podszedł do okienka kantyny, przy którym stał dozorca.

— Mój panie — ozwał się — pożycz no mi dwadzieścia franków, a zwrócę niedługo; ze mną nic nie ryzykujesz. Pomyśl, że moi krewni mają więcej milionów, niż pan groszy... Proszę więc o dwadzieścia franków, bo chciałbym wynająć tu separatkę i kupić sobie szlafrok. Paskudnie się czuję we fraku i trzewikach. I to w jakim fraku, mój panie... ja, książę Cavalcanti!

Strażnik odwrócił się tyłem i wzruszył ramionami.

— Nie roześmiał się nawet z tej gadaniny, która każdego wprowadziłaby w dobry humor; nasłuchiwał się bowiem podobnych słów co niemiara.

— Słuchaj no — ozwał się Andrea — jeśli okażesz się człowiekiem bez serca, postaram się, żeby cię stąd wypędzono.

Strażnik obrócił się wtedy i ryknął śmiechem. A więźniowie podeszli i stanęli tworząc koło.

— Mówię ci, człowieku — ciągnął Andrea — że za te nędzne grosze chcę sobie sprawić szlafrok i wynająć oddzielną celę. Spodziewam się lada dzień wizyty pewnego znakomitego pana.

— Ma rację, ma rację — rzekli więźniowie — widać przecie, że to ktoś z lepszych sfer.

— No to pożyczcie mu dwadzieścia franków — powiedział dozorca, opierając się potężnym ramieniem o furtę. — To wasz obowiązek wspomóc kolegę.

— Nie jestem kolegą tych ludzi — zachnął się młodzieniec. — Nie obrażaj mnie pan, nie masz prawa.

Przestępcy spojrzeli po sobie pomrukując głucho — i burza, którą wywołały nie tyle słowa Andrei, ile wyzywające odezwanie strażnika, zaczęła zbierać się nad głową arystokratycznego więźnia.

Dozorca, wiedząc, że i tak uspokoi fale, jeśli rozszaleją się zbyt, postanowił zarówno spłatać figla natrętnemu młodzieńcowi, jak i urozmaicić sobie ów długi dzień dyżuru.

A przestępcy otaczali Andreego coraz ciasniejszym kręgiem; i jedni mówili:

— Papuść! Papuść!

Okrutna ta operacja polega na zadawaniu razów nie papuciem, ale podkutym butem, a robi się ją więźniowi, który stracił względy kolegów.

Inni proponowali węgorka. Chustkę do nosa napełnia się piaskiem, kamykami, a także miedziakami — jeśli więźniowie mają je przypadkiem — i zwija w kielbasę. Tak sporządzoną pyłką wali się delikwenta, gdzie popadnie.

— Wygarbujemy skórę temu elegantowi, temu porządnemu człowiekowi! Lecz Andrea, zwróciwszy się ku nim, mrugnął okiem, wypchnął policzek językiem i klasnął nim o podniebienie w specjalny sposób, za pomocą którego porozumiewają się bandyci, gdy rozmawiać im nie wolno.

Był to znak masoński, którego nauczył go Caderousse.

Poznali jednego ze swoich.

Chustki do nosa opadły.

Podkuty but wrócił na nogę głównego kata.

Kilka głosów ozwało się, że ten pan miał rację, że ten pan może być na swój sposób uczciwy i że więźniowie chcieli tylko pokazać swój honor.

Wrzenie ustało:

Strażnik tak się zdumiał, że natychmiast jął rewidować Andreego, sądząc, iż więźniowie nie ulegli li tylko jego osobistemu urokowi.

Andrea protestował, ale spokojnie.

Nagle w okienku zabrzmiał głos inspektora:

— Benedetto! Dozorca wypuścił ofiarę.

— Wołają mnie — rzekł Andrea.

— Do rozmównicy — ozwał się ten sam głos.

— No i widzi pan, ktoś mi złożył wizytę. Przekonałeś się, że nie należy traktować księcia Cavalcanti jak byle kogo.

I Andrea, prześliznąwszy się przez podwórze niby czarny cień, zniknął w uchylonej furcie — ku zdumieniu kolegów i samego strażnika.

Ale zdumiało to też i samego Andreego. Szczwany młodzieniec bowiem nie napisał z więzienia do nikogo i zamiast korzystać, jak to czynią ludzie pospolici, z przywileju korespondencji, zachowywał milczenie godne stoika.

Jestem — powiadał sobie — to rzecz niewątpliwa, protegowanym kogoś możnego, wszystko na to wskazuje: niespodziana fortuna, łatwość, z jaką usunąłem wszelkie przeszkody, rodzina, którą mi skądś wytrzaśnięto, znakomite nazwisko, jakim mnie obdarzono, złoto sypiące się na mnie i świetny alians na miarę moich ambicji. Nieszczęściem, fortuna zapomniała o mnie, protektor może wyjechał, zgubiło mnie to, tak, ale niecałkowicie i nie na zawsze! Ręka cofnęła się na chwilę, ale chwyci mnie w momencie, gdy stanę o krok od przepaści.

Czemuż miałbym ryzykować jakimś nierozważnym krokiem? Pozbawiłoby mnie to może protektora. Wyciągnie mnie z ambarasu albo ułatwiwszy mi ucieczkę nie żałując złota, albo przekupiwszy sędziów, którzy mnie uniewinnią.

Zacznę mówić i działać, dopiero gdy przekonam się, że mnie całkowicie opuszczono, a wtedy...

Andrea ułożył plan, który można uważać za zręczny.

Nędznik atakował nieustraszenie, a bronił się twardo.

Zniósł więzienną biedę i wszelkie prywacie.

Z wolna jednak natura, a raczej przyzwyczajenie wzięło górę.

Andrea cierpiał, obdarty, brudny i głodny; czas mu się dłużył.

W tym to momencie przygnębienia wezwano go do rozmównicy.

Serce zabiło mu z radości.

Za wcześnie było na odwiedzinę sędziego śledczego, a naczelnik więzienia i lekarz nigdy nie wzywali tak późno, a więc zjawił się wreszcie ktoś oczekiwany.

Stanąwszy przed kratą rozmównicy, Andrea objął chciwym spojrzeniem rozszerzonych ciekawością oczu poważną i rozumną twarz Bertuccia. Bertuccio spoglądał z bolesnym zdziwieniem na okratowane okna, na drzwi oryglowane i na cień, który poruszał się za kratą rozmównicy.

— Ach! — zawołał Andrea ugodzony w samo serce.

— Dzień dobry, Benedetto — ozwał się Bertuccio głosem głębokim i dźwięcznym.

— To pan, to pan — wybełkotał młodzieniec i rozejrzał się przerażony.

— Cóż to, nie poznajesz mnie, nieszczęsny chłopcze?

— Ciszej! Ciszej! — szepnął Andrea, wiedząc, jak dobre uszy mają te ściany. — Ciszej, na miłość boską! Nie mów pan tak głośno.

— Chciałbyś pomówić ze mną w cztery oczy, prawda? — zapytał Bertuccio.

— Tak, tak.

— Dobrze.

I Bertuccio, szukając czegoś w kieszeni, dał znak strażnikowi, którego dostrzegł w okienku.

— Przeczytaj to — rzekł.

— A co to jest?

— Rozkaz, aby przeniesiono cię do oddzielnej celi i pozwolono ci komunikować się ze mną.

— O! — ucieszył się Andrea.

I opanowawszy się natychmiast, powiedział sobie w duchu:

Znów ten nieznany protektor! Nie zapominają o mnie! Idzie im o sekret, skoro chcą ze mną rozmawiać na osobności. Mam ich w ręku... Bertuccia przysłał tu mój protektor.

Strażnik, naradziwszy się chwilę z przełożonym, otworzył obie kraty i zaprowadził Andreę do celi na pierwszym piętrze, której okno wychodziło na dziedziniec. Andrea nie posiadał się z radości.

Cela była bielona wapnem — jak zawsze w naszych więzieniach. Było w niej wesoło — Andrei wydało się, że dostał się do raju. Piec, łóżko, stół i krzesło stanowiły wspaniałe umeblowanie.

Bertuccio siadł na krześle, Andrea rzucił się na łóżko.

Dozorca wyszedł.

— No i cóż masz mi do powiedzenia? — zagadnął intendent.

— A pan co chciałby mi powiedzieć?

— E, nie deklamuj.

— Jeśli nie usłuchasz mnie, pożałujesz gorzko.

— Nie boję się pogroźek... oświadczę...

— Czy ty sobie wyobrażasz, że masz do czynienia z podobnymi tobie karłami? — rzekł Bertuccio z takim spokojem i spoglądając z taką pewnością siebie, że Andreę ciarki przeszły. — Czy ty sobie wyobrażasz, że masz do czynienia z galernikami albo durniami, których oszukiwałeś? Benedetto, trzyma cię dłoń straszliwa; ale jest ona gotowa cię wypuścić: skorzystaj z okazji. Nie igraj z piorunem, który odłożyła na chwilę — bo chwyci go znowu, jeśli będziesz usiłował jej przeszkadzać.

— Ale ja się chcę dowiedzieć, kim jest mój ojciec!... — odrzekł uparty Andrea. — Zginę, ale się dowiem. Bo i cóż mnie obchodzi skandal? Najwyżej mi się przysłuży... rozstawi mnie... zrobi mi reklamę... jak mówi ten dziennikarz Beauchamp. Ale wy, ludzie z towarzystwa, zawsze stracie coś na skandalu, choć macie kufry pełne złota... No, gadaj, kim jest mój ojciec?

— Po tom właśnie przyszedł, żeby ci to powiedzieć...

— Aha! — zawołał Benedetto i oczy zaiskrzyły mu się radością. W tymże momencie otworzyły się drzwi i klucznik rzekł do Bertuccia:

— Przepraszam pana, ale sędzia śledczy wzywa więźnia.

— Dziś już ostatnie przesłuchanie — oznajmił Andrea godnemu intendentowi. — Niech go diabli, że nam przeszkodzi!...

— Przyjdę tu jutro — obiecał Bertuccio.

— To doskonale! Panowie żandarmi, jestem do waszej dyspozycji... Mój drogi przyjacielu, zostaw, jeśli łaska, w kancelarii z dziesięć dukatów, żeby mi tu na niczym nie zbywało.

— Zostawię.

Andrea podał mu rękę, lecz Bertuccio nie wyjął ręki z kieszeni, a tylko zadzwonił pieniędzmi.

— Tom tylko chciał powiedzieć — rzekł Andrea uśmiechając się sztucznie, całkiem już ujarzmiony osobliwym spokojem intendenta.

Czyżbym się pomylił?, pomyślał wsiadając do karetki więziennej. Ano, zobaczymy!

— A więc do jutra! — zawołał Bertucciowi na pożegnanie.

— Do jutra! — odpowiedział intendent.

33. SĘDZIA

Pamiętacie, że ksiądz Busoni został sam z Noirtierem w pokoju zmarłej — tak to starzec i kapłan czuwali przy ciele dziewczęcia.

Starzec uspokoił się — może pod wpływem chrześcijańskich napomnień księdza, a może pod wpływem jego słów miłosiernych i przekonywających. Odbył z księdzem rozmowę i od tej chwili rozpoczął ustąpiła miejsca rezygnacji. Spokój ten dziwił wszystkich, którzy znali głębokie przywiązanie Noirtiera do wnuczki.

Pan de Villefort nie widział się z ojcem od owego ranka, gdy umarła Walentyna.

W domu zjawiała się nowa służba.

Pan de Villefort miał nowego kamerdynera, pan Noirtier — nowego lokaja.

Pani de Villefort miała dwie nowe służące.

Nastał też nowy odźwierny i nowy stangret — i wszyscy ci ludzie zorientowali się od razu, jak oziębłe stosunki panują w tej rodzinie i w tym przeklętym domu.

Sesja sądowa miała się rozpocząć za jakie trzy dni. Villefort, zamknięty w swoim gabinecie, opracowywał z gorączkową energią akt oskarżenia wymierzony przeciw mordercy Caderousse'a.

Sprawa ta, jak i wszystkie, z którymi Monte Christo miał coś wspólnego, nabrała w paryskich salonach ogromnego rozgłosu.

Dowody nie były wystarczające, gdyż opierały się na paru słowach napisanych przez umierającego galernika. Kto wie, czy nie oskarżał tedy dawnego towarzysza powodowany nienawiścią albo żądzą zemsty.

I tylko w naszym sądowniku rzecz nie budziła jakichkolwiek wątpliwości.

Prokurator królewski powziąwszy niezachwianą pewność, iż Benedetto był winowajcą, sięgał już po laury, aby nacieszyć miłością własną. Ambicja bowiem poruszała jeszcze nieco struny tego lodowatego serca.

Śledztwo toczyło się więc, dzięki niezmordowanej pracy Villeforta, który chciał rzeczonym procesem rozpocząć tegoroczne posiedzenie sądu. Znajomi i nieznajomi szturmowali o karty wstępu — lecz Villefort pozostawał głuchy na te prośby.

Ponadto zaś biedną Walentynę tak niedawno złożono do grobu, w domu panowała żałoba tak świeża, iż nikogo nie dziwiło, że zrozpaczony ojciec pograżył się w pracy, która była jedynym lekarstwem na jego boleść.

Tylko raz jeden, w wilię owego dnia, gdy Bertuccio złożył Benedettowi drugą wizytę — a była to niedziela — Villefort zobaczył się z ojcem. Villefort, strudzony nieludzko, wyszedł do ogrodu. Posępny, zgarbiony pod ciężarem bezlitosnej myśli, podobny do Tarkwiniusza ścinającego trzcinką najbardziej wybujałe maki, prokurator ścinał laską przywiedle łodygi malw, które wznosiły się wzdłuż alejek, niby widma owych kwiatów, jakże barwnych latem, co właśnie minęło.

Zapuszczał się często w głąb ogrodu, to znaczy do znanej nam bramy, za którą ciągnęło się opuszczone pole — i wracał zawsze tą samą aleją. A dziś wracając popatrzył machinalnie na dom. Bawił się tam hałaśliwie Edwardek. Chłopiec, oddany już do kolegium, spędzał niedziele i poniedziałki z matką.

Villefort ujrzał wtedy pana Noirtier siedzącego w jednym z okien. Starzec kazał przysunąć się tutaj, aby radować się ostatnimi promieniami letniego słońca, które żegnało się z przywiedłym powojem i poczerwieniałym dzikim winem, oplatającym balkon.

Starzec wlepił oczy w punkt, którego Villefort nie dostrzegał wyraźnie.

Wzrok Noirtiera płonął nienawiścią tak dziką i tak okropną niecierpliwością, że prokurator, znając doskonale grę tej fizjonomii, zboczył z drogi, ażeby zobaczyć, na kogo pada to straszliwe spojrzenie.

Ujrzał pod kępą lip, o gałęziach niemal ogołoconych, panią de Villefort. Siedziała na ławce i czytała — co chwila jednak przerywając lekturę, aby uśmiechnąć się do syna i odrzucić mu piłkę, którą Edwardek ciskał uparcie z okna salonu do ogrodu.

Villefort zbladł, pojął bowiem myśl starca.

Noirtier spoglądał ustawicznie w jednym kierunku, lecz nagle, przeniósłszy wzrok z synowej na syna, zaatakował go tak, jak gdyby pioruny wystrzeliły z oczu starca. Inny był sens owego spojrzenia, ale ziało ono tą samą groźbą.

Pani de Villefort, nic nie wiedząc, jaki to ogień- krzyżuje się nad jej głową, zatrzymała na moment piłkę i dała znak Edwardkowi, przyzywając go do siebie. Chciała, by chłopiec ją ucałował. Ale matczyne karesy wydawały się malcowi zbyt skromną nagrodą za fatywę. Zdecydował się wreszcie, wyskoczył z okna na środek klombu heliotropów i stokroci i spocony podbiegł do matki.

Pani de Villefort otarła mu czoło, pocałowała je i puściła Edwardka, włożywszy mu w jedną rękę piłkę, a w drugą nasypawszy cukierków.

Villefort zbliżył się do domu. Ciągnęła go tam przemożna siła — jak wąż przyciąga ptaka.

W miarę jak się zbliżał, wzrok Noirtiera palił go coraz intensywniej, wżerając mu się w serce.

Czytał w tym spojrzeniu wyrzut i straszliwą groźbę.

Noirtier spojrzał w niebo, jakby przypominał synowi o złożonej przysiędze.

— Tak, tak, ojczel! — zawołał Villefort stojąc pod oknem. — Zaczekaj jeszcze dzień jeden. Nie złamię słowa!

Noirtier, uspokoiwszy się jakby na te słowa, popatrzył obojętnie w inną stronę.

Villefort nie mógł złapać tchu. Rozpiął gwałtownie surdut, przesunął zsiniałą dłonią po czole i wrócił do gabinetu.

Nadeszła noc pogodna i zimna.

Wszyscy położyli się spać.

Jeden Villefort nie położył się i pracował do piątej rano. Przeglądał protokoły przesłuchania, zaglądał do zeznań świadków i wykańczał akt oskarżenia — jeden z najostrzejszych i najrzęczniejszych, jakie ułożył w życiu.

Posiedzenie sądu przysięgłych miało się odbyć nazajutrz rano.

Dzień wstał bladej i ponury. W szarawym świetle błysły jaskrawo litery kreślone czerwonym atramentem.

Prokurator zdrzemnął się na chwilę. Lampa gasła już, wydając ostatnie tchnienie; skwiercząc, zbudziła go — prokurator spojrzał na swoje palce: w świetle gasnącej lampy wydawały się czerwone, były wilgotne — jakby lepkie od krwi.

Otworzył okno.

Daleko na niebie pomarańczowa smuga przecięła smukłe topole, rysujące się czarnymi sylwetkami.

Nad polem lucerny, za rzędem kasztanów, skowronek wzbijał się w niebo zawodząc czysty śpiew poranny.

Wilgotne powietrze świtu owionęło Villeforta i orzeźwiło go.

— To dziś — powiedział z wysiłkiem — pewien człowiek dzierżący miecz sprawiedliwości uderzy winowajców.

Popatrzył mimo woli w okno, którym wczoraj wyglądał ojciec. Było zasłonięte firanką.

A jednak obraz ojca siedzącego w tym oknie tak żywo stał mu przed oczyma, że zwrócił się w tę stronę, jakby widział tam groźnego starca. Szepnął:

— Bądź spokojny!

Spuścił nisko głowę i jął przechadzać się po gabinecie; następnie położył się w ubraniu na kanapie, nie dlatego, aby się przespać, lecz po to, by odprężyły się członki zesztyniałe ze zmęczenia i zimna. Pracował w zimnym pokoju i zimno przeniknęło go do szpiku kości.

Z wolna zbudził się cały dom.

Villefort słyszał owe wzmagające się hałasy, które stanowią, by tak rzec, życie domu. Drzwi otwierały się i zamykały, pani de Villefort dzwoniła na pokojową. Edwardek zbudziwszy się pokrzykiwał radośnie, gdyż dzieci budzą się zawsze wesołe.

Z kolei zadzwonił Villefort.

Wszedł kamerdyner przynosząc gazety.

Ale razem z gazetami przyniósł filiżankę czekolady.

— Cóż to znowu? — spytał Villefort.

— Filiżanka czekolady.

— Nie prosiłem o nią. Któż to się tak o mnie zatroszczył?

— Jaśnie pani. Jaśnie pani powiedziała, że jaśnie pan musi się pokrzepić, gdyż będzie wygłaszał długie przemówienie w związku z tym morderstwem.

I lokaj postawił złoconą filiżankę na stoliku obok kanapy, stoliku założonym papierami, jak i wszystkie sprzęty w tym pokoju.

Wszedł.

Villefort spojrział ponuro na filiżankę. Nagle chwycił ją nerwowo i duszkiem wypił czekoladę.

Powiedziałbyś, że spodziewał się, iż płyn jest zatruty. Może łatwiej byłoby mu umrzeć, niż wypełnić trudny obowiązek, który go czekał. Wstał i jął przechadzać się po gabinecie z uśmiechem, który przeraziłby każdego.

Czekolada nie była zatruta, panu de Villefort nic się nie stało.

Nadeszła pora śniadania, ale pan de Villefort nie zjawił się przy stole. Kamerdyner znowu wszedł do gabinetu.

— Jaśnie pani kazała powiedzieć jaśnie panu, że wybiła jedenasta, a sesja zaczyna się o dwunastej.

— No i co z tego?

— Jaśnie pani zrobiła już toaletę i kazała zapytać, czy ma towarzyszyć jaśnie panu.

— Dokąd?

— Do sądu.

— Po co?

— Jaśnie pani pragnie przysłuchiwać się obradom.

— Aaa — ozwał się Villefort tonem niemal przerażającym — powiedziała, że pragnie tego?

— Jeśli jaśnie pan życzy sobie wyjechać sam, uwiadomię jaśnie panią — odparł służący cofnąwszy się o krok.

Villefort milczał chwilę, wbijając paznokcie w błądy policzek, od którego odcinał się ostro kruczyny zarost.

— Powiedz jaśnie pani — odrzekł wreszcie — że pragnę z nią pomówić. Poproś, żeby zechciała zaczekać u siebie.

— Tak, proszę jaśnie pana.

— A potem wrócisz tu, żeby ogolić mnie i ubrać.

— Wrócę zaraz.

Zniknął, zjawił się po chwili, ogolił Villeforta i ubrał go w uroczystą czerń.

— Jaśnie pani prosiła, żeby jaśnie pan był łaskaw przyjść, jak tylko się ubierze.

— Już tam idę.

I Villefort, trzymając tekę z aktami pod pachą, a cylinder w dłoni, podążył do apartamentów małżonki.

Zatrzymawszy się przed drzwiami, otarł spociałe, wybladłe czoło.

Wszedł.

Pani de Villefort siedząc na otomanie przerzucała niecierpliwie gazety i periodyki, które swawolny Edwardek wyrwał jej tymczasem z rąk i darł na strzępy.

Była gotowa do wyjścia: kapeluszyk leżał na fotelu; włożyła już rękawiczki.

— A, to ty, mój mężu — ozwała się spokojnie, tonem jak najnaturalniejszym. — O Boże, jakiś ty błady! Znowu pracowałeś całą noc? I dlaczego nie przyszedłeś na śniadanie? No i jak, zabierasz mnie, czy mam pojechać osobno z Edwardkiem?

Jak widzimy, pani de Villefort zasypała męża pytaniami, by uzyskać odpowiedź; lecz pan de Villefort, zimny jak posąg, milczał.

— Edziu — ozwał się spoglądając rozkazująco na chłopca — pobaw się, kochaneczku, w salonie, bo ja muszę pomówić z mamą.

Pani de Villefort zadrzała — ten chłód, stanowczy ton i cały ten dziwaczny wstęp nie wróżyły nic dobrego.

Edwardek spojrział na matkę; ale że pani de Villefort nie powtórzyła rozkazu męża, chłopiec począł ucinąć główki ołowianym żołnierzom.

— Słyszałeś, Edziu? — krzyknął pan de Villefort tak ostro, że chłopiec aż podskoczył. — Wynos się!

Chłopak, nie przywykły do takiego traktowania, zerwał się i zbladł. Trudno powiedzieć, czy ze złości, czy ze strachu. Ojciec objął go i rzekł, całując w czoło:

— No idź już, dziecinko, idź. Edwardek wyszedł.

Pan de Villefort zamknął za nim drzwi na klucz.

— Na miłość boską, co się stało? — zapytała pani de Villefort, starając się przeniknąć męża spojrzeniem, które zapadało na dno duszy. Uśmiechnęła się blado, lecz jego chłód zmroził ten uśmiech.

— Gdzie chowasz pani truciznę, którą posługujesz się zazwyczaj? — wycedził, nie czyniąc żadnych wstępów Villefort.

Pani de Villefort poczuła się jak skowronek, gdy kania zacieśnia nad jego głową mordercze kręgi.

Pobladła śmiertelnie, ni to westchnienie, ni to jęk wyrwał jej się z piersi.

— Nie... nie... nie rozumiem cię, mój mężu.

Zerwała się w paroksyzmie trwogi, a po chwili drugi paroksyzm podobny, tylko silniejszy, powalił ją na otomanę.

— Pytam panią — powtórzył Villefort z absolutnym spokojem — gdzie chowasz truciznę, którą zabiłaś państwa de Saint-Méran, Barrois i Walentynę?

— Czy ty wiesz, mój mężu, co mówisz? — zapytała pani de Villefort składając ręce.

— Nie pytaj pani, ale odpowiadaj.

— Czy mam odpowiadać mężowi, czy prokuratorowi? — wybełkotała pani de Villefort.

— Prokuratorowi, łaskawa pani.

Przerazić się było można bladością tej kobiety, udręką malującą się w jej oczach i drżeniem całego jej ciała.

— O, mój mężu... — wyszeptala. I to wszystko.

— Nie odpowiadasz pani! — krzyknął groźnie Villefort.

I dorzucił z uśmiechem okrutniejszym jeszcze niżli jego gniew:

— I, co prawda, nie zaprzeczasz. Drgnęła.

— I nie możesz pani zaprzeczać — dodał wyciągając rękę, jak gdyby miał aresztować żonę. — Popełniłaś kilka tych zbrodni z bezwstydem i zręcznością, ale ta zręczność zmyliła tylko ludzi, którzy mogliby być ślepi, ponieważ cię kochają. Już po śmierci Barrois, niech Bóg mi to przebaczy, zacząłem podejrzewać anioła! Podejrzliwość tkwi bowiem w mojej naturze. Ale gdy umarła Walentyna, nie miałem już cienia wątpliwości — i nie ja jeden. Obecnie o twojej zbrodni wiedzą dwie osoby, ale posądza cię wielu i wkrótce dowie się o niej świat. A, jak mówiłem pani, zwraca się do ciebie nie mąż, ale sędzia! Pani de Villefort ukryła twarz w dłoniach.

— Błagam cię, mój mężu — wybełkotała — nie dowierzaj pozorom.

— Czyżbyś pani była tchórzliwa? — zawołał ze wzgardą Villefort. — Owszem, zauważyłem już dawno, że truciele są tchórzami. Czyżbyś pani była tchórzliwa, ty, co patrzałaś z ohydnyim spokojem na śmierć dwojga starców i młodzianki dziewczyny, których zamordowałaś?

— O mój mężu, o mój mężu!

— Czyżbyś pani była tchórzliwa — ciągnął Villefort z rosnącym gniewem — ty, która liczyłaś minuty, gdy czworo ludzi konało? Ty, która ułożyłaś plan piekielny i preparowałaś haniebne mikstury z zadziwiającą dokładnością i wprawą? Czyżbyś pani, która obliczyłaś wszystko tak dokładnie, zapomniała o jednym, to znaczy o tym, dokąd zajdziesz, jeśli wyda się twoja zbrodnia? O nie, musiałaś pani wszystko przewidzieć, a więc i przygotowałaś truciznę jeszcze subtelniejszą, łagodniejszą i pewniejszą, truciznę, dzięki której uniknęłabyś zasłużonej kary... Uczyniłaś to, tak się przynajmniej spodziewam!

Pani de Villefort załamała ręce i padła na kolana.

— A, widzę, że się pani przyznajesz... Ale kto przyzna się dopiero sędziom, kto przyzna się w ostatnim momencie, kto przyzna się nie mając innego wyjścia, nie umniejsza swojej winy i nie umniejsza sobie kary.

— Kary? — zawołała pani de Villefort. — Drugi raz już wspomniałeś o karze!

— Oczywiście. Czy myślałaś pani, że cztery zbrodnie ujdą ci na sucho? Czy myślałaś pani, że unikniesz kary, jako małżonka człowieka, który kar się domaga?

O nie, moja pani. Trucicielka, kimkolwiek byłaby, pójdzie na szafot, jeśli, jak to powiedziałem, nie zachowała dla siebie paru kropel najsilniejszej trucizny.

Pani de Villefort krzyknęła rozdzierająco, przemożny, ohydny strach owładnął jej zmienionym licem.

— O, nie lękaj się pani rusztowania — powiedział prokurator — nie chcę twojej hańby, ponieważ spadłaby ona i na mnie. Nie, jeśli pani rozumiałaś mnie, pojmujesz na pewno, że nie możesz zginąć na szafocie.

— Nie rozumiałam. Co właściwie masz na myśli, mój mężu? — wybełkotała, całkiem zdruzgotana.

— To, że małżonka najwyższego godnością sędziego stolicy nie okryje hańbą nieskazitelnego nazwiska; nie zbecześci zarówno swojego męża, jak i dziecka.

— O nie, nie...

— A zatem, pani, dziękuję ci za ten dobry uczynek.

— Za co mi dziękujesz?

— Za to, coś pani powiedziała.

— A cóż ja powiedziałam? W głowie mi się mąci, nic już nie rozumiem, o Boże, Boże!

Zerwała się. Włosy miała w nieładzie, piana wystąpiła jej na wargi. Nie odpowiedziała, pani na pytanie, które zadałem wchodząc: Gdzie jest trucizna, którą posługujesz się zazwyczaj?

Pani de Villefort zacisnęła kurczowo ręce, wznosząc je do góry. — Nie, nie! — krzyknęła. — Tego ty nie chcesz!

— Nie chcę, abyś zginęła na szafocie. Zrozumiałaś pani?

— Łaski!

— Chcę, aby sprawiedliwości stało się zadość. Po to żyję na świecie, by karać — dodał patrząc płonąącym wzrokiem. — Każdą inną kobietę, nawet królową, oddałbym w ręce kata; ale wobec pani będę miłosierny. Panią pytam: czy nie zachowałaś paru kropel trucizny łagodnej w działaniu, ale piorunującej i niezawodnej?

O przebaczu, daruj mi życie!

— Tchórzliwa byłaś!

— Pomyśl, że jestem twoją żoną!

— Jesteś trucicielką!

— Błagam cię na zmiłowanie boże!...

— Nie ma dla ciebie zmiłowania.

— Błagam cię w imię twojej miłości!...

— Nie!

— Błagam cię w imieniu naszego dziecka! Daruj mi ze względu na nie.

— Powiadam pani, że nie daruję. Gdybym zostawił cię przy życiu, może otrułaś pewnego dnia i nasze dziecko.

— Ja miałabym otruć Edwardka! — wykrzyknęła ta matka zaślepiona w swojej miłości, rzucając się na męża. — Ja miałabym otruć mojego Edwardka! Ha, ha, ha!...

Śmiech straszny, demoniczny, śmiech wariatki skończył te słowa przechodząc w rżenie.

Pani de Villefort padła na kolana. Mąż podszedł do niej:

— Jeśli, gdy wrócę, sprawiedliwości nie stanie się zadość, oświadczam, że sam panią oskarżę i sam oddam w ręce władz.

Śluchała drżąca, przybita, zdruzgotana; i tylko oko jej żyło, tając straszliwy ogień.

— Posłuchaj pani: będę tam dziś domagał się, aby zbrodniarza ukarano śmiercią... Jeśli zastanę panią przy życiu, spędzisz dzisiejszą noc w Conciergerie.

Pani de Villefort westchnęła, nerwy jej nie wytrzymały, padła na ziemię.

Prokuratora jakby zdjęła litość. Spojrzał na nią nie tak surowo, skłonił się lekko i powiedział z wolna:

— Zegnam panią, żegnam.

Pożegnanie to zadało pani de Villefort cios śmiertelny.

Zemdlała.

Prokurator wyszedł, a wychodząc zamknął drzwi na dwa spusty.

34. SESJA SĄDOWA

Afera Benedetta — jak mówiono w sądzie i w salonach — wzbudziła ogromną sensację.

Domniemany Cavalcanti, bywalec Café de Paris, widywany stale to na bulwarze Gandawskim, to w Lasku Bulońskim, nawiązał przez te kilka miesięcy, gdy błyszczą! w wielkim świecie, mnóstwo znajomości.

Gazety rozpisywały się zarówno o jego stosunkach wielkoświatowych, jak i więziennych. Budziło to tym większe zainteresowanie, zwłaszcza w ludziach, którzy zetknęli się osobiście z księciem Cavalcanti.

Ci przede wszystkim pragnęli za wszelką cenę obejrzeć imć Benedetta, mordercę, galernika, siedzącego na ławie oskarżonych.

Wielu uważało Benedetta za ofiarę pomyłki sądowej.

Starszego pana Cavalcanti widziano przecie w Paryżu. Spodziewano się więc, że zjedzie, aby ująć się za swoją znakomitą latoroślą.

Kto nie widział słynnej czamarki, w jakiej starszy pan Cavalcanti złożył pierwszą wizytę hrabiemu de Monte Christo, temu imponowała godna mina, szlacheckie wzięcie i obycie towarzyskie sędziwego patrycjusza. A powiedzieć to można, iż pan Cavalcanti mógł uchodzić za takiego, ilekroć nie rezonował albo nie rachował.

Oskarżony zaś miał opinię młodzieńca tak miłego, przystojnego i hojnego, iż każdy przypisywał te nieszczęścia podlej intrydze ukrytych wrogów.

Wszyscy spieszyli więc na sesję sądu przysięgłych — jedni, aby rozkoszować się widowiskiem, a drudzy, by je komentować.

Od siódmej rano u bram sądowych utworzył się ogonek, a na godzinę przed otwarciem sesji sala napęlniła się uprzywilejowanymi.

W dni wielkich procesów sala sądowa przypomina salon. Spotykają się tu znajomi, gawędzą i łączą się w grupy, jeśli nie siedzą nazbyt daleko od siebie, w innym bowiem razie straciliby miejsce. Ci więc, którzy podejść do siebie nie mogą, wymieniają przyjazne znaki ponad ciżbą pospólstwa, adwokatów i żandarmów.

Dzień był prześliczny — jesień wynagradza nam czasami słotne albo krótkie lato.

Obłoki, które pan de Villefort ujrzał tego rana, rozpierzchnęły się jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej i nastał dzień przedziwnie czysty, łagodny, opromieniony blaskiem — jeden z ostatnich dni wrześnieowych.

Beauchamp lornetował na prawo i lewo. Jako jeden z królów prasy, miał swój tron wszędzie, a więc i tutaj.

Dostrzegł Château-Reriauda i Debraya, którzy właśnie pozyskali sobie łaski jakiegoś policjanta. Policjant bowiem stanął za nimi, aby nie zasłaniać im widoku.

Zacny ten człek zwąchał, że ma do czynienia z sekretarzem ministra i z milionerem. Okazał względy swoim znakomitym sąsiadom i pozwolił im nawet złożyć wizytę Beauchampowi, obiecawszy, że przez ten czas przypilnuje ich miejsc.

— Ano — rzekł Beauchamp — ujrzymy naszego wspólnego przyjaciela.

— Tak, tak — odpowiedział Debray — prześwietnego księcia. Pal diabli tych książąt włoskich!

— Już Dante w „Boskiej Komedii” wspomina przodków tego jegomościa.

— Szlachta stryckowa — rzucił niedbale Château-Renaud.

— Zostanie skazany, jak myślisz? — zagadnął Debray Beauchampa.

— E, mój drogi — odparł dziennikarz — to chyba ja powinienem cię zapytać, wiesz lepiej niż my, co w sądzie piszczy; nie widziałeś się z prezesem na ostatniej recepcji u twojego ministra?

— Tak, widziałem się.

— I cóż ci powiedział?

— Coś, co was zdziwi.

— No to gadaj prędko, kochasiu, bo dawno nie słyszałem nic ciekawego.

— Powiedział mi, że Benedetto, którego poczytuje się za nowego Ulissesa, jest bardzo poślednim oszustem. Dureń, niegodzien doświadczeń frenologicznych, które będą na nim robić po śmierci.

— Ba — rzekł Beauchamp — rolę księcia odgrywał raczej miernie.

— To według ciebie, mój drogi, bo nienawidzisz nieszczęśliwych książąt i cieszy cię, jeśli dostrzeżesz u nich złe maniery; ale nie według mnie, gdyż ja szlachcica czuję na miłą.

— A więc nigdy nie wierzyłeś w jego mitrę?

— Mitrę mógł nosić, ale księciem nie jest.

— A jednak zapewniam cię — odparł Debray — że mógł w oczach każdego uchodzić za arystokratę. Widywałem go na przyjęciach ministerialnych.

— A bo tak się ci twoi ministrowie znają na książętach! — odparł Château-Renaud.

— Lubię twoje facecje — roześmiał się Beauchamp. — Zdanie w nich krótkie, ale przyjemne. Jeśli pozwolisz, wykorzystam je w mojej kronice.

— Korzystaj sobie, mój drogi panie Beauchamp, korzystaj — odparł Château-Renaud. — To mnie nic nie kosztuje.

— Mówiłem z prezesem — ozwał się Debray do Beauchampa — ale ty chyba w takim razie mówiłeś z prokuratorem.-

— Nic się nie dało zrobić. Pan de Villefort od tygodnia nie przyjmuje nikogo; to całkiem zrozumiałe: tyle zmartwień, a ta zagadkowa śmierć córki to szczyt wszystkiego...

— Zagadkowa? Cóż ty wygadujesz?

— Ano tak, udawaj, że nic nie wiesz, pod pozorem, że wszystko dotyczy szlachty urzędniczej — rzekł Beauchamp i wetknąwszy sobie monokl w oko, starał się ze wszystkich sił go utrzymać.

— Łaskawy pan pozwoli sobie zwrócić uwagę — rzekł Château-Renaud — że jeśli idzie o monokl, daleko mu do Debraya. Debray, daj no lekcję temu panu.

— Czekajcie, czekajcie — rzekł Beauchamp — nie, nie mylę się.

— Cóż tam znowu?

— To ona.

— Jaka ona?

— Mówiono, że wyjechała.

— Czyżby panna Eugenia wróciła już? — zapytał Château-Renaud.

— Nie, ale jej matka.

— Pani Danglars?

— E, to niemożliwe — rzekł Château-Renaud. — W dziesięć dni po ucieczce córki, w trzy dni po bankructwie męża!

Debray, zarumieniwszy się z lekka, spojrział w tę stronę co i Beauchamp.

— E, nie gadałbyś — obruszył się. — To jakaś zawołowana, nieznajoma dama, cudzoziemska księżna, może matka księżna Cavalcanti. Ale mówiłeś, a raczej zamierzałeś opowiedzieć coś bardzo interesującego, jak mi się zdaje.

— Ja? — zdziwił się Beauchamp.

— Tak, ty. Wspomniałeś, że Walentyna zmarła zagadkową śmiercią.

— A owszem. Tylko czemuż tu nie ma pani de Villefort?

— Kochana pani prokuratorowa! — rzekł Debray. — Na pewno cedzi melisę dla szpitala albo wymyśla nowe kosmetyki dla siebie i dla przyjaciółek. Nie wiem, czyście o tym słyszeli, ale podobno wydaje na tę zabawę do trzech tysięcy talarów rocznie. Ale do rzeczy, miałaś rację, czemuż tu nie ma pani de Villefort? Chętnie bym na nią popatrzył, bo bardzo ją lubię.

— A ja jej nienawidzę — oznajmił Château-Renaud.

— Dlaczego?

— Nie mam pojęcia. Czy znamy przyczynę naszych sympatii i antypatii? Nienawidzę jej, i już.

— E, bo ty zawsze z tym swoim instynktem...

— Być może... Ale wróćmy do tego, co mówił Beauchamp.

— A więc — podjął Beauchamp — czy was nie zaciekało, moi panowie, dlaczego u państwa de Villefort umiera się tak gęsto?

— Zabawnieś to powiedział — rzekł Château-Renaud.

— Mój drogi, dowcip ten znajdziesz u Saint-Simona.

— Ale śmierć u państwa de Villefort, wracajmy więc do tematu.

— A tak — zwał się Debray — nie spuszczałem oka z tego domu, od trzech miesięcy okrytego żałobą, a onegdaj nawet, w związku ze śmiercią Walentyny, mówiła mi pani...

— Co za pani? — przerwał Château-Renaud.

— No, do diabła, ministrowa.

— O, przepraszam cię, nie bywam u ministrów. Pozostawiam to księżętom.

— Ulituj się nad nami, baronie, nie raż nas gromami niby Jowisz.

— To już nic nie powiem, ale i ty, u diabła, ulituj się nade mną i nie replikuj mi już.

— Ale, może nareszcie dasz się wypowiedzieć Beauchampowi i mnie. Mówiłem więc, że ministrowa prosiła mnie wczoraj o informacje w tej sprawie; poinformujże mnie, a ja jej powtórzę.

— A więc, moi panowie, skoro u państwa de Villefort umiera się często gęsto, w domu ich musi być morderca.

Obaj młodzieńcy drgnęli, to samo bowiem nieraz już przychodziło im na myśl.

— I któż nim jest? — zapytali jednocześnie.

— Mały Edwardek. Obaj wybuchnęli śmiechem, lecz bynajmniej nie stropiło to Beauchampa.

— Tak, moi panowie, dziecię fenomenalne, które zabija jak stary.

— Nie żartujesz aby?

— Ale skąd! Nająłem wczoraj lokaja, który uciekł od państwa de Villefort, posłuchajcie uważnie.

— Słuchamy.

— Jutro, go zresztą wyrzucę, bo je za trzech. U Villefortów pościł ze strachu i teraz to sobie odbija. Owóż podobno ten drogi chłoptaş zawałdnął flakonem trucizny i używa sobie od czasu do czasu na tych, którzy mu nie dogadzają. Najpierw nie dogodzili, mu dziadziusiowie — państwo de Saint-Meran; zaaplikował im po trzy krople swojego eliksiru; trzy krople wystarczy. Następnie upatrzył sobie poczciwego Barrois: stary sługa dziadzi Noirtiera zbeształ czasem miluchnego psotnika, którego zresztą znacie; a miły figlarz utraktował go trzema kropelkami swojego likworu. Taki sam los spotkał biedną Walentynę — nie wymyślała braciszкови, ale był o nią zazdrosny: nowe trzy kropelki i kwita.

— Ale któż, u diabła, naopowiadał ci o tym? — spytał Château-Renaud.

— Trąci ta opowieśćka wiecznością, prawda? — rzekł Beauchamp.

— Absurd — rzekł Debray.

— Aha — odparł Beauchamp — już byś chciał to wszystko podać w wątpliwość, ale pogadaj z moim lokajem albo raczej z jegomościem, który od jutra moim lokajem nie będzie. Tak mówiono w całym domu.

— Ale cóż to za likwor i gdzież on jest?

— E, do licha, smarkacz chowa go dobrze.

— A skąd go wytrzasnął?

— Z mamusinego laboratorium.

— To ona miała w swoim laboratorium trucizny?

— A skądże ja mogę wiedzieć? Wypytyjesz mnie jak sam prokurator królewski. Powtarzam, com usłyszał, i basta. Podałem ci mojego informatora i więcej dla ciebie zrobić nie mogę. Biedaczysko przestał jeść ze strachu.

— Niewiarygodne!

— Nie, kochasiu, całkiem wiarygodne. Nie słyszałeś, jak w zeszłym roku ów chłoptaś z ulicy Richelieu zabawiał się mordując braci i siostry? Pakował im we śnie szpilkę w ucho. Najmłodsze pokolenie, kochasiu, jest przedwcześnie dojrzałe.

— E, mój drogi — powiedział Château-Renaud — założyłbym się, że nie wierzysz w ani jedno słowo z tego wszystkiego... Ale nie widzę hrabiego de Monte Christo, to i jego tu nie ma?

— Znudził się już tym — odparł Debray. — A ponadto nie zechce się tutaj pokazywać, bo jego przecież oszwaibił ten Cavalcanti. Podobno sfalszował podpis hrabiego na wekslach, a weksle te, obciążające hipotekę księstwa, opiewają na sto tysięcy franków.

— Aha, byłbym zapomniał, baronie — rzekł Beauchamp — nie wiesz, jak się miewa Morrel?

— Byłem u niego ze trzy razy, ale przepadł bez wieści. Mimo to jego siostra nie wydała mi się zaniepokojona. Oznajmiła mi jakby nigdy nic, że już od paru dni nie pokazał się w domu, ale że przy tym nie stało mu się nic złego. Jest tego pewna.

— Czekajcie, czekajcie! — zawołał Beauchamp. — Już wiem, dlaczego hrabia de Monte Christo nie zjawi się tutaj.

— No, dlaczegoż to?

— Bo sam jest aktorem w tym dramacie.

— Czyżby i on kogoś zamordował? — zapytał Debray.

Ależ nie, przeciwnie, to jego chciano zamordować. Toć wiecie, że zacny pan Caderousse wychodząc od hrabiego padł z ręki swojego przyjaciela Benedetta. Wiecie także, że to u hrabiego znaleziono słynną kamizelkę, a w niej ów list, który udaremnił podpisanie kontraktu. Widzicie, słynna kamizelka leży tam, na stole, okrwawiona — jako dowód rzeczowy.

— A tak, tak, rzeczywiście.

— Cicho, panowie, sąd idzie, wracajmy na miejsca! W tymże momencie podniósł się gwar.

Policjant wezwał swoich protegowanych energicznym chrząknięciem; woźny stanął w progu sali i krzyknął głosem skrzekliwym, jaki woźni mieli już w czasach Beaumarchais'go:

— Sąd idzie!

35. AKT OSKARŻENIA

Sędziowie zasiedli pośród najgłębszego milczenia.

Przysięgli zajęli miejsca.

Pan de Villefort — będący przedmiotem ogólnej uwagi, jeśli nie podziwu — usadowił się w bircie na swoim fotelu i jął rozglądać się spokojnie.

Każdy spoglądał ze zdziwieniem na tę twarz surową i nieprzeniknioną: dramat rodzinny nie pozostawił jak gdyby na niej żadnych śladów. Ten człowiek, obcy wszelkim ludzkim uczuciom, budził grozę.

— Żandarmi — ozwał się prezes — wprowadźcie oskarżonego!

Gdy padły te słowa, uwaga wśród publiczności wzrosła jeszcze bardziej. Wszyscy wlepili wzrok w drzwi, którymi miał wejść Benedetto.

Drzwi otworzyły się niebawem i ukazał się oskarżony.

Wszyscy odnieśli podobne wrażenie, nikogo nie zmylił wyraz jego fizjonomii.

Nie małowalo się na niej owo głębokie wzruszenie, skutkiem którego wszystka krew spływa do serca, a policzki i czoło okrywają się bledością.

W jednej ręce trzymał z wdziękiem cylinder, drugą zatknął za białą pikowaną kamizelkę. Ręce te bynajmniej nie drżały.

Spozierał spokojnie, oko błyszczało mu nawet.

Wszedłszy na salę jął przyglądać się sędziom i przysięgłym, szczególną zaś uwagą zaszczycił prezesa, a zwłaszcza, prokuratora.

Obok Andrei usiadł jego adwokat — adwokat z urzędu, Andrea bowiem nie zechciał zająć się szczegółami, do których, jak się wydawało, nie przywiązywał najmniejszego znaczenia. Adwokat był młody, rudawy; twarz poczerwieniała mu — przejmował się sprawą po stokroć bardziej niż oskarżony.

Prezes zarządził, by odczytano akt oskarżenia. Jak wiemy, zredagowało go zręczne i nieubłagane pióro pana de Villefort.

Publiczność nie przestawała wpatrywać się w Andreę, który w czasie tego długiego czytania, jakże dlań przytłaczającego, zachowywał spartańską pogodę ducha.

Nigdy jeszcze Villefort nie przemawiał tak zwięźle i elokwentnie zarazem.

Odmalował zbrodnię w jak najżywszych barwach.

Przedstawił przeszłość oskarżonego i jego poszczególne metamorfozy. Wykazał, iż uczynki Andrei tworzyły logiczny łańcuch od jego najmłodszych lat. Wyłożył to wszystko z talentem i znajomością życia oraz serca ludzkiego — gdyż prokurator królewski odznaczał się umysłem nieprzeciętnym.

Sam wstęp zgubiłby Benedetta w oczach opinii publicznej — czekano już li tylko na sprawiedliwy wyrok.

Andrea nie zwracał jednak najmniejszej uwagi na zarzuty, jakie przeciw niemu wytaczano.

Pan de Villefort obserwował go czytając — prowadził przy tej sposobności swoje studia psychologiczne nad oskarżonym. — i ani razu Andrea nie spuścił oczu pod jego baczny i przeszywającym spojrzeniem. Odczytano wreszcie akt oskarżenia.

— Imię i nazwisko oskarżonego? — ozwał się prezes. Andrea wstał.

— Pan prezes wybaczy — rzekł głosem donośnym i czystym — ale na taki porządek pytań zgodzić się nie mogę. Śmiem twierdzić, co później uzasadnię, że stanowią wyjątek wśród oskarżonych. Niechże więc pan raczy się zgodzić na inny porządek pytań, bo przecież i tak na wszystko odpowiem.

Zdumiony prezes popatrzył na przysięgłych, a oni spojrzeli na prokuratora. Salę ogarnęło nie mniejsze zdumienie. Lecz Andrea nie przejął się tym bynajmniej.

— Wiek oskarżonego? — zagadnął prezes. — Odpowie oskarżony na to pytanie?

— Odpowiem, panie prezesie, jak i na każde, tylko w pewnej kolejności.

— Wiek oskarżonego? — powtórzył prezes.

— Mam dwadzieścia jeden lat, a raczej skończę je za parę dni, gdyż urodziłem się w nocy z 27 na 28 września 1817 roku.

Pan de Villefort, gotów już zapisać tę datę, uniósł głowę znad papierów.

— Gdzie oskarżony się urodził? — zapytał prezes.

— W Auteuil, pod Paryżem — oświadczył Benedetto.

Pan de Villefort spojrział znów na Benedetta i poblądł śmiertelnie, jakby zobaczył głowę Gorgony.

A Benedetto przeciągnął wdzięcznie po wargach różkiem haftowanej chusteczki z cienkiego batystu.

— Profesja oskarżonego? — zapytał prezes.

— Zacząłem jako fałszerz — oznajmił Andrea najspokojniej pod słońcem — potem zająłem się kradzieżą, ostatnio zaś mordem.

Na sali rozległ się szmer, a raczej zakotłowało się z oburzenia.

Sędziowie osłupieli i popatrywali na oskarżonego; przysięgli nie posiadali się ze zgrozy, spotkawszy się z cynizmem, tak u młodego eleganta nieoczekiwanym.

Pan de Villefort chwycił się za głowę i poczerwieniał gwałtownie. Raptem zerwał się tocząc błędnym wzrokiem. Nie mógł złapać tchu.

— Czy pan prokurator czegoś szuka? — zapytał Benedetto z najuprzejmiejszym uśmiechem.

Pan de Villefort nic nie odrzekłszy osunął się na fotel.

— Czy teraz oskarżony zechce wyjawić nam swoje nazwisko? — ozwał się prezes. — Szkaradna bezczelność, z jaką oskarżony wyliczył swoje zbrodnie, zwane przez oskarżonego profesją, a także coś na kształt chępliwości, z jaką oskarżony mówi o nich, obraża moralność. Sąd potępia oskarżonego za taką postawę. Może dlatego oskarżony zwleka, by wyjawić swoje nazwisko. Czy oskarżony zechce je zdradzić teraz, wyliczywszy swoje godności?

— To wprost nie do wiary — ozwał się Benedetto tonem jak najuprzejmiejszym i kłaniając się wykwinicie — to wprost nie do wiary, jak pan prezes odgadł to, com najgłębiej utaił: dlatego właśnie prosiłem, aby zmienić porządek pytań.

Zdumienie sięgnęło szczytu.

W słowach oskarżonego nie było już ani fanfaronady, ani cynizmu. Wzburzone audytorium przeczuwało, że z tej czarnej chmury uderzy jakiś straszliwy grom.

— Jakże więc oskarżony się nazywa? — rzekł prezes.

— Nie mogę wyjawić panu prezesowi mojego nazwiska, gdyż go nie znam; ale znam nazwisko mojego ojca i wyjawić je mogę.

Villeforta zamroczyło i głowa mało nie pękła mu z bólu. Z czoła lał mu się pot, ściekając na papiery, które prokurator przerzucał gorączkowo i nieprzytomnie.

— Niechże więc oskarżony powie nazwisko swojego ojca — ozwał się prezes. Na sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał, wszyscy wstrzymali oddech zamartwiony w oczekiwaniu.

— Mój ojciec jest prokuratorem królewskim — oznajmił spokojnie Andrea.

— Prokuratorem królewskim! — zdumiał się prezes, nie zauważywszy, jak bardzo zmieniła się twarz Villeforta. — Prokuratorem królewskim?

— Tak, a skoro pan prezes ciekaw jest jego nazwiska, mój ojciec nazywa się de Villefort.

Na sali zawrzało. Powstał nieopisany zgielk, nikt już nie pamiętał o szacunku należnym sprawiedliwości.

A i w przedziom nikt nie myślał, aby uciszyć ów tumult.

Obelgi i przekleństwa, gwałtowne pogroźki, beładne miotanie się żandarmów, drwiny, jakich motłoch dobywający się zawsze na wierzch, gdy wybucha zamieszanie lub skandal, nie szczędziły Benedetta, który trwał w niewzruszonym spokoju — owa burza przewalała się przez pięć minut, nim wreszcie sędziowie i woźni zdołali ją uciszyć.

Wśród hałasu przedzierał się głos prezesa:

— Oskarżony drwi ze sprawiedliwości! Oskarżony ośmielił się dać współobywatelom przykład zepsucia, niesłuchany w naszej i tak zdemoralizowanej epoce!

Villefort siedział zdruzgotany. Kilkanaście osób stłoczyło się wokół niego pocieszając go, krzepiąc, zapewniając o swojej sympatii i przyjaźni.

Na sali zapanował spokój i tylko w jednym miejscu szeptało jeszcze i krzątało się.

Podobno zemdlą tam jakaś kobieta i cucono ją solami trzeźwiącymi. Po chwili przyszła do siebie.

Benedetto uśmiechnął się wśród tego zgielku, a potem wsparł się ręką o dębową barierę, przybrał wdzięczną pozę i rzekł:

— Moi państwo, Bóg mi świadkiem, że nie chciałem obrazić wysokiego sądu i wywoływać skandalu w obecności tak świętego zgromadzenia. Zapytano mnie o mój wiek — odpowiedziałem, zapytano mnie, gdzie się urodziłem — odpowiedziałem; zapytano mnie o nazwisko — odpowiedzieć nie mogłem, gdyż rodzice mnie porzucili. Ale nie mówiąc mojego nazwiska, ponieważ nie mam go, mogę wyjawić nazwisko mojego ojca: powtarzam więc, że mój ojciec nazywa się de Villefort i jestem gotów przedstawić dowody.

Młodzieniec powiedział to z takim przekonaniem i energią, że na sali uciszyło się już całkiem.

Wszyscy patrzyli teraz na prokuratora: Villefort siedział nieruchomo, jakby śmiertelnie rażony piorunem.

— Moi państwo — ciągnął Andrea — winien wam jestem dowód i wyjaśnienie.

— Ale — zawołał zirytowany prezes — oskarżony oświadczył na śledztwie, że nazywa się Benedetto i że jest sierotą, a z urodzenia Korsykaninem.

— Mówiłem w śledztwie to, co uważałem za wygodne dla siebie. Nie chciałem, aby udaremnił mi wyznanie, któremu pragnę nadać rozgłos.

Powtarzam więc, że urodziłem się w Auteuil, w nocy z 27 na 28 września 1917 roku i że jestem synem pana de Villefort, prokuratora królewskiego. Urodziłem się w domu przy ulicy Źródlanej 28, na pierwszym piętrze, w pokoju obitym czerwonym adamaszkiem. Ojciec wziął mnie na ręce, oświadczył mojej matce, że urodziłem się martwy, owinał mnie w pieluszkę z monogramem H. N., zaniósł do ogrodu i tam pogrzebał żywcem.

Tłum zakółsał się, widząc, że oskarżony zeznaje z coraz większą pewnością siebie, a przerażenie pana de Villefort wzrasta.

— Ale w jaki sposób dowiedział się oskarżony tych wszystkich szczegółów? — zapytał prezes.

— Zaraz to panu prezesowi objaśnię. Do ogrodu, gdzie ojciec miał mnie pogrzebać, zakradł się tejże nocy pewien człowiek — śmiertelny jego wróg, który tropił ojca od dawna, by wyrzucić na nim zemstę korsykańską. Człowiek ów ukrył się między drzewami. A gdy ojciec mój zakopywał kufereczek, ugodził go nożem. Myśląc, że w kufereczku znajdzie jakiś skarb, rozkopał ziemię; żyłem jeszcze. Zaniósł mnie do domu podrzutków, gdzie otrzymał numer pięćdziesiąt siedem. Po trzech miesiącach siostra jego przybyła z Rogliano do Paryża i odebrała mnie, powiadając, że jestem jej synem. Oto dlaczego, choć urodzony w Auteuil, wychowałem się na Korsyce.

Nastała cisza głęboka. Obecny dech zaparło — jakby pierś ich dławił bolesny ciężar.

— Niech oskarżony mówi dalej — ozwał się prezes.

— Mogłem żyć szczęśliwie, bo ci zacni ludzie kochali mnie jak syna; ale moja przewrotna natura obracała wniwecz nauki moralne, jakich nie skąpiła mi moja przybrana matka. Rosłem niby chwast i stałem się zbrodniarzem. Jednego dnia, gdym bluźnił Bogu, że stworzył mnie tak złym i przeznaczył mi los ohydny, mój przybrany ojciec powiedział do mnie:

„Przestań bluźnić, nieszczęsny! Bóg nie stworzył cię złym. Winę ponosi twój ojciec: gdybyś umarł, poszedłbyś do piekła; ocalałeś cudem, lecz jesteś skazany na nędzę!”

Od tej chwili przestałem bluźnić Bogu, a zacząłem przeklinać mego ojca. Stąd te słowa, za które pan prezes mnie skarcił. Oto dlaczego wywołałem zgorszenie, które tak wzburzyło audytorium. Jeśli to jedno przestępstwo więcej, ukarście mnie; ale jeśli przekonałem was, że urodziłem się pod nieszczęśliwą gwiazdą, ulitujcie się nade mną!

— A matka oskarżonego?... — zapytał prezes.

— Matka myślała, że urodził się martwy — i nie ponosi żadnej winy. Nie chciałem dowiadywać się o nazwisko matki; nie znam jej.

W tejże chwili ktoś krzyknął rozziewając i załkał.

Kobieta jakaś dostała gwałtownego ataku nerwowego i upadła. Wyniesiono ją z sali.

Gdy ją wynoszono, zsunęła się gęsta woalka osłaniająca jej twarz. Poznano panią Danglars.

Villefort, choć zmiażdżony do ostatka i bliski utraty zmysłów, zerwał się, poznawszy ją także.

— Ale gdzie dowody? Gdzie dowody? — zapytał prezes. — Niech oskarżony weźmie pod uwagę, że musi ten splot okropności poprzeć niezbitymi dowodami.

— Dowody? — roześmiał się Benedetto. — Żąda pan prezes dowodów?

— Tak.

— No to niech pan spojrzy na pana de Villefort, a potem żądaj pan ode mnie dowodów.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na Villeforta, on zaś — pod ich ciężarem — zbliżył się do bariery. Włosy miał w nieładzie, na twarzy czerwone ślady paznokci. Na sali rozległ się szmer zdziwienia.

— Żądają ode mnie dowodów, mój ojciec — rzekł Benedetto. — Czy mam je przedstawić?

— Nie, nie, nie trzeba — wybełkotał pan de Villefort, a słowa więzły mu w gardle.

— Nie trzeba? — roześmiał się prezes. — Jak mamy to rozumieć?

— Daremnie szamotałbym się w śmiertelnym uścisku, który mnie miażdży! — zawołał prokurator. — Jestem, czuję to, w ręku Boga mściciela. Nie trzeba dowodów! Ten młodzieniec powiedział prawdę.

Cisza posępna i ciężka, cisza, jaka poprzedza katastrofę, spowiła audytorium ołowianym płaszczem.

— Czy pan, panie prokuratorze, nie uległ halucynacji? — wykrzyknął prezes. — Czy jesteś pan aby przy zdrowych zmysłach? To zrozumiałe, że oskarżenie tak niespodziane, dziwaczne i straszne oszołomiło pana. No, niechże pan oprzytomnieje!

Prokurator potrząsnął głową. Szczękał zębami jak w gorączce, ale przy tym był śmiertelnie blady.

— Jestem, panie prezesie, przy zdrowych zmysłach — odrzekł. — Cierpię tylko, to pojąć łatwo. Przyznaję się do winy: ten młodzieniec powiedział szczerą prawdę. Stawiam się do dyspozycji prokuratora królewskiego, mojego następcy.

Wyrzekłszy to wszystkim głosem stłumionym i głuchym, pan de Villefort, chwiejąc się, podążył ku drzwiom, które woźny machinalnie otworzył przed nim.

Zaległa, najgłębsza cisza; wszyscy osłupieli: jakąż rewelacją było to wyznanie, jakimż strasliwym wyjaśnieniem zagadkowych wydarzeń, które od dwóch tygodni tak żywo komentowano w paryskich salonach.

— No i niechże mi teraz kto powie — ozwał się Beauchamp — że dramatów nie robi samo życie.

— Wolałbym już — powiedział Château-Renaud — skończyć jak pan de Morcerf. Strzał z pistoletu wydaje się czymś przyjemnym wobec takiej katastrofy.

— A prócz tego zabija — dorzucił Beauchamp.

— I ja w pewnym momencie zamierzałem poślubić jego córkę! — zawołał Debray. — Dobrze biedactwo zrobiło, że umarło.

— Posiedzenie sądu skończone — oznajmił prezes. — Sprawę odroczone, śledztwo zostanie wznowione i poprowadzi je kto inny.

Andrea, nie tracąc spokoju i budząc tym większe zainteresowanie, opuścił salę pod eskortą żandarmów, którzy teraz mimo woli odnosili się doń z szacunkiem.

— No i cóż wy na to? — rzekł Debray do policjanta, wsuwając mu ludwika w rękę.

— Wyjdą na jaw okoliczności łagodzące — odpowiedział policjant.

36. POKUTA

Tłum, choć gęsty, rozstał się szybko przed panem de Villefort.

Wielka boleść budzi tyle szacunku, że nawet w najokropniejszych czasach pierwszy odruch tłumu wobec ludzi dotkniętych nieszczęściem był zawsze przyjazny.

Wiele ludzi zniechęconych ginie podczas rozruchów, ale rzadko kiedy tłum łyże straceńca, choćby nawet rzeczywiście był zbrodniarzem.

Villefort przeszedł tedy między szpalerem widzów, straży i woźnych. Aczkolwiek przyznał się do winy, oddalił się bez przeszkód, albowiem chroniło go nieszczęście.

Bywają sytuacje, które człowiek ogarnia instynktem, nie mogąc ich pojąć rozumowo; w tym wypadku największym poetą jest ten, kto folgując swojej naturze wyda okrzyk najgwałtowniejszy.

Tłum uważa ten okrzyk za całą opowieść — ma rację zadowolając się nim i poczytując go za wzniosły, jeśli jest szczerzy.

A zresztą, trudno by było odmalować osłupienie, w jakim Villefort opuszczał gmach sądowy. Wystarczy powiedzieć, że cierpiał straszliwie.

Powlókł się korytarzami, a nie zablądził tylko dlatego, że znał je wybornie. Zrzucił tożę z ramion, ciążyła mu bowiem i paliła go niby koszula Dejaniry.

Dotarł, chwiejąc się, na dziedziniec Delfiny. Zbudził drzemiącego stangreta otwierając drzwiczki, padł na poduszki powozu, wskazując palcem kierunek drogi: Przedmieście Świętego Honoriusza.

Kareta ruszyła.

Villeforta przygniótł — zawaliwszy się — gmach jego własnej fortuny. Nie wiedział jeszcze, jakie konsekwencje pociągnie za sobą ta katastrofa. Przeczuwał je tylko. Znając artykuły kodeksu, nie obrachowywał jednak na zimno, niby zbrodniarz, jaka czeka go kara.

Mimo wszystko miał Boga w sercu.

— Bóg — wyszeptał bezwiednie. — Bóg! Bóg!

Przypisywał swoją klęskę jedynie Bogu.

Powóz toczył się szybko.

Villefort, miotając się na poduszkach, uczył, że coś go uwiera.

Wziął ów przedmiot w rękę. Był to zapomniany wachlarz pani de Villefort — wsunął się kiedyś między poduszki oparcia..

Wachlarz ten obudził w nim wspomnienia — wspomnienia, niby błysk w ciemnościach nocnych.

Villefort pomyślało żonie... — Ooo! — krzyknął, jakby rozpalone żelazo przeszło mu serce.

Od godziny widział swoje nieszczęście tylko w połowie, a teraz ukazał mu się cały jego ogrom.

Potraktował tę kobietę jak nieubłagany sędzia, skazał ją na śmierć. A ona teraz, przejęta grozą, nękana straszliwymi wyrzutami sumienia, trawiona wstydem, który obudził w niej powołując się na swoje nieposzlakowane nazwisko, ona, biedna, słaba kobieta, bezbronna wobec jego absolutnej władzy, gotuje się może na śmierć!

Wyrok zapadł bowiem przed godziną.

Obecnie wspomina wszystkie swoje zbrodnie, błaga Boga o zmiłowanie, pisze list, aby uzyskać od swojego cnotliwego małżonka przebaczenie, które okupi życiem.

Villefort znowu jęknął z bólu i wściekłości.

— Ach! — zawołał, miotając się po atlasowych poduszkach karety — ta kobieta stała się zbrodniarką jedynie dlatego, że miała styczność ze mną. Toć ja ociekam zbrodnią. Ona zaraziła się zbrodnią, jak zarażamy się tyfusem, cholera albo dżumą — i ja ją karzę!... Ośmieliłem się jej powiedzieć: „Okaż skruchę i umieraj”... O, nie, nie, nie... będzie żyła!... wyjedziemy razem... Opuścimy Francję, uciekniemy, gdzie oczy poniosą. Mówiłem jej o szafocie!... Wielki Boże! Jakże to słowo mogło mi przejść przez usta?... Ależ i mnie także czeka szafot!... Uciekniemy... Tak, wypowiadam się jej; tak, co dzień będę jej powtarzał z pokorą; i ja też popełniłem zbrodnię... Tygrys ożenił się z jadowitym wężem!... O żono, godna takiego męża, jak ja!... Ona musi żyć, jej hańba zblednie wobec mojej!

I Villefort, opuściwszy szybko znajdującą się na przedzie karety tak gwałtownie, iż o mało nie trzasła, zawołał takim głosem, że stangret podskoczył na koźle:

— Prędeży! Prędeży! Prędeży!

Konie, spłoszone tym krzykiem, pognały do domu.

— Tak, tak — powtarzał sobie Villefort — ta kobieta żyć musi, będzie pokutować i wychowywać swojego syna, moje biedne dziecię! Ono jedno, i ten niespożyty starzec, ocalało w katastrofie rodzinnej. Kochała swoje dziecię i dla niego dopuściła się tylu zbrodni. Nigdy nie należy potępiać serca kochającej matki; będzie pokutować, nikt się nie dowie, że zawiniła. Popelniono kilka zbrodni w moim domu, ludzie zaczynają już gadać o tym, ale z czasem — zapomną. A jeśli któryś z moich wrogów popróbuje odgrzebać tę sprawę, umieszczę go na mojej czarnej liście... i nie pożyje długo. Jeden mniej, jeden więcej — to nie ma dla mnie znaczenia! Żona moja ucieknie zabierając złoto, a przede wszystkim Edwardka, znajdzie się z dala od przepaści, w którą świat runie chyba razem ze mną. Będzie żyć i będzie jeszcze szczęśliwa, bo cała jej miłość skupia się na synu, a syn nie opuści matki. Zrobię więc dobry uczynek. O, już lżej mi na sercu.

I prokurator odetchnął wreszcie swobodniej.

Kareta zatrzymała się na dziedzińcu pałacowym. Villefort pomknął na ganek. Służba zdumiała się, że wrócił tak prędko. Nic innego z twarzy lokajów nie wyczytał. Żaden też nie przemówił do niego. Skłonili się tylko i przepuścili go z szacunkiem.

Mijając pokój ojca, dostrzegł przez uchylone drzwi dwa cienie; ale nie zainteresował się, kto był u ojca — niepokój gnał Villeforta dalej.

— No — mruknął na bocznych schodach wiodących do apartamentów jego małżonki — nic się tu nie zmieniło.

I przede wszystkim zamknął drzwi wychodzące na klatkę schodową.

— Nikt nam przeszkodzić nie może — powiedział jeszcze. — Muszę z nią porozmawiać swobodnie, oskarżyć się przed nią, wyznać wszystko...

Nacisnął kryształową gałkę u drzwi — drzwi się otworzyły.

— Nie zamknięte! — mruknął. — Doskonale, doskonale...

Wszedł do saloniku, gdzie co wieczór ustawiano łóżko dla Edzia; gdyż chłopiec wracał co dzień z gimnazjum — matka nie chciała się z nim rozstawać na dłużej.

Jednym rzutem oka ogarnął salonik.

— Nikogo tu nie ma — rzekł. — Musi więc być w sypialni.

Podbiegł do drzwi. Drzwi były zamknięte na rygielek. Zadrżał.

— Helloizo! — zawołał.

Wydało mu się, że ktoś poruszył krzesłem.

— Helloizo! — powtórzył.

— Kto tam? — odpowiedziała pani de Villefort. Głos jej był jak gdyby słabszy niż zwykle.

— Otwórz, Otwórz! — zawołał. — To ja!

Ale choć prosił o to, chociaż w głosie jego brzmiał niepokój, Helloiza nie otworzyła.

Villefort otworzył drzwi, kopnąwszy je z całej siły.

Pani de Villefort stała u wejścia do buduaru. Była blada, rysy jej ściągnął grymas, oczy zachodziły szklivem.

— Helloizo!... Helloizo! — rzekł. — Co ci jest? Mów. Żona wyciągnęła ku niemu rękę zeszywniałą i sinawą.

— Już się stało, mężu — powiedziała, a rżenie rozdzierało jej krtań. — Czegóż chcesz jeszcze ode mnie?

I runęła na dywan.

Villefort podbiegł do niej, chwycił ją za rękę.

W dłoni, zaciśniętej konwulsyjnie, tkwił kryształowy flakon ze złoconym korkiem.

Pani de Villefort już nie żyła.

Villefort, nieprzytomny ze zgrozy, cofnął się na próg, spoglądając na trupa.

— Mój synu! — zawołał nagle. — Gdzie mój syn? Edziu! Edziu! Wypadł z pokoju krzyząc:

— Edziu! Edziu!...

Krzyczał tak rozdzierająco, że zbiegli się słudzy.

— Gdzie mój syn? — zapytał Villefort. — Trzeba zabrać go z domu, żeby nie zobaczył...

— Panicza nie ma na dole — odpowiedział kamerdyner.

— Na pewno bawi się w ogrodzie. Idźcie, poszukajcie panicza! Poszukajcie!

— Nie, proszę jaśnie pana. Jaśnie pani zawołała panicza jakie pół godziny temu. Panicz poszedł do jaśnie pani i już od niej nie wychodził.

Na czoło Villeforta wystąpił zimny pot. Prokurator zachwiał się, myśli przestały kojarzyć się logicznie w jego mózgu — kręciły się niby kółka zepsutego zegara.

— U jaśnie pani... u jaśnie pani — wyszeptał.

I zawrócił z wolna, jedną ręką ocierając czoło, a drugą podpierając się o ścianę. Miał znów zobaczyć trupa swojej nieszczęsnej żony. Gdy będzie wołał Edwardka, sprofanuje ciszę jej pokoju — pokoju, który stał się grobem.

Villefort nie mógł dobyć z siebie głosu.

— Edziu! Edziu!... — wybełkotał.

Chłopiec nie odpowiedział.

Gdzież więc było to dziecko, które — jak oznajmiła służba — weszło do pokoju matki i nie wychodziło stamtąd?

Villefort cofnął się o krok.

Ciało jego żony zagradzało drogę do buduaru, gdzie musiał być Edwardek.

Ciało to jakby strzegło progu. Zmarła miała oczy otwarte, wargi uśmiechały się jakby ze straszliwą i tajemniczą ironią.

Za uniesioną portierą Villefort widział fragment buduaru, pianino i róg kanapy obitej błękitnym jedwabiem.

Villefort postąpił kilka kroków naprzód. Ujrzał Edwardka — chłopiec leżał na kanapie.

Oczywiście spał.

Nieszczęśnik uradował się niewypowiedzianie — jakby promień światła przeniknął do piekła, gdzie się szamotał.

Trzeba więc było uczynić tylko krok nad zmarłą, wejść do buduaru, chwycić dziecko na ręce i uciec daleko, daleko.

W człowieku tym, jakże zepsutym, obudził się tygrys — tygrys śmiertelnie zraniony, który jeszcze ukąsić potrafi.

Teraz już nie lęka się przesądów, lecz upiorów.

Przeskoczył przez trupa, jak gdyby musiał przebyć żrący ogień.

Chwycił dziecko w ramiona, tuląc je, potrząsając nim, wołając.

Dziecko nie poruszyło się nawet.

Przyłgął wargami do policzka — policzki były sine i zimne.

Obmacał zeszywniałe ciało.

Dotknął ręką serca — serce już nie biło.

Edwardek nie żył.

Zza kurteczki wypadła mu kartka papieru złożona w czworo.

Villefort, jakby gromem rażony, padł na kolana.

Dziecię wysunęło mu się z rąk i spoczęło obok matki.
Villefort podniósł papier, poznał pismo żony, jął czytać.
Oto, co zawierał ów list:

*Byłam, jak wiesz, dobrą matką, skoro dla mojego syna popełniałam
zbrodnie. Dobra matka odchodzi zawsze z synem.*

Villefort nie mógł oczom uwierzyć. Zwątpił, czy jest przy zdrowych zmysłach. Zbadał jeszcze raz ciało Edwardka, wpatrując się weń, jak lwica wpatruje się w martwe lwiatko.

I krzyknął rozdzierająco:

— Bóg!... Znowu Bóg!...

Przerażały go te dwie ofiary, ten pusty pokój, gdzie leżały dwa trupy.

Przed chwilą jeszcze podtrzymywała go wściekłość, to wspaniałe pokrzepienie dla ludzi silnych; podtrzymywała go i desperacja, ten ostatni zryw, w którym tytani wdzierali się na Olimp, Ajaks wygrażał pięścią Zeusowi.

Villefort pochylił się, przytłoczony boleścią.

Przyklęknął, odrzucił ruchem głowy włosy mokre od potu i zjeżone ze strachu. I on, który nigdy nad nikim się nie ulitował, poszedł do ojca, aby w przystępie słabości — wypłakać się i opowiedzieć o swoim nieszczęściu.

Podążył więc na parter znanymi nam schodami.

Gdy wszedł, Noirtier słuchał z uwagą słów księdza Busoniego, spokojnego i chłodnego jak zwykle.

Ujrawszy księdza, Villefort chwycił się za czoło. Przeszłość stanęła mu przed oczyma, napłynął spienioną falą gniewu. Przypomniała mu się wizyta, jaką złożył księdzu na drugi dzień po obiedzie w Auteuil, i przypomniała mu się bytność księdza w jego domu po śmierci Walentyny.

— Ksiądz tutaj! — rzekł. — Zjawia się ksiądz zawsze razem ze śmiercią. Busoni wstał.

Widząc zmienioną twarz Villeforta, widząc nieprzytomny wyraz jego błyszczących oczu, domyślił się, że scena w sądzie już się rozegrała. Ale nie domyślał się reszty.

— Byłem tu, aby modlić się za pańską córkę — odrzekł.

— A dziś co ksiądz tu robi?

— Przyszedłem powiedzieć, że zapłaciłeś mi pan swój dług że od tej chwili będę prosił Boga, aby jak i ja zadowolili się tą zapłatą.

— Na miłość boską! — przeraził się Villefort. — To nie głos księdza Busoni!

— A nie.

Ksiądz zerwał perukę z tonsurą i potrząsnął głową; długie czarne włosy opadły mu na ramiona, okalając twarz pełną energii.

— To twarz hrabiego de Monte Christo! — zawołał Villefort, spoglądając błędnym wzrokiem.

— I tak, i nie, panie prokuratorze. Niech pan lepiej poszpera w pamięci.

— Ten głos! Ten głos! Gdzież ja słyszałem go po raz pierwszy?...

— Dwadzieścia trzy lata temu w Marsylii, w dzień pańskich zaręczyn z panną de Saint-Mèran. Niech pan poszuka u siebie w aktach.

— Nie jesteś pan księdzem Busonim i nie jesteś pan hrabią de Monte Christo... O Boże! Jesteś pan owym wrogiem tajemniczym, nieubłagany, śmiertelnym! Skrzywdziłem cię widać w Marsylii! O biada mi, biada!

— Tak, masz rację, w tym rzecz właśnie — odparł hrabia krzyżując ramiona. — Szukaj, szukaj!

— Ale cóżem ci zrobił? — zawołał Villefort bliski utraty zmysłów. Cóżem ci zrobił? Powiedz!

— Skazałeś mnie na śmierć powolną i ohydną, zabiłeś mojego ojca; pozbawiłeś mnie wolności, pozbawiłeś kochanki i fortuny! Ale kim jesteś!... Kim jesteś?... O Boże!

Jestem widmem nieszczęśnika, którego wtrąciłeś na dno lochów twierdzy If. Bóg wywiódł widmo z lochu, włożył mu maskę hrabiego de Monte Christo i obsypał je diamentami i złotem, abyś go dziś nie poznał.

— Ach! Poznaję cię... Poznaję... Jesteś...

— Jestem Edmund Dantes!

— Tyś jest Edmund Dantès! — krzyknął Villefort chwytając hrabiego za rękę. — A więc chodź ze mną!

I powiódł zdziwionego Monte Christo schodami. Hrabia szedł za nim, przeczuwając jakąś nową katastrofę.

— Spójrz, Edmundzie! — zawołał prokurator wskazując dwa trupy. — Spójrz! Przypatrz się dobrze! Uważasz się teraz za pomszczonego?

Monte Christo zbladł.

Pojął, że przekroczył prawa zemsty.

Pojął, że powiedzieć już nie może: „Bóg jest za mną i ze mną”.

Wstrząśnięty do głębi, podniósł dziecko, otworzył mu oczy, zmacał puls i wypadł do pokoju Walentyny, zamykając za sobą drzwi na dwa spusty.

— Moje dziecko! — wykrzyknął Villefort. — Zabrał mi moje dziecko! Przeklinam cię! Obyś padł trupem!

Porwał się, aby gonić Monte Christo, ale nogi — jak bywa we śnie — wrosły mu w ziemię, oczy o mało nie wystąpiły z orbit, palce, skurczone konwulsyjnie, jęły orać pierś aż do krwi. Żył na skroniach nabrzmiały, krew mało nie rozsądziła czaszki, chlusnąwszy do mózgu powodzią ognia.

Tkwiał nieruchomo kilka minut — póki straszny wstrząs nie dokonał swego.

Wtedy krzyknął rozdzierająco, wybuchnął śmiechem i zbiegł na dół.

Po kwadransie otworzyły się drzwi pokoju Walentyny i ukazał się Monte Christo.

Błady, z okiem przygasłym, zgarbiony, zbolący do ostatnich granic.

Trzymał w ramionach dziecko, któremu nie zdołał przywrócić życia.

Przykląkł, ułożył je z pietyzmem na zwłokach matki, oparłszy głowę Edwardka o jej pierś.

Po chwili wstał i wyszedł, a spotkawszy na schodach lokaja, zapytał:

— Gdzie pan de Villefort?

Sługa nic nie odrzekł i tylko wskazał ogród.

Monte Christo podążył więc tam. Słudzy otaczali Villeforta, a prokurator zaciekle kopał łopataą ziemię.

— Nie, to jeszcze nie tu — powtarzał — nie, to jeszcze nie tu... I zaczynał kopać gdzie indziej.

Monte Christo, podszedłszy doń, rzekł cicho i niemal z pokorą:

— Stracił pan syna, ale...

Villefort przerwał mu, nie słuchając i nie rozumiejąc:

— O, znajdę go, znajdę... Możecie sobie gadać, że go tu nie ma... ale ja go znajdę, choćby mi przyszło szukać do sądneho dnia...

Monte Christo cofnął się, przejęty grozą.

— To szaleniec! — rzekł.

I obawiając się jakby, żeby ten dom przeklęty nie runął mu na głowę, wybiegł na ulicę. Zwątpił po raz pierwszy, czy miał prawo uczynić to, co uczynił.

— Dość, dość — powiedział — uratujmy ostatniego.

Gdy wrócił do siebie, Morrel błąkał się pokojach, milczący niby cień, który czeka, żeby Bóg w oznaczonym momencie pozwolił mu wrócić do grobu.

— Pakuj się Maksymilianie — ozwał się z uśmiechem hrabia — jutro wyjeżdżamy.

— Nic pan już tu nie ma do roboty? — zagadnął Morrel.

— Nie — odpowiedział Monte Christo — i daj Boże, bym nie działał już tu za wiele.

37. ODJAZD

Opisane wypadki były tematem rozmów całego Paryża.

Państwo Morrel gawędzili o nich, z łatwo zrozumiałym zdziwieniem, w swoim saloniku.

Porównywali te trzy klęski, zarówno nagłe, jak i niespodziane: klęskę Morcerfa, klęskę Danglarsa i klęskę Villeforta.

Maksymilian, zaszedłszy do siostry i szwagra, przysłuchiwał się tej rozmowie, nie biorąc w niej żadnego udziału. Zobojętniał całkiem dla spraw tego świata.

— Doprawdy, wydaje mi się, Emanuelu — mówiła Julia — że ci ludzie bogaci, jakże wczoraj szczęśliwi, zapomnieli w rachunku, na którym oparli swój majątek, powodzenie i swoje dobre imię, o geniuszu zła. Ów zaś geniusz, niby zła wróżka z bajek Perraulta, której nie zaproszono na wesele czy chrzciny, zjawił się raptem i zemścił.

— Ile katastrof! — powiedział Emanuel myśląc o Morcerfie i Danglarsie.

— Ile cierpień! — powiedziała Julia myśląc o Walentynie, ale wiedzona instynktem kobiecym nie wymawiała jej imienia w obecności brata.

— Jeśli to Bóg ich tak doświadczył — rzekł Emanuel — Bóg, dobroć nieskończona, nie znalazłszy w przeszłości tych ludzi nic takiego, czym zasłużyliby na złagodzenie kary — to znaczy, że byli potępieni.

— Czy nie jesteś nazbyt śmiały w swoich sądach? — zagadnęła Julia. — Czy nie pomyliłby się ten, kto powiedziałby tak o moim ojcu w momencie, gdy ojciec sięgał po pistolet, aby popełnić samobójstwo?

— Ale przecież Bóg nie dał zginąć twojemu ojcu, tak jak nie dopuścił, by Abraham zabił syna na ofiarę: patriarsze, jak i nam, zesłał anioła, który podciął skrzydła nadlatującej śmierci.

Gdy domawiał tych słów, zadzwęczał dzwonek. To odzwierny dawał znak, że ktoś przyjechał z wizytą.

W tejże niemal chwili otworzyły się drzwi i ukazał się hrabia de Monte Christo.

Państwo Morrel wykrzyknęły z radości.

— Maksymilianie — ozwał się hrabia, nie zwracając jakby uwagi na zadowolenie gospodarzy — wstąpiłem po ciebie.

— Po mnie? — rzekł Maksymilian, jak zbudzony ze snu.

— Tak. Umówiliśmy się, że cię zabieram. Czyż nie uprzedzałem cię wczoraj, żebyś był gotów?

— I jestem. Przyszedłem tu, żeby pożegnać się z nimi.

— Dokąd pan hrabia się wybiera? — spytała Julia.

— Nasamprzód do Marsylii.

— Do Marsylii! — powtórzyli małżonkowie.

— Tak, i zabieram Maksymiliana.

— Niechże go nam pan hrabia odwiezie zdrowym — rzekła Julia. Maksymilian odwrócił się, by ukryć rumieniec.

— Toś pani spostrzegła, że źle się czuje? — zagadnął Monte Christo.

— Tak, i boję się, czy nie nudno mu z nami.

— Urozmaicę mu czas — obiecał hrabia.

— Jestem gotów, panie hrabio — rzekł Maksymilian. — Do widzenia, moi najdrożsi.

— Jak to! — zdumiała się Julia. — Odjeżdżasz zaraz, nie spakowawszy się i bez paszportu?

— To przeszkody, które zwiększają tylko smutek rozstania — powiedział Monte Christo. — Maksymilian zaopatrzył się już z pewnością we wszystko, co trzeba. Zaleciłem mu to.

— Mam paszport i spakowałem walizy — oznajmił Morrel z melancholijnym spokojem.

— Doskonale — uśmiechnął się Monte Christo. — Widać w tym akuratność dobrego żołnierza.

— I wyjeżdżasz pan od razu? — spytała Julia. — Nie zabawisz pan z nami choćby dzień jeden, choćby godzinę?

— Moja kolasa czeka przed bramą, łaskawa pani. Za pięć dni muszę być w Rzymie.

— Ale Maksymilian nie jedzie do Rzymu! — powiedział Emanuel.

— Jadę tam, dokąd pan hrabia zechce mnie zawieźć — rzekł Maksymilian, uśmiechając się smętnie. — Należę do niego jeszcze miesiąc.

— O Boże! Jak on to powiedział, panie hrabio!

— Maksymilian będzie mi towarzyszył — oznajmił hrabia tonem uprzejmym, a zarazem pełnym perswazji — niechże więc pani przestanie się tak bardzo troskać.

— Do widzenia, moi najdrożsi! — powtórzył Maksymilian.

— Serce mi rani ta jego obojętność — rzekła Julia. — O, Maksymilianie, Maksymilianie, ty coś przed nami ukrywasz.

— Niech się pani nie obawia — rzekł Monte Christo — wróci w jak najlepszym humorze.

Maksymilian rzucił hrabiemu spojrzenie niemal wzgardliwe i gniewne.

— Jedziemy! — powiedział hrabia.

— Ale nim panowie odjedziecie — rzekła Julia — niechże pan hrabia pozwoli, bym powiedziała to, czego wtedy...

— Łaskawa pani — przerwał Monte Christo biorąc ją za rękę — żadne słowa nie wyrażą tego, co czytam w pani oczach i w sercu, jak również tego, co czuje moje serce. Winienem był odjechać nie zobaczywszy się z panią — jak czynią dobroczyńcy w powieściach; ale byłoby to nad moje siły: słaby człowiek ze mnie i próżny, a tklive spojrzenie bliźnich przejmuję mnie radością. A teraz, odjeżdżając, powiem tylko, bo wielki ze mnie egoista: nie zapomnijcie o mnie, drodzy przyjaciele, bo zapewne widzimy się po raz ostatni.

— Po raz ostatni! — zawołał Emanuel, a Julia rozpląkała się rzewnie. — Po raz ostatni! Nie jesteś pan tedy człowiekiem, ale bogiem, co pojawił się na ziemi, by dopomóc ludziom, a teraz wraca do nieba!

— Nie mówcie tak nigdy, drodzy przyjaciele — obruszył się Monte Christo. — Bogowie nie czynią nigdy zła. Bogowie zatrzymują się tam, gdzie zatrzymać się pragną, przypadek nie jest silniejszy od nich — oni to panują nad przypadkiem. Nie, Emanuelu, jestem człowiekiem: uwielbienie twoje jest więc nieuzasadnione, a słowa bluźniercze.

I przycisnąwszy do warg dłoń Julii — Julia padła mu w objęcia — drugą rękę podał Emanuelowi.

Po czym wybiegł z tego domu, z tego gniazda szczęścia, dając znak Maksymilianowi, by podążył za nim. Kapitan usłuchał go, bierny, przybity — taki był od śmierci Walentyny.

— Przywróć pan radość mojemu bratu — szepnęła Julia hrabiemu na ucho.

Hrabia uściśnął jej dłoń — tak samo, jak to był uczynił przed jedenastu laty na schodach wiodących do gabinetu Morrela.

— Ufasz pani nadal Sindbadowi Żeglarzowi? — zapytał. — O tak!

— A więc śpij spokojnie, nie tracąc w Bogu nadziei.

Jakeśmy powiedzieli, kolasa podróżna czekała przed bramą. Cztery mocne konie grzebały niecierpliwie nogą.

W ogrodzie stał Ali, twarz błyszczała mu od potu, jak gdyby przybiegł z daleka.

— Byłeś u starego pana? — zapytał hrabia po arabsku. Ali kiwnął potakująco głową.

— Rozłożyłeś mu list przed oczyma, jak ci to kazałem?

— Tak — tu niewolnik skłonił głowę z szacunkiem.

— I co on na to?

Ali zamknął oczy w taki sam sposób, jak czynił to Noirtier, gdy mówił „tak”.

— Dobrze. Zgodził się — rzekł Monte Christo. — Jedźmy!

I ledwie powiedział te słowa, konie pognały, krzesząc na bruku snopy iskier.

Maksymilian zaszył się w kącie kolasy i milczał.

Minęło tak pół godziny.

Nagle powóz zatrzymał się.

Hrabia pociągnął bowiem za jedwabny sznur, którego drugi koniec Ali miał owiązany wokół palca.

Nubijczyk zeskoczył z kozła i otworzył drzwiczki.

Noc iskrzyła się od gwiazd. Droga pięła się pod górę, dojeżdżali do Villejuif. Z szerokiego płaskowyzu Paryż wydaje się tu ciemnym morzem, migocącym milionami świateł, które przypominają fosforyzujące fale; fale to bardziej huczące, bardziej gniewne, namiętne i zachłanne niż na wzburzonym oceanie, fale te nie znają ciszy morskiej; zderzają się ustawicznie, pienia się bez przerwy i wciąż wchłaniają nowe ofiary!...

Hrabia dał znak, by kolasa oddaliła się nieco.

Skrzyżowawszy ramiona, wpatrywał się długo w ten kocioł, gdzie topi się i kształtuje wszelka myśl, która porusza świat; a gdy napatrzył się już na ten Babilon będący zarówno natchnieniem poetów religijnych, jak i materialistów, szepnął schyliwszy głowę i składając ręce niby do modlitwy:

— O wielkie miasto! Niespełna pół roku temu przekroczyłem twoje bramy. Wprowadził mnie tu Duch Boży i wyprowadza tryumfującego; tajemnicę mojej bytności w twoich murach powierzyłem Bogu, gdyż on jeden umie czytać w sercu moim; on jeden wie, że odjeżdżam stąd nie żywiąc nienawiści i nie pyszniąc się, ale dręczony wyrzutami; on jeden wie, że nie dla siebie ani dla czczych powodów korzystałem z potęgi, którą mnie obdarzył. O wielkie miasto, w twoim niespokojnym łonie znalazłem to, czegom szukał. Cierpliwy górnik, poruszyłem twoje wnętrze, aby wydobyć na jaw zło. A teraz dokonałem dzieła, zakończyłem swoją misję; teraz nie napoisz mnie już ani radością, ani smutkiem. A więc żegnaj! Żegnaj!

Niby geniusz nocny, ogarnął spojrzeniem rozległą równinę; przeciągnął ręką po czole i wsiadł do kolasy, która szybko potoczyła się ze zbocza, niknąc w tumanach kurzu.

Ujechali w milczeniu dwie mile.

Morrel dumał, a hrabia mu się przypatrywał.

— Czy żałujesz, Maksymilianie, żeś pojechał ze mną? — spytał.

— Nie, panie hrabio... ale wyjechać z Paryża...

— Gdybym wiedział, że w Paryżu czeka cię szczęście, nie zabierałbym cię ze sobą...

— W Paryżu spoczywa Walentyna; wyjechać z Paryża — to rozstać się z nią po raz wtóry.

— Maksymilianie, zmarli przyjaciele nie spoczywają w ziemi, ale żyją w naszych sercach; tak Bóg chciał, abyśmy nigdy nie byli sami. Mam dwóch przyjaciół, z którymi nigdy się nie rozstaję: jeden dał mi życie, a drugi wiedzę. Duch ich żyje we mnie. Ogarnięty wątpliwościami, udaję się do nich po radę, a jeśli im uczyniłem kiedyś coś dobrego, to właśnie dzięki owym wskazaniom. Poradź się, Maksymilianie, swego serca, zapytaj, czy powinieneś spoglądać na mnie z nieżyczliwością.

— Kochany przyjacielu, smutny jest głos mojego serca i zapowiada mi tylko nieszczęścia.

— Ten, w kim duch osłabł, widzi wszystko jakby poprzez zasłonę z krepy; dusza sama zakreśla sobie widnokrag: dusza twoja posępna ściąga nad ciebie chmury.

I Maksymilian zadumał się znowu.

— Może to i prawda.

Jechali z cudowną szybkością — dzięki niej, między innymi, hrabia odnosił zwycięstwa.

Miasta migwały niby cienie.

Drzewa kołysane wiatrem jesiennym zbliżały się do nich jak gdyby rozczochrane giganty, a potem, gdy je minęli, uciekały szybko.

Nazajutrz rankiem przybyli do Châlon, gdzie czekał już parostatek hrabiego.

Kolasek wtocono na pokład — obaj podróżni wsiedli wcześniej.

Statek był szybki, przypominał indyjską pirogę; sunął po fali niby wodny ptak.

Nawet Morrel upoił się szybkością — wiatr rozwiewał mu włosy, gotów jakby spędzić chmurę z jego czoła.

Hrabia — w miarę jak oddalał się od Paryża — rozpogadzał się coraz bardziej.

Powiedziałbyś, że to wygnaniec wraca do ojczyzny.

Niebawem pojawiła się Marsylia — biała, ciepła, pulsująca życiem; Marsylia, młodsza siostra Kartaginy i Tyru — która objęła po nich władanie nad Morzem Śródziemnym.

Ileż tu mieli wspomnień! Okrągła baszta, fort Świętego Mikołaja, ratusz projektu Pugeta, port o ceglanym nadbrzeżu, gdzie bawili się w dzieciństwie.

Obaj tedy zatrzymali się na Cannebiere.

Jakiś statek odpływał do Algieru.

Na pokładzie sterty pakunków i stłoczeni pasażerowie. Tłum przyjaciół i krewnych — gwar, łzy, pożegnania. Widok ten, wzruszający nawet i dla tych, którzy nawykli oglądać go co dzień, nie zdołał rozerwać Maksymiliana. Kiedy bowiem znalazł się na bulwarze portowym, nawiedziła go pewna myśl.

— W tym miejscu — rzekł biorąc Monte Christo pod rękę — stał mój ojciec, gdy „Faraon” wchodził do portu; tutaj ten dzielny człowiek, którego ocaliłeś pan od śmierci i niesławy, rzucił mi się w objęcia; pamiętam dotąd jego łzy, a nie płakał sam: płakało z nami wielu.

Monte Christo uśmiechnął się.

— A ja byłem tam — powiedział, wskazując Morrelowi róg ulicy.

W tejże chwili usłyszeli westchnienie. Stała tam nie opodal jakaś kobieta i dawała znaki któremuś z pasażerów odchodzącego statku.

Kobieta ta była zawoalowana.

Monte Christo spoglądał na nią ze wzruszeniem, które Morrel dostrzegłby łącno, gdyby właśnie nie obserwował statku.

— O! — zawołał Maksymilian. — Tak, nie pomyliłem się. Ten wojskowy na statku, wojskowy, który macha kapeluszem, to Albert de Morcerf.

— Tak — zgodził się Monte Christo — poznaję go.

— Jakim cudem? Toć pan patrzysz w przeciwną stronę.

Hrabia uśmiechnął się — jak to czynił, gdy odpowiedzieć nie chciał.

— I znów spojrział na zawoalowaną kobietę — znikła za rogiem. Wtedy, zwracając się ku Morrelowi, rzekł:

— Drogi przyjacielu, masz tu coś do załatwienia?

— Chciałbym odwiedzić grób ojca — odparł cicho Maksymilian.

— A więc zaczekaj tam na mnie. Przyjdę po ciebie.

— Opuszcza mnie pan?

— Tak... bo i ja chciałbym się udać w zbożne odwiedzin.

Dłoń Morrela spoczęła bezwładnie w dłoni hrabiego. Skłonił głowę z nieopisaną melancholią i skierował się ku wschodniej części miasta.

Monte Christo stał czas jakiś i spoglądał za Maksymilianem, po czym podążył w Aleje Meilhańskie do kamieniczki, znanej czytelnikowi z pierwszego tomu naszej opowieści.

Kamieniczka ta wznosi się w cienie i szerokiej alei lipowej, gdzie lubią się przechadzać leniwi marsylczycy. Mur, pożółkły od słońca, przysłaniają festony dzikiego wina o gałęziach, które z latami szerniały i popękały.

Dwa wytarte kamienne stopnie wiodą ku drzwiom zbitym z nie malowanych desek. W lecie drzwi się rozsychają, zimą wilgoć sama łączy deski.

W ślicznej tej i starej kamieniczce, uroczej, chociaż ubogiej, mieszkał ongi stary Dantès.

Ale zajmował tylko mansardę — obecnie zaś hrabia oddał cały ów dom do dyspozycji Mercedes.

Tam weszła owa zawoalowana kobieta, którą Monte Christo wypatrzył przy odchodzącym statku. Zamknęła drzwi w momencie, gdy hrabia wynurzył się zza rogu ulicy.

Znał dobrze te zniszczone stopnie.

Nikt nie umiał tak jak on otwierać tych drzwi zamykanych na żelazny skobel.

Wszedł więc nie stukając i nie uprzedzając gospodyni.

Wąska sień o podłodze wykładanej ceglami wiodła do słonecznego ogródka — tutaj to Mercedes znalazła ową sumkę, którą w delikatności swojej ofiarował jej hrabia.

Drzewa ogródka widać było już z ulicy — od progu.

Monte Christo usłyszał łkanie. W altance, oplecionej jaśminem wirgińskim o gęstych liściach i purpurowym kwieciu, siedziała pochylona Mercedes i płakała.

Odrzuciwszy welon folgowała teraz rozpacz, którą tłumiała w obecności syna. Szlochała, zasłaniając twarz dłońmi.

Hrabia postąpił kilka kroków naprzód — piasek zaskrzypiał mu pod nogami. Mercedes uniosła głowę i krzyknęła z przerażenia.

— Nie jest w mojej mocy — ozwał się hrabia — przywrócić pani szczęścia, ale pragnąłbym panią pocieszyć. Czy zechcesz przyjąć ode mnie pociechę, jak od przyjaciela?

— Jestem bardzo nieszczęśliwa — odrzekła Mercedes — sama natym świecie... Miałam tylko syna, opuścił mnie.

— I słusznie postąpił, pani. To serce szlachetne. Zrozumiał, że każdy mężczyzna winien ojczyźnie ofiarę: jedni składają jej w darze swój talent, inni — pracę rąk; ten czuwa po nocach, tamten naraża dla niej życie. Albert nic by pożytecznego nie zdziałał pozostając przy pani, a na twoją boleść nie mógłby patrzeć spokojnie. Bezsilny, zniechęcony bliźnich — walcząc z przeciwnościami wywalczy sobie fortunę, stanie się wielki i potężny. Dozволь pani, aby odbudował przyszłość was obojga: śmiem twierdzić, że dostała się ona w dobre ręce.

— Nigdy nie będę korzystała z tej fortuny — odparła biedna kobieta potrząsając smutnie głową — której tak bardzo dla niego pragnę. Tyle wokół mnie runęło i niszczało, że stanęłam, czuję to, nad

grobem. Wdzięczna jestem panu, że dzięki tobie zbliżyłam się do miejsca, gdzie byłam szczęśliwa. Winniśmy umierać tam, gdzie byliśmy szczęśliwi.

— Słowa pani tym bardziej palą mi serce i napełniają je goryczą, że masz powody, aby mnie nienawidzić. To ja ściągnąłem na panią nieszczęście. Czemuż żalujesz mnie pani, zamiast oskarżać? Uczyniłabyś mnie jeszcze nieszczęśliwszym...

— Ja miałabym, Edmundzie, nienawidzić ciebie i oskarżać? Nienawidzić i oskarżać ciebie, który darowałeś życie mojemu synowi, boć chciałeś go zabić, aby pan de Morcerf utracił syna, swoją dumę... O, spójrz na mnie: czy widzisz choćby cień wyrzutu?

Hrabia spojrział na Mercedes, ona zaś wstając wyciągnęła doń rękę.

— O, popatrz na mnie — mówiła dalej z głęboką melancholią — dziś już blask moich oczu nie budzi miłości; minęły te czasy, kiedy uśmiechałam się do Edmunda, gdy czekał na mnie w oknie tej mansardy, gdzie mieszkał jego stary ojciec... Od tego czasu upłynęło wiele bolesnych dni, które jakby wykopały przepaść między mną a owymi chwilami. Oskarżać cię i nienawidzić, Edmundzie, mój przyjacielu?... O nie, to ja sama siebie oskarżam i nienawidzę! Jakaż ze mnie nędznica!... — zawołała składając ręce i wznosząc oczy do nieba. — Wierzyłam w Boga, byłam niewinna i kochałam, czyli dostąpiłam takiego szczęścia, jakiego zaznają aniołowie, i ja, nędznica, zwątpiłam o Bogu. Monte Christo podszedł do niej i w milczeniu wyciągnął rękę.

— Nie — rzekła łagodnie, cofając się — nie dotykaj mnie, przyjacielu. Oszczędziłeś mnie, a jednak ja ze wszystkich, na których wywarłeś zemstę, zawiniłam najwięcej. Tamtymi powodowała chciwość, nienawiść, egoizm; a ja stchórzyłam. Tamci byli chciwi, a ja się zlekłam.

Nie podawaj mi ręki, Edmundzie. Wiem, że zamýślasz powiedzieć mi jakieś serdeczne słowa — nie mów ich, zachowaj je dla innej. Jam niegodna.

Patrz... — tu całkiem zdjęła woal — posiwiałam od nieszczęść, oczy mam sine od łez, czoło pokrywa się zmarszczkami.

A ty, Edmundzie, jesteś wciąż młody, piękny i dumny. Bo miałeś wiarę i siłę: nie przestałeś ufać Bogu i Bóg cię podtrzymał. A ja stchórzyłam, wyparłam się Boga i Bóg mnie opuścił. Taki mój los.

I Mercedes wybuchnęła płaczem.

Serce o mało jej nie pękło od naporu wspomnień.

— Monte Christo z szacunkiem pocałował ją w rękę. Uczuła jednak, że był to— pocałunek zimny — jak gdyby hrabia ucałował dłoń świętej figury.

— Niektórzy ludzie — mówiła dalej — popełniwszy pierwszy błąd, łamią sobie przyszłość raz na zawsze.

Myślałam, żeś umarł — więc i ja powinnam była umrzeć; bo i na cóż mi było nosić, póki życia, żałobę w sercu po tobie? Mając lat trzydzieści dziewięć czuję się tak, jakbym miała pięćdziesiąt.

I czemu, skoro ja jedna cię poznałam, ocaliłam tylko syna?

Czyż nie należało uratować i tamtego człowieka? Zawinił, ale był moim mężem. A jednak nie przeszkodziłam jego śmierci! Więcej: przyczyniłam się do niej, okazawszy podłą nieczułość i wzdargę. Zapomniałam, i nie chciałam przypomnieć sobie, że to dla mnie złamał słowo i zdradził!

I po cóż przyjechałam tu z synem, skorom go opuściła, skoro zgodziłam się, by wyruszył sam, skoro rzuciłam go na pastwę tej zachłannej afrykańskiej ziemi?

Och! Stchórzyłam, powiadam ci: wyparłam się miłości i jak wszyscy zaprzańcy, sieję wokół siebie nieszczęście.

— Nie, Mercedes, nie. Nie wolno ci się tak potępiać — rzekł Monte Christo. — Jesteś kobietą szlachetną, rozbroiła mnie twoja boleść. Ale za mną, niewidzialny, nieznan i gniewny, stał Bóg; byłem tylko jego wysłannikiem — nie chciał powstrzymać piorunu, który rzuciłem. O, klnę się tym Bogiem, przed którym od lat dziesięciu co dzień padam na kolana, że złożyłem ci moje życie w ofierze, a razem z życiem plany na przyszłość. Powiadam to z dumą, Mercedes: byłem Bogu potrzebny — i dlatego zachował mnie przy życiu.

Przyjrzyj się przeszłości i teraźniejszości, spróbuj przeniknąć przyszłość, a zobaczysz, czym nie był narzędziem w ręku Boga. Najstraszliwsze nieszczęścia, najokrutniejsze cierpienia, samotności prześladowania — oto pierwsza część mojego życia. Aż nagle koniec samotności i nędzy — wolność i fortuna, fortuna tak olbrzymia, wspaniała, cudowna, że byłbym ślepcem, gdybym nie widział, że Bóg wyznaczył mi wielkie posłannictwo.

Od tej chwili fortuna ta wydała mi się posłannictwem kapłańskim; przestałem więc myśleć o życiu, w którym ty, biedna kobieta, zaznawałaś niekiedy słodyczy. Nie zaznałem chwili spokoju: byłem niby obłok ognisty, który sunie po niebie, by spalić przekłętą miastą.

Niby poszukiwacz przygód wyruszający na niebezpieczną wyprawę, szykowałem prowiant, ładowałem broń, gromadziłem środki ataku i obrony, hartowałem ciało najtrudniejszymi ćwiczeniami, uczyłem moje ramię zabijać, przyzwyczajałem oczy do widoku cierpienia, usta — do uśmiechu w sytuacji pełnej grozy. Z ufego, dobrego i niepomnego uraz, stałem się mściwy, skryty, zły, a raczej nieprzejednany — jak ślepy i głuchy los.

Wtedy puściłem się drogą, co otworzyła się przede mną, i dotarłem do celu. Biada tym, których napotkałem!

— Dość, Edmundzie, dość! — przerwała Mercedes. — Wierz mi, że ja jedna, która cię poznałam, zdołałam cię zrozumieć. Dlatego, choćbyś zdeptał mnie, spotkawszy na drodze, i tak musiałabym cię wielbić! Między tobą a innymi ludźmi istnieje przepaść, tak samo jak istnieje ona między moją przeszłością a mną. A największą boleść sprawia mi porównywanie; bo nikt na świecie ci nie dorówna i nikt nie jest do ciebie podobny. A teraz pożegnaj mnie, Edmundzie, i rozstańmy się.

— Powiedz mi jeszcze tylko, czy nie masz jakiego życzenia...

— Pragnę tylko, aby syn mój był szczęśliwy.

— Módl się: od Boga tylko zależy ludzkie istnienie. Bóg jeden ocali go przed śmiercią, a ja biorę na siebie resztę.

— Dziękuję, Edmundzie.

— A ty co poczniesz, Mercedes?

— Mnie nic nie trzeba: żyję między dwoma grobami. W jednym spoczywa Edmund Dantès, zmarły już dawno; kochałam go! Słowo to nie pasuje już do moich przywędłych warg, ale serce pamięta i ta pamięć serca to dla mnie największy skarb. W drugim grobie spoczywa ten, którego zabił Edmund Dantès; zabił go słusznie, ale zmarłemu należy się moja modlitwa.

— Twój syn, pani, będzie szczęśliwy — zapewnił hrabia.

— A więc i mnie nic do szczęścia brakować nie będzie.

— Ale... cóż ty... poczniesz ze sobą? Mercedes uśmiechnęła się smutno.

— Nie uwierzyłbyś mi, gdybym ci powiedziała, że będę żyła tu jak ongi, to znaczy pracując. Umieję tylko się modlić, a pracować nie potrzebuję, wystarczy mi bowiem fundusik, którym odkopała. Będą pytać, kim jestem, co robię i z czego żyję — niech pytają. To sprawa pomiędzy Bogiem, tobą i mną.

— Mercedes — ozwał się hrabia — nie mam ci tego za złe, ale poniosłaś nazbyt wielką ofiarę, wyrzekając się całego spadku po hrabi de Morcerf. Połowa majątku należała ci się z pewnością; i ty gromadziłaś go przecie, oszczędna i dobra gospodyni.

— Domyślałam się, co mi chcesz zaproponować, ale tego, Edmundzie, przyjąć nie mogę: mój syn zabroniłby mi.

— Toteż nic nie uczynię dla ciebie bez aprobaty Alberta. Zapoznam się z jego zamiarami i będę stosował się do nich. Ale gdyby zgodził się na moją propozycję, czy przyjmiesz ją i ty bez zastrzeżeń?

— Wiadomo ci, Edmundzie, że nie jestem już istotą myślącą, nie podejmuję żadnych decyzji — a raczej podjęłam jedną by o niczym nie decydować. Bóg tak mnie doświadczył, że utraciłam wolę. Jestem w jego ręku, niby ptak w szponach orła. Skoro żyję, nie chce snadź, abym umarła. Jeśli ześle mi pomoc, stanie się to według jego woli, a ja wtedy pomoc przyjmę.

— Zważ pani, że w ten sposób nie wielbi się Boga! Bóg życzy sobie, abyśmy go rozumieli i zastanawiali się nad jego potęgą: dlatego dał nam wolną wolę.

— Nie mów tak, nieszczęsny! — zawołała Mercedes. — Gdybym wierzyła, że Bóg dał mi wolną wolę, cóż by ocaliło mnie od desperackiego czynu?

Monte Christo pobladł lekko i spuścił głowę, przytłoczony boleścią aż tak gwałtowną.

— Nie zechcesz pożegnać mnie? — spytał wyciągając rękę.

— Przeciwnie: żegnam się z tobą, ale nie na zawsze — odparła wskazując uroczystym gestem niebo. — Pragnę ci dowieść, że nie utraciłam nadziei.

I dotknąwszy drżącą ręką ręki hrabiego, wbiegła na schody i znikła.

Monte Christo wyszedł z wolna i skierował się w stronę portu.

Ale Mercedes nie widziała tego, choć stała w oknie izdebki starego Dantèsa.

Oczy jej szukały statku, który uniósł Alberta na pełne morze.

To prawda, że wyszeptęła jak gdyby wbrew samej sobie:
— Edmundzie! Edmundzie! Edmundzie!

38. PRZESZŁOŚĆ

Hrabia ze zboloną duszą opuścił ten dom; widział Mercedes zapewne po raz ostatni.

Śmierć Edwardka wywołała w hrabi ogromne przemiany.

Dokonał dzieła zemsty, dążąc ku memu — niby na szczyt góry — drogą uciążliwą i krętą; po drugiej stronie otwarła się przepaść. Była to przepaść zwątpienia.

Nie dość na tym: rozmowa z Mercedes obudziła w jego sercu wspomnienia, które teraz musiał zwalczać.

Ale człowiek tej miary, co Monte Christo, nie mógł długo poddawać się melancholii, która ożywia serca popolite nadając im rzekomą oryginalność, ale serca wyjątkowe — zabija.

Hrabia powiedział sobie, że skoro niemal potępił sam siebie, musiał do obrachunków jego wśliznąć się jakiś błąd.

Nie ogarniam dostatecznie przeszłości, pomyślał, to niemożliwe, bym się aż tak omylił.

Czyżby cel, jaki sobie postawiłem, nie miał sensu? Czyżbym przez dziesięć lat kroczył fałszywą drogą? Jedna godzina wystarczyła, by architekt dowiedział się, że gmach, w który włożył wszystkie swoje nadzieje, jest dziełem raczej niewykonalnym i bluźnierczym?

Wolałbym nie przyswajać sobie tej myśli — doprowadziłaby mnie do obłędu.

Nie umiem dziś oszacować należycie przeszłości, gdyż nie spoglądam na nią z przeciwnej strony.

Przeszłość jest niby krajobraz — zaciera się, w miarę jak się oddalamy.

Jestem niby ten, kto zranił się we śnie — przyglądam się ranie, ale nie wiem, jak ją otrzymałem.

Nuże, człeku odrodzony, bogaty oryginalnie, wszechpotężny marzycielu, niezwykłony milionerze, spojrzij przez chwilę w posępną i nędzną przeszłość, powróć tam, gdzie pchnęło cię fatum, poprowadziło nieszczęście, a przyjęła rozpacz; zbyt wiele diamentów, złota i szczęścia lśni w owym zwierciadle, z którego Monte Christo spogląda na Dantesę. Ukryj diamenty, zbrukaj złoto, przyćmij blask promieni; niech bogacz odnajdzie nędzarza; człek wolny — więźnia; człek wskrzeszony — trupa.

Tak rozmyślając Monte Christo szedł ulicą de la Caisserie.

Tędy to, nocą, przed dwudziestoma czterema laty, wiodła go milcząca straż.

Domy, dziś wesole i pełne życia, były owej nocy ponure, nieme i zamknięte.

— A jednak to te same domy — mruknął Monte Christo — tylko wtedy była noc, a teraz jest jasny dzień; słońce radośnie oświetla to wszystko.

Schodząc na bulwar ulicą Świętego Wawrzyńca, zbliżał się do komory celnej — tam to wsadzono go niegdyś do łodzi.

Przejeżdżała akurat łódź spacerowa, opatrzona płóciennym baldachimem.

Monte Christo wezwał ją. Przewoźnik podpłynął skwapliwie, węsząc dobry zarobek.

Pogoda była prześliczna, wymarzona do przejażdżki.

Słońce zachodziło czerwono, niecąc na fali coraz jaskrawsze płomienie.

Morze, spokojne jak tafla zwierciadła, marszczyło się chwilami, gdy ryby uciekając przed jakimś ukrytym nieprzyjacielem wyskakiwały nad powierzchnię wody, szukając schronienia w innym żywiole.

Na widnokręgu przesuwwały się, niby mewy, białe i wdzięczne łodzie rybackie, podążając do Martigues. Naładowane towarem statki handlowe zmierzały na Korsykę i do Hiszpanii.

Ale hrabia nie zważał na pogodne niebo, na łodzie o wdzięcznych konturach i na złotawe światło, w którym skąpany był cały krajobraz. Zawinąwszy się w płaszcz, wspominał kolejno wszystkie szczegóły swojej straszliwej podróży: jedyne, odosobnione światełko płonące w katalońskiej wiosce; widok zamku If, który uprzytomnił mu, dokąd go wiozą; walkę, jaką stoczył z żandarmami, gdy próbował rzucić się w morze; zimne dotknięcie — pierścieni z lodu — lufy karabinu, który przyłożono mu do skroni.

Źródło, które wyschnie latem, zaczyna powoli nasycać się wilgocią i sączyć wodę, kropla po kropli, gdy na niebie gromadzą się chmury jesienne. Podobnie działo się z hrabią; uczuł, jak w jego piersi zaczyna się sączyć zastarzała żółć, w której ongi tonęło serce Edmunda Dantesę.

Nie widział już ani pogodnego nieba, ani wdzięcznych łodzi i gorejącego słońca; niebo przestronił kir żałobny, zjawił się czarny olbrzym zwany twierdzą If — i hrabia zadrżał, jakby ukazało mu się nagle czarne widmo śmiertelnego wroga.

Był na miejscu.

Hrabia cofnął się instynktownie na rufę łodzi.

Daremnie przewoźnik ozwał się tonem jak najuprzejmiejszym:

— Przybijamy do brzegu, proszę pana...

Monte Christo przypomniał sobie, że w tym samym miejscu strażnicy wywlekli go brutalnie z łodzi i zmusili, by wspinał się na górę, dźgając go w krzyż bagnetem.

Droga ta wydała się ongi Dantèsowi bardzo długa, Monte Christowi zaś — krótka; wiosła, podnosząc z każdym uderzeniem wodny pył, nieciły jakby w podróznym tysiące myśli i wspomnień.

Po rewolucji lipcowej skasowano więzienie w twierdzy If. Znajdował się tu jedynie posterunek straży celnej — dla walki z przemytnikami — zajmujący kordegardę. U bram dawnego więzienia odźwierny czekał na ciekawych, aby oprowadzać ich po tym przybytku grozy, który zamienił się już tylko w osobliwość.

Monte Christo wiedział o tym wszystkim — ale zbladł, a serce przejął mu lodowaty dreszcz, kiedy schodził po ciemnych stopniach do lochów, które chciał obejrzeć.

Zapytał, czy nie ma tu jakiegoś z dozorców, którzy pełnili funkcje za Restauracji. Ale wszyscy już byli na emeryturze albo pracowali gdzie indziej.

Odźwierny, który oprowadzał Monte Christa, nastał tu dopiero w roku 1830.

Hrabia znalazł się w swojej celi.

Ujrzał, jak mdłe światło sączy się tu przez okienko; ujrzał miejsce, gdzie stało kiedyś jego łóżko; w ścianie tkwiło tu parę kamieni, nie tak jak inne omszałych — ślad po otworze, który przebił ksiądz Faria.

Pod hrabią ugięły się nogi — usiadł więc na stołeczku.

— Czy opowiadają jakieś historie o tym więzieniu? — zapytał. Historie nie dotyczące pobytu Mirabeau... Ponure te siedziby mają dawne tradycje. Wierzyć się nie chce, że ludzie mogli tu zamykać żyjących ludzi.

— Tak, proszę pana. Klucznik Antoni opowiadał mi historię o tej właśnie celi.

Monte Christo zadrżał.

Znał przecież Antoniego.

Nie pamiętał już dziś prawie jego imienia i twarzy — ale teraz ujrzał lica okolone brodą, brunatną kurtkę i pęk kluczy. Wydało mu się nawet, iż usłyszał, jak brzęczą.

Wydało mu się, że widzi go w mroku korytarza — mrok ów zgęstniał jakby, odźwierny bowiem trzymał zapaloną pochodnię.

— Czy mam opowiadać? — spytał odźwierny.

— Tak opowiadajcie.

Monte Christo przycisnął ręką serce, aby stłumić jego bicie nazbyt gwałtowne. Przeraził się, że zaraz usłyszy własne dzieje.

— Opowiadajcie — powtórzył.

— Dawno już temu w celi tej zamknięto człowieka nadzwyczaj niebezpiecznego — tym niebezpieczniejszego, że wielce był przemyślny. W tym czasie był też tu inny więzień, człek poczciwy, nie taki jak tamten. Biedny ksiądz, wariat.

— A na czymże polegało jego szaleństwo?

— Ofiarowywał miliony za wolność.

Monte Christo wzniósł oczy w górę, lecz nie ujrzał nieba; przesłaniało mu je kamienne sklepienie.

Pomyślał, że podobny kamień przesłaniało oczy tych, którym ksiądz Faria ofiarowywał swoje skarby.

— Czy więźniowie mogli widywać się między sobą? — zapytał hrabia.

— O nie, proszę pana, było to surowo zabronione. Ale ci dwaj ominęli ten zakaz, wyżłobiwszy podkop między dwiema celami.

— A który z nich przebił ów podkop?

— O, na pewno ten młodszy, gdyż był to człek przemyślny i silny, a biedny ksiądz był stary, słaby i niedołężny na umyśle. Gdzieżby coś podobnego przyszło mu do głowy...

— Ślepcy!... — mruknął Monte Christo.

— Owóż ten młody przebił podkop. Czym? licho wie, ale przebił, bo tu mamy ślad, o, niech pan patrzy. I zbliżył pochodnię do muru.

— A, rzeczywiście — powiedział hrabia głosem stłumionym ze wzruszenia. — A więc ci dwaj więźniowie widywali się. Nie wiadomo, jak długo to trwało.

Któregoś dnia stary zachorował i umarł. No i zgadnij pan, co zrobił młodszy z więźniów?

— Mówcie dalej.

— Wyniósł nieboszczyka, ułożył go na własnym łóżku twarzą do ściany, wrócił do pustej celi, zatkał dziurę i wśliznął się w worek zmarłego. No i co, wpadłbyś pan na taki pomysł?

Monte Christo zamknął oczy: wydało mu się, że zgrzebne płótno, zimne i przykre w dotknięciu, otarło mu się o twarz. Odźwierny mówił dalej:

— Oto jaki powziął zamysł: wyobrażał sobie, że w zamku If grzebią zmarłych, nie przypuszczając zaś, aby wykostowywano się dla więźniów na trumnę, zamierzał wydobyć się z grobu. Ale nieszczęściem więzienny obyczaj pokrzyżował mu plany: nie grzebano tu zmarłych — przywiązywano im ciężar do nogi i rzucono ich w morze: tak się też stało.

Naszego biedaka rzucono więc do wody z krążganku.

Nazajutrz znaleziono zmarłego i wszystko się wykryło, a wtedy grabarze oświadczyli, że gdy cisnęli trupa, usłyszeli straszliwy krzyk, który zaraz stłumiła woda.

Hrabia dyszał ciężko, pot ściekał mu z czoła, serce ścisnęło się boleśnie.

— Tak — wyszeptał — wątpliwości, których zaznałem, były tylko początkiem zapomnienia; ale tu serce znów boleć zaczyna i zaczyna łaknąć zemsty. No i nie słyszeliście już nic o tym więźniu? — spytał.

— Nic a nic. Bo jedno z dwojga, albo spadł na brzuch, a że leciał z wysokości pięćdziesięciu stóp, zabił się na miejscu...

— Powiedzieliście, że miał ciężar u nóg, a więc spadał nogami na dół.

— Tak, spadał nogami na dół, a w takim razie ciężar ciągnął go na dno, gdzie już pozostał. Biedaczysko!.

— Żal wam go?

— A żal, choć dostał się w swój żywioł.

— Nie rozumiem.

— Podobno był oficerem marynarki wtrąconym do więzienia za bonapartyzm.

— O, prawdo — wyszeptał hrabia — Bóg cię stworzył, żebyś wzbijała się ponad fale i płomienie. Tak to ten biedny marynarz przeżył we wspomnieniach kilku ludzi. Przy kominku opowiadają jego straszliwe dzieje i każdego przejmują dreszcz, gdy słyszy, jak nieszczęśnik pada w otchłań morską. A nie wiecie aby, jak on się nazywał? — spytał.

— Skądże miałbym wiedzieć? Znano go tylko jako numer trzydzieści cztery.

— Prokuratorze, prokuratorze — szepnął Monte Christo — nieraz musiałeś mówić to sobie, gdy moje widmo zakłócało ci bezsenne noce.

— Chciałby wielmożny pan zobaczyć coś jeszcze? — spytał odźwierny.

— A tak. Przede wszystkim bądźcie łaskawi pokazać mi celę tego biednego księdza.

— A tak, numer dwadzieścia siedem.-

— Numer dwadzieścia siedem — powtórzył Monte Christo.

Wydało mu się, że słyszy głos księdza Farii, gdy po raz pierwszy rozmawiali przez ścianę.

— No to chodźmy.

— Zaczekajcie — odparł Monte Christo. — Chciałbym się jeszcze rozejrzeć po tej celi,

— A to dobrze się składa, bom zapomniał klucza od tamtej.

— Idźcież więc po klucz.

— Zostawię panu pochodnię.

— Nie trzeba.

— Jakżeż pan tak zostanie bez światła? — Widzę po ciemku.

— No, no, to tak jak i on.

— Co za on?

— Trzydziesty czwarty. Podobno tak przywykł do ciemności, że znalazłby szpilkę w najciemniejszym kącie celi.

— Doszedłem do tego po dziesięciu latach — szepnął hrabia. Odźwierny oddalił się zabierając pochodnię.

Hrabia powiedział prawdę — po kilku sekundach widział wszystko jak w biały dzień.

Rozejrzał się i wtedy dopiero przypomniał sobie naprawdę swoją celę.

— Tak, tak — rzekł — oto kamień, na którym siadałem! Oto ślad moich ramion, którymi wpierałem się w mur! Oto ślad krwi, która spłynęła mi z czoła, gdy pewnego dnia usiłowałem sobie rozbić głowę o ścianę!... O pamiętam te liczby... wskrobałem je, kiedy obliczałem wiek ojca... chciałem się dowiedzieć, czy zastanę go jeszcze przy życiu... chciałem dowiedzieć się, ile lat będzie miała Mercedes i czy ją zastanę wolną... Kiedy ukończyłem ten rachunek, błysnęło mi światło nadziei... nie brałem pod uwagę śmierci głodowej i niewierności!

Tu hrabia zaśmiał się gorzko.

Ujrzał jak gdyby we śnie pogrzeb ojca... ujrzał Mercedes idącą do ołtarza. Jakiś napis na murze zwrócił jego uwagę. Litery, do dziś jeszcze białe, odcinały się od zielonawego tła: MÓJ BOŻE — odczytał Monte Christo — NIE POZBAWIAJ MNIE PAMIĘCI.

— Ach! — zawołał — to modlitwa, jaką odmawiałem w ostatnich latach pobytu. Nie prosiłem już o wolność, prosiłem o pamięć, gdyż lękałem się, że oszalawszy zapomnę. Nie odjąłeś mi, mój Boże, pamięci — zapamiętałem. O, dzięki ci, Boże, o, dzięki!

W tymże momencie światło pochodni zamigotało na ścianach — to nadchodził odźwierny.

Monte Christo wyszedł naprzeciw niego.

— Chodźcie za mną — rzekł.

I nie potrzebując światła, udał się pierwszy piwnicznym korytarzem.

W celi księdza pogrążył się znowu we wspomnieniach.

Zauważył najpierw zegar słoneczny wyrysowany na ścianie, a w kącie ujrzał szczątki łóżka.

Ustał wtedy dręczący niepokój. Serce hrabiego nabrzmiało szczerą wdzięcznością. Z policzków stoczyły mu się dwie łzy.

— Tutaj — rzekł odźwierny — siedział ksiądz wariat, a młody jego towarzysz wchodził tędy.

I wskazał hrabiemu nie zamurowany otwór.

— Pewien uczony — ciągnął — wyliczył na podstawie koloru kamienia, że więźniowie odwiedzali się wzajem przez dziesięć lat. Strasznie musiało się nudzić biedakom!

Dantès dobył z kieszeni kilka ludwików i wsunął je w rękę temu człowiekowi, co już po raz wtóry, nie znając go, użalił się nad nim. Odźwierny przyjął je, myśląc, że to drobne. Po chwili jednak zobaczył przy świetle pochodni, jak został obdarowany. — Pan się pomylił — rzekł.

— Jak to?

— Dał mi pan złoto.

— Wiem.

— Wie pan?

— Tak.

— I mogę zatrzymać je z czystym sumieniem?

— Tak.

Odźwierny popatrzył zdumiony.

— Z najczystszy — zapewnił go hrabia.

— Nie pojmuję hojności wielmożnego pana — powiedział odźwierny, nic wierząc we własne szczęście.

— A jednak łatwo ją pojąć, mój dobry człowieku; byłem marynarzem, tym bardziej więc wzruszyła mnie twoja opowieść.

— Skoro pan taki hojny, wywdzięczę się czymś.

— A czymże ty mi się możesz wywdzięczyć, mój dobry człowieku? Muszelkami? Robótkami ze słomy? Dziękuję ci.

— Nic, proszę wielmożnego pana, ofiaruję panu coś, co dotyczy tej historii.

— Naprawdę? — zawołał żywo hrabia. — A cóż to takiego?

— Niech pan posłucha. Powiedziałem sobie: zawsze można coś znaleźć w celi więźnia, który siedział piętnaście lat. Zacząłem więc ostukiwać mury.

— Ach! — wykrzyknął hrabia przypomniawszy sobie o skrytce księdza.

— W głowach łóżka i w kominku mur dudnił.

— Tak, tak — rzekł Monte-Christo.

— Odsunąwszy kamienie znalazłem...

— Sznurową drabinę i narzędzia — dokończył hrabia.

— Skąd pan wie? — zdumiał się odźwierny.

— E, zgadłem tylko. Cóż by innego więzień trzymał w swojej skrytce?

— Tak, proszę pana, była tam sznurowa drabinka i narzędzia.

— I masz je jeszcze! — wykrzyknął Monte Christo.

— Nie, proszę pana, sprzedałem te bardzo ciekawe przedmioty różnym zwiedzającym; ale zostało mi coś jeszcze.

— Cóż takiego? — niecierpliwił się hrabia.

— Coś jakby książka pisana na skrawkach płótna.

— Co? Została ci ta książka?

— Nie wiem, czy to książka, ale coś w tym guście.

— Przynieśże mi ją, mój dobry człowieku, a nie pożałujesz.

— Już biegnę, proszę wielmożnego pana. I odźwierny wyszedł.

Wtedy hrabia klęknął nabożnie przed połamanym łóżkiem niby przed ołtarzem.

— O, mój drugi ojcze, ty, który dałeś mi wolność, wiedzę i bogactwo! Ty, który niby wyższa istota miałeś wiedzę dobra i zła, powiedz mi, jeśli po naszych ukochanych zmarłych zostaje coś, co unosi się w powietrzu, tam, gdzie żyli i cierpieli, powiedz mi, daj mi znak w imię miłości ojcowskiej, jaką mnie darzyłeś, i w imię synowskiego przywiązania, jakim ja darzyłem ciebie, czym słusznie uczyniłem? Rozwiejesz tym sposobem resztkę wątpliwości, które, jeśli staną się pewnością, staną się i wyrzutem.

Hrabia spuścił głowę i złożył ręce.

— Już przyniosłem, proszę pana! Monte Christo zadrżał i obejrzał się.

Odźwierny podawał mu skrawki płótna, na które ksiądz Faria przelał skarby swojej wiedzy. Było to dzieło o ustroju monarchicznym we Włoszech. Hrabia chwycił je i wzrok jego padł od razu na słowa epigrafu:

Powiedział Pan: wyrwiesz Zęby smokowi i zdepczesz lwa.

— Ach! — zawołał — oto odpowiedź! Dziękuję, mój ojcze, dziękuję!

I wydobywając z kieszeni pugilaresik, który zawierał dziesięć tysięcy franków w banknotach, rzekł:

— Weź to.

— Pan mi to daje?

— Tak, ale pod warunkiem, że zajrzysz do środka, kiedy odjadę.

I ukrywszy na piersiach odnalezioną i bezcenną dla niego relikwię, wybiegł z lochu i wsiadł do łodzi.

— Do Marsylii — powiedział.

Oddalając się utkwiał oczy w ponurym więzieniu.

— Biada tym — rzekł — którzy wtrącili mnie do tej posępnej twierdzy, i tym, którzy zapomnieli, że mnie tam zamknęto!

Mijając wieś katalońską, zasłonił płaszczem lico i wyszeptał imię kobiety.

Zwycięstwo było całkowite — hrabia dwakroć pokonał wątpliwości. Gdyż owo imię, które wyszeptał czule i niemal miłośnie, brzmiało: Hayde.

Wysiadłszy podążył na cmentarz, gdzie miał spotkać się z Morrelem.

Dziesięć lat temu i on szukał tu nabożnie pewnego grobu — ale nie znalazł.

On, co powrócił do Francji z milionami, nie zdołał odszukać mogiły ojca zmarłego z głodu.

Stary Morrel kazał wprawdzie postawić tam krzyż, ale grabarz wziął go na podpałkę, krzyż bowiem przewrócił się. Tak czynią wszyscy grabarze z drewnem, które leży na cmentarzu.

Zacnemu negocjantowi powiodło się lepiej: umarł otoczony swoimi dziećmi, które ułożyły go w grobie obok małżonki.

Dwie płyty marmurowe z wyrytymi nazwiskami spoczywały w cieniu czterech cyprysów, ogrodzone żelazną balustradą.

Maksymilian stał wsparty o jedno z tych drzew, wpatrując się w groby.

Boleść jego była głęboka, niemal nieprzytomna.

— Nie tam trzeba patrzeć, Maksymilianie — ozwał się hrabia — ale tam! I wskazał mu niebo.

— Umarli są wszędzie — odrzekł Morrel. — Czyż nie to mówiłeś mi pan, gdyś namawiał mnie, bym opuścił Paryż?

— Wspomniałeś mi, Maksymilianie, że chciałbyś zabawić parę dni w Marsylii. Czy pragniesz tego nadal?

— Nic nie pragnę, drogi hrabio, zdaje mi się tylko, że w Marsylii łatwiej bym zniósł oczekiwanie.

— Tym lepiej, bo muszę cię opuścić, ale trzymam cię za słowo. Pamiętaj o nim?

— Ach, zapomnę, zapomnę o nim, hrabio, zapomnę.

— Nie zapomnisz, bo nade wszystko jesteś człowiekiem honorowym. Przysiągłeś i przysięgniesz mi raz jeszcze.

— Zlituj się, hrabio, nade mną! Jestem taki nieszczęśliwy!

— Znałem nieszczęśliwszego niż ty.

— To niemożliwe.

— Niestety tak. Człowiek w pysze swojej wyobraża sobie, że jest nieszczęśliwszy od bliźniego, na którego spadł również cios.

— Czyż można być nieszczęśliwszym od kogoś, kto stracił swoje największe i jedyne ukochanie?

— Posłuchaj uważnie, co powiem. Znałem człowieka, który tak jak ty pokładał w kobiecie wszelkie nadzieje. Był to człowiek młody. Kochał starego ojca i uwielbiał narzeczoną. Gdy miał ją poślubić, kaprys losu odebrał mu wolność i wtrącił do więzienia, na dno lochu.

— Ale po jakimś czasie wychodzimy z więzienia.

— Przesiedział tam czternaście lat — oznajmił hrabia kładąc rękę na ramieniu młodzieńca.

Maksymilian zadrżał.

— Czternaście lat!... — szepnął.

— Czternaście lat — powtórzył hrabia. — Ileż razy musiał wtedy desperować. I on też poczytywał się za najnieszczęśliwszego z ludzi i chciał popełnić samobójstwo.

— I co dalej?

— W krytycznym momencie Bóg poratował go w sposób ludzki — gdyż Bóg nie czyni już cudów. Może w pierwszej chwili nie pojął, bo wzrok miał zasnuty łzami, miłosierdzia bożego ale w końcu wziął na cierpliwość i czekał. Jednego dnia wyszedł cudem z grobu, odmieniony, bogaty, potężny niemal jak sam Bóg. I zawołał: ojciec! Ale ojciec jego już nie żył!

— I mój ojciec też nie żyje.

— Tak, ale twój ojciec umarł w twoich ramionach — szczęśliwy, szanowany, bogaty, syt życia. Jego ojciec umarł w nędzy, rozpaczy i wąpiąc o Bogu, po dziesięciu latach syn nie odnalazł jego grobu i nikt nie mógł mu powiedzieć: tu spoczywa w Panu serce, które tak cię kochało.

— Och — westchnął Morrel.

— Ten więc, który nie zdołał odnaleźć grobu własnego ojca, był nieszczęśliwszy od ciebie.

— Ale pozostała mu ukochana kobieta.

— Mylisz się. Ta kobieta...

— Umarła?

— Gorzej. Nie dochowała wiary. Poślubiła jednego z tych, którzy skrzywdzili jej narzeczonego. Jak widzisz, i pod tym względem człowiek ów był nieszczęśliwszym od ciebie.

— I Bóg zesłał mu pocieszenie?

— Zesłał mu przynajmniej spokój.

— I ten człowiek kiedyś może zazna szczęścia?

— Nie stracił nadziei.

Maksymilian opuścił głowę.

— Obiecałem panu — rzekł po chwili, podając hrabiemu rękę — i tylko pamiętaj pan...

— Piątego października oczekuję cię na wyspie Monte Christo. Czwartego jacht zwany „Eurus” zabierze cię z portu w Bastii. Przedstawisz się kapitanowi, a on zawiezie cię do mnie. Słowo?

— Słowo. Ale niech i pan pamięta, że piątego października...

— Dziecko z ciebie, skoro nie wiesz jeszcze, czym jest obietnica mężczyzny... Powiedziałem ci ze dwadzieścia razy, że tego dnia, w którym jeszcze raz zapragniesz umrzeć, dopomogę ci. A więc do zobaczenia.

— Opuszcza mnie pan?

— Tak, mam interes we Włoszech. Zostawiam cię tutaj samego z twoim nieszczęściem, samego z owym orłem o skrzydłach potężnych, którego Pan zsyła wybranym, aby zanosił ich przed jego stopy. Historia o Ganimedzie nie jest bajką, lecz alegorią.

— Kiedy pan odjeżdża?

— Zaraz. Parostatek czeka na mnie; za godzinę będę już daleko. Odprowadzisz mnie pan do portu?

— Uczynię wszystko, co pan rozkaże.

— No to uściskaj mnie.

Morrel odprowadził hrabiego do portu. Dym, niby ogromny pióropusz, buchał z czarnego komina.

Statek odjechał niebawem. Po godzinie, jak zapowiedział hrabia, smużka białego dymu snuła się ledwie widoczna na horyzoncie przyćmionym już mgłami wieczoru.

39. PEPPINO

Kiedy parostatek hrabiego niknął za Przylądkiem Morgiou, człowiek jakiś jadący karetką pocztową z Florencji do Rzymu minął właśnie miasteczko Aquapendente.

Spieszył się — usiłując jednak nie wzbudzić swoim zachowaniem jakichkolwiek podejrzeń

W klapie płaszcza, ogromnie sfatygowanego podróżą, lśniła świeżością wstążeczka Legii Honorowej. Zdobiała, ona również i frak. Dzięki temu orderowi — a bardziej jeszcze po akcencie — pocztylion poznał, iż ma do czynienia z Francuzem.

A oto jeszcze jeden dowód, iż ów człowiek urodził się w kraju języka uniwersalnego: znał jedynie słowa włoskie dotyczące muzyki, ale słowami tymi można wyrazić prawie wszystko. Figaro posługiwał się podobnie angielskim goddam.

— Allegro! — mówił ów człowiek do pocztylionów, gdy powóz piał się pod górę.

— Moderato! — wołał, gdy zjeżdżano ze stromizny.

Bóg jeden wie, ile gór jest na trakcie wiodącym z Florencji do Rzymu — przez Aquapendente!

Pocztylioni naśmiewali się z włoszczyzny podróżnego.

Gdy przybyli do Story, skąd widać już Wieczne Miasto, podróżny nie przejął się tym bynajmniej ani nie okazał entuzjazmu. A przecież każdy wypatruje stąd ze wzruszeniem zarysu słynnej kopuły Świętego Piotra.

Wydobył tylko pugilares, a z pugilaresu papierek; rozłożył go z szacunkiem, złożył pieczołowicie i rzekł:

— Jest!

Karetką minęła bramę del Popolo, skręciła w lewo i stanęła przed Hotelem Londyńskim.

Stary nasz znajomy, imię Pastrini, wybiegł na próg z kapeluszem w ręce i powitał podróżnego.

Podróżny wysiadł i zamówiwszy dobry obiad spytał o siedzibę firmy Thomson i French. Wskazano mu ją od razu, gdyż był to bank znany w całym Rzymie.

Mieścił się na via dei Banchi, nie opodal Świętego Piotra.

W Rzymie, jak i wszędzie, przybycie karetki pocztowej zwraca uwagę.

Przypatrywało jej się tedy z dziesięciu młodocianych potomków Mariusza czy Grakchów. Bosi, obdarci, stali w malowniczych pozach, podpierając się pod boki i spoglądając ciekawie.

Ulicznikom towarzyszyła gromada gapiów, od jakich roi się w państwie kościelnym. Wałęsają się oni po mieście i plują do Tybru z mostu Świętego Anioła — jeśli akurat w Tybrze jest woda.

A że tłum rzymski, szczęśliwszy od paryskiego, rozumie wszystkie języki, dowiedzieli się, iż podróżny zażądał apartamentu, zamówił obiad i spytał o adres firmy Thomson i French.

W rezultacie, gdy podróżny wyszedł z hotelu w kompanii nieodstępnej tutaj cicerone, człowiek jakiś wysunął się z tłumu i niepostrzeżenie podążył za nimi. Uczynił to z dyskrecją godną agenta policji paryskiej.

Francuz tak się spieszył do banku, iż nie zaczekał nawet, aż zmienia konie.

Karetka miała zajeżdżać po niego przed bramę firmy Thomson i French.

Wszedłszy, zostawił cicerona w przedsionku. Zaraz też przewodnik nawiązał rozmowę z kilku podobnymi sobie niebieskimi ptakami. Owi „rycerze tysiąca przemysłów” czatują w Rzymie przed bankami, kościołami, ruinami, muzeami i teatrami.

Za Francuzem wsunął się ów człowiek, który odłączył się od tłumu gapiów. A gdy Francuz zadzwonił do biura i wszedł do pierwszej sali, jego cień wśliznął się za nim,

— Chciałbym się zobaczyć z panami Thomsonem i Frenchem — ozwał się Francuz.

Na znak zaufanego komisanta wstał uroczysty szwajcar, strzegący biura.

— Kogo mam zameldować? — zapytał, zmierzając ku drzwiom.

— Barona Danglars — odpowiedział podróżny.

— Pan będzie łaskaw — rzekł szwajcar. Drzwi się otworzyły.

Szwajcar i baron znikli za nimi.

Człowiek, co wsunął się za Danglarsem, siadł na ławce przeznaczonej dla czekających interesantów.

Komisant pisał dalej przez jakich pięć minut; w tym czasie nieznamy milcząc siedział nieruchomo.

Pióro komisanta przestało skrzypieć po papierze.

Urzędnik uniósł głowę, rozejrzał się bacznie, a upewniwszy się, że są sami, rzekł:

— A to ty, Peppino!

— Tak — padła lakoniczna odpowiedź.

— Zwęszyłeś coś u tego grubasa?

— Nic osobliwego. Doniesiono już nam.

— To wiesz, po co tu przyszedł? Ciekawe!

— Przyszedł po pieniądze. Trzeba się jeszcze dowiedzieć, ile podejmie.

— Zaraz się dowiesz, kochasiu.

— To dobrze. Tylko żebyś znów nie udzielił mi fałszywych informacji.

— O kimże to mówisz? O tym Angliku, który wyniósł od nas trzysta tysięcy talarów?

— Nie. Ten miał rzeczywiście przy sobie trzysta tysięcy. Znaleźliśmy je. Mam na myśli tego rosyjskiego księcia.

— A co z nim było?

— Gadałeś, że ma przy sobie trzydzieści tysięcy liwrów, a znaleźliśmy tylko dwadzieścia dwa tysiące.

— Boście źle szukali.

— Sam Luigi Vampa go rewidował.

— Pewnie spłacił długi...

— Rosjanin?

— Albo wydał pieniądze.

— To możliwe.

— To pewne. Ale pójdę do mojego obserwatorium — inaczej Francuz załatwi sprawę, a ja nie będę wiedział, o jaką sumę chodzi.

Peppino kiwnął zgodnie głową, wyciągnął różaniec i jął mamrotać pacierze, a tymczasem komisant znikł za tymi samymi drzwiami, w które weszli szwajcar i baron.

Po dziesięciu minutach wrócił rozpromieniony.
— No i co tam? — zagadnął Peppino przyjaciela.
— Uwaga! Uwaga! — Okrągła sumka!
— Pięć albo i sześć milionów, tak?
— A skąd wiesz?
— Z rachunku jego ekscelencji hrabiego de Monte Christo.
— Znasz hrabiego?
— Przelew na Rzym, Wenecję i Wiedeń.
— O właśnie! Ale skąd ty masz takie dobre informacje?
— Mówiłem ci, że nas uprzedzono.
— No to po co przyszedłeś do mnie?
— Żeby się upewnić, czy to akurat ten jegomość.
— Na pewno ten... pięć milionów. Ładna sumka, co?
— A tak.
— Nigdy tyle nie uskładamy.
— Ale — odparł filozoficznie Peppino — coś nam się z tego oberwie.
— Cicho! Już idzie!...

I urzędnik wziął pióro, a Peppino różaniec. Kiedy otwartą się drzwi, jeden pisał, a drugi odmawiał pacierze.

Zjawił się rozpromieniony Danglars, a za nim bankier. Pożegnali się w progu.

Za Danglarsem wysunął się Peppino.

Powóz czekał, według umowy, przed bankiem Thomsona i Frencha.

Cicerone stał przy otwartych drzwiczkach. Cicerone to uczynna istota, która spełni każde zlecenie.

Danglars wskoczył do powozu — lekko, jakby miał dwadzieścia lat.

Cicerone zamknął drzwiczki i usadowił się na koźle.

Peppino ulokował się w tyle powozu.

— Czy jego ekscelencja raczy zwiedzić kościół Świętego Piotra? — zagadnął cicerone.

— A po kiego licha? — zdziwił się baron.

— Kościół to godzien obejrzenia.

— Nie po to przyjechałem do Rzymu, żeby oglądać! — zawołał Danglars. I szepnął do siebie z bolesnym uśmiechem: — Przyjechałem po pieniądze.

I dotknął z lubością pugilaresu.

— A więc dokąd jego ekscelencja rozkaże jechać?

— Do hotelu.

— Casa Pastrini — rzekł cicerone do stangreta. I powóz ruszył.

Po dziesięciu minutach baron był w swoim apartamencie, a Peppino, szepnąwszy parę słów na ucho któremuś potomkowi Mariusza czy Grakchów, usadowił się na ławce obok wejścia do hotelu. Chłopiec zaś pognął co sił w stronę Kapitolu.

Danglars był znużony, kontent i senny. Położył się, wsunąwszy pugilares pod poduszkę — i zasnął.

A Peppino nie miał nic do roboty; zagrał więc w morrę z gapiami, przegrał trzy talary i żeby się pocieszyć, wypił butelkę wina orvietto.

Nazajutrz Danglars obudził się późno, choć położył się wcześniej; ale przez kilka nocy źle spał, o ile spał w ogóle. Zjadł obfite śniadanie i nie dbając o uroki Wiecznego Miasta, zamówił na południe karetkę pocztową. Nie obliczył się jednak z formalnościami, jakie trzeba było załatwić w komisariacie policji, i nie wiedział o lenistwie poczmistrza.

Konie zajęchały tedy dopiero o drugiej, a cicerone odniósł paszport o trzeciej. Przygotowania te zwabiły gapiów pod drzwi imć Pastriniego. Zjawili się oczywiście też potomkowie Grakchów i Mariusza.

Baron przeszedł tryumfalnie szpalerem gapiów, którzy tytułowali go ekscelencją, aby wyłudzić bajocco.

Danglars, jak wiadomo, wielki demokrat, zadowalał się dotychczas tytułem barona — i nikt jeszcze nie nazwał go ekscelencją. Tak mu to więc pochlebiło, że rozdzielił między hołotę garść miedziaków, hołota zaś za drugą garść była gotowa nazwać go księciem.

— Dokąd mamy jechać? — spytał pocztylion po włosku.

— Do Ancony — odpowiedział baron.

Imć Pastrini przetłumaczył pytanie i odpowiedź, a wtedy konie ruszyły z kopyta.

W istocie baron wybierał się do Wenecji, aby zrealizować tam część fortuny. Z Wenecji miał udać się do Wiednia, aby zrealizować resztę.

Zamierzał się tam osiedlić, zapewniono go bowiem, że Wiedeń jest miastem uciech.

Ledwie ujechali kilka mil, zaczęło się ściemniać.

Danglars nie spodziewał się, że wyruszy tak późno — inaczej by pozostał.

Spytał pocztyliona, jak daleko do najbliższego miasta.

— Non capisco — odpowiedział pocztylion.

Danglars kiwnął zgodnie głową, jakby chciał powiedzieć:

— To i dobrze. Powóz toczył się dalej.

— Każę mu się zatrzymać przy pierwszej poczthalterii — rzekł sobie Danglars.

Odczuwał jeszcze resztki wczorajszego zadowolenia, dzięki któremu spał tak smacznie.

Rozparł się na miękkich poduszkach wygodnej angielskiej kolaski o podwójnych resorach. Konie galopowały, Danglars upajał się szybkością. Wiedział, że poczthalteria wypada na siódmej mili. Co robić, skoro się jest bankierem, który tak szczęśliwie zbankrutował?

Danglars rozmyślał dziesięć minut o swojej opuszczonej małżonce, a drugie dziesięć minut o córce, która z panną d'Armilly wojażowała gdzieś po świecie; dziesięć następnych minut poświęcił swoim wierzycielom i dumał, w jaki sposób użyje ich pieniędzy; na koniec przymknął oczy i zasnął, bo nie miał już o czym myśleć. Otwierał je czasem na chwilę, gdy kolaska podskoczyła na wyboju.

Czuł wtedy, że konie unoszą go drogami kampanii rzymskiej. Kraj to usiany ruinami akweduktów, które porównać by można do skamieniałych olbrzymów zatrzymanych w biegu.

Noc była zimna, ciemna i dżdżysta. Danglars wolał więc drzemać w kolasce, niż wytykać głowę przez okno i pytać pocztyliona, gdzie są. Bo pocztylion i tak odpowiadał za każdym razem: Non capisco!

Danglars obiecał sobie tedy, że obudzi się na najbliższej poczthalterii — i zasnął w najlepsze.

Ekwipaż zatrzymał się.

Danglars pomyślał, iż dotarł wreszcie do upragnionego celu. Otworzył oczy i wyrzał przez okienko, sądząc, że jest w jakimś mieście albo przynajmniej w miasteczku; ale zobaczył tylko odosobnioną rudere, przy której jacyś ludzie kręcili się niby cienie. Danglars czekał na pocztyliona. Człowiek ten dojechawszy do swojej stacji winien był zjawić się teraz i ściągnąć opłatę pocztową. Liczył, że nowy pocztylion udzieli mu jakichś informacji — ale nikt nie upomniał się o pieniądze, choć konie już wyprzęgnięto i założono nowe.

Zdziwiony Danglars otworzył drzwiczki, a wtedy czyjaś ręka zamknęła je z impetem i karetka potoczyła się dalej.

Danglars zdumiał się i ocknął już całkiem.

— No, co tam? — zagadnął pocztyliona. — No, co tam, mio caro?

Było to jeszcze jedno włoskie słowo, które Danglars pochwycił, gdy jego córka wyśpiewywała duety z księciem Gavalcanti. Ale mio caro nic nie odrzekł. Danglars opuścił wtedy szybę.

— Dokądże to jedziemy, mój dobry człowieku? — zapytał wytknąwszy głowę przez okno.

— Dentro la testa! — huknął ktoś nakazująco i pogroził pięścią.

Danglars pojął, że znaczyło to: schowaj głowę. Jak widzimy, robił w nauce włoskiego szybkie postępy.

Usłuchał, mocno zaniepokojony — a że niepokój ów z każdą minutą wzrastał, Danglars rozczmuchał się już całkiem i jął rozmyślać nad swoją sytuacją. A miał o czym dumać podróżny w sytuacji Danglarsa.

Człowiek mocno czymś poruszony widzi w ciemności. Potem jednak wzrok się męczy i zdolność takiego widzenia przemija. Nim ogarnie nas lęk, widzimy rzeczy jasno; przestraszeni wyolbrzymiamy je; a gdy lęk minie, obraz rzeczy staje się niewyraźny.

Danglars ujrzał jakiegoś człowieka okutanego w pelerynę, który galopował obok powozu.

— To jakiś żandarm — powiedział sobie. — Czyżby nasz telegraf zawiadomił już władze papieskie?

Postanowił wyzbyć się niepewności.

— Dokąd mnie wieziecie? — spytał.

— Dentro la testa! — powtórzył tenże głos z taką samą groźbą. Danglars spojrzął w lewo.

I z tej strony galopował ktoś konno.

— Złapali mnie — powiedział sobie Danglars i pot wystąpił mu na czoło. Zaszły się w kąt powozu — tym razem nie po to, by drzemać, ale żeby rozmyślać.

Po chwili wstał księżyc.

Danglars spojrzął przez okno: olbrzymie akwedukty, widma kamienne, które widział był z prawej strony, mijały go teraz po lewej.

Pojął, że zawrócili do Rzymu.

— O, ja nieszczęśliwy — szepnął. — Rząd uzyskał ekstradycję. Powóz mknął z przerażającą szybkością.

Minęła straszliwa godzina. Zbieg poznawał przebytą drogę — nie wątpił już, że zawrócono.

Ujrzał na koniec jakiś ciemny kształt. Powóz pędził prosto w tym kierunku, jakby miał się rozbić o tę ścianę. Po chwili jednak skręcił i potoczył się wzdłuż potężnego muru. Były to oczywiście fortyfikacje opasujące Rzym.

— Hm — mruknął Danglars — nie wjeżdżamy do miasta, a więc to nie sprawiedliwość mnie pochwyliła. O Boże! Czyżby?...

Włosy mu się zjeżyły.

Przypomniał sobie zajmujące historie o bandytach włoskich. Nie bardzo wierzone w nie w Paryżu — ale przecież Albert de Morcerf opowiadał o swojej przygodzie jego żonie i córce, gdy był jeszcze narzeczonym Eugenii.

— Może to więc bandyci — szepnął. Ekwipaż potoczył się nagle jakby po kamieniach.

Danglars popatrzył ostrożnie w jedną i drugą stronę. Ujrzał dziwaczne budowle, a wspominając wciąż we wszystkich szczegółach opowiadanie Alberta, domyślił się, że był na via Appia.

Na prawo grunt się obniżał, tworząc jakby półkolistą ścianę. Był to cyrk Caracalli.

Jeździec z prawej powiedział coś i powóz się zatrzymał.

W tejże chwili otworzyły się drzwiczki z lewej strony.

— Scendi! — rozkazał ktoś. Danglars wysiadł natychmiast.

Nie mówił jeszcze po włosku, ale już rozumiał. Rozejrzał się, półprzytomny ze strachu. Otaczało go czterech ludzi, nie licząc pocztyliona.

— Di qua — rzekł jeden z ludzi, schodząc w dół ścieżką między rozpadliny kampanii rzymskiej.

Danglars udał się potulnie za przewodnikiem. Wiedział, nie oglądając się, że trzej inni podążyli za nimi. Wydało mu się jednak, iż zostawali oni kolejno na drodze, rozstawiając się w różnych odległościach niby wartownicy. Szli tak w milczeniu z dziesięć minut, aż dotarli do wzgórką, otoczonego wybujałą trawą; trzej milczący ludzie tworzyli trójkąt — Danglars stanowią jego środek. Chciał coś powiedzieć, ale nie zdołał wydobyć z siebie głosu.

— Avanti! — zabrzmiał rozkazujący ten sam głos.

Tym razem Danglars zrozumiał wybornie. Rozkaz poparty był gestem — człowiek idący z tyłu popchnął Danglarsa tak gwałtownie, iż bankier wpadł na przewodnika. Był nim nasz przyjaciel Peppino.

Peppino zniknął wśród wysokich traw, podążając dróżką, którą mogły znać chyba tylko jaszczurki i łasice. Zatrzymał się przed skałą, na której rósł gęsty krzak. Pod skałą był podłużny otwór. Peppino znikł w nim, jak diabeł w zapadni na scenie.

Człowiek idący za Danglarsem rozkazał mu zapuścić się w otwór, popchnąwszy bankiera.

Nie było już wątpliwości — francuski bankrut miał do czynienia z bandytami włoskimi.

Strach dodał mu odwagi.

Brzuchaty bankier wśliznął się za przewodnikiem w wąską szczelinę — a wtedy ją zsuwać się na dół. Zamknął oczy.

Otwarł je, gdy nogi jego dotknęły ziemi. Ciągnęła się przed nim droga szeroka, ale ciemna.

Peppino, nie potrzebując się już ukrywać — był u siebie — zapalił krzesiwem pochodnię. Dwaj inni zeszli za Danglarsem, tworząc ariergardę; popychali go, jeśli bankier się wahał — i tak schodząc w dół po łagodnej pochyłości dotarli do skrzyżowania lochów. Ponuro tu było. W ścianach z białego kamienia widniały rzędy ciemnych nyz, jak oczy trupich czaszek. W nyzach były trumny.

Strażnik zadzwonił kółkami u rzemienia strzelby.

— Kto idzie? — zawołał.

— Swój! Swój! — odrzekł Peppino. — Gdzie dowódca?

— Tam — odpowiedział wartownik, wskazując palcem za siebie. Była tam wielka sala wykuta w kamieniu. Światło z niej padało na korytarz potężnymi, sklepienymi otworami.

— Gruba ryba, naczelniku, gruba ryba! — zawołał Peppino po włosku.

I wzięwszy Danglarsa za kołnierz, pociągnął go do sali, będącej kwaterą wodza.

— Czy to ten? — zapytał herszt, czytając uważnie żywot Aleksandra opisany przez Plutarcha.

— Ten sam, naczelniku.

— Doskonale. Pokaż no mi go.

Na ten rozkaz, niezbyt skądinąd uprzejmy, Peppino tak raptownie oświetlił twarz Danglarsa, iż bankier uskoczył, aby płomień pochodni nie osmalił mu brwi. Na twarzy tej malował się w całej swojej okazałości ohydny strach.

— Zmęczył się — zauważył dowódca — zaprowadźcie go do łóżka.

— O — mruknął Danglars — łóżko to pewnie jedna z trumien tkwiących w tej ścianie; a zasnę, kiedy sztylet błysnie w mroku i ugodzi mnie pod żebro.

W mrokach ogromnej sali poczęli unosić się na posłaniach z wilczych skór i suchej trawy towarzysze owego człowieka, którego Albert de Morcerf zastał przy czytaniu „Komentarzy” Cezara, a Danglars przy Plutarchu.

Bankier jęknął głucho i udał się za przewodnikiem. Nie próbował nawet skarżyć się i błagać. Zupełnie opadł z sił. Szedł, ponieważ go pchano.

Potknął się o stopień, a sądząc, że ma przed sobą schody, pochylił się instynktownie, aby nie rozbić sobie czoła. Znalazł się w celi wyżłobionej w litej skale.

Cela ta, choć naga i wykuta bardzo głęboko, była czysta i sucha. W kącie znajdowało się posłanie z traw przykrytych kozimi skórąmi.

Ujrawszy je Danglars pomyślał, że jest ocalony.

— Dzięki ci, Boże — westchnął. — To przecież łóżko.

W ciągu godziny po raz wtóry westchnął do Boga — a nie zdarzyło mu się to już od dziesięciu lat.

— Ecco — rzekł przewodnik.

I wepchnąwszy Danglarsa do celi, zamknął drzwi.

Zgrzytnął rygiel — Danglars był więźniem.

A zresztą, gdyby nawet nie było rygla, chyba tylko święty Piotr albo sam anioł z nieba wyprowadziłby go z katakumb Świętego Sebastiana. Jakież tu było się przemknąć wśród owego garnizonu, którym dowodził Luigi Vampa — czytelnik poznał go zapewne.

A i Danglars domyślił się, kim jest ów bandyta, w którego istnienie uwierzyć nie chciał, gdy Albert de Morcerf usiłował wyrobić mu obywatelstwo francuskie.

Nie dość na tym — cela bowiem, w której się znalazł, była celą Alberta. Według wszelkiego prawdopodobieństwa goszczono w niej stale cudzoziemców.

Wspominając to, Danglars poweselał nieco, a nawet się uspokoił. Skoro bandyci nie zabili go natychmiast, nie zamierzali zabić w ogóle. Schwytali go, żeby obrabować, a że miał przy sobie tylko parę ludwików, wyznaczą nań okup. Przypomniał sobie, iż Morcerfa oszacowali na cztery tysiące dukatów. Otaksował się więc sam na osiem tysięcy, przypisując sobie dużo większe znaczenie.

Osiem tysięcy dukatów to czterdzieści tysięcy liwrów. Zostanie mu więc jeszcze nędzne pięć milionów i pięćdziesiąt tysięcy franków. A z taką sumką człowiek wszędzie się wyłabuda.

Pewien już niemal, że wyjdzie cało z opresji, nikt bowiem dotąd nie oszacował nikogo na pięć milionów, Danglars ułożył się na posłaniu, przewrócił się na drugi bok i zasnął spokojnie, jak ów bohater, którego dzieje studiował Luigi Vampa.

40. JADŁOSPIS LUIGIEGO VAMPY

Po śnie następuje zawsze przebudzenie.

Obudził się.

Paryżaninowi nawykłemu do jedwabnych zasłon w oknach, do ścian wybitych aksamitem, do zapachu, jaki wydaje drzewo płonące na kominku — woni spływającej spod atlasowego stropu, przebudzenie w kredowej grocie może wydać się niemiłym snem.

Dotykając kotar z kozłej skóry, Danglars pomyślał zapewne, że śni mu się, iż przebywa u Samojedów albo Lapończyków. W sekundę jednak przypomniał sobie o wszystkim — pierzchy wątpliwości.

— Tak, tak — mruknął — wpadłem w ręce bandytów, o których opowiadał nam Albert de Morcerf.

Odetchnął tedy głęboko, by przekonać się, czy nie jest ranny. O sposobie tym dowiedział się z „Don Kichota” — trudno powiedzieć, żeby przeczytał dokładnie tę książkę, ale coś z niej zapamiętał. Była to zresztą jedyna książka w jego życiu.

— Nie — powiedział do siebie — nie zranili mnie i nie zamordowali, ale może okradli.

Jął tedy macać się po kieszeniach. Nic w nich nie brakowało. Sto ludwików, które przeznaczył na podróż z Rzymu do Wenecji, spoczywało w kieszeni pantalonów; pugilares zawierający, przekaz na pięć milionów był w kieszeni surduta.

— Osobliwi bandyci! — mruknął — pozostawili mi sakiewkę i pugilares... No tak, miałem rację powiadając sobie przed spaniem, że wyznaczą okup. No, no, jest i zegarek! Zobaczmyż, która godzina.

Zegarek ów — arcydzieło Brègueta — wydzwonił pół do szóstej. Danglars nakręcił go był starannie, nim puścił się w drogę.

Gdyby nie to, nie zorientowałby się, czy to dzień, czy noc — światło dzienne nie przedostawało się bowiem do celi.

Trzeba było domagać się od bandytów wyjaśnień czy też czekać cierpliwie, aż odezwą się sami? Przeworniej było czekać.

Danglars czekał więc.

Czekał do południa.

Wartownik czuwał pod drzwiami.

O ósmej była zmiana warty.

Danglarsa zdjęła chęć, by zobaczyć, kto go teraz pilnuje.

Światło lampy sączyło się szparami w drzwiach.

Danglars przyłożył oko do jednej z owych szpar — bandyta popijał akurat wódkę ze skórzanego bukłaka. Bukłak śmierdział — Danglars otrząsnął się z obrzydzenia.

— Brrr!... — mruknął i cofnął się w głąb celi. W południe zjawił się nowy strażnik.

Danglars spojrział tedy przez szparę. Był ciekawy.

Zobaczył bandytę atletycznej postury; był to Goliat o wylupiastych oczach, mięsistych wargach i płaskim nosie; rude pozlepiane kudły, wijące się jak węże, opadały na kołnierz.

— Hm — rzekł sobie Danglars — ten przypomina bardziej ludożercę niż człowieka. No, ale jestem stary i dość łykowaty, choć tłusty; nie smakowałbym mu chyba.

Jak widzimy, Danglars był jeszcze wcale skory do żartów.

W tejsze chwili bandyta, jak gdyby chciał dowieść, że nie jest ludożercą, siadł naprzeciwko drzwi, wyciągnął z torby pajdę czarnego chleba, kilka cebul, kawał sera — i począł je pożerać łapczywie.

— Niech to diabli! — mruknął Danglars popatrując na posiłek bandyty. — Nigdy nie zrozumiem, jak można jeść takie paskudztwa!

Usadowił się na kozlich skórach — woń ich przypominała mu wódkę pierwszego wartownika.

Lecz Danglars był bezradny wobec niezbadanych tajemnic natury: czyż żołądek łaknie choćby najordynarniejszych potraw.

Nasz bankier uczył więc, że ssie go w dołku. Bandyta nie wydawał mu się już tak szkaradny, chleb taki czarny, a ser aż tak nieapetyczny.

A te cebule — ohydna strawa, dobra dla dzikusa — przypomniały mu o pewnych sosach od Roberta i o sztuce mięsa, którą kucharz jego przyprawiał po mistrzowsku, gdy Danglars powiadał mu: „Panie Deniseau, upitrasz mi dzisiaj to moje ulubione świniestewko”.

Wstał i zastukał do drzwi.

Bandyta podniósł głowę.

Danglars zastukał wtedy mocniej.

— Che cosa? — ozwał się bandyta.

— Mój przyjacielu — rzekł Danglars bębniąc palcami po deskach — zdaje mi się, że już czas pomyśleć, aby dano mi jeść!

Lecz olbrzym albo nie rozumiał, albo jeśli idzie o wyżywienie Danglarsa, nie otrzymał żadnych rozkazów, dość że zaczął opychać się dalej.

Danglars uczył się urażony w swojej dumie. Nie zamierzając wdawać się w rozmowy z tym chamem, ułożył się na koźlich skórkach i milczał.

Minęły cztery godziny.

Olbrzym zmienił się z innym bandytą.

Danglarsowi okropnie burczało w brzuchu. Wstał więc po cichu i przytknął oko do szpary. Ujrzał twarz swojego przewodnika.

Peppino krzątał się, pragnąc widać, aby strażowanie upłynęło mu jak najmiej. Usadowił się naprzeciwko drzwi, stawiając przed sobą rondel gorącego i wonnego grochu, suto omaszczonego słoniną.

Nie opodał grochu umieścił gustowny koszyczek winogron z Velletri tudzież butelkę wina z Orvietto.

Peppino był z pewnością smakoszem.

Na widok tych przygotowań gastronomicznych ślinka napłynęła do ust Danglarsowi.

No, pomyślał, może ten będzie przystępniejszy. I zastukał delikatnie w drzwi.

— Służę — ozwał się bandyta, nauczony się snadź uprzejmości w hotelu imię Pastriniego.

I otworzył drzwi.

Danglars poznał wtedy, iż to on nawoływał tak szorstko: „Schować głowę!”

Lecz nie pora była na wyrzuty. Bankier ozwał się wtedy przymilnie i z najśłodszy uśmiechem:

— Przepraszam pana, ale czy ja nie dostanę obiadku?

— Jak to? — zawołał Peppino. — Czyżby ekscelencja przypadkiem był głodny?

— Urocze jest to „przypadkiem” — mruknął Danglars — toć nie jadłem już całą dobę. Ależ tak, proszę pana — dorzucił głośniejsz — chce mi się jeść, i to nie na żarty.

— Ekscelencja zjadłby coś?...

— I to nawet zaraz, jeśli można.

— Nic łatwiejszego. Mamy tu wszystko, tylko trzeba zapłacić, jak to zawsze u porządnym ludzi.

— O, to rozumie się samo przez się, chociaż ten, kto bierze kogoś do niewoli, winien żywić więźnia.

— Niestety, ekscelencjo, tego zwyczaju nie mamy.

— Nie bardzo mi trafia do przekonania ten argument, lecz mi wystarczy — odpowiedział uprzejmie Danglars, starając się ugłaskać wartownika. — Dajcież mi jeść.

— W tej chwili, ekscelencjo. Czego ekscelencja sobie życzy?

I Peppino postawił miseczkę na ziemi w taki sposób, aby zapach jądła buchnął prosto w nos Danglarsowi.

— Niech pan rozkazuje — dodał.

— To macie tutaj kuchnię? — zdziwił się Danglars.

— A czyż można obejść się bez kuchni? Mamy kuchnię wyborną!

— I kucharzy?

— Mistrzów niedościgłych.

— A więc dajcie mi kurczę, rybę, kawałek zwierzyny, wszystko jedno zresztą, bylebym co zjadł.

— Stanie się według rozkazu waszej ekscelencji. A więc, powiedzmy, kurczątko, dobrze?

— Dobrze, niech będzie kurczę. Peppino wstał i huknął z całych sił:

— Kurczę dla ekscelencji.

Głos Peppina drżał jeszcze pod sklepieniami, gdy zjawił się urodziwy młodzieniec, smukły, półnagi, niby antyczny handlarz ryb. Niósł kurczaka na srebrnym półmisku.

— Zupełnie jak w Cafe de Paris — mruknął Danglars.

— Służę ekscelencji — rzekł Peppino; odbierając półmisek z rąk młodego bandyty i stawiając go na spróchniałym stole. Stół ten tworzył razem z zydem umeblowanie celi.

Danglars poprosił o nóż i widelec.

— Służę ekscelencji — rzekł Peppino, podając wyszczerbiony nożyk i bukszpanowy widelec.

Danglars zabierał się już tedy do krajania.

— Ekscelencja daruje — ozwał się Peppino kładąc dłoń na ramieniu bankiera — ale u nas najpierw się płaci... Opuszczając nas klient mógłby okazać niezadowolenie...

— Ho, ho — odrzekł Danglars — to już nie tak, jak w Paryżu, nie mówiąc o tym, że, jak się spodziewam, obłupicie mnie ze skóry. Ale nie bądźmy małostkowi. Słyszałem zawsze, że we Włoszech życie jest tanie; kurczak powinien więc kosztować w Rzymie dwanaście su. Masz! — i rzucił Peppinowi ludwika.

Bandyta podniósł pieniądz, a Danglars chciał już rozkładać kurczę.

— Momencik, ekscelencjo — powiedział Peppino — momencik, ekscelencja jest mi jeszcze coś niecoś dłużny.

— A nie mówiłem, że mnie tu obedną ze skóry! — mruknął Danglars. . I zdecydowany się bronić, zapytał:

— Ileż jeszcze jestem wam winien za tego chuderlawego ptaszka?

— Ekscelencja dał ludwika zaliczki.

— Ludwika zaliczki za kurczę?

— Oczywiście. Było to à conto.

— No, no, nie żartowałbyś bratku.

— Należy mi się od ekscelencji już tylko cztery tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć ludwików.

Danglars wytrzeszczył oczy — żart mu się wydał mocno przesadzony.

— Hm, hm, bardzo zabawne, rzeczywiście bardzo zabawne — mruknął. I spróbował znowu przekrajać kurczę, ale Peppino przytrzymał mu rękę.

— Powoli, powoli — rzekł.

— To pan nie żartuje? — spytał Danglars.

— Nigdy nie żartujemy, ekscelencjo — odparł Peppino z kwakerską powagą.

— Jak to, sto tysięcy franków za kurczę?

— Czyż ekscelencja nie rozumie, jak trudno hodować drób w tych przeklętych grotach?

— No, no — zachnął się Danglars — jesteś pan nieporównanym żartownisem, ale mnie się chce jeść. Nie przeszkadzajże mi. Masz tu jeszcze, przyjacielu, ludwika na swój prywatny użytek.

— W takim razie — ozwał się Peppino nie tracąc zimnej krwi — dług wyniesie już tylko cztery tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem ludwików. Cierpliwości, a dojdziemy do porozumienia.

— W takim razie — zawołał Danglars oburzony tymi żartami — idźże sobie do diabła! Nie wiesz widać, z kim masz do czynienia.

Na znak, dany przez Peppina, młody bandyta wyrósł jak spod ziemi i zabrał kurczę.

Danglars rzucił się na posłanie.

Peppino zamknął drzwi i znów począł jeść swój groch. Danglars nie widział tego, ale słyszał mlaskanie bandyty. Bandyta jadł, i to jadł hałaśliwie, jak czynią ludzie źle wychowani.

— Cham! — wrzasnął Danglars.

Peppino udał, że nie słyszy, i nie spojrzawszy nawet w tę stronę, pożywiał się dalej, nie spiesząc się, jak na rozumnego człeka przystało.

Danglarsowi wydało się, że żołądek jego zamienił się w beczkę Danaid . Pomyślał, że już nigdy napęlić go nie zdoła.

Przecierpiał tak jeszcze pół godziny, nie przesadzimy jednak powiadając, że czas ten wydał mu się wiecznością.

Wstał i podszedł znów do drzwi.

— Mój panie — rzekł — nie dopuść, abym cierpiał dłużej, i powiedz, czego ode mnie chcecie?

— Ależ to ekscelencja powinien raczej wyjawić, czego by sobie życzył... Jesteśmy na rozkazy.

— A więc najpierw otwórz pan. Peppino otworzył.

— Chciałbym, do diabła, co zjeść! — wrzasnął Danglars.

— To pan jest głodny?

— Jak to, nie wiesz?

— I cóż by ekscelencja zjadł?

— Kawalek suchego chleba, skoro kurczęta są w tej piwnicy przeklętej na wagę złota!

— Może być i chleb. Hej tam, przynieść chleba! — zawołał. Młodociany bandyta przyniósł bułeczkę.

— Służę — powiedział Peppino.

— Ileż za to? — spytał Danglars.

— Cztery tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem ludwików, bo dwa ludwiki już łaskawy pan wpłacił.

— Co takiego? Sto tysięcy franków?

— Sto tysięcy franków — potwierdził Peppino.

— Ależ tyle żądaliście za kurczaka!

— Mamy ceny stałe, nie podajemy z karty. Każda porcja, większa czy mniejsza, kosztuje u nas to samo.

— I znów ten żart! Mój kochany, oświadczam ci, że to niedorzeczność! Powiedz od razu, że chcecie mnie zamorzyć głodem: im prędzej, tym lepiej.

— Ależ skąd! To ekscelencja pragnie popełnić samobójstwo. Niech pan zapłaci, a dostanie pan jeść.

— A czymże mam zapłacić, bydlaku! — ryknął zrozpaczony Danglars. — Czy ci się zdaje, że mam przy sobie sto tysięcy franków?

— Ma ekscelencja przy sobie pięć milionów pięćdziesiąt tysięcy franków. Będzie za to pięćdziesiąt i pół kurczaka.

Danglars zadrzał.

Opaska spadła mu z oczu: zrozumiał wreszcie sens tego żartu. Powiedzieć nawet trzeba, że uznał facecję za mniej płaską, niż mu się to przed chwilą zdawało.

— A jeśli — rzekł — dam sto tysięcy, czy będziemy skwitowani i czy najem się do syta?

— Rzecz jasna.

— Ale jakże je dać? — tu Danglars odetchnął swobodnie.

— Nic łatwiejszego. Masz pan kredyt u Thomsona i Frencha. Daj mi pan bon na cztery tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem ludwików, płatny u tych panów, a nasz bankier odbierze tę sumę.

Danglars chciał przynajmniej okazać dobrą wolę; wziął papier i pióro, które podsunął mu Peppino, wypisał cedulę i opatrzył ją podpisem.

— Oto — rzekł — bon na okaziciela.

— A oto pański kurczak.

Danglars pokrajał kurczę wzdychając; wydało mu się bardzo chude, jak na tak grubą sumę.

A Peppino przeczytał uważnie papier, wsunął go do kieszeni i znów zabrał się do swojego grochu.

41. PRZEBACZENIE

Nazajutrz Danglarsowi znów zachciało się jeść — powietrze lochu zaostrzało ogromnie apetyt. Więżniowi wydawało się jednak, iż tego dnia żadnych kosztów nie poniesie.

Jako człek oszczędny, ukrył połowę kurczaka i kawałek chleba w kącie celi.

Ale gdy zjadł, zaczęło go dręczyć pragnienie — tego się nie spodziewał.

Walczył z pragnieniem, póki wyschnięty język nie przywarł mu do podniebienia.

Nie mogąc tedy wytrzymać dłużej trawiącego ognia zawołał. Wartownik otworzył drzwi; była to nowa twarz. Danglars pomyślał, że lepiej mieć do czynienia ze starym znajomym. Wezwał Peppina.

— Do usług, ekscelencjo — rzekł bandyta zjawiwszy się z pośpiechem, który wydał się Danglarsowi dobrą wróżbą. — Czego ekscelencja sobie życzy?

— Pić.

— Ekscelencji wiadomo zapewne, że w okolicach Rzymu wino jest na miarę złota.

— To dajcie mi wody — powiedział Danglars, usiłując odparować cios.

— Ach, ekscelencjo, o wodę jeszcze trudniej niż o wino. Tego roku mamy klęskę, suszy!

— Oho — rzekł Danglars — zdaje się, że znów zaczynacie. I niby to roześmiał się z żartu, ale pot zrosił mu czoło.

— Słuchajże, mój przyjacielu — ciągnął Danglars, widząc, jak nieugięty jest Peppino — proszę tylko o szklanekę wina; nie odmówisz mi chyba?

— Powiedziałem już ekscelencji — odrzekł poważnie Peppino — że nie sprzedajemy detalicznie.

— W takim razie daj mi butelkę.

— Jakiego?

— Najtańszego.

— Wszystkie są po jednakowej cenie.

— I jakaż to cena?

— Dwadzieścia pięć tysięcy za flaszkę.

— To już powiedz — zawołał z goryczą godną Harpagona — że chcecie mnie obrabować doszczętnie. Zróbcie to od razu, zamiast wydierać kawałek po kawałku.

— Możliwe, że naczelnik tak postanowił.

— A któż on, ten naczelnik?

— Ten, który pana prowadził onegdaj.

— I gdzież on jest?

— Tutaj.

— Chciałbym się z nim zobaczyć.

— Proszę bardzo.

Po chwili Luigi Vampa stanął przed Danglarsem.

— Wzywałeś mnie pan? — spytał.

— Czy to pan przewoźnisz tym ludziom, którzy mnie tutaj przywieźli?

— Tak, ekscelencjo; i co dalej?

— Ile pan żądasz okupu?

— O, tylko tych pięciu milionów, które masz pan przy sobie.

— A chcesz mnie pan zamorzyć głodem?

— To inna sprawa.

— A więc, nędznicy, pokrzyżuję wam te haniebne plany! Skoro mam umrzeć, wolę skończyć ze sobą od razu; możecie mnie dręczyć, torturować, zabić, ale podpisu mojego mieć nie będziecie.

— Jak wola, ekscelencjo — odrzekł Vampa. I wyszedł z celi.

Danglars rzucił się, rycząc, na postanie.

Kim byli ci ludzie? Kim był ów naczelnik widzialny? Kim był naczelnik niewidzialny? Jakie zamiary żywili względem niego? I czemuż on nie mógł się wykupić, skoro mógł wykupić się każdy?

Tak, oczywiście, wywiódłby w pole śmiercią nagłą i szybką owych zajadłych wrogów, którzy ścigali go jakby, aby wyrzucić na nim niezrozumiałą zemstę.

Tak, ale umrzeć...

Po raz pierwszy może w czasie swojej długiej kariery Danglars pragnął śmierci, lękając się jej zarazem; ale nadszedł moment, kiedy musiał spojrzeć na owo nieubłagane widmo, żyjące w każdym stworzeniu, widmo, które szepce mu z każdym uderzeniem serca: „Umrzesz!”

Danglars przypominał dzikie zwierzę, osaczone przez myśliwych, zwierzę, któremu dzięki desperackim wysiłkom udaje się czasem uciec.

Danglars rozmyślał o ucieczce.

Ale mury były tu z litej skały, a jedyne wyjścia strzegli wartownicy przesuający się niby cienie i zbrojni w fuzje.

Opierał się jeszcze dwa dni — po czym zażądał pożywienia i dał podpis na milion.

Dostał wspaniałą wieczerzę i zabrano mu milion.

Od tej chwili nieszczęsny więzień postradał zmysły. Wycierpiał tyle, że nie chciał już cierpieć więcej i zgadzał się na wszystko. Obliczywszy się po dniach dwunastu, stwierdził, że pozostało już mu tylko pięćdziesiąt tysięcy franków.

Zaszała w nim wtedy osobliwa przemiana: on, który oddał pięć milionów, starał się za wszelką cenę ocalić tę sumkę. Jął więc odmawiać sobie wszystkiego, a chwilami ogarniała go nadzieja granicząca z szaleństwem.

On, który dawno już zapomniał o Bogu, powiadał teraz sobie, że Bóg czasem czyni cuda, a więc jaskinia zawalić się może; kto wie, czy karabinierzy nie przyjdą mu z pomocą, odkrywszy tę przeklętą norę; kto wreszcie ma pięćdziesiąt tysięcy franków, ten nie umrze z głodu.

Błagał Boga, aby zachował mu tę sumę, a modląc się, płakał.

I tak trzy dni Bóg gościł stale, jeśli nie w jego sercu, to przynajmniej na jego wargach.

Chwilami znów majaczył. Wydawało mu się, że widzi przez okno ubogą izdebkę, a w niej starca konającego na barłogu.

Starzec ów także umierał z głodu.

Czwartego dnia Danglars był żywym trupem.

Zbierał z podłogi resztki dawnych posiłków i zaczynał już pożerać rogożę, która na niej leżała. Błagał Peppina, jak błagamy anioła stróża, aby dał mu coś do zjedzenia. Ofiarowywał tysiąc franków za kęs chleba.

Peppino pozostawał głuchy na te prośby.

Piątego dnia dowlókł się do drzwi.

— Czyż ty nie jesteś chrześcijaninem? — ozwał się kłękając. — Czy chcesz zamordować swojego brata w Chrystusie? O, moi dawni przyjaciele, moi dawni przyjaciele! — szepnął.

I padł twarzą do ziemi. Zerwał się z desperacją.

— Gdzie naczelnik, gdzie naczelnik? — zawołał.

— Jestem — rzekł Vampa zjawiając się nagle. — Czego pan sobie jeszcze życzysz?

— Bierzcie moje ostatnie pieniądze — wybełkotał Danglars — ale pozwólcie mi żyć, tu, w tej jaskini; nie proszę już o wolność, proszę o życie.

— Czyżbyś pan aż tak cierpiał? — spytał Vampa.

— Och, cierpię okrutnie!

— A jednak niektórzy bardziej cierpieli od pana.

— Chyba nie.

— Tak, ci, którzy umarli z głodu.

Danglars pomyślał o starcu, który jawił mu się w godzinach halucynacji; widywał go przez okna ubogiej izdebki — starzec jęczał na pośłaniu. Danglars uderzył czołem o ziemię i jęknął.

— Tak, to prawda — rzekł — inni więcej cierpieli ode mnie, ale byli to męczennicy.

— Żałujesz pan przynajmniej — ozwał się głos tak ponury i uroczysty, że Danglarsowi zjeżyły się włosy.

Wzrok osłabł mu. Teraz więc dopiero dostrzegł, że za bandytą, w cieniu pilastra, stoi jakiś mężczyzna spowity w pelerynę.

— Za co mam żałować? — wybełkotał Danglars.

— Za grzechy — ozwał się ten sam głos.

— Tak, tak, żałuję, żałuję! — zawołał Danglars. I bił się w piersi wychudłą dłonią.

— A więc przebaczam ci — rzekł ów człowiek i zrzuciwszy płaszcz stanął w pełnym świetle.

— Hrabia de Monte Christo! — zawołał przerażony Danglars, blednąc jeszcze bardziej.

— Mylisz się pan, nie jestem hrabią de Monte Christo.

— Kim więc pan jesteś?

— Jestem tym, którego sprzedałeś, wydałeś i zhańbiłeś; jestem tym, którego narzeczoną pchnąłeś do nierządu; jestem tym, którego zdeptałeś, aby zrobić karierę; jestem tym, którego ojciec przez ciebie umarł z głodu — tedy i ja ciebie skazałem na śmierć głodową; ale ci przebaczam, bo i sam potrzebuję przebaczenia. Jestem Edmund Dantes.

Danglars krzyknął tylko i runął.

— Wstań — powiedział hrabia — darowałem ci życie; nie poszczęściło się tak twoim dwóm wspólnikom: jeden umarł, a drugi zwariował! Zachowaj te pięćdziesiąt tysięcy franków, daruję ci je; a nieznana ręka zwróciła już pięć milionów, które skradłeś sierotom i wdowom. A teraz jedz i pij, jesteś dziś moim gościem. Vampo, kiedy ten człowiek nasyci głód, będzie wolny.

Hrabia odszedł, a Danglars wciąż jeszcze leżał twarzą do ziemi.

A gdy uniósł głowę, ujrzał już tylko cień niknący w korytarzu — cieniowi temu kłaniali się bandyci.

Vampa spełnił rozkaz hrabiego. Kazał przynieść Danglarsowi najprzedniejszego wina i najpiękniejszych owoców, po czym wsadził go do karetki pocztowej. Po jakimś czasie kazał mu wysiąść. Oddalając się ujrzał Danglarsa, jak stał oparty o drzewo.

Stał tak aż do rana, nie wiedząc, gdzie się znajduje.

O brzasku spostrzegł, że w pobliżu przepływa strumień.

Powlókł się tam, trawiony pragnieniem.

Nachyliwszy się nad wodą, zobaczył, że osiwiął.

42. PIĄTY PAŹDZIERNIKA...

Było to pod wieczór, mniej więcej o szóstej. Z opalizującego nieba złote promienie pogodnego słońca jesieni padały na błękitnawe morze.

Upał przemijał stopniowo. Powiał już chłodny wiaterek — tchnienie przyrody po upalnej południowej sjeście. Tchnienie to rozkoszne odświeża brzegi Morza Śródziemnego, niosąc od krańca do krańca woń drzew i ostry zapach jodu.

Po tym olbrzymim jeziorze, rozpościerającym się między Gibraltarem a Dardanelami i między Tuniszem a Wenecją, sunął wśród pierwszych mgieł wieczornych wykwinny i smukły jacht. Mknął niby łabędź, kiedy otworzy skrzydła i poddając się wiatrowi ślizga się jakby po wodzie. Zbliżał się szybko i wdzięczny, zostawiając za sobą fosforyzującą bruzdę.

Słońce znikło już za horyzontem, ale jakby na dowód, że nie kłamią przepyszne sny mitologii, czerwona zorza pojawiła się na grzywach fal: bóg ognia krył się u Amfitryty, ona zaś daremnie starała się schować kochanka między fałdami lazurowego płaszcza.

Jacht zbliżał się szybko — choć na pozór wietrzyk był tak słaby, iż nie rozrzuciłby loków dziewczęcia.

Na dziobie stał rośły, ogorzały mężczyzna. Wpatrywał się bacznie w zbliżający się łód — jawił on mu się niby ciemny stożek wyrastający spośród fal: olbrzymi kataloński kapelusze.

— Czy to już Monte Christo? — ozwał się czyjś poważny głos, przepojony głęboką melancholią. To zapytał podróżny, któremu jacht ów oddano do dyspozycji.

— Tak, ekscelencjo — odparł kapitan — dopływamy.

— Dopływamy!... — szepnął podróżny z niewypowiedzianym smutkiem. I dorzucił jeszcze ciszej:

— Tak, tak, to już port.

Zadumał się znowu, a zamyślenie to wyrażało się uśmiechem smutniejszym niżli łzy.

Po kilku minutach ukazał się łód w świetle pochodni, co zgasała natychmiast, i ktoś wypalił z fuzji.

— Ekscelencjo — ozwał się kapitan — dano nam stamtąd znak; czy zechciałby ekscelencja odpowiedzieć?

— Jaki znak?

Kapitan wskazał wyspę — na zboczu jej wykwitła samotna smużka dymu, po czym ją strzępić się i opadać.

— A tak — dodał podróżny, jakby budząc się ze snu. — Dobrze. Kapitan podał mu naładowaną fuzję, a podróżny uniósł ją z wolna i wystrzelił w powietrze. Po dziesięciu minutach zwijano żagle. O pięćset kroków od niewielkiego portu zarzucono kotwicę. Do jachtu podpłynęła szalupa z czterema wioślarzami i pilotem. Podróżny zamiast usiąść na rufie, którą wymoszczono dla niego niebieskim

kobiercem, stał, zapłótszy ramiona. Wioślarze czekali wzniośszy wiosła — byli podobni do ptaków, które suszą skrzydła.

— W drogę! — ozwał się podróżny.

Osiem wiosel opadło jednocześnie na morze, nie rozpryskując wody.

I łódź pomknęła szybko.

Po chwili znaleźli się w naturalnej zatoczce; łódź zatrzymała się na piasku.

— Ekscelencja — rzekł pilot — raczy wejść na barki dwóch ludzi. Wyniosą ekscelencję na brzeg.

Podróżny machnął obojętnie ręką i wszedł do wody — sięgnęła mu do pasa.

— Czemuż ekscelencja to uczynił? — zmartwił się pilot. — Dostaniemy burę od jaśnie pana.

Ale podróżny skierował się ku brzegowi — śladem marynarzy, znających płytsze miejsca.

Uszedłszy trzydzieści kroków dotarł do brzegu. Otrząsnął się z wody i jął rozglądać się, szukając ścieżki, którą miano mu zapewne wskazać, zapadła bowiem już noc ciemna.

Wtedy czyjaś dłoń spoczęła na jego ramieniu i ozwał się głos, na którego dźwięk młodzieniec zadrżał:

— Dobry wieczór, Maksymilianie. Miło mi, że jesteś akuraty.

— A, to hrabia! — zawołał Morrel, okazując jakby cień radości i ściskając ręce Monte Christa.

— Jak pan widzisz, i ja jestem akuraty. Ale zamoczyłeś się do cna. Trzeba się przebrać, jak powiedziałaaby Kalipso do Telemacha. Chodź, apartament czeka na ciebie, zapomnisz tam o zmęczeniu i zimnie.

Lecz Morrel obejrzał się.

Czekał.

Dziwiło go, że przewoźnicy odpłynęli, nie upomniawszy się o zapłatę.

Słychać było plusk wiosel — szalupa wracała do jachtu.

— Szukasz pan marynarzy? — zagadnął hrabia.

— Tak. Odpłynęli, choć nie dałem im ani grosza.

— Nie troskaj się o to, Maksymilianie — roześmiał się Monte Christo. — Mam z nimi specjalną umowę: dojazd do mojej wyspy jest bezpłatny. Jestem abonentem, jak mówią w krajach cywilizowanych.

Morrel spojrział na hrabiego ze zdziwieniem.

— Inny pan jesteś tutaj niż w Paryżu — powiedział.

— Jak to?

— Tak; śmiejesz się pan. Hrabia zasępił się nagle.

— Słusznie, Maksymilianie, przywołałeś mnie do porządku. Uradowałem się na twój widok, zapomniawszy, że przelotne to szczęście, jak i każde.

— O nie, nie, hrabio! — zawołał Morrel, chwytając przyjaciela za rękę. — Raduj się, bądź szczęśliwy, dowiedz mi swoją obojętnością, że życie dręczy tylko tych, którzy cierpią. Jesteś, przyjacielu, miłosierny, dobry, wielkoduszny — udajesz tedy wesołość, aby pokrzepić mnie na duchu.

— Mylisz się: byłem naprawdę szczęśliwy.

— A więc zapomniałeś o mnie. Tym lepiej.

— Dlaczego?

— Pamiętasz, przyjacielu, zawołanie gladiatorów, gdy defilowali w Koloseum przed lożą imperatora? „Idący na śmierć cię pozdrawiają!”

— Nie ma więc dla ciebie pociechy? — zagadnął hrabia, szczególnie jakoś popatrując na Morrela.

— Ach! — odrzekł Morrel i spojrział z goryczą — czy sądziłeś pan naprawdę, że istnieje dla mnie pociecha?

— Posłuchaj, Maksymilianie, posłuchaj uważnie. Bierzesz mnie za człowieka pospolitego, grzechotkę wydającą czcze dźwięki. Jeśli pytam, czyś nie zaznał pociechy, mam do tego prawo, bo znam wszelkie tajniki ludzkiego serca. A więc, Maksymilianie, zejźmyż na dno twojego serca i zbadajmy je szczegółowo. Czy trawiony boleścią miotasz się jeszcze niby lew, którego użądlił komar? Czy wciąż dręczy cię to pragnienie, które wygasa tylko w grobie? Czy to ten żal idealny, który każe człowiekowi zapomnieć o życiu i poszukiwać śmierci? Czy może tylko prostracja, przygnębienie, brak odwagi, melancholia, która gasi przedzierający się ku tobie promień nadziei? Czy może lękasz się

zapomnieć bo wtedy nie mógłbyś już płakać? O, drogi przyjacielu, jeśli tak jest, jeśli nie możesz już płakać, jeśli myślisz, że zamarło twoje odrętwiałe serce, jeśli cała twoja siła w Bogu, jeśli patrzysz już tylko w niebo, dajmy pokój słowom, bo one i tak nie pomieszczą sensu, jaki chciałaby wyrazić nasza dusza. Maksymilianie, zaznałeś już pociechy, tedy nie skarz się więcej.

— Posłuchaj mnie, hrabio — odrzekł Morrel tonem łagodnym i stanowczym zarazem — posłuchaj, jak słuchamy kogoś, kto wskazuje palcem ziemię, wznosząc oczy do nieba: przyjechałem do ciebie, aby umrzeć w ramionach przyjaciela. Są ludzie, których kocham, kocham Julię i Emanuela; ale potrzeba, żeby ktoś ogarnął mnie silnym ramieniem i uśmiechał się do mnie, gdy będę umierał. Julia wybuchnęłaby płaczem i straciła przytomność, Emanuel wyrwałby mi broń z ręki i krzykiem zaalarmowałby cały dom. Z tobą, hrabio, rzecz inna: mam twoje słowo, jesteś więcej niż człowiekiem, bo gdybyś nie był śmiertelny, nazwałbym cię Bogiem, poprowadzisz mnie więc łagodnie i z czułością do bram śmierci, prawda?

— Przyjacielu — odrzekł hrabia — gnębi mnie jeszcze jedna wątpliwość: czy przypadkiem nie jesteś słaby i w słabości swojej pysznisz się swoim bólem?

— Ależ nie, jestem człowiekiem prostym — rzekł Morrel, wyciągając do hrabiego rękę — puls mój nie bije ani prędeż, ani wolniej niż zawsze. Nie, czuję po prostu, że stanąłem u kresu drogi i nie pójdę już dalej. Mówiłeś mi, żebym czekał nie tracąc nadziei; wiesz ty, coś uczynił, niefortunny mędrce? Czekałem miesiąc, to znaczy cierpiałem o miesiąc dłużej. Żywiłem nadzieję, człowiek jest nędznym i słabym stworzeniem — bo i na cóż liczyłem? Nie mam pojęcia. Na coś tajemniczego, niedorzecznego! Na cud... Ale jaki? Tylko Bóg mógłby odpowiedzieć, gdyż on przymieszał do naszego rozumu to szaleństwo zwane nadzieją. Tak, czekałem i żywiłem nadzieję; ale od kwadransa, jak rozmawiamy, zadaje mi hrabia, niechcący, straszliwe katusze, bo każde twoje słowo jest mi dowodem, że nie ma już dla mnie nadziei. O, hrabio, śmierć będzie dla mnie rozkosznym wypoczynkiem!

Morrel wypowiedział to wszystko z taką gwałtownością, że Monte Christo zdrzął.

— Kochany przyjacielu — ciągnął Morrel, hrabia bowiem milczał — proszę mnie o zwłokę do piątego października... a dziś właśnie mamy piątego...

I spojrzął na zegarek.

— Dziewięta — rzekł — pozostaje mi jeszcze trzy godziny życia.

— Niech i tak będzie — odparł hrabia. — Chodźmy.

— Morrel podążył machinalnie za hrabią — nie zauważył nawet, kiedy znaleźli się w grocie.

Pod nogami miał kobierzec; drzwi się otwały, otoczył go prześliczny zapach, światło raziło mu oczy.

Zatrzymał się z wahaniem — nie ufał podniecającym rozkoszom, którymi tchnęła ta grotka.

Monte Christo pociągnął go łagodnie.

— Spędzimy te ostatnie trzy godziny — powiedział — jak starożytni Rzymianie, których Neron skazywał na śmierć, aby po nich dziedziczyć. Siadali do stołu wieńcząc sobie głowy kwiatami, a śmierć przychodziła do nich z wonią heliotropów i róż...

Morrel uśmiechnął się.

— Jak hrabia sobie życzy — odparł. — Śmierć jest zawsze zapomnieniem, czyli odpoczynkiem. Kto żyć przestaje, przestaje i cierpieć.

Usiedli naprzeciw siebie.

Byli w owej cudownej jadalni, znanej już czytelnikowi. Stały tu marmurowe figury z koszami pełnymi owoców i kwiatów na głowach.

Morrel przyglądał się tym wspaniałościom z roztargnieniem — a może nie dostrzegał ich wcale.

— Pomówmy jak mężczyźni — ozwał się, patrząc baczenie na hrabiego.

— Mówże więc.

— Jesteś, hrabio, uosobieniem całej ludzkiej mądrości i wiedzy. Wydajesz mi się kimś, kto zstąpił do nas z innego, lepszego świata.

— Nie mylisz się tak bardzo, Maksymilianie — odrzekł hrabia z owym melancholijnym uśmiechem, który przydawał mu tyle uroku. — Przybyłem tu z planety zwanej cierpieniem.

— Wierzę w każde pańskie słowo, nie starając się zgłębić jego sensu; dowód, że nakazałeś mi pan żyć, i żyję; nakazałeś mi nie tracić nadziei, i zachowywałem ją do pewnego stopnia. Ośmielę się więc zapytać pana, który już raz umarłeś: czy to bardzo nieprzyjemne?

Monte Christo spoglądał na Morrela z niewysłowioną serdecznością.

— Tak — rzekł — to bardzo nieprzyjemne, kiedy ktoś rozbija raptem ową cielesną powłokę, która za wszelką cenę chce żyć. Jeśli zatopić sztylet w ciało, jeśli wypalić sobie w łeb, żelazo czy bezmyślna kula mogą sprawić ból okrutny. Wtedy żegnając się ze światem bolejesz, żeś tak drogo musiał opłacić wieczny odpoczynek. I życie wyda ci się wtedy czymś od niego lepszym.

— Tak, rozumiem. Śmierć, jak i życie, ma swoje bolesne i rozkoszne tajemnice: rzecz polega na tym, aby je znać.

— Otóż i to, Maksymilianie. Powiedziałeś wielkie słowo. Od nas tylko zależy, czy śmierć będzie nam przyjaciółką i piastunką, czy wrogiem, który wydrze brutalnie duszę z ciała. Za tysiąc lat, kiedy opanujemy wszystkie niszczące siły przyrody i obrócimy dla dobra ludzkości, kiedy człowiek pozna, jak się wyraziłeś, tajemnice śmierci — śmierć stanie się równie rozkoszna i słodka, jak sen w ramionach kochanka.

— Umiałbyś umrzeć, hrabio, gdybyś tego zapragnął, nieprawdaż? — Tak.

Morrel wyciągnął doń rękę.

— Rozumiem już teraz, dlaczego wyznaczyłeś mi pan spotkanie na tej pępnej wyspie, pośród morza, w podziemnym pałacu — grobowcu, którego pozazdrościliby ci faraonowie; bo lubisz mnie, hrabio, prawda? Lubisz mnie na tyle, aby zadać mi taką śmierć, o jakiej mówiłeś właśnie. Śmierć bez agonii, śmierć, która pozwoli mi zgasnąć z imieniem Walentyny na ustach i z ręką w twojej dłoni.

— Zgadłeś, Maksymilianie — odpowiedział z prostotą hrabia — tak i ja myślałem.

— Dziękuję. Koi mi moje biedne serce myśl, że jutro już cierpieć nie będę.

— I nie żał ci, że rozstajesz się z tym światem?

— Nie.

— A ze mną? — tu w głosie hrabiego zabrzmiało głębokie wzruszenie. Morrel milczał; jasne jego oko zamglilo się nagle, a potem rozblęskło przedziwnym blaskiem; łza srebrząc się spłynęła mu z policzka.

— Jak to? — ozwał się hrabia. — Czyżbyś więc jednak żałował czegoś na tej ziemi?

— O, błagam, hrabio — zawołał Morrel — nie mów już więcej, nie przedłużaj mojej męczarni.

Hrabiemu wydało się, że Morrel słabnie.

Myśl ta obudziła w nim znów straszliwe wątpliwości, jakie przytłoczyły go już raz, w zamku If.

Troszczyć się o to, pomyślał, aby przywrócić temu człowiekowi szczęście; uważam, że czyn ten odkupi zło, które wyrządziłem. A jeśli się mylę... jeśli ten człowiek nie jest na tyle nieszczęśliwy, by zasłużył na szczęście! A cóż ze mną się stanie, jeśli nie zdołam dobrym czynem zmasać zła?

— Posłuchaj, Maksymilianie — rzekł. — Twoja boleść jest ogromna, widzę to. Ale czy ty, człowiek wierzący, nie obawiasz się zgubić swojej duszy?

Morrel uśmiechnął się smętnie.

— Hrabio — odrzekł — wiadomo ci, że nie komponuję poezji na zimno; co zaś do mojej duszy, przysięgam, że nie należy ona już do mnie.

— Wiadomo ci, Maksymilianie, że nie mam żadnych krewnych. Uważam cię za syna... owóż aby ratować syna, oddałbym życie, a tym bardziej majątek.

— O co panu właściwie chodzi?

— Chcesz rozstać się z życiem, bo nie zaznałeś tych jego radości, na jakie pozwala wielka fortuna. Maksymilianie, mam prawie sto milionów — ofiarowuję ci je; z takim majątkiem dokonałbyś wszystkiego, co byś tylko zamierzył. Czyż nie jesteś ambitny? Nie ma takiej kariery, która by nie stanęła przed tobą otworem. Możesz poruszyć z posad ziemię, zmienić jej oblicze, popełniać szaleństwa, zbrodnie, jeśli zechcesz, ale żyj.

— Hrabio, dałeś mi słowo — odparł zimno Morrel. — I — tu spojrzął na zegarek — jest już wpół do dwunastej.

— I ty chcesz to uczynić w moich oczach, w moim domu?

— A więc niech mi pan pozwoli odjechać. Inaczej pomyślę, że przyjaźń, jaką mnie darzysz, wynika z pobudek egoistycznych — odpowiedział Morrel, zaszępiając się coraz bardziej.

Wstał.

— A więc dobrze — odparł Monte Christo, a twarz rozjaśniła mu się na te słowa — sam tego chciałeś i jesteś niezłomny; tak, jesteś głęboko nieszczęśliwy i jak rzekłeś, tylko cud mógłby cię uleczyć. Siądź i zaczekaj.

Morrel usłuchał. Monte Christo podszedł do zamkniętej szafy, otworzył ją kluczem, który nosił na złotym łańcuszku, i wyjął srebrną szkatułkę, precudownie rzeźbioną i cyzelowaną. Po rogach jej widniały cztery figurki kobiece, mające w sobie coś z kariatyd, a zarazem i coś z aniołów tęskniących do nieba.

Postawił szkatułkę na stole. Wydobył z niej złote puzderko, opatrzone sekretnym zamkiem. Puzderko zawierało maść gęstą, o kolorze nieokreślonym, zaćmiewał go bowiem blask polerowanego złota, szafirów, rubinów i szmaragdów, którymi wysadzana były pokrywka. Ćmiło się w oczach od lazuru, purpury i złota.

Hrabia zaczerpnął poślacaną łyżeczką odrobinę owej substancji i podał ją Morrelowi, nie odrywając od niego oka. Wtedy można było dostrzec zielony kolor mazi.

— Masz to — rzekł — o co mnie prosisz, a co ja ci obiecałem.

— Dziękuję z głębi serca — odparł Maksymilian biorąc łyżeczkę. Hrabia wziął drugą łyżeczkę i zanurzył ją w złotym puzderku.

— Co robisz, przyjacielu? — spytał Morrel wstrzymując mu rękę.

— Ano cóż, moj drogi — uśmiechnął się hrabia — niech mi Bóg przebaczy, ale mnie tak samo zbrzydło życie jak tobie. Skoro więc nadarza się okazja...

— Nie czyń tego! — zawołał młodzieniec. — Kochasz i jesteś kochany. Nie utracisz nadziei. Nie czyń tego, co ja uczynię — byłoby to zbrodnią. Żegnaj, szlachetny i wielkoduszny przyjacielu, opowiem Walentynie o wszystkim, co zrobił dla mnie.

I wolno, ale bez wahania połknął, delektując się nią nawet, tajemniczą substancję, którą ofiarował mu Monte Christo.

Zamilkli obydwaj. Ali cichy i uważny przyniósł tytoń, nargile i kawę. Po czym zniknął.

Lampy przygasaly w rękach marmurowych figur, a woń kadzideł wydała się Morrelowi mniej przenikliwa.

Monte Christo, siedząc w cieniu, spoglądał na Maksymiliana. Oczy hrabiego błyszczaly.

Maksymilianem targnął okropny ból; nargile wypadły mu z ręki; przedmioty traciły niepostrzeżenie kontury i barwę; zmętniałym jego oczom wydało się, że w ścianie otwierają się drzwi i rozsuwają się kotary.

— Przyjacielu — rzekł — umieram już. Dziękuję ci.

I uczynił ostatni wysiłek, aby podać hrabiemu rękę, ale opuścił ją bezładnie.

Wydało mu się wtedy, iż Monte Christo śmieje się, lecz nie owym śmiechem dziwnym i przerażającym, który odsłonił mu kilkakroć tajemnicę tej skrytej duszy. Był to śmiech życzliwy, pełen współczucia — jakby ojciec śmiał się z dziecka plotącego brednie.

I hrabia począł rosnać w jego oczach: na tle czerwonych kotar zarysowała się jego postać niemal dwakroć większa. Ciemne włosy odgarnął z czoła. Stał dumny, niby jeden z owych aniołów, które w dzień sądu ostatecznego będą karać złych.

Morrel całkiem już opadł z sił i osunął się głęboko na fotel. Zawładnęło nim głębokie, aksamitne odrętwienie. W głowie jego powstał chaos — jakby ktoś poruszył szkiełka kalejdoskopu.

Dyszał ciężko. Wydawało mu się, że tylko majaki już w nim żyją, że pełnymi żaglami wpływa w agonię, że jawi się już przed nim nieznanne, które nazywamy śmiercią.

Spróbował jeszcze raz wyciągnąć rękę do hrabiego — ale ręka ta nie drgnęła nawet. Spróbował wypowiedzieć słowa pożegnania, lecz język zatkał mu gardło, tak jak kamień zatyka otwór grobowca.

Powieki zaciążyły mu i opadły same. A jednak widział przez nie jakiś kształt, który poruszał się w ciemności.

To hrabia otworzył drzwi.

Z przyległego pokoju, a raczej z przepysznej pałacowej komnaty buchnęło jaskrawe światło, zalewając salę, gdzie Morrel konał tak spokojnie.

W progu stanęła kobieta precudnej urody.

Była blada, uśmiechała się słodko — jakby anioł miłosierdzia zaklinał anioła zemsty.

— Czy to już niebo otwiera się przede mną? — pomyślał umierający. — Ten anioł jest podobny do anioła, któremu utracił.

Monte Christo wskazał młodej kobiecie sofę, na której spoczywał Morrel. Szła ku niemu uśmiechnięta, złożwszy ręce.

— Walentyno! Walentyno! — zawołał Morrel z głębin swojej duszy.

Ale z ust nie wydobył mu się żaden dźwięk; i jakby wyczerpany już do cna tym wzruszeniem, westchnął i zamknął oczy. Walentyna podbiegła ku niemu. Wargi Morrela drgnęły raz jeszcze.

— Woła panią — ozwał się hrabia — woła panią z głębin swojego snu, jemu to pani powierzyłaś swoje losy, a śmierć chciała was rozdzielić: ale zjawiłem się na szczęście w porę i zwyciężyłem śmierć! Walentyno, od tej chwili nic już was rozłączyć nie zdoła: gdyż on, aby cię odnaleźć, chciał rzucić się do grobu. Gdyby nie ja, umarlibyście oboje; ale udało mi się was połączyć. Oby Bóg policzył mi, żem ocalił wam życie!

Walentyna chwyciła rękę Monte Christo i w porywie nieopisanej radości podniosła ją do warg.

— O, podziękuj mi serdecznie — ozwał się hrabia — powtórz mi i powtarzaj zawsze, żem cię uszczęśliwił. Nie masz pojęcia, jak mi trzeba tej pewności.

— O tak, tak, dziękuję panu jak najserdeczniej, a jeśli wątpisz, czy to podziękowanie szczere, spytaj moją ukochaną siostrę Hayde. Ona to sprawiła, mówiąc mi o panu, że po wyjeździe z Francji czekałam cierpliwie na ten dzień, który zabłysnął dziś dla mnie.

— Kochasz więc, pani, Hayde? — zapytał Monte Christo ze wzruszeniem, którego mimo wysiłków zataić nie zdołał.

— Kocham z całej duszy.

— A więc posłuchaj, Walentyno. Chciałem cię prosić o jedną łaskę.

— Mnie? O Boże, nie spodziewałam się takiego szczęścia.

— Nazwałaś Hayde swoją siostrą. Niechże więc Hayde rzeczywiście nią będzie, Walentyno; skoro uważasz, że masz wobec mnie jakieś długi, oddaj je Hayde; zaopiekujcie się nią, Maksymilian i ty, gdyż — tu głos hrabiemu uwiązał w gardle — gdyż od tej chwili będzie sama na świecie...

— Sama na świecie! — powtórzył ktoś za hrabią. — Dlaczego? Monte Christo obejrzał się.

Stała za nim Hayde, blada, zmrożona, i patrzyła nań w śmiertelnym osłupieniu.

— Albowiem jutro, moja córko, będziesz wolna — odpowiedział hrabia. — Odzyskasz w świecie należne ci miejsce, ja zaś nie życzę sobie, aby mój los rzucił cię na losy twoje. Księżniczko, zwracam ci bogactwa i nazwisko twojego ojca.

Hayde zbladła, uniosła w górę przezroczyście ręce, niby dziewica polecająca się Bogu, i rzekła głosem nabrzmiałym od łez:

— A więc opuszczasz mnie, panie mój?

— Hayde, Hayde, jesteś młoda i piękna; zapomnij nawet mojego imienia i bądź szczęśliwa.

— Dobrze, panie mój, spełnię twoje rozkazy, zapomnę nawet imienia twojego i będę szczęśliwa.

— O Boże! — zawołała Walentyna, podtrzymując opadającą głowę Morrela. — Czy pan hrabia nie widzi, jak ona zbladła i jak cierpi?

Hayde odrzekła na to z rozpaczą w głosie:

— Nie żądaj, siostrzo moja, aby mnie zrozumiał. On jest panem, a ja niewolnicą. Ma prawo nic nie widzieć.

Hrabia zadrżał. Samo brzmienie tego głosu poruszyło najtajniejsze struny jego serca; spojrzął dziewczynie w oczy — i nie zniósł ich blasku.

— Boże! — zawołał. — Czyżby to, czegom się tylko domyślał, było prawdą? Czyżbyś, Hayde, zaznała szczęścia nie opuszczając mnie?

— Jestem młoda — odrzekła łagodnie — kocham życie, które usłałeś mi różami, nie mam więc ochoty umierać.

— To znaczy, że gdybym cię opuścił...

— Umarłabym, mój panie.

— To kochasz mnie, Hayde?

— Och, Walentyno! On pyta, czy go kocham! Powiedz mu, Walentyno, czy ty kochasz Maksymiliana.

Serce hrabiego wezbrało czułością; otworzył ramiona, a Hayde rzuciła się w nie.

— Tak, tak, kocham cię — zawołała — kocham cię jak ojca, brata i męża! Kocham cię nad życie! Kocham cię jak samego Boga, bo jesteś dla mnie najpiękniejszy, najlepszy i najwspanialszy spośród ludzi!

— Niech się stanie według woli twojej, aniele najmilszy! — powiedział hrabia. — Bóg wskrzesił mnie, abym zwyciężył i pognął nieprzyjaciół. Bóg, widzę to, nie życzy sobie, abym żałował po zwycięstwie. Chciałem sam się ukarać, ale Bóg pragnie mi przebaczyć. Kochaj mnie więc, Hayde! Kto wie, może dzięki miłości zapomnę o tym, o czym zapomnieć powinienem.

— Co mówisz, mój panie? — zapytała Hayde.

— Mówię, że jedno twoje słowo, Hayde, oświeciło mnie bardziej niżli dwadzieścia lat moich mądrych rozmyślań; mam, Hayde, tylko ciebie na świecie; ty jesteś więzią, która łączy mnie z życiem, dzięki tobie mogę cierpieć i dzięki tobie mogę być szczęśliwy.

— Słyszysz, Walentyno — zawołała Hayde — powiada, że przeze mnie mógłby cierpieć! Przeze mnie, która oddałabym życie za niego!

Hrabia zadumał się na chwilę.

— Czyżbym ujrzał prawdę? — rzekł. — O mój Boże! Mniejsza z tym! Nagroda czy kara... przyjmuję swój los. Chodź, Hayde, chodź.

Objął dziewczynę w pól, uściśnął dłoń Walentyny — i znikł.

Walentyna przesiedziała przy Morrelu prawie godzinę, milcząca i wpatrzona weń bacznie. Uczuła wreszcie, że serce jego zabiło. Leciutki oddech, zwiastun życia, rozchylił mu wargi.

Maksymilian otworzył wreszcie oczy. W spojrzeniu jego, zrazu szklistym i zmętniałym, pojawił się ból.

— O — zawołał z rozpaczą — żyję! A więc oszukał mnie hrabia! I sięgnął po nóż leżący na stole.

— Zbudź się, najdroższy — rzekła Walentyna z czarującym uśmiechem — i spójrz na mnie.

Morrel krzyknął rozdzierająco. W głosie tym brzmiało zwątpienie. Oślepiiony niby wizją niebiańską, padł na kolana...

Nazajutrz o brzasku Maksymilian i Walentyna przechadzali się pod rękę nad morzem. Walentyna opowiadała, jak Monte Christo, zjawiwszy się u niej w pokoju, odstąpił przed nią zbrodnicze machinacje i jak cudownym sposobem ocalił ją od śmierci.

Wyszli, drzwi groty bowiem były otwarte. Na lazurowym porannym niebie świeciły jeszcze ostatnie gwiazdy.

Wtedy Morrel ujrzał w cieniu skał człowieka, który czekał tylko na znak, żeby się zbliżyć; wskazał go Walentynie.

— A to Jacopo, kapitan jachtu — rzekła. I przyzwała go gestem.

— Chciałeś nam pan coś powiedzieć? — spytał Morrel.

— Mam doręczyć panu ten list od hrabiego.

— Od hrabiego! — wyszeptali oboje.

— Tak, niech pan przeczyta.

Morrel otworzył list:

Kochany Maksymilianie!

Feluka dla Ciebie czeka na kotwicy. Jacopo odwiezie Was do Livorno, gdzie pan Noirtier czeka już na wnuczkę, aby pobłogosławić ją, nim pójdziecie do ołtarza. Wszystko, mój drogi, co zawiera ta grota, mój dom na Polach Elizejskich i mój zameczek w Trèpot — to prezent ślubny od Edmunda Dantesa dla Maksymiliana Morrela. Panna de Villefort zechce przyjąć połowę, gdyż błagam ją, aby rozdała między paryskich biedaków całą schedę po ojcu. Ojciec jej zwariował. Brat i macocha zmarli we wrześniu.

Poproś, Maksymilianie, anioła, co będzie czuwał nad Twoim życiem, aby pomodlił się za człowieka, który podobnie jak szatan myślał przez chwilę, że równy jest Bogu. Ale człowiek ten uznał z całą chrześcijańską pokorą, iż tylko w ręku Boga spoczywa najwyższa potęga i nieprzebrana mądrość. Modlitwy te osłodzą zapewne wyrzut, który unosi ze sobą w głębi serca.

Zdradzę ci jeszcze, Maksymilianie, tajemnicę mojego postępowania wobec ciebie; na tym świecie nie istnieje ani szczęście, ani nieszczęście — porównujemy tylko stan obecny z tym, w jakim byliśmy. Tylko ten, kto doznał najokropniejszych niepowodzeń, zdoła

odczuć najwyższe szczęście. Kto chciał umrzeć, Maksymilianie, wie, jakim skarbem jest życie.

Żyć więc i bądźcie szczęśliwi, ukochane dzieci mojego serca, i nie zapominajcie, że póki Bóg nie raczy odsłonić przyszłości ludzkiej, cała ludzka mądrość będzie się mieścić w tych paru słowach:

Czekać i nie tracić nadziei!

Przyjaciół Wasz

Edmund Dantès

hrabia de Monte Christo

Walentyna, dowiedziawszy się o nieszczęściach rodzinnych, zbladła, westchnęła boleśnie i zapłakała cicho; drogo kosztowało ją szczęście. Maksymilian rozejrzał się niespokojnie.

— Ależ — powiedział — hrabia przesadza doprawdy w swojej hojności.

Walentyna zadowolona z moją fortuną. Gdzie jest hrabia, mój przyjacielu? Zaprowadźcie mnie do niego. Jacopo wskazał horyzont.

— Cóż to znaczy? — spytała Walentyna. — Gdzie hrabia? Gdzie Hayde?

— Popatrzcie, państwo — ozwał się Jacopo.

Na ciemnobłękitnej linii horyzontu dostrzegli biały żagiel, nie większy od skrzydła mowy.

— Odjechał! — zawołał Morrel. — Odjechał! Żegnaj, przyjacielu, żegnaj, ojczy!

— Odjechała — szepnęła Walentyna. — Żegnaj, przyjaciółko, żegnaj, siostrzo!

— Może nie zobaczymy ich już nigdy — westchnął Morrel ocierając łzę.

— Kochanie — odrzekła Walentyna — toć hrabia powiedział nam, że cała mądrość ludzka zawiera się w tych kilku słowach: Czekać i nie tracić nadziei!